Lietuvos Mokslų Akademijos
BIBLIOTEKA
F138-2231

F 138 - 2231

Dziennik.

Tom III.

Rok 1913 i początek roku 1914.

Michał Römer.

29 grudnia roku 1912.
11 stycznia roku 1913.

Bohdaniszki.

29 grudnia. 1 stycznia. rok 1912. 1913. sobota.

Dziś część dnia zajęło mi dziś pisanie artykułu do „Przeglądu Wileńskiego". Chodzi o to, że my, demokraci polscy, zajmujący tu na Litwie i Białej Rusi stanowisko krajowe, nie możemy wybrnąć ze sprzeczności, jakie się wobec nas piętrzą przy zestawieniu prądów narodowych, nurtujących obecnie Polskę i budzących echa w naszych szeregach, ze wskazaniami pożytku krajowego. Na tle sytuacji międzynarodowej i zaostrzonego konfliktu Austrji z Rosją zbudziły się w Polsce poważne nastroje powstańcze i już organizują się nawet zawiązki ewentualnej akcji. Że prądy te są dla nas sympatyczne, że nie mogą być całkiem obce i obojętne, – nic dziwnego. Prądy te wszakże są zbudowane na tendencjach austrofilskich, które w zastosowaniu do naszego kraju realnej wartości nie mają. Cokolwiekbądź bowiem by się stało, nie podobna przypuścić, aby Litwa mogła być obecnie wcielona do Austrji. Jeżeli może być mowa o zmianie przynależności państwowej Litwy, to chyba tylko w razie wcielenia do Prus. Sympatje więc austrofilskie, jako podstawa do ruchu czynnego, nie są dla kraju naszego realne. Skądinąd wszakże niepodobna siedzieć bezmyślnie bez żadnej orjentacji wobec sytuacji międzynarodowej tak poważnej, jaką jest obecnie. Wypadki mogą się rozwinąć całkiem nieoczekiwanie i mogą doprowadzić do okoliczności, których zgoła przewidzieć niepodobna. Nie można się dać zaskoczyć wypadkom na ślepo. Nie możemy przewidzieć, co się stać może, bo nie my kierujemy wypadkami, ale musimy wiedzieć ewentualnie, czego chcemy, musimy posiadać wyraźne kryterjum, podług którego w odpowiedniej chwili, gdyby działać wypadło, działać byśmy mogli. Dla prawicy naszej, to znaczy dla obozu konserwatywno-endeckiego, kwestja ta nie nastręcza trudności, ponieważ oni już sobie już zakreślili wskazania wyraźne a proste, polegające na tłumieniu wszelkiego ruchu. Gdy przyjdzie chwila, będą oni wogóle wszelki czyn tłumić i staną do organizacji kontr-ruchu, ażeby na wszelki sposób salwować dogodny dla nich społeczny status quo, o który właściwie im tylko chodzi. My oczywiście, ze stanowiska demokratycznego wychodząc, nie możemy kierować się drogowskazami prawicy i streszczać całej naszej działalności w tłumieniu [illegible] wszelkiego ruchu. Musimy stanąć na gruncie czynników rozwojowych naszego kraju, szczerze i po obywatelsku, choćby nas serce bolało, że w jakimś przesileniu dziejowym losy naszego kraju oddzielają się od losów Polski i że podczas gdy w Polsce – zwycięstwo będzie akcja powstańcza z jej skutkami ewentualnego wcielenia do Austrji, u nas zwycięstwem może się okazać akcja inna, akcja zespolona z wewnętrzną rewolucją w państwie rosyjskiem. Powtarzam, że przewidzieć wypadków nie możemy, ale powinniśmy być świadomie gotowi do działania w myśl wskazań, płynących z ratunku potrzeb i sytuacji naszego kraju. Na tym stanowisku winna być nie tylko aspiracja polityczna, ale i społeczna [illegible] demokracji krajowej. To mi stawiam za punkt wyjścia do [illegible], [illegible] [illegible]. Atmosfera Bohdaniszek działa na mnie trochę rozleniwiająco co do pisania.

1.

30 grudnia. 12 stycznia. rok 1912. 1913.

niedziela.

Zaproszony byłem na dziś przez Józefa Šukysa na wieczorek litewski pod Rogielami. Miałem wielką ochotę się wybrać, żeby się przyjrzeć jednemu z tych pierwszych przejawów budzenia się naszych włościan do życia kulturalnego. Musiałem atoli ukrywać to od Papy, który patrzy okiem niechętnym na wszelkie próby z mej strony zbliżenia się do włościan. Papa upatruje w tym „bratanie się z chłopami", gotów się i boleje nad „schłopieniem" moim. W stosunku do innych osób, a nawet dzieci swoich Papa nie bierze za złe czy to odwiedzenia chaty włościańskiej czy w ogóle bliższego z włościanami stosunku. Co do mnie wszakże, to jest inaczej. Wiedząc o moich skłonnościach demokratycznych, Papa boi się ekscesów z mej strony przed skrajnym chłopomaństwem, w ogóle widzi dla mnie stosunki z włościanami litewskimi za zgubne, że prowadzące do zatracenia ideałów polskich i przejęcia się manią sympatii chłopskich, litewskich, socjalistycznych i t.d., co w oczach Papy jest symbolem wielkiej nieczystości. Nic więc nie mówiąc Papie, wyjechałem cichaczem po obiedzie z Bohdaniszek. Na Mamę zdałem powierzenie Papie o moim wyjeździe w odwiedziny do Šukysa, ale że jadę na wieczorek włościański, powinno było zostać w sekrecie przed Papą. Po okropnej grudzie jednym konikiem noga za nogą dostałem koło godz. 5 1/2 do Dusiat. Tam już czekał niecierpliwie Šukys, który miał jechać ze mną na wieczorek do Żejbutisa do zaścianka Andrupis, położonego między Dusiatami a Rogielami. Musiałem jeszcze napić się herbaty u Šukysa i przekąsić kiełbasy i posiedzieć, żeby zadośćuczynić gościnności jego, a dopiero po sutym częstunku ruszyliśmy do zaścianka Andrupis. Wieczorki te powstały w tej miejscowości z inicjatywy Šukysa. Mieszkając przez czas dłuższy u mnie w Wilnie i bywając na wieczorkach w litewskiej „Rūtie", Šukys zainteresował się sztuką sceniczną i, widząc, jaką to sprawia rozrywkę, postanowił, mieszkając na wsi, zaaklimatyzować ten rodzaj zabawy. Namówił paru młodzieży włościańskiej w swej wiosce Dusiatach, żeby spróbowali zorganizować o własnych siłach widowisko amatorskie. Zwalczył postrach, zabrał się, wybrał łatwe popularne komedyjki, zaimprowizował z grona uczestników odpowiednie kostiumy i maski własnego pomysłu, sam reżyserował grę. Kilka takich przedstawień odbyło się w roku zeszłym i bieżącym w Dusiatach ku wielkiej uciesze tak amatorów-artystów, jak widzów. Przedstawienia te odbywały się latem w pustej stodole i zabawa kończyła się tańcami. Stopniowo wieczorki te zaczęły się urozmaicać i doskonalić i tworzyć pewną tradycję w zwyczajach miejscowych. Wieczorki te, uszlachetniając rozrywki młodzieży wiejskiej, rugując pijaństwo, karciarstwo, obyczaje, krzewią pewien wyższy poziom kultury. Są one o całe niebo wyższe od zwykłych tutejszych i bezmyślnych wieczornic czyli, podług nazwy miejscowej, „vakaruszek" wiejskich, gdzie zabawa polega głównie na szablonowych skocznych tańcach, rubasznym flircie i sprośnych konceptach, a kończy się zazwyczaj pijaństwem i nieraz rozpustą. Nowe wieczorki teatralno-taneczne przez krótki czas swego istnienia zrobiły duży postęp. Muzykę (kwartet) sprowadzają z Rakiszek uczniowie; wprowadzono pieśni ludowe litewskie, śpiewane przez chór, zorganizowany przy kościele rogielskim pod kierunkiem organisty; wznowiono stare narodowe tańce litewskie, które już oddawna zanikły w naszych stronach; dziewczęta zaczęły coraz częściej ubierać się na wieczorki w charakterystyczne litewskie stroje narodowe; na dzisiejszym wreszcie wieczorku wprowadzono po raz pierwszy nowe miejskie formy zabawy w postaci confetti, „serpentinas" i poczty latającej, do której sprowadzono duży wybór pocztówek ilustrowanych literackich. Zabawa udała się znakomicie. Że wszakże na zimę niepodobna było urządzić wieczorka w stodole, lokalu więc użyczył zamożny włościanin Żejbutis, w którego domu (w zaścianku Andrupis) jest ogromna sala, mogąca zmieścić do paruset ludzi. Scenę urządzono z pomostu z desek, który ustawiono w jednym końcu sali; dekoracje — z dwóch tkanin, zawieszonych w głębi, za którymi mieściły się jeszcze około sześć kulisy. Za kurtynę służyła też tkanina, posuwająca się za pociągnięciem sznurka. Organizator i reżyser zabawy Šukys pełnił jednocześnie obowiązki suflera, siedząc za tkaniną nową dekoracji. Choć cały wieczór miał charakter prywatny i urzędowo liczyło się, że wstęp jest tylko za zaproszeniami osobistemi, ale publiczności zebrało się ile tylko się zmieścić mogło; zbiegła się cała młodzież ze wsi okolicznych, z Ławsze, z Dusiat, Rogiel, Mełonie, a także i z Kos, Dejer, Kuklić i innych wiosek. Nikt nie sprawdzał zaproszeń, nikt nawet nie zapraszał formalnie. Wieczór prywatny za zaproszeniami osobistemi — to tylko forma urzędowa, bo dla takiego wieczoru wystarczy pozwolenie asesora (pristawa) rakiskiego, dla wieczoru zaś publicznego w Kowieńskiej potrzebne jest pozwolenie aż od gubernatora. Asesor rakiski, który miał przysłać stróżka, nie przysłał jeno przysłał strażnika ziemskiego dla porządku i reprezentowania [illegible] i popularne komedyjki z [illegible] [illegible] strony. Odegrano były 2 sztuki [illegible] ludzi [illegible] [illegible] wiejskie i [illegible] [illegible] o tym, że [illegible] [illegible] ten, że trzeba się [illegible] [illegible] intrygi i w życiu [illegible] nie [illegible] wiejskim podczas [illegible], ale sporo takowe na [illegible]

wtajemniczonej i na szczerości. Grano wcale nieźle, jak na amatorów z ludu. Po przedstawieniu i od razu wznowiono przez chór pieśni litewskich, uprzątnięto scenę i na sali rozpoczęła się ochocza zabawa taneczna. W czasie przedstawienia pierwszy rząd krzeseł zarezerwowany był dla publiczności doborowej, wyróżniającej się od naszego tłumu. Była to właściwie inteligencja wiejska, arystokracja włościańska. Nikt z tłumu nie śmiał kwestionować pierwszeństwa tej arystokracji i nie śmiał ani pomyśleć o zajęciu miejsc honorowych w krzesłach. Po przedstawieniu ta sama arystokracja została zaproszona przez gospodarzy do osobnej kolacji w sąsiednim pokoju. Do arystokracji tej zaliczani byli: ja, ksiądz proboszcz rogielski ks. Stakėnas i przyjezdny ks. Kisielis bawiący na wakacjach w rodzinnej wiosce w Dusiatach, dalej organizatorowie wieczoru Józef Šukys i jego kolega paryski Józef Petrulis, o którym z braku miejsca napiszę jutro, dalej gospodarze, to znaczy rodzina Żejbutisów i grono plutokracji włościańskiej z okolicy, mianowicie bogaty włościanin Wielkas, żonaty z córką bogacza miejscowego Żwirblisa, z żoną, jego szwagier Żwirblis z żoną, brat księdza Kisielis z Dejer i jeszcze parę osób. Petrulis zresztą do kolacji nie siadł, wolał zostać na sali i dalej rozbawiać szczerej i serdecznej naszej siermiężnej i kiepskiej zabawy. Kolacja była paradna i obfita. Dano kiełbasy świeże, polędwicę wędzoną i kurę pieczoną; był też cały stos, obliczony na dwunastki gości. Do tego była świeża kapusta kwaszona i wreszcie ogórki, stołowa, z trunków koniak, wino słodkie i kufel wszystkie piwo domowe. Potem podano herbatę a do niej cykorię, herbatniki i chrust. Po naszej kolacji do tegoż stołu zasiedli inni biesiadnicy. Opuściłem gościnną zabawę o północy.

[illegible]

31 grudnia / 13 stycznia, rok 1912/1913, poniedziałek

Byłem niespokojny z powodu obawy, że Papa spenetruje mój późny powrót wczorajszy i będzie się na mnie gniewać za „bratanie się z chłopami". Musiałbym się wtedy tłumaczyć, dlaczego tak długo siedziałem u Łukysa; trzeba byłoby znaleźć jakiś pretekst, bo powiedzieć poprostu, że byłem na wieczorku litewskim u Szyrbutisów, — to wywołać ostateczne zgorszenie u Papy, dochodzące do zgrozy nawet, że w wieczorku tym mógł brać też udział ks. Stakiełło, znany wróg polaków (osobistość istotnie ze wszech miar wstrętna). Papa nie zrozumie, że mogę być na wieczorku, na którym jest obecny ks. Stakiełło, i przeto bynajmniej nie tylko nie mieć żadnej wspólności z tym osobnikiem, ale go nawet stanowczo i ściśle potępiać. Musiałbym się więc wobec Papy wytłumaczyć jakoś wykrętnie, a to jest zawsze rzecz przykra i budząca niesmak w sumieniu moim. Inaczej wszelkie w takich razach postąpić nie mogę, bo naraziłbym jeno Papę na zmartwienie, dolał nową kroplę goryczy do stosunku naszego i przecie nic nie wskórał, bo Papy bym przekonać na rzecz moich poglądów nie zdołał. Na szczęście Papa nic nie spenetrował i nawet penetrować nie próbował. Z pewnością nie był zachwycony moją wyprawą, zwłaszcza wieczorną, do Łukysa, ale żadnych do tego komentarzy nie robił i wogóle nic mi o tym nie wspomniał. Nie uważał zresztą tego Papa za wielką zbrodnię, za jakąby już poniekąd uważał moją obecność na wieczorku, i był w dobrym nawet humorze. Większą część dnia spędziłem na porządkowaniu bruljonów rachunków moich z Mamą.

Chcę tu jeszcze do moich wrażeń wczorajszych dodać nieco o Józefie Petrulisie. Jest on moim kolegą z Paryża, człowiekiem, który ongi wywarł wpływ dość duży na mnie i nadał poniekąd kierunek moim poglądom i ideałom społecznym w stosunku do kraju. Jak każdy człowiek głębokiej wiary i silnej gorącej idei, Petrulis zdolny jest wywierać wpływ sugestyjny i przekonywujący na drugich, potrzebną idealizmu. Ale nie o tym chcę mówić. Wspomnienia z przeszłości byłoby tu, owszem, ciekawe, ale chodzi mi bardziej o teraźniejszość Petrulisa. Jest to człowiek niepospolity. Pochodzi z zamożnej rodziny włościańskiej z wioski Audry o 2 wiorsty od Rogiel a o 7-8 wiorst od [illegible]. Był oddany przez ojca do szkół, albowiem w rodzinie panował zwyczaj zostawiania całej gospodarki niepodzielnie jednemu synowi, za co inni synowie otrzymywali bądź wykształcenie, bądź wykwalifikowanie na rzemieślników zawodowych. Po skończeniu szkół średnich wyjechał zagranicę i uchylił się od powinności wojskowej w Rosji. Przebył zagranicą długich lat kilka, gdzie nawet z 10. Kształcił się naukowo dalej, chłonął z zapałem wiedzę, ale robił to po swojemu, nie specjalizując się w żadnej gałęzi, pragnąc posiąść wykształcenie uniwersalne. O dyplom się nie kusił nigdy, nie naginał się do żadnej dyscypliny szkolnej. Tułał się z miasta do miasta, ze wszechnicy do wszechnicy po krajach Europy Zachodniej. Był na politechnice, studjował prawo, słuchał medycyny, był na przyrodzie, filozofii, studjował nauki społeczne, historję, historję kultury i t.d. Był przez czas jakiś w Niemczech, najdłużej w Szwajcarji, potym w Paryżu, w Londynie. Znosił też wszędzie rodaków-litwinów, głosząc ewangielję zgody, współżycia i współpracownictwa wszystkich obywateli Litwy bez różnicy kultury, języka i narodowości. Był idealistą i oryginałem, samotnikiem i natchnionym działaczem. Potym przez czas jakiś redagował jakieś pisemko litewskie w Londynie (zdaje się, że „Laikas"). R. 1905 wrócił do ukochanej Litwy. Amnestja [illegible] jego winę za uchylenie się od powinności wojskowej. Po powrocie próbował pracy w prasie litewskiej, garnął się do życia publicznego, przez czas dłuższy zagnał miejsce w [illegible]. Wreszcie, mając na względzie ewentualny wybór na posła do Dumy od ludności włościańskiej, osiadł od roku przeszło w swej wiosce rodzinnej — Audrze. Gospodarką się tam nie zajmuje, jeno mieszka i korzysta z tej okoliczności, by się oddać pracy kulturalno-społecznej wśród włościan. Został przez włościan wybrany na ich stałego delegata do jeziorowskiej komisji urządzeń rolnych, do której jeździ raz na miesiąc. Do Dumy nie trafił, choć miał wybór zapewniony, bo się w ostatniej chwili okazało, że wybór jego zostałby unieważniony ze względu na to uchylanie się ongi od powinności. Ale już wsi nie opuścił. Zdecydował się pozostać na zawsze w środowisku włościańskim i tu swoją pracą społeczną [illegible] [illegible] sił kulturalnych w życiu publicznym. Obecnie będzie przez włościan obrany na kandydata do sędzi gminnego, [illegible] [illegible]

3

1 (14) stycznia.
rok 1913.
wtorek.

Oto i rok nowy — 1913. Już i my, idąc leniwie w ogonie świata Europejskiego, spóźnieni co do daty o dni 13 (o ileż bardziej jesteśmy spóźnieni nie w dacie tylko, lecz w treści i poziomie kultury!), dotarliśmy do nowego roku.

Przypomina mi się przy tej okazji pewien szczegół mojego dziennika dziecinnego akurat z przed lat 20, w dniu nowego roku 1893. Miałem wtedy rok 13-ty życia. Pisałem: „Już rok 1893!" Zdawało mi się, że to jakaś osobliwość, jakiś wypadek w dziejach świata, że „już" rok 1893. Aż oto te „już" przerodziło się w „jeszcze" czy „dopiero", bo gdzieś hen w jakiejże odległości wydaje ~~się~~ mi się już teraz, po leciech zaledwie 20, ten zadziwiający mię kiedyś r. 1893. A im dalej, tym coraz się będzie zatapiał w głębie przeszłości, aż się stanie starożytnością. Dziś już rok nowy nie zdumiewa, nie budzi tego niepokojącego wrażenia jakichś światów nieznanych, jakie budził we mnie ongi. A było to wszakże głębokie i bezpośrednie ~~czucie~~ czucie młodości, wyraz tęsknoty wylotu w przyszłość, radość postępu życia. Dziś nie cyfry lat, ale wypadki i zjawiska życia w stanie są tylko budzić takie wrażenia i tęsknoty. Natura moja przecie pozostała niezmienna, głęboko i szczerze tożsama w swej treści istotnej.

Spędziłem dziś dzień na wykańczaniu brulionów rachunków ~~moich~~ Mamy, które układać muszę z notesów moich. Sprawozdanie kasowe za cały rok 1912, tak rachunków ogólnych, jak specjalnych z zarządu Wiązowca, ~~i~~ stanowi pracę dość dużą. Jutro przed wyjazdem muszę już z brulionów wypisać rachunki w stanie ostatecznym dla złożenia ich do rąk Mamy.

Przyjemnie mi upłynęły te święta w ciszy Bohdaniskiej, w serdecznym spokoju rodzinnym, z rodzicami i Helcią. Czytałem dużo, popracowałem trochę, wszelkie troski i niepokoje się uśmierzyły, nerwy wypoczęły do syta, ciało też zaczerpnęło znakomitego wypoczynku, umysł pracował bez wysiłku, statecznie i swobodnie. Karmiła mię też Mama na zabój. Była w tym wypoczynku szczypta sybarytyzmu — i niecierpliwię. Jeszcze wstąpię do Wiązowca, a potym już — Wilno. Nie zachwycam się pobytem w Wilnie. Jedno, co mi w Wilnie wróży zawsze uśmiech i szczęście i spokój — bez zawodu — to moja Anna.

2 (15) stycznia rok 1913. Środa.

Skończył się mój pobyt świąteczny w Bohdaniszkach. Postanowiono już było z góry, że dziś wyjadę. Chętnie bym jeszcze o parę dzionków pobyt przedłużył, ale tak mi czas i ~~…~~ dalsze zajęcia są rozłożone, że zrobić tego nie mogę. Przedewszystkiem muszę być w Wilnie, bo nie jest wykluczone, że w tych dniach się odbędzie nasz sąd honorowy w sprawie między nami pięciu, Piłsudskim, Janulaitisem, Stażewiczem, Maćkowskim i mną, a dwunastu porwanymi przez nas panami, luminarzami obłudy wileńskiej: Michałem i Witoldem Węsławskimi, Dembowskim, Kończą, Józefem Hłaską, ks. Czerniawskim, ks. Longinem, Zmaczyńskim, Restytutem Sumorokiem, Strumiłłą, Malińskim i Zabłockim. W takim razie zmuszony już byłbym bezwzględnie do pozostania w Wilnie aż do zakończenia sądu tego. Jeżeli zaś sąd ~~ten~~ wyznaczony w tych dniach nie będzie, to po wstąpieniu do Wilna i upewnieniu się o tym, muszę zaraz pojechać do Wiarzowca, gdzie już dawno nie byłem i gdzie koniecznie dla spraw leśnych i administracyjnych być muszę, a nie mogę z tym zwlekać, bo na 8 stycznia muszę znów wrócić do Wilna na dzień powrotu Anny z Libawy.

~~Na~~ Postanowione było, że wyjadę dziś rano na pociąg południowy. Ale tak mi się chciało przedłużyć choć trochę pobyt w Bohdaniszkach, zwłaszcza że i rachunków Mamy ostatecznie zakończyć bym wczoraj nie zdołał, że postanowiłem wczoraj opóźnić wyjazd dzisiejszy do pociągu przynajmniej nocnego. Mama była naturalnie uszczęśliwiona z tych kilku godzin mojej obecności, które zyskiwała, ale z Papą było ciężej i należało użyć fortelu. Papa bowiem nie lubi żadnych zmian w czyichkolwiek projektach, uważając człowieka, który bez koniecznego musu odkłada ~~…~~ z góry uplanowany wyjazd do następnego pociągu, za lekkoducha, godnego nagany. Drugą zaś okolicznością jest ta, że Papa ma awersję do jazd nocnych i uważa także za lekkomyślnych i niepoważnych wszystkich tych, którzy jeżdżą nocami, mając możność wyjechania we dnie. Ponieważ więc odłożenie mojego wyjazdu wpłynęłoby ujemnie na opinię moją w oczach Papy, ~~…~~ przeto wymyśliliśmy z Mamą fortel i kompromis. Mama, która wobec Papy korzysta z praw przywileju wyjątkowego, wzięła winę na siebie: oświadczyła, że nie zdążyła wczoraj spakować rozmaitych zapasów żywnościowych i gospodarskich, które przesyła przeze mnie do Wilna i do Wiarzowca, i że przeto zatrzymała mnie do opóźnienia wyjazdu. Żeby zaś uniknąć ~~…~~ drugiego zgorszenia Papy — jazdy nocnej — postanowione zostało, że wyjadę z Bohdaniszek przed zmierzchem, zaraz po g. 4 i już w Abelach na stacji przeczekam cały wieczór do pociągu, odchodzącego o północy. Tak też się stało. W Abelach przesiedziałem przeszło 8 godzin, które spędziłem przeważnie na czytaniu. Wreszcie po północy nadszedł pociąg, który mię zabrał.

3 (16) stycznia, rok 1913, czwartek.

Rano przyjechałem do Wilna. Zaszedłem zaraz do Krzyżanowskiego dla poinformowania się o stanie sprawy honorowej. Okazało się, że w składzie osobistym przysięgłego zaszły zmiany. P. Stanisław Łopaciński, zapytywany listownie, odmówił przyjęcia roli superarbitra, powołując się na szwankujące zdrowie i zakaz lekarzy wszelkiego większego wysiłku umysłowego i nużących sesji. W liście, który p. Łopaciński wystosował do arbitrów naszych, jak też do arbitrów strony przeciwnej, prosi on, aby jego odmowa nie była uważana za chęć uchylenia się od obowiązku obywatelskiego, za jaki on czynność superarbitra uważa. Nie dla wykrętu tylko, ale istotnie powołuje się na zły stan zdrowia. Uważa, że sprawa ta jest wielkiej doniosłości i wymaga takiego wytężenia myśli i takiej wszechstronności uwagi, iż brak mu sił do spełnienia tego zadania. Wobec tego powstała kwestia wyboru innego superarbitra. Nasi arbitrowie wszakże nie byli w stanie porozumieć się z arbitrem strony przeciwnej w zastanowieniu co do osoby superarbitra. Wreszcie nasi arbitrowie wpadli na pomysł ~~[illegible]~~ następujący (po porozumieniu się ze wszystkimi mocodawcami z wyjątkiem mnie nieobecnego): zaproponowali na superarbitra jednego z arbitrów strony przeciwnej, Lednickiego, z tym zastrzeżeniem, aby na jego miejsce arbitrem został ~~[illegible]~~ ktoś inny, na którego by się nasza strona poprzednio zgodziła. Kombinacja ta do skutku doszła. Lednicki zaakceptował. Drugim zaś arbitrem strony przeciwnej został adwokat miński p. Witkiewicz. Sąd odbędzie się nie wcześniej, niż za dni 10. Czy kombinacja ta okaże się dobra — nie jestem w stanie przesądzić. Lednicki ma dużo taktu, ma głowę dobrą, stoi na stanowisku postępowym, więc o tendencyjność klerykalną posądzony być nie może. Ale to, że był naprzód wybrany na arbitra przez jedną stronę, może go bądź co bądź usposobić dla strony tej, naszej przeciwnej, trochę faworyzująco a w każdym razie wpłynąć na pewną większą względność dla tych 12 panów. Sądzę wszakże, że rezultat a przynajmniej tendencja sądu będzie taka, aby dać nam satysfakcję i ~~[illegible]~~ zrehabilitować nas z zarzutów, którymi nas ci panowie obarczyli, i jednocześnie oszczędzić tym panom upokorzenia, ~~[illegible]~~ wrażenie ich winy jakoś osłabić. Zresztą jakkolwiek będzie, — zobaczymy. Tymczasem dowiedziałem się w Wilnie, że sprawa ks. Cyrskiego nabrała już sensacyjnego rozgłosu. Misterne machinacje „obrońców” ks. Cyrskiego, którzy dla obielenia go wylali stek pomyj[illegible] i oszczerstw na głowy nasze, ~~[illegible]~~ zarzucając nam, [illegible] w niedoszłym sądzie honorowym, jakiś rzekomy spisek, ukuty przeciwko katolicyzmowi i Endecji czy polskości nawet, — nie tylko że nie osiągnęły skutku zamierzonego i doprowadziły jeno do nowej, powtórnej sprawy honorowej, ale jeszcze zaszkodziły Cyrskiemu i wywołały skandal. Dla osób bowiem bezstronnych, nieuprzedzonych i niezainteresowanych w tych porachunkach, o które „obrońcom” ks. Cyrskiego chodziło, sprawa wydała się tym brudniejszą, im bardziej „obrońcy” ~~[illegible]~~ wysilali się przedstawić ją za owoc jakiejś tajemniczej intrygi. Gdyby ci obrońcy po prostu zadowolili się tylko merytorycznym wyjaśnieniem treści zarzutów, skierowanych do Cyrskiego, i wykazali, że są one fałszywe, — to wszystko byłoby się skończyło cicho. Ale gorzej było — zamiast zbijania zarzutów przedstawiać je, jako spisek przeciwko katolicyzmowi i polskości. Toć cała ta insynuacja, przez przerzucenie się z roli obrońców czci do roli namiętnych oskarżycieli publicznych. ~~[illegible]~~ sprawia to wrażenie, że widocznie obrona posiadała słaby arsenał argumentacji merytorycznej i dlatego skierowała się na bezdroża ~~[illegible]~~ subtelizacji oskarżeń. Podobno już i w prasie warszawskiej sprawę tę wywleczono, kolportując mnóstwo drastycznych szczegółów o porwaniu dziewczyny, o nowej Macochiadzie i t. d.. Prasa petersburska też sprawę tę poruszyła. Zrobiono ze sprawy tej sensację i skandal, a że prasa jest zawsze chciwa sensacji, więc skorzystała z niej wyłącznie. Podobno już nawet prokuratura zwróciła uwagę na sensacyjne rewelacje prasy i zamierza rozpocząć śledztwo w stosunku do ks. Cyrskiego. Wiem o tym ~~[illegible]~~ zresztą tylko ze słyszenia, to, co mi dziś opowiadano; nie wiem, ile prawdy w ostatnim rozgłosie tej sprawy.

Po południu wyjechałem z Wilna do Bohdanowicz, gdzie stanąłem o godz. 11 z minutami w nocy. Na stacji zastałem ~~[illegible]~~ czekającego na mnie Jaśka. Korzystając z księżycowej nocy, dojechałem ze stacji do miasteczka Bohdanowicz dość już dobrze, ale wygodnie, ~~[illegible]~~ mimo że 16 wiorst okropnej drogi po grudzie, nie pojechałem i zanocowałem w miasteczku.

6

4 (17) stycznia rok 1913. piątek.

Rano, po nocy przespanej w lichym zajeździe, wyjechaliśmy z Jaśkiem z Radoszkowicz. Wyjeżdżając z miasteczka, wstąpiłem na pocztę, gdzie wyjąłem i nabyłem poraz pierwszy marki pocztowe nowego formatu, których wzór jeden tu podaję. Nowy rysunek marek, przedstawiający wizerunki panujących rosyjskich, został zainicjowany od nowego roku 1913 z okazji 300-lecia domu Romanowych.

Mozolnie, tak dla konia, jak dla nas, przebyliśmy z Jaśkiem 16-wiorstową paskudną drogę do Wiarowa. Zima w tym roku nie chce się ustalić na dobre. Dotąd niema sanny. W październiku i początku listopada sanna parokrotnie na wsi się ustanawiała, ale nigdy nie dłużej, niż na kilka dni. Od połowy zaś listopada śnieg zniknął, nastały deszcze i roztopy, drogi wiejskie przetworzyły się w grząskie bagna. Tak ~~już~~ było do Świąt Bożego Narodzenia. Od Świąt — mróz stały, równy, po kilka stopni. Niema odwilży, ale niema też śniegu, ani zawiei, ani wogóle jakichś wyraźniejszych akcesorjów zimy. Od Świąt śnieg padał, raczej prószył — często, ale w dozach minimalnych. Ziemia jest przykryta leciutką warstewką sypkiego proszku śnieżnego, ale tak leciutką, że wszystkie grudki zmarzłej ziemi w polu i na drodze sterczą obnażone. O sannie niema mowy. Na godz. 1 po południu dojechałem do Wiarowa. W drodze rozmawiałem dużo z Jaśkiem, który się już oswoił ze mną i nie jest wcale tak milczący i posępny, jak mi się wydawał na początku. Przeciwnie — widzę, że ma duszę miękką, wrażliwą, serdeczną, szczerą; ~~[illegible]~~ jak wszystkie natury tego rodzaju, łatwo się trwoży i wtedy zamyka się w sobie i jest skory do przygnębienia; gdy wszakże zaufa komuś, gdy zwłaszcza poczuje się traktowany po ludzku, to się otwiera szczerze i serdecznie, z prostotą i wiarą wielką. Jest to chłopiec subtelny i niegłupi; dodatni materjał na człowieka. Uczciwy też jest, prawy, rzetelny.

W Wiarowie zastałem wszystko względnie w dobrym stanie. U Biesiekierskiego bawi w gościnie siostra jego młodsza. Mój pokój jest już wykończony; wygląda dobrze: czysty, obszerny, widny, ciepły. Postawiłem w pokoju moim bufet, łóżko, stolik czerwony z Bohdaniszek, nakryty ceratą, zawiesiłem szarugi, lusterko, dla ozdoby zawiesiłem stary jakiś szkic rysunkowy Elwiry (oczywiście konie) i małą fotografję amatorską domu Bohdaniszkiego. Wszystko mam tu, co potrzebne, od grubszych mebli do samowara, lampy, lichtarzy etc. Mama o wszystkim pomyślała i we wszystko mnie zaopatrzyła. Zawiesiłem też przywiezione z Bohdaniszek i tam zainscenizowane firaneczki na oknach, które miło i [illegible] zdobią. Do lasu jeszcze dziś nie chodziłem. Jednego tylko złego zastałem w Wiarowie: to mój pies [illegible] schudł okropnie. Jest zdrów i wesoły, ale bardzo chudy. Biesiekierski i Józef zapewniają przeto, że był karmiony był dobrze, a chudość tylko wskutek trzymania go przez parę tygodni na uwięzi. Wilczkowie [illegible] 17.

7-kopiejkowa marka dawniejsza:

7-kopiejkowa marka nowa:

nie ducha buntowniczego; i [illegible] wszystko w [illegible] [illegible] Dziwnie [illegible] [illegible] — „[illegible]” [illegible] [illegible] dobrze [illegible]

5 (18) stycznia rok 1913. sobota.

Zrana dziś byłem w lesie, obejrzałem szczegółowo tak zwany ~~[illegible]~~ № XVIII, sprawdziłem towary, wyrobione przez kupca z powalonych sztuk i przyjęte oraz zanumerowane przez Biesiekierskiego, jako kontrolę do rachunku i zestawień. Wieczór spędziłem w moim pokoju, zaglądając czasem do izby Biesiekierskiego i wydając rozporządzenia gospodarskie, przeplatając lekturę i lekką pracę umysłową. Bardzo mi tu miło. Pokoik mój coraz więcej mi się podoba; jest mi tu wojsko, zaciszne. Mam tu teren do pracy, mam też spokój, wypoczynek, długie wieczory na zajęcia osobiste. Przy urządzaniu mego pokoju znalazła się nawet niespodzianie pewna rzecz, służąca mi za jedyną ozdobę artystyczną, którą tu posiadam. Mianowicie jakimś dziwnym trafem (a może i z rozmysłem przez Mamę, która jest zaiste niewyczerpana w dostarczaniu do leśniczówki wszelakich rzeczy), — znalazł się tu wśród rzeczy, przywiezionych z Bohdaniszek w listopadzie przez Jaśka, pewien stary szkic rysunkowy roboty mojej siostry Elwiry, odwieczny, datujący się z pewnością z przed lat 17–20. Jak tylko pamięcią sięgam, zawsze sobie przypominam ten szkic w Bohdaniszkach. Wałał się on w Bohdaniszkach i zapewne gdzieś spoczywał w jakiejś szufladzie przedhistorycznej, skąd dziwną koleją losów został przerzucony do puszczy ~~[illegible]~~ małyszowskiej, do tej zapadłej leśniczówki, gdzie podniesiony został do najwyższej godności sztuki i zawisł zaszczytnie na ścianie, zdobywając tu wreszcie należny szacunek po długich latach tułaczki i poniewierki. Ze ściany tej spogląda on majestatycznie na stary bufet i karmiański na czerwono stolik bohdaniski, służący mi tu za biurko, na łóżko moje, również z Bohdaniszek pochodzące, na ustawione na przeciwległej ścianie na podstawce drewnianej okrągłe staroświeckie lusterko bohdaniskie w czarnej oprawie, wznoszące się nad takąż czarną szkatułeczką z szufladką, dalej na szafy z wiszącemi na nich tutejszemi gratami mojemi, na improwizowane firanki-szlary, przerobione kunsztownie ze starej bohdaniskiej kapy, na łóżko w deseniu, imitujące dywan perski, wreszcie na drugą, już poukładniejszą, ozdobę pokoju tego — na małą fotografię amatorską domu bohdaniskiego, wspólnego źródła i gniazda wszystkich tych przeraczonych sprzętów tutejszych. Szkic ten wzrusza mnie bardzo i budzi sentymenta i wspomnienia serdeczne. Jest on nietylko ozdobą, ~~[illegible]~~ ale i przyjacielem mię jako moim, towarzyszem lat dawnych, domownikiem rodzinnym, który wraz ze wszystkiemi innemi sprzętami tego pokoju nawiązuje nawet nić tradycji od Bohdaniszek i całej przeszłości mojej do tego zakątka leśnego. Zresztą jest tu przecie i Jaśek Podolski, jakby żywa cząstka Bohdaniszek, syn też starego sługi naszego od lat naszych dziecięcych, jest pozatem młody piesek Rryś z pół-ogonkiem typowym, syn Kurty, wnuk starego Kurty i Serwy, prawnuk Moppy ikarmiańskiej po dziadku, a po babce prawnuk psów płaszczenickich od c. Kazi Tyszkiewiczowej, wreszcie jest konik Hym, syn Damki bohdaniskiej. Wszystko — i ludzie i zwierzęta i sprzęty składają się tu na nić tradycji. Wracając do szkicu Elwiry, — jest to rysunek, pochodzący widocznie z albumu: jakaś wydarta karta albumowa, rysowana z obu stron; na jednej stronie wzdłuż narysowane dwa pędzące szkice konia; na drugiej stronie u dołu wpoprzek duży rysunek, przedstawiający jakiś drzewiany leżący pod drzewem umarły czy zemdlały, nad nim klęczy zrozpaczony młodzian, wspierając głowę na dłoni, za młodzianem koń, z którego on przed chwilą zeskoczył, trzyma głowę wyciągniętą spuszczoną, cugle opadły na ziemię, ogon rozwiany, siodło z krzyżykiem na środku, w głębi ~~[illegible]~~ w oddali jakiś futor ukraiński; u góry w kwadraciku osobnym jedzie w szczerym równym polu zapewne tenże młodzian konno z trąbką u ust, mijając słup przydrożny. Całość

8 jest prawdopodobnie ilustracją do jakiejś dumki czy poematu w stylu Malczewskiego czy Zaleskiego.

6 (19) stycznia, rok 1913. niedziela.

Biesiekierski wyjechał przed świtem konno do Radoszkowic. Ja zaś po wstaniu i wypiciu herbaty ~~[illegible]~~ poszedłem z Jaśkiem do lasu. Poszliśmy w las serwitutowy w kierunku Sai. Chciałem obejrzeć las i jednocześnie sprawdzić Jaśka znajomość lasu. Egzamin ten wypadł dla biednego Jaśka bardzo niepomyślnie. Okazało się, że nietylko niewiele wie o tym, co się w lesie dzieje, ale i zupełnie się nie umie orjentować, błądzi i kołuje, nie mogąc trafić, dokąd trzeba. Kazałem się z domu prowadzić ~~[illegible]~~ blisko granicy dzielnicy Wołodkowicza w kierunku rzeczki Konotopki. Jasiek poszedł naprzód, ja za nim. Omijając gąszcz, Jasiek wkrótce tak się skręcił, że idąc naprzód, po niejakim czasie doprowadził mię — ku swemu wielkiemu zdumieniu i stropieniu — zamiast do Konotopki z powrotem do domu. Wówczas kazałem się prowadzić do szczątków osiny, złożonych w lesie przez Antoniego Waszkiewicza. Po wędrówce długiej, niespodziewanie dla samego Jaśka, doszliśmy istotnie do tych szczątków, o których zresztą Jasiek niewiele wiedział i zdaje się, że je poraz pierwszy zobaczył. Stamtąd kazałem się prowadzić do ruczaju, zwanego Wiarowcem, od którego nadałem nazwę całemu folwarkowi, oddzielającego Saj od lasu serwitutowego. Jasiek mię poprowadził, ale znów tak niefortunnie kręcił i kołował, że po pewnym czasie wróciliśmy do tych samych szczątków. Wówczas już ja się podjąłem roli przewodnika i doszedłem prostą drogą do Wiarowca. Jasiek biedny był zdetonowany i zmartwiony. Nie dziwi mię to, bo Jasiek jest dzieckiem pól, nie lasów. W ogóle w drogach się orjentuje znakomicie. Przyjechawszy poraz pierwszy z Radoszkowic po błędnych małych dróżkach, podobniejszych do ścieżek, niż do dróg właściwych, Jasiek potrafiłby już nazajutrz sam do Radoszkowic pojechać, nie błądząc i nie pytając o drogę. Ale w lesie traci zdolność orjentowania się; śród mnóstwa drzew, które mu się wszystkie wydają jednostajne, traci poczucie kierunku: nie umie ~~[illegible]~~ rozróżniać indywidualnych szczegółów lasu, jest w dziedzinie leśnej analfabetą. Nie gniewałem się na Jaśka, bo rozumiem, że w tak krótkim względnie czasie nie mógł się przyzwyczaić do lasu, tymbardziej że miał dużo roboty przy domu i że w ogóle był używany przez Biesiekierskiego tylko do zleceń mniej więcej mechanicznych. Zresztą ogół funkcji Jaśka są tu tylko pomocnicze względem Biesiekierskiego: fachowych obowiązków leśnika Jasiek nie ma i mieć by teraz nie mógł. Zaleciłem mu więc tylko, aby starał się przywyknąć i poznać las, aby obszedł wszystkie dróżki leśne i je sobie dobrze w pamięci zanotował, biorąc je za podstawę do orjentowania się wewnątrz lasu; aby też w lesie wszystkiemu się przyglądał, na wszystko zwracał uwagę i o wszystkiem, czego nie rozumie, zapytywał Biesiekierskiego, aby był na [illegible] spraw leśnych. Trzeba, żeby się stopniowo wprawił, [illegible] zasób znajomości leśnej.

Dzień mi zeszedł, jak zwykle w Wiarowcu. Lubię ten las i lubię ten mój domek.

7 (20) stycznia rok 1913. poniedziałek.

Dziś dokonałem paru kapitalnych rzeczy w lesie, które były bardzo potrzebne a których dotychczas nie udawało mi się dokonać. Sprzedałem mianowicie Hryńkiewiczowi z Łowczewicz cały pował na całej przestrzeni lasu z warunkiem całkowitego uprzątnięcia z lasu wszystkiego, co się wala, i umówiłem się z Czebotarem o sprzedaży suchostoju na drwa po rb. 7 za sążeń. Las wiorowiecki jest bardzo zanieczyszczony: mnóstwo nie tylko gałęzi i chrustu się w nim wala, ale i rozmaitych wierzchowin, polan, belek i drzew zwalonych, złamanych, porzuconych. Wszystko to marnuje się, butwieje, zarasta las zgnilizną, szkodzi na młody porost. Oprócz tego dużo stojących sztuk suchych, nieużytecznych, ulegających łatwo powałowi i zniszczeniu. Jakie były grubsze i lepsze sosny z suchostoju, te użyłem na budowę domu i odrynki, ale to kropla w morzu. Amatorów na pował nie znajdowałem dotąd i nie wiedziałem, jak się tego zbytecznego i szkodliwego balastu pozbyć. Ci, którzy się zgłaszali do kupna, chcieli brać pował tylko razem z suchostojem ogólnie po cenie bajecznie niskiej. W części lasu, zwanej Łajem, sprzedałem tak istotnie pował z suchostojem ogólnie temuż Hryńkiewiczowi, ale nadal tak sprzedawać nie chciałem, bo i ceny, nawet minimalnej, której żądałem, mi nie dawano, i nie chciałem się pozbywać bezwzględnie całego suchostoju. Miałem przeto w jesieni zamiar porąbać lepszą część powału i większą część suchostoju własnym najętym robotnikiem na drwa i ustawić sążnie, które bym następnie wyprzedawał. Ale robotnika dostać nie zdołałem, nawet po drogiej cenie, bo włościanie mieli perspektywę grubszych zarobków leśnych przy rąbaniu i wożeniu towaru, zakupionego przez kupców w lesie, u Ludwisia Wołodkowicza i u cioci Lucji Wołodkowiczowej. Kupować zaś na drwa z ich własnym wyrąbem i ustawieniem sążni włościanie się też nie kwapili. Jedyny poważny miejscowy kupiec na drwa, Czebotar, który ma kontrakt na dostawę drzew do gminy („волостнаго управления") w Dadonkowiczach i który spekuluje na tym, kupując drwa po rozmaitych lasach okolicznych, nie dawał mi tej ceny, której żądałem, pomimo że nie była ona wcale wygórowana. Z nim ostatecznie porozumieć się nie mogłem. Chodząc po lesie, każdy raz ubolewałem nad gniciem się mnóstwa materiału i nad niemożnością doprowadzenia lasu do wyglądu kulturalnego. To też cieszę się, że mi się tak dziś powiodło, chociaż ceny, które otrzymałem, są niskie. Ale na sprzedaży na drwa, choćby po rb. 7, wyjdę lepiej, niż gdybym sprzedał suchostój na działkach razem z powałem i zachowam suchostoju, ile zechcę, a pował uprzątnie mi Hryńkiewicz cały, wkrótce zaś nagromadzi się znów dużo nowego powału, tak większego, jak drobiazgu, po kupcach. Rad więc jestem z dnia dzisiejszego. Bieda teraz z wywożeniem towaru leśnego przez kupców. Śniegu niema. Sanna nie chce się ustalić, nie ma zgoła na nią żadnej nadziei. Niektórzy kupcy są już przygotowani do wywożenia towaru kołami. A jeżeli powiozą kołami, to szkody mi narobią ogromne, bo jakże tu w gęstym lesie obrócić się na kołach z ogromnemi po kilkołokciu i 20 metrów wymiarami kłodami sosny towarowej. Żal mi opuszczać to kochane ustronie leśne, ale już jutro wyjechać muszę.

8 (21) stycznia
rok 1913.
Wtorek

Rano wyjechałem z Wiarowca. Z żalem opuszczałem tę gniazdko ciche, leśne, gdzie mi czas płynie tak dobrze. Sądzę, że z wielką przyjemnością i najchętniejszym pożytkiem zamieszkałbym tutaj na stałe, gdyby się tak okoliczności złożyć mogły. Dziś jeszcze mowy o tym być nie może. Ale jeżeli tak się stanie — czego nie daj Boże! — że Mama umarłaby wcześniej od Papy, to sądzę, że prawdopodobnie byłbym się zdecydował na opuszczenie Wilna i zamieszkanie w Wiarowcu. Oczywiście odkupiłbym w takim razie Wiarowiec na moją własność wyłączną, to znaczy że musiałbym przyjąć na siebie spłatę na Wiarowcu wszystkich sióstr moich i Papy. Zapewne byłoby to lepsze, niż zachować administrowanie ~~[illegible]~~ i eksploatację Wiarowca od imienia ~~[illegible]~~ całego grona współspadkobierców Mamy, który chciwością i drapieżnością (z Kaziem Zyś Komorowski, podżegany i podburzany przez Zysia Papa) uniemożliwiliby mi pracę lub ewentualnie zrobiliby ze mnie swego parobka i niewolnika. Skądinąd wszakże i obciążenie siebie spłatami na Wiarowcu nie byłoby rzeczą lekką, bo miałbym kredytorów ciężkich i bezwzględnych. Gdyby mi się wszakże udało pozyskać pomoc wuja Zygmunta Tukałły dla spłaty sióstr, co jest rzeczą możliwą, bo wuj mi sprzyja szczerze, to kombinacja mogłaby się ewentualnie udać. Wuj mógłby mi udzielić pożyczki na dogodnych warunkach. W takim razie, zachowując Wiarowiec na własność wyłączną, gotów byłbym się tam osiedlić na stałe, a przynajmniej do czasu otrzymania Bohdaniszek po Papie. Dla mnie zamieszkanie w Wiarowcu byłoby nie tylko przyjemniejsze, ale i pożyteczniejsze, niż mój obecny pobyt w Wilnie na adwokaturze. Samotność i cisza wiejska nie ciążą mi bynajmniej: lubię je i pogłębiam w nich stokrotnie moją indywidualność. ~~[illegible]~~ Adwokatura nie odpowiada bynajmniej moim upodobaniom; czuję, że w niej nigdy nie zasmakuję i nigdy nic wielkiego nie dokonam. Na skutek rozmaitych względów rodzinnych, materialnych i w dużym stopniu przekonaniowych nie mogę się w Wilnie oddać wyłącznie pracy publicystycznej czy społeczno-literackiej; związany z firmą adwokatury, skazany zostałem na połowiczność, między adwokaturą a fragmentaryczną działalnością publicystyczną i społeczną, wobec czego tak jedno, jak drugie, to znaczy tak adwokatura moja, jak działalność społeczna, — są jeno fikcjami i nie mogą osiągnąć pełni swej wydajności. Działalność społeczna moja rozprasza się w Wilnie na dziesiątki pomniejszych [illegible], które są jeno fragmentami luźnymi i nie składają się na jedną wielką, harmonijną całość. Słowem — nie tworzę tu w Wilnie mojego dzieła, to znaczy nie wypełniam mojego zadania życiowego. A życie płynie i ucieka. Dziś mam jeszcze młodość, mam pełnię sił twórczych. Mam naturę taką, że kocham samotność, a na wsi ją posiadam najpełniej. W samotności skupiają się, pogłębiają i potężnieją wszystkie władze ducha mego. Tam na wsi, czy to w Wiarowcu czy w Bohdaniszkach, spożytkowałbym lwią część mego [illegible], — poza pracą gospodarską, na ulubioną moją pracę literacko-społeczną, do której mam powołanie i w której oddać mogę dla kraju zasługi poważne. Tego w Wilnie nie spełnię w tych warunkach, w których tu jestem. Miałbym też tam w Wiarowcu przy sobie moją kochaną i kochającą Anusię.

Ale wracam do dnia dzisiejszego. Jasiek mnie zawiózł z Wiarowca na kolej, skąd pociągiem [illegible] o godz. 6½ przyjechałem do Wilna. Na dworcu spotkała mnie Anusia, która dziś także z domu wróciła. Zastałem biedną Anusię strasznie zmizerowaną, bladą, z sińcami pod oczami. Wygląda źle, jak po ciężkiej chorobie. Istotnie dowiedziałem się, że była chora, że przeleżała kilka dni w czasie świąt, że się czuje bardzo osłabiona. Kaszle, ma ból w piersiach, wieczorem [illegible] gorączkę. Byłem bardzo zaniepokojony, czego starałem się nie pokazywać Anusi. Zaczynam się istotnie obawiać, aby Anusia nie zapadła na suchoty, do których może mieć skłonność dziedziczną. Od czasu naszej znajomości mizernieje stale i częściej czuje się osłabiona [illegible] i nie [illegible]. Dziś wieczorem [illegible] miała niewątpliwie gorączkę. Namówiłem ją [illegible] jutro do doktora. Do mego mieszkania nie zajechałem dziś wcale. Dziś i noc [illegible] spędziłem wyłącznie z Anusią. Poszliśmy z nią na kolację do [illegible] i na noc, jak zawsze w takich razach, do hotelu [illegible].

9 (22) stycznia rok 1913. Środa.

Długo zrana nie wstawaliśmy z Anną. Cały dzień dzisiejszy aż do jutra przeznaczyliśmy wyłącznie dla nas dwojga. Do godz. 1 leżeliśmy w łóżku, czyli „oddawaliśmy się kiejfowi" — podług terminologji naszej. Opowiadałem Annie o wieczorku litewskim u Sejbutisów, na którym poprzednio byłem, następnie o Petrulisie. Postać moralna Petrulisa, poświęcającego życie swoje pracy społeczno-kulturalnej śród i dla włościan, osamotnionego w tej ofierze swojej, niezrozumianego przez włościan a śledzonego podejrzliwie i niechętnie przez władze i przez potężny kler, obudziła entuzjazm w Annie. Kobiety są wogóle skłonne do entuzjazmu, a moja Anna nadewszystko. Ma ona duszę piękną, wrażliwą na krzywdy i cierpienia ludzkie, rozpoznającą znakomicie prawdę i piękno od czczej próżności, obłudy i krzywdy. Przy swej głębokiej wrażliwości nie ma Anna wcale nic z tej przeciętnej małostkowości i czułostkowości kobiecej, tak powszechnej i pospolitej. Jest to dusza złota, prosta, z kruszcu szczerego najczystszej szlachetności ulana. W obcowaniu duchowym z nią mam tyle rozkoszy, jak z żadną inną kobietą i wogóle z nikim na świecie. Rozumiemy się z nią doskonale, i Anna w każdej sytuacji rozeznaje głąb i naturę istotną rzeczy i wydaje zawsze sąd zdumiewająco trafny, nieomylny, a szlachetny.

Po obiedzie, który zjedliśmy w restauracji przy hotelu Niszkowskiego, zaprowadziłem Annę do doktora, aby się poradzić co do jej zdrowia. Poszliśmy do dr. Olekiewicza, którego znałem przed 7 laty jako studenta jeszcze; wtedy pracował on u nas w administracji „Gazety Wileńskiej" i kochał się w Jadwidze Chróścielewskiej, która była korektorką w „Gazecie" a która później poślubiła współpracownika tejże „Gazety" Adama Siedwiłłę, zmarłego w roku zeszłym. Olekiewicz, który był wtedy zaręczony z Chróścielewską, szalał z zazdrości i raz w swym opętaniu wtargnął do jej mieszkania i zastawszy tam Siedwiłłę, strzelił do niego i zranił. Odnowiłem więc dziś znajomość z dr. Olekiewiczem i prosiłem o poradę co do Anny. Znalazł, że żadnego groźnego procesu w płucach nie ma; jest jeno coś w rodzaju bronchitu i związana z nim anemja [illegible].

Wreszcie dziś koło południa rozstaliśmy się z Anną po 2 dniach spędzonych razem. Anna wróciła do swego mieszkania, ja zabrałem rzeczy z dworca kolejowego i pojechałem do siebie. 10 (23) stycznia rok 1913. czwartek.

Wilno jest w pełnej gorączce karnawałowej. Bale, widowiska, zabawy następują jedne po drugich. Wczoraj odbyło się z olbrzymią pompą wspaniałe wesele arystokratyczne Łęskiego z Platerówną; ślub był dany przez arcybiskupa-metropolitę Kluczyńskiego, który przyjechał ad hoc z Petersburga; całe „towarzystwo" wileńskie zapierało się o bilety do kościoła dla przyjrzenia się tej uroczystości, jak widowisku teatralnemu. Z okazji tej zjechały się do Wilna tłumy arystokracji krajowej, która w dalszym ciągu wyrusza szeregu okazałych zabaw, mających się odbyć w ciągu dni najbliższych. Wilno jest pod znakiem powodzi arystokratycznej. Na ulicach spotyka się dużo karet, ruch jest ożywiony, kwiaciarnie i konfekcje damskie pracują i zarabiają, a w kieszeniach arystokratycznych tworzą się wyłomy a w głowach arystokratycznych pustki jeszcze przeraźliwsze, niż zazwyczaj. Zapewne i drukarnie zarabiają przy tej okazji dobrze i rozmaite nowe miejsca uciech wileńskich, jak hotel Palace, ogród szwajcarski — zbierają ruble, szampan się leje, kokoty i śpiewaczki skubią zbierających panicików i szczęśliwych panów arystokratycznych, panny lalkowate na wydaniu tracą resztki swego człowieczeństwa i przetwarzają się w towar manekinów, ogarniętych manją zabawy i szaleństwa. Ten szał karnawałowy towarzystwa arystokratycznego, próżniaczego i samolubnego, jest ohydną orgją wyuzdania. Karnawałujący ludzie tej sfery stają się w tym czasie stadem, ogarniętym psychozą szczególnego rodzaju. O niczym nie myślą, zapominają o świecie, o zagadnieniach jakichkolwiek. Myśl ich i namiętności kotłują w ciasnym kręgu zabaw, intryg towarzyskich, wzajemnego zachwytu. Na ludzi, którzy są poza tym wirem, patrzą, jak na jakieś biedne istoty upośledzone, niższego rzędu, godne pogardy i litości. Nie rozumieją, jak można żyć poza tą pasją, nie rozumieją nic poza swoją hecą. Jest to zresztą zjawisko zwykłe, że ludzie, których namiętności się rozpędzą w jakimś jednym kierunku, dotknięci bywają pewną atrofją, znieczuleni na wszystko inne, co wykracza poza tę namiętność. Jest to stan gorączki, stan hazardu, taki jak w karciarstwie, jak zresztą we wszystkim innym. Procesy takie, gdy się odbywają zbiorowo, w pewnych kołach czy gromadach ludzkich, dają dziwne widowisko opętania masowego, wiją sabbatu. Takiem samem w istocie swej jest zresztą i opętanie rewolucyjne w wielkich momentach przesilenia społecznego. Ale ze wszystkich sabbatów takich najgłupszy jest ten sabbat karnawałowo-arystokratyczny, który corocznie o tej porze szaleje. U nas w Wilnie jest on pierwotniejszy jeszcze, niż gdzieindziej, bo arystokracja nasza jest [illegible], jest [illegible] ciemniejsza.

Wieczór spędziłem dziś znów u mojej Anny w jej ciasnym pokoiku na ustroniu.

11 (24) stycznia rok 1913. piątek.

Marynia, która całe święta Bożego Narodzenia spędziła w Wilnie, dziś wyjechała na dni kilka do Bohdaniszek dla odwiedzenia Rodziców. Zostałem więc w mieszkaniu sam z dziećmi Maryni, Helcią i Stefusiem.

Tej zimy jest wyjątkowo wielki napływ osób z mej rodziny do Wilna. Sądziłem, że fakt ten okaże się krępującym dla mnie, że zmusi mię poniekąd do większego uczęszczania tych domów familijnych, do w ogóle życia więzi towarzyskich. Tymczasem tak nie jest. Obecności tylu gniazd rodziny mojej nie odczuwam wcale. Wszystkie te „gniazda" są pochłonięte swojemi własnemi stosunkami, zwłaszcza zaś, jak obecnie, karnawałem. Z Tyszkiewiczami prawie wcale się nie widuję. W pierwszych jeno dniach zamieszkania w Wilnie Kotunia była u nas parę razy, Czechyel też zdaje się raz tylko czy dwa; ja u nich byłem parę razy przed świętami, Marynia też rzadko bywa. Są tam całkowicie zajęci zabawami, wyjazdami w świat Chirki. Tworzy się poprostu pewnego rodzaju mur chiński między tymi ludźmi, który biorą udział w karnawale arystokratycznym, a tymi, który są od ruchu tego zdala. Są to jakby 2 światy odrębne, obce sobie a nawet poniekąd wrogie i niechętne. W okresie karnawałowym stosunki towarzyskie o wiele ściślej łączą ludzi, niż stosunki krwi.

Wieczór spędziłem u Anny. Jestem zły z siebie. Postanowiliśmy z Anną, że względu na jej osłabienie, zachować zupełną wstrzemięźliwość w stosunkach naszych na cały miesiąc. Tymczasem dziś złamaliśmy nasze postanowienie, nie zdołaliśmy się utrzymać na wodzy. Nie jest to zresztą tylko moja wina, bo i Anna nie mniej ode mnie daje się zapalić namiętnościom. Dla zdrowia jej jest to bardzo szkodliwe, bo po wysileniu namiętności następuje u niej reakcja wyczerpania, osłabienia, anemicznego bólu głowy. Siły jej są tak wątłe, że pożądany jest dla niej natenczas jako spokój, jaknajwiększa bierność, brak jakichkolwiek pokus. To jest skuteczniejsze od lekarstw.

[14]

12 (25) stycznia rok 1913. sobota.

Wieczorem byłem na tradycyjnej dorocznej zabawie karnawału wileńskiego, — na „Achu". Jest to sztuka sceniczna, stanowiąca przegląd ~~z~~ satyryczno-humorystyczny stosunków wileńskich, urozmaicona kupletami na tematy bieżące, tańcami charakterystycznemi na scenie i t. d.. Co roku pisze się nowy tekst „Achu". „Ach" bywa odegrany zawsze siłami amatorskiemi wileńskiej śmietanki arystokratycznej. Udział w grze w „Achu" uchodzi za pewien rodzaj patentu na przynależność do najwyższych sfer arystokracji. Panie i panowie ze sfer inteligencji miejskiej do „Achu" nie należą. Dla ~~[illegible]~~ artystycznej okrasy gry dopuszczają się jeno nieliczne jednostki, nienależące do arystokracji właściwej, — artyści lub śpiewacy zawodowi, dziennikarze, piosenkarze uzdolnieni (zdaje się, że wyjątki te robią się tylko dla mężczyzn, panienek zaś nie-arystokratycznych pod żadnym warunkiem się na scenę „Achu" nie dopuszcza). Tegoroczny „Ach" napisany został latem przez Benedykta Hertza na obstalunek organizatorów. Satyra zresztą jest w „Achu" słaba, blada: arystokracji nie wolno tykać powszechnie uznanych powag, bo stąd łatwo byłoby się dobrać do niej samej. Wszelkie złośliwości i drapieżności są wykluczone, niema też żadnych aluzji politycznych czy narodowych, niema też [illegible] [illegible]: są to zalety satyry „Achu", ale wadą jest zbytnie unikanie jaskrawości nawet w rzeczach niemogących nikogo zadrasnąć, ~~[illegible]~~ pewien lęk przed wyrazistością. Ładne są natomiast efekty dekoracyjno-~~[illegible]~~świetlne i baletowe, ładne kostiumy, tańce, układ piosenek. „Ach" tegoroczny — „Ach VI" — odbył się w sali miejskiej. Tytułową rolę „Acha" grała p. Feliksowa Platerowa, drugą zaś najwydatniejszą rolę, męską, grał z talentem znany ~~[illegible]~~ artysta-śpiewak Rogucki. Z bliższych krewnych moich brali udział w „Achu", mianowicie w tańcach, — Zula Tukałłówna i Żorżik Wołodkowicz. Podobno i Leon Römer powinien był mieć jakąś rolę, ale go nie zauważyłem na scenie. Elizka Puszonowska nie brała udziału, bo jej Ezechjel nie pozwolił, ale zdaje się, że później żałował tego, choć się nie przyznaje. Zabawa „Achu" dla osób, biorących w niem udział, polega głównie nie na samym przedstawieniu, ale na licznych próbach poprzedzających, podczas których młodzież się poznaje, bawi, flirtuje, urządza wspólne herbatki, kolacje i t. d.. Publiczności było dużo. Parter i galerja pełna. Karet [illegible] niezliczona. Stroje eleganckie, panie w białych lekkich sukniach [illegible], mężczyźni w ogóle prawie wszyscy we frakach, nawet w najdalszych rzędach. Byłem z [illegible] [illegible] w tużurku. Po „Achu" była kolacja z tańcami u Żorża, na której nie byłem.

13 (26) stycznia rok 1913. Niedziela.

Zdaje się, że wojna staje się coraz prawdopodobniejsza, pewna niemal. Układy londyńskie nie dały wyników decydujących, związek państewek bałkańskich znów się musi gotować do wojny; dokonany przewrót rządu w Konstantynopolu potęguje kierunek wojenny, postawa Austrji coraz bardziej stanowcza, opinja niemiecka odzywa się w tonie ostrym, i t.d.. A pod temi znamionami nastrojów wojennych kryją się kapitalne konflikty dziejowe państw, krajów i narodów, które wcześniej czy później przełamać muszą ~~[illegible]~~ utrzymywaną sztucznie równowagę status quo, nieodpowiadającą układowi żywych czynników procesów rozwojowych. Pomimo ~~[illegible]~~ całej ohydy wojny, pomimo wielce niepewnych jej skutków w stosunku do kraju naszego, — pragnę jej. Pragnę, bo zdaje mi się, że gorzej, niż jest, być nie może, i że w każdym wyniku będzie coś [?] zyskane. Jeżeli kraj nasz, czy też jego część zachodnia, litewska, miałby być oderwany od Rosji i wcielony, wespół z Łotwą i Estonją [?], do Prus, to nie sądzę, ażeby coś stracił na tym. Obaw, które żywią pod tym względem Litwini i Łotysze, nie podzielam w całej rozciągłości. Że ucisk w Prusach będzie silny — nie wątpię, ale nie mniejszy jest w Rosji. Powiadają, że będzie systematyczniejszy, mądrzejszy, celowszy. Zapewne. Ale też będzie mniej rabunkowy, mniej podobny do czynności psa, który leży na sianie, sam takowego nie je i nie dopuszcza doń krów czy koni. Za to wzmoże się u nas oświata i kultura materjalna, z których ludność czerpać będzie zasoby do walki z uciskiem. Nasze zaś demokratyczne narody w tych krajach, litewski, łotyski i ewentualnie estoński, są już zbudzeni, zwarci, wytrzymali, do uległości nie skłonni; są to narody dzielne, charaktery twarde i oporne. A kraje te się zbliżą przez to do kultury zachodniej; w Prusach zaś wzmogłyby się przez to czynniki odśrodkowe, które wcześniej czy później pchnęłyby państwo do przebudowy związkowej, ewentualnie je rozsadziły. Gdyby zaś kraj nasz pozostał przy Rosji, to wrazie jej porażki można byłoby się raczej spodziewać przyśpieszenia reform kapitalnych w państwie, z których byśmy i my skorzystali, wrazie zaś mało prawdopodobnego zwycięstwa Rosji i wcielenia do niej jakichś terytorjów zachodnich, też [illegible] à la longue, bo zwiększyłaby się w niej rodzina ludów i krajów obcych a przez to wzrosłyby tendencje odśrodkowe. Zawiłe to są kombinacje, ale nie zastraszające wobec ohydnego stanu tego, co jest w Rosji teraz.

Słychać, że już i [illegible] w Rosji przysposabiają wojsko do pogotowia wojennego. Podobno w Wilnie urządzają po nocach próbne sztuczne alarmy w pułkach, wymarsze, ćwiczenia.

Prądy powstańcze w Polsce rosną i ~~[illegible]~~ utrzymują społeczeństwo w stanie podniecenia i zdenerwowania. Do [illegible] wileńskiej nastroje te przeniknęły już dawno, a już podobno ukazują się pierwsze oznaki manifestacji patrjotycznych. Słyszałem dziś od dzieci Marynii, że w kościele św. Katarzyny dziś przed kazaniem uczniowie szkolne zaintonowali chórem „Boże coś Polskę” i podobno 3 zwrotki tej pieśni zostały odśpiewane.

Jedno mię tylko niepokoi w tych nastrojach naszych na tle spodziewanej wojny — to pogłębiające się rozdźwięki [?] a mnie [?], co byłoby szkodliwe, ostrego i [illegible] zatargu między żywymi elementami polskimi a litewskimi. Niewola i brak właściwej orjentacji dziejowej dyktują szkodliwe [?]. Młodzież polska, gorąca i szczerze myśląca, nie poczuwa [?] wszystkiej [?] krajowego, łączy się bezwzględnie z uczuciami narodowemi polskiemi i łączy kraj nasz z Polską. Tego Litwini nie znoszą, bo widzą w tym zaprzeczenie ich samodzielności, ich bytu, ich własnej przyszłości. Dziś utożsamianie Litwy z Polską jest nie tylko błędem, jest strasznym niebezpieczeństwem. Dziś bowiem w kraju tym jest świadomy i czynny element litewski, który z całą stanowczością odeprze taką dążność i nie cofnie się przed niczym dla zadania ciosu takim aspiracjom.

16.

14 (27) stycznia, rok 1913.

Dowiedziałem się od Mańkowskiego, że do redakcji „Kurjera Krajowego" wstępuje Jabłoński, ongiś dziennikarz z Lublina, ten sam, którego w końcu roku 1911 angażowaliśmy na redaktora do projektowanego wówczas przez nas dziennika. Było to wtedy, gdy na skutek mojej opozycji pękły układy nasze z Ludwikiem Abramowiczem, i my z Nagrodzkim i Bryjanowskim pojechaliśmy do Warszawy dla zwerbowania tam i sprowadzenia redaktora, który miał pod bezpośrednim moim kierunkiem objąć ster pisma. Wtedy śród ewentualnych kandydatów, których nam wskazał Ludwik Krzywicki, był też Jabłoński. Ponieważ w Warszawie nikogo zaangażować nie zdołaliśmy, więc ja wyruszyłem osobiście do Lublina do Jabłońskiego. Pracował on tam w „Kurjerze" lubelskim, organie postępowym, najlepiej redagowanym, najżywszym i najradykalniejszym bodaj z całej prasy postępowej prowincjonalnej Królestwa Polskiego. Był jednym z głównych współpracowników redakcyjnych pisma tego i jednocześnie kierował administracją. Nie zdecydował się wszakże wtedy na wyjazd do Wilna, wobec czego wróciłem z Lublina do Warszawy i z Warszawy wróciliśmy z Nagrodzkim do Wilna z pustemi rękami. Tymczasem po powrocie do Wilna okazało się wtedy, że umowa z Sostrem na wydzierżawienie ogłoszeń, na której fundowaliśmy głównie byt pisma, została przez Sostra zerwana, wobec czego musiał też upaść ~~nasz~~ projekt ~~[illegible]~~ dziennika, zwłaszcza że zorganizowanie redakcji okazało się ~~[illegible]~~ naraz niemożliwe. Wtedy to Ludwik i Witold Abramowiczowie wydali na próbę „Przegląd Wileński", do którego volens nolens musieliśmy wszyscy przystąpić w braku możności utworzenia innego pisma postępowego bez udziału Ludwika. Dziś stosunki i nastroje się zmieniły śród członków tej grupy naszej: Ludwik jest tryumfatorem, on zwyciężył nad kierunkiem moim, za nim dziś idzie ogromna większość członków grupy i naszych sympatyków. Z koncesji ~~[illegible]~~ na dziennik, która była wzięta kiedyś dla nas na imię dr. [illegible], skorzystało inne grono ludzi z inicjatywy białorusinów i ich sympatyków z „Naszej Niwy". I trzeba wyznać, że obecny „Kurjer Krajowy" jest bliższy kierunku „Gazety Wileńskiej", który miał być w założeniu kierunkiem naszej grupy „przeglądowej", niż jest „Przegląd W." w redakcji Ludwika. I oto do tegoż „Kurjera Krajowego", do którego był on poprzednio przez nas angażowany, ale już będącego w innym ręku, dostaje się teraz Jabłoński. Jabłońskiego uważaliśmy za nieboszczyka, bo wkrótce po naszym niefortunnym powrocie z Nagrodzkim z Warszawy rozeszła się tu pogłoska, że Jabłoński w Lublinie odebrał sobie życie. I oto raptem w ubiegłym grudniu, gdy już „Kurjer Krajowy" pod redakcją Mańkowskiego wychodził, otrzymuję ja list z Lublina od mniemanego nieboszczyka Jabłońskiego z zapytaniem, czy prawdą jest, że powstaje w Wilnie dziennik demokratyczny, i z oświadczeniem chęci do objęcia w nim posady czy współpracownika, czy administratora. Po porozumieniu się z Mańkowskim odpisałem Jabłońskiemu, że udział jego jest bardzo pożądany, ale że pismo jest materjalnie słabe i że żadnych korzyści zarobkowych i gwarancji dać mu nie mogę. Jabłoński nic na to nie odpisał, ale w czasie świąt przyjechał sam do Wilna, a nie zastawszy mnie, skierował się bezpośrednio do Mańkowskiego, z którym się ułożył za rb. 60 miesięcznie. Dla „Kurjera Krajowego" będzie to, sądzę, dobry nabytek. Jest on dziennikarzem zawodowym i jednocześnie człowiekiem przekonań szczerych. Człowiek to młody, lat dwadzieścia kilku. Ideowo stoi na stanowisku t. zw. lewicy PPS, to znaczy jest socjalistą, przyczym ma pewne zabarwienie ludowe. Zna się na administracji pisma. Mańkowski chce zeń zrobić zastępcę swego, a stopniowo zdać nań całkowicie redakcję pisma. Oczywiście, że jako człowiek nowy, nieznający kraju, nie może być od razu ~~samodzielnym~~ redaktorem. Nie zna ani ogólnych stosunków, układu sił i czynników rozwojowych w kraju, ani specjalnych stosunków i atmosfery obywatelskiej wileńskiej. Toteż Mańkowski będzie musiał czuwać, kierować nim, objaśniać. Jako dziennikarz fachowy i człowiek inteligentny, zdoła zapewne szybko ~~[illegible]~~ zorjentować się w kraju. Zresztą z całej prowincji Królestwa polskiego Lublin jest bodaj najbliższy względnie zbliżony do naszych stosunków litewsko-białoruskich. Oczywiście, że analogja jest bardzo daleka, ale coś z tego jest, nie w zestawieniu do innych dzielnic polskich [illegible]. [illegible] nabytkiem nietylko dla „Kurjera Krajowego", ale i w ogóle dla [illegible] [illegible] demokracji naszej [illegible] tylko tyle, aby nie powstało nieporozumienie [illegible] między nim a grupą [illegible] co do radykalizmu w treści pisma, bo [illegible] tego wielka, a Jabłoński wydaje mi się zdeklarowanym radykałem.

15 (28) stycznia. rok 1913. wtorek. Nasz sąd honorowy z 12 panami, który był wyznaczony na jutro, znów odłożony został do 2 lutego na skutek depeszy od superarbitra Zedrnickiego z zawiadomieniem, że jeden z arbitrów strony przeciwnej, Aleksander Meysztowicz, jest obecnie bardzo zajęty ważnemi sprawami w Radzie Państwa, której jest członkiem. Opóźnianie się sądu tego jest rzeczą bardzo przykrą, a zresztą stopniowo i sprawa sama traci na aktualności. Niebardzo mi się też podobają pewne horoskopy na wynik tej sprawy, które zdają się już wyłaniać. Wybór na superarbitra Zedrnickiego, który był pierwotnie arbitrem z ramienia owych 12 panów, nie należy zapewne do kombinacji dla nas szczęśliwych. Wreszcie i jeden z naszych arbitrów, Władysław Malinowski, nie bardzo wydaje się mocny: przebąkuje coś, że niema w tym zajściu elementu ~~obrazy~~ zatargu osobistego i obrazy osobistej, wogóle jakoś zdaje się skierowywać sprawę na grunt nieporozumienia. Przewiduję, że orzeczenie sądu będzie miało charakter kompromisowy, w którym wprawdzie zdjęta zostanie z nas plama świadomego dążenia do „odwrócenia sprawy", ale też i ci 12 panów nie zostaną merytorycznie potępieni. A więc obłuda znowu by zatryumfowała. Z jednej strony ci 12 panów stanowią taką wielkość w Wilnie, że działają hypnotyzująco na sędziów, pozbawiając ich swobody i bezstronności w sądzie, z drugiej strony pierwotne tło tej sprawy, ~~[illegible]~~ t.j. zatarg między ks. Cyrskim a Donatem Malinowskim, jest rozpatrywane zawsze przez jakiś dziwaczny pryzmat ~~[illegible]~~ uosabiania w ks. Cyrskim polskości i świętości kościoła. Nie chcę przesądzać faktów zawczasu, ale się boję, że czysta sprawa nasza * może być wespół zatopiona w obłudzie pozorów i ratowania * powagi zagrożonych „podpór społeczeństwa".

Wieczór spędziłem, jak zwykle, u Anny. Przyszła jej do głowy fantastyczna zachcianka, abym dziś przyszedł do niej we fraku, co też spełniłem. Nigdy się u mojej Anny nie nudzę. Zawsze mamy sobie dużo do opowiadania, gawędzenia, dyskutowania. Anna jest teraz usposobiona wojowniczo do karnawału; widzi w nim [illegible] zresztą, arogackie rozpanoszenie się próżniaczej ary~~sto~~stokracji, którą nienawidzi. Podzielam tę jej niechęć, ale chętnie czasem się pobawię podrażnieniem Anny, która się stąd wścieka.

18.

16 (29) stycznia, rok 1913. Środa.

Dowiedziałem się w sprawie aresztowanych esdeków, że kilku z nich, w tej liczbie i Edwarda Łopotowskiego, postanowiono zesłać administracyjnie na lat 4 do kraju Narymskiego w Syberji, Domańskiego zaś na lat 3 tamże. Decyzja taka jeszcze nie zapadła, ale taki zapadł wniosek gubernatorowa, na którego podstawie zostanie zapewne oparta decyzja ministerjalna. Esdecy ci zostali aresztowani w okresie jesiennej kampanji wyborczej do Dumy, pod koniec września, zaraz po wystawieniu osobnej kandydatury esdeckiej w Wilnie i odtąd siedzą w więzieniu. Śledztwo, prowadzone przez żandarmerję, nie dostarczyło ścisłych dowodów organizacji partyjnej, wobec czego sprawy sądowej im nie wytoczono, ale natrafiono przy tej okazji na ślady ich działalności w okresie rewolucyjnym i powzięto przekonanie, że należą oni istotnie do S.-D., wobec czego zastosowano do nich zesłanie administracyjne bez sądu. Robią się jeszcze w Petersburgu starania, aby złagodzić wyrok a przynajmniej uzyskać pozwolenie na wyjazd zagranicę zamiast zesłania na Syberję. Władze, stosując obecnie represje do esdeków wileńskich, składają sobie świadectwa conajmniej głupoty zupełnej. Obecnie bowiem tu w Wilnie esdecy nie mają żadnych wpływów i są zupełnie dla rządu i dla państwa nieszkodliwi. W naszym Wilnie, które nie jest miastem wielkoprzemysłowym i proletarjackim, wpływy esdeckie są z natury rzeczy nikłe, a po rewolucji jeszcze [illegible]; zwłaszcza zaś teraz, wobec innych prądów, nurtujących nasz kraj w związku z sytuacją międzynarodową, kierunek esdecki nie jest aktualny. Walczyć z nim teraz w Wilnie i stosować doń represje — to nawet ze stanowiska rządowego jest kompletnym nonsensem.

Wczoraj znowu skonfiskowano N. bieżący „Przeglądu Wileńskiego”. Niewiadomo jeszcze, czy za mój artykuł pod tytułem „Idzie szukać orjentacji”, czy za artykuł L. Abramowicza, czy za recenzję książki Grabca o r. 1863, czy za coś jeszcze innego. Jest to już druga konfiskata z kolei, bo skonfiskowany został również w czasie świąt ostatni świąteczny tegoż pisma. W „Przeglądzie W.” w ostatnich czasach centralne miejsce zajęła sprawa sytuacji międzynarodowej, kwestja niepodległościowa i wogóle państwowości polskiej. Widocznie zwrócona już została na to baczna uwaga władz i teraz wypada się spodziewać ponownych konfiskat a może i rychłego zamknięcia pisma. Należałoby mieć w pogotowiu zapasową koncesję na wypadek zamknięcia pisma. Koncesji takiej tymczasem nie mamy i trzeba dopiero znaleźć kogoś, ktoby się zgodził dać swój podpis na urzędowego redaktora pisma, widząc represje, jakie się doń raz po razie stosują.

Na jutro Witold Abramowicz, Krzyżanowski i inni zwołują do lokalu klubu bankowego szersze grono osób z pośród sympatyków „Przeglądu” oraz niektórych bardziej lewych — na pogawędkę-naradę w sprawie sytuacji międzynarodowej i wyjaśnienia sobie zasadniczych wskazań orjentacji, którą wobec tego należy nam tu zająć. Początkowo była to myśl Bagińskiego o wznowieniu dawnych naszych „czwartków” lewicowych, ale potym Abramowicz i inni nadali temu zebraniu cechę ściślejszą. Listę osób zaproszonych oni też ułożyli; nie zgodzili się wpisać na tę listę Mańkowskiego, jako zbyt zbliżonego do białorusinów, ani też nikogo z litwinów, co uważam za błąd kapitalny. Moim zdaniem bowiem jedną z najważniejszych rzeczy jest właśnie wymiana zdań z litwinami, ażeby oba główne najbardziej uświadomione odłamy demokratycznej czy „postępowej” opinji krajowej, — litewski i polski, — zrozumieli się wzajemnie i jeżeli nie [illegible], to przynajmniej osłabili głęboki konflikt w dążeniu i orjentacji politycznej tych 2 grup. Element polski bowiem, zwłaszcza lepsza, żywsza i szczersza część jego, — przejmując się nastrojami powstańczemi, idącemi z Polski, i kierując się przeważnie orjentacją austrjacką, daje się unosić łatwo zrozumiałemu prądowi [illegible], który ma zawsze charakter bezwzględny, i nie licząc się z warunkami miejscowemi i specjalnym układem czynników rozwojowych kraju naszego, gotów jest na ślepo akceptować czynną akcję polską i przenieść ją żywcem na grunt litewski, utożsamiając mechanicznie Litwę z Polską. Litwini natomiast, którzy rozważają sytuację ze stanowiska krajowego, uznają orjentację austrjacką za zupełnie [illegible] dla kraju naszego, wiedząc, że ewentualnie kwestja [illegible] o przynależności Litwy czy to do Rosji, czy Prus, ale w żadnym razie nie do Austrji, przynależność zaś do Prus [illegible] na nastroje powstańcze polskie [illegible] i niechętnie jako na nowy [illegible] wyraz [illegible] przez polaków Litwy w imię Polski. Konflikt, który się w tej postaci [illegible] może więcej niż [illegible] tragiczne starcie [illegible] wypadków [illegible].

Tymczasem [illegible] się na [illegible] w [illegible], który [illegible] do wymiany. Nie [illegible] drugiego takiego [illegible] z Wilna. [illegible] kilka [illegible] na [illegible] to [illegible].

12 (30) stycznia. rok 1913. czwartek.

Odbyło się wieczorem nasze zebranie – narada w sprawie t. zw. orjentacji. Osób było niewiele. Przybyli tylko bracia Ludwik i Witold Abramowiczowie, Wygrzanowski, Klott, dr. Boguszewski, inżynier Adolf, Budny, Bagiński, Nagrodzki, dr. Jabłonowski, Sulkin i ja. Ludwik Abramowicz ze zwykłą sobie fanfaronadą informował nas o przygotowaniach powstańczych w Galicji, projektach i planach mobilizacyjno-okupacyjnych na wypadek wojny, popisując się zasobem wiadomości i tak pewnością siebie, jakgdyby to chodziło o jego własne osobiste plany. Ostatecznie nie wiele nowego usłyszeliśmy, bo o tym wszystkim już wiemy, tem to Ludwika jest zle nawet tak wstrętny, że nie umiem go słuchać spokojnie. Wszystko polega u niego na przechwałkach osobistych. Nawet jak mówi o sprawach poważnych, to na myśli zapomina się samą rzeczą, o której mówi, ale próżnością osobistą, chęcią popisania się wiadomościami, chęcią zaimponowania. Zdaje się, że ta cecha u Ludwika coraz bardziej się rozrasta. Jest on jak purchawka: nadęty i niby pełny powietrzem, a wewnątrz pustka, jałowość, nic. Człowiek ten nie myśli, nie pracuje nad sobą, niczego rzetelnie, prócz siebie, nie kocha. Samolub skończony, człowiek stosownie próżny. Ale dość o osobie tego pana. Przejdźmy do rzeczy. W dyskusji, która się wywiązała, zdania bardzo się podzieliły. Dr. Boguszewski, Bagiński i ja mieliśmy zdania najbardziej zbliżone do siebie. Ja wypowiadałem się w myśl pilnej potrzeby nawiązania pewnego porozumienia z litwinami (z postępową mianowicie inteligiencją litewską), przyczem uważałem dla wzajemnego wzajemnego poinformowania się o aspiracjach i pragnieniach narodowych tak naszych, jak litewskie koła, ażeby był między nami pewien kontakt, wiara wzajemna i może nawet pewne upodobnienie się koncepcji naszych, tymbardziej że i śród nas samych są prądy bardzo rozbieżne. Co do młodzieży, to nie uważam za możliwe stłumienie w niej gorących nastrojów powstańczych, ale za możliwe i potrzebne uważam zwrócenie jej uwagi na sprawy i względy krajowe, ażeby unikała rozróżnień między Polską a Litwą i żeby nie popełniła fatalnego błędu przenoszenia żywcem koncepcji polskich na grunt stosunków krajowych. Młodzież polska, jako cząstka narodu polskiego, nie może traktować obojętnie polskiego spraw narodowych; jeżeli się pragnie łączyć z ruchem narodowym, zmierzającym do powstania, to może i powinna to robić w postaci niesienia wszelkiej pomocy ruchowi temu, ale nie w postaci bezpośredniego stosowania ruchu tego w kraju, gdzie takie stosowanie wydałoby skutki najfatalniejsze, bo między litwinami nie pogodziliby się z tym, aby utożsamiano Litwę z Polską, i za wszelką cenę akcję taką by zwalczali, uważając ją za sprawę obcą, zwróconą przeciwko samodzielności krajowej. Przeto więc powstańcza musi być skierowana nazewnątrz, w stosunku zaś do kraju należy zachować lojalność obywatelską, nie nadając mu charakteru polskiego. Klott, Budny i zwłaszcza Adolf przemawiali gorąco za oddziaływaniem na młodzież w kierunku zupełnego tłumienia wszelkich nastrojów powstańczych, jako grożących najstraszliwszą klęską. Adolf zalecał przeciwstawienie ideałom powstańczym, które uważa za zgubne, ideałów pracy organicznej, szerzenia oświaty, kultury ekonomicznej i społecznej. W zapale posunął się aż do najostrzejszego potępienia wszelkiej myśli powstańczej, tak w teraźniejszości, jak w przeszłości, przekreślając rok 1863, co wywołało protesty obecnych. Zresztą tłumienie nastrojów powstańczych w młodzieży, zalecane przez Adolfa i Klotta, jest czczym mniej wnioskiem. Młodzież czuje gorąco, a nastrój uczuciowy ma zawsze charakter bezwzględny, do którego argumentacja w rodzaju zaleceń pracy organicznej, obliczonej na szereg lat ciężkiej żmudnej roboty, — nie trafi. Nastrój uczuciowy pchnie młodzież do poświęceń, do ofiar, do czynów bohaterskich. Stłumić tego nie podobna, a wreszcie nastrój taki jest w danej chwili konieczny i ma swoje cechy dodatnie. Trzeba go jeno uchronić od szaleństwa, trzeba go skierować w torze ...... warunków krajowych, które wymaga przedewszystkiem odpowiedniego porozumienia naszego z litwinami.

Zresztą nic z dzisiejszego zebrania naszego nie będzie. Zdania i opinje śród nas zmieniały się bardzo rozbieżne. Oddziaływać na młodzież poszczególni z nas oczywiście mogą i oddziaływają, ale o oddziaływaniu zbiorowym mowy być nie może, gdy jeden ciągnie do lasu, drugi do sasu, a młodzież ta, na którąby ta grupa oddziaływać chciała, jest obca i sprzeczna jednolitym nastrojem. Ludwik Abramowicz proponował utworzenie jakiegoś bezprogramowego związku organizacji, któraby była gotowa, na wypadek zmolerowania się .... podczas wojny w położeniu bezpańskiem, — objąć stery władzy w swe ręce. To jednak próżna, bo władza znaleźć się może tylko w rękach określonej grupy wyrażającej czy to program ściśle, czy organizację realną i już zdawna funkcjonującą, a ..... grupy ludzkiej, mającej oparcie w jakichś masach ludowych. Nigdy zbieranina od tak rozegzowanych, ... zbiorowych, programowo niejednolita, — nie zdobędzie władzy i nie stanie w ..... wypadków.

18 (31) stycznia rok 1913. piątek.

Wyjechać dziś musiałem z komornikiem sądowym, p. Sobotkowskim, do gminy Rukojńskiej, położonej o wiorst 16 drogi konnej za Wilnem, w sprawie egzekucji należności kilkuset rubli, przysądzonych ~~[illegible]~~ wiosny ubiegłej od całej Rukojńskiej gromady włościańskiej („[illegible]“) na rzecz klientki mojej Błażewiczowej. Sprawa skomplikowana, ciężka i przykra. Treść sprawy taka. W r. 1900 umarła w Rukojniach niejaka staruszka Bojarojciowa, która miała tam dziesięcinę ziemi nadziałowej. Po jej śmierci ziemię tę władała jej synowica Błażewiczowa. Spadkobierców bezpośrednich Bojarojciowa nie miała. Rukojńska gromada włościańska, która udzielała Bojarojciowej zapomogi za życia, licząc na to, że po jej śmierci zagarnie jej ziemię, jako bezpańską a więc przechodzącą z prawa do gromady, wytoczyła akcję sądową do Błażewiczowej, żądając zwrotu ziemi. Sąd ziemię przysądził gromadzie. Błażewiczowa, która nie zdołała wykazać swoich praw spadkowych, ziemię straciła. Ale tu się okazało, że stara Bojarojciowa, chcąc widocznie zabezpieczyć swą synowicę na wypadek odebrania od niej ziemi, wydała jej przed śmiercią weksel na rb. 500. Otóż po odebraniu od niej ziemi Błażewiczowa w r. 1905 wytoczyła akcję sądową z tytułu weksla do całej gromady włościańskiej, która zagarniając spadek bezpański po Bojarojciowej musiała jednocześnie przyjąć na siebie i odpowiedzialność za wszystkie długi spadkowe. Zeszłej wiosny Błażewiczowa otrzymała wyrok na rb. 500 z %% od r. 1905, co razem z kosztami wynosi obecnie sumę przeszło 700 rb.. Oczywiście, że wyskiwanie całej tej sumy byłoby z krzywdą dla włościan, bo dług ten mógł służyć w istocie tylko zabezpieczeniem ziemi, a nigdy wartość tej dziesięciny, nawet włączając poniesione przez Błażewiczową straty, nie mogłaby wynosić ani w przybliżeniu 700 rb.. Ale sprawa komplikuje się jeszcze przez to, że faktycznie ziemia ta przeszła już dziś na użytek kościoła, więc nie może być zwrócona Błażewiczowej w naturze, a skądinąd przez to korzyść z posiadania tej ziemi ma już nie tylko gromada Rukojńska, ale cała parafia, t.j. mniej więcej cała gmina, a przeto niesłuszną jest, aby odpowiedzialność za to miała tylko ta jedna gromada. Jechałem więc do Rukojń z zamiarem załagodzenia tej sprawy i znalezienia wyjścia w postaci jakiegoś układu. Mróz był kilkunastostopniowy z ostrym wiatrem północno-wschodnim, gdyśmy jechali z Wilna z komornikiem Sobotkowskim w parokonnych saniach pocztowych. Sobotkowski przez całą drogę bawił mnie długą szczegółową opowieścią o całym przebiegu swego życia, zwłaszcza zaś długiej, skomplikowanej historii swego pierwszego małżeństwa. Jak zaczął swą opowieść w Wilnie przy wyjeździe z ul. Niemieckiej, tak skończył ją akurat w chwili, gdyśmy wjeżdżali do Rukojń. Pertraktacje z włościanami, narady etc. zajęły sporo czasu. Zdecydowałem się poprosić proboszcza miejscowego, ażeby on się zajął polubownym załatwieniem tej sprawy, wywierając z jednej strony nacisk na Błażewiczową, aby coś z sumy wyskiwanej opuściła, z drugiej zaś pociągając do udziału w jej odszkodowaniu resztę parafian poza gromadą Rukojńską. Ksiądz był właśnie wyjechał po kolędzie, przeto wypadło nam długo nań czekać. Wreszcie, gdy przyjechał, wieczór spędziliśmy u niego i jemu sprawę tę na polubowne [illegible] złożyliśmy. Wobec tego uniknęliśmy przykrej procedury opisywania ruchomości włościan, [illegible] Późnym wieczorem wracaliśmy do Wilna. Noc była mroźna, gwiaździsta. [illegible] Sobotkowski zabawiał mnie opowiadaniem o strasznych przygodach. Koło północy zziębnięci wróciliśmy do Wilna

19 stycznia. 1 lutego. rok 1913. sobota.

O niedzielnej manifestacji młodzieży w kościele św. Katarzyny dowiedziałem się szczegółów następujących. Zainicjowali manifestację przeważnie postępowcy. Młodzież chciała śpiewać w kościele pieśni patriotyczne polskie podczas nabożeństwa za poległych w powstaniu styczniowym, które się odbyło w piątek 10 stycznia. O tych zamiarach młodzieży dowiedziała się wszakże zawczasu władza kościelna oraz przywódcy endeków. Użyto wszelkich wysiłków, aby młodzież odwieść od tego zamiaru. Młodzież zresztą nie myślała o urządzeniu manifestacji wbrew starszemu pokoleniu, chciała raczej pozyskać jego aprobatę. Ostatecznie młodzież dała się przekonać i istotnie na mszy za poległych w dniu 10 stycznia żadnych pieśni nie śpiewano. Ale wśród młodzieży rozpoczął się ferment; część była niezadowolona z ulegnięcia się władzy kościelnej i przywódców endeckich, inna część natomiast była zdania, że istotnie narażać się na niebezpieczeństwo represji dla samej tylko demonstracji — nie warto. Wśród młodzieży endeckiej przeważało to drugie zdanie. Natomiast grono młodzieży z pośród postępowców postanowiło wyrazić protest czynny w drodze odśpiewania pieśni patriotycznych w najbliższą niedzielę. 13 stycznia w niedzielę grono manifestantów, przeważnie z postępowców złożone, acz przyłączył się też do nich, jak się zdaje, młody Węsławski, syn doktora, prezes kółka młodzieży (endeckiej), zebrało się w kościele św. Katarzyny, stojąc w zwartej gromadce w pobliżu ambony. Przed skończeniem kazania z grona tego rozległ się nagle śpiew chóralny „Boże, coś Polskę". W kościele zapanowała na chwilę panika. Oficerowie, urzędnicy-katolicy, pewna część publiczności zaczęła opuszczać kościół, bądź nie godząc się zasadniczo na demonstracje, bądź się bojąc wtrącenia policji, wojska etc.. Wszakże i z publiczności trochę głosów się przyłączyło do śpiewu. Ksiądz, ażeby stłumić manifestację, kazał grać na organach, z czego się wywiązała kakofonja. Ksiądz zaś, który wszedł na ambonę, zaczął donośnym głosem: „W imię Ojca i Syna i t. d.". Po odśpiewaniu 3 zwrotek gromadka młodzieży się rozpierzchła i śpiew ustał. Gubernator jest o wszystkim poinformowany. Policja spodziewała się już 10 stycznia manifestacji, więc w kościele tak 10 stycznia, jak w niedzielę obecni byli szpiegowie. Podobno gubernator ma wszystkie nazwiska manifestantów, a za przywódców ma wskazanych młodego Niedziałkowskiego, obecnie studenta uniwersytetu petersburskiego, przywódcę młodzieży postępowej, i młodego Węsławskiego i gimnazjum Winogradowa, prezesa narodowców. Zdaje się, że kilka osób ze sfer poważniejszych w mieście jeździło do gubernatora dla załagodzenia sprawy. Sądzić, że gubernator przesłał odpowiedni raport do Petersburga i teraz wyczekuje odpowiedzi stamtąd, a tymczasem nic nie przedsiębierze. Młodzież jest trochę wzburzona. Oskarża księży i narodowców-endeckich ze starszego pokolenia, że ci rękoma zdecydowanie ich w razie postanowienia manifestacji rozkonspirować i wydać władzy całą organizację młodzieży, zwłaszcza postępowej. Ale w tym względzie niepewne. Ale wrzenie wśród młodzieży jest i jest wielka nieufność do sfer kierowniczych endeckich ze starszego pokolenia oraz do władzy duchownej.

Zaniepokoiła mię dziś Anna. Znowu kaszle mocniej, a więcej jest osłabiona, nie ma apetytu, ma bóle w piersiach, jest blada i mizerna. Ma z pewnością bladaczkę, a obawiam się, aby nie miała też początków suchot, choć doktor tego nie znalazł. Powiedziała mi dziś, że przed kilku dniami pluła krwią.

20 stycznia.
2 lutego.
rok 1913.
niedziela

Prawie cały dzień spędziłem z Anną. Tylko wieczorem na jedną godzinę się z nią rozstałem, od g. 8½–9½, gdym poszedł na odczyt Łatka w lokalu klubu szlacheckiego. Musiałem wszakże ukryć przed Anną, dokąd idę, bo biedaczka bardzo się martwi, gdy ją w niedzielę porzucam choć na chwilę „dla zabawy" — jak wspomina. Uważa, że mi ~~milej~~ milsza „zabawa" od pobytu z nią, a jednocześnie też bierze to do serca, że jej ze sobą nie biorę, że się jej rzekomo wstydzę. Udałem więc, że spieszę wbrew chęci, a z konieczności jeno, na posiedzenie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" do Żmujdzinowiczów.

Coraz bardziej niespokojny jestem o Annę. Co będzie z jej zdrowiem. Kaszel nie ustaje, raczej znowu się teraz zwiększa, jest suchy i ciężki. Gorączki niema, ale osłabienie i anemja — wielkie. Anna mi wspomniała, że dziś znowu spostrzegła ślady krwi przy pluciu. Oby to nie były początki suchot. Nie wiem, co przedsięwziąć, a trzeba przecie coś radzić, bo kochana dziewczyna topnieje mi w oczach. Jutro pójdę z nią znowu do doktora. Może potrzebny będzie wyjazd na południe. Jeżeli tak, to zapewne to się da zrobić, bo ma brata w Teodozji w Krymie, u którego mogłaby zamieszkać i znaleźć opiekę. Ciężkie tylko byłoby dla nas obojga to rozstanie, które w każdym razie musiałoby potrwać do kwietnia lub maja. Może obawy te są przedwczesne, ale przecie coś zaradzić trzeba, aby Annie zdrowie przywrócić. Pokoik jej w mieszkaniu p. Tura przy ul. Monastyrskiej jest zimny i wilgotny, co też musi źle wpływać na zdrowie. Sprawa mieszkaniowa jest dla Anny najcięższa, bo o znalezienie dobrego pokoju dla dziewczyny samotnej bardzo trudno.

21 stycznia.
3 lutego.
rok 1913.
poniedziałek.

Niestety — doktor stwierdził dziś niewątpliwe początki suchot u Anny. Wobec tego zalecił jaknajprędszy, jeżeli tylko jest możność, wyjazd na południe. Akurat w porę przyszła nam z Anną w tych dniach na myśl możność wyjazdu Anny do Teodozji, ~~[illegible]~~ gdzie Anna ma brata. Teodozja, położona na południowym brzegu Krymu, ma klimat ciepły i łagodny i dużo słońca, co właśnie będzie dla Anny najwłaściwsze. Niewiadomo tylko, czy brat Anny zechce ją do siebie przyjąć. Anna nie wątpi, że brat by zechciał, ale nie jest pewna bratowej. Brat ożenił się przeciwko woli rodziny, o czym bratowa, kobieta starsza od niego, wie i może wskutek tego żywi niechęć do rodziny mężowskiej, bojąc się intryg. Ale, jeżeli nawet Anna nie będzie mogła zamieszkać u brata, to jednak do Teodozji pojedzie. Mając rb. 50 miesięcznie, Anna jakkolwiek się urządzić potrafi, a co jej zabraknie, to uzupełni z ~~[illegible]~~ naszych oszczędności skarbonkowych. Od początku grudnia składam oszczędności do osobnej skarbonki, dokąd też i Anna coś czasem dorzuca. Postanowiliśmy z Anną, że połowa plonu skarbonki pójdzie na ✱✱ założenie stałego kapitaliku Anny, drugą zaś połowę przeznaczaliśmy na projektowaną latem podróż do Zakopanego i co zostanie — na jakieś nadzwyczajne wydatki Anny, jak suknie i t. p. Teraz ta nasza wyprojektowana podróż do Zakopanego upada, natomiast ~~[illegible]~~ druga połowa oszczędności posłuży nam na pokrycie nadwyżki kosztów pobytu w Teodozji. Doktor zapewnił, że w tym początkowym stadjum suchot parę miesięcy pobytu w Krymie może zupełnie zagoić płuca. ✱✱ Anna będzie musiała tylko dużo przesiadywać na słońcu, oddychać świeżym powietrzem, mieć spokój i dobrze się odżywiać. Nie tracę otuchy, choć wyznam, że mi bardzo ciężko i smutno. Kochane to biedactwo jest dla mnie najukochańszą istotą na świecie; dziś już nie mogę sobie wyobrazić życia bez Anny. Jest ona dla mnie więcej, niż kochanką i żoną, jest przyjacielem, jest streszczeniem i uzupełnieniem całej istoty życia mego. Anna się smuci z wyjazdu; gdy pomyśli, że będzie musiała parę miesięcy spędzić bez mnie, to się przeraża pustki, płacze i zgóry już tęskni. Wiem, że niemniej ciężko i mnie będzie bez niej. Słabość Anny nie wpływa bynajmniej na zmniejszenie tętna jej uczuć: przeciwnie — uczucie jej coraz bardziej się skondensowuje, zyskuje na sile, rugując z jej serca wszelkie inne myśli i przywiązania poza tą jedną miłością do mnie, wreszcie przelewa się w wyraz ~~[illegible]~~ niezwykle rzewny. Zazdrosna też jest Anna, boi się wszystkiego, coby mię mogło zajść poza nią, a zwłaszcza boi się mojej namiętności do kobiet: teraz już nienawidzi kobiety i ma wstręt do wszystkiego, co tchnie miłostkami i lubieżnością, pomimo że sama w stosunku ze mną ma temperament żądzy gorący. Postanowiliśmy, że wyjazd Anny nastąpi około 10 lutego i że ja osobiście ją odprowadzę aż do Teodozji; ~~[illegible]~~ nie mogę jej bowiem, mojej żonki serdecznej, mojej jedynej, chorej i słabej, wypuścić samej w świat tak daleki bez opieki. Sam ją odwiozę na miejsce, zalokuję, polecę lekarzowi. Żeby mi zdrowa wróciła. Z trwogą myślę o przyszłości. Boże, miej litość, miej serce dla nas!

A teraz parę słów w innej materji. Doszła do mnie wiadomość nader nie-[illegible]. Władze kościelne obawiały się podobno powtórzenia wczoraj w kościołach manifestacji uczniowskich, jaka miała miejsce niedzieli ubiegłej. Ostatecznie żadne manifestacje się nie odbyły. Ale w związku z temi obawami ksiądz w gimnazjum Winogradowa w rozmowie z inspektorem tegoż gimnazjum Kraskowskim wymienił mnie z imienia i nazwiska, jako — rzekomego inspiratora tych demonstracyjnych śpiewów pieśni patriotycznych w kościołach przez młodzież. Jest to nietylko wiadomość fałszywa, z palca wyssana, ale jest to nadomiar akt denuncjacji paskudnej. Dobrze, że jestem z Kraskowskim w bardzo dobrych i bliskich stosunkach osobistych i że jest to człowiek porządny i uczciwy, który z tego nietylko że użytku nie zrobi, ale jeszcze uważał się za zobowiązanego do uprzedzenia mię o tych wersjach za pośrednictwem Antoniego Łuckiewicza. Ale jeżeli ksiądz mógł taką rzecz komunikować jemu, to mógł też ją komunikować dyrektorowi albo jakiemuś inspektorowi innego gimnazjum, który może z tego zrobić użytek wręcz inny. W tych warunkach nie mogę być pewny, że i gubernatorowi nie komunikowano poufnie takich wersji. Jestem szczerze oburzony.

22 stycznia / 4 lutego. rok 1913. wtorek.

Pogoda dziś bardzo przykra. Deszcz padał, śniegi topnieją na ulicach, wilgoć i przenikliwy wiatr na dziedzińcu. Byłem niespokojny o Annę. Wiem, że takie powietrze, jak dziś, najgorzej działa na suchotników. Wzdrygam się cały, ~~[illegible]~~ gdy nazywam moją kochaną biedną Annę suchotnicą. Nie chce mi się wierzyć, że jest ona dotknięta tą straszną chorobą. Daj Boże, że to minie po pobycie na południu. Ale pod wpływem tej wilgoci i wiatru dzisiejszych — nie mogłem się oprzeć wrażeniu czy też głuchemu przeczuciu jakiegoś nieszczęścia. Zdawało mi się, że z każdą kroplą deszczu, z każdym podmuchem wilgotnego wiatru — choroba, jak jakiś potwór złośliwy, wjada się coraz głębiej w te biedne płuca Anny, rani je i niszczy, przyśpieszając koniec tragiczny. Przesadzałem w obawach, ale uczucia strachu nabierało jakichś cech panicznych, przesądnych. Sam też chory byłem, mocno przeziębiony. Katar w całej postaci i rodzaj influenzy: odczuwałem łamanie w kościach, ziębienie, wieczorem gorączkę dość dużą. Chociaż Marynka mi radziła, abym się położył i już dziś wieczorem nie wychodził, jednak wieczorem poszedłem do Anny. I tam się znacznie uspokoiłem, bo się przekonałem, że ~~tam~~ w stanie zdrowia Anny pogorszenia nie ma. Była tylko Anna w humorze kwaśnym, co się jej teraz często zdarza, bo osłabienie fizyczne wpływa ujemnie na system nerwowy, a stąd i złe humory, kaprysy, łatwość podrażnienia. Anna z natury nie jest wesoła i pusta; jest ona zawsze raczej skupiona w sobie, pełna kontrastów, pełna najrozmaitszych uczuć i myśli, które wciąż trawi i którymi się poważnie przejmuje. Jest to natura tragiczna, głęboka i skupiona. Zdenerwowanie Anny przyczynia się do ~~[illegible]~~ pozbawienia jej resztek wesołości, robi ją skłonną do kaprysów i nastraja pesymistycznie. W takim właśnie usposobieniu dziś była.

23 stycznia.
5 lutego.
rok 1913.
Środa.

Rano napisałem dziś artykulik dla „Kurjera Krajowego”, w którym, wyrażając opinję o szkodliwości przymusowego milczenia prasy w sprawach tak poważnych i aktualnych, jak obecne nastroje ~~[illegible]~~ w związku z oczekiwanemi wypadkami wojennemi, napomknąłem o samej treści tych nastrojów oraz o ewentualnym stanowisku, jakie, zdaniem mojem, należałoby wobec nich zająć. Sprawy tej bezpośrednio i jawnie poruszać w prasie nie można, a jest ona przecie tak ~~[illegible]~~ poważna i tak żywotna, że wysuwa się dziś na czoło wszelkich zagadnień i że obowiązkiem obywatelskim jest wpływać na nadanie jej kierunku jaknajlepszego. „Przegląd Wileński”, który próbował ją omawiać, był stale konfiskowany. Można o niej mówić i ją traktować tylko metodą policyjną, jak to robi Baranowski w „Kurjerze Litewskim”, ale taki sposób oddziaływania bynajmniej żadnego ~~[illegible]~~ wpływu na wypadki i nastroje wywrzeć nie może. Wobec tego musiałem dotknąć przedmiotu tego jeno ubocznie, pod osłoną innej rzekomo treści, mianowicie szkodliwości ograniczeń prasowych.

Moje stanowisko w tej sprawie urobiło się pod wpływem poglądów dr. Boguszewskiego i jest takie. Przemawiać do młodzieży mitygująco, tłumić w niej nastroje powstańcze, przeciwstawiać ideałom bojowym ideały pracy organicznej, szerzenia oświaty i kultury wśród ludu — to to samo, co tłumić pożar argumentacją, co gasić ogień dowodami słownemi. Osobiście wolałbym zapewne, ażeby młodzież polska w naszym kraju przekładała obecnie ideały pracy organicznej nad ideałami powstańczemi, które są niebezpieczne, bo od nastrojów tych do szaleństwa — krok tylko. Ale to niepodobna. Niepodobna nietylko dlatego, że nastroje te ~~[illegible]~~ płyną przeważnie ze źródeł uczuciowych, że są bezwzględne i mają potęgę żywiołu, ale też dlatego, że są one szlachetne, czyste i najpiękniejszym, najdoskonalszym stopniem idealizmu, a przeto zacne, szczytne, godne wiary i szacunku. Są one wszakże niebezpieczne przez swą bezwzględność właśnie, przez to, że cechą ich, jak cechą wszelkich prądów uczuciowo-żywiołowych, jest nieliczenie się z ~~[illegible]~~ realnemi warunkami działania, z okolicznościami chwili i miejsca. Niebezpieczeństwo tkwi tak w możności wybuchu jakiejś akcji wogóle niewczesnej na całym terenie polskim, jak w szczególności w tych zawiłych warunkach układu narodowego w naszym kraju. Tu powstać mogą fatalne i tragiczne konflikty między prądami powstańczemi młodzieży polskiej a świadomością, a przeto i czynem ludności litewskiej; co zaś do masy białoruskiej, to ta wszelki ruch powstańczy polski traktowałaby jako pański, a przeto też byłaby mu przeciwną. Konflikty i starcia mogłyby być przeto tragiczne w łonie ~~[illegible]~~ społeczeństwa krajowego, a do tej pory ~~[illegible]~~ i ewentualne ruchy powstańcze mogłyby dać realnego krajowi? Zapewne nic, bo w sytuacji międzynarodowej na tle mocarstwowych powikłań i apetytów mocarstw losy Litwy byłyby obecnie stanowczo inaczej skierowane, niż losy Polski. Te przeto nadzieje, które przyświecają Polsce, Litwie dziś bynajmniej nie świecą. Przytem większość ludności krajowej, narodowo nie-polskiej, nie chce oddawać kraju w rolę dzielnicy Polski i stanowczo by zaprotestowała przeciwko koncepcjom, przeszczepianym tu z Polski żywcem. Stojąc przeto na stanowisku obywatelskiem krajowem, nie można akceptować prze-

[illegible]

26.

24 stycznia. 6 lutego. rok 1913. Czwartek.

Broniłem dziś w sądzie sprawy karnej niejakiego Majorenko. Sprawa była drobna, sądzona była bez udziału ławy przysięgłych. Oskarżenie polegało na zarzucie przywłaszczenia sobie przez Majorenkę nieprzysługującego mu tytułu urzędniczego, właściwie zaś chodziło o niedoszłą próbę drobnego oszustwa. Cały szereg drobnych spraw karnych z szarego życia codziennego, ważnych obrazków szarzyzny życiowej, przemknął mi przed oczyma, jak w kalejdoskopie, gdym siedział, czekając na moją kolej obrony. Był tu strażnik ziemski, oskarżony o to, że na świadectwie dla biednego włościanina-pogorzelca podpisał nazwisko urzędnika (skazany został na wydalenie ze służby), był jakiś szlachcic-ziemianin z pow. płockiego, oskarżony o to, że w urzędzie pocztowym, śpiesząc na pociąg, zniecierpliwiony formalistyką i już nawet szykanami urzędników pocztowych, pedantycznie sprawdzających dokumenty tożsamości jego przy wydawaniu mu korespondencji poleconej, nie doczekawszy wydania takowej zawołał wybiegając: „Zepsuci Wszechświata, bydlem czy Jeru Pawłowna", przez co obraził funkcjonariuszów pocztowych podczas pełnienia przez nich czynności służbowych (skazany został na rb. 25 kary), dalej były 2 młodziutkie, prawie stojące, ale strasznie obdarte, ciemne i z najniższych szumowin społecznych pochodzące dziewczynki - żydóweczki, oskarżone o opór czynny i bicie policji podczas aresztowania przez nią dezertera, brata jednej a kochanka drugiej dziewczyny (skazane zostały każda na kilka miesięcy więzienia), wreszcie mój Majorenko, który skazany został na rb. 25 strafu, co mu zresztą nie wiele zaszkodzi, bo kara ta stosowana nie będzie, gdyż obecnie odbywa on właśnie większą karę 6-miesięcznego więzienia za oszustwo z wyroku Sądu Okręgowego Płockiego.

Wieczorem byłem u Anny, jak codzień. Anna w humorze dziś dobrym, wesoła, szczebiotliwa, bardzo serdeczna. Humor i stan nerwów o wiele lepszy, ale gorączka od paru dni większa. Natomiast kaszel Anny stał się o wiele łagodniejszy, nie tak suchy, jak poprzednio, i bardzo rzadki. Prawie wcale już nie kaszle. Mam nadzieję, że pobyt w Teodorji postawi Anię na nogi. Podkowieńska. Byle teraz stan się nie pogorszył do czasu wyjazdu.

25 stycznia / 7 lutego. rok 1913. piątek.

Znowu jestem bardzo niespokojny o Annę: ostatnio na jest bardzo, gorączkę ma większą, ~~[illegible]~~ skłonność do potów, i powiada, że ślady krwi przy pluciu są większe. Uskarża się też Anna na zwiększenie się bólu w płucach. Skądinąd wszakże Anna ma wątpliwości, czy doktor się nie pomylił i czy to nie jest jakaś choroba nie w płucach, lecz w żołądku czy kiszkach, bo powiada, że doświadcza wciąż wrażenia, jakiby się wszystko u niej we wnętrznościach burzyło i przewracało. Postanowiliśmy pójść jeszcze raz się zaradzić do innego doktora; pójdziemy do dr. Jabłonowskiego. Zdaje się wszakże, że przed wyjazdem Anny do Teodozji w żadnym razie nie zdążymy. Żałuję tylko, że zmuszeni jeszcze jesteśmy z wyjazdem tym zwlekać, a to dlatego, że ja przed jakimś 7 lutego w żadnym razie opuścić Wilna nie mogę, a chcę koniecznie odprowadzić Annę osobiście. Każdy dzień, który Anna spędza teraz w Wilnie jak nożem mię tnie po sercu, bo jeżeli istotnie ma ona początki suchot, to czas do siedzenia w Wilnie jest najniedopowiedniejszy: codziennie mamy słotę, wilgoć, deszczyk, błoto. Pokój też Anny jest dla zdrowia niedobry: choć jest on wysoko na [illegible], jednak wilgoć ma wielką; ~~[illegible]~~ w rogach przy ścianach zewnętrznych całe obicie, od dołu zwłaszcza, pokryte jest na dużej przestrzeni ciemną plamą wilgoci i pleśni. Sądziłem, że będzie lepiej, gdy się dużo palić będzie w pokoju; tymczasem to nie pomaga: w pokoju ciepło, ale parno tak od wilgoci, że aż duszno, jak w łaźni; oddychać Annie powietrzem takim nie jest zdrowo.

W szerszych sferach „przeglądowych", to znaczy przeważnie Abramowiczowskich, krążą pogłoski o tym, że „Kurjer Krajowy" podobno ledwie dyszy i że lada dzień upadnie z braku środków. Nie wiem, o ile to jest prawdą. Że „Kurjerowi Kr." ciężko, — to pewna, ale sam z rozmów z redaktorem Mańkowskim i z moich obserwacji w redakcji nie zauważyłem, aby się zbliżało do zamknięcia pisma. Owszem — zdaje się, że zapał i dobra wiara nie opuszcza redakcji, i zewnętrznie [illegible] wrażenie, że tam myślą raczej o planach na dłuższą metę i o jakichś lepszych urządzeniach, za co musi być przecie jakieś źródło; świeżo zaś teraz przybył do „Kurjera Kr." nowy współpracownik, ewentualny na przyszłość redaktor — Jabłoński. Podejrzewam, że tę wersję o rychłym upadku „Kurjera Krajowego" kolportuje starannie Ludwik Abramowicz z ukrytą chęcią skrzywdzenia pisma tego i dyskredytowania go. Jest on niekorzystnym intrygantem i człowiekiem podłym i mściwym i jego miłość własna została ~~[illegible]~~ obrażona tym, że przy powstawaniu „Kurjera Krajowego" dano mu tak wyraźnie do zrozumienia, że go na redaktora nie życzą; toteż nienawidzi teraz w głębi serca pisma i mści się. Do intrygi zaś ma on zdolności niepospolite, większe, niż do czegoś innego. Żałowałbym „Kur. Kr.", gdyby miał upaść, choć mam mu do zarzucenia zbytnie umiarkowanie, powściągliwość w walce z wrogami demokracji i ~~[illegible]~~ ludu, graniczącą z pokorą i zrzeczeniem się wszelkiej walki. [illegible] kierunek „Kur. Kr." jest dobry, ale stanowczo zanadto wyrażony[?], zbyt miękki. Stwierdzam, że na [illegible] zebraniu grona „przeglądowców", na którym nie posiedziałem[?], postanowiono w myśl odwiecznego projektu Abramowiczów zawiązać ~~[illegible]~~ wreszcie „organizację" bezprogramową, dla pracy kulturalnej. Taka przecie wyjdzie być nazwa „grupa demokratyczna", ale widocznie chodzi o jej przekształcenie, jak sądzę, wśród ludzi.

28.

26 stycznia.
8 lutego.
rok 1913.
sobota.

Dowiedziałem się o śmierci p. Antoniego Weyssenhoffa z Pokrewnia. Jest to jeden z najstarszych wiekiem, a jednocześnie najbliższy z sąsiadów-ziemian bohdaniskich. Był rówieśnikiem Papy czy też o parę lat starszy. Zapalczywy był i niedźwiedziowaty, ale człowiekiem dobrym i wykształconym. Cały wiek przesiedział w swoim Pokrewniu, w najbliższym, bo tylko o 4 wiorsty, sąsiedztwie Bohdaniszek. Był u nas częstym gościem, starym znanym i zażytym sąsiadem, to też żal mi go, jako człowieka, którego znałem od najwcześniejszego dzieciństwa mego. Kiedyś kształcił się na inżyniera wojskowego w Petersburgu, ale za czasów powstania r. 1863 przerwał studja i wrócił do majątku dla objęcia go w posiadanie; w powstaniu nie był i zdaje się, że nigdy żadnej z nim styczności nie miał. Ale już po powstaniu nie wrócił do szkoły, pozostał na roli naprawdę. Kiepskim był zresztą rolnikiem, a miał długi i ciężkie interesa. Stetryczał, zmądniał, był długo starym kawalerem. Ożenił się późno, już za mojej pamięci, mając lat koło 50, z podstarzałą też panną, Kończanką z Abunia, — ciotką Paulinką. Był z nią krewnym dalekim. Pod koniec interesa jego się poprawiły. Majątek jego, Pokrewnie, jest ładny. Ładnie też jest położony nad rzeką Srzewną [?], z młynem. Umarł nie u siebie jednak i prawie nagle. Był z żoną u jej brata, p. Franciszka Kończy, w Łukini w Gośniwie [?]; zaforsował mu się tam jakoś wśród w nocy, z którego widocznie umarł. Ponieważ jest bezdzietny, więc dziedziczyć po nim będą synowie brata jego Władysława, — inżynier Jan Weyssenhoff z gub. Mohylowskiej i malarz Henryk Weyssenhoff. Biedny stary.

U Anny dziś byłem przed obiadem. Zastałem ją w dobrym humorze, wesołą i, zdaje się, silniejszą i zdrowszą. Dziś ciągle o tej jej biednie zdrowie. Każdą prawie razą, co u niej jestem, mam sposobność coraz nowego przekonania się i podziwiania przeczystej szlachetności jej natury. Jest w niej iskra święta ludzkości, którą tak w niej kocham i mojej najwszystko, bo ta [redacted] bardziej od wdzięków fizycznych zdobi ją i złoci.

Wieczorem byłem na posiedzeniu komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winogradowa. Mało się dotąd wprawiłem do spraw tego komitetu. Pierwszy rok dopiero, jak w nim jestem. Choć wybory do komitetu odbyły się we wrześniu, ale zbierać się on zaczął dopiero od ostatnich dni listopada, bo dopiero wtedy nastąpiło zatwierdzenie wyborów przez władze okręgu szkolnego. Na pierwszym posiedzeniu byłem, ale wtedy jeszcze zupełnie się nowicjuszem czułem i tylko się przysłuchiwałem. Potem 2 posiedzenia z konieczności opuściłem, bo raz byłem zajęty czymś innym, a drugi raz nie byłem w Wilnie. Wreszcie dziś znowu posiedziałem. Omawiane były przeważnie dwie kwestje: kwestja wychowania fizycznego i kwestja pobudzenia młodzieży do czytania. Co do pierwszej kwestji, to w łonie komitetu istnieje komisja specjalna wychowania fizycznego. Członkowie tej komisji dawali sprawozdanie i przedłożyli głównie 2 postulaty: zaangażowania instruktora-doradcy specjalnego do kierowania grami młodzieży na placyku gier przy ul. Marszerowskiej, co zostało odrazu zaaprobowane, jako rzecz pilna i nader pożyteczna, i zreformowania oraz usystematyzowania racjonalniejszego nauczania gimnastyki w szkole, co ma być dopiero omówione z władzami szkolnemi. Komisja też ta zaprojektowała zwołanie specjalnego ogólnego zebrania rodziców dla omówienia sprawy wychowania fizycznego, co zostało przez komitet przyjęte. Członek tej komisji Dr. Kowarski (żyd), zredagował ładną wezwanie do rodziców w tej materji, które będzie rozesłane jednocześnie z zaproszeniem na ogólne zebranie. Co do podźwignięcia czytelnictwa śród młodzieży, to tymczasem nic uzgodnione nie zostało uchwalone. Wybrano tylko na przestrzeń komisję biblioteczną, do której i ja trafiłem, ale bez dania jej określonych zleceń.

27 stycznia / 9 lutego. rok 1913. niedziela.

Dziś niespodzianie Anna mi oświadczyła, że nie pojedzie do Teodozji. Upierała się przy tym postanowieniu i z całą stanowczością twierdziła, że nie pojedzie. Jak tylko czuje się trochę lepiej, to uważa, że nie jest chora, doktorowi nie wierzy, powiada, że to doktor tylko wymyślił rzekome początki suchot i rzekomą potrzebę jazdy. Wstydzi się rozpieszczania siebie, stawiania na stopie jakiejś wydelikaconej lalkowatej panny, wyjeżdżającej dla poprawy zdrowia na południe. Ledwo mi się udało ją namitygować obietnicą, że zasięgniemy jeszcze w tej mierze zdania innego doktora. Przekonany jestem, że jednak wyjazd do Teodozji będzie w tej porze dla niej zbawienny, nawet jeżeli to nie są jeszcze początki właściwych suchot, sądzę wszakże, że takowe są, bo choć kaszel Anny jest teraz lepszy i osłabienie względnie mniejsze, ale gorączka ciągle, choć niewielka, jest i w ogóle wygląda Anna bardzo mizernie, bardzo anemicznie.

Do obiadu chodziliśmy z Anną po mieście, potem byliśmy z nią w redakcji „Naszej Niwy" u Własowa i razem z Własowym — w kawiarni Bronisława.

Wieczór znowu spędziłem u Anny. Anna była niezmiernie serdeczna. Gawędziliśmy, przypominaliśmy sobie i opowiadaliśmy epizody z dziejów naszego dzieciństwa. Dzieciństwo Anny było rzeczywiście zupełnie inne, niż moje. Urodziła się ona w biednej wyrobniczej rodzinie łotewskiej. Rodzice jej mieszkali z początku na wsi. Ojciec, kowal, służył we dworze. Po jakiejś większej awanturze znieważył on czynnie swego chlebodawcę - barona, stracił posadę i wyniósł się z rodziną do Libawy, gdzie pracował, jako kowal, w warsztatach jakichś. Anna w r. 1891 przyszła na świat już w Libawie. Wkrótce ojciec zapadł na suchoty i umarł, gdy Anna miała 4 lata. Ciężki był byt tej rodziny i smutne dzieciństwo Anny. Do lat 7 Anna prawie że nie zaznała uciech. Gdy matka wychodziła o godz. 6 rano na robotę, zamykała najmłodszą Annę w mieszkaniu, składającym się z 1 pokoju. Tam dziecko zostawało przez cały dzień zamknięte. Jedyne okno wychodziło na dziedzińczyk, i widać było tylko głuchą ścianę przeciwległą i studnię z pompą pod oknem. W wyobraźni dziecka głąb studni była zaludniona przez złośliwe swawolne duchy, które lada chwila mogły wyskoczyć stamtąd i rzucić się na biedną małą Annę. Wdrapywała się wtedy na szafkę i wpatrywała się stamtąd przez okno w studnię; siedziała sama w pokoju na szafie, przestraszona, smutna. Czasem krzyczała, płakała — bez skutku. Wieczorem zasypiała czasem na szafie, skąd ją matka po powrocie z pracy ściągała. Gdy już miała lat 7, przestano ją zamykać w pokoju. Wypuszczano ją już wtedy na dziedziniec. Biegała po dziedzińcu i po ulicy, która była na tym ubogim przedmieściu robotniczym niebrukowana, bawiła się w piasku, uganiała z dziećmi z domów sąsiednich. Z natury samowolna, nieposłuszna, dostawała często rózgi; ale, gdy egzekucja rózeg miała się odbyć, uciekała, chowała się od matki, biegała na boso przedmieściem, tupała nóżkami, jak chochlik. Rosła, jak dzika roślinka polna. Potem już uczyła się w szkółce a wcześnie już i do pracy stanąć musiała. W tych tak ciężkich warunkach rozwinęła się jednak z duszą wrażliwą i niezmiernie szlachetną, z głębokim poczuciem sprawiedliwości społecznej, tęsknotą do prawdy i wiedzy. Rozwinęła się w człowieka o przeczystej i przebogatej naturze psychicznej, jakiejby jej olbrzymia większość ludzi pozazdrościć mogła.

Wizytę Anny u dr. Jabłonowskiego odłożyliśmy na jutro, bo się okazało, że Jabłonowskiego chwilowo w Wilnie nie ma.

28 stycznia.
10 lutego.
rok 1913.

Wieczorem byłem u Żmujdzinowiczów dla spisania bieżących rachunków „Lietuvių Dailės Draugijos”. Choć urząd, który piastuję w tym towarzystwie, mianowicie urząd kasjera, należy do najmniej przyjemnych, jednak cenię niezmiernie ten mój udział w Zarządzie „Dailės Draugijos”. Należę do zarządów wielu rozmaitych towarzystw, ale nigdzie dotąd nie doświadczam takiego zadowolenia, jak tutaj. Jest to bowiem instytucja żywa, czynna, której działalność ciągle kipi i która wykonywa pracę realną niezmiernego pożytku dla litewskiego rozwoju narodowego i dla kulturalnego rozwoju kraju. Brać bezpośredni udział w tworzeniu tej pracy, być współczynnikiem roboty, w którą się wierzy i której owoce się widzi, — to rozkosz, wynagradzająca z nawiązką żmudny nieraz trud pracy. 2 lata zasiadałem w zarządzie „Lietuvių Dailės Draugijos”. Pokochałem towarzystwo i jego działalność. Oto teraz w lutym odbędzie się doroczne ogólne zebranie członków i doroczne wybory zarządu. Czy zostanę nadal do zarządu wybrany, — jak zazwyczaj, nie wiem. Ze strony niektórych członków towarzystwa, z obozu nacjonalistów, jest niechęć do mnie i do mego udziału w zarządzie, — wiem o tym. Nie jest to właściwie niechęć osobista, jeno niechęć do [illegible] posiadania w zarządzie osobnika, który, choć szczerze uznaje litwinizm i stoi na stanowisku krajowym, jednak sam właściwie Litwinem z krwi i z kultury narodowej nie jest. Tego przede wszystkim zdania jest redaktor Smetona oraz niektórzy inni z członków towarzystwa. Po czterotygodniowym zajściu z Neiberg-Bymerem („Walka”) na wystawie litewskiej, tem prędzej do przyszłej sesji litewskiej towarzystw, w drodze usunięcia z zarządu przynajmniej nie-Litwinów, może teraz wziąć górę. Żałowałbym szczerze, gdybym nie został wybrany, bo i skład kolegów w zarządzie Dailės Draugijos jest wyjątkowo sympatyczny (małżonkowie Żmujdzinowiczowie, adwokat Jan Vileišis i inżynier Stefan Kairys).

Teraz „Lietuvių Dailės Draugija” gotuje się do udziału w marcowej petersburskiej wystawie wiejskiego przemysłu domowego. W wystawie tej eksponenci z całej Rosji mają być reprezentowani podług gubernij. Na gubernię wileńską przedstawicielstwo wiejskiego wyrobu wziął Wil. Towarzystwo Rolnicze przez swą sekcję przemysłu domowego. Sekcja ta zaproponowała „Dailės Draugijos” wziąć udział w wystawie z prawem wystawienia własnej kolekcji pod flagą sekcji T-stwa Rolniczego. Bojąc się tej uległości, zrzekliśmy się z sekcją, która nam dawała na zorganizowanie naszych zbiorów 200 rb. z 700-rublowej zapomogi, udzielonej jej na ten cel przez centralny zarząd wystawowy, my w naszym zarządzie postanowiliśmy za lepsze spróbować otrzymać bezpośrednie przedstawicielstwo na wystawie, ażeby móc wystąpić pod firmą własną bez żadnego protektoratu nad sobą. Zwróciliśmy się w tym celu wprost do komitetu wystawowego, który zgodził się nas przyjąć w charakterze samodzielnego eksponenta, dając nam osobne miejsce na wystawie przestrzeni 3 sążni kwadratowych między gubernią wileńską a kowieńską i asygnując nam 300 rb. zapomogi na zorganizowanie własnego działu. Tak więc zrobiono dla nas wyjątek z kategorii jednostek gubernialnych; dając nam prawo reprezentowania całej wytwórczości litewskiej w dziedzinie przemysłu domowego wiejskiego z kategorii ducha etnograficznej. W tamtej sekcji Towarzystwa Rolniczego trochę żal mają na „Dailės Draugiję”, że nakazano wyłamanie się z solidarności krajowej i przenosi udział w wystawie na grunt wyłącznie narodowościowy, ale słuszniejsza o to „Dailės Draugija” ma już za sobą większą od tej sekcji tradycję organizowania zbiorów twórczości ludowej, przede wszystkim zaś nadaje zbiorom tym wyraźniejszą indywidualność narodową zamiast terytorialności gubernialnej. Dając ona pierwiastek wytwórczości etnograficznej, t.j. pierwiastek kulturalnie cenniejszy, wyrazistszy, mający w sobie cechę sztuki i stylu. Zbiory eksponatów napływają bardzo licznie — zwłaszcza tkaniny. Kolekcja nasza będzie piękną i charakterystyczną. „Dailės Draugija” przez swe coroczne wystawy wileńskie, na których jest stały naczelny dział sztuki ludowej, ma już rutynę gromadzenia zbiorów i ma łatwość w tej mierze, bo ma odpowiednią tradycję i zaufanie u włościan. Na wezwanie „D. Dr.” zbiory płyną same, a prócz tego ma mała wyprawa do okolicznych miejscowości poszczególnych członków do kupowania i płatowania zbiorów.

[illegible] czas u Żmujdzinowiczów, gdzie prócz gospodarzy i mnie byli jeszcze: [illegible] Piotr Bymmer(?), Augustyn Janulaitis i brat zmarłego Konstantego Czurlanis. Rozmowa była bardzo ciekawa.

29 stycznia
11 lutego.
rok 1913.
wtorek.

Kotunia Pruszanowska ustanowiła u siebie stałe dnie przyjęć, t. zw. żurfiksy, we wtorki. Są to zwykłe na takich żurfiksach towarzyskich herbatki ze słodyczami z ciastami i owocami. Potem wieczorem podaje się już kolację, na której zostają goście mniej etykietalni z rodziny i bliższych znajomych. Wybrałem się dziś wreszcie na taki „żurfiks". Osób było jednak bardzo mało, sami najbliżsi właściwie, którzy też wszyscy, oprócz jednej p. Jundziłłowej, zostali potem na kolacji. Wilno po burzliwych początkach karnawału arystokratycznego, który trwał ledwie tydzień czy jakichś dni 10, uspokoiło się i ucichło. Karnawał arystokratyczny ustał całkowicie i Wilno wyludniło się kompletnie z bawiącego się towarzystwa wielkoświatowego. W chwili obecnej całe to towarzystwo przeniosło się do Mińska, gdzie teraz odbywa się szereg zabaw. Wieczorki i bale, które są obecnie w Wilnie, są już całkiem demokratyczne. Bawi się inteligencja miejska, handlowcy, rzemieślnicy, szare tłumy ludności uboższej. Arystokracja znikła bez śladu. Ponieważ zaś Pruszanowscy mają stosunki towarzyskie tylko ze światem „dobrze urodzonych", ~~nie~~ a ze sferami właściwej inteligencji miejskiej, nie mówiąc już o niższych, nie mają żadnych znajomości, przeto pusto u nich i martwo i nudno na wtorkach. Dziś oprócz gospodarzy, to znaczy Kotuni, Czesława, Cliki i mniejszych dzieci domowych, byli tylko: c. Marysia Bohdanowiczowa, Hania Ordżina, p. Świętorzecka (Wolmerówna z domu), p. Jundziłłowa (Dowgiałłówna z domu), Marynka Wołodkowiczówna i z mężczyzn ja jeden. Chętnie bym uciekł od tego towarzystwa, ale Czesław tak zatrzymywał, że musiałem zostać na kolacji. Każdym razem, co się zetknę z ludźmi z t. zw. „towarzystwa", to znaczy z naszej szlachty ziemiańskiej, doświadczam obrzydzenia na skutek zepsucia i ~~[illegible]~~ wyrafinowanej perwersji ideowej tej klasy ludzi. Ile tchórzostwa, podłości, kłamstwa i aroganckiej bezczelności w głoszonych przez nich „ideałach" i poglądach! Trzeba ich widzieć „en famille", w ich środowiskach i kółeczkach własnych, gdy mówią otwarcie, gdy się nie potrzebują oglądać na audytorium ludowych i udawać filantropów! Z jakim nikczemnym tchórzostwem i brutalnością zarazem mówią o wielkich ruchach ludowych, o prądach demokratycznych, o usiłowaniach rewolucyjnych r. 1905, nie mówiąc już o socjalistach. Lud dla nich — to bydło, które o tyle tylko zasługuje na jakieś względy, o ile jest posłuszny i korny, ~~i~~ nie upomina się o żadne prawa swoje i znosi wszystko dla dobra panów. Boją się tego ludu, nienawidzą wielkie aspiracje, tłumiąc ideałami praw ludowych, z rozkoszą mieszają z błotem wszystko, co w ogóle wyrażają jakieś ideały inne, niż pasożytniczy ideał dominacji szlacheckiej. A stroją się sami natomiast w płaszcz [illegible] patriotyzmu i bohaterstwa, głosząc ~~[illegible]~~ skrajny antysemityzm i bojkot Żydów, jako rzekomych wyzyskiwaczy niewinnego ludu. Jeżeli wyzyskuje żyd-sklepikarz, to wyzyskuje dla uzyskania kawałka chleba, podczas gdy panowie, pędzący żywot pasożytniczy, na wyzysku opierają cały swój byt próżniaczy. Przy kolacji, przy koniaku z kawiorem, zajadając tłustego indyka, rozprawiają na temat bojkotu biednych, nędznych sklepikarzy-żydów dla rzekomej obrony ludu. „Medice, cura te ipsum!" Od imienia Ludu wara ci, próżniaku! Lud obronę swą zacznie od wyplenienia pasożytów, wszystkich jakichś [illegible] głośniej o swej dla niego miłości. Trzeba / zaś stwierdzić, że największymi pasożytami ~~[illegible]~~ u nas stają się wiejscy podżegacze przeciwko żydom i stają się natchnionymi apostołami bojkotu. Dlaczego? Dlatego, że zależy im najbardziej na odwróceniu uwagi i gniewu mas wyzyskiwanych i poniżonych od siebie. Elementy czynne i twórcze spośród tegoż ziemiaństwa są o wiele odsetkowo mniejsze od tej [illegible] wie od elementów postępowych w rodzaju Pruszanowskiego. Znamy jednak, że nasz lud litewski już dziś zna swego najwłaściwszego wroga i oszukać się nie da, ale lud białoruski a zwłaszcza najciemniejszy [illegible] leński, otumaniony przez księży, tego jeszcze zrozumieć nie zdołał. Antysemityzm szlachecko-klerykalny u nas [illegible] [illegible] od obecnego antysemityzmu [illegible] [illegible] w [illegible]. Tam podstawą jest konkurencja ekonomiczna; [illegible] i [illegible] [illegible], tu obłuda i płytka arogancka perwersja towarzyskiego pasożytnictwa.

30 stycznia / 12 lutego. rok 1913. Środa.

Przyszła wiadomość, że nocy dzisiejszej umarła ś.p. stara p. Justynowa Rosenowa z Sacraj. Staruszka miała już lat przeszło 80 i od lat 10 czy więcej była schorowana, tak że wyglądała ledwo na cień człowieka, ale jakoś ciągnęła bez końca i przeżyła o lat kilka męża. Była to, zdaje się, najstarsza z wieku osoba z pośród ziemian sąsiedztwa Bohdaniskiego.

Dziś po obiedzie zebraliśmy się u Krzyżanowskiego dla narady w sprawie sądu honorowego z 12 potentatami. Sąd ten ma się odbyć w sobotę. Zebraliśmy się wszyscy pięciu, stanowiący w komplecie stronę pozywającą, to znaczy Jan Piłsudski, Janulaitis, Mańkowski, Staniewicz i ja, wraz z arbitrami naszymi – Krzyżanowskim i Władysławem Malinowskim. Odczytaliśmy wspólnie, komentując szczegółowo, wszystkie dokumenty, dotyczące sprawy, to znaczy protokoły posiedzeń arbitrów w sprawie niedoszłego sądu między ks. Cyraskim a Doktorem Malinowskim, jednostronne oświadczenie b. arbitrów ks. Cyraskiego, „uchwałę" owych 12 pozwanych przez nas panów, artykuł Hłaski w „Kurjerze Litewskim", nasze oświadczenie zbiorowe, opublikowane w odpowiedzi na „uchwałę" 12 panów, wreszcie akt pozwu. Omówiliśmy wszystko szczegółowo i doszliśmy do wniosku, że jednak sprawa nasza stoi dość mocno i że nieprawdopodobna, aby wyrok sądu honorowego nie dał nam satysfakcji.

My z Janulaitisem oddawna już myśleliśmy o tym, że niezależnie od sądu honorowego z 12 panami, i że wypadnie jeszcze zareagować w jakikolwiek sposób na jednostronne oświadczenie b. arbitrów ks. Cyraskiego, które zostało opublikowane jednocześnie z uchwałą owych 12 panów a które mieści w sobie twierdzenia niemniej obrażające nas od twierdzeń „uchwały", paskudne i wręcz niezgodne z urzędowemi protokołami wspólnych posiedzeń arbitrów. Nie wiedzieliśmy tylko w jaki sposób zareagować nam wypadnie, bo pozwanie tych b. arbitrów Cyraskiego przed sąd honorowy mogłoby być już spóźnione. Aż oto Władysław Malinowski dał nam dziś projekt znakomity, ażebyśmy, mając moralne poparcie w wyroku sądu honorowego z 12 panami, wystosowali poprostu list otwarty do owych b. arbitrów ks. Cyraskiego, zarzucając im kłamstwo, obłudę i intrygi i ostro ich piętnując. To będzie istotnie najlepsze. Wszystko jednak będzie zależało od treści sobotniego wyroku sądu honorowego. Obawiam się, że wyrok ten będzie zbyt kompromisowy, zbyt łagodzący winę owych 12 panów.

31 stycznia.
13 lutego.
rok 1913.
czwartek.

Wyjazd Anny do Teodozji zdecydowany ostatecznie. Nie poszliśmy już z nią wcale do żadnego innego doktora, bo postanowiliśmy pierwej. Nic bowiem nowego nie dowiedzielibyśmy się, a czy początki suchot już są istotnie, czy też ich niema, — to w każdym razie wyjazd do Teodozji jest wskazany. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Anna jest bardzo osłabiona, wyczerpana i musi mieć bladaczkę. Wypoczynek, spokój zupełny przez parę miesięcy, klimat łagodny, ciepły, dużo słońca — wszystko to może jeno dodatnio oddziałać na ogólny stan zdrowia Anny, a jeżeli są przytem suchoty, to pobyt w Krymie będzie tymbardziej skuteczny. W każdym więc razie kuracja ta będzie dobra. Poza tym bardzo ważnym względem jest ten, żeby Anna przez czas jakiś wstrzymała się zupełnie od pożycia małżeńskiego i dlatego potrzebne jest oddalenie jej czasowe ode mnie. A skoro ma wyjechać, to już lepiej, aby wyjechała do Krymu, niż gdziekolwiek, zwłaszcza że już ten projekt jest ułożony i zapewniony.

Ale im bardziej się zbliża termin naszego rozstania, tym nam smutniej. Ja chwilami, gdy pomyślę, że przez 2 długie miesiące pozostanę bez Anny, doświadczam już z góry ostrych napadów tęsknoty i wrażenia pustki. Anna z ciężkim sercem myśli o tym oddaleniu i samotności, które ją tam czekają. Jest dla mnie tak serdeczna, tak tkliwa, jak tylko kobieta kochająca i to kobieta z taką duszą głęboką i wrażliwą, jak ona, być może. Pod wpływem tych nastrojów tęsknoty i smutku z rychłego rozstania dusza Anny wydaje ze siebie taką potężną moc miłości, taki zasób uczuciowości, że doprawdy czar jakiś i urok przemocny tryska, pełni się z każdego słowa, z każdego wyrazu jej twarzy, wejrzenia i ruchu i pochłania mnie w przedziwną sferę jakiejś nadludzkiej, poprostu siły ~~[illegible]~~ uduchowienia. Słowami mowy ludzkiej oddać tych wrażeń i nastrojów, tej ekspresji ducha — niepodobna.

Otworzyliśmy dziś z Anną skarbonkę naszą, do której od początku grudnia zaczęliśmy składać oszczędności moje. Dziś do skarbonki tej dorzuciłem grubą sumę 100 rubli na konto tych 900 rb., które mam jutro na rzecz honorarium mego otrzymać z wypłaty za las od Morgensterna. Po obliczeniu zawartości skarbonki (włącznie z tymi 100 rb.) suma oszczędności okazała się w kwocie 160 rb. 92 kop. Z tego połowa przeznaczona jest na założenie funduszika zapasowego nietykalnego, który ma być naszą wspólną z Anną własnością i ma być ulokowany w Banku Handlowym na imię Anny. Słabe to są oczywiście początki, ale zawsze stopniowo coś się przecie uzbiera a %% od tej sumki będą szły na utrzymanie Anny, co mi z czasem ulży w wypłacaniu jej pensji. ~~[illegible]~~ Druga zaś połowa oszczędności będzie szła na wydatki nieprzewidziane, jak np. obecnie koszta podróży mojej i Anny do Teodozji.

Wieczorem byłem na zebraniu Zarządu Lietuvių Dailės Draugijos u Żmujdzinowiczów. Praca towarzystwa tego rozwija się stale. Jest ciągły ruch; ciągłe pomysły nowe, które się wcielają w czyn. Oto po wydaniu w r. 1912 pięknego albumu krzyżów litewskich, stanowiącego wybitny przyczynek w naszym krajowym dorobku artystycznym, teraz jest w toku sprawa wydania książki o Czurlanisie z reprodukcjami dzieł jego. Jednocześnie towarzystwo organizuje zbiory na petersburską wystawę ludowego przemysłu domowego, organizuje, jak zwykle, swoją własną wystawę doroczną w Wilnie. W ostatnich czasach utworzyła się przy towarzystwie sekcja specjalna imienia Czurlanisa dla zajęcia się planowego spuścizną artystyczną po zmarłym i w szczególności dla uporządkowania i wydania jego utworów muzycznych. Wreszcie teraz powstał nowy projekt wydania przez towarzystwo albumu motywów litewskiego zdobnictwa ludowego, rzeczy pierwszorzędnej wagi kulturalno-artystycznej.

1 (14) lutego. rok 1913. piątek.

Wieczorem przyjechała dziś do Wilna Mama. Jakaż różnica
między zdrowiem Mamy obecnym a zdrowiem zimy zeszłorocznej.
Wtedy przyjeżdżała Mama zdenerwowana, schorowana, w stanie
wzburzenia, graniczącym omal z obłędem manji na gruncie
jakichś przeczuć klęsk materjalnych i t. p.. Potem zapadła Mama
na ciężką chorobę fizyczną całego organizmu, mającą źródło w
sercu. Połączenie choroby fizycznej z fatalnym stanem ner-
wów sprawiało, żeśmy się już obawiali śmierci Mamy. Mama
biedaczka była już o stanie ruiny. Teraz natomiast ma
się wcale dobrze, tak fizycznie, jak nerwowo. Poprostu
po chorobie zeszłorocznej odrodziła się, jak feniks z po-
piołów. ~~[illegible]~~ Właściwa geneza choroby Mamy zeszłoro-
cznej mieściła się w obawach z powodu niedochodzenia
do skutku działu spadku po ś. p. Babuni Tukałłowej.
Dokonania działu tego i udostępnienia przeto dla Ma-
my ciągnięcia grubych zysków ze sprzedaży lasu — uzdro-
wiło ją radykalniej i lepiej od wszelkich środków lecznic-
czych. Mama przyjechała ze służącą Ewką, odprowadzona
do Wilna przez lokaja Kazimierza. Do Wilna ciągną
Mamę wszak inne względy, niż Papę. Papa już teraz co
miesiąc regularnie wpada do Wilna, aby się zabawić,
użyć życia towarzyskiego i rozrywek, których pozbawiony
jest w samotności bohdanowskiej. W Wilnie lata po mieście
od świtu do nocy, jak młodzieniaszek, odwiedza setki zna-
jomych i krewnych, co wieczór jest w teatrze. Nagada się
przytem co niemiara, nikomu do słowa dojść nie da, wyleje
w słowach wszystko, co ma na sercu, wszystkie troski, żale
i skargi na dzieci, wszystkie wrażenia, spostrzeżenia i domysły,
nacieszy się, nabawi i znów wraca zadowolony, ale i zmęczo-
wany, zmęczony, na wieś, żeby utonąć na miesiąc w ciszy i sa-
motności, w dreptaniu zderackim po domu i w ulubionym spę-
dzaniu długich godzin rannych w lesie na dokonywaniu detali-
cznych sprzedaży leśnych włościanom. Mamę natomiast ciągnie do
Wilna przedewszystkiem obecność moja. Kocha mię Mama tkliwie pospolicie
i za największe szczęście poczytuje być przy mnie, czuć mię blisko
przy sobie. Tu wysiaduje [illegible], nie ruszając się z domu, cichutko,
licząc jeno odwiedziny sióstr swoich lub rozmaitych starych kumoszek,
od których zbiera ~~[illegible]~~ skwapliwie wszystkie nowinki, sensacyjne plo-
teczki i nieraz, złośliwe obmowy. Wtedy się Mama rozkoszuje i niczego
więcej do szczęścia nie pragnie, chyba tylko zaspokojenia przytem swego
łakomstwa. Teraz za wielkie bohaterstwo uważa Mama, że dotrwała w
Bohdaniszkach aż do lutego, a obecnie nie ruszy się już stąd do wios-
sny.

Jutro mieć będziemy nasz sąd honorowy z 12 panami. Domniemo, że sprawa
jest ciężka i ma dla nas wagę pierwszorzędną a bardzo jest ~~[illegible]~~ skomplikowana
i trudna do ~~[illegible]~~ osiągnięcia takiego rezultatu, jaki jest dla nas pożądany.
Zdaniem moim słusznym, jednak jestem spokojny. Spokój ten czerpię w pewnym
osobistym nastroju religijnym. Rzadko porusza w myślach moich ~~[illegible]~~ za-
gadnienia religijne, a jednak nie są mi one obce bynajmniej. Istotnie, byt Bo-
ga jest dla mnie zagadką. Tajemnicą jest cała głębia tych zagadnień Bytu i Boga,
ale tajemnicą myśli metafizycznej i wiary, do której wszelki racjonalistyczny wy-
wód myślowy intelektualnego [illegible] jakkolwiekbądź, ale z tym ideałem praw-
dy i sprawiedliwości, który istnieje w mojej świadomości metafizycznej, jestem
w tej sprawie jutrzejszej w zgodzie. Czy Bóg jest, jako siła żywa i czynna, [illegible]
tu [illegible] dla mnie jest tajemnicą. Ale Boga wszelkiego i karzącego, Boga formuły
prawnej a [illegible] opinji dawkowej [illegible] [illegible] i [illegible]
boję się więc i dla [illegible] Boga [illegible] i [illegible] naszych, [illegible] za [illegible]
[illegible] [illegible] i [illegible] z [illegible] formułą. Bóg jest albo jako siła
pierwotworzenia i [illegible], a w takim razie [illegible] jest mechaniczna, albo, jeżeli jest jako
czynny i żywy ideał prawdy i sprawiedliwości w [illegible] i ilości, to jestem wobec niego
w sprawie jutrzejszej z sercem czystym i otwartym, bo [illegible] sobie [illegible] i [illegible]. 35.

2 (15) lutego. rok 1913. sobota.

Dziś wielki dzień sądu honorowego w głośnej sprawie naszej, t. j. nas pięciu b. arbitrów Donata Malinowskiego, z dwunastu panami, którzy ogłosili w „Kurjerze Litewskim” i „Gazecie Codziennej” komunikat pod tytułem „Uchwała grona obywateli”, zawierający fałszywe i obraźliwe dla nas twierdzenia o naszej roli, jako arbitrów w niedoszłym sądzie honorowym. O godz. 7 wieczorem w wielkiej sali dyrekcji w lokalu Banku Ziemskiego zasiadł sąd w osobach superarbitra Aleksandra Lednickiego i arbitrów ze strony naszej t. j. pozywającej – Bronisława Krzyżanowskiego i Władysława Malinowskiego, i ze strony pozwanej – Aleksandra Meysztowicza i Ignacego Witkiewicza. Ze stron obecni byli na sądzie: z naszej strony Augustyn Janulaitis, Józef Mańkowski, Michał Sławiński i ja (Stetkiewicz? nie przyszedł ze względu na chorobę żony), ze strony zaś 12 panów wybrani przez nich przedstawiciele z ich łona, p. p. Tadeusz Dembowski, Maksymiljan Maliński, ks. Józef Songin i Adolf Zubrzycki. Z naszej strony do referowania sprawy byłem wyznaczony przedewszystkiem ja i dodatkowo Mańkowski. Gdy przyszło do referowania, to znaczy do uzasadnienia oskarżenia, jakie wobec sądu zgłaszamy względem tych 12 panów, zabrałem głos, ale choć byłem dobrze z góry przygotowany i miałem w głowie cały arsenał argumentacji, jednak brakło mi entuzjazmu, podniecenia, a nawet i sympatji w procesie myślenia i wykładu. Atmosfera sądu była jeszcze nudna, blada i ospała, to też nudne, blade i rozwlekłe wydawało się moje pierwsze przemówienie. Zainteresowania nie obudziłem, a nawet i wrażenia korzystnego nie wywołałem. Wypowiedziałem właściwie wszystko, ale tak, że w umysłach sędziów argumentacji mojej wyryć nie zdołałem. Po mnie przemówił Mańkowski – też blado, rozwlekle i nieinteresująco. Potym nastąpiło odczytywanie dokumentów, a więc autentycznych protokółów posiedzeń niedoszłego sądu między Donatem Malinowskim a ks. Cyrskim, dalej jednostronnego orzeczenia b. arbitrów ks. Cyrskiego w opublikowanym ich liście do wiadomości ogółu, dalej artykułu Ł. [illegible] z „Kurjera Litewskiego”, dalej artykułu D. Malinowskiego z „Viltis”, dalej słowa tej inkryminowanej „uchwały grona obywateli”; wreszcie naszego oświadczenia zbiorowego w pismach. W toku tego atmosfera się znacznie ożywiła. Gdy zaś potym zabrał głos Maliński, który był jakby generalnym mówcą strony pozwanej, nastrój żywego starcia ogarnął zebranych. Wzbudziły się we mnie fantazja, werwa, lotność myśli. W replice mojej na mowę Malińskiego argumentacja tryskała całą siłą logiki i przekonania z całą jędrnością wyrazów i myśli, ścisłością określeń i twierdzeń. Replika ta udała mi się znakomicie, trafiła w samo sedno rzeczy, zainteresowała i wywołała wrażenie dodatnie na sędziach. Mańkowski, który znów przemawiał po mnie, mówił znowu blado i rozwlekle, a co gorsze – powiedział nieopatrznie kilka rzeczy niepotrzebnych, mogących jego zaszkodzić naszemu stanowisku. Mówił znowu potym Maliński, znowu replikowałem mu udatnie i z werwą, przemawiał trochę, ale nie bardzo do rzeczy, Dembowski, odezwał się i Janulaitis. Przemówienie moje w obu replikach, zwłaszcza pierwszej, było niespodziewanie udatne i wyraziste – należy do najlepszych przemówień, jakie kiedykolwiek miałem.

Maliński w przemówieniach swoich nastawał na słuszności i zasadności twierdzeń o odrzucaniu przez nas sprawy na niedoszłym sądzie między D. Malinowskim a ks. Cyrskim, to znaczy potwierdzał całkowicie wszystko to, co w „uchwale grona obywateli” było skierowane do nas. Przytym, chcąc zyskać przewagę moralną nad nami i licząc na efekt wymowy, wsplótł sporo rzeczy nastroju lirycznego na temat pokrzywdzenia ks. Cyrskiego przez obelżywość D. Malinowskiego oraz [illegible] cnotliwego obowiązku obywatelskiego, jaki kierował tymi 12 panami, występującymi w swej „uchwale” do walki z praktykami znieważania czci ludzi, [illegible], napastowanych przez wrogów przeciwników politycznych. Rozwodził się o tym, choć to nie należy do rzeczy, że my w niedoszłym sądzie honorowym działaliśmy nie w charakterze rzeczników obrony D. Donata Malinowskiego i jego twierdzeń, jeno w charakterze sędziów, arbitrów, to znaczy tych, który mają objektywnie istotę zatargu zbadać i wydać orzeczenie. Że zaś ten sąd do skutku nie doszedł, to wynikło z przyczyny niedającej się usunąć różnicy mandatów, to znaczy objektu sądzenia, między nami a arbitrami ks. Cyrskiego, podczas gdy „uchwała grona obywateli” robi nas wspólnikami D. Malinowskiego w jego zarzutach, skierowanych do ks. Cyrskiego, i winą za niedojście do skutku sądu składa na nas, „rzekome „uchylanie się” przez nas sprawy. Najparadoksalniejszym w przemówieniu Malińskiego był patetycznie wypowiedziany zarzut, że właściwość naszej tendencji inkwizycyjnej potwierdza się tym, że oto obecnie pociągnęliśmy tych 12 panów przed sąd honorowy za swobodę [illegible] i jawnie wypowiedzianej ich opinji, w której dali jeno ocenę pewnego zjawiska życia publicznego; jest to zamach na obywatelską swobodę wypowiadania opinji; tu dodał on, że z przykrością, zdobyliśmy się czasach [illegible], zechcieliśmy my, wrogowie inkwizycji, powlec na stos tych panów, ale że szczęśliwie żyjemy w czasach innych, czasach swobody i jawności opinji. Jakże brzmią dziwacznie te słowa o swobodzie w takich ustach! Oni – w większości swej hołdownicy obłudy, a on, Maliński, karjerowicz typowy, wyznawca bez żadnej wiary i żadnego znaku, z pośród obłudników obłudnik i [illegible] największy! Oni – wdowi przysięgli [illegible] jawności i światła, cały wiek obłudnej opinji, stary, uprawiający gierki i afery, stojąc w ciemności z workiem plotki! Takimi są oni w naszym prawie w [illegible] lub [illegible], a potrzeby stroją się w płaszcz frazesu idealistów wolności! Odpowiadając Malińskiemu, wypowiedziałem w szczególności i na tej frazesowe, „wolnościowe” argumenty. Twierdziłem stanowczo, że nikt z nas o tłoczenie [illegible] nie myślał. Wolności ich opinji nie tłumimy i nie zaprzeczamy im prawa wypowiadania takowej. Ale wolność ta i jej [illegible] wnosi [illegible] obowiązek odpowiedzialności za twierdzenia, zawarte w ogłoszonej opinji. Nie domagaliśmy się zmiany takiej lub innej opinji tych panów o nas. Mają też i inną opinię o każdym z nich, jak wolno mieć [illegible] i im o nas taką, jaką się podoba. Ale jeśli w ogłoszonej „opinji” [illegible] przytoczyli nieprawdziwe fakty, które [illegible] [illegible]

 [illegible]

3 (16) lutego rok 1913. Niedziela.

Dziś zapadł wyrok sądu honorowego. Wczoraj w toku rozpraw, z pytań, które zadawali sędziowie, zwłaszcza zaś superarbiter Jedlnicki, widoczna była myśl przewodnia jego, że zatarg ten jest wynikiem nieporozumienia. W myśl tej interpretacji Jedlnickiego należałoby tak rzecz rozumieć, że z naszej strony, jako arbitrów Donata Malinowskiego w niedoszłym sądzie z ks. Cyrskim, nie było odwracania sprawy, jak twierdziła „uchwała grona obywateli;" były natomiast pewne błędy formalne, jak np. niepotrzebny dopisek w protokole, zamieszczony po postanowieniu o rozwiązaniu sądu, o tym, iż moglibyśmy wziąć udział w sądzie na zasadzie pierwotnego mandatu naszego i bez ponownego porozumienia się z Malinowskim; że te błędy nasze, acz merytorycznie stanowiska naszego nie zmieniały, jednak mogły dać pozór dla takiego komentowania naszej intencji, jakie się mieści w „uchwale grona obywateli;" że więc ci 12 panów, acz jakkolwiek popełnili pomyłkę i niesłusznie posądzili nas o chęć odwracania sprawy, jednak oszczerstwa nie popełnili. Taka była widoczna myśl przewodnia Jedlnickiego, to też spodziewałem się wyroku w tym guście. Arbiter strony przeciwnej, Meysztowicz, też wyraźnie w tym kierunku zwracał interpretację sprawy, podkreślając jednak błędy formalne stanowiska naszego, jako podstawę logiczną dla konkluzji twierdzeń 12 panów.

Ułożenie wyroku trwało bardzo długo. Toczyła się walka gorąca między arbitrami naszymi a strony przeciwnej oraz Jedlnickim, który usiłował prowadzić sprawę bezstronnie i kierować do usprawiedliwionego kompromisu. Sąd się ciągnął wczoraj od północy do godz. 3 ciej i dziś od godz. 11½ rano do godz. 3 popołudniu. Koło godz. 3 wyrok został ogłoszony. Wyrok długi; rezolucja właściwa poprzedzona jest obszerną motywacją. Motywy układają się w następującą argumentację: w spełnianiu przez nas czynności arbitrów w niedoszłym sądzie honorowym były istotnie pewne niedokładności; niedokładności te wyraziły się mianowicie w tym, że nie określiliśmy kompetencji sądu w formie pisemnej i że mandaty odbieraliśmy od Donata Malinowskiego każdy z osobna, co spowodowało niejasność stanowiska naszego i konieczność dla nas ponownego porozumienia się z mocodawcą, zaś wobec niemożności porozumienia się zerwanie sądu, i że okoliczność ta stawiała stronę przeciwną, ks. Cyrskiego, w trudnej sytuacji; niedokładność ta była wszelako li tylko natury formalnej (nieuwzględnienie formy niezbędnej); druga niedokładność było niepotrzebne wpisanie do protokołu, już po stwierdzeniu wespół z arbitrami ks. Cyrskiego nieuniknionego rozwiązania sądu wobec różnicy mandatów, — tego, że w zakresie naszego mandatu moglibyśmy brać udział w sądzie i bez ponownego porozumienia z mocodawcą. Dwie więc wzmianka zostały niedokładności w naszym postępowaniu: jedna określona została, jako nieuwzględnienie niezbędnej formy, druga — jako rzecz niepotrzebna. Dalej wyrok stwierdza, że to mogło rzucić „niesłuszne" oświetlenie na nasze cele i zamiary, ale iż wobec oświadczeń naszych na sądzie obecnym i po merytorycznym zbadaniu sprawy, „nie może być mowy" o tym, abyśmy identyfikowali siebie z Malinowskim i że natomiast należy stwierdzić, że działaliśmy nie w charakterze rzeczników obrony D. Malinowskiego, lecz w charakterze sędziów w całym znaczeniu słowa. Z tego więc całego okresu argumentacji dają się wysnuć twierdzenia takie, że chociaż w postępowaniu naszym niedokładności natury formalnej, to jednak nie wpływały one i nie zmieniały merytorycznie charakteru naszego stanowiska sędziów arbitrów — to grunt. Dalej wyrok stwierdza, że inkryminowane przez nas 12 panom ich twierdzenia, zawarte w „uchwale grona obywateli," dawały powód do posądzania nas o ukryte cele i zamiary zerwania sądu między D. M. a ks. Cyrskim i niedopuszczenia takowego wytłumaczenia, interakcji(?) i na korzyść naszego mocodawcy. A więc określił że dla nas posądzenia, które po zbadaniu sprawy przez obecny sąd honorowy okazały się niezgodnemi z istotną intencją naszą i z objektywnym przebiegiem sprawy, miały rzeczywiście punkt oparcia w twierdzeniach „uchwały grona obywateli." Dalej wyrok stwierdza, że, acz kolwiek były powyższe niedokładności w naszym postępowaniu, które mogły niesłusznie oświetlić nasze intencje, jednak do tego rodzaju posądzeń, jakie się dają wysnuć z „uchwały grona obywateli", niedokładności te „nie upoważniały", tym bardziej że w protokole niedoszłego sądu, podpisanym bez zastrzeżeń przez arbitrów obu stron, wskazana została wyraźnie przyczyna niedojścia do skutku sądu, mianowicie — niedająca się ustalić kompetencja sędziów obu stron, nie zaś nasza zła wola. Taka jest motywacja wyroku. To znaczy: niedokładności z naszej strony były, ale natury formalnej i takie, które nie spaczyły naszego objektywnego stanowiska sędziów; niedokładności te nie upoważniały do wniosków, które dają się wysnuć z „uchwały grona obywateli." Przez to samo zostały potępione twierdzenia „uchwały" tych 12 panów, jako bezpodstawne, nie wynikające logicznie nawet z niedokładności popełnionemi przez nas. A jednak oszczerczemi twierdzenia te uznane nie zostały, bo w motywach wpisany jeszcze punkt ostatni o tym, że 12 panami nie kierowała zła wola ani subjektywna chęć obrażania nas (co nas zresztą bardzo mało obchodzi).

Po tej motywacji, którą tu analitycznie streściłem, następuje właściwa rezolucja, sformułowana w brzmieniu następującym: „Sąd uchwala: 1) uznać, że sprawa niniejsza wynikła z jednej strony na skutek „niedokładności w postępowaniu powyższych, jako byłych arbitrów p. D. Malinowskiego, z drugiej przez niezgodną „z ich istotną intencją i z wyjaśnionym na sądzie przebiegiem sprawy interpretację tego postępowania". Dalsze punkty rezolucji merytorycznie sprawy nie dotyczą. W rezolucji tej podkreśliłem te słowa, które mają dla nas znaczenie zasadnicze i dają nam satysfakcję. Tekst rezolucji jest kompromisowy i traktuje rzecz ze stanowiska nieporozumienia, ale w istocie rzeczy wyrok wykluczył nieporozumienie, skoro uznano, że interpretacja naszego postępowania w „uchwale grona obywateli" jest niezgodna z przebiegiem sprawy, tym bardziej że w motywach wyroku wykazane zostało, że niedokładności nasze nie upoważniały do takiej interpretacji. Z tych względów wyrok dzisiejszy uważam za zadowalający. Kompromisowość jest raczej jego formą, niż treścią. Gdy jest on czytany jednym tchem, to istotnie robi wrażenie kompromisowego, bo o tych niedokładnościach naszych mówi się dość długo, to stawia — w pierwszej części wyroku, przez co [illegible] niedokładności te [illegible] arbitrów [illegible]; ale analiza wyroku jest o wiele korzystniejsza dla nas, niż dla 12 panów. Pod wieczór w restauracji Zorza zaprosiliśmy Jedlnickiego na pogawędkę przy kawie.

4 (17) lutego.
Rok 1913.
poniedziałek.

Z wczorajszego wyroku sądu honorowego jestem osobiście zupełnie zadowolony. Jeżeli go zanalizować, jak to zrobiłem w tym dzienniku pod datą wczorajszą, to się okazuje, że ci porwani przez nas panowie w swej pompatycznej „uchwale grona obywateli" ogłosili twierdzenia, skierowane do nas, niezgodne z istotnym objektywnym przebiegiem sprawy, którą rozważali. Postąpili więc conajmniej lekkomyślnie. Zważywszy, że ci panowie stanowią sam wybór, tę „śmietankę" sfer, kierujących opinją publiczną, i że ta „uchwała grona obywateli" była inscenizowana z taką [illegible] dekoracją niezachwianej powagi i nieomylności i że na niej fundowano już nie tylko obronę ks. Cyraskiego, ale jakąś wielką kampanję przeciwko rzekomemu spiskowi wrogów Kościoła, polskości i prawości obyczajów, to teraz, po stwierdzeniu przez bezstronny sąd honorowy lekkomyślności orzeczeń tych panów, cała zainscenizowana afera upada, jak bańka mydlana. Jest to bądź cobądź kapitalna klapa nie samej tylko „uchwały grona obywateli", ale całej tej machinacji politycznej, która „uchwałę" tę dla swych celów stworzyła i z niej narzędzie swe zrobiła. Oczywiście oszczerstwo przez sąd honorowy uznane nie zostało w postępowaniu tych panów, choć wszyscy ich właśnie pod zarzutem oszczerstwa pozwali. Ale tego trudno było nawet żądać. Trzeba olbrzymiej niezależności, odwagi sędziów — i bardzo jaskrawych dowodów w zachowaniu się podsądnych, aby orzec o takich powagach, o ludziach tak wpływowych i silnych, jak prezydent miasta Węsławski, jak Kościsza, jak Zmaczyński, Struszniełło, ks. Czerniawski, Restytut Szmorok i t.d., że są oszczercami. Trzeba znać i rozumieć wagę tych ludzi w Wilnie, ich wpływy, zwartość i zachłanną potęgę ich kliki, dzierżącej samowładnie całe miasto i całą przemożną opinję w ręku, aby zrozumieć, jaki twardy orzech mieliśmy do zgryzienia i przeciwko jakiej sile porwaliśmy się do walki, acz w obronie własnej. Stwierdzenie lekkomyślności w działaniu tych panów — to już dla nas zwycięstwo wielkie a dla nich cios dotkliwy. Narazie, słuchając jednym tchem odczytywany wyrok, otrzymuje się istotnie dla nas pewne wrażenie niezupełnie dodatnie. Wyrok bowiem jest długi i na początku dość szczegółowo wytknięte są niedokładności, które były z naszej strony. Dlatego też Janulaitis, Iłżewicz, Mańkowski — odnieśli wrażenie ujemne, jakgdyby sąd nas potępił. Wyrok jest tak zredagowany, że trzeba mieć zmysł krytyczny, aby, przy odczytywaniu go jednym tchem, pochwycić jego treść objektywną, zasadniczą, potępiającą tych 12 panów. Czytanie uważne wyroku, a tym bardziej analiza dokładna, — rozpraszają wszelkie pozory i nie zostawiają wątpliwości co do istotnej wartości i sensu wyroku. To też Janulaitis i Iłżewicz, gdym im wyrok przeanalizował, zostali zupełnie zadowoleni. Olchinowskiego nie wiem, bo z nim o tym nie mówiłem, ale ponieważ jest on znakomitym analitykiem, nie wątpię, że zrozumie wyrok należycie i będzie zadowolony. Mańkowski tylko kręci nosem, nie daje się przekonać i uważa wyrok za wykrętny i jezuicki. Ale bo Mańkowski nie ma zbyt wysokiego zmysłu analitycznego i jest jeszcze człowiekiem niedojrzałym, zapaleńcem, nie rozumiejącym wszystkich złożonych arkanów życia. Naiwnością byłoby sądzić, że w naszych warunkach można jedną sprawą honorową osiągnąć całkowitą bezwzględną satysfakcję choćby dla sprawy najczystszej z przeciwnikiem tak wpływowym, tak uprzywilejowanie władającym [illegible], że jednym wyrokiem da się radykalnie złamać i obalić zło tak zakorzenione i tak mocne, jak władza obłudnej, zwartej, głęboko zakorzenionej kliki. Pozyskać na taką klikę wyrok miażdżący, bezwzględny — nie łatwo, zwłaszcza że taki wyrok tylko wtedy będzie miażdżący, gdy wydany będzie też przez ludzi wpływowych i znanych. Wyrok, wydany jednogłośnie przez ludzi czystych, nieskażonych, nieznanych — zwycięstwa nie da. A żeby był wydany niejednostronnie, ale aby i strona przeciwna wzięła udział w doborze sędziów, a na sąd trzeba z osób li tylko niezależnych i nieliczących się z powagą kliki, [illegible] ona się nie zgodzi. W dodatku nie jesteśmy społeczeństwem wolnym. [illegible] kliszy — kierunek niewoli, mamy duże [illegible] ratyfikacji protekcjonizmu, [illegible]. Niewielu jest u nas ludzi wolnych, o wolnych sumieniach i społecznie uobywatelnionych. W tych warunkach walka jest ciężka. Opozycję trzeba tworzyć, trzeba ją wyrabiać, kształcić, nie zaś polegać na gotowej [illegible]. Wyrok wczorajszy jest właśnie jednym z takich aktów tworzenia opozycji.

Znów jestem bardziej zaniepokojony o Annę. Miewa ona bardzo ostre bóle w okolicy żołądka, ciągłe, systematyczne. Nie mogą się one stosować do ewentualnego procesu tuberkulicznego w płucach, bo proces ten zaczyna się zawsze od wierzchołków płuc, nie zaś u dołu w okolicy żołądka. Bóle w żołądku ma Anna zwłaszcza po jedzeniu i gdy się położy. Oprócz tego cierpi na bezsenność z wieczora, co wszystko razem bardzo ją osłabia. Wygląda bardzo mizernie. Natomiast kaszel jest w ostatnich czasach o wiele słabszy, gorączki też niema. Sam nie wiem — może wcale suchot niema, a jest jeno ostra anemja, połączona z jakimś specjalnym cierpieniem wewnętrznym czy też chronicznym żołądkowym. Może wyjazd do Teodozji jest wobec tego zbyteczny, może o co innego chodzi i zupełnie inna jakaś, specjalna metoda leczenia stosować należy. Wobec tego postanowiłem zaprowadzić jeszcze jutro Annę do dr. Jabłonowskiego.

5 (18) lutego rok 1913. wtorek.

Poszliśmy dziś z Anną przed południem do Dr. Jabłonowskiego, jednego z lepszych wileńskich specjalistów chorób wewnętrznych. Doktor po zbadaniu Anny stwierdził, niestety, że proces tuberkuliczny jest już w wierzchołkach obu płuc, wobec czego uznał wyjazd do Krymu za bardzo pożądany a nawet konieczny i to jaknajprędzej. Tak więc klamka zapadła: do Teodozji jedziemy — w piątek. Ja tylko ją odprowadzę, zaopiekuję się na miejscu i zalokuję, a Anna zostanie tam na parę miesięcy. Dr. Jabłonowski nie radzi Annie wracać do Wilna przed majem. Doktor twierdzi, że suchoty są u Anny w stadjum dość szybkiego rozwoju, stan więc jest niepokojący. Co do bólów żołądkowych, to doktor przypuszcza, że w żołądku jest pewne owrzodzenie, które może pochodzić od przełykania flegmy, zarażonej tuberkułami. Zalecił więc wody Vichy oraz djetę żołądkową, polegającą na unikaniu pokarmów mięsnych i wogóle stałych, i na odżywianiu się przeważnie takimi pokarmami, jak mleko, kaszki przeróżne i t. p., na co jednak Anna się krzywi. Biedaczka moja. Sądzę, że jeżeli istotnie Anna ma suchoty w stadjum dość ostrym, to początki takowych muszą sięgać jeszcze zimy zeszłorocznej, bo już od zimy Anna zaczęła mizernieć i słabnąć, a już w Libawie latem, gdym był u niej i odbył z nią podróż do Rygi i Windawy, była ciągle osłabiona. Potym w jesieni, gdy do Wilna wróciła, naprzód była mocniejsza, lecz wkrótce znów chorzeć zaczęła, a koło Bożego Narodzenia zaczęła doświadczać ostrych bólów głowy i wogóle osłabła bardzo, odtąd zaś jest wciąż słaba i wciąż chora. Mam nadzieję, że klimat Krymu południowego i słońce krymskie pomogą jej. Ciężkie nam będzie to rozstanie, ale obyż się opłaciło zdrowiem Anny. Kochamy się z nią tak serdecznie i tak się cenimy nawzajem, że związek ten nasz jest nam ostoją we wszystkich cierpieniach i strapieniach życia. Tymbardziej się niepokoję o Annę moją.

Wieczorem byłem dziś przez godzinkę u wujostwa Wołodkowiczów. Zdaje się, że wuj już dogorywa. Od 2 przeszło lat się męczy i niewiadomo, co mu jest. Zaczęło się to od bólów w dolnym krzyżu. Teraz nie może już ani wstawać, ani siedzieć. Jedynym ciągiem jęczy żałośnie, stęka, woła doktora, coś mówi, chwilami bez przytomności. Jedynie morfina w dużych dozach, którą mu zastrzykują 3 razy dziennie, [illegible]. Teraz mu [illegible] wystąpiła i wyszła na ciele plama ciemno-czerwona, która się powoli rozrasta. Zdaje się, że to gangrena.

6 (19) lutego rok 1913. Środa.

Dziś wieczorem odbyło się u mnie zebranie dla poufnej pogawędki polaków z litwinami. Oddawna, gdy omawiane były u nas (przeważnie w grupie przeglądowej) kwestje, wynikające z obecnej sytuacji międzynarodowej, — czyli t. zw. kwestja orjentacji, zwracałem uwagę na to, że ponieważ nam chodzi o zajęcie stanowiska krajowego, ponieważ rozumiemy, że dla określenia naszych dążeń należy nam uwzględnić całokształt stosunków krajowych i wysunąć z nich potrzeby rozwojowe mas litewskich oraz wskazania odpowiednie, musimy przeto w pierwszej linji nawiązać kontakt i porozumieć się z demokratyczną ludową inteligiencją litewską, jako wyrazicielką najbardziej świadomego i czynnego elementu mas ludowych w kraju — mianowicie włościaństwa litewskiego. Większość grupy przeglądowej wszakże zapatrywała się na to sceptycznie, sądząc, że wyglądałoby to na proszenie z naszej strony jakiegoś glejtu, jakiegoś przyzwolenia — od litwinów; że obniżałoby to poniekąd naszą godność i pozbawiałoby nas samodzielności, zaprzeczałoby wreszcie przez nas zasadzie o tym, że stanowimy w kraju jeden z elementów rdzennych, mających prawa obywatelskie równe z litwinami czy białorusami. Te względy przeciwko jakiemuś przedwczesnemu porozumieniu z litwinami wysuwali zwłaszcza Zyg. Jankowski, Ludwik Abramowicz, a dalej Adolf, Turski, inni. Witold Abramowicz, który coraz bardziej wysuwa się na czoło grupy przeglądowej, jako jej leader właściwy, był właściwie zawsze zwolennikiem porozumienia z litwinami, ale primo nie chciał zbytnio nalegać na tym wobec pewnego oporu większości, secundo zaś uważał, że wpierw my powinniśmy sami wyłożyć pewne wyraźne postulaty a przynajmniej zarodek takowych, aby porozumiewanie z litwinami nie było tylko czczą gawędą. Do tych uprzedzeń i obaw przyczyniła się w dużym stopniu powzięta à priori przez nas opinja o tym, że u litwinów kwestja ta jest przesądzona i ustalona i że mianowicie odnoszą oni stanowczo w chwili obecnej wszelkie tendencje, skierowane przeciwko państwowości rosyjskiej na gruncie obecnych komplikacji międzynarodowych, a to ze względu na niebezpieczeństwo państwowości pruskiej, które Litwie zagraża a które uważaliby oni dla siebie i narodu swego za klęskę. Do dnia dzisiejszego zdawało się nam wszystkim, że u litwinów sprawa ta jest przesądzona i zupełnie wyraźnie rozstrzygnięta i że litwini pokładają ewentualnie nadzieję i sympatje li tylko w wewnętrznej rewolucji rosyjskiej, lecz w żadnym razie nie w zmianie przynależności państwowej. W takim mniemaniu o usposobieniu litwinów utwierdziły nas poszczególne spostrzeżenia, przede wszystkim więc znany artykuł Jinki w jednym z grudniowych NN „Lietuvos Žinios", następnie zaś pewna dyskusja grona osób, które się odbyły w grudniu na ten temat, a na której z litwinów obecny był Sławenas i przemawiał wyraźnie w duchu wyżej wskazanym. Ja sam też z niektórych poszczególnych spostrzeżeń i wniosków, wyciągniętych z przelotnych rozmów z litwinami, miałem o nich te przekonanie, i przyczyniłem się z pewnością do ustalenia w naszej grupie tego rodzaju mniemania, liczono bowiem na moją znajomość stosunków litewskich. W każdym razie wszakże ja i niektórzy inni, acz kolwiek nie za ścisłej grupy przeglądowej, ale z pokrewnych odcieni demokratycznych, jak Bagiński, dr Bogusławski, uważaliśmy, że tym bardziej my nie powinniśmy porozumieć się z litwinami bezpośrednio, aby wyklarować sobie szczere podstawy, na których opierać mogą taką lub inną orjentację, i przynajmniej uczciwie poinformować siebie wzajemnie o sympatjach i nastrojach, nurtujących tak w polskich, jak litewskich kołach demokratycznych. Okazało się, że myliliśmy się w wszystkich wnioskach co do stanowiska litwinów; dotąd bowiem w żadnej grupie litewskiej kwestje te nie były omawiane specjalnie i żadnej ustalonej orjentacji litwini dotąd nie mają; nie ma też bynajmniej pewności, że ostatecznie opowiedzą się oni po stronie państwowości rosyjskiej.

Zebranie więc dzisiejsze zwołane było z inicjatywy mojej i Bagińskiego. Zaproszonych było 9 polaków i 9 litwinów z rozmaitych poszczególnych grup demokratycznych. A więc polacy: z grupy przeglądowej Witold i Ludwik Abramowiczowie, Pilecki, Zygm. Jankowski, z [illegible] przeglądowej Zasztowt, jun., z „Kurjera Krajowego" Mańkowski, z esdeków jedyny bodaj ocalały egzemplarz Bagiński, wreszcie stojący poza wszelkiemi grupami dr Bogusławski. Litwini: esdeków trech — Michał Biržiška, Kairys i Janulaitis, z partji demokratycznej był poseł Bułat, redaktor Sławicz i popularny ustosunkowany Jan Vileišis, dalej bezpartyjny, a ciążący do esdeków, ale zawsze samodzielnie myślący Stanevičius (?), również bezpartyjny a posiadający dużo wpływów, szef redakcji naukowej litewskiej Vilniaus, wreszcie bezpartyjny, mało się polityką zajmujący, ale postępowy — malarz Antoni Żmujdzinowicz. Oprócz Pileckiego, Zasztowta, Sławenasa, wszyscy przybyli. Na przewodniczącego powołano Kairysa. Litwini stawili się z zupełnie pierwszą na tym posiedzeniu gotowością, co bardzo zaimponowało polakom. Narazie obrady szły ciężko. Ja zagaiłem zebranie, uzasadniając racje zwołania takowego, potym Bagiński w kilku słowach omówił sam temat obrad i wykazał wstępliwości, rozbieżności i wahania w nastrojach demokratycznych grup polskich w kraju na gruncie tego zagadnienia orjentacji. Ale z litwinów nikt głosu nie zabierał. Nikt z nich nie decydował się przemówić za innych, bo sami kwestje te nie były przedyskutowane. Po krótkiej przerwie zabrali głos bracia Abramowiczowie: Ludwik opowiadał o przygotowaniach powstańczych w Galicji, o nadziejach, nastrojach i tendencjach w Polsce; Witold mówił raczej, że o których, zdaniem jego, demokracja krajowa w Litwie winna się tu opowiedzieć, przeciwko państwowości rosyjskiej. Wtedy z litwinów zabrali głos J. Vileišis i Bułat. Obaj, można z ich nastroju zaznaczyć, wypowiedzieli się w kierunku przeciwrosyjskim, nie bojąc się nawet ewentualnej [illegible] prusackiej [illegible], ustalone zostało w każdym razie to, że powstanie polskie, jako takie [illegible] by to Litwie nie szkodziło [illegible] i wspólne, że orjentacja powinna być orjentacją krajową, co nie wyklucza oczywiście powodzenia [illegible] polacy mogą — [illegible] powstanie polskie [illegible] i dalej ustalono potrzebę [illegible] w [illegible] grupie osobno kwestje [illegible] litewskie i [illegible] ponowne w szerszym zebraniu, [illegible] wobec czego zebranie dzisiejsze ma być [illegible]

7 (20) lutego.
rok 1913.
czwartek.

Miałem dziś w sądzie obronę karną dość niepospolitą. Bronić mi wypadło rozbójnika i koniokrada, niejakiego Żełudkowskiego, oskarżonego wespół z innymi o dokonanie kradzieży konia. Sprawa nie byłaby osobliwa, gdyby nie to, że Żełudkowski sam się przyznał do kradzieży, sam właściwie z własnej ochoty całą sprawę wszczął, bo siedząc w więzieniu pod zarzutem innej zbrodni wezwał do siebie urzędnika policyjnego i opowiedział mu szczegółowo o ~~[illegible]~~ popełnionej kradzieży konia, wydając wszystkich wspólników takowej, sam na sądzie się do winy przyznał i potwierdził szczegóły, zaprzeczając jeno teraz udziału innych współoskarżonych, i wreszcie obojętnym mu było, czy zostanie skazany i na jaką karę, bo z góry wiadomym było, że żadnej kary faktycznie stosować doń nie będą, bo świeżo został on już skazany za cały szereg innych popełnionych zbrodni (zabójstwo, koniokradztwo, okradzenie kościoła i t.d.) ~~na~~ na lat 20 katorgi, przez co wszelka kara, jakąby mu teraz wymierzono, ~~zost~~ musi zostać pochłonięta przez tę katorgę i stosowana nie będzie. Moja więc rola na sądzie była właściwie żadna. Bronić go musiałem tylko z urzędu — bez żadnej potrzeby i celu. To też głupio się czułem i tylko z konieczności, dla formalności tylko, wysiedziałem na sprawie i przemówiłem kilka słów bezcelowych, prosząc ~~[illegible]~~ ławę przysięgłych o wyrozumiałość dla zbrodniarza. Zbój to zdeklarowany, cyniczny, świadomy fachu swego, wolny od jakichkolwiek skrupułów.

Całą resztę dnia zajęty byłem jednym ciągiem sprawdzaniem rachunków rocznych i układaniem sprawozdania kasowego Lietuvių Dailės Draugijos. Za 10 dni bowiem odbędzie się doroczne walne zebranie członków towarzystwa. Ponieważ zaś jutro wyjeżdżam z Anną do Teodorji, skąd potem mamy jeszcze przed powrotem do Wilna zajechać do Wiarowca, więc na zebraniu tym nie będę i muszę przeto sprawozdanie kasowe wykończyć teraz. Jest to robota pięciodniowa męcząca, nudna i ciężka, bo rachunki te są skomplikowane i dużo. Są osobne konta takie jak wystawowe, premijowe, osobne funduszu im. Čiurlionisa, ~~[illegible]~~ konta depozytowe i t.d. Nie cierpię rachunków a tu' mimo to sam jestem [?] w nich po uszy — w dodatku skomplikowanych porządnie. Kasjer Liet. Dailės Draugijos wkrótce już chyba będzie musiała [illegible] płatnego sekretarza do rachunków

8 (21) lutego. rok 1913. piątek.

Dziś nastąpił dzień naszego wyjazdu z Anną do Krymu.
Rano zająłem się dokończeniem rachunków rocznych „Lietuvių Dai-
lės Draugijos”. Jak zwykle, okazało się, że trzeba dla równowagi
kasowej dołożyć z własnej kieszeni. Oczywiście, że ta
dopłata jest tylko fikcyjna, bo w istocie wszystkie pienią-
dze, zgodnie z pozycjami dochodów, musiały w swoim czasie
wpłynąć na ręce moje i, jeżeli teraz dla uzupełnienia nie-
dokładności muszę dopłacać z własnej kieszeni, to dlatego, że
oczywiście zmieszałem poprzednio pieniądze towarzystwa
z moimi własnymi i wydatkowałem je na własne po-
trzeby. Jest to skutek braku systematyczności w ra-
chunkach, ale niemniej skutek przykry, bo sam fakt
obfitości gotówki na rękach ułatwia w ciągu roku wy-
datkowanie, za co potem trzeba pokutować, gdy się w
końcu roku ujawnia nadmierny rozchód. Doprawdy,
że to skarbnikostwo w Lit. „Dailės Draugiji” jest dla mnie
wielkim ciężarem. Skądinąd pragnąłbym pozostać na-
dal w Zarządzie tego towarzystwa, ale dla tych względów
finansowych oraz przeciążenia siebie pracą rachun-
kową, która zupełnie nie odpowiada memu usposobie-
niu i zdolnościom, wolałbym może zostać od tego
zwolnionym. Wiem zaś, że żadnej innej godności, prócz
skarbnika, w Zarządzie towarzystwa tego piastować nie mo-
gę. Naprędce, gorączkowo zakończyłem dziś rachunki, uzu-
pełniłem brakującą sumę, naszkicowałem sprawozda-
nie kasowe i oddałem to wszystko Żmujdzinowiczowi. Wy-
kończyć sprawozdanie w detalach już nie zdołałem.
Wreszcie koło godz. 1 wpadłem do domu, pochłonąłem
naczynie, nie zjadłem, bifsztyk, spakowałem rzeczy i
ruszyłem na ul. Monastyrską po Annę. Zastałem ją do
wyjazdu gotową. W chwilę potem byliśmy już na dworcu
kolejowym. Bilety wzięliśmy prosto do Teodozji przez
Kijów. O godz. 2 z minutami wyjechaliśmy
już pociągiem kolei poleskiej na Sarny. Jedziemy z
Anną w klasie III. Podróż wykalkulowaliśmy w ten spo-
sób, aby jak najmniej nocy być w drodze i w żadnym
razie nie 2 noce z kolei, a to ze względu na uniknięcia
zbytniego zmęczenia dla Anny. W tym celu zatrzymamy
się w Kijowie i tam jedną noc spędzimy w hotelu.
Dobrze nam z Anną we dwoje w podróży. Gawędzimy, ja
opowiadam Annie o krajach i ludach ziem, przez które prze-
jeżdżamy. Do Lidy wieźliśmy w wagonie dość dużo publi-
czności. W Lidzie wysiedli wszyscy Żydzi, bo zaszedł im sza-
bas. Dalej było coraz pustszej. W Baranowiczach zostaliśmy
tylko my we dwoje i jeszcze jeden pasażer. Za Baranowiczami wje-
chaliśmy w kraj, przez który poraz pierwszy w życiu jadę. Było to
szczere Polesie, smutny kraj bagien i lasu, smutnego, cichego, jak-
by w odwiecznej kulturze zwyczajów i przesądów odwiecznych. Była noc,
więc poświęciliśmy się z Anną do siebie. Ogromna ta dzielnica Białej Rusi,
odmienna od naszych, wiążąca ogniwem pośrednim z Ukrainą, warta obserwacji
naszej. Smutny, cichy kraj, jakiś uśpiony, bezwładny, opuszczony od ruchliwego tętna
życia. Obudziliśmy się już na Wołyniu. Były to Sarny, Równe, zbliżamy się do ...

9 (22) lutego
rok 1913.
sobota.

W Sarnach przesiedzieliśmy z Anną koło 6 godzin, od godz. 2½ po północy do godz. 8½ rano. Anna położyła się na drewnianej kanapce w bufecie i, podesławszy sobie szal, zasnęła, ja zaś usiadłem przy niej przy stoliku i pisałem i czytałem na przemian. O godz. 8½ rano wyjechaliśmy z Sarn pociągiem do Kijowa. Pociąg biegł wzdłuż przez Wołyń północny, kierując się na wschód z lekkim zwrotem ku południowi. W wagonie naszym jechała cała duża paczka robotników-polaków z Warszawy, podążająca gdzieś za Kijów na pracę do fabryki porządku?. Było ich kilkunastu. Dzielne rzeźwe twarze, inteligentne i poważne, siwe oczy, jakaś serdeczna i pewna prostota, połączona z pewnym wyrazem troski i skupienia, wyróżniały sympatycznie tę gromadkę proletarjuszy polskich z pośród reszty jadącej publiczności. Smutne wszakże były ich twarze, nie było w ich tej werwy i tego wesela, które przywykliśmy łączyć z pojęciem charakteru polskiego. Ciężka dola robotnika, jego twarda praca, twardy byt walki z wyzyskiem — wyjęły z ~~charakteru polskiego~~ jego charakteru narodowego cechy lekkości i werwy swobodnej. Przyglądaliśmy się z Anną z zajęciem krajowi, przez który mknął nasz pociąg. Równina przeważnie dopóki, jakby jeszcze dalszy ciąg Polesia. Ale oto stopniowo ziemia staje się lepsza. Od samych Sarn wciąż lasy, laski, wyniszczone, przetrzebione, zdziesiątkowane. Dużo w nich dewastacji, ale bądź co bądź charakter kraju — leśny. Wsie rzadkie, duże, niezwykła obfitość młynków wietrznych. Zaprzęgi wołowe włościańskie — wyłącznie parokonne; wozy ~~długie~~, drabiniaste; w wielu zaprzęgach — woły. Charakter miejscowości, zaprzęgów, ~~...~~ — taki sam ~~...~~ aż do samego Kijowa. Równina rozległa wszędzie. Wszędzie aż do Kijowa takie same lasy. Dziwne, bo słyszałem, że Ukraina jest bezleśna; ale przeciwko oczywistości zaprzeczyć nie mogę. Dzień był słoneczny i miałem wrażenie, że słońce tu już jest widocznie wyższe, jaskrawsze, niż u nas. Byliśmy więc w samym sercu Ukrainy. A jednak dźwięki mowy ukraińskiej rzadko dochodziły uszu naszych. Wszystko, co nosi na sobie piętno niejakiej ogłady powierzchownej, co choć trochę nad najniższy poziom chłopa się podnosi, wszystko to w wagonie na modłę przynajmniej mowy rosyjskiej się przerabia. Na jednej ze stacji usiadł przy nas chłop, należący do kategorji bogatszych, jak się z rozmowy od niego dowiedziałem; typowy ukrainiec, a przecież starał się mówić po rosyjsku i dopiero z konduktorem zagadał najczystszą mową ukraińską. Śpi jeszcze Ukraina pod zaborem rosyjskim, nawet ta prawobrzeżna, bliższa zachodu, słabszą tradycją państwową z Rosją związana. Mowa ukraińska ukrywa się wstydliwie w cieniu, zachowuje się tylko do użytku domowego, nie śmie błysnąć narzędziem i stanąć otwarcie i śmiało do szeregów samodzielnej odrębnej kultury, jako równa z innemi, mająca takież prawo obywatelskie do życia i rozwoju. Wiem, że ruch ukraiński ~~...~~ szerzy się przecie pod zaborem rosyjskim, wychodzą pisma, istnieją i są czynne rozmaite stowarzyszenia i związki kulturalne, społeczne i polityczne. Głębi i owoców ruchu tego oczywiście sądzić nie mogę na podstawie spostrzeżeń wagonowych, ale bądź co bądź ruch ten musi jeszcze ~~długo~~ przejść przez długi okres przygotowawczy, nim się rozwinie do poziomu ruchu masowego.

O godz. 5 stanęliśmy w Kijowie. Zajechaliśmy do hotelu, wyszliśmy na miasto, zjedliśmy obiad u Semadeniego na Kreszczatyku, ~~...~~ zakupiliśmy trochę wiktuałów na dalszą drogę, przejechaliśmy się tramwajem nad brzeg Dniepru, zaszliśmy jeszcze do cerkwi i na tym koniec, bo już się zbliżała północ; trzeba było śpieszyć do hotelu wypocząć przed dalszą drogą jutrzejszą. Byłem poraz pierwszy w Kijowie, lecz pobyt ten był tak krótki, iż jakiegoś uczciwszego wrażenia o Kijowie powziąć nie mogłem. Zwłaszcza że był wieczór i że porą Kreszczatyku nie więcej nie widziałem, bo Ałtmy? Dniepru pociemku ~~...~~ żadnego pojęcia sprawić nie mógł. Miałem tylko wrażenie po prostu wielkiego miasta, ~~...~~ rozrzuconego po górach, ale nic osobliwego, nic specyficznie kijowskiego nie zaobserwowałem; chyba tylko to, że, wobec ~~...~~ ogromnej szerokości ulic, przynajmniej Kreszczatyku, bruku elektryczne są tak rzadkie, iż ~~...~~ oświetlenie wieczorem jest ~~...~~ raczej mętne.

10 (23) luty
rok 1913.
niedziela.

[illegible]

Wstaliśmy o godz. 6 rano i pociągiem o godz. 8 z minutami wyjechaliśmy z Kijowa na Połtawę. Za Dnieprem charakter kraju się zmienia. Znikły lasy; równina, step otwarty, gładki, bez żadnych zarośli. Wsie już bardzo rzadkie, a duże, ciągnące się po parę wiorst conajmniej z nieliczoną ilością małych młynów wietrznych, których czasem jest po 20 i więcej na jedną wieś. Śniegu bardzo mało, prawie nie ma; ziemia czarna, bogata, jędrna. Dopiero bliżej ku Połtawie znowu śniegu więcej. Nie widać już typowych parokonnych zaprzęgów wołyńskich, zwłaszcza tak charakterystycznych zaprzęgów wołów. Znowu jednokonki z duhami rosyjskie już, jak u nas. Ruchu na drogach polowych mniej widać, niż na Wołyniu i w Kijowskiem: może dlatego, że to niedziela. Zresztą drogi nie wyróżniają się niczym od ogólnego tła stepów. Step zimowy bezbarwny, milczący, martwy. Domki we wsiach białe lub [illegible] brunatno-czerwone, ulepione z gliny. Drewno stanowi tu luksus. Jak się dowiedziałem od włościan, za opał służy tu słoma. Są oni zresztą zupełnie z opału tego zadowoleni i nie tęsknią za innym. Gleba czarnoziemna dostarcza tu słomy w obfitości, zapewne takiej, o jakiej nam się na naszych ubogich piaskach lub glinach ani śni. Jeżeli pszenica źle urodzi tu w ziarnie, to już przecie słomy wyda pokaźnie. Pomimo tak cennego jednak włościanie tutejsi uważają (Rusini czy ze swej ziemi), z poczuciem wyższości i lekceważeniem słuchają o ziemiach innych, już czarnoziemu, o krajach, gdzie nie rodzi pszenica, gdzie słońce nie świeci tak jasno, gdzie owoce są nie tak słodkie i smaczne; bez zazdrości też i nie mniej z lekceważeniem słuchają o wyższej kulturze rolnej, umysłowej i duchowej ludów północy i zachodu, gdzie pszenica nie rodzi; uważają te ludy za upośledzone z natury, za godne politowania, a politowanie w ludzi pierwotnych, u tych włościan połtawskich, to pewien stopień pogardy. Szalone też są tu ceny ziemi: tu i w sąsiedniej gub. Charkowskiej dochodzą one podług słów włościan do rb. 600 za dziesięcinę. Z pogardą odpowiadają się oni o naszych cenach takich, jak po rb. 250 za dziesięcinę, które u nas należą do cen najwyższych i to już tylko w miejscowościach z najlepszą glebą i najwyższą kulturą. Słońce świeci jaskrawo. Wagon nasz pełny podróżnych. Stopniowo, w miarę oddalania się od Kijowa, wagon się wypróżnia, potem stopniowo [illegible] napływają nowe fale podróżnych i pod Połtawą już jest ścisk. Publiczność mieszana. Są półinteligienci, aferzyści zarabiający na kupnie i frymarce ziemią, rządcy majątków, kupcy, duchowne, Żydzi, stanowiący, jak zawsze, ruchliwy element handlowy, popi, jacyś mieszczanie uprzywilejowanych zawodów („pogonowanije”, jak ich tu nazywają) wreszcie czysty krwi chłopi ukraińscy. Mowę ukraińską słychać dość często, nawet nietylko śród włościan, ale i śród rozmaitych mieszczan i półinteligientów wiejskich. Słychać ją częściej nawet, niż się słyszało w wagonie na Ukrainie prawobrzeżnej (Wołyniu i Kijowskiem); ale wydaje się ona jednak mniej czysta, mniej oryginalna, niż na Wołyniu, choć częstsza, powszechniejsza. Zresztą publiczność tu nie mówi czystym językiem rosyjskim; wszyscy, nie wyłączając popów, kupców, spekulantów rolnych, choć nawet mówią po rosyjsku, to jednak z bardzo wyrazistym akcentem ukraińskim, czyli, jak tu mówią, — „chochłackim”, używając nawet żywcem niektórych wyrażeń czysto ukraińskich. Żydzi tylko mniej mieszają ukraińszczyzny do mowy rosyjskiej; ale też nie są wolni od tego akcentu. Cały kraj i charakter ludności jest już ogromnie odrębny od samego na Litwie i Białej Rusi, jeno żydzi są ci sami, żywcem od nas wzięci: ten sam żargon, te same typy i ruchy, typowe, jakby sam charakter. Dziewczyny, panienki z półinteligiencji są tu jakieś krzykliwsze, niż u nas. Wśród tej mieszaniny ludności wagonowej było i paru polaków z pochodzenia, aferzystów ziemskich lub zajmujących posady rolne; ci jednak zmarczeli zupełnie, zasymilowani z ludnością miejscową kraju tego, nie umiejący już nawet po polsku, choć sprawowali swój [illegible] ojczyzny. Ciekawych wrażeń doznałem z zapoznania się z paru chłopami połtawskimi, jadącymi do guberni charkowskiej dla objęcia ziemi, którą kupili gromadą, były jednym z tych włościan poza pierwszym jechał pociągiem. Ciągnęli się oni, bardzo pierwotni i niezmiernie [illegible], [illegible]. Rozpytywali mnie i Annę o [illegible] szczegółowo o [illegible]. Usiłowali mówić, ziemi bystro, a gdym im zachwalał piękno ich rodzinnej mowy ukraińskiej, to się nieco popisywali trochę, uciesznie. Traktowali nas, jako obcoplemieńców, z pewną wyższością; uważają siebie widocznie za coś lepszego, bardziej prawowitego w oczach Boga i prawa. Rozpytywali nas o kraju naszym, o [illegible], o religii. Nie [illegible] się jednak i nie zachwycali tym, co im opowiadaliśmy. Dopytywali się, czy katolicy, jakim [illegible] i luteranie, jak jest Anna, są chrzczeni i [illegible] się, że nie bardzo wierzą [illegible] w rozróżnienie katolików i lutrów.

44.

11 (24) lutego. rok 1913. poniedziałek.

Po wyjeździe z Łozowej koło północy, — znaleźliśmy z Anną miejsca wolne i ułożyliśmy się do snu. Pociąg nasz pędził już prosto do Krymu — na południe. Obudziliśmy się rano już koło miasta Aleksandrowska (to znaczy jeszcze w gub. Jekaterynosławskiej). Tu spotkaliśmy jeszcze raz Dniepr, piękne [illegible] na nich. Wjechaliśmy do gub. Taurydzkiej, dążąc wprost dalej na południe na Melitopol do Krymu. Wczoraj już w nocy przy wyjeździe z Łozowej dowiedziałem się w rozmowie od pewnego młodego Żydka, że w gub. Taurydzkiej jest dużo kolonistów niemców, czego dotąd nie wiedziałem. Sądziłem, że koloniści niemieccy mieszkają w większych skupieniach tylko w gub. Saratowskiej i w ogóle nad Wołgą. Okazuje się, że i tu jest ich dużo. Jak mię poinformowano, są śród nich lutrzy, katolicy i menonici. Ci ostatni, należący do sekty menonitów, nienawidzą podobno swych współbraci wyznania luterskiego i katolickiego. Na ogół niemcy-koloniści są dobrymi gospodarzami, są skrzętni, zabiegliwi w gospodarstwie, starannie w uprawie ziemi, zamożni. Niektórzy z nich są nawet bogaci, mają kapitały, a jednak nie zmieniają swego trybu życia. Stanowią tu one dziś siłę ekonomiczną w stosunkach wiejskich. Żyją wszakże odrębnie, nie zawierają żadnych związków małżeńskich czy towarzyskich z inną ludnością miejscową, [illegible]. Są podobno bardzo skąpi, egoiści. Cechy te stwarzają im i przysparzają bogactwa i siły, ale [illegible] ludność miejscową są bardzo dla cech tych nielubiani. W drodze miałem sposobność przekonania się o istotnej sile tej kolonizacji niemieckiej tak w Taurydzie północnej, jak w Krymie. Na wszystkich niemal stacjach wsiadali do wagonu niemcy. Wsłuchiwałem się w ich rozmowy, z niektórymi sam wszczynałem rozmowę. Mówią rozmaitemi narzeczami niemieckiemi; o ile zauważyłem, w północnej Taurydzie język ich jest czystszy, niż w Krymie, przynajmniej bardziej zbliżony do literackiego. Po rosyjsku mówią [illegible], bez specyficznego akcentu niemieckiego. Stanowią niewątpliwie element wyższej kultury śród miejscowej ludności wiejskiej; nie tylko przez to, że są pracowitsi, trzeźwi, gospodarni, przemyślniejsi, ale też przez odzież, ubiór, cały układ psychiczny; mężczyźni ubierają się nawpół po miejsku, jak przeciętna półinteligencja powszechnie w całym świecie cywilizowanym; kobiety noszą sukienki, paltoty watowane, na głowie niewielkie kapelusiki staroświeckie; w ogóle niemcy ci są subtelniejsi, układniejsi w obcowaniu między sobą i w stosunku zewnętrznym, niż ich współobywatele wiejscy ukraińcy, rosjanie i tatary. Poprostu o niebo całe są od nich wyżsi w poziomie kultury. Charakteru są dość wesołego w rozmowach między sobą. Żadnego wszakże głębszego wpływu kulturalnego na ludność inną nie wywierają, bo tworzą istotnie odrębne wsiedlone kolonje, odrębne społeczeństwo zamknięte. Ale piędź za piędzią zdobywają tę ziemię, rozszerzają swój stan posiadania ziemskiego w Krymie kosztem tatarów zwłaszcza, leniwych, skorych do kłótni, słabych moralnie i miękkich. Jak się sami niemcy z dumą przechwalają, Krym jest już dziś krajem niemal niemieckim, przynajmniej [illegible] Krymu, ziemia, własność rolna. Nie brak śród niemców i biedniejszych, wyrobników, bezrolnych, których też tu spotkałem. Dość dużo jest stąd ich wychodźtwa do Syberji, gdzie uzyskują się oni [illegible] zagospodarować tam, gdzie [illegible] z głodu. Ubodzy niemcy tęsknią do kolonizacji w Poznańskiem. Wyrazili mi z sentymentem, jakby pragnęli się dostać do Poznańskiego, ile dobrodziejstw tam świadczy rząd niemiecki tym, którzy się tam osiedlają. Nie wiedzą nawet, co to jest Poznańskie, nie wiedzą, że to ziemia polska, nie słyszeli nawet o polakach i krzywdzie, jaką tam ta kolonizacja wyrządza rdzennej ludności polskiej. Nie są oczywiście w stanie zrozumieć o Poznańskiem, o tym, że ich tam rząd przyjmuje z otwartemi ramionami. Słyszeli tylko i mówią o tym kraju „Posen", jak o ziemi obiecanej. Wielu ubogich wywędrowało tam z tych stron, a pozostali słyszą od nich wieści, że im się dobrze dzieje. To też gdy bogaci myślą i mówią raczej o rozszerzaniu swych zdobyczy w Krymie, to ubożsi, wyrobnicy, przygnębieni losem [illegible] czy o wychodźtwie do Syberji wspominają o jakimś dalekim a złotodajnym „Posen". Nie trafiło mi się spotkać ani jednego, któryby coś słyszał o Kurlandji i Inflantach, choć wiem, że były przecie po r. 1905 próby ze strony niemieckich baronów nadbałtyckich sprowadzania robotników rolnych, a nawet włościan z pośród niemców-kolonistów Rosji południowej i nawet próby osadnictwa niemieckiego z tych elementów dla stworzenia przeciwwagi [illegible] łotyszom. Próby te zostały zawiodły i łotyszów nie [illegible], a nasze tych importowanych do Łotwy niemców z pośród kolonistów Rosji południowej wyglądały jak jakieś stada pół-dzikie; jechali oni tam głodni, nędzni, obdarci, obrośnięci, z mnóstwem dzieci — wrażenie było to jakieś odpadki z kolonistów-niemców tutejszych, bo ci tutejsi o wiele lepiej — tu wyglądają; zresztą były to zapewne nasze nie stąd, nie z Krymu, lecz z jakichś innych stron, może z Chersońskiej. [illegible] W północnej Taurydzie i w Krymie stanowi już dziś niemiecka kolonizacja ważny czynnik ekonomiczny i oczywiście polityczny, którego waga z czasem wzrastać będzie. Zewnętrznie step Taurydy północnej, jak Krymu, nie zachwycił mnie. Step równy, bezludny, [illegible] pod [illegible] ani drzewka [illegible] ni śladu. [illegible] tylko tam, gdzie jednostajność [illegible]. Jak okiem sięgnąć — pustka, ani śladu [illegible]. W wioskach drzew niema żadnych. Tylko przy większych osadach [illegible]. Jedyne, co ożywia ten step — to pojedyncze [illegible] kurhanach, [illegible] pasą konie. [illegible]

12 (25) lutego.
rok 1913.
wtorek.

Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy więc z Anną do Teodozji. Podług wskazówki, udzielonej Annie przez jakiegoś pasażera w drodze, zamieszkaliśmy w hotelu Szołkiewskim (zwanym też Niemieckim) przy ul. Policyjnej. Jest to hotelik, czysty i bardzo oryginalny. Zajmuje on cały domek piętrowy. Parter i piętro są identycznie skonstruowane i urządzone; wprost z ulicy wchodzi się do długiego korytarza, ciągnącego się wzdłuż całego domu; korytarz z prawej strony dotyka ściany zewnętrznej, cały niemal oszklony, od ogrodu wychodzi oknami, wychodzącemi na stronę słoneczną; na lewo wzdłuż korytarza rząd nieprzerwany celek-numerów; każda celka ma drzwi i dwa okna na słoneczny korytarz, natomiast okna zewnętrznego nie ma wcale; na każde 2 celki jeden wspólny piec żelazny, opalany z korytarza (drwami!); z parteru na piętro w środku korytarza schody żelazne; na piętrze rozkład i urządzenie identyczne. Wszystko białe, czyste, symetryczne — przypomina jakąś lecznicę czy wygodne więzienie celkowe. Płacimy za pokój po rublu dziennie. W Teodozji zastaliśmy jeszcze resztki śniegu tak dużo, że niektóre dorożki są jeszcze na saniach. Dorożki tu wygodne parokonne, wygodne, obszerne, czteroosobowe. Wczoraj nie oglądaliśmy wcale miasta, bo było już ciemno i późno. Poszliśmy więc tylko na kolację do restauracji Centralnej, położonej przy ul. Nabrzeżnej, to znaczy na wybrzeżu morza Czarnego. Restauracyjka niewielka, co chwila niechodząca za najlepszą pono w Teodozji, ale porządna, czysto utrzymana, dobrze obsługiwana i kosztowna z dobrą kuchnią. Już to korzystam z pobytu w Teodozji, aby się zapoznać ze specjalnemi miejscowej kuchni tatarsko-kaukaskiej. Właściwość tej kuchni polega, zdaje się, głównie na rozmaitości specjalnych i — przyznać należy — bardzo smacznych potraw z mięsiwa młodego baranka: szaszłyk, piław i t. p. są tu istotnie niezrównane. Najadam się tego do przesytu. Inne specjalne potrawy miejscowej kuchni tatarskiej, jeżeli istnieją, to oczywiście nie wyszły poza obszar obyczajów w jadłospisach powszechnego użytku i pozostały wyłącznie w zakresie zwyczajów kulinarnych tatarów. Wczoraj uderzył nas z Anną brak symetrji w układzie miasta, chaotyczność w uplanowaniu zabudowań. Zwłaszcza w ulicy, gdy orjentacja jest trudniejsza, i przy pierwszym poznaniu miasta — teraz brak symetrji jest mniejszy. Dziś rano wcześnie wyszliśmy i obeszliśmy główny środek miasta w pełnym blasku jaskrawego słońca, krążącego, topiącego promieniami zaczerwienione jeszcze pozostałości śniegu. O ile wszakże w słońcu jest ciepło, o tyle w nocy większe markotnie. Dzień spędziliśmy z Anną tak: wstaliśmy dość późno po zmęczeniu tak długiej drogi, ale już w pocztę; w cukierni niemieckiej wypiliśmy kawę, potem chodziliśmy po aptekach, wypytując o lekarzy specjalistów chorób piersiowych, obejrzeliśmy plac miasta, byliśmy na obiedzie w restauracji przy hotelu Europejskim, potem u doktora, potem rozpytaliśmy się w policji o adres brata Anny, byliśmy na poczcie, potem wzięliśmy dorożkę na godzinę dla przejechania się po mieście i wzdłuż willi letnich, ciągnących się linją nad samym morzem, zwiedziliśmy się brzegiem morza, Anna poszła do szukania brata i istotnie dotarła do mieszkania jego, jego w domu nie zastała, potem byliśmy wieczorem w wyższym kinematografie, zjedliśmy kolację w restauracji Centralnej i niebawem późno poszliśmy spać. Jednej z najważniejszych rzeczy — znalezienia mieszkania i stołowania dla Anny — jeszcze nie załatwiliśmy dziś, ale nawet nie szukaliśmy, bo Anna wolała się porozumieć wpierw w tej materji z bratem, który może będzie wiedział o jakimś odpowiednim pokoiku dla niej i u którego może będzie się ona mogła umówić o stołowaniu. Odłożyliśmy więc to na jutro. U doktora byliśmy u niejakiego Czarnieckiego, polaka rodem z Wołynia, zalecanego nam w kilku aptekach. Ordynacja zalecenia lekarza energicznego i bystrego, ale go sam tak jednogłośnie zaleca, że postanowiłem już go nie zmieniać. Annie ów doktor nie zaszkodził, ale przepisał jej, że będzie do niego chodzić i słuchać go. Doktor po zbadaniu Anny potwierdził, że suchoty są, niewątpliwie w prawym wierzchołku płuc, ale że stan nie jest groźny, bo są to dopiero początki, które mogą być uleczone. Przepisał zastrzyki jako środek dla ogólnego wzmocnienia organizmu i tuberkulinę jako specjalnego leczenia celem z chorobą. Anna, która jest dość lękliwa i nie ufa medycynie i doktorom (ma ona to razem wspólne z całym tłumem naszym), opory się jej to leczenia, ale obiecuje, że się podda takowemu.

Dziś dużo chodząc i jeżdżąc po mieście skorzystałem, dużo zaobserwowałem, bezpośrednio i ile mniej o wielu rzeczach w Teodozji się rozpytałem, uzupełniając to drogą moje wrażenia o mieście, ludziach i kraju. Miasto jest ładne i oryginalne. Położone jest w dolinie, otwartej w kierunku morza i otoczonej dokoła i prawie zamkniętej półkolistym pasmem wzgórz. Właściwe śródmieście, mające wygląd przeciętnie europejski (acz kolwiek niemniej oryginalne i charakterystyczne), położone jest w środku doliny nad brzegiem morza; dokoła w kierunku gór i na górach samych ciągną się przedmieścia czyli tak zwane tu po rosyjsku z ukraińska „słobodki", a więc słobodka Kwarantanna, gdzie istotnie znajduje się ogromny dom kwarantanny, w którym zatrzymywani są i poddawani rewizji lekarskiej pielgrzymi mahometańscy, wracający tędy z Mekki, dalej słobodka karaimska, zamieszkała przeważnie przez karaimów, i słobodka tatarska. W innej stronie za miastem, w kierunku wydłużonej linji równego wybrzeża morskiego, ciągnie się dzielnica will i ogrodów, służąca za letnisko dla przyjeżdżających gości letnich.

Teodozja, jak zdaje się wszystkie miasta wybrzeża Krymskiego, zaludniona jest przez ludzi najrozmaitszych narodowości. Rdzeń ludności stanowią tu tatary, karaimi, oraz najrozmaitsza napływowa ludność ze wszystkich stron Rosji, szukająca tu zarobku we wszelkich polach pracy. Handel miejski przeważnie jest w rękach żydów i karaimów; mnóstwo też jest ormian, dużo greków; wielki handel pszenicą jest podobno przeważnie w rękach francuzów i niemców. Choć wszyscy w śródmieściu posługują się zewnętrznie przeważnie językiem rosyjskim, jednak miasto ani z wyglądu zewnętrznego ani z charakteru mieszkańców ani z kultury swej nie jest wcale rosyjskim. Język rosyjski gra tu rolę tylko języka wymiany zewnętrznej, jest czymś w rodzaju międzynarodowego esperanto dla całej tej różnobarwnej i różnonarodowej ~~[illegible]~~ mozaiki ludnościowej. Właściwi rosjanie zajmują tu tylko posady urzędników oraz zapełniają kadry najniższej kategorji ludności robotniczej narówni z tatarami. Nie w ich rękach jest ster życia ekonomicznego, nie oni tu są czynnikiem twórczym kultury. Niezmiernie ciekawe miasto i ciekawy kraj. Rad jestem, że posiadłem okazję — choć do tak pobieżnego poznania go.

13 (26) lutego rok 1915.

Kwestja mieszkania Anny została rozstrzygnięta niezwykle łatwo i szczęśliwie, bez żadnych zachodów. Brat Anny, który tu mieszka i ma miejsce ogrodnika w ogrodach bogatego fabrykanta miejscowego Stamboli, otrzymał pozwolenie zalokowania siostry w jednym z domków pustych, położonych śród w ogrodzie. Domku tego nie widziałem, bo przed bratem Anna nie ujawnia swego pożycia ze mną a przeto nie mogłem tam pójść. Ale wiem od Anny, że jest to domek niewielki, pusty, w którym jest pokoik o dwóch okienkach. Tak więc Anna będzie miała mieszkanie darmowe i w bardzo zdrowym miejscu, śród ogrodów. Stołować się zaś będzie u brata. Brat jej jest żonaty ze starszą od siebie kobietą, Łotewką także, rodem z Windawy. Żyje z nią dotąd bez ślubu formalnego, bo kobieta ta jest zamężna i rozwodu dotąd jeszcze nie ma. Wyjechał z ojczystej Łotwy tak daleko właśnie dlatego, żeby uniknąć dla siebie i żony oporu rodziny i [illegible] oraz obmowy ludzkiej. Był on naprzód wielce zaniepokojony przyjazdem Anny ~~[illegible]~~ i widocznie nie chciał jej dopomóc w zalokowaniu się w Teodozji, ale potem żona jego, rozmówiwszy się z Anną i przekonawszy, że nie żywi ona żadnych zamiarów wrogich dla tego małżeństwa, okazała dla niej wiele serdeczności i troskliwości, chcąc oczywiście zaskarbić jej względy i zyskać przez nią poparcie w rodzinie oraz niejako usankcjonowanie małżeństwa tego. Tak więc kwestja najcięższa została niespodziewanie pomyślnie rozwiązana: jutro już Anna się przeniesie z rzeczami do swego mieszkanka. A ~~był~~ kwestja mieszkania była przecież zagadnieniem najcięższym: ceny pokojów w śródmieściu są tu niezwykle wysokie, podobno nie taniej, niż 25 rb. miesięcznie; na przedmieściach czyli słobódkach taniej, ale brudno, daleko, niezdrowo i zapewne nawet nie bardzo bezpiecznie. Ceny utrzymania też są podobno szalenie wysokie.

Po obiedzie poszliśmy z Anną na przedmieście czyli słobódkę tatarską. Przeszliśmy ją całą, pnąc się ~~[illegible]~~ na stromą zboczu góry, wąziutkiemi zaułkami po mokrej glinistej ziemi. Ale za to widok, który mieliśmy, i wrażenia, których doznaliśmy, wynagrodziły nam sowicie fatygę. Dzielnica ta — to typowe miasto wschodu, coś jakby żywcem wziętego czy to z miast tureckich, czy z Małej Azji. Gromady malutkich, niekiedy nie przewyższających wzrost ludzki, domeczków czy lepianek szarej, niezgrabnych cegieł szarej ~~gliny miejscowej~~ żwirowatej gliny miejscowej, ulepionych z dużych z takimże dachem i kominem z tejże gliny, formowane bez żadnej symetrji i porządku, jak się dało, przytulone do zbocza góry lub jedną stroną do niej wciśnięte w jakieś wydrążenie zbocza. Śród ~~[illegible]~~ nieporządnej gromady tych domków szarych, białawo-szarej barwy ziemi, biegną i kryją się również bez żadnego ładu i symetrji wąziutkie nierówne zaułeczki; małe ciasne dziedzińce tych domków oddzielone są od zaułków niskim murem z takiejże szarej gliny. Co chwila z jakiegoś dziedzińca, drzwi domku lub zawrotu zaułka ukazuje się malownicze postacie dziewczynek lub dziewczyn tatarskich, czasem bab starszych. Chłopcy charakterystycznych ubiorów żadnych nie mają; mężczyzn o tej porze w dzielnicy nie ma wcale, bo wszyscy są zajęci pracą w dolnym mieście i tylko na noc do swej dzielnicy wracają. Oprócz więc małych dzieci, ~~[illegible]~~ widać tylko same kobiety, lecz jakież malownicze i charakterystyczne! Wszystkie młode kobiety tatarskie, które widzieliśmy, noszą na głowie fez ozdobiony blaszkami złotemi, ~~[illegible]~~ ułożonemi w rozmaite figury; bluzki i spodniczki mają rozmaite, ale przeważnie kolorowe rozmaitych deseni; z przodu fartuszek; zdaje się, że ulubionym ich deseniem jest deseń w kratki; na głowę i ramiona zarzucają szal, którym się owijają; wyzierająca z pod szala twarz ozdobiona na czole jaskrawym fezem, ~~[illegible]~~ naszytym w deseni złotą blaszek, cera ciemna, oczy wyraziste ciekawe, całość na ~~[illegible]~~ charakterystycznym tle i w otoczeniu typowego ~~[illegible]~~ wschodniego, ~~[illegible]~~ sprawia prześliczne wrażenie kolorystyczne. ~~[illegible]~~ Śród dziewczyn tatarskich dużo jest bardzo pięknych o twarzach wyrazistych, uśmiechach zalotnych, podniecanych ciekawością. W dzielnicy tej, przynajmniej o tej porze roku, rzadko się ukazuje europejczyk-inteligent, to też przechodzień tej kategorji budzi powszechne zainteresowanie tak u dzieci, jak dziewcząt, jak kobiet starszych; zdaje się, że skórka lisa w całku, naszyta na mufce Anny, oraz drugi lis, zarzucony na jej ramionach, jako boa, podniecały szczególnie ciekawość młodych i starych tatarek; dzieci albo uciekały w przestrachu albo żebrały o kopiejkę; dziewczęta niektóre też się chowały i dopiero przez drzwi przymknięte świdrowały nas ciekawemi oczkami, cofając się i kryjąc twarz przy spotkaniu się z naszym spojrzeniem, inne wszakże nie bały się nas wcale i owszem śmiały się figlarnie, widząc, że się im przyglądamy. Kobiety starsze umieją malowniczo się ubierać i fezów nie noszą wcale, — zapewne jest to przywilej dziewczęcy. Bardzo charakterystyczna w Teodozji jest niezmierna ilość psów dziczałych, włóczących się po mieście. Jest to też ~~[illegible]~~ pono jeden z atrybutów kultury mahometańskiej. Psy są najrozmaitsze, ale przeważają szaro-brunatne, podobne nieco do wilków. W dolnym mieście jest ich stosunkowo mniej, za to w dzielnicy tatarskiej w górach jest ich co niemiara; ludzi wszakże w mieście nie zaczepiają, mnożą się jeno wszędzie, łażą i gryzą się między sobą zajadle. Podobno, jak mi opowiadał dorożkarz wczoraj, tępią je, ale ich nie mogą wytępić, bo z wiosek zbiegają się coraz nowe zastępy tych zwierząt. Podobno tatary nie zabijają wcale szczeniąt, to też wszystkie, które się po wioskach tatarskich rodzą, rosną a potem, nie karmione, uciekają do miasta. Dzielnica tatarska, którą dziś poznałem, sprawiła na mnie mocne wrażenie. Pierwszy raz ujrzałem żywe istotne miasto wschodnie. Dzielnica ta ma w Teodozji jakieś swoje życie odrębne; jest to miasto w mieście i notabene miasto prawie wyłącznie kobiece. Zawojów na twarzach tutejsze kobiety tatarskie nie noszą. Mieszkają w tej dzielnicy i inni ludzie, nie-tatary, ale ich bardzo niewielu i tylko najubożsi. Nie ma tu żadnych magazynów czy kram, żadnego ruchu handlowego. Jest to miasto li tylko mieszkalne, zupełnie odrębne od reszty Teodozji. Tu mężczyźni-tatary, po całodziennej pracy w dolnym mieście, wracają wieczorami do swych gniazd i [illegible], do swych zwyczajów rodzinnych i tradycyjnej kultury, zrywając co wieczór związek z kulturą i środowiskiem europejskiem, które dominuje w dolnym mieście. Tu się przechowuje w stanie dość czystym stare zwyczaje i stara kultura tatarsko-mahometańska, która już z ~~[illegible]~~ właściwego miasta ustąpiła. Tylko dzięki ~~[illegible]~~ temu faktycznemu odosobnieniu dzielnicy tatarskiej, tam ~~[illegible]~~ typowy szczątek wschodu ~~[illegible]~~ dominującego w kraju całym, zdołał przetrwać, żyjąc w bezpośrednim sąsiedztwie wszczepionej i [illegible] cywilizacji. Dzielnica tatarska a miasto dolne — to dwa światy, przeciwne sobie a jednak [illegible] się godzące na tym wschodzie czarnomorskim.

14 (27) lutego rok 1918. Czwartek.

Zaiste jest pewna specjalna kultura czarnomorska, niepodobna ani do rosyjskiej, ani do europejskiej, ani też wyłącznie mahometańskiej. Składa się na nią przedziwna mieszanina ras, kultur i tradycji. Teodozja jest pod tym względem miastem typowym. Przedsiębiercy i rafinowanie przebiegli grecy, ruchliwi sprytni ormianie gnębią się na tym śmietnisku ruin i wyzyskują niedbałość i apatię wymierającej kultury dawnych gospodarzy tego kraju, tatarów. Żyjący li tylko geszeftem, ciągną zyski sprytnie, ale siły twórczej nie stanowią. Dawna kultura mahometańsko-tatarska, owa składająca się z [illegible], rozkłada się. Szczątki jej są żywe jeszcze, ale mocy zdobywczej — nie ma. Tatary, leniwi, [illegible] przeważnie konsekwencji [illegible] ludności. Są wprawdzie i bogaci tatary, ale, jako ogół, są ciemni i bezwładni. O wiele większą żywotność posiadają oczywiście karaimi, potomkowie dawnych chazarów, groźnych rabusiów i zdobywców południa. Ujarzmieni przez tatarów, przyjęli oni ich język, ale przechowali narodowość, zwyczaje i religię judaistyczną. Zdaje się, że to jest jedyny naród, który się nawrócił kiedyś masowo na judaizm, modyfikując wszakże nieco takowy na oryginalną modłę. Narodzik karaimski jest miniaturowy, rozproszony koloniami po naszej Litwie, Białej Rusi, Wołyniu i Galicji, a skupiony nieco zwarciej w Krymie i zwłaszcza w Teodozji. Narodzik ten nie posiada własnego terytorium etnograficznego; jego trwanie opiera się ani na terytorium, ani na języku, ani na jakiejś koncepcji państwowej, jeno na sile i zwartości zwyczajów i religii. Sami karaimi obliczają siebie na 10000 głów, a liczba ta jest pono raczej przesadzona, niż zaniżona. Choć tak nieliczni, są oni jednak energiczniejsi i silniejsi narodowo, a zwłaszcza ekonomicznie od tatarów; odznaczają się solidarnością, pracowitością i oszczędnością. Ogarnęli oni prawie cały handel miejski w Teodozji, a do nich też należą tacy bogacze, kreujący Teodozję, jak stworzony tu Stambuli. Zwiedziłem dziś dzielnicę, czyli „słobódkę” karaimską. Zewnętrznie niczym się nie różnią od innej ludności miejscowej. W przeciwieństwie do tatarów, ich odrębna narodowość i kultura opiera się oczywiście nie na cechach zewnętrznych, ale na wewnętrznej organizacji psychicznej. Żadnej architektury odrębnej, tak charakterystycznej, jak u tatarów, żadnych właściwych stylów strojów — u karaimów nie dostrzegłem i o takowych nie słyszałem. Domki w dzielnicy ich są budowane albo na wzór ogólnych szablonów miejskich w Teodozji, albo, rzadziej, na wzór tatarski, ale bez cech odrębności specjalnej. Nie mają też odrębnego języka. Są dalej w Teodozji żydzi, i to żydzi dwóch odrębnych zupełnie społeczności i kultur, nie jako dwie odrębne narodowości żydowskie. Jedni — to żydzi nasi, zwykli, tacy, jakich my tu znamy, ci sami nawet; to żydzi europejscy czyli raczej ich kategoria specjalna, wymagająca być określona nazwą żydów litewskich, bo w Litwie też ich typ jest najlepiej wydoskonalony i rozwinięty; to żydzi, zwani i nazwani „litwakami” (zastrzegam się, że nie używam tej nazwy w znaczeniu ujemnym, pogardliwym — wzorem antysemickiej terminologii warszawskiej). Ci żydzi litewscy, żydzi pospolici, są tu w Krymie elementem napływowym, choć coraz liczniejszym; mają oni pewne europejskie pojęcia odrębności narodowościowej, które się u nich powszechnie coraz bardziej wykrystalizowują, posiadają kulturę, mają swoją własną inteligencję, garną się do wiedzy cywilizacji ogólnej. Równolegle istnieje inna społeczność żydowska w Krymie; są to żydzi miejscowi, od wieków tu osiadli; ulegali oni dominacji tatarskiej a potem i wpływom kultury wschodniej; mówią oni żargonem tatarskim, są o wiele niżsi w rozwoju kulturalnym od swych współwyznawców „litwaków”; żydów tych zowią tu „krymczakami”; „krymczaki” mają tu swoją osobną synagogę, osobny cmentarz od żydów litwackich, choć religia ich jest identyczna; do żydów „litwackich” czyli z tych tu powszechnie rosyjskimi „krymczaki” żywią pewną niechęć, w każdym razie uważają siebie za odrębną społeczność; ze strony natomiast żydów rosyjskich są usiłowania do podniesienia poziomu kulturalnego krymczaków, wcielenia ich do ogólnożydowskiego ruchu narodowego. Żydzi tu, wespół z karaimami, dzierżą handel miejski w ręku. Najwyższą wszakże bodaj siłę twórczą [illegible] stanowią tu, jak zawsze, europejczycy zachodni, a więc w organizacji wielkiego handlu eksportowego przeważnie francuzi i niemcy, w organizacji zaś wytwórczości rolnej wewnątrz kraju — niemcy, koloniści, który się coraz bardziej wysuwają na czoło ludności rolniczej w Krymie. Ze wszystkich zaś tu obecnych narodowości najmniejszą bodaj rolę grają, zdaje się, — rosjanie, do których należy tu obecnie władza polityczna. Zapełniają oni sobą urzędy, posady mniej lub więcej oficjalne, skąd idzie drożyzna, ich emigracja napływowa na zarobki do miast, na posady osobiste i dostarczają [illegible] proletariatu robotniczego. Twórczej wszakże roli w organizacji życia krajowego rosjanie tu nie odgrywają. To sprawia, że [illegible] panowanie rosyjskie jest tu tylko zewnętrzne, formalne, i jako takie, mimo więzi kraju tego organicznie z Rosją. Związek [illegible] między Krymem a Rosją zachodzi może raczej przez drogi węzła handlowego, bo Krym i morze czarne jest wielkim pośrednikiem między Rosją a Kaukazem oraz innemi krajami morza czarnego i śródziemnego, ale politycznego organicznego związku z Rosją kraj ten nie ma. Usunięcie dominacji rosyjskiej i zastąpienie jej przez, a zwłaszcza przez samorząd autonomiczny czy też nawet niepodległy, nie zmieniłoby oblicza kraju tego, chyba tylko że ustałby esperanto rosyjskie. Obecność rosjan, jako takich, nie jest tu w życiu krajowym koniecznością: nie potrafili oni stać się niezbędnym czynnikiem tutejszym. [illegible] Krym może jeszcze być w przyszłości stroną niejednej nieporozumień i komplikacji w stosunkach międzynarodowych europejskich, tak jakie są wcześniej wybuchały na Bałkanach. Dopóki potęga Rosji tu się nie rozwiąże, władza jej [illegible] trwa, ale w istocie kraj ten integralnie się do Rosji wcielić nie da. Oprócz swoich [illegible] jest tu zwłaszcza pośród innych narodowości, zwłaszcza spośród ludów kaukaskich. Ciekawe tu jest mnóstwo poprzecznych świątyń, są prawosławne rosyjskie i greckie, są świątynie ormiańskie, kościół katolicki (notabene z typowym dzwonnicami meczetu z [illegible] minaretami), świątynia luterańska, domy modlitwy [illegible] sztundystów, synagogi karaimska, żydowska i żydów-krymczaków, meczety. Nie zwiedzałem ich, bo czasu nie miałem, jeno się o nich dowiedziałem. Zwiedziłem dziś we dnie muzeum starożytności teodozyjskie, zlokalizowane w gmachu w stylu greckim starożytnym, położonym na wysokiej górze, dominującej nad miastem a zwanej górą Mitrydata. Są tam przeważnie zabytki architektoniczne oraz naczynia, ceramiki staro-greckiej, bizantyjskiej, dominacji genueńczyków, wreszcie okresu turecko-tatarskiego. Zbiory, choć nieliczne, ale niezbyt duże. Zwiedzanie wszakże to warte, bo charakterystyka kultur, które się tu zmieniały, jest b. ciekawa. Z gór śliczny widok na miasto białe i na morze czarne. Jest zresztą dzień czarodziejski. Pogodny, nasłonecznione w słońcu [illegible]. Barwa morza tego wielce się różni od barwy Bałtyku. Teodozja — to dawna Kaffa. Dowiedziałem się, że i dziś lud miejscowy tak ją nazywa, nawet rosjanie z ludu, który tu osiadł; wymawia dziś lud tę nazwę: „Kachwa”, przyczym dźwięk „a” między „K” i „ch” zamienia się nieco i przechodzi w dźwięk „e”.

Przyszła dziś wreszcie chwila rozstania się z Krymem, bo późnym wieczorem opuściłem już Teodozję, jadąc koleją na północ — do Ojczyzny mojej. Zaiste, byłem upojony tych innych krajów świata, który dał mi ta podróż doświadczenie, że nareszcie wydobycia się z osobistego stosunku z Krymem nie byłoby. A było nam tu tak dobrze, serdecznie, tak miło i tak swojsko, jak tylko śród ludzi tak się [illegible] czuje, jak my, być może. Osobiste wspomnienia tej podróży wzbogacą wspomnienia stosunku naszego z czasem, zaliczą się zawsze do pięknych wspomnień naszych. Choć przekonywaliśmy się czasem, choć [illegible] się bywało ze mną, że jesteśmy [illegible] stosunków [illegible] [illegible]. Byliśmy zawsze ze sobą; dla siebie samych uzgodniliśmy [illegible] [illegible] [illegible] tak długie. Kalemie [illegible] [illegible] [illegible]

48. [illegible] [illegible] [illegible] typowych, tych pięknych, nie wiem [illegible] [illegible] [illegible]

15 (28) lutego
rok 1913.
piątek.

Smutno mi jest i tęskno bez Anny. Jadąc do Krymu, z nią wciąż zagadniętem, z nią przez okno patrzałem, z nią razem obserwowaliśmy kraje i ludzi, których w drodze spotykaliśmy, wspólnie dzieliliśmy wrażenia nasze oraz kłopoty i niewygody podróży, słowem — żyliśmy i podróżowali we dwójkę wspólnie. Teraz odbywać musiałem tę samą długą podróż powrotną — samotnie. Co chwila mi jej brakło, co chwila pozostawałem uczucia pustki. Tam bawiło mię i zajmowało opiekowanie się Anną, wspólne jedzenie w wagonie, wspólna myśl, wspólny fraszunek; teraz — sam dla siebie i ze sobą tylko. To też z kilku większych stacyj wysłałem kilka pocztówek do Anny, wypełniając choć w ten sposób lukę tęsknej samotności. Nie jestem też kompetentnie pewny tego, czy klimat Teodozji istotnie posłuży skutecznie Annie. Sądziłem o tym klimacie, że jest łagodniejszy i cieplejszy, niż się przekonałem naocznie. Słońce tam wprawdzie pięknie świeci, ale powietrze dość ostre i dnie są przejścia od ciepła dziennego do chłodu nocnego, do czego my, ludzie znad Bałtyku, przyzwyczajeni nie jesteśmy. Poza tym Teodozja ulega podobno bardzo ostrym i przenikliwym wiatrom, które, gdy są chłodne w zimie, mrożą i w każdym razie studzą nawskroś ciało przez odzienie i mieszkanie przez ściany, a gdy są gorące latem, sprawiają zawieruchy kurzu i piasku. Tej ostrości klimatu boję się dla Anny. Zresztą drogę z Wilna do Krymu zniosła ona znakomicie i w Teodozji nie czuła się osłabioną, spała dobrze i wyglądała wcale zdrowo. Poza tym [...] oprócz wrażenia samotności i troski o zdrowie Anny, niecierpliwię perspektywa tak długiego fizycznego oddalenia Anny ode mnie. Nie myślę tu o stosunkach płciowym, bo ten w obecnym stadjum związku naszego nie gra już ani w przybliżeniu tej roli, jaką grał zimy ubiegłej; i nie jest być najważniejszym względem zasadniczym (zdaje się, że obecnie dla mnie w stopniu o wiele mniejszym, niż dla Anny), ale o całokształcie fizycznej bliskości naszej. Annę kocham i chcę posiadać całą; nietylko samo obcowanie psychiczne mię zajmuje, ale i wszystko, co jest nią i w czym się ona wyraża, a więc jej mimika, intonacja głosu, wzrok, oddech, plastyka kształtów, ręce, jej uścisk, jej słowa, jej ruchy, dąsy, nasze sprzeczki, nieporozumienia, podrażnienia Anny — wszystko, nie wyłączając jej kaprysików i przelotnej żywej gry jej humoru, usposobienia, wrażeń i t. d., co przy oddaleniu fizycznym się zatraca. Korespondencja [...] listowna wogóle wcale nie jest zdolna do zastąpienia obcowania bezpośredniego, [...] zwłaszcza w związku miłości, a tym bardziej u nas z Anną, gdy się posługiwać musimy gwarą niemiecką, której ani ja, ani ona dobrze nie władamy. W rozmowie, w obcowaniu ustnym braki te nie grają już dla nas żadnej roli, bo wszelkie luki wypełniamy czy to zwrotami obojgu wyrazami polskimi, litewskimi czy łotewskimi, czy sposobem opisowym, czy gestem i rozumiemy się bez zastrzeżeń, ale co innego w słowie pisanym. Tam obcowanie nasze wciąż utyka na języku i idzie jak po grudzie.

Wyjechałem z Teodozji wczoraj koło godz. 11 w nocy. Tak samo III klasą, jakem przyjechał z Anną. Marszrutę wszakże mam teraz inną, krótszą widocznie, bo krótszą i wygodniejszą, niż na Połtawę i Kijów. Jadę zresztą teraz nie do Wilna, ale na Mińsk do Bohdanowa. Marszruta wypada dziwnie przez Łozową na Charków, stamtąd na Worożbę i Bachmacz, skąd już koleją libawską na Mińsk. Cała podróż koleją aż do samych Radoszkowicz trwać będzie akurat 2 doby. W Teodozji siadłem do wagonu, który się w Dżankoj (bez przesiadania) przyczepia do pociągu, idącego wprost z Sebastopola do Petersburga. Wagon ten był płatzkartowy (miejsca numerowane) z osobną dopłatą. Lubię wogóle odbywać podróże w miejscowych wagonach niesypialnych w klasie III. Choć jest mniej wygodnie, ale z pewnych względów ciekawiej. Publiczność, którą się tam widzi, choć może mniej potrafi udzielić informacji o okolicach, ale zato sama daje bogatszy materjał do obserwacji bezpośredniej: mam stąd bowiem przed sobą ten właśnie lud, o którego poznanie mi chodzi. Teraz wszakże, jadąc z Teodozji do Charkowa w wagonie płatzkartowym, miałem też tylko płatzkartową publiczność, to jest nie tyle właściwego ludu [...] miejscowego, ale albo o stopniach wyższych, przeważnie półinteligienckiej, bardziej obytą i [...] skosmopolityzowaną, albo [...] złożoną z formalistycznych elementów przejezdnych, podróżnych po świecie w jakichś interesach okolicznościowych. Obdzieliłem się mniej więcej osoby następujące: jakiegoś niewyraźnej narodowości pana, mieszkańca Kerczu, wracającego z Teodozji, dokąd jeździł w jakichś interesach handlowych, dalej jakiegoś Łodzianina czy nie Żyda z Kerczu, widocznie Kapłonowa, dalej jakiegoś urzędnika, zdaje się — pocztowego, wreszcie agenta Towarzystwa Okrętowego Czarnomorskiego z Teodozji, rosjanina, mówiącego akcentem „chochłackim". Oprócz podróżnych z Kerczu, reszta, [...] choć nie należała do właściwego ludu miejscowego, składała się jednak z ludzi [...] zamieszkałych stale w Krymie. Rozmawialiśmy trochę, dzielili się oni informacjami wiadomościami o sprawach i interesach miejscowych, udzielali mi informacji o Krymie, poruszaliśmy też potrochu rozmaite tematy ogólniejsze z dziedziny polityki i [...] spraw międzynarodowych. I oto kiedy cokolwiek wzmógł mię jeden zwłaszcza szczegół charakterystyczny: kiedy ci, mniej więcej zaś, mają rodzaju nawykowo nie rosyjskiego. Nietylko że nie potrafią specjalnie miłości do obecnych rządów rosyjskich, ale wprost nie [...] uważają wyłącznego poczucia związku z Rosją. Znaczna ich większość, zwłaszcza Rosji i sprawach rosyjskich, jak o czymś, co było jest zewnętrznym dla sprawy Krymu; dziś wyraźnie i czynną świadomością odrębnego państwa krymskiego, to z pewną świadomością kontrastu z Rosją; niewątpliwie jednak, że instynkt czyli świadomość odrębności autonomicznej krymskiej czyli obywatelskiej jest u nich i że żąda ona w sposób odpowiedni całą ich psychologję i ich stosunek do państwa. Ludzie ci są bądź co bądź obywatelami nie Rosji, ale Krymu, który w ich umyśle, jak w ich praktyce życiowej, stanowi jednostkę odrębną, nie stapiającą się z Rosją. Nie jest to tylko, jak zawsze, prowincjonalizm, poczucie prowincjonalizmu, ale wyraźny i [...] wyraźny zmysł właściwie autonomiczny. Przejechawszy gub. Jekaterynosławską, wjechaliśmy już w guberni Charkowskiej: lud właściwie obserwowałem też tylko przez okno wagonu. O godz. 8 wieczorem byliśmy już w Charkowie, gdzie przesiedliśmy do pociągu na Bachmacz i zaraz odjechaliśmy.

49.

16 lutego
1 marca
rok 1913.
sobota.

Obudziłem się już w Bachmaczu, gdzie wagon nasz, idący z Charkowa, został przyczepiony do pociągu kolei Libawskiej. Wkrótce w gromadce nas, podróżnych tego samego wagonu, zawiązała się wspólna rozmowa. Było nas 8 osób: ja, ten sam nieokreślonej narodowości mieszkaniec Kowna, jadący ze mną od samej Teodozji, bodaj czy nie Łotysz czy Niemiec nadbałtycki, człowiek z wyglądu bardziej podobny do jakiegoś oryentalnego, dalej piękny, rosły mężczyzna w sile wieku, o wyrazie twarzy energicznym, o lekkim akcencie mowy ukraińskim, z pozoru chłop, a z wykształcenia [illegible] kompletny inteligient, bodaj czy nie profesorník ziemski, znający znakomicie całą gub. Charkowską i zwłaszcza stosunki włościańskie, dalej jakiś obskurny rosjanin czy tatar krymski, podający się za rosjanina, a włóczący się po świecie z wędrownym kinematografem, osobistość [illegible] budząca odrazę, tępy i błazen, starający się podszyć pod ton zebranych, a z gruntu jawny brutal, kłamca i tchórz, dalej dwóch żołnierzy, jadących na urlop do domu na Białoruś, jeden — z Homla, a drugi — z Brześcia, i wreszcie jakiś młody wyrostek-chłopak z pod Homla, słuchający wszystkiego uważnie, przemawiający rzadko, ale rezolutnie i do rzeczy, jakiś stadzony typowym zarodkiem wiejskiej inteligiencji. Rozmowa była ciekawa i czas płynął szybko. Zaczęło się od omawiania kwestji ewentualnej wojny, wciąż od jesieni wiszącej na włosku, a jakoś nie mogącej się wreszcie wykluć w wyniku skomplikowanej gry interesów międzynarodowych; z tego tematu przeszliśmy dalej na rządy wewnętrzne w Rosji i t. d. i t. d.. Nadzwyczaj ciekawe jest zjawisko, że wszędzie powszechnie w Rosji jest olbrzymie niezadowolenie z rządów istniejących, niewiara do legalizmu władz, wszędzie duch krytyki i nienawiści do istniejącego ustroju, do metod rządzenia, do siły i sprawności Rosji. Można rzec, że cały lud jest podminowany wrogim ustrojem do państwa a przynajmniej rządu. Niewiadomo, na jakich elementach opiera się rząd i utrzymuje stosunki prawicy rządowej. Elementów tych spotkać nie sposób, a przynajmniej spotkanie takowych należy do fenomenów. Wszyscy, czy to inteligiencja, czy chłopi, czy żołnierze nawet uważają rząd i państwo za niesprawny, zły, szkodliwy, opierający się jeno na przemocy, za złodziejski nawet. Duch roku 1905 nie ulotnił się z nastroju ludności w państwie. W każdym razie szczerego przekonanego lojalizmu, zapału dla Rosji, jaką ona jest obecnie, solidarności z rządem — ze świecą chyba szukać. Dopóki ludzie się nie znają, to, potrącając o kwestje polityczne, są ostrożni i powściągliwi; ale jak tylko się zwąchają, jak poczują, że nie ma śród nich popleczníka rządu, wnet tryska krytyka, jakiejś ostrzejsza, a zawsze pełna żółci i wzgardy budząca. Zdawałoby się nie dziwnego, że nastroje takie są powszechne śród ludności „obcoplemiennej”, to znaczy nie-rosyjskiej, jak u polaków, litwinów, łotyszów i t. d.. Ale gdzież tam — u samych rosjan nie mniej. Bo te miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, i ci ludzie, którzy w rozmowie tej udział brali, — to nie „obcoplemieńcy”. Tak ten inteligient, co mówił z „chochłacka”, jak chłopak z pod Homla, jak żołnierze, to nie byli ani jacyś „obcoplemieńcy” wyraźni, jakimi są polacy czy litwini, ani też świadomi narodowo ukraińcy czy białorusini. Wszyscy właściwie byli w retorcie rosyjskiej urobieni na rosjan! Skądże więc szukać tych „ludzi prawdziwie-rosyjskich”, tych miljonów wiernych poddanych i sług Ojczyzny Carskiej! Dotąd znam tylko jedną ich kategorję — to część kresowych urzędników-rosjan, ale i to właściwie jako elementy kryjące się [illegible] z ich tłem. Kraj między Charkowem a Mohylowszczyzną zrobił na mnie wogóle wrażenie kraju już bardzo zruszczałego kulturalnie, właściwie już rosyjskiego. Guberje Charkowska, Czernihowska — choć to niby Ukraina i niby przejście do Białej Rusi, ale zdaje się, że to już Rosja najprawdziwsza. Oczywiście spostrzeżenia moje są bardzo powierzchowne i przelotne, nie mogące sięgnąć wątku psychy tej ludności, ale bądź co bądź różnica między tym krajem a Ukrainą prawobrzeżną czy gub. Połtawską czy nawet Jekaterynosławską jest pod względem narodowego oryginalnego zabarwienia kultury nawet na ogólnikowy rzut oka — olbrzymia. O wiele więcej Charkowskie i Czernihowskie zakrawają na Rosję, niż na Ukrainę. W pobliżu Homla ujrzeliśmy już pierwsze lasy, zwiastuny naszej Białej Rusi; w Homlu już lokaj w bufecie przemówił do mnie po polsku. Im dalej, tym bardziej [illegible] dojeżdżaliśmy do rdzennej Białej Rusi. Otóż już inne twarze włościan, inne kożuszki, siwe baranki na czapkach, inna nieco mowa. Wyrazy twarzy chłopskich stoczne, brody coraz częściej golone, kożuchy bez fałdowania z tyłu, bez tej jakiejś talji i końcówki na modłę spodnicy. Lud jakiś jakby spokojniejszy, cichszy, sprawowany, szlachetniejszy w obejściu, subtelniejszy. Witaj, Biała Ruś, Ojczyzno moja, bujnej niesforna dziatwy! Kiedyż się obudzi ta wielka masa [illegible] ci białoruskich, ujmie ster spraw swoich w ręce własne i w myśl hymnu [illegible] poety przypomni się o swą godność i wolność ludzką! Kiedyż wreszcie [illegible] Litwinów i Łotyszów przyjdzie do wielkiego aktu odrodzenia, zbuntuje się przeciwko panom swoim i wytworzy wolny stan obywateli lub przynajmniej świat takowego, z którego dotąd wiecznie wyszedł [illegible]!

Po północy pociąg mój dotarł do Radziwiłowic. [illegible] Byłem u kresu mojej podróży. Jakże to już daleko byłem od Teodozji i od mojej Reny ukochanej! W Radziwiłowicach zastałem Józka z koniem, bo się jechałem dziś do Wilna, gdzie zamieszka[illegible]

17 lutego.
2 marca.
rok 1913.
niedziela.

Po przenocowaniu w zajeździe żydowskim przy stacji kolejowej wyjechałem rano z Jaśkiem do Wiarowa. Dzień był słoneczny, piękny i wesoły, mróz ostry kilkunastostopniowy z silnym wiatrem, sanna znakomita. Poraz pierwszy bodaj miałem dobrą drogę do mego Wiarowa. W Wiarowie zastałem wszystko w należytym porządku. Ze słów Piesiekierskiego dowiedziałem się, że eksploatacja lasu przez kupca postępuje energicznie, robota kipi, korzystając z dobrej drogi sannej.

Już wczoraj wieczorem dowiedziałem się w Radoszkowiczach o śmierci i pogrzebie ś.p. wuja Józefa Wołodkowicza. Umarł, ~~[illegible]~~ zdaje się, we wtorek 12 lutego. We czwartek ciało jego przywieziono pociągiem pośpiesznym z Wilna do Radoszkowicz, w piątek zaś nastąpił pogrzeb uroczysty na cmentarzu parafjalnym przy miasteczku Radoszkowiczach. Był to charakter niepospolity, butny i gwałtowny, awanturnik nieposkromiony, natura dzika i prosta, niedająca się ujarzmić żadnej kulturze. Miał temperament, fantazję, ani krzty zalet społecznych. Eksportacja z dworca kolejowego i pogrzeb odbyły się z wielką pompą. Liczny był zjazd rodziny i ziemiaństwa spokrewnionego z rozmaitych stron kraju, olbrzymie też masy ludu, zwołanego a częściowo i spędzonego przez młodych Wołodkowiczów na tę ich uroczystość żałobną. Wołodkowiczowie, z właściwą ich naturze pierwotnej i nieskomplikowanej naiwności, lubują się w świetnym decorum zewnętrznej okazałości. Masy ludu na pogrzebie potrzebne im były dla uświetnienia uroczystości, dla splendoru dekoracyjnego. Sprowadzone były te masy za cenę wódki, którą im lano do syta, liczna zaś służba, robotnicy, oficjaliści, dzierżawcy i t.d. z licznych dóbr Wołodkowiczowskich otrzymali nakaz stawienia się. Dekorum było zainscenizowane umiejętnie z właściwą Wołodkowiczom sprężystością: stworzone zostało widowisko powszechnego żalu maluczkich, opłakujących śmierć pana, który był dla nich za życia jak najcięższym i jaknajbezwzględniejszym; a z tym się Wołodkowiczowie nie liczą, że te masy, spędzone za cenę wódki, znakomicie rozumieją wartość tej inscenizacji i, pijąc za duszę zmarłego, przyglądają się komedji pańskiej i ~~[illegible]~~ kpią sobie z tych pańskich ~~[illegible]~~ uczuć teatralnych, rozgrywanych wobec trupa ojca ~~[illegible]~~.

18 lutego.
3 marca.
rok 1913.
poniedziałek.

W lesie kipi życie. Szafarz korzysta z drogi saniowej, żeby jak największą [illegible] towaru na spław wywieźć. Przez całą prawie zimę nie było drogi, to też robota leśna i wywóz drewna postępowały żółwim krokiem. Zato teraz, w przededniu wiosny, przy dobrej a już zapewne niedługiej saniach, pośpiech idzie na gwałt. Wszystko, co było wyrąbane, zostało już niemal wywiezione. Pozostały jeno najcieńsze sztuki, za które furmanki włościańskie żądają cen najwyższych, oraz została po całym lesie sześciórka i „sobaczka", już wyrąbione, ale zostawione do wywozu na ostatek, jako najlżejsze i względnie najmniej wartościowe. W dni powszednie las roi się od ludzi, ścinających nowe sztuki i rozpiłowujących powalone na towar, oraz od furmanek, które od świtu do wieczora snują się po lesie i wywożą, co jest przygotowane. Codzień walą się dziesiątki nowych sztuk, które natychmiast po zwaleniu są rozcinane i wywożone. Biesiekierski z Jaśkiem ledwie zdążają zakchować, zanumerować i obliczyć towar dla wymiany kartek kwitacyjnych z szafarzem. Dwaj szafarze są w ciągłym ruchu. Wyznaczają włościanom sztuki do ścięcia, zaznaczają na powalonych ~~[illegible]~~ miejsca, gdzie mają być one rozpiłowane, taksują, notują i sprawdzają wywóz. Biesiekierski z Jaśkiem mają oprócz tego dozór nad furmankami, aby lasu nie uszkodziły, nad rębaczami, aby zapuszczali sztuki należycie, a szafarze prócz tego mają wypłaty, mają ciągłe kwestje z robotnikiem i t. d.. Las się roi, żyje, wre. Ciągłe krzyki, nawoływania, popędzanie koni, trzask padających sztuk. Robota w pełnym toku. Włościanie mają zarobek świetny, ceny furmanek bardzo wysokie, bo naokoło mnóstwo lasów się jednocześnie eksploatuje, a sanna trwa krótko. Ale hulają też włościanie i piją nad miarę. W wiosce Truszewiczach, gdzie zamieszkali szafarze i gdzie się dokonywują wypłaty, ~~[illegible]~~ u każdego gospodarza jest wyszynk wódki; gospodarze trzymają i sprzedają wódkę, pokupowali też beczkami śledzie, aby je sprzedawać do zakąski; szynkują i piją sami. Pieniądze się leją, jak się leje wódka; włościanie dostają zarobku dziennego z końmi po 5 i nawet więcej rubli. Gdyby choć część tych pieniędzy nie ulatniała się i nie zasilała kasy państwowej na monopol wódczany, to podniesienie dobrobytu włościańskiego z zarobków tych mogłoby być znaczne. Ale chłop-białorusin jest niefrasobliwy i nie umie być skrzętnym w gospodarce pieniężnej. Gotówka jest dla niego przeważnie zbytkiem, źródłem doraźnej uciechy; to też, gdy ją trzyma w kieszeni, to hula szeroko, bez troski o jutro, które przecie w jego pojęciu nie ~~[illegible]~~ będzie innym, niż to dotąd, gdy gotówki tej nie było. Na tym niskim poziomie kultury ekonomicznej włościan naszych, chłop nie zna kapitalistycznej wartości pieniądza, lub zna takową bardzo mało. Brak mu dotąd zmysłu kapitalistycznego, to też taki okolicznościowy napływ pieniędzy sprawia jakiś powszechny szał użycia — i tylko. Nie [illegible] coś z tego skorzysta trwale, ale o ileż więcej się zmarnuje. Włościanie mają złoty czas; żartują, że nie potrzeba im teraz Ameryki, bo mają Amerykę u siebie. Hulają, używają pełni życia, na jaką ich stać. Są, jak dzieci. Nie jest to właściwie jakaś szczególna cecha charakteru, jeno cecha poziomu kultury niskiego stopnia gospodarki pieniężnej. Bo przecie ci sami włościanie umieją być skrzętni i zabiegliwi ~~[illegible]~~ w robocie na roli i w dobytku. A że piją, to dlatego, że wódka daje im uciechę największą ze znanych im. Puszczają pieniądze nie dla wódki samej, ale dla uciechy, którą w niej znajdują. Wiedzą, że niedostępne i nieznane im są jeszcze uciechy subtelniejsze. Nie tak to znów [illegible] ich wina.

Pies Burej jest „oszalumowany", co sprawia Biesiekierskiemu wielkie strapienie. „Oszalumowany" — to znaczy, że ktoś dla swawoli czy przez złośliwą intencję wystrzygł mu „Oszel[illegible]" sierść na karku, wskutek czego pies wygląda, jakby miał na karku [illegible] kosztu. Takie „oszalumowanie" [illegible] wielką hańbę dla właściciela psa i wielką [illegible] ze strony sprawcy. „Oszalumowanie" psa sprawia wstyd dla gospodarza. Sprawca jest [illegible]. Biesiekierski jest tym strapiony; przypisuje „oszalumowanie" szlachcicowi Wielickiemu z Truszewicz [illegible].

19 lutego.
4 marca.
rok 1913.
wtorek.

Dzień minął w Wiarowie, jak zwykle. Do obiadu nachodziłem się dużo po lesie, towarzysząc Biesiekierskiemu i szaforowi w czynności t. zw. „przyjmowania" towaru od robotników. Dla szafora ~~i~~ kupca czynność ta polega rzeczywiście na przyjmowaniu roboty, wykonanej przez robotników, rąbiących drzewa i rozpiłowujących towar, dla nas zaś ~~jest pole~~ jest ona registrowaniem towaru, stanowiąc podstawę do kontrolowania spławu i do obrachunku z kupcem. Chodziliśmy więc po lesie od pnia do pnia: Biesiekierski i szafor notowali towar, wyrobiony z każdej sztuki ściętej, Jasiek numerował drzewo, inny włościanin stemplował drzewo cechą. Dokoła pełno sań i włościan, czekających na dokonanie „przyjęcia", aby sztukę przyjętą zabrać i wywieźć; mnóstwo się ich snuje z saniami, inni stoją grupami, inni ładują drzewo na sanie, inni już je wywożą. Od wczorajszego rana padał śnieg i szalała zawieja. [illegible] stopniowo padał i wreszcie ustał zupełnie; nastała natomiast odwilż. Sanna już lada dzień się może zepsuć. Szafor śpieszy gorączkowo z rąbaniem i wywożeniem drzewa. Codziennie kilka set włościan wyrąbuje drzewa, codziennie po kilkadziesiąt sztuk się przyjmuje i zaraz tegoż dnia wszystko jest rozchwytane przez furmanki i wywiezione na brzeg rzeki. Ogółem dotąd wyrąbano przeszło 1800 sztuk (oprócz sześciorki i „sobaczki", których jeszcze nie wywożono). Szafor się śpieszy, aby choć do 2000 sztuk doprządzić, zanim droga nie ucieknie.

Z drogi jeszcze i z Teodozji wprawiłem się do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się, tak że teraz budzę się przed świtem po ciemku i już spać nie chcę, a za to ~~...~~ z wieczora oczy mi się kleją i senność ogarnia straszliwa. Po obiedzie też walczyć muszę z sennością. Może to skutek wiosny, która zawsze pobudza mnie do senności. Nie wiem, dlaczego się tak dzieje, że na wiosnę więcej potrzebuję snu, niż w innej porze roku. Na wiosnę wszystkie zmysły intensywniej funkcjonują i może dlatego więcej wymagają spoczynku, więcej snu dla kompensaty swej ~~...~~ wzmożonej wydajności.

20 lutego.
5 marca.
rok 1913.
Środa.

Dzień mokry, mglisty. Odwilż. Śnieg topnieje, zima ucieka. Wywóz lasu jeszcze się odbywa, ale już wisi na włosku. Szafer kupca nakazał już zaniechać rąbania nowych sztuk. Od rana Bieniakierski z Jaśkiem zajęci byli przyjmowaniem, t.j. cechowaniem, numerowaniem i rejestracją towaru, wyrobionego ze sztuk ściętych. Na skutek przykrej wilgotnej pogody byłem w usposobieniu zgryźliwym. Leniłem się iść do lasu i w ogóle czułem się niezdarny do jakiejkolwiek czynności. Wreszcie poszedłem do lasu i włóczyłem się śród pni i drzew powalonych, towarzysząc robocie przyjmowania drzewa. Bieniakierski też był coś kwaśny (może i jego pogoda źle usposobiła) i zdradzał skłonność do gderania nawet i do krytyki moich rozporządzeń leśnych. Gdy trochę przesolił, potem widocznie się sam przestraszył i wydawał się po powrocie do domu zaniepokojony, trochę jakby skonfundowany i zlekka nadskakujący. Nie zrobiłem mu żadnej uwagi, ale, wyjeżdżając, pożegnałem go trochę chłodniej, niż zwykle. Około godz. 4½ opuściłem Wierzowiec, dążąc wreszcie do Wilna na Nowy Dwór, chciałem bowiem złożyć tu na miejscu wizytę kondolencyjną cioci Dusi Wołodkowiczowej po świeżej śmierci jej męża. Odwiózł mię, jak zwykle, Jasiek. W Nowym Dworze nikogo już z gości pogrzebowych niema. Zostali tylko inwalidzi z pośród rodziny samej: c. Dusia zmęczona po stracie męża, troskach tak długiego czuwania przy chorym i pogrzebie, Zuńka Chełchowska, leżąca w łóżku wskutek przeziębienia, Lolo Wołodkowicz, chory pono na migrenę, i jedyna zdrowa — Marynia Wołodkowiczówna. Spędziłem u nich wieczór i zanocowałem. Dom w Nowym Dworze starświecki, wygodny, nawet dość okazały, a przynajmniej dostatni w urządzeniu wewnętrznym. Uosobienie typowego zasobnego gniazda szlachecko-ziemiańskiego, jakich coraz mniej w kraju. Zamożna średnia własność szlachecko-pańska, tak dawniej powszechna, dziś już coraz rzadsza i rzadsza. Miejscami, jakby olbrzymie plamy, na chudopachołskiej ziemi naszej, rozciągają się latyfundia magnackie, dokoła powszechnie roją się masy włościańskie, coraz gęściej rozsiewa się własność folwarkowa półpanków i półinteligientów, stanowiących liczną i pracowitą kategorję ludności, a oazy dostatnich typowych dworów szlachecko-ziemiańskich coraz rzadsze.

21 lutego.
6 marca.
rok 1913.
czwartek.

O świcie wstałem i wyjechałem z Nowego Dworu na pociąg do Radoszkowicz. Wiózł mię stary Tomasz, stary sługa, który przesłużył w rodzinie naszej lat koło 40. Przez lat 20 służył wpierw krótko lokajem, potym furmanem u dziadka mego Mieczysława Tukałły i u syna jego, wuja Ignacego, a następnie przesłużył 17 lat furmanem w Nowym Dworze u starych Wołodkowiczów. Jest typowym starym sługą, znającym nas wszystkich jeszcze z starych lat dziecinnych i znającym na wylot wszystkie tajniki i szczegóły zakulisowe stosunków w całej naszej rodzinie. Zawsze ze starym Tomaszem, po śliskiej drodze, po ślizgocie strasznej, — pojechałem na stację do Radoszkowicz, ale tak, że o mały włos się nie spóźniłem na pociąg. Żeby o 2 minuty później, już bym nie trafił.

Koło godz. 1 popołudniu byłem już w Wilnie. Z okazji wypadającej dziś jubileuszowej (300-letniej) rocznicy panowania dynastji Romanowów miasto udekorowane flagami i girlandami zieleni, na placu ~~[illegible]~~ Łukiskim parada wojskowa i t.d. W pismach ogłoszone streszczenie manifestu amnestji. Zdaje się, że dla ~~w~~ przestępstw politycznych amnestja jest dość uboga. Uroczystościom ulicznym z powodu jubileuszu — nie przyglądałem się. ~~Cał~~ Wszystkie te uroczystości, jak cały ten ~~jubil~~ jubileusz — zainscenizowane, nakazane z góry, pełne obłudy i formalizmu.

W domu zastałem wszystko w porządku. Mama zdrowa, Marynia i jej dzieci — także. Marynia, która w zeszłym tygodniu była w ~~W~~ Nowym Dworze i Radoszkowiczach na pogrzebie wuja Wołodkowicza, i dowiedziała się tam, że mnie w tym czasie w Wiarowcu nie było, posądza, że cała moja podróż nakazana do Kijowa była zmyślona i że może tam wcale nie byłem. Ale ani Marynia ani ja nic sobie z tego nie robimy, bo Marynia nie próbuje nawet przenikać tajników mego życia osobistego i ~~[illegible]~~ zresztą ~~[illegible]~~ zawsze, zresztą zastrzegłem się, że w Kijowie istotnie byłem, choć dodałem półgębkiem figlarnie, że może i jeszcze dalej.

22 lutego.
7 marca.
rok 1913.
piątek.

Mam zamiar spisać moje wrażenia z wycieczki do Krymu i wydru=
kować je w „Przeglądzie Wileńskim". Chodzi mi zwłaszcza o uwydatnie=
nie etnograficzno-kulturalnych stosunków krymskich i tych procesów
ludnościowych, które tam kiełkują pod zewnętrzną oficjalną powłoką pań=
stwowości rosyjskiej. Procesy kulturalne, kiełkujące w poszczególnych
krajach i ludach, należących do państwa, są tym fermentem, który
twory i rodzą pokrywa ustaloną organizację rosyjskiej bryły pań=
stwowej. To też poznanie takowych ma wartość nietylko informacy=
jną dla nas, który też należymy do kraju, prącego wyzwolenia
z pęt narzuconej mu państwowości. Wstęp do artykułu tego zaczą=
łem pisać w Wiazowcu, dziś zaś go dokończyłem; jest to tymcza=
sem tylko wstęp, który dam jako osobny artykulik na początek.
Całość będzie się składała oprócz tego wstępu jeszcze zapewne z dwóch
artykulików, drukowanych w kolejnych NN „Przeglądu"; i będzie ~~…~~
~~…~~ miała tytuł zbiorowy „Listy ze wschodu". Ponieważ wszakże
byłem w Krymie incognito i chodzi mi o ~~…~~ nieujaw=
nienie tej wycieczki, więc podpisuję się zmyślonym nazwiskiem:
„T. Nowik".
Dowiedziałem się, że ostatnie ~~…~~ dwa NN „Przeglądu Wileńskiego"
były znowu skonfiskowane. Pismo jest poprostu chronicznie kon=
fiskowane. „Przegląd" miałby już ~~teraz~~ 5 procesów karnych pod za=
rzutem rozmaitych „zbrodni" państwowych, gdyby nie to, że amne=
stja wczorajsza wszystkie sprawy prasowe polityczne skasowała.
Wieczorem miałem wielką radość: przyszedł pierwszy list od mojej Anny
z Teodozji, długi, bardzo serdeczny, ciekawy. Żargon niemiecki mojej Anny
(bo trudno to nazwać językiem niemieckim) ~~…~~ wygląda w
piśmie jeszcze ~~…~~ szkaradniej, niż w mowie ustnej;
ale dla mnie brzmi on pięknie i słodko, bo w nim się streszcza myśl
i serce tej mojej jedynej kochanej dziewczyny; umiem też znakomi=
cie odcyfrować rebusy tego żargonu. Anna biedaczka tęskni, bo
się tam nudzi, musi spędzać czas w bezczynnej samotności, a
brat bywa dla niej szorstki, przykry; czuje biedaczka, o ile słodszy
jestem dla niej ja od wszystkich braci i najbliższych chciwi(?)
przyjaciół, bo we mnie ma serce kochające, ma zawsze trochę go=
rące, ma szczere zainteresowanie, ma oddźwięk dla wszelkich stę=
pień i nastrojów swoich. Pisze Anna, że pogoda w Teodozji brzyd=
ka i zwłaszcza wiatr przenikliwy; nie może więc używać spa=
ceru, nie może tymbardziej przesiadywać w ogrodzie i korzystać
ze słońca krymskiego; spędzać musi czas w swoim pokoiku na
lekturze książek łotewskich i swej gazetki libawskiej. Do doktora
chodzi codziennie i już dostała 3 igły zastrzyknięcia arsze=
niku. List Anny obudził we mnie gorące, ostre uczucia tęsknoty
i żalu po niej. O jakże daleko do maja!
Cały wieczór wysiedziała u nas Kotunka, która przyszła zwizy=
tować Mamę. Ezechjel jest z Mamą na bakier, przy każdej okazji
dogryza Mamie i szuka zaczepki; widać, że tylko z konieczności,
dla zachowania pozorów, składa Mamie wizyty i utrzymu=
je stosunek. Kotunka była dziś bez niego; też nie kwadruje dobrze
z Mamą, ale bądźcobądź ma od Ezechjela więcej taktu i ma przecie
uczucie dziecka dla matki. Zresztą Kotunka jest między Mamą a Eze=
chjelem, jak między młotem a kowadłem. Główne tarcia pole żalów
i rozdźwięków, to kwestje spadkowe po rodzicach naszych. Od roku
zeszłego, od czasu choroby Mamy, siostry a zwłaszcza szwagrowie pod=
nieśli alarm spadkowy. Są niezadowoleni z testamentu Papy, który ~~…~~ uważa=
ją dla siebie za krzywdzący, są też zaniepokojeni oddaniem Wiazowca na
moje imię, choć to jest tylko transakcja pozorna, dokonana dla uniknięcia
procedury działczej, zagwarantowana odpowiednią przystającą umową mojej z Ma=
mą oraz zobowiązaniami formalnemi.

23 lutego
8 marca.
rok 1913.
sobota.

Zaniosłem Ludwikowi Abramowiczowi mój artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" i pogawędziłem przy tej okazji, aby się dowiedzieć, co słychać nowego w Wilnie i czy nie zaszły jakieś ciekawsze rzeczy przez czas mojej nieobecności. Zdaje się, że nic osobliwego nie zaszło. Opowiadał mi Ludwik, że miał on tu mały kłopocik z żandarmerją z powodu odczytu Michała Sokolnickiego, ale że na nic poważniejszego się nie zanosi. Literat Michał Sokolnicki, trochę historyk, trochę publicysta i polityk, gorący patrjota, zacięty „frak", przyjeżdżał tu w początku lutego do Wilna dla ~~[illegible]~~ poinformowania wilnian o ~~[illegible]~~ organizującej się w Galicji akcji przygotowawczej do ruchu powstańczego, skierowanego przeciwko Rosji w związku ze spodziewaną wojną. Odczyt Sokolnickiego odbył się w lokalu klubu bankowego, oczywiście nieurzędowo, bez wiedzy administracji, konspiracyjnie, pod pozorem poufnej kolacji towarzyskiej grona osób, zebranych w jednym z gabinetów klubu. Na odczycie tym nie byłem, bo odbył się on w wigilję mojego wyjazdu do [illegible], kiedy byłem bardzo zajęty. Osób, obecnych na odczycie, było podobno do 60 z rozmaitych kół polskiej inteligencji wileńskiej: przeważali postępowcy, była też lewica, rozmaite odcienia umiarkowanych sympatyków postępu bezpartyjnych, trochę sympatyków endeckich, ~~[illegible]~~ endecka i wreszcie kilku wyraźniejszych ~~[illegible]~~ właściwych endeków; sztabu endeckiego nie było, nie było też wcale ugodowców. Sokolnicki mówił długo i podobno bardzo pięknie i ciekawie, kilka godzin bez przerwy, potem trwała jeszcze do późna w noc dyskusja i wymiana zdań. Wszystko się odbyło bez incydentu, ale potem, ~~[illegible]~~ już po wyjeździe Sokolnickiego, dowiedziała się jakoś o tym żandarmerja i wszczęła dochodzenie. Ludwik Abramowicz też był w tej sprawie wzywany przez żandarmerję i badany, jak kilku innych. Zdaje się wszakże, że żandarmerja nie ma dokładnych informacji; ma tylko kilka nazwisk spisanych i jakąś ogólnikową pogłoskę, że wygłoszona była przez jakiegoś przyjezdnego „[illegible]" przeciwko Rosji. Ci, których żandarmerja wzywała do badania, umówili się poprzednio między sobą, że ~~[illegible]~~ zeznają, iż to przyjeżdżał z [illegible] pewien publicysta, korespondent „Przeglądu Wileńskiego", w drodze z Petersburga ~~do~~ zagranicę (nazwisko podali zmyślone), i że wieczorem w klubie bankowym istotnie się odbyła kolacyjka w gronie kilku osób, na której ten pan opowiadał o ucisku Polaków w Poznańskiem i wypowiadał się, jako prusofob i słowianofil, przyjaciel Rosji. Zdaje się, że się na tym rzecz skończy bez dalszych konsekwencji. Zresztą i sama sprawa odczytu Sokolnickiego, gdyby nawet została ujawniona w prawdziwym świetle swoim, nie byłaby groźna, bo odczyt był tylko informacyjny i zgóry [illegible] wykluczone było wszelkie nawoływanie mieszkańców Litwy do jakiegokolwiek udziału w akcji galicyjskiej. Co najwyżej mogłyby być przykre konsekwencje dla klubu bankowego.

O wojnie cicho. Chyba już jej nie będzie. Ileż to już czasu trwa ten stan napięcia międzynarodowego, to ciągłe pogotowie wojenne! Od jesieni trwa to oczekiwanie z dnia na dzień, ta gorączka wojenna. Podobno w najbliższym czasie ostatecznie się rzecz wyjaśni i już albo wojna teraz wybuchnie albo jej nie będzie. Demobilizacja Austrji byłaby oznaczała pokój; dotąd wszakże to nie nastąpiło.

W nocy byłem z Maryńką na „redducie artystycznej", ostatniej większej publicznej zabawie karnawałowej. Był to bal maskowy, poprzedzony kabaretem piosenkowym, wykonanym ~~[illegible]~~ przez artystów teatru polskiego. Na tańcach nie byliśmy; zaraz po kabarecie o godz. 3 w nocy wróciliśmy do domu. Kabaret był dobry; dużo było gwaru w dobrane piosenek i kupletów, wszystko było lekkie, zajmujące, dowcipne. Na temat stosunków wileńskich było bardzo mało produkcji. Publiczność zabawiła się dobrze. Towarzystwo było mieszane; przeważała inteligencja miejska i świat teatralny; świata arystokratycznego było niewiele i widocznie nie chciało się ono mieszać z towarzystwem aktorek i wesołym nastrojem otwartej swobody kabaretowej.

24 lutego.
9 marca.
rok 1913.
niedziela.

Dotąd wyrok sądu konsystorskiego w sprawie naszej z 12 panami nie został opublikowany. Wyjeżdżając z Wilna, prosiłem Janulaitisa, aby się tym zajął, ale po powrocie dowiedziałem się, że to nie zostało zrobione, raz dlatego, że autentyczna kopia wyroku, zaświadczona przez superintendenta Ledniczkego, została u mnie, a u Janulaitisa i innych była tylko prywatna kopia, której nie wypadało dawać do redakcji bez przedstawienia autentyku, a powtóre dlatego, że podobno, jak mi mówił Janulaitis, Maćkowski jest przeciwny ogłaszaniu wyroku tego. Maćkowski uważa ten wyrok za jezuicki, taki, którego by i sam Salomon nie zrozumiał: nie daje on, zdaniem Maćkowskiego, satysfakcji ani nam ani stronie przeciwnej i jednocześnie może być tak na naszą jak na korzyść strony przeciwnej komentowany. Uznaliśmy wszakże, że trzeba ostatecznie tak albo inaczej rozstrzygnąć co do użytku, jaki chcemy zrobić z wyroku tego. Zebraliśmy się więc dziś o godz. 4 u Pilsudskiego wszyscy (Piłsudski, Janulaitis, Sławewicz, Maćkowski i ja). Ja uzasadniłem konieczność ogłoszenia wyroku w obu tych pismach („Kurjerze Litewskim" i „Szkicie Codziennej"), w których był ogłoszony obrażający nas komunikat 12 panów. Wyrok ten, który jest, zdaniem moim, dla nas zadowalającym, zwłaszcza gdy się go czyta uważnie, analitycznie, jest istotnie tak — ułożony, że pokarze obie strony ugruntowanie i jednocześnie obie strony winę obarcza. To daje możność przeciwnikom naszym takiego komentowania wyroku, które będzie naciskać — wyłącznie i jednostronnie na to, co jest w wyroku dla nas niedogodne a dogodne dla 12 panów. Oczywiście, że komuś z publiczności pokazywać, odczytywać i dawać do analizy szczegółowej ci panowie wyroku nie będą, a ograniczą się na komentowaniu motywu dowolnym; najlepszym zaś dla nich argumentem dla poparcia twierdzenia, że wyrok jest dla nas potępiający, będzie fakt oczywisty, że my sami go nie ogłaszamy, to znaczy że uznaliśmy go za niemiły dla siebie i ukrywamy. Wobec tego ogłoszenie wyroku uznaliśmy za konieczne. Z argumentacją tą wszyscy się zgodzili. Maćkowski też nie oponował. My z Janulaitisem mamy jutro udać się do obu redakcji dla wręczenia odpisu wyroku i zażądania ogłoszenia takowego.

Dowiedziałem się, że odbyły się niedawno, w czasie mej nieobecności, wybory do komisji adwokackiej. Ja zresztą w wyborach tych udziału brać nie mogę, bo głos mają tylko przysięgli, jako istotni członkowie korporacji, pomocnicy zaś głosu nie mają. W wyborach tych dokonała się mała rewolucyjka wewnętrzna. Przed wyborami odbyła się u Torchowskiego narada poufna grona kilkunastu adwokatów z pośród elementów młodszych i żywszych dla ustalenia listy kandydatów do wyborów. Postanowiono zbić zamach starym i wprowadzić do komisji świeższy i żywszy element. Usunięcie wszystkich starych z komisji byłoby zbyt rażącą i jaskrawą demonstracją, niepotrzebną zresztą, bo niektórzy ze starych, jak zwłaszcza Instytut Sumorok, są ludźmi szanowanymi i nie budzącymi żadnego niezadowolenia. Stremittę też postanowiono nie usuwać. Natomiast Zwaczyńskiego uchwalono obalić, jako człowieka skłonnego do protekcjonizmu i korupcji, który już kilkakrotnie pozwolił sobie bez ceremonii deptać względy koleżeńskie. Z żydów postanowiono usunąć Friedmana, któremu nie brak zarozumiałości i pewnej elastyczności w uczciwości zawodowej, natomiast utrzymać Wygodzkiego, człowieka lubianego i koleżeńskiego. Tak się też na wyborach stało. Zwaczyński i Friedman upadli. Zwłaszcza upadek Zwaczyńskiego jest czynnikiem dodatnim, jako protest przeciwko rozwielmożnieniu się z rozpanoszeniem się jego. Zwaczyński musiał przełknąć tę pigułkę, a widocznie się nie spodziewał upadku, bo był obecny na zebraniu wyborczym. Będzie to nauczka dla takich panów, który zbyt się rozwielmożnił i lekceważą stosunki koleżeńskie, a jednocześnie będzie to poprawą atmosfery korporacyjnej w komisji. Wybrani zostali do komisji z dotychczasowych jej członków Instytut Sumorok, Stremitt i Wygodzki, a na nowo Podwysocki i Witold Abramowicz, obaj należący do poważnej opozycji, obaj z przeszłością, obaj tacy, z którymi się w adwokaturze liczą i którzy nareszcie też reprezentują pewien kierunek opinii; na zastępców zaś do komisji wybrano Kłottę i Janowicza, — też dobrze.

Tu się cisną z upadku Zwaczyńskiego na wyborach, a tu mam zaraz mówić o moim własnym upadku na innych wyborach, o czym się dziś dowiedziałem od p. Janowej Vileišisowej: mianowicie na ogólnym zebraniu „Lietuvių Dailės Draugijos", które się odbyło zeszłej niedzieli w nieobecności mojej, zostałem zabalotowany. Atoli to jest [illegible] przeczuwałem. Poprzednio bardzo mi zależało na tym, aby się w tym zarządzie utrzymać, ale już potym z innych względów nawet poniekąd pragnąłem tego. Obowiązki skarbnika są dla mnie najmniej miłe i najmniej odpowiednie ze wszystkich. Z natury bowiem jestem stworzony na regularnego [illegible] tymczasowego kasjera: to nie w mojej naturze, to też istotnie dobrym kasjerem nie będę nigdy. Techniczność — to nie moja dziedzina czynności. I dla towarzystwa ze mnie, w charakterze skarbnika, niewielka korzyść i dla mnie samego to uciążliwe i mało produkcyjne. Dla mnie ważne było nie skarbnikostwo, ale należenie do zarządu i to z innych względów: ze względu na współudział w tej kipiącej a tak pięknej i pożytecznej działalności Dailės Draugijos. Ale teraz, im bardziej o tym rozmyślam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że może tak stać się należało, aby mnie nie wybrać do zarządu. Mnie pchać się do zarządów towarzystw ściśle litewskich, w ogóle tam, gdzie decydujący udział w bezpośredniej zbiorowej działalności litewskości, działalności narodowej — to może niedopowiedni. Należą do tych, którzy mają być w ich zarządach — to co innego. Moje zadanie, moja rola, — to raczej być łącznikiem [illegible] polskich, tzn. w polskich kołach postępowych i demokratycznych w zakresie układu współpracownictwa obywatelskiego z litwinami. To jest jeszcze do zrobienia.

25 lutego.
10 marca.
rok 1913.
poniedziałek.

Ta amnestja z okazji rocznicy dynastji Romanowów (gdzież by się teraz kto dopukał tej krwi „Romanowowskiej" w rodzinie carów „naszych"!) nie bardzo jakoś oczyściła grunt polityczny w Rosji z przeróżnych kar, dochodzeń i aresztowań administracyjnych. Prześladowanie młodzieży szkolnej, jak było, tak jest a bodaj i będzie — w pełnym toku. Coś skazała ta amnestja i jakoś na komedję zakrawa, bo tymczasem w najbliższym otoczeniu nie o ulgach, ale o nowych wciąż represjach słychać. Zresztą jakżeby mogło być inaczej! Dziwiłby się zwierz krwiożerczy, z pasożytnictwa żyjący, gdyby nagle się uniósł łaskawą miłością do ofiar! Dla pozoru potrzebna komedja — i tylko. Rząd państwa Rosyjskiego — a łaska, a wolność, — toć kontrasty. I oto w tym samym czasie, gdy amnestja stała się najświeższym faktem dokonanym, mamy do zanotowania bodaj więcej, niż dawniej, represji. Oto z naszej młodzieży postępowej aresztowana została świeżo w Petersburgu [illegible] studentka Kobylińska, jedna z najlepszych, jakie były w [illegible]niowskim kółku postępowców wileńskich. Zaraz też aresztowana została druga, też działaczka, też uczestniczka kółka postępowego wileńskiej młodzieży, Rosenberżanka, również studentka petersburska, która zaraz po aresztowaniu Kobylińskiej wyjechała z Petersburga do Wilna, ale tu wzięta została. Za co one aresztowane zostały — dokładnie nie wiem. Nie są już one zresztą teraz regularnymi członkami kółka wileńskiego, bo pokończyły szkoły wileńskie i wyjechały na dalsze studja, ale należą do pionierek postępowej młodzieży wileńskiej.

I oto znowu dalszy ciąg innej represji — esdeków wileńskich. Domański z dwoma towarzyszami robotnikami wyjeżdża na deportację 3-letnią do kraju Pieczorskiego, nad tundry północno-wschodnie gub. Archangielskiej, Edward Sokołowski — do północnych powiatów gub. Tobolskiej w Syberji Zachodniej. Amnestja ich nie dotknęła. Widziałem dziś ich obu, Domańskiego i Sokołowskiego, — i pożegnałem. Biedni. Skądinąd podróż taka i pobyt, dla mnie przynajmniej, byłyby ciekawe, gdyby zresztą nie były przymusowe. Gdyby [illegible] mieć pieniądze, ale tych właśnie będą oni odczuli brak dotkliwy.

Zdaje się, że to nasze zebranie z litwinami, które się przed trzema tygodniami odbyło u mnie, w skutkach swoich okaże się niebardzo dodatnie. Mianowicie jak litwini po zebraniu tym zaczęli omawiać między sobą te kwestje, które od nas usłyszeli, — o orjentacji w związku z konfliktami międzynarodowymi, ruchem powstańczym polskim i t. d. — i jak to się rozeszło śród litewskich kół prawicy nacjonalistycznej, to ci skorzystano z tego, aby się rzucić na demokratów litewskich, którzy w tej pogawędce z grupami demokratycznemi polskiemi udział brali, i wszczęli na nich coś w rodzaju nagonki, że niby to się oni poddają knowaniom polskim, dają się uwikłać rozmaitym mistycznym kombinacjom ugody, zakonspirowanym istotnej intrygi polskiej skierowanej do powstania polskiego, zaboru Litwy i t. d. Nacjonaliści litewscy w każdej najniewinniejszej próbie nawiązania kontaktu demokratycznego, jeżeli tylko wychodzi ona od polaków, węszą tę „intrygę polską" i alarmują pokątnie opinję litewską, przedstawiając stronnictwo [illegible] o tym [illegible] prywatne. Nie wiem, czy demokraci litewscy zdobędą się na odwagę i niezależność nieliczenia się z temi podszeptami swych nacjonalistów. Po tym zebraniu obecni na nim demokraci litewscy [illegible] byli, jak wiem, pod najlepszym wrażeniem [illegible] byli obecni na zebraniu polacy, była współność uczucia i myśli obywatelskiej. Był bowiem nastrój [illegible] litewscy, zwłaszcza nie esdecy, nie będą teraz [illegible]. Nie wiem, czy demokraci [illegible] i [illegible] na skutek [illegible] knowań nacjonalistów. Zwłaszcza, że [illegible] litewskich, a ci z nich, którzy mieszkają w mieście, [illegible] w inteligenckich kołach [illegible] nie [illegible] litewskich i [illegible]

26 lutego.
11 marca.
rok 1913.
wtorek.

Zanieśliśmy dziś z Janulaitisem wyrok Sądu honorowego do redakcji „Kurjera Litewskiego” i „Gazety Codziennej”. Kłasko trochę się zżymał, wyrażał pewne zastrzeżenia co do ogłaszania wyroku, powołując się na to, że prośba o ~~#~~ ogłoszenie pochodzi tylko od jednej ze stron i że w wyroku samym nie ma wzmian- decyzji o ogłoszeniu takowego. Zaznaczyliśmy, że skoro w piśmie ogłoszony był komunikat, jako rzecz nadesłana, pochodząca nie od Redakcji samej, i skoro z ~~skut~~ powodu ~~#~~ twierdzeń, zawartych w tym komunikacie, odbył się sąd honorowy, to wyrok takowego powinien być bezwzględnie, na żądanie choćby jednej strony zainteresowanej, ogłoszony. Tego wymagają elementarne względy etyki dziennikarskiej. Złożyliśmy przeto kopję wyroku do rąk Kłaski i wyszliśmy. Nie przypuszczam, aby ~~#~~ się zdecydował na nieogłoszenie. W „Gazecie Codziennej” jeszcze krócej sprawę załatwiliśmy.

Wieczorem pisałem artykulik do „Kurjera Krajowego”. Chciałem napisać tylko o nowozałożonym litewskim towarzystwie świeckim „Rytas” dla szerzenia oświaty śród litwinów gub. Wileńskiej, ale chcąc nadać artykulikowi pewną zaokrągloną formę, rozszerzyłem ramy jego i dałem rzut oka porównawczy na charakter ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ kulturalno-narodowy Litwy właściwej, zachodniej, a pasa pogranicznego litewsko-białoruskiego. ~~[illegible]~~ Artykulik wyszedł z pod pióra ciekawy, treściwy; choć naogół jest on ścisły, zwarty, ale dla małego formatu „Kurjera Kr.” jednak trochę za duży. Uwydatniłem w nim dokonywający się obecnie proces unarodawiania się tej środkowej dzielnicy kraju, litewsko-polsko-białoruskiej, która dotąd miała zupełnie odrębną cechę nieokreśloności narodowej, tego, co w słowniku mowy miejscowej otrzymało specyficzną nazwę „tutejszości”.

Teraz, gdy nie ma mej Anny w Wilnie, zmienił się znacznie tryb mego życia. Wieczory spędzam regularnie w domu, wogóle więcej zużywam czasu na pracę i czuję się przykuty do miejsca. Ale mi tęskno i smutno. Ileż to jeszcze tygodni tej samotności, tej pustki. Dziś wieczór ostatków zapustnych, tłusty wtorek przed postem, — a mnie nic przez to jakoś zabawa nie ciągnie. Ciężko mi w duszy, nie pragnę zaba-

Rozmawiałem dziś z Maińkowskim o sprawach „Kurjera Krajowego". Pismo materjalnie rozwija się względnie nieźle; prenumeratorów ma koło 900, sprzedaż uliczna wzrosła pomimo energicznego przeciwdziałania agientów „Gazety Codziennej". Oczywiście wszakże, że dotąd byt pisma nie jest jeszcze z własnych dochodów zapewniony; trzeba dokładać. Na zebraniu przyjaciół pisma, które się odbyło w czasie mojej nieobecności, postanowiono nie kołatać o subsydja, raczej jednorazowe ofiary, prywatne, ale zorganizować dla pisma w którymś z banków kredyt wekslowy na żyro kilkunastu gwarantów z pośród sympatyków pisma. Obliczono, że do końca tego roku potrzeba będzie dopłacić do wydawnictwa od 2–3 tysięcy rubli; na podstawie zaś obliczeń wzrostu prenumeraty i wyprzedaży detalicznej oraz pewnych mniej lub więcej uzasadnionych dopuszczeń, zawnioskowano, że już ku końcowi roku pismo zacznie się opłacać a stopniowo może zacznie już potym dawać nadwyżkę, z której przedewszystkiem spłacany będzie dług z kredytu a dopiero potym reszta użytkowana na polepszenie wydawnictwa. Czy rachuby te są zupełnie pewne, tego oczywiście nie wiem ani ja, ani nawet ci, którzy je budowali. Bez ryzyka, bez ofiar — żadne wydawnictwo u nas się nie może rozwinąć, a tymbardziej polskie demokratyczne. Tu więc przyjęto tę metodę kredytową, dla ustalenia wydawnictwa, inną od metody, przyjętej w „Przeglądzie Wileńskim", który się opiera na udziałach ludzi zagwarantowanych subsydjach na pokrycie deficytu. Do żyrantów kredytu należeć mają między innymi Zasztowt, Zenon Kuncewicz z pow. lidzkiego, Józef Bukowski z pow. święciańskiego, firmowy wydawca pisma Dr. Szumorok i inni; liczą też na mnie. Lista żyrantów nie jest jeszcze ukompletowana. W wewnętrznej organizacji pisma dotąd jest jeszcze stan ciągłej formacji. Faktycznie zawsze kierownikiem pisma jest Maińkowski. Żadnej ścisłej ideowej grupy kierowniczej dotąd nie utworzono. Niema też zorganizowanego komitetu redakcyjnego. Jednym z głównych, a zazewnątrz niejawnych, współpracowników pisma jest białorusin Antoni Łuckiewicz, jeden z filarów „Naszej Niwy" i bodaj najdzielniejszy pracownik a może i najtęższa głowa białoruskiego ruchu ludowego, który redaguje jednocześnie rosyjską kopiejkową „Siewiero-Zapadnuju Żyzń"; Antoni Łuckiewicz trzyma się trochę w cieniu, nie wysuwa się jawnie na czoło „Kurjera Krajowego", ale faktycznie bodaj że trzyma główne skrzypce i wywiera wpływ decydujący na kierunek i organizację pisma. Jest to człowiek bardzo wytrawny, stanowczy, systematyczny, człowiek silnej woli i energji oraz pracowitości, a umiejący się trzymać wody i działać w porę. Dr. Szumorok, który podpisuje pismo w charakterze urzędowego wydawcy i redaktora odpowiedzialnego, jakiegoś wybitniejszego wpływu na kierunek nie wywiera, choć się z pismem redakcja liczy poważnie: jest on reprezentantem pisma nazewnątrz, jest przedstawicielem firmy, wewnątrz zaś tylko w jednym kierunku wyraźnie oddziaływa, to w kierunku niedopuszczania ze skrajności w tonie, zwłaszcza w drażliwej kwestji antyklerykalizmu. Jabłoński z Lublina, który się zaangażował do „Kurjera Krajowego" i już przeszło od miesiąca w redakcji pracuje, a na którego pokładano wielkie nadzieje, licząc, że się on wyrobi na zastępcę redaktora i z czasem będzie mógł całkowicie zastąpić Maińkowskiego, zawiódł: okazał się, jako publicysta, zbyt słabym i niezbyt inteligientnym; pomimo robotą techniczną nie będzie on do niczego użytecznym. O wykwalifikowaniu go na redaktora dziennika mowy być nie może. Świetliński, wykolejony dziennikarz drobnej miary, który był przez Maińkowskiego do redakcji zaangażowany, jeszcze się okazał mniej zdolnym: teraz go już Maińkowski usunął od pracy redakcyjnej i zużytkuje go tylko w charakterze specjalnego agienta do zbierania ogłoszeń oraz tłómacza kroniki i [illegible] z języka rosyjskiego na polski. Taki jest zarys organizacji tego dziennika. Pismo jest pod względem informacyjnym dobrze postawione, co do kierunku ideowego też jest niezłe, bo jest zdecydowanie demokratyczne i szczerze krajowe, ale zważywszy rzecz pod względem [illegible] [illegible] tonu i oportunizmu w wykonaniu swych haseł ideowych. Dobrze byłoby, żeby się utworzyła ścisła grupa kierownicza w czele pisma tego.

2 lutego. / 12 marca
rok 1913.
środa.

9 br.
3 p.
2 l.
2 r.
1 b.
1 ż.

28 lutego.
13 marca.
rok 1913.
Czwartek.

W dzisiejszych numerach A. A. „Kurjera Litewskiego" i „Gazety Codziennej" opublikowany został wyrok sądu konkursowego w sprawie nazwy z 12 panami.

Niezależnie dziś w sądzie rozmowę z Witoldem Abramowiczem, który mię zapytywał, czy życzę wstąpić na członka do nowej organizacji politycznej utworzonej przez grupę osób. Tak więc usiłowania Witolda Abramowicza zostały w pierwszym stadjum uwieńczone powodzeniem. Zawiązek organizacji stronnictwa został utworzony. Witold Abramowicz oddawna dążył do tego, systematycznie i wytrwale, z właściwą mu umiejętnością organizowania pracy i ludzi. Obecny zawiązek stronnictwa, który już się stał faktem, ma genezę swoją w organizacji grupy „przeglądowej". Pierwotnie, przy powstawaniu „Przeglądu Wileńskiego", skupiła grono osób, które powołały pismo to do życia, utworzyło komitet redakcyjny, złożony z 5 osób: Witolda Abramowicza, Jana Piłsudskiego, Zygmunta Nagrodzkiego, Stanisława Bryjanowskiego i mnie. Był to zupełnie przypadkowy dobór ludzi przekonań mniej lub więcej pokrewnych, acz wielce różnych. Była to garsteczka, która w dobie reakcji po latach 1905 i 1906 nie straciła ani przekonań swoich, ani chęci do pracy społecznej, ani wiary w demokratyczne zasady rozwoju. Przez lat kilka właśnie ta sama garsteczka myślała o wskrzeszeniu w Wilnie demokratycznego pisma polskiego, zdolnego iść [illegible] „Gazety Wileńskiej". Oczywiście, że gdy w jesieni r. 1911 kwestja założenia pisma weszła na tory czynnej konkretności, ci sami wzięli rzecz tę w swe ręce. W samym początku powstała pewna tarcia między nami na gruncie zorganizowania redakcji. Wśród nas pięciu byli ludzie wielce różnych przekonań: byli dwaj dawniejsi pepeesowcy o ideologji t. zw. „frakcji", t. j. wielce socjalistycznej, ale z natury narodowo-państwowej, — Witold Abramowicz i Piłsudski, był typowy ludowiec narodowy Nagrodzki, był Bryjanowski, nieprzedstawiający żadnego ściślejszego kierunku, ale z usposobienia i przekonań radykał, ale nade wszystko [illegible] i analityk, [illegible], i wreszcie byłem ja z zupełnie odrębną własną ideologją demokratyzmu krajowego. Kierunek, który miał być nadany pismu, był oczywiście kompromisem tych poszczególnych odcieni, reprezentowanych przez nas. Redaktor pisma, Ludwik Abramowicz, do komitetu redakcyjnego urzędowo nie należał. My wszyscy pięciu byliśmy początkowo związani ze sobą solidarnością [illegible], o której tu wspominam, nie była [illegible] która odegrała rolę niewątpliwą w całej tej formacji. Tak się poczęło to dzieło. W zasadzie obowiązywał kompromis odcieni przekonaniowych, reprezentowanych w naszym komitecie, urzędowo ustalony był kierunek „Gazety Wileńskiej", jako wyznanie wiary „Przeglądu Wileńskiego", ale w wykonaniu oczywiście przewagę otrzymał odcień dominujący w naszym komitecie, zwłaszcza że tego odcienia był sam redaktor, faktyczny wykonawca pracy, — Ludwik Abramowicz. Ludwik Abramowicz zaczął kopjować na gruncie wileńskim kierunek postępu warszawskiego, stanowiącego jakąś mętną zbieraninę frazesów, pobożnych życzeń [illegible] ludowego z ciążeniami do nacjonalizmu i antysemityzmu a jednolitych i radykalnych tylko w jednym względzie — antyklerykalizmie. Naraziło to w pierwszym okresie wydawnictwo „Przeglądu" [illegible] w pewnej dwoistości, bo kierunkowi Ludwika przeciwstawił się na łamach pisma kierunek mój, demokratyczno-krajowy, opierający zagadnienia społeczne na pierwiastku ludowym bez względu na przynależność narodową wewnątrz kraju, w dziedzinie zaś kulturalno-narodowej wymagający zasady braterstwa w tworzeniu rozwoju wszystkich narodowości krajowych, wszystkich pierwiastków kulturalnych, jako współczynników usamowolnienia kraju i podźwignięcia jego wspólnej dziejowej [illegible]. Witold Abramowicz i Nagrodzki, a zwłaszcza [illegible], chociaż różnili się z nim pod tym względem, że są typowymi społecznikami i ludowcami, podczas gdy Ludwik tkwi w obłokach jakiegoś ponad-klasowego postępu, godzili się z nim [illegible] i widzieli go [illegible] pod tym względem, że przeszedł on do haseł demokratyczno-krajowych nacjonalizmu, któremu obaj w głębi ducha hołdują, i że tą drogą przygotowuje on grunt pod ich [illegible], że ten ich zaczątek będzie już miał możliwości społecznie krajowe. Mój kierunek został stopniowo w „Przeglądzie" zatopiony przez kierunek Ludwika. Potem przyszły wybory. W tym okresie Bryjanowski, który poprzednio w komitecie redakcyjnym popierał mój kierunek i w każdym razie kierował na lewo, wyraźnie zwrócił się ku nacjonalizmowi. Od tego w komitecie redakcyjnym byłem już osamotniony. Po wyborach, gdy komitet nasz pierwotny rozszerzył się w grupę większą, uzupełnioną elementami czynniejszymi z pośród członków byłego demokratycznego komitetu wyborczego, popierającego kandydaturę posła do Dumy Bryjanowskiego, grupa ta zwała się potem demokratyczną, popularnie zaś znana była pod nazwą grupy przeglądowej. Należeli do niej oprócz nas 5 i redaktora Ludwika [illegible], [illegible], Zasztowt, [illegible]. [illegible] Zasztowt był osamotnionym [illegible] w grupie tej. [illegible] systematycznie [illegible] Witolda Abramowicza do przetworzenia tej grupy naszej w zawiązek stronnictwa. [illegible] tego wszystkiego nie będę, [illegible] wiem, choć to mnie ciekawi. [illegible] tak, jak mi Witold oświadczył, zawiązek stronnictwa już się zorganizował. Kto do niego wszedł — nie wiem. Wiem tylko, że [illegible] Zasztowt też chyba nie przystąpił [illegible] stronnictwo — [illegible] demokratycznego.

Odmówiłem należenia do stronnictwa tego, bo wogóle z natury mojej i z rodzaju umysłowości oraz specjalnych moich uzdolnień do pracy a także dziedzin, które sobie w życiu zakreśliłem, nie chcę się wiązać organizacją partyjną i przytem mam pewne wątpliwości co do partyjnych pozorów nacjonalistycznych w tej grupie [illegible] charakteru demokratyczności przedsięwziętej pracy. Ale w zasadzie uważam powstanie takiego zrzeszenia partyjnego za zjawisko w rozwoju krajowym dodatnie. Witold mówi o tym, jako o fakcie dokonanym, ale właściwie jest to jeszcze bardzo słaby zaczątek. Witold zapowiada rozszerzenie tej organizacji na koła szersze. Zobaczymy. Życzę szczerze, aby się rzecz ta utrwaliła. Zgrupuje ona pewną garść ludzi, zagarnie pod uprawę społeczną pewne kawałki zadań, [illegible] jest ona niewątpliwie [illegible] dla elementów bardziej radykalnych, głębiej demokratyczno-ludowych. Mówił mi Witold, że powstanie tego zrzeszenia nie wyklucza bynajmniej specjalnej organizacji redakcyjnej „Przeglądu", który organem partyjnym się nie stanie i będzie nadal w ręku tej szerszej garsteczki naszej. [illegible] kilku osób z koła „Kurjera Krajowego", byłem zaproszony do [illegible] udziału w komitecie redakcyjnym tego pisma, który ma być utworzony i do którego [illegible] i Zasztowt. [illegible] komitetów redakcyjnych obu tych pism jest możliwa, [illegible] teraz, gdy się wyodrębniła grupa partyjna Witolda, do której nie należę.

1 (14) marca. rok 1913. piątek.

Od Anny dawno już nie miałem listu. Wysłałem jej wczoraj pieniądze i list dłuższy. Tęskno mi do niej i gdy myślę, niepokoję się i irytuję, że listu nie mam. Jeszcze długich 6 tygodni pobytu do Wielkiejnocy, a potem już świtać zacznie nadzieja powrotu Anny, serdeczne i gorące oczekiwanie tej niezmiernej jeszcze daty majowej, kiedy się znów połączymy. Oby tylko zdrowa wróciła Annie. Nie jest ona bynajmniej pewny skutek [illegible] klimatu tej Teodozji. Niepokoją mię ostre wiatry tamtejsze oraz kurz w porze upalnej potężny.

Był dziś u mnie komornik sądowy Sobotkowski, który wrócił dziś z Rukojń, dokąd jeździł znowu dla opisywania majętności włościan rukojńskich na zaspokojenie należności, przysądzonej mojemu klientowi Bielawskiemu (patrz dziennik mój z d. 18/1 r.b.). Opowiadał mi ciekawe rzeczy o tej procedurze, którą wykonywał. Istotnie zmuszony był przystąpić do opisywania ruchomości włościan. Roboty miał niemało, bo całość t. zw. gromady rukojńskiej składa się z kilku wiosek i paruset gospodarzy, z których mnóstwo jest drobnych. Rozbił ~~[illegible]~~ całość długu na ogólną ilość dziesięcin, wyliczył, ile podług tego wypada na każde poszczególne gospodarstwo włościańskie a stąd rozpoczął opisywanie ruchomości i nakładanie aresztu. Powiada, że wędrować od wioski do wioski musiał, jak bocian, brnąć przez bagna, wszędzie otoczony gromadą włościan i bab; zabierał się do opisywania kur, co budziło panikę śród bab a nawet czasem strach przesądny, aby na kury nie padł przez to zły urok; baby wtedy naciskały na mężów, aby wykupili natychmiast wypadającą część należności i zwolnili kury oraz inny inwentarz od opisu i aresztu; w ten sposób zebrał Sobotkowski przeszło 600 rb. z ogólnej ilości należnych z tego długu siedmiuset kilkudziesięciu rubli. Do godz. 4 w nocy przyjmował jeszcze pieniądze i robił rachunek. Naturalnie że Bielawski uszczęśliwiony. Choć dla włościan to niewątpliwie rzecz ciężka, ale jakoś ku końcowi tej procedury atmosfera się wypogodziła, humory włościan nabrały fantazji i zamiast klątw i złości na Bielawskiego, który ich tak nacisnął, zaczęli go podrzucać do góry na „hura!" a zbiór jego też podrzucać w fotelu, [illegible] stuzłotowego [illegible] powszechny zbiorowy [illegible]. Z okazji tego długu mają tam oni jeszcze wyjaśnić między sobą jakieś pretensje wzajemne o [illegible] podstawę należności i zwrócić się z tym do mnie. Niewątpliwie zaimponowało im to, że sprawę tę doprowadziłem do takiego dobrego rezultatu dla mojego klienta, to też teraz w ich oczach urosłem na jakiegoś czarnoksiężnika niemal. Wogóle w pojęciu włościan, którzy prawa nie znają i nie umieją się w nim zorientować, zwłaszcza w ustawodawstwie tak zawiłym, jak włościańskie w Rosji, — ~~[illegible]~~ sztuka adwokacka to ~~[illegible]~~ nie tyle praca [illegible], ile jakaś sztuka magii, umiejętność czarnoksięska.

Wieczorem spędziłem parę godzin u Szklennika na zebraniu zarządu towarzystwa popierania kooperacji. Był Szklennik, Witold Abramowicz, ja oraz nienależący nawet, zdaje się, wcale do towarzystwa pomocnik adwokata Zubitrowicz. Mówiliśmy o świeżo ~~[illegible]~~ zakończonym zjeździe delegatów kooperatyw spożywczych w Dyneburgu i ich staraniach o utworzenie Związku kooperatyw dla prowincji Bałtyckich i Litewskich z siedliskiem centralnym w Dyneburgu. Szklennik napadał ostro na to przedsięwzięcie, dopatrywał się w tym intrygi i ukrytej zachłanności centralistycznej Związku kooperatyw Moskiewskiego. — Daje się zbyt jednostronnie, zbyt bezwzględnie i surowo, a niesympatycznie słusznie, [illegible] przedstawił, zrodził [illegible] wrażenie i trochę bardzo racjonalnych uwag podał, np. o sztuczności ściągania gub. Grodzieńskiej i większej części Wileńskiej do Związku, fundującego hurtownię w Dyneburgu, tworzą to stosunki wyraźnie sztuczne, niezgodne, jako nieodpowiadające naturalnym konstelacjom rynkowym. W rezultacie tej dyskusji uznaliśmy za potrzebne zainicjować zjazd delegatów kooperatyw z gub. Wileńskiej w Wilnie i zaprojektować utworzenie Związku wileńskiego z hurtownią na miejscu. [illegible] ustaliliśmy na zebraniu następnym, które się ma odbyć 15 marca. Oczywiście niewiadomo jeszcze, czy otrzymamy pozwolenie władz, które [illegible] politycznym nacjonalizmu rosyjskiego i [illegible]. Niewiadomo też, czy sam Szklennik [illegible] przez te 2 tygodnie nie zmieni zdania i nie zniweczy tego projektu.

Pisałem dziś artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" o sprawie młodzieży. Uwydatniłem wagę społeczną kwestii wychowania, rolę i cechy młodzieży w układzie społecznym, a jutro przejdę do krytyki polityki szkolnej represyjnej, praktykowanej obecnie w Rosji. [illegible] pierwsza część artykułu [illegible] mi się dobrze.

2 (15) marca.
rok 1913.
sobota.

Większą część czasu do obiadu zajęty byłem dopomaganiem niejakiemu włościaninowi Tynkiewiczowi do załatwienia różnorodnych formalności niezbędnych dla otrzymania z banków pieniędzy spadkowych mojego klienta Tadowskiego. Poza tym zajęty byłem wykończeniem artykułu „w sprawie młodzieży” dla „Przeglądu Wileńskiego”. Z artykułu tego rad jestem. Zużytkowałem do niego kilka tekstów z Ewangelji Mateusza o zgorszeniu młodzieży i o porównaniu Królestwa Bożego z ziarnkiem gorczycznym, które należy wsiać w siebie i ukształcić je w glebie własnej na drzewo, aby się zeń owoców doczekać. Ten ostatni tekst zwłaszcza należy do ulubionych moich w Ewangelji. Dawno już nie miałem Ewangelji w ręku, a kocham i wielbię tę księgę mądrości i głębokiego natchnienia. Kiedyś przed laty 8–9 w Paryżu studjowałem ją starannie i nawet pisałem komentarze do niej.

Cały wszakże dzień dzisiejszy byłem pod wrażeniem dominującym listu Anny, niepokoju i troski o nią. Już rano w łóżku doznałem jakiejś trwogi z przywidzenia sennego. Snu całego nie pamiętam, wiem tylko, że nagle uderzyła mnie wieść o zgonie osoby kochanej w Teodozji. Było to jakoś ni stąd ni zowąd, bo wszak sen nie dotyczył, zdaje się, Anny. Obudziłem się odrazu, przerażony. Wiedziałem, że to sen, ale wrażenie pozostało przykre. Popołudniu zaś, wróciwszy z miasta do domu, zastałem list Anny. Pierwsza część listu zwarta, utyskująca przeważnie na nudę i samotność, pełna serdeczności dla mnie. Zabolało mnie tylko to, co Anna pisze o swym zdrowiu. Powiada, że kaszle teraz więcej i czuje ból w piersiach; spacerem też mało używać może, bo choć już jest sucho, jednak wiatr wciąż i chłodny i ostry. W drugiej natomiast połowie listu wyczytałem wiadomość, która mnie bardzo a bardzo zaniepokoiła. List w ogóle pisany jest widocznie nie jednym ciągiem, lecz z przerwami, stopniowo. Otóż zawiadamia mnie tam Anna, że jej wymówiono mieszkanie w małym domku w ogrodach miejscowego fabrykanta i bogacza Stamboli, które miała bezpłatnie z łaski. Teraz Stamboli wynajął swą willę z ogrodami i tym domkiem jakiemuś generałowi, który rugiuje Annę. Musi więc ona znaleźć sobie i wynająć jakiś pokoik gdzieś w mieście. Jest to i kłopot niemały i koszt dla Anny i niepewność lokalu, zwłaszcza ze względu na warunki zdrowotne, o które przedewszystkiem chodzić powinno, a które Anna skłonna jest zawsze bagatelizować, gdy o nią chodzi. Anna się żali, że ciężko jej będzie znaleźć mieszkanie samej, bez pomocy niczyjej. Z pewnością, zwłaszcza, że, znając jej charakter i usposobienie, wiem, że się będzie krępować, że się nie rozpyta o wszystkiem należycie, a i z ~~[illegible]~~ ceną będzie się bardzo liczyła i gotowa wejść Bóg wie co. Już to zbyt zaradna moja Anna nie jest, gdy chodzi o nią samą. Potrzebuje właściwie zawsze serdecznej i troskliwej opieki i pomocy. Lękam się też zmiany pokoju dla niej. W czystszych dzielnicach miasta, gdzie powietrze jest lepsze i warunki dogodniejsze, ceny pokojów są bardzo drogie w Teodozji. A jak łatwo, zwłaszcza gdzieś w bocznych dzielnicach przedmieść, trafić na brud, wilgoć w pokoju, albo najgorszy kurz uliczny, który dla suchotników jest zabójczy a przy wiatrach tamecznych bywa bardzo duży. O ceny już nie pytając. Zdobędę się i na większy pieniężny wydatek pomocy dla niej, tylko ona sama, taka zawsze delikatna, taka drażliwa w materjach pieniężnych, nie zawsze skłonna do wzięcia [illegible]. Co mi pieniądze wobec potrzeb zdrowia. W niej całe i wszystkie szczęście moje. Niepokoi się też Anna tem, że [illegible] wyczerpały się jej pieniądze [illegible] potrzeba [illegible] mieszkania, prosi, aby posłać jej [illegible]. Wysłałem pieniądze już przedwczoraj, ale najgorsze to, że tak powoli [illegible] do przesyłki pocztowej

z Wilna do Teodozji. List Anny [redacted] moni, na stemplu pocztowym teodozyjskim data 26 lutego, a na stemplu wileńskim data 2 marca, to znaczy szedł 4 dni, od wtorku do soboty. Pieniądze więc, wysłane we czwartek, dojdą do niej najwcześniej jutro albo w poniedziałek: tyle dni niepokoju będzie miała biedaczka. Wiadomości też o zmianie mieszkania, o kłopotach Anny, w związku z wiadomością o niedobrym stanie zdrowia, — przygnębiły mnie. Byłem przez dzień cały pod wrażeniem obaw i złych przeczuć. Wszak w Annie streszcza się teraz dla mnie całe szczęście, wszystko to, co ma powab, co jest pięknym i najlepszym w życiu. Kocham ją bez granic, kocham nie miłością zakochanych [illegible], podlotków, ani miłością erotyczną, ale miłością całej natury mojej, w pełni dojrzałości i rozkwitu, całą siłą rozwiniętych władz moich, kocham życiem moim bez zastrzeżeń, bez wyjątku. Pracowałem, ale serce mnie bolało. Mam jak ranę w sercu, która krwawi na każde wspomnienie o niedoli mej Anny. A wspomnienie to jest ciągłe prawie. Nie mogę ani na chwilę całkiem zapomnieć, oderwać się od tej rany. [illegible] pomnieć boleśnie, wznieść i gryzie mnie ten ból. [illegible]

3 (16) marca
rok 1913.
Niedziela

Anna nie schodzi mi z myśli. Może być, że dotąd nie otrzymała jeszcze pieniędzy, wysłanych we czwartek, to też nie może sobie naj[ść] pokoika, musi się tułać bądź tymczasowo u brata, bądź w hotelu, jeżeli z domku Stamboli już się wynieść musiała. Obecność brata, zdaje się, nie na wiele Annie przydaje. Brat jej, człowiek tchórzliwy, zamknięty w sobie i egoista, jak mi się on z opowiadań Anny przedstawia (choć ona go zawsze broni przed taką moją opinią), bynajmniej nie jest zachwycony [illegible] pobytem siostry w Teodozji i nie myśli zbyt się nią opiekować: zajęty jest sobą i rodziną własną, lęka się, aby Anna nie stała mu się ciężarem, zamiast przygarnąć serdecznie rad by się jej pozbyć. Sądzę, że gotów on raczej dać Annie na drogę, aby się wyniosła, niż jej pomóc do zainstalowania się, zwłaszcza w chwili, gdy jest bez pieniędzy. Rozumiem, jak ciężki jest dla Anny brak pieniędzy teraz, ile jej sprawia kłopotu i może upokorzenia nawet. A moja jeszcze biedaczka trapi się w dodatku tym przypuszczeniem, że ja zapomniałem o niej i że się spieszę z ekspedycją pieniędzy. Biedne dziecko.

Dziś o godz. 1 odbyło się u Wyrzykowskiego zebranie grupy „przeglądowej”, zwołane przez redaktora Ludwika Abramowicza. Okazuje się, że niezależnie od utworzenia się osobnego zawiązka organizacji partyjnej [illegible] stara rozszerzona grupa „przeglądowa” została zachowana dla kierownictwa pismem. Sądziłem, że będzie inaczej i że kierownictwo pisma wróci do rąk dawnego komitetu redakcyjnego, złożonego z 5 osób, co uważałbym za lepsze, bo taki komitet mógłby większy wpływ wywierać na [illegible] kierunek pisma, niż luźna szeroka i liczniejsza grupa osób. Dla Ludwika szeroka taka szersza grupa jest lepsza od komitetu redakcyjnego, bo faktycznie mniej go ogranicza; [illegible] zwalnia pismo od kontroli. W każdym razie jakieś zebranie szerszej grupy czy komitetu — niewątpliwie już było potrzebne. „Przegląd Wileński” od dawna był już zupełnie puszczony samopas. Po gorączce nastrojów niepodległościowych w ostatnim okresie wyczekiwania wojny, trzeba było się zastanowić i naradzić, jaki ma być nadal kierunek stały pisma, zwłaszcza że „Przegląd” mocno się tymi nastrojami przejął. Wgóle zasady krajowości, które „Przegląd” z zapałem swym miał wyznawać, zresztą się w kołach „przeglądowych” w ostatnich czasach w opinji podkopały, i wogóle [illegible] zostały jakoś na łeb na szyję skracane traktowane. Na zebraniu dzisiejszym obecni byli: Ludwik Abramowicz, Wyrzykowski, Turski, Nagrodzki, Piłsudski, Zasztowt, Studnicki, Budny i ja. Ludwik Abramowicz zreferował swoje supozycje o tym, jaki powinien być kierunek pisma. Oświadczył, że zdaniem jego, wyznawany przez nas dotąd pogląd o podziale społeczeństwa na kierunki na podstawie czynników społecznych był złudzeniem, że społeczeństwo polskie coraz ściślej grupuje się i rozdziela na 2 zasadnicze obozy na podstawie li tylko czynnika [illegible] politycznego — na obóz narodowo-niepodległościowy i obóz ugodowy, wbrew wszelkim różnicom społecznym. Że przeto trzeba porzucić przestarzałe programy społeczne, które nikogo nie interesują i nikogo nie pociągają do czynu, i oprzeć się li tylko na czynniku politycznym, stając wyraźnie do obozu bądź niepodległościowego, bądź ugodowego; [illegible] on zaś, Ludwik, wypowiada się całkowicie za obozem i programem niepodległościowym. Nie potrzebuję tu chyba wykazywać całej bezmiernej płytkości tego poglądu, który [illegible] się [illegible] wylęgnąć mógł li tylko w głowie takiego analfabety społecznego, jak Ludwik Abramowicz. W istocie naczym chodzi tu Ludwikowi o skórę demokratycznej i uderzyć w [illegible] popularną fanfarę nacjonalizmu, licytującego się z endekami na pierwszeństwo w „patrjotyzmie”. Ludwik Abramowicz nigdy zasadniczym nie był i nigdy nie był demokratą, nie był ludowcem szczególniej. Okoliczności tylko zmusiły go do tego, aby przy powstaniu „Przeglądu” przyjąć te zasady wobec nas, aby się na redaktorstwo dostać. Teraz czuje się już o tyle mocnym, że może maskę odrzucić i próbuje pociągnąć za sobą całą grupę do odstępstwa od społecznych ideałów ludowych. Zaiste miałem rację wielką, gdy mu nie ufałem od początku i [illegible] nie chciałem przyjąć na redaktorstwo jego. Znałem go dobrze jeszcze z czasów „Gazety Wileńskiej”, wiedziałem, co to za ptaszek i dokąd on pisemko nasze powiedzie. Tylko jeden Studnicki poparł całkowicie poglądy Ludwika, poparł szczerze, bo też Studnicki nigdy innym nie był i być nie potrafił. Ja pierwszy wypowiedziałem się przeciwko takiej koncepcji, a za mną wypowiedzieli się w ten sam sposób, przynajmniej w ogólnych rysach — Piłsudski, Wyrzykowski, Zasztowt, Budny, — bezwiednie Zasztowt nieco. Wykazałem jak jednostronne i mylne są podstawy twierdzeń Ludwika. W żadnym społeczeństwie, w żadnym narodzie — ruch społeczny nigdy ustać nie może i nie ustaje. Zaś [illegible] obecnie, gdy widzimy w Polsce odradzające się gorące tęsknoty i dążenia niepodległościowe, widzimy w tejże Polsce utrzymujący ruch twórczy społeczny, głęboki i niezmiernie [illegible] do tych czasów budowę kierunków, niż kwestje polityczne, — że ruch ludowy [illegible] wogóle obszerniej, którego wyrazem jest owa [illegible] powstaje był świeży zjazd kółek [illegible] w Warszawie, dalej ruch kooperacyjny, tudzież wreszcie ruch [illegible], którego wyrazem jest akcja [illegible] [illegible]. Ruch polityczno-państwowy nie może być oddzielony od społecznego [illegible] w narodzie. Kierunek niepodległościowy, jako [illegible] [illegible] i [illegible] w narodzie żywym, [illegible] [illegible] twórczym rozwoju społecznego. W [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] wszystko, co [illegible] na polityczne i społeczne [illegible] [illegible] ludu w ruchu społecznym. [illegible] [illegible] Abramowicza. Choć nie zostałem [illegible] [illegible] [illegible] Dzieje się, że to zrobiono [illegible] dla mnie, aby mi [illegible] [illegible] [illegible] … gia i dać mi satysfakcję [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

4 (17) marca.
rok 1913.
poniedziałek.

W aspiracjach Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego dostrzegałem zawsze pewien odcień nacjonalizmu. Zawsze dawali oni przewagę t. zw. interesowi narodowemu nad społecznemi interesami demokracji krajowej, ludu krajowego. Chodziło im więcej o utrwalenie i spotęgowanie wpływów polskich, niż o cobądź innego. Ich sympatje ludowe nie były, że tak powiem, czymś samodzielnym, jeno były zawsze środkiem [skreśl.] dla ich dążeń narodowościowych, były wynikiem odpowiedniej koncepcji narodowej. Ale przynajmniej to jedno było u nich zawsze wyraźne, szczere, niewzruszone: wierzyli oni, że kultura narodowa polska w tym kraju, jak wszędzie, nie może zdobyć pełni praw obywatelskich i skuteczności wpływów i rozwoju, dopóki się będzie opierać wyłącznie na szlachcie, na obszarnikach, na elementach społecznie wstecznych, na przewadze klerykalizmu i wszelkich przeżytków przeszłości; że winna się ona oprzeć na twórczym pierwiastku ludowym, do którego należeć będzie przyszłość w społeczeństwie zdemokratyzowanym, winna się wyzwolić z rutyny i obskurantyzmu, służyć pod znakiem postępu, myśli wolnej i usamodzielnienia ludu. Stąd płynęła ich szczera i gorąca sympatja ludowa oraz świadoma, głęboka niechęć do elementów wstecznych. Obszarników, szlachtę, klerykalizm, wszystko to, co utrwalało przewagę starego porządku nad nowymi prądami ludowymi, — uważali oni za rzecz z punktu widzenia narodowego szkodliwą, którą należy zwalczać. Byli to więc narodowcy ludowi, usposobieni radykalnie bardzo, — czerwoni. [skreśl.] Ze sprawą narodową łączyli oni zmysł społeczny. W kraju naszym uważali oni za potrzebne obudzić i dążyć do usamodzielniania tych mas ludowych, które mówią po polsku, słowem — jaknajbardziej uspołecznić i unarodowić w kraju lud polski. Jakiż skarlały i spaczony został ten program w tym, [skreśl.] czego dziś chce Ludwik Abramowicz i do czego całą naszą grupę wzywa! U niego już pierwiastek społeczny został całkiem odrzucony. Powiada otwarcie i głośno, że programy ludowe, różnicowanie społeczeństwa — to bzdura, to szkodzenie. Precz z sentymentalizmem ludowym, szukajmy wojowników niepodległościowych — wszędzie. Jedyny radykalizm — to radykalizm polityczno-państwowy. Jest to najczystsza ideologja nacjonalistyczna, jaka się zrodziła pod słońcem. Nigdy w historji usiłowań i walk niepodległościowych polskich, w których uczucie narodowe do szczytów bohaterstwa prowadziło ludzi, nie było ani jednego kierunku, któryby odrzucił [skreśl.] wszelkie ideały społeczne. Jedni byli „biali", inni „czerwoni", ale bezkolorowych, — „żadnych" nie było, bo naród pozaspołeczny nie istnieje, — to nonsens. Do jakiejże bezmyślności jałowej wzywa całą grupę Ludwik! Stanowisko społecznego radykalizmu niepodległościowego — to fikcja, to obłęd, to zupełny rozbrat z życiem realnym. Pozatym czysta niepodległościowość polska w kraju naszym — to rzecz dla kultury polskiej, dla utrwalenia u nas tu obywatelskiego stanowiska polaków — zgubna. Sympatyzować i wspierać ruch niepodległościowy w Polsce, wspierać czynnie narzędziem [?] — możemy. Ale tu w kraju musimy pracować nad usamodzielnianiem (w kierunku niepodległościowym) Litwy i Białej Rusi, musimy ani na chwilę nie zrywać z tym krajem, nie zapominać o tym, że tu żyjemy i że w [skreśl.] kształtowaniu [skreśl.] dziejów tego kraju musimy być czynni, inaczej bowiem zrezygnować musimy ze stanowiska współobywateli kraju i staniemy się kolonistami takimi, jakimi my byśmy byli, mieszkając w Petersburgu czy Londynie. Byłby to nie radykalizm narodowy, ale samobójstwo narodowe. Dla ludów krajowych stalibyśmy się tym (przedewszystkiem dla litwinów), czym są żydzi-litwacy w Polsce, uważani za element obcy, nie [skreśl.] uprawniony do równego obywatelstwa.

Napisałem dziś do „Kurjera Krajowego" treści artykulik „O kraju naszym". Od Anny nie mam nowych wieści. Dziś już miała ona otrzymać pieniądze, wysłane we czwartek. Ale kiedy jeszcze otrzymam od niej list uspokajający, z bólem myślę o tych kilku ciężkich dniach kłopotu i troski, które miała. Na zdrowie to nie może jej służyć. Ale nawet i po otrzymaniu przez nią pieniędzy nie jestem spokojny co do tego, czy potrafi ona się z mieszkaniem urządzić dobrze.

Wieczorem [skreśl.] byłem dziś u Trzaskowskiego na Antokolu, gdzie był też i Šaulys. Opowiadał mi [skreśl.] Šaulys rzecz ciekawą, że projektuje on ankietę specjalną w sprawie zbliżenia polsko-litewskiego. Zwróciłby się z kwestjonarjuszem do szeregu wybitniejszych działaczy z sympatyków kierunków polskich i litewskich, a odpowiedzi raz zebrane ogłosiłby, co stanowiłoby ciekawy materjał. Nie wiem tylko, czy potrafi on to zorganizować, a wyniki z tego powstać [?] rzecz wartościowa.

5 (18) marca.
rok 1913.
wtorek.

Zaszedłem do Zasztowta dla porozmawiania o ewentualnym wstąpieniu nas dwojga do komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego". Zasztowt jest gorącym zwolennikiem „Kurjera Krajowego" i przekłada stanowczo kierunek jego nad kierunkiem „Przeglądu Wileńskiego". Projekt utworzenia komitetu redakcyjnego „Kur. Kr.", do którego weszlibyśmy my dwaj oraz faktyczny redaktor Mańkowski, trafia mu bardzo do przekonania. Istotnie jest to potrzeba pilna, bo biedny Mańkowski bije się sam, jak ryba o lód, nie tylko o trudności materjalne, ale i redakcyjne. Jest młody, nie ma wprawy dziennikarskiej, współpracowników ma w redakcji niewielu, nie ma się w wielu rzeczach z kim poradzić, do kogo odwołać. Jedyna dotąd doświadczona i tęga głowa, z której pomocy może korzystać Mańkowski, to Antoni Łuckiewicz, ale sam on jest na głowie nadmiar pracy, bo jest wszędzie czynny, i w „Naszej Niwie", i w ruchu białoruskim, i w robocie postępowej rosyjskiej, i zwłaszcza w codziennej „Вечерней Заре", której jest redaktorem. Wobec tego, że Antoni Łuckiewicz jest tak zajęty, może on conajwyżej zasilać „Kurjer Krajowy" artykułami, co też robi, a poza tym systematycznej pomocy kierowniczej Mańkowskiemu dać nie może. Skądinąd nawet niebezpieczną jest pod wielu względami wysuwać Łuckiewicza jako białorusina na czoło pisma polskiego, bo już i teraz kolportowane są przez wrogów politycznych a nawet przez „przyjaciół" z „Przeglądu" pogłoski, że „Kurjer Krajowy" służy rzekomo interesom białoruskim, jest działem białoruskiej „intrygi". Oczywiście to się robi dla zdyskredytowania pisma, ale z tym się liczyć trzeba koniecznie. Mańkowski jest więc osamotniony, bo ani dr. Sumorok, człowiek dobrych chęci, ale ciężki i nawet nieco tępy, ciężko myślący, ani rozproszona garść innych sympatyków pisma do żadnej pomocy się nie zdaje. Trzeba się nawet dziwić, jak w tych warunkach Mańkowski sobie radę daje i pomimo wszystko stopniowo pisemko podnosi, polepsza. Chłopiec ten wyrabia się coraz bardziej na tęgiego pracownika, nabiera już przezorności, umiejętności taktu, wogóle mądrości. A pismo codzienne nie jest przedsięwzięciem łatwym: co chwila powstają jakieś kwestje, zagadnienia nowe, nieprzewidziane, w których się trzeba natychmiastowo zorjentować i znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Utworzenie komitetu redakcyjnego, złożonego ze mnie, Zasztowta i redaktora Mańkowskiego, byłoby dla pisma naszego bardzo pożytecznym, bo przekonaniowo jesteśmy bardzo zbliżeni i solidarni, obaj z Zasztowtem w pewnych i tych samych godzinach przebywamy i jesteśmy w tym samym domu, ja u siebia a on w biurze swoim o piętro niżej, wskutek czego porozumienie jest zawsze łatwe w każdej chwili na poczekaniu, bo i redakcja jest na tej samej ulicy Wileńskiej. Zasztowtowi ciężyła już przynależność do grupy „przeglądowej", której kierunek coraz bardziej się oddala od haseł ludowych i stanowiska obywatelstwa krajowego. Żałuje trochę Zasztowt urwania tych zażyłych koleżeńskich stosunków z ludźmi z „Przeglądu", których bardziej akcentuje, jest obca. Zasztowt zwrócił moją uwagę na to, że wstąpienie nasze do komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego" winno być poprzedzone wystąpieniem naszym ze ściślejszej grupy „przeglądowej", która do kierunku „Kur. Kr." zaufania nie żywi. Ja osobiście uważałbym za niewłaściwe pozostanie w równoległe nadal w grupie kierowniczej „Przeglądu", ale stracić tam teraz chcę jakiegokolwiek oddziaływania w kierunku moich przekonań, ale zdaje się, że powinniśmy zawiadomić grupę „przeglądową" o naszym wstąpieniu do komitetu „Kur. Kr." i spytać, czy grupa będzie w tych warunkach uważała za możliwe, abyśmy do niej nadal należeli. Tak też mamy zrobić. Zasztowt opowiedział mi jeszcze nieco szczegółów o tworzącym się nowym stronnictwie demokratycznym, zainicjowanym przez Witolda Abramowicza. Zasztowt był na kilku pierwszych zebraniach organizacyjnych i formalnie sam nie wie, czy się liczy za należącego czy nie — do tego związku, ale czuje się skrępowanym i będzie musiał się formalnie wstąpienie. Witold Abramowicz powiązał do związku tego rozmaite elementy mocno niewyraźne i ciążące na prawo w kierunku nacjonalizmu i wielkiego uwłaszczenia społecznego. Przeto związek ten jest o wiele bardziej umiarkowany i prawicowy, niż sam inicjator i leader jego, Witold, który bądź co bądź jest szczerym ludowcem. Od z Nagrodzkim tworzy też lewicę. Należą jeszcze do związku tego Piłsudski, Studnicki, o innych nie wiem. Księżna Zasnowski, Klott, Ludwik Abramowicz nie należą.

Wieczorem byłem na posiedzeniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Obecni byli: Żmujdzinowicz, Jan Vileišis, Kairys, nowy członek zarządu Untulis, ja, jako kandydat do zarządu, nie należący do zarządu, przedstawiciel sekcji imienia M. K. Čiurlionisa przy „L. D. Dr.", — Šilingas. Kasjerem na dawne miejsce moje został obrany Kairys. Koledzy moi z zarządu czuli się trochę nieco skrępowani względem mnie; widoczne było, że przykro im osobiście, iż ja przez ogólne zebranie zostałem niewybrany do zarządu. Chcąc mi tę pigułkę osłodzić, podkreślali to, że jako kandydata do zarządu prosić mnie o branie zawsze stałego udziału w posiedzeniach i o czynną pomoc w pracy. Zachowali się bardzo przyjaźnie, bardzo po koleżeńsku. Nieprawdą jest, iż litwini są bezwzględni, że są brutalni. Są oni bardzo delikatni z pewnością niektórzy wrażliwi od szlachty, tylko, że subtelniejsi nawet w stosunkach osobistych. Należeć do zarządu „Liet. D. Draugijos" albo mieć przynajmniej ciągłe ręce na pulsie życia towarzystwa tego i mieć udział czynny w działalności jego — to nietylko wielka przyjemność osobista, ale i piękne pole do zakładnego czynu obywatelskiego. Towarzystwo to wydaje u nas najintensywniej kulturę artystyczną i bezpośrednio w szerokich masach ludowych wyzwala twórczość ludową do czynu, to energicznego tworzenia kulturalnego dorobku narodowego. W sprawozdaniu tegorocznym [illegible] naszkicowana będzie historja działalności towarzystwa w pierwszym pięcioleciu jego istnienia (r. 1907 – 1912). Do aktualnych spraw chwili obecnej należy w towarzystwie: sprawa wystawy petersburskiej, wydawnictwa przeniesienia do Wilna spuścizny artystycznej po Mikołaju Čiurlionisie i sprawa wydania książki o nim z reprodukcjami poszczególnych wybitniejszych dzieł jego. „Lietuvių D. Dr-ja" na wystawie petersburskiej ma lokal osobny pod [illegible] [illegible]. Charakter jest na tamtej wystawie, pod względem ilości i jakości, są one dobrze przedstawione: [illegible] ciekawszych okazów rzeźby drewnianej oraz kilku charakterystycznych wzorów wyrobów tkackich wykonane są w pracowni fotograficznej Jana Bułhaka bardzo piękne odbitki artystyczne. Szkoda, że więcej brak mi miejsca.

6 (19) marca rok 1913. środa.

Wciąż nie mam jeszcze wieści od Anny, czy otrzymała pieniądze i jak się z mieszkaniem urządziła. Co prawda na wiadomość o otrzymaniu pieniędzy za wcześnie, bo otrzymała je zapewne dopiero w poniedziałek i gdyby tegoż dnia list wysłała, to jeszczebym go nie mógł otrzymać. Ale chociażby o mieszkaniu coś Anna napisała, choćby w pocztówce najkrótszej: gdzie się lokowała tymczasem do czasu otrzymania pieniędzy i czy teraz ma już jakiś pokoik upatrzony, gdzie, jaki i t. d. Teraz nic o tym nie wiem; jak bomba, spadła na mnie w sobotę ta niespodziana wiadomość o stracie dotychczasowego pokoika — i odtąd nic więcej. A niepokój mój wzrasta tym bardziej, że wiem, iż właśnie w tym czasie Anna nie miała pieniędzy.

Wieczorem byłem na zebraniu towarzystwa popierania przemysłu domowego i sztuki ludowej. Było to zebranie ogólne, zwołane przez zarząd. Posiedzenia zarządu odbyło się w lutym w czasie mej nieobecności w Wilnie. Funkcje w zarządzie są podzielone w ten sposób, że na prezesa powołany został prezydent Michał Węsławski, na wiceprezesa — Ruszczyc, na sekretarza — redaktor Własow, i na skarbnika — Jan Vileišis; reszta pięciu wybranych do zarządu — i ja w ich liczbie — są zwykłymi członkami zarządu. Zarząd uważał, że dla tego, aby działalność towarzystwa była żywa, ażeby zainteresowanie pracą towarzystwa rosło, nie należy się ograniczać wyłącznie do działalności zarządu, lecz urządzać w ciągu roku ogólne zebrania członków dla omawiania spraw bieżących, organizacji pracy, wniosków zarządu i t. d. Słowem należy nawiązać stały kontakt między zarządem a ogółem członków i skierować usiłowania ku temu, aby jak najliczniejsze koła członków do pracy czynnej wciągnąć. Jest to metoda bardzo dobra, zwłaszcza dla instytucji początkujących i takich, których działalność, których zadania same wymagają właśnie nade wszystko czynu zbiorowego, czynu społecznego. Tak sprawa przemysłu domowego, jak sztuki ludowej — należą właśnie do tych, które tylko zrzeszonym czynem społecznym dźwignięte być mogą. To spowodowało zwołanie dzisiejszego zebrania. Osób zgromadziło się dziś dużo, do 20–30, w lokalu Towarzystwa Artystycznego Wileńskiego przy ul. Zawalnej, 21. Obecni byli przedstawiciele wszystkich narodowości krajowych. Spóźniłem się na zebranie i trafiłem już po odczycie Rybakowa, który miał być bardzo ciekawy. Prelegent referował o niektórych charakterystycznych cechach zdobnictwa ludowego i etnografii na podstawie swych wrażeń i spostrzeżeń osobistych z wycieczki na Polesie. Po odczycie demonstrował szereg okazów etnograficzno-zdobniczych (ze zbioru), dokonanych w toku tej wycieczki. Następnie Wacław Łastowski z „Naszej Niwy” wygłosił ciekawy referacik o garncarstwie w kraju naszym (właściwie na Białej Rusi). Scharakteryzował dawny stan garncarstwa w kraju, stan względnie świetny, jako wybitnej gałęzi wytwórczości artystyczno-rzemieślniczej; następnie obecny stan upadku i zaniku, wykazał treściwie i zwięźle przyczyny takowego oraz niezbędne środki do dźwignięcia go na przyszłość. Referacik Łastowskiego był ciekawy i rzeczowy tak pod względem kulturalno-artystycznym, jak ekonomicznym. Potym w dyskusji omawiane były sprawy bieżące i szczegółowe wnioski o działalności towarzystwa na najbliższą metę. Zadanie jest niezmiernie rozległe i skomplikowane, a strasznie w kraju naszym zaniedbane. Niechby towarzystwo wykonało choć małą cząstkę tego, co jest na tym polu do zrobienia, niechby tylko pierwsze ścieżki utorowało. W samej budowie towarzystwa jest pewna dwoistość: przemysł domowy, jako zagadnienie ekonomiczne, i sztuka ludowa, jako zagadnienie kultury artystycznej. Że sztuka ludowa, jak etnografia, wiąże się dość ściśle z przemysłem domowym, zwłaszcza wiejskim, — to pewna. Ale jednak przemysł domowy traktować należy w towarzystwie nie tylko jako narzędzie sztuki ludowej i etnografii, ale też jako samodzielne zjawisko natury społeczno-ekonomicznej. W chwili obecnej w towarzystwie jest istotnie przewaga faktyczna tendencji artystyczno-etnograficznej nad ekonomiczną, ale jednocześnie zarząd zdaje sobie jednak sprawę z tego, że obie te dziedziny muszą być traktowane i objęte działalnością równolegle, jako równie ważne i niezbędne. Nie brak też śród członków towarzystwa ludzi, których sprawy ekonomiczne drobnego przemysłu pociągają i którzy się sprawą zająć pragną. Przedewszystkim utrudnieniem jest brak u nas dokładnej znajomości stosunków istniejących w drobnym przemyśle krajowym. Uzupełnianie tej luki należeć winno do zadań podstawowych.

7 (20) marca
rok 1913.
czwartek.

Od niedzieli jestem trochę niezdrów. Sam nie wiem, co mi jest; mam ciągły prawie ból głowy, jakby reumatyczny. Nie ustaje on i po wyspaniu się; rano jest nawet większy, niż we dnie. Czy to zaziębienie, czy coś innego. Wieczorami jest jakby lekki stan gorączkowy. Chwilami wyobrażam sobie, że to może początek tyfusu. Ból bowiem jest jakiś uporczywy i nie daje się całkowicie usunąć pomimo rozmaitych środków.

Dziś napisałem aż 2 artykuliki, co mi się rzadko zdarza. Jeden napisałem rano do „Kuriera Krajowego". Jest to artykulik sprawozdawczy z wczorajszego odczytu Łastowskiego o garncarstwie krajowym. Drugi napisałem pod wieczór. Zaofiarowałem w nim mianowicie całą sprawę owej napaści oszczerczej na nas po afederacyjnym sądzie ks. Cyrskiego z Malinowskim. Dawno już miałem chrapkę na to, bo uważałem, że sprawa ta ma znaczenie ogólniejsze, dotyczy nie osobiste tego. Jest to typowy wzorek obyczajowości publicznej [illegible], najdroższych [illegible] opinii w Wilnie. Kudziet, należący do kliki [illegible] cej, mający na sumieniu korupcję, [illegible] z najwstrętniejszą obłudą stroją się w pióra cnoty i mo[illegible] falsyfikatorstwa publicznego, rzucają światy ze zgorszenia, gdy chodzi o przykrycie jednego ze swoich, i [illegible] jąc bezkarnie oszczerczo gromy potępienia na przeciwników politycznych, stwarzając i cynicznie, [illegible] w potęgę swoją. Ponieważ na skutek tych oszczerstw powaliłem [illegible] dwunastu z tych panów przed sąd honorowy, więc nie mogłem oczywiście zabrać głosu w tej sprawie publicznie, ponieważ że uważałem to za potrzebne. Trzeba było czekać wyroku sądu tego, aby się na nim oprzeć. Wyrok zdaniem moim daje nam satysfakcję wystarczającą. Opierając się na nim, można wykazać całkowicie obłudę i [illegible] [illegible] której byliśmy ofiarą. Ale formalnie dla nas, którzy bezpośrednio w sprawie tej byliśmy udziałem, [illegible] roku jednoznacznie wyczerpuje sprawę. Wyrok zaś tenże jest tak pisany, że dopiero dokładna analiza tekstu jego uwydatnia całkowicie myśl jego główną, tę właśnie, która ma dla nas wartość. Powierzchownie zaś wydawać się on może kompromisowym [illegible] [illegible]. Wobec tego samo opublikowanie tekstu wyroku nie wystarcza: ono tylko topi całą sprawę, rozwadnia ją kompromisowo w opinii publicznej, niżej na całą rzecz błędną postokę [illegible], załatwionego [illegible] porozumienia. Dlatego też gdy zaś przyjąłem, aby „Kurjer Litewski", drukując wyrok sądu honorowego, dał jakikolwiek dopisek do tekstu, jakikolwiek choćby najlżejszy komentarzyk, aby mieć pretekst do przeanalizowania tego wyroku w prasie piórem własnym. Przy takiego bowiem pretekstu formalnie nie było powodu do zamieszczania przez samego tekstu i samego komentarza do niego. Ale strona przeciwna była dość sprytna, aby nam nie dać okazji do komentowania wyroku. Wolała ona pozór kompromisu, niż ryzykować próbę jakiegokolwiek tłumaczenia własnego stanowiska, co ją narażało na uwydatnienie przez nas istotnego sensu wyroku, zaznaczywszy w odpowiednie zręcznej [illegible] stylistycznej redakcji. Wyrok został wydrukowany bez komentarzy, bez dopisków. Nie chciałem jednak na tym poprzestać, aleść [illegible]. Chodziło mi nie tylko o przeanalizowanie publiczne wyroku, ale też o zareagowanie odpowiednie już nie tylko w stosunku do 12 panów, z którymi mieliśmy sąd honorowy, lecz i tych innych, którzy się do tej samej akcji przyczynili, przede wszystkim więc tych 5 byłych arbitrów ks. Cyrskiego, którzy pierwsi wszczęli akcję przeciwko nam, fałszując w publicznym liście do swego mandatu zachowania się wbrew protokołom niedoszłego sądu; oni to dali punkt wyjścia do twierdzeń kompetycznej uchwały 12 panów, oni też zawinili najwięcej, postąpili najniecnieniej, bo bezpośrednio sfałszowali fakty, zainscenizowali całą akcję dalszą. W części chodziło mi o osobę J. Ł. Kładki, jednego z 5 arbitrów, który rozwinął twierdzenie 12 panów do punktu kulminacyjnego i stwarzając jakąś nową intrygę żywiołów, wrogich polskości i katolicyzmu, który czynnymi aktami na nas zrobił. Przeanalizować wyrok honorowego sądu i na podstawie jego autorytetu wykazać obłudę i fałszerstwo pierwszych bezpośrednich oskarżycieli, jałowość i bezpodstawność „intrygi", stworzonej przez Kładkę, naczynia treści faktów oraz intencje brzydkie akcji, prowadzonej przeciwko nam, — oto, co mi chodziło. Wynikając z tego, że dr. Lunowski wspomniał mi przed kilku dniami, że warto w „Kurjerze Krajowym" omówić tę sprawę, postanowiłem odpowiedni artykulik napisać i dać do „Kuriera Kr." pod najściślejszym pseudonimem incognito, bo robić to pisząc osobiście nie wypadało. Prasa zaś zawsze o tym mówić może o faktach, które miały miejsce publicznie. Artykulik też taki dziś napisałem, uprzedziwszy o dobre [illegible] jący w sądzie rzeczy. Zaniosłem go zaraz do Kryjanowskiego dla poradzenia się, ile, jako człowiek zainteresowany a bliski tej sprawy, bo był jednym z sędziów, [illegible] powiedział, czy w tej formie wystąpienie w prasie jest możliwe i czy treść artykuliku dobrze wyraża fakty. Krzywiło mu się jeszcze to w stosunku do „Kuriera Krajowego", że redaktorem jego jest Maikowski, jeden z naszej piątki, i że jeśli formalnie artykuł nie może być pisany przez żadnego z nas, to i drukowany nie [illegible] może być w piśmie, redagowanym przez kogoś z nas etc., bo to rzuca cień subjektywności i [illegible] [illegible] stosunku [illegible] zbyt ze strony Maikowskiego pewne formalne wystąpienia przeciwko wyrokowi honorowemu, z którym się powiadamia, że wyrok ten sprawę dla nas samą przez się faktycznie (w stosunku do 12 panów) wyczerpuje. Kryjanowski potwierdził ten wzgląd na Maikowskiego i uznał, że artykuł może być tylko w „Przeglądzie", bo zaś „Kurjer Kr." drukowany. Kryjanowski uważa, że w żadnym razie artykuł nie może pochodzić ode mnie, nawet pod pseudonimem, bo w sprawie zareagowania strony przeciwnej obowiązany byłbym do wyjawienia się wiernie. Wydrukowanie jest możliwe tylko w takim wypadku, jeżeli znajdzie się ktoś, który przyjmie na siebie autorstwo i sam odda artykuł do redakcji, jako od siebie. Przystałem na to i poprosiłem zaraz Ludwika Abramowicza, aby umieścił artykuł ten w „Przeglądzie Wileńskim", jako jego własny, [illegible] pod swym nazwiskiem, tyle że wszakże do przyjęcia wziął czas. Ludwik przeczytał i zgodził się.

Wieczorem u Kryjanowskiego miał się odbyć dalszy ciąg niedzielnego zebrania grupy „przeglądowej" dla dalszych debatów nad wniesionym przez Ludwika Abramowicza tak niefortunnie wnioskiem kierunku pisma. Zebranie wszakże było bardzo niekompletne i zapewne żadnej właściwej dyskusji programowej nie prowadziło, ani żadnych rezolucji nie powzięto. Dokładnie [illegible] o tym, bo z powodu mego [illegible] wyjazdu do [illegible] nie mógłem spełnić wcześniej zebranie. Byli tylko Witold i Ludwik Abramowiczowie, Nagrodzki, Kryjanowski, Zasztowt i ja. Oświadczyliśmy z Zasztowtem o naszym wstąpieniu do komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego", zapytując jednocześnie, czy wobec tego grupa „przeglądowa" nie będzie uważała, że nie możliwa jest nasza przynależność do niej. Nie przyjęła, bo w takim razie musielibyśmy z całym grupy. Nikt kategorycznie się nie zaopiniował, nikt się bardzo nie zdumiał. Była to już rzecz mniej [illegible]. było tajemnicą, że Zasztowt i ja chcieliśmy się rzucić do kierunku, reprezentowanego przez „Kurjer Krajowy", niż do kierunku „Przeglądu". Oddawna zdawaliśmy sobie sprawę, iż my z Zasztowtem nie bardzo jesteśmy dopasowani do poglądów grupy „przeglądowej", że stanowimy tam opozycję zasadniczą, że placówka ta nie jest właściwie naszą placówką. Ale stąd nie chcieliby oni nas stracić, nie chcieliby się nas pozbywać, nie tylko dla nas samych i dla [illegible] zasady spółdziałania poszczególnych odcieni pokrewnych, ale też dla swej własnej mocy, ażeby ich przynależność do grupy była widoczna, bo bądź co bądź nasz udział daje pewną firmę w kołach demokratycznych. Co zaś mnie uciesza, to to, że jednak niektórzy z grupy „przeglądowej", a mianowicie tacy, jak Nagrodzki, jeden z najdzielniejszych [illegible] faktów pozbyła, już [illegible] z dawniejszych [illegible] i [illegible] „Kurjera Krajowego". Nagrodzki widzi w „Kurjerze Kr." [illegible] narastającego [illegible] [illegible] prądów demokratycznych i litewskich, widzi i ocenia energię inicjatorów pisma tego, którzy potrafili z niczego zrobić rzecz żywą i coraz się utrwalającą, wreszcie widzi, że to pismo więcej zdziałać potrafi w kierunku [illegible] ludowej, niż zdziałać potrafi „Przegląd", organ małej garstki inteligencji, [illegible] [illegible] litej, [illegible] i kołyszący i wyczerpujący się w [illegible], bez mocy, [illegible] i woli. Nagrodzki ma [illegible] tego, ale [illegible] [illegible] [illegible] jak [illegible] oświadczenia, [illegible] to, co myśli. [illegible] „Kurjer Kr." [illegible] [illegible], aby się pismo [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Witold Abramowicz był [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w sobie [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] solidarności grupy „przeglądowej", [illegible] [illegible] [illegible] „Przeglądu Krajowego" [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Witold [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] „przeglądowej" [illegible] Kryjanowski [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] „Przeglądu" [illegible] [illegible] [illegible] Abramowicz [illegible] [illegible]

8 (21) marca
rok 1913.
piątek.

O północy wyjechałem z Wilna i rano o godz. 6 stanąłem na stacji Jadorkowicze (Petryszki). Jadę dla obliczenia drzewa, wywiezionego przez kupca na brzeg rzeki do spławu. Wczoraj otrzymałem depeszę od Biesiekierskiego, że drzewo rzucają już do wody. Depeszą, wysłaną pozawczoraj, poleciłem Biesiekierskiemu rozpocząć obliczanie drzewa na brzegu, sam zaś miałem przyjechać w niedzielę rano. Wobec wczorajszej wiadomości o rzucaniu drzewa do wody, to znaczy o przystąpieniu do spławu, przyspieszyłem wyjazd. Ze stacji pojechałem furmanką najętą wprost na brzeg rzeki, do miejscowości zwanej Łyk. Tam zastałem już Biesiekierskiego z Józiem, zajętych właśnie obliczaniem drzewa. Nie wiedziałem dokładnie, jak się ta czynność dokonywa. Okazało się, że jest to rzecz bardzo prosta: na brzegu wywiezione sztuki leżą długiemi rzędami; cały szereg takich rzędów leży wzdłuż rzeki. Chodzi tylko o zliczenie ilości sztuk w każdym rzędzie, następnie o zsumowanie całości i sprawdzenie, czy suma ta nie przewyższa sumy obliczonych i zakwitowanych w lesie przez szefera kupca — sztuk. Cała procedura obliczania trwała parę godzin. Wilenek ani towaru ciosanego nie obliczaliśmy, bo tymczasem na pierwszy spław idzie tylko towar duży, to znaczy całkowita bierwiona z pnia. Wilenek i ciosu trochę jest na brzegu, ale tymczasem to się nie spławia (nawet nie wolno przed spławieniem na małych rzeczkach dużego towaru, który ma pierwszeństwo bezwzględne), a zresztą ogromna większość tego jest jeszcze w lesie.

Ślicznie teraz na wsi. Wczesna wiosna tegoroczna spędziła już śniegi, którego zresztą było tej zimy bardzo niewiele. Pogoda słoneczna, jaskrawa. Słońce świeci i grzeje. Jest zupełnie ciepło, pomimo lekkiego wietrzyka marcowego. W polu roi się, gdzieś w górze, od skowronków, których śpiew, tak charakterystyczny i wesoły o tej porze roku, zapełnia atmosferę życiem. Na brzegu rzeki, przy spławie, ludno i wesoło. Rzeczka, ~~[illegible]~~ niewielka i zwykle ledwie się wąską smugą pośród łąk wężykiem wijąca, teraz pędzi po brzegi, toczy swe wody z zapałem i z fantazją: zdaje się, jest dumna ze swego stanu wielkości, pewna siebie, wyniosła; latem taka skromna, pokorna, mizerna na codziennym dniu swoim, teraz płynie majestatycznie, tworzy wiry, jest głęboka, poważna, ~~[illegible]~~ groźna nawet, rwie brzegi, czasami się przelewa na łąki, tworzy odnogi, przesmyki boczne, zatoki, zbiera poddane dopływy. Zazwyczaj skromna, lekceważona, teraz kipi życiem, ma wyrazistość żywiołu. Biedna rzeczka; ma i ona swoje chwile chwały i potęgi, swoje gody życia. Jest spławna, ale latem ~~[illegible]~~ jest w stanie znieść tylko drobniejszy towar, jak wilenkę, szczeciórkę (rzędową „sobaczkę”), ciosy, i to tylko „luzem” (to znaczy sztuki luźne, niewiązane w płyty), o tej porze natomiast znosi towar wyborowy, idący na Prusy i Londyn, nawet powiązany w średnie płytki.

Robotnicy, najęci do spławu, ~~[illegible]~~ uwijają się po brzegu. Trzech z kłódek wiązadła wiercą szyja belek, pędzą bierwiona z rzędów i rzucają je do wody, tyczą w płytki, które następnie w szereg długi wyciągają i t.d. Robotnicy ci — to nie płytnicy (flisacy) właściwi. Oni tylko dowożą drzewo do Wilji, gdzie już inni je wezmą, powiążą w płyty i popędzą przez Wilno do Kowna — na Niemen. A stamtąd w płytach jeszcze większych popędzą je inni ludzie, przez ziemię litewskie — do Prus na morze, skąd towar wysortowany powędruje w okrętach ładownych do stolicy handlu drzewnego — do Londynu.

Przed wieczorem przyjechałem z brzegu rzeki do Wiazowca. Znowu na wieczór gorączka, choć ból głowy już mniejszy dzisiaj. Wcześnie koło godz. 9 położyłem się spać.

Przed wyjazdem z Wilna nie miałem listu od Anny. Przykro mi to, bo właśnie pewno list przyjdzie teraz, gdy musiałem wyjechać, ale już się mniej niepokoję, bo widocznie Anna się jakoś załatwiła [illegible] z mieszkaniem. [illegible] nie pisze [illegible] ~~[illegible]~~ jednego listu na tydzień.

9 (22) marca rok 1913. sobota.

Chodziłem dziś dużo po lesie i przed i po obiedzie. Dzień już
teraz długi, równy nocy, a tak piękny w słońcu, że się go nie
chce tracić i rozkoszą jest chodzić. W lesie słońca mniej, ale i
tu ciepło, i tu ptaszki śpiewają. Na słońcu zaś za wiatrem
już nawet trochę chwilami lekki skwar. Wieczorami wczoraj
i dziś ukazywały się już błyskawice na niebie, zwiastuny nad-
chodzących burz, a wczoraj nawet grzmiało trochę. Przed obia-
dem chodziłem po lesie serwitutowym i byłem w Gaju,
po obiedzie zaś w lesie A XVIII, pod Kaszyndem. Obejrzałem
wszystko, stare zacechowane już „wierzchy" (szczytki) drzew
Czebotara z suchostoju, nowo poukładane sztuki tegoż
z brzozy surowej, stan podboru powału, sprzedanego Hryn-
kiewiczowi, i t.d.. W niektórych miejscach, gdzie było wię-
cej starych towarowych sztuk sosny, teraz, po wyrąbaniu ich
przez kupca las wygląda o wiele nędzniej, w innych —
niema znaku. W lesie są jeszcze płaty śniegu zimo-
wego, błoto przeważnie jeszcze zamarzłe i tylko na powie-
rzchni jest mała śliska i miękka powłoka błota ślizkiego, w
wielu wszakże miejscach noga stąpa już przeważnie głębiej.
Głębiej w ziemi zamarz jeszcze trzyma porządnie. Najwięcej śniegu
— to przy samym domu moim, zwłaszcza w zagłębieniu
między domem a młodniakiem sosnowym, bo to w cieniu
i za wiatrem. Chcąc wypić specjałów leśnych, polecił-
łem Dziesiąkierskiemu, aby upatrzył jakąś dobrą brzozę
i utoczył mi z niej soku. Brzozę tę się potem odda Cze-
botarowi do ~~rzą~~ rąbania na drwa, a ja będę miał z niej albo
i z 2 brzóz — soku do syta. Dziesiąkierski z Jaśkiem wy-
wiercili dziurę w pniu, wstawili lejek i sok popłynął.
Krople soku spływają tak szybko, że dzbanki gliniane
bardzo prędko się napełniają. Dziesiąkierski z Jaśkiem przy-
nieśli od Czebotara z Placówki duży kubeł drewniany z
~~wiecz~~ nakryciem, który będzie służył za rezerwuar
dla soku tego. Dziś piłem go pod wieczór: smaczny, ale
jeszcze za świeży, za lekki. Zlany do kubła ~~...~~, jeżeli fer-
mentuje i będzie znakomity. Czebotar, Nowik i inni poradzi-
li, aby wrzucić do soku tego trochę gałązek porzeczki i kory dębo-
wej: to podobno konserwuje sok brzozowy i chroni go od zepsucia.
Gdy będę przyjeżdżać do Wiarowca, będę miał tu napój znakomi-
ty. Mam nadzieję, że i Anna moja go zakosztuje, bo chcę ją raz
zabrać ze sobą do Wiarowca na wiosnę; pokażę jej mój domek, las,
spędzimy tu parę dzionków na wilegiaturze zaimprowizowanej.
Oddawna już ma ona ochotę do tego. Ale nocować będziemy tu nie
razem, o nie! To by się Dziesiąkierscy gorszyli. Anna spać będzie na dru-
giej połowie domu, z Dziesiąkierską. Biedna Annin, gdzie jest teraz
i co porabia, gdzie się lokuje. Dawniej spieszyłem z Wiarowca do Wilna,
aby jakiś dzionek ukraść i z Anną wspólnie we dwoje spędzić. Teraz w
Wilnie pustka, nie ma jej. Ale spieszę do Wilna też dla niej, dla jej
listu, który się tam spodziewam zastać. Jutro jadę. Ale, czekając
i pragnąc tego listu, zaczynam się go lękać. Oby jakichś złych
wieści nie było! Sam nie wiem, czemu, ale mnie teraz lęk ogarnia,
gdy myślę o chwili, kiedy wezmę list jej do rąk. Czy ma ona pokój dobry,
czy potrafiła znaleźć. Jest niebaczna na zdrowie, niepoprawna pod tym
względem. Anno moja, dziecko drogie, bądź błogosławiona w dobrym zdrowiu i spokoju.

10 (23) marca rok 1913. niedziela.

Do obiadu zabawiłem w Wiarowcu, po obiedzie zaś wyjechałem na pociąg wieczorny do Wilna. Droga nie była tak zła, jak sądziłem. Tylko w kilku bagnistych miejscach było bardzo mokro, poza tym droga dość sucha. Wczesna wiosna, ciepło, słońce, wiatr osuszyły już znacznie ziemię.

Do Wilna przyjechałem o godz. 11 wieczorem. W domu zastałem tyle oczekiwany list Anny. Przyjście pieniędzy, wysłane przeze mnie w zeszły czwartek, otrzymała dopiero w poniedziałek. Żeby móc nająć pokoik, musiała zastawić w lombardzie medaljonik złoty i srebrną portmonetkę. Pisze, że pokoik ma malutki za rb. 18 miesięcznie, co jednak jest stosownie do cen teodozyjskich znośnie. Narzeka bardzo na Teodozję, pisze, że nie dotrzyma tam do maja i wróci wcześniej. O zdrowiu pisze, że jest nie najlepsze; od paru dni ma znów bóle w żołądku, jakie miała przed wyjazdem z Wilna. To mię nie straszy, bo się lękam dla niej nie tych bólów żołądkowych, ale bólu w płucach, a na to się nie uskarża. Nie spodobało mi się natomiast to, że pisze, iż się zwróci do innego doktora, bo powiada, że ze starym doktorem już nie może wytrzymać. Nie wiem, czy to tylko w tym jednym razie się zwróci do innego doktora, czy też zamierza na stałe przerwać leczenie u poprzedniego, co uważałbym za fatalne, bo tamten rozpoczął już jej systematyczne wstrzykiwanie arszeniku i tuberkuliny; kuracja taka wymaga ciągłości i metodyczności. Anna w ogóle jest tak kapryśna, niewytrwała i samowolna, że gotowa istotnie przerwać kurację w połowie, tracąc całą jej wartość, a to dlatego, że ją uprzedzają i że stary doktor nie budzi w niej zaufania. Istotnie wygląda on na ciemięgę, ale powszechnie w Teodozji zalecano go nam, jako najlepszego specjalistę. Nowe będę miał źródło troski.

Napisałem dziś artykulik do „Kurjera Krajowego”, który zacząłem w Wiarowcu a skończyłem w Wilnie, — o potrzebie kooperacji, jako środka uspołecznienia i wyrobienia ludu. Zaznaczyłem w nim fikcyjność i jałowość praw i swobód politycznych bez społecznej ~~[illegible]~~ czynnej samodzielności ludu w zorganizowanych zrzeszeniach gospodarczych. Myśl słuszna, ale artykulik ich wyszedł ciężki, niedość głęboki w wyrazie. Nie jestem rad z niego.

Dzień dziś tak ciepły, jak rzadko o tej porze. Było przeszło 15° Reaumura i to w cieniu, nie na słońcu. Powietrze wilgotne i parne, wieczorem duży deszcz.

11 (24) marca, rok 1913.

Byłem wieczorem u Klotta. Zaprosił mię on do siebie z powodu przyjazdu Kasperskiego z Warszawy. Kasperski jest poniekąd kolegą moim, o tyle że skończył w Paryżu l'École des Sciences politiques, w której i ja byłem. Ale nie byliśmy w szkole razem. Kasperski był przede mną i wyjechał właśnie z Paryża w tym samym roku (1902) na wiosnę, w którym w jesieni ja przyjechałem. Ale trafiłem tam jeszcze na świeżą tradycję pobytu Kasperskiego, dużo tam o nim słyszałem, jak on również, będąc już w Warszawie, słyszał o mnie z Paryża. Poznaliśmy się osobiście dopiero w jesieni r. 1905, gdym przyjeżdżał do Warszawy dla kompletowania listy współpracowników oraz angażowania redaktora do „Gazety Wileńskiej", która się wtedy tworzyła. Kasperski był wtedy sekretarzem i najczynniejszym wykonawcą „Nowej Gazety" Kempnera. Potym jeszcze przez lat kilka zajmował tę posadę, którą zdaje się obecnie zajmuje inny mój kolega z École des Sciences politiques — Mirosław Przeniecki. Kasperski obecnie kieruje tylko „Gazetą Handlową", dodatkiem do „Nowej Gazety", i oprócz tego redaguje pismo większe handlowo-przemysłowe, wychodzące pod nazwą „Przemysł Krajowy" (zdaje się — miesięcznik). Dużośmy się spotykali z Kasperskim w Warszawie za czasem „Gazety Wileńskiej" i potym, łączył nas stosunek dość bliski. Teraz jesteśmy sobie jakoś bardziej obcy. Kasperski, choć ma dużo sprytu, ruchliwości, zmyślności, jest jednak dość suchy; brak w nim zapału, brak jakiejś szczerości wiary, brak pierwiastka idealistycznego. Zdaje się, że życie go napoiło sceptycyzmem i zrobiło zeń przeciętnego filistra, którego już idea nie porusza.

Na herbatce zebrało się u Klotta kilka osób: oprócz niego i żony, pani Halki, która ciężej od wszelkich zawodów życiowych usiłuje zdołała miękkiego męża i odwieść go od marzeń idealistycznych, byli jeszcze oboje Kasperscy, to znaczy on z żoną, dalej młodszy brat Kasperskiego, zamieszkały, jak się dowiedziałem, w Wilnie, dalej stary p. Jan Klott, ojciec Janka, p. Antoni Pisani, p. Józef Hłasko i ja. Rozmawiano się o rozmaitych banalnych potocznych rzeczach, wreszcie po kolacji towarzystwo zasiadło do kart, ja zaś, jako przeciwnik tego rodzaju zabawy, uciekłem do domu. Atmosfera panowała typowa, jak u Klotta: nastrój dobroduszno-filisterski, niby trochę uświadomionego postępu i wolnomyślicielstwa w ramach sceptycyzmu salonowego, wszystko nasiąkłe rozcieńczonym zapachem sybarytyzmu duchowego, zabijającego wszelkie odruchy [illegible]

73.

12 (25) stycznia rok 1913. Wtorek.

Pośredłem dziś wieczorkiem na ~~ja~~ żurfiks do Kotuni Pruszanowskiej. Czechjela już w Wilnie nie ma, Kotunia czuje się swobodniejszą. Wśród osób, które tam zastałem, była stryjenka Elżusia Bolesławowa Römerowa. Spotkanie to nie należało do zbyt przyjemnych dla mnie, bo ze stryjenką stosunki zerwałem od czasu, gdy ona w r. 1910 drogą skandalicznego rozgłosu forsowała separację Reginy ze mną. Rozstanie moje z byłą żoną moją Reginą było dla nas obojga konieczne i z pewnością ja niemniej od Reginy pragnąłem takowego. Stryjenka wzięła na siebie wtedy rolę opiekunki Reginy. Nicbym przeciwko temu nie miał, bo z pewnością Regina potrzebowała opieki, i nie wątpię, że stryjenka się kierowała sercem i dobrą wolą. Ale z tej opieki nad Reginą zrobiła napaść na mnie: szerzyła o mnie wieści sensacyjne, oczerniała mnie, nadała sprawie rozstania naszego [illegible] rozgłos skandaliczny, komentując jednostronnie szczegóły, starając się w ogóle rzucić cień jak najgęstszy na mnie w opinii publicznej. Zamiast żeby się ze mną porozumieć, nas wyjaśnić, rozstanie i separację ułożyć bez skandalu publicznego, stryjenka, z gorliwości zapewne, przesadziła i zawarzyła awanturę niepospolitą. Za to mam żal do niej, który zachowam. Przytym otoczyła specjalną opieką stosunek Reginy z francuską panną Alicją ~~Cou~~ Courtot, najprzewrotniejszą intrygantką, jaką mi się zdarzyło kiedykolwiek spotkać. Mniejsza już o osobiste stosunki przyjaźni Reginy, która już żoną moją nie jest i nie będzie. Chodziło mi jednak wtedy jeszcze o dziecko, o tę ~~có~~ córkę moją Cesię, która się miała narodzić i którą jeszcze przez cały rok po urodzeniu kochałem i idealizowałem w myślach i sercu moim, nie znając jej nawet. Pragnąłem ustrzec to dziecko, moje przecież, jedyne, od wpływu intrygantki. Wiem, że Regina jest niczym a Francuska wszystkim. Regina jest tylko narzędziem Francuski, jest ofiarą hypnozy. Dziś i to mi już obojętne: dziecko jest mi obce i zapewne obce będzie; chyba, że jak wyrośnie, pozna mnie i zrozumie i pokocha. Ale najprawdopodobniej wpływ otoczenia i wychowania całkowicie zabije w tym dziecku wszelkie pokrewieństwo ze mną. Dziś sprawy te są dla mnie dalekie, ale roli stryjenki Bolesławowej, tak bolesnej dla mnie, tak krzywdzącej mię ongi, nie mogę zapomnieć. Nie gniewam się na nią, rozumiem nawet jej pobudki szczere, choć błędne, ale żal do niej mam głęboki. Od tego czasu nie bywałem u niej i nie witałem się wcale. Dziś przywitać się musiałem, ale oczywiście ~~[illegible]~~ poza urzędowym przywitaniem zachowałem zupełną rezerwę i ani zamieniłem z nią słówka rozmowy ani zwróciłem na nią najmniejszej uwagi.

Wieczorem po powrocie z żurfiksu Kotuni napisałem artykulik do „Kuriera Krajowego” o potrzebie krajowego związku kooperatyw spożywczych. Artykulik ten jest dalszym do drugiego, w którym omówiłem zjazd delegatów stowarzyszeń spożywczych w *

* Dyneburgu, zaprojektowane na nim utworzenie Związku, wagę i pożytek tego projektu oraz jego wady zasadnicze. Artykulik dzisiejszy udał mi się dobrze. Zaczynam się wprawiać stopniowo do pisania artykulików krótkich, miniaturowych, jakie są wymagane w pisemku tak małym i popularnym. Trochę mi to trudno, bo nigdy jeszcze takich krótkich artykulików nie pisywałem, ani do „Gazety Wileńskiej”, ani do „Przeglądu Wileńskiego” tym bardziej. Ale się już potrochę przystosowuję. [illegible] i teraz jeszcze te krótkie artykuliki są dla „Kuriera Krajowego” nieco za długie. [illegible] ceni je, ale zawsze utyskuje na ich wymiar. Po napisaniu dzisiejszego artykuliku zdecydowałem się dać pod nim po raz pierwszy w „Kurierze Krajowym” całkowity mój podpis z imieniem i nazwiskiem.

Rano napisałem drugi artykulik do „Kurjera Krajowe- | 13 (26) marca
go" w uzupełnieniu do wczorajszego wieczornego. Zatytu- | rok 1913.
łowałem go „Dzieło dyneburskie" i scharakteryzowałem | środa.
w nim projekt utworzenia Związku kooperatyw, powzięty
na lutowym zjeździe delegatów stowarzyszeń spożywczych
w Dyneburgu.

O godz. 8 wieczorem [illegible] zebrał się poraz pierwszy no-
wy komitet redakcyjny „Kurjera Krajowego". Ko-
mitet ten składa się z 3 osób: Zasztowta, redaktora
Mańkowskiego i mnie. Czwarty członek komitetu,
Zenon Kuncewicz, jako zamieszkały poza Wilnem, bę-
dzie niestety: będzie oczywiście brał udział w [illegible]
obradach naszych tylko wtedy, gdy będzie przyjeżdżał
do Wilna. Chcemy być z Zasztowtem nie nominalnymi
tylko członkami komitetu, ale rzeczywiście brać czyn-
ny udział w sprawach pisma i w pracy kierowniczej.
Redaktor Mańkowski, który będzie gospodarzem wewnętrz
redakcji i wykonawcą faktycznym dyrektyw komitetu,
będzie odpowiedzialny przed komitetem, zaś wreszcie zaś
wobec grupy udziałowców i sympatyków pisma odpowie-
dzialność za kierunek bierze na siebie komitet. Ze-
brania nasze postanowiliśmy urządzić jaknajczęściej.
Zasztowt jest pełny zapału i gorąco pragnie być czyn-
ny i pomocny w piśmie. Dotąd nie jest on jeszcze obe-
znany z wewnętrzną organizacją redakcji, to też przedewszy-
stkiem chce wejrzeć w czynności redakcyjne, chce się za-
poznać z całą techniką roboty i chciałby nawet ewentual-
nie znaleźć dla siebie jakiś specjalny dział pracy sy-
stematycznej. Dziś mówiliśmy przeważnie o organi-
zacji redakcyjnej, dalej o szeregu rewelacji [illegible] w sto-
sunkach miejskich, które przygotowuje Mańkowski, i
o sprawach miejskich wogóle. Co do wszelkich rewelacji
[illegible] uznaliśmy, że muszą one
mieć li tylko charakter krytyki objektywności publi-
cznej i że ze względu na [illegible] szczególną ostrożność
i takt, [illegible] w tej materji, muszą one być w każdym
pojedyńczym wypadku poprzednio omówione i uzasadnione
wraz z przez nasz komitet. Co do spraw miejskich (przeważnie
gospodarki zarządu miejskiego) uznaliśmy za niezbędną krytykę
zarzutów tych stosunków z zachowaniem rzeczy słusznej niezależnej
opinji. Do innych spraw przejdziemy na następnym zebra-
niu.

Później wieczorem poszedłem z siostrą moją Marynią do Nagrodzkiego
na zebranie grupy osób, która się tu tworzy dla wspólnego zakupu placu
i zabudowania domków mieszkalnych dla mieszkańców na wzór istniejącej
od lat paru kolonji t. zw. Montwiłłowskiej przy placu Łukiskim. Zamierzali
nabyć zakupić i zabudować część placu dr. Dmochowskiego przy nowej ul.
Zofiańskiej, która się otwiera od prospektu do Portowej. Jak się okaże
nim porozumienie się, wolna część placu ta [illegible] będzie się wciągnięta do planu
projektu. Amatorów do spółki takiej zgłasza się dużo. Dziś na zebraniu byli
oprócz mnie z Marynią i Nagrodzkiego, byli: Kryżanowski z żoną, Rudny, Witold Abramowicz
i Korolec. Dowiedzieliśmy [illegible] się tylko kilku z [illegible] placem. Marynia ma zamiar stawiać
domek na własność, ja, że nie wiem, czy w mieście zostanę tymczasowo się tylko orientuję, bo nie wiadomo
jeszcze, czy Mama do tego [illegible] wyrazi zgodę. | 85.

14 (27) marca rok 1913. czwartek.

Miesiąc dziś upłynął od dnia rozstania mego z Anną. Od czasu nietylko trwania związku naszego, ale całej naszej znajomości, t. j. blisko od 2 lat, jest to pierwsze rozstanie tak długie. Nigdy dotąd nie spędziliśmy całego miesiąca bez siebie.

Otrzymałem dziś list od niej. Nowe strapienie, nowy kamień. Każdy, niestety, list Anny przynosi wiadomość o jakimś kłopocie, o troscе bieżącej. To musi zmienić mieszkanie, a właśnie w tym czasie pieniędzy nie ma, to ze zdrowiem jest źle, to doktora zmienia. Dziś jest rzecz poważna, wymagająca rozwagi poważnej i działania. Dawno już Anna się uskarża na ostre bóle w żołądku. Zawsze twierdziła, że czuje, iż doktorowie się mylą i że właściwe cierpienie jej — to nie w płucach, ale w żołądku czy kiszkach; że jeżeli coś w płucach jest, to względnie niewielkie, a że natomiast w żołądku coś się dzieje złego, na co główną uwagę zwrócić trzeba. Skarżyła się na to już w Wilnie, ale dr. Olechnowicz nic w żołądku nie znalazł, doktor zaś Jabłonowski stwierdził lekkie owrzodzenie, ale przypisał je działaniu flegmy tuberkulicznej, połykanej przez Annę. Obaj doktorowie natomiast kładli nacisk na zaczynające się w płucach suchoty. Tak samo dr. Czarniecki w Teodozji: uznał, że bóle żołądkowe — to bagatela, a że główna rzecz — to niewątpliwe początki suchot, i postanowił kurować Annę wstrzykiwaniem tuberkuliny od suchot i wstrzykiwaniem arszeniku na wzmocnienie ogólne i usunięcie anemji. W ostatnim liście już Anna pisała, że bóle w żołądku się wzmagają i że zdecydowała się ona wobec tego zwrócić do innego lekarza. Byłem niekontent z tego, bo się obawiałem, że zaniecha wstrzykiwań i przerwie kurację, której metodyczność jest głównym warunkiem pomyślnego skutku. W odpowiedzi na ten list skarciłem Annę za zmianę doktora i nastawałem na tym, iżby ~~...~~ wytrwała w raz rozpoczętej kuracji. Aż oto dzisiejszy list Anny przedstawił mi sprawę w świetle takiem, że szablonowe obstawanie ~~...~~ li tylko przy poprzedniej kuracji nie może być wystarczające. Anna już była u innego doktora. Powiada, że doktór ten znalazł właśnie coś poważniejszego w żołądku. Co mianowicie — tego Anna nie pisze, a zapewne i nie wie. Że ~~...~~ nakazał jej jakąś specjalną kurację, ale taką, którąby wymagała ze 3 miesiące pobytu na miejscu w Teodozji. Że co do płuc, to znalazł, iż są bardzo lekko zaatakowane i że to przejdzie, ale że z żołądkiem — to nie żarty, to coś wielkiego. Anna sama nie wie, co wobec tego robić i na co się decydować. Czy siedzieć w Teodozji, czego się jej bardzo nie chce, i rozpocząć nową kurację, jaką przepisze doktór, czy też do Wilna wracać i tu się leczyć, bo dla żołądka miejsce pobytu różnicy nie robi. Ale tymczasem jest i względ na płuca i rozpoczęta kuracja wstrzykiwania, której Anna jednak nie przerwała. A te jeszcze i inne kłopoty, z tym związane: pokoik jej jest daleko, w dzielnicy letniskowej; chodzenie do miasta 2 razy dziennie, do doktora i na obiad, męczy ją; doktor zabrania jej tego chodzenia i każe zamieszkać w środku miasta, a tam jest znowu strasznie drogo. Słowem — Anna zbiedzona, nie wie, co poradzić, czuje się opuszczona w tej pozycji, chciałaby się przygarnąć do mnie i złożyć to na mnie, na moją radę i opiekę, a ta komunikacja listowna jest niezmiernie długa: osiem dni conajmniej upływa na skomunikowanie się, to znaczy na list i odpowiedź. Przeraża ją to przedłużenie pobytu w Teodozji w samotności; potrzeba decyzji, potrzeba zrozumienia warunków kuracji i t. d. Biedna kobieta. Zatelegrafowałem jej zaraz, żeby była spokojna i żeby mi przysłała nazwisko i adres tego nowego doktora. Chcę do niego napisać i prosić, aby mi wyjaśnił szczegółowo, co jest z Anną i co za kuracja potrzebna. Może to zapalenie ślepej kiszki, może chodzi o operację jakąś. Czy ja wiem! Wielkie głupstwo zrobiłem, że jadąc z Anną przez Kijów, nie poradziłem się tam u jakiegoś profesora.

15 (28) marca rok 1913. piątek.

Drugi już tydzień upływa, jak się czuję niezdrów. W zeszłym
tygodniu odczuwałem głównie ból głowy, trochę katar, wieczora-
mi gorączka; teraz już od dni kilku głowa nie boli, ale czuję
się ciągle niezdrów; zaczął się kaszel, ból w piersiach nawet chwi-
lami, wieczorem jakieś zziębienia. Co to jest — nie wiem. Za-
pewne byłoby najlepiej, gdybym się tak na dni parę położył
do łóżka, ale na to nie mogę sobie pozwolić.
Zachodził dziś do mnie Stadziewicz dla pomówienia w sprawie
pisma specjalnego, które się tu zakłada przez grono handlowców
wileńskich. Ma się nazywać, zdaje się, — „Przegląd Handlowo-
Informacyjny” i wychodzić ma pono, jako kwartalnik. Pier-
wszymi inicjatorami wydawnictwa tego byli Stadziewicz i
drukarz Żukowski. Podpisywać będzie pismo Stadziewicz. Pier-
wszy № chcą wydać w kwietniu. Pismo będzie poświęcone specjalnie
sprawom ekonomicznym kraju, handlowi i przemysłowi kra-
jowemu. Zdaje się, że nie małą rolę w wydawnictwie ma grać
reklamowanie firm kupieckich miejscowych. Spraw politycznych
pismo tykać nie będzie bezpośrednio i w ogóle ma być wolne od
jakiegoś zabarwienia politycznego, chociaż nie wiem, czy się
zdoła na takim gruncie neutralnym utrzymać. Sprawy roz-
woju handlu, przemysłu i życia ekonomicznego bardzo blisko
dotykają spraw politycznych, społecznych i narodowych, zwłaszcza
u nas. Już dziś, jak mi opowiadał Stadziewicz, są prądy do
nadania pismu ~~[illegible]~~ tej lub innej tendencji. Inicjatorzy pisma
a zwłaszcza mający je podpisywać Stadziewicz chcą, żeby pismo
miało na względzie sprawy przemysłu krajowego, jako takiego, a Sta-
dziewicz myśli nawet ~~[illegible]~~ wprowadzić w piśmie z czasem dwa
równoległe teksty, polski i litewski, szczególnie dla artykułów
dotyczących gub. Kowieńskiej. Ze strony endeckiej natomiast, z pośród
osób, do których się inicjatorzy zwracali czy to o współpracownictwo czy
o pomoc techniczną lub materjalną dla wydawnictwa, jest tendencja
wyraźna, żeby nadać pismu stanowczy kurs antysemicki do orga-
nizowania walki handlu i przemysłu chrześcijańskiego z żydowskim,
oraz żeby usunąć pojęcie przemysłu „krajowego” i zastąpić je ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ przez konkretne pojęcie przemysłu „polskiego” na Litwie.
Jak się w tych tarciach ułoży charakter pisma nie w projekcie tylko,
lecz w wykonaniu, — zobaczymy. Inicjatorzy są bardzo przeciwni tenden-
cji nacjonalistycznej i zdecydowani są zaakcentować właśnie tendencję
krajową, co zaś do ~~[illegible]~~ kursu antysemickiego, to zdaje się, że chcą się wy-
kręcić oportunizmem: nie propagować antysemityzmu jawnego i bojkotu,
lecz w ogóle unikać wszystkiego, coby mogło się wydawać popieraniem prze-
mysłu i handlu żydowskiego. Mnie się zdaje, że niebezpieczeństwo, którego się przy
tym będzie takie pismo, nie uniknie gruntu antysemickiego, jak też nie-
ustępliwie narastająca burżuazja przemysłowa litewska przejdzie z czasem do
~~[illegible]~~ ostrych haseł nacjonalizmu i bojkotu handlu i przemysłu nie tylko
żydowskiego, jak dziś jest w Polsce, ale też właśnie polskiego. Tymczasem być może
powstanie pisma takiego wydaje mi się dla krajowych stosunków ekonomiczno-
handlowo-przemysłowych pożytecznym. Obiecałem Stadziewiczowi dać artykuł
do № 1 i wskazałem mu kilka osób, do których radziłem się zwrócić dla
opracowań poszczególnych tematów.
Wieczorem byłem na posiedzeniu zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji.
Jak zwykle było tylko parę osób: Szklennik, Witold Abramowicz i ja. Wiel-
kim szczęściem dla towarzystwa naszego jest zapomoga w kwocie rb. 1200, wyznaczo-
na w roku bieżącym przez istniejące w Wilnie Towarzystwo Popierania Pracy Społecznej,
sumę tę rozkładamy w budżecie naszym na 2 lata. To nam da możność ~~[illegible]~~ roz-
winięcia działalności. Postanowiliśmy zaraz utworzyć przy towarzystwie biu-
ro informacyjne, którego zadaniem będzie udzielanie wszelkich wiadomości i wska-
zówek technicznych i handlowych kooperatywom spożywczym, pośrednictwo w zakupach
i t. d. Przy biurze będzie czynny specjalny instruktor, którego mamy zaangażować. Jedno-
cześnie rozpoczniemy starania o otrzymanie pozwolenia na zjazd delegatów stowarzyszeń
spożywczych z gub. wileńskiej, ażeby na zjeździe tym związać naszą działalność i zwłaszcza
nasze biuro informacyjne z poszczególnemi stowarzyszeniami. [illegible]
[illegible] jako podłoże do przyszłego związku. Biuro informacyjne
ma zaraz dokonać ankiety ~~[illegible]~~ w stowarzyszeniach gub. Wileńskiej.

16 (29) marca
rok 1913.
sobota.

Ukazał się dziś N bieżący „Przeglądu Wileńskiego"; wydrukowany jest w nim [illegible] w przeróbce Ludwika Abramowicza ten artykulik [illegible] o aferze, wynikłej z powodu sprawy Cyraskiego z Malinowskim, który ja pierwotnie napisałem i który dałem Ludwikowi z prośbą, aby go umieścił niby od siebie. Ponieważ Ludwik zgodził się wziąć na siebie autorstwo, więc nie mogę mieć doń pretensji za przeróbki, które porobił w artykule. Ale przeróbki są takie, że zasadniczo zmieniają cały sens wystąpienia. Właściwe tło obyczajowo-społeczne, które [illegible] uwydatniłem w tej kampanii, wszczętej przeciwko nam przez obrońców „ładu" i „sutanny", zostało w przeróbce Ludwika starte i zastąpione przez [illegible] podkreślenia li tylko nietaktu i lekkomyślności w akcji oskarżycieli i oszczerców naszych. Społeczno-obyczajowa i polityczna natura tej akcji została zupełnie nieomal nieuwzględniona, a przecie w tym jest właściwy sęk sprawy i to jej nadaje charakteru rzeczy publicznej, która musiała być uwydatniona i zdemaskowana, jako akcja obłudy i gwałtu publicznego. W sprawie tej jest znakomity materiał do zdemaskowania tajników kliki rządzącej, która terroryzuje opinię, operując korupcją, fałszem, potwarzą i [?] solidarnością karjerowiczostwa na szwindlem i prywatą. Ze sprawy tej uczciwie byłoby zrobić jedno z narzędzi do walki z [?], który tu w Wilnie zapanował prawie niemal. Szkoda, że z tego artykuliku, który bił w sedno rzeczy, Abramowicz zrobił rzecz [illegible] bladą, moralizatorską, wytykającą nietakt i lekkomyślność akcji, która w istocie swej była świadomym i kapitalnym przedsięwzięciem grona fałszerzy opinji. Że do grona fałszerzy świadomych trafiło kilku naiwnych [?], to co innego, ale akcja, jako taka, była czymś innym niż jakimś tylko wybrykiem nietaktu. W tej postaci, w jakiej artykulik ten wygląda w przeróbce Ludwika, jest on właściwie zupełnie zbyteczny. Tak oto Ludwik się lubi chwalić jaskrawością; ale jaskrawość jego jest zawsze tylko jaskrawością tonu, drażniącą cynizmem moralizatorstwa, podczas gdy w treści jest oportunistą zupełnym, jest niewolnikiem wszystkich utartych szablonów i pozorów, których się dotknąć nie ośmieli.

Z przykrością widzę, że nie ma sposobu ustalić ściślejszego stosunku naszych kół demokratycznych inteligienckich z młodzieżą. Do tego się najwięcej nadają odczyty. Młodzież odczytów tych prosiła, prosi o nie, ale brak nam prelegientów. Od dłuższego czasu odczyty w młodzieży były wstrzymane [illegible], bo się młodzież [illegible] z pewnych względów obawiała, że jest przez policję śledzona. Teraz odczyty mają być wznowione. Prele=

[illegible]

Płuca mię mocno bolą, — musi to być bronchit w ostrym stopniu. Obawiałbym się nawet zapalenia płuc, bo wieczorami wciąż też miewam gorączkę lub rozbicie, ale podobno przy zapaleniu jest kłucie głębokie, a tego nie doświadczam.

17 (30) marca rok 1913. niedziela.

Musiałem się mocno przeziębić kilkakrotnie. Teraz o to nie trudno, bo pogoda marcowa jest kapryśna i zmienna. Rano zimno, na słońcu ciepło, w cieniu też obok chłód, a zewsząd jakiś wiatr zdradziecki wypada i przenika. Dzień teraz piękny, słoneczny, a przeziębienia się pozbyć nie mogę. W takie dni, gdyby tylko zdrowie służyło, przyjemnie chodzić, odbywać spacery. Niedziela dziś, jeden z „naszych" dni — jak nazywaliśmy niedziele z Anną. Przechodziłem przez Cieletnik; dokoła już gwarno, w słońcu wiosnę czuć; jak miło byłoby przejść się z Anną, odświeżyć nasze zeszłoroczne wspomnienia spacerów po ogrodzie Bernardyńskim i t. d. Niema jej, wiosna mi schodzi samotnie. Wymarzyłem sobie pojechać do Anny na Wielkanoc. Czy spełni się to, — nie wiem. Byłaby to dla mnie radość i rozrywka niemała. Zobaczę, jakie będę miał od niej wiadomości. Może będzie to nietylko rozrywka, ale i potrzeba, jeżeli się okażą jakieś komplikacje z jej chorobą żołądkową.

Wieczorem zajęty byłem pisaniem dalszego ciągu moich „listów ze Wschodu" do „Przeglądu Wileńskiego", w których opisuję moje wrażenia z letniej podróży do Krymu. Po powrocie z podróży napisałem „list" pierwszy, w którym dałem szeroki wstęp i zapowiedź opisania wszelkich spostrzeżeń i wrażeń, które obecnie już trochę wystygły. Robię to dość niechętnie, bo ostatecznie porzuciłem stosunki kojarzenia tylko bardzo powierzchownie i do opisu tych wrażeń moich większej wagi nie przywiązuję, a tymczasem jest pełno innej pilniejszej roboty publicystycznej, której ustępować dla tych bagatelnych „listów ze Wschodu" szkoda.

18 (31) marca rok 1913. poniedziałek.

Dziś wreszcie czuję się zdrów. Ustał ból w płucach, ~~[illegible]~~ ustał nawet kaszel i katar. Dziwnie, że tak jakoś od razu.

Przed obiadem skończyłem mój drugi „list ze Wschodu” dla „Przeglądu Wileńskiego”. O ile wczoraj praca ~~[illegible]~~ ta mię znudziła, o tyle dziś znów mię zainteresowała. W „liście” tym, kreśląc moje spostrzeżenia o układzie ludnościowym Krymu, ~~[illegible]~~ scharakteryzowałem Tatarów, karaimów i żydów. Zwłaszcza ci ostatni dostarczyli mi ciekawego wątku do refleksji o kształtach rozwoju kultury społecznej i narodowej. ~~[illegible]~~ Poruszyłem głębiej kwestię żydowską, jako narodową i społeczną, i przeanalizowałem ją na zestawieniu dwóch społeczności żydowskich w Krymie, — napływowych żydów rosyjskich i żydów miejscowych. Jak zwykle — w toku pisania sam pogłębiłem myśl własną i porobiłem spostrzeżenia i wnioski, których bez tej analizy bym nie posiadł. Artykuł oddałem Ludwikowi Abramowiczowi. Będę musiał napisać jeszcze trzeci i ostatni „list ze Wschodu” o Krymie, w którym już wyczerpię temat a omówię mianowicie migrację ~~[illegible]~~ handlową do Krymu ludów kaukaskich i greków, wartość rolę polityczną gospodarczą kraju, rozwój, kwestię europeizacji Krymu, rolę ~~[illegible]~~ twórczą elementów zachodnio-europejskich w organizacji społeczno-ekonomicznej kraju i zwłaszcza sprawę kolonizacji rolnej niemieckiej. Całość tych „listów” będzie, mi się zdaje, ciekawa. Rozumiem jednak, że w „Przeglądzie” większego wpływu sprawy ~~[illegible]~~ i rozpisanie takie nie wywrą, bo przecież „Przegląd” jest dość mało czytany, a po drugie publiczności tematy takie, choćby najgłębiej ujęte, mogą [illegible] egzotyczne i albo ich nie czyta, albo mało się niemi przejmuje. A i to też jest mi w „Przeglądzie” niedogodne, że Ludwik Abramowicz dość arbitralnie bez poprzedniego omówienia koryguje artykuły, a właściwie nie tyle koryguje, ile z nich usuwa poszczególne części, które nieraz w moich artykułach mają znaczenie kapitalne; ~~[illegible]~~ a Ludwik usuwa właśnie to, co stanowi esencję mojej myśli i co mię właśnie od jego kierunku różni.

Wieczorem miało być posiedzenie komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego”. Ponieważ Zasztowta nie było, więc byliśmy tylko ja i Majkowski. Majkowski poddał pod aprobatę komitetu, a właściwie w tym wypadku moją, — projektowane przezeń zmiany w ~~[illegible]~~ wewnętrznym składzie redakcji. Przedewszystkiem chodzi się pozbyć Jabłońskiego, który nie tylko się okazał nieudolnym i mało inteligentnym, ale też dość niechętnym do pracy i ~~[illegible]~~ nierzadko szkodliwym dla pisma. A że jest akurat dobry pretekst do pozbycia się go, jako niby niebezpiecznego ze względów politycznych dla pisma (władze pismu i czarnosecinne sfery rosyjskie dopatrują się w „Kurjerze Krajowym” rzekomo austrjackiej agitacji, a Jabłoński jest poddanym austrjackim i w tych dniach właśnie dobija się u władz o [illegible]), więc tym ~~[illegible]~~ się upozoruje konieczność jego usunięcia. Będzie to zarazem oczyszczenie pisma od balastu, który jest niepotrzebny a pracę komplikuje. Na miejsce Jabłońskiego Majkowski projektuje mianować sekretarzem redakcji Tichinjakowa, który jest obecnie korektorem i [illegible] na korektora i [illegible] z pracowników Święcickiego, który obecnie był wzięty za agenta do zbierania po wsiach ogłoszeń. Ogłoszenia zaś mają być wydzierżawione Metzlowi za

rb. 1000 rocznie. Majkowski zapewnia, że tranzakcja z Metzlem w tych dniach dojdzie do skutku. Byłoby to świetne na początek, ale się boję, że jeszcze Metzl dużo wytarguje i dużo kłopotów i zawodów sprawi, nim ostatecznie [illegible] formalnie przyjmie. Tichinjakow, którego Majkowski chce mianować na miejsce Jabłońskiego, jest z pochodzenia Rosjaninem, ale spolonizowany jest zupełnie i nienawidzi moskali. Jest on z Warszawy. Żonaty jest z Polką i sam przyjął katolicyzm, za co stracił posadę w Warszawie i tu też takowej dostać nie może. Otrzymał był tu nawet posadę w zarządzie miejskim, ale go gubernator nie zatwierdził. Podobno z rodziny dobrej i zamożnej, ale ta go się wyrzekła, jako renegata. Jest on w bardzo ciężkich warunkach materialnych i obarczony rodziną. Człowiek to, zdaje się, wrażliwy dodatnio, choć trochę przez biedę wykolejony. Ale nie jest to człowiek zupełnie inteligentny i społecznie ideowy, [illegible]. Powinien się [illegible] publicystycznej, a choćby dziennikarza z niego nie będzie. Jest to właściwie półinteligent, który umie się trochę wysławiać [illegible]. Zaletą jego jest, że zna dobrze język polski i ~~[illegible]~~ może dość gładko napisać jakiś [illegible] artykuł. Zawsze to lepiej taka organizacja [illegible].

19 marca / 1 kwietnia rok 1913. wtorek

Dziś familijne tematy.

Przedewszystkiem o cioci Lucji Wołodkowiczowej. Zaledwie zmarł mąż jej, wuj Józef Wołodkowicz, a tu się wykryło, że ciocia jest bardzo chora. Coś u niej jest we wnętrzu, na macicy i pęcherzu; jakieś wrzody i nowotwory; jest do przypuszczenia, że to rak. Ciocia ma ciągłe krwotoki — stan jest ciężki. Lekarze-akuszerowie, którzy ciocię oglądali, dr. dr. Buyalski i Maczewski, nie orzekli kategorycznie, że to rak, ale mają te przypuszczenia. Robiono już cioci po kilkakroć opatrunki, coś tam nawet skrobano i czyszczono, a wreszcie lekarze uznali za konieczną operację i wysyłają ciocię zagranicę. Pojedzie ciocia do Krakowa do prof. Rosnera. Długo debatowana była kwestja o tym, kto ma cioci towarzyszyć. Zjechały się dzieci cioci, Ludwiś, Zunka Chełchowska z mężem, Staś z żoną, Kario. Uprosili oni nakoniec moją siostrę Marynię, aby pojechała z ciocią. Marynki Wołodkowiczówny, któraby chciała jechać z matką, nie puszczają, bo bracia i Zunka uznali, że dla młodej panny to „nieestetyczne” i „nieprzyzwoite”, aby miała dopatrywać matkę w chorobie [illegible] podczas operacji, dotyczącej macicy. Zunka zaś niby jest tak nerwowa, że nie może dopatrywać a raczej zaszkodzi matce. Zunka zaś w istocie zgrywa komedję, bo matki nie kocha i nie rzeczywistym za to, czy nie pragnęłaby nawet jej śmierci, ażeby prędzej dojść do posiadania fortuny spadkowej; jest zresztą taka sybarytka i egoistka, że z przyjemnością nie chce znosić kłopotów i zmęczenia przy pielęgnowaniu chorej podczas i po operacji. Z właściwym sobie sprytem [illegible] i sprytem tak tragicznie demonstruje żal, rozpacz i wrażliwość, żeby się stało dla wszystkich oczywistym, że taka opiekunka i pielęgniarka przez zbytek subjektywnej wrażliwości do rzeczy więcej zaszkodzi chorej. Dopięła też Zunka swego — i nie pojedzie. Wszyscy Wołodkowiczowie i Chełchowski prosili, aby pojechała nasza Marynia. Mama naszemu była temu przeciwna. Byliśmy pewni, że Marynia ustąpi i pojedzie. Tak się też stało — jedzie. Wbrew wszelkim względom, które przemawiają przeciwko jeździe Maryni (głównie względ na jej dzieci i na zawiłości [illegible]), Marynia tak pociąga sama jazda zagranicę, włóczęga, nowość wrażeń i t. p., że zgoły mogła było być pewnym, że nie wytrzyma i nie oprze się pokusie. Ciągła odmiana wrażeń, ruchliwość — to namiętność Maryni. W sobotę, zdaje się, czy w niedzielę Marynia z ciocią wyjedzie. Towarzyszyć też [illegible] im będzie najstarszy syn cioci, Ludwiś. Ciocia Lucja nie wie, że to może być rak u niej; może się domyśla trochę, ale kryje w sobie tę obawę. Ciocia starała się ciągle zbagatelizować wobec otoczenia tę chorobę, ale sama się strasznie niepokoi i przyjmuje. Dopiero wczoraj czy dziś powiedziano cioci o potrzebie operacji. Wrażenie niedawnej jeszcze śmierci cioci Cesi Tukałłowej po analogicznej operacji [illegible] z raka, i świeża śmierć wuja Wołodkowicza — muszą jeszcze bardziej nastrajać pesymistycznie i niepokojąco ciocię Lucję. I trzeba, że ta choroba rozwinęła się w [illegible] swej grozie pełni wtedy właśnie, kiedy dopiero zmarł mąż cioci po kilkoletniej ciężkiej chorobie i kiedy ciocia wreszcie po tylu trudach i cierpieniach utrapionego życia mogła odzyskać cichy spokój starości i pełnię władzy ogromnym funduszem, jako nietylko właścicielka całej fortuny, ale i dożywotniczka fortuny męża i teraz właścicielka samodzielność majątku i siłę pozycji w rodzinie. Ciocia posiadła samodzielność majątku i siłę pozycji w rodzinie. Ciocia poczuła, aż tu choroba straszna stawia ją przed przepaścią śmiertelną. A trzeba znać ciocię i wiedzieć, co to za charakter potężny, co za głowa, jak w ręku cioci samodzielności i władzy w [illegible] czynnego oddziaływania na cały los jej dzieci, na cały układ rodziny.

Drugi, o którym chciałem pisać, to Witold Römer, mąż mojej siostry Maryni. To jest człowiek istotnie nieszczęśliwy, człowiek żalu godny, ale i [illegible]. Inny na jego miejscu dawno by upadł pod ciężarem życia. Dawniej się [illegible] po szlacheckich dalszej rodziny, która ostatecznie ustosunkowałaby się [illegible] zaopiekować i coś mu obmyślić. Ale Witold pogardza łaską i wbrew wszystkiemu li tylko na pracy i zarobku własnym polega. Jest schorowany, z trudem włóczy nogi, postarzał przedwcześnie — a pracuje i pracuje li tylko pracy. Długo był w Moskwie bez miejsca. Ostatecznie woje z poprzedniej służby kolejowej na Kaukazie ulokował niefortunnie, jako urzędnik w jakimś artelu [illegible], z którego teraz nie może wydostać. Trudnił się w Moskwie z braku posady pojedynczą detaliczną [illegible] elektrycznych, które [illegible] z zakładów kupował. Miał naturalnie grosze z tego [illegible] zwolnić nie może. Wtedy [illegible] miejscami przeniósł się do Wilna, licząc, że tu życie tańsze, i że [illegible] z protekcji dla [illegible]. Nie mając zupełnie nic [illegible], wszelkie protekcje zawiodły, a jego stan fizyczny nie zaciągał [illegible] „chlebodawcy” dać mu miejsca. Teraz otrzymał miejsce na kolei znów w Moskwie, za rb. 30 miesięcznie! Nędza. I pojechał.

87.

20 marca.
2 kwietnia.
rok 1913.
środa.

Dziwi mnie, że nie mam dotąd odpowiedzi od Anny na moją depeszę czwartkową, w której prosiłem ją o przysłanie mi nazwiska i adresu jej nowego lekarza.

Coraz głębiej mię toczy tęsknota za Anną. Czuję coraz bardziej, iż nikt mi nie jest tak bliski, jak ona; przed nikim nie jestem w stanie tak duszy otworzyć, jak przed nią, tak być całkowicie sobą, tak móc wszystko wyrazić; obcowanie z każdym innym człowiekiem jest zawsze poniekąd dyplomatyczne, maskowane, mniej lub więcej obłudne (może nie obłudne, ale w każdym razie nie bezwzględnie szczere). Za młodu łatwiej było o przyjaźń, o wypowiadanie się szczere; z wiekiem człowiek się jakoś skupia bardziej w sobie, mniej się staje ekspansywny, ostrożniejszy, bardziej zamknięty nazewnątrz. Stosunki przyjaźni zawiązują się trudniej, ludzie są twardsi, bardziej skrzepli. Tylko z nią, z Anną moją, w złotych promieniach wzajemnej miłości, odzyskuję młodzieńczą ekspansywność, tę wyrazistość w obcowaniu, o którą już mi coraz trudniej w życiu. To też teraz ciąży mi bardzo samotność bez niej. Jestem rzeczywiście sam. Jestem jak Robinson śród ludzi. Tęsknię do jej pięknych myśli, do jej głębokich a tak trafnych spostrzeżeń, do gry jej temperamentu i wrażeń, do jej wzruszeń i uczuć, tak zawsze prostych, przedziwnie szlachetnych, dźwięczących żywym odruchem na każdą krzywdę, na każdy ból dokoła. Bez niej jestem, jak bez źródła dla duszy mojej. Z niej czerpię wszystkie najszlachetniejsze pierwiastki życia mego. Z radością myślę o mej wielkanocnej wycieczce do Krymu.

21 marca / 3 kwietnia. rok 1913. czwartek.

Wieczorem napisałem artykulik do „Kurjera Krajowego" z powodu faktu pokrzywdzenia litwinów przy nauczaniu religji w jednym z gimnazjów wileńskich. Chodzi o to, że okólnik kuratora wileńskiego okręgu naukowego ustanawia, iż tam, gdzie kapelan nie zna języka ojczystego uczniów, tam nauka religji w szkole musi się odbywać w języku urzędowym, t.j. po rosyjsku. W żeńskim gimnazjum Prozorowej kapelan ks. Michniewicz języka litewskiego nie zna, wobec czego zarządzono nauczanie religji dla litwinek po rosyjsku. Litwini czują się tym pokrzywdzeni i głośno w prasie swojej się skarżą, wytykając polonizatorską działalność wileńskiej władzy duchownej, która dba li tylko o interesy narodowe polaków, a takie interesy litwinów do tego stopnia zapoznaje i zaniedbuje, że zostawia ich na pastwę rusyfikacji. Zdaniem prasy litewskiej, gorliwość polonizatorska diecezjalnej władzy kościelnej staje się w stosunku do litwinów atutem ich rusyfikacji. W żalach litwinów jest niewątpliwie dużo prawdy; istotnie władza duchowna nigdyby się nie ośmieliła zaniedbać w ten sposób interesów polskich, jak zaniedbała w tym razie litewskie, wiedząc, że społeczeństwo polskie podniosłoby taki krzyk i taki protest, całkowicie słuszny zresztą, iż kler byłby poważnie skompromitowany. Ze społeczeństwem polskiem kler tu w Wilnie i diecezji wileńskiej liczy się na każdym kroku, bo społeczeństwo to jest tu silne, zwarte, bogatsze, stanowcze; kler jest od społeczeństwa polskiego zależny, zmuszony do liczenia się na każdym kroku ze stanowczemi żądaniami narodowemi polaków. Litwini zaś tu, na wschodnich kresach etnograficzno-litewskich, są słabi i upośledzeni. Lud litewski jest tu ciemny i mało uświadomiony narodowo, inteligiencja zaś narodowa, zamieszkała w Wilnie, choć jest gorąca, jednak i liczebnie jest dość słaba i pieniężnie biedna i wpływów nie ma takich, co polacy; i jest pozbawiona zawsze o to, że nieszczerze się upomina o prawa wewnątrz kościoła, bo jest niewierzącą i bynajmniej o potrzeby religijne nie dba. W tych warunkach litwini są tu zawsze traktowani po macoszemu; osięgają tylko stopniowo pewne ustępstwa o tyle, o ile potrafią wielkim krzykiem podnieść i krok za krokiem coś wywojować. Tylko energji, wytrwałości i ciągłej, acz krzykliwej, wojnie, prowadzonej przez garstkę inteligiencji wileńskiej i uświadomionych jednostek z ludu, zawdzięczają litwini, że nie zjedzono ich dotąd w kaszy. Tak w tym wypadku wina władzy duchownej jest niewątpliwa; z pewnością nie była to wina rozmyślna i że nie chodziło specjalnie o to, aby uczyć dzieci litewskie religji po rosyjsku, ale jest wina niedbalstwa, wina obojętności, gdy chodzi o narodowe interesy litwinów; władza duchowna wiedziała o okólniku, który był szeroko omawiany i komentowany, i powinna była tak urządzić [illegible], aby się nikomu krzywda nie stała. Gdyby to chodziło o jakieś dzieci angielskie czy hiszpańskie, wymyśliłaby [illegible] kapelana, znającego ich język ojczysty. Ale tu chodzi o język litewski, który zna [illegible] kleru w Wilnie. Kapelania [illegible]. A na skutek tej niedbałości stała się litwinom krzywda poważna, bo ta [illegible]

[illegible]

22 marca.
4 kwietnia
rok 1913.
piątek.

1 ż 3 p 4 l 1 r 1 b)
XXXXX

Otrzymałem dziś list od jednego z moich kolegów i przyjaciół paryskich, Adama Neymana, z którym nigdy nie korespondowałem od czasu wyjazdu z Paryża. Neyman dowiedział się jakoś, że biorę udział w wydawnictwie „Przeglądu Wileńskiego” i niedawno przysłał mi pod adresem „Przeglądu” pocztówkę, na którą także pocztówką odpisałem. Teraz pisze list długi, w którym streszcza mi [illegible] więcej całe dzieje życia swego w ciągu tych lat 8 po ukończeniu Szkoły. Spędziliśmy z nim parę lat w Paryżu, jako koledzy z École des Sciences Politiques, ale dopiero w ostatnim roku, zimą i wiosną r. 1905, stosunek nasz się zacieśnił. Był to chłopiec bardzo miły, żywy, niegłupi wcale. [illegible] Nie łączyły nas specjalne więzy ideowe, bo Adam Neyman nie miewał nigdy inklinacji do ideałów społecznych: rozumiał je, podzielał nawet [illegible] w dużym stopniu, ale się niemi nie przejmował, nie zapalał; kochał życie raczej dla użycia osobistego, miał szczyptę zawsze sceptycyzmu w umyśle; nie był zresztą bynajmniej egoistą ciasnym; był bardzo koleżeński, w stosunkach bliższych miał dużo serdeczności i niekłamanego uczucia; był trochę rafinowany w używaniu życia, chciał i umiał wydobywać z uciechy maksimum słodyczy i rozkoszy. Pamiętam nasze spacery i wycieczki po bruku paryskim i zamiejskie, pełne wrażeń, przygód niemal romantycznych, uciech często erotycznych. Był mi towarzyszem nie tyle ideałów moich, ile zabaw. Jako taki, był nieoceniony. Pamiętam zwłaszcza nasze wspólne przygody i zabawy z [illegible] Bertą, młodą ładną robotnicą paryską, którąśmy poznali z Neymanem w budce tramwajowej przy teatrze Sarah-Bernhardt. Znajomość ta nasza z Bertą trwała potem kilka miesięcy. Była to ładna paryżanka, żądna też uciech i wrażeń. Zasiadaliśmy z nią po kawiarniach, jeździliśmy za miasto wiosną, piliśmy, włóczyliśmy się w niedzielę i święta dniami całemi. Jakich uciech nie mieliśmy z Bertą, jakich przygód i wrażeń! Była to dziewczyna gorąca, z dużym temperamentem, wesoła, swobodna, ale pieniędzy nie brała, bo się bawiła dla zabawy tylko. Byliśmy z nią raz i u modystek w zakładzie „Madame Julie” przy rue Poissonnière, gdzieśmy się bawili podniecani [illegible] Berty wobec orgji uciech zmysłowych, a raz pamiętam w parku St.-Cloud, jakeśmy się en plein air bawili z Bertą i szaleli w uciechach zmysłowych. Ten epizod z Bertą trwał długo, aż póki tejże wiosny nie zakochałem się w Suzanne Richard, po czym już z Bertą zerwałem i wyrzekłem się z nią zabawy, choć ją jeszcze długo wołał do niej. Byliśmy zawsze z Bertą i Adamem Neymanem we troje a nigdy nie było nieporozumień lub zazdrości między nami. Bo nie kochaliśmy tej Berty serdecznie, jeno śmy się bawili. Dzisiejszy list Adama Neymana przypomniał mi żywo czasy i stosunki paryskie. Adam Neyman jest od lat kilku żonaty z wiedenką, ma parę dzieci. Od niedawna zamieszkał w Kijowie, dotąd zaś przebywał na południu Rosji, gdzie się zajmował kolejami węglowemi, łowiąc fortuny. Bieg życia jego był dziennikarstwo [illegible] przeciwny niezupełnie.

Po wieczór byłem dziś na chrzcinach u Żmujdzinowiczów. Od miesiąca mają oni córeczkę, której nadali starym mitologicznym imieniem litewskim — Sedzė, spolszczone — Sedryta.

84. Po [illegible] dziś wieczór przyjechała do nas stryjenka Elizunia Bolesławowa Römerowa, która już nie widziała [illegible] 2 lat [illegible]. 2 [illegible] spędziła z Matusz... [illegible] zerwała stosunki z [illegible], ... w tym, że jej Matusz [illegible] ... [illegible] z Bogusiem, i bardzo serdecznie [illegible] ... z nami i ze mną.

23 marca.
5 kwietnia.
rok 1913.
sobota.

Miałem „embarras de richesse" co do wyboru zebrania na wieczór. Aż trzy bowiem zebrania były zwołane i wszystkie trzy takie, na których pragnąłbym być: zebranie komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winogradowa, zebranie zarządu Towarzystwa Popierania Przemysłu Domowego i Sztuki Ludowej, i ogólne zebranie członków Wileńskiego Oddziału Wszechrosyjskiej Ligi Przeciwgruźliczej. Pierwotnie projektowałem na to ostatnie nie pójść, bo w zakresie walki z gruźlicą jestem najmniej kompetentny i obecność moja na tym zebraniu jest najmniej potrzebna. Wczoraj wszakże Nagrodzki prosił mię, abym był koniecznie, bo ma być dyskutowana i rozstrzygnięta bardzo ważna kwestja o tym, czy towarzystwo ma być nadal Oddziałem Ligi Wszechrosyjskiej, czy też organizacją samodzielną, odrębną, wileńską. W naszym kraju wszystkie zagadnienia tego rodzaju, czy to chodzi o organizację polityczną, czy o potrzeby ekonomiczne i kulturalne, nie mające pozornie nic wspólnego z polityką, mają faktycznie zabarwienie polityczne. Jest ciągła nieustająca walka o zwycięstwo jednej z dwóch zasad, czy zasady centralistycznej, forsowanej u nas zawsze przez rosjan, czy też zasady samodzielności, inicjatywy krajowej, popieranej przez wszystkie elementa nie-rosyjskie. Czy to chodzi o kooperację, czy o społeczną walkę z gruźlicą, — zawsze jest kolizja tych dwóch zasad naczelnych dążeń. Poszedłem na to zebranie. Odbywało się ono w sali Zarządu Miejskiego. Zebrało się 100 członków wileńskiego oddziału Ligi. Nastrój był od początku podniecony, jak zawsze, gdy chodzi o walkę dwóch przeciwnych zasad. Nic bodaj tak nie rozmamłyszkia (?) zbiorowości ludzkich, jak walka zasad. Argumenta wtedy tracą swoją moc przekonywania, są szermierką właściwie próżną, bo nigdy jedna gromada nie przekona drugiej gromady, już przekonanej z góry w kierunku wręcz przeciwnym. Na przewodniczącego zebrania obrany był Witold Abramowicz, co wskazywało, że decentraliści mają na zebraniu większość. Ze strony zwolenników centralizacji referował pułkownik Afanasjew (?), ze strony zaś zwolenników usamodzielnienia towarzystwa referował Zagórski (?). Pierwszy uwydatniał korzyści, płynące z centralizacji i zrzeszenia wysiłków na wielkim terenie całego państwa, drugi kładł nacisk na potrzeby miejscowe. Nikt ze zwolenników usamodzielnienia społecznej akcji krajowej nie jest właściwie przeciwnikiem łączenia się w związki szersze, czy to państwowe czy międzynarodowe. Ale zwolennicy tej zasady uważają, że wszelka akcja społeczna powinna być w założeniu swobodna, samodzielna, zupełnie autonomiczna; dopiero wtedy zdobędzie ona moc, uwzględni całokształt potrzeb miejscowych i rozbudzi działalność do nich, a następnie powinno niewątpliwie mieć miejsce łączenie poszczególnych autonomicznych wysiłków zbiorowych w rozleglejsze związki federacyjne dla rozszerzenia i uzupełniania akcji lokalnych. Zasada więc samodzielności nie przeczy zasadzie jaknajszerszej solidarności i zespołu, jeno że zamiast opieki z góry stawia ona w założeniu wysiłek autonomiczny, oparty na pierwiastkach czynnej samopomocy społecznej i na tym już buduje organizację związkową. U nas chodzi nietylko o samą tę zasadę, ale też o to, że w niej i przez nią utwierdzamy pierwiastek krajowości, ten pierwiastek autonomiczny, który musi u nas być ciągle, systematycznie przeciwstawiany zachłanności centralizmu państwowego. Rosjanie są pod tym względem wręcz naszej tendencji przeciwni; nietylko tendencje rusyfikatorskie skłaniają ich do tego, ale cała ich kultura, wykształcona na despotycznej i centralistycznej państwowości. Nie rozumieją oni tego pierwiastka samodzielności i czynnej samopomocy społecznej i są zawsze zwolennikami systemu opieki i liczenia na pomoc zewnętrzną. Starły się więc te 2 światopoglądy, 2 prądy sprzeczne: większość stanowiąca, złożona z polaków, żydów i litwinów, a wszystkich 58 głosów, wypowiedziała się za usamodzielnieniem towarzystwa, mniejszość rosyjska z 28 głosów — za zachowaniem charakteru oddziału Ligi ogólnopaństwowej. Rosjanie, którzy byli źli, próbowali kwestjonować większość, wreszcie ich referent oświadczył, że zgłasza motywowane votum separatum. Nie znaczy to jeszcze, że towarzystwo już będzie usamodzielnione, jeno że takie jest desideratum członków. [illegible]

24 marca.
6 kwietnia.
rok 1913.
niedziela.

Otrzymałem dziś list od Anny; niezwykły nawet, bo polecony. To też byłem wielce zaniepokojony, [illegible] go miał otworzyć. Wszakże treść jego całkowicie mię uspokoiła. List ten jest polecony tylko dlatego, że Anna chciała mieć pewność, że dojdzie; do dnia bowiem wysłania jego, [illegible] to znaczy do [illegible] środy ubiegłej, nie otrzymała jeszcze odpowiedzi na swój list poprzedni i przypuszczała przeto, że ustoie zaginął. Straszne jest utrudnienie korespondencji przy tak nieporządnym kursowaniu poczty między Wilnem a Krynicą. Na poprzedni list Anny, w którym się ona skarżyła na cierpienia żołądkowe i radzi się, co ma robić, odpowiedziałem depeszą, a list ze szczegółową odpowiedzią wysłałem dopiero w 2 dni potem, w sobotę; listu tego do środy Anna jeszcze nie otrzymała i depeszy widocznie też nie [illegible] dnia otrzymać, bo prosiłem w niej o przysłanie mi adresu nowego doktora, a Anna mi takowego nie przysyła i nic nie wie o tej prośbie. Depeszę adresowałem poste restante, jak wszystkie listy do niej, ale widocznie depeszę trzeba odbierać w innym okienku na poczcie, niż listy, a Anna, nie wiedząc o niej i nie domyślając się, nie zgłosiła się po nią wcale. Śliczne porządki pocztowe! Dzisiejszy list Anny — dobry. Pisze, że „żyły", to znaczy rozstrzykiwania abrewiku(?), odbiera codzień, że stan żołądka jest lepszy i że w końcu kwietnia spodziewa się wrócić do Wilna. Nic jeszcze nie wie o moim projekcie przyjazdu na Wielkanoc do Teodorji(?), ale teraz, wobec jej spodziewanego powrotu w prędkim czasie po Wielkiejnocy, mego projektu jazdy na Wielkanoc zaniechałem.

Przed obiadem byłem w [illegible] lokalu biblioteki „[illegible]" na zebraniu rady gospodarczej białoruskiego kółka muzyczno-dramatycznego, do którego, jako członek, należę. Jest to pierwszy zawiązek klubu białoruskiego w Wilnie na wzór litewskiego „Rūtu"(?): kółko istnieje od 2 lat, ale dotąd nie ma własnego lokalu, co mu bardzo utrudnia rozwój i funkcjonowanie. Musi urządzać wszystkie wieczorki w lokalach od kogoś wynajętych, co jest kosztowne i trudne. Brak lokalu stałego sprawia, że kółku brak jest [illegible], członkowie nie mają stałego terenu obcowania, całe kółko wegetuje. Kółko ma swój chór, swoją drużynę amatorsko-teatralną, ale to wszystko w braku lokalu jest [illegible] nie-spożyte. Otóż teraz nastręcza się kółku sposobność posiadania lokalu własnego, [illegible] w drodze wynajęcia. Jest to lokal w t. zw. [illegible] zaułku [illegible] nad Wiliją za Zielonym mostem. Lokal jest duży, wygodny; mieścił się tam poprzednio Zjazd [illegible], potem kinematograf. Punkt jest dobry, bo i [illegible] pozycja piękna i [illegible] bardzo ładny i śliczny widok na miasto z werandy i okien, i niedaleko od śródmieścia, i jednocześnie dla całych Śnipiszek byłby to ośrodek dla zabaw, bo byłoby to jedyne dla Śnipiszek miejsce rozrywek i wieczorki białoruskie ściągałyby całą ludność tej dzielnicy. Kosztuje ten lokal rb. 1200 rocznie a biedne kółko białoruskie nie ma pieniędzy. Chcą bardzo posiąść ten lokal, wiedzą, ile na tym zyskają, ale kwestja, skąd dostać pieniędzy. Wszyscy inni mają bogatych protektorów, tylko biedni białorusini takowych nie mają. Są oni pozbawieni w zupełności [illegible] materjalnej. Szukają mecenasów, szukają pożyczek na ten cel, i zdaje się, że i [illegible] w tym celu [illegible] do dziś. Liczą jeszcze na pomoc pożyczkową od adwokata Łapina, od Ostrowskiego, od [illegible]. Ja im też nie obiecałem, bo nawet nie bardzo mam z czego, ale przyrzekłem, że osobiście Łapina postaram się do pożyczki namówić. Może im też coś pożyczę, bo [illegible] należą oni do akuratnych dłużników, ale jeszcze nie wiem. Najgorsze jest to, że trzeba wynająć teraz, przed latem, kiedy w życiu klubów i kółek zabaw publicznych jest sezon martwy; to znaczy trzeba niemal [illegible] płacić i to niemało w stosunku do środków kółka — do jesieni. Sprawa ostatecznie nie została jeszcze dziś rozstrzygnięta.

Po obiedzie byłem u c. [illegible] Wołodkowiczowej, która jutro wyjeżdża z moją siostrą Marynią do Krakowa na ewentualną operację. Ciocia mię wezwała dla podpisania jej testamentu w charakterze świadka, co też zrobiłem. Testament dość [illegible], ale [illegible] ciocia składa do rąk brata, wuja Ignacego Tukałły, sumę rb. 35000 dla „wyrównania" czy regulowania [illegible] spadkobierców [illegible] prywatnych zleceń cioci.

Pod wieczór byłem u p. [illegible] na Małej Pohulance na posiedzeniu komisji bibliotecznej, wyłonionej z komitetu rodzicielskiego gimnazjum Winogradowa. Komisja ta składa się z trzech osób — p. [illegible], p. Zygmunta [illegible] i mnie. [illegible]

Wieczorem pojechałem do domu. [illegible]

25 marca.
7 kwietnia.
rok 1913.
poniedziałek

Byłem dziś na pogrzebie starego p. Mieczysława
Ostachiewicza na cmentarzu ewangelicko-reforma-
ckim. Nie był to jeszcze bardzo stary człowiek, ale już
od jakiegoś czasu poważnie niedomagał, tak że śmierć
była spodziewana. Był to człowiek dość szeroko znany
w Wilnie. Z zawodu był skromnym pracownikiem as-
sekuracji, żył i utrzymywał rodzinę z pracy własnej.
Pochodził ze średniej kalwińskiej szlachty powiatu po-
niewieskiego, gdzie dotychczas rodzina Ostachiewiczów
ma niewielkie posiadłości ziemskie. Ale osiadł w Wil-
nie, z Wilnem się zrósł i do Wilna przylgnął. Znany
był więcej nie sam przez się, ale jako mąż swej żony, p.
Kazimiery Ostachiewiczowej, literatki, która była luminar-
zem w rodzinie i wyrocznią mężowską, gwiazdą przewod-
nią dumną męża swego. ~~[illegible]~~ Jak wszyscy kalwiniści, miał
zawsze aspiracje do postępu i ~~[illegible]~~ wolnomyślicielstwa.
Dlatego też w miarę sił swoich popierał zawsze szczerze wszy-
stkie zapoczątkowania postępowe; był w swoim czasie jed-
nym z najgorętszych sympatyków czynnych „Gazety Wileń-
skiej”, jej udziałowcem i członkiem rady gospodarczej z ra-
mienia grona udziałowego. Należał też do sympatyków
czynnych „Przeglądu Wileńskiego”. Był dość ruchliwy i miał wes-
pół z żoną swoją pewne stosunki i wpływy w niektórych ko-
łach inteligencji i zwłaszcza pań postępowiczek i tam umiał
zawsze skutecznie agitować na rzecz tej sprawy, do której w charak-
terze sympatyka się garnął. W pierwszym wypadku „Gazety Wi-
leńskiej” Mieczysław Ostachiewicz dużo się przyczynił do akcji
ratunkowej, która wznowiła wydawnictwo. Miał on wszakże te
wady, że posiadał swoje ambicyjki i był w [illegible] punkcie tako-
wych bardzo drażliwy; trzeba więc było być z nim bardzo ostrożnym
i mieć dużo taktu, aby go w czym nie zadrasnąć, bo [illegible] sta-
wał się wtedy wrogiem; cechowała go też inna cecha ujemna —
to zachłanność i faworytowanie rodziny swojej, gdzie wcześnie —
tam ciągnął ze sobą rodzinę i wielkość swej żony. To się zwłaszcza
wykazywało w „Gazecie Wileńskiej”, gdzie rodzina Ostachiewiczów
dążyła ciągle do zachłanności familijnej. Dzieci nieboszczyka
Ostachiewicza i jego wielkiej żony, pani Kazimiery, były zresztą
wydoskonalone, a chociaż wiek mały te same pewne cechy się wyra-
żają, ambicyjki i zachłanność. Córka ich, która nie zwraca [illegible]
jest podobna najwybitniejsza z rodziny, ma zdolności nie pospo-
lite. Należała do pps, teraz jest zamężna i mieszka czy w
Galicji czy w Królestwie. Syn Henryk, z przekonań esdek, stał
się bardzo popularnym w Warszawie w r. 1905 w okresie wieców
strejków. Na największych masowych wiecach ludowych przewodniczył i
grał rolę rozjemcy i trybuna ludu. Miał znakomity zmysł demagogiczny, umiał
kierować tłumem, schlebiać mu i rozkazywać i być kochanym. Wyzyskał dużo
tłumów i panował nad nią. Popularność jego w Warszawie wzrosła nagle i była
zna rozgłośną, acz tylko chwilową i lokalną. Po r. 1905 musiał wyjechać z Warszawy
chroniąc się od represji administracyjnych. W maju po wznowieniu „Gazety Wileńskiej”
wszedł do jej redakcji, jako nietylko zwykły współpracownik, ale jako współpracownik „autonomi-
czny”, niezależny od redaktora, którym był [illegible]. Takie stanowisko w redakcji wyrobił mu ojciec
w łonie [illegible] w kolegium udziałowców pisma. Jako publicysta wszakże, Henryk Ostachiewicz
okazał się bardzo mierny; był w redakcji w dużym stopniu zawadą. Ze swymi stosunki jego były do-
bre, ale przez kolegów w redakcji był niezbyt lubiany z powodu swej ambicji i wyniosłości; z [illegible]
redakcji, dzielnym Bartlickim, był na noże. Nie był to człowiek zły i zdolności miał niewątpliwe,
ale był trawiony niezdrową ambicją i próżnością oraz zarozumiałością. Jego świetna popular-
ność warszawska zupełnie go wytrąciła z równowagi i obudziła w nim poczucie fanatyczne, ma-
nię wielkości własnej wielkości. O ile raz znał dużo tłumów i umiał już rządzić, o tyle w sto-
sunkach z osobnymi ludźmi nie umiał zyskać sympatii i nagiąć się do innych. [illegible] i [illegible]
chologii jednostek. W r. 1908 Henryk Ostachiewicz odebrał sobie życie, nie zniósłszy pokonania dla swej
ambicji i nie mogąc znieść zapomnienia i słabego [illegible]. Był to człowiek tragiczny. Drugi syn Osta-
chiewiczów, Kazimierz, był dotąd z nim [illegible] w towarzystwie [illegible] w Wilnie. Ten jest najmniej wybitny z nich.

Wieczorem byłem na pierwszym przedstawieniu nowej operetki polskiej „Wojna kobiet”. Sama operetka: taka sobie. Ładna...

26 marca. 8 kwietnia. rok 1913. wtorek.

Przełajdaczyłem noc całą. Wstydzę się tego, ale, niestety, wyznaję. Budzą się jeszcze we mnie złe moce namiętności, które mnie niegdyś we władzy trzymały. Od czasu związku mego z Anną zaniechałem tych orgji, zaprzestałem rozpusty. Aż oto teraz, po dłuższej nieobecności Anny, znów dzikie pragnienia zmysłowe wyszły z kryjówki i jęły mnie kusić do uciechy. W naturze mojej jest pewna porywczość nastrojów. Gdy mnie ogarnia nagłe pragnienie zmysłowe, przychodzi ono jak burza, jak wiatr dziki, z którym walczyć nie zdołam. Taki moment przyszedł na mnie wczoraj wieczorem. Nie byłem w stanie walczyć i poddałem się rozkazom ciała i wyobraźni. Noc całą hulałem wściekle. Piłem, bawiłem się dziko, rozpustnie, z dwiema dziewczynami. Dziś zato przez cały dzień, a zwłaszcza ranek, byłem na wpół przytomny i niezdolny do pracy. Dopiero pod wieczór nieco ochłonąłem, poprzednio się wyspawszy. Nie samej orgji żałuję, ale tego skalania mego stosunku do Anny kochanej. Albowiem ją kochając, powinienem jej dochować wierności. Miłość powinna wykluczać związek fizyczny z innemi kobietami. Smutno mi, bo mam wrażenie, jakbym tą rozpustną nocą zadał ranę miłości mojej i uchybił Annie. A cóż mi jest droższego nad nią, co świętszego i prawdziwszego nad tę miłość naszą! Natura męska mieści w sobie głębokie pokłady bagna namiętności i instynktów dzikich, które chwilowo jak wulkany jakieś z niej wytryskają, niszcząc najczystsze krynice uczuć. Ciężka jest walka z niemi.

27 marca.
9 kwietnia
rok 1913.
środa.

W „Przeglądzie Wileńskim", którego ostatni wyszedł wczoraj,
Ludwik Abramowicz dał w rubryce z prasy polskiej notatkę pole=
miczną w stosunku do „Kurjera Krajowego". Ludwik Abramo=
wicz oddawna już aspiruje do tego, aby móc rozpocząć polemi=
kę z „Kurjerkiem Krajowym". Chce on tego nietylko dlatego, że „Kur.
Krajowego" nie lubi i radby mu zaszkodzić, ale też dlatego, że=
by mieć okazję do podniesienia swojej marki i zasługi przez
pognębienie pisemka demokratycznego, okrzyczanego przez
sfery prawomyślne i nacjonalistyczne za pismo rzekomo bez=
partyjne i nawet wrogie polskości. Ludwik Abramowicz, który jest ambi=
tny i chce sobie gwałtem zrobić karjerę publicystyczną w społeczeństwie
polskiem, tylko w pierwszym okresie wydawnictwa „Przeglądu" (mniej więcej
do wyborów zeszłorocznych) siedział przyczajony pod skórą pozornego de=
mokraty i ludowca. Nigdy nie był szczerym [illegible] i nigdy nie miał głę=
bokich aspiracji ludowych. Czuł, że na stanowisku demokratycznym ka=
rjery [illegible] wybitnej nie zrobi. Wejście do „Przeglądu" było mu potrzebne tylko
dlatego, żeby mieć pied à terre w Wilnie, gdy został wyparowany z
„Kurjera Litewskiego" przez furję jego z endeckiego „Słońca". Gdy się jednak
w „Przeglądzie" [illegible] [illegible], gdy zdobył zaufanie większości grupy „prze=
glądowego", uważał, że nastała wreszcie chwila rozpoczęcia działalności
na własną rękę. Zechciał więc za łeb całą garstkę demokratów czy postępow=
ców „przeglądowych", narzucić jej nowe koncepcje i poprowadzić ją za so=
bą, stając się jej leaderem i [illegible] budując na niej karjerę osobistą.
Nie było to trudno, bo większość tej grupy była chwiejna, ugodowa,
bierna, bardzo kompromisowa. W grupie tej błąkały się przeżytki pps-frakcji,
a demokratyzm jej był zatopiony w filisterstwie osobistym; ludzie przeżyci,
[illegible] zasklepieni w pracy zawodowej, oderwani od żywego kontaktu
z ludźmi, od jakiegokolwiek realnego czynu społecznego poza pismem; byli to
niebezpieczni dla zakusów Ludwika, będąc ja, ponieważ [illegible]. Naj=
przekonańszym, najtwardziej skrystalizowanym [illegible] do kompromisów, [illegible] jest
skory, słowem — zupełnie nie dający się prowadzić na pasku. To też mógł
jego obecność w grupie dodawała jej wyrazistości i była przeto poważną prze=
szkodą dla zwiększenia jej powagi w opinji, [illegible] Ludwik wolał stracić nieco
z jego dopisać, niż stać się pionkiem dla swych zamiarów. Dążył też do tego, aby
z grupy wystąpił, ale to się dotąd nie urzeczywistniło. Drugi, który powołaniem
który tkwił w nie nadawał się do zamiarów Ludwika, był w grupie Zasztowt. Ludwik
zakomunikował, że najpopularniejszym konikiem, który go do upragnionej mety
poniesie, będzie konik patrjotyzmu. Dosiadł go też szybko i mocno się w
siodle osadził. Sięgając na instynkty narodowe, które u nas z powodów zro=
zumiałych są [illegible] wybitnie rozwinięte, zdobywał popularność w szerszych
dalszych, bynajmniej nie demokratycznych, i jednocześnie musiał też i
w samej grupie zdobywać oddźwięk sympatyczny. Jadąc na tym koniku,
przekształcił wszystko z patrjotyzmem, zaś te sfery nacjonalizmu, wyrzu=
cając się i odrzucając stopniowo pierwiastek społeczny i ludowy. Ludwik
chce się otoczyć aureolą trybuna narodowego, zostając sobie stopniowo drogę
do zupełnego zerwania z „przeżytkami" demokratyzmu i aspiracji ludowych.
Ale chodzi mu o to, aby sam odbył tę ewolucję. Chodzi mu o to, aby ewolucję tę
wraz z całą grupą, ją za sobą, jako swoją eskortę, poprowadzić. To też nad wyraz
bolesnym było dla niego powstanie „Kurjera Krajowego", który zaakcentował
właśnie czystą linję pierwiastków ludowych i demokratycznych w rozwoju społe=
cznym i dał punkt wyjścia do reakcji przeciwko nacjonalistycznej, a w gruncie
rzeczy karjerowiczowskiej, imprezie Ludwika. Naprzód Ludwik, z większością gru=
py „przeglądowej", protestował przy powstaniu „Kur. Kr.", natomiast rzecz na to patrzał
krzywo i opatrywał je. „Kurjer Krajowy" uchylił się od przywództwa Ludwika i
„przeglądowców" i zaakcentował się zastrzeżeniem w kierunku społeczno-ludowym. Prze=
glądowcy — [illegible] ją i zostawił... „Kurjer Krajowy" stał się zawiązkiem grupy, która się
sama może przeciwstawić tendencjom „przeglądowym" Ludwika, o ile ostatecznie
ujawnią się one w postaci nacjonalizmu. Tą drogą unicestwiony został monopol
grupy „przeglądowej" na przedstawicielstwo jedynego kierunku demokratycznego. Plan
Ludwika o ściśle przewodnictwie został rozbity. Jeżeli poprowadzi za sobą, to poprowadzi
tylko garść jednostek, a grupa demokratyczna pozostanie. Oczywiście, że „Kurjer Krajo=
wy" jest w tych warunkach solą Ludwika solą w oku. O, jakżeby on pragnął go zniszczyć...
Dotąd nie znajdował jednak okazji do polemiki z „K. Kr." Znalazł ją dopiero teraz, [illegible]
rozejrzawszy się, biorąc asumpt z artykułu Majkowskiego, w którym ten [illegible] polityczną
spekulacyjną, ugodową przeciwstawił potrzebę i [illegible] pracy społecznej. [illegible]
[illegible] Ludwik [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] społecznego w kraju. Ludwik rozciągnął to [illegible] kapitału [illegible] koncepcji.
Dziś [illegible] na to odpowiedź [illegible], nie polemiczny, o którym tak myślał, że wykazał [illegible].

28 marca. / 10 kwietnia. rok 1913. czwartek.

Miałem dziś w sądzie obronę karną. Broniliśmy wespół z Janulaitisem dwóch młodych tatarów, braci rodzonych, z których jeden, służąc w Wilnie u kupca Kamienieckiego, skradł mu z kasy tysiąc kilkaset rubli; drugi zaś brat, mój klient, Abdul Magdiejew, otrzymał od brata te pieniądze i zawiózł je do domu do gubernii Niżniegorodzkiej na przechowanie. Zbrodnia się zaraz wykryła. Co do mojego klienta, to nie było żadnych dowodów, że wiedział o tym, że pieniądze są kradzione. Co zaś do starszego brata, Chasana Magdiejewa, to wprawdzie nie było żadnej wątpliwości co do faktu kradzieży, bo się sam konsekwentnie przyznał, to jednak widoczne było, że to nie jest zbrodniarz zawodowy, człowiek zepsuty. Wszyscy świadkowie, nie wyłączając poszkodowanego Kamienieckiego, któremu notabene wszystkie pieniądze zwrócone zostały, jak najlepiej świadczyli o osobie Chasana: był akuratny, trzeźwy, zręczny w pracy, uczciwy, nie budzący żadnych podejrzeń. Widoczne było, że to był wypadek doraźny, że chłopiec się pokwapił, ale pobudkę miał tę, żeby pomóc bratu. Słowem — osoby oskarżonych sprawiały tak dodatnie wrażenie, że sędziowie przysięgli uniewinnili obu. Zresztą komplet przysięgłych był bardzo pomyślny (przewodniczącym ławy przysięgłych był p. Ochotnicki, były poseł do III Dumy). W tych warunkach czynność obrony była przyjemna, bo mogłem być wdzięczny i miało się wiarę w dobry skutek.

Wieczorem u Krzyżanowskiego odbyło się zebranie grupy „przeglądowej”, na którym obecni byli: Krzyżanowski, Ludwik Abramowicz, Nagrodzki, Piłsudski, Klott, Studnicki, Turski, Budny i ja. Zebranie to zwołane zostało przez Ludwika Abramowicza, który odczytał i poddał dyskusji napisany przezeń referacik programowy. W referaciku tym ujął Ludwik dokonać rewizji t. zw. hasła krajowości. Wszakże to, co zrobił i co nam przedstawił, nie może być właściwie za program uważane. Jest to coś tak ogólnikowego i tak mglistego, że właściwie niewiadomo, o co chodzi i co ma być robione. Zastanawia się Ludwik nad tym, że jedyną, co może wytworzyć ruch i dodać mocy jakiejś akcji, — to wiara w ideę. Ideą taką, zdaniem jego, może być tylko idea narodowa. W żadnym razie nie może być ona zastąpiona przez ideę terytorjalną, jak się dotąd pojmowało krajowość u nas, która jest koncepcją sztuczną i przeto zdaniem Ludwika — martwą. Idea narodowa winna być wcielona w wielkie hasło Niepodległości Polski, z którym należy iść do ludności polskiej w tym kraju. A jednak za cel uważa Ludwik dla nas niepodległość Litwy, którą, zdaniem jego, można osiągnąć tylko przez propagandę niepodległości Polski (?). Czynnik społeczno-ekonomiczny Ludwik zapoznaje, wyraża się o nim z lekceważeniem, jako niemogącym zapłodnić wielkiego ruchu twórczego. Ludwik sam się w swych skomplikowanych teorjach zaplątał. Zdaje się, że go za surowo sądziłem. Z całego referatu wnoszę, że istotnie Ludwik stracił busolę orjentacji ideowej i że rzeczywiście jest na rozdrożu, nie umiejąc pogodzić wyczekiwanych przezeń ideałów narodowych z realnym ustosunkowaniem czynników społecznych w naszym kraju. A boję się, że to nie jest tylko świadomym zaprzestaniem ideałów społeczno-ludowych, jak sądziłem, ale istotnie kryzysem ideowym jego przekonań. Co zaś zwłaszcza charakteryzuje kryzys ideowy Ludwika, to pełny brak u niego wiary w hasła społeczne, które mu są obce w całym znaczeniu słowa. Wszyscy oponowali Ludwikowi. Ja kładłem nacisk na ruch społeczno-ludowy, jako główną dźwignię wszelkiego rozwoju, a więc i narodowego. Budny zaakcentował to, że skoro lud w kraju istnieje nie polski, jako jeden z ludów miejscowych, to uwzględnienie narodowe winno polegać na uznawaniu tego ludu i rozwijaniu dla niego odpowiedniego stanowiska i praw w ogólnym ukształtowaniu polityczno-społecznym w kraju. Zresztą [illegible] był wogóle nieraz myśli ciekawszych, które [illegible] odbyło się na tym zebraniu i skutkiem [illegible] zebranie przerwaliśmy [illegible] dalszy ciąg dyskusji na wtorek.

29 marca – 11 kwietnia, rok 1913. piątek.

W „Kurjerze Krajowym” są fatery poważne. Maćkowski, choć
ma dużo zapału, dobrych chęci, wytrwałości i rzetelności, i
choć niewątpliwie się już trochę wyrobił, jest jednak za młody
na wytrawnego kierownika pisma; nieraz się orjentuje należycie,
nie [illegible] ma też, niestety, umysłu głębokiego. Powiadają wogóle,
że [illegible] od dziennikarza nie wymaga się głębi umysłu. To
prawda, gdy dziennikarz jest tylko fachowcem, wykonawcą ja-
kiegoś programu. Gdy jednak, jak u nas, powinien być nietylko
wykonawcą, ale i głosem i twórcą kierunku, to [illegible] umiejętność myślenia i
formy są warunkami pierwszorzędnej wagi. Lubię szczerze Maćkowskiego i
mam dużo uznania dla jego bezinteresownej i niewątpliwie wybitnie ideo-
wej pracy, ale nie mogę zaprzeczyć, że jest trochę lekkomyślnie zarozumiały,
ma [illegible] nieco przesadnej brawury i ostatecznie zbyt głęboki nie jest. Artykuły
jego grzeszą wodnistością i są ogólnikowe a zatem zarazem jałowe, mało wy-
raziste. Ponad Maćkowskim niezbędne jest dla pisma kierownictwo bardziej
skrystalizowane, mocne. Takim miał być komitet redakcyjny, utworzony z Maćkowskiego, mnie i Zasztowta. Faktycznie jednak komitet ten nie funkcjonuje, bo
Zasztowt jest przeciążony rozmaitemi robotami i zupełnie się od spraw „Kur. Kr.”
usunął, i zapowiada, że do końca kwietnia inaczej być nie może. Ja więc tylko
trochę, i to doraźnie, wglądam w sprawy pisma i Maćkowskiemu pomagam
wskazówkami lub czasem artykułami, ale to nie wystarcza. Faktycznie pismo
więc jest na wyłącznej opiece Maćkowskiego. Niema też żadnej grupy współ-
pracowników, którzy byliby mniej lub więcej zorganizowani i wskazaliby się stać
środowiskiem, regulującym i kształtującym kierunek pisma. Tacy ludzie,
jak dr. Jamont, Ostachowski, jakiś Nitski, który należy do t. zw. sympatyków „Kurjera Kr.”, i inni, tworzą wprawdzie jakiś zawiązek grupy, są to ludzie
niewyrobieni przekonaniowo, połowiczni, chwiejni, mało inteligentni. Pod
tym względem „Przegląd Wileński” góruje nad „Kurjerem Krajowym”. Tam bowiem
jest bądźcobądź wyraźne kółko inteligenckie, skupiowane przy piśmie i two-
rzące pewny ośrodek opinji przeciętnej. „Kurjer Krajowy” zaś jest pismem
odosobnionym, oderwanym od wszelkiego środowiska inteligenckiego, jest on
przynajmniej był związany bezpośrednio z jakimś ruchem ludowym, ale i tego
zwycięstwa. Wisi w powietrzu, jakoś coś, co nie znalazło jeszcze [illegible] czynnego kon-
taktu z życiem. Czytelnictwo „Kur. Kr.” wzrasta, ale to nie daje mu jeszcze ta-
mocy, jakąby miał, gdyby był związany z jakimś ruchem czy kierunkiem istnie-
jącym w życiu. Teraz kierunek w ręku Maćkowskiego jest dość nieokreślony, chwiejny
czasem nawet wewnętrznie niekonsekwentny. [illegible] W zasadzie wyznawany jest sta-
nowisko krajowe demokratyczne, polegające na stwierdzeniu potrzeby współpracow-
ctwa demokracji krajowej wszystkich narodowości. Zasada ta jest w praktyce przestrze-
gana starannie, ale skądinąd w zakresie np. stanowiska narodowościowego
musi być wyraźne i dobrze ustalone w stosunku do zasad krajowości, są jeszcze
niekonsekwencje. W niektórych artykułach, dotyczących zwłaszcza stosunku do
czy spraw międzynarodowych, widać nawet szowinizm, natomiast w innych
kwestjach jest przesada w kierunku odwrotnym i pismo posuwa się do zalecania
jakiegoś zaparcia się przez polaków ich potrzeb i interesów własnych i do jakiejś
platonicznej ofiarności na rzecz litwinów, białorusinów i żydów, co
oczywiście jest nonsensem, bo nie można żądać od narodu żywego, aby się za-
parł siebie i stał jakąś ofiarą czy donkiszotem dla innych. To się nie mieściło
nawet w najbardziej humanitarnym i rycerskim haśle narodowym polskim
wieku XIX-go „Za naszą i waszą wolność”. [illegible] A dalej tego iść nie-
dobrze i niepotrzeba. Jestem za tym, aby nie taić żadnego faktu krzywdy, je-
żeli się takowa ze strony polaków wyrządzi litwinom czy białorusinom.
Nie jestem wyznawcą „egoizmu narodowego” i nie będę zalecać walki demo-
kracji polskiej z litewską, rozumiejąc, że w tym kraju cała demokra-
cja musi być i jest w istocie solidarna. Ale też nie można wzywać pola-
ków do zaparcia się praw swoich, jak nie można byłoby wzywać do te-
go czy to litwinów czy białorusinów. W „Kurjerze Krajowym” są takie
niekonsekwencje a niewątpliwie, że szkodzą one pismu. Przychodzi mi
na myśl, że byłoby dla „Kurjera Krajowego” rzeczą pierwszorzędnej wagi,
gdyby się dało pozyskać dlań Nagrodzkiego. Jest to bodaj jedyny człowiek,
który prowadzi tę robotę ludową śród mas polskich i ma żywe stosunki
żywe z ludem. Przez Nagrodzkiego „Kurjer Krajowy” mógłby się do ludu zbli-
żyć, mógłby nietylko teoretycznie prawić o zadaniach demokracji, ale dawać
wyraz czynnie i praktycznie pospiesznym potrzebom ludowym. Ciężki
jest los naszej prasy demokratycznej, bo stoi ona we stronie od życia, ściśle związanym
ostoja lub wprawdzie tylko [illegible] w [illegible] kierunku dla demokracji wrogim.

30 marca.
12 kwietnia.
rok 1913.
sobota.

Wieczorem było u nas liczne zebranie rodzinne na kolacji i herbacie. Oprócz nas, domowych, to znaczy Mamy, mnie, Helfi (Ewy) i Stefusia, była Eliza Chomorowska z synem Julkiem, która tu przyjechała na dni kilka, był Papa, który dziś wieczór niespodzianie przyjechał, zrobiony zapewne operetką, była Zofia Pruszanowska z córką Elizą, była ciocia Zofia Tukałłowa z córką Lulą, była Mania Ordzina, Karol Wołodkowicz, Maryjka Wołodkowiczówna i Henryś Woltowicz.

Z Krakowa o cioci Lucji Wołodkowiczowej przyszły od mojej siostry Maryni, która tam z nią pojechała, wieści złe. Ciocia jest zalokowana w lecznicy prof. dr. Rosnera. Doktór po szczegółowym zbadaniu cioci stwierdził, że ciocia ma istotnie raka na macicy. Dziś była depesza od Maryni, że w poniedziałek będą robili cioci operację. Karol Wołodkowicz jutro wyjeżdża do Krakowa, aby być przy operacji. Ciocia Zofia też wybiera paszport zagraniczny dla siebie i dla Maryjki Wołodkowiczówny, aby w razie jakiegoś pogorszenia stanu c. Lucji móc tam natychmiast pojechać. Zdaje się, że i Staś Wołodkowicz z żoną jedzie. Z listów mojej Maryjki wiemy, że nietylko że zamieszkała z ciocią w lecznicy, ale że nawet osobnego pokoju nie ma i mieści się z ciocią w jednym pokoju. Marynia tego robić nie powinna, jeżeli już nie przez wzgląd na siebie samą, to przynajmniej przez wzgląd na swe dzieci. Rak u cioci może być zaraźliwy — z tym się liczyć trzeba. Wystarczy, jeżeli Marynia będzie czuwała i opiekowała się ciocią, ale powinna mieć pokoik osobny. Wołodkowiczowie nie powinni się skąpić na osobny pokój dla Maryni, skoro ona robi tyle dla ich matki, że z nią pojechała i że się nią opiekuje w tak ciężkiej chwili z takim oddaniem. Napisałem dziś o tym do Maryni, prosząc ją, aby wymogła sobie pokój osobny, a teraz to samo żądanie postawiłem Kaziowi.

Papa był dziś w usposobieniu gderliwym. Napadł zwłaszcza na Henrysia, którego bardzo ostro wybrzydzał za to, że się źle uczy i ma pełno dwójek w świadectwie kwartalnym. Istotnie Henryś zaniedbuje się bardzo — we wszystkim. Ma na III kwartał pięć dwójek — z łaciny, algiebry, geometrji, historji i fizyki. Jest próżny, samowolny, zepsuty. Bardzo zły wpływ jest jego stosunek z Cwiatkową, dawną wieloletnią kochanką jego ojca. Cwiatkowa mieszka obecnie w Petersburgu. Czym ona teraz i z czego żyje — niewiadomo. Ale musi mieć duże środki, bo hojnie daje pieniądze Henrysiowi, co na niego wywiera ujemny wpływ na chłopca, z natury próżnego i myślącego li tylko o dogadzaniu sobie. Henryś kilkakrotnie już w tym roku jeździł do Cwiatkowej do Petersburga na jej koszt potajemnie. Zawsze też na jej koszt sprawiał sobie w Petersburgu kosztowne stroje, bielizny, jeździł koleją, jeździł stamtąd do Moskwy. Będąc w gimnazjum, ma całkowite ubranie cywilne, 2 komplety ubrania, 2 pary butów i t.d.. Chodzą pogłoski, że Henryś jest kochankiem Cwiatkowej, która go za to tak hojnie opłaca. Czy to prawda — trudno wiedzieć. Może jest ona tylko przywiązana do Henrysia, jako do przybranego syna, bo przecie przez kilka lat hodował się on przy niej, gdy jeszcze żyła ona z jego ojcem, Józefem Woltowiczem. Ale ta tkliwość szczodrej Cwiatkowej dla Henrysia przynosi mu szkodę, bo go psuje, bo jego podnieca w jego skłonności do hulania i uciech ze szkodą dla pracy i pogłębienia umysłu i serca. Rozwija to w nim egoizm i sybarytyzm, wyrabia w nim próżność, robi zeń trupa i prowadzi do przedwczesnego przesytu. Teraz strzeliło Henrysiowi do głowy myśl nowa, żeby po skończeniu w tym roku 7 klasy i otrzymaniu świadectwa z 6 klas wstąpić do szkoły wojskowej. Toby go ostatecznie wykoleiło i poprowadziło na drogę hulania i pustoty, bo wyzbyłby w nim wszelkich ideałów i hamulców moralnych, nie mówiąc już o jakichkolwiek aspiracjach społecznych czy narodowych.

92.

31/marca.
13 kwietnia.
rok 1913.
niedziela.

Popołudniu w lokalu biblioteki „[illegible]" zebraliśmy się dla omówienia niektórych spraw „Kurjera Krajowego"; obecni byli: redaktor Mańkowski, dr. Sumorok, Antoni Łuckiewicz, Zasztowt i ja. Dotychczas „Kurjer Krajowy" był podpisywany przez dr. Sumoroka, jako urzędowego wydawcę i odpowiedzialnego redaktora. Rola ta ciąży dr. Sumorokowi, który zapewnia ma z tego powodu rozmaite przykrości, bo ilekroć „Kurjer Kr." coś przeskrobie i narazi się możnym sferom konserwatywnym, tylekroć dr. Sumorok musi znosić na sobie niechęć i obrazę tych sfer, co mu oczywiście do gustu nie trafia. To też doktor nagli, aby go prędzej zwolnić od podpisu. Mańkowski ma już zastępcę dla dr. Sumoroka, młodego Halickiego, który się zgodził na podpisywanie pisma. Chodzi tylko o dokonanie formalności złożenia odpowiedniej deklaracji gubernatorowi.

Poza tym omówiliśmy kilka rzeczy. Przedewszystkiem sprawa zasadnicza o stosunku „Kurjera Krajowego" do wiadomości, podawanych przez pisma litewskie o faktach [illegible] czy prawdziwego ucisku litwinów przez polaków. Kwestja powstała z tego powodu, że niedawno temu „Kur. Kr." przedrukował z „Viltis'a" wiadomość o tym, że szereg wybitnych osobistości z obozu polskiego czy sprzyjającego polakom, z pośród których wyszczególnieni zostali ksiądz Administrator djecezji wileńskiej Michalkiewicz oraz poseł do Dumy z gub. Wileńskiej, endek ks. Puttkamer, zwracali się do ministra Maklakowa i innych osób urzędowych, chcąc podstępnie zdyskredytować w oczach władzy litwinów; osoby te nakoniec podszywały się niby za litwinów najprawdziwszych, o litwinach zaś mówiły, że to są zamaskowani rewolucjoniści; robione to było w tym celu, aby akcję polską i litwinofobską przedstawić władzy za godną zaufania i odpowiadającą istotnej woli ludu. Jeżeli to prawda, to osoby te dopuściły się istotnie czynu haniebnego. „Kurjer Krajowy", nie mając możności sprawdzenia faktu, przedrukował komunikat „Viltis'a", nie ciągnąc stąd żadnych wniosków i stawiając sprawę pod znakiem zapytania a wzywając osoby wymienione do dania wyjaśnień. „Gazeta Codzienna", organ zależny od władzy duchownej, zamiast dać na to odpowiedź rzeczową, obrzucił „Kurjer Kr." stekiem błota, pomawiając go o oszczerstwo, pomimo że „Kurjer Kr." prawdziwości faktu bynajmniej nie przesądzał. W odpowiedzi na to Mańkowski dał w „Kurjerze Krajowym" artykuł „Pod światło", w którym domagał się rzeczowego wyjaśnienia prawdy [illegible] pisze nieco ze stosunku prasy litewskiej. Dziś z powodu tej sprawy ukazał się w endecko-ugodowym „Kurjerze Litewskim" artykuł wstępny, pisany jak widocznie przez Dworzaczka, gdzie się kwalifikuje całą tę sprawę, jako kampanję oszczerczą antypolską, i zarzuca się „Kurjerowi Krajowemu" udział w tej kampanji oraz ośmiela się zdradzić „Kur. Kr." aby osoby tak poważne i wysoko stojące jak ks. Michalkiewicz i Puttkamer [illegible] nuty bandy oszczerczej, uprawiającej oszczerstwo zawodowe. Oczywiście, że w nacjonalistycznym [illegible] opinji wileńskiej jest z tego powodu oburzenie na „Kurjer Krajowy", który się posądza o tendencje antypolskie. Dr. Sumorok, który jest człowiekiem [illegible] i bojaźliwym [illegible], był zaalarmowany. Postawił kwestję tak, czy wogóle „Kurjer Krajowy" może czerpać jakiekolwiek informacje z nacjonalistycznych źródeł litewskich, takich jak „Viltis"; zdaniem dr. Sumoroka — nie może i nie powinien. Na to odpowiedział Mańkowski, że w takim razie nie byłoby innego sensu wydawania „Kurjera Kr.", bo tym się właśnie różni pismo niezależne i nie hołdujące przesądom „egoizmu narodowego", że nie ukrywa ono żadnych faktów [illegible], wywodzących się [illegible] od organów nacjonalistycznych [illegible] wskazuje na nie, to niezależne pismo polskie zamiast ukrywać i przemilczać o tym, powinno się przyczynić do wyświetlenia prawdy i jeżeli fakt krzywdy [illegible] opinji ogółu społeczeństwa litewskiego. Dalej tak ja, jak Mańkowski, wskazaliśmy, że wiadomości [illegible] litewskiej, o ile nie są przez nas sprawdzone, nie mogą [illegible] i nie powinny być oczywiście przez „Kur. Kr." podawane, ale je podać do wiadomości ogółu polskiego [illegible], stawiając w takich razach kwestję otwarto pod znakiem zapytania. Wreszcie do dyskusji tej [illegible] bardzo trafnie Antoni Łuckiewicz, że tylko w społeczeństwie niewolniczym prawo interpelacji jest utożsamione z oszczerstwem, jak [illegible] wicowy rozumny obywatel się na [illegible] interpelowania i krytyki ministrów czy [illegible] i nikt [illegible] obywatel się na samą myśl, że ktoś z gminy, ktoś tak nikły, jak „Kurjer Litewski" ośmiela się żądać wyjaśnień od takich dygnitarzy społeczeństwa, jak ks. Administrator djecezji i książę [illegible] set [illegible]. Ostatecznie rozstrzygnęliśmy tę sprawę w myśl wywodów Mańkowskiego, moich i Antoniego Łuckiewicza, i w tym też sensie Mańkowski napisał replikę „Kurjerowi Litewskiemu", którą ma przed drukiem dać mi jeszcze do przejrzenia.

Druga kwestja została wywołana przez artykuł Mańkowskiego, odczytany nam w rękopisie. Artykuł ten jest powiedziany odpowiedzią na artykuł Jana Obsta, drukowany w „Kurjerze Litewskim". Obst, uważając za [illegible] [illegible] ustalić odpowiednią ścisłą terminologję, odróżniającą litwinów terytorjalnych (w pojęciu [illegible]) od litwinów narodowych, proponuje przerwać tych ostatnich t. j. litwinów narodowości litewskiej [illegible] ich [illegible] w ich języku rodowitym. [illegible] Obsta jest dziwaczna i sztuczna. — „Lietuwiai" [illegible] Mańkowski w odpowiedzi na to, wskazując, że [illegible] narzucić litwinom narodowym nazwy innej, niż ta, do której mają [illegible] prawo niewątpliwe w języku polskim. Co nazwa ta jest w tym języku jedyną, powiada, że zamiast [illegible] terminologicznej, należy jedno wyraźnie określać [illegible] [illegible] istniejącej [illegible]. Że polacy powinni [illegible] nazywać siebie litwinami i [illegible] [illegible] [illegible] nazwę litwinów — litwinom. Mańkowski w artykule [illegible] utożsamia wszystkich [illegible] o kulturze polskiej z polakami, kultura litewską z litwinami i t. d. Na to zwróciłem uwagę Antoni, że u nas pojęcia kultury narodowej jako [illegible] [illegible] obiektywnego, niezmiennego i niezawodnego do utożsamiania z pojęciem narodowości jako subjektywnego poczucia [illegible] [illegible]. Zjawisko to jest [illegible] dziwaczne, ale [illegible] w [illegible] i skomplikowanych [illegible] [illegible] kulturowo-ludowościowego. [illegible] w [illegible] narodowości jest [illegible] [illegible] ludzie, których kultura jest [illegible] [illegible] a którzy [illegible] się za polaków [illegible] [illegible] jest polska a [illegible] litwinów i odwrotnie. Z faktem tym trzeba się liczyć i ustalać terminologję narodową [illegible] kultury, bez subjektywnego pierwiastka narodowości. Jest to [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] artykuł [illegible] w którym [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], która to prawo [illegible] [illegible] [illegible] polakom, [illegible] [illegible].

1 (14) kwietnia
rok 1913.
poniedziałek.

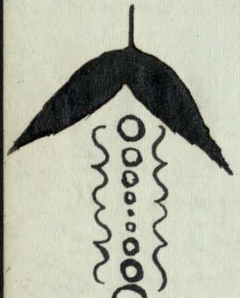

1 l 1 p
2 l 2 r

Dzień prima aprilis. „Kurjer Krajowy" wystąpił z sensacyjną kartką dziennikarską. Mańkowski skomponował historyjkę o rzekomym napadzie bandyckim na redakcję. Bajka jest utrzymana w sposób dość prawdopodobny. Opisany jest cały napad z dokładnemi szczegółami dramatu. Ofiarami napadu są zmyśleni współpracownicy pisma w postaci rzekomych pseudonimów. Z. Jaworski, Bykowiecki, Kalinowski, Mirosław Maliński — są to osoby nieistniejące. Podpisy te są w piśmie tylko pseudonimami Mańkowskiego i Antoniego Łuckiewicza. Cała akcja dramatyczno-sensacyjnej bajki prima-aprilisowej jest utrzymana bardzo realistycznie. Są oczywiście dla jaskrawości trupy, są pojmani a niewyjawieni z nazwisk bandyci, wreszcie o jednym z bandytów są w zakończeniu podane szczegóły wyjawionej autentyczności zbrodniarza.

Mańkowski od kilku dni zaprojektował tę bajeczkę prima-aprilisową. Radził się wpierw komitetu redakcyjnego, czy można taki „kawał" urządzić. Chodzi o to, że dziś, w dniu prima-aprilis, jest poniedziałek, kiedy normalnie pismo nie wychodzi. Bajka więc musiałaby być wydana, jako osobny dodatek. Ja wypowiedziałem się przeciwko jej drukowaniu właśnie ze względu na to, że ukazałaby się ona nie w Nrze, lecz w odbitce osobnej. Krępował mię wzgląd na to, że sprzedawanie osobnej odbitki, zawierającej zmyśloną sensacyjną bajeczkę, choćby prima-aprilisową, byłoby poniekąd nieetycznym zbieraniem od publiczności, która bądź cobądź może za [illegible] wydawać pieniądz żądać towaru rzeczywistego. Mańkowski wszakże nalegał na drukowaniu i wysuwał wzgląd na to, że bajeczka ta zrobi sensację w mieście i posłuży za reklamę dla pisma, a to jest zawsze dobre, zwłaszcza dla pisma początkującego. Powiedziałem wreszcie, że jeśli Zawisza się zgodzi, to głos jego razem z głosem Mańkowskiego przeważy moją opozycję, a więc niech drukuje. Zawisza zgodę dał i dodatek z bajeczką został dziś wydany i na mieście puszczony. Sensacja niewątpliwie się udała. Plotki na mieście zostały zelektryzowane wieścią o niezwykłym napadzie bandyckim na redakcję. Od rana mnóstwo ciekawych tłoczyło się przed redakcją oraz przed wejściem do szpitala św. Jakóba, gdzie w trupiarni miały ~~[illegible]~~ być rzekomo złożone zwłoki niezapoznanego bandyty. Niektórzy ze znajomych zaczęli od rana przychodzić do Mańkowskiego po wiadomości. W wielu biurach, urzędach komentowano wiadomość, oburzano się na bandytów, telefonowano do szpitala św. Jakóba. Niektórym przychodziła na myśl data 1 kwietnia, ale bajka była tak realistycznie opowiedziana, że wydawała się niepodobna do prima-aprilisu. Wiem osobiście o kilku ~~[illegible]~~ faktach zrywania tego na pewno. Dr. Maciejewski opowiadał o tym każdemu z pacjentów i z każdym komentował straszne zdarzenie. W biurze sejmiku [illegible] była ogólna porusznie. [illegible] był w najwyższym stopniu poruszony; telefonował do szpitala i nie mógł zrozumieć, co [illegible] [illegible] [illegible] to w szpitalu zaprzeczają temu, co [illegible] w piśmie podane. [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] była bardzo przejęta. W dzielnicy [illegible] była p. Weyssenhoffowa; [illegible] dowiedziała [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] do [illegible], [illegible] na myśl, że i ja byłem [illegible] [illegible]. [illegible] na [illegible] [illegible] się z takim prima-aprilisem i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w [illegible] wileńskie, że to może za [illegible] żart, ale [illegible] [illegible] się on dobrze, [illegible] [illegible] [illegible] Mańkowski [illegible] nie [illegible].

2 (15) kwietnia rok 1913. Wtorek.

Ciocia Lucja Wołodkowiczowa umarła. Wczoraj robiono jej
operację w Krakowie w klinice dr. Rosnera (ginekologa
i chirurga). Po operacji otrzymaliśmy wczoraj depeszę tej
treści: „Operacja przeszła szczęśliwie.“ Na tę wieść obli-
cza wszystkich się wypogodziły. Zdawałoby się, że wszystko
poszło pomyślnie i że nadzieja na dobry wynik jest cał-
kiem uzasadniona. Dziś na obiedzie była u nas cała
prawie bliższa rodzina zebrana. Oprócz Mamy, dzieci
Maryni i mnie, był Papa, była Elizka Komorowska z
Julkiem, ciocia Zózia i Marynka Wołodkowiczówna,
która u nas na czas wyjazdu matki zamieszkała. Rozmo-
wa była ożywiona, Papa był zwłaszcza w świetnym hu-
morze, opowiadał facecje, sypał z rękawa przysłowia,
anegdoty, żarty. W tym dzwonek. Wyszedłem sam do przed-
pokoju i przyjąłem depeszę z Krakowa tej treści: „Stan
groźny“ z podpisem Stasia Wołodkowicza. Nie chcąc psuć
humorów a zwłaszcza przestraszać biednej Marynki Wołodko-
wiczówny, która tak jest do matki przywiązana i dla której
wiadomość ta byłaby ciosem, depeszę zataiłem. Tylko Elizkę
i cioci Zózi, gdy wychodziły, szepnąłem o depeszy. W niespeł-
na mniej godzinę potym, gdym siedział przy biurku, przynie-
siono mi drugą depeszę. Przeczułem, że to wieść o śmierci cio-
ci. Jakoż odczytałem: „Matka zmarła. Przyślij mi odwrotną pocztą
zezwolenie gubernatora na przewóz zwłok do Bohdanowicz. Tele-
gram do gubernatora wysłany. Wołodkowicz Hotel Saski.“ A więc
stało się. Operacja dobiła ciocię. Wywołałem Papę do mego gabinetu
i oznajmiłem mu o śmierci. Marynie postanowiliśmy tymczasem nie
mówić, jeno pokazać jej pierwszą depeszę o stanie groźnym, aby ją stopnio-
wo przygotować. Mama też była niespokojna wczorajszą depeszą [redacted] tak jest
krótka i daleka od myśli o niebezpieczeństwie, że, gdyśmy jej z Papą po-
kazali depeszę o stanie groźnym, z przerażenia aż się za głowę schwyciła.
Pojechałem zaraz do cioci Zózi, aby oznajmić o śmierci i poradzić się co
do otrzymania zezwolenia od gubernatora na przewóz zwłok. U cioci zastałem
Marynkę Wołodkowiczównę, która ujrzawszy mię tak niespodzianie wybiegła, tknięta
tym przeczuciem, pytając, czy coś się nie stało. Zapewniłem ją, że nic,
i tylko cioci Zózi na ucho prawdę wyjawiłem. Po powrocie zastałem już
Elizkę w domu u nas. Wiedziała już od Papy o śmierci. Ponieważ Elizka zna
osobiście gubernatora, wziąłem ją ze sobą i pojechaliśmy zaraz do niego. Oka-
zało się wszakże, że gubernatora nie ma w Wilnie, a wicegubernatora Rożkowa
też nie zastaliśmy w domu. Wróciliśmy więc na dziś z niczym. Nad wieczór
przyszła i Kotuńka Pruszanowska, która już wiedziała o smutnej nowinie. Ma-
mie i Marynce [redacted] postanowiliśmy dziś nie mówić. Marynka Wołodkowiczówna
tylko uprzedzono, że stan jest bardzo groźny. Była biedaczka przerażona i
zaniepokojona okropnie. Z twarzy naszych czytała, że jest źle. Rwała się go-
rączkowo do prawdy. Wypytywała służbę, czy [redacted] czegoś nie wie, zaglądała
wszystkim – służącym w oczy, wpatrywała się badawczo w twarze, by z oczu
prawdę wyczytać. Po herbacie na prośbę i nalegania sióstr moich pojechała,
a Elizka, Kotunia i Mama usiadły przy niej i do późna pocieszały ją,
starały się rozerwać, otoczyły wielką serdecznością. Przyszła jeszcze trzecia depesza
z powtórzeniem wiadomości o śmierci tej treści: „Matuchna umarła. Eksportacja
„na bankot sobotę. Oznajmij wszystkim Wilnie.“ Jutro biedna Marynka Wołodkowi-
czówna dowie się o prawdzie. Może mamy ją do tej wieści przygotować. Śmierć cioci spa-
dła niespodzianie, jak piorun. Niedawna śmierć jej męża, wuja Wołodkowicza, była poprze-
dzona i nikogo nie zdziwiła. Tam była bardzo ciężka i długa choroba; śmierć była niejako wyzwoleniem, była [illegible]
[illegible] chorobą. Natomiast śmierć cioci – to jakiś wypadek, to coś zupełnie niespodziewanego.
Zwłaszcza śmierć ta jest straszna w warunkach tych, w jakich nastąpiła. Ciocia czuła się zupełnie dobrze,
[illegible], jakich doświadczyła w ciągu ostatnich [illegible] choroby męża, po śmierci męża [illegible]
ta, raczej [illegible]. Nic cioci nie dolegało. Miała już spokój, miała wielki postatek na starość, po [illegible]
[illegible] Dawała się przez [illegible] ciche porty. Miała [illegible] na całą fortunę męża oprócz fortuny własnej. [illegible]
stała [illegible] dzieci do [illegible] działowego, aby ustalić byt i fortunę każdego z nich [illegible]
[illegible] ciocia [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

3 (16) kwietnia rok 1913. Środa.

Rano, jak tylko wstałem, wezwałem Marynkę Wołodkowiczównę do mego pokoju, aby ją przygotować do strasznej nowiny o śmierci matki. Postanowiłem nie mówić jej od razu o śmierci, jeno wpierw oznajmić, że wieści są bardzo złe i że w nocy była depesza, że żadnej nadziei na uratowanie życia nie ma. Byłem zresztą sam poruszony niedolą biednej dziewczyny, nie umiałem osłodzić tej pigułki boleści, nie wiedziałem, jak zrobić, aby Marynkę jak najbardziej oszczędzić. Gdy przyszła, usiadłem z nią na kanapie i powiedziałem, jak wyżej. Marynka była już od wczoraj pełna złych przeczuć i szła do mnie, jak na wysłuchanie wyroku. Gdy weszła, od razu się zwróciła z pytaniem, czy przyszła jakaś zła wiadomość, a widać było z jej twarzy, z oczu, z całego wyrazu, że jest pełna męki i strasznego niepokoju. Gdym powiedział, że nie ma nadziei, zapłakała, łkając głośno i tuląc twarz w dłoniach. Objąłem ją i oparłem jej twarz na ramieniu moim. Pytała, czy matka żyje jeszcze; powtórzyłem, że nadziei już nie ma żadnej, ale nie odważyłem się wyznać, że umarła. Co miałem mówić, jak ją pocieszać, skoro wiedziałem, że ciocia już umarła, że nadziei istotnie być nie może i że ta wiadomość nie może być osładzana złudzeniem na nadzieję, skoro to ma być przygotowaniem do powiedzenia jej prawdy ostatecznej, fatalnej, dokonanej, bezpowrotnej! Milczałem, tuląc ją jeno, płaczącą. Wspomniałem, jak się matka troszczyła o jej przyszłość, jak myślała o niej do ostatka. Po kilku chwilach weszła c. Zosia, która była przyszła do nas. Wtedy poszedłem do Mamy, aby ją też przygotować. Powiedziałem Mamie, że ciocia jest umierająca. Mama się przeraziła, ale uspokoiłem ją tym, że trzeba mieć wzgląd na Marynkę Wołodkowiczównę i stłumić w sobie ból, aby * nią się zaopiekować. To poskutkowało na Mamę dobrze. Wówczas powiedziałem Mamie, że ciocia umarła. Poszliśmy z Mamą do Marynki, siedzącej u mnie z c. Zosią. Tymczasem już c. Zosia powiedziała Marynce o śmierci matki. Była to ciężka i bolesna chwila. Biedna Marynka traci w Matce wszystko. Zostaje sierotą zupełną; nie ma własnego gniazda, nie ma domu swego. Ma tylko braci i ma siostrę Zunię Chełchowską. Ale Zunia jej nie lubi i jest dla niej ciężka, przykra, złośliwa; u Zuni Marynka z pewnością nie zamieszka. Z braci Ludwiś chciałby ją wziąć, ale Marynka nie zechce, bo Ludwiś jest egoistą i chciałby ją mieć za gospodynię swoją, a zresztą Ludwiś nie będzie jej przyjacielem i bratem serdecznym, jeno się będzie czuł opiekunem łaskawym i będzie ją traktował arbitralnie. Stoś ma młodą żonę i u niego Marynka byłaby tą trzecią, przybłędą [illegible]. Młodsi bracia, Dolo i Zenio, jeszcze nie skończyli nauk i nie mają własnych domów. Zostaje tylko chyba średni brat, Kazio. Ale zawsze u brata nie będzie miała Marynka tego, co miała u matki. Biedna dziewczyna. Jedno ma tylko — to że będzie bogata, a to niemały warunek do szczęścia. To dwie rzeczy oczywiście, ale tymczasem ciężko jej, a boleść utraty matki ukochanej — to cios ostry.

Załatwiłem dziś sprawę pozwolenia gubernatora na sprowadzenie zwłok cioci, dałem do gazet ogłoszenie o śmierci.

Wieczorem przyjechał z Rygi Dolo Wołodkowicz, którego spotkałem na dworcu kolejowym. Przyjechał on do nas i u nas zanocował.

Napisałem do „Przeglądu Wileńskiego" trzeci i ostatni „List ze Wschodu" o układzie ludnościowo-kulturalnym Kraju naszego. Skreśliłem w nim przeważnie jałowy charakter imigracji rosyjskiej i zdobywczą kolonizację niemiecką. Pisząc do „Przeglądu", nie jestem nigdy pewny, czy mi Ludwik Abramowicz nie wykreśli tego, co ma właśnie dla mnie główną wagę w artykule. To mi zawsze odbiera ochotę przy pisaniu do „Przeglądu". Tak było z moim artykułem w sprawie młodzieży w przedostatnim N-rze „Przeglądu", tak też z drugim „Listem ze Wschodu", gdzie mi Abramowicz wykreślił najważniejszą część o przekształcaniu się żydów ze społeczności rasowo-religijnej w społeczność narodową pod wpływem przenikania ~~[illegible]~~ kultury europejskiej do umysłowości żydowskiej. Dawniej, w pierwszych czasach wydawnictwa „Przeglądu", tego nie było. Wtedy Abramowicz bardzo się liczył ze mną i dawał mi zupełną swobodę wypowiadania się, choćby nawet nie podzielał zdania mego. Dziś, gdy się czuje mocny i gdy jest pewny swego stanowiska, bez ceremonii obcina myśli moje z artykułów, o ile nie odpowiadają one jego poglądom czy polityce. Twardy z niego człowiek. Dobry naprawdę [illegible] redaktora, ale dla współpracowników ciężki.

4 (17) kwietnia rok 1913. czwartek.

Wrócił już dziś rano Ludwiś Wołodkowicz z Krakowa od zwłok matki. Kazio, Staś z żoną i moja siostra Marynia zostali w Krakowie do eksportacji. Dobre i prawdziwe mówi przysłowie, że „les morts vont vite". Gdyby dziś ciocia długo umierała zamiast tyle stać, jakby ~~była~~ nie tylko [była] niepotrzebna dla dzieci, ale by im przeszkadzała, zawadzała. Opróżniła ona miejsce, które już wnet zostało przez dzieci zajęte. Więcej myślą już oni o spadku, niż o śmierci matki. Kwestja podziału spadku wysuwa się na plan pierwszy i budzi w każdym apetyty, zazdrość, niepokoje. A spadek jest bardzo piękny, bo i po wuju i po cioci fortuna została duża. Jest do działu kilka majątków ziemskich, Nowy-Dwór, Chełmnica, Mamuty i Zacisze, duża kamienica w Wilnie przy rogu ulic [illegible]wej i Jarosławskiej, i sporo kapitału, zapewne z kilkaset tysięcy. A spadkobiercy są drapieżni z natury, chciwi na pieniądze, jak rzadko. Charaktery Wołodkowiczowskie, pełne niezwykłego temperamentu, jaskrawe, zaborcze, będą miały bogaty teren do walk wzajemnych i współubiegania się instynktów chciwości i spekulowania na wzajemnym oszukaństwie. Już wczoraj Lolo mi przedstawił swoje kombinacje działowe, a dziś znów Ludwiś wykładał mi swoje, oczywiście ~~[illegible]~~ naginając je wyłącznie do pragnień ~~[illegible]~~ własnych. Zdaje się, że głównym jabłkiem niezgody będzie walka o Nowy-Dwór, który Ludwiś będzie usiłował urwać dla siebie z jak największą szkodą [illegible], wypierając braci i krzywdząc [illegible] Wołodkowiczów a pozorując to kunsztownie formalnymi pretekstami dobra ogólnego i t.d. Ciekawe to [illegible] w tym dziale. Wieczorem przyjechała do Wilna też Zunka Chełchowska z mężem.

5 (18) kwietnia, rok 1913, piątek.

Byłem wieczorem u Sklenika na posiedzeniu Towarzystwa popierania kooperacji. Obecni byli: Sklenik, ja, doktor Józef Hłasko, p. Żongołłowicz i młody wzięty ~~[illegible]~~ funkcjonarjusz towarzystwa, ~~w~~ któremu potem będzie funkcja instruktora, niejaki p. Marjan Rzebnowski. Jest to człowiek młody, lat dwudziestu kilku, robiący wrażenie dodatnie, wykształcony, jest prawnikiem skończonym i oprócz tego skończył wydział ekonomiczny w wyższej szkole handlowej w Moskwie. Zna też język litewski, co jest bardzo potrzebnem, a bodaj nieodzownym warunkiem dla pracy w naszych stowarzyszeniach spożywczych. Jest też zręczny, trzyma się dość swobodnie, przemawia z werwą i dość swobodnie i w porę wypowiada swoje zdanie, co wskazuje na pewną już umiejętność orjentowania się i myślenia samodzielnego. Mówię się spodziewać, że kooperacja zyska w nim pracownika pożytecznego.

Ustaliliśmy datę i porządek dzienny mającego się odbyć w kwietniu ogólnego zebrania Towarzystwa, następnie omówiliśmy kilka żywotnych kwestji bieżących, mających ogólne znaczenie dla sprawy kooperacji u nas. Niewątpliwie że już sam fakt zaangażowania stałego instruktora i rozpoczęcia czynności pośrednictwa handlowego przez biuro informacyjne naszego towarzystwa jest nader ważnym i krokiem postępu w naszych pierwotnych warunkach. Donioślejszą jeszcze sprawą jest sprawa zaprojektowanego przez nas zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych gubernji Wileńskiej. Decyzja o tym zapadła już na poprzednich posiedzeniach naszych, ale dziś jeszcze raz sprawę zjazdu omówiliśmy. Dawniej Sklenik wciąż się wahał z zaakceptowaniem takiego zjazdu, któryby ogarniał tylko gub. wileńską. Chodzi o to, że towarzystwo nasze podług ustawy ma prawo funkcjonować li tylko w granicach tej jednej gubernji, faktycznie zaś działa niemniej i w innych gubernjach. Dopóki działalność ta była ciasną, jak dotąd, było to możliwe. Dotąd bowiem działalność ta polegała głównie na wydawnictwie i wysprzedaży wzorowych ksiąg rachunkowych, referatów i t. d. dla kooperatyw oraz na wyjazdach instrukcyjnych do stowarzyszeń samego Sklenika. Jeżeli zaś zorganizować zjazd, systematyczne pośrednictwo handlowe, tymbardziej związek, to już oczywiście niepodobna bez zmiany ustawy rozszerzyć tego na sąsiednie gubernje. Zamknięcie się zaś w granicach gub. Wileńskiej jest kombinacją sztuczną, nieodpowiadającą warunkom życiowym i potrzebom kooperacji. Z tego względu Sklenik długo się wahał co do zjazdu, nie chcąc też ~~[illegible]~~ przyznać się publicznie wobec kooperacji krajowej do takiego zwężenia terenu działalności Towarzystwa. Ale ostatecznie na to rady tymczasem niema. Chcąc działalność naszą rozwinąć, chcąc wystąpić czynniej, musimy przyjąć formalne warunki ustawowe, choćby były one niedogodne. Lepiej zaprowadzić zjazd choćby w ramach gub. Wileńskiej, niż wcale go nie robić. Teraz, gdy już Sklenik zdecydował się na to i zrezygnował chwilowo z aspiracji tymczasem niewykonalnych, stał się orędownikiem zjazdu. Zresztą wszyscy podzielamy ten zapał, rozumiejąc, że zjazd taki tchnie życie w sprawę kooperacji i podźwignie ją w kierunku znaczenia związkowego. Zjazd projektujemy na sierpień czy wrzesień. Oczywiście będzie to zależało od pozwolenia władz, które nie będzie tez chętnie widziały. Postanowiliśmy kwestję zjazdu wnieść na ogólne zebranie. Poruszyliśmy też kwestję rozszerzenia naszej działalności na sąsiednie gubernje. Jest to stara kwestja, która wszakże nie jest łatwą, bo władze ze względów politycznych są przeciwne takiemu zespoleniu gubernij. Było już nawet kiedyś ~~[illegible]~~ wniesione podanie o takiem rozszerzeniu, ale odpowiedzi nie było żadnej, a gdy Sklenik raz ~~[illegible]~~ wspomniał o tym gubernatorowi, ten mu krótko odpowiedział: „Twoim kurdikha, tkaczi wołoko znaju pojmiesz na odny zadjerżku, a koszeńki sidjeniem na tobie z tobą nazad”. Postanowiliśmy narazie nie wszczynać starań o to, aby nie budzić przedwcześnie podejrzliwości władz, zwłaszcza w chwili, gdy ~~[illegible]~~ zamierzamy wystąpić ze zjazdem. Wreszcie długo omawialiśmy sprawę kosztorysu budżetowego. Subsydjum zapomogowe, któreśmy otrzymali od Towarzystwa popierania pracy społecznej, ma być zużyte li tylko na ~~[illegible]~~ opłatę instruktora przez 2 lata. Natomiast skutkiem jest cały szereg potrzeb pierwszorzędnej wagi, które muszą być opłacone, ~~[illegible]~~ podczas gdy środków dochodowych prawie niema. Potrzeba pieniędzy na najęcie pokoju dla biura informacyjnego, na wydatki kancelaryjne, na wydawnictwa; prócz tego Sklenik wskazał na konieczność subsydjowania przez towarzystwo naszego pisma kooperacyjnego „Życie Spółdzielcze”, wydawanego przez Sklenika, wreszcie na koszta wysyłania delegata na zjazdy i wystawy kooperacyjne. Rozumieliśmy konieczność tych wydatków, gdy wszakże zaczęliśmy obliczać dochody i kombinować sposoby ich pokrywania, nie mogliśmy znaleźć wyjścia. Dochody formalne, najwyżej licząc, dać mogą 250–260 rb. rocznie, co stanowi kroplę w morzu. Zaczęliśmy się wysilać nad kombinacji. Hłasko wskazywał, że jedyną drogą będzie znalezienie prywatnych ofiarodawców, których każdy z nas powinien w sferze swoich stosunków zdobywać na rzecz towarzystwa; wskazywał też, że wielkiem ułatwieniem do tego będzie fakt ~~[illegible]~~ otrzymania zapomogi od T-stwa popierania pracy społecznej, co poniekąd stanowi dla nas patent użyteczności publicznej. Ja i Rzebnowski zalecaliśmy skorzystać za źródła pobocznych opodatkowania się niektórych przynajmniej, bodaj zamożniejszych, stowarzyszeń spożywczych na rzecz naszego towarzystwa, o czym już w kooperatywach powiatu zachodziła mowa, bo wielkie dziesiątki kooperatywnych podnosiły już tę kwestję i zwracały się z tym do nas. Wszystkie zresztą kombinacje nasze rozbijały się o krytykę Sklenika, który nam prawił publicznie, że w ogóle wszystkie rozwiązania uznawał za niewykonalne lub fantastyczne. Długo nas ~~[illegible]~~ oczywiście, jak pedagog uczniów, a sam wiemy tylko kooperatywom swoje ~~[illegible]~~ na wszystkie te potrzeby dochodów, a w ramach świat w jakiejkolwiek formie gotowe ~~[illegible]~~ rozwiązania. Uważa on, że tylko związek sam i Sklenika zjazd jeśliby niewątpliwie utworzy związek, jeżeli zaś nie wszystkie, gdyby się to zrobić nie dało, to faktycznie, bo to jest koniecznością, dyktowana arbitralnie przez warunki rozwoju kooperacji.

6 (19) kwietnia, rok 1913, sobota.

Od 10 dni nie mam listu od Anny. Ostatnim razem Anna przysłała mi na moją prośbę nazwisko i adres nowego doktora, który ją teraz leczy. Przed kilku dniami napisałem do tego doktora list, prosząc go o informacje o stanie zdrowia Anny. List do doktora wysłałem na ręce Anny, żeby go sama doktorowi wręczyła i podpisałem się nazwiskiem Wolberg. Zrobiłem to ze względu na Annę, aby nie miała przykrości i wstydu, gdy przyjdzie do doktora list od obcego mężczyzny, zapytującego o jej zdrowie, zwłaszcza że Anna mówiła doktorowi, że jest zamężna. O odpowiedź prosiłem doktora też na ręce Anny. Na ten list jeszcze nie mogę mieć odpowiedzi przed wtorkiem lub środą, ale poprzednio już Anna powinna mi była napisać. Tak ją prosiłem, aby pisała przynajmniej raz na tydzień, a tu 10 dni mija bez listu [illegible]. I pieniądze miesięczne jej posłałem w końcu marca, które powinna już była otrzymać w zeszłą sobotę — i nic, ani słówka. Zaczyna mię to niepokoić. Co do listu doktora, to chodzi mi głównie o dowiedzenie się, jaki rodzaj żołądkowego cierpienia ma Anna. Co do płuc, to nie widzę potrzeby trzymania jej dłużej w Krymie, bo teraz i u nas będzie czas ciepły i zdrowy, to już lepiej sprowadzę ją tu w końcu kwietnia, a w czerwcu zalokuję ją może na lato w Pohulance pod Dyneburgiem; będzie tam zupełna wieś, zdrowe powietrze, las sosnowy. Nie pozwolę jej spędzać lata w zaduchu miejskim w Wilnie lub w Libawie. Jeżeli tylko Anna nie potrzebuje jakiejś niezbędnej kuracji żołądkowej i jeżeli takowa nie została jej w Teodozji rozpoczęta, to ją w końcu kwietnia z Krymu sprowadzę.

Jestem dziś pod dość przykrym wrażeniem wyniku pewnej sprawy cywilnej, którą miałem u sędziego pokoju. Sprawa jest drobna, wynosząca zaledwie kilkadziesiąt rubli, wytoczona przez niejakiego Wulfowicza przeciwko mojemu klientowi Cejtlinowi. Sprawę wygrałem, Wulfowiczowi sędzia pokoju odmówił, formalnie więc stało się zadość temu, czego się na sędzi domagałem, ale to mię właśnie niepokoi w sumieniu, albowiem żądanie Wulfowiczowe jest uzasadnione i sprawiedliwe. Wypełniałem tylko mój obowiązek zawodowy, przeciwstawiając żądaniom Wulfowicza argumenty przeciwne, ale byłem pewny, że sędzia pokoju przysądzi od Cejtlina sumę poszukiwaną, która się od niego stronie należy. Miałem tylko pewność co do poszukiwanych procentów, że się one nie należą, ale co do kapitalnej sumy należności, to niewątpliwie się ona należy. Wyrok sędziego był dla mnie niespodzianką. Formalnie otrzymałem satysfakcję, ale wyszedłem z przekonaniem, że się przyczyniłem do niesprawiedliwości. Zawód adwokacki ma zawsze takie przykre odwrotne strony medalu. Jest on walką, jest szermierką, ale nie rycerską, bo chodzi nie o [illegible] prawdy i zdobycie sprawiedliwości, jeno o przewagę jednostronnego interesu bez względu na prawdę i na sprawiedliwą równowagę.

Wieczorem byłem króciutko na dorocznym zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przyszedłem późno na sam koniec zebrania. Przy odczytywaniu sprawozdania rocznego oraz dyskusji nie byłem. Trafiłem na ostatni punkt porządku dziennego — wybory nowych członków zarządu i komisji rewizyjnej. Działalność Towarzystwa Przyjaciół Nauk jest pod względem naukowym jałowa. Niestety — z biegiem czasu zdaje się, że działalność ta nietylko się pod względem naukowym nie podnosi, ale raczej zamiera. W tym roku nie wydano nawet rocznika. Jedyna wartość towarzystwa — to są nagromadzone zbiory, jako materiał do pracy przyszłej, ale nawet te zbiory (na skutek [illegible] Litwinów niestety [illegible] od Towarzystwa) nie są udostępnione. Jedną też z przeszkód do rozwoju i ożywienia działalności Towarzystwa jest zachłanność endeków, którzy mocno trzymają towarzystwo w swym ręku i starają się niedopuścić do zarządu elementów niezależnych, bojąc się zazdrośnie ujmy dla swych wpływów. Władza w towarzystwie jest w ręku typowej kliki, która wytwarza atmosferę martwą. Jakie tylko trafiały do zarządu elementy niezależne, nie-endeckie, zawsze się w prędkim czasie [illegible], nie będąc w stanie przetrwać martwej atmosfery [illegible] i [illegible] endeckiej, [illegible] w zarodzie. Tak był tam kiedyś dr [illegible] Abramowicz i [illegible] wycofał się, był Stanisław Kościałkowski, był wiceprezes dr [illegible]. Zarząd więc [illegible] do [illegible] albo [illegible] endeckie, [illegible] byle nie dopuścić do utraty wpływów. Tak teraz na miejsce ustępującego dr. [illegible] zarząd zaproponował kandydaturę adwokata [illegible], zięcia dr. [illegible], figurę [illegible], w komisji rewizyjnej. Jest to tępy mieszczanin, człowiek ograniczony, [illegible] gatunku. Co on może mieć wspólnego z [illegible] w instytucji naukowej! Jest to [illegible] endeckiej [illegible].

7 (20) kwietnia rok 1913. Niedziela.

Wstąpiłem dziś do p. Antoniego Sutinasa, miłośnika i kolektora starożytności, dla obejrzenia zbiorów jego. Jest to człowiek już niemłody, trochę dziwak, litwin z krwi i kości, typowy jako litwin i jako miłośnik starożytności. Nie jest zresztą bynajmniej szowinistą, wogóle polityka społeczna zdaje się mało interesować. Żyje w swoich zbiorach, które go obchodzą nadewszystko. Całą energję swoją skupił w tym miłośnictwie przedmiotów przeszłości, które się stało namiętnością i manją jego. Nie jest to archeolog zawodowy, znawca i uczony, któryby zdołał prowadzić jakieś studja nad przeszłością i zbogacić wiedzę. Poprostu lubuje się w rzeczach starych, płatnicznie, i gromadzeniu takowych, oraz kompletowanie poszczególnych kolekcji uprawia, jako sport, który go rozmiłowywa. Jest dyletantem, ale przez ciągłe gromadzenie i kolekcjonowanie nabył wprawę w orjentowaniu się w przedmiocie swej pasji. Przez sam fakt gromadzenia przedmiotów, któreby mogły zaginąć, oraz dobieranie kolekcji — jest pożyteczny. P. Sutinas [illegible] ma jakąś posadę w Wilnie, która stanowi materjalną podstawę jego bytu, i ma domeczek własny na kresach Zarzecza przy ul. Popowskiej, gdzie się mieszczą jego zbiory. Chętnie gromadzi wszystko, co ma jakiś związek z archeologją lub historją kultury, a poza tym wszak że ma kilka szczególnych specjalności, które wyodrębnił w kolekcjach osobnych, starannie uzupełnionych. Do takich należy kolekcja kart do gry [illegible] i kilka kolekcji obrazków świętych, jak kolekcja obrazków [illegible] wszelakich wizerunków Matki Boskiej Ostrobramskiej, tejże Poczajowskiej i t.d.. Śród tych kolekcji są okazy ciekawe i rzadkie, mające wartość artystyczną lub wartość zabytków rytownictwa i drobnictwa krajowego. [illegible] Liczne są też starożytne wykopaliska z bronzu, sztychy i medale pamiątkowe, klisze, albumy i t.p.. Ma pono komplet klisz do kart rysunku malarza wileńskiego Rustemma i szereg innych osobliwości. Śród albumów rysunkowych [illegible] są niektóre bardzo piękne, z własnej jeden, wykonany piórkiem robotą rzeczywiście niepospolicie [illegible] mistern(ą). Po szczegółowym obejrzeniu tych zbiorów musiałem się podpisać w [illegible] księdze autografów Sutinasa i pożegnałem go wreszcie, obiecując mu przysłać pocztówki z talje kart galicyjskich z podobiznami bohaterów narodowych polskich, których on w swej kolekcji, zdaje się, nie ma.

Pod wieczór o zmroku ogarnęła mię dziś taka melancholijna tęsknota, jakiej dawno nie doświadczałem. Była to jakaś tęsknota do pełni życia, do wielkiej twórczości, któraby pochłonęła zdolną całą energję moją, żal z powodu pustki i jałowej szarzyzny powszedniej tułaczki życiowej. Jak zawsze — tęsknota ta wylała mi się wnet w [illegible] konkretne kształty tęsknoty za Anną, która jest dla mnie symbolem doskonałej wydajności życiowej, pełni uczucia, pochłaniającego w miłości całą duszę moją ze wszystkiemi władzami psychicznemi w stanie najbardziej czynnym. Bez Anny życie moje toczy się leniwie i jest zamknięte, jak ślimak w swej skorupie. Przy niej i z nią zyskuję dopiero całą ekspansywność twórczą mojej natury, staję się twórcą i autorem wspaniałego eposu życiowego. Jakże mi smutno, jak pusto bez niej. Biegłem do niej myślą, czepiałem się jej wspomnień i kształtów jej ciała i przepięknego ducha w mej wyobraźni. Błądziłem w jałowej pustyni samotności, roiąc wizje mirażów, jak obłąkany podróżny w suchych piaskach Sahary, roi o fantastycznych oazach, marząc [illegible] zmysły złudzeniem. Smutny jestem i samotny bez Anny. Ręce mi opadają i energja opuszcza — w tej pustce, jaką bez niej doświadczam. A nadomiar zaczyna mię coraz mocniej gryźć niepokój o nią, bo oto już 11 dni upłynęło, jak nie mam żadnej wieści od niej. Czy się jej coś nie stało, czy nie zachorowała, tam daleko, za morzem! Nie chcę jątrzyć tej troski, której mi i tak... [illegible] do rozmiarów katastrofy. Źle robi moja Anna, że mię tyle czasu bez listu zostawia. I jakby dla kontrastu, przez drzwi... [illegible] i tajemniczych władz natury ludzkiej, budzą mi się w reakcji do tej tęsknoty dziś... [illegible] ...rozkoszy. Zdaje mi się, że nie ma nauka instynktowania uciechy i rozpamiętywania. [illegible]

100

8 (21) kwietnia rok 1913. poniedziałek.

Znowu nie otrzymałem listu od Anny. Jestem coraz bardziej niespokojny: 12 dni upłynęło od ostatniego listu. Nigdy dotąd nie zostawiła mię tak długo bez wiadomości o sobie. Dziś wyjeżdżam do Radoszkowic i Nowego Dworu na pogrzeb cioci Lucji Wołodkowiczowej. Jeżeli po powrocie z pogrzebu nie zastanę listu od Anny, będę telegrafować. Jeżeli tylko nie ma powodów specjalnych, o których lękam się nawet myśleć, to krzywdzi mię Anna tym milczeniem.

Wieczorem przyjechali po mnie Kazio i Lolo Wołodkowiczowie w automobilu cioci Zosi, aby mię zabrać na kolej. Pociągiem północnym wyjechaliśmy z Wilna. Oprócz Kazia, Lola i mnie jechał też z nami młody artysta-śpiewak, litwin rodem z gub. Wileńskiej, siostrzeniec i wychowanek któregoś z księży wileńskich, ~~kształto~~ kształcący się w śpiewie na artystę opery. Głos ma bardzo piękny, — baryton liryczny. Chłopiec to ubogi, któremu z trudem przychodzi kształcenie. Występował już wszakże w prywatnej operze wędrownej w Kaliszu. Śpiewa on teraz codziennie przy mszy św. w Ostrejbramie. Tam go Kazio dziś rano posłyszał i tak śpiew jego upodobał, że go namówił na przyjazd do Radoszkowic na pogrzeb matki, aby śpiewał na nabożeństwie żałobnym. Jechał też z nami Henryś Wołłowicz, który jedzie dalej, na święta Wielkiejnocy do ojca swego, do Kaług.

Tym ~~samym~~ pociągiem, którym jechaliśmy, szedł wagon ze zwłokami c. Lucji. Wagon ten się spóźnił, dzięki nieporządkom na kolejach rosyjskich. Wołodkowiczowie wystarali się o pozwolenie na przewiezienie tego wagonu pociągiem pospiesznym z Wilna do Radoszkowic, który odchodził z Wilna dziś o godz. 10 z minutami, i wobec tego eksportacja zwłok z dworca w Radoszkowiczach do kościoła miała się odbyć dziś popołudniu. Tymczasem w Warszawie przyczepiono wagon ze zwłokami do pociągu towarowego, który przyszedł do Wilna dopiero dziś pod wieczór, i dopiero teraz w nocy pociąg wyjazdu zwłoki do Radoszkowic. Jak dalece zwykłą są rzeczą nieporządki na kolejach rosyjskich, świadczy ten charakterystyczny fakt, że biuro pogrzebowe w Krakowie, które zajmowało się ekspedycją zwłok cioci, podjęło się ekspedycji zwłok tylko do granicy, zastrzegając, że się podejmuje ekspedycji do wszystkich krajów, oprócz Turcji, Rosji i Rumunji, bo w tych krajach urządzenia są takie nieporządki i łapownictwo, że ani żadnych tako ścisłych ustalić niepodobna ani przyjąć gwarancji za akuratny przewóz. Istotnie też Wołodkowiczowie sami się o tym przekonali, nietylko teraz z tym epizodem wysłania zwłok pociągiem towarowym zamiast osobowego i opóźnienia przez to dowozu ich na pociąg pospieszny, ale i na granicy, gdzie tyle im zrobiono przeszkód, pomimo że wszystkie formalności uzyskania pozwolenia przewozu zwłok były załatwione, że dopiero całym szeregiem łapówek udało się przełamać opór urzędników komory granicznej. Poprostu dojono z Wołodkowiczów datki arogancko, bez żadnej ceremonji.

9 (22) kwietnia
rok 1913.
wtorek.

Rankiem o godz. 6 przyjechaliśmy do Radoszkowicz. Okazało się, że w tym samym pociągu jechał z nami też Mieczyś Tukałło ze swoją narzeczoną, Elsią Szczyttówną. Ledwieśmy wysiedli i trochę się pomyli, gdy przyjechały z Nowego Dworu na spotkanie zwłok cioci Lucji — Maryńka Wołodkowiczówna, ciocia Zosia Tukałłowa i Lula Tukałłówna. Wagon ze zwłokami cioci odpędzono na tor zapasowy i otworzono. Zwłoki cioci leżały w czarnej trumnie metalowej, zalutowanej, z szybką szklaną w wieku nad samą twarzą zmarłej. Ta pierwsza trumna złożona była do drugiej, również metalowej, białej, a dopiero obie trumny w dużej drewnianej skrzyni dębowej. [skreślone] Trumnę wyjęto ze skrzyni i zdjęto wieko z trumny zewnętrznej. Przez wieko szklane [skreślone] zobaczyliśmy twarz nieboszczki cioci. Rozkład ciała, przynajmniej na twarzy, jeszcze się nie rozpoczął, a w każdym razie nie zepsuł rysów i nie naruszył skóry. Wyraz twarzy cioci nic się nie zmienił. Tylko oczy zapadły bardzo głęboko i skóra miała żółtą barwę trupią. Ten żółty widok trupa sprawiał na mnie wrażenie bardzo przykre, jak zawsze. Wkrótce zjechała reszta osób z rodziny, która miała towarzyszyć eksportacji zwłok z [skreślone] banhofu do miasteczka. A więc przyjechała reszta dzieci c. Lucji, — Ludwiś, Józio i Staś Wołodkowicz z żoną, Zuńka Chełchowska z mężem, dalej moja siostra Marynia i Hektor Komorowski, którego Wołodkowiczowie sprowadzili swoim kosztem na pogrzeb z Krakowa. Dopiero koło godz. 9 przyjechali księża i rozpoczęła się eksportacja. Trumnę położono na wóz żałobny, zrobiony z kar, pokrytych dywanami, zaprzężony w czwórkę koni, powożony przez starego furmana Tomasza, który woził kiedyś wujostwo Wołodkowiczów do ślubu, a teraz raz po razie woził na cmentarz zwłoki obojga dawnych nowożeńców, wuja i cioci. Tylko parę pierwszych wiorst szliśmy za trumną pieszo. Potym przelokowaliśmy się po powozach, które szły z tyłu, i jechaliśmy aż pod miasteczko. Jechałem z najmniej sympatycznym z Wołodkowiczów, — Ludwisiem. Ludwiś nic albo bardzo mało czuje po stracie matki. Nade wszystko myśli o dziale i o zdobyciu Nowego Dworu dla siebie. Jest on egoistą wyrafinowanym i niezwykle [skreślone] oschłym. Teraz w czasie eksportacji myślał tylko o własnej wygodzie i zajęty był tym, aby zapewnić sobie najwygodniejsze miejsce w faetonie bez względu na grzeczność w stosunku do innych osób. Z dzieci najmniej odczuli śmierć matki, jak się zdaje, Ludwiś i Zuńka i może Józio. Zuńka dość teatralnie udawała chwilami rozpacz, ale najwięcej [skreślone] przejęta była śledzeniem i krytykowaniem złośliwym swej młodszej siostry, Maryńki, którą nienawidzi i [skreślone] względem której czuje chorobliwą, wściekłą zazdrość. Natomiast Staś i Józio byli głęboko poruszeni. Twarz Stasia była zmieniona, jakby zorana bruzdami cierpienia, wykrzywiona jak w chwilach najwyższego napięcia namiętności. Józio bardziej panuje nad sobą, ale niemniej od Stasia cierpi. O Maryńce niema co mówić: dla niej śmierć ta jest największą niedolą, toteż biedaczka wyglądała, jak z krzyża zdjęta, a lgnęła tak do trumny matki, że zdawało się nie może rozstać i że okrucieństwem było oderwanie jej od [skreślone] trumny, gdy nastał moment pogrzebu. Dolo jest nerwowy, [illegible], schorowany fizycznie, słaby i niesłychanie wrażliwy; miał on histeryczne ataki spazmów, stawiał się być prawie niesiony przez braci, a w twarz cioci [skreślone] tak się wpatrywał przez wieko szklane, jakby był przykuty jakimś magnetyzmem wzroku do trupa matki. Nabożeństwa żałobne, ekzekwie i msza, odbyły się z wielką solennością. Z chóru śpiewał artysta-śpiewak wileński, o którym wczoraj wspominałem. Ludu było dużo w miasteczku przy eksportacji i w kościele, a szczególnie na cmentarzu. Ksiądz w kościele wypowiedział mowę panegiryczną cioci, stawiając cnoty zmarłej, jej rezygnację wielką, jej miłość i litościwość dla ubogich, jej poświęcenie dla rodziny i dzieci, wreszcie podkreślając niezwykłe boleśnie przeżyte [illegible] jej życia, robiąc czy to bezwiednie czy świadomie aluzję do stosunku zmarłego wuja z tu obecną na pogrzebie ciocią Zosią, który to stosunek był dramatem życia nie-

boszczki cioci Lucji. Najcięższe były momenty wyniesienia trumny z kościoła i złożenia do grobu. Oprócz wyżej wymienionych osób z rodziny, które były obecne na eksportacji, w kościele i na pogrzebie byli też wszyscy [illegible], który do Nowego Dworu na tę smutną uroczystość przybyli. A więc wuj Ignaś Tukałło z żoną, Józef Hryhorowicz, Wiktor Hryhorowicz, Mania Ordzina, moja siostra Elizka Komorowska, Mieczyś Bohdanowicz, Ignaś Bohdanowicz z żoną, Lenia Ludwisiowa Wołodkowiczowa, teściowa Stasia — p. Protasewiczowa z synkiem, Michał Zabiełło z żoną (Szczyttówną z domu, w której się kiedyś, podlotkiem będąc, podkochiwałem, a było to w r. 1896), Hieronim Wołodkowicz z żoną, ciotka Lwowa z Hrawiec z synem Wiktorem i córką Julcią, p. Pomorska z Mińska, — i oto że bodaj wszyscy. Wołodkowiczowie kochają się w uroczystej pompie, w dekoracyjnych efektach — nawet w najgłębszej żałobie i najszczerszym smutku. Jest to rys ciekawy ich temperamentu i natury, wytworzonej z potężnej [illegible] i swawoli szlacheckiej z krwią ruską i głębokim [illegible] w ich [illegible] kulturze rasowej. Z pogrzebu przyjechali wszyscy do Nowego Dworu, gdzie zasiedli do sutego obiadu-stypy. Po wieczór niektórzy już się zaczęli rozjeżdżać. Na pociąg poranny do Wilna wyjechałem też ja z moją siostrą Marynią.

10 (23) kwietnia
rok 1913.
środa.

Przed godz. 6 rano przyjechaliśmy z Marynią do Wilna.
W domu listu Anny nie zastałem. Byłem już poprzednio
strasznie zaniepokojony długiem milczeniem Anny, to
też teraz postanowiłem telegrafować do niej, tym bar-
dziej że jutro wyjeżdżam na święta do Bohdaniszek i
że muszę przed wyjazdem coś wiedzieć o niej. Najgorsze
domysły przychodziły mi do głowy; bałem się nawet
śmierci Anny, a wyobraźnia pod wpływem niepokoju
zaczęła mi snuć najfantastyczniejsze obrazy katastrofy,
jaka mogła się stać z Anną. Teraz dopiero czułem cały
ten ciężar straty, jakbym w Annie poniósł. Nie wiem
sam, jak nazwać uczucie, które żywię dla Anny. Wię-
cej, niż kocham ją. Jest mi ona poprostu wszystkim
na świecie. Bez niej ginie dla mnie cały urok życia,
a ja sam tracę rację bytu. Dopiero w niej życie mo-
je zyskuje walor, blask i potęgę. Jestem odosobnio-
ny od świata całego, samotny, zamknięty w sobie, i
dopiero wobec Anny, w zespole z nią, otwieram się, jak
kwiat, dla wydania z siebie całej treści mojego du-
cha. A że się otwieramy sobie oboje nawzajem, przeto
w stosunku tym posiadamy całą pełnię naszego ży-
cia. Przerażenie mię ogarnęło na myśl o stracie Anny.
Życie by dla mnie ustało. Wysłałem zaraz depeszę
terminową z odpowiedzią opłaconą. Siedzia-
łem w domu, trawiony gorączką niepokoju, czekając
na odpowiedź. Wpierw wszakże, nim przyszła odpo-
wiedź, listonosz przyniósł mi o godz. 11 list od Anny,
tyle oczekiwany. Okazuje się, że Anna, uprzedzona prze-
ze mnie o wysłaniu mego listu do doktora na jej ręce,
czekała takowego, aby mi przesłać odpowiedź dokto-
ra jednocześnie ze swym listem i dlatego tak
długo nie pisała. List doktora uspokoił mię. Anna
istotnie była chora, ale nie tak strasznie, jak się tego
obawiałem. Oprócz choroby w płucach, którą doktor
określa, jako stan kataralny wierzchołka płuc (nie wiem,
czy to jest to samo, co suchoty), doktor powiada, że stwier-
dził w niej niedokrwistość, o czym wiedziałem, oraz za-
palenie macicy i dokoła macicy; powiada wszakże, że teraz
jest znacznie lepiej i że się spodziewa, iż wkrótce Anna będzie
mogła wrócić. List Anny jest wesoły i pełny otuchy. Pisze, że
się czuje o wiele lepiej, w pierwszych dniach maja skończy ku-
rację z arszenikiem i natychmiast wróci do Wilna; wreszcie dodaje,
że jej nie poznam — tak utyła. W liście Anny włożony kwiatek przez
nią zerwany, milutki, świeży, wonny. Co za radość, że się już rychło
skończy ta moja smutna samotność.

11 (24) kwietnia rok 1913. czwartek.

O południu wyjechaliśmy z Mamą z Wilna do Połu-
dniszek. Z nami jechała też Cilinka Komorowska
i Hektor, wracający z pogrzebu cioci Łucji do Kowa-
liszek. Podróż odbyliśmy bez przygód i zmęczenia,
pomimo że wagony były przepełnione. W Abelach
czekała już nas czwórka koni i lokaj Kazimierz,
wysłany na spotkanie Mamy. Powolutku, noga
za nogą, dojechaliśmy do Południszek. Droga już
względnie sucha, choć w kilku miejscach jest je-
szcze dużo błota. Wiosna robi już postępy. Wczesne
ciepło w marcu pobudziło już naturę do życia.
W połowie marca ukazały się już pierwsze zwiastu-
ny młodej roślinności i pączki na drzewach na-
brzmiały. Chłody, które przyszły w końcu marca,
zimne deszcze i śniegi, wstrzymały rozwój rośli-
ności, która wszakże teraz, gdy znów się ocie-
pliło, tym bujniej kiełkować zaczęło. Dziś wszę-
dzie piękna, gęsta, wysoka, na łąkach jaskra-
wić się zaczynają młode trawki, przy drogach i
płotach bujnie się już rozrastają w promieniach
słonecznych pokrzywy, łopuchy i inne ziela krze-
wiasta, krzaki zielenieją, z drzew tylko jeszcze
bardzo nieliczne gatunki, jak np. czeremcha,
puściły listki, inne już mają pączki zieleniejące-
ce, większość wszakże dopiero się budzi i ma jeszcze
wygląd zimowy. Żaby już rechocą, bociany usa-
dowiły się w gniazdach. W Południszkach zasta-
liśmy Papę oraz dzieci Maryni, które tu przed paru
dniami przyjechały. Ze Stefusiem przyjechał też
na święta jego mały korepetytor, Staś Jabłoński.
W Południszkach nic nowego. Dowiedzieliśmy się tylko
o śmierci młodego Jaśka Kligysa z wioski Połu-
dniszek, mojego chrzestnego syna, który umarł z su-
chot przed kilku dniami.
Po kolacji postnej poszliśmy zaraz wszyscy spać.

Wielki piątek! Dzień suchego postu, który w Bohdaniszkach jest najściślej przestrzegany. Dzień smutku i żałoby w świecie chrześcijańskim, uroczystego skupienia w ascetyzmie i rozpamiętywaniu krwawej męki Zbawiciela świata. 12 (25) kwietnia rok 1913. piątek.

Ale tuż, równolegle do ascetyzmu i żałoby, gotują się już w kuchni gorączkowo do uczty najszerszego wyuzdania instynktów użycia. Zaledwie bowiem 2 dni dzielą dzień dzisiejszy, symbol śmierci i ascetycznej rezygnacji, od dnia Zmartwychwstania, symbolu odrodzenia i ~~[illegible]~~ tryumfu życia. Podług idei chrześcijańskiej Zmartwychwstanie jest odrodzeniem do nowego doskonałego życia, wolnego od skaz, ułomności i cierpień życia poprzedniego. Ofiarą męczeństwa odkupują się wszystkie grzechy i podłości życia ziemskiego i duch ludzki, oczyszczony, wyzwolony, zmartwychwstaje do szczęścia doskonałego. Jest w tym akcie głęboka wiara w ideał prawdy i harmonii doskonałej oraz niezmiernie głęboka fatalistyczna rezygnacja, uznanie niemożności usunięcia ~~[illegible]~~ konfliktów ziemskich w drodze stopniowej ewolucji. Z podłości walk wzajemnych, gry instynktów i namiętności ziemskich, wybrnąć ludzkość nie zdoła inaczej, niż przez śmierć i krwawe męczeństwo, które są jeno logicznym uwieńczeniem istniejącego zła, jego konsekwencją końcową. Głęboki rewolucyjny i męczeński akt odkupienia otwiera dopiero wrota do doskonałości wiecznej. Narody wszakże barbarzyńskie, które przyjęły naukę Chrystusa, przekształciły ją w swych zwyczajach i przystosowały do swych własnych legend kosmicznych, do starożytnych wierzeń narodowych. Zmartwychwstanie, jako odrodzenie do doskonałości po głębokim akcie odkupienia, ~~[illegible]~~ przerodziło się w naszych zwyczajach w reakcyjne zwycięstwo natury i życia nad śmiercią fizyczną. Święto zmartwychwstania ~~[illegible]~~ wyraża się w wyuzdanym zażywaniu rozkoszy ziemskich w postaci ~~[illegible]~~ zwłaszcza orgii jedzenia (nasze polskie święcone). Zasadą tym jest zwrot nie do czystości i doskonałości, lecz do wyżycia i uciechy w warunkach istniejących instynktów i namiętności. W najgłębszym skupieniu postu i żałoby, w wielki piątek, ~~[illegible]~~ dzień tajemniczej męki odkupienia, cały dom chrześcijański zajęty jest ~~[illegible]~~ przygotowaniem do rychłej uczty bestialskiej, rzezią zwierząt i ptaków, pieczeniem bab i ciast wszelakich. Zamiast żałoby i męki jest właściwie oczekiwanie i pożądanie rozkoszy, a jeżeli się tylko właściwie ćwiczy cnotę, — to cnotę cierpliwości, by się doczekać pojutrza i utrzymać pożądania chwilowo na wodzy.

13 (26) kwietnia rok 1913. sobota.

Pomimo że już jest ciepło, to jednak powietrze wiosenne jest zmienne i zdradliwe. Po paru dniach pobytu na wsi nabawiłem się już kataru, którego pierwsze symptomata poczułem wczoraj z wieczora, a dziś na wieczór mam go w całej pełni.

Dużo dziś grałem z dziećmi w krokieta. Skąd się wzięły bramki krokietowe, młotki i kule, — nie wiem. Nie pamiętam, aby w Bohdaniszkach krokiet istniał, chyba bardzo dawno, gdym był jeszcze dzieckiem. Ale znalazło się wszystko — i w stanie wcale dobrym. Widocznie krokiet był kupiony dla dzieci Maryni, o czym nie wiedziałem. A że to nowina, więc gra się dzieciom podobała i nawet zapalała. Wszyscy jesteśmy bardzo kiepskimi graczami, tak dzieci, jak korepetytorek Stefusia, jak ja. Siły nasze były równe i każdy przeto miał równą mniej więcej szansę wygrania, co działało na wszystkich zachęcająco. Zarówno też wszyscy z kolei wygrywali. Najwięcej brał do serca grę Stefuś, który się rozpłomieniał pragnieniem sukcesu i zniechęcał, gdy tylko mu się niepowodziło, a gniewał się na tych, którzy mu w grze szkodzili, szczególnie zaś z pogardą i niechęcią traktował grę Halci (Ewy).

Papa wyjechał po obiedzie do Kowaliszek na święcone, dokąd przyjechali w gościnę O'Rourke'owie. Papie chodziło o to, aby spędzić ten dzień z Marylą O'Rourke'ową, jako najbliższą krewną swoją, córką jedynej siostry Papy, nieboszczki cioci Kasi Tyszkiewiczowej.

Pociągiem wieczornym przyjechała do Bohdaniszek Marynia z Wilna.

Święcone już gotowe, stół tradycyjny w gościnnym pokoju zastawiony. Malowanie farbowanych jajek wypełniło nam część dnia dzisiejszego. Jutro — jedzenie do przesytu.

Wielkanoc. Święcone. Jedzenie suto do przesytu. Stół ze święconym ustawiony, jak ~~[illegible]~~ od wielu lat, w pokoju gościnnym w t. zw. nowym domu (ten „nowy" dom, czyli piętrowa przybudówka poprzeczna do „starego domu", datuje się już od roku 1885, podczas gdy dom „stary", osnowa domu bohdaniskiego, datuje się od r. ± 1824-1825). Na święconym w tym roku mała nas tylko gromadka osób domowych: Mama, Marynia, ja, dzieci Maryni – Ewa (Helcia) i Stefuś, i niewiele co więcej od Stefusia korepetytor jego – p. Staś Jabłoński. Toteż święcone jest niewielkie, choć, jak na tę kompanję, wcale obfite i zwłaszcza bardzo smaczne. Oto spis jadła, stanowiącego zastawę ~~[illegible]~~ stołu ze święconym: z mięsiw indyka nadziewana, prosię nadziewane, szynka pieczona w chlebie, głowizna, dwa cietrzewie, dwie pieczenie wołowe, cielęcina i pogotowana wędzona szyneczka barania; z ciast dwie żółte babki drożdżowe, jedna babka chlebowa, tort orzechowy, tort wiedeński (z dwóch warstw ciasta biszkoptowego, wyłożony marcepanem i konfiturami z głogu), dwa mazurki cygańskie z bakalji, jeden z zaprawą czekoladową a drugi bez takowej, dwie bułki szafranowe – jedna słodka, druga przaśna, oraz kilka bułek białych. Prócz tego jaja kolorowe, ser i rozmaite zaprawy. Brak w tym roku tradycyjnych szpekuchów.

~~[illegible]~~ Zabawiałem się z dziećmi taraniem jaj kolorowych. Dla większego urozmaicenia gry nadawaliśmy poszczególnym jajkom nazwy; dzięki temu każde jajko wyróżniało się i nabierało pewnej osobowości; w wyobraźni grających stawało się każde jajko ~~[illegible]~~ jakimś osobnikiem żywym, z właściwym imieniem i posiadającym właściwości indywidualne. Jajka też zresztą były malowane w rozmaite desenie i przeto różniły się wszystkie, a przy taraniu każde oczywiście inaczej się toczyło zależnie od kształtu swego i stopnia twardości skorupy. Taranie jaj odbywało się w przedpokoju; korytko do tarania było już wcześniej przez stolarza Dobrowskiego sporządzone. Nazwy jajek były najrozmaitsze i najdziwaczniejsze: były więc Plamki, Indyczka, Amazonka, Bladaczek, Czerwoniak, Szpilaczek, Zajączek, Gwiazdoświeczek, Przepaska, Oczko, Pi-pi, Linijki, Kurogwiazdki, Kogutogwiazdki, Jodełka, Mierzawczyk, Goli-Łeb, Kikisza, Geometrja, Żydek, Złotko i t. d.. Zabawa szła znakomicie. Dla większego zaś zainteresowania dzieci ~~[illegible]~~ na kilka najlepszych jaj wyznaczyłem premje. Mianowicie Przepaska była premjowana w 10 kopiejkach, Oczko i Kurogwiazdki w 15 kopiejkach, Plamki w 20 kopiejkach i Jodełka, która się szczególnie odznaczyła pod wieczór, zdobywając wiele jaj dla swego właściciela, ~~[illegible]~~ została mianowana pogromcą i premjowana w 25 kopiejkach. Kto zdobywał jajko premjowane, ten zdobywał zarazem premjum za nie, a tracąc jajko, tracił też premjum na rzecz tego, który je zdobył. Ostatecznie premje posiedli ci, którzy w końcu gry byli właścicielami odpowiednich jajek. Dzieci były rozbawione i gra szła nader ochoczo.

Dzień był śliczny. W cieniu było 18 stopni Réaumura, w słońcu upał, powietrze parne. Atmosfera pełna życia. ~~[illegible]~~ Roślinność w ogrodzie się rozwija, drzewa zielenieją coraz bardziej. Już cały las Kumszański, który przed dwoma dniami był jeszcze czarny, pokrył się subtelną zielonością młodych listków brzozowych. Żaby bez ustanku rzechoczą, kukułka zakukała gdzieś zdala. W oficynie wśród parobków i dziewcząt wesoło wre życie świąteczne. Gra muzyka harmonijki, skrzypiec i trąbek, ~~[illegible]~~ przez dzień cały i do późnej nocy tańce, [illegible] radośnie głosy młodzieży, często śpiewy chóralne. A za oficyną na wzgórku przy [illegible] grupa parobków taczają jaja kolorowe z korytka z kory drzewnej. Święta zwartego [illegible]. [illegible]

14/(27) kwietnia. rok 1913. Niedziela.

15 (28) kwietnia, rok 1913, poniedziałek.

Zabawa taczania jajek i gra w krokieta — były w dalszym ciągu. Chodziłem też na spacer, co o tej porze roku sprawia wielką przyjemność. Dzień byłby zeszedł równo, spokojnie, gdyby po obiedzie nie nastąpiła nagła zmiana w projektach. Mianowicie o godz. 5 przyjechał z Kowaliszek Papa z gotowym projektem, a raczej nakazem, abyśmy z Marynią jechali natychmiast do Kowaliszek, z powodu że O'Rourke'owie jutro pociągiem wieczornym stamtąd wyjeżdżają. My z Marynią projektowaliśmy tam jechać jutro rano, żebyśmy i O'Rourke-ów jeszcze zastali i przenocowali w Kowaliszkach, albowiem na pojutrze muszę być w interesie w Bokiszkach. Papa wszakże z takim impetem zarządził, abyśmy jechali natychmiast, że żadnych naszych perswazji i względów nie myślał słuchać. Powiedział, że się ułożył z Komorowskimi, iż nas odeśle do Abel na pociąg wieczorny, którym pojedziemy do Bokiszek, gdzie na stacji będą nas czekały konie kowaliskie. Gdym próbował przekładać Papie moje względy przeciwko projektowi, Papa się irytował i nalegał, że tak jest projekt ułożony i tak być powinno. Nie projekt Papy, ale ton rozkazujący i bezwzględny zniecierpliwiły mię tak, że wybuchłem wymówką, iż Papa się nami rozporządza, jak małymi dziećmi. Oberwałem za to burę, bo Papa się zakłuł, wpadł w gniew, rzucił się do mnie z krzykiem, żem śmiem tak mówić, słowem — biedny Papa urządził scenę gwałtowną, wybuchł krzykiem i wybiegł sam z pokoju w najwyższej pasji. Nie chciałem się już oczywiście sprzeciwiać woli biednego Papy ani mu sprawiać przykrości i drażnić w kwestii zresztą tak w gruncie rzeczy błahej. Wiem, że biedny Papa jest słaby i że ta arbitralność i ten ton rozkazujący despoty — to tylko taki sobie fajerwerk samowoli, który maskuje właściwie nieśmiałość i wielką delikatność jego. Poszedłem więc się przebrać i przygotować do jazdy, a potym pocałowałem Papę w rękę i prosiłem, aby się nie gniewał i wiedział, że naturalnie się do jego życzenia zastosuję. Natychmiast też pojechaliśmy z Marynią i jej córką Ewą, ale nie do Abel, jeno wprost do Bokiszek na stację, gdzie spodziewaliśmy się zastać konie kowaliskie. Przyjechaliśmy parą roboczych koni, bo stajenne były zmęczone i zostały w Bohdaniszkach. Zdaje się, że dlatego głównie odesłał nas Papa tylko do Abel albo Bokiszek, ale nie wprost do Kowaliszek, że się właśnie wstydził wobec O'Rourke'ów i innych gości kowaliskich pokazać, że jedziemy końmi roboczymi. W Bokiszkach na stacji koni kowaliskich nie zastaliśmy. Czekaliśmy dość długo, wreszcie i pociąg, idący z Abel, przeszedł, a koni ani śladu. Stacja była pełna pijaków i próżniaków świątecznych. Przyglądaliśmy się ciekawym obrazowym scenkom w grupach pijackich, młodzieży flirtującej, dzieci zabawiających itd. i nie nudziliśmy się wcale. Ale czas biegł, a koni nie było. Nasze konie były już odprawione, furmanek po przyjściu do pociągu już nie było. Widząc, że dłużej czekanie tu będzie bezpłodne, zaczęliśmy się przejść w stronę Kowaliszek pieszo, zawiadomiwszy na stacji, którą drogą idziemy, aby na wypadek przyjścia koni powiedziano furmanowi, gdzie ma nas nadpędzić. Potem, [illegible] doszliśmy do wsi Pogrużdzia. Marynia była już zmęczona i dalej iść nie chciała, bo dalej i droga jest kiepska. Wobec tego dalej poszedłem pieszo sam. Moje niespodziane ukazanie się zrobiło zdziwienie w Kowaliszkach. Okazało się, że się nas tam nie spodziewano wcale i nic o projekcie Papy o naszej jeździe — ani słychu. Zaraz posłano konie po Marynię do Pogrużdzia i sprowadzono

108.

16 (29) kwietnia, rok 1913. Wtorek.

W Kowaliszkach zastaliśmy jeszcze wszystkich gości święte-
cznych. Oprócz domowych, t. j. Zysia, Elizki, Hektora, Julka i
małej Mylusi, i oprócz nas, którzyśmy przyjechali z Bohdanisz-
ek, to znaczy Maryni z córką Ewą i Madzią, był jeszcze Karol
O'Rourke, Marynia O'Rourke'owa, p. Czesław Kownatowski, właści-
ciel Podbirż z powiatu poniewieskiego, jego żona Mielżyńska z do-
mu, p. Witold Moryński, pani Krystyna Moryńska, siostra Zysia,
i dzieci ich — Miecio, Felek i mały najmłodszy, kilkoletni,
którego imienia nie pamiętam. Oprócz tych gości był jeszcze wczoraj wie-
czorem p. Jan Przeździecki z Bakszt, gwiazda naszego ziemiaństwa. Teraz
stopniowo p. Przeździecki zyskuje w moim przekonaniu. Gdy się lepiej przyglądam
jego działalności w naszych stronach, to jednak widzę, że pomimo wielkich [illegible]
[illegible], ma on też niewątpliwe zasługi. Naogół jest on dla mnie niesym-
patyczny, ale nie mogę mu odmówić pewnego uznania. Prawda, że jest on dla
włościan miejscowych w zakresie stosunków gospodarczych ciężki, że jest twardy dla
nich i krzywdzi, może nie zdając sobie nawet sprawy z tego, bo jest przeciwnikiem
wszelkiej jakiejś troskliwości czy specjalnej względności dla włościan, uwa-
żając takową za [illegible]. Przeździecki uważa, i ma poniekąd słuszność, że
największą szkodą dla włościan jest nie jakaś pomoc im udzielana, ale właśnie wyro-
bienie w nich poczucia, że każdy winien sam swego interesu dochodzić i na nim się
opierać. Uważa, że poczucia te najlepiej się wyrobią wtedy, gdy włościanie zobaczą, że
sąsiedzi ich wcale na nich nie zważają i uwzględniają tylko potrzeby i interesa choćby
z ich szkodą, gdy to jest dla nich dobre. Przeździecki zerwał ze wszelką tradycją pa-
triarchalizmu w stosunkach dworu z wsią a jednocześnie nie jest przeciwnikiem chłop-
omaństwa i specjalnych sympatii ludowych. Staje on na stopie równego z rów-
nym w stosunkach gospodarczych z włościanami, a że jest oczywiście silniejszy,
więc równość tę wyzyskuje bezwzględnie na swą korzyść. Zapewne, że takie stanowisko
równości formalnej przy nierówności faktycznej i przy forsowaniu li tylko interesu
własnego, nie łagodzonego żadnemi względami sprawiedliwości i sympatji, jest w
skutkach swoich bardzo uciążliwe dla włościan w ich stosunkach z dworem, ale
niewątpliwie ma to przynajmniej tę zaletę, że nie ma w sobie obłudy. Zresztą Prze-
ździecki jest pod tym względem istotnie szczery, bo tak pojmuje swoje obowiązki oby-
watelskie. W stosunkach gospodarczych uważa on siebie za wielkiego właściciela
— i tylko; rolę swą, jako takiego, pełni, bez udrapowania się w pozory dobroczyń-
cy. Ale o ile w stosunkach gospodarczych hołduje on zasadzie równości formalnej na
podstawie czynnika konkurencji interesów, o tyle w stosunkach towarzyskich i [illegible]
towarzyskich [illegible] nie jest wolny od dumy i próżności. Uważa siebie za rasę lep-
szą od ogółu ludzkości i nie potrafi [illegible] w wyniosłości otoczenia. Nie żąda sp-
ecjalnego uszanowania, ale jest rozpieszczony tą atmosferą uniżoności, która fakty-
cznie go otacza, i biorąc to za rzecz naturalną, że hołd należny, sfera ziemiańska
że bardziej od włościan manifestuje swą uniżoność wobec Przeździeckiego i wysila się
w kadzeniu mu i pochlebstwach; Przeździecki się na tym poznaje i, biorąc to za hołd
naturalny i należny, jest pełny pogardy dla natury ludzkiej, dla której ma więcej
szacunku dla pieniędzy i zaszczytów. Ludzi wielkich mało Przeździecki spotyka.
Stąd płynie pewien zbytek zarozumiałości i [illegible] pogardy w traktowaniu
ludzi, [illegible] cechujące Przeździeckiego. Skądinąd zaś tak Przeździecki, jak jego żona,
kapitalistka z domu, bynajmniej nie są obcy custom społeczno-obywatelskim. W pa-
[illegible] Przeździecki jest zawsze czynny, nie żałuje czasu i wysiłków. W zakresie
społecznych potrzeb ludowych wszelkie zapoczątkowania zbiorowe znajdują w nim
poparcie chętne. Czy to chodzi o towarzystwa oświatowe litewskie, czy o organiza-
cję dobroczynności, czy o ruch spółdzielczy, czy o straż ogniową, zawsze Przeździe-
cki udziela poparcia tak materjalnego, jak czynnego, o ile zachodzi potrzeba.
Żona jego też zajmuje się rozwojem drobnego przemysłu ludowego, szkolnictwa
[illegible] dla ludu i t. d. Słowem — oboje robią dużo i nietylko na rzecz swego
interesu osobistego czy klasowego. Zbyt dumny i zarozumiały, zbyt głęboki Prze-
ździecki nie jest, co zaś mię w nim najbardziej razi, to niechęć i pogarda
dla kraju, w którym mieszka, i kultury oraz narodowości ludu naszego. Wła-
[illegible] bardziej od niego nie lekceważy i nie pogardza tą Litwą i kulturą naro-
dową litewską, która choć nie sięga jeszcze szczytów cywilizacji europejskiej, jednak
rozwija się i podnosi stale a zasługuje na to, że jest dziełem zbiorowego spółpracownictwa całego ludu. [illegible]
[illegible] nie mogę mu odmówić wielu zalet i zasług w porównaniu z innymi ludźmi [illegible]
[illegible] i najdzielniejszych od niego. [illegible] stanowisko [illegible]
[illegible] [illegible] ich. To nie jest Przeździeckim [illegible] [illegible]
[illegible] jest zupełnie innym typem [illegible] [illegible]
[illegible] jest [illegible] zupełnie [illegible]

17 (30) kwietnia rok 1913. Środa.

Rano wyjechaliśmy z Marynią i Ewą (Helcią) z Kowaliszek. Ja miałem kilka interesów adwokackich w Rakiszkach, więc musiałem się tam na kilka godzin zatrzymać, Marynia zaś pojechała z Rakiszek do Pojodupia do fabryczki sukna p. Trzeciaka dla zamiany wełny bohdaniskiej na sukno.

Zaszedłem w Rakiszkach przedewszystkiem do proboszcza ks. Jankowskiego, który się zawsze do mnie zwraca po rozmaite porady prawne i skierowuje do mnie rozmaitych interesantów – włościan. Ks. Jankowski ufa mi bardzo i jest ze mną w jaknajlepszych stosunkach. Jest to człowiek bardzo uczciwy, skromny, szczerze oddany swoim obowiązkom, które traktuje nietylko jako wypełnianie wymogów kultu religijnego, ale też jako posługi obywatelskie na rzecz wszelkich potrzeb zbiorowych swych parafjan. Jest on klerykałem niewątpliwie, w tym znaczeniu, że nie ogranicza kapłaństwa do kultu, lecz je uważa za powołanie do naturalnego przewodnictwa i kierownictwa wszystkich spraw społecznych parafii. Dlatego uważa on za szkodliwą wszelką akcję elementów radykalnych, które chcą lud i sprawy jego wyzwolić z pod władzy i dominacji kleru; dlatego występuje ostro i zwalcza agitację demokratów czyli ludowców litewskich i zakazuje z ambony czytania pism takich, jak „Lietuvos Žinios” i szczególnie „Lietuvos Ūkininkas”; dlatego też ustosunkowuje się podejrzliwie i niechętnie do wszelkich wpływów na lud – nielicznych miejscowych litewskich inteligentów świeckich, jak Petrulis, przeciwko któremu wiódł kampanję śród włościan, aby go nie wybierano do Dumy, na starszynę, na sędziego gminnego i t.d., domyślając się w nim ukrytego demokratę-ludowca, pragnącego uszczuplić przywileje kleru do kierownictwa ludem. Ale ks. Jankowski, będąc klerykałem, jest nim w znaczeniu dodatnim; chodzi mu mianowicie o wpływ kleru nie w interesie tegoż kleru, nie dla względów kastowych, ale li tylko w interesie samego ludu; wierzy on szczerze i mocno, że kler może być tą siłą bezstronną, wolną od względów na interes osobisty czy kastowy, która szczerze i bezinteresownie prowadzić będzie lud po drodze kultury, oświaty i dobrobytu gospodarczego oraz doskonalenia moralnego. Sam jest on szczytnie takim i wierzy w tę bezinteresowną szczytną misję kapłańską w społeczeństwie ludzkiem. Klerykalizm jego jest głęboko aktem ufności i ofiary, powołaniem kierownictwa i służenia dobru ogólnemu i ludowi. Jest to człowiek wielkiej cnoty i prawdziwej zasługi. Czyny jego odpowiadają ściśle słowom, wierze i przekonaniom. A czynny jest zawsze i zawsze dla dobra ogólnego parafjan. We wszystkiem niemal, co się w Rakiszkach robi w dziedzinie zbiorowej, ks. Jankowski bierze udział czynny. Jest kierownikiem rakiskiego wydziału towarzystwa „Trzeźwość” („Blaivybė”) i jego to staraniem założona tu została herbaciarnia i czytelnia tego towarzystwa. Stoi też na czele miejscowego wydziału towarzystwa oświatowego litewskiego „Saulė”, które utrzymuje szkółkę ludową przy stacji kolejowej. W innych stowarzyszeniach i akcjach zbiorowych bierze też udział czynny. Stworzenie wszakże jego zasługą w dziedzinie kulturalno-społecznej życia miejscowego jest zorganizowanie bardzo ważnej instytucji, jaką jest rakiskie katolickie towarzystwo dobroczynności. Jest to akcja pierwszorzędnej wagi – znakomita organizacja na wzór angielskiej organizacji dobroczynności parafjalno-gminnej. Towarzystwo zostało założone na całą parafję rakiską. W każdej większej wsi są mianowani dwaj mężowie zaufania, kurator i wice-kurator, którzy dostarczają zarządowi towarzystwa dokładnych informacji o osobach ubogich i potrzebujących zapomogi oraz służą do sprawdzania stanu ubóstwa osób zgłaszających się o wsparcie do zarządu. Kuratorów takich jest dwóch dlatego, żeby się wzajemnie kontrolować i żeby zyskać gwarancję przeciwko możliwej protekcji. W mniejszych wioseczkach z kilkoma zagrodami jest tylko jeden kurator, zaś zaścianki łączą się po kilka na jednego kuratora. Zarząd centralny składa się z ks. Jankowskiego (skarbnika i właściwego wykonawcy całej roboty), p. Jana Przeździeckiego (prezesa), panny Michałowskiej (sekretarki) i zdaje się jeszcze paru osób. W miasteczku towarzystwo utrzymuje stały przytułek dla ubogich z całej parafji, mieszczący się w domu, ofiarowanym przez p. Przeździeckiego. W przytułku jest [illegible] dziesięciu pensjonarzy obojga płci w chwili obecnej. Większość jest ludzi starych, [illegible], kilka [illegible]. Ludzie ci mieszczą się we wspólnych lokalach, osobno kobiety, osobno mężczyźni, zaś stadła rodzinne mają każde osobny pokoik. Ci, którzy mogą pracować, pracują potrochu (szyją, pierze i t.p.); 1/3 części zarobku oddaje się im do rąk, 2/3 idą na rzecz przytułku. Przytułek ma kilka krów własnych, własnego konia, sprzęt[illegible]

18 kwietnia.
1 maja.
rok 1913.
czwartek.

Wrócę jeszcze do dnia wczorajszego, ale już nie do ks. Jankowskiego i jego akcji społecznej. Chcę tu o czym innym pomówić. Dzień mój wczorajszy w Bokiszkach był dniem adwokackim. Oprócz porad prawnych i spraw, które mi zlecił ks. Jankowski, miałem jeszcze porady i sprawy zlecone przez zarząd tak zwanego „banku" bokiskiego, właściwie Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, funkcjonującego na zasadach kooperacyjnych. Byłem umyślnie wezwany na dzień wczorajszy do Bokiszek przez zarząd tego towarzystwa na sesję do spraw prawnych. Wywiązałem się z tego zadania niezle i przyjąłem do prowadzenia kilka wyskiwań, zresztą bardzo uciążliwych i niepewnych. Gdy się wejrzy w sprawy tego towarzystwa, to włosy powstają na głowie ze zgrozy i obrzydzenia, widząc kradzieże i szalbierstwa, które się tam przez dziesiątki lat uprawiały. „Bank" spółdzielczy bokiski istnieje od lat kilkudziesięciu (zdaje się, że założony został w 70-tych latach ubiegłego stulecia); jest to ten sam bank, który w r. 1888 czy 1889 okradziony został przez Antoszewskiego; kradzież ta była swego czasu bardzo głośna i skandaliczna. Antoszewski był żonaty z Komorowską (żona jego była moją chrzestną matką), rodzoną siostrą nieboszczki pani Felicji Piotrowej Komorowskiej z Rodkun, matki mego szwagra Zygmunta; dzierżawił on od swego szwagra, Piotra Komorowskiego, Kowaliszki i był ogólnym szacunkiem ogólnym ziemian i ludu; uchodził za człowieka nieposzlakowanej prawości i uczciwości; był to istotnie człowiek rozumny, pracowity i dzielny; on to przez wiele lat był w zarządzie bokiskiego „banku" spółdzielczego i faktycznie on jeden w „banku" pracował, jeden na barkach swoich całą robotę dźwigał. Za jego administracji kooperatywa kredytowa bokiska rozwijała się dobrze, — były to jej świetne czasy; w interesach był ład, administracja była sprężysta, zaufanie ludności do instytucji było zupełne; operacje szły pomyślnie, lud składał do „banku" swe oszczędności, z których gromadziły się kapitały, i obrót pieniężny rósł. Antoszewskiemu tak wierzono, że na kontrolę nie zwracano uwagi; ~~kooperatywa stała się~~ Antoszewski był niemal samowładnym panem kooperatywy ~~[illegible]~~; aż oto nagle rozeszła się wieść skandaliczna o kradzieży Antoszewskiego; skradł on kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy i uciekł zagranicę i za morze do Ameryki ze swą kochanką, Marysią, praczką, porzuciwszy żonę. Wszelkie poszukiwania okazały się płonne. Później ogarnęło [illegible]. ~~[illegible]~~ Zbrodnia Antoszewskiego była nietylko zbrodnią samą przez się, ale i olbrzymią krzywdą społeczną, bo pieniądze skradzione pochodziły z kopiejkowych oszczędności ~~[illegible]~~ ubogiej pracującej ludności. Na tym się klęski instytucji nie skończyły. Jej dzieje dalsze — to jeden ciąg martyrologii. Po kilku latach konsternacji i kłopotów rządów zorganizował się nowy zarząd i instytucja miała znowu stanąć na nogi. Do nowego zarządu wchodzili między innymi p. Rudolf Kościałkowski, Onufry Kupść, Antoni Weyssenhoff i inni. Zdaje się, że należał też Henryk Kościałkowski z Wysokiego Dworu (zamordowany przed 3 czy 4 laty przez żonę i syna w sposób okrutny). Trzewagę w zarządzie mieli ziemianie. Nazywało się, że wypełniają oni obowiązek ~~społeczny~~ obywatelski, że wykonywają pracę społeczną. W istocie zaczęli okradać oni instytucję systematycznie, przez cały szereg lat swego zarządu, aż po r. 1903, gdy niespodziewana rewizja rządowa wyciągła na wierzch i wybuchł nagle nowy skandal. Z ziemian zdaje się, że tylko jeden Weyssenhoff nie kradł, ale że był safandułą, więc go koledzy tolerowali, a on się niczego nie domyślał. Różnica z Antoszewskim była ta, że gdy Antoszewski przez szereg lat prowadził interesa dobrze i wzorowo uczciwie, a potym wprost ukradł i uciekł, ci nowi panowie-gospodarze prowadzili sprawy najniedołężniej, usystematyzowali bezład, zaniedbywali proces, i chociaż nie kradli wprost, ale operowali malwersacjami na korzyść własną. To znaczy, że nie popełnili kradzieży, ale popełniali ciągłe oszustwo systematyczne. Nie zwracali do kasy zwróconych i brakujących pieniędzy, opuszczali pozycje w księgach, zaciągali pożyczki na podstawione osoby i t. d. Po prostu ohyda, — do jakiej demoralizacji ci ludzie doszli. Niespodziewana rewizja ujawniła nadużycia. Zarząd został usunięty i oczywiście ci panowie musieli pokryć niedobory i należności, wynikające z ich nadużyć. Tylko jeden p. Rudolf Kościałkowski postąpił wtedy uczciwie. Zaprzestał żyć bardzo skromnie, [illegible] się na wszystkim i spłacał przez szereg lat potrzebny mu dług, spowodowany przez popełnione nadużycia. Teraz po jego śmierci żona w dalszym ciągu spłaca. Ten się rehabilitował. Kupść pośpiesznie [illegible]. Wyjechał do Rosji, majątek swój, Krosity, obarczył dodatkowymi fikcyjnymi długami i doprowadził do wystawienia go na licytację; a z licytacji kupił go jego syn rodzony, uwalniając się w ten sposób od spłacenia długów i w szczególności „bankowi" bokiskiemu, inwentarz zaś i ruchomości sprzedał fikcyjnie bratu, p. Adamowi z Węgierzyna. Dziś i Onufry i Adam umarli, a syn Onufrego nie płaci, choć może. Nie mniej brzydkich nadużyć popełnił nieboszczyk Henryk Kościałkowski, za które też teraz wszystkie należności od spadkobierców jego. Taka była filantropia „obywatelska" i „praca społeczna" naszych ziemian w Bokiszkach — poprostu miała charakter [illegible] przez lat kilka, chociaż kradzieży, jednak wciąż trwał bezład i gospodarka chaotyczna. Teraz jest [illegible] zarząd; z Kraśnickim, z [illegible] Gruliszem na czele, który chce się zebrać energicznie i stanowczo do sanacji gospodarki „banku". Trzeba mieć nadzieję, że dopiero teraz, po odrzuceniu jarzma „opieki" pańskiej, instytucja może ożyje, choć dziś jest ona zachwiana i niepewna.

19 kwietnia.
2 maja.
rok 1913.
piątek.

Rano wyjechałem z Bohdaniszek do Wilna. Jechałem razem z p. Stasiem Jabłońskim, małym korepetytorem Stefusia, który też wracał do Wilna. Całą niemal drogę, to znaczy cały dzień, czytałem. O godz. 7 wieczór byłem w Wilnie. W domu zastałem 2 listy Anny. Jeden, wcześniejszy, zwiastował jaknajlepsze nowiny. Cały list utrzymany w tonie wesołym, pełny radości z powodu zbliżającego się dnia powrotu do Wilna. Anna pisze, że się w poprzednim liście pomyliła, wskazując datę wyjazdu z Teodozji na 4 maja. Doktor pozwala jej wyjechać 25 kwietnia. Anna zapytuje, czy mogę jechać z Teodozji do Kijowa, gdzie się mam z nią spotkać, nie zwykłą drogą lądową, lecz morzem przez Odessę. Po przeczytaniu tego listu zacząłem już kombinować, jak się mam urządzić, aby się skomunikować z Anną co do spotkania się, ciesząc się, że to już tak prędko nastąpi. Ale zaraz wziąłem do rąk drugi list i ten mię rozczarował i oblał ~~zimną~~ jak zimną wodą. Anna pisze w nim, że była zupełnie zdrowa, gdy oto nagle od dwóch dni czuje się bardzo źle, jest chora i słaba i sama nie wie, co jej jest. Nie wspomina o zmianie projektu co do terminu wyjazdu, ale oczywiście z tego, że jest chora, należy się domyślać, że projekty są w tej chwili w zawieszeniu. To mię znów zaniepokoiło i jednocześnie pomięszało szyki. Ten drugi list Anny jest datowany 9 kwietnia, to znaczy we wtorek w wielkim tygodniu. Odtąd 10 dni upłynęło, — niewiadomo, jak jest teraz ze zdrowiem Anny. Żadnych późniejszych wiadomości nie ma. Ponieważ już mało czasu zostaje do ewentualnego terminu wyjazdu Anny, a muszę się prędko zorjentować i zadecydować o detalach mego wyjazdu z Wilna na jej spotkanie i dnia spotkania w Kijowie, ~~więc~~ zwłaszcza że mam jutro jeszcze jechać do Wiarowca, więc zatelegrafowałem teraz do Anny z odpowiedzią opłaconą, zapytując, jak jest z jej zdrowiem i kiedy zamierza wyjechać z Teodozji.

20 kwietnia
3 maja
rok 1913.
sobota.

Koło południa przyszła odpowiedź od Anny na moją wczorajszą nocną depeszę. Na zapytanie o zdrowie nic Anna nie odpowiada, jeno telegrafuje, że wkrótce przyjedzie i prosi o przysłanie pieniędzy. Oczywiście stan zdrowia jest zadowalniający i nic już obecnie nie stoi na przeszkodzie do powrotu. Pieniądze dziś Annie wysłałem, jako też list, w którym dałem jej szczegółowe instrukcje co do zawiadomienia mię o wyjeździe i sposobach skomunikowania się dla spotkania naszego w Kijowie. Sądzę, że po otrzymaniu pieniędzy, to znaczy już za kilka dni, Anna wyjedzie i że pod koniec przyszłego tygodnia pojadę już do Kijowa na jej spotkanie.

Z powodu oczekiwania na depeszę Anny nie mogłem wyjechać rannym pociągiem do Radomkowicz. Musiałem wyjazd odłożyć do pociągu wieczornego.

Skorzystałem z czasu, aby, prócz załatwienia kilku interesów, zwiedzić wystawę prac dziecinnych, która się dziś zamyka. Właściwa nazwa tej wystawy jest: „Sztuka w życiu dziecka". Wystawa jest urządzona staraniem Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego w lokalu szkoły rysunkowej p. Rybakowa. Jest na niej reprezentowana twórczość artystyczna dzieci ~~[illegible]~~ do lat 14, ponadto dział wydawnictw dziecinnych i zabawek. Wystawa jest bardzo ciekawa, mnie zaś interesuje specjalnie ze względu na to, że wystawione są na niej rysunki siostrzeńca mego, synka Maryni, kochanego Stefusia Römera. Zdolności Stefusia są wybitne; szczególnie ciekawe są jego niepospolite kompozycje architektoniczne, nierzadko oryginalne w pomyśle, pełne fantazji z dokładnym zachowaniem harmonii ~~[illegible]~~ specjalnego stylu i proporcji kształtów, a wykonane ~~[illegible]~~ bardzo ładnie pod względem techniki ~~[illegible]~~ rysunku. Rysunki Stefusia wyróżniają się na wystawie z setek innych eksponatów. Uważałem, że publiczność, która dziś bardzo licznie była na wystawie zgromadzona, zwraca szczególną uwagę na rysunki Stefusia; słyszałem ludzi, wyrażających podziw dla oryginalności ~~[illegible]~~ jego kompozycji, zachwycających się niemi i wróżących mu wielką przyszłość. Niektórzy powątpiewali, czy kompozycje te są istotnie samodzielne, czy nie są to kopje z jakichś wzorów. Eksponatów na wystawie mnóstwo. Od nieudolnych, bardzo prymitywnych prób rysunkowych małych ~~[illegible]~~ kilkuletnich dzieci do wcale wyrobionych i mających wyraźne znamiona talentu utworów innych dzieci — wszystko jest reprezentowane. Bardzo ciekawe są rzeczy z działu niby, wycinanek i t. d. dziecinnych. Znakomite pod względem pedagogiki estetycznej są ~~[illegible]~~ wykonywane w niektórych ochronkach dla dzieci t. zw. „ogródkach" dziecięcych grupy plastyczne, wykonywane przez dzieci i obrazujące ~~[illegible]~~ rozmaite tematy z bajek. Są to rozmaite pejzaże, obrazki, sceny rodzajowe z bajek. Są czynione w ~~[illegible]~~ grupach niby, przyozdobione [illegible] z bajek i plastycznymi dodatkami, wycinankami, ~~[illegible]~~ ozdobieniami i t. d. Całość wystawy otwiera nam świat duszy dziecinnej, odtwarzającej w kształtach plastycznych swoje wrażenia, tęsknoty, rojenia, ~~[illegible]~~ wszystko do wyrazu, słowem — [illegible] się człowieka. O poszczególnych eksponatach dużoby się też dało powiedzieć.

Pociągiem wieczornym wyjechałem z Wilna. Koło godz. 11 byłem w Radomkowiczach. Jasiek z końmi czekał na mnie. Noc była pogodna, dość ciepła. Nie chciałem więc nocować nigdzie i pojechałem wprost do [illegible]. Powietrze nocne, przesycone było cudownym zapachem wiosny, pękających pączków drzewnych i młodych listków. Było [illegible], jak w oranżerji; nad rzeczką, w [illegible], słowiki śpiewały przeciągle w wiosennej pachnącej ciszy nocnej. Gdzieniegdzie sowa przeciągle hukała. Noc mi cała zeszła na jeździe. Od Bakszt zaczęło już potrochę dnieć. W rzeczce przed Bohdaniszkami świtanie zaczęło już na dobre rozwidniać powietrze i ziemię. Zerwały się z ciemności śpiewy skowronków, wybijające z pieśnią coraz wyżej, w krzakach i laskach zaczął się świergot i szczebiot rozmaitego drobiazgu ptasiego, zdaleka odzywały się już kukułki.

21 kwietnia / 4 maja. rok 1913. niedziela.

Po nocy, spędzonej na wózku, przespałem cały ranek i wstałem dopiero koło godz. 2. Przeszedłem się po lesie, obejrzałem całą gospodarczkę, wydałem dyspozycje Bziesiekierskiemu, umówiłem Hrynkiewicza do sztukowania ścian w moim pokoju, — i na tym zeszła mi reszta dnia. Dokoła domku mego w Wiarowcu wiosna utworzyła śliczne tło dekoracyjne. Polanka, na której wzgórku stoi nasz domek, otoczona jest lasem mięszanym z sosen, jodeł i brzóz. Te ostatnie w prześliczny sposób mięszają swoją świeżą, lekką zieleń młodych subtelnych listków z ciemną barwą iglastego lasu. Zwłaszcza piękny jest widok na dom z łączki, przecinającej wpoprzek sam środek polanki. Domek zarysowuje się wtedy na tle młodnika sosnowo-brzozowego. Brzózki w młodniku są bardzo wysokie, wysmukłe, jak kolumny, mają przepyszne kształty drzew z obrazów Böcklina. Wewnątrz pokój mój jest wygodnie urządzony i podłoga jest świeżutko pomalowana. Używam tu prawdziwej rozkoszy wiejskiej. Napawam się widokiem, wonią przepyszną, piję trunek leśny, — sok brzozowy, którego kwas dziki łagodzę przez pomięszanie go z miodem. Wieczorem po ciepłym dniu słonecznym powietrze w mej polance leśnej przepełnione było upajającym zapachem młodej roślinności wiosennej. Co jest piękniejszego od tego skojarzenia wiosennych wdzięków naszej natury rodzimej w barwie, kształtach i zapachu! Chyba tylko kobieta może dla nas, ludzi, mieć przewagę piękna nad naturą. Zaiste mam w mej polance leśnej Wiarowca cudowne piękno. Widoczek ten jest swego rodzaju stylowym arcydziełem naszej natury krajowej.

22 kwietnia – 5 maja, rok 1913. poniedziałek.

Dzień dziś bardzo chłodny. Sprawia wrażenie nie wiosny, ale późnej jesieni. Ostry wiatr północny dmie i studzi przenikliwie. Czy nie lody ruszyły z wielkich jezior północy — z Ładogi i Onegi? Ruch tych lodów ma znaczny wpływ na ostudzenie temperatury u nas. Ale może już tu pod Mińskiem wpływ ten nie sięga, bo bądźcobądź punkt ten jest znacznie odleglejszy od jezior północnych, niż okolice Litwy północnej, Semigalii i Inflant, to znaczy mniej więcej powyżej [illegible], która w moim pojęciu z przyzwyczajenia służy zwykle za kryterjum miarodajne do określania warunków klimatycznych w kraju naszym. Zapominamy zwykle, że kraj ten, — Litwa i Białoruś, — przez samą rozległość swoją nie może mieć klimatu jednolitego i że [illegible] klimatyczna strefa dyneburska, do której należą Bohdaniszki, w żadnym razie za typową dla całego kraju uważaną być nie może.

Z powodu chłodu umilkły ptaszki i jedna tylko nieznośna zięba, wróżka uporczywa chłodu i niepogody, dokuczliwa zwiastunka rzeczy niemiłych, nie milknie. Deszczu nie było, ale niebo całe zasnute jednostajnemi chmurami. W chłodzie i pod niebem pochmurnym nietylko się doznaje wrażenia zimna i wilgoci, ale i wrażenia wzrokowe się zmieniają. Barwy się zagęszczają w tonie posępnym i widok ogólny natury staje się bardziej dziki i ponuro-tragiczny. Ma to swój urok szczególnego piękna, właściwego naturze północnej. Młoda wiosenna zieloność listków drzew, która się wczoraj zdawała tak lekka i subtelna, dziś zaś pokryta od nieba twardych odcieni ołowianych i stała się w wyrazie ciężką, posępną, złą.

W lesie powstał z nastaniem wiosny ruch. Teraz główna robota dokonywa się w kierunku sprzątania i oczyszczania zaśmieconego przez cięcie zimowe lasu. Włościanie mrowią się po lesie, gromadząc grubsze gałęzie i żerdzie, a chrust drobniejszy palą. Oczyszczanie odbywa się na rozmaitych warunkach, zależnie od tego, co się sprząta. Stosiki chrustu, ga[illegible] i [illegible] płoną na ziemi, rozściełając dym po lesie. Obserwowałem dziś oryginalny zwyczaj włościan, z jakiegoś przesądu pochodzący. Paląc stos chrustu, świszczą krótkiem urywanym świstem, podobnym trochę do tego, jaki się używa przy pojeniu koni dla zachęcania ich do picia, a przypomina najczęściej [illegible] rżenie młodego źrebięcia, słyszane zdaleka. Dowiedziałem się, że to świstanie służy do wywoływania wiatru dla rozniecenia płomienia ognia w [illegible] zapalonym stosie. Włościanie, mówiąc o tym, sami z tego żartują i widocznie nie bardzo już wierzą w skuteczność tego zaklęcia wiatru na ogień, ale jednak robią to: oczywiście zwyczaj, jak to zwykle bywa, przeżył swą własną podstawę pierwotną, z jakichś praktyk zabobonnych płynącą, i pozostał w wyniku siłą tradycji i inercji, jako modus usus. Drobna to rzecz, ale ciekawa, jak wszystkie tego rodzaju pozostałości szczątkowe w kulturze ludzi. Kiedyś praktyki takie [illegible] musiały mieć swoje uzasadnienie i były wyrazem zastosowania pewnych spostrzeżeń i doświadczeń do potrzeb, były logicznym wiązadłem w całokształcie wierzeń i działań, — dziś są one jeno przeżytkami, z których mozolnie odczytywać możemy ślady kultury przodków naszych.

Wszystko i zawsze powoli dokoła się zmienia. Nietylko zwyczaje i kultura, ale i rzeczy fizyczne. Oto teraz zniknąć ma najbliższa sąsiedzka [illegible] z Wiazowcem osada — Zaścianki. Wiazowiec mój się w roku zeszłym rozdzielił, a sąsiednie Zaścianki idą na zagładę. Jest to mała ogrodowa osada na jedną rodzinę, — „placówka”, jak tu nazywają. Na placówce takiej, położonej na krańcach pól majątku, siedział drobny dzierżawca. Teraz Zaścianki wraz z Kosmynką przeszły na własność, po dziale rozparcelowanym — dziedzica Wołodkowicza, który usunął z Zaścianek dzierżawcę i kasuje je, wcielając do [illegible]. Z placówką tą ginie i sama nazwa Zaścianek o brzmieniu typowo litewskim, że to jakaś naiwna nieśmiała próba usadowienia się tu, na terenie białoruskim, jakiejś [illegible] litewskiej, stałej i zginie wymazana precz — w niepamięć. A ciekawe — skąd ta [illegible] dwór [illegible] z jakiego [illegible] litewskiego. I sama nazwa [illegible] polji Zaścianek, [illegible] „Mamusty” — czy nie ma w brzmieniu zawartości litewskiej. [illegible] nazwę „Mamusty” [illegible] „Mamusty”, a znanym jest faktem, że [illegible] „rz” [illegible] „rz” [illegible] odpowiednik [illegible] „rz”, jak „[illegible]” [illegible]

23 kwietnia
6 maja.
rok 1913.
wtorek.

Św. Jerzy, święto wielkie u prawosławnych, — to też w lesie ruch ustał. Ogromna większość włościan w okolicach Bohdanowiczkich — prawosławna. Takiej ilości świąt, jaką mają i obchodzą prawosławni, rzadko spotkać gdziekolwiek. Powszechnie powiadają w Europie, że kościół katolicki ma rozmaitych świąt do zbytku. Tymczasem święta katolickie wobec prawosławnych — to bagatela. Tu nietylko że świąt jest dużo, ale jeszcze większe święta świętkują się po dni kilka, czasem po tygodniu. Zwłaszcza na wsi zwyczaj świętkowania jest zachowywany do przesady. Parobcy po dworach oczywiście nie świętkują tak długo, ale włościanie z lubością przestrzegają wszelką okazję święta. Sami u siebie nie pracują i robotników nie dostarczają. Każde święto jest wykorzystane skwapliwie dla wypoczynku, zabawy, próżnowania i nadewszystko pijaństwa. Pracowitości, skrzętności gospodarczej — białorusini w ogóle nie grzeszą. Umieją pracować, lubią zarabiać, ale brak im systematyczności, brak zmysłu gospodarności. A zabawy i hulanki lubią namiętnie. Nie będę, wzorem wszystkich ziemian, potępiał zato natury białorusinów i wyrzekał na zepsucie ludu. Twierdzę, że warunki ekonomiczne i kulturalne oraz cały układ społeczny przeszłości tego kraju i ludu wpłynęły na utrwalenie się tych cech abnegacji u włościan białoruskich. Są oni temu winni, a już chyba jeśli kto, to szlachta, to ziemiaństwo ponosi największą odpowiedzialność za przeszłość kraju i za jej dzisiejsze skutki. Ale właściwie w historji niema win odosobnionych i żadnych poszczególnych ludzi i stanów społecznych nie można robić kozłami ofiarnymi procesów dziejowych.
Zwyczaj przesadnego świętkowania, który w ogóle właściwy jest prawosławiu i prawdopodobnie wieści w sobie wpływy wschodu z jego aspiracjami do próżniactwa, komplikuje się na Białej Rusi jeszcze tym, że ludność miejscowa, oprócz świąt prawosławnych, czci także większe święta katolickie i ma przeto nową okazję do świętkowania. Katolicyzm ma na Białej Rusi ogromne wpływy i znaczenie, nie tylko śród ludności katolickiej, ale i tej, która formalnie jest prawosławną, t.j. byłej unickiej. Białorusini prawosławni nie mają w naturze ani krzty fanatyzmu i prozelityzmu religijnego. Szanują oni i czczą równolegle obie religje, prawosławną i katolicką, i żadne uczulowania popów nie mogą przełamać tej tradycyjnej dwoistości religijnej chłopa białoruskiego. W absolutnej większości białorusinów nie ma i nie ma ich, dokoła w otoczeniu wszystkim — prawosławnych i katolików, który właściwie, tak jeden, jak drugi, mają takie same wierzenia i wyznają jedną religję, bo są [illegible] obu. Litwin, który przywykł do jednolitości religijnej, który widzi wszystkich takichże, jak on, włościan litwinów tylko katolików, ma większe poczucie odrębności religijnej, większy fanatyzm i wszystkich innych, a nawet chrześcijan, czy to prawosławnych, czy ewangelików, czy luterów, uważa za obcych, za heretyków, będących w błędzie i godnych potępienia boskiego i ludzkiego. Białorusin włościanin natomiast nie robi tej różnicy między prawosławnymi a katolikami. Jeszcze z czasów unji, przez szereg lat, przywykł on do utożsamiania religji obu obrządków, wschodniego i zachodniego. Tradycja ta zachowała się w ludzie i po skasowaniu unji i przyłączeniu wyznawców „przewróconych" unitów na prawosławie. W swoim białoruskim środowisku włościańskim widzi on wokół i katolików i prawosławnych, którzy właściwie niczym się nie różnią, mają te same zwyczaje, obrzędy, wierzenia, tryb życia, mowę i t.d. Jest przeto bardzo tolerancyjny i utożsamia wobec obie religje, uważając różnicę tylko za obrządkową, a w duszy uważa to zgrzytanie religji za wymysł konkurencji popów z księżmi. W dziele chętnie prawosławnych białorusinów [illegible] w dziedzinie [illegible] obrazki i poświęcenia do kościołów i [illegible] katolickie i prawosławnych [illegible] i księży i popów i mnóstwo czynników z [illegible] wpływy [illegible] pojęcia wspólnoty podstawienia, ale ostatecznie tradycyjne poczucie w pojęciu białoruskim [illegible] utrzymuje.

Wieczorem o godz. 7 wyjechałem z Bijasowca na pociąg nocny do Wilna. [illegible] Dzień był bardzo zimny, taki sam jak wczoraj. Po obiedzie i kilkakrotnie wieczorem, gdym był w drodze, padał obfity śnieg.

24 kwietnia / 7 maja
rok 1913.
środa.

Raniutko przyjechałem do Wilna. Do obiadu zajęty byłem na mieście i w domu załatwianiem interesów. Po obiedzie poświęciłem resztę dnia aż do późnego wieczora na pracę literacką. W „Lietuvos Žinios” znalazłem nadzwyczaj ciekawy, obszerny, bo aż w 3 №№ drukowany, artykuł pod tytułem „Podstawy spółżycia”, omawiający kwestję spółżycia narodowego w Litwie. Artykuł ten jest pisany z powodu artykułu Mańkowskiego (pseudonim: Jastrzębiec) pod takimże tytułem, drukowanego przed paru miesiącami w „Kurjerze Krajowym”. Mańkowski dość powierzchownie i ogólnikowo potraktował kwestję ~~sporu~~ waśni i zatargów polsko-litewskich, uważając takowe przeważnie za wytwór uprzedzeń wzajemnych, nieporozumienia, nieznajomości oraz obustronnego wichrzycielstwa elementów nacjonalistycznych. Za główne remedjum uważa on zwalczanie szowinizmu i przypisuje prasie obojga narodów moc skutecznego załagodzenia waśni i dokonania unji pojednawczej, o ile prasa ta zechce zmienić odtąd swe postępowanie i zamiast jątrzenia wzajemnego, wytęży energję do notowania nadewszystko objawów sympatycznych i dodatnich, to znaczy twórczych w rozwoju i działalności obojga narodów. Wierzy, że tą drogą, przez „złoty most” prasy, przejętej poczuciem obowiązków obywatelskich, da się zawiązać nowa „unja kulturalna” dwojga poswaśnionych chwilowo narodów. Nie zgłębia natomiast kwestji istotnych, bardzo głęboko w stosunkach historycznych, społecznych, ekonomicznych, kulturalnych i t. d. zagnieżdżonych, a także realnych czynników tego sporu i zatargu dziejowego. W odpowiedzi na to autor artykułu w „Lietuvos Žinios” kreśli wspaniałe studjum analityczne czynników sporu polsko-litewskiego oraz całego układu stosunków narodowych w Litwie, będącego wyrazem bardzo skomplikowanych procesów ekonomicznych, społecznych i etnologicznych. Autor jest daleki od szowinizmu litewskiego, od nienawiści do polaków, od uprzedzeń natury nacjonalistycznej. Nie waha się obnażyć sytuacji stosunków w całej ich treści wewnętrznej, ujawnić głębokie źródła rozdźwięków, które znamy wszyscy, ale o których przez konwenans, przez brak odwagi cywilnej, przez obawę narażenia się na brak patrjotyzmu — my tu w obozie postępowo-demokratycznym milczymy, sprowadzając rzecz całą do banalnych nieporozumień i takichże płytkich wołań o zgodę i braterstwo. Autor nietylko zgłębia istotę sporu polsko-litewskiego w jego czynnikach właściwych, ale też znakomicie rozszerza pole badania i djagnozy narodowej w Litwie, biorąc za temat kwestję spółżycia narodowego w całej rozciągłości, nie zaś tylko polsko-litewskiego. Kreśli przyczyny, dla których polacy nie mają zrozumienia prawa domagać się od litwinów jakiejś abnegacji przed [illegible] narodowemi, zaznacza względy, która dzielą polaków od litwinów, wykazuje, że akty historyczne, dokonane ongi przez klasy rządzące, nie mogą być dla spółczesnych stosunków i potrzeb demokracji miarodajne, słowem — rozwiewa śmiało iluzje, którymi się nawet demokracja polska dotychczas łudzić lubi. Jest pesymistą co do możności usunięcia waśni polsko-litewskiej w warunkach obecnych, natomiast optymistą jest, a nawet entuzjastą, gdy kreśli obraz solidarnego zespołu demokracji wszystkich narodów, nie wyłączając braterstwa demokracji polskiej z litewską. Słowa jego są przepojone wiarą głęboką w ideały ludowe i najszlachetniejsze aspiracje humanitarne. Na próżno będę tu streszczał wywody autora litewskiego. Przetłumaczyłem artykuł ten od deski do deski, uzupełniłem krótkim wstępem i zakończeniem od siebie, będącym pełnym natchnienia pod wpływem humanitarnych przejmujących myśli autora. Chciałem go oddać do „Przeglądu”, bo dla „Kurjera Kr.” jest za długi, ale w toku ~~pracy~~ roboty, porwany pragnieniem lepszej propagandy tej pięknej rzeczy, zmieniłem zamiar i postanowiłem skierować ją do „Kurjera Kr.”, bo „Kurjer” jest jako pismo codzienne, więcej czytany od „Przeglądu”, i artykuły w „Kurjerze” mają więcej charakteru opinji demokratycznej, podczas gdy artykuły „Przeglądu” mają cechę raczej wypowiadania się poszczególnych autorów. Poradzę się co do tego jutro jeszcze z [illegible]. Dawno nie czytałem w prasie tak pięknego, tak tchnącego głębokim duchem ludzkim i humanitarnym artykułu, jak ten w „Lietuvos Žinios”. W obecnych czasach reakcji, gdy ideały skarlały, artykuł ten brzmi jak fenomen, jak [illegible] odrodzony z popiołów roku 1905. Autorem jego jest [illegible], prosty włościanin litewski — samouk, nie inteligent, jeden z najwybitniejszych obecnie i najbardziej samodzielnych publicystów litewskich kierunku demokratycznego. Przed rokiem, chroniąc się od represji za [illegible] organizowanie związków litewskiej młodzieży wiejskiej, umknął za granicę i mieszka obecnie w Litwie Pruskiej. Jest to człowiek nieposzlakowany, bardzo [illegible], niezmiernie pracowity, wymagający bardzo samodzielnie i gorącego serca. Niestety — niedługo zapewne pożyje, bo jest chory na [illegible] w ostatnim stopniu rozwoju.

Po powrocie do Wilna nie zastałem dziś listu ani depeszy od Anny. Podług mego obliczenia Anna powinna była dziś otrzymać pieniądze na drogę i mój list. Zgodnie z tym listem mój musiała mi ona dać dziś depeszę z zawiadomieniem o dniu swego wyjazdu z Teodozji. Przez cały dzień czekałem tej depeszy, aż wreszcie doczekałem się na wieczór. Anna [illegible] wyjedzie z Teodozji dziś i prosi, abym ją spotkał w Kijowie w hotelu „Europa”. Musiałbym wyjechać jutro, aby ją na czas jej przyjazdu w Kijowie spotkać. Ale jutro muszę jeszcze być w Wilnie i wyjadę więc po [illegible] dopiero pojutrze, [illegible], aby [illegible] wieczorem być w Kijowie. Jutro zatelegrafuję do hotelu „Europa”, aby Annę zawiadomiono o moim przyjeździe. Gdyby zaś Anna pojechała jednak na Odessę, jak projektowała poprzednio, to może jeszcze ją w Kijowie wyprzedzę.

25 kwietnia.
8 maja.
rok 1913.
czwartek.

KM

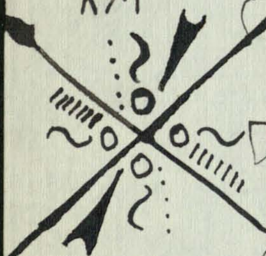

1r|8|1ż2p3l

Wpierw nim zaniosę artykuł wczorajszy (przekład artykułu Rimki z „Lietuvos Žinios”) do redakcji, zaniosłem go wpierw do Zasztowta, któremu takowy odczytałem. Chodziło mi o porozumienie się z nim, jako z człowiekiem bodaj że mnie ideowo najbliższym z pośród polaków wileńskich i jako kolegą moim z komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego”, dokąd artykuł ten skierować. Zasztowt po wysłuchaniu artykułu był nim zachwycony; i jego też przejął do głębi szczery mocny ton demokratyczny Rimki, pełny humanizmu i gorącej wiary w sprawę ludową. Zasztowt oświadczył się stanowczo za tym, aby artykuł umieścić w „Kurjerze Krajowym”, nie zaś w „Przeglądzie Wileńskim” i to nie tylko dlatego, że „Przegląd” jest mniej czytany, ale też dlatego, że „Kurjer Krajowy” jest bliższy demokracji i tego humanitarnego ludowego stanowiska, którego tak pięknym i szlachetnym wyrazem jest właśnie artykuł Rimki. W „Przeglądzie” artykuł ten byłby faktem odosobnionym, głosem pojedyńczym, informacją o nastroju litwinów, podczas gdy na szpaltach „Kurjera Krajowego” ~~[illegible]~~ stopi się on z tekstem, jako część integralna pisma, i będzie niejako zespoleniem się głosu demokratów litewskich z opinią demokracji polskiej. Zgodziłem się z Zasztowtem i zaniosłem artykuł do Mańkowskiego, któremu w obecności też Antoniego Łuckiewicza go odczytałem. Postanowiliśmy drukować go stanowczo w „Kurjerze”. Jak to wykonać technicznie, aby go umieścić na szczupłych szpaltach pisemka, — to już będzie należało do Mańkowskiego. Pozostać artykuł w całości musi, bo właśnie w całości on najlepiej występuje. Powstał projekt wydać go w Nrze niedzielnym, dodając do pisma półarkusza ponad format zwykły; dla opłacenia kosztu tego dodatku Mańkowski ma kołatać do kieszeni Zasztowta. Zasztowt — to człowiek, którego cenię niezmiernie, — znakomity nabytek dla Wilna i dla sprawy demokratycznej. Ma duże i wielostronne zdolności, ogromną energię i ruchliwość, czynny jest zawsze i ciągle, wrażliwy na wszelki ideał piękny, ~~[illegible]~~ pełny niepospolitego temperamentu, żywotny, wesoły, ofiarny. Nie filistrzeje nigdy, nie da zabagnić duszy swojej w ustawicznym ~~[illegible]~~ ociężałego sobkostwa. Ma w sobie zapał żywy, ogromną żywotność młodości; należy do tych wybrańców natury, których wiek nie ugina i nie tępi, którzy są młodzi w wieku dojrzałym i zapewne w starości. Życie w nim kipi, a zawsze w kształtach szlachetnych i pięknych. Nic go dotąd nie ostudziło, pomimo że ~~[illegible]~~ przeżył chwile rozmaite i że jest zajęty interesami i przedsiębiorstwami spekulacyjnemi, które na ogół przytępiają ideową wrażliwość ducha ludzkiego. Zasztowt — to piękny typ człowieka. Ma umysł społeczny wysoce rozwinięty, ma gorące poczucie prawdy i sprawiedliwości, ma serce na głowę gorące, lecz dobrze funkcjonujące. Spryt też ma do interesów i znajduje w nich ujście dla swej energii i potrzeby ciągłego ruchu, a do czego się bierze, ~~[illegible]~~ w tym się angażuje i oddaje całkowicie. Nie umie być połowicznym. Potrzeba ruchu i ciągłej czynności sprawia jeno tę ruchliwość w Zasztowcie, że się zbyt rozrywa i trwoni potem siły

i możność. Publicystą nie jest; do pracy społecznej jest zawsze chętny, ale nie może wszystkiemu podołać i zbyt głęboko tkwi w interesach, aby mógł się wyłącznie społecznej jakiejś jednej robocie oddać. Zresztą, nawet w interesach i przedsięwzięciach spekulacyjnych nie przestaje być człowiekiem społecznym i humanistą. W biurach, na których czele stoi, stosunki z pracownikami są wzorowo szczere, koleżeńskie, ludzkie. To samo w stosunku z robotnikami. Jest ludowcem i humanistą nie w teorii tylko, lecz w praktyce codziennej. Kocha też muzykę, wszelkie piękno artystyczne, zabawę. Zato brak mu metodyczności. To człowiek, który [illegible] dużo [illegible] z siebie, zbyt jest ekspansywny, [illegible] nutami, skokami dziećmi, nie zaś skupieniem.

26 kwietnia. / 9 maja. rok 1913. piątek.

Nastał wreszcie ten piękny i tyle oczekiwany dzień naszego połączenia się z Anną po tak długim rozstaniu. Koło 2½ miesięcy upłynęło od dnia, gdym ją pożegnał w Teodozji. Było to pierwsze tak długie rozstanie w ciągu 2 lat naszego ~~[illegible]~~ stosunku.

Z Wilna wyjechałem na spotkanie Anny do Kijowa pociągiem pośpiesznym, wychodzącym o godz. 9 z minutami rano. Jest to pociąg prostej kommunikacji, bez przesiadania w drodze, bardzo wygodny, bo się jest tegoż wieczora w Kijowie. Im bardziej się zbliżałem do Kijowa, gdzie miałem zastać moją Annę, tym większa mię ogarniała niecierpliwość, połączona z pewnym niepokojem i wzruszeniem. Nie byłem pewny, czy Annę już zastanę i czy nie wyjdzie jakieś nieporozumienie ~~mię~~ ze skommunikowaniem się ~~wszystko~~ co do hotelów. Wreszcie, jak się spotkamy, jak się poczujemy wobec siebie po przerwie tak długiej w stosunkach bezpośrednich ~~[illegible]~~ W stosunku tak ścisłym, jaki nas łączy z Anną, przerwa w obcowaniu bezpośrednim żłobi rysę głębszą, niż we wszelkim stosunku innym, bo się jest czulszym na wszelkie odcienia uczuć i wrażeń wzajemnych. Poza tym nade wszystko obchodziła mię kwestja kapitalna, kwestja ~~[illegible]~~ zdrowia Anny. W jakim stanie zdrowia ją zastanę po tym pobycie w Krymie?

Do Kijowa przyjechałem o godz. 9½ wieczorem. Z dworca kolejowego zajechałem wprost do hotelu Europejskiego podług wskazówki Anny w jej depeszy ostatniej. Od razu się dowiedziałem, że Anna już jest, ale że w tej chwili wyszła na miasto. Ponieważ Anna przyjechała przede mną i musiała się już zameldować na podstawie swego paszportu panieńskiego, więc nie mogłem oświadczyć, że jest moją żoną, i musiałem dla pozoru wziąć numer osobny, ~~[illegible]~~ w sąsiedztwie ~~[illegible]~~ pokoju Anny. Za chwilę wróciła z miasta Anna i wbiegła zdyszana do mego pokoju. Uściskaliśmy się gorąco i zaczęliśmy gawędzić. Istotnie z twarzy Anna wygląda pełniejsza i zdrowsza, niż była. W rozmowie naszej wczoraj, pomimo żeśmy się ściskali i najserdeczniej do siebie garnęli, była mimowoli pewna sztywność, — ślad rozłąki tak długiej. Dopiero gdyśmy poszli na kolację do restauracji sennego, trochęśmy się rozkochmalili i zyskali swobodę i równowagę w stosunku wzajemnym. Wszakże i potym, aż do usnięcia ostatecznego, nie zdołaliśmy ustalić całkowitej swobody i tej bezpośredniości naszego normalnego obcowania. Do końca zachował się pewien leciutki odcień sztuczności dyplomatycznej w stosunku naszym. W hotelu położyliśmy się z Anną na noc w jednym pokoju, razem do łóżka. Zobaczyłem, że jednak Anna zupełnego zdrowia nie odzyskała. Na twarzy lepiej wygląda, ale ciało ma wynędzniałe, wątłe, bynajmniej nie zdrowe i jędrne. Żal mi jej było biedaczki, żal taki, że się serce krajało, ale nie chciałem odbierać otuchy i ani pisnąłem jej o tym. Kruchość i słabe zdrowie [illegible] biedaczki, ukochanej nade wszystko Anny. Co i jak przedsięwziąć, aby ustalić jej siły, przywrócić jej moc zdrowia. Dowiedziałem się od Anny, że zamiast jej było pieniędzy, których [illegible]. Przyjechała do Kijowa z jedną kopiejką w kieszeni i, nie zastawszy mnie, musiała zastawić [illegible] w lombardzie [illegible] i [illegible] zapłacić, bo nie miała czym nawet dorożki z dworca opłacić. Doktor w Teodozji został jeszcze niezapłacony.

27 kwietnia.
10 maja.
rok 1913.
sobota.

Wstaliśmy z Anną późno po nocy niewyspanej, albowiem długo wczoraj z wieczora nie zasypialiśmy. Dziś już zupełnie się ustaliła między nami dawna harmonja i swoboda stosunku. Resztki sztywności i konwenansu prysły. Dopiero koło godz. 2-3 wyszliśmy na miasto. Chodziliśmy po ulicach Kijowa, zwiedziliśmy parę świątyń, wyróżniających się ciekawą architekturą i zdobnictwem. Tak obejrzeliśmy zewnątrz i wewnątrz bożnicę (kienasę) karaimską, zbudowaną przed laty kilkunastu w pięknym stylu mauretańskim. Zewnątrz zwłaszcza fronton świątyni jest bardzo piękny i stylowy, może nawet przeładowany mnogością szczegółów zdobniczych. Wnętrze jest niemniej piękne, stylowe w całym urządzeniu i ornamentyce, i charakterystyczne. Nasz przewodnik po świątyni, stary Karaim, szpetny i mający typowy wygląd mnicha, udzielał nam wskazówek, wyjaśniał wszystko, co zdaniem jego było godne zanotowania, szczycąc się wszelką wspaniałością i badając wrażenie, jakie na nas sprawia. Z przejęciem mówił o czystości starożytnej religji karaimów, która się wywodzi bezpośrednio z nauki Mojżeszowej, wolna od naleciałości i zboczeń fałszywych, przyjętych zdaniem jego przez żydów. Do żydów i Talmudu stosunek karaim pała nienawiścią. Pienił się, dowodząc, że to tylko oni, karaimi, są jedynymi prawymi spadkobiercami narodu Izraelskiego i tradycji Mojżeszowej i że żydzi są fałszerzami i wyrodnymi synami praojców. Nie chciał przyznać, że karaimi mają w sobie jakąś krew inną, prócz najczystszej izraelskiej, i że są mieszańcami pewnego odłamu żydów ze starożytnemi ludami czarnomorskiemi, przedewszystkiem zaś z nawróconymi na judaizm koczowniczymi chazarami. Sam zaś swym własnym wyglądem fizycznym najlepiej świadczył przeciwko słowom swoim, z fanatyzmem i zarozumiałością sekciarsko-narodową płynącym: bowiem nie rysy semickie miał w sobie, lecz jakąś rasową maskę mongolską, pomieszaną z dzikim wyrazem koczowników stepowych południa, jakich szczątki oglądamy w typach cygańskich i właśnie karaimskich. Następnie zwiedziliśmy piękny w stylu bizantyjskim duży sobór św. Włodzimierza. Wspaniałą ozdobę stanowią wewnątrz malowidła ścienne Wasniecowa. Postacie tych malowideł, ich układ cały, od kształtu i ruchu do tła dekoracyjnego, barwy subtelne, — wszystko utrzymane znakomicie w stylu sztuki cerkiewnej, pełne natchnienia i ducha mistycznego subtelnej symboliki greckiej. Długośmy zabawili z Anną w soborze, przyglądając się osobliwemu pietyzmowi snujących się po soborze rozmodlonych chłopów ukraińskich. Nastrój religijny u prawosławnych wyraża się cały w wypełnianiu pewnych czynności symboliki zewnętrznej, w symetrycznym i punktualnym wypełnianiu skomplikowanej sztuki składania Boga w określonych kształtach obrzędowych. Cały sobór pełny ołtarzyków, szczególnych ruchomych obrazów i przedmiotów kultu. Pielgrzym pobożny wędruje od jednego do drugiego, znacząc się wielkiemi znakami przeżegnania, bije pokłony przed ołtarzykami i obrazami, niektóre całuje, przed innemi zapala świeczki i tak obchodzi całą świątynię dokoła w nastroju najszczerszego rozmodlenia. Niektóre ołtarzyki i obrazy są widocznie bardziej od innych czczone, bo przed niemi wciąż się liczniejsze gromadki skupiają i gorliwiej się kłaniają a świeczek się przed niemi pali roje całe. Inne ołtarzyki są upośledzone — świeczek mało mają wcale, widocznie nie zażywają łaski, mniejszą mają u Boga potęgę i wpływ, słabiej i mniej skutecznie wstawiają się za swych wielbicieli, toteż są opuszczone i mniejszą mają klientelę. Ciekawy jest kult krzyża Zbawiciela w jednej z głównych kaplic bocznych. Dwa=

naturalnej wielkości rozpięta na krzyżu figura jest cała od pasa do dołu przykryta grubą warstwą prześlicznych ręczników, przepasek, pasków i t.d. w jaskrawych barwach ukraińskich, tworząc piękną dla oka grę deseni i barw w [illegible] zestawieniu takowych.

Anna biedaczka czuła się dzisiaj źle, zwłaszcza po obiedzie aż do wieczora. Znowu się odezwały bóle wewnętrzne, połączone z wielkiem osłabieniem. Zdaje się, że nie płuca głównie szwankują u Anny. Jeżeli coś tam było w płucach — a zapewne nie suchoty, — to musiało przez czas pobytu w Teodozji ustać. Anna nie kaszle wcale i bólu w płucach nie ma. Natomiast ma jakieś cierpienie wewnętrzne, które ją gryzie. Doktór teodozyjski określał to, jako zapalenie macicy. Leczenie pomogło doraźnie, ale nie uzdrowiło. Anna na ciele mocno zmizerniała, choć się poprawiła. Wczoraj zaś z wieczora wypiła trochę [illegible] kolacji, spać poszła późno i w nocy zaledwo się [illegible] ze mną, toteż dziś zmogło ją gorzej. [illegible] się biedaczka [illegible] tej [illegible] swojej, [illegible] jakiegoś [illegible] być silna i zdrowa. Do tego [illegible] bardzo silną. Należy [illegible] się zupełnie wstrzymać od [illegible] z niej, ale [illegible] przez chorobę nie [illegible] potrzeba.

28 kwietnia
11 maja.
rok 1913.
Niedziela.

Prawie cały dzień spędziliśmy z Anną za domem, za mieściem. Zdrowie Anny, po nocy dobrze wypoczętej, — lepsze. Bóle wczorajsze i osłabienie minęły. Postanowiłem wszakże nie dać za wygraną i, korzystając z pobytu w Kijowie, zaradzić się co do stanu zdrowia Anny u dobrego specjalisty-profesora. Jutro mamy się w tym celu zwrócić do prof. Wagnera, o ile się nam to uda, bo zazwyczaj trzeba się u niego zapisać zawczasu i czekać kolejki przez dni kilka lub tydzień. Anna zrazu gorąco protestowała przeciwko radzeniu się u profesora, że wygląda na koszt, ale potem uległa.

Poznając Kijów, staram się go analizować i zwłaszcza zbadać jego stosunek do Ukrainy. Pozornie, w swej szacie zewnętrznej, Kijów nie sprawia wrażenia stolicy narodowej. Mowa na ulicach miasta, w magazynach, w tramwaju — wszędzie rosyjska. Więcej się nawet słyszy języka polskiego, niż ukraińskiego w tej stolicy Ukrainy. Dopiero gdzieś na przedmieściach, w jakiejś grupce ubogich wyrobników, w gromadce wiejskich pielgrzymów pobożnych, w rozmowie służby hotelowej w kredensie, — daje się czasem usłyszeć dźwięki mowy ukraińskiej. Wydaje się wprost, że mowa ta się kryje wstydliwie, boi się światła dziennego i jawności, nie śmie dźwięczeć otwarcie, głośno, nie uznaje sama swego prawa obywatelstwa. To, co przedewszystkiem tu woła głośno o Ukrainie, to wieśniacy na ulicach miasta. To, co narzuca się po ulicach, malowniczo i barwnie ubrane włościanki, przeważnie młode, od [illegible] dziewcząt, w oryginalnych strojach ludowych. Większość ich nosi długie buty, grube jak stołowe nogi, barwne chustki na głowach, zawiązane w sposób jakiś inny, niż noszą nasze włościanki; starsze kobiety mają pod kolorową chustką jeszcze czepki twardej, u wszystkich głowy są obwiązane szeroko. Suknie noszą jaskrawe, przeważnie w drobne kolorowe desenie barwione, na sukni zaś paltocik zwierzchni takiż deseniowy, ale w tonie bardziej szarym; na sukni sukni oryginalny, spięty u pasa i fałdowany, przechodzący się niżej w spódnicę krój kolorowy, szeroki; ulubiona barwa w deseniach — czerwona, przeplatająca się z najrozmaitszemi barwami innemi. Spódnice krótkie, kończące się mniej więcej w połowie między kolanem a kostką. Wygląd włościanek tak ustrojonych — jest niepospolicie malowniczy i charakterystyczny. Pełno ich na wszystkich ulicach i na głównej arterji — na Kreszczatiku, w pełnym otoczeniu cywilizacji europejskiej, śród bogatych oszklonych wystaw magazynów, śród automobilów, tramwajów elektrycznych i tłumu wielkomiejskiego. Idą pojedyńczo, parami, po kilka, niosąc przeważnie na ramieniu długi drąg z umocowanymi doń po obu stronach garnuszkami glinianymi dzbankowego kształtu, przytrzymując drąg jedną ręką, a drugą wymachując miarowo w takt do szybkiego wielkiego kroku. Co niosą w tych garnuszkach — nie wiem; są to może mleczarki, choć ilość ich jest tak niepospolicie wielka, że chyba całe miasto żywi się wyłącznie ich dostawą mleka. Oprócz tych pracowitych włościanek, pełniących ostensywnie jakąś czynność gospodarczą, snują się po wszystkich ulicach i chodnikach, tłumy innych włościan, — to liczne kompanje pielgrzymów pobożnych, zwiedzających świątynie, klasztory i miejsca święte Kijowa. Na placach pod cerkwiami obozują oni, siedząc na ziemi wieńcami i spożywając posiłek, a potem wędrują całemi gromadami od soboru do soboru, gapiąc się na pomniki, zwołując się na placach, jak stadka istot osobliwych w tłumie mieszkańców wielkomiejskich. Wszyscy pielgrzymi mają stroje charakterystyczne; szablonowy ubiór miejski nie wyrugował jeszcze na Ukrainie strojów narodowych. Najciekawsze są stroje kobiece. W masach pielgrzymich, acz przeważa jeden typ stroju, jednak można odróżnić rozmaite odcienie i szczegóły odrębne, odpowiadające zapewne rozmaitym miejscowościom i częściom kraju, skąd pochodzą poszczególne pielgrzymki. Każda kompanja jest zawsze jednolita. Kilka dostrzegłem kompanij, pochodzących widocznie gdzieś z pod Białej Rusi, z gubernji Czernichowskiej lub może Mohylowskiej czy Mińskiej: inny krój sukien, spódnice długie, chustki zawiązane jak u nas, nie ma barw i przeciwów, na nogach zamiast butów u kobiet — łapcie albo łapcie. Ci włościanie ukraińscy, tak liczni w swych charakterystycznych strojach na ulicach Kijowa, — to przepiękny żywy fragment dekoracyjny tego miasta.

Wieczorem poszedłem z Anną na przedstawienie teatru ukraińskiego. Grano wesołą i dowcipną komedyjkę ukraińską, urozmaiconą śpiewami ludowemi i zabawną [illegible] miłości ludzi i dawniejszych obyczajów ukraińskich. Teatr był pełny. Było to ostatnie przedstawienie jakiejś trupy [illegible] ukraińskiej. Entuzjazm był olbrzymi, owacjom dla artystów nie było końca. [illegible] obyczaje [illegible], studenci i inteligencja — szaleli i wyli, okazując zapał [illegible] dla popularnych artystów. Widoczne było, że przyczyną tego entuzjazmu jest nietylko gra artystów, ale ukraiński narodowy [illegible] scenicznej. A jednak publiczność ta mówiła w rozmowie wyłącznie po rosyjsku. Ukraińskiej mowy w rozmowach nie słyszałem, choć [illegible]

29 kwietnia.
12 maja.
rok 1913.
poniedziałek.

Ruch ukraiński, jako świadomy ruch masowy, nie ustalił się dotąd w Ukrainie rosyjskiej. Potencjalna siła ruchu tego jest bardzo widoczna, wszakże jego stan dynamiczny, czynny, zwłaszcza świadomie-czynny, jest w stosunku do obszaru i masy niewielki. Wszakże to kraj olbrzymi — od Karpat aż do Krymu i pod Kaukaz. Ile rozmaitości poszczególnych, ile bogactwa fragmentów, ile odcieni kulturalnych, układów odrębnych na tej przestrzeni. Tam bez mieniające się wszystkie rusinów pod jarzmem madziarskim, tam Ruś prawosławna na Bukowinie różnojęzycznej, tam świadoma Ukraina ukraińska w Galicji, walcząca czynnie o swe prawa, przodująca w kształceniu kultury narodowej, tam dzielni ~~[illegible]~~ górale karpaccy, barwni huculi, tu bliżej Ukraina ~~[illegible]~~ prawobrzeżna — Podole, Wołyń i Kijowszczyzna, stamtąd na południowy wschód stepy i okręgi przemysłowe, przetłaczające Ukrainę w nowoczesną formację kapitalistyczną szablonowej mikstury cywilizacyjnej, a tuż obok poetyczna Malorosja Połtawska i Charkowska, zlewająca się stopniowo we wspólnocy z Rosją. Wszędzie inne warunki, inne wpływy i formacje dziejowe. A na tej przestrzeni ogromnej i tak urozmaiconej lud barwny, pełny charakteru, niezmiernie wyrazisty w swych zwyczajach, tradycjach, w swej kulturze etnicznej. Rosjanie z obozu nacjonalistycznego twierdzą, że ukraińcy stanowią cząstkę integralną narodu rosyjskiego i że język ukraiński jest jeno odmianą djalektyczną rosyjskiego; że większa zachodzi np. różnica między narzeczami ludowemi niemieckiemi a niemieckim językiem literackim, niż między „narzeczem" Ukrainy a ogólnym literackim językiem rosyjskim. Tak jest z pewnością. Zapewne też, że język stanowi jedną z kapitalnych cech i jednocześnie czynników formacji narodowej, ale nie on jeden jest bynajmniej miarodajny dla określenia bytu narodowości odrębnej. Właściwości etniczne, kulturalne, charakter, układ psychiczny, tradycje dziejowe, kultura ludowa — to wszystko się składa na ukształtowanie narodu. A Ukraina ma te cechy bardzo wyraziste i wybitnie różniące ją od wschodu i północy wielkorosyjskiej. I nietylko we właściwej kulturze ludowej, w zwyczajach i etnograficznych cechach masy włościańskiej, ale w całej kulturze krajui ludności, we wszystkich warstwach takowej. Ma ona wyrazistość wybitną kultury odrębnej i ma aspiracje swoje rodzime, które ją w rzędzie narodów stawiają, niezależnie ~~[illegible]~~ nawet od stopnia odrębności językowej. Norwegowie mają język wspólny z duńczykami a są narodem, chorwaci wbrew tożsamości języka nie są narodem serbskim, francuzi walońscy są belgami. Zresztą Ukraina ma kult i dla języka własnego, i kult ten w swych przodujących sferach świadomych, najintensywniej wyrażających jej odrębność i jej aspiracje autonomiczne, wciąż wzrasta i potęguje się. Wielką dźwignią w rozwoju prądu ukraińskiego jest ten fakt, że posiada Ukraina część swego terytorjum z 4-miljonową ludnością — pod zaborem austrjackim. Na tamtej czynną i świadomą unarodowioną masę ludową, ma inteligencję narodową, ognisko literatury, wpływ na rządy krajowe, szkolnictwo a już w najbliższej przyszłości i uniwersytet własny. Galicja — to Piemont ukraiński, stanowiący ogromny ~~[illegible]~~ atut w dziejach unarodowienia Ukrainy. Z obserwacji moich potwierdza mi się wrażenie, które miałem skądinąd zawsze o odrębności Ukrainy od Rosji. Nietylko sama narodowość ukraińska jest czynnikiem tej odrębności. I rosjanie ukraińscy, jak u nas polacy litewscy, mają charakter i typ psychiczny i kulturalny odrębny od rosyjskiego. Są oni dziećmi tej Ukrainy i streszczają w sobie jej zasadnicze charakterystyczne cechy. I zdaje mi się, że cała ludność Ukrainy, tak narodowa ukraińska, jak rosyjska, stanowi odrębną społeczność, która dopiero w organizacji autonomiczno-państwowej znajdzie ~~[illegible]~~ najlepszy i jedyny odpowiedni wyraz dla swego bytowania zbiorowego. Stanowisko krajowe zyskuje więcej tak samo się tam kształtuje w stosunkach, jak u nas na ziemiach litewsko-białoruskich.

[illegible: vertical marginal note in the left margin, beginning „Dzisiaj wieczór posiedzenie ... Ukraińskiego Towarzystwa Naukowego ... XIX ..."]

30 kwietnia
13 maja.
rok 1913.
wtorek.

Postanowiłem jeszcze ten dzionek spędzić z Anną w Kijowie — ostatni dzionek naszych wakacji. Nie udało mi się zaradzić co do zdrowia Anny u profesora. U profesorów tutejszych trzeba się zapisywać zawczasu i wyczekiwać po kilka dni kolejki. Chciałem uzyskać przyjęcie wyjątkowo, poza kolejką, ale to mi się nie udało, a przedłużać już pobytu nie mogę.

Dzień nam minął z Anną, jak mgnienie oka. Zwiedziliśmy parę ogrodów kijowskich, przejechaliśmy parostatkiem za Dniepr, wreszcie wieczorem poszliśmy do letniego teatrzyku ukraińskiego w ogrodzie miejskim, dość licznego zresztą.

Zdrowie Anny wydaje mi się kiepskie. Nie skarżyła się w tych dniach na nic, nie chorowała, ale osłabienie jest widoczne. Nie na wiele się zdał pobyt w Teodozji i kuracja arszenikowa. Mizerniutka jest moja Anna, wątła, słaba. Humor też miewa często kapryśny, bywa chwilami bardzo drażliwa, zdenerwowana, co też świadczy o złym stanie zdrowia. Nie wiem, co jej jest właściwie, ale jest w każdym razie niedobrze.

Żal mi jej serdecznie; jest jak mała dziewczynka zbiedzona, zmęczona, słabiutka. Potrzebuje ona nadewszystko spokoju, wielkiej troskliwości, opieki i serdeczności. Wyrzucam sobie, że bywam dla niej chwilami ~~[illegible]~~ niecierpliwy, kapryśny, a stąd i szorstki. Biedaczka wszelką sprzeczką ze mną bardzo się zawsze martwi; nie umie panować nad sobą, sama w takich chwilach bywa cierpka dla mnie, jak ~~[illegible]~~ zwykle ludzie zdenerwowani, potem zaś trapi się niepomiernie temi małemi, drobiazgowemi utarczkami ~~[illegible]~~ nerwów, jakie zachodzą między nami, płacze, wyrzuca sobie winy, gryzie się, przesadzając wady swego charakteru i czuje się biedactwo w takich chwilach bardzo samotna i opuszczona. Staram się to jej potem nagrodzić zdwojoną serdecznością, ale zdrowiu to jej szkodzi z pewnością. Mam w niej taką wierną kochającą towarzyszkę, taki piękny dar miłości, prześliczny krystaliczny charakter, niezwykle głęboką i szlachetną duszę ludzką, wrażliwą i subtelną, pełną poczucia sprawiedliwości i prawdy, — że winienem jej nogi całować, bo jest ona bez porównania wyższa moralnie ode mnie.

1(14) maja.
rok 1913.
Środa.

Pożegnaliśmy Kijów i pociągiem rannym wyjechaliśmy z Anną do Wilna. Pociąg kurjerski szybko przebiegał ziemie i dzielnice, dzielące stolicę Ukrainy od stolicy Litwy a właściwie spornej stolicy Litwy czy Białej Rusi, więcej dziś oba te kraje, a w przyszłości stać się mogącej kością niezgody między niemi. Od godz. 9½ rano do godz. 11½ w nocy przemknęła się przed oknami naszego wagonu cała przestrzeń, dzieląca Kijów od Wilna. Po kilkogodzinnej jeździe po ziemi bujnej i płodnej Ukrainy, dotarliśmy koło godz. 2-3 popołudniu do wołyńskich kresów Polesia. Koło Sarn, gdzie się kolej „południowo-zachodnia”, Kijowska, krzyżuje z główną arterją poleską, zaczynają się już mokre niziny ubogiego Polesia, urozmaicone pagórkowatemi ławami jałowego piasku, z coraz rzadszemi smugami żyznej ziemi ukraińskiej. Od Sarn wjeżdżamy coraz głębiej w Polesie i w okolicach Łunińca jesteśmy w samym sercu bagien, w smutnym kraju trzęsawisk pińskich. Widok z okien wagonu coraz smutniejszy, coraz więcej żałośny. Na wiosnę błota te są jeszcze wydatniejsze, niż w innej porze roku. Wszędzie woda, śród kępek uschniętych zarośli, śród karłowatych lasków, śród traw sitowatych, na dużych przestrzeniach łąk, po których brodzi bydło, niekiedy po pas grzęznące w trzęsawisku. Ma to swój pewien urok dziki, bo błota te zdają się mieć takiż samy tragizm potęgi żywiołu, ciążącego fatalnie nad człowiekiem i (wyższego wtórnie) nad nim, jak potęga morza, gór i t.d. Mieszkańcy kraju takiego muszą być fatalistami, muszą mieć głęboki zmysł panteizmu kosmicznego oraz uzdolnienie do powszechnego natchnienia religijnego. Życie tu — to nie lekka swawola w wygodzie i łatwym zaspokojeniu pragnień i potrzeb, to mozół ciężki powolnym skupieniu pracy niepodzielnej. Wreszcie koło Baranowicz wydostajemy się z bagien i wjeżdżamy w typowy kraj litewsko-białoruski, falisto-pagórkowaty, urozmaicony widokami, pełny roślinności leśnej. Wreszcie robi się ciemno, zmrok zapada. W nocy przyjeżdżamy do Wilna. Zajechaliśmy z Anną do hotelu Sokołowskiego, gdzie zamieszkaliśmy ... razem.

124.

2 (15) maja. rok 1913. czwartek.

Rano opuściłem hotel i przyjechałem z rzeczami do mego mieszkania. Anna została w hotelu, skąd będzie chodziła we dnie po mieście szukać pokoju do wynajęcia dla siebie. Odwiedziłem ją w ciągu dnia parokrotnie. Dziś obejrzała [illegible] pokojów, ale jeszcze odpowiedniego nie znalazła. Chodzi o to, aby Anna mogła mnie przyjmować w swoim pokoju, a to nie wszędzie jest możliwe.

W „Kurjerze Krajowym” jeszcze się nie ukazał artykuł Dzimki z „Lietuvos Žinios”, którego przekładu w tygodniu ubiegłym, przed wyjazdem do Kijowa, dokonałem. Okazuje się, że wydać pół arkusza dodatkowego do numeru niedzielnego nie udało się. Mogłoby to nastąpić, jak projektowaliśmy, tylko w tym wypadku, gdyby Zasztowt przyjął na siebie koszt wydania dodatkowego półarkusza, ale Maćkowski krępował się poprosić o to Zasztowta. Wobec tego artykuł Dzimki będzie musiał być rozbity na kilka części i drukowany w kilku numerach kolejnych. Maćkowskiego zastałem przygnębionego i zbiedzonego. Oczywiście biedak ma gorzkie zadanie redaktora pisma demokratycznego polskiego. Nie tylko jest redaktorem, ale musi też cały ciężar wydawnictwa dźwigać, wystarać się o pieniądze na opłatę kosztów, czuwać nad całą organizacją pisma. Niewdzięczne to zadanie, jedynie na ofiarności ideowej i wielkim wytężeniu energii fundowane. Ugina się biedak pod ciężarem tej roboty, czuje się zmęczony i zbiedzony. Pismo wprawdzie się rozwija, poczytność rośnie powoli, wpływ się ustala, ale i źródła pomocy materjalnej wyczerpują się, brak poparcia, niechęć lub obojętność sfer wpływowych — wszystko to wypełnia krzyżową drogę zbiedzonego pisma. Cała niemal bogatsza inteligiencja wileńska odwraca się od pisma, bo ogromnej większości jest ono wprost wroga, mniejszości zaś „postępowej” jest conajmniej obojętna, żywiąc w sercu utajone aspiracje w kierunku nacjonalizmu i antysemityzmu, a oddalając się coraz bardziej od haseł demokratycznych i humanitarnych, którym „Kurjer Krajowy” służy. Ta mniejszość — to grupa „Przeglądu Wileńskiego” i koła jego sympatyków. „Kurjer Krajowy” jest dla nich obcy; sfera sympatyków „Kurjera Krajowego” mieści się przeważnie w niższych warstwach półinteligiencji, nie mogącej subsydjować wydawnictwa. Maćkowski bije się więc, jak ryba o lód, i ma otuchę tylko w wierze w ideał, któremu służy. Czy oceni kiedyś i zapłaci uznaniem nasz wolny lud krajowy wysiłki tych pionierów jego sprawy, którzy dzisiaj dla idei ludowej znoszą prawdziwą martyrologię!

Od 2 dni dzieją się w Wilnie dziwne skandale na tle walk polsko-litewskich. Tym razem stroną winną są niewątpliwie polacy. Z rozporządzenia Administratora djecezji księdza Michalkiewicza litwinom na majowe nabożeństwo ranne wyznaczony został kościół św. Jana. Nabożeństwo litewskie wyznaczone zostało na godz. 6 rano, to znaczy na taką godzinę, kiedy żadne inne nabożeństwo się nie odbywało. Żadnego przeto uszczuplenia nabożeństw polskich nie było i żadna krzywda polakom się przez to nie stała. Aliści wczoraj od rana tłum dewotek i najlichszego pospólstwa miejscowego, nienawiścią do litwinów, wypełnił kościół, aby przeszkodzić do nabożeństwa litewskiego. Grono pobożnych litwinów, zebranych na nabożeństwo w kościele, uległo brutalnemu gwałtowi tłuszczy sfanatyzowanej, która dała upust swej namiętności litwinofobskiej. Zelżono litwinów, obrzucono ich przezwiskami, wymyślano od „pogan”, „języka pogańskiego”, „[illegible]awitów”, i nie dopuszczono ani do śpiewów, ani do „kazania litewskiego”. Dziś jeszcze większa tłuszcza litwinożerców się zebrała w kościele, zwabiona wczorajszym skandalem, i jeszcze namiętniej pogwałciła prawa litwinów. Tłuszcza ta nie słucha perswazji kapłanów, nie daje się niczym pohamować. Gwałt ten, dokonany na litwinach, rozprasza bajki o „braterstwie” polsko-litewskim i wskazuje, jakie uczucie żywi ciemny polski tłum wileński do litwinów. Lud ten niepodobna winić, bo w swoim rozumieniu broni on sprawy, w którą święcie wierzy. Napadając — broni. Ale ubolewać można nad ciemnotą jego, nad niskim poziomem kultury, zanikiem uczuć ludzkich i obywatelskich w skutku długiej agitacji nacjonalistycznej, wszczętej i zbratanej z klerykalizmem. Ta agitacja jest istotnym winowajcą [illegible]. Na pozyskaniu litwinów sprawa polska nie zyska nic, to przetworzenie — straci tylko, a [illegible] upokorzenia, wzmocni litwinom [illegible] zwycięstwo moralne, jako prześladowanym. Zwycięstwo polskie, zdobyte przez tłuszczę dewotek, będzie zwycięstwem Pyrrusa. Bolesny to fakt, smutny, napełniający ducha wstydem. Kucharka moja, litwinka Annusia Dirżysówna, płakała po powrocie z kościoła, — tak mocno to boleśnie prześladowanie litwinów przez polaków za język, za narodowość. Nic tak nie przysparza prozelitów sprawie litewskiej, jak tego rodzaju akty prześladowania i gwałtu. Annusia, przyjechawszy do Wilna przed kilku tygodniami, była narodowo obojętna i dopiero tu w Wilnie stała się patrjotką litewską i znienawidziła polaków, widząc stosunek ich pogardliwy, wrogi do litwinów. [illegible] coraz bardziej [illegible] o braterstwie, o [illegible] i miłości wzajemnej. Do jakiego stopnia [illegible] tłuszczy i jej inspiratorów — istnie polskie i sprawie polskiej i do jakiego stopnia [illegible] standard narodowy polaków.

3 (16) maja.
rok 1913.
piątek.

Anna wczoraj i dziś do obiadu bezskutecznie szukała sobie mieszkania. Obeszła dzielnicę Rossę, Zarzecze i Antokol i nic odpowiedniego nie znalazła. Kilka pokojów widziała, jej się więcej podobało, ale na żadnym się ostatecznie nie zdecydowała. Po obiedzie odwiedziłem ją w hotelu Sokołowskiego i następnie poszliśmy z nią razem obejrzeć niektóre z pokojów, które ewentualnie mogłyby się nadawać do wynajęcia. Poszliśmy wprost na ulicę Monastyrską, gdzie w domu pod N° 13 Anna zanotowała jeden mały pokoik. Pokoik ten się nam podobał i bez długiego namysłu zdecydowaliśmy się nań. Tak więc Anna będzie mieszkała znowu w tym samym domu, w którym mieszkała przez zimę z r. 1911 na 1912. Pokoik teraz jest inny, nie ten sam, który wówczas miała, i nie w tym samym domku nawet, ale na tym samym dziedzińcu. Dobrze jest to, że w tym domu znają już Annę, jako dawną mieszkankę, i że przeto nie będą ~~[illegible]~~ się na nią krzywili z powodu moich częstych odwiedzin wieczornych. Będzie też Anna mogła korzystać z ogródka [?], który tam jest, — jak w roku zeszłym. Pokoik niewielki, dość ciemny, z wejściem przez kuchnię, ale czysty, a z tej strony dobre, że w znajomym domu. Los sprzyja Annie tradycyjnie z ul. Monastyrską. Od 2 lat zawsze przy tej samej ulicy znajduje pokoik.

Napisałem dziś artykuł do „Kurjera Krajowego" z powodu zajść polsko-litewskich w kościele św. Jana. Był już jeden o tym artykuł w „Kurjerze Kr.", mój więc będzie drugi. Uważałem wszakże, że sprawa jest o tyle ~~[illegible]~~ ważna i gorąca, że bynajmniej za wyczerpaną uważana być nie może. Chodziło mi zwłaszcza o ustosunkowanie się do wstrzemięźliwości [?] „Kurjera Litewskiego", który, pisząc o tych zajściach, umyślnie we ostrożny sposób insynuował, ~~[illegible]~~ żeby jakkolwiek cień rzucić na Litwinów i ~~[illegible]~~ przenieść odpowiedzialność z bezpośrednich sprawców gwałtu na pokrzywdzonych. Zasadniczo rad jestem z mojego artykułu, wszakże miałem [?] potem pewne wątpliwości co do drukowania go. Boję się, aby wydrukowanie w 2 numerach kolejnych 2 artykułów zasadniczych na ten sam temat, krytykujących ostro ~~[illegible]~~ kontakt [?] przejawy nacjonalizmu polskiego i gwałtu, zadanego Litwinom, nie zaszkodziło pismu i nie dało przeciwko niemu broni z rąk wrogów w tak drażliwej pod względem narodowym opinii polskiej. Trzeba się z tym liczyć, że nacjonalizm jest u Polaków ~~[illegible]~~ rozwinięty przesadnie i że żadne względy humanitarne nie są w stanie trafić do umysłów, przejętych nastrojem nacjonalistycznym. Nie cofnąłem wszakże artykułu.

Wieczorem byłem u Szklennika na posiedzeniu Zarządu Towarzystwa popierania kooperacji. Na ogólnym zebraniu tego Towarzystwa, które się odbyło ~~[illegible]~~ w czasie mego pobytu w Kijowie, wybrany zostałem do Zarządu. W Zarządzie wyznaczono mi funkcję sekretarza. Omówiliśmy dziś program zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych gub. Wileńskiej, którego termin zwołania wyznaczyliśmy na 14 i 15 września. Podanie do gubernatora dla wyjednania pozwolenia na zjazd jest gotowe i wniesione zostanie po następnym zebraniu Zarządu.

Od Szklennika poszedłem do Klotta na zebranie grupy „Przeglądu Wileńskiego". Obecni byli na zebraniu: Klott, Krzyżanowski, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Budny i ja. Ludwik znowu agitował za przyjęciem programu niepodległościowego, w zasadzie bardzo słusznego, ale zbudowanego na podstawie ściśle nacjonalistycznej z odrzuceniem społecznych haseł ludowych. Nad tym przeglądem zebranie dzisiejsze nic nowego nie dało. Wałkowano dużo, ale wciąż tak samo, jak zawsze, — ogólnikowymi frazesami. Grupa „postępowców" przeglądowych chyba jest w przededniu rozwiązania [?]. Właściwie wszyscy oni, ~~[illegible]~~ albo prawie wszyscy, wciąż ciążą w głębi serca do nacjonalistycznych ~~[illegible]~~ ideałów Ludwika, ~~[illegible]~~ jeno przed [illegible] wahają się i trapią, wstydzą się jeszcze odrzucić jawnie hasła demokratyczne. Zdaje mi się wszakże, że ~~[illegible]~~ po takim czasie koncepcja nacjonalistyczna Ludwika w tej grupie zwycięży. Obym był z tym pesymizmem [illegible]

126.

4 (17) maja. rok 1913. sobota.

Rano Anna wniosła się już do swego nowego pokoika. Wieczorem ją odwiedziłem i poszliśmy razem na spacer do ogrodu Bernardyńskiego, gdzie, korzystając z ciepłego pogodnego wieczoru, zabawiliśmy dłużej, gawędząc i ~~przyglądając~~ napawając się pięknym widokiem na malownicze kontury gór i wąwozów, urywających się nad tryskiem wartkiej Wilejki naprzeciwko ogrodu. Znów się zaczęły nasze wspólne wieczory z Anną, spokojne, serdeczne, opromienione nietylko głębokim uczuciem wzajemnym, ale i ślicznym czystym nastrojem myśli i wymiany spostrzeżeń i wrażeń, pełnych zawsze ze strony Anny gorącego humanitaryzmu. Czasem, reagując na jakieś zjawisko czy fakt z życia bieżącego, Anna tak głęboko umie potrafi swą duszą wrażliwą istotę rzeczy, odsłonić obłudę i podłość ludzką, uwydatnić nerw krzywdy, przeciwstawić temu nieskalane piękno sprawiedliwości i szlachetny zapał wolności, że się ma w zwykłej powszedniej rozmowie, zupełnie niespodzianie, przepyszne perły myśli i uczucia ludzkiego, nieśmiertelne znamiona Boskie, które stanowią chwałę i piękno mojej Anny. Jest to dusza niepowszednia, nienawidząca obłudy, brzydząca się pozorami, miłująca namiętnie prawdę, wolna całkowicie od hipokryzji, nawskroś szlachetna i jednolita.

Z Anną doznaję rozkoszy w obcowaniu duchowym, jakich obcowanie z innymi ludźmi mi nie daje, zwłaszcza tu, w tym Wilnie, gdzie nawet najlepsze pozornie jednostki, te, które z tradycji wyznają niekiedy ideały wolnościowe i humanitarne, są zatrute jadem filisterstwa i stopniowo toną w atmosferze obłudy. Najboleśniej to odczuwam szczególnie w chwilach takich, gdy w stosunkach bieżących zajdzie jakiś fakt, ostrzej poruszający opinję, jak np. teraz ~~[illegible]~~ sprawa gwałtów nad litwinami, dokonanych przez sfanatyzowaną tłuszczę dewotek polskich. Nie ogólniki, lecz stosunek do tych faktów konkretnych jest istotnym probierzem „postępowości" panów postępowców. Tu bowiem trzeba wykazać niezbędną ~~[illegible]~~ może wbrew przekonaniu, — wbrew popularnej opinji i wbrew sfanatyzowanym tłumów. I tu ci właśnie „postępowcy" stają po stronie popularnej opinji, bo nie umieją odwagi jej się sprzeciwić, bo się boją się zdemaskować. Dla mnie to jest fakt bolesny, szczególniej wiadomości z [illegible] w wileńskich kościołach polskich, nie najbrutalniejsze [illegible] tłumów, sfanatyzowanych, kierowanych [illegible] agitacją, [illegible] w atmosferze [illegible]

5 (18) maja. rok 1913. niedziela.

Skończyłem dziś 33 lata. Są to t. zw. lata Chrystusowe. Tradycja głosi, że w tym wieku Chrystus rozpoczął swą misję nauczania ludzi. W tradycji tej mieści się zapewne ziarenko mądrości. Wiek ten nie ma z pewnością tyle wybuchowej wulkanicznej siły, co młodość, ale u tych ludzi, których dusza nie została dotąd wystudzona kupieckim zmysłem interesu, względami kariery i wygody osobistej, ~~[illegible]~~ wypalona namiętnością, wiek dojrzały ma większą moc skupienia wewnętrznego, tego, co zwiemy przekonaniem, i zapał, stąd płynący, ma więcej trwałości, ma granitową moc, która mu nadaje ~~[illegible]~~ wybitne uzdolnienie do czynu.

Napisałem dziś drugą część mojej pracy ze stosunków ekonomicznych krajowych, której się podjąłem dla nowego pisma, kwartalnika, poświęconego sprawom handlu i przemysłu krajowego. Jest to pismo, zainicjowane przez grono kupców i handlowców chrześcijańskich w Wilnie, na którego czele stoi Stadziewicz. Wydawnictwo to ma zdaje się mieć charakter spekulacyjny, bo chociaż grupa inicjatorów jego nie liczy na zyski bezpośrednie, jednak spodziewa się zużytkować pismo dla celów reklamy firm handlowych wileńskich. Praca moja dzisiejsza — to artykuł większych rozmiarów, w którym uwydatniam i systematyzuję zasadnicze rysy naszej gospodarki krajowej w dziedzinie stosunków rolnych i przemysłowych. Bez względu na spekulacyjny, reklamowy ~~[illegible]~~ bodaj charakter pisma, sądzę, że jest ono bardzo na dobie i że może się stać bardzo dodatnim czynnikiem publicystycznym w ożywiającym się ruchu ekonomicznym kraju naszego. Dotąd, jak wiem od Stadziewicza, mają oni do pierwszego numeru zapewnione następujące artykuły, oprócz mojego: wstępny krótki artykulik redakcyjny, uzasadniający potrzebę takiego wydawnictwa i określający zadanie jego; długi artykuł inżyniera Jaruszewskiego o drobnym przemyśle ludowym (tak zwanym w terminologii rosyjskiej — „kustarnym”), dalej artykuł Wacława Łastowskiego (białorusina z „Naszej Niwy”) o handlu lnem, wreszcie artykulik porównawczo-statystyczny Wilpiszewskiego o stanie naszego przemysłu w zestawieniu z przemysłem Królestwa Polskiego.

Całe popołudnie spędziłem z Anną. Dzień był ciepły, suchy, bardzo wietrzny. Wiatr robił powietrze wiosenne bardzo aromatycznym, roznosząc woń młodych liści, kwiatów drzew owocowych, bzu i t.d. Byliśmy z Anną w parku przy kolonii bankowej na [illegible], potem na cmentarzu Rossie, wreszcie wieczorem wróciliśmy do jej pokoju, gdzie zostałem na herbacie i zabawiłem do godziny przeszło 10-ej.

6 (19) maja rok 1913. poniedziałek

Do obiadu zajęty byłem ~~[illegible]~~ pisaniem dalszego ciągu artykułu do nowego kwartalnika ekonomicznego.

Po obiedzie, korzystając z galówki, wybrałem się z Anną na wycieczkę zamiejską. Pojechaliśmy mianowicie parostatkiem po Wilji do Trynopola. Tam wysiedliśmy i poszliśmy pieszo. Spacerowaliśmy, siadaliśmy wypoczywać, wybierając miejsca bardziej malownicze. Śliczna to okolica pod Werkami i Kalwarją. Piękna wiosna napełnia widoki życiem. Z widokiem wzgórz leśnych, lasków, dolin łączy się zapach wiosennej roślinności, śpiew słowika, kukanie kukułek i świegot ptactwa, a w osadach wiejskich gwar i krzątanina ludzka, ruch bydła na pastwiskach, wszędzie życie dokoła. Zaszliśmy do jakiegoś folwarku, położonego przy szosie, gdzie napiliśmy się ~~[illegible]~~ mleka ze świeżego udoju wieczornego. Wycieczka udała się nam znakomicie. Nic nie zamąciło pogody w naturze oraz w naszym stosunku wzajemnym. O godz. 9 wyjechaliśmy powrotnym parostatkiem do Wilna. Odprowadziłem Annę do domu, ale nie zachodziłem do niej, bo nie chcę w pierwszych dniach jej nowego zamieszkania zbyt manifestować ~~wobec gospod~~ naszego wzajemnego stosunku wobec gospodarzy jej mieszkania.

Zdaje się, że z „Kurjerem Krajowym" jest bardzo krucho. Nie wiem, czy pismo zdoła byt swój utrwalić. Źródła, z których można czerpać uzupełniające środki na wydawnictwo, są bardzo szczupłe i już się wyczerpują. Biedny Maćkowski biega po mieście, tata jak może, szuka ciągle doraźnych subsydjów lub pożyczki. Dziś był z tym u mnie. Chyba tylko radykalny środek [?], oddanie pisma w ręce jakiejś mocniejszej grupy wydawniczej, to mogłoby zapewnić byt jego. Ale gdzie i jak taką grupę znaleźć, a tym, żeby pismo nie zboczyło z drogi ideałów krajowych.

7 (20) maja. rok 1913. wtorek.

Dzień mi zeszedł przeważnie na rozmaitych pilnych prawniczych interesach bieżących. Wieczór, jak zwykle, spędziłem u Anny. Ponieważ było chłodnawo i deszczyk kropił, więc nie chodziliśmy wcale na spacer; siedzieliśmy w jej pokoiku, spożywając ~~w~~ improwizowaną kolację wegetariańską, złożoną z rzodkwi, chleba, masła, mizerji z ogórków, mleka kwaśnego, babki i herbaty.

Przysłał mi dziś Sławewicz do przejrzenia tłomaczenie litewskie mojego artykułu, pisanego przed 4 laty, w r. 1909, przeznaczonego do druku w nielegalnym zagranicznym organie Litewskiej Partji Demokratycznej, — „Varpas'ie". Wtedy już, przed 4 laty, był projekt wznowienia wydawnictwa „Varpas'a", jako swobodnego, nieskrępowanego cenzurą, organu stronnictwa Demokratycznego, nawiązując do świetnych tradycji starego „Varpas'a", organu Kudirki i ~~[illegible]~~ Pawła Wyszyńskiego, natchnionych luminarzy demokracji litewskiej. W dobie reakcji prasa legalna, krępowana więzami przymusu politycznego, ~~już~~ wystarczyć nie mogła. Jeżeli wystarczała na bieżące potrzeby czytelnictwa ~~i społecz~~ publiczności litewskiej, to nie wystarczała dla celów ustalenia zasadniczych ~~[illegible]~~ ideowych i programowych drogowskazów stronnictwa Demokratycznego wobec życia bieżącego. „Varpas" miał powstać, jako organ porozumiewawczy ~~[illegible]~~ litewskiej inteligencji demokratycznej, jako kuźnica ideowa demokracji. W r. 1909 projekt ten spełzł jednak na niczym. Zbrakło środków, nie tylko pieniężnych, ale i organizacyjnych dla wydawnictwa zagranicznego, przeznaczonego dla tajnego kolportażu w granicach państwa Rosyjskiego. Dopiero w tym roku projekt ten został wreszcie wykonany. Zostało to ułatwione przez przyjazd i osiedlenie się w Prusach Rimki, jednego z wybitnych publicystów i pracowników litewskiego ruchu demokratycznego, który zmuszony został wyemigrować z Rosji ze względów politycznych. Niedawno wyszedł № 1 wznowionego „Varpas'a", bardzo treściwy i ciekawy, pełny treści programowej. Mój artykuł, który przeleżał lat 4 w archiwum, zostanie teraz wydrukowany w „Varpas'ie". Artykuł nie zestarzał wcale, nie stracił nic na swej wartości zasadniczej. Jest to [illegible] wznowionego „Varpas'a" z obozu Demokracji polskiej z zarysowaniem zadań społecznych i narodowych pisma oraz więzów solidarności, które łączą obie demokracje.

8 (21) maja rok 1913. Środa.

Dzień „białego kwiatka" na rzecz ligi przeciwgruźliczej. Znowu ten sam dzień, co w roku zeszłym, 8 maja. Ale tegoroczny „biały kwiatek" nie udał się tak, jak ubiegły. Przedewszystkiem zawiodła pogoda. W roku zeszłym był tego dnia upał słoneczny, tłumy wylały się na miasto, nastrój był wesoły, pełny podniecenia, życie uliczne zakwitło nagle w tym jednym dniu w naszym spokojnym skupionym Wilnie, jak prawie na kipiących ulicach ekspansywnego południa. Dziś natomiast od rana było chłodno, twiał deszczyk, słońce się schowało głęboko za chmury. W tym roku razem z bratem udziału w sprzedaży kwiatka. Nie było pogody, nie było też nastroju zeszłorocznego na ulicach. Wilno było istotnie narewiastem. Może zresztą nie sama tylko pogoda na to wpłynęła. Może Wilno wyczerpało już swą ekspansywność, jak nasze (blade) słońce północne, które każdy swój promień jaskrawszy każe nam opłacić długiemi tygodniami i miesiącami słoty. W roku zeszłym „biały kwiatek" uliczny był dla Wilna nowiną, to też się odbyło ono na wesołości wyjątkowej, niezwykłej w charakterze jego. Teraz — to spowszedniało. Nie pomógł nic udekorowany „kwiatkami" automobil, sensacyjnie rozjeżdżający po mieście, ani takie przystrojony wózek, wyglądający bardzo efektownie. Zresztą pod wieczór nastrój podobno się ożywił. Nie sprawdziłem tego osobiście, bo po obiedzie nie wychodziłem wcale z domu, ale z mieszkania mego słyszałem na ulicy ruch i gwar niezwykły do późnego wieczora. Marynia przejęta sprzedażą „kwiatka", prawie cały dzień bez wytchnienia na ulicy; czuje się w swoim żywiole. Papa, który jest w Wilnie, wchodzi skwapliwie w wrażeń „kwiatka" ulicznego. Daje obficie, kupuje od każdej kwiaciarki, ale zarzuca, że są one zamało natrętne, niedość energicznie zaczepiają przechodniów.

Z Anną się dziś nie widziałem wcale. Po obiedzie wykończyłem mój artykuł do kwartalnika ekonomicznego. Pod wieczór byli u mnie Mańkowski i Zasztowt — to znaczy był komitet redakcyjny „Kurjera Krajowego". Zebraliśmy się dla uradzenia w sprawie finansowej organizacji pisma. Dotąd pismo żyło łatanimy i cały byt jego opierał się na przemyślności Mańkowskiego, który nietylko wziął całą redakcję na głowie swojej, ale i wyszukanie środków na pokrywanie ciągłego deficytu (deficyt obecny wynosi przeszło rb. 200 miesięcznie). Tak dłużej być nie może, bo ostatecznie źródła zasiłków się wyczerpują i niepodobna przeciążać Mańkowskiego niewdzięczną, demoralizującą robotą, równającą się niemal żebraninie. Trzeba pomyśleć o tym, aby pismo usystematyzować, oddać go w ręce jakiejś grupy i zwolnić redakcję od niewłaściwej roboty ciągłego poszukiwania pieniędzy. Wszakże nie tak to łatwo wykonać, bo niewiadomo, na jakiej grupie się oprzeć. Ruch demokratyczny polski jest u nas właśnie dlatego tak słaby, że nie opiera się na żadnej wyraźnej i świadomej warstwie społecznej i nie ma żadnej zorganizowanej grupy, co stanowi siłę zjawiska demokratycznego ruchu litewskiego i nawet białoruskiego. Ruch demokratyczny polski polega dotąd tylko na wysiłkach jednostek inteligenckich, odosobnionych, oderwanych od podłoża socjalnego. „Kurjer Krajowy" ma wprawdzie swój zastęp sympatyków, ale jak dotychczas wystąpić i skupić, rozproszonych, tak to są przeważnie elementy sporadyczne, niezdecydowane i bardzo rozproszone. W kołach inteligenckich, nawet [illegible] „postępowych" jest on bardzo niepopularny. Umyśliliśmy zwołać zebranie sympatyków pisma, które [illegible] z których utworzyć pewne ciało specjalne, wydelegowane z jego łona, ujęło w swe ręce organizację wydawnictwa pisma i [illegible]

[illegible]

9 (22) maja.
rok 1913.
czwartek.

Korzystając z galówki, spędziłem większą część dnia z Anną. Niepogoda nie dała nam zrobić jakiejś wycieczki zamiejskiej, więc poza miasto nie wychylaliśmy się. Przed obiadem byliśmy z Anną w ogrodzie Bernardyńskim, po obiedzie chodziliśmy po mieście, byliśmy na kawie u Sielskiej, wreszcie wieczór i skromna kolacja wegietarjańska u Anny. Nie potrzebuję szukać jakichś wrażeń zewnętrznych, gdy jestem z Anną. Owszem — wycieczki są miłe, dostarczają nam rozrywki i przyjemności obcowania z naturą, ale to jest tylko tło, nie zaś treść naszej przyjemności. Treść przyjemności mieści się całkowicie w naszym wzajemnym stosunku. Anna sama dostarcza mi z siebie wrażeń bez liku. Jest ona tak przywiązana do mnie, tak oddana, jak najwierniejsze stworzenie, jak tylko kobieta kochająca wierną i oddaną być umie. Żyje mną tylko, od rana do wieczora myśl jej zwraca się do mnie. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma żadnej pracy, gdy ją nic nie odrywa, całkowicie się w myśli o mnie zanurza. Gdy mnie nie ma, myśli o mnie, przeżywa we wspomnieniach rozmaite ubiegłe szczegóły naszego stosunku. Pamięta najdrobniejsze rzeczy z zadziwiającą ścisłością szczegółów. Biegnie na ulicę Wileńską choć żeby spojrzeć na balkon mego mieszkania, do okien moich z daleka. Tęskni do wieczora, przez tydzień cały wzdycha do niedzieli. Jeżeli nie przyjdę, gniewa się na mnie i ma żal. Pamięta w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co jej kiedykolwiek opowiedziałem, wie i pamięta z opowiadań moich najdokładniej wszystko o znajomych moich, o rodzinie, o jakichś wypadkach, okolicznościach i rzeczach, o których często ja sam po opowiedzeniu jej zdążyłem zapomnieć. Tak ciągle o tym myśli i tym żyje, że wyćwiczyła sobie w rzeczach, mnie obchodzących lub ode mnie pochodzących, pamięć i wrażliwość zgoła niepospolitą. To jej pochłania, to wypełnia całe jej życie. Spełniła ona zaiste przykazania Boskie o małżeństwie, według którego kobieta-żona wciela się w męża i żyje jego życiem. Anna urzeczywistnia w najwyższym stopniu ten ideał kobiety kochającej, kobiety-żony. Cała istota moja wrosła w życie moje, cała się w nie pogrąża. Nie ma dla niej zabawy, zajęcia, nie ma rozrywki i wrażeń poza mną. Wszakże Anna nie zatraca w tym swej osobowości, nie staje się bierną. Przeciwnie — osobowość jej w obcowaniu ze mną nabiera wyrazistości i mocy. Zespolenie wybitnej indywidualności z niezmiernie wybitnym kobiecym wrośnięciem w życie i osobowość kochanego mężczyzny — to jest cechą najcharakterystyczniejszą stosunku mojej Anny

10 (23) maja rok 1913. piątek.

Miało być dziś zebranie „komitetu redakcyjnego” „Kurjera Krajowego”, to znaczy zebranie złożone z Zasztowta, Maćkowskiego i mnie — dla ułożenia mniej więcej listy osób, które ~~[illegible]~~ można uważać za sympatyków „Kurjera Kr.” i które należałoby zaprosić ~~na~~ projektowane przez nas szersze zebranie dla omówienia sprawy wydawniczej oraz kierunku pisma. Ale Zasztowt nie przyszedł i my z Maćkowskim bez niego nic nie uradziliśmy. Co będzie z „Kurjerem Krajowym” — niewiem. Cóż mówić o szerszym zebraniu sympatyków, kiedy tak ścisła organizacja, jak komitet redakcyjny, złożony z 3 osób, nie jest w stanie funkcjonować. Nie mówiąc już o jakichś systematycznych perjodycznych zebraniach komitetu dla stałego kierownictwa pismem, — nawet zebrania doraźne dla omówienia poszczególnej kwestji nie dochodzą prawie nigdy do skutku. Koła, śród których „Kurjer Krajowy” może liczyć na sympatję i poparcie — to są koła pół-inteligiencji, młodzieży, pracujący w kancelarjach, biurach, urzędach i t.p., niektórych ~~[illegible]~~ elementów mieszczańskich i robotników bardziej uświadomionych. Te elementy są luźne, rozproszone, ~~[illegible]~~ zarówno czynne, zarówno wydzielone i wprowadzone do jakiejś akcji zbiorowej. Poza tym są one materjalnie bardzo ubogie i zasiłku pieniężnego na pokrycie deficytu wydawniczego dać nie zdołają. Natomiast sfery inteligienckie polskie, nie wyłączając t.zw. „postępowców”, są prawie powszechnie pismu wrogie. Względnie najbardziej zwarta i najbardziej wyrazista grupa „postępowa” inteligiencka, ~~grupa~~ (mianowicie grupa) „przeglądowa”, jest w jaskrawym antagonizmie do „Kurjera Krajowego”. Liczyć zaś na to, aby półinteligienckie elementy sympatyków pisma, wezwane na zebranie, zdołały sfinansować wydawnictwo, — to iluzja. Zebranie takie jest tylko o tyle pożądane, że może ono spopularyzować „Kurjer Kr.”, może nawiązać kontakt bliższy między czytelnikami a redakcją, uspołecznić pismo ~~[illegible]~~ w pewnej mierze. Ale właściwe sfinansowanie pisma tą drogą się nie dokona. Muszą być jakieś źródła inne. Jakiemi były dotąd te źródła — to wie dobrze tylko Maćkowski. On sam najwięcej łożył na pismo osobiście, poza tym subsydjowali je potrochu Dr. Szumatowicz, Zasztowt, Bronisławski, ja i ~~[illegible]~~ ze głównie Iwan Łuckiewicz ze źródeł jemu tylko osobiście znanych. Ale tego zarówno i to się już wyczerpuje. Nie mogę powiedzieć, abym był całkowicie z pismem tego zadowolony, wiedząc układ redakcji i kierunku, ale bądź co bądź rzecz to ma placówka pracy pożytecznej.

Stwierdzam, że się odbyło wczoraj w Klubie Handlowym poufne pewne zebranie polskie dla wyrażenia protestu przeciwko rozporządzeniu Mitr. Kluczewicza o zaniechaniu wszelkich nabożeństw polskich w kościółku św. Jana z powodu niedopuszczenia przez parafian-polaków nabożeństw litewskich. Na zebraniu tym były podobno wśród elementy endeckie i klerykalno-narodowe. Jest to jeden z epizodów w Taińcuchu walki polsko-litewskiej, która się toczy na gruncie ~~[illegible]~~ językowo-kościelnym. Szczegółów zebrania tego ani ultrasowego pretekstu ~~[illegible]~~ nie znam.

11 (24) maja
rok 1913.
sobota.

Zdaje się, że nastanie wkrótce moment rozpadnięcia się „Przeglądu Wileńskiego”. Nie mówię tu o rozłamie, który się coraz widoczniej zaznacza między ogółem grupy „przeglądowej” a mną i Zasztowtem. Jest to właściwie fakt dokonany. Choć formalnie nie wystąpiliśmy z Zasztowtem z grupy, jednak merytorycznie jesteśmy z nią niesolidarni i chodzimy ideowo innymi drogami. Ale i w samym łonie większości grupy rośnie rozdźwięk między opinią ogółu jej członków a jej wodzem wykonawczym, redaktorem jej organu, Ludwikiem Abramowiczem. Ogół grupy, choć żywi wyraźne aspiracje nacjonalistyczne w postaci założenia dualistycznym i dążenia do ostrego odosobnienia akcji demokratycznej polskiej od prądów demokratycznych innych narodowości krajowych, jednak nie godzi się dostarczać na skrajny wyraz nacjonalizmu, reprezentowany przez Ludwika. W ideologii Ludwika interes narodowy odosabnia się zupełnie od wszelkiego zagadnienia i tła społecznego, na co się ogół „przeglądowców” nie godzi, bo bądźcobądź wyznaje ideały ludowe i wiary w siłę twórczą demokratycznego czynnika społecznego. Na tym gruncie pogłębia się rozdźwięk grupy z Ludwikiem, a choć Ludwik dotąd uwydatnia w „Przeglądzie” swą osobistą ideologię i nie daje jej na szpaltach pisma zupełnego wyrazu, jednak ogół grupy widzi i rozumie, że sytuacja taka jest niebezpieczna, i że organ grupy, nie służąc szczerze jej aspiracjom, prędzej czy później będzie raczej w kierunku oddalania się, niż zbliżania do stosunku do zadań społecznych takich, jakimi je grupa rozumie. Wobec tego upada w grupie wiara do jej własnego organu i dzieła, do „Przeglądu” i utrwala się myśl o tym, że pismo, nie służąc swemu założeniu, traci rację bytu i staje się rzeczą niepotrzebną, nieproduktywnie kosztowną. Na tym tle, jak mię doszły wieści, działać zaczyna Nagrodzki, niewątpliwie najwybitniejszy i najtwardziej ideowy z „przeglądowców”. Nagrodzki, któremu chodzi szczerze o sprawę ludową, który jej w ofierze składa całą wiarę swoją, oddawna jest do „Przeglądu” [illegible], nie dlatego, żeby mu się nie podobał kierunek narodowościowy pisma, ale po prostu dlatego, że pismo jest zupełnie nieprzydatne dla podźwignięcia ruchu ludowego. „Przegląd” to organ wyłącznie i ściśle inteligencki. Ani tematy w nim poruszane, ani sposób wypowiadania się, nie jest przystosowany do potrzeb i umysłowości ludu. „Przegląd” jest po prostu organem garstki inteligencji, która go sama wydaje i czyta. Żadnej roli w ruchu ludowym spełnić nie może. Ze stanowiska Nagrodzkiego, to znaczy ze stanowiska ludowego, „Przegląd” jest rzeczą jałową. Na zebraniach dyskusyjnych grupy „przeglądowej”, gdzie się wiecznie wałkują spory subtelnych odcieni ideologicznych i gdzie ostatecznie każdy zostaje przy swoim zdaniu, Nagrodzki nie przychodzi wcale, uważając to za stratę czasu i za nieproduktywne próżniactwo inteligenckie. Nagrodzki i z urodzenia i z wykształcenia i z trybu życia i z umysłowości swojej — nie jest t. zw. inteligentem; jest on człowiekiem czynu i idei, jak może być takim człowiek prosty, syn ludu. Szkoda mu wysiłków, które idą na próżno, bez pożytku dla ludu. Chciałby on zużytkować serca i pieniądze tej inteligencji „postępowej”, które dziś idą na „Przegląd”, na cele istotnie ludowe. I w tym kierunku zaczął bodaj działać, jak przypuszczamy, usiłując wyemancypować z pewnych uczestników, które do większości swej partii. Dobiera sobie sprzymierzeńców śród przeglądowców, odwraca ich serca i umysły od „Przeglądu” i skierowuje ich uwagę na sprawę oświaty ludowej. Robi to drogą prywatną, w rozmowach osobistych, poufnych. Widocznie przygotowuje grunt potrochu, aby w stosownym czasie zabić „Przegląd” i skierować te wysiłki i ofiary pieniężne na drogę innego czynu, którego organizację planuje. Z pomocą ludowe towarzystwo oświatowe będzie czynnem [illegible] po „Przeglądzie”.

12 (25) maja. rok 1913. niedziela.

Dzień spędziłem na wycieczce z Anną do t. zw. zielonych jezior za Werkami. Słyszałem zawsze dawno o tych jeziorach, ale nigdy na nich nie byłem. Mają być one bardzo piękne i posiadać barwę niepospolitą, zieloną, przyczym jedni utrzymują, że barwa ta pochodzi od specjalnego odbicia od powierzchni wody zieleni brzegów, inni —, że od szczególnego składu chemicznego wody, budowy dna, roślinności wodnej jeziora i t. p. Postanowiłem dziś się tam wybrać. Kupiliśmy wczoraj z Anną zapas prowiantu na wycieczkę i dziś rano wyjechaliśmy parostatkiem do Werek. Dzień był dość chłodny, pogoda niepewna, ale pomimo licznych i ciężkich chmur, przeciągających chmur — obeszło się szczęśliwie prawie bez deszczu. Z Werek ruszyliśmy pieszo wprost do jezior. Po drodze, zaraz za parkiem werkowskim, rozłożyliśmy się w lasku na pagórku nad jakimś stawem wody stojącej i tu, przy dźwiękach orkiestry naturalnej chóru żabiego, spożyliśmy pierwszą przekąskę, wypoczęliśmy, zabawiliśmy się i ruszyliśmy dalej. Nie znając dokładnie drogi, zeszliśmy przedwcześnie z gościńca na bok w lewo i trafiliśmy po jakimś czasie do wioski, zwanej Małą Żełbiną. Tu w jednej z chat włościańskich napiliśmy się mleka i, wziąwszy małego chłopaka, bardzo rozsądnego i sprytnego, Bolesia, za przewodnika, dotarliśmy wkrótce do jednego z jezior „zielonych", zwanego jeziorem Krzyżackim. Łódki dla przejażdżki po jeziorze nie dostaliśmy, bo z dwóch łodek, które posiada stróż-leśnik tameczny, Bartoszka, jedna dziurawa, a drugą ktoś już przed nami wynajął i wyjechał na jezioro. Nie zastaliśmy też zresztą samego Bartoszki, który był w kościele, jeno dzieci jego. Musieliśmy się zadowolnić spacerem wzdłuż brzegów jeziora. Jezioro jest mało ładne, w kilku miejscach nawet bardzo malowniczo położone, zwłaszcza w zatoczce przy chacie Bartoszki i willi, skąd bierze początek rzeczka. Barwa wody wprawdzie jest istotnie w niektórych miejscach zielona, ale to po prostu z odbicia brzegów pagórkowatych, i ostatecznie osobliwością mi się nie wydała. Pospacerowawszy i ukończywszy sjestę obiadową, ruszyliśmy z powrotem do Werek na gościńce mimo Trzesy. Po drodze piliśmy jeszcze mleko w wiosce Dworyszcze i wypoczywaliśmy w lesie sosnowym przy drodze. W Werkach wstąpiliśmy jeszcze do restauracji [illegible] na kolację z jaj, mięsa z pierożków i kwasu żurawinowego, i na wieczór wróciliśmy parostatkiem do Wilna. Wycieczka i dłuższy spacer pieszy chociaż męczyły Annę, ale jej na zdrowie posłużą. Było nam bardzo dobrze i miło we dwoje. Nie spotykaliśmy ludzi, byliśmy prawie sami, co najlepiej lubimy. Trochę poprzekomarzaliśmy się z Anną nad jeziorem, jak to u nas często bywa, ale niedługo.

13 (26) maja
rok 1913.
poniedziałek.

Doszło do wiadomości mojej, że przed paru dniami czy też może wczoraj, odbyło się u Nagrodzkiego zebranie ściślejszego grona tych wybitniejszych postępowców („przeglądowców") polskich, którzy skądinąd należeli dotąd do związku, łączącego elementy demokratyczne wszystkich narodowości krajowych na zasadzie solidarności haseł humanitarnych i współpracownictwa demokratycznego. Na zebraniu tym, oprócz Nagrodzkiego, byli Krzyżanowski, Witold Abramowicz, Piłsudski, [illegible], Zasztowt (czy był ktoś więcej — nie wiem). Mnie na te zebranie nie zaproszono, wiedząc zgóry, że będę przeciwny zerwaniu więzów, łączących wysiłki demokratyczne polskie z wysiłkami demokratycznemi innych narodowości. Inicjatorzy tego zerwania motywowali potrzebę takowego tym, że elementy demokratyczne polskie powinny się skupić do roboty samodzielnej, mającej na względzie wyłącznie sprawę ludową polską, i że przeto więzy, łączące ich z organizacją z demokracją nie-polską, mogą uzależnić robotę tę od wpływów obcych lub zmusić jej autorów do nieszczerości, która nie powinna mieć miejsca, a dlatego, tak dla uzyskania zupełnej samodzielności, jak dla uniknięcia dwulicowości, należy swój związek z demokracją nie-polską zerwać. Głównym wyrazicielem tej tendencji, głównym motorem zerwania, jest Witold Abramowicz. Czy jest nim też Nagrodzki — nie wiem. Grupa „postępowa" polska oddawna jest w stadjum ciągłego kształtowania się i sposobienia się do czynu zbiorowego. Obecnie ludowa akcja oświatowa, do której chce ją skierować Nagrodzki, jest istotnie zadaniem poważnym, niezmiernie użytecznym i twórczym. Gotów jestem wierzyć, że to nie będą tylko słowa i że [illegible]rzystości, zmysł organizacyjny i szczery głęboki zapał Nagrodzkiego zapłodni dzieło to życiem. Ale nie rozumiem, dlaczego akcja taka miałaby wymagać bezwzględnego zerwania związku z demokracją nie-polską. Mnie się zdaje, że jedno drugiemu nie przeszkadza, skoro akcja przedsięwzięta ma być demokratyczną i ma służyć sprawie ludowej. Związek solidarności demokratycznej międzynarodowościowej nie dotyka w żadnej mierze autonomji w akcji poszczególnych grup demokratycznych i ma jeno charakter ogólnie porozumiewawczego, co najwyżej koordynującego. Ale w tym dążeniu do zerwania związku uwydatnia się [illegible] oddawna „postępowców" naszych pod nacjonalistyczny[illegible]. Mieści się w tym nieufność i niechęć oraz względy konkurencji z Litwinami i [illegible] białorusinami na gruncie [illegible]. Tkwi [illegible] katolickiej. Jest to wyraz [illegible] w ogniwie postępu nacjonalistycznego naszych „postępowców". Zasztowt oparł się stanowczo zerwaniu związku, [illegible] zdaje się na zerwanie [illegible]. Podobno tylko Piłsudski zgłasza jeszcze zastrzeżenia, wahając się między stanowiskiem bezwzględnym Zasztowta a przeciwnym, również bezwzględnym stanowiskiem innych.

14 (27) maja
rok 1913.
Wtorek

Znowu dzień czerski, także wolny od pracy. Znowu więc dzień spędziłem z Anną. Po obiedzie poszliśmy z nią na Zakręt do parku, zabawiliśmy tam czas jakiś, wypoczywając w lasku sosnowym, i wróciliśmy do miasta. Ok. godz. 8 wieczorem rozstałem się z Anną i poszedłem do Szklennika na posiedzenie Towarzystwa popierania kooperacji. Na zebraniu obecni byli z członków zarządu tylko Szklennik i ja, kandydat do zarządu Przyłuski, oraz dwaj członkowie Towarzystwa — Stadziewicz i Kognowicki. Na wstępie omawialiśmy sprawę organizacji i regulaminu projektowanego we wrześniu zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych gub. wileńskiej. Podanie do gubernatora z prośbą o pozwolenie na zjazd jest już gotowe i po podpisaniu takowego przez zarząd zostanie ono przesłane do władz. Omawialiśmy sprawę referatów na zjazd oraz innych szczegółów wykonania. Kilka przytomnych wskazówek praktycznych udzielił nam przy tej sposobności p. Kognowicki, jeden z czynnych działaczy [illegible] kowieńskiego. Dalej przeszliśmy do omówienia przykrej i drażliwej kwestii instruktora naszego Towarzystwa, p. Rzętnowskiego. Jak wiadomo, z pieniędzy ~~które~~ (około 1200 rb.), które Towarzystwu naszemu zostały udzielone w postaci zapomogi bezzwrotnej przez Towarzystwo popierania pracy społecznej z fundacji Montwiłłów, postanowiono wyjść stałego instruktora. Pieniądze te postanowiono użyć li tylko na utrzymanie instruktora w ciągu 2 lat. Wybór padł na p. Rzętnowskiego, inspektora asekuracji rolnych w Kownie, zalecanego gorąco przez p. Świąteckiego. Szklennik naraz pokładał duże nadzieje w Rzętnowskim i z zapałem go przyjął na instruktora, narzucił poniekąd Towarzystwu tę kandydaturę. Ogólne zebranie Towarzystwa, które się odbyło 28 kwietnia, potwierdziło nominację Rzętnowskiego. Atoli Szklennik równie prędko, jak się zapalił, tak teraz zraził do Rzętnowskiego. Ze znajomości z nim odniósł wrażenie, że Rzętnowski jest po prostu karjerowiczem i blagierem, sprawami kooperacji się nie interesuje i nietylko nie ma odpowiedniej znajomości przedmiotu, ale nie ma też najmniejszego wyrobienia kooperatywnego. Rzętnowski jest, zdaniem Szklennika, do niczego, jako instruktor. Że nie ma on wprawy i umiejętności, o tym wiedzieliśmy wprzód, ale chodziło o wyrobienie człowieka, o stworzenie zeń kooperatysty. W gorliwości Szklennika, który jest uprzedzony do Rzętnowskiego zraziwszy się, poparł też wiceprezes Towarzystwa Witold Abramowicz. Dziś właśnie na zebraniu zarządu miała być w obecności Rzętnowskiego poruszona sprawa ~~[illegible]~~ dalszego zajmowania przez niego posady. Atoli Rzętnowski, który już był o tym poinformowany i który wyjechał z Wilna w sprawach asekuracji, na zebranie się nie stawił. Nie było też Abramowicza. Szklennik wyłuszczył szczegółowo racje, dla których uważa Rzętnowskiego za nieodpowiedniego. Właściwie tylko ja jeden oprócz Szklennika mam dziś głos decydujący. Ponieważ osobiście nie znam wyrobienia i kwalifikacyj Rzętnowskiego, którego zaledwie poznałem, i ponieważ uważam, że sprawa ta wymaga gruntownego rozważenia, przeto zaproponowałem odłożenie jej do następnego plenarnego zebrania zarządu, na którym powinna być ona poruszona w obecności samego Rzętnowskiego. Wszyscy się do tego przychylili. Tak Kognowicki, który pośredniczył w rekomendowaniu Rzętnowskiego, jak [illegible] sprawa ta bardzo dotkliwa z wielu względów. Istotnie jest ona b. drażliwa. Z jednej strony nie możemy narażać pieniędzy społecznych i lekkomyślnie zużytkować je na nieproduktywne utrzymywanie nieodpowiedniego instruktora, z drugiej — musimy się liczyć z zobowiązaniami naszymi względem Rzętnowskiego. Tylko w takim razie go usunąć, jeżeli istotnie się przekonamy, że nie daje i nie da on tego, do czego się zobowiązał i za co jest opłacany. Trzeba się też liczyć z

tym względem, że tu chodzi o pieniądze, udzielone nam zzewnątrz pod firmą użyteczności publicznej, i że tu musimy być szczególnie ostrożni, żeby w żadnym kierunku błędu ani lekkomyślności nie popełnić. Co do Rzętnowskiego, to wprawdzie istotnie z tego, co słyszę o nim, mam wrażenie, że nie jest odpowiedni, jednak uważam w niniejszej wielkiej sprawie [illegible] w decyzji ostatecznej, albowiem należy pamiętać, że mamy tu do czynienia ze Szklennikiem, który łatwo się zapala [illegible] ~~[illegible]~~ mogące być przesadzonymi względem człowieka przychodzącego. Szklennik, będąc sam [illegible] i [illegible] całą duszą w sprawę kooperacji, chce w osobie instruktora znaleźć nietylko pracownika

15 (28) maja rok 1913. Środa.

U Elwiry Mieczkowskiej urodził się syn. Miała przyjechać do Wilna na połóg, ale ciągle zwlekała i zresztą nie umiała ustalić spodziewanego terminu urodzenia — czy w końcu maja jeszcze, czy w czerwcu. Dziś rano była kartka od niej, że jeszcze na dni kilka zostaje i że przyjedzie do Wilna w sobotę. Tymczasem natura sama rozwiązała kwestię, bo dziecko się urodziło, o czym przyszła depesza od Mieczkowskiego po obiedzie. Wielka zresztą była radość obojga Mieczkowskich, że to syn. Stefan pragnął syna i Elwira dla dogodzenia mężowi też tego pragnęła. No i chwała Bogu — niech się cieszą! I niech ten syn wyrośnie na człowieka uczciwego i dzielnego, niechby miał życie piękne i żeby zeń kraj i społeczność miały pożytek!

Fakt, o którym pisałem poprzednio, dokonał się. Krzyżanowski i Nagórski wystąpili ze związku, o czym mię dziś Krzyżanowski formalnie zawiadomił.

Wieczór mi zajęła sprawa sądu polubownego między Šaulysem a księdzem Stefanowiczem. Sprawa była, dla mnie przynajmniej, niesympatyczna i w istocie rzeczy głupia. Chodziło o spór co do należnego Šaulysowi honorarium za wykonaną na obstalunek ks. Stefanowicza pracę literacko-szkolną (wypracowanie szkolne dla wychowanka ks. Stefanowicza, ucznia kursów handlowych Mochowa, na temat o operacjach finansowych). Ks. Stefanowicz, obstalowując tę pracę u Šaulysa, wspomniał o honorarium w kwocie rb. 100. Propozycja ta była zrobiona w toku rozmowy, na wpół żartem, aczkolwiek obstalunek był przez ks. Stefanowicza traktowany zupełnie poważnie. Šaulys pracę wykonał i domaga się przyrzeczonych rb. 100, ks. Stefanowicz zaś, nie kwestionując tego, że honorarium mu się w ogóle należy, uważa wszakże żądanie za wygórowane a propozycję swą poprzednią za żartobliwą. Niewątpliwie, że praca tyle nie jest warta, jeżeli honorarium takowe podług wartości roboty. Jest to bowiem po prostu kompilacyjne, aczkolwiek fachowe, wypracowanie szkolne. Ale Šaulys, który się odwołał do sądu polubownego, poddał nam do orzeczenia li tylko kwestię o tym, czy propozycja honorarium 100-rublowego miała cechy warunku umowy i czy wobec tego formalnie usprawiedliwione jest jego żądanie. Ks. Stefanowicz, porwany, zgodził się na to postawienie formalne. Šaulys powołał na sędziego mnie, ks. Stefanowicz — Antoniego Smetonę, my zaś na superarbitra powołaliśmy Jana Vileišisa. W dochodzeniu sądowym przesłuchaliśmy jednego świadka, ks. Zajączkowskiego, którego zeznanie potwierdziło formalnie tę wersję Šaulysa. Musieliśmy uznać słuszność formalną żądania Šaulysa, aczkolwiek w przekonaniu wewnętrznym ja i zresztą wszyscy sędziowie odnieśliśmy wrażenie pewnego niesmaku, bo właściwie stanowisko formalne nie odpowiadało w tym razie sprawiedliwości. W istocie rzeczy między nimi zaszło niewątpliwie nieporozumienie, wyzyskane chciwie przez Šaulysa z krzywdą dla ks. Stefanowicza. Odczuła to [illegible] moja Aneta, gdym jej sprawę opowiadał, pomimo że ma nieprzezwyciężony wstręt do księży i że zawsze skłonna jest do komentowania wszystkiego na ich niekorzyść, bo uważa całą ich działalność i całe życie za jeden ciąg kłamstwa, obłudy faryzeuszowskiej i szkodzenia sprawiedliwości. A jednak tu bez wahania zajęła stronę ks. Stefanowicza i to z całą bezwzględnością odruchową, właściwą naturom prostym i szczerym oraz umysłowości ludowej, i aż płakała z oburzenia na Šaulysa. Dla mnie też Šaulys ukazał się tu w świetle niezbyt miłym, bardzo charakteryzującym jego naturę etyczną. Tak, [illegible] ludzi szczera materialna, i dlatego [illegible] na Šaulysa nie [illegible]. Sąd nasz polubowny był [illegible] litewski. Litwinami były strony, świadek i sędziowie, prócz mnie, litewskie były obrady i litewski protokół oraz rezolucje.

138.

16 (29) maja
rok 1913.
czwartek

Pod wieczór w lokalu wystawy litewskiej odbyło się zebranie Zarządu Litewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych („Dailės Draugijos”). Na zebraniu obecni byliśmy: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Katrys, Antulis, ja i nienależąca do Zarządu p. Janowa Vileišisowa. Towarzystwo od św. Jerzego najęło własny lokal w domu Śliżnia przy rogu ulic Zawalnej i Nowej, duży i wygodny, za rb. 900 rocznie. Wydatek ten jest dla budżetu Towarzystwa ciężki, ale bardzo intensywny rozwój Towarzystwa robi potrzebę posiadania własnego lokalu wprost niezbędną i jednocześnie pozwala żywić nadzieję, że środki, wzrastające stale a równolegle do rozwoju działalności; wystarczą na opłacanie tego nowego kosztu. Obecna, VII wystawa doroczna, została otwarta w niedzielę ubiegłą we własnym lokalu Towarzystwa. Znowu, jak co roku, a bodaj obficiej jeszcze, prezentuje się pięknie na wystawie dział dorobku ludowego. Dział ten stanowi najciekawszą i najbardziej wartościową pozycję wystaw litewskich. Znowu mamy tkaniny włościańskie, niezliczoną ilość barwnych wzorzystych pasów litewskich (juostos), piękne wyroby artystyczne z drewna (ozdobne tyki, cały kołowrotek, rzeźbione części kołowrotkowe, „klumpsie” żmudzkie, łyżki rzeźbione, tabakierki, i t. d.), ornamenty rysunkowe, pisanki i t. p.. Dział ten ma wartość wybitną pod względem etnograficznym i sztuki stosowanej, ilustrując naszą twórczość ludową, uwydatniając jej kierunek i charakter właściwy. Dział sztuki czystej, to znaczy indywidualnych utworów artystów litewskich, jest zdaniem moim mniej charakterystyczny, niż ten dział ludowy. Nowe talenty jakoś mało wyrastają; w wystawie biorą udział przeważnie ci sami artyści, których prace od szeregu lat oglądamy; są wśród nich talenty niewątpliwe, oryginalne, ale postępu czy rozwoju nie widać. Niektórzy, jak Varnas i jak zmarły Kalpokas, trochę się nawet zmanierowali, pierwszy w monotonnym tworzeniu wiecznie tych samych rodzajów obrazków, drugi – bądź w naśladownictwie Čiurlanisa bądź w uganianiu się za oryginalnością kompozycji barw nastrojowych. Niema natomiast w tym roku wcale Rymszy, niema Zikarasa, niema żadnej rzeźby z młodszych, niema Wienożyńskiego. Dąbrowski dopiero teraz nadesłał kilkanaście prac swoich. Najwybitniejszy jest bodaj Żmujdzinowicz, którego utwory mają dużo harmonii, spokoju, dobrej techniki i czegoś, co bym określił, jako „aisanka”, to znaczy pewność siebie, równowaga w wykonaniu i kompozycji; piękny rozkwit dojrzałości talentu, ale bez tego niepokoju twórczego, który cechuje talenty młode, szukające dopiero własnego wyrazu, walczące z techniką. Z dwuch jego płócien Żmujdzinowicza jedno nabył w pierwszym dniu wystawy gubernator Wierzbowskij, drugie – ksiądz Administrator Diecezji Michałkiewicz. Dziś wybraliśmy na wystawie 4 obrazy do rozlosowania między członków Towarzystwa (1 obraz – Kalpokasa, 2 – Varnasa i 1 – Żmujdzinowicza), co zaś do przeznaczenia przedmiotów z działu ludowego, to zleciliśmy takowe komisji specjalnej znawców. Następnie omawialiśmy sprawy zwiększenia etatu, najmu stróża oraz zaangażowania stałego płatnego sekretarza Towarzystwa. W lokalu Towarzystwa zostanie otwarta stała galerja obrazów Čiurlanisa, które są przez wdowę artysty oddane Towarzystwu w depozyt, oraz będą się mieściły zbiory Towarzystwa z zakresu sztuki ludowej, które utworzą bardzo cenne litewskie muzeum etnograficzno-artystyczne. Zbiory te powstały tak z darów jak przeważnie z zakupu przez Towarzystwo najciekawszych eksponatów działu ludowego z wystaw poprzednich. Oprócz tego jest projekt (popierany przez Vileišisa), aby Towarzystwo, korzystając z lokalu, zajęło się branianiem i kopiowaniem i sprzedażą tkanin ludowych wyrobów przemysłu domowego, mających cechy sztuki stosowanej.

Dziś kupiłem elementarz polski, z którego zaznajomiłem Anusię czytać po polsku. Jako Estonka – zna ona alfabet łaciński (zresztą zna też gotycki i rosyjski), więc z tym trudności to nie będzie, ale uważam to za wstęp do nauczania jej w ogóle języka polskiego. Wieczorem rozpocząłem pierwszą lekcję.

17 (30) maja
rok 1913.
piątek.

Napisałem dziś rano artykulik dla „Kurjera Krajowego” na temat o społecznych czynnikach siły narodowej. Uwydatniłem w nim pierwiastek usamodzielnienia się ludu, który staje się coraz bardziej czynnikiem twórczym kultury w społeczeństwach współczesnych, i stąd w stosunku do naszego kraju uwydatniłem społeczną i kulturalną wagę narodowych ruchów ludowych, jakie widzimy zwłaszcza w postaci ruchu litewskiego [redacted] i także białoruskiego. W związku z tym wykazałem, że podstawą kulturalnego utrwalenia polskości w tym kraju na przyszłość może być tylko analogiczny polski ruch ludowy, i że w żadnym razie nie może być takim ten „ruch” „ludowy”, który jest dziś całkowicie w ręku szlachty i kleru i który jest skierowany nie do usamodzielnienia ludu, lecz do zużytkowania go na rzecz utrwalenia przewagi szlachecko-klerykalnej. Istotnie, zdaniem moim, dopóki ludowe elementy polskie w tym kraju, czy to lud miejski w Wilnie i innych miastach, czy też drobna szlachta lub wyspy ludu włościańskiego polskiego, będą powolnym narzędziem przewagi szlacheckiej, dopóty ruchy demokratyczne litewski i białoruski będą przeciwko nim skierowane i będą w nich zwalczały tak społeczną zachłanność szlachty, jak narodową kulturę polską. Maikowski przyjął ten mój artykuł z rezerwą. Mam wrażenie, że nawet nie czuł się dość pewny dla orzeczenia, czy artykuł mój nie wykracza przeciwko zasadzie krajowości i współpracownictwa z innemi narodowościami i że chciał przeto poradzić się poprzednio Antoniego Łuckiewicza, którego ma za wyrocznię. Antoniego Łuckiewicza cenię, mam go za szczerego demokratę, człowieka rozumnego i wyrobionego. Nie stawiam się, jak „przeglądowcy”, jego wpływu w demokratycznej prasie polskiej, jego zasługom nawet. Ale, jeżeli tylko moje wrażenie co do zamiarów Maikowskiego mię nie myli, to mi się one nie podobają. W razie wątpliwości czemuż nie zwrócić się do komitetu redakcyjnego, nie zaś do osób choćby najbliższych pismu, ale formalnie nie stanowiących organu kierowniczego.

Los „Kurjera Krajowego” w ogóle coraz bardziej mię niepokoi. Nie mówiąc o redakcji, i administracja i drukarnia wydawnicza są w zupełnym rozprzężeniu. Co do redakcji, to komitet redakcyjny nie zdołał się ustalić. Zasztowt przy najlepszych chęciach nie nadaje się do systematycznego udziału w komitecie, bo tylko doraźnie i bardzo przygodnie [redacted] się zbliża do pisma. Ja sam jeden też nie mogę wystarczyć, bo nie mogę się temu całkowicie oddać. Maikowski zaś nie stoi na głowie, a jest niewyrobiony i [redacted] w ogóle nie ma k. dobrej głowy. [redacted] Często więc są grube i rażące błędy w artykułach [illegible], płytka czcza wodnistość i operowanie pustemi frazesami. W ostatnich zaś czasach jest przechylenie się w wydawaniu pisma do sensacji brukowej, która zniechęca [redacted] i razi nawet przyjaciół pisma, bo nie można w piśmie demokratycznym ideowym wprowadzać [redacted] tradycji niezdrowej, działającej na rozbudzanie wyobraźni instynktów, literatury „Sherlock-Holmesów”, która przed kilku laty grasowała powszechnie wśród młodzieży i półinteligencji, w dobie upadku porewolucyjnego, a której kult [illegible] w [illegible] wiernie uformowały kinematografy i inne podobne przedsięwzięcia. Pismo ideowe powinno w dziedzinie sensacji dziennikarskiej zachowywać wielkie umiarkowanie. Ale największa zmora w „Kurjerze Kr.” jest sprawa wydawnicza. Pod tym względem jest zupełny chaos, zupełne rozprzężenie. Niektórzy radzą utworzenie spółki wydawniczej, opartej na udziałach, jak to jest u Litwinów, a nawet w ziemiańskim „Kurjerze Litewskim”. Ale z jakich elementów taką spółkę utworzyć? Nie możemy nawet [illegible], aby ułożyć listę [illegible] [illegible], która się [illegible] bez końca, a tymczasem sprawy dochodzą do upadku. Pismo zaczyna [illegible] obowiązaniami i może przyjść do katastrofalnego bankructwa. Ja osobiście do spółki wydawniczej nie chcę wcale ani zbliżać się, ale tę [illegible] skandal bankructwa rzuciłby cień na wszystkich, którzy mieli jakikolwiek, choćby tylko redakcyjny, związek z pismem. [illegible] pisarze, poświęcamy już pół roku [illegible] i [illegible] zdobywamy skarby, choćby [illegible] [illegible] [illegible] jako [illegible] [illegible] w prasie polskiej. Jako takie [illegible] [illegible] [illegible] i powinna [illegible] do [illegible].

18 (31) maja.
rok 1913.
sobota.

Kupiłem dziś na wystawie litewskiej kilka pasów (juostos). Trochę się coprawda spóźniłem, bo już najpiękniejsze pasy zostały rozkupione. Tegoroczne eksponaty pasów uderzają większą okazałością, niż dotąd. Dużo jest pasów szerokich, i naogół kompozycja deseni i zwłaszcza barw jest bardziej urozmaicona i wspanialsza. Zdaje się, że ten wybitny rozwój w kompozycji pasów jest dziełem wystaw litewskich; pasy bowiem pochodzą przeważnie od tych samych eksponentów, którzy je przysyłali na poprzednie wystawy; zachęceni popytem, eksponenci zaczęli intensywniej pracować nad wyrobem pasów, urozmaicając kompozycję i dążąc do ~~wytworzenia wzorów~~ spotęgowania ~~[illegible]~~ elementów zdobniczych. Pasy te coraz bardziej się modernizują ~~pod względem postaci~~ w kierunku jaskrawości barw i geometryczności układu deseniów. Ogólny styl ich znacznie się już różni od starych wzorów. Będzie to rzecz bardzo dodatnia, jeżeli wystawy litewskie posłużą do odrodzenia i rozwoju tej gałęzi pięknego zdobnictwa ludowego, która już była w stadjum zamierania. Jedyna rzecz, której się można obawiać, to zmanjerowania motywów zdobniczych ~~w zbyt p~~ w skutku zbyt nagle przyśpieszonego tempa rozwoju. Naogół dotąd kompozycje utrzymują szlachetny dobór barw i deseni, ale niektóre pasy już są nieco zmanjerowane. Zwłaszcza niebezpieczny jest jasno-buraczkowy kolor, który zdaje się zbyt upowszechniać, a który, jako krzykliwy i rzucający się w oczy, działa sensacyjnie na zmysły; przy zbytniem uganianiu się za jaskrawą sensacją efektu kolor ten może łatwo zdobyć przewagę w nowych wzorach zdobnictwa i stać się ~~[illegible]~~ elementem manjery z ujmą dla ~~[illegible]~~ dobrego smaku artystycznego. Kolor ten tylko w bardzo umiarkowanym zastosowaniu i w najściślejszym skojarzeniu z innemi — ~~[illegible]~~ może być użyty, a tymczasem w nowych kompozycjach zastosowanie jego znacznie wzrosło przesadnie, wykazując niebezpieczną tendencję do ~~[illegible]~~ manjery, — szkoła manjery.

19 maja. / 1 czerwca. rok 1913. niedziela.

Odbyliśmy z Anną piękną długą wycieczkę pieszą, któ-
ra nam cały prawie dzień zajęła. Koło godz. 10 rano
wyszliśmy przez ul. Sierocą (Subocz) na Popławy,
stamtąd na Belmont i zaraz za Belmontem,
niedochodząc Leoniszek, zeszliśmy z drogi bitej na
góry, położone między Leoniszkami a traktem
Połockim. Tam w pięknej pozycji, przy lasku sosno-
wym, ozdobionym bujnym podszyciem dębowym,
mając u stóp wąwozik z zieloną łączką i na-
przeciw rozległą polankę, okoloną laskiem i za-
jętą w części pod [illegible] sad leoniski, usiedliśmy
dla wypoczynku. Zaczynała się już spiekota południa,
upał słoneczny skwarzył nas i [illegible] pot obfity.
W naszym klimacie mamy względnie tak mało cie-
pła i słońca, że ja sobie bynajmniej nie przy-
krzę upałem; z rozkoszą biorę te słońca, którego go-
rące promienie majowe mają złotą moc [illegible] i
do którego przez cały rok tak tęsknimy, wśród sło-
ty jesiennej, ponure mroki grudniowe, dżdżyste
chłody naszej wiosny i t. d. Annę zaś upał męczył
i rozleniwiał, tak że często i obficie skarżyła się
na mnie w toku wycieczki, narzekając, że jestem, jak
wielbłąd, podróżujący po skwarze słonecznym bez
ustanku. Anna chciałaby tylko jaknajdłużej gdzieś
leżeć w cieniu i jaknajmniej się ruszać. Ale ja wciąż
podniecałem ją do ruchu i nie przedłużałem zbytnio
wypoczynku. Wzięliśmy ze sobą tylko bułkę od [illegible],
ser biały z kminem, masło, [illegible] i jaja. Ale ma-
sła nie tknęliśmy wcale, ser też prawie nietknięty
odnieśliśmy, a [illegible] i jaj tylko kilka i to bez wiel-
kiej chęci zjedliśmy. Po pierwszym wypoczynku posz-
liśmy dalej w kierunku traktu Połockiego, chcąc odszukać
pamiętną dla nas polankę, na której przed 2 laty odpo-
czywaliśmy w lipcu na jednym z pierwszych naszych spa-
cerów w pierwszych dniach po wyjeździe Aleksy (?) z Bekont (?). Po-
lankę tę odnaleźliśmy. Jakże się wiele odtąd zmieniło, jak in-
nym jest nasz obecny stosunek od tego, co było wówczas. By-
liśmy się wtedy zakochani, dość [illegible], Anna się mnie ba-
ła, pełna była niepewności o los mój, pełna rozterki wewnętrznej
po tej katastrofie podłej, z której ją wyrwałem, ja też nie wiedziałem,
co będzie z nią dalej, i z każdym [illegible] świtem. Tym związkiem
naszym, który się może już obecnie zresztą utrwalić — spokojnie nam się
[illegible]. Teraz w pobliżu wypiliśmy świeżego mleka i [illegible] do Leo-
niszek. Tam [illegible] w cieniu lasku, nad piękną zieloną łączką, znów
urządziliśmy popas i ruszyliśmy dalej gościńcem wzdłuż rzeczki Wilejki. An-
na chciała [illegible] się [illegible] nad brzeg Wilejki i wypocząć, ma-
jąc stopy w chłodnej czystej wodzie rzecznej, ale ja [illegible] dalej. [illegible]
[illegible]. W [illegible] w [illegible] dębów [illegible] wypiliśmy mleka i nieco [illegible]
[illegible] trzeci [illegible] popas w lasku. Wreszcie stamtąd przez [illegible] do-
szliśmy do [illegible] N. Wilejki, skąd wróciliśmy koło godz. 7 pociągiem do Wilna.
W Wilnie zabawiłem u Anny jeszcze do godz. 11, [illegible] kolacją [illegible].

Upał dziś większy jeszcze, niż wczoraj. Rano, koło godz. 9, termometr pokazywał w cieniu 20° Réaumura, pod wieczór zaś koło godz. 5 było na słońcu 33° Réaumura.

20 maja
2 czerwca
rok 1913.
poniedziałek

Przez cały dzień byłem zajęty bieżącemi interesami, adwokackiemi i innemi. Co do zajęć adwokackich, to najuciążliwsze są dla mnie wszelkiego rodzaju zbierania informacji, łażenia po kancelarjach, słowem — żmudna zabiegliwość o drobiazgi i o bieg sprawy. Do tego stanowczo nie mam ani zamiłowania ani uzdolnienia. Natomiast o ile chodzi o czynności ściśle prawnicze, o wszelakie konstrukcje prawne, o opracowanie motywowanej apelacji czy założenie skargi kasacyjnej, to nie tylko że taką pracę mam przyjemną sobie, ale znajduję w niej twórczą przyjemność i nawet gotów byłbym się w niej kochać. Niestety — praktyka adwokacka wymaga nierozdzielnie ciągłej tej roboty czarnej, ciągłego kancelaryjnego deptania sprawy; to jest dla mnie jednym z głównych szkopułów adwokatury, jak drugim szkopułem jest konieczna partyjność, która wciąż obraża etykę i prowadzi na drogi bolesnych kompromisów sumienia. Prawnikiem jestem z zamiłowania, adwokatem — z bardzo przykrej dla mnie konieczności.

Wieczorem, jak zwykle, po przyjęciu kasy z wystawy litewskiej, pojechałem do Anny. Spędziłem u niej 1½ godziny i musiałem się z nią rozstać, bo umówiłem się spotkać w domu z Karolem Wołodkowiczem. Potem przed g. 11 znów się z Anną na ulicy w umówionym miejscu spotkałem i zabawiłem z nią do północy, gawędząc na ławeczce w skwerze Świętojerskim.

Ostatni mój artykuł, dany przed kilku dniami do „Kurjera Krajowego", doczekał się druku nie [illegible]. Majkowski dopatrzył się w nim nacjonalizmu (?), specjalnego zapaszku „przeglądowego". Zdaje mi się, że obawa przed nacjonalizmem polskim potrzebna ma to przesadę, będąc skrajnie tolerancyjny w stosunku do nacjonalizmu litewsko-białoruskiego. Ale zaiste musiał środowisko ludowe polskie za nacjonalizm zaborczy — to przesąd i nieporozumienie!

21 maja.
3 czerwca.
rok 1913.
wtorek.

Dziś wieczorem odbyło się to zebranie Towarzystwa popierania kooperacji, na które odłożona została do załatwienia sprawa stanowiska p. Łębnowskiego jako instruktora Towarzystwa. Na zebraniu obecny był cały Zarząd w komplecie, to znaczy Szklennik, Abramowicz Witold, Łoczewski, Dowiakowski i ja, członek komisji rewizyjnej p. Żongołłowicz oraz dwaj interesujący się szczególniej sprawą Łębnowskiego członkowie Towarzystwa, mianowicie p. Rogowicki, który go na instruktora rekomendował, i Stadniewicz, krewny Łębnowskiego. W kilku słowach poruszyliśmy kilka spraw bieżących, dotyczących projektowanego Zjazdu jesiennego oraz przesłania kwestjonarjusza do towarzystw spożywczych, i przeszliśmy następnie bezpośrednio do palącej sprawy instruktora, która nam cały wieczór do późnej godziny nocnej wypełniła. Właściwie na zebraniu dzisiejszym sprawa ta miała być w ten sposób rozwiązana, że wpierw Łębnowski miał dać sprawozdanie z dotychczasowego przygotowywania się do funkcji instruktora i zakreślić mniej więcej plan swych czynności instruktorskich na przyszłość, jak on je pojmuje. Ale Szklennik zaczął odrazu od tego, że wysypał cały swój zapas zarzutów względem Łębnowskiego, akcentując zwłaszcza swe przeświadczenie o braku dobrej woli i ideowości jego. Na to znów replikował Łębnowski, odpierając zarzuty Szklennika i przeciwstawiając mu zarzuty swoje, streszczające się do tego, że Szklennik nietylko mu nie ułatwiał wyjaśnienia w sprawy kooperacji i Towarzystwa, ale że go wręcz traktował niechętnie, z uprzedzeniem, odsuwając go raczej od wszystkiego i odosabniając zupełnie. W zarzutach jak jednego, tak drugiego była niewątpliwie przesada, ale nie brakło i słuszności. Utarczka ta, przykra i niesmaczna, zbyt się przedłużała, i wreszcie musieliśmy ją przerwać. Istotnie, poza opinją Szklennika, grzeszącą, jak zawsze, przesadnym subjektywizmem ideowca, nie mieliśmy żadnych podstaw niezbitych do uznania Łębnowskiego a priori za nieudatnego. Skądinąd wszakże odnieśliśmy wszyscy wrażenie, że istotnie Łębnowski jeszcze całkowicie do rozpoczęcia samodzielnych czynności instruktorskich nie jest przygotowany. Rozumieliśmy, że takie przygotowanie może się wyrobić nie w drodze tylko czytania książeczek o kooperacji, ale ~~[illegible]~~ nadewszystko w drodze wdrożenia się Łębnowskiego w konkretny tok spraw naszego Towarzystwa oraz zapoznania się bezpośrednio z realnym życiem, potrzebami i sprawami istniejących kooperatyw. Upadł wniosek Abramowicza o tym, żeby wstrzymać pensję Łębnowskiemu i zostawić go w zawieszeniu, dopóki się on sam o własnych siłach przygotuje i ~~[illegible]~~ dopiero może stanąć do ~~[illegible]~~ samodzielnej pracy instruktorskiej. W przeciwieństwie do Szklennika, kierunku spraw traktował Łociewski, który chciał oprzeć rzecz na zasadach formalistycznych i żądał, abyśmy uznali Łębnowskiego li tylko, jako urzędnika mechanicznego, nie zaś samodzielnego pracownika kooperacji, ponawiając nam przypomnienie o [illegible] nie funkcjonarjusza, lecz apostoła. Szklennik wreszcie zachował rezerwę zupełną, zdając decyzję Zarządowi. Zresztą rozumnie i trafnie wyszedł naprzód Rogowicki, proponując, abyśmy Łębnowskiego uważali za praktykanta do czasu zupełnego przysposobienia się jego do roli instruktora, ograniczając mu tymczasowo [illegible]. W myśl tych wskazań rozwiązaliśmy ~~[illegible]~~ też nasze wnioski dzisiejsze, które mamy zakomunikować Łębnowskiemu, [illegible] propozycję Zarządu [illegible] Łębnowski w dalszym ciągu [illegible] był na zebraniu [illegible], jako [illegible]
[illegible]
[illegible]

144.

22 maja.
4 czerwca.
rok 1913.
Środa.

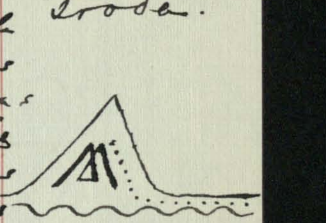

„W5" „KK" „LZ" „Md"

4E / r / 1b / z / p

W Sądzie Okręgowym broniłem niejakiego włościanina Jodkę z pod Wilna, oskarżonego o drobną kradzież, popełnioną rzekomo w uzbrojeniu i w drodze włamania (rozbicia szyby w oknie dla wejścia przez okno do zamkniętego domu). Objektywnych dowodów zbrodni nie było i cała sprawa oparta była na wątpliwych zeznaniach 2 małych dzieci oraz nawiasowym oskarżeniu rzekomo poszkodowanych, co do których wreszcie się wyjawiło, że mieli oni urazy dawne i t. zw. „złość" do Jodki. Słowem — wrażenie się otrzymało takie, że cała kradzież była poprostu zainscenizowana przez rzekomo poszkodowanych, którym chodziło o zemstę na Jodce. To też prokurator nie bardzo nalegał na oskarżenie, a przewodniczący w swoim „resumé", streszczając sprawę, dość wyraźnie kierował do wydatnienia niewinności oskarżonego. Przysięgli wynieśli wyrok uniewinniający. Moja rola była łatwa, a zresztą rezultat byłby ten sam i bez obrony mojej.

Po obiedzie spotkałem się ~~[illegible]~~ na ulicy z Michałem Biržiška, który mi wręczył napisany przezeń dość obszerny artykuł o robotniczych kasach chorych — ~~[illegible]~~ z prośbą o wydrukowanie takowego w „Kurjerze Krajowym". Nowa ustawa o tych kasach, która ma obecnie otrzymać zastosowanie, jest powszechnie w prasie omawiana i żywo obchodzi ogół robotniczy. Esdecy biorą w tej sprawie naturalnie żywy udział. Otóż artykuł Biržiški jest właściwie wyrazem usiłowań esdeckich; popularyzuje on i wyjaśnia tę kwestję i w odpowiednim kierunku urabia opinję i wskazówki postępowania dla robotników. Prasa wileńska, która, nie wyłączając demokratycznej, jest burżuazyjną (owszem jest parę organów, jak „Lietuvos Ūkininkas" i „Nasza Niwa" — ludowych, ale włościańskich, nie proletarjacko-robotniczych), mało a raczej wcale się tą sprawą nie zajmuje. Wilno nasze, jak cały nasz kraj, jest mało uprzemysłowione i jeszcze mniej fabryczne, to też proletarjat mało tu gra dotąd roli i sprawy jego ~~[illegible]~~ w prasie wileńskiej określonego stałego wyrazu nie mają. Wobec tego robotnicy wileńscy nie mają sposobności poznania tej sprawy, ~~i [illegible]~~ a że są dość ciemni i mało świadomi swoich potrzeb i spraw zbiorowych, więc się sami nie umieją zorjentować i ustalić swego postępowania, bo zresztą nie mają ~~[illegible]~~ czym takowego oprzeć. Temu brakowi ma właśnie zapobiec artykuł Biržiški. Wybór padł na „Kurjer Krajowy", jako organ codzienny, tani, popularny, demokratyczny i wydawany w języku polskim, a przeto ze wszech względów najdostępniejszy dla ogółu robotników chrześcijańskich. Artykuł Biržiški jest artykułem esdeków, wyrazem akcji zbiorowej. Dający go Biržiška zamówił do nabycia 500 egzemplarzy tych NN „Kurjera Kr.", w których on się ukaże, albowiem ~~[illegible]~~ esdekom chodzi właśnie o spopularyzowanie artykułu w masie robotniczej. Dla „Kurjera Krajowego" jest to bardzo dobra i bynajmniej nie tylko ze względu na ~~[illegible]~~ dochód z tych 500 egzemplarzy (artykuł będzie drukowany w 3 NN, więc ilość egzemplarzy zostaje zwiększona do 1500). Ważniejszym od dochodu z egzemplarzy tych jest sam fakt zwrócenia się esdeków do pisma, nawiązanie z tą, bardzo nieliczną wprawdzie, ale szczerze demokratyczną i ideowo silną, grupą kontaktu w pewnym chociażby drobnym zakresie ~~[illegible]~~ współpracowniczym, i wreszcie spopularyzowanie wśród elementów robotniczych, które w nim zobaczą ~~[illegible]~~ odzwierciadlenie swych potrzeb i będą zwracać na „Kurjer" uwagę.

23 maja.
5 czerwca.
rok 1913.
czwartek.

Dom nasz w Wilnie ostatecznie się już wyludnia na lato. Stefuś już oddawna wyjechał, dziś wyjeżdża Maryjnia, a jutro Ewa (Helcia) ze służącą Anusią. Zostaniemy w mieszkaniu tylko ja i służąca Emilka. Maryjnia jedzie teraz jeszcze nie do Bohdaniszek, lecz do Robertowa do Elwiry, gdzie mają się wkrótce odbyć chrzciny małego synka Mieczkowskich. Jak mu będzie na imię — nie wiem.

Dzień dzisiejszy spędziłem częściowo w domu, a częściowo z Anną, u której jednak przesiedzieliśmy przeważnie cały czas w mieszkaniu. Na wycieczkę zamiejską nie wybraliśmy się, ponieważ ja nie mogłem całego dnia na to poświęcić, a do chodzenia po mieście nie usposabiał nas upał, który się od tygodnia ustalił i trwa ciągle. Pracować też w taki upał, zwłaszcza po obiedzie, bardzo ciężko. Człowiek się rozleniwia i chciałby tylko gdzieś leżeć w chłodku i konsumować napoje chłodzące.

Wieczorem rozpocząłem artykulik dla „Kurjera Krajowego", dotyczący ogólnikowo przyszłych, mających się odbyć w jesieni, wyborów do Rady miejskiej. Kampanja wyborcza jeszcze daleko, układ sił walczących nieustalony, więc artykulik mój jest jeno pierwszym ogólnym zagajeniem sprawy tych wyborów. Nie dokończyłem go dziś wieczorem — zrobię to jutro rano.

Bębnowski nie przystał na warunki, zaproponowane mu na podstawie wtorkowej rezolucji Zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji, i ustąpił z posady instruktora. Tak więc ten przykry dylemat został rozwiązany. Ale teraz trudno już będzie Towarzystwu znaleźć kandydata dla ewentualnego objęcia tej posady. Zapewne, że Bębnowski nie był najzupełniej odpowiedni. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że ze Szklennikiem nikt zapewne w roli podwładnego współpracownika nie wytrzyma. Wymagania jego są zawsze wygórowane, dochodzące do ideału, a najmniejsze zboczenie z linii, przez Szklennika kierowanej, jest w oczach Szklennika upadkiem. A gdy się już zrazi, to widzi w człowieku bezwzględną nieudolność i zniechęcony się już przekonać nie daje. Zresztą Towarzystwo, po tej niefortunnej próbie z Bębnowskim, nie będzie zapewne zbyt skore do nowego angażowania instruktora na wiarę, bez wypróbowania kwalifikacji jego i bez określenia dokładnego jego stanowiska i obowiązków.

24 maja / 6 czerwca. rok 1913. piątek.

Dwukrotnie zebraliśmy się dziś z Witoldem Abramowiczem u Szklennika, jako komisja, wydelegowana przez Zarząd do opracowania programowych wskazań projektowanego na jesień zjazdu. Kapitalną kwestią, którąśmy omawiali, była kwestia tymczasowej organizacji wspólnych zakupów pozostającej do czasu utworzenia związku. Zjazd niewątpliwie uzna potrzebę stworzenia tego Związku Stowarzyszeń Spożywczych. Propozycja ta na zjazd wniesiona i otrzymany dla niej z pewnością uchwałę. Wydelegowana będzie komisja, której zlecone będzie zorganizowanie Związku (opracowanie statutu, legalizacja). Ale niemożna liczyć na to, aby Związek tak prędko powstał i zaczął funkcjonować i rozpoczęcie samo powstanie jego nie jest pewne, bo władze mogą odmówić sankcji, uważając to za objaw samodzielności krajowej, a może nawet „intrygi polskiej" (u nas wszystko się przez władze tą miarą mierzy). Chodzi więc o to, aby w każdym razie owoce zjazdu nie zostały stracone czy to do czasu utworzenia związku, czy na stałe, jeżeli Związek formalnie nie będzie mógł powstać. Chodzi o znalezienie formy, w której zaraz po zjeździe kooperatywy spożywcze będą mogły się połączyć dla wspólnego zakupu towarów, co stanowi najbardziej palącą potrzebę. Z analizy naszej ustawy doszliśmy dziś do wniosku, że nasze Towarzystwo Popierania Kooperacji żadnych czynności handlowych pełnić nie może, więc się formalnie nie nadaje do tej funkcji, o którą nam chodzi. Wielka to szkoda, bo byłoby najlepiej, gdyby właśnie nasze Towarzystwo mogło się podjąć tych czynności jednoczenia kooperacji; ale bez zmiany naszej ustawy tego zrobić nie możemy, zmiana zaś ustawy jest rzeczą długą i niepewną [illegible] w tym wypadku niewykonalną, że chodzi tu właśnie o [illegible] wszystkich czynności kierowniczych; Towarzystwo nasze jest zaledwie przez władze tolerowane i może być za lada okazją zamknięte, gdy władze dostrzegą w niem intensywniejszego życia. Łamaliśmy więc dziś głowę nad tem, jak tej potrzebie zadośćuczynić, aby mieć już na zjeździe gotowy projekt urządzenia tej kwestii. Rozważaliśmy najrozmaitsze projekty, szukając najlepszego sposobu zorganizowania dla tej potrzeby wileńskiej kooperatywy, do której wszakże Szklennik jest uprzedzony i którą [illegible] solidarności. Wreszcie Szklennik zaproponował taką formę organizacji, aby stowarzyszenia na zjeździe związały się umową wzajemną [illegible] (w postaci spółki dla wspólnych zakupów) na utrzymywanie w Wilnie biura komisowego, pośredniczącego w zakupy. Ostatecznie nie rozstrzygnęliśmy dziś tego pytania, o którym [illegible] jeszcze nadal myśleć.

Wieczorem [illegible] do Anny, z którą [illegible] jeździliśmy dziś na parę dni na wycieczkę do Trok. O północy wyjechaliśmy do [illegible]. W [illegible] wszakże koni do wyjazdu nie dostaliśmy i [illegible] byliśmy [illegible] do rana w [illegible] w jakimś hoteliku. [illegible] nie mogliśmy zasnąć, a [illegible] [illegible] się jakaś panna, która [illegible] do nas [illegible]. [illegible] płacz [illegible] ze strachu [illegible] [illegible] i [illegible] od niej ofiary [illegible] [illegible] Z Anną [illegible] [illegible] i rozkoszy [illegible] [illegible] nasze [illegible]. Anna była [illegible] i wszystko na [illegible] z zazdrości. Co zaszło dalej — [illegible].

25 maja.
7 czerwca.
rok 1913.

sobota.

Nie dokończyłem wczorajszego opisu przykrej sceny nocnej. Pisałem, że w sąsiednim № hoteliku w Landwarowie mieściła się jakaś młoda parka kochanków, których gruchanie miłosne było przeplatane tonami namiętności i rozpaczy dziewczyny, walczącej z pożądliwością mężczyzny i ostatkami woli broniącej się przeciwko gorącej pokusie zmysłów. Anna, niewyspana, znerwowana, podrażniona dźwiękami tej sceny, trawiła się zazdrością, posądzając mnie o lubowanie się tym melodramatem zza ściany. Daleki byłem od tego, o co mnie Anna posądzała, ale nie moja zaiste wina, żem wraz z Anną musiał być mimowolnym świadkiem jęków i tłumionej walki zmysłów tuż obok. Nic wszakże nie mogło przekonać Anny i stłumić jej zazdrości. W sercu jej kiełkować zaczął dramat, podsycany wyobraźnią i ślepą namiętnością zazdrości. Poczuła się nagle samotną, opuszczoną, obcą dla mnie. Wyobraziła, że cała uwaga zmysłów moich wytężyła się tam, za ścianą, do nieznanej dziewczyny, płonącej w bolesnej rozterce zmysłów a rozsądku; wyobraziła sobie, że stała się obojętną, [illegible] niezdolną do budzenia we mnie podniety, traktowaną przeze mnie li tylko filantropijnie, jako przedmiot litości. [illegible] To obrażało jej dumę, ranił jej szczere pełne oddania się uczucie dla mnie, napełniało ją wrażeniem zawodu, samotności, pustki. Zbiła mi gorzkie wymówki, nie słuchała perswazji mojej, czuła się upokorzoną i zbolałą. Zamilkła, ale nie zasnęła spokojnie, szpiegując mój oddech i każdy ruch mego ciała i wsłuchując się pilnie w szczegóły sceny zza ściany. Wówczas ja nieopatrznie powiedziałem jej zdanie w pewnym rodzaju wymówki, które ją porwało wybuchem. Mianowicie zapytałem Anny, czy to prawda jest i czy to możliwe istotnie, by mię rzeczywiście kochała, skoro widzi we mnie same wady i same cechy ujemne — zepsucia, egoizmu i t. d.. Anna nie odpowiedziała wcale, ale skrytka poczułem z drżenia jej ciała, że płacze. Zbliżyłem mą głowę do niej, zajrzałem w oczy, chcąc ją utulić i mówiąc, że boleśnie ją mym powiedzeniem dotknąłem. Wtedy Anna wyrwała mi się z objęcia i z dzikim przenikliwym krzykiem, w którym był płacz i szlochanie i śmiech, zaczęła się wić na łóżku, rwąc sobie włosy, drapiąc do krwi [illegible] swą szyję paznogciami i [illegible] targając się w odruchowych konwulsjach. Był to straszny atak spazmów, podobny do epilepsji czy histerji. Nie mogłem jej uspokoić. Napróżno usiłowałem przerwać ten wybuch. Gdym ją otaczał pieszczotą i uspokajał tonem serdecznym pojednania, [illegible], abym tego zaprzestał, bo to ją bardziej jeszcze drażni. Brała to za litość, a nie za miłość z mej strony, litości zaś bardziej się bała od obojętności i gniewu, zwłaszcza w takich chwilach zdenerwowania. Atak ten kilkakrotnie się ponawiał u Anny; nie miałem ani kropli wody w pokoju, aby orzeźwić Annę i zgasić jej gorączkę. Wreszcie leżała obok mnie cicho i nieruchomie, z wielkiemi oczami otwartemi, drżąc jeno od czasu do czasu nerwowo, jakgdyby targana falami powrotnemi coraz słabszego echa konwulsji. Była wyczerpana i słaba. Przez całą noc [illegible] zmrużyliśmy prawie oka. [illegible] Rano jeno mała drzemka nas obojga ogarnęła [illegible]. Obudziliśmy się i wstaliśmy wcześnie. Ani słówka nie zamieniliśmy ze sobą o ataku nocnym Anny. Pojednaliśmy się jeno pieszczotą rano i aktem [illegible] rozkoszy wspólnej zmysłowej.

Po wstaniu wypiliśmy herbatkę i pojechaliśmy do Trok. Tu mieliśmy

[illegible]

26 maja.
8 czerwca.
rok 1913.
niedziela.

Wstaliśmy z Anną koło godz. 10 i poszliśmy zaraz
na jezioro do łódki. Znowu mieliśmy cały dzień
spędzić na jeziorze i wyspach, sami sobie obiad go-
tując. Ale już dziś nie było w programie zarzynania
kury, bo to by było za kosztowne na codzień. Po-
siłek nasz musiał się dziś obyć bez mięsa. Mieliśmy
jeść kartofle z kwaśnym mlekiem, jajecznicę ze
szczypiorkiem, szpinak z jajami. Kwaśnego mleka
wszakże nie dostaliśmy nigdzie w Trokach, a kartofle
musieliśmy kupić stare, bo świeżych tegorocznych
nie było. Z kartoflami więc tylko, jajami, szczypiorkiem,
koprem i chlebem odpłynęliśmy od brzegu. Chodziło
nam jeszcze o kwaśne mleko i szpinak. Po te nasze
„złote runo" popłynęliśmy do przedmieścia karaimskie-
go, ale niczego tam nie zyskali. Zapewniono nas, że
szpinak dostaniemy niewątpliwie w Zatroczu u ogrodni-
ka miejscowego. Popłynęliśmy więc wpoprzek jeziora,
płynąc do Zatrocza. Za wyspami na wielkiej
otwartej przestrzeni wody fale były coraz większe, aż pod
brzegami Zatrocza wzrosły do pokaźnych wcale bałwa-
nów, uderzających wściekle w naszą wątłą łódeczkę. Wiatr
był ostry, fale biegły z pianą na grzbiecie, chwilami
tak przechylały łódź naszą, że woda pryskała do wnętrza
łódki. Z wielką ostrożnością dotarliśmy do punktu wylą-
dowania. Byliśmy sterroryzowani gwałtownością bałwa-
nów wodnych. Łódeczkę mieliśmy wątłą, leciutką, wy-
godną wprawdzie, bo łatwą do wiosłowania, ale mało
odporną na fale. Nie wiedziałem już, co robić dalej.
Nie decydowałem się przedsięwziąć podróży na wyspę na-
szą, na której zamyśliliśmy sobie obiad gotować. Żeby dotrzeć
do niej, należało przebyć jezioro przeciw wiatru po naj-
bardziej wzburzonej przestrzeni otwartej. Patrząc z tym lęk-
niem na jezioro, widać było bielejące pianą grzywy
bałwanów, całą wodę zwichrzoną, jak w gotu-
jącym się kotle. Tymczasem poszliśmy z Anną do ogrodnika
w Zatroczu. Majątek wygląda bardzo pięknie, b. okazale
i bogato. Szpinaku wszakże nie dostaliśmy ani źdźbełka, więc
cała ta nasza podróż, tak wysilona śród bałwanów, okazała się zby-
teczna. Wróciwszy do łódki, byliśmy już spokojniejsi. Ochłonę-
liśmy z wrażenia przestrachu i zdecydowaliśmy się na jazdę
do wyspy, tnąc bałwany nosem łódki. Szczęśliwie, z wielkim
nakładem wysiłku fizycznego, dopłynęliśmy do wyspy. Łódka
huśtała się i skakała, jak szczupak na morzu. Przy wyspie
za wiatrem woda była spokojna. Anna siadła do wioseł, chcąc
spróbować nauki wiosłowania. Bardzo prędko się wprawiła i po
kilkunastu ruchach już umiała poprawnie kierować łodzią, nadając
jej ruch i kierunek prawidłowy. Na wyspie zgotowaliśmy na piecu-
sterowaniu nasz skromny posiłek, wypoczęliśmy jeszcze czas ja-
kiś, wyjadając cukierki, i ruszyliśmy z powrotem do Trok.
Jezioro było już zupełnie spokojne. Całą drogę powrotną wiosłowała Anna
— bardzo dobrze, jak na pierwszy raz. Była już godz. 8, gdyśmy przyjechali
do Trok. Wypiliśmy herbatę w hotelu i o godz. 10 wyjechaliśmy do Landwarowa.
Tu wszakże spóźniliśmy się na ostatni pociąg wileński i musieliśmy zanoco-
wać. Zanocowaliśmy w ohydnym hoteliku, przy jadalni, bo tam pozostałości? zostawił
po sobie przykre wrażenie.

27 maja
9 czerwca
rok 1913.
poniedziałek

Rano wróciliśmy z Anną z Łaudwarowa do Wilna.

Dowiedziałem się dziś od Ludwika Abramowicza, że „Przegląd Wileński" ma być przeniesiony do Warszawy. Że „Przegląd" ma być zamknięty — o tym wiedziałem. Wydawnictwo to daje stały deficyt i poczytność pisma bynajmniej nie wzrasta. To zniechęca udziałowców pisma finansujących je. Widzą oni, że wydawnictwo to jest zbytnio zbyt kosztowne w stosunku do rezultatów. Główny filar pisma, Nagrodzki, który przejęty jest sprawą ludową, ~~[illegible]~~ uważa sypanie pieniędzy na „Przegląd" za marnotrawstwo zbytkowne, na które nie należy sobie pozwalać, gdy jest pilna potrzeba roboty konkretnej, społecznej, na którą brak środków. Dlatego, choć z żalem, „przeglądowcy" za działaniem Nagrodzkiego widzą się zmuszeni do przerwania wydawnictwa „Przeglądu", a subsydja, które szły dotąd na „Przegląd", mają być skierowane, o ile wiem, na akcję oświaty ludowej polskiej w kraju, czynnie przez Nagrodzkiego organizowanej. Tymczasem Ludwik Abramowicz zabiega koło utrzymania „Przeglądu" w innej postaci, przenosząc go do Warszawy. W tym celu szuka on porozumienia się z odpowiednią grupą ludzi w Warszawie. Wszedł w kontakt z Patkiem i młodym Makowskim, traktując z nimi o urzeczywistnieniu tego przedsięwzięcia. „Przeglądowcy" wileńscy chętnie mu w tym pomagają, bo są do kierunku pisma przywiązani i szczerze by się cieszyli z zachowania go w jakiejkolwiek postaci. Ludwik jest dobrej myśli i wierzy, że mu z Patkiem i Makowskim dojdzie do skutku. Oczywiście, że „Przegląd" przestałby być pismem wileńskim i tylko nazwę odpowiednio zmienił. Stałby się jednym z tygodników warszawskich, aczkolwiek zachowałby swój kierunek zasadniczy, układ i redakcję. Zresztą i teraz „Przegląd" nie ma charakteru pisma ściśle krajowego. W myśli Ludwika „Przegląd" miałby być pismem o kierunku wybitnie radykalnym i wybitnie narodowym (niepodległościowym). Osobiście bardzo wątpię w możność pogodzenia kierunku Ludwika Abramowicza z kierunkiem ideowym Patka i Makowskiego. Są to ludzie o głębokich ideałach społecznych, wolnościowych i humanitarnych, radykaliści zbliżeni do socjalizmu, a choć są niepodległościowcami, to jednak dalecy są od nacjonalizmu i frazeologii kierunków stylu antysemickiego, którymi może trącić Abramowicz i ~~[illegible]~~ ogół naszych „postępowców" „przeglądowych". Nie wiem, jak się dadzą pogodzić humanitarne głębokie ideały Patka z temi frazesami, które słyszeliśmy z ust Ludwika niejednokrotnie na zebraniach „przeglądowych" o pogardzie dla „doktrynerstwa" i „sentymentalizmu" haseł humanitarnych i ludowych. Jestem pewny, że kombinacja takiego związku w wykonaniu na dłuższą metę się nie utrwali. Ale tymczasem pertraktacje się toczą, z Patkiem w Warszawie, z Makowskim, który tu przyjechał i dla którego w tym celu odbyło się u Nagrodzkiego zebranie „przeglądowców". Ludwik jest dobrej myśli, pewny wygranej. „Przegląd" przeniesiony do Warszawy ma jednocześnie uwzględniać sprawy Litwy [illegible] w większym stopniu, niż inne pisma warszawskie, służąc ponieważ wyrazem tego kierunku „postępowców" wileńskich, który zostanie bez własnego organu. Stanowisko w tej kombinacji jest nieporozumieniem, bo połączenie Patka i Makowskiego z naszymi „postępowcami", których nie bez słuszności zarzucają [illegible] nacjonalizmu-liberalizmu, — to moment, który w rzeczy jest pozbawiony. Co do mnie i Zasztofta, to choć formalnie aktu wystąpienia naszego z „Przeglądu" nie było, jednak faktycznie zerwaliśmy już z grupą „przeglądową". Odpadli. Grupa ta taka szybka i „postępowa" odbyła ewolucję na prawo, że [illegible] demokratycznym charakterze [illegible] programu [illegible] w kościele św. Jana, gdzie [illegible] tłumne [illegible] „Przegląd" w sprawie [illegible] narodowego [illegible] i akcji demokratycznej, stanowiący [illegible] granicę między [illegible]

28 maja. 10 czerwca. roku 1913. wtorek.

Od niejakiego czasu rozpoczął się flirt bałamutny „Kurjera Litewskiego" z „Przeglądem Wileńskim". Jest to objaw nad wszelki wyraz charakterystyczny. Jak zawsze i wszędzie, — panujący obóz reakcyjny, dostrzegłszy rysy rozdźwięków w ~~szeregach~~ szeregach opozycji, skwapliwie je uwydatnia, umizga się do odłamu umiarkowańszego i usposobionego bardziej kompromisowo, podnosi z uznaniem elementy, które go wyróżniają od ogólnego tła opozycyjnego, nie szczędzi mu pochlebstw i pięknych słówek, a trąbi przytem głośno o dokonanym rozłamie. Polityką tą, która się streszcza w historycznej maksymie „divide et impera", obóz panujący dąży oczywiście tylko do utrwalenia własnej przewagi. Hłasko, szef reakcyjnej klerykalno-szlachecko-ugodowej Endecji, dojrzał bystrym okiem, co się święci w kołach t. zw. „postępowców" wileńskich. Zwrot na prawo, dokonany w grupie „Przeglądu" i uwydatniający się coraz bardziej na szpaltach tego pisma, nie uszedł uwagi lokalnego ~~[illegible]~~ arcykapłana Endecji. Stosunek „Przeglądu" do sprawy żydowskiej, jego niedwuznaczne, acz[k]olwiek pozornie powściągliwe, sympatje do popularnego antysemityzmu, nieufność do demokracji innych narodów w kraju, ~~[illegible]~~ odseparowywanie się ~~[illegible]~~ starannie od współpracownictwa obywatelskiego z tą demokracją, wreszcie ocena, dana w „Przeglądzie", zajść w kościele św. Jana, gdzie gwałt sfanatyzowanego tłumu podniesiony został do poziomu aktu świadomości demokratycznej i czynu patrjotycznego, — to są najjaskrawsze momenty ujawnionego odchylenia się „Przeglądu" od linji opozycji demokratycznej. I szlachecko-klerykalno-endecko-ugodowy „Kurjer Litewski" otoczył „Przegląd" sympatją, uznaniem, umizgami flirtu, będącego aktem korupcji w celu zwycięzenia i rozbicia opozycji. Tak już daleko zaszły sprawy i taki jest kierunek, w którym kroczy „Przegląd", rozbieżny z ideałów demokratycznych i humanitarnych a podający coraz wyżej w otwarte objęcia reakcji. Nie winię Ludwika Abramowicza, który robi na tym karjerę i który, jak piskorz, będzie musiał lawirować między Heyllem a Okęckim, między Hłaską wileńskim a Patkiem i Makowskim warszawskim. Nie winię zaślepionego nerwową wrażliwością i sfilistrzałego w istocie Krzyżanowskiego. Winię nadewszystko ludowca Nagrodzkiego i demokratę Witolda Abramowicza. Ale jakże reaguje „Przegląd" na umizgi i flirt serdeczny Hłaski? Oto w [illegible] numerze dzisiejszym, potwierdzając akcję Hłaski, skierowaną do rozbicia opozycji i [illegible] ~~[illegible]~~ ściemniałej wiernej demokracji, mówi: „zbyt ciasnym i doktrynerskim pojmowaniem przez ~~[illegible]~~ „Kurjer Krajowy" zasady krajowości i nas[illegible] koncepcji, ulegaliśmy „Kur. Kr." [illegible] postronnym. Opartje insynuacyj, odseparowywanie się od oblicza „Kurjera Litewskiego" od pokrewnego mu w gruncie obozu opozycji, a na czyjże to młyn leje wodę, czyim przez to interesom służy? Nie [illegible], jak interesom reakcji.

29 maja.
11 czerwca.
rok 1913.
środa.

Napisałem dziś artykulik dla „Kurjera Krajowego" ~~[illegible]~~ na temat, który wczoraj w dzienniku omawiałem. Napisałem powściągliwie, spokojnie, charakteryzując flirt, jaki się rozpoczął w „Kurjerze Litewskim" w stosunku do „Przeglądu Wileńskiego" i analizując sposób, w jaki „Przegląd" na flirt ten zareagował, mianowicie jego odseparowanie się od „Kurjera Krajowego", którego w obliczu tryumfującej i zacierającej z zadowolenia ręce reakcji odszczekał on pod wyrazicielstwa dążeń demokracji polskiej i rzuca znaną, powszechnie przez wszystkie reakcje na lewicę i opozycję rzucaną, potwarz ulegania „wpływom postronnym". Gdybym chciał, mógłbym z łatwością, w drodze analizy ujawnionych w ostatnich czasach dążeń „Przeglądu", wykazać, że droga, ~~[illegible]~~ po której kroczy obecnie „Przegląd", prowadzi prosto w objęcia reakcji. Wszakże nie chciałem jeszcze tego robić. Dopóki ostatecznie nie są zerwane węzły, łączące „Przegląd" z opozycją, nie przestaję go traktować, jako organu opozycyjnego, przeciwstawiającego się reakcji, i przemilczam dziś jeszcze w imię ~~[illegible]~~ wspólnych nam haseł i założeń opozycyjnych. Jestem pewny, że artykuł mój wywoła odpowiedź „Przeglądu" i ewentualnie wywoła polemikę i pogłębi kwestję stosunku „Przeglądu" do demokracji i opozycji. Od „Przeglądu" będzie zależało, czy się utrzyma w tej polemice na linji opozycyjnej, czy też z niej zejdzie, coby było uwieńczeniem jego ewolucji, ale też byłoby wielką stratą dla sprawy ogólnej.

Wieczorem zebrało się u dr. ~~D~~ Sumoroka nieliczne grono sympatyków „Kurjera Krajowego". Zebranko to zwołane zostało z inicjatywy księgarza w Wilnie p. Józefa Bukowskiego dla omówienia sprawy uregulowania finansowości „Kurjera Krajowego". Istotnie wydawnictwo, finansowa strona „Kurjera Kr." jest w stanie zupełnego zaniedbania, zupełnego chaosu, poprostu na opiece Boskiej i sprycie Mańkowskiego, wywijającego się najdziwaczniejszemi kombinacjami. ~~[illegible]~~ W zebraniu tym wzięli udział: dr. Sumorok, bracia Łuckiewiczowie, Mańkowski, Bukowski, Osmołowski, Leonard Rymkiewicz i ja. Zasztowt nie przyszedł, bo go spóźniono zawiadomieniem i wskutek tego o zebraniu nie wiedział. Zaprojektowaliśmy utworzenie spółki wydawniczej, opartej na zasadach komandytowych. ~~W~~ Podobne spółki istnieją w prasie naszej ~~[illegible]~~ i innych przedsięwzięciach społeczno-kulturalnych. Taką jest spółka wydawnicza „Kurjera Litewskiego", spółka dla wydawnictwa „Lietuvos Žinios" i „Liet. Ukininkas", ~~[illegible]~~ dla wydawnictwa „Viltis", spółka białoruska wydawnicza „Zahlanie sonce i ~~[illegible]~~ naszaje wakonce"; spółka budowy teatru polskiego w Wilnie. Wybraliśmy komisję specjalną organizacyjną, która ma ułożyć statut spółki, omówić szczegóły udziałów i całej organizacji, opracować memorjalik o stanie finansowym ~~[illegible]~~ wydawnictwa, jego rozwoju i wnioskach, wreszcie zwołać zebranie konstytucyjne spółki. Do komisji tej należymy: ja, Osmołowski, Mańkowski, Sumorok i Zasztowt. Zbieramy się we wtorek u Zasztowta, a do ~~[illegible]~~ tego czasu Osmołowski i Sumorok wespół z Mańkowskim mają przejrzeć stan finansów pisma i dostarczyć nam szczegółowego materjału do referatu memorjałowego, niezbędnego dla organizatorów spółki. Finansowymi i głównymi udziałowcami spółki mają być Bukowski, Zasztowt, Zenon Kuncewicz, Osmołowski i Sumorok, poza tym nieograniczona ilość drobniejszych udziałowców. Spółka taka wzięłaby pismo w ręce, uporządkowałaby rachunkowość i finansowość jego, ustaliłaby komitet redakcyjny (że zresztą pewnie ten sam, co teraz) i słowem postawiłaby organizację pisma na nogi. Projekt to bardzo dobry i racjonalny. Niezależnie od tej sprawy, pomówiłem też wczoraj z Zasztowtem co do [illegible] funkcjonowania obecnego komitetu redakcyjnego, który dotąd jest właściwie tylko [illegible] tytularnym. Odtąd komitet redakcyjny ma funkcjonować regularnie, zbierając się raz na tydzień i [illegible] [illegible]

30 maja.
12 czerwca.
rok 1913.
czwartek.

Artykuł, napisany wczoraj przeze mnie do „Kurjera Krajowego" w odpowiedzi „Przeglądowi Wileńskiemu", jako mający znaczenie programowe, postanowiłem poddać aprobacie komitetu redakcyjnego. Wobec tego czytałem go dziś, przed daniem do druku, Zasztowtowi i Mańkowskiemu, którzy go z bardzo drobnemi poprawkami zaakceptowali, pisząc się nań całkowicie. Będzie to więc artykuł redakcyjny. Sądzę, że będzie on wstępem do pogłębionej dyskusji między dwoma kierunkami. Zasztowt ~~prot~~ projektuje, abyśmy się z nim obaj wycofali formalnie z komitetu „Przeglądu Wileńskiego". Co prawda faktycznie nasz związek z grupą „przeglądową" już został zerwany i w rzeczywistości „przeglądowcy" z nami się nie liczą i zbierają się bez nas, nie zapraszając nas wcale, ale formalnego wystąpienia naszego z grupy dotąd nie było. Zasztowt jest zupełnie zdecydowany zgłosić urzędowo to wystąpienie, ja wszakże jeszcze się waham. A waham się nie dlatego, żebym chciał zachować wpływ na tę grupę i móc oddziaływać na nią w kierunku demokratycznym, bo wiem, że wpływ ideowy mój równa się tam zeru, ale dlatego, że szkoda by mi było usankcjonować ostatecznie wystąpieniem moim fakt oderwania się „Przeglądu" od opozycji ~~[illegible]~~ i stracenia dla tej opozycji całej grupy ludzi bądź co bądź myślących, czynnych i postępowych, a ponadto mniemam, że wydawnictwo „Przeglądu" jest rzeczą przemijającą, która może rychło już upadnie, a w przyszłości w wielu jeszcze zakresach może mi wypaść ~~[illegible]~~ współpracować z obecnymi „przeglądowcami" z pożytkiem dla sprawy demokratycznej. Słowem — boję się zniszczyć całkowicie związku mego z tymi ludźmi, bo choć dziś w „Przeglądzie" związek ten się urwał, jednak w innych okolicznościach i innych robotach ~~[illegible]~~ może on być bardzo i skuteczny i pożądany. Nie wiem więc jeszcze, na co się zdecyduję.

Po obiedzie napisałem drugi artykulik do „Kur. Kr." z powodu rewelacji, które się ukazały w prasie o petersburskim nacjonalistycznym „działaczu" litewskim, p. Smilgze.

Wieczorem byłem u Szklennika, gdzie się miało odbyć zebranie komisji dla spraw jesiennego zjazdu kooperacyjnego. Ponieważ Abramowicz nie przyszedł, więc byliśmy tylko we dwoje ze Szklennikiem. Omówiliśmy szczegóły wykonania zjazdu. Co do referatów, to zaprojektowaliśmy następujące: pierwszy referat o stanie kooperacji spożywczej w gub. wileńskiej ~~[illegible]~~ ma opracować Szklennik na podstawie materjału, który nam dostarczy ankieta; następnie referat o zasadach funkcjonowania kooperacji spożywczej, o biurowości, ~~[illegible]~~ prowadzeniu ksiąg, obowiązkach zarządu, ogólnych zebrań i całej technice funkcjonowania stowarzyszeń — projektujemy zaprosić na referenta Litwina Putramenta; następnie ma być mój referat, uzasadniający potrzebę zrzeszenia, związku, jego zasady, jego zadania, dalej sprawa organizacji tymczasowej, którą zaprojektować możemy w postaci projektowanej przez Szklennika wzajemnej umowy stowarzyszeń o utrzymanie wspólnego biura komisowego w Wilnie dla wspólnych zakupów; następnie referat o roli kredytu w kooperacji spożywczej — dopuszczamy referent Przyłuski; wreszcie na zakończenie referat Szklennika o idei kooperacji z przedstawieniem obrazów świetlnych na ekranie. Omówiliśmy też szereg innych szczegółów organizacji zjazdu. Byleśmy tylko otrzymali od gubernatora pozwolenie na zjazd.

31 maja.
13 czerwca.
rok 1913.
piątek.

Odpowiedź moja „Przeglądowi Wileńskiemu" ukazała się dziś na szpaltach „Kurjera Krajowego". Ludwik Abramowicz, z którym się dziś Mańkowski widział, mówił mu, że zmuszony będzie chyba dla udowodnienia ~~nak~~ „postronnych wpływów", którym rzekomo ulega „Kur. Kr.", zacytować w druku publicznie szczegóły powstania „Kurjera Kr." i pertraktacji, które się wówczas, na jesieni ubiegłej, toczyły między inicjatorami tego pisma a grupą przeglądową, wyjawiając rolę Łuckiewiczów w genezie pisma. Sądzę, że to są tylko pogróżki i że Ludwik nie użyje tego brzydkiego sposobu rewelowania obrad poufnych. Zresztą chyba tylko samo imię Łuckiewiczów, jako białorusinów, może być użyte za straszak popularny dla dyskredytowania „Kurjera Kr." w oczach przeciwnych reakcyjnych sfer opinji. Bowiem sam ~~—~~ fakt współpracownictwa Łuckiewiczów i Aleksiuka w redakcji demokratycznej białorusinów nie przesądza kwestji „wpływów postronnych". Dopiero wtedy „wpływy" te miałyby istotnie miejsce, gdyby białorusin ten był nacjonalistą, miał istotnie jakieś tendencje ~~—~~ antypolskie i miał by udział rzeczywisty w samym kierownictwie pisma. Jak ja, będąc polakiem, który udział ~~———~~ w pracach demokratycznych litewskich i mogę być bez ujmy dla litwinów i ich narodowych dążeń współpracownikiem ich partyjnego demokratycznego lejb-organu „Vairas'a", tak również demokrata-białorusin może być współpracownikiem demokratycznego pisma polskiego. Dopiero jeżeli on będzie tego używać ~~dla~~ celów ~~—~~ nie demokratycznych, lecz specjalnie nacjonalistycznych białoruskich, wpływ jego będzie „postronnym". A zresztą niech Ludwik, jeżeli chce, probuje. Będziemy się bronić i niegorszej demaskujemy jego, — „przeglądowe", — tendencje reakcyjne. Zarzucanie lewicy przez reakcję „wpływów postronnych" — to metoda odwieczna, wszędzie powszechnie praktykowana. Jeżeli „Przegląd" pójdzie dalej w tym kierunku, stanie się on dla sprawy demokratycznej nieodliwszy od prawdziwej jawnej reakcji. Najgorszym wrogiem demokracji jest ten, który występuje pod maską demokratyzmu, żywiąc w sercu aspiracje wsteczne, i który ma w swej firmie imiona znane, uchodzące w opinji za wyrazicieli postępu i demokracji. Ten schyłek grupy „przeglądowej", to cofnięcie się na drogi reakcji ludzi, z którymi mię jeszcze kilka lat temu łączyły wspólne usiłowania, nadzieje, ideały, — jest dla mnie ~~osobliwie~~ nad wszelki wyraz bolesny. To mnie poprostu męczy i boli niesłychanie. A wiem przecież, że są oni szczerzy i działają w dobrej wierze (wyłączam tu naturalnie Ludwika). Ale zaślepiły ich uprzedzenia, które się w nich zagnieździły i rozrosły na skutek wielu czynników, i pchnęły ich na manowce niebezpieczne i błędne. Zwłaszcza żal mi Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego, ludzi ~~—~~ ideowych, których ideały demokratyczne są głębokie i ~~———~~ szczere.

Do tych wszystkich rzeczy przybyła jeszcze jedna specjalna, ~~—~~ równie przykra i mająca właściwie ścisły związek z całą tą rozterką „Kurjera Krajowego" z „Przeglądem". Mianowicie w tym ostatnim N-rze „Przeglądu", w którym Ludwik zaczepił „Kur. Kr.", pomawiając go o „wpływy postronne", dał też on notatkę osobną, skierowaną ~~———~~ ad personam do Antoniego Łuckiewicza, jako kierownika „Wieczernego Swietu". Z powodu polemiki, która się toczyła ~~—~~ w miejscowej prasie rosyjskiej między redaktorem Bodinem a „Wieczernim Swietom" ~~—~~ i podczas której organ Bodina nazwał Łuckiewicza polakiem, na co Łuckiewicz ~~—~~ zaprzeczył, nazywając to złośliwą insynuacją (bo istotnie była to li tylko insynuacja, obliczona na skompromitowanie demokratycznej rosyjskiej „Wieczerniej Swietu", jako pozostającej rzekomo w ręku polskich i zmierzającej obcym celom polskim), Ludwik Abramowicz podkreśla wyparcie się przez Łuckiewicza

[illegible]

154.

1 (14) czerwca rok 1913. sobota

Po wczorajszym wieczorze u Szumana, resztę nocy spędziliśmy z Anną w hotelu „Wersal”. U Szumana zła była to właściwie zwykła bibka. Stosunek mój z Anną i wszelkie z nią wspólne hulanki (notabene rzadkie teraz) tym się różnią od zwykłych hulanek, że nie same tylko zmysły nasze ulegają podnieceniu, ale też jednocześnie obcujemy ze sobą umysłowo, psychicznie. Opowiedziałem Annie całe dzieje redakcji „Przeglądu”, mój żal z powodu rozłamu, który coraz ostrzej się dokonywa i coraz widoczniej dzieli mnie od grupy dawnych towarzyszy pracy. Anna gorąco, żywą intuicją kobiety, wyczuwa sytuację i całkowicie współczuje „Kurjerowi Krajowemu”, płonąc oburzeniem na „zdradę” „Przeglądu Wil.” i zwłaszcza żywiąc niechęć do Ludwika Abramowicza. Anna w tych sprawach jest poniekąd rzecznikiem moim: sądzi prosto, ujmując rzeczy i stosunki w ich naturze istotnej, i przeto daje mi zawsze ocenę trafną, w której znajduję kryterjum dla mego postępowania. Ma ona tę wielką zaletę umysłów prostych a głębokich, intuicyjnych raczej, niż refleksyjnych, że umieją one wydać sąd krótki i kategoryczny o rzeczach, stwierdzający jędrnie i prawdziwie istotną naturę takowych. Jak miła nam zeszła noc u Szumana, tak miło zeszedł koniec nocy i ranek w hotelu. Rozstaliśmy się z Anną dopiero po południu.

Od Ludwika Abramowicza otrzymaliśmy dziś z Mańkowskim odpowiedź na pismo na wczorajszą naszą porew w imieniu Antoniego Łuckiewicza przed sąd honorowy. Ludwik daje „wyjaśnienie” co do przedmiotu obrazy. Stwierdza mianowicie, że w odpowiedniej notatce „Przeglądu”, którą się Antoni Ł. poczuł dotknięty, nie powiedziano kategorycznie, żeby istotnie fakt podawania się A. Łuckiewicza za polaka miał kiedykolwiek miejsce. Wyrażenie „chociażby nawet z tych lub owych względów, w tym lub owym wypadku za takiego (t. j. polaka) się podawał” ma, podług obecnego „wyjaśnienia” Ludwika Abramowicza, znaczyć tylko „teoretyczną możliwość podobnego zjawiska.” Omawianie zaś takiej możliwości spowodowane było wzmianką w „Siewiero-Zapadnoj Żyzni”, że kierownik „Wiec. Sariety” (t. j. Ant. Łuckiewicz) jest „białorusinem-katolikiem, uchodzącym w kołach polskich za polaka.” Wobec tego Ludwik Abramowicz nie widzi powodu do sądu honorowego i takowy wytycza, wyrażając wszakże gotowość dania wszelkiej innej satysfakcji Łuckiewiczowi. Ponieważ w myśl mandatu naszego byliśmy z Mańkowskim powołani tylko do zakomunikowania Ludwikowi porew i do przyjęcia udziału w sądzie w charakterze arbitrów, przeto nie uważaliśmy się formalnie za uprawnionych do orzekania, czy „wyjaśnienie” Abramowicza może zadowolnić Łuckiewicza, ani też do pertraktowania z wymienionymi przez Abramowicza świadkami (Zwierzyńskim i Kleszczyńskim) co do innych form satysfakcji. Wobec tego protokoły czynności naszych z wypisaniem dosłownym odpowiedzi Abramowicza postanowiliśmy wręczyć Łuckiewiczowi i uważać czynność naszą na podstawie poprzedniego mandatu za skończoną. Sprawa wszakże na tym się oczywiście nie skończy. Wyjaśnienie Abramowicza nie zadowolni Łuckiewicza, albowiem uznanie „teoretycznej możliwości zjawiska”, jak powiada Abramowicz,

jest właściwie w tym wypadku uznaniem możliwości konkretnego czynu osoby konkretnej, a ponieważ czyn taki jest haniebnym (podawanie się w pewnych wypadkach dla jakichś względów za polaka, gdy się nim nie jest), więc w uznaniu możliwości takowego jest nie mniej obelżywie pierwiastek obrazy honoru; powód więc do zarzutu oszczerstwa czy insynuacji jest, a zatem to jest też powód do sądu honorowego. Zresztą L. Abramowicz, choć się teraz powołuje na „Siewiero-Zapadnuju”, właściwie powiedział o Łuckiewiczu gorzej, niż tamto pismo. Tam była mowa o tym, że Łuckiewicz „uchodzi” za polaka (uchodzenie to jest niczyim nie czynem, lecz zjawiskiem), Abramowicz zaś mówi o możliwości „podawania się” Łuckiewicza za polaka. Łuckiewicz więc teraz wydelegować winien do pertraktowania ze świadkami Abramowicza i ustalenia sądu honorowego. Ja uczestniczyć nie będę, bo Łuckiewicz zrezygnował mnie na arbitra do ewentualnego sądu honorowego.

2 (15) czerwca rok 1913. niedziela.

Projektowałem wyjechać z Anną na Zielone Świątki do puszczy Białowieskiej, ale ostatecznie projektu tego zaniechaliśmy, bo pogoda nie dopisuje, jest zimno i dżdżysto; zresztą pieniądze, przeznaczone na tę wycieczkę, wydane zostały przez nas przedwczoraj na kamienie. Nie mielibyśmy dobrej wycieczki, bo ja bym chciał łazić po puszczy, a Anna nie chciałaby ani chodzić w czas taki, ani gdzieś w oberży czy w chacie włościańskiej samotnie bezczynnie siedzieć i stąd by jeno niesmaki i sprzeczki a łzy między nami były. Co się odwlecze — to nie uciecze. Kiedy innym razem tę wycieczkę odbędziemy.

Obiadu dziś w domu nie jadłem. Poszedłem z Anną na obiad do restauracji w hotelu Bristol. Oddawna nie byliśmy z nią w Wilnie na obiedzie w ogólnej sali restauracyjnej. O ile bywaliśmy w restauracji tej zimy, co zresztą się dość rzadko trafiało, szliśmy zawsze we dwoje do gabinetu, bo wieczorem nie chciałem się ~~na~~ sali restauracyjnej z Anną pokazywać; nie chciałem, żeby nie nadawać Annie pozoru kobiety lekkich obyczajów. To też dziś ten obiad w sali restauracyjnej, pełnej ludzi, przy muzyce, bawił nas, jako nowość. Przypomniało nam to nasze dawne ~~[illegible]~~ z pierwszej zimy obiady i kolacje w nieistniejącej dziś restauracji Myśliwskiej, lub też zdawało się, że jesteśmy nie w Wilnie, lecz gdzieś w Kijowie czy innym mieście. Przesiedzieliśmy kilka godzin w restauracji, bawiąc się dobrze.

Pod wieczór Marynia dziś wróciła od Mieczkowskich z Robertowa. Powiada, że Elwira ma się już po połogu dobrze i dziecko jest zdrowe i bardzo ciche. Mieczkowscy nie mogą jeszcze wybrać imienia dla syna. Stefan chciał, aby był Mieczysław, ale ~~[illegible]~~ przypomniał, że skojarzenie tego imienia z nazwiskiem syna byłoby ładne — „Mieczysław Mieczkowski". Wtedy Elwira zaproponowała Andrzej albo Gustaw, ale Stefanowi oba te imiona się nie podobały. Stanisław, Józef — też mu do gustu nie trafiły. Stefan chce Karola, ale Elwira się nie godzi. Słowem — powstała kwestja tak sporna, jak między mocarstwami Europy o statut Albanji.

3 (16) czerwca, rok 1913. poniedziałek.

Większą część dnia spędziłem z Anną. Za miasto nie wychodziliśmy wcale, bo i pogoda była niepewna i dnia nie mogłem całego na pobyt z Anną poświęcić. Na obiad bowiem byłem zaproszony do Zuli Tukałłówny i, ponieważ obiecałem, więc być musiałem.

Zula Tukałłówna spędza biedaczka całe lato samotnie w mieście w mieszkaniu na Zwierzyńcu. Formalnie nie jest niby sama, bo w mieszkaniu tym jest też jej niedołęga ojciec, sparaliżowany Jan Tukałło, ale w rzeczywistości ojciec ten – to tylko bryła ciała ludzka, nie żywy człowiek. Matka zaś Zuli, ciocia Zosia, bawi chora w Warszawie a potym ma na lato z młodszą córką Ninnią wyjechać do Kołobrzegu; z braci zaś Zuli starszy, Mieczyś, mieszka w swym majątku Boraciniu, spędzając miodowe miesiące ze swą żonką Zosią, młodszy zaś, Janusz, mieszka w Warszawie.

Z moją siostrą Marynią dziś się rozmówiłem w sprawie, o której się dowiedziałem przed kilku dniami. Mianowicie przed kilku dniami, w czasie nieobecności Maryni, przyszedł adresowany do niej pakiet z Kancelarji Cesarskiej. Otworzyłem takowy i przeczytałem. Kancelarja Cesarska zawiadamia Maryję, że mąż jej, Witold Römer, wniósł podanie na Najwyższe Imię z prośbą o zasynowienie swego nieślubnego syna Antoniego Witolda Jełowicza, wobec czego Kancelarja zapytuje Marynię, czy są z jej strony jakieś przeszkody i jakie mianowicie do uwzględnienia tej prośby. Podług ustaw rosyjskich usynowienie takie może być dokonane tylko za zgodą ślubnych legalnych dzieci usynawiającego, po dojściu ich do pełnoletności. Usynowienie bowiem daje pełne prawa spadkowe usynowionemu, co oczywiście może być [illegible] niepożądane dla dzieci ślubnych. Sprzeciwianie się usynowieniu, jeżeli istotnie dziecko tamte jest Witolda, stanowiłoby krzywdę dla tego biedactwa, które w rzeczywistości jest przecież bratem Stefusia i Lwy. Sumienie i humanitarne względy sprawiedliwości nakazywałyby nie przeszkadzać usynowieniu, tymbardziej, że biedny Witold jest faktycznie pozbawiony swej prawej rodziny legalnej i że przeto nie należałoby mu stawiać przeszkód do utworzenia sobie rodziny ubocznej. Skądinąd wszakże wzgląd na dzieci Maryni też nie może być przez nią, ich matkę, ignorowany. Byłem pewny, że Marynia zechce zaprotestować przeciwko usynowieniu, i że będzie się też kierowała względami rodowymi, aby nie dać przyzwolenia na dopuszczenie do rodu Römerów gałęzi ubocznej, pochodzącej z nieprawego łoża, lecz z krwi tożsamej. Ku zdumieniu memu Marynia tych względów nie wysunęła i skłania się raczej do zostawienia swobodnej woli Witoldowi, uważając że zerwanie małżeństwa jej z Witoldem powinno mu otworzyć swobodną drogę w zasadzie – do tworzenia nowej rodziny. Postanowiliśmy z Marynią narazie, że ja mam napisać do Witolda, interpelując go w tej sprawie, zwłaszcza dla omówienia kwestji spadkowej ze stanowiska dzieci Maryni.

Pod wieczór spotkałem się dziś w cukierni z bawiącym tu w przejeździe Zenonem Kuncewiczem. Mówiłem mu o projektowanej organizacji spółki wydawniczej „Gazety Krajowej”, w której figurowałby on jako jeden z prężniejszych finansowych udziałowców. Kuncewicz przyjął ten projekt z uznaniem, okazując chętnie do spółudziału. Mówiąc o „Przeglądzie” i w szczególności o [illegible] ludowcu Nagórskim Kuncewicz zrobił [illegible] trafną uwagę, że będąc ludowcem, należy iść [illegible] z pracą społeczną do takiego ludu jakim on jest, to znaczy u nas do litewskiego i białoruskiego, nie klasyfikując go pod względem narodowościowym na Koroniarzy i trefnych, polski i nie-polski.

4 (17) czerwca. rok 1913. wtorek.

Mieliśmy się dziś wieczorem zebrać u Zasztowta z Mańkowskim, Osmołowskim i dr. Szumarskim tak dla spraw redakcyjnych „Kurjera Krajowego”, jak dla wykonania czynności przygotowawczych w sprawie organizacji zaprojektowanej spółki wydawniczej tego pisma. Przyszliśmy, lecz, niestety, Zasztowta już nie zastaliśmy. Pod tym względem Zasztowt, przy wszelkich swoich zaletach i gorących chęciach, jest nieznośny: zawsze jest zajęty, nigdy nie ma czasu, nigdy nie pamięta o wyznaczonych terminach, — zupełnie niezdatny do systematycznej punktualności. Znowu się więc ta sprawa odwleka, znowu trzeba łapać Zasztowta, znowu się z nim umawiać, znowu zwoływać wszystkich. Utrudnia to niezmiernie robotę i nigdy się nie jest pewnym dobrego skutku. Toż i nasz ~~ścisły~~ ścisły komitet redakcyjny, dzięki Zasztowtowi, tylko o tyle funkcjonuje, o ile ja zdołam osobiście go przyłapać i doraźnie z nim coś ważniejszego omówić. Czysta bieda!

Wieczorem napisałem dla „Kurjera Krajowego” artykulik pod tytułem „Kto miał rację?” z powodu wygłoszonej w Dumie mowy posła wileńskiego ks. Maciejewicza. W mowie tej, która dotyczyła ucisku religijnego, ks. Maciejewicz użył metody wyraźnie i jaskrawie ugodowej, zwracając się do stronnictw rządzących w Dumie obecnej, przyznając im charakter gospodarzy w państwie i obiecując dla nich „jaknajściślejszą korzyść” z ludów podległych pod warunkiem udzielenia im poszczególnych swobód. W artykule moim wykazałem dobitnie ugodową tendencję tej mowy, wytknąłem szkodliwość niepowstrzymanej takiej „ugody” i zestawiłem te czyny konkretne księdza-posła z zarzutami postępowców i organu ich „Słowa Wileńskiego” w czasie wyborów i tymi argumentami, jakich używali obrońcy kandydatury Maciejewicza. Będzie to jeden z dobrych artykułów.

W „Kurjerze Krajowym” zaangażowany został do pracy redakcyjnej Benedykt Hertz. Jest to dla pisma nabytek znakomity, bo Hertz jest dziennikarzem fachowcem zdolnym i wytrawnym. Udział Hertza w redakcji choć jest kosztowny, ale dla poczytności pisma b. dodatni. Pod względem tylko ideowego kierunku Hertz będzie musiał być dostatecznie kontrolowany teraz przez Mańkowskiego, a z czasem bodaj przeze mnie. Nie pozwolimy zrobić ze Ludwika Abramowicza, który chciał Hertza odciągnąć od wejścia do „Kur. Kr.”. Dla Hertza powód zasadniczy leży w pieniądzach, a nie sprawy kierunku pisma.

158.

5 (18) czerwca
rok 1913.
środa.

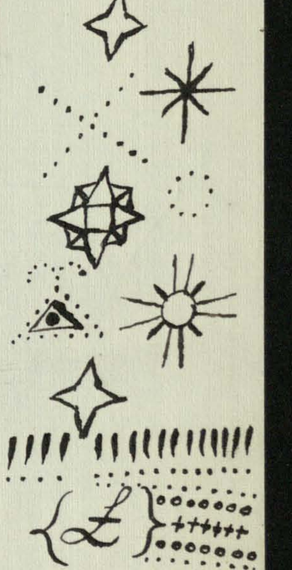

1p 3l 2r 2b 1ż

Spotkałem się dziś w Banku Handlowym ze stryjenką Bolesławową Römerową. Po spotkaniu moim ze stryjenką u Pruszanowskich, po jej bytności i rozmówieniu się z Mamą, zdecydowałem się puścić w niepamięć stare dzieje, zapomnieć żal i wznowić z nią stosunki rodzinne. Stryjenka zresztą, acz kolwiek zawiniła względem mnie i dziś się przyczyniła do skandalu podczas zerwania mego małżeństwa z Reginą, jednak działała niewątpliwie w dobrej wierze i powodowała się żarliwością serdeczną o dobro Reginy. Przesadziła w tej żarliwości, dopuściła się nietaktu, ale nie powodowała się jakiemiś złemi intencjami. Zresztą ochłonęła z gorliwości i impetu, sama się spostrzegła, że przesadziła, i dziś już innym okiem patrzy na te sprawy i żałuje wielu rzeczy. A czas wszystko koi i powoli wygładza dawne błędy i równoważy stosunki. To też wyrzekłem się urazy do stryjenki i po jej wizycie u Mamy, złożyłem stryjostwu Bolesławostwu wizytę formalną, wizytę pojednania. Nie zastałem ich wówczas i tylko bilety złożyłem. Dzisiejsze spotkanie w Banku na gruncie neutralnym ułatwiło nam wygładzenie stosunku. W krótkiej rozmowie wyraziłem stryjence moje dawne żale, ona zaś usprawiedliwiła przedewszystkiem swe dawne postępowanie, uznając pewne błędy takowego. Następnie stryjenka zaczęła mi mówić o córce mojej, że zapewne pragnąłbym ją widzieć i że słusznie mi się to należy, bo mimo praw ojca żadna separacja małżeńska nie kasuje i żadna złość Reginy nie jest w stanie zniweczyć. Stryjenka powiada, że mówiła o tym z Eugieniuszem Römerem i że Eugieniusz to samo potwierdza i uważa, że gdy tylko zechcę widzieć mą córkę, mogę zawsze przyjechać do niego i on mi ją sprowadzi choćby wbrew woli Reginy. Odpowiedziałem stryjence, że choć miło by mi było zobaczyć dziecko i choć może z tego skorzystam, ale ostatecznie więcej by mi zależało na otrzymywaniu czasem wiadomości o niem lub np. fotografji, niż na takiem widzeniu przelotnym; dziecko bowiem jest małe, nierozumie, i przy widzeniu się będzie się krępowało, a ja też nie będę miał nic do powiedzenia; rozmowy z 3-letnim dzieckiem prowadzić nie mogę i widzieć je tylko przez jakąś chwilę w obcym domu — to względnie niewielka satysfakcja. Nie mogę naturalnie wkładać na stryjenkę jakiegoś obowiązku dostarczania mi wiadomości o córce, ale gdyby stryjenka mogła mi to ułatwić, byłbym jej wdzięczny.

Zastanawialiśmy się dziś w gronie osób o akcji przygotowawczej do wyborów miejskich, które mają się odbyć w jesieni. Postanowiliśmy utworzyć małe jądro komisji, która by się zajęła akcją przygotowawczą. Do jądra tego mamy [?] ja, Prozorow, Krzyżanowska, Matulaitis i Sławiński oraz uzupełnić takowe dobranymi osobami. Komisja ta będzie miała za zadanie jeszcze kilka wyrobienia cenzusów dla osób, które uzna za potrzebnych dla kampanji wyborczej, wciągając do tego cenzusy instytucji i towarzystw oraz kobiet (są to cenzusy przekazywane), dalej ma ustalić zasady programowe platformy wyborczej i wreszcie ma się zająć nawiązaniem stosunków z grupami pokrewnych elementów dla zorganizowania wspólnej akcji demokratycznej na wyborach.

6 (19) czerwca, rok 1913, czwartek.

Otrzymałem list z Bohdaniszek od Mamy z opisem pożaru, który przed kilku dniami (zdaje się, że w nocy z poniedziałku na wtorek) wybuchł w wiosce Bohdaniszkach i zniszczył zabudowania gospodarza Żybalisa wraz z dobytkiem (całym inwentarzem żywym). Mama opisała mi barwnie to nieszczęście, które powstało z lekkomyślnej nieostrożności bab; zgotowały one sobie ~~sobie~~ na kolację zacierkę, rozkładając ogień na glinianej podłodze w komorze pod starym niskim spróchniałym sufitem; same po zjedzeniu zacierki poszły spać, a ogień się zatlił w suficie i rozgorzał pożarem. Czeladź nasza ~~[illegible]~~ dworska z ekonomem i Bajsą na czele oraz włościanie bohdaniscy i okoliczni, którzy się zbiegli, energicznie walczyli z ogniem i zdołali umiejscowić pożar w granicach osady Żybalisa. Okropna to rzecz — pożar na wsi w wiosce. Od lat kilkudziesięciu w Bohdaniszkach nie było pożaru i dzięki Bogu, że tym razem skończyło się względnie szczęśliwie na jednej osadzie. Po umiejscowieniu pożaru nadeszła jeszcze pomoc z Abel ze dworu i od księdza w ludziach, koniach i narzędziach do ratunku.

Wieczorem byłem na posiedzeniu komisji wykładowej nowego towarzystwa oświatowego „Proswietitiel Znanija", na które zostałem zaproszony. Towarzystwo to założone zostało przeważnie przez Rosjan i Żydów z liczniejszym udziałem Białorusinów. Jest ono całkowicie w rękach postępowców, a prezesem jego i bodaj że głównym organizatorem i spiritus movens jest Zraskowski. Wogóle najżywotniejszą jest w Towarzystwie grupa „Bezpartyjnych Żydów" i garstka Żydów postępowych z ruchliwych młodych elementów. Towarzystwo projektuje od jesieni zorganizować cały cykl publicznych wykładów popularnych, obejmujących systematycznie wszystkie gałęzie wiedzy — mniej więcej zakres Uniwersytetu Ludowego. Wykłady mają być we wszystkich językach miejscowych. Zadanie jest szerokie i w naszych warunkach wileńskich bardzo trudne do urzeczywistnienia, ale usiłowanie jest niewątpliwie dodatnie. Dziś było zebranie komisji wykładowej z udziałem kilku doproszonych lektorów, jak ja, Naumaitis, Łastowski (z „Naszej Niwy"). Omawiało się wstępnie podział wykładów na wydziały i komisji na sekcje lektorów, oraz osoby nadające się do zaproszenia na lektorów. Z Polaków proponowani są na lektorów — ja, adwokat Kulwieć, Wit. Abramowicz, Andrulski, ~~[illegible]~~ inżynier Adolf, inżynier Cywiński, dr. Bogusławski, dr. Kiewlicz, Wilczewnik, Szlachtin i zdaje się inni. Z Litwinów: Naruszewicz, Janulaitis, Bulat, dr. Matulaitis, dr. Domaszewicz, Michał Biržiška, p. Masiliūnas, Żemaitis i inni.

8 (20) czerwca rok 1913. Piątek.

Dla Anny z malarstwem, zdaje się, nie tyle lokatę na lato. Z początku projektowałem zalokować ją w Pohulance pod Dyneburgiem. Jest to miejscowość lecznicza dla suchotników, ma las sosnowy i kumys. Powodowałem się też względem na to, że, bawiąc w lipcu w Bohdaniszkach, będę mógł, przy niewielkiej odległości Pohulanki, odwiedzić Annę przynajmniej parę razy (z Dyneburga do Pohulanki kilka wiorst statkiem po Dźwinie). Ale Anna, już wracając z Kowna, stanowczo zaprotestowała przeciwko Pohulance, a to ze względu tak na drożyznę, jak na wielką ilość kuracjuszy, którzyby ją krępowali. Wtedy już Anna mi wspominała o innym projekcie własnym, mianowicie spędzenia lata gdzieś w wiosce polskiej śród włościan, gdzie byłoby tanio, swobodnie i gdzie jednocześnie nabrałaby Anna wprawy w języku polskim, co jest warunkiem pierwszorzędnym dla uczenia się po polsku. Chodziłoby o to, aby się zalokować na wakacje letnie w takim środowisku polskim, gdzie język rosyjski jest zupełnie nieznany. Projekt Anny bardzo mi się podobał, bo pragnę bardzo, aby Anna się po polsku nauczyła. Ale urzeczywistnienie tego projektu nie było łatwe. Warunków takich w naszym kraju znaleźć niepodobna. Tylko w wioskach litewskich włościanie nie umieją po rosyjsku, ale też nie umieją po polsku. W tych zaś nielicznych miejscowościach, gdzie lud włościański mówi u nas po polsku, język ten jest szkaradną mieszaniną litewsko-polsko-białoruską i często poważna jest tam znajomość rosyjskiego. Trzeba więc było szukać w Królestwie polskim, ja zaś tam nie mam żadnych stosunków ze wsią, bo koła moich znajomych w Polsce składają się prawie wyłącznie z inteligencji miejskiej lub conajwyżej ziemiaństwa. Łamałem sobie głowę, co robić. Myślałem spróbować może pojechać z Anną wprost gdzieś do Królestwa na wieś i szukać. Dopiero przed parę tygodniami Witold Abramowicz, którego zapytywałem o to, poradził mi zwrócić się do panny Kosmowskiej lub Malinowskiego z redakcji „Zarania", którzy mają rozległe stosunki ze wsią polską. Tak też zrobiłem i oto teraz przed paru dniami otrzymałem od p. Kosmowskiej odpowiedź z propozycją zalokowania Anny w Krasieninie pod Lublinem, gdzie p. Kosmowska założyła niedawno szkołę gospodarczą dla dziewcząt włościańskich i gdzie może się znaleźć gościna dla Anny. Będzie tam tryb życia wiejskowy, Anna będzie miała młode grono 25 dziewcząt, włościanek polskich. Szkoła ta jest typu szkoły w Kruszynku, a że jest w ręku „zaraniarzy" i założona przez taką działaczkę ludową, jak Kosmowska, więc z pewnością jest bardzo postępowa i ma dziewczęta ze światłych, społecznie uświadomionych rodzin włościańskich, co oczywiście jest warunkiem dla Anny dobrym, gdyż środowisko zacofane i atmosfera klerykalna byłyby dla niej bardzo przykre. Ja się bardzo z tej kombinacji cieszę; Anna trochę się krępuje i sama nie wie, czy ma się cieszyć, ale w każdym razie jest zdecydowana pojechać. Po polsku moja Anna już zaczęła teraz mówić coraz lepiej i bardzo pilnie się uczy z elementarza. Jest zdolna i chętna, tylko trzeba ją traktować łagodnie, bo, będąc nerwową, nie znosi niecierpliwości i tonu szorstkiego. Czyta przy mnie i zaczyna już pisać dyktacje, a bardzo starannie się zabiera do nauki, choć jest niecierpliwa i ma bardzo dużo ambicji a mało pewności siebie, wskutek czego się łatwo zraża. Wszystko, co jej zadaję do uczenia się lub wykonania, spełnia bardzo pilnie.

Hertz już rozpoczął pracę w „Kurjerze Krajowym". Jako wykonawca roboty technicznej, czysto dziennikarskiej, jest bardzo dobry, ale zato jego pierwszy debiut dziejowy w zakresie artykułów zasadniczych, ideowych, był bardzo niefortunny. Wystąpił z artykułem wstępnym, trochę tkniętym nacjonalizmem, ale ostatecznie to byłoby mniejsza, bo mówi on tam jednak o solidarności demokratycznej, gdyby nie to, że w końcu artykułu powiada, że oświadczenie o wypowiedzeniu przez „Kurjer Krajowy" ideałów narodowych jest spowodowane tym, że nazbyt wielu naszych czytelników a nawet pewnych [illegible] obojętność narodową. Takie oświadczenie jest bardzo niestosowne, bo wyglądałoby się, że zarzut [illegible] specjalny, specjalna potrzeba zamanifestowania naszych uczuć narodowych, a [illegible] [illegible] [illegible]

8 (21) czerwca rok 1913, sobota.

Przyszedł do mnie Szklennik ze złą nowiną, że ~~projektowany~~ gubernator odmówił pozwolenia na projektowany w jesieni zjazd ~~z~~ delegatów stowarzyszeń spożywczych gubernii Wileńskiej. Właściwie nie jest to zakaz, jeno odmowa pozwolenia, motywowana względami li tylko formalnemi, mianowicie brakiem kompetencji. Gubernator komunikuje, że podług przepisów tymczasowych z r. 1906, o pozwolenie na zjazdy należy się zwracać nie do gubernatora, jeno do ministra spraw wewnętrznych. Zdawałoby się więc, że sprawa nie jest jeszcze stracona. Ale w ~~od~~ zakończeniu oświadczenia gubernatora jest ustęp znamienny, który wróży bardzo smutnie o sprawie zjazdu. Gubernator mianowicie oświadcza, że sam ~~[illegible]~~ skierować nasze podanie do ministra nie uważa za potrzebne, bo nie widzi racji („dostatocznych osnowanij") dla zwołania zjazdu. Oczywiście mamy więc teraz drogę formalnie otwartą do ministra. Ale niemniej oczywiście, że minister zwróci się poprzednio do gubernatora dla zasięgnięcia jego opinji o zjeździe, opinja zaś ta wypadnie oczywiście na niekorzyść naszą, jak to już zgóry każe przewidzieć zdanie końcowe z oświadczenia gubernatora, a wtedy zakaz zjazdu będzie pewny. Horoskopy są więc niepomyślne. Żyjemy znowu w okresie represji i tamowania wszelkiego rozwoju społecznego, jak przed r. 1905, w naszym zaś kraju warunki wszelkiej akcji społecznej są jeszcze gorsze, niż gdzieindziej, bo władze węszą wszędzie „intrygę polską" i są ciągle zajęte narzucaniem rusyfikacji i tłumieniem wszelkich przejawów samodzielności wewnętrznej naszego społeczeństwa krajowego. Na najbliższym posiedzeniu Zarządu T-stwa Popierania Kooperacji będziemy musieli się zastanowić nad sytuacją i obmyśleć, co wobec tego mamy robić. Sądzę, że trzeba jednak będzie skierować podanie do ministra, a tam spróbować użyć protekcji dla pozyskania przychylnej opinji władz gubernjalnych. Czy się to jednak na coś przyda — wątpię. W każdym razie powinniśmy przynajmniej spróbować zawiązać biuro komisowe dla wspólnych zakupów stowarzyszeń — w drodze ich wzajemnej umowy [illegible].

Napisałem dziś po obiedzie artykulik dla „Kurjera Krajowego" o [illegible], rozwijając dalej moją krytykę mowy ks. Maciejewicza i zestawiając takową z mową drugiego „ugodowca", litwina ks. Laukaitisa, a przeciwstawiając obydwom mowę — opozycyjną i szczerze demokratyczną posła litewskiego posła włościańskiego z gub. Kowieńskiej — Januszkiewicza.

[illegible]

Nerwowy stan Anny ma niewątpliwie cechy histerji. 9 (22) czerwca rok 1913 niedziela

Po kilku dniach pogodnego usposobienia, kiedy moja Ausna jest słodka, ~~[illegible]~~ uśmiechnięta, usposobiona swobodnie, nagle przychodzi kryzys nerwowy. Jakiś drobiazg wytrąca ją z równowagi, sprawia podrażnienie, i wtedy sprawa skończona: Anna wpada w przygnębienie, o byle co się obraża, staje się uparta, ~~[illegible]~~ zacina się w złości, godzinami milczy, to znów zaczyna płakać, drżąc spazmatycznie, i płacze bez końca, bez żadnego słowa, nie dając się utulić, gniewając na siebie samą i na wszystkich i wszystko. Jest ona w tych kryzysach poprostu nieprzytomna, zupełnie niedostępna; co się tam wtedy w jej sercu i głowie dzieje, co ona czuje, — to jej sekret. W roku zeszłym stan nerwów Anny nie był tak zły, jak obecnie. Sceny takie zdarzają się przy nauce, kiedy najlżejsza uwaga moja lub jakieś słowo trudniejsze do zrozumienia nagle wywołuje odruch przygnębienia czy gniewu; zdarzają się też one często na skutek zazdrości, która kiełkuje w Annie, gdy widzi, że uwaga moja zostanie zajęta czymś innym, a zwłaszcza jakąś ~~[illegible]~~ inną kobietą; często wszakże ataki te są zupełnie bezprzedmiotowe, przynajmniej nie mają żadnych podstaw objektywnych, ~~[illegible]~~ jeno się zasadzają na jakichś subjektywnych wrażeniach biednej Anny lub na jakichś ~~[illegible]~~ czuciach wewnętrznych, płynących gdzieś ze źródeł nastrojów i instynktów podświadomych. Jest to niewątpliwie stan chorobliwy, ciężki, z nerwów kobiety zmysłowej oraz duszy niezmiernie wrażliwej i subtelnej ~~[illegible]~~ — [illegible]. Sceny te, ataki spazmów, kryzysy nerwów, ataki uporu kamiennego, ~~[illegible]~~ gniewają mię często i psują nam swobodę stosunku naszego. Ale mi potym żal Anny, żal szczery i gorący tej biedaczki z duszą tak piękną, temperamentem tak silnym, naturą tak bujną i bogatą a niepospolicie głęboką. Kobieta — to tajemnicza, pełna kontrastów istota, w której zmysłowość odgrywa nieposlednią rolę. Na takie ataki, na takie kryzysy właściwie najkapitalniejszym lekarstwem doraźnym jest akt obcowania zmysłowego. W całej swej brutalności akt ten ma na kobiecie działanie dziwnie kojące, dziwnie wiążące jej rozstrojone nerwy w zespół harmonji, dziwnie przywracające równowagę. Ale nie zawsze w tych razach mężczyzna ma do tego ochotę, nie zawsze stanąć może do apelu, gdy sam się gniewa na ~~[illegible]~~ bezprzedmiotowe sceny niewieście.

Od rana dziś Anna była w usposobieniu nierównym, skłonnym do kryzysów nerwowych. Już przy czytaniu nie mogła panować nad sobą i była bliska płaczu oraz kaprysów. Przerwaliśmy więc naukę. Poszliśmy do ogrodu Bernardyńskiego, potym na obiad do Bristolu, stamtąd do Sztrala na deser. Nastrój był nierówny, a w dalszym ciągu coraz lepszy. Potym Anna przyszła do mnie, bo miałem parę pilnych listów do napisania a nie chcieliśmy się rozstawać. Podczas gdy je pisałem, Anna przeglądała moje pocztówki i fotografje. W końcu, gdy już miała wychodzić, Anna poprosiła, abym jej oddał dwie fotografje — mojej dawnej narzeczonej Zuzanny [illegible], francuzeczki z St.-Cloud, i p. Anny [illegible], z którą się przed kilku laty kochałem i byłem przez nią kochany. Prosiłem Anny, aby tego [illegible] nie żądała, bo fotografje te są dla mnie miłemi pamiątkami. Anna [illegible] się na to, że przecie ona mi fotografję swojego pierwszego kochanka w roku zeszłym dała, bo, kochając mnie, żadnych pamiątek dawnych miłości nie chciała. ~~[illegible]~~ Uległem więc prośbie, zwróciłem obie fotografje — Zuzanny i Anny [illegible], — ale się jednocześnie strapiła, tak jej w oczach [illegible].

[illegible]

10 (23) czerwca. rok 1913. poniedziałek.

Spotkałem się dziś z bawiącym w przejeździe w Wilnie Najbiorem Sruberskim, moim dawnym znajomym z czasów paryskich, z którym przed paru laty spotkałem się znów w Wilnie i który wtedy wykonał podobiznę moją (niewdatną zresztą) w płaskorzeźbie. Spędziłem z nim, w towarzystwie studenta Sidorowicza, parę godzin w restauracji w Bristolu, popijając czarną kawę z benedyktynką i gawędząc przeważnie o starych naszych znajomych i wspomnieniach paryskich. Wątku do tego dostarczył nam zwłaszcza nasz przyjaciel paryski, artysta-malarz i cygan-włóczęga Włodek Terlikowski, od którego właśnie dziś list otrzymałem w odpowiedzi na list mój z zeszłego tygodnia. Zamieniliśmy się listami z Terlikowskim po kilku latach zupełnego braku wiadomości o sobie. Terlikowski — to był typ niepospolity, pełny zawsze werwy, niewyczerpanej żywotności, człowiek wolny od przesądów i od wszelkiego konwenansu, cygan w świecie cywilizowanym, łamiący wszelkie formuły i szablony społeczne, a przecie głęboko moralny i humanitarny w żywiołowych odruchach serca i umysłu. Od kilku lat zdaje się, po ożenku, ustatkował się i zrównoważył, a ostatnio nawet, dzięki poparciu jakiegoś mecenasa, zyskał pewien dobrobyt i możność pracy twórczej oraz pewną sławę malarską. Przysłał mi właśnie cały stos wycinków z gazet paryskich o sobie z powodu swej wystawy pejzaży zimowych w Owernji, a szczytem sławy jest dlań zakupienie jednego z obrazów jego do muzeum Luksemburskiego.

Po obiedzie, czując się trochę ociężały po benedyktynce i nie mogąc się przeto zmusić do nudnego odrabiania bieżących interesów adwokackich, zabrałem się do pracy literackiej, mianowicie do odpowiedzi „Przeglądowi Wileńskiemu" na ciągły temat „wpływów postronnych" „Kurjera Krajowego". W dzisiejszym artykule wstępnym N-ru ostatniego „Przegląd" podnosi rzekomo zarzut, rzucony przez nas w odpowiedzi na skierowany poprzednio do nas zarzut „wpływów postronnych", i usiłuje udowodnić, że „Kurjer Krajowy" jest istotnie takich wpływów wyrazem, służąc obcym bogom i podporządkowując demokrację polską należycie sprawie litewskiej i białoruskiej. Jako ideał swój podaje „Przegląd" zasadę sojuszu z demokracją litewską i białoruską, lecz powiada, że żadne usiłowanie jego do nawiązania takiego sojuszu skutku nie wydały, a to rzekomo dlatego, że litwini i białorusini żądają od polaków wyrzeczenia się samodzielności i służenia ich celom jedynie. I otóż my w „Kurjerze Krajowym" mamy być tą właśnie grupką, która postawiła sobie za zadanie zaprzęgnięcia demokracji polskiej do rydwanu litewsko-białoruskiego i pchania takowego na zagładę polskości. Naturalnie, że jednocześnie „Przegląd" zarzuca nam „słabo ugruntowane poczucie narodowe" i „brak wiary w siły polskie". Artykuł „Przeglądu" jest zresztą wszystko dość powściągliwy i nie pali radykalnie mostów do jakiegoś ewentualnego kompromisu z nami, jako bądź co bądź demokratami, choćby w opinji „Przeglądu" — nie-polskimi. Odpowiedź, którą napisałem dziś „Przeglądowi", udała mi się dobrze. Odparowałem oskarżenia, rzucane przez „Przegląd" w kierunku demokracji litewskiej i białoruskiej, wykazałem niedopuszczalność ponawiania przeciwnika w polemice o „brak wiary" lub „poczucia", które są elementami ściśle subjektywnemi i o których, bez poparcia faktami i czynami, twierdzić nie sposób, przeciwstawiłem pogrzebaniu „Przeglądu" jasne i kategoryczne słowa jednego z moich artykułów wstępnych w „Kur. Kr.", wreszcie wytknąłem stosowanie przez „Przegląd" odwiecznego manewru prawicy względem lewicy demokratycznej o „wpływach obcych" i określiłem dokładnie zasadę solidarności, łączącej istotnie demokracje ludowe w ich walce z reakcją. W końcu artykułu zająłem w stosunku do „Przeglądu" stanowisko pojednawcze. Będziemy drukali dalszego ciągu. Artykuł ten ukaże się w „Kurjerze Krajowym", jako redakcyjny, w 2 N-N kolejnych, jako 2 artykuły.

Wieczorem zebrała się u mnie nasza komisja poufna do sprawy wyborów w miejskich. Przyszli tylko Prozorow, Kraskowski i Zasztowt (nieobecni byli Stankiewicz i Matulaitis). Omawialiśmy głównie sposoby utworzenia grupy demokratycznej do wyborach. Doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie utworzyć grupy równoległe litewską, polską i rosyjską, a już następnie po ich utworzeniu dążyć do tego, aby wybrały one wspólny proporcjonalny komitet wyborczy dla ułożenia listy kandydatów wyborczych. Nasza zaś komisja będzie funkcjonowała stale, tworząc konspiracyjnie koordynację roboty w poszczególnych grupach. Co do litwinów i rosjan — to będzie łatwe, bo tam nasi ludzie ustalą stały na czele stworzonych grup i zdołają niemi pokierować, ale co do grupy polskiej, to nam z Zasztowtem będzie trudniej, bo tam w kołach demokratycznych będziemy mieli do czynienia z „postępowcami" i przedewszystkiem z Witoldem Abramowiczem, który będzie prowadził swoją własną linję i kto wie, czy nas z Zasztowtem do wpływu dopuści.

11 (24) czerwca
rok 1913.
Wtorek.

Poszedłem dziś rano do Bronisława Krzyżanowskiego. Od poprostu zatęskniłem do niego. Przywykłem od lat wielu dzielić się z nim myślami i wrażeniami i wspólnie omawiać rozmaite wypadki i zjawiska życia publicznego. Od pierwszych moich kroków na gruncie wileńskim w r. 1905 łączyła mię z Krzyżanowskim wspólność zamiarów i przedsięwzięć społecznych. Był on jednym z najbliższych mi towarzyszy w „Gazecie Wileńskiej", w której wspólnie z Klottem i ze mną należał do komitetu redakcyjnego, potym przez szereg lat martwych reakcji, [redacted] kiedy demokratyczna grupa polska i żadnych robót systematycznych nie prowadziła i kiedy szeregi tej grupy zmalały i rozproszyły się, Krzyżanowski był jednym z nielicznych z pośród tych, którzy wytrwali w ideałach swoich i [redacted] dochowali nieprzerwanej ciągłości tradycji, piastując zawsze żywą myśl wznowienia pracy zaniechanej. Razem też z nim i prawie jednocześnie weszliśmy do Związku z demokracją innych narodowości, razem działaliśmy przy zakładaniu „Przeglądu Wileńskiego", który był pierwszym zwiastunem odrodzenia ruchu demokratycznego w [redacted] krajowym społeczeństwie polskim. Tak przy zakładaniu „Przeglądu", jak potym w komitecie redakcyjnym tego pisma, w pierwszym okresie jego bytu, Krzyżanowski był ideowo najbardziej mi ze wszystkich bliski, to też szliśmy z nim zawsze ręka w rękę, stanowiąc kierunek radykalny w grupie przeglądowej. Dużo było więc więzów szczególnych, które łączyły mię z Krzyżanowskim bardziej, niż z innymi. [redacted] Wprawdzie Krzyżanowski był zawsze więcej fachowcem-adwokatem, niż społecznikiem, i przeto pod względem ideowości ustępował Nagrodzkiemu i Witoldowi Abramowiczowi w naszej dawnej grupie (tworzącym jej skrzydło prawe), jednak stał zawsze szczerze i konsekwentnie na stanowisku przekonaniowym, jaskrawie postępowym, humanitarnym i wolnomyślnym. Krzyżanowski – to intelektualista wybitny, łączący niezwykły dar logiki i ścisłości z cechami pozornie przeciwnemi, mianowicie z niezwykłą nerwową wrażliwością i odruchową impulsywnością. Życie i fach adwokacki, które mu się zdaje gorzko, pchnęły go już stanowczo dawno na tory filisterstwa i nałogu do zdawkowości, to znaczy do brania rzeczy powierzchownie i utożsamiania pozorów przemijających z istotą natury samych zjawisk. Tacy ludzie zatracają zazwyczaj swoje dawne ideały i atrybuty wiary, które się utworzyły pracą umysłu młodego i żywego, głęboko przenikającego w naturę rzeczy poprzez skorupę pozorów. Na tym się to zazwyczaj opiera filistrzenie inteligencji, jej zwrot od ideałów młodości do płytkiej praktyki życia. Nieliczne tylko jednostki wybitniejsze i głębsze zachowują swą moc indywidualną wiary i przekonań. Krzyżanowski wskutek [redacted] ratował się od tego tak wrażliwością swoją na wszelkie bodźce zewnętrzne, jak intelektualizmem, który go drogami ścisłej logiki zwracał zwykle na tory analizy głębokiej i prawdy, wbrew zalewającym go stąd władzy pozorom. Ale w gruncie rzeczy był on jest o wiele bardziej filistrem, niż prawie kompromisowi od niego Wit. Abramowicz i Nagrodzki. Wreszcie poza tymi więzami współdziałania, które nas łączyły, były jeszcze więzy bardzo bliskiego stosunku naszego osobistego: w najboleśniejszych dla mnie chwilach osobistego mego życia, jak w [redacted] całej sprawie małżeńskiej mojej, Krzyżanowski był jednym z tych, który najbliżej tych stosunków dotykali. Od jednego roku zeszłego w Krzyżanowskim zaszła duża zmiana, która się w nim rozwijała stopniowo, lecz konsekwentnie, i daleko go odciągnęła od jego dawnego stanowiska przekonaniowego. Dziś należy on całkowicie do narodowców prawicy postępowej. Złożyły się na to rozmaite przyczyny, rzeczy powody, — jego stosunek osobisty z Witoldem Abramowiczem, perypetie komisji wyborczej do Dumy i dalsze takowych skutki, etc. We wielu kierunkach współpracownictwa mego z „przeglądowcami", nasz rozdział ideowy, — budzi we mnie tęsknotę i bardzo przykre uczucia zawodu, żalu, czegoś pustki jakiejś. To, co zaszło z Krzyżanowskim, to nie jest zresztą ani zdrada ani wyparcia się ideałów dawnych. W teorji on je wyznaje nadal, z pewnym jeno [redacted] zaakcentowaniem aspiracji nacjonalistycznych. Ale co jest niewątpliwe i co właściwie stanowi istotę jego zmiany i przeobrażenia — to to, że się poddał prądowi filisterstwa duchowego, który go zalewa. Coprawda — to jest właśnie najboleśniejsze, bo to widok tonięcia człowieka żywego w marazmie filisterskim. Żal mi, ale zarzutu etycznego nie mogę mu z tego robić. To mię bądźcobądź cieszy i napełnia otuchą, że zalety umysłu i serca Krzyżanowskiego, które są bądźcobądź rzeczą stałą, w odpowiednich okolicznościach wydrą go z filisterstwa. To nie człowiek umarły i nie zaprzaniec. Dziś zastałem u niego i długo serdecznie i przyjaźnie rozmawiałem. [redacted] Nie chciałbym, aby rozdźwięki ideowe w pracy społecznej złamały nasz stosunek osobisty, a żywię nadzieję, że się spotkamy jeszcze nieraz w robotach wspólnych na naszym ciężkim gruncie demokratycznym.

Wieczorem u Prozorowa zebrała się komisja nasza komisja do wyborów miejskich. Byli: Prozorow, Zasztowt, Krasowski, Matulaitis, Stankiewicz i ja. Omawialiśmy nieco sprawę platformy wyborczej, jej zasady kapitalne, szkic zaś takowej poleciliśmy wykończyć Krasowskiemu, który ma to także w [illegible]. Jedną z kapitalnych robót wstępnych powinno być zapełnienie cenzusów w rozmaitych [illegible] i instytucji przez osoby, które będą dla demokratycznej akcji na wyborach [redacted] nam potrzebne. Tego właśnie nie [illegible] jeszcze robić, bo nie posiedliśmy jeszcze spisu cenzusowych instytucji. To też umowa [illegible].

12 (25) czerwca, rok 1913, środa.

Debiut Hertza w „Kurjerze Krajowym" był krótki. Dziś on z „Kurjera" wystąpił. Stało się to mianowicie tak. Wczoraj zostałem w domu list od p. Stefanji Jabłońskiej, mieszkanki Jezioros, z opisem zajść, jakie tam miały miejsce na tle stosunków polsko-litewskich, i z prośbą o wydrukowanie takowego w „Kurjerze Krajowym". P. Jabłońska — osoba starej daty, nie przyjaciółka wszelkiego nacjonalizmu, gorąca zwolenniczka pojednania polsko-litewskiego, wyznawczyni żarliwa ideałów braterstwa i humanizmu w stosunkach ludzkich, a zwłaszcza śród zwaśnionych synów Litwy. Jest po staroświecku postępowa, w sposób uczuciowy i ewangieliczny. Ma uczucia gorące, wielką wrażliwość, dużo zapału. Jest szlachetnym typem idealistki. Przed paru laty, ku uczczeniu „pięćsetletniej rocznicy Grunwaldzkiej", wydała książeczkę tłumaczonych przez siebie na język polski poezji litewskich („Poezje odradzającej się Litwy"). W roku zeszłym, bawiąc w Wilnie, odwiedzała rozmaitych tutejszych działaczów polskich i litewskich z obozu postępowego, propagując myśl założenia specjalnego pisma dla omawiania sprawy stosunków polsko-litewskich. Otóż w liście swoim opisuje ona brutalną kampanję przemocy, jaką tłum polski w Jeziorosach uprawiał dla niedopuszczenia nabożeństwa majowego w języku litewskim, oraz akty gwałtu czynnego, jakie miały miejsce tamże na posiedzeniu miejscowego wydziału towarzystwa oświatowego litewskiego „Saulė". Zajścia były podobne do tych, jakie miały miejsce w kościele św. Jana w Wilnie w pierwszych dniach maja, z tą różnicą, że się nie odbywały w murach kościoła, ponieważ do nabożeństwa litewskiego wcale nie doszło. Skończyło się tylko na pojedynczych próbach śpiewów litewskich u organisty, który zaś proboszcz, widząc przygotowanie do skandalu, uchylił zapowiedziane przez poprzednika swego nabożeństwo. Były więc tylko brutalne groźby gwałtów względem litwinów, łajanie po mieście, zaczepianie śpiewaków na ulicach i t.d. Groza przez zasiła na zebraniu towarzystwa „Saulė": do sali wpadło kilku drabów, którzy poprzewracali stołki, rzucali się podobno na uczestników zebrania, podczas gdy zebrany na ulicy przed lokalem tłum bił litwinów, wrzeszczał, wygrażał się i pienił. P. Jabłońska gorąco protestuje przeciwko tym skandalom, stanowiącym akty publicznego gwałtu i zniewagi litwinów. Protestuje w imię uczuć humanitarnych, sprawiedliwości i piękna, a niestety dziś całkiem zapomnianej dewizy, streszczonej w cytowanym przez nią wierszu:

„Bóg polskiej wiary rozkazał Ojczyźnie,
„By wiodła w miłości i wierze ludy bliźnie
„Niezatraconej prawości przykładem."

Opis tych smutnych zjawisk, które miały miejsce w Jeziorosach, na terytorjum, zamieszkałym przez litwinów etnograficznych, i które przeto są tym mniej usprawiedliwione, wstrząsać musi każde sumienie polskie, nie nacjonalizmem. Czy opis ten odpowiada rzeczywistości — tego nie wiemy, bo dotąd nawet w pismach litewskich nie było nic o tym, choć zajścia te datują się z przeszłego miesiąca i choć

te obecnie na zjeździe litewskiego T-stwa Naukowego („Liet. Mokslo Draugija") bawią litwini z Jezioros oraz sam główny jeziorowski działacz litewski, dr. Bukont, który, zdawałoby się, nie omieszkałby podać o tym do pism litewskich. Ale opis zajść w liście p. Jabłońskiej jest tak kategorycznie podany i naznaczony taką szczerością, że trudno nie wierzyć. Zresztą p. Jabłońska podpisuje się imieniem i nazwiskiem, biorąc na siebie odpowiedzialność za fakty. Skądinąd zaś jest ona osobą znaną Redakcji i godną wiary. Osobiście mam przekonanie, że fakty te są prawdziwe, bo znam zbyt dobrze, jaką żywi nienawiść masa ludności polskiej czy też raczej spolonizowanej na etnograficznych kresach Litwy i zwłaszcza w miastach i miasteczkach w stosunku do litwinów i języka litewskiego. Zresztą gwałty te przejawiają się wszędzie w tych samych formach charakterystycznych. Zapewne, że p. Jabłońska, pisząc na gorąco pod wrażeniem, przesadziła może w barwach, ale niezawodnie grunt jej opisu musi być prawdziwy, a tendencja szlachetna, płynąca z uczucia sprawiedliwości i humanitaryzmu [illegible] patriotyzmu polskiego. [illegible]

166.

13 (26) czerwca, rok 1913. czwartek.

List-protest p. Jabłońskiej ukazał się w rannym № „Kurjera Krajowego". Jakie sprawi na mieście wrażenie — nie wiem. Jest bardzo prawdopodobne, że pisma polskie nacjonalistyczne z „Kurjerem Litewskim" na czele napadną z tego powodu na „Kurjer Krajowy", uważając jego rewelacje za chęć spotwarzania polaków, za zdradę narodową, za objaw stronnych i przesadnych sympatji litewskich. Będą się też zapewne starały zbagatelizować zajścia jezioroskie, może się pokuszą nawet o udowodnianie specjalnej zaborczości litwinów w „zdrowiu polskich" Jezioroskach. Wszystko to możliwe. Nie zaprzeczam, że może w liście p. Jabłońskiej, pisanym na gorąco pod świeżym wrażeniem, jest pewne przejaskrawienie. Nie przesądzam tego. Pod wpływem oburzenia, poczucia krzywdy, jaka napełnia każde szlachetne serce polaka na wieść o brutalizowaniu litwinów przez ciemne tłumy ludności „polskiej", przejaskrawienie jest możliwe. Więcej bowiem, niż litwinów, krzywdzą takie fakty polaków, podkopując moralnie sprawę polską wobec narastającej demokracji budzących się ludów i odradzających narodów. Te ciemne tłumy „polskie", złożone przeważnie z wynarodowionych litwinów lub białorusinów oraz rozmaitych „tutejszych", oddają dziś najgorszą usługę polskości. Po uświadomieniu tych tłumów z czasem staną się one rzeczywiście podstawą polskości w tym kraju, głębszym i trwalszym od szlachty, ale tymczasem są one dla sprawy polskiej szkodliwe niezmiernie. Nikt bardziej ode mnie z pewnością nie pragnie, aby fakty i zajścia takie, jak w Wilnie u św. Jana, jak w Jezioroskach, nie miały miejsca i okazały się przesadzone. Niestety — są one tak typowo podobne do wszystkich innych tego rodzaju, że niepodobna przypuszczać, aby były z palca wyssane. Może być przejaskrawienie, ale tło jest, niestety, prawdziwe. I właśnie przez miłość dla tej nieszczęśliwej Polski ukrzyżowanej, umęczonej rękami nietylko obcych ale też własnymi, o faktach takich sumienie polskie nakazuje wołać i piętnować. Polska, narodów Chrystus, męczennica wielka, rozdarta na kawały i ujarzmiona w najpodlejszej niewoli, a świecąca kulturą zachodnią na wschodzie, jakże boleśnie jest doświadczana przez własnych synów i pasierbów, którzy chcą z niej urobić sztandar dla gieszeftu czy to sklepikarzy w ruchu antysemickim, czy naszej szlachty w stwarzaniu bratobójczych rozłamów i walk ludu polskiego w tym kraju z litewskim. Natomiast z pewnością ci, którzy są rzeczywistymi wyzyskiwaczami tych walk i „zajść" mieniących się i którzy z nich dla siebie, dla swego stanu posiadania szlacheckiego korzyści ciągnąć pragną, stroić się będą w płaszcz patrjotyzmu i nam zarzucać brak takowego, bo dla nich patrjotyzm jest gieszeft a nie sumienie. Nie wiem, czy i „przeglądowcy" nie zespolą swego głosu z chórem „patrjotycznego" oburzenia, „opinji" i prasy szlachecko-[illegible]. Co zaś do ustąpienia z tego powodu Hetmana z „Kurjera Krajowego", to nie wielka bieda. U Hetmana grają rolę nie przekonania, lecz obawa narażenia się. Nie jest pewny, czy „Kurjer Krajowy" się utrzyma, a tymczasem jego udział w redakcji „antynarodowego" pisma, które nawet „postępowy" „Przegląd" uważa za niepraworządne narodowo, może mu w opinji kół „patrjotycznych" i sfer wpływowych zaszkodzić. Niebezpieczne jest opuszczanie z pisma ideowego i niezależnego — człowieka tchórzliwego i dbającego o swoją popularność.

Dzień dzisiejszy od południa do wieczora spędziłem z Anną. Byliśmy na obiedzie w Bristolu, potym przez kilka godzin robiliśmy „kiejf", to znaczy słodkie „far niente", — u mnie w mieszkaniu moim, potym u Witolda na ul. Wielkiej i wreszcie wieczór u niej. Sprzeczek ani zajść między nami nie było, ale ciągle Anna jest zdenerwowana. Muszę być z nią ostrożnym, jak z ogniem, bo byle co może wywołać obrazę, płacz, lub upór, gdzie nawet i drażnienie [illegible], który i mnie i jemu [illegible] wszystko.

14 (27) czerwca. rok 1913. piątek.

Trzymałem do chrztu synka kolegi mego, adwokata Szrajewskiego. Szrajewski mieszka obecnie i praktykuje w Taurogach, ale dziecko tu przyszło na świat i tu dziś, w mieszkaniu pp. Lubowickich, zostało ochrzczone przez ks. Kretowicza, proboszcza Bernardynów. Do chrztu trzymałem ja z panią Lubowicką. Imię ~~—~~ nadaliśmy dano „Adolf", jak ojca. Po chrzcie była krótka libacja z wina i owoców w gronie rodziny Szrajewskiego.

Dziś na noc wyjechaliśmy z Anną pociągiem mińskim na Radoszkowicze do Wiorowła. Anna oddawna pragnęła poznać mój las Mamuszłowski, o którym tyle zawsze ode mnie słyszała. Dotąd wahałem się spełnić tego jej życzenia, bo się obawiałem możliwych przykrych konsekwencji dla naszego stosunku przez obudzenie czujności rodziny. Przyjazd mój do Wiorowła z kobietą młodą i w dodatku nie-polką może zwrócić uwagę całego otoczenia miejscowego oraz włościan okolicznych, wywołując pewnego rodzaju sensację lokalną ~~—~~ i najrozmaitsze komentarze i domysły, o co na wsi zawsze łatwo. Stąd wieść o mojej bytności w lesie z młodą towarzyszką może łatwo dotrzeć do Wołodkowicz, z Kaszczewa do Marii, a stąd już bezpośrednio do mojej całej rodziny. Poza tym ~~siostra~~ dwie siostry Pieślakiewskiego, Krystyna i Łucja, z którymi Pieślakiewski koresponduje, służą w Prudnikowskach. Pieślakiewski w liście do nich może się podzielić wiadomością o mojej bytności z Anną, a od nich dowiedzą się Rodzice. A szczegół ten, że Anna jest „niemką" (bo po niemiecku z nią rozmawiamy), jest taki zdradziecki, że się nie ukryje przed rodziną i Rodzicami mymi, że to jest właśnie ona. Nie chce mi się zbłagować, że to jakaś inna znajoma — a o moim stosunku z Anną w najbliższej rodzinie mojej zapewne dobrze wiadomo, nawet nie tylko dobrze, ale zbyt opacznie. Mogłoby powstać zgorszenie, oburzenia, nawet jakieś kroki bardziej stanowcze. Ale ostatecznie rozważyłem, że przecie ludzie mogą mieć i miewają rozmaite znajomości, jeżdżą sobie, gdzie chcą, dobierają się dla wspólnych wycieczek, jak chcą, i nikomu sprawozdania dawać nie muszą, ani się jakiejś kontroli poddawać, a zresztą niczym nie zdradzimy z Anną charakteru naszego istotnego stosunku małżeńskiego. Decydowałem się więc pojechać do Wiorowła z Anną, i dziś pociągiem północnym wyjechaliśmy z Wilna.

O godz. 5–6 rano przyjechaliśmy z Anną do Radoszkowicz. Jasiek z koniem czekał na stacji. Zaraz pojechaliśmy prosiutko do Wiarowca. Od samych Radoszkowicz zaczął mżyć drobny deszczyk, który towarzyszył nam przez całą drogę bez ustanku, to mżąc, to padając wcale rzęsiście. Przemokliśmy porządnie i zziębliśmy na wilgoci, przenikającej przez wszelkie odzienie. Około godz. 10 dojechaliśmy do Wiarowca. Annie wszystko się w Wiarowcu podobało: pozycja mojej leśniczówki, domek, mój pokój, nasza czeladka wiarowiecka, ten spokój cichej polanki leśnej, cała atmosfera dokoła, a nadewszystko Bryś, pełny humoru, apetytu, zdrowia, sił nie zbadowany, szczery, przywiązujący się do człowieka, — prawdziwe dziecko natury i piękny okaz psa.

15 (28) czerwca rok 1913. sobota.

Za każdym przyjazdem do Wiarowca zastaję pewne zmiany i pewien postęp w urządzeniu, który wypływa z wykonania moich poprzednich rozporządzeń. Tym razem zastałem kilka [struck out] krzewów bzu, zasadzonych po rogach domu, które się przyjęły dobrze i zielenieją, trawnik okrągły przed domem, dróżkę wysypaną żwirem i dobrze utrzymaną dokoła trawnika, wewnątrz mój pokój świeżo otynkowany z pobielonym sufitem. Trawki gazonowe, sprowadzone przezemnie z Wilna i zasiane z polecenia mego na trawniku, rosną, ale rzadko, bo deszcz spłukał nasienie. Zajadaliśmy z Anną jajecznicę, smaczne szpekuchy i bułkę, upieczoną na mój przyjazd, a Jaśka posłaliśmy w świat, aby nam kupił koguta na obiad, którego pod wieczór z apetytem zjedliśmy. Bryś zrazu trochę warczał na Annę, nie poddawał się jej pieszczotom, chwycił ją nawet za rękę, ale już potem, gdy mu Anna kości tych smacznych naczyń dała, nabrał do niej zaufania i był w najlepszej komitywie, tuląc się do niej i nie przestając [illegible] i pieszczot. Deszcz tylko i słota raz [illegible] psuły nam przyjemność pobytu. Pokazałem Annie cały mój domek, gospodarkę, obejrzeliśmy zasiewy przy domu. Po raz pierwszy widziałem mój Wiarowiec prawdziwie zagospodarowany, z uprawnionymi grzędami ogrodowizny dokoła. Niezadowolony tylko jestem z konia Prymy, który nie tylko się na paszy nie poprawił, ale jeszcze [struck out] schudł. Wygląda bardzo mizernie i słabowito, jest bardzo niewytrwały i słaby. Nic z niego nie będzie. Trzeba będzie go sprzedać a kupić natomiast dobrego silnego konika. Ani pasza, ani dokarmianie go owsem i otrębą — nie skutkują. Pomimo słoty przeszliśmy się z Anną po lesie przez uczastek № XVIII, [struck out] z zajściem na łąkę Kozłówkę, obszedłem całą granicę od [illegible] pod Zaścieńkami aż do leśniczówki. Po późnym obiedzie czuliśmy się tak zmęczeni podróżą nocną i wilgocią, że ledwo mogliśmy się doczekać przyzwoitej pory do snu. Chcieliśmy popalić w [illegible] w piecu, ale [illegible] nasz jedyny [illegible]. O godz. 9 poszliśmy spać — ja w moim pokoju, Anna zaś w izbie Kiesiekierskiego z siostrą jego, Anną, która jest tymczasową gospodynią u mnie, bo żona Kiesiekierskiego wyjechała do [illegible] dwóch [illegible].

16 (29) czerwca rok 1913. Niedziela.

Słota była przez dzień cały. No, już tak niedopisać, jak nam teraz niedopisała pogoda na ten nasz przyjazd z Anną do Wiarowca, to trzeba mieć szczególnego pecha. Niezrażani wszakże niepogodą i deszczem, chodziliśmy parokrotnie do lasu. Raz poszliśmy rano, przed obiadem. Obeszliśmy dość szczegółowo cały las od leśniczówki i serwitutowy. Podchodziliśmy pod rzeczkę Konotopkę, szliśmy w poprzek i wzdłuż środkiem lasu, przez moczary olchowe, stare gaje osinowe, gęszczary młodników jodłowych, mieszane krzewy leszczyny, sucha pagórki sosnowe. Anna podziwiała kołtańce piękne, bardzo grube i wyniosłe stare sztuki osinowe, które królują olbrzymami w lesie. Powietrze było wilgotne; zimna nie było, ale wilgoć przenikliwa. Anna ubrała się w moją ciepłą kurtkę jesienną, która chroniła ją znakomicie od wilgoci i chłodu. Chodziła przez las ochoczo, wszystkim się interesując, rozpytując o wszystkie szczegóły a podziwiając urodę lasu. Miałem wielką przyjemność z jej towarzystwa; jej natura wrażliwa chłonęła ciekawie i chciwie nowe dla niej wiadomości, wrażenia i uczucia. Dotarliśmy tak do rzeczki Wiarowca, kilkakrotnie wypoczywając w drodze na pniach lub kłodach niewywiezionego jeszcze przez kupca towaru. Od rzeczki wyszliśmy drożyną na Trudowicze i wróciliśmy stamtąd prosto do domu. Po obiedzie odbyliśmy drugi spacer po lesie; był to już spacer gospodarski z Kiesiewickim. Wszystko, o czym z Kiesiewickim rozmawiałem, Anna kazała mi tłumaczyć sobie najszczegółowiej, interesując się, jak dziecko. Imponuje jej poczucie, że las ten, tak piękny a tak gospodarczo skomplikowany, należy do mnie, jej towarzysza, z którym się czuje wzrastającym ścisłego współżycia związkiem. Podoba się jej Kiesiewicki, budzi w niej sympatię wszystko, co bliskie ku mnie. Z Kiesiewickim przez las serwitutowy poszliśmy do Łoju, który obeszliśmy cały i wyszliśmy na sam koniec lasu. Tam rozstaliśmy się z Kiesiewickim i wróciliśmy z Anną we dwoje, idąc brzegiem lasu. Mieliśmy drogę uciążliwą, bo trzeba było przez rzeczkę przebrnąć, przy czym Anna zdjęła [illegible] grzyby (lisiczki), które zbierać zaczęliśmy, ale te deszcz zaczął się wzmagać [illegible] wo, potem przez bagno musiała Anna iść po śliskim pniu zwalonego drzewa, chwilami brnąć z wielką ostrożnością. Dzień nam upłynął wesoło i pogodnie mimo niepogody.

17 (30) czerwca. rok 1913. poniedziałek.

Anna, jak większość jednostek z ludu, nie na-
leżących do t. zw. „inteligencji", ma naturę bezpo-
średnią. „Inteligencja" tworzy specjalną formację
psychiczną, w której jest zawsze przewaga refleksów
rozmyślnych nad odruchowością natur prostych,
bezpośrednich. Ta cecha Anny w stosunku ze mną,
inteligentem, utrudnia nam nieraz porozumienie
i staje się źródłem pewnych rozdźwięków, ale skądinąd
ma ona dla mnie w wielu razach urok specjalny,
podnoszący wartość obcowania z Anną. Mam bowiem
w niej zwierciadło czystych elementów duszy ludzkiej,
działających bezpośrednio, nie sfałszowanych, nie prze-
trawionych przez refleksyjność umysłu, która prze-
każdy ruch ludzki zaprawia specyficzną barwą intele-
ktualizmu; intelektualizm inteligencki wyjaławia
i niweluje wyrazistość pierwotnych zasadniczych ele-
mentów duszy ludzkiej. U Anny zaś działają one pro-
sto, samorzutnie, z jaskrawą wyrazistością, a że ma
duszę bardzo bogatą, bujną, więc też dostarcza mi nie-
zmiernie ciekawego i barwnego materjału do kontemplacji duszy
ludzkiej. Kocham ją właśnie taką, jaka jest, i po stokroć
wolę, że nie jest „inteligentką" zmanierowaną. Pobyt z
Anną w Wiazowcu dostarczył mi wielkiej przyjemności
i rozkoszy właśnie dzięki tej bezpośredniości Anny.
Przejmowała się ona szczerze wszystkiem, wszystkiem inte-
resowała. Życie w niej biło intensywnie, jak w człowieku,
nie lalce. Była mi towarzyszką spacerów i wycieczek
leśnych bez względu na pogodę i wygodę, była zawsze cie-
kawą, zawsze żywą spólniczką każdej mojej myśli, każdego
mego rozporządzenia gospodarskiego, każdej kwestji leśnej,
która powstawała. A brała wszystko do serca i szczerze, głę-
boko przejęta była wrażeniami, których tu obficie, w nowym
środowisku, doznawała.

Pogoda dziś trochę była lepsza, niż dni poprzednich. Deszcz wpraw-
dzie kilkakrotnie padał, ale to nie były słoty. Wiatr był duży,
atmosfera raczej burzliwa, niż słotna. W pauzach świeciło
piękne słońce. Przed obiadem chodziliśmy z Anną po lesie
XVIII i siedzieliśmy na łączce Kowalówce, skąd nas wreszcie
wypłoszył wkrótce deszcz z burzą. Na obiad mieliśmy szczawik, bie-
lony śmietaną, z jajami (bez mięsa), smaczne świeże szpaku-
łcy, grzyby (lisiczki) w śmietanie z cebulką, kartofle go-
towane (dla Anny) i smażone (dla mnie), za napój zaś — sok
brzozowy, mocno już skwaśniały a w niektórych butelkach już
fermentujący i zepsuty. Po obiedzie poszliśmy „robić kiejf", t. j.
sjestę, na polankę leśną naprzeciw mojej leśniczówki na zręb,
należący już do Ludwisia Wołodkowicza. „Kiejf" był miły, ale nie-
zbyt długi, bo musieliśmy się spieszyć, by wyjechać w porę na pociąg.
O g. 7 wyruszyliśmy w drogę. Długa jazda do Radoszkowicz na stację po-
[illegible] drodze zmęczyła trochę i zmartwiła Annę. O północy dotarliśmy do
stacji kolejowej i zaraz nadszedł pociąg, który nas do Wilna zabrał.
Tak się nasza miła wyjazdka wiazowiecka skończyła.

18 czerwca.
1 lipca.
rok 1913.
wtorek.

Raniutko przyjechaliśmy z Anną do Wilna. Prosto z dworca rozjechaliśmy się każdy do siebie. W domu żadnych ciekawych nowin nie zastałem: kilka listów, gazety — ot i wszystko. W sobotnim ~~N~~ №-rze „Kurjera Krajowego” znalazłem wydrukowany mój artykuł „Siła narodowa”, który oddawna, może już od miesiąca, leżał u Mańkowskiego w rękopisie. Mańkowski wciąż artykułu tego nie drukował, mając doń jakieś szczególne uprzedzenie i dopatrując się w nim nacjonalizmu, czyli, jak się wyraził, „zapaszku przeglądowego”. W artykule tym zaznaczam, że istotną podstawą narodowości polskiej i kultury polskiej w tym kraju może być tylko ruch ludowy, samodzielny, demokratyczny, skierowany do wyłamania się z pod przewagi szlacheckiej i klerykalnej pod „zaraniarskim” hasłem „sami sobie”. Tylko powstanie takiego ruchu w miejscowych masach ludowych, używających języka polskiego i uważających się za polskie, może tu stworzyć w przyszłości podłoże dla kultury i narodowości polskiej; ~~[illegible]~~ i zarazem taki ruch nie będzie wrogim ruchom ludowym litewskiemu i białoruskiemu. Dopóki zaś ta część ludu krajowego, która należy do obozu polskiego, będzie szła, jak to ma miejsce dziś, na pasku szlachty i kleru i służyła za narzędzie do utrwalenia przewagi ~~[illegible]~~ szlachecko-klerykalnej i ponadto do poddania ludu całego pod wpływy reakcji społecznej, dopóty ludy spółżyjące, zwłaszcza zaś litewski (a także w uświadomionych elementach — białoruski), dążące do wyzwolenia, będą z natury rzeczy w pozycji wrogiej do ludu polskiego i sprawy polskiej w kraju. Los sprawy polskiej i utrwalenia jej przyszłości obywatelstwa li wpływów kulturalnych polskich — polega na zsolidaryzowaniu jej ze sprawą ~~[illegible]~~ wyzwolenia ludu w demokratyzujących się stosunkach społecznych kraju. Jeżeli polskość pozostanie tu synonimem szlachectwa i starego układu społecznego, to przyszłość dla niej — smutna, pomimo że w obecnej chwili ma ona wszelkie pozory siły tak ekonomicznej, jak kulturalnej”. Takie są założenia artykułu mego, w którym Mańkowski dopatrywał się nacjonalizmu. Że założenia te odpowiadają mniej więcej ideałom leaderów „przeglądowych” — Witolda Abramowicza i Nagórskiego — to pewna, ale nie są one przez to koniecznie złe. Chodzi tylko o to, aby czyn odpowiadał zawsze i istotnie tym założeniom, co właśnie „przeglądowa” grupa nie spełnia. Nastawałem oddawna na tym, aby Mańkowski, nie mając wstępliwości, ~~[illegible]~~ poddał ten artykuł orzeczeniu komitetu redakcyjnego. Oczywiście to teraz w mojej nieobecności wykonał i komitet wypowiedział się za drukowaniem go.

Cały dzień do wieczora przebywałem w domu. Spałem trochę, potem zajęty byłem uporządkowaniem rzeczy. O g. 4 odwiedziła mnie Anna. Wieczorem jeździłem do niej, posiedziałem i spędziłem czas do północy.

19 czerwca.
2 lipca.
rok 1913.
Środa.

Dam wszczone mi przez Prozorowa spisy instytucji, towarzystw a także kobiet, posiadających cenzusy do wyborów miejskich i wpisanych do listy wyborczej. Spisy te Prozorow wydostał prywatnie z Zarządu miejskiego i wszczął mi je dla przejrzenia i ewentualnego zużytkowania. Chodzi o to, że instytucje, stowarzyszenia i kobiety, władające cenzusem, mają prawo głosu przez przedstawiciela. Tą drogą więc, pozyskawszy przedstawicielstwo odpowiedniej osoby, można zyskać prawo głosu na wyborach. Chodzi nam o to, aby w ten sposób, skorzystawszy z cenzusów przedstawicielskich, wyrobić cenzusy dla osób, które się przydadzą w akcji demokratycznej na wyborach. My z Zasztowtem projektujemy zwołać w przyszłym tygodniu zebranie grona osób, które będą stanowiły pro akcji demokratycznej. Oczywiście wypadnie przedewszystkiem wciągnąć do tego „przeglądowców" z Witoldem Abramowiczem na czele, bo to będzie grupa najbardziej skonsolidowana i najwyraźniejsza w demokratycznych kołach polskich. Żeby wszakże „przeglądowców" nie zrazić i nie obudzić w nich jakichś uprzedzeń i posądzeń, trzeba zrobić, aby nie było żadnych pozorów, że to my z Zasztowtem jesteśmy inicjatorami ruchu. Postanowiliśmy więc, że Zasztowt prywatnie się porozumie z Wit. Abramowiczem i że zebranie zwołane zostanie od imienia jego i Abramowicza, żeby w samym założeniu była marka lidera „przeglądowego". Zasztowt już rozmawiał z Abramowiczem w tej materji i odniósł wrażenie, że Abramowicz chętnie będzie z nim współdziałać. Ja się też dziś z Witoldem widziałem, wszystkim mu spisy, o których powyżej mówiłem, i wspominałem o potrzebie rozpoczęcia kroków porozumiewawczych dla przyszłej akcji demokratycznej. Witold bardzo się temi sprawami interesuje, to zdaje się sam bardzo pragnie trafić na radnego do samorządu miejskiego. Odniosłem wrażenie, że Witold nie zasypia gruszek w popiele i że już próbował przewąchać, co się w tej materji w poszczególnych kołach i grupach gotuje, ale jeszcze nie ustalił swej własnej orjentacji, to też chętnie stanie do udziału w pierwszych naradach poufnych, ażeby namacać grunt działania. Sądzę, że pomimo pewnych tarć ideowych, które miały w ostatnich czasach miejsce między „przeglądowcami" a nami, współdziałanie nasze na wyborach będzie nietylko możliwe, ale nawet zapewne ścisłe. Wogóle nie należy przesadzać znaczenia tych naszych rozbieżności wobec pewnych realnych potrzeb i dążeń demokratycznych w dzisiejszych warunkach jaskrawej reakcji.

Nie wiem, czy mnie się uda wyrobić sobie cenzus i wziąć czynny bezpośredni udział w tej kampanji. Jest kwestja sporna, czy już jest po czasie dla wyrobienia sobie cenzusu przez przedstawicielstwo od instytucji, czy nie. Termin dla reklamacji co do wpisania do list wyborczych już upłynął, ale niewiadomo, czy termin ten ma znaczenie tylko w stosunku do wpisania do list samej instytucji, czy też osoby jej przedstawiciela. W każdym razie co do tego cenzusu, z którego ja zamierzałem skorzystać, mianowicie przedstawicielstwa od spółki budowlanej Zasztowta, to zdaje się, że to już stracone, bo sama ta spółka do listy cenzusowej wciągnięta nie została. Ale jeżeli wydelegowanie przedstawiciela przez instytucję nie jest ograniczone ubiegłym terminem reklamacji, to jeszcze mogę znaleźć instytucję lub ~~stow~~ stowarzyszenie, wciągnięte do listy, z którego cenzusu ~~stow~~ będę mógł skorzystać.

Bawił dziś w Wilnie w przejeździe Papa w drodze z Bohdaniszek do Wielubia do O'Rourke'ów.

20 czerwca.
3 lipca.
rok 1913.
czwartek.

Dziś pod wieczór, między godz. 6 a 8, ciągnęła po ulicach Wilna doroczna uroczysta procesja Bożego Ciała. Procesje te, wznowione od roku 1906, odbywają się z niezwykłą pompą. Cała ludność chrześcijańska wysypuje na ulice, które są literalnie wypełnione po brzegi na drodze, którędy przechodzi procesja (od Katedry ulicą Wielką czyli Zamkową do św. Jana, stamtąd Świętojańską i Dominikańską do Wileńskiej, Wileńską do prospektu Świętojerskiego i prospektem do Katedry). Ulice, którymi przechodzi procesja, są udekorowane girlandami zieleni, kwiatami, z balkonów zwieszają się dywany, w oknach i na balkonach wystawione obrazy, przeważnie Matki Boskiej, gdzieniegdzie jarzą się świece, jak na ołtarzach przygodnych. Procesja ciągnie okazale, w przepychu dekoracyjnym, jak przystało na uroczystość katolicką, w której zawsze pozory i świetność zewnętrzna, działająca na zmysły tłumu, dominuje nad duchem i treścią. Mnóstwo ołtarzyków, chorągwi, emblematów, obrazów, serc na poduszkach, pełno barw i kunsztownego układu figur pochodu; dzieci, długie szeregi dziewczynek i chłopców, symetrycznie ustawionych i ubranych, grupy dziewcząt w bieli, zawoalowanych, ze wstążkami rozmaitych kolorów, charakteryzujących poszczególne grupy i parafie, i t.d. i t.d.. Widok ze średniowiecza lub z jakiejś baśni pogańskiej. Staliśmy z Anną na balkonie moim i przyglądaliśmy się stamtąd procesji. Obłęd religijny ogarnia olbrzymie tłumy wileńskie. Procesje takie hypnotyzują masę, przemieniają gromadę ludzką w bezmyślny narzędziowy zespół, ogarnięty pewnym rytmem magicznym. Ze wszystkich form ustrojowych tłumów, tłum wyznaniowo-religijno-obrzędowy jest najbezmyślniejszy, najpierwotniejszy w wyczuciu, najdalszy od ideałów doskonałości jakiejkolwiek. Tłum — pewny siebie, rozpanoszony, zaufany w swej doskonałości, pełny pychy i nienawiści do wszystkiego, co się z instynktem jego nie zgadza, ślepy, daleki od wzorów pokory i miłości, które słowami i sercem wyznaje. Dla księży — to gieszeft, to narzędzie zaspokojenia dominacji nad masą. Jedno jest wszakże w tych procesjach wileńskich dodatnie — to że w nich tkwi odruch przeciwko uciskowi i prześladowaniu, któremu u nas katolicyzm ulega.

Napisałem dziś dla „Kurjera Krajowego" artykulik pod tytułem „Prawa kobiety" — artykulik o kwestii kobiecej, o dążeniu kobiet, i zwłaszcza ich przodownic, sufrażystek angielskich, do równouprawnienia swoją drogą. Wiem, że artykuliki takie jednają mi raz dużo przyjaciół i uznania wśród kobiet, zwłaszcza inteligentnych, bez względu na ich kierunek polityczny, co osobiście tej piszącej jest mnie [illegible]. Pamiętam, jak wiele chwały mój artykulik o sprawie kobiecej w „Gazecie Wileńskiej" dał mnie w pewnym piękny plon wdzięczności i najczulszej sympatji.

Wieczorem u mnie odbyło się małe zebranko w sprawach „Kurjera Krajowego". Zebranko to zwołałem dla dwóch powodów: chodziło o przystąpienie wreszcie do wykonania postanowienia, powziętego jeszcze na poprzednim (29 maja) na zebraniu u dr. Sumoroka, o zorganizowaniu grupy współpracowników, i podpisaniu o porozumienie się z Janem Vileišisem, który w ostatnich zwrócił się do mnie z oświadczeniem, że stan finansowy „Kur. Kr." jest ciężki, że rozmawiał z tego powodu z niektórymi ze swoich przyjaciół z demokracji litewskiej, i że chętnie pewnie z nich udzieliliby pismu wsparcia i pomocy pieniężnej. Vileišis zwracał się do mnie dla porozumienia, w jakim sposób to wsparcie

mogłoby być udzielone i wspomniał, że moglibyśmy ze swej strony przyjąć do redakcji na stałego współpracownika do działu literackiego jakiegoś litwina, np. Mich. Biržiškę czy Smulskiego, gdyby się któryś z nich mógł tego podjąć. Zasztowt, gdym mu mój rozmowę z Vileišisem powtórzył, był zniewolony tym zaufaniem i tą czynną solidarnością i sympatją, jaka się zaczyna dokoła „Kur. Kraj." wytwarzać z pośród demokracji innych narodowości krajowych. Na zebranko dzisiejsze przybyli: Zasztowt, ja, Mańkowski, Ostrowski, Jan Vileišis i przypadkowo Sergiusz Łopaciński, który zaszedł do mnie wieczorem dla odwiedzenia mnie i którego już na zebraniu zatrzymaliśmy, bo jest on też jednym z dotychczasowych przyszłych udziałowców spółki. W kilku słowach omówiliśmy zasady przyszłej spółki i wyznaczyliśmy na 1 lipca zebranie ostateczne nasze, na którym Ostrowski z Mańkowskim mają przedstawić szczegółowe sprawozdanie finansowe „Kur. Kr.", nasz ustalić listę osób, które mamy wezwać do udziału w spółce i wreszcie postanowić o zwołaniu organizacyjnego zebrania spółki. Vileišis, wiele [illegible] optymistycznie, zapewnił nas, że może do 30 litwinów przyciągnąć na udziałowców.

21 czerwca.
4 lipca.
rok 1913.
piątek.

Dzień do poobiedzia upłynął mi na oczekiwaniu wyjazdu do Warszawy. Pozałatwiałem niektóre sprawy na mieście, napisałem kilka pilniejszych listów oraz jedno podanie dla klienta, ale robiłem to wszystko śpiesznie, dorywczo, jak się robi zawsze na wyjezdnym. Koło godz. 5–6 spakowałem się i pojechałem po Annę i z nią na kolej. Odprowadzam moją Annę do Krasienina pod Lublinem, gdzie spędzi ona 2 miesiące wakacji letnich na wsi w szkole gospodarczej dla dziewcząt włościańskich, nie jako uczennica, lecz jako gość. Zdobędzie tam Anna wprawę w ~~[illegible]~~ mówieniu po polsku i będzie miała środowisko 25 dziewcząt – chłopek polskich. Ponieważ szkoła ta jest w ręku „zaraniarzy", więc z pewnością są to dziewczęta z najbardziej uświadomionych rodzin włościańskich, najbardziej społecznie i umysłowo wyzwolonych. Pobyt w Krasieninie obejdzie się Annie tanio, po rb. 15 miesięcznie. Wobec tego Anna ma możność zatrzymania na lato swego pokoju ~~[illegible]~~ w Wilnie, gdzie pozostaną jej rzeczy. Po powrocie w jesieni nie będzie miała tej uciążliwej konieczności szukania pokoju do wynajęcia.

Odprowadzam teraz Annę tylko do Lublina. Jedziemy z nią wpierw do Warszawy, gdzie spędzimy 2 dni na rozrywce, stamtąd do Lublina, gdzie jeszcze 1 dzień spędzimy razem, i wreszcie we wtorek się rozstaniemy. Na wtorek zapowiedziany jest listownie przyjazd Anny i w Lublinie będą już na nią czekały konie, któremi pojedzie wprost do Krasienina.

O godz. 8 wyjechaliśmy na Warszawę. Jechaliśmy III klasą w wagonie z płatnemi kartami. Miejsca mieliśmy wygodne. Przekąsiliśmy i koło godz. 9½ położyliśmy się spać.

22 czerwca / 5 lipca. / rok 1913. / sobota.

Rano przyjechaliśmy z Anną do Warszawy. Za=
jechaliśmy do hotelu Saskiego, gdzieśmy się też w
roku zeszłym zatrzymywali. Chodziłem z Anną
dziś po mieście, przeważnie po Krakowskim
Przedmieściu, Nowym-Świecie, Alejach Ujazdo=
wskich, Marszałkowskiej, ogrodzie Saskim i t.d.
Wstępowaliśmy do rozmaitych kawiarni i mle=
czarni, obiad jedliśmy w jakiejś restauracji
strasznie eleganckiej i drogiej, choć wcale nie=
osobliwej, na werandzie w Alejach Ujazdowskich.
Anna kupiła sobie kapelusik w jakimś maga=
zynie przy ul. Niecałej, ja sobie kupiłem
trochę bielizny. O godz. 5 zwiedziliśmy wy=
stawę wiosenną obrazów w Towarzystwie Zachę=
ty Sztuk Pięknych. Tak biegły godziny na
włóczeniu się ciągłym, że aniśmy się spo=
strzegli, jak nastał wieczór. Warszawa w
lipcu jest już bardzo wyludniona. Publi=
czności eleganckiej mało, ruch w najwspa=
nialszych dzielnicach, jak Aleje Ujazd=
owskie, słaby. Warszawa ma jakiś wygląd
szary, nie ma tego blasku, szyku i tej oka=
załości zewnętrznej, jaką miewa kiedyindziej.
To też Annie Warszawa mniej się teraz po=
dobała, niż w roku zeszłym, kiedyśmy w
maju z nią byli. Warszawa tak wtedy An=
nę olśniła, że w pamięci jej pozostała,
jak jakiś obraz magiczny wesela i szyku,
wspaniałości i nieprzerwanego ciągu zabaw.
W wyobraźni Anny Warszawa więcej się je=
szcze udekorowała, niż to, co widziała ona
w roku zeszłym w naturze. Obecnie więc mu=
siała się rozczarować.
Mieliśmy zamiar pójść jeszcze z Anną wieczorem
do Akwarjum do kabaretu. Ale gdyśmy wrócili koło
godz. 8 do domu, ja się czułem źle: miałem dotkliwy ból
neuralgiczny w całej lewej połowie twarzy. Anna uprosiła mnie,
abym jej dziś nie wyciągał z domu. [illegible]
[illegible]

Dzień dzisiejszy zwrócił znowu Annę do Warszawy. Wczoraj Warszawa wydała się Annie blada, straciła ten olśniewający urok, jaki miała w jej oczach ze wspomnień roku zeszłego. Widzieliśmy bowiem wczoraj Warszawę w dzień powszedni, latem i we dnie, — to znaczy w warunkach najgorszych. Gdyśmy byli poszli na miasto wczoraj wieczorem, zwłaszcza w Aleje Ujazdowskie, czar elegancji wróciłby znowu w całej pełni. Dziś natomiast, w niedzielę, Warszawa od rana tętniła życiem ulicznym. W mleczarni na Nowym Świecie podczas naszego śniadania rannego już było ludno. Przejechaliśmy się automobilem przez Aleje Ujazdowskie, potym dość długo siedzieliśmy w ogrodzie Saskim, przyglądając się ruchowi tłumów. Im bardziej ku wieczorowi, tym bardziej ulice się zapełniały tłumem strojnym, ruch powozowy wzrastał także. Wieczór poświęciliśmy z Anną na rozrywki. Wieczór był za krótki. Chciałoby się nam jaknajwięcej w ten jeden wieczór wpakować i zmieścić rozrywek, wszędzie być i wszystko choć okiem objąć. O godz. 5 poszliśmy wpierw do ogrodu na Dynasy. Jest to miejsce rozrywki ludowej ze sfer półinteligenckich: subjektów sklepowych, rzemieślników i t. p. Ale w Warszawie wszystko jest eleganckie, wszystko pełne pięknego smaku, nawet gdy jest skromne i ubogie. Obserwowaliśmy z Anną tłum, który powoli napływał do ogrodu: młodzieńcy, dziewczęta, jasne stroje, znajomości, zaloty, flirt, wesoło dokoła; na torze [illegible] welocypedowym ukazali się cykliści na rowerach i jeźdźcy na motocyklach. Właściwa zabawa z operetką i kupletami na scenie otwartej, z walką kwiatów i t. d. miała się rozpocząć dopiero o g. 8 wiecz., przeto mogliśmy obserwować tylko pierwsze bezprogramowe początki zabawy ludu, dopiero zaczynającego się gromadzić, co zresztą było niemniej ciekawe. Wogóle w Warszawie w życiu ulicznym i zabawie publicznej nie ma, zdaje się, wielkiego przedziału między właściwą burżuazją i inteligencją a masą półinteligencką. Cały tłum ten się mieści w ogólnym nurcie dekoracyjnym błyszczącym modnemi wesołemi strojami młodych i mniej młodych zgrabnych kobiet na tle gwarnych rozbawionych twarzy męskich. O godz. 6 opuściliśmy Dynasy, śpiesząc do piosenkowego teatrzyku Miniatury, dokąd mię zwabiło w reklamie nazwisko mego dawnego kolegi z Uniwersytetu paryskiego, Alfreda Lubelskiego, podówczas studenta matematyki i Akademii Sztuk, chłopca wesołego i b. sympatycznego, dziś popularnego w Warszawie piosenkarza, [illegible] za granicą polskiego wzoru słynnych kabaretów paryskich, pełnych dowcipu, satyry, melodyjnego wdzięku, i wolnych od sprośności. Jakoż trafiliśmy dobrze. Przedstawienie składało się z lekkiej, nieraz bardzo śmiesznej, krótkiej operetki, równie krótkiej i śmiesznej krotochwili, oraz śpiewu piosenek w strojach. Uśmialiśmy się na operetce i krotochwili do łez, jak się nigdy w Wilnie nie zdarza; a piosenki dostarczyły nam rozrywki nadzwyczaj estetycznej, tak co do formy, jak treści. Nietylko ja, ale i Anna, doznała najlepszego wrażenia. Jest to [illegible] myślę, że to jakaś sztuka kabaretowa w stylu wileńskiego [illegible], która, chociaż drażni zawsze zmysły wrażliwe, jednak jest w niej wdzięk i istotna wartość. Tu bodaj za razem pierwszy raz w życiu Anna zaczyna się przekonywać, że istnieje sztuka piosenkarska kabaretowa specjalnej kultury, nie opartej na elementach sprośnych. Lubelskiego tylko że nas tym razem na estradzie, ale z nim się widziałem, że nie miałem czasu na wspominanie się z nim i na rozmowę, a i on też zbytnio czasu nie miał. O godz. 8½ [illegible] przeszliśmy z teatrzyku Miniatury do teatru letniego w ogrodzie Saskim na przedstawienie [illegible], gdzie grano „Mazurka" [illegible] z Ordon-Sosnowską w roli tytułowej. O godz. 11½ po przedstawieniu w teatrze letnim pojechaliśmy jeszcze tramwajem na kolację do Bagateli. Było już późno, a że i dzień był niedzielny, ulice były już dość puste. W Bagateli na scenie [illegible] kończyło się już przedstawienie. [illegible] w Bagateli tam [illegible] jest dyrektorem teatru „Trybun Polski", [illegible] — Tadeusz [illegible]. Tylko [illegible] teatru do teatru. [illegible] z Anną ten czarowny, [illegible] elegancją, wieczorny tłum Alei Ujazdowskich.

23 czerwca. 6 lipca. rok 1913.

24 czerwca.
7 lipca.
rok 1913.
poniedziałek

Pożegnaliśmy Warszawę i rannym pociągiem wyjechaliśmy z Anusią do Lublina. Zbliża się oto kres naszej pięknej a tak krótkiej wycieczki. Jutro zaś u mety wycieczki smutne rozstanie na parę miesięcy. Wagon III klasy, którym jechaliśmy do Lublina, był pełny po brzegi; żydów w wagonie ciżba niesłychana, a gwar nieustanny żargonu, tłum niechlujny, wszędzie się wciskający, a każdy z pakunkiem i tobołem. Ale zato tłum charakterystyczny, pełny typowej wyrazistości, w osobliwych strojach, właściwych żydom polskim, w długich ciemnych lub czarnych sukniach, w maleńkich charakterystycznych czapeczkach na głowach, ciekawy i stylowy w całym układzie swoim, zarówno zewnętrznym, fizycznym, jak obyczajowym i psychicznym, tłum ludu biednego, który, mimo wszystkie cechy ujemne i przykre, jak brud, wścibstwo, przebiegłość i t. p., [redacted] budzi szczerą sympatję, nietylko dlatego, że posiada dużo cech pięknych, ale też i głównie dlatego, że jest nieszczęśliwy, przez wieki i pokolenia krzywdzony i poniewierany w wiecznej tułaczce, a teraz właśnie w Polsce dotknięty [redacted] bolesną plagą antysemityzmu. Antysemityzm, czyli bojkot żydów, grasujący obecnie w Polsce, rzuca się w oczy nawet powierzchownemu obserwatorowi życia. Wystarczyło nam tej krótkiej wycieczki, aby zdarzyło się przyjrzeć kilku takim obrazkom antysemickich wyczynów. 2 razy było to w wagonie z powodu sprzeczki o miejsce, gdy polak, otoczony ciżbą żydów, [redacted] uniósł się i z tłumu [redacted] arogancko butnie i pogardą zelżył żyda, podkreślając właśnie antysemicki charakter obelgi, że doprawdy gdyby coś podobnego spotkało polaka nietylko od żyda, lecz nawet od rosjanina, litwina, francuza, to z pewnością polak by [redacted] zareagował na to i nazajutrz gazety polskie rozniosłyby przez to z oburzeniem wieść o publicznej bezczelnej zniewadze polskości. Ale inna miarka stosuje się przez antysemitów do godności ludzkiej i narodowej wszystkich stowarzyszeń [?] innych, inna zaś — do żydów. W tym właśnie mieści się najpodlejszy, najszkodliwszy jad antysemityzmu. Jest on zaprzeczeniem humanitaryzmu, chrześcijaństwa, wszystkiego, co kultura ludzka stworzyła wzniosłego w zakresie współżycia. O tym winni [redacted] pomyśleć „postępowi" antysemici warszawscy w rodzaju Świętochowskiego, Niemojewskiego etc., ponieważ tym jadem zachwiali [?] niszczą oni całe gmachy swej idei postępu, ludzkości, Myśli Wolnej i t. d.. Antysemityzm taki bowiem — to nie jest tylko konkurencja ekonomiczna, — to w oczach i umyśle tłumu wyrzucenie żydostwa za nawias ludzkości, wyzucie go z praw człowieka i godności. Żydzi zdają się tę poniewierkę przyjmować z pokorą ze skruchą, z tchórzliwym przygnębieniem, kryjąc tylko w sercach nienawiść do wroga. Smutne to i przykre. Jeszcze gorszą scenę obserwowałem na ulicy w Warszawie, gdy jakiś zbirowaty starszy z kijem podniesionym w ręku gonił [redacted] przechodzącego żydka, lżąc żydostwo publicznie, a nikt się nie sprzeciwiał z oburzeniem gwałtu.

W drodze do Lublina przyglądaliśmy się z Anusią przez okno [redacted] okolicy. Wygląd wsi polskiej jest tu o niebo cały wyższy w kulturze od [redacted] ubogiej wsi białoruskiej i podwileńskiej. Tam u nas ziemia uboga, gleba słabo uprawiona, przeważają lasy lub [?] [redacted] pastwiska – wszystko lub, co najmniej, przestrzenie lasów, nieużytków – zniszczonych, wyjałowionych i porzuconych. Anusia, która nie zna Litwy etnograficznej, sądzi o całym kraju naszym podług guberni wileńskiej i [?]. Była też uprzedzona do Polski, wyobrażając sobie wieś polską podobną do białoruskiej, a ludzi zaś polskich [?] wyrobiła sobie uprzedzenie na podstawie ciasnych dewockich ziemianek polskich w Wilnie, stanowiących większą pono część naszego ludu w Litwie. Tymczasem tu już obraz przemysłowej Warszawy z licznemi kominami fabrycznemi [?] o istniejącym tu skupieniu przemysłowym i robotniczym, będącym już torem wyższej kultury. Anusia [redacted] ustępując ogólnie do proletarjatu fabrycznego, uważając stronnictwa klasowe za główny [?] element fermentu i reformy społecznej.

Dalej aż za Otwock biegły wzdłuż plantu ruchliwe letniska, świadczące o [redacted] pobliżu wielkomiejskiej Warszawy. Pola pięknie uprawne, zboża bujne, świadczące o intensywnej kulturze rolnej i wysiłku pracy ludzkiej nawet na jałowych piaskach mazowieckich. Ze Pułaskami [?] grunt już z wyłomu żyzny, [?] wszędy znać pracowitość i kulturę włościan, co Anusi bardzo zaimponowało i zjednało dla Polski. Anusia z radością i uznaniem stwierdziła, że kraj ten nie ustępuje już Łotwie rodzinnej, którą dotychczas uważała zawsze za wzór niedościgły dla nas, czy to litwinów, czy białorusinów, czy polaków. Koło godz. 2-3 przyjechaliśmy do Lublina. Zajechaliśmy do hotelu Europejskiego, gdzie otrzymaliśmy pokój wspaniały, jakiego nie mieliśmy nigdy w naszych wycieczkach. Po zjedzeniu obiadu [?] chcieliśmy sobie jakoś [?] obmyśleć, ale się okazało, że oprócz teatru [?] nic [?]. Pozostaliśmy więc w [?] i wcześnie poszliśmy spać.

25 czerwca
8 lipca
rok 1913.
wtorek.

Nastał dzień rozstania mego z Anną. Wszakże pół dnia mie-
liśmy jeszcze do spędzenia ze sobą. Załatwiliśmy rano parę
interesów na mieście, pochodziliśmy, przyglądając się
Lublinowi, który sprawił na Annie wrażenie bardzo do-
datnie. Chodząc po mieście, zaszliśmy do jakiegoś nędz-
nego ogródka miejskiego, położonego nad rzeczką przy
ul. Zamojskiej. Ogródek ubogi, zasadzony drzewami, bez tra-
wy, z prostemi ławeczkami do siedzenia, z dwiema sa-
dzawkami, połączonemi kanałem; nad kanałem mostek,
na sadzawce łódki do wynajęcia; w środku między sadzawkami budy-
nek, mieszczący kinematograf i mcie teatr popularny, bo na ga-
neczku i na ławeczkach przy budynku tym kręciło się grono arty-
stów i artystek, wyglądających dość ubogo i skromnie, widocznie z
jakiejś biednej trupy prowincjonalnej. Cały charakter ogródka typo-
wy jako miejsca rozrywek dla uboższej ludności miasta; w ogród-
ku bawiły się biedne dzieci robotnicze, kobiety z ludu przychodzi-
ły tu z dziećmi i niemowlętami, poza tym kilka parek gruchającej mło-
dzieży z ludu. Annie, która ma głębokie sympatje dla ludu, ten cha-
rakter ogródka bardzo się podobał. Przypominało to Annie jej miasta
łotewskie, jak Libawę, Windawę i t. p., gdzie lud się w miastach jakoś
więcej i samodzielniej ujawnia, niż w naszym Wilnie, mającym
szczególne piętno szlacheckie lub klerykalne. Istotnie w Wilnie nie-
ma takich ogródków i w ogóle tłumy miejskie albo są w Wilnie na-
cechowane pretensjonalnością pańsko-inteligencką, albo, jeżeli są
masą ludową, to ujawniają się tylko w aktach dewocji lub, jak żydzi,
w brudach zaułków [illegible]. Skądinąd widok kominów
fabrycznych na przedmieściach Lublina, pracowity ruch towarowy na
ulicach, włościanie, chodzący po mieście w ubiorach porządniejszych
od naszych włościan, wyróżniający się w ogóle większym wyrazem inteli-
gencji, — to wszystko w związku z wczorajszemi wrażeniami z
widoków pól dobrze uprawnych, — sprawiało na Annie wrażenie
sympatyczne i zjednywało ją coraz bardziej do Lublina. Czuła tu tętno
kultury ludu, pracy, życia twórczego, czego w pańskim, dewockim,
brudnym Wilnie nie dostrzegała. W śródmieściu zaś Lublina, na
głównej ulicy — Krakowskiem Przedmieściu — ruch zgoła inny: w Lu-
blinie odbywają się w tych dniach wyścigi konne, to też liczny jest na-
der zjazd ziemian, piękne eleganckie zaprzęgi, konie, hotele pełne,
ruch ulicy rozbawiony i dokoła hotelów gromadki szwargoczących
typowych żydków, obrabiających jakieś geszefty z przyjezdnymi
ziemianami.
Po obiedzie nastała wreszcie pora rozstania się z Anną. Smutno nam
było. Znowu będą parę miesięcy samotny, choć tym razem na wakacjach
na wsi lżej mi będzie bez Anny, niż w Wilnie. Dobrze nam razem, czy to
w cichym [illegible], w domku samotnym leśnym śród [illegible], w otoczeniu
prostych ludzi i prostego Bozia, czy w eleganckiej wielkomiejskiej Warsza-
wie, czy w skromnym pokoiku Anny przy ul. Monastyrskiej. Toteż rozsta-
nie jest tym bardziej teskne wspomnieniem i żalem samotności. Toteż rozsta-
nie ciężej było Annie, bo zostaje ona śród obcych, musi iść na te miesiące do
środowiska zupełnie nieznanego. Po wyjeździe moim musi ona się zgłosić
do niejakiego dr. Jankowskiego, który, jak pisała p. Kosmowska, ma ją wy-
ekspedjować z Lublina końmi do Krasieniina. Gdzie jest ten Krasieniin, jak
wygląda, jakie tam Anna zastanie środowisko, jaki ją czeka tryb życia —
to wszystko jest mniej więcej zagadką, tylko w ogólnikowych rysach nam
znane. Wiemy tylko, że Krasieniin jest pod Lublinem, że jest tam szkoła gospo-
darcza dla dziewcząt [illegible], założona przez [illegible], że jest w niej 35 dzie-
wcząt — i nic poza tym. Najwięcej niepokoi Annę pierwsze [illegible] zgłoszenie się
do dr. Jankowskiego, mężczyzny obcego, z [illegible] tak słabo władając [illegible] przez Annę
językiem polskim. O godz. 4 wyjechałem z Lublina, gorąco żegnany przez Annę wzruszoną i
bardzo wzruszony. Wieczorem przyjechałem do Warszawy i stamtąd odjechałem tejże nocy do Wilna.

26 czerwca.
9 lipca.
rok 1913.
środa.

M

1ż 2p 3l 2+2b.

O południu byłem już w Wilnie. Zamierzam tu jeszcze tydzień zabawić a wtedy pojechać na cały lipiec do Bohdaniszek. Anna nie schodzi mi z myśli. Jak ona sobie tam radę dała, czy zastała dr. Jankowskiego, do którego się zgłosić musiała, czy nie było jakichś nieprzewidzianych komplikacji, czy dotarła już do Krasienina i jak tam się w tym nowym i obcym dla niej środowisku czuje? Oto są pytania, które mię zaprzątają a na które dopiero chyba pojutrze najwcześniej odpowiedź w liście Anny otrzymam. Anna mi obiecała napisać zaraz z Krasienina, ale niewiadomo, jak tam poczta kursuje. Czuję się trochę niezdrów. Mam coś na kształt kataru, bóle newralgiczne w lewej połowie twarzy, a obfite dozy aspiryny, które codziennie przyjmuję, sprawiają poty i pewien stan gorączkowy.

W Wilnie nie zastałem nic nowego, przynajmniej o niczym nowym się nie dowiedziałem. Z domu prawie że nie wychodziłem. Wieczorem miałem gości u siebie. Rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach, szczególnie o wyborach miejskich. Sprawa tych wyborów jest jeszcze bardzo nieokreślona, choć już tu i owdzie słychać, że poszczególni działacze miejscy coś się tam krzątają, nawiązują jakieś narady, zgarniają grupki zwolenników. Ale dopiero na jesieni sytuacja się już wyklaruje i zaczną się tworzyć kombinacje kompromisów i układów stosownych. W każdym razie nie zaszkodzi, aby się grono „przeglądowców” wespół z Zasztowtem i innymi zebrało jeszcze teraz dla ustalenia sobie pewnych wytycznych roboty przygotowawczej.

Stykam się w tych dniach codziennie z niejakim Łu= | 27 czerwca.
kjanem, felczerem żydem, który mi robi masaż. Jest | 10 lipca.
to mój dawny znajomy, jeszcze z r. 1906, człowiek cie-
kawy, wcale nie głupi o typowej umysłowości żydowskiej. | rok 1913.
Lubię go, cenię i mam przyjemność w rozmowie z nim. | czwartek.
P. Łukjan jest człowiekiem już starzejącym mocno, ale jeszcze ru-
chliwym i żywym. Dzieciom swoim dał wykształcenie staran-
ne: syn jego, młodzieniec dwudziesto-kilko-letni, jest od lat
paru pomocnikiem adwokata przysięgłego w Petersburgu; córka
skończyła wydział nauk społecznych w Genewie i wyszła ~~za~~ nie-
dawno zamąż za swego byłego kolegę z Genewy, żyda rosyjskie-
go rodem z Libawy, doktora praw. Pomimo to stary Łukjan nie
porzuca swej praktyki felczerskiej, bo, jak był biedny, tak nim po-
został, gdyż z największym wysiłkiem łożył wszystko na wy-
kształcenie dzieci. Lubię bardzo rozmawiać ze starym. Jest
namiętnym zwolennikiem postępu i humanizmu, acz-
kolwiek z pewnym sceptycyzmem, pełny w przeszłości, jest idea-
listą z temperamentu i przekonań, a ponad to wszystko jest
gorącym patrjotą żydowskim. Bierze tak do serca tragedję i krzy-
wdy swego nieszczęśliwego narodu, jak osobiste i własne. Ma bar-
dzo wybitnie zaakcentowane cechy umysłowości żydowskiej — ży-
wość myśli, łatwość orjentowania się, jednostronność i krańcowość
dochodzące do zaciekłości, zamiłowanie do propagandy, do dyskusji
zacietrzewionej. Dużo wszakże czyta, dużo myśli i zwłaszcza dużo ob-
serwuje. Jest mądry, stary żyd, marzyciel i idealista. Zresztą
jest, jak wszyscy nasi żydzi litewscy, pokryty pokostem kultury
rosyjskiej-inteligenckiej, z której zwłaszcza przyswajają oni so-
bie najbardziej elementy nihilistyczne, ~~[illegible]~~ terorystyczne, oder-
wane od praktyki życiowej. Łukjan nienawidzi szczególnie kleru
katolickiego, który uważa za jezuicki, przebiegły, szkodliwy dla
wszelkich ideałów humanitarnych, pełny wszelakiej perwersji.
W dominacji tego kleru upatruje on największą klęskę Litwy i kultury.
Dziś opowiadał mi on fakty, ilustrujące zaiste ohydnie obyczajowość i
moralność „naszego" kleru katolickiego. ~~[illegible]~~ Łukjan miał w swym życiu
dużą praktykę felczerską, a przeto stykał się i masował ludzi wszelkich
narodowości, stanów i zawodów. Miał śród pacjentów księży wybitnych,
znanych w Wilnie, szanowanych. Opowiadał mi, z jakim cynizmem
księża katoliccy mówią o rozpuście, jak się lubują w sprośności. Nikt
z takim smakiem nie mówi o kobietach, organach płciowych, spółko-
waniu, jak właśnie ksiądz; mówią o tym z największym wyrafinowaniem,
używają najordynarniejszych wyrazów ze szczególnym upodobaniem, a
jeden ksiądz, powszechnie w Wilnie szanowany, posunął się w cynizmie
do tego stopnia, że rozpytywał starego Łukjana o szczegóły jego spółko-
wania z żoną, śmiejąc się przytem i ~~[illegible]~~ dopytując, czy się Łukjan w
trakcie spółkowania poci. Może Łukjan zbytnio uogólnia te fakty, ~~po~~
powodując się właściwą mu skłonnością w danym razie antypatji, ale niezaprze-
czenie fakty, które mi opowiadał, są wstrętne. Łukjan dał mi dziś do przeczy-
tania jakąś ~~broszurę~~ polemiczną, napisaną z powodu jakiegoś pamfletu na
Talmud. Przeczytałem ją, lecz, muszę wyznać, odstręczyła mnie ona od Talmu-
du zgoła, pomimo że jest pisana w obronie Talmudu i że go idealizuje. Nigdy
się dotąd Talmudem nie interesowałem, teraz wszakże z tej apologji polemicznej [illegible]
że istotnie ma on w sobie dużo cech niesympatycznych — zwłaszcza w stosunku do
pogan; pomimo on ich, ~~[illegible]~~ stwarza dla nich prawa [illegible] jest pełny [illegible]
nietolerancji. Ustępuje ... [illegible] ... 181
[illegible]

28 czerwca.
11 lipca.
rok 1913.
piątek.

Myślałem, że może będę miał dziś list od Anny z opisaniem przyjazdu do Krasieninа i pierwszych wrażeń. Listu wszakże nie było. Nie sprawia mi to niepokoju, bo rozumiem, że pierwszego dnia, we wtorek, Anna już napisać nie zdążyła, a jeżeli napisała najwcześniej we środę, to niewiadomo jeszcze, jak często z Krasienina poczta odchodzi. Zresztą skoro nikt nie wieści, to znaczy z pewnością, że wszystko dobrze. W Lublinie dr. Jankowski był wszak uprzedzony o przyjeździe Anny i niewątpliwie bez żadnych przygód udało się Annie dojechać do Krasienina. Zresztą nawet gdyby w pierwszym liście Anny były jakieś utyskiwania i skargi, tobym się zbytnio nie przeraził, bo wiem, że moja Anna lubi trochę straszyć, a rozumiem, że narazie będzie jej obco i przykro, nim się nie oswoi.

Opowiadał mi dziś Zasztowt o pewnym zebraniu przedwyborczym (przed wyborami miejskiemi), na którym był wczoraj. Zebranie to było zwołane przez p. Jankowskiego z Banku. Osób było 20. Skład osobisty zebrania był bardzo mięszany. „Przeglądowców” nie było wcale, z elementów demokratycznych byli tylko Zasztowt i Jakubowski (były członek naszego centralnego komitetu demokratycznego na zeszłorocznych wyborach do Dumy). Ogół składał się z osób przeciętnie przekonaniowo bezbarwnych, ale byli i tacy koryfeusze prawicy klerykalno-konserwatywnej, jak dr. Dymsza. Wszakże wszystkie postulaty charakteru programowego, które wypowiedzieli Zasztowt z Jakubowskim, były bez opozycji przez zebranych przyjmowane; Jankowski tylko jeden zrobił zastrzeżenie co do postulatów Zasztowta, a mianowicie że warto unikać słów „demokracja” i „demokratyczny” (charakterystyczne!). Była to właściwie tylko pierwsza narada porozumiewawcza dla namacania gruntu. Zebrani postanowili zwołać na czwartek liczniejsze zebranie w Klubie Bankowym. Wszystkich, kogo zaproponowali zaprosić na to zebranie Zasztowt i Jakubowski, przyjęto bez wahania; w szczególności Zasztowt zaproponował zaprosić cenzusowych „przeglądowców”, to znaczy Witolda Abramowicza, Krzyżanowskiego i Nagrodzkiego, a także mnie na tej podstawie, że choć jeszcze cenzusu nie mam, ale staram się o takowy. Gdy natomiast przeciwko zaproszeniu na czwartkowe zebranie miejskiego dr. Antonowicza zaprotestowali gorąco Zasztowt z Jakubowskim, ponieważ to jest merytoryczny reakcjonista, to zebrani natychmiast cofnęli Antonowicza. Sam Zasztowt nie wie, co to była za grupa ludzi na tym zebraniu wczorajszym i do czego właściwie ona dąży, ale tymczasem kontaktu zrywać z nią nie warto, bo się ma stąd punkt orjentacyjny. Gdy Zasztowt dla wybadania postawił zapytanie, kogo grupa ta widzi za swego przeciwnika i z kim walczyć będzie, odpowiedziano wymijająco, iż niewiadomo, jakie stanowisko zajmie pr. Dymsza. W rzeczywistości to jest zapewne grupa pragnących się dostać do Rady miejskiej i zaczynających urabiać i przygotować teren, unikając zawczasu punktów spornych i kompromisów. Ten sam Jankowski, zapytany przez Montwiłła, ...

29 czerwca.
12 lipca.
rok 1913.
sobota.

Poszedłem dziś do p. Jakubowskiego w sprawie wyrobienia sobie cenzusu wyborczego do Rady miejskiej. Jakubowski, stary emeryt, postępowiec umiarkowany, ma osobisty cenzus wyborczy, jako właściciel posiadłości na Zwierzyńcu, i oprócz tego korzysta z cenzusu towarzystwa straży ochotniczej, którego jest prezesem. Otóż chciałem uprosić Jakubowskiego, aby mi ustąpił ten drugi cenzus, co dałoby się wykonać w ten sposób, że na zwołanym ogólnym zebraniu towarzystwa wybrałoby się mnie do Zarządu, a następnie Zarząd upełnomocniłby mnie, jako swego członka, do reprezentowania cenzusu towarzystwa. Sądziłem, że Jakubowski, jako posiadający już jeden cenzus osobisty, nie będzie zbytnio obstawać przy zachowaniu drugiego głosu. Ale Jakubowski jest starcem ambitnym i upartym. Chodzi mu bardzo o to, aby zostać radnym, a uważa, że dwa głosy dają mu większą moc, niż jeden, tymbardziej, że, jak powiada, dom może sprzedać, więc ~~[illegible]~~ pozostanie mu zawsze cenzus zapasowy. Wymawiał się niby trudnościami formalnemi wprowadzenia mię tak na poczekaniu do Zarządu, ale widziałem, że chodzi mu bardzo o zachowanie tego cenzusu dla siebie. Obiecał mi natomiast Jakubowski, że postara się o wyrobienie dla mnie i dla Turskiego innych cenzusów od towarzystw, które jeszcze swych przedstawicieli nie wydelegowały, w szczególności zaś chce kołatać o cenzus od warszawskiego towarzystwa „Kalinowski i Przepiórkowski" (fabryka tytoniu „Noblesse") i od towarzystwa „Frazet", które oba mają cenzusy w Wilnie, przytym spróbować wyrobić cenzusy za pośrednictwem Antoniego Jankowskiego. Może coś z tego będzie, bo Jakubowski jest energiczny i gdy się do czegoś weźmie, to zazwyczaj zrobi. ~~[illegible]~~ Pragnąłbym bardzo, aby mi się udało pozyskać cenzus. Z wielką ochotą wziąłbym udział nie tylko w akcji wyborczej, ale i w pracy czynnej w Radzie miejskiej, o ile bym został wybrany. Zdaje się, że właściwie być wybranym, jeżeli tylko o to chodzi, to — nie trudno. Te porozumiewawcze zebranie u Jankowskiego, jak się już sam domyślałem i jak mi dziś Jakubowski ze swych spostrzeżeń potwierdził, było balonem próbnym ugody, wysuniętym przez dotychczasowy Zarząd miejski. Jakubowski działa w porozumieniu z Zarządem, jako emisarjusz właściwie, który ma utworzyć kompromis. Jak powiada Jakubowski — zgodziliby się oni nawet jakichś 10 postępowców naszych wpuścić do Rady, byle zachować całość placówki w swym ręku. Oczywiście wszakże, że w takim razie wystąpienie na wyborach z jakimś programem jaskrawym lub tymbardziej z krytyką dotychczasowej gospodarki miejskiej i Zarządu ~~[illegible]~~ byłoby wykluczone. Szeroka platforma, o której była mowa w naszej komisji poufnej, wytknięcie programu reformy gospodarki miejskiej i t. d. — musiałoby być zaniechane. Za ~~[illegible]~~ gwarancję wprowadzenia do Rady grona naszych postępowców musielibyśmy się pogodzić z sytuacją istniejącą i zaniechać stanowiska zasadniczego, przenosząc nasze zamiary reformatorskie na czas właściwej pracy w Radzie, gdzie właściwie postępowcy nasi byliby w mniejszości — i wszystko by znów szło po staremu. Zdaje się, że elementy postępowe, którym bardzo chodzi o trafienie do Rady a które nie mają dziś w masie wyborców [illegible] grup, pójdą na taki kompromis (Jakubowski z pewnością, [illegible]). [illegible] jeżeli do kompromisu tego nie staniemy i wystąpimy na wyborach samodzielnie, choćby z najszerszym programem i z krytyką gospodarki obecnego Zarządu i Rady, to nic nie wskóramy i zostaniemy zwyciężeni, bo jesteśmy ludźmi nowymi i ogromna większość wyborców nie zechce oddać miasta w ręce nowe, chociażby ręce stare nie były doskonałe. Taka jest sytuacja przed wyborami tymi.

30 czerwca.
13 lipca.
rok 1913.
niedziela.

Przyszedł dziś wreszcie oczekiwany list od Anny, który w tłumaczeniu z naszej gwary niemieckiej brzmi tak:
„10 lipca. Twoja Annin z Krasienina. Kochany Michaś,
„opowiem Ci pod Lublina; zostałam zaraz po wstaniu się na-
„szym do Doktora. I już tego dnia przesiedziałam u Doktora
„całe pół dnia, dlatego że nie można było dostać koni. Ten
„Doktor (dr. Paweł Jankowski z Lublina) jest bardzo sympaty-
„czny, żona Doktora mało sympatyczna. Wieczorem my z
„doktorem i jego żoną poszliśmy oglądać miasto, pokazał mi
„stare miasto, opowiadał mi dużo. Pytał, dlaczego przyjecha-
„łam tu do Polski; poco mi to potrzebne; odpowiedzia-
„łam, że dlatego, że muszę w Wilnie mieszkać (to znaczy, że
„mieszkając w Wilnie, Annie potrzebna jest znajomość języka pol-
„skiego). Nazajutrz o godz. 9 wyjechałam z Lublina do Kra-
„sienina. Jechałam bardzo pięknie, parką pięknych małych
„koników białych, zupełnie jak przystało pani Doma-
„rowej, naturalnie z własnej kieszeni. Do Krasienina przy-
„jechałam o godz. 12 w południe; Krasienin leży o 14 wiorst
„od Lublina. Kiedym już dojechała do tego domu, gdzie jest
„ta szkoła (szkoła gospodarcza dla dziewcząt włościańskich w
„Krasieninie), ujrzałam dużo grubych dziewcząt, wszy-
„stkie z czerwonemi chustkami na głowach, biegnących
„i krzyczących: jedzie, jedzie! Zatem wyszły dwie nauczy-
„cielki, przywitałam się, weszłam do środka, obejrzałam wszy-
„stkie pokoje, świnie, krowy, konie i t. d.. Te dziewczęta są
„bardzo sympatyczne. Tam uczą wszystkiego: czytać, pisać,
„geografii, — przed obiadem. Po obiedzie pracują w ogro-
„dzie; mnie nie dają żadnej roboty, nikt się mną nie zajmuje,
„ja idę zawsze ze wszystkiemi dziewczętami. Wieczorem mnie
„nie dają pisać, dlatego też dopiero nazajutrz po przyjeździe pi-
„szę. Mam swój pokój osobny, w którym śpię. Mój Michasin, wię-
„cej nie wiem, co mam Tobie pisać, nie mam czasu, ponie-
„waż dziewczęta już biegną do mnie i wołają, bym szła do
„innego pokoju. Całuję mego Michasia i pytam, czyś dobrze
„dojechał do Wilna."
Z listu tego bardzo się cieszę, bo widzę, że Annie jest tam dobrze. Anna zazwyczaj nie jest zbyt skora w szafowaniu epitetem „sympatyczny" względem osób mało znajomych. A tu odrazu i Doktor na wstępie wydał się jej b. sympatycznym i dziewczęta „bardzo sympatyczne". Zwykły — wrażenie Anny jest dodatnie, a to grunt. Widzę, że się czuje w tym wiejskim środowisku swojsko, bo ma swobodę. Cały list tchnie dobrym usposobieniem. Najwięcej się Anna obawiała skrę- powania, zbytniego zajmowania się jej osobą, czego ona nie znosi, bo wówczas wtedy, jak się ma zachować, traci serce i sztywnieje. A tam w prostym szczerym środowisku dziewcząt wiejskich ma swobodę.
W Wilnie teraz strasznie nudno. We dnie duszno, brak powietrza, smrody. Często deszcz pada, codziennie burza. Miasto wyludnione, pustka letnia. Gdy była moja Anna, tom się z nią nie nudził. Z nią mi wszędzie dobrze. A teraz już prędzej na wieś — do Bohdaniszek. Pojutrze chcę wyjechać.

Sprawa wyborów miejskich bardzo mię zajęła. Zdaje się, 1 (14) lipca.
że ewentualny wybór na radnego nie jest bynajmniej tak rok 1913.
~~tak~~ trudny do osiągnięcia, chętnie bym zaś się oddał tej
pracy w samorządzie miejskim. Jest to placówka czynu bez- poniedziałek
ałego, gdzie zwłaszcza potrzebni są w naszych warunkach
ludzie [illegible]. Jeżeli w kampanii wyborczej pójdziemy
na kompromis z grupą żydowską, to możemy uzyskać dla
opozycji demokratycznej jakiś dziesiątek lub więcej miejsc
w Radzie, gdzie już tworzylibyśmy zwartą grupę i mo-
glibyśmy mieć wpływ na kierunek gospodarki miejskiej,
a przynajmniej w najgorszym razie tworzyć choćby ele-
ment krytyczny. Ale oczywiście pierwszym warunkiem do
udziału w wyborach jest posiadanie cenzusu. To mi więc
przedewszystkiem w tej chwili na sercu leży. Prosiłem
już przed paru dniami Jakubowskiego, by spróbował
przez niektóre towarzystwa cenzus ten wyrobić. Nieza-
leżnie od tego chcę poruszyć w tym samym celu i
inne sprężyny, przedewszystkiem zaś żydów. Żydzi nie
mają prawa wyboru do Rady miejskiej, ale dużo towa-
rzystw cenzusowych (instytucji), towarzystw akcyjnych,
spółek i t. d. jest faktycznie w ręku żydowskim. A że
żydzi są zawsze za tym, aby do Rady weszło więcej ele-
mentów postępowych, bo li tylko od kierunków postę-
powych mogą się czegoś dla siebie spodziewać, więc
zawsze chętnie dopomagają oni postępowcowi do przejścia
do Rady i udzielą mu przedstawicielstwa ~~[illegible]~~ cenzuso-
wego towarzystwa, będącego w ich ręku. Wczoraj nadmieniłem
o tym felczerowi [illegible], który się bardzo przejął
chęcią dopomożenia mi w tym, podjął się w tej spra-
wie widzieć z Sordonem i mnie wieczorem do nie-
go skierować. Sordon — to kupiec leśny i przemysłow-
iec, działacz społeczny, ~~[illegible]~~
bogaty i wpływowy w społeczeństwie żydowskim. Należy
on stale wprawdzie do kierunku umiarkowanego, do pew-
nego oportunizmu, ale w każdym razie, jako żyd, nie
może być i nie jest wstecznikiem w dążeniu do swobód
politycznych i w ogóle haseł wolnościowych. Pojechałem
więc pod wieczór osobiście do Sordona na letnisko jego
na Belmont. Nie byliśmy z Sordonem osobiście zna-
jomi, choć ze słyszenia wiedzieliśmy naturalnie
nawzajem o sobie. Sordon przyjął mię bardzo uprzejmie,
przejrzał ze mną spisy cenzusowych towarzystw i obie-
cał dołożyć starań, aby mi przedstawicielstwo cen-
zusu od jakiegokolwiek towarzystwa wyrobić. Mam nadzieję,
że mnie Sordon potrafi to zrobić. Ostatecznie gdyby nawet
i Sordon i Jakubowski osiągnęli rezultaty dobre i przysłaliby
każdy cenzus, to by wcale nie zaszkodziło, to ~~[illegible]~~ cenzusy te
oddałbym [illegible] innym osobom z demokratów, którzy [illegible] mieć
[illegible] do wprowadzenia do Rady, które [illegible] i [illegible],
[illegible] Tyszkiewiczowi, Jamontowi, [illegible], [illegible] i in. 185.
[illegible]

2 (15) lipca rok 1913, wtorek.

W południe wyjechałem z Wilna. Tym samym pociągiem i także do Abel jechali Żmujdzinowicz i Tadeusz Iwanowski z młodą żoną. Jadą oni do Dusiat, żeby stamtąd, razem z dr. Śledziewiczówną i bawiącym już tam Piotrem Zywnym, zrobić dużą porotygodniową wycieczkę łódką po rzece Świętej przez Onikszty, Wilkomierz, Janów i dalej Wilją do Kowna. Inteligencja i aktywni litewscy kochają swój kraj i lud ze szczególną tkliwością i lubują się w takich wycieczkach sportowo-krajoznawczych. Pod tym względem zwyczaje i upodobania ich różnią się wielce od zwyczajów naszej inteligencji ziemiańskiej, która nie tylko że przeciętnie nie ma żadnego szczególnego sentymentu do kraju tego, ale nawet żywi doń pewną pogardę lekceważącą, jako do ziemi i do ludu niższego rzędu. Wycieczki inteligentów litewskich inne też są, niż wycieczki inteligentów polskich. Inteligencja polska z Wilna, dążąc na wycieczki, podąża przeważnie do miejscowości, zamieszkałych przez Litwinów spolonizowanych lub Białorusinów katolików, i wybiera zazwyczaj szlaki i okolice pamiątek historycznych z przeszłości polskiej w kraju, przeważnie z przeszłości niedalekiej, z powstańczego w. XIX. Litwini albo szukają dalekich tradycji dziejowych ze swej zamierzchłej przeszłości narodowej, albo, na co Polacy mało uwagi zwracają, szukają zbliżenia do ludu, przyglądają się ciekawie zwyczajom i kulturze ludowej, pogrążają się z rozkoszą głęboko w środowisko wiejskie ludowe, siejąc w nim ziarna świadomości społecznej i narodowej i czerpiąc zeń pełną garścią elementy rodzimej tradycji oraz pierwiastki potrzebne dla dzieła budownictwa narodowego, któremu służą. Wycieczki Litwinów, jak cała ich robota w kraju, — mają charakter konstrukcyjny, oparty na żywym zespole z teraźniejszością, podczas gdy wycieczki polskie są u nas jakiemiś uroczystemi i sentymentalnemi obrzędkami Dziadów na mogiłach przeszłości. Jest to charakterystyczne i bardzo symboliczne. Litwini są u nas tym narodem, który się obudził i który się krząta dla przyszłości, Polacy są wciąż trawieni tęsknotą po przeszłości i wytężają oczy ku mogiłom; teraźniejszości nie widzą, nie umieją dostrzec tych kiełkujących twórczych ziaren życia, które Litwini z miłością i zapałem kultywują.

W tym samym wagonie, co Żmujdzinowicz i Iwanowscy, jechała młoda dziewczyna, urodzona z ojca-włościanina i matki Cyganki. Ładna, kipiąca krwią gorącą, temperamentem, ogniem. Jechała z ojcem do Dyneburga; mówiła dobrze po litewsku a że tatuś zajęty, gawędziła i flirtowała, więc się rozgadała z nami, a tak

oczami strzelała, śmiejąc się zalotnie, że ciarki biegły po skórze i nerwach męskich. Już to nikt, jak cyganki, nie umie czarować [illegible] mężczyzn nie potrafi! Potem zaczęła się przymawiać o pieniądze i dawać do zrozumienia, że chętnie by się każdemu z nas oddała, gdyby ktoś zechciał towarzyszyć jej do Dyneburga a dał pieniędzy.

Na godz. 6 1/2 dojechaliśmy do Abel. Na stacji spotkała mnie Marynia. W Bohdaniszkach zastałem Bortkiewiczów, Marynię, jej dzieci — Ewę i Stefusia, Henrysię Wołłowiczównę i nowozjechałą francuskę, młodą dziewczynę pannę Janinę.

3 (16) lipca. rok 1913. Środa.

Pogoda była piękna, ciepła, mimo że słońce nad[?] świeciło. Nie było upału, ciepło w samą miarę. Obszedłem dwór, zajrzałem wszędzie. Zmiana, która stopniowo, od lat kilku, dokonywa się w Bohdaniszkach, — to jest zaludnianie dworu przez rodziny parobków-ordynarjuszów. Dawniej, za moich lat dziecinnych i młodości w Bohdaniszkach żadnych rodzin parobczańskich nie było. We dworze Papa trzymał tylko parobków-kawalerów, którzy byli najmowani na rok na stole gotowym, to znaczy stołowali się we dworze a lokowali się wszyscy razem w jednej wspólnej izbie w chacie parobczanej. Ordynarjusze żonaci umieścili się z rodzinami na kresach majątku, w Kumsorach[?] i Kowalewszczakach[?], skąd codzień przychodzili do dworu na robotę. We dworze nie było przeto żadnych rodzin robotniczych, nie było wcale dzieci chłopskich. Wszakże z roku na rok było, jak powszechnie w naszych stronach, coraz trudniej o robotnika. Stale rosnąca emigracja do Ameryki oraz wychodźtwo zarobkowe do miast przemysłowych i portowych Łotwy (zwłaszcza Ryga) oraz Rosji (zwłaszcza Petersburg, a także Rostów nad Donem, miasta kaukaskie i t.d.) pochłaniały całą młodzież włościańską, szczególnie męską, zdolną do pracy. Parobków-kawalerów brakło coraz bardziej, nie można już było w żaden sposób zebrać kompletu dawnego. Zostawały tylko braki i te się tylko najmowały. O dziewczęta też trudno i zawsze co roku jest bieda z najęciem pełnego niezbędnego kompletu, ale jeszcze jakoś dobrać można. Trzeba było ratować sytuację i uzupełniać niedobór parobków-kawalerów przez ordynarjuszów. Robotnicy żonaci, obarczeni rodzinami, zwłaszcza starsi, nie są tak skłonni do emigracji, jak młodzież kawalerska. I oto z roku na rok zwiększa Papa z konieczności ilość ~~kawalerów~~ ordynarjuszów żonatych, natomiast zmniejsza parobków-kawalerów[?]. To zmusiło Papę do zwiększenia liczby chat dla rodzin robotniczych. Teraz już kilka rodzin mieszka w samym dworze, mianowicie 2 rodziny w nowej chacie, wybudowanej na miejscu spalonej niegdyś przed laty kilkunastu chatki ogrodnika, oraz 2 rodziny (szeferza[?], t.j. pastucha krów, i koniucha, t.j. pastucha koni roboczych) — w chacie parobczanej. Wybudowana też tam została z konieczności chlewki[?], i dziś w samym obrębie dworu, za wielką sadzawką i przy bramie autonoskiej[?], roi się od dzieci robotniczych, czego nigdy dawniej w Bohdaniszkach nie było.

Chodziłem dziś po obiedzie kąpać się do wielkiej sadzawki w polu z Henrysiem i Stefusiem. Kąpiel była b. miła, woda ciepła. Przepłynąłem przez sadzawkę tam i z powrotem i na tym poprzestałem. Wieczorem po kolacji pobawiłem się trochę z dziećmi i ich nauczycielką, panną Janiną, francuską (właściwie Polką i nigdy nawet we Francji nie była, jeno skończyła pensję francuską w Petersburgu i mówi po francusku bardzo dobrze). Bawiliśmy się w „piątnaście"[?], potem śpiewałem im rozmaite piękne pieśni i śliczne piosnki rosyjskie, wreszcie urządziliśmy sobie koncerty ze śpiewaniem „Al avai[?]" [illegible] numerów z odpowiednią gestykulacją i przedstawieniem rozmaitych scenek [illegible] drogą komicznej pantomimy. Wszyscy w Bohdaniszkach [illegible], dzieci się zachwycają panną Janiną. Młodziutka to dziewczyna, cicha, łagodna[?], miła, ale bladawa[?] dla dzieci.

4 (17) lipca. rok 1913. czwartek.

Drugi dzień bez deszczu, co jest dla wszystkich gospodarzy źródłem radości, bo już od miesiąca codzień deszcze padały. Ciepło było, słońca więcej, niż wczoraj, ale bez upału. Termometr nie podnosił się wyżej nad 20° R. Kąpałem się znów z chłopcami, fotografowałem Henrysia konno, wieczorem z Henrysiem i Stefusiem [illegible] spacer do Gaju. Stefuś bał się iść przez las o zmroku i ciągle się nas z Henrysiem trzymał za odzienie, posądzając nas o chęć ucieczki i zostawienia go samego w lesie. Ale, zdaje się, i 19-letni Henryś nie mniejszy tchórz od 13-letniego Stefusia. Gaj, pełny młodych zarośli i gąszczów, ze swą bujną zieloną roślinnością jest niezwykle tajemniczy i imponujący. To też do Gaju przywiązane są rozmaite legiendy i powiastki o „duchach", które „straszą", o upiorach, które tamtędy wędrują. Podobno przy mostku w Gaju słychać po nocy w ciszy samotnej płacz dziecka. Jest też legienda o koniu Sztucerze. Był to piękny koń rasowy, faworyt i wierzchowiec Papy, który już przed dwudziestu kilku laty zdechł z karbunkułu. Sztucera pochowano w Gaju, nieopodal od dróżki karwieliskiej. I oto powstała legienda, że Sztucer w nieczystości żyje jakimś życiem upiornym, co noc wstaje i przebiega przez Gaj galopem; zapewniano, że słyszano tętent kopyt galopującego w lesie konia. Nie spotkaliśmy dziś wszakże w czasie naszego spaceru ani dziecka płaczącego przy mostku ani galopującego końskiego upiora. Wieczór był piękny, pogodny i cichy. Około godz. 11 z horyzontu zaczął się podnosić czerwony księżyc. Z okna mojego widziałem go nad Łasami w dalekiej perspektywie niziny, tworzącej system jeziora Sartyś (litewskie = Sartai); nizinę pod blaskiem księżyca gromadzić się zaczęły lekkie opary, pierwsze zwiastuny mgły. Bohdaniszki, położone na cyplu wysokiego płaskowzgórza nad rozległą przestrzenią dolin, bagien i jezior, mają mgły pod dostatkiem. Rodzą się one i płyną tu na suche płaskowzgórze pagórki — od strony południowej, to znaczy od niziny [illegible], od błot pustych łąk i bagien [illegible], od bliskiego jeziora Sartyś, tworzącego w naszej okolicy ogromny zbiornik wód. Ładne są te opary mistyczne, a jeszcze ładniejsze mistyczne opary, płynące z [illegible] i formujące dziwne mgły. Żal mi zawsze, że nie podobna utrwalić pewnych efektów. Utrwalają się one tylko w pamięci, ale to nie [illegible] [illegible], które [illegible] prawdę dokładnie nie oddać.

5 (18) lipca.
rok 1913.
piątek.

Kąpiel, zabawa z dziećmi, parę listów, trochę lektury, jedna fotografja dziennie — oto mniej więcej program mego dnia w Bohdaniszkach. Zamierzam wykonać tu przez czas mego pobytu parę prac, mianowicie uzupełnienie moich ściślejszych zapisek pamiętnikarskich oraz artykuł z dziedziny ustawodawstwa włościańskiego do prawniczego pisma „Themis Polska”, ale zabiorę się do jednego z tych dopiero w przyszłym tygodniu. Tymczasem oddaję się słodyczy „wypoczynku”.

Aparat mój dałem w Wilnie do zreperowania, bo były w nim szparki, przez które światło dochodziło do wnętrza. Czy teraz będzie dobrze funkcjonować — nie wiem jeszcze. Robię co dzień po jednej fotografji, bo do aparatu wkładam tylko po jednej kliszy, a zmieniam kliszę tylko w nocy. Dziś sfotografowałem Henrysia i Stefusia w kąpieli. Ciekawsze byłoby fotografowanie jakichś scenek rodzajowych czy typów, widoczków charakterystycznych, krzyżów i zabudowań. Tymczasem wszakże fotografuję tylko rzeczy szablonowe ku uciesze dzieci. Wywołam kliszę, gdy się już kilka zbierze.

Po herbacie wieczornej bawiłem się z dziećmi (Lusią, panną Joanną, Henrysiem i Stefusiem) w „kółko” w altance lipowej w ogrodzie. Gra ta należy do najciekawszych i najkomiczniejszych w moim repertuarze. Właściwie staje się ona przedstawieniem komicznej pantomimy, w której celuje „Francuzeczka” panna Joanna aż rozpływa się cała z radości gry — tak się zachwyca i bawi moim komizmem. Młode to jeszcze stworzenie, dopiero w pączku, — zdaje się, dość mdła, jak młoda gąska. Rzeczywiście, że to jeszcze nie kobieta, ale dopiero dziewczynka [illegible] na ciele i tymbardziej na duchu.

6 (19) lipca. rok 1913. sobota.

Przyjechał dziś pod wieczór z Wilna korepetytor dla Stefusia, rosjanin, uczeń VI klasy gimnazjum wileńskiego, Anatoljusz Didenko, brat młodszy Arkadjusza, który spędził lato w Bohdaniszkach w roku zeszłym i poprzednim. Powiększyła się więc naraz kompanja dziecinna, naraz, bo pojutrze ma wyjechać Henryś. Z powiększeniem gromadki dziecinnej zwiększają się szanse zabawy, to też cały wieczór był spędzony na ochoczej zabawie, wpierw w „cyrkowną", potym w „palantaszki".

Z poczty otrzymałem listek od Anny, drugi już z Krasieniszna. Z treści i tonu listu widzę, że dobrze jej tam, co mię bardzo cieszy. Oto co pisze (w przekładzie): „16 lipca. „Mój kochany Michasiu! Twoja Anna jest już od 7 dni „w Krasieniszna; razem z innemi dziewczętami pracuję „w ogrodzie, myję (?) świnie, karmi krowy. My mamy 2 „krowy i 1 byczka, 6 świń, kilka kur i kaczek, 1 konia. Ty „pytasz, co to jest Krasieniszn, dwór czy wioska; nie jest to „dwór i nie jest wioska. Jest dom i kawałek ziemi, może „ze 2 dziesięciny, ale ziemia jest pod ogrodem, tylko trochę pod owsem i kartoflą. Te dziewczęta „są bardzo sympatyczne i kochają mnie; jest mi całkiem „dobrze, ale wolę być u mego Michasia. Panna Kosmowska „także jest u nas, ale rozmawiam z nią bardzo mało. Mój „Michasiu, Twoje 2 kartki już otrzymałam; u nas trudno „list otrzymać czy wysłać; poczty nie ma wcale; gdy ktoś „jedzie do Dublina, to przywozi listy i wysyła. Sałata „moja (Łotewka z Libawy) jeszcze nie przyjechała. Mnie jest „zupełnie dobrze, ale przecież u mego Michasia jest jeszcze „lepiej. Dziś byłam w lesie, zbierałam czernice, strasznie „daleko, i nic nie mogłam zebrać, bo jagód nie było wcale. „Gdy byłam w lesie, przyglądałam mu się: nie jest tak „piękny, jak las (w Bijanowie) mego Michasia. Twoja „Anna całuje swego Michasia po wiele razy. Twoja Anninka".

Poza kąpielą, fotografją i zabawą z dziećmi, napisałem dziś pod wieczór artykulik dla „Kurjera Krajowego", jako odpowiedź „Przeglądowi Wileńskiemu" w dalszym ciągu polemiki, trwającej od miesiąca między tymi dwoma pismami. Artykulik niewielkiej wartości, bo pisałem go „na kolanie", bez głębszego obmyślenia i bez weny. Lenię się pracować w Bohdaniszkach, to też artykulik napisałem tylko dla uśpienia sumienia, które mi wyrzuca próżniactwo. Poślę go jutro Maćkowskiemu do Wilna. W toku pisania, jak to często bywa, zaroiły mi się w głowie nowe tematy dla dwóch artykułów, które uczynię w czasie najbliższym. Jeden temat — to wykazanie dwóch sprzecznych koncepcji narodowych polskich w tym kraju: jednej, która opiera polskość na szlachcie i w ogóle na elementach starego układu stanowego, wychodząc z założenia, że siła narodowa polska zasadza się w dzierżeniu [illegible] na tradycji i na wpływach historycznych i że przeto wszystko to, co

[illegible]

7 (20) lipca.
rok 1913.
Niedziela.

Bardzo dużo bawiłem się dziś z dziećmi. Większą część dnia na tym mi zeszła. Do obiadu, gdy Papa z Henrysiem i Ewą pojechał do kościoła, bawiłem się z panną Joanną, Anatoljuszem i Stasiem na górę wpierw w chowanego, potym w cyrkowe. Po obiedzie kąpałem się z chłopcami, fotografowałem czwórkę koni w zaprzęgu, którymi Mama z Marynią miały jechać do Pokrewnia, potym bawiłem się z dziećmi w „piątnaszki", następnie w karty — w nieskończonego „mitynka". Po kolacji znowu się z niemi bawiłem w „króla", wysilając dowcip i komizm na scenki rodzajowe. Panna Joanna czy Janina, po francusku „Jeanne", — zupełne dziecko. Do zabawy i do gier dziecinnych ma ochotę większą jeszcze od dzieci. Imponuje jej moja umiejętność zabawy; jest zupełnie pod urokiem moim. Gdybym chciał, mógłbym rozpalić tę jej wrażenie i zahaczyć serce dziewczyny uczuciem głębszym. Ileż to razy w taki właśnie sposób zdobywałem dawniej serca panienek. Pochlebiało to mojej ambicji męskiej, a że sam też jestem wrażliwy i miękki, więc zwykle sam też się podkochiwałem. Wszakże teraz nie pragnę tego. Mam moją Annę, którą kocham i przez którą jestem kochany. Serce moje jest pełne, a szczęście, które mi daje związek z Anną, jest tak żywe, że ani na jedną chwilę nie zamarzyłbym o jakichś nowych przelotnych miłostkach. Mój związek z Anną — to całe życie moje, to wszystko dla mnie. Zamknięty jestem hermetycznie dla innej miłości, jak kobieta zapłodniona zamknięta jest dla nowego zapłodnienia. Nietylko od miłości, ale i od flirtu jestem daleki. Bawię się z panną Joanną, jak z dziećmi, a choć wiem, że mógłbym z niej tony uczucia wydobyć, nie sprawia mi to pokusy. P. Joanna — to jeszcze biała karta niezapisana. Wrażenia kreślą się na niej doraźnie, trwalszych zaś i głębszych zgłosek uczucia dotąd nie ma. Zresztą zdaje mi się, że to natura dość sucha, która po upływie młodości potoczy się szarym torzyskiem życia. Dobra dziewczyna; a zresztą kto z młodości niewiele w sobie znajduje świata!

8 (21) lipca rok 1913. poniedziałek

Dziś na pociąg ranny Henryś wyjechał z Bohdaniszek. Jedzie do Połągi do ojca swego, Józefa Wołłowicza. Przeciwny byłem tej jeździe, ale Henryś mnie nie usłuchał. Józef Wołłowicz, mimo że ma niezłą posadę na kolei i pobiera, jak mówi Henryś, przeszło 3000 rb. pensji rocznej, nic nie daje na utrzymanie Henrysia. Tymczasem suma, którą obiecali wypłacać rocznie Henrysiowi wujowie jego, nie wystarcza na jego nauki i utrzymanie, tym bardziej że nie wszyscy, którzy obiecali, płacą regularnie. Już w tym roku musiałem wziąć kilkaset rubli z kapitaliku Henrysia, a w nadchodzącym roku szkolnym stan kasy Henrysia przedstawia się jeszcze gorzej. Procentu od kapitału do wiosny nie będzie, a do Nowego Roku można liczyć tylko na 100 rb. dochodu od p. Józefa Świecickiego i nic ponadto. Trzeba więc będzie chyba znowu do kapitału sięgnąć, co jest bardzo nieporządne. Kapitalik cały wynosi tylko 2000 rb., które bardzo prędko wytopnieją, jeżeli tak nadal szafować będziemy. Wobec tego postanowiłem, jako kurator Henrysia, zażądać od ojca jego, aby też coś dawał rocznie na utrzymanie syna. Domyślam się, że z tym pójdzie trudno, bo Józef jest egoistą i nie troszczy się o syna, uważając, że bogaci krewni muszą się nim zająć. Zdecydowany jestem nawet, wrazie oporu Józefa, skierować żądanie na drogę dochodzenia sądowego. Pisałem do Józefa, że jeżeli chce, aby Henryś do niego latem przyjeżdżał, niech oprócz biletu darmowego przyśle mu na drogę, bo w kasie Henrysia nie ma pieniędzy. Józef wszakże pieniędzy nie przysłał. Chciałem więc, aby Henryś nie jechał teraz. To też ani kopiejki mu na tę jazdę nie dałem. Ale Henryś, mając bilet darmowy i uzbierane pieniądze z gościńców od Dziadunia i Elżuni, uparł się i pojechał. Jest bardzo samowolny i nie zna żadnych hamulców w dogadzaniu sobie. Tak wymiarkował, aby być u ojca na swe imieniny (15 lipca), licząc, że otrzyma gościńca, a potem chce się przewietrzyć po świecie, być w Chełmnicy u Marii Wołodkowiczowej, w Petersburgu u Ćwiekowej, gdzie też liczy na pieniądze i na przeróżne uciechy. Wobec takich pokus nic go nie zatrzyma. Henrysiowi obce są jakiekolwiek troski o pieniądze, o swój kapitalik, o przyszłość. Chce mieć wszystko gotowe i zawsze do rozporządzenia na wszystkie potrzeby i zachcianki. Nie przywykł liczyć się z groszem, a jest z natury zbytkowny, próżny, wymagający. Ciężko mu pewnie, gdy wyjdzie z rąk kurateli i sam o sobie myśleć będzie musiał, a nie będzie miał środków. Resztki kapitaliku niewątpliwie natychmiast puści i zostanie goły, pełny wymagań, zepsuty w dostatku i egoistycznym sybarytyzmie, słowem błyszcząca nędza. Dowiedzą się z pewnością ciężaru troski o grosz w najbliższym czasie, będąc jeszcze studentem. A zresztą kto wie? Tacy, jak on, umieją nieraz wyzyskiwać ludzi i pieniądze bez pracy, będąc bardzo elastycznymi i umiejąc korzystać z okoliczności. Dziad był dziedzicem i bogaty. Dziecko już jest do zbytku, gospodarczej [illegible] ostatek [illegible].

Pod wieczór uczyłem Stefusia wywoływać klisze. Ma on wielką ochotę do fotografowania, to też dałem mu tę rozrywkę. Wszystkie 4 klisze, które dotąd sfotografowałem w Bohdaniszkach, udały się dobrze. Po kolacji grałem z dziećmi w karty, w „wora” i „czworopetera”.
Zacząłem pisać artykulik do „Przeglądu Krajowego” na jeden z tematów, o których wspominałem w dzienniku poprzednio. Rzecz ta wszakże idzie mi twardo, jak po grudzie. Myśl jest pełna i żywotna, ale słowo nie dopisuje. Wyrazy i zdania się chropowate, nieładne, nie celne.

9 (22) lipca rok 1913. Wtorek.

Przez cały dzień słońce nie wyjrzało ani na chwilę. Padał deszcz, chwilami nawet ulewny. Temperatura spadła do 13° R. Deszcze te stają się już klęską w gospodarstwie, przynajmniej w stosunku do zbiorów siana i koniczyny, czyli utrzymania inwentarza żywego w zimie. Niezebrane przemokłe siano gnije po tokach, miejscami nawet leży w pokosach, bo deszcze nie dają zgrabić je w kupki. Wytrzymalsza od siana koniczyna także ma deszczu do zbytku i już się psuje. Niższe łąki stoją pod wodą, jak na wiosnę.
Wykąpałem się dziś z chłopcami, ale woda była zimna.
Wieczorem graliśmy z dziećmi w karty, przeważnie w „szwarcpetera".
We dnie pisałem moje artykuły dla „Kurjera Krajowego." Wykończyłem pierwszy, zaczęty wczoraj, i napisałem jeszcze cały drugi, wiążący się z pierwszym. Wdałem się w dziedzinę historjozofji, całkiem nieodpowiednią dla popularnego dziennika, wymagającego strawy aktualnej i lekkiej. W pierwszym artykuliku uwydatniłem rywalizację dwóch wielkich narodów sąsiednich, Polski i Rosji, na ziemiach litewsko-białoruskich. Wykazałem, jak w dalszej przeszłości Litwa była samodzielnym narodowym ośrodkiem Rusi, była jej organizatorką i wyrazicielką właściwą i jak potym, pod wpływem zespolenia z Polską i zalewu kraju przez kulturę zachodnią, zaczęła tracić stopniowo swą indywidualność narodową. Stała się ona krajem rywalizacji Polski i kultury zachodniej z Rosją Moskiewską, która w drodze uzurpacji przywłaszczyła sobie stary sztandar tradycji narodowej ruskiej. W drugim artykule uwydatniłem znaczenie nowych formacji narodowych, ściśle krajowych, — litewskiej i białoruskiej, które na miejscu historycznej rywalizacji Polski z Rosją zatknąć pragną sztandar indywidualności krajowej: „Lithuania fara da se." Zakończyłem to krótką analizą stanowiska, jakie zająć powinni wśród zdarzeń polacy w tym kraju wobec nowych układów narodowych, wytwarzających się z demokratyzacji społeczeństwa. Pisanie szło mi ciężko, jak jazda po grudzie. Nie wiem, dlaczego tak: czy to lenistwo, które ogarnia na wsi, czy jakiś szczególny brak weny. Wyniosłem się nawet z biurkiem z mego pokoiku do większego pokoju na górze, uciekając od much, które się u mnie namnożyły i dokuczają, ale i to nic nie pomogło. Poślę te artykuły do Małkowskiego, ale nie będę się gniewał, jeżeli ich nie wydrukuje, bo nie szczególnie mi się udały.

10 (23) lipca.
rok 1913.
Środa.

Dzień był od rana pochmurny i chłodny. Dopiero pod wieczór niebo zaczęło się wypogadzać i słońce zaświeciło. Wkrótce po obiedzie wybrałem się z całą gromadką młodzieży, to znaczy z Mademoiselle Jeanne, Lwą, Stefusiem i Anatolem Didenko, na spacer. Poszliśmy z bramy antonoskiej bliższą drogą do [illegible] i nad jezioro. Nad jeziorem Stefuś sfotografował naszą grupę; uchwycił moment niespodziany, kiedyśmy się jeszcze ustawiali i kiedy ja przykucnąłem, bez marynarki, układałem psa Żuczka, aby go też w grupie naszej sfotografować. Fotografja więc będzie żywa, bez póz wymuszonych, uchwycona w swobodnym ruchu, ale może zato będzie u nas z pewna dziwaczna, jak zwykle przy utrwaleniu jakiegoś lotnego szczegółu ruchu. Następnie zaimprowizowaliśmy w lasku nad jeziorem grę w „chowanego" i wreszcie ruszyliśmy z powrotem. Przy ~~[illegible]~~ Wielkiej łące rozstaliśmy się: Mademoiselle z Lwą poszły do domu, ja zaś z chłopcami zostałem dla wykąpania się. Kąpiel była osobliwa: poprostu wykąpaliśmy się nie w żadnym stawie lub rzeczce, lecz na Wielkiej Łące, zalanej wodą na skutek deszczów ostatnich. Łąka była szeroko zalana i śród tafli wody gdzieniegdzie sterczały krzaki, miejscami małe wysepki a nadewszystko liczne kupki bitnego zmokłego siana, stojącego bezpośrednio w wodzie. Wody było niegłęboko, najwyżej do pół kolan i tylko w rowach, przecinających łąkę, woda sięgała najwyżej do kroku. Brodziliśmy więc tylko i taplaliśmy się w wodzie, ale dla chłopców moich było to uciecha wielka, lepsza od prawdziwej kąpieli.

Po obiedzie przyszła depesza od Zuli Tukałłówny, że dziś wieczornym pociągiem do nas przyjeżdża. Marynia pojechała na jej spotkanie; jakoż na kolację Zula przyjechała. Nie jestem wielkim wielbicielem Zuli, bo robi ona na mnie wrażenie dziewczyny pustej, przetrawionej pretensjami naszej sfery oraz tęgim pragnieniem żądz zmysłowych, co się bardzo nieszczególnie kojarzy, — ale ~~[illegible]~~ żal mi jej, bo rzeczywiście ma ona warunki domowe ciężkie. Matka jej, ciocia Dorcia, ma swoich faworytów, Mieczysia i Mikusia, dla których wszystko gotowa poświęcić i wszystko pcha, z krzywdą dla Zuli i dla drugiego syna Janusza; ale dla Janusza to nie tak ciężka sprawa, bo po c. Cesi otrzymał on piękną schedę własną i mieszka ~~[illegible]~~ zresztą osobno. Zula zaś mieszka z Matką, to też ciągle tych krzywd bezpośrednio doświadcza, i obie z Matką drą się ciągle i nie cierpią siebie. Teraz całe lato spędzała Zula w Wilnie, w atmosferze ciągłej kłótni z matką, w nudach i pustce wojskowo-pańskich [illegible], a gdy [illegible] kiedy czas dłuższy nie była i rozstawała z ojcem, wujem Janem Tukałłą, nie było jej lepiej. Stary wuj Jan Tukałło, sparaliżowany w wygnaniu lat kilka temu, bezwładny, [illegible], jeden ma tylko w życiu ideał i jedną myśl, — to pornografję i rozpustę. Przykuty do łóżka, [illegible]

[illegible]

194.

11 (24) lipca rok 1913. czwartek.

Rano pojechałem do Bakiszek, dokąd byłem na dziś zaproszony przez Zarząd towarzystwa zaliczkowo-oszczędnościowego. Chodziło o pomówienie co do pewnych szczegółów sprawy przeciwko spadkobiercom ś.p. Kościałkowskiego, którą ja mam prowadzić. Obecny Zarząd towarzystwa z Petrulisem na czele pracuje energicznie nad dźwignięciem t-stwa z upadku. Niełatwe to zadanie, gdy po szeregu systematycznych malwersacji i po zupełnym zaniedbaniu spraw, interesa są w stanie zupełnego chaosu i zaufanie do towarzystwa jest w opinii najszerszego ogółu zupełnie zniszczone. Dla dźwignięcia sprawy zarząd stosuje cały szereg środków. Na ogólnym zebraniu zgromadzeni udziałowcy zrzekli się dywidendy za jakiś czas; wszystkich dłużników zalegających wezwano, aby się do św. Michała zgłosili, obiecując ulgi (darowanie pewnej obniżenia procentu, rozłożenie wypłaty długu na lat 5) dla tych, którzy się do tego terminu zgłoszą i odnowią zobowiązania, w przeciwnym zaś razie będzie się od nich wyegzekwowało wszystko od razu z całą bezwzględnością. Wyegzekwowanie starych zaniedbanych zaległości od autorów dawnych malwersacji postanowiono natychmiast rozpocząć; to mnie zlecone zostało. Petrulis mi mówił, że do towarzystwa zaczęli wstępować nowi udziałowcy z pieniężnej arystokracji włościańskiej, to znaczy z gospodarzy zamożnych i oświeconych, co stanowiłoby dobry zwrot w rozwoju towarzystwa. Natomiast wszystkie dawne elementa udziałowców, to znaczy szara masa małych, ciemnych i biednych udziałowców, którzy tam lokowali swoje drobne oszczędności, wycofują się nadal gremialnie w miarę, jak środki t-stwa pozwalają spłacać ich udziały. Skandaliczne dzieje tego pierwszego towarzystwa, tyleż co i tak bezczelnie okradanego, sprawiają wielką szkodę tak samej idei spółdzielczej w organizacji drobnego kredytu lokalnego, jako też sprawie umocowania kredytu na potrzeby miejscowe, bo właściciele oszczędności, dotknięci tymi kradzieżami, boją się lokować je nadal w tego rodzaju towarzystwach i lokują je w państwowej kasie oszczędnościowej, zasilając tą drogą kredyt państwowy i wyjaławiając okolicę z gotówki i drobnych kapitałów, które by w innych warunkach szły na potrzeby miejscowe.

Na obiedzie byłem u księdza proboszcza Jankowskiego. Byłem świadkiem przykrej sceny z wariatem, który przybiegł do księdza z jakiejś wsi pobliskiej z prośbą natychmiastowego wyspowiadania, bo wyobraził sobie, że go rodzina otruła. Na próżno ksiądz go uspakajał i chciał się go pozbyć. Gdy zastał zamknięte drzwi kościoła, do którego go ksiądz skierował, wrócił do plebanii i domagał się spowiedzi, klnąc i grożąc a krzycząc. Krzyki zakłócił plebanii, robiąc hałas, kilkakrotnie wdzierał się przemocą do środka, wreszcie, gdy ksiądz drzwi na klucz zamknął, zaczął bić okna. Poradziłem księdzu, aby go przyjął. Ksiądz przewiązał mu rękę skaleczoną o szybę i poszedł z nim do kościoła. Wariat — wziął księdza mocno pod rękę i zataczając się a krzycząc, poszedł. Atoli przed wejściem na cmentarz uparł się nie iść do kościoła i zaczął ciągnąć księdza w uliczkę boczną. Ksiądz z wariatem zniknęli się na [illegible] i wariat zaczął na głos wołać „Zapomóżcie!". Cała służba księdza i ja pobiegliśmy z plebanii księdzu na pomoc. Oderwano wariata, który się przeraził krzyku i wrzasku, i zaprowadzono do policji.

Z Bakiszek pojechałem do Kowaliszek. Oprócz całej rodziny Komorowskich, to znaczy Zysia, Elizki, Hektora, Jula, Zitki i Felusia, zastałem tam pannę Zofię Kwiecińską, Ditkę Pomorską (córkę najstarszej siostry Zysia) i Felka Mohyckiego. Dość przyjemnie spędziłem tam wieczór i [illegible]. [illegible] się tylko wieczorem przed [illegible] gdy [illegible] Felek Mohycki [illegible] w [illegible] i zamknął mnie w [illegible], gdzie [illegible], bo z powodu [illegible] nie mogłem [illegible] do drzwi. Dzień wyszedł; [illegible] Felka [illegible] i [illegible] do Kowaliszek.

12 (25) lipca. rok 1913. piątek.

Do obiadu zabawiłem w Kowaliszkach. Objechałem z Żysiem prawie całą jego gospodarkę i dużo z nim rozmawiałem. Pomimo że Żyś bardzo się zawsze zapala i przedstawia nieraz rzeczy nie w ich świetle właściwym, lecz takim, w jakim pragnie je widzieć, nie nazwę go jednak blagierem. Wierzy bowiem święcie we wszystkie swoje pomysły, entuzjazmuje się i nadaje wyjorczeniej wszystkiemu barwę taką, jaką sam w marzeniu wypiastował. Jest zawsze, nawet w prozie gospodarskiej, poetą, a łączy nadzwyczajnie tę swoją przesadę pomysłów z niezmierną pracowitością i wytrwałością idei wołową, która się nigdy i niczym zrazić nie daje. Jakkolwiekbądź traktować przesadę i zbytek subjektywizmu Żysia w pracy ekonomicznej, to jednak nie można zaprzeczyć, że zdziałał i stworzył on bardzo dużo na Kowaliszkach. Fermę znakomicie rozszerzył przez systematyczne i umiejętne zajęcie pod uprawę wszystkich nieużytków i t. d. Tak, podniósł niezmiernie nietylko mechanizm gospodarki, ale i samą wartość gleby kowaliskiej. Kowaliszki, gdy Żyś brał je w posiadanie przed laty dziesięciu kilku, liczyły się najgorszym o złej glebie, dziś są one jedną z najpiękniejszych ferm w szerokiej okolicy. Teraz kapitalną pracą, którą Żyś wykonywa, — to drenowanie pól. Drenuje bez inżyniera, podług własnego planu, który sam obmyślił i który wykonywa przez całą partję robotników, obeznanych z drenowaniem Łotyszów-katolików z Inflant (powiatu rzeżyckiego). Jak dotąd — dreny funkcjonują dobrze i zdaje się, że antrepryza ta, wykonana na własną rękę, dość ryzykownie, nie zawiedzie go. Jeżeli mu się te drenowanie uda, to będzie to ważnym przyczynkiem i przykładem dla okolicy. Dużo też ma Żyś pięknych maszyn rolniczych, znakomicie obsługujących fermę i podnoszących wzorowo technikę gospodarki. Od wczoraj zaczął Żyś kosić żyto; 4 żniwiarki i żniwiarko-kosiarki, 3 parokonne i 1 czworokonna, tną łany żyta, aż pięknie patrzeć. Wszystko w Kowaliszkach cieszy oko. Urodzaje na świetnie uprawionej ziemi — świetne, robota kipi w rozumnych karbach systemu i kierunku, zabudowania coraz lepsze, we dworze drogi się brukują. Patrząc na Kowaliszki i na wytężoną pracę Żysia, widzi się rozkosz tworzenia, jaką mieć można w pracy na roli, gdy gospodarz chce tworzyć i ma energję i łatwość po temu. Jest to piękne i szlachetne pole pracy, dziedziny twórczości niewątpliwie obywatelskiej. Jeżeli Żyś zniszczył lasy kowaliskie doszczętnie, to przynajmniej nie zmarnował tego, co z nich wziął, jeno włożył to do ziemi, jako kapitał, który mu w fermie i procentować i rentować będzie. W roku bieżącym Żyś sprowadził do robót polowych kilkudziesięciu robotników sezonowych z Polski, z Chełmszczyzny, z których jest bardzo rad. Naraził

Tem dość sceptycznie usposobiony do tej imigracji zarobkowej rolnej robotników z Polski. Posypały się też głosy i tu na miejscu i w Wilnie, że to nie po obywatelsku, że się sprowadza robotników z Polski dla konkurencji z robotnikiem miejscowym, i że to jest krzywda dla ludności krajowej. Ale konieczność ekonomiczna zmusza do tego. Wychodźtwo do miast fabrycznych i emigracja do Ameryki, szerzące się w kraju naszym w coraz szybszym tempie, wyludnia poprostu wieś naszą. Robotnik nietylko że drogi, ale go wprost [illegible], wcale nie ma. Ta więc imigracja zarobkowa z Polski staje się koniecznością. Po obiedzie zabrałem Zitkę, którą Cliska zostawiła na dni kilka, i pojechałem z nią do Bohdaniszek.

13 (26) lipca.
rok 1913.
sobota.

Jak zawsze — bawiłem się z dziećmi w rozmaite gry w ogrodzie, przeważnie w „cache-cache" i „cyrukowe", w karty i t.d. Potem kąpałem się z Uchtojscami(?) i sfotografowałem grupę młodzieży. Wieczorem zaś, mając 4 klisze sfotografowane, wywołałem je ze Stefusiem. Wszystkie 4 klisze dobre, lepsze od czterech poprzednich. Oto są tematy klisz dzisiejszych: grupa nad jeziorem Kumordańskim(?), złożona z Mademoiselle Jeanne, Ewy, Anatola i mnie, grupa druga w polu z tych samych osób złożona z dodatkiem Liźki(?) Komorowskiej i z tą różnicą, że zamiast mnie jest Stefuś, dalej Zula w otoczeniu ścierniąt(?) Kursty(?) i Pośpolec(?) Anatol, wreszcie mój krzyż kapliczkowy pod Narwieliszkami z moją sylwetką przy nim.

Zula Tukałłówna, która bawi w Bohdaniszkach, bynajmniej przy bliższym poznaniu nie zyskuje. Przeciwnie — dopiero teraz występuje(?) się cała jej czczość bezmierna. Nie bawią jej żadne zabawy ani czytanie ani rozmowa — nic zgoła, prócz zmysłowości. Pieści się, cacka, mizdrzy się w lustrze, smaruje się i pudruje, od świtu do nocy jest zmodzona(?), tonąca w rozmyślaniach zmysłowo-romantycznych. Zajęta jest sobą, jak lalka, przeświadczona nad miarę o swych powabach, lubująca się w atmosferze zmysłowości. Gdy była młodszą, była o wiele sympatyczniejszą, a kokieterja jej, którą zawsze miała, była żywszą i nie zmanierowana, jak jest dziś. Zepsuła ją atmosfera środowiska, pełnego lubieżności, intryg i miłostek, w którym spędziła lata ostatnie. Okolica Staryszek(?), w których mieszkała, rozpusta, która się tam bujnie pleniła w całym sąsiedztwie ziemiańskim, z Nusią Czapską(?) i Janem Borowskim, jako patentowanym uwodzicielem wszystkich młodych szlachcianek ziemiańskich, życie i stosunki jej brata Mieczysia, echa romantycznej przeszłości jej matki, wyrodność ojca i t.d. A że chce się wydać zamąż, więc jeszcze bardziej się pogrąża w zmysłowych nastrojach, sądząc, że tą drogą staje się bardziej interesującą. Wszystko, co pachnie lubieżnym erotyzmem, rozpustą, imponuje jej i uczy(?). Dobrze ją Marynia nazwała — niewolnicą ciała; jest nią aż do zmudrzenia(?), do obrzydzenia, jak jakaś romansowiczka stara panna. Jeżeli tak dalej pójdzie, a nie dostanie męża, to albo się stanie histeryczką, albo zrealizuje swą tęsknotę zmysłów w miłostce. Chodzi ubrana w takich lekkich i przejrzystych strojach, że wygląda jak goła, tak że się aż stróże(?) we dworze gorszą i zgorszenia(?). Gdy [illegible] jak tu nawiązać jakiegoś flirtu, to chce marzy o tym, jak się sfotografować w koszuli lub w kimonie(?) w jakiejś pozie, najbardziej uwydatniającej jej kształty i podniecającej wyobraźnię. Szkoda, że się Papa podoba i że dzięki [illegible] podniecającej na [illegible], przymila się do Papy i próbuje zaczepić i wywoływać na tłuste żarty i koncepty. Jest pozbawiona wdzięku. O ileż w porównaniu do Zuli subtelniejszą i piękniej się przedstawia druga młoda dziewczyna w Bohdaniszkach, Mademoiselle Jeanne, skromna, miła, naturalna, pełna taktu, wesoła a bardzo obowiązkowa i ani myśląca o spekulacjach zmysłowych.

Porównuję tę z młodszą kobietą i widzę, jaki bezmiar różnicy jest między młodszą dziewczyną, której życie upłynęło w pracy, — a [illegible] [illegible]

14 (27) lipca. rok 1913. niedziela.

Dziś wypada trzecia rocznica urodzin mojej córki Cesi Römerówny. Ciekaw jestem, jak teraz wygląda, i wogóle, co z niej za człowieczek: jaki ma charakter, jakie cechy. Trzyletnia dziewczynka — to już musi nie tylko biegać, ale i gadać, kombinować, mieć swoje kaprysiki, upodobania i t. d.. Pod wieczór przypomniałem sobie tę datę i rozmyślałem, jak się tam w Cytowianach obchodzi dzień dzisiejszy: z pewnością Regina z panną Elizą ufetowały małą Ceśkę, może jej czekoladę zgotowały, nakarmiły łakociami i t. p.. O mnie, o ojcu, Ceśka może dotąd nawet nie słyszała wcale. Miło mi czasem pomyśleć o tym dziecku, choć wielkiej miłości dla niej nie mam. Sądzę też, wnosząc z podobieństwa wyrazu i rysów Ceśki do Reginy, że musi mieć i charakter matki, a jeżeli jeszcze przez wychowanie nabierze cech nie tylko matki, ale i p. Elizy, to będzie zaiste skończonym. Tego mi właściwie najwięcej szkoda. Szkoda, że ten materjał na człowieka zostanie prawdopodobnie zepsuty w rękach kobiet zmanierowanych, kapryśnych, jednej głupiej a drugiej intrygantki i histeryczki.

Rano dziś pojechałem z Papą do kościoła do Krewna na fest. Regularnie co niedziela Papa jeździ do kościoła i szuka sobie towarzysza lub towarzyszkę do jazdy; wtedy odbywa się istna komedja, bo nikt nie chce jechać z Papą, ale nie można tego Papie powiedzieć; wszyscy więc pod rozmaitemi pretekstami się wykręcają, ale wreszcie ktoś musi paść ofiarą i znosić męką jazdy po złej drodze lub po upale, wysiadywać w kościele, a zwłaszcza wyrzekać się podług pana Papy i arbitralności. Ta właśnie ostatnia, arbitralność, jest bodaj najcięższa, bo każdy zniesie chętnie wszelkie niewygody z własnej woli, ale będzie przykrze każdą drobnostkę, gdy się czuje pionkiem, zależnym od arbitralnej woli zewnętrznej. Dziś na mnie kolej wypadła. Nie byłem zresztą bardzo zmartwiony. Kościółek krewnieński jest typowo wiejski i litewski. Dokoła na cmentarzu piękne lipy, wewnątrz tłum włościański jednolity, bez figur kapeluszowych, bez pretensjonalnych inteligenckich czy półinteligenckich strojów; śpiewy odwieczne, niezmodernizowane, wszystko archaiczne i pełne tradycji prastarej. Parafja krewnieńska, wciśnięta w błota pakieńskie i w pół wyspy jeziora [illegible], zachowała swój charakter stary, do którego nie wiele dotarły przemiany i niwelacyjne unowocześnienia. W czasie procesji dokoła kościoła my z Papą, zgodnie z tradycją prastarą, prowadziliśmy księdza z monstrancją pod ręce, co jest przywilejem tradycyjnym parafjalnej arystokracji.

15 (28) lipca.
rok 1913.
poniedziałek.

Znowu dżdży, niebo zachmurzone całe, zimno, wiatr północny. O kąpieli już niema co i marzyć, nawet spacer lub pobyt na dziedzińcu wykluczone. Tak smutne takie lato. Cały dzień trzeba siedzieć w pokoju. Wszystkie możliwe gry z dziećmi dziś wypróbowałem, i w karty, i w „dzienkisa”, w „cyrukowca” na górze, w walkę kogutów i t.d..

Dziwne i smutne wrażenie budzi we mnie oficyna, to znaczy mieszkanie Maryni w oficynie. Nie lubię tam chodzić, doświadczam wrażenia, jakbym wchodził do grobu. Staje tam zawsze przede mną, jak żywa, mara panny Anny Kownysek, biednej słodkiej dziewczyny, opuszczonej na samotną bezdomną tułaczkę nauczycielską. Oficyna żywo mi ją przypomina; każdy pokój, każdy kącik, każdy mebel nuci mi o niej cichą pieśń. Tu ją widywałem, tu dojrzewała miłość nasza, tu się wszystkie drobne szczegóły naszego stosunku rozwijały, sprzeczki, nadąsania, zgoda, rozmowy, pisanie i próby wykradania dzienniczka panny Anny. Przez 5 lat jej osoba panny Anny zaludniała tę oficynkę i wrosła w nią, jako coś stałego. Smutne, jak tak ludzie drodzy mijają, przechodzą, jak cień, i zapadają gdzieś w dalekiej odległości przestrzeni. Panna Anna była więcej, niż nauczycielką, była domowniczką, była integralną cząstką środowiska bohdaniskiego. Dziś znowu my wszyscy jesteśmy, znowu się ja z dziećmi bawię, — a jej niema. Tuła się gdzieś po świecie, po nieznanych kątach, samotna, odcięta od nas, znowu obca, a przecie ta sama, ta sama p-a-anna. I znowu inna się zwija po domu nauczycielka, znowu jest przez wszystkich otoczona sympatją, a tamtej biednej, takiej swojskiej, takiej kochanej, — niema. Była i odpadła, jak grat, jak sprzęt przeżyty, a serca żywego tu cząstkę włożyła, i serce to się kołacze gorzko we wspomnieniu mojem, jak wyrzut, jak szloch boleśny. Okrutne są okoliczności na świecie, robiące z ludzi żywych — mary serdeczne i ciała rzucane po przestrzeni, jak graty. Ze wszystkich kobiet, które dawniej kochałem, nie wyłączając Sazanki, panna Anna Kownysek najczyściej i najpiękniej się w mej pamięci wyryła. Została ona, jak [...], jak przeczysty anioł, niesplamiony i pełny serca. Ja sobie życie stworzyłem nowe, w prześlicznym związku z moją Aninią Wolbekową, a ona tam biedna panna Anna Kownysek, — co ona ma!

16 (29) lipca. rok 1913. wtorek.

Znowu dzień brzydki i chłodny. Po obiedzie pokazywało się słońce, nawet chwilami robiło się gorąco i parno zarazem, ale do końca dnia pogoda się nie ustaliła. Na dziedziniec prawie że nie wychodziłem, na spacerze nie byłem, w kąpieli także (zresztą Anatol Didenko ze Stefkiem się kąpali, nie zważając na chłód). Mniej też, niż innych dni, bawiłem się z dziećmi. Humor mi też jakoś nie dopisywał, były drobne sprzeczki z Mamą i Marynią. Targowałem konia od Stasysa z Kusiszek do Wiarowca. Piesiakierski bowiem pisał mi w zeszłym tygodniu, że mego poprzedniego konika w Wiarowcu, Prynca, sprzedał, zgodnie z poleceniem moim. Teraz więc muszę sobie tam nowego konia kupić. Próbuję kupić tu, a jeżeli nie, to Piesiakierski ma pojechać na kiermasz do Pojdenowa. Konik Stasysa niewielki, chudy, ale dobrze zbudowany, silny i bardzo rączy. Wszakże Stasys prosi trochę za drogo, 110 rb., ja zaś daję mu 95.

Wywołałem klisze, których znowu się cztery sztuki sfotografowane zebrały. Udały się dobrze, zwłaszcza Zula w hamaku. Zula wybrała umyślnie hamak dla sfotografowania się, ponieważ hamak dobrze uwydatnia kształty ciała, o co głównie jej chodzi. Spośród starych klisz moich jest jedna – Nusia w hamaku; Zula, której imponuje sława lubieżna Nusi, chciała ją imitować. Leżąc w hamaku, gdym ją fotografował, zadarła niby niechcący wysoko spódnicę, pokazując nogi w pończoszkach aż pod kolana; Zitka, która tam była, z głupia frant niby przez życzliwość a w istocie na złość Zuli zwróciła jej uwagę na zbyt podniesioną spódnicę, co zmusiło Zulę bardzo zmieszaną do zrobienia gestu niby opuszczania spódnicy, ale jednak nogi zostały odsłonięte jeszcze wysoko nad kostki. Chciała Zula pozawczoraj się fotografować, idąc do kąpieli, w koszuli na pół obnażona, ale Marynia jej odmówiła, co ją trochę zirytowało. Ach, te lubieżne panny na wydaniu, niewiniątka, pełne myśli o „ideałach" [illegible].

Cieszę się, że mój aparat dobrze funkcjonuje; zabiorę go do Wilna; będziemy z Anną fotografowali razem. Miło to będzie wszystko.

Rozmyślałem dziś o moim szczęściu, które mam w związku z moją złotą Anną. Gdybym jej nie miał, samotność moja byłaby mi kamieniem strasznym. A teraz nietylko że mam towarzyszkę życia, ale też przyjaciela takiego, na którym bezwzględnie polegać mogę i z którym wszystko w życiu dzielę. To jest szczęście najwyższe, to szczyt szczęścia [illegible]

17 (30) lipca
rok 1913.
Środa.

Deszcz ciągle pada. Niema spaceru, niema kąpieli, niema letnich rozrywek wiejskich. Bawiłem się z dziećmi i Zulą w karty i w niektóre gry w pokoju. Wciąż się nie mogłem dotąd zabrać do zaległej pracy pamiętnikarskiej, którą z dnia na dzień odkładam. Muszę ją wykonać w Bohdaniszkach, bo tu przechowuję jej rękopisy i nic mi tu w jej wykonaniu nie przeszkadza. Zły jestem na siebie, że przez lenistwo dotąd się do niej nie zabrałem, zmarnowawszy przeszło 2 tygodnie. Jutro muszę już nieodwołalnie wydostać zeszyty i rozpocząć pracę.

Śród książek, które teraz czytam, jest rocznik Litewskiego Towarzystwa Naukowego („Lietuvių Mokslo Draugija"; tytuł rocznika „Lietuvių Tauta" – Naród Litewski). Jest to rocznik dość stary, – z roku 1911. Rzecz ta bardzo mię zajmuje, zarówno przez właściwą treść swoją, ~~[illegible]~~ która jest dla profana do lektury nużąca, ile przez to, co ona w istocie wyraża. Rocznik jest poświęcony studjom nad litewszczyzną; na czele dzieła, poważna praca analityczna filologa Kazimierza Bugi z dziedziny studjów nad językiem litewskim, za nią jeszcze cięższa dla mnie, bo pisana po ~~lit~~ niemiecku, praca Adalberta Srba również o języku litewskim. Dalej jeszcze nie czytałem, ale z tytułów widzę, że wszystkie prace dotyczą Litwy i jej kultury narodowej. Rocznik ten, będący zbiornikiem prac naukowych, nie jest bynajmniej li tylko suchą literą pedantycznej wiedzy. Nauka ta jest przepojona gorącym ukochaniem narodu, jest żywym aktem dźwigania się litwinów, aktem miłości, wiary i wielkiej woli, wytężonej ku budowaniu przyszłości Narodu, — przez analizę pierwiastków kultury rodzimej i przez skierowanie wysiłków ku kultywowaniu ciągłe takowych. Rocznik naukowy litwinów, — to dzieło ich życia, ich woli do bytowania i do rozwoju. Dzieła takie są jaskrawym i widocznym dowodem, że nikt inny, jak tylko sami litwini, nie potrafi i nie zechce ocalić z gruzów i utrwalić w najdalszą przyszłość tę kulturę kraju i ludu naszego. Już w tym jednym rysie się ~~[illegible]~~ wyjaśnia zasadnicza racja t. zw. ruchu litewskiego. Bez takowego pierwiastki prastare kultury krajowej, pięknego języka, zwyczajów, ~~[illegible]~~ pieśni całe, — zginęłyby na zawsze. Polacy tego by za litwinów i dla litwinów nie wykonali. Oto w Wilnie są dwa towarzystwa naukowe, jedno polskie („Towarzystwo Przyjaciół Nauk"), drugie litewskie („Lietuvių Mokslo Draugija"). Oba są krajowe, oba z równym pietyzmem badają przeszłości krajowej, oba składają wiele w pracę naukową i swoją rolę pracy kulturalnej; ale towarzystwo polskie kulturą ludu miejscowego się nie zajmuje albo zajmuje bardzo mało i zgoła inaczej, niż towarzystwo litewskie; w istocie bowiem kultura ta jest dlań obcą, niezrozumiałą, nie pociągającą; bada ono z pietyzmem tradycję szlachecką, nieporuszony w naszych skostniałych dziejach pierwiastka bohaterstwa i chwały rycerskiej oraz aureoli męczeństwa; i tam, w tej tradycji, w tej przeszłości szlachecko-narodowej, szuka ono haseł dla teraźniejszości i wzorów dla przyszłości. Towarzystwo zaś litewskie sięga głębokich źródeł tradycji ludowej, sięga kultury i duszy ludu, w niej zasadzając przyszłość. To też praca kulturalna litwinów w tym kraju ma bujną przyszłość i skierowana jest zawsze do dźwignięcia masy ludowej na stopień świadomego czynnika kultury i dziejów krajowych. Jako taką właśnie kocham ją i cenię, bo potęguje ona i rozszerza dziedzinę twórczości człowieka w ludzie.

18 (31) lipca. rok 1913. czwartek.

Ciągle deszcz, mimo chłodu i wiatru północnego. Dla osuszenia pokoju, Mama kazała piece w wielkim pokoju podpalić, – osobliwość w lipcu, nawet w naszym klimacie.

Wreszcie dziś rozpocząłem mą pracę pamiętnikarską, z którą tyle zwlekałem. Jest ona już oddawna rozpoczęta, jeszcze od roku 1911, toteż teraz tylko ją kontynuuję za każdym pobytem w Bohdaniszkach, ale zawsze jestem mocno opóźniony i muszę łapać wypadki i stosunki za ogon, gdy już zaczynają one rozpływać się w mgłach zapomnienia, tracąc wyrazistość aktualnych konturów. Sam zresztą jestem temu winien, bo oto teraz zmarnowałem na próżniactwie przeszło 2 tygodnie.

Po obiedzie dość długo bawiłem się z dziećmi. Grałem z nimi w „cyrkowca" i „cache-cache" na górze, w karty, potem w altance lipowej w „króla", do którego oprócz dzieci i Zula też stanęła. Marynia z Zulą miały dziś po obiedzie jechać do Kowaliszek, ale deszcz przeszkodził, toteż odłożyły jazdę do jutra. Ja jutro wyjeżdżam na 2 dni do Wilna. Gdy wrócę, Zuli nie zastanę, bo w ~~niedzielę~~ sobotę ma ona wyjechać z Marynią do Pohulanki pod Dyneburgiem, a stamtąd już do Wilna.

Bardzo dawno nie mam listu od Anny. Pojutrze upłyną 2 tygodnie od dnia, w którym otrzymałem jej list ostatni. Wprawdzie nie niepokoję się zbytnio, bo z poprzednich listów Anny widzę, że jej tam dobrze i nic nie zapowiada jakiejś niespodziewanej niepomyślności, ale nierad jestem z tego milczenia. Naturalnie, że przypisuję to pewnemu lenistwu i opieszałości Anny a może też nieregularnemu kursowaniu poczty między Dublinem a Krasieninem. Bardzo mi brak tego listu i wiadomości o Anninie. Tęsknię do niej i pragnę choć słówka jej ręką skreślonego, gdy jej samej na tak długo pozbawiony jestem.

19 lipca · 1 sierpnia · rok 1913. · piątek

Rano wyjechałem z Bohdaniszek na pociąg. Z Abel do Kalkun jechałem z byłym nauczycielem ludowym z Krewna, młodym Busilasem. Jest to młody jeszcze chłopak, z wykształcenia należący do kategorii t. zw. półinteligentów, bo skończył coś za 4 klasy gimnazjum i zdał egzamin na nauczyciela ludowego. Jest on synem włościanina z wioski Aukształkoje gminy Abelskiej, z byłych poddanych Antonowskich, to znaczy Römerowskich. Ojciec jego jest właścicielem dwudziestu kilku dziesięcin gruntu zagrodowego. Młody Busilas dzieciństwo spędził w Petersburgu, gdzie ojciec jego służył czy zarobkował. Tam też chodził do gimnazjum i po zdaniu egzaminu na nauczyciela otrzymał posadę w szkółce wiejskiej w Krewnie w pobliżu swej wsi rodzinnej. Chłopak jest z natury inteligentny, wrażliwy mimo nieporządnego wyglądu, chciwy wiedzy, dużo czytający, dużo myślący, dobrze obeznany i dobrze się orjentujący w sprawach i zagadnieniach ruchu litewskiego. Maksymalnie żywy i otwarty na wszelkie zagadnienia kultury i myśli ludzkiej, nie zasklepiający się wyłącznie w kwestjach narodowych litewskich. Wychowanie w Petersburgu nie wykoleiło go i nie oderwało od gruntu rodzinnego. Nietylko że nie dążył „coute que coute" do zdobycia patentu inteligenckiego, do czego zresztą i brak środków przeszkadzał, ale pomimo żądzy nauki i przedsmaku życia inteligenckiego, nie zachciał pójść na utartą drogę jakiejś służby czy posady miejskiej; z całą szczerością i prostotą skierował się do środowiska wiejskiego, z którego sam wyszedł, i stanął na ciężkiej placówce nauczyciela ludowego. Już to jedno świadczy o nim dodatnio, jako o człowieku kulturalnym i umiejącym wyjść z utartych szablonów „karjery" półinteligenckiej. Teraz zaś postąpił jeszcze mniej pospolicie, bo oto w roku zeszłym wstąpił na kursa agronomiczne w Petersburgu, zamierzając osiąść na ziemi i oddać się pracy rolnej na ojcowiźnie. Dziś, gdy się tak powszechnie szerzy uciekinierstwo z zagonów ojczystych, i gdy wszyscy, którzy się choć trochę nad rzesze wzniosą, wyrywają się na chleb miejski, a na roli zostają sama tylko biedota i sama niedołęgi, czyn młodego Busilasa jest zaiste ze stanowiska obywatelskiego piękny. Zajmie on placówkę wytwórcy rolnego w kraju, i w ciemnym zacofanym środowisku stanie się elementem kultury i postępu. Inteligentny włościanin na roli, z początkami wykształcenia średniego i z wykształceniem zawodowym agronomicznym, — to obywatel pierwszorzędnej wagi w kraju. Wszakże jeden musi być niezbędny warunek po temu: żeby wioska Aukształkoje, która dotąd ma ziemię w szachownicy sznurowej, podzieliła się na zaścianki, co podobno ma wkrótce nastąpić. Taki Busilas na zaścianku będzie siłą poważną, w gospodarce zaś sznurowej — będzie niczym, bo tam jednostka ulega rutynie gromady.

Z młodym Busilasem, z którym dziś jadąc, bardzo ciekawie rozmawiałem, są pewne znamiona tej młodzieży „nihilizmu" inteligenckiego, zwłaszcza zaś w postaci przesadnego intelektualizmu, ale to, mam nadzieję, przejdzie, bo grunt jest zdrowy i wola uparta.

Z Kalkun miałem zajechać w pewnym interesie do Dyneburga. Zadnych znajomych nie zastałem, więc pomadziłem na Lubuż nad brzeg Dźwiny pieszo po zakurzonych ścieżkach na plażę. Nie lubię Dyneburga, jako miasta, a przecież zawsze mię on interesuje. Dyneburg jest typowym miastem kresowym, miastem, w którym żadna narodowość nie wysuwa się z jakimś wyraźnym charakterem, lecz którego wszystkie się w jakimś dziwacznym konglomeracie, pozbawionym stanie przeważnie, rozproszonym, mieszają się z jakąś domieszką ... Najliczniejsi są żydzi, a z chrześcijan liczą się tutaj: Rosjanie, wyznania starowierców, ... „kacapi" ... Polacy, którzy są ... Jak tutaj i nieraz są ... Inflant, ... rzymsko-katolicy, tak stała jest ich stolica. Po każdym wyjeździe, po którym wyjeżdżam się uginam ... ostrości indywidualnej.

20 lipca.
2 sierpnia.
rok 1913.
sobota.

Akurat na dzień mego pobytu w mieście wypadła piękna słoneczna pogoda. Koło godz. 9 rano pociąg mnie przywiózł do Wilna. Przez cały dzień byłem w ruchu, załatwiałem interesa, sprawunki, którymi mię z Bohdaniszek obarczono, wieczorem poszedłem do teatru w ogrodzie Bernardyńskim. Wilno uśmiechnięte, wesołe w dniu upalnym, łasce widocznie z dnia pogody. Zwykle miasto latem przykre, jakieś omdlewające w upale, jakby znudzone i zdyszane. Dziś wszakże Wilno sprawiło na mnie wesołe wrażenie. Na teatrze niebardzo się zabawiłem. Grano operetkę „Piękna Helena”, którą znam i której niebardzo lubię, potym był niby „kabaret artystyczny” — szereg piosenek i trochę tańców na scenie.

Nowin trochę zasięgnąłem od Antoniego Łuckiewicza, Witolda Abramowicza i z gazet. „Kurjer Krajowy” w opałach pieniężnych arcyciężkich; dziś nawet numer nie wyszedł wcale, bo Bajewski, właściciel „Drukarni Wileńskiej”, w której się pismo zwykle drukuje, zarządał wczoraj kategorycznie [illegible] pewnej zaległej części należności i [illegible] nie wydrukował, bo mu Maikowski takowej nie uiścił. Jak się teraz Maikowski wykręci — nie wiem. Przeniesie zapewne pismo do innej drukarni, wegetując nadal, a tymczasem należności na wszystkie strony rosną, kredyt pisma podcięty, a co więcej — rośnie przekonanie o nieuczciwości wydawnictwa, co stanowi wielki uszczerbek moralny. Już też były pracownik pisma, Tuniejewski, wniósł skargę sądową do [illegible] wyrządzonego, domagając się należnej mu niewypłaconej pensji. To wszystko jest fatalne, bo grozi bankructwem i nietylko upadkiem pożytecznego pisma ideowego, ale też podkopaniem moralnym samej opinji o akcji grupy demokratycznej. Wiele tu winien sam Maikowski, bo zamiast w swoim czasie zabrać się energicznie do utworzenia spółki wydawniczej, zaprojektowanej jeszcze w zimie, tymczasem uparł się dorabiać na głośnej a zaniedbał systematycznego budowania samych podstaw wydawnictwa. Tylko raz on jeden jako jedyny kierownik i jedyny znający stan pisma, może pokierować akcją stworzenia spółki; inni mogliby się do tego przyczynić, ale nie stworzą jej sami; ja chętnieby współdziałał tworzeniu spółki, gdyby się takowa tworzyła, ale sam, wziąć na siebie inicjatywę czynną, nie znając stanu rzeczy, nie mógłbym, i nie tylko dlatego, że wogóle do spraw organizacji technicznego-finansowej nie jestem uzdolniony, ale też dlatego, że boję się brać na siebie odpowiedzialność i zbyt się angażować w pracę, która grozi bankructwem i który okazuje byłaby dla mnie niewygodna, aby potym nie ponosić skutków moralnych. Teraz w lipcu, gdy wszystkie się rozjechały, gdy wszystko jest w rozprzężeniu letnim, nie czas organizować akcję zbiorową. A póki nastanie czas po temu, to oby pismo nie wyszło.

„Przegląd Wileński” wychodzi nadal, choć nieregularnie. Ludwik wciąż czeka wojny, wierzy w zbrojną niepodległościową, wzywa do jakiegoś wielkiego hasła, którego czeka, ale którego sam stworzyć nie jest w stanie, przetwarza wszystkie najważniejsze żywe zagadnienia na abstrakcyjną polskość dla polskości, która się u niego stała frazesem, profanuje kosmopolityczną wokół niedoli naszej narodowej sprawy, nie szczędząc się w istotnych stosunkach, ich układzie i rozwoju. Jego ciasno krajowa kierunku dla już z „Przeglądu” ulotniło, jakgdyby przyszłość polska nie potrzebowała się liczyć z konkretnemi kulturalnemi i zjawiskami kultury, narodowości i bytowania społecznego, które na terenie Litwy i Białej Rusi coraz większej nabierają wyrazistości dziejowej, zmieniając stare układy i tendencje i tworząc nowe głębokie podstawy dla przyszłości. U Ludwika frazes, który brzmi popularnie dla rzeczywistego i tak łechcze wrażliwego ucha polskiego, — wystarcza, bo dla karjerowicza naczelnym maksymem jest: „Après nous le déluge”. Byle jemu było dobrze, byle mu to poklask dało, a sprawa, państwo, idea, — to fraza, mniej dobrodziejstwa!
O najciekawszej rzeczy, o której dziś już dziś dowiedziałem, — o wyborach miejskich nie piszę teraz, bo musiałbym o niczym innym nie pisać, gdyż tylko mi została ta strona zeszytu. Napiszę o tym osobno już z Bohdaniszek.

Pociągiem południowym wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek. Upał był duży, słońce paryło, dobrze że kurz jeszcze nie był wielki po ciągłych deszczach. W Kalkunach spotkałem się z Marysią, która odprowadziła Zulę Tukałłównę do Dyneburga dla porady do dr. Noiszewskiego, wsadziła ją do ~~pociągu~~ wileńskiego i sama wraca teraz do Bohdaniszek. Spotkaliśmy ~~też~~ też w Kalkunach panią Smidowi, Komarównę z domu, matkę pięknej Milinki. P. Smidowa jechała z nami z Kalkun do Abel i pojechała dalej do swoich Żajtun. Wystrojona, jak zawsze, pretensjonalnie, modnie, z zaciśnięciem do szyku, z widocznym staraniem uwydatnienia swej zgrabnej figury, a szpetna przytym na twarzy i mocno stara. Niegłupia to osoba, dobra, miła, ogładzona kulturą, jeno dziwaczna i zawsze pełna pretensji. Do Bohdaniszek dojechaliśmy z Marynią na kolację.

W Bohdaniszkach zastałem już list od Anny, któregom się spodziewał. Nic osobliwego w liście nie ma, bo równe, spokojne życie w Krasieninie nie nastręcza żadnych danych osobliwych. Oto co mi Annin pisze:

„(pierwszy wyraz nieczytelny, jakby: „Rakstis” — nie „rozumiem znaczenia) 28 lipca. Mój kochany Michaś!
„Tak dawno już nie pisałam do Ciebie, do mego Michasia,
„a to dlatego, że poczta nie chodzi. Twoja „Reelupsreeks” (jest
„to przezwisko żartobliwe, którym nazywam czasem Annę)
„ma się w Krasieninie zupełnie dobrze, nie nudzi się. Co
„niedziela wszystkie dziewczęta idą do kościoła. Kościół nie da-
„leko od nas, kilka kroków. Raz i ja byłam w kościele, tylko
„nie mogłam wytrzymać, — było strasznie gorąco i złe po-
„wietrze, zrobiło mi się słabo i teraz już nie chodzę do ko-
„ścioła. Te dziewczęta są takie trochę dewotkami (cały ten ustęp
„o kościele Anna wpisała w odpowiedzi na moje zapytanie w jed-
„nym z listów do niej; istotnie myślałem, że dziewczęta ze szkoły
„krasienińskiej, utrzymywanej przez wyłącznych prawie kler ludowców,
„nie bardzo mają się ku kościołowi i nabożeństwu; Anna wszakże już
„z góry, jadąc do Krasienina, nie ~~wierzyła mi~~ chciała wierzyć, żeby
„polki nie były dewotkami, to też teraz oczywiście tryumfuje; de-
„wotką zaś w pojęciu mojej Anny jest każda, która spełnia obrzę-
„dy religijne, zwłaszcza katolickie, bezmyślnie i uskarżywanie
„(?) z góry). Wczoraj w niedzielę pojechaliśmy o 12 wiorst
„od nas do jednego hrabiego polskiego (nazwisko tego hrabiego na-
„pisała Annin niebardzo czytelnie, jakby ~~Samoh~~ Schumiński, za-
„pewne powinno być: Zamojski) — zobaczyć, jak mieszka ta wielka ro-
„dzina. Wszystkie dziewczęta były bardzo wesołe, dużo mówiły, jakie piękne
„rzeczy ~~mamy~~ oglądałyśmy! Piękne były rzeczywiście, tak jak w jakimś
„muzeum, rozmaite stare polskie portrety. Niektóre dziewczęta mówiły: ubolewam, że nie mogę być tą hrabiną. Mnie wszakże było zupełnie inaczej, nie byłam tak
„wesoła, byłam strasznie zła na ten wielki ród, który siedzi, jak jakiś tarakan, na całym polskim
„ludzie, je i pije i nic nie robi dla swego Narodu. W tej rzeczywiści do wszystkiego, co tchnie arys-
„tokracją rodów, feudalizmem, szlachtą, poznajesz moją Annę! Nieodrodna Tołłoczka, która z mlekiem matki
„wyssała nienawiść do sprawców krzywdy ludowej, do baronów w ich zamkach wspaniałych! Witaj mi, moja Annin,
„moja szlachetna mścicielko krzywd chłopskich! Teraz jestem zupełnie chora z tego spaceru dalekiego, ale jutro będę znowu
„zdrowa. Napisz mi, Michaś, kiedy wrócisz do Wilna i kiedy ja mogę do Wilna wrócić. Trochę lepiej teraz mówię po polsku, niż pierwej.
„Niech mój chłopiec napisze mi trochę więcej o sobie, co robi, czy flirtuje dużo z tą francuską. Całuję mego chłopca dużo razy. Twoja Anna.”

21 lipca.
3 sierpnia.
rok 1913.
niedziela.

22 lipca.
4 sierpnia.
rok 1913.
poniedziałek.

Dzień był znowu słoneczny, bez deszczu. Bawiłem się z dziećmi, napisałem parę listów, kąpałem się z chłopcami, fotografowałem. Chcę sobie ukompletować całkowity zbiór wszystkich fotografii mojej roboty, to znaczy od r. 1901, odkąd się nauczyłem i zacząłem fotografować, aż do dnia dzisiejszego. Klisz sfotografowanych mam kilkadziesiąt pudełek; zajmują one całą szafkę w wielkim pokoju; odbitek zaś z nich nie mam. Miałem kiedyś zbiór takowych, ale w r. 1907 zostawiłem je w Krakowie, gdzie też one potym zginęły. Teraz codziennie będę robił po kilka odbitek ze starych klisz, aby znów zbiór całkowity ukompletować. Korzystam z pomocy chłopców, Anatolka Didenko i Stefusia, którzy mi gorliwie pomagają w tej pracy.

Napiszę teraz, korzystając z miejsca, słów kilka o akcji wyborczej miejskiej w Wilnie. Jak już wspominałem tu przed kilku tygodniami, z inicjatywy Antoniego Jaszkowskiego ~~[illegible]~~ odbyły się w końcu czerwca i pierwszych dniach lipca zebrania przedwyborcze. Na pierwszym osób było bardzo niewiele, a z postępowców tylko Zasztowt i Jakubowski. Ale Zasztowt także zajął czynne stanowisko w ~~[illegible]~~ obradach tego pierwszego zebrania, że odrazu wysunął się na czoło i zdobył posłuch i wpływ przez wyrazistość swoją. Drugie zebranie odbyło się już w szerszym gronie zaproszonych wszystkich mniej lub więcej znanych wyborców cenzusowych bez różnicy obozu, do którego należą. Postępowców było na zebraniu tym dużo, a ponieważ stanowią oni element żywy, krytyczny, ~~[illegible]~~ przeto na zebraniu liczono się z nimi. Elementy umiarkowane nawet, ale pragnące trafić do Rady miejskiej, bojąc się opozycji postępowej, dla pozyskania i ugłaskania takowej słusznie szły na ustępstwa i starały się postępowców uwzględniać. Wszystkie mniej więcej postulaty programowe, wysunięte przez Zasztowta, zostały przyjęte, jako platforma wyborcza. Najważniejsze punkta tej platformy, — to zasada municypalizacji przedsiębiorstw miejskich, traktowanie ich nie jako przedsiębiorstwo zyskowe, ale jako wyraz funkcjonalny potrzeb ~~[illegible]~~ ludności, walka z systemem koncesjonalnym, wreszcie wcielenie w życie zasady, że Rada miejska i jej gospodarka powinny służyć potrzebom nie tylko uprzywilejowanej kategorji cenzusowych kamienicznikow, ale całej ludności bez wyjątku i bez różnicy. Na zebraniu tym wybrany został komitet. Do komitetu tego wybrane zostały takie osoby, należące albo bądź co bądź zbliżone do postępowców. Ci stanowią w komitecie większość. Do takich należą w komitecie Zasztowt, Witold Abramowicz, Jakubowski, poseł Bańkowski, Soliman, Missuna i inni. Są wszakże naturalnie i elementy nie-postępowe; do takich należy wszakże dr. Witold Węsławski, z prawicy kus[?] ~~[illegible]~~ dr. Rymsza[?] i niektórzy inni. Ogólna ilość komitetowych wynosi, zdaje się, przeszło dwudziestu. Przewagę mają ~~[illegible]~~ w komitecie ludzie postępowi, a przynajmniej ludzie nowi, energiczni i względnie niezależni. Obowiązkiem komitetu jest ułożyć listę kandydatów na radnych, ułożyć platformę wyborczą i ~~[illegible]~~ kierować kampanją wyborczą. Postanowiono, że wyznaczanie kandydatów na radnych ma być dokonywane większością 2/3 głosów w komitecie. Ciekawe jest to, że nikt z nestorów[?] wodzirejów ~~[illegible]~~ starej kliki reakcyjnej do komitetu nie trafił. Przedewszystkiem nie ma tu ani myśli Dembowskiego. Dziwne, że Tupalski z Dembowskim ~~[illegible]~~ wypuścili ze swych rąk kierunek wyborców. Sądzę, że gdyby energicznie na początku się wzięli do akcji przedwyborczej, to zdołaliby ją pokierować podług swej woli. Czy to abnegacja, niezaradność w tych sferach, czy jakiś manewr świadomy, czy też istotna obojętność? Nie wyrozumiałem. ~~[illegible]~~ W każdym razie sprawa stoi ciekawie i tak sądzę, że komitet wprowadzi

[illegible]

206.

23 lipca. 5 sierpnia. rok 1913. wtorek.

Zaczynam coraz wyraźniej dostrzegać, że wrażenie, które sprawiam na Mademoiselle Jeanne, żłobi potrochu ślad głębszy w jej serduszku. Nie jest to miłość, o, nie, bo czyż za „miłość” można się poczyć w 16-letniem dziewczęciu. Są to tylko pierwsze sentymenta dziewczęce, skromne zwiastuny niewinnej miłości. Kobieta, jak tylko z dziecka wyrastać zaczyna, już jest sobą; już ma wszystkie ~~[illegible]~~ pierwiastki ~~[illegible]~~ natury kobiecej. Imponuje jej i podoba się siła, pewność siebie, esprit — wyższości. Poddaje mu się wtedy, lubi tę siłę doświadczyć na sobie, lubi się pod jej ciężarem uginać. Wszystkie mają tę samą cechę w mniejszym lub większym stopniu. To są ~~w~~ źródła sentymentów kobiecych, ich „zakochania się”. Bawię się z dziećmi, jestem pełny werwy, dowcipu, pomysłowości i jednocześnie władam tą całą gromadką dziecięcą włącznie z Mademoiselle Jeanne, utrzymuję ich w karbach, wymagam karności i takową rzeczywiście narzucam. To właśnie olśniewa mię w oczach dziewczyny. Poznaję już po jej nerwowym usposobieniu, po grze jej humorów, po całym jej stosunku do mnie, który jest pełny uległości, połączonej z ~~[illegible]~~ tajonym zachwytem, szczyptą dziwacznie się kojarzącej z uległością przekorności, i t. d., że wrażenie rośnie w serduszku i dojrzewa. Mademoiselle Jeanne dba o wrażenie, które sprawia na mnie, chce się przedemną odznaczyć, cieszy się z powodzenia, a trapi niepowodzeniami w mojej obecności, słowem — wszelkie cechy wczesnego stadjum uczucia. Nie przeczę, że mi się to podoba i z pewnością jest to główym bodźcem mojej ochoty do zabawy z dziećmi. Im więcej ją poznaję, tym mi się ta dziewczyna wydaje milsza. Nie ma wszakże ani cienia porównania jej do mojej Anny, która ma duszę głęboką, pełną myśli i uczuć niepospolitych, jest nietylko kobietą i żoną kochającą, ale też człowiekiem o naturze bogatej i tak pięknej, jaką pierwszy spotkałem. Profanacją mi się wydaje nawet jakieś porównanie kogokolwiek do Anny. Anna moja jest dla mnie tem, czym jest religja dla [illegible] znawców. Czuję jej moc nad sobą, jej tarczę, która mię chroni i która mi spokój w sercu utrzymuje, dając równowagę zawsze i wszędzie. O, bądź mi błogosławioną, Aneczko, przewodniczko moja.

Na obiad przyjechało duże towarzystwo z Nowolforet: Elizka Komorowska, pani Karola Pomorska (siostra Zysia), jej mąż p. Pomorski (b. dyrektor Akademji rolniczej w Dublanach pod Lwowem, profesor, obecnie dyrektor Wyższych Kursów Rolniczych w Warszawie), panna Zola Komorowska, panna Litka Pomorska i mała Zosia Pomorska. Że to goście gościa przyjmujące więc wkrótce nadjechała i pani Świątecka z Pomiemników. Kąpiel tej się z dziećmi i paniami; następnie wraz z p. Pomorskim, byłem z nim w kąpieli. Po kolacji goście wyjechali i zabrali na sobę Litkę, która u nas od 10 dni bawiła, oraz zabrali na dni kilka Elizkę i Mademoiselle Jeanne.

24 lipca.
6 sierpnia.
rok 1913.
środa.

Dzień był pogodny. Do obiadu zajęty byłem
~~[illegible]~~ przeważnie rozmaitą pisaniną. Dozorowałem
też nad pracą chłopców, zajętych ~~[illegible]~~ robieniem
dla mnie odbitek ze starych klisz moich.
Po obiedzie poszedłem z chłopcami do wioski
Łohdaniszek dla sfotografowania jakiegoś widoczku.
Długośmy się wałęsali po wiosce,
szukając ładnego widoczku w dobrym oświetleniu
słonecznym, albowiem statywów nie
~~[illegible]~~ wziąłem i fotografować mogłem tylko
migawkowo. Wreszcie ~~[illegible]~~ wybraliśmy widoczek
z południowego krańca wioski na
zabudowania gospodarskie starszyny Szeszkusa
i chatę ~~[illegible]~~ Kuligysa w głębi. Późniéj
wieczorem wywołałem ze Stefusiem
4 klisze sfotografowane, mianowicie widoczek
dzisiejszy, grupę, złożoną z Maryni,
mnie, Mademoiselle Jeanne, Ewy i Zitki,
mnie w kąpieli (klisza zepsuta) i fotografję
panny Łucji Siesiękierskiej. Pozatym
kąpałem się z chłopcami i
trochę grałem z nimi w karty. Dzień upłynął
dość monotonnie.
Czekam znowu listu od Anny. Spodziewam
się, że w tym tygodniu otrzymam
listek. Ciekaw jestem, jak się jej spodobały
moje fotografje amatorskie, których
kilka jej posłałem.

25 lipca.
7 sierpnia
rok 1913.
czwartek

~~[illegible]~~

Znowu dzień dżdżysty, szkaradny. Od rana deszczyk kropi, nudny, jednostajny, zaciągający mgłą i wilgocią cały horyzont. Wiatru nie ma, to też chmury nie ruszają się z miejsca. Żadnej nadziei na pogodę. Tak przez dzień cały.

Pod wieczór posiedziałem do Kligysa, któremu obiecałem, że przyjdę. Kligys chciał się ze mną zobaczyć, aby się poradzić, czy warto się wiosce komasować i kolonizować na zaścianki. Ruch komasacyjny w naszej okolicy jest w pełnym toku. Wieś za wsią się kolonizuje. Wkrótce wioski znikną u nas zupełnie lub staną się osobliwością rzadką, a natomiast cała miejscowość się pokryje zaściankami. Ruch ten od lat kilku u nas się rozwija; od kilku lat kwestja ta się rozważa i ważkuje we wszystkich wioskach, stanowiąc kapitalne, najbardziej żywotne zagadnienie bytu włościańskiego w dobie obecnej. Prąd komasacyjny, kiełkujący stopniowo, stał się dziś u nas powszechny. Przed kilku laty pierwsze nieliczne wioski zaczęły się kolonizować, dziś kolonizują się już one masowo, jedna za drugą. Prąd komasacyjno-zaściankowy, idący od zachodu, od Żmudzi i Kurlandji, powstał u nas w drodze ewolucji naturalnej i to akurat w tym samym czasie, gdy polityka rządowa, zapoczątkowana przez Stołypina, skierowała po rewolucji kwestję agrarną na tory rozwiązania w drodze skomasowanej osobistej własności włościańskiej. Polityka ta, dyktowana względami konserwatyzmu, sprzyja a nawet wprost forsuje gwałtownie komasację gruntów włościańskich i rozbicie wiosek na zaścianki. Małorolni włościanie boją się komasacji zaściankowej, która istotnie jest dla nich gospodarczo mniej dogodna, niż stary system szachownicowo-wioskowy. Natomiast gospodarze zamożni, silni wygrywają na komasacji, zyskując niezależność gospodarczą i swobodę postępu. W wiosce Bohdaniszkach kwestja ta debatuje się, jak wszędzie, od lat kilku. Decyzji jeszcze nie zapadło, ale nie ulega wątpliwości, że ostatecznie wioska się rozkolonizuje. Kligys jest w zasadzie zwolennikiem komasacji, ale że zwykle [illegible] chwiejności ogląda się na argumenty przeciwników reformy i strawiony jest rozmaitymi wątpliwościami pro i contra. Przeciwnicy komasacji, a śród nich starszyzna [illegible] na czele, chłop bogaty, ale żyjący przeważnie nie z roli, tnący się dochodami na [illegible] starszyzny, nie pragnący zmian żadnych, straszą włościan tym, że komasacja zaściankowa jest wynalazkiem pańskim i że to panowie opłacają jej koszta, a zato potym włościanie skomasowani obłożeni zostaną specjalnemi podatkami, jakby podatkiem wykupnym. Panom zaś chodzi o to, aby włościan przytwierdzić do ziemi, utrudnić i bodaj uniemożliwić im przyrost dodatkowego nadziału z ziem dworskich, i rozpraszając włościan po zaściankach, trzymać w garści, co w trybie wioskowym jest trudniejsze. Przedstawiłem Kligysowi względy istotnie polityczne, którymi się kieruje rząd, forsując komasację, co wszakże nie przeszkadza, że komasacja zaściankowa jest dziś w obecnym stadjum rozwoju gospodarczego zjawiskiem ekonomicznie nieuniknionym. Cały szereg kwestji powstaje w związku z kapitalistyczną kwestją komasacji [illegible] i mądrze analizować [illegible] pro i contra. [illegible] to jest ciekawa wprost dla specjalnej monografji. [illegible] się organizować wiecowo [illegible]

209

26 lipca. / 8 sierpnia. rok 1913. piątek.

Po obiedzie pojechałem dziś ze Stefusiem i z Anatolem Dziemko do Dydej do Łukysa. Jechaliśmy we trójkę roboczym konikiem, sami się powożąc, w tarantasiku (liwijce kurlandzkiej). Była to sobie mała wycieczka dla rozrywki, uplanowana oddawna. Wieźliśmy ze sobą aparat fotograficzny i ... żywą świnkę w worku, którą Mama darowała dla Łukysów. Świnką opiekowali się chłopcy w drodze, trzymając mocno worek, aby się nie wymknęła lub nie wypadła z bryczki; mieli też stąd uciechę niemało, bo świnka się rwała, parę razy nabrudziła, wogóle zachowywała się niesfornie. Drogą dalszą, a niby lepszą, na Kuklecie i Rogiele, dojechaliśmy do Dydej. Józef Łukys już nas czekał, bo przyjazd na dziś był zapowiedziany. Celem przyjazdu były odwiedziny Łukysa oraz kąpiel w jeziorze Rakiszeckiem (jezioro Audra). Miałem przez jezioro przepłynąć. Pływam dobrze i od bardzo dawna. Kiedyś, w r. 1897, przepłynąłem ze Stefanem Pisaninym jezioro Łaczańskie wpoprzek tam i z powrotem. Była to pierwsza moja wielka próba pływania, wykonana zresztą zupełnie exprompte. W 11 lat później, w r. 1908, zdobyłem się na nową próbę, tym razem uplanowaną, przepłynąwszy wzdłuż tam i z powrotem przez jezioro Rakiszeckie. Towarzyszył mi wtedy w łódce Stefan Mieczkowski na wypadek, gdybym w drodze zasłabł. Potym w r. 1909 w Pietraúcach pod Wilnem, bawiąc u Krzyżanowskiego na jego letnim mieszkaniu, próbowałem też przepłynąć dłuższy kawał jeziorem na wyspę, ale z pół drogi zawróciłem, bo się bałem dalej płynąć bez towarzyszącej łódki, panie zaś (Krzyżanowska i Szymkiewiczowa), przyglądające mi się z brzegu, lamentowały już, myśląc, że tonę. W tym roku postanowiłem ponowić wycieczkę pływacką na jeziorze Rakiszeckiem, jak przed laty 5. Zbliżając się do jeziora, miałem lekką tremę, trochę się bałem. Dziesiąte lata już przybywają, tusza trochę się zwiększyła, serce już nie te, co we wczesnej młodości. Był zresztą wiatr dość silny, fale na jeziorze dość wielkie, powietrze chłodne, a więc i woda zapewne zimna. Łukys dostał łódkę z Rakiszeczek i siadł do niej z Anatolem i Stefusiem. Ja się rozebrałem na brzegu suchym, odzienie złożyłem do łódki, i poszedłem goły przez mokre, zalane wodą łąki, do miejsca, z którego miałem rozpocząć pływanie. Wybrałem umyślnie najdłuższą linję długości jeziora, aby popis był jaknajtrudniejszy. Od brzegu przez sitowia przeciągnął nas Łukys, uczepionego do łódki; gdy zaś po kilkunastu uderzeniach wiosła wypłynęliśmy na czystą wodę, puściłem z rąk łódkę i popłynąłem. Na razie szedłem jeszcze przez łoży trawy wodnej, które się czepiały rąk i nóg moich i oblewały o brzuch, dalej wypłynąłem na czystą wodę. Z początku trema mię nie opuszczała, a strach trochę ogarniał, miałem wrażenie, jakby mię siły opuszczały; fale mi zalewały twarz a woda była zimna; nogi trochę kostniały; myślałem, że już nie dopłynę i że będę musiał uczepić się łódki; ~~lekki ...~~ poczułem lekki kurcz w lewej nodze; wkrótce że łódź chwiała wezwę łódkę, która płynęła prawie obok mnie; byłem pewny, do góry palca w nodze, co na kurcz pomaga zwykle; jakoż kurcz ustąpił i ja też stopniowo się uspokoiłem i odzyskałem równowagę i pewność siebie, co stanowi główny warunek powodzenia w pływaniu. Tylko pierwsza ćwierć drogi była przykrą i sprawiała mi niepokój. Dalej płynąłem już z zupełnym spokojem, z całą świadomością techniki, z poczuciem mocy i wielkiego władania nad żywiołem wodnym. Wkrótce dopłynąłem do połowy jeziora, czyli rzeczy dziś mogłem tylko ze słów [illegible] siedzących w łódce, bo sam bez pince-nez nie mogłem się w środku jeziora orjentować, nie widząc ziemi brzegów, a zresztą z sobą nie mogłem nic widzieć, bo blask słoneczny w wodzie przeszkadzał. Miałem ~~[illegible]~~ cel przed sobą w postaci małego krzaczka na przeciwległym brzegu, do którego płynąłem prosto. Wreszcie z zadowoleniem spostrzegłem, że krzaczek rośnie i coraz się zbliża. Oto już bliżej i bliżej. Powoli, pracując równo, bez wysiłku szczególnego, bez zmęczenia, dopłynąłem do brzegu. Wyskoczyłem z wody zziębnięty trochę, ale rześki, czując przyjemne napręż[enie] muskułów rąk i nóg. Ubrałem się szybko. Wtedy wszedł do wody Łukys i popłynął, a inni mu towarzyszyli w łódce. Łukys sądził, że nie gorzej może przez jezioro przepłynąć, bo, choć kiedyś raz przepłynął, to raz przed kilku dniami próbował i nie mógł. Wnet w tym razie udało mu się; dopłynął aż pod sam brzeg, z którego ja płynąłem i dopiero przy brzegu wydało mu się, że się zaplątał w trawach, i zaczął rozpaczliwie wzywać pomocy, popadł w panikę. Uczepił się łodzi i wlazł do środka. Zrzucił [illegible], że twarz mu posiniała. Wróciliśmy do Łukysa do Dydej, wypiliśmy [illegible] herbaty z mlekiem i pojechaliśmy do Dworca. Łukys mówił, że w tym roku egzamin z 6 klas gimnazjum oraz egzamin [illegible] seminarjum w Kownie. [illegible]

27 lipca
9 sierpnia
rok 1913.
sobota.

Dzień średniej pogody i do wieczora wszakże dotrzymało jakoś bez deszczu. Po obiedzie poszedłem z chłopcami na dłuższy spacer. Poszliśmy przez wioskę Bohdaniszki krótszą drogą do Staczunaj; tam sfotografowałem dom mieszkalny z ganeczkiem piętrowym w zaścianku Żybalisa, chłopcy tymczasem zbierali grzyby w lasku. Potym przez zaścianek Malców zeszliśmy głębokim wąwozem w dolinę Bieriupisa i zawróciliśmy na lewo w kierunku Bukiel. Brodzenie po zamokłej łące i skakanie przez rzeczkę Bieriupis bardzo się chłopcom moim podobało. Dla większej rozrywki zaproponowałem im się wykąpać w rzeczce, co też zaraz zrobili. Obaj tchórzyli. Anatol Didenko to się jeszcze trochę stopniowo ośmielił i wchodził do głębszych jam rzeczki i próbował pływać. Ale Stefuś, który u mnie wcale dobrze pływał, nie mógł się odważyć. Skakał tylko z jednego brzegu na drugi, śmiał się z Anatola, podjudzał go do prób odważnych, a sam do wody prawie że nie wkraczał, a jeżeli już, wstydzony przeze mnie, wchodził i niby płynął parę kroków, to miał taką minę, jak żeby nie lada bohaterstwa dokonał, a przerażenie mu z oczu patrzało. Roiły mu się jakieś pijawki i inne straszne potwory na dnie strumyka, jakieś głębie nieistniejące i t.d.. Stamtąd przez wioskę Bukiele wróciliśmy do Bohdaniszek. Wielki już czas było wracać, bo się miało ku wieczorowi, a zamierzyliśmy jeszcze z Maryniu wybrać się dziś do Norwidyszek z wizytą. Koło godz. 6 1/2 wyjechaliśmy. W Norwidyszkach bawi p. Wasilewska stara i córka jej, moja rówieśnica (urodzone tegoż roku i dnia, co ja), panna Janina Wasilewska, oraz troje ~~ma~~ małych dzieci Brunona Wasilewskiego. Norwidyszki, niegdyś siedlisko całej gromadki staruszek, które, jak grzyby, obsiadły folwarczek i tu wiek swój kończyły na łaskawym chlebie nieboszczyka p. Tomaszewskiego, dziś zupełnie opustoszały. Obecny właściciel Norwidyszek, siostrzeniec i chrześniak nieboszczyka p. Brunona Tomaszewskiego, Brunon Wasilewski, inżynier, ma dobrze płatną posadę w Petersburgu i żyje szeroko. O siedzeniu w Norwidyszkach naturalnie ani mu się śni, a nawet latem nie chce tu bawić dłużej, bo żona jego, z miasta rodem, nie może znieść nudy wiejskiej. Ale Brunon przywiązany jest do Norwidyszek, nie chce się ich pozbyć i szanuje ten kawałek ziemi ~~ziem~~ ojczystej (Norwidyszki — to mały 3-włókowy folwark, ale z bardzo dobremi łąkami (mało nieco lasu)). Matka Brunona i siostra, panna Janina, mieszkały dawniej w Norwidyszkach, ale wreszcie p. Janina nie chciała się już nadal konserwować w nudzie i samotności małego cichego folwarczka i wyjechała do Warszawy ~~...~~ na posadę pracownicy biurowej w zakładach Rudzkiego. Za nią pociągnęła i matka. Norwidyszki opustoszały i tylko czasem latem na krótko się zaludniają. Sic transit gloria mundi. Biedna wieś traci mieszkańców ~~..~~ i ginie na rzecz miasta.

28 lipca.
10 sierpnia.
rok 1913.
Niedziela.

Chciałem dziś jechać do Suczan dla złożenia wizyty Piotrowi Rosenowi, ale tak trudno u Papy o konia, że zaniechałem projektu. Mam to w charakterze, że nie lubię prosić, i gdy wiem, że to, o co mam prosić, sprawia komuś przykrość, to wolę się sam wyrzec tej przyjemności. Nie lubię być u kogoś w zależności i nie umiem i nie lubię wypraszać. Mógłbym wprawdzie pojechać bez wiedzy Papy, bo Papa pojechał na cały dzień do Kowaliszek po Elwę i Mademoiselle, które ma stamtąd przywieźć, ale Piotr Rosen gotów się przy okazji wygadać przed Papą, żem u niego był, a wtedy będzie mi przykro. Nie chcę zaś robić Piotra powiernikiem jakiejś drobnej chytrości i tajemnicy przed Papą. Wolałem nie jechać wcale.

Przed obiadem poszedłem ze Stefusiem i Anatolem Didenko na spacer przez Karwieliszki do Pniusy, stamtąd do Brusiek, gdzie Stefuś sfotografował mnie z Anatolem nad jeziorkiem Zimbalskim, wreszcie przez Łęg z powrotem.

Z poczty otrzymałem list od Anny. Pisze (w tłumaczeniu) tak: „1 sierpnia 1913. Mój kochany Michaś! Piszesz, dlaczego Cię zostawiam „tak długo bez listu; to pochodzi stąd, że Twoje listy idą strasznie długo, „czasem przez 10 dni leżą na poczcie. Teraz otrzymałam 3 listy odrazu, „jeden z Dyneburga, jeden z Wilna z czekiem i jeden z czterema fo„tografjami (wszystkie fotografje, które teraz robię, posyłam w 1 egzem„plarzu Annie), z których na dwóch jest mój Michaś, przy jednym i „z Żuczkiem. Pytasz, co mi dają jeść, codzień kasza i zupa z „tłustością. Mój Michasiu, mnie nie tak dobrze („geht nicht so gut“), „jak Tobie, Ty jeździsz czwórką koni (aluzja do fotografji czwórki koni „w zaprzęgu, którą Annie posłałem), a my i jednego konia do „jazdy nie mamy. Byłyśmy pieszo o 25 wiorst stąd, w Natę„czowie, droga była okropna, dużo wody i dużo błota, aż się utopi„łam niemal, zmokłam zupełnie. Więcej nie pójdę tak da„leko. Panna Kosmowska już wyjechała do Warszawy. Paczka moja „już przychodzi. Jak mój Michaś znowu do Wilna pojedzie, niech „zajdzie do mego mieszkania i spyta, czy niema listu do mnie od „mojej siostry i zaraz niech mi wyśle. Moja siostra nie ma mego „tutejszego adresu. Mnie bardzo dobrze w Krasieninie. Po polsku mówię „już teraz trochę lepiej, tylko strasznie (tu wyraz nieczytelny, — zdaje się czy „fałszywie“ czy „prędko“). U nas codzień deszcze stra„szne padają, wszystkie zboża są zepsute. Całuję mego chłopca „dużo razy i czekam jeszcze fotografji od mego Michasia. Pisz. „Twoja Haekupuseke.“ Byłem wzruszony. Listy Anny z Krasienina są wesołe, pełne dobrego humoru, nie tak, jak wiosenne listy z Teodorji. Uśmiałem się z tej pieszej podróży Anny do Natęczowa; wyobrażałem, jak była zaktopotana i nafukana, wstydząc się wszakże dzieci wobec koleżanek swoich, dziewcząt krasieninskich; oho, gdybym to ja był z nią na tym spacerze, tobym oberwał! Uśmiałem się też z tego „utopić się“, co Anna w liście usiłowała wyrazić po polsku, wstawiając do tekstu swego żargonu niemieckiego wyraz „utopilimsja“. Poczciwa.

Na nocny pociąg wyjechałem do Abel. Muszę bowiem dla interesu terminowego być jutro na jeden dzień w Wilnie. Do Abel przyjechałem zawcześnie, toteż wyspałem się na stacji, potem wyspałem się w drodze do Kalkun. Dobrze, że mi się udało wyspać, bo potem w Kalkunach i w dalszej drodze pociągiem nie mogłem spać aż do godz. 7 rano, gdy nie było ani jednego miejsca wolnego. Dopiero od godz. 7 rano do Święcian mogłem się położyć i zasnąć. W Kalkunach spotkałem się z p. Janem Pietkiewiczem, z którym trochę przyjemnie pogawędziłem.

29 lipca.
11 sierpnia.
rok 1913.
poniedziałek.

Koło godz. 9 przyjechałem do Wilna i cały dzień tu zabawiłem. Z ust wilenskich dowiedziałem się o następujących. W sprawie wyborów miejskich komitet jeszcze platformy swej nie ogłosił. Platforma ma być ułożona, zdaje się, ściśle demokratyczna według wskazówek Zasztowta; naczelne miejsce w platformie ma zająć zasada [illegible] konsekwentnej municypalizacji wielkich przedsiębiorstw miejskich. Zresztą oczywiście nie platforma stanowi kapitalny kurs sztuki. O wiele ważniejszą jest kwestja ułożenia listy kandydatów na radnych, bo ci będą stanowić o wykonaniu platformy. Lista ta nie została jeszcze ma być ułożona. Zdaje się, że Dr. Szumorok nie przedsięweźmie osobnej akcji wyborczej przeciwko komitetowi i ograniczy się tylko na krytyce działania komitetu dla utrzymania ciągłego bodźca w jego pracy. [illegible] W związku ze sprawami wyborczemi Zasztowt wycofał się z komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego“, o czym się z wielkim smutkiem dowiedziałem. Już przed kilku dniami, jak o tym wspominałem, „Kur. Krajowy“, [illegible] wkrótce po zawiązaniu się komitetu wyborczego, wydrukował artykuł dr. Szumorka, zawierający krytykę komitetu, w którym było kilka bardzo cierpkich [illegible] momentów i nawet osobistych [illegible] docinków do kilku osób, należących do komitetu (inżyniera Wł. Malinowskiego, Petrykowskiego). Chociaż artykuł dr. Szumorka był wydrukowany, jako głos wolny, z zastrzeżeniem redakcji, że otwiera ona wolną trybunę dla wypowiedzenia się swobodnego i że odpowiedzialność za opinje wyrażone od siebie nie bierze, jednak w publiczności zrobiło to wrażenie, że „Kurjer Krajowy“ nie sprzyja oficjalnej akcji komitetu. Oprócz tego Maćkowski przez nieuwagę popełnił wielki błąd, który jeszcze bardziej się przyczynił do zrażenia doń komitetu. Mianowicie stało się tak. Zaraz po zawiązaniu się komitetu w „Kurjerze Litewskim“ i „Czasie Codziennym“ ukazał się spis członków komitetu. Maćkowski wyjaśnił, że spis ten był do tych pism dostarczony przez komitet umyślnie i że „Kurjer Krajowy“ był świadomie pominięty. Spisu tego nie przedrukował, bo naturalnie w piśmie codziennym przedrukowywanie ustępów spisu, już opublikowanego wcześniej przez inne pisma, chybia celu i raczej źle świadczy o piśmie, nie umiejącym podawać świeże aktualne wiadomości. W kilka dni później otrzymuje Maćkowski od Jakubowskiego, sekretarza komitetu, spis członków komitetu z prośbą o opublikowanie od imienia komitetu. Maćkowski, uważając to za spóźnione, nie wydrukował. Tymczasem uprzednio w „Litewskim“ i „Czasie Codziennym“ spis od imienia komitetu opublikowany został. Okazuje się, że poprzednie opublikowanie było dokonane prywatnie, bez wiedzy [illegible] i prośby komitetu, a dopiero teraz komitet urzędowo do wszystkich trzech pism się zwrócił. Niewydrukowanie spisu w „Kurjerze Kr.“ komitet uznał oczywiście za dowód, że „Kur. Kr.“ nie chce poprzeć komitetu, a w związku z artykułem Szumorka wygląda to, że „Kur. Kr.“ jest do komitetu w opozycji. Zasztowt, który do komitetu wyborczego należy i bierze w nim udział czynny, [illegible] uznał wobec tego za konieczne wycofać się z „Kurjera Krajowego“. Zapewne też komitet wyborczy nadal powinien być „Kurjer Krajowy“. Tak wystąpienie Zasztowta z pisma, jak nieusprawiedliwione dotąd niczym i zresztą mimowolne, przez nieuwagę, odseparowanie się „Kur. Krajowego“ od akcji komitetu wyborczego — jest bardzo szkodliwe. Pismo traci żywy kontakt z życiem, staje się czymś obcym, jakimś organem frazesowo-demokratycznym. Z okoliczności tej cieszy się, zdaje się, tylko dr. Szumorok, który teraz znowu gorąco się opiekuje pismem, patronuje mu, zaszła, [illegible] kręci się w redakcji i t. d.. [illegible] Zasztowt i Szumorok — to dwa bieguny, między którymi balansuje [illegible] pismo; dziś zwrócone jest ono do Szumorka. Moje sympatje są na biegunie Zasztowta. Szkoda jednak, że Maćkowski ma trochę za mało wyrobienia. Trudno mu z tego robić zarzut, zwłaszcza że się bije, jak ryba o lód, i że ma na sobie wszystko i wszystkiemu musi podołać. Przez cały tydzień teraz pismo nie wychodziło wcale, bo z drukarnią Zwiejewskiego zerwano, a nowej nie znaleziono. Wreszcie dziś podpisany został kontrakt z drukarnią Klechika i jutro pismo ma wyjść. Kontrakt podpisany przez dr. Szumorka. Znowu jeszcze jedna chryja — tzw. afery osobisto-honorowej między Maćkowskim i Benedyktem Hertzem: narobili sobie impertynencji na tle zapłaty należnego Hertzowi od „Kurjera Kr.“ honorarjum; Maćkowski długo zwlekał z płaceniem, nie mając pieniędzy, Hertz nalegał, pieniądze już zapłacono, ale przy tej okazji obrazili siebie wzajemnie. Może być podobno pojedynek. Maćkowski ceni się wysoko, jest pełny otuchy; zdaje się, że jest — nie wiem, zdaje się, że to Szumorok wytrysnął „przy pieniądzach“; stąd znowu, jak słyszałem, zaszły jakieś nieporozumienia i powikłania w sprawach zarządu nowego Litewskiego T-stwa wzajemnego kredytu. Za długo o tym pisać; sprawy te mnie jednak interesują.

Ciekaw byłem dowiedzieć się bliższych szczegółów o nowym towarzystwie ekonomicznym, które się w Wilnie zawiązało. Towarzystwo to mogłoby mieć niezwykle doniosłe pole do działania. Sprawa ta bardzo mię zajmuje i obstawałbym wielce za tym w takiej sprawie. Niewiele się wszakże dowiedziałem, chyba tylko to, że, zdaje się, głównym inspiratorem jest Litwin Morawski, który tu się z Petersburga przeniósł, co mię niebardzo przychyliło do towarzystwa naprawdę; z tego bowiem, co wiem o Morawskim, jest to osobistość cokolwiek niejasna i niepewna.

30 lipca.
12 sierpnia.
rok 1913.
wtorek.

Już myślałem, że nie będę mógł dziś z Wilna wyjechać. Wczoraj wieczorem bowiem wpadł do mnie Maińkowski, zaklinając mię na wszystko, abym wstrzymał wyjazd i zgodził się być jego sekundantem w sprawie z Hertzem. Przed kilku już dniami Hertz skierował do Maińkowskiego swoich sekundantów w osobach dziennikarza-endeka Zwierzyńskiego (z „Kurjera Litewskiego”) oraz inżyniera, również endeka, Przystowskiego. Maińkowski na jednego ze swoich sekundantów uprosił Antoniego Łuckiewicza, na drugiego zaś postanowił prosić swego kolegę z korporacji „Polonia” w Dorpacie, zajadłego endeka, ale osobistego swego przyjaciela, adwokata Zbigniewa Jasieńskiego. Ponieważ wszakże Jasieńskiego nie było w Wilnie, Maińkowski zatelegrafował do niego i oto otrzymał odpowiedź, że Jasieński jest chory i dopiero we środę będzie mógł przyjechać. Maińkowski zakomunikował sekundantom Hertza o zwłoce do środy, ale w tym czasie wczoraj otrzymał list od nich, w którym piszą, że 4 doby czekali bezskutecznie na wyznaczenie sekundantów Maińkowskiego i że jeszcze tylko jedną dobę, t. j. do dziś do godz. 4 popołudniu czekać będą. Wobec tego Maińkowski musiał, nie czekając na Jasieńskiego, wyznaczyć natychmiast sekundantów. Ponieważ latem mnóstwo ludzi się porozjeżdżało, Maińkowski miał kłopot z dobraniem drugiego sekundanta, że chciał mieć kogoś poważnego i taktownego. I oto przyszedł mię prosić, abym został i zgodził się być sekundantem. Byłem zaskoczony tą propozycją i bardzo nierad. Wymawiałem się od tego, prosiłem Maińkowskiego, aby mię uwolnił, aby zwołał innego. W zasadzie wszakże odmówić mu usługi honorowej nie mogłem. Byłem nierad nietylko dlatego, żem chciał do Bohdaniszek wracać, ale też dlatego, że mi się z wielu względów nie podobało figurować w tej sprawie. Nie chciałem, aby zatargowi natury osobistej, który zresztą powstał na gruncie spraw „Kurjera Krajowego”, nadawane było jakieś znaczenie walki politycznej i koteryjnej, co mogło wszakże się takiem wydawać, gdyby ze strony Maińkowskiego wystąpili w roli sekundantów ludzie najbliżsi „Kur. Kraj.” stojący, jak Ant. Łuckiewicz i ja. To mi się nie podobało, a oprócz tego miałem pewne wątpliwości co do udziału w tej sprawie A. Łuckiewicza, który właśnie świeżo miał zatarg honorowy z Ludwikiem Abramowiczem; w zatargu tamtym, który załatwiony nie został, sekundantem Abramowicza był także Zwierzyński. Obecnie więc udział Antoniego mógł sprawiać wrażenie jakiejś chęci czy rehabilitowania się w doświadczeniu Zwierzyńskiego, czy chęci jakiejś koteryjności. Wolałbym z tej głupiej sprawy pojedynkowej wybrnąć, ale na prośby Maińkowskiego musiałem ustąpić, a Maińkowski miał kogoś innego zamiast Łuckiewicza uprosić. Tymczasem dziś rano Maińkowski mi oświadczył, że już sobie zwołał drugiego sekundanta i że mię zwalnia. Byłem ucieszony i na godz. 10 rano pośpieszyłem na pociąg, gdzie się miałem spotkać z Ludwikiem Krzywickim. Krzywicki jedzie z Warszawy, jak co roku latem, do Litwy dla studjów nad pilkalniami litewskiemi. Akurat wczoraj przyjechał do Wilna i tak trafił, że mię tu zastał. Prosił o danie mu wskazówek i poleceń co do osób, mieszkających na pograniczu powiatów święciańskiego i wiłkomierskiego, bo tam chciałby teraz kopać. Chciałem go skomunikować z Mieczysławem Jałowieckim, ale go w Wilnie nie było. Krzywicki wszakże od dr. Burbianki otrzymał jakieś wskazówki do księdza w Kołtynianach święciańskich i tam wyruszyć postanowił, biorąc to za punkt orjentacyjny. Jakoż dziś pojechaliśmy razem. W Święcianach rozłączyliśmy się. Ja pojechałem dalej do Bohdaniszek, Krzywicki zboczył na [illegible] święciańską.

O godz. 7-8 zajechałem do Bohdaniszek.

31 lipca. / 13 sierpnia. rok 1913. środa.

Znowu popłynęło życie bohdaniskie: fotografje, zabawa w gry rozmaite z dziećmi, trochę pisaniny — i oto wszystko. Kąpieli tylko niema, bo powietrze chłodne i nie zaciąga do wody. Przybył za to element nowy w moim życiu bohdaniskiem, to wpływ wrażenia, jakie wywiera na mnie Mademoiselle Jeanne. Nie mogę zaprzeczyć, że wrażenie te wzrosło i sprawia mi pewien niepokój, pewien ferment psychiczny. Dziewczyna ta działa mi na nerwy. Jest ładna, nietyle przez rysy i przez figurę, ile przez młodość 16-letnią, świeżość i wdzięk bezpośredniej wrażliwości, która w tym wieku nie jest jeszcze zamącona refleksją i brudami pamięci przeszłości. Oczy ma żywe, śmiech i wyraz przejrzyste, bezpośrednie. To jest ten urok, który działa na zmysły moje, niezwykle wrażliwe, a przez zmysły na pierwotne elementy psychiki. Głębiej to wrażenie nie sięga, uczucia nie budzi żadnego. W uczuciu panuje mi niepodzielnie miłość do Anny, której nic nietylko wyrugować, ale nawet przyćmić nie zdoła. Anna panuje we mnie głęboko i stale. Jako kobieta w pełni rozwoju indywidualnego, dusza bogata, barwna i tragiczna, wypełnia Anna swą treścią przepiękną cały bezmiar tego świata, zamkniętego w kształtach na pozór (materjalnie) małych a tak w istocie olbrzymiego, jakim jest psychika ludzka, w tym wypadku moja. Najmniejszego porównania być nie może między Anną a temi dziewczątkami młodemi, które są dopiero w pączku młodości; mają one bezpośredniość wrażliwości, ale są treści ubogiej; i ich władze psychiczne działają słabo, leciutkiemi ruchami, i wyrazistości nie mają. Anna nietylko że nad takiemi pączkami dziewczęcemi góruje, ale też nad kobietami dojrzałemi, bo ma nietylko niepospolitą ekspresję i siłę władz psychicznych, ale też treść piękną, pełną prawdy, zmysłu sprawiedliwości, odzwierciadlenie głębokie kosmosu w jego kształtach i elementach najszlachetniejszych. Ile mi daje wzruszenia, bodźców szlachetnych, radości, wiedzy nawet, — stosunek z Anną, tego żaden inny stosunek i żadne inne wrażenia przelotne dać mi nigdy w życiu nie zdołały. Wrażenie, które na mnie obecnie sprawia Mademoiselle Jeanne, sięga ledwie pierwotnych powierzchownych elementów psychiki i jest dobre jeno na chwilę zabawy, na małe smugi uśmiechów wesołości — bez śladu trwałego.

215.

1 (14) sierpnia.
rok 1913.
czwartek.

Oto już sierpień. Czas się zbliża do jesieni. Umyka lato, tak krótkie w klimacie naszym. Tegoroczne zaś było brzydkie, bardzo mokre. Może przynajmniej jesień mieć będziemy suchą i słoneczną, co daj Boże. Oby tylko się nie powtórzyła jesień i zima zeszłoroczne, wilgotne, ciemne, bez śniegów, bez promyka słońca.

Dzień mi zeszedł równo, spokojnie, cicho. Do obiadu pracowałem trochę, pisałem listy i moją pracę pamiętnikarską. Młodzież tymczasem cała zajęta była robieniem sobie odbitek fotografji z klisz starych i nowych. Marynia pojechała do Abel dla dozorowania furmanek, które wiozły superfosfat z kolei. To wielki dzień w Bohdaniszkach. Wszystkie konie i wszyscy ludzie, kto żyw, ruszyli po superfosfat. Oprócz furmanek dworskich poszły furmanki dzierżawców i rozmaitych włościan, zależnych od dworu, jak np. Janko z Rudel, stanowiących rodzaj wasalów dworskich.

Po obiedzie bawiłem się z dziećmi w gry rozmaite i w karty. Przyjechał z Rydy Józef Łukys i wziął też udział w grach dziecinnych. ~~Łukys po~~ Poczciwy Łukys jest bardzo kochany przez Stefusia, a wszyscy zresztą mu sympatyzują. Jest to chłopiec bardzo słodki, bardzo przywiązany do rodziny naszej i zwłaszcza do mnie, bardzo wierny i szczery w ~~sympatji~~ uczuciu. Bawiliśmy się w „cache-cache”, w „dzienkisa”, w której to grze celują Łukys i Mademoiselle Jeanne, potem w karty.

Papa z Ewą (Helcią) pojechali do Tarnowa na imieniny obydwóch pań Weyssenhoffowych, starej p. Wandy matki, i młodej p. Marji, żony Walunia. W Tarnowie bawi też brat Walunia, literat p. Józef Weyssenhoff, którego gwiazda sławy literackiej jest obecnie w pełnym blasku u szczytu rozwoju. W Tarnowie z okazji podwójnych imienin oraz obecności p. Józefa, stanowiącej atrakcję niepospolitą, spodziewany jest duży zjazd sąsiedztwa ziemiańskiego z bliskich i dalekich okolic. Ani Marynia ani ja nie mogliśmy z Papą pojechać, bo nie mamy ze sobą w Bohdaniszkach odpowiednich strojów galowych. Pojedziemy tam pojutrze.

Korzystając z nieobecności Papy urządziliśmy z chłopcami i Mademoiselle Jeanne pod wieczór wielką zabawę w „cyrkowców" po całym domu na ~~[illegible]~~ dole (na parterze). Chłopcy zwłaszcza byli zachwyceni.

~~[illegible]~~ Przedtym zaś, zaraz po obiedzie, poszliśmy z Mademoiselle Jeanne i chłopcami do lasu ~~[illegible]~~ do Staczeraga po grzyby. Młodzież nazbierała pełny kosz grzybów, przeważnie rydzów, z których wszakże nie mniej, niż 2/3, okazało się robaczliwych.

Poczciwa Marynia wzięła na siebie uzupełnienie ~~[illegible]~~ dorobienia całkowitego kompletu fotografji naszego zbioru klisz. Przez 12 lat fotografowania zbiór klisz wynosi ~~[illegible]~~ zapewne przeszło ~~[illegible]~~ 200 sztuk, to też teraz, gdy postanowiłem ~~[illegible]~~ zrobić stały komplet odbitek ze wszystkich naszych klisz, robota jest niemała. Marynia odbija teraz po kilkadziesiąt dziennie i wykonywa tę robotę z wielką starannością. Będziemy mieli przynajmniej choć raz stały zbiór, który ułożę chronologicznie w albumach lub zeszytach, podatuję i zaopatrzę każdy egzemplarz dopiskiem wyjaśniającym.

2 (15) sierpnia rok 1913. piątek.

3 (16) sierpnia roku 1913. sobota.

Przyjeżdżała dziś pod wieczór p. Paulina Antoniowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia. Biedaczka ma pełno drobnych kłopotów majątkowych, drobnych, nic nie znaczących, ale takich, którym nie umie dać rady. Przez całe życie nie stykała się z temi drobiazgami, które załatwiał nieboszczyk jej mąż; choć był safandułą, choć nigdy żadnej sprężystości nie miał i choć żona go zawsze potrochu zjadała i krzyczała, jednak tam bieżące drobiazgi załatwiał. Teraz p. Weyssenhoffowa ma to wszystko na swojej głowie, a jest niezaradna i nie umie ani się zorjentować w tych kwestyjkach drobnych, ani się na coś zdecydować, to też drobiazgi te wyrastają w jej głowie do rozmiarów wielkich trosk i utrapień. Tymczasem spadkobiercy p. Antoniego, synowcowie jego pp. Jan i Henryk (malarz) Weyssenhoffowie, oraz siostra nieboszczyka stara p. Biegańska, — nie obejmują formalnie Pokrewnia w swe władanie, bo dotąd nie wyjaśnili jeszcze stosunku wzajemnego i bodaj że przy układzie działczym i regulacji sprawy spadkowej powstaną śród nich nieporozumienia i komplikacje.

Wkrótce ma być przywiezione do Pokrewnia ciało p. Antoniego, który zmarł w Łukini u szwagra swego p. Franciszka Kończy i tam czasowo pochowany został.

Wieczorem rozwinęła się burza piękna, pełna grozy i siły w naturze. Powietrze o zmroku było ciepłe i parne; zdaleka na horyzoncie dość rzadkie niskie błyskawice; w pełnej ciszy zdawały się być zaczajone i gotujące się do strasznego skoku żywioły; wtem wietrzyk powiał, za nim skoczył z dzikim świstem wicher, rozwydrzył naturę, lunął deszczem, mnożą się błyskawice i grzmoty, — i znów [illegible] odbiegł, wracając po kilkakroć i krążąc po obrzeżu horyzontu.

4 (17) sierpnia, niedziela, rok 1913.

Rano pojechaliśmy z Marynią i Stefusiem do Szczor z projektem pojechania stamtąd do Tarnowa. W Szczorach u Piotra Rosena bawi teraz jego siostra p. Anna Pisaniowa z dziećmi Tadziem i Teresią. Ponieważ się okazało, że towarzystwo szczorańskie też się dziś wybiera do Tarnowa, więc Marynia ze Stefusiem zaraz się zabrała końmi szczorańskiemi z p. Pisaniową i jej dziećmi do kościoła do Jużyntu i stamtąd już wprost do Tarnowa. Ja zaś zostałem, by pojechać po obiedzie razem z Piotrem. Piotr spał jeszcze, bo wczoraj całą noc grał w karty z braćmi swymi, którzy wyjechali, i z p. Józefem Weyssenhoffem. Korzystając z chwilowej samotności i czasu, usiadłem przy biurku Piotra i napisałem artykulik w sprawie wyborów miejskich, który przeznaczam dla „Kurjera Krajowego" dla zniwelowania wrażenia, wywołanego przez artykuł [illegible] w tejże sprawie. W artykuliku tym zajmuję stanowisko pojednawcze względem „terytorjalnego" komitetu wyborczego i konkretyzuję zasadę municypalizacji urzędów miejskich. Artykulik ten umieszczę w piśmie bezimiennie, jako głos wolny, pochodzący od jakiegoś pośredniego wyborcy.

Wkrótce wstał Piotr Rosen. Zjedliśmy obiad i wyjechaliśmy z Szczor. Piotr musiał jeszcze wpierw zajechać do Jużyntu na posiedzenie miejscowego kółka rolniczego. Zebranie kółka było nieliczne, ale dość ciekawe. Z uwagą przysłuchiwałem się obradom i [skreślone] starałem się zdać sobie sprawę z życia i rozwoju kółka. Na porządku dziennym było kilka spraw bieżących: 1) sprawa prosiąt rasowych, które kółko otrzymało od Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego dla rozdania [skreślone] kilku członkom z warunkiem, aby z przychówku od nich zwracali pewną ilość prosiąt kółku dla ponownego rozdania ich innym członkom na tych samych warunkach; 2) sprawa kupowania narzędzi i maszyn rolniczych za pół ceny za pośrednictwem ministerjum na imię kółka z warunkiem, aby te maszyny i narzędzia obsługiwały szereg gospodarstw włościańskich na zasadzie wypożyczania, ustalonych przez kółko (faktycznie z tej zniżki ceny korzystać będą w kółku jużynckiem poszczególni członkowie, którzy pod firmą kółka sprowadzać będą narzędzia i maszyny, osobiście im potrzebne do własnej ich gospodarki); 3) sprawa zorganizowania w jesieni w Jużyntach parotygodniowych kursów mleczarskich; ta ostatnia sprawa zajęła większą część posiedzenia; propozycja urządzenia kursów wyszła od gubernjalnej komisji urządzeń rolnych; kursami ma kierować instruktor gubernjalny mleczarski, który przez zimę objeżdża w ten sposób całą gubernję; kółko ma mu dostarczyć na czas kursów 2 8 krów, które będą objektem doświadczenia; będą wykłady teoretyczne oraz doświadczenia praktyczne dotyczące karmienia krów i wydajności mlecznej w związku z pokarmem; kursa te wszystkie mają być dostępne nietylko dla członków kółka, ale dla całego ogółu włościan. Kwestja wykonania tych kursów była dziś na zebraniu dość szeroko omawiana i ostatecznie uchwalono urządzić takowe. Kółko jużynckie znam oddawna; powstało ono w r. 1907, jedno z pierwszych w naszych stronach. [skreślone] Do inicjatorów kółka należeli Piotr Rosen, Walerjan Weyssenhoff z żoną, moja Matka, która jest honorową prezeską kółka, oraz kilku światlejszych i zamożniejszych włościan. Z początku w kółku była zbytnia przewaga ziemian, którzy przeważali nie liczbą, ale wpływami. To było dla rozwoju kółka szkodliwe, bo włościanie zaczęli patrzeć na kółko, jako na rzecz pańską, na jakąś zabawkę czy intrygę, skierowaną do pozyskania włościan. Zwłaszcza udział Walerjana Weyssenhoffa był szkodliwy, bo traktował on kółko, jako filantropję i miejsce popisu się i zdobywania popularności; wysadzał się na zbytkowne przyjęcia na posiedzeniach kółka, urządzał im tam zebrania towarzyskie, segregując na przyjęciach elementy ziemiański i inteligentniejszy włościański od zwykłego plebsu włościańskiego; włościanie korzystali z przyjęć, jedli i pili, ale śmiali się z tej zabawki i żywili niechęć do kółka, nie uważając go za sprawę swoją, za wyraz potrzeb własnych. Takie traktowanie kółka przez Weyssenhoffa demoralizowało włościan i szkodziło samej idei kółka. Większość tych, którzy się naraz do kółka zapisali, odpadła stopniowo. Walerjan Weyssenhoff też się wkrótce poczuł zrażony, nie ufając włościanom i teraz już chodzi do kółka mało, formalnie, nie gra w niem żadnej roli i nie bierze czynnego udziału. W kółku pozostali tylko najbardziej uświadomieni i kulturalni włościanie z rzadkim [illegible] elementem. Teraz po kilku latach kółko jużynckie, wprawdzie członków straciło dużo, jednak jest w stadjum dobrego rozwoju. Na czele kółka oprócz Rosena, który się z ziemian jedyny ostał, stoją właściciel folwarku, zamożny włościanin inteligent Masiulis, nauczyciel ludowy Rudwalis, włościanin z wykształceniem gimnazjalnym, właściciel Annopola — Józef Stawski, zamożni i gospodarni światli włościanie Wołłowicz i [illegible] i t.p. Kółko liczy tylko 25 członków. Liczba ta ma wolno się zmniejszać stopniowo, bo dawniej należeli do kółka włościanie i z dalszych stron, teraz zaś, w miarę powstawania tam kilku kółek w innych sąsiednich miejscowościach, jak w Bogiałach, w Afekach, obecnie już i w Komajach, członkowie z tamtych stron odpadają od Jużyntu. Zmniejszenie więc ilości członków w tych warunkach nie świadczy o upadku kółka. Przeciwnie jest to lepiej, że w kółku grupują się rolnicy z [skreślone] ściślejszej okolicy, ponieważ mają już więcej wspólnych spraw i łatwiej mogą we wszystkich [illegible] się potrzebach zespolić. Właściwie członków czynnych i istotnie [illegible] z kółka, — jest kilkunastu, ale za to stanowią oni element zwarty, uświadomiony, — tworzą właściwą podwalinę [illegible] kółka [illegible] i trwałą podstawę kooperacji rolnej. Działalność kółka staje się istotnie bardziej intensywną. [illegible] — jest ono [illegible] kroplą w morzu środowiska włościańskiego, ale jako czynnik kulturalny stanowi o wiele większą siłę. Ogół włościan [illegible] kółka.

219

5 (18) sierpnia, rok 1913, poniedziałek.

Nie wystarczyło mi wczoraj miejsca na dokończenie dnia wczorajszego. Wyjechałem [z J.] rano z posiedzenia kółka Jurynieckiego pod wrażeniem dodatniem. Kółko Juryneckie — to w naszych stronach senjor tego typu włościańskiej kooperacji rolnej. Dało ono niewątpliwie bodźca do powstania szeregu innych kółek w sąsiednich miasteczkach. Pomimo wielu błędów przeszłych, pomimo nawet specjalnej nieufności, którą zasiał w umysłach włościan nietakt Walunia Weyssenhoffa, nietylko że zdołało się utrzymać, ale wkroczyło na tory niewątpliwego, acz powolnego rozwoju. Skupia ono miejscową śmietankę włościańską, tak umysłową, jak kulturalną i ekonomiczną, i choć dotąd dla masy włościańskiej bezpośredniego pożytku nie daje, bo ogół sprecyzowanie nie rozumie tej sprawy i nie wyczuwa jej potrzeby, jednak już dla tej śmietanki, dla tej nielicznej garstki, która prowadzi w postępie gospodarczym i kulturalnym w środowisku włościańskim, jest ono rzeczą potrzebną i pożyteczną. Staje się ono coraz bardziej wyrazem organizacji potrzeb zbiorowych pewnych elementów włościańskich, ich sprawą publiczną, ich dziełem i zarazem narzędziem ich rozwoju ekonomicznego. Jako takie, jako czynnik uświadamiający wobec postępów kolonizacji wiosek na zaścianki i komasacji formacji gruntowych (w Dagielach, Abelach, Komajach i t. d.) — to są etapy tego rozwoju przyszłego, zwiastunami nowymi w kraju naszym formy postępu gospodarczego; powstają one obecnie już nie, za zasługą filantropii, nie z rozpierania ziemian, ale wyrost ze środowiska włościańskiego, gdzie produkujące elementy zaczynają dochodzić do większej świadomości i organizują się. Inteligencji przypadnie niewątpliwie ta rola organizatorów technicznych, jakby instruktorów, ale nie samowładnych ustawodawców czy filantropów. Cieszy mnie, gdy widzę, jak kraj nasz, Litwa kochana z jej ludem odrodzonym narodowo, dźwiga się zaczęła powoli i wytężać wolę, by dążyć do kultury. O ileż tu jest większe świtanie kultury, niż w sąsiedniej Białej Rusi! Należy przyznać, że w dziele dźwigania kultury ekonomiczno-rolnej i w szczególności w sprawie kółek rolniczych są poważne zasługi jak rządu w drodze dyktatoryzmu głównie komisji urządzeń rolnych, tak naszej organizacji ziemiańskiej, — Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego.

Wspomnę tu jeszcze o wczorajszej wizycie w Tarnowie. Z Juryniet pojechałem z Rożem wprost do Tarnowa. Oprócz Nagini i p. Pisaniowej z dziećmi, które tam przed nami przyjechały, zastaliśmy liczne towarzystwo osób. Całe to towarzystwo spędza w Tarnowie wakacje letnie. A więc przedewszystkiem sam gospodarz Waluś Weyssenhoff z żoną i gromadką dzieci. Waluś bez humoru, nadąsany, hamujący w sobie gniew, który w nim ciągle się pleni i ma kształty wybuchowe. Powiadają, że obecnie stosunek między Walusiem a żoną jest lepszy i że gwałtownych scen, kłótni i bijatyk niema. Ale z usposobienia, w jakim był Waluś, i z kilku przelotnych nasuwających uwag widać, że krucho to szło i że porozumienia tam niema. Parę razy widziałem, jak Waluś o coś się zagniewał i jak podchodził do żony i szeptem, z pasją największą, zaciskając zęby i wściekle się na twarzy od wściekłości gniewu, który go rozsadzała, tając ją, zaś hamując wobec gości. Rozdźwięk tych kłótni i awantur domowych, a kłótnych charakterów, obyczajów i niesnasek majątkowych, jest teraz też fakt, oprócz gniewu, mieszkania w Wilnie i zamieszkania na stałe w Tarnowie, co wymógł Waluś u żony. Pani zaś Walusiowa, w wielkiej ciąży, wygląda schorowaną i zmęczoną, mimo że pozory humoru i towarzyskości zachowuje. Dalej bawi tam matka Walusia, stara pani Wanda Weyssenhoffowa, siostra jego — p. Sołtanowa z dorosłą już, przystojną i dość ładną córką, Hanią, oraz z synami kilkunastoletnimi, dalej jeszcze siostra p. Czesława Łopacińska, synowa p. Stanisława, b. posła do Dumy państwowej, wreszcie [illegible] Tarnowa, brat Walusia, głośny dziś i modny, a zwłaszcza niezmiernie popularny wśród ziemiaństwa literat — p. Józef Weyssenhoff, autor „Unii", „Soboli i panny" i innych utworów, w których opisuje ziemiaństwo litewskie, apoteozując jego tradycje i cnoty a z wielkim realizmem odtwarzając typy i charaktery, stąd też popularność jego jest w kołach ziemiańskich niezwykła. Józef to istotnie wielkiego talentu, umysł wykwintny i kulturalny, chociaż człowiek z ogromnym, zdaje się, wybujałym egoizmem. Miły jest bardzo pod względem towarzyskim, błyszczący dowcipem i mądrością, pełny werwy i swobody, naturalny, tryskający jakoś dziwnie lekkością z drapieżnością. Przywitawszy się, wróciliśmy [illegible] zaś po dworze, piliśmy herbatę, potem kolacje. Świat ziemiański jest u nas, zwłaszcza zresztą wszędzie, zamknięty w sobie, oderwany od społeczeństwa miejscowego, jak jakaś kasta odrębna, uważająca siebie za wybraną i lepszą. Wartki potok prądów społecznych, przeobrażających budowę społeczeństwa, w bardzo małym stopniu porusza to środowisko szlachecko-ziemiańskie, w którym, jak w stojącej wodzie sadzawki, utrzymują się niewzruszenie wszystkie starych pojęć i przesądów, resztki kultury społecznej, która dziś ustępuje zewsząd i umiera w nowych demokratycznych kształtach budowy. Po kolacji wróciliśmy wczoraj z Marynią do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach zastaliśmy Zysia Komorowskiego z Hektorem i Julkiem oraz z Felkiem Morzyckim. Wszyscy już spali wczoraj, to też tylko dziś rano zobaczyliśmy się z nimi. Wszyscy bo zaraz po herbacie Zyś wyjechał, śpiesząc do Kowaliszek do pracy. Zyś od lat paru agituje już w naszej rodzinie za tym, aby Papa zdał mu swe Kowaliszki. Dziś też na ten temat dużo mówił, wprost nie wprost, bo mogłoby to drażnić Papę, jeno aluzjami, których tendencyjna treść była aż nazbyt przejrzysta.

6 (19) sierpnia, rok 1913. Wtorek.

Otrzymałem list od Anny. Przysłała mi ona fotografię grupy dziewcząt-uczennic Krasnosielskich, śród których i sama też stoi, chociaż nie tak, jak one, ubrana, ale też z chusteczką na głowie, w ogólnym szeregu dziewczęcym. Dziewczęta wszystkie są w ładnych polskich strojach ludowych, bose. Patrząc na tę grupę, dziwnie mi jakoś wygląda to środowisko ludowe z moją Anną w zestawieniu z tym środowiskiem, do którego z urodzenia należę i które mię tu na wsi w sąsiedztwach ziemiańskich otacza. Są to 2 światy od siebie i obca. Moja Anna należy niewątpliwie do tamtego, ludowego, środowiska, do którego też moje sympatje i ideały całkowicie się skłaniają, pomimo że się zerwać zupełnie od jednego i zlać z drugim nie mogę. Dopiero też w tych dalszych czasach ujrzę, jaką walkę i jakie ciosy znieść będę musiał, gdy się z Anną po śmierci moich Rodziców jawnie połączę. Ziemiaństwo i arystokracja łatwiej dopuszczą do [illegible] siebie człowieka zupełnie obcego, niż zniosą człowieka z ich szeregów, który się z takowych wyłamie i naruszy ustalone formy bytowania szlacheckiego. Droższe mi jest życie moje, które się w związku z Anną streszcza, od tych wszystkich nieswobodnych form arystokracji [illegible] ze skamieniałemi przesądami, głupstwami, maniami, pętającemi duszę ludzką w imię utrwalenia swojej kasty, której bym najmniej za godną utrwalenia nie uważam.

List mojej Anny brzmi tak: „14 sierpnia 1913 roku. Mój
„Michał! Przysyłam Ci jedną fotografię, na której stoją bosy-
„tkie Krasnosielanki oraz Twoja Anna.
„Tego ranka, gdyśmy szły wszystkie do Nałęczowa, sfotogra-
„fowała nas jedna nauczycielka.
„Byłam dzisiaj w dwóch wycieczkach — jednej do hr.
„Zamoyskiego, i drugiej — do Nałęczowa. Teraz za 2 ty-
„godnie, wszystkie dziewczęta i wszystkie nauczycielki oraz
„panna Kosmowska pojadą do Krakowa, Zakopanego i
„jeszcze do wielu innych miejsc, tam, gdzie kopią węgiel
„z ziemi.
„Powiedz, co myślisz, mój Michasiu, czy mam też jechać
„z niemi, czy nie. Proszę mnie, abym jechała razem. Jeżeli
„pojadę, to cały koszt wynosi tylko 15 Rubli.
„Teraz, mój Michasiu, jak myślisz, — jechać czy nie.
„U nas ciągle padają ogromne deszcze, rzadko ładny dzień
„ze słońcem.
„Całuję mego Michasia dużo, dużo razy. Twoja
„Aelusieczka".

Ten projekt jazdy Anny do Krakowa i Zakopanego z wycieczką młodych koleżanek, zwłaszcza taki tani, bardzo mi się podobał. Choć mi smutno będzie w Wilnie bez Anny, bo z pewnością wycieczka ta opóźni znacznie jej powrót, jednak chcę, aby się Anna rozerwała i zobaczyła trochę nowego świata, a zwłaszcza aby poznała i pokochała, co jest w Polsce pięknego. Zależy mi bardzo na tym, aby Anna pokochała Polskę i nie sądziła jej podług tego, co tu widzi, gdzie polskość jest reprezentowana przez [illegible] ciasnych szlacheckich lub przez zewnętrzną, wstrętną bandę i gwałty na litwinach w kościele św. Jana w Wilnie. Nie wiem, czy się kiedykolwiek taka dobra okazja i taka sposobność dla Anny zdarzy. A co za rozkosz będzie dla mnie słuchać opowieści wrażeń Anny z tej wycieczki. Z jej bogatej wrażliwej natury wyczerpię pełną ręką cały zasób spostrzeżeń i wrażeń, tak jakbym z nią całą tę wycieczkę odbył. Napisałem więc zaraz, aby jechała. Za dłuższą tęsknotę będę sowicie wynagrodzony bogactwem wrażeń w obcowaniu z moją dziewczyną.

7 (20) sierpnia, rok 1913. Środa.

Rano wyjechała do Wilna Marynia ze Stefusiem i z Anatolem Dziewulko. Choć jutro ma się odbyć w Pokrewnie pogrzeb zwłok ś.p. pana Antoniego Weyssenhoffa, a na dziś zapowiedziany jest przyjazd do nas stryjenki Kazimierzowej Römerowej z córkami, jednak Marynia nie mogła już odkładać wyjazdu ze względu na Stefusia, który ma terminową poprawkę w gimnazjum. Marynia już wyjeżdża do Wilna na stałe.

Przed samym obiadem przyjechała stryjenka Kazimierzowa z córkami Renią, Jolą i Marynią. Stryjenka spędziła 2 dni w Tarnowie u Weyssenhoffów i teraz stamtąd do nas przyjechała. Z domem stryja Kazimierza Römera stosunki zawsze są niewyraźne. Stryj Kazimierz, człowiek rozumny i bardzo uczciwy, jest konserwatystą fanatycznym i katolikiem niesłychanie konsekwentnym, który nietylko że sam stosuje zasady katolickie do całego życia swego we wszystkich szczegółach od najdrobniejszych spraw osobistych do spraw i zagadnień publicznych, ale też wymaga takiegoż niezłomnego stosowania tych zasad od wszystkich innych ludzi i tą tylko miarą mierzy ich czyny i ich wartość. Zasady te nie są zasadami chrześcijańsko-ewangelicznemi, ale ściśle katolickiemi. Zachodzi bowiem wielka różnica między systematem etycznym Chrześcijaństwa, jako nauki Chrystusa, a systematem społecznym Katolicyzmu. Stryj, jako katolik niezłomnych przekonań, uważa oczywiście moje przekonania za złe i całą moją działalność, w czymkolwiek się ona przejawia, za zgubną i społecznie szkodliwą. Dawniej kiedyś, gdym jeszcze był w Paryżu, stryj pisał o mnie do Papy, nie znając jeszcze moich przekonań, tak: „byle się nie wciągnął w szeregi nieszczęsnej warcholskiej Narodowej Demokracji". Nawet Endecja wydawała się stryjowi, katolikowi, zbyt radykalną i niedość katolicką. Jakież było zgorszenie stryja, gdym w r. 1906 wydawać zaczął prawdziwie radykalną, rewolucyjną „Gazetę Wileńską". Stryj próbował mię wtedy parokrotnie przekonać i nawrócić z drogi zdaniem jego zgubnej. Przekonywał mię osobiście i listownie. Wierzył jeszcze wtedy, że to są błędy młodości, złe wpływy ludzi, pracujących na zgubę kultury i narodu. Później wreszcie, gdy nie widział zmiany we mnie i przekonał się, że istotnie takiemi są moje własne i świadome przekonania, próbował oddziaływać na mnie przez Papę, pisał do mnie, grożąc mi zerwaniem stosunków, wreszcie dał za wygraną, ale odtąd uważa mię za człowieka straconego. Papę stryj kocha bardzo, może najwięcej z rodziny, i wszystkim dzieciom swoim wpoił szczególniejszy kult dla Papy. Ze względu wszakże na mnie trzyma się trochę zdaleka od domu bohdaniskiego, a zdaje się, że syna swego, Antosia, nie dopuszcza wcale do jakichkolwiek stosunków ze mną, bojąc się „wpływu" mego. Obecny przyjazd stryjenki Kazimierzowej z córkami jest wyrazem [?] kompromisu między wymogami względów familijnych, wymagających wizyty w Bohdaniszkach, gdy się jest w tych stronach, a niechęcią do mnie i do tej „[illegible]", którą w przekonaniu stryja stanowią moje ideały i moje czyny. 2 starsze Römerówny, Renia (Irena) i Jola (Jolanta) są ładne, bardzo dobrze ułożone, mają dużo wdzięku i taktu życiowego. Wychowanie ich jest bardzo staranne i stylowe — w stylu babek i prababek tradycji polsko-szlacheckiej; są bardzo skromne, powściągliwe, bardzo religijne, co nie przeszkadza im być wesołemi i energicznemi. Są one skończonym odbiciem wzorów tradycji czystej, wolnej od jakichkolwiek domieszek modernizmu. Renia podobała mi się zrazu więcej od Joli, bo choć jest mniej na oko efektowna, cichsza, bardziej skupiona w sobie, jednak wydała mi się głębszą, szczerszą i serdeczniejszą od siostry.

Stopniowo wszakże Jola przerosła w moich oczach Renię. Zwłaszcza [?] mię śpiew Joli do niej przekonał. Ma śliczny głęboki głos, kontralt, bardzo rzadki, przepiękny zwłaszcza do słów tragicznych. Jola jest bardziej wyrazista od Reni, indywidualna, ekspansywna, natura bogata i niewątpliwie głęboka. Jola ma dużo z typu Römerów, wschodniego, w wyrazie i śpiewie przypomina mi nieraz stryja Kazimierza, z profilu zaś twarzy i rozmaitych szczegółów przelotnych przypomina mi też Helę O. Mackowską [?]. Trzecia — Marynia jest bardzo brzydka z twarzy i figury. Ma lat 19 a wygląda na 15-letnią. Jest wszakże wychowana, jak siostry, i jest dzielna, gospodarna, ma dobre oczy i dobre serce. Wieczorem przyjechali Zysiowie [?] Römerowie, zajechali do nas, by jutro razem udać się na pogrzeb p. Antoniego Weyssenhoffa.

8 (21) sierpnia
rok 1913.
czwartek.

Byliśmy na pogrzebie, właściwie przeniesieniu zwłok,
zmarłego na początku roku ś.p. pana Antoniego Weyssen-
hoffa. Umarł on w Łukiszkach, w majątku szwagra swego, p.
Franciszka Kończy, i tam był czasowo pochowany. Zwło-
ki jego teraz przewiezione zostały przez Wiłkomierz, Onik-
szty, koniem do Pokrewnia, dokąd dziś przybyły, i tu złożo-
ne do grobów rodzinnych w lasku przy zamczysku dworne. W
Krewnie odbyły się najpierw egzekwie i msza żałobna
a potym pogrzeb w Pokrewniu. Zwłok do Krewna nie wo-
żono wcale. Zjazd sąsiedztwa ziemiańskiego był dość
liczny. Z najbliższej rodziny była naturalnie wdowa, pani
Paulina Weyssenhoffowa, następnie siostra zmarłego,
stara p. marszałkowa Siegańska, jej córka p. Fran-
curowiczowa, synowiec zmarłego, p. Jan Weyssenhoff
z synem Henrykiem; z rodziny dalszej i sąsiedztwa
byli: ~~[illegible]~~ Weyssenhoffowie z Tarnowa, Walunio, Jó-
zef; p. Melania Sołtanowa, Mania Sołtanówna, dzieci,
dalej oboje Komorowscy z Kowaliszek, z Łaczan Piotr
Rosen i p. Anna Pisanina, z Anturowa panny
Elżbieta i Helena Roppówny, z Bołdaniszek Łopa,
ja i 2 starsze Römerówny Janopolskie — Renia i
Jola, wreszcie księża — proboszcz krewieński Kur-
tejko i proboszcz juzyński Domunas. Ziemiań-
stwo uczciło solidarnie pamięć jednego ze swoich,
który, mimo że był zawsze człowiekiem biernym i nie-
czynnym, jednak wiernym był przez całe życie trady-
cjom i ideałom naszej szlachty ziemiańskiej. Tę tej
~~[illegible]~~ cechę nieboszczyka podniósł w swej mowie po-
żegnalnej, jako zastępca, Walunio Weyssenhoff. Mowa
ta, wygłoszona z rękopisu, miała formę piękną, odwo-
łującą się do ~~[illegible]~~ dawnych ~~[illegible]~~ powstańczych ideałów szlachty
i do tej przeszłości, kiedy ~~[illegible]~~ rody szlacheckie two-
rzyły u nas dzieje i ~~[illegible]~~
skupiały w sobie prawa i obowiązki obywatelskie. Tak
oto teraz ich potomkowie, żegnając jednego z tychże
potomków, w społeczeństwie, którego budowa coraz
dalej odbiega od tych dawnych wzorów, wspominami tę-
sknie w przeszłość, gorąco jej ideału wzywali, pojąc
się pamięcią ~~[illegible]~~ świetnych blasków swego za-
chodu, który w chwilach takich jeszcze się im
ich potomkom wydaje. Przemawiał też ks. Kurtejko,
po polsku i po litewsku, w ciężkiej formie, ale
serdecznie, akcentując społeczny pierwiastek soli-
darności i moralny braterstwa ludu z tym
panem, który był jego sąsiadem i współobywatelem.
Po pogrzebie był suty obiad i długo jeszcze potym, aż
do samego prawie zachodu, całe towarzystwo bawiło się
zmurowane na werandzie. Rozmawiałem przeważnie z p.
Janem Weyssenhoffem z gub. Mohylowskiej, człowiekiem
bardzo miłym ale gruntu niewykształconym. Potym wszyscy się jednocześnie
rozjechali. Były 4 czwórki w zaprzęgu — gaczańska, tarnowska, kowaliska i bołdaniska.

9 (22) sierpnia. rok 1913. piątek.

Rano wyjechała stryjenka Kazimierzowa z córkami na kolej a zaraz też wyjechali Zysiowie Komorowscy do Kowaliszek.

Miałem przykrość. Przyszedł list od Eugieniusza Römera do Papy. Eugieniusz w imieniu Reginy upomina się o alimenta ode mnie; skarży się, że od grudnia przestałem rzekomo płacić Reginie i grozi ewentualnym dochodzeniem sądowym. W istocie płacić nie przestałem i jeszcze niedawno temu, w czerwcu, wpłaciłem rb. 70 na imię Reginy, ale rzeczywiście ostatnie wypłaty moje były stosunkowo mniejsze, niż płaciłem poprzednio. W jesieni roku 1910, po sądzie rodzinnym, który zlikwidował mój zatarg osobisty z Eugieniuszem, stanął między Eugieniuszem, jako przedstawicielem Reginy, a mną w obecności i przy udziale Papy układ, którego mocą ja się zobowiązałem wypłacać Reginie alimenta w kwocie rb. 50 miesięcznie. Układ ten miał być tymczasowy. Na moje i Papy przedstawienie, że chcielibyśmy, aby francuska panna Elisa Courtot, była usunięta od wpływu na dziecko, i że byłoby ewentualnie pożądane, aby Regina zamieszkała z dzieckiem czy to u swej matki czy np. u stryjenki Bolesławowej, Eugieniusz odrzekł, że kwestji tej kategorycznie stawiać w postaci żądania nie sposób, lecz że on sam spodziewa się, że z czasem, może tam od wiosny przyszłej, dojdzie istotnie do tego, że Regina czy zamieszka u stryjenki Bolesławowej, czy jakoś inaczej się urządzi i że wtedy zasady układu mogą się zmienić. Stanęło na tym, że układ w każdym razie będzie obowiązywać do lata, a potym obaczymy, co dalej, jeśli będą podstawy do zmienienia go. Jakoż na wiosnę r. 1911 Regina przeniosła się z mieszkaniem z Wilna do miasteczka Cytowian, gdzie dzierżawi domek od Eugieniusza. Uważaliśmy z Papą, że fakt ten zmienia podstawę układu, ponieważ życie na wsi będzie dla Reginy tańsze. W końcu r. 1911 Papa napisał do Eugieniusza o tym, nadmieniając, że nastały warunki do zmiany układu, który miał obowiązywać do lipca 1911. Eugieniusz odpisał, grożąc sądem i nie chcąc nic słyszeć o zmianie układu. Na tym się urwało. Ja zaś od r. 1912 zacząłem płacić już mniej akuratnie, niż dotąd, biorąc ± za [illegible] po rb. 35 miesięcznie. Liczyliśmy z Papą, że na wsi to Reginie wystarczy przy rb. 500 rocznie, które ma od matki, w stosunku do tego, co płaciła w Wilnie. Jak należy teraz postąpić wobec wystąpienia Eugieniusza? Dopuścić do procesu sądowego — to byłby to skandal głośny i niesmaczny, przykry bez względu na rezultat. Uradziliśmy w końcu z Papą — wznowić płacenie po rb. 50 na podstawie starego układu. Obecnie nie warto się było, aby nie należałoby mnie zaproponować Eugieniuszowi rewizję układu i oddać sprawę na decyzję trzeciej osoby.

10 (23) sierpnia
rok 1913.
sobota

Po całym szeregu dni, spędzonych śród gości, którzy albo u nas byli, albo my do nich jeździliśmy (bo i wczoraj byli goście po obiedzie, mianowicie p. Paulina Antoninowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia i p. Jan Weyssenhoff z synem) dziś wreszcie cisza domowa zaległa Bohdaniszki. Jest to mój ostatni dzień w Bohdaniszkach. Kończą się moje wakacje i jutro już do Wilna wracam. Rano wyjechał do Wilna Papa. Zostaliśmy tylko Mama, Ewa (Helcia), Mademoiselle Jeanne i ja. Rad byłem z tego spokoju, który zapanował. Goście mię najwięcej nużą, zwłaszcza tacy goście mniej lub więcej obcy, ściągani z kół ziemiańskich.

Spisywałem dla Mamy rachunki z administracji Wigszpowca w I półroczu roku 1913. To mi zajęło większą część czasu.

Dzień ten mi upłynął głównie pod wrażeniem Mademoiselle Jeanne. Podoba mi się ona i, zdaje się, że jest takie pod wpływem wrażeniem. Przez czas, gdy byli goście, czuło się z nią stykałem. Jest ona bowiem nieśmiała i nie umie gawędzić i ~~[illegible]~~ prowadzić jakoś rozmowy ciągłej. Zwykle tylko przy kartach lub w toku jakiejś gry daje ujście swemu weselu, sprytowi, dowcipowi; ~~[illegible]~~ to też zawsze ma wielką ochotę do gier i zabaw. W rozmowie zaś deteniuje się, traci wątek myśli, odpowiada lub pyta słowami urywanemi, wcale nie posiada ekspansji i swobody. Gdy jest z Ewą ~~[illegible]~~ lub wcale śród kilku osób, to jeszcze jakoś jej raźniej idzie, ale sam na sam — ani rusz. Miła to jest dziewczyna, pełna życia, a jednocześnie ma dużo taktu, dużo wyrobienia i obowiązkowości. 17-letnia młodość i ładna twarzyczka oraz świeżość całej jej natury psychicznej — stanowią główny jej urok. ~~[illegible]~~ Przez cały ranek aż do obiadu Mademoiselle Jeanne siedziała sama jedna w wielkim pokoju na górze, dokąd się od paru dni z Ewą przeniosła. Ewy nie było w domu — pojechała do Abel. Ja siedziałem przy Mamie na dole i pisałem rachunki. Mademoiselle Jeanne nie siedziała z nami, bo obecności Mamy się onieśmiela. Kilkakroć pod rozmaitemi pretekstami zachodziłem do niej i trochę rozmawiałem. ~~[illegible]~~ Wszakże siedzenie ze mną we dwoje i trochę rozmowy nawiązać nie udawało się. Mademoiselle pisała list i swój dzienniczek, który ja niby chciałem przejrzeć, ona zaś mi go nie dawała i broniła się z przejęciem. Na obiad wróciła Ewa. Po obiedzie musiałem kontynuować rachunki. Wpadłem wszakże do Ewy i Mademoiselle na górę i tam u nich kawę poobiednią wypiłem. Ewa malowała, Mademoiselle siedziała na uboczu. Wiedziałem, że pragnie zagrać w karty, ale wstydziła się zaproponować. Karty przyniosła mi Ewa, lecz gdy my brałam talię do rąk, ja nie proponowałem gry umyślnie, żeby ją podrażnić. Rozmawiałem trochę, żartowałem. Mademoiselle się trapiła i była samą złą na siebie za to, że nie umiała panować nad sobą i ~~[illegible]~~ przezwyciężyć skrępowanie. Zaczęła się dąsać, dostała ~~[illegible]~~ złego humoru, kaprysiła, a tym bardziej się dąsała, tym bardziej była zła na siebie. ~~[illegible]~~ Umyślnie ją drażniłem i wreszcie, wychodząc, dałem jej leciutko do zrozumienia, że jest zniecierpliwiona i że rzeczywiście chce mnie się pozbyć. Mademoiselle po wyjściu moim była zdenerwowana i płakała nawet. ~~[illegible]~~ Humor przeszedł w przygnębienie. Gdy zeszła na podwieczorek i potem ~~[illegible]~~ przewracała z Ewą siano na trawniku, była smutna, milcząca, pomimo, jak ma, że aż uwagę Mamy zwróciła. Miałem dziś na noc, przed, wyjechać, ale postanowiłem zostać do jutra dla Mademoiselle Jeanne, by mieć przyjemność wypogodzenia jej humoru i zabawienia jej wieczorem w zgodzie i pogodnym nastroju. Wiem bowiem, że u dziewcząt takich po przygnębieniu i humorach następuje prześliczna pogoda, pełna wesela, zmieszanego z rozczuleniem ~~[illegible]~~ pewnej tęsknoty, i że są one wtedy, jak kwiaty, wydające najintensywniejszą przecudną woń, na jaką je stać zależnie od ~~[illegible]~~ natury. Tak też było istotnie. Podszedłem do Mademoiselle Jeanne, przewracającej siano na trawniku, i ~~[illegible]~~ przyparłem i na głucho zamkniętej w swym przygnębieniu, pogłaskałem ją kilku ciepłemi słowami, zaprawiłem serdecznością, żartobliwością, powiedziałem, że zostaję, i zaproponowałem pójść wieczorem po kolacji rozpalić ognisko w Sajusie lub ogrodzie. Zaczęła się niewyraźnie rozpromieniać i rozkwitać humorek pogodny, jak kwiatek swe listki. Przy kolacji była już ~~[illegible]~~ pogodniejsza, choć cicha. Efekt był zupełny, jakiego pragnąłem. Rzewna tęsknota, jak chmurki leciutkie, ustępujące na krańce horyzontu po burzy, opromienionej słońcem, kojarzyła się z iskierkami w oku weselem. Po kolacji więc nie mówiąc Mamie, poszliśmy z Mademoiselle i Ewą do Sajusu, wzięliśmy słomy, ziemniaki kartofli i parę ciasteczek, wyszliśmy na Montecul, gdzie rozpaliliśmy piękne ognisko. Na tle ciemnej nocy efekt był bardzo piękny, a Mademoiselle Jeanne była ucieszona i nawet, a zresztą wstydliwa. Koło godz. 11 wróciliśmy do domu. Mademoiselle Jeanne zaproponowała jeszcze zagrać w karty we trójkę w salce przy jej pokoju. Grali[illegible]śmy aż do godz. 1 w nocy w grę dziecinną — były mi kotowanie i śmiech.

225

11 (24) sierpnia, rok 1913, niedziela.

Południowym pociągiem wyjechałem przez Abele do Wilna. Wysiedziałem się w tym roku w Bohdaniszkach długo, przeszło miesiąc. Pożegnanie nie było ciężkie. Wprawdzie Mademoiselle Jeanne robiła na mnie wrażenie, ale ani z jej ani z mojej strony nie było uczucia głębszego. Nie była to nawet miłostka. Poza wrażenia stosunek ten nie przekroczył i w niczym nie zmienił ani dotknął miłości mojej dla Anny. Chłonąłem przyjemność wrażeń, dostarczanych mi przez stosunek z Mademoiselle Jeanne, tak, jakbym się bawił widokiem czy w ogóle czymś pięknym i miłym. Wrażenia te były czyste, dalekie od jakiejś zmysłowości świadomej, dalekie też od głębokich wzruszeń miłości. Naturalnie, że wrażenie, sprawiane przez kobietę, jest z natury inne, niż wrażenia pięknych widoków przyrody, ale bądź cobądź nie jest ono identyczne z miłością i w moim charakterze przynajmniej daje się ono umieścić równolegle do miłości innej kobiety, nie rujnując bynajmniej takowej. Milutka Mademoiselle Jeanne nie zrobiła konkurencji Annie, która jest zawsze moją jedyną i kochaną.

Upał miałem w drodze okropny. Wagony były przepełnione. Spotkałem się w drodze z p. Józefem Drewnowskim, administratorem Rakiszek. Spędziłem z nim parę godzin w Kalkunach na rozmowie. P. Drewnowski poruszył znów temat, który coraz częściej w tych latach moi sąsiedzi bohdaniscy wobec mnie poruszają — w sprawie [skreślone] objęcia przeze mnie Bohdaniszek. Najgorliwiej w tym kierunku gada a nawet stara się pobudzać [?] oddziaływać Zygmunt Komorowski, o tym samym mówi Piotr Rosen a teraz i Drewnowski. Uważają oni, że należałoby mi już osiąść w Bohdaniszkach i objąć gospodarkę, bo już czas potemu, gdyż im dalej, tym będę starszy i tym trudniej będzie mi sprawy zadzierżać [?] pracę zupełnie dla mnie nową, a Papie czas się już usunąć, bo jest coraz starszy i coraz mniej ma sił. Za lat kilka z pewnością sprawa ta stanie się coraz bardziej aktualną, bo starość Papy postępuje i znaczy ślady na siłach Jego. Co i jak będzie dalej — tego nie mogę przewidzieć. Tymczasem wszakże projekty takie są niewykonalne. Nie tylko dlatego, że Papa sam nie życzy się usuwać i nawet przeciwnie — coraz twardziej się trzyma zarządu Bohdaniszek i mnie jaknajmniej dopuszcza i wciąga do swej pracy, jakby się obawiając konkurencji mojej, ale też [skreślone] dlatego, że ja sam teraz w tych warunkach nie chcę tego. Dziś, gdybym miał otrzymać Bohdaniszki, miałbym wielką ochotę pracować na nich. Jeżeli je otrzymam po latach kilkunastu czy dwudziestu, mając lat 50, to już może rozpoczynać gospodarstwa nie zechcę, bo będę za stary. Ale wobec charakteru absolutnego Papy i wobec stosunku naszego, który mię zawsze onieśmiela, do gospodarki na Bohdaniszkach przy Papie — nie chcę i poprostu być nie mogę. Musiałbym być bowiem chyba tylko pisarzem ślepym, ekonomem, ślepym wypełniaczem rozkazów Papy i nic nadto. Inicjatywy nie miałbym żadnej, praca byłaby tylko niewolniczą.

12 (25) sierpnia rok 1913. poniedziałek.

Cały dzień i rezerwę mi na załatwianiu pilnych spraw, które się przez czas wakacji nagromadziły. Korespondencja, podania, studjowanie kwestji prawniczych — zajęły całutki dzień siedzenia przy biurku. Z domu tylko na krótko wychodziłem, i to w interesach.

Czekam bardzo listu od Anny i obawiam się, że tymczasem list jej przyjdzie do Bohdaniszek, bo mogła już zapóźno otrzymać wiadomość o moim wyjeździe do Wilna. Niewiem, na kiedy mogę się spodziewać jej przyjazdu, jeśli weźmie udział w Szapiełowskiej wycieczce do Krakowa i Zakopanego. Pragnę dla niej tej wycieczki, ale nie rozumiem, w jaki sposób za rb. 15 można tyle podróżować — choćby w wycieczce zbiorowej. Chyba że w Galicji wycieczka będzie miała darmowy przejazd na kolejach i wszędzie darmowy gościnę i utrzymanie. Sam paszport zagraniczny kosztuje przecie rb. 15. Ciekaw jestem bardzo wieści od Anny. Napisałem dziś do niej, zachęcając ją raz jeszcze do udziału w wycieczce i rozpytując o wszystkim.

Wiadomości wileńskich żadnych jeszcze prawie nie mam, bo prawie z nikim się nie widziałem. ~~Wiem~~ Dowiedziałem się tylko, że między Maikowskim a Hertzem pojedynek się odbył — szopka właściwie, bez żadnych konsekwencji, że dalej dr. Sumorok organizuje jakieś podobno spółki wydawnicze „Kurjera Krajowego”, — i nic ciekawszego ponadto. W sprawie wyborów miejskich — stoi się przed nowego i sytuacja ta sama, komitet „bezpartyjny” jeszcze właściwie nie działa.

13 (26) sierpnia, rok 1913. Wtorek.

Napisałem dla „Kurjera Krajowego" artykulik z wrażeń wsi. Bynajmniej wszakże nie z „nastrojów wiejskich", nie zachwyty nad przyrodą lub rozkoszą wczasów wakacyjnych — o, nie. Zamierzam w kilku artykulikach ruszyć aktualne zagadnienia gospodarczo-społeczne naszej wsi włościańskiej, przedewszystkiem zaś sprawę podziału wiosek z szachownicy sznurowej na skomasowane zaścianki, następnie sprawę kooperacji i zwłaszcza kółek rolniczych i może coś jeszcze z dziedziny zbiorowego życia kulturalnego w stosunkach włościańskich. W dzisiejszym artykuliku omówiłem sprawę komasacyjną. W popularnym dzienniczku ogólno-politycznym kwestje ekonomiczno-społeczne nie bardzo się nadają do głębszego omawiania. Publiczność żąda od takiego dziennika przedewszystkiem łatwej strawy informacyjnej na temat rozmaitych wydarzeń oraz polityki. Nawet artykuły polityczne, o ile nie dotyczą jakiejś jaskrawej i sensacyjnej aktualności a mają charakter bardziej zasadniczy, są już trochę dla takiego pisma zaciężkie, a cóż dopiero zagadnienia ekonomiczno-społeczne, które, będąc nawet najbardziej aktualne i żywotne, są rzeczą ciągłą i nie mającą charakteru sensacji. Tęsknię bardzo do powstania w Wilnie specjalnego pisma ekonomicznego. Projektowany na wiosnę przez Stadniewicza, Żukowskiego i innych „Informator Handlowo-Przemysłowy" (nie jestem zupełnie pewny tego tytułu), do którego też służyć artykułem miałem, dotąd się nie ukazał. Stadniewicz zapewnia, że wkrótce się już № pisma tego ukaże, — ale czy się utrzyma na stałe, czy nie będzie tylko jedną z licznych prób efemerycznych. Bardzo chętnie wszedłbym do redakcji takiego pisma, a może nawet objąłbym kierownictwo. Poza publicystyką społeczno-ekonomiczną potrzebny też byłby jakiś zespół ludzi, interesujących się zagadnieniami tej kategorji i chcących oddać nieco pracy sprawie poznania stosunków i potrzeb ekonomicznego rozwoju kraju. Niewątpliwie, że takie grono ludzi, gdyby się zespoliło i zorganizowało swą pracę, mogłoby nietylko pracą działać w kierunku czysto statystycznym, ale i wywierać wpływ dodatni na kierunek rozwoju na przyszłość, dostarczając ruchowi ekonomicznemu spółdzielców i dodając zarazem bodźca lub nawet czynnej pomocy, organizując opiekę i t.d.. Zatem powstało istotnie w Wilnie Towarzystwo Ekonomiczne, które ma takie właśnie zadanie, ale, jak dotąd, wnosząc z inicjatorów jego, wydaje mi się niewyraźnym i bodaj czy nie piastującym jakichś celów ubocznych osobistych czy klasowych. W każdym zaś razie zachowam wobec Towarzystwa tego rezerwę, nie przestając mieć nań zwróconej baczej uwagi.

Nocnym pociągiem wyjechałem z Wilna do Radoszkowic. Jadę do Wiązowca.

Wagony II klasy pociągu mińskiego tak były przepełnione, że nie tylko spać, ale nawet siedzieć nie było miejsca. Musiałem więc w drodze dopłacić do I klasy, żeby mieć wypoczynek. Istotnie pospałem trochę, ale zato nawiało mi w głowę ciągiem od okna, tak że gdy przyjechałem około godz. 6 rano do Radoszkowicz, byłem niewyspany i głowa mię boleć zaczynała. Furmanką do Wiazowca musiałem wziąć, bo koń mój poprzedni, Pryma, sprzedany, a nowego jeszcze nie kupiłem. ~~[illegible]~~ Około południa dojechałem wreszcie do mojej kochanej leśniczówki, do której się bardzo przywiązałem i w której pobyt sprawia mi zawsze wielką przyjemność. W lesie teraz cicho, nic się nie robi. Dopiero z kampanją jesienną ruch się ożywi. Przesiedziałem się po lesie z Brzeziekierskim, wysłuchałem relacji jego, ale byłem bardzo zmęczony i nie bardzo mogłem kombinować, a głowa mię bolała coraz bardziej. To też ledwo się doczekałem zmroku, by się położyć się spać. W domu Hrynkiewicz tynkuje teraz ściany w pokoju Brzeziekierskiego, zawiesi końcy wstawione okienice. Brysia zastałem bardzo wymizerowanego — podobno był chory, nic nie jadł, miał pysk wybrzękły.

Słońce złote sierpniowe zalewało blaskiem polankę, na której stoi moja leśniczówka wiazowiecka. Czarne ściany lasu dokoła, żółknące listki brzózek na tle ciemnych barw sosny i jodły — sprawiały piękny widok, którym się napawałem, żałując, że nie mogę tu zabawić dłużej i że już jutro będę musiał znowu mój Wiazowiec opuścić. Z wielką chęcią zabawiłbym tu jakiś tydzień, zwłaszcza że po mokrym brzydkim lecie zaczyna się ustalać słoneczna piękna pogoda wczesnej jesieni. Ale muszę się spieszyć do Wilna, a wpierw jeszcze, jutro, muszę być w Radoszkowiczach, gdzie ma się odbyć wystawa włościańska i wieczorek Chatowskiego i gdzie myślę sprobować kupić konia, a potym muszę być jeszcze w Chatwicy u Księdza Wołodkowicza dla zebrania alountz Henrysia Wołłowicza, i potym u nauczyciela ziemskiego w okolicach Krewa.

14 (27) sierpnia
rok 1913.
środa.

15 (28) sierpnia
rok 1913.
czwartek.

Rano wyjechałem z Pieślakiewskim z Wiarówka do miasteczka Radoszkowicz, gdzie cały dzień dzisiejszy spędziłem. Dziś, w święto Matki Boskiej, uroczystość w Radoszkowiczach niezwykła. Po pierwsze święto wypadło we czwartek, to znaczy w dniu kiermaszu tygodniowego w miasteczku. Po drugie w dniu tym wyznaczona była wystawa bydła włościańskiego i wyrobów ludowego przemysłu domowego. Wreszcie wieczorem miał się odbyć teatr amatorski w 3 językach (białoruskim, rosyjskim i polskim), oraz zabawa taneczna na rzecz miejscowej straży ochotniczej. Inicjatorem i duszą tak wystawy, jak teatru i wieczorka był naturalnie Własow. Dziwny człowiek — dość ociężały, leniwy, ale zarazem dzielny i ruchliwy. ~~[illegible]~~ Oczywiście ociężałość i lenistwo są w nim tylko pozorne. ~~[illegible]~~ Większą część roku spędza on teraz w okolicach Radoszkowicz, w swoim folwarczku Migówka. Do Wilna wpada tylko dla pchnięcia N-ru swego białoruskiego pisma rolniczego „Sacha". Na wsi Migówka jest mu tylko punktem oparcia. Wprawdzie i tu się zajmuje i ma ciągle pomysły rozmaite, które wykonywa, zakłada u siebie ogród owocowy, na szkółkę drzewek szczepionych, zabiera się do stawiania willi dla letników, na co ode mnie kupił drzewo, dokupuje ziemię do folwarczku swego, ale nie gospodarny on. Żyje po spartańsku — herbatą, chlebem, masłem, mlekiem, — gotuje sobie sam na maszynce, przytem siedzi większą część czasu albo w Radoszkowiczach, albo u szwagra swego bogatego ziemianina [illegible], albo rozjeżdża na rowerze po wsiach dokoła. W tępym środowisku głębokiej prowincji, gdzie życie się wlecze leniwie i gdzie brak, nie wytrzymałby temperamentu inteligentów, co ospali i ledwie własnemi sprawami się zajmują a [illegible] do jakichś wysiłków zbiorowych nigdy się sami nie zabiorą, wnosi Własow pełną garścią zaczyn inicjatywy i organizacji. Zna ludzi, stwarza zawiązki działalności zbiorowej, budzi czytelnictwo śród ludu i budzi postęp gospodarczy, ~~[illegible]~~ analizuje warunki rozwoju społecznego i stanu ekonomicznego, krzewi ruch białoruski, rozwija miłość do kraju i pierwiastków kultury swojskiej i t. d.. Działalność jego, która ma cechy apostolstwa, nie jest pozbawiona pierwiastka romantycznego. Ale romantyzm ten nie wypełnia [illegible], nie ma nic wspólnego z donkiszoterią czy tragizmem bojowników wieku ubiegłego. Własow jest pozytywistą, który ruchy i postęp społeczny opiera na elementach pracy i kultury, budując od podstaw na zasadach trzeźwości i rachunku; ale pozytywizm jego ~~[illegible]~~ nie ma w sobie przyziemnego racjonalizmu — jest on zapowiedzią osobliwą liryką miłości kraju i odczucia wszystkich właściwości indywidualnych kultury i umysłowości ludu. Ale wracam do opisu dnia dzisiejszego. Na rynku szukałem konia do nabycia, ale, nie znalazłszy nikogo pewnego, który, znając się na koniach, mógłby mi dopomóc [illegible] w wyborze takowego, ograniczyłem się na przelotnym przejściu się po rynku i powierzchownym obejrzeniu koni. Sam ja [illegible] nie bardzo się znam na koniach. P. ten zamierzał [illegible] przejrzeć konia. Młode i ładne koniki, którebym mógł kupić, były naturalnie drogie, przytem nie same [illegible]. Zresztą samo przyglądanie się [illegible] kiermaszowemu bawiło mię, jako rzecz sama w sobie charakterystyczna. Flegmatyczni tutejsi Białorusini nie mają wielkiego ognia kiermaszowego i nie mają też temperamentu handlarskiego, który u innych ludów przeradza się na kiermaszach w szczególną namiętność; tu handel idzie bez zapału, a jeżeli się temperament na kiermaszach wyzwala, to nie w targu, lecz w pijaństwie lub bójkach, a stąd Białorusini bardzo charakterystyczni, pełni animuszu i jakiejś [illegible] wiary staropolskiej, której nie [illegible] tradycji szlacheckich [illegible] do ludu tego jakoś się wszczepił. Na ~~[illegible]~~ t. zw. wystawę zjechało się [illegible] parafian, ale bardzo było [illegible] patrzeć. [illegible], [illegible] dziesiątek, [illegible] rasowych, [illegible] przez [illegible], wyczerpywało całą wystawę bydła. W dziale wyrobów ludowych było trochę tkanin, [illegible] na płótnie [illegible]. Widać było brak systematyczności i organizacji w zbieraniu eksponatów; co przyniosło, i pozostało [illegible] kilka [illegible], to stanowiło całą wystawę. Tkaniny były dość pospolite i nie były ciekawe. Ani obfitością wzorów i ornamentów, ani [illegible] wością, ani wykonaniem technicznym, ani oryginalnością jakiegoś stylu indywidualnego — nie mogły się one ani w dalekiem przybliżeniu porównać do wyrobów tkackich ludu litewskiego. Przytem był na wystawie [illegible] domowy, wykonany z [illegible] przez [illegible] jakiegoś [illegible], [illegible] ale nie tworzący jakiegoś typu przemysłu domowego — [illegible] pojedynczy [illegible] wysiłek [illegible] określonego wysiłku. Wystawa ta była zorganizowana przez Własowa pod firmą, zdaje się, Wil. Towarzystwa Rolniczego. Wydano włościanom nagrody pieniężne za ~~[illegible]~~ niektóre tkaniny, co może zachęci je do liczniejszego ~~[illegible]~~ udziału w wystawie następnej i do staranniejszego wykonywania robót tkackich w celu [illegible]. Nic dziwnego, że wystawa ta była tak słaba. Bo to wszak pierwsze, pierwsze próby działania w tym kierunku w tych stronach. Włościanie [illegible] się z tych [illegible] dość [illegible], nie rozumieją znaczenia, organizatorowie zaś nie mają jeszcze rutyny i nie [illegible]

[illegible]

16 (29) sierpnia
rok 1913.
piątek.

Zanocowałem po wieczorku wczorajszym w Podoskowiczach. Ogółem. Z rana już wstałem i pojechałem na kolej. Omal że się nie spóźniłem na pociąg. Jechałem tak wolno, że mimo najgorszych usiłowań woźnicy, niepodobna było zachęcić jej do biegu. Woźnica upewniał zresztą, że czasu jest dość. Szczęściem wszakże podjeżdżali dopiero do szlagbaumu przy stacji, zobaczyliśmy już pociąg mój stojący. Schwyciłem jedną walizkę, woźnica drugą, i pędem pobiegłem do pociągu po torze naprzeciw lokomotywy. Zanim dobiegł do lokomotywy, pociąg już ruszył. Wskoczyłem do idącego już pociągu i w ten sposób wyjechałem, inaczej raz musiałbym czekać do nocy albo do jutra rano. Jechałem do stacji Listopady w powiecie Oszmiańskim kolei Siedlecko-Bołogojewskiej w interesie do miejscowego naczelnika ziemskiego. Z Mołodeczna więc musiałem zawrócić w kierunku Lidy i przesiąść się do pociągu siedleckiego. Listopady – to druga stacja od Mołodeczna, pierwsza zaś – to Połoczany. Tor kolejowy z Mołodeczna do Połoczan przechodzi tuż przy folwarku Huzele, należącym do Dederków i do pani Sawrońskiej, Dederkówny z domu (w roku zeszłym folwark ten został już przez nich sprzedany). Huzele są dla mnie pamiątkowe przez pobyt w nich Anny przed dwoma laty. Tu ją wtedy przywiozłem i zalokowałem na lato u p. Sawrońskiej zaraz po wyjeździe jej z tej okolicy na Bakszcie. Tam ją jeszcze raz potem odwiedziłem. Żywo mi w pamięci przetrwały wszystkie szczegóły jazdy z Anną do Huzel, moich i jej trosk, wzajemnego niepokoju i t.d.. Wspomnienia te przywiązują do Huzel i choć dziś nie wolne są od goryczy, są jednak drogie dla mnie, bo sięgają zawiązku naszego stosunku z Anną, który się później tak utrwalił i tak nas skojarzył na zawsze. I choć pobyt Anny w Huzelach był dla niej przykry i pozostał w jej pamięci, jako coś gorzkiego, to jednak sadyba Huzele dla mnie zawsze żywiej wzrok nęcą pamiątkową, jakby przechowującą w sobie cząstkę duszy mojej w fragmentarycznym rozwoju [illegible] dla naszej wspólnej epoki życia mego: to one żywą pamiątką Anny. To też ze wzruszeniem patrzałem przez okno wagonu, odtwarzając widokiem drogi wspomnienia moje. Gdy wreszcie pociąg minął Huzele, przeciął drogę, którą jechaliśmy z Anną, minął lasek, dokąd chodziliśmy na spacer [illegible], i budkę stróża kolejowego, gdzie piliśmy mleko, i gdzie świnka się pasła, wszystko mi żywo w pamięci stanęło. Oto widzę dworek, oto tu stała przy płocie Anna z panią Sawrońską, żegnając mnie i machając chustką, gdy ja, rozstawszy się, odjeżdżał. [illegible] zastałem [illegible] wdzięcznym [illegible] — [illegible], które w szeregu innych uczestników [illegible] koleżeństwa naszego związku.

Z Listopadów wziąłem furmankę do majątku Połoczanowa, siedziby naczelnika ziemskiego. Wiózł mnie włościanin-białorusin, człowiek mądry, z którym gawędziłem w drodze. Choć tu jeszcze u włościan świadomości narodowej – co gorsze – nawet typowa tradycyjna świadomość „tutejszości" zdaje się powoli zanikać i podział wyznaniowy na katolików i prawosławnych zaczyna się chwiać pod wpływem upowszechniających pojęć, to kulturalnej terminologii: „ruski" język, „rzecki" [illegible]. Są to elementy w kulturze dzieli białoruskie od polskiego, ale nie ulega wątpliwości, że jednak do umysłów włościan przeszedł się wpływ inwentarzowy narodowych polskich i że świadomość odrębności nietylko [illegible] powstała nie, ale w wielu miejscach słabnie i zanika. Dopóki są realne elementy odrębności, dopóty oczywiście odrębność ta objektywna istnieć będzie, choćby ona była powszechnie uświadomiona, a przy zmianie warunków [illegible] się ona jeszcze w całej budowie życia, lecz tymczasem świadomość przeciwnie, choćby objektywnie błędna, nie pozostaje bez wpływu na całą umysłowość ludu. Tak oto mój przesiedlony woźnica – białorusin mówił do kategorji tych włościan, których świadomość narodowa czy choćby „tutejsza" zaciera się na rzecz [illegible] ogólnopolskiej. To szczególnie na [illegible] przykre wrażenie, zwłaszcza tu, w pięknych okolicach litewskiego Krzewa, w tej części Białej Rusi, w której wpływy zachodnie są [illegible] i które z kultury stanowią [illegible]. Okolica jest bliska Litwy, niż Polski Mickiewiczowskiej. Kraj to piękny, ziemia żyzna, urodzajna, gleby dobre, dobrobyt przeciętny widocznie wysoki. Miejscowość pagórkowata, widoki rozległe i przepięknie urozmaicone, dużo jezior i folwarków, wiele lasków brzozowych, które stanowią tu wdzięczną ozdobę i dodają wrażenia żywości i bogactwa szaty. Naczelnika ziemskiego nie zastałem, musiałem pojechać dalej do Krewa, w którym byłem po raz pierwszy. Ruiny starożytnego zamku Krewskiego stanowią na mnie imponujące wrażenie. W starych murach zamku jest [illegible] wielkość ich. Zamek zachował się w [illegible], z drugiej strony wieża. Dobrze w wyobraźni [illegible] rozbudowanych murów. Opisywać szczegółowo nie będę. Stamtąd niejako z Krewa do [illegible] twierdze. Z Krewa pojechałem na pociąg nocny i koleją pojechałem do Smorgoń.

17 (30) sierpnia rok 1913. sobota.

Koło godz. 6 rano przyjechałem do Wilna. Po 2 nocach niedospanych byłem bardzo zmęczony i zupełnie niezdolny do pracy i do myślenia. Dzień się włókł dla mnie długo i nudnie.

Otrzymałem krótki listek od Anny. Pisze, że jeszcze nie wie, kiedy [redacted] wyjedzie z Krasieniankami na wycieczkę do Krakowa i Zakopanego, bo to zależeć będzie od przyjazdu panny Kosmowskiej, która dotąd jeszcze z Warszawy do Krasienina nie przyjechała. Wszakże wkrótce już, bo w tym tygodniu, p. Kosmowska ma przyjechać i wtedy data wyjazdu do Galicji zostanie określona. Nie wie też Anna, jak długo będzie trwała ta wycieczka; supponuje, że ze 2 tygodnie. Zapytuje mię wreszcie, co chcę, aby mi z Krakowa przywiozła. Listek Anny datowany 26 sierpnia nowego stylu. Jeszcze nieprędko się jej mogę spodziewać, a bardzo mi już tęskno do niej.

Nikt tu jeszcze w Wilnie nie wiedział o śmierci nagłej Cesi Ludwisiowej Wołodkowiczowej. Nikt z rodziny nie otrzymał zawiadomienia o tej śmierci, nikogo nie proszono na pogrzeb, nie było żadnych ogłoszeń w gazetach. Ja pierwszy przywiozłem tu tę wiadomość na podstawie depeszy, którą otrzymał przy mnie w Bohdaszewiczach Maniuś Wołodkowicz. Wszyscy się domyślają, że to było samobójstwo. Cesia była ekscentryczna, [illegible], wspominała nieraz, że sobie życie odbierze. Szkoda kobiety młodej, ale właściwie miała życie zwichnięte i szczęśliwą by już nie była nigdy. Miała lat zapewne nie więcej nad 25-26. Za mąż wyszła bardzo młodo przed 8 laty, mając 17 czy 18 lat. Będąc podlotkiem, podkochiwała się w swoim kuzynie — Ludwisiu Wołodkowiczu, [redacted] jako studencie jeszcze. A że była panną posażną — Ludwiś, długo nie czekając, ożenił się z nią. Posag Cesi (rb. 80000) posłużył Ludwisiowi za pierwszy szczebel do spekulacji, z których wyrosła obecna duża osobista fortuna Ludwisia. Posagu zresztą już Cesi nie oddał, zatrzymał go dla siebie. Cesię trzymał krótko, był mężem twardym i ciężkim. Samolub do szpiku kości, skąpiec, natura zimna i wyrachowana, a w gruncie tępy, [redacted] nie cofający się przed żadnymi środkami i dbający wyłącznie o zachowanie wszystkich pozorów, — oto sylwetka Ludwisia. Cesia była prawie dzieckiem. Miała nerwy, charakter kapryśny i nierównoważny, inteligencji niewiele. Kochać Ludwisia przestała prędko,

18 (31) sierpnia
rok 1913.
niedziela.

Pogoda śliczna, jak w pełni lata. We dnie upał, słońce świeci, noce ciepłe. Po brzydkim i mokrym czerwcu i lipcu, — sierpień mamy niezwykle piękny i ciepły. Gdyby moja Anna była w Wilnie, z pewnością wybralibyśmy się w taką niedzielę gdzieś na wycieczkę zamiejską. Bez niej wolę niedzielę w mieście, bo cóż mi po jakichś spacerach czy wycieczkach samotnych! Gdybyż pogoda dotrwała do jej powrotu i gdybyż jesień była sucha! Korzystam zato teraz z czasu, który zużywać mogę swobodnie na pracę. Dużo mam zaległej roboty adwokackiej, a oprócz tego wreszcie chcę się zająć intensywniej pracą literacką. Prawie cały dzień przesiedziałem w domu. Oprócz wielu innych robót wykonanych, opracowałem też podanie do Sądu o dopuszczenie mię do prowadzenia spraw cywilnych z załączeniem sprawozdania z dotychczasowej mojej działalności. Podanie te wniosę jutro. Obawiam się jednak, żeby Sąd mi nie odmówił świadectwa sądowego, bo wykaz moich obron karnych jest bardzo szczupły. Do roku 1913 broniłem tylko po 11 sprawach rocznie i dopiero rok 1913 wykazuje większą ilość obron. Na otrzymaniu świadectwa tego bardzo mi zależy, nietylko dlatego, że to mi da możność szerszej działalności zawodowej, ale też dlatego, że to będzie ułatwieniem do awansowania na adwokata przysięgłego, co już powinno wkrótce nastąpić.

Wieczorem, leniwie jeszcze, zacząłem się przygotowywać do mojej pracy o ustawodawstwie włościańskiem w guberniach litewskich, którą chcę opracować w postaci artykułu dla warszawskiego pisma prawniczego „Themis Polska". Ułożyłem dziś tylko konspekt planu pracy.

19 sierpnia / 1 września. rok 1913. poniedziałek.

Spotkałem się z Zastowtem, który zainterpelował mię, co słychać z cenzusem moim dla wyborów do Rady miejskiej. Pisałem z Bohdaniszek do Zastowta, prosząc, aby postarał się rotacyę z Sordonem i jeszcze raz przypomnieć mu o obietnicy wystarania się o cenzus dla mnie. Zastowt nie zdołał się rotacyę z Sordonem. Wiem zresztą od Antoniego Łuckiewicza, że Sordon nic nie zrobił; widział się on z Antonim, ubolewał, że znaleźć cenzusu nie może, że zapóźno się do niego zwróciłem i t. d. Ja osobiście przypuszczam jednak, że Sordon może nie tylko nie umiał, ale może i nie bardzo chciał zapewnić mi cenzusu. Choć bowiem Żydzi wogóle, w sprawach politycznych, sprzyjają postępowcom i chętnie gotowi są ich poprzeć, to jednak w sprawach gospodarki miejskiej najczęściej nie zgadzają się z nimi solidarni. Wiadomo, że w poprzedniej Radzie miejskiej grupa żydowska (złożona z kilku radnych z nominacji z pośród bogatszych i optymistycznych Żydów, bo radnych obieralnych Żydzi nie mają z pominięciem na czele, popierała kierunek koncesyjny w gospodarce miejskiej przeciwko kierunkowi municypalizacyi. Żydzi bowiem w koncesjach upatrują prawdopodobnie własny interes, gdyż, jako element ruchliwy i przedsiębiorczy, z pewnością by sami do rąk swoich koncesje pobrali. Do tego przyłączają się Żydzi bogaci, przemysłowcy, bo plebsu żydowskiego nikt w rachubę nie bierze. Obecnie kampania wyborcza, w której czynne stanowisko zajęły elementy mniej lub więcej postępowe chrześcijańskie, toczy się pod znakiem municypalizacji gospodarki i urządzeń miejskich. Komitet wyborczy bezpartyjny, który się utworzył, zajął kategoryczne stanowisko municypalizacji i zrobił z niej kwintesencję programu całej swojej platformy oraz listy kandydatów na radnych. Rzecz więc, że Sordon, który jest jednym z filarów przemysłowców żydowskich, pomimo swoich politycznych sympatii dla postępowców ze społeczeństwa chrześcijańskiego, nie bardzo się kwapi [illegible] wprowadzić postępowy element w Radzie miejskiej, wiedząc, że ten reprezentować tam będzie najkonsekwentniej i najostrzej politykę municypalną przeciwko koncesyjnej.

Powiedziałem Zastowtowi, że od Sordona nie [illegible], ale że skorzystam z cenzusu firmy Kalinowskiego i Trzepiórkowskiego (warszawskiej fabryki tytoniu „Noblesse”). Cenzus ten jest zapewniony dla mnie. Zarządzający wileńskim oddziałem tej firmy, p. Sdowski, obiecał mi to załatwić. Choć co do tego cenzusu, jako przemysłowego, są pewne wątpliwości i komplikacje, mianowicie kwestja o tym, czy nie trzeba, korzystając z tego cenzusu i robiąc się fikcyjnym agentem przedsiębiorstwa handlowego, opłacić osobnego podatku przemysłowego, a jeśli tak, to czy to się daje pogodzić z adwokaturą moją, jednak po zasięgnięciu opinii osób kompetentnych i w szczególności adwokata Połoniatskiego, doszedłem do przekonania, że to się zrobić da, i postanowiłem z cenzusu tego skorzystać, nie poruszając wcale kwestji podatku przemysłowego. Jeden tylko Witold Abramowicz doradzał mi zaniechać korzystania z cenzusu tego i wmawiał, że to dla mnie, jako adwokata, niewykonalne. Witoldowi chodzi o zarezerwowanie cen-

[illegible]

234

20 sierpnia
2 września
rok 1913
Wtorek

Wczoraj wieczorem wrócił do Wilna z Bohdaniszek Stefek, którego lekcje od dziś się zaczynają. Opowiadał, że dziewczynki (Ewa i Mademoiselle Jeanne) bardzo się znudziły w Bohdaniszkach i tęsknią już niecierpliwie do powrotu do Wilna, że Mademoiselle Jeanne jest bardzo zdenerwowana i że nocami gada i nawet chodzi przez sen. Że już się znudziła wsią i pustką, która zapanowała w Bohdaniszkach po naszym wyjeździe, [illegible] i że tęskni do powrotu do miasta — temu się nie dziwię. Ale zdenerwowanie Mademoiselle Jeanne i objawy takie, jak gadanie i chodzenie przez sen, zastanawiają mnie. Czyżby rzeczywiście prawdą było to, czego się domyślam czuciem raczej, niż rozsądkiem, a co przy zastanowieniu wydaje mi się dziwacznym i nieprawdopodobnym? Zdenerwowanie Mademoiselle Jeanne zaczęło się ujawniać jeszcze [illegible] pod koniec mego pobytu w Bohdaniszkach, a drobne epizody tych humorków i kaprysów nerwowych, jak też pewne szczegóły zachowania się Mademoiselle Jeanne, naprowadziły mię na domysł, że to ja jestem sprawcą takowych i że mają one związek ze stosunkiem Mademoiselle do mnie. Myśl ta wydaje mi się przy rozwadze dziwaczną i wstydziłbym się wypowiedzieć ją [illegible] przed kimś nawet w postaci domysłu, [illegible] bo mógłbym być posądzony o śmieszną zarozumiałość, nieusprawiedliwioną ani fizycznymi powabami memi ani [illegible] stosunkiem wieku, jaki zachodzi między mną a 17-letnim dziewczęciem, ładnym i dopiero rozkwitającym z całą świeżością i świeżością do życia. Nie mogę się wszakże pozbyć tego wrażenia czy też złudzenia, które mi szepcze, że tak jest w istocie. Może [illegible] zresztą w powstaniu tego złudzenia bierze udział nie tylko obserwacja pewnych szczegółów w zachowaniu się Mademoiselle Jeanne, ale i moja własna próżność, bo miło jest zawsze doświadczać wrażenia, że się potrafiło obudzić żywsze uczucie w serduszku jakimś, zwłaszcza dziewczyny ładnej i młodej. Będąc sam niezwykle [illegible] kochliwym, miałem też w życiu powodzenie i szczęście do kobiet, które sam nie wiem czemu zawdzięczam, bo chyba przecie nie [illegible] urokom fizycznym (pod tym względem jestem wolny od jakiejkolwiek zarozumiałości). Potrafiłem obudzić [illegible] uczucia miłości tak głębokie i trwałe, które przez lata całe w najmniej sprzyjających warunkach się utrzymywały w całej sile i mocy, jak u mojej byłej żony Reginy przed ślubem naszym i u pani Anny [illegible], nie licząc całego szeregu mniej lub więcej przelotnych, mniej lub więcej głębokich sukcesów, jak u Suzanne Richard, u Marysi [illegible] i innych. Że taka miłość, jak Reginy, która trwała przez 6 lat z siłą i uporem niezrównanym, potem po ślubie tak nagle wygasła i przerodziła się w najżywszą niechęć i nienawiść, to okoliczność, która nie zmniejsza mojego poprzedniego niepospolitego sukcesu. Może więc te sukcesy dawne, to szczęście, które mi z taką łatwością przychodziło, dziś mię zaślepia zbytnią pewnością siebie w [illegible] domysłach względem Mademoiselle Jeanne, ale skądinąd te sukcesy dawne dały mi wielką znajomość natury i duszy kobiecej i umiejętność [illegible] rozpoznawania uczucia z oznak zewnętrznych zachowania się kobiety. Z tych wszystkich miłości dawnych pozostała mi jedna, trwała i silna, spojona związkiem rzeczywistym, — to miłość nasza z Anną Wolską. [illegible] Mademoiselle Jeanne, czy może nawet jej uczucia dla mnie, jeżeli ono jest, — to tylko miła igraszka, [illegible] epizod, czy [illegible]. Choć Mademoiselle Jeanne jest sympatyczna, a z twarzy [illegible] i świeża [illegible] jednak jest mi [illegible] Anny [illegible] trwałego [illegible], to, co ma Anna, — [illegible] Mademoiselle Jeanne, ale żadna [illegible]

Że z naszych [illegible] ani kobiet [illegible] nie [illegible] Anna mi się [illegible] porzuciła w duszy [illegible] jako [illegible] żona [illegible] mi [illegible] zrozumie [illegible] Anny — [illegible]

21 sierpnia / 3 września
rok 1913.
środa.

Po trochę wciągam się w nowiny i sprawy wileńskie. Spotykam się to z tymi, to z owymi ze znajomych i od każdego dowiaduję się o sprawach, dotyczących jego stosunków i jego pola działalności. Dziś rozmawiałem dużo z Ludwikiem Abramowiczem, z Frankiem Olechnowiczem, ze Sleżewiczem, z Szaulysem. Od Ludwika Abramowicza dowiedziałem się, że projekt przekształcenia „Przeglądu Wileńskiego" na pismo warszawskie dochodzi podobno do skutku. Przynajmniej tak twierdzi Ludwik. Tymczasem „Przegląd" wychodzi jeszcze od czasu do czasu, nieregularnie, ale już wkrótce wychodzić przestanie i przeniesiony zostanie do Warszawy. Jeżeli to nastąpi, — nie wróżę pismu trwałości, przynajmniej pod redakcją Ludwika. Nie mogę uwierzyć, aby się mogła utrzymać trwała spółka ideowa takich ludzi, jak Hatek i młody Makowski, którzy mają być protektorami pisma, z Ludwikiem Abramowiczem. Tamci, będąc gorącymi patriotami, wierzą w radykalizm społeczny i wyznają gorąco ideały humanitarne; Ludwik z ideałów tych kpi, spraw społecznych nie rozumie i w każdym razie nie tyczy ich za sprawę ludową, a nawet jego nadzwyczajny patriotyzm niepodległościowy, którym się tak nagle od roku zapalił, nie wydaje mi się głęboki i szczery. Zresztą może już teraz przeniesienie „Przeglądu" do Warszawy zostało zmodyfikowane i nie opiera się już na spółce z Hatkiem i Makowskim. Nie pytałem o to Ludwika, a wspominał mi on, że „Przegląd" ma być organem radykalnych narodowców, co może być bardzo szeroko rozumiane.

W obozie litewskim wre ciągle walka. Aktualnemi są teraz: sprawa dziennika i sprawa świeżo założonego w Wilnie litewskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (t. zw. Banku Litewskiego). O tej ostatniej sprawie, która ma dużo momentów charakterystycznych, wypadnie mi jeszcze zapewne mówić, co zaś do sprawy dziennika, to projektuje się takowy w stronnictwie demokratycznym pod wznowionym tytułem „Vilniaus Žinios". Ma on wychodzić zamiast „Lietuvos Žinios". Obecnie nie ma ani jednego codziennego pisma litewskiego, to też do sprawy tej przywiązują Litwini wielką wagę. Demokraci [illegible] się [illegible], ale, zdaje się, że i narodowcy i klerykałowie nie chcą się dać ubiec i też się do dziennika gotują.

22 sierpnia / 4 września
rok 1913.
czwartek.

Zdecydowałem się już ostatecznie na odstąpienie Turskiemu cenzusu firmy Kalinowskiego i Przepiórkowskiego. Nie chciałem stawać na przeszkodzie kandydaturze Turskiego, która jest bardzo popierana przez elementy postępowe z Witoldem Abramowiczem na czele. Zresztą i dla samego Turskiego ~~[illegible]~~ możność wejścia do Rady ma wielkie ~~[illegible]~~ znaczenie. Turski będzie musiał się usunąć z posady sekretarza w Towarzystwie Rolniczym; są tam jakieś nieporozumienia między nim a prezesem T-stwa, Hipolitem Korwin-Milewskim, który zarzuca, zdaje się, Turskiemu brak sprężystości, ociężałość, nieumiejętność w pokierowaniu robotą; w rzeczywistości zaś chodzi, zdaje się, głównie o to, że Milewski chciałby mieć na posadzie sekretarza popychadło, które by ślepo ~~[illegible]~~ wypełniało jego zlecenia i było raczej osobistym podręcznym sekretarzem pana prezesa, Turski zaś na takiego się nie nadaje, jako człowiek starszy, niezależny, mający wagę własną. Po ustąpieniu zaś z posady sekretarza T-stwa Rolniczego Turski, o ile nie znalazłby jakiejś innej posady płatnej w Wilnie, musiałby się z Wilna wynosić. Przyjaciele więc jego myślą o daniu mu możności zostania w Wilnie, ceniąc go, jako człowieka i pracownika, postępowego, światłego, uspołecznionego. Stąd też powstała myśl wyboru Turskiego do Rady Miejskiej z tym, żeby go potym wybrać na członka Zarządu Miejskiego. ~~[illegible]~~ Turski staje się więc domniemanym kandydatem grupy postępowej do Zarządu i przeto kandydatura jego do Rady nabiera większego znaczenia. W tych warunkach, acz z żalem, postanowiłem nie ubiegać się o cenzus, który się może przydać dla Turskiego. Jakkolwiekbądź bowiem wybór jego w Radzie i w Zarządzie uważam za pożyteczny. Nie jest on orłem i sądzę, że wybitnej roli odegrywać nie będzie, [illegible] sprawy drobne, ale ma zalety niewątpliwe, — że jest niezależny, sumienny w wykonaniu obowiązków i że ma niejaką orientację w sprawach samorządu, gdyż był przez długie lata w Rosji i stykał się z gospodarką ziemską. Odstępujący cenzus Kalinowskiego i Przepiórkowskiego Turskiemu, próbuję jeszcze zdobyć sobie inny. W tym celu poradziłem dziś razem z Jamontaitisem, któremu o też chodzi, do Bramsona. Bramson ma dużo stosunków z żydami, którzy są przedstawicielami rozmaitych firm cenzusowych i sami, jako żydzi, z cenzusów tych skorzystać nie mogą. Przejrzeliśmy z Bramsonem listę firm cenzusowych i Bramson wynotował sobie te, które ewentualnie przez stosunki jego mogą być w tym celu wykorzystane. Bramson ma pogadać z rozmaitymi ludźmi i we środę dać mi odpowiedź. Nie jestem wszakże bynajmniej pewny sukcesu. Trochę zapóźno rozpoczęte te starania. Widziałem się dziś z Usinowiczem, który jest członkiem komitetu wyborczego. Mówił mi, że w komitecie już się rozpoczęło balotowanie kandydatów na radnych. Zdaje się, że dotąd, balotując w porządku alfabetycznym, przebalotowano do litery D. Procedura ta wszakże odbywa się powoli i jeszcze jest czas na zgłaszanie nowych kandydatur. Zapewniał mnie Usinowicz, że jeżeli uzyskam cenzus, zostanę z pewnością wpisany do listy kandydatów, polecanych przez komitet. O tym samym upewniał mnie Jakubowski i Dowtowt. Czy tylko się coś uda zrobić z cenzusem!

23 sierpnia
5 września
rok 1913.
piątek.

Pod wieczór byłem na zebraniu zarządu „Žiburė-
lis'a". Do nowego zarządu, który został wybrany na
ogólnym zebraniu Towarzystwa w tygodniu ubiegłym,
należą ze starych członków poprzedniego zarządu
p. Bortkiewiczowa i ja, oraz nowi członkowie — p.
Andrzejowa Bułatowa i p. Szaurogkowa. Te dwie
ostatnie panie po raz pierwszy poznałem. P. Bu-
łatowa jest nowo upieczoną litwinką; z urodzenia
jest rosjanką, nawet sybiraczką, ale, wyszedłszy
zamąż za Bułata (ślub ich się odbył czy w
jesieni roku zeszłego czy zimą bieżącego), z za-
pałem adoptowała nową Ojczyznę, Litwę; uczy
się języka litewskiego, rozumie już wszystko i sama
już mówić próbuje, słowem — pokochała Litwę
i chce być litwinką. Sprawia wrażenie sympa-
tyczne osoby szczerej, gruntownej, łączącej prostotę
z taktem. Omówiliśmy sprawy bieżące Towarzy-
stwa, kwestje administracyjne i rozdawnictwa
stypendjów.

Po powrocie z „Žiburėlis'a" napisałem arty-
kulik dla „Kurjera Krajowego" z powodu bliż-
szego artykułu wstępnego w „Gazecie Codzien-
nej". Artykuł w „Codziennej" był ohydny. Ga-
zetka rozdziera szaty z powodu pogłoski o zam-
knięciu ~~[illegible]~~ przez władze jakichś (nie wiem
dokładnie — jakich) stowarzyszeń katolickich,
ale występuje bynajmniej nie w obronie wolno-
ści stowarzyszeń — broń Boże! Wytyka rzą-
dowi niekonsekwencję, wykazując, że nie rozu-
mie on własnego interesu, albowiem wyznanio-
we stowarzyszenia katolickie stoją zawsze na stra-
ży ładu ~~[illegible]~~ i konserwatyzmu, tworząc dla
państwa wierną ostoję przeciwko rewolucji i wszel-
kim prądom przewrotowym i antypaństwowym. Gazetka
zwraca z tego powodu ostrze niezadowolenia i gniewu
nie w kierunku prześladowcy, ~~[illegible]~~ lecz w kierun-
ku „socjalistów i masonów". Od prześladowcy zaś żąda ~~[illegible]~~
„opieki", obiecując mu za to usługi do wspólnej walki z
wrogami jego. W artykule moim wywodziłem zasadniczy
pierwiastek — swobody stowarzyszeń, jako podstawy i warunku
do kultury. To stanowisko przeciwstawiłem stanowisku „Codzien-
nej", którą tylko w końcu artykułu mego skrytykowałem. Nie zupełnie
rad jestem z takiej budowy artykułu. Należało moje wyższe stanowisko po-
łożyć na ~~[illegible]~~ specjalną krytykę podłej ugodowości „Gazety Codziennej":

238.

24 sierpnia / 6 września rok 1913. sobota.

Byłem dziś w Kownie. Na podróży tej cały dzień mi zeszedł. Wyjechałem z Wilna rano o godz. 9 z minutami, przed g. 1 wną byłem w Kownie, zabawiłem do g. 5½ i koło godz. 9 wieczór byłem znów w Wilnie. Jeździłem dla interesów, acz kolwiek niezbyt szczęśliwie się wybrałem, bo nie zastałem w Kownie adwokata Czarniawskiego, na którego widzeniu najbardziej mi zależało. Załatwiłem jednak inaczej to, o co mi chodziło głównie, to też czasu i podróży tej nie zmarnowałem. W drodze do Kowna jechałem z kilku znajomymi, adwokatem Jundziłłem, adwokatem Strumiłłą, dyrektorem wileńskiego syndykatu rolniczego — bis Tomsinem, Wacławem Iwanowskim. Wracając z Kowna, nudziłem się, bo już pod koniec i czytać nie mogłem, gdyż zmrok zapadł. Ale tem samą drogą ~~~~ jechałem do Koszedar na spotkanie Anny, wracającej z Libawy. Żywo mi stanęło w pamięci ówczesne spotkanie nasze i wspólny powrót do Wilna. Chwilami doznawałem iluzji, że oto zaraz, po powrocie do Wilna, spotkam się z moją Anną, ale wnet pamięć tłumiła fantazję, przypominając, że Anna daleko i że niewiadomo jeszcze, kiedy jej powrót nastąpi. Jutro upływa 2 miesiące, jakeśmy się rozstali. Dla mnie rozłąka ta jest bardzo ciężka, a szczególnie teraz, gdy nie mogę przewidzieć i terminu jej powrotu. Ta podróż Anny do Galicji zniecierpliwić mię już zaczyna. Niewiadomo, kiedy wreszcie pojedzie i ile czasu tam zabawi. Spodziewałem się, że może zastanę w Wilnie list od Anny, — ale się zawiodłem.

25 sierpnia.
7 września.
rok 1913.
niedziela.

Powstają nowe 2 tygodniki polskie w Wilnie, oba ilustrowane. Jeden, który ma zacząć wychodzić już od 1 września (tytułu narazie nie pamiętam) ma być ultraendecki, katolicki, antysemicki, wojujący otwarcie z litwinami, słowem — arcynacjonalistyczny i pod wszelkiemi względami wsteczny, aczkolwiek zapewne demagogiczny. Głównym inicjatorem i filarem tego pisma jest młody Zworstowski [?], człowiek osobiście sympatyczny, ale endek zajadły. W piśmie bierze też udział Próchniak czy Próchnik [?], który będzie zapewne kierownikiem czy redaktorem jego, endek barwy klerykalnej, ten sam, który przez czas jakiś, przed objęciem redakcji „Gazety Codziennej" przez Obsta, był jej redaktorem, skąd zresztą został wylany. Jest to sobie pospolity dziennikarczyk niższego rzędu, sprowadzony z Królestwa ku „nauczaniu", zaczem utrapieniu litwinów. Drugi tygodnik, pod tytułem „Nasz Kraj" (wychodzić ma od 7 września), [skreślone] jest przedsięwzięciem Światłińskiego, pracującego w „Kurjerze Krajowym", i [skreślone] niejakiego Sokołowskiego, który pełni jakąś rolę w „Gazecie Codziennej". Pod względem ideowym, zdaje się, będzie bezbarwny i mało obiecujący, ale w każdym razie ma być umiarkowańszy od poprzedniego, tak żeby nie zrażać postępowców ani zwłaszcza litwinów czy białorusinów. Naturalnie że będzie frazesowo „patriotyczny", ma być też „chrześcijański", aczkolwiek bez zacięcia klerykalnego, antysemityzmu uwydatniać jaskrawie nie będzie, chociaż ma nie przyjmować ogłoszeń od firm żydowskich, w stosunku do litwinów i białorusinów ma polegać na ogólnikach współżycia i pojednania. Słowem — jakaś letnia woda, nieokreślonej barwy i niewiadomego stanowiska. Chociaż pierwszy tygodnik będzie z pewnością pod względem kulturalnym i narodowym szkodliwszy, jako wzmacniający obskurantyzm i odrywający polaków od stanowiska obywatelskiego w kraju, jednak sądzę, że pod względem przekonaniowym jest szczerszy, przedewszystkiem * — szczerszy od tygodnika Światłińskiego. * Charakterystyczne jest jeszcze to, że tygodnik Światłińskiego, który tylko dla interesu jest z konieczności „chrześcijański", będzie otwarty z uroczystym aktem „poświęcenia" redakcji przez księdza, a dla zamanifestowania pokojowości nowego tygodnika na „poświęcenie" zaproszony będzie Jankowski [?], redaktor „Kur. Krajowego", i białorusin Łuckiewicz. Słowem — pismo chce sobie zaskarbić sympatje i na prawo i na lewo, i [skreślone] u polaków i u „obcych". Zresztą — jest to przedsięwzięcie wyłącznie spekulacyjne, obliczone na zyski z ogłoszeń. Tygodniki te, oba przedewszystkiem spekulacyjne, będą oczywiście konkurowały zajadle, na razie zapewne jedno z nich będzie musiało upaść. W każdym razie fakt powstania w Wilnie tygodników ilustrowanych — jest dodatni. Ilustracje mają być z chwili bieżącej i z rozmaitych widoków *** wypadków i pamiątek krajowych. Wilnu brak było pisma ilustrowanego. A rola Wilna, jako kulturalnego ośrodka kraju, i rozwój [skreślone] — dopingowały się do wydawnictwa specjalnego wydawnictwa ilustrowanego. Od czasu upadku „Tygodnika Wileńskiego", który wyszedł *** krótko tylko w r. 1911 wychodził, pisma ilustrowanego nie widziałem. Ale z pewnością ilustracje w tych nowych tygodnikach nie będą stały na takim poziomie artystycznym, jak w „Tygodniku Wileńskim", którego szatą artystyczną opiekował się Ruszczyc.

Wieczorem napisałem artykulik dla „Kurjera Krajowego" o potrzebie dla Wilna wykładów popularnych, jako zawiązku przyszłego uniwersytetu ludowego. W końcu artykułu wspomniałem, że jedno z istniejących w Wilnie towarzystw zamierza dokonać organizacji [skreślone] systematycznych wykładów popularnych. Miałem tu na myśli T-stwo „[nieczytelne]". Zagadnienie: Czy towarzystwo to wreszcie wykona swój zamiar zeszłoroczny — o tym nie wiem, bo jakoś nie słychać, żeby się krzątało, choć byłoby już wielki czas. I nie wiadomo jeszcze, czy pozwolą władze na wykłady popularne w innych językach, prócz rosyjskiego.

240.

26 sierpnia / 8 września, rok 1913. Poniedziałek.

Występowałem dziś w Zjeździe sędziów pokoju w sprawie cywilnej. Choć sprawę częściowo przegrałem, jednak nie odniosłem wrażenia przykrego, bo broniłem stanowiska mego dobrze. Występowanie w sądzie dość lubię, jeno krępuje mię zawsze strój uroczysty, frak; ten pierwszy moment wejścia na salę we fraku jest dla mnie zawsze momentem przykrym i jestem z natury nieśmiały, to też wstydzę się i krępuję wszelką pozą, w której mam być aktorem.

Od Anny nie otrzymałem listu, choć już by się należało, bo więcej tygodnia upłynęło od ostatniego. Stówna mię trapi niezawiadomienie tego, gdzie Anna jest: czy jeszcze w Krasieninie, czy już wyjechała do Galicji z wycieczką, a jeżeli nie wyjechała, to czy już wyznaczony termin wyjazdu, lub, jeżeli jest w Galicji, to może wiadomo mniej więcej, kiedy wróci. Chodzi mi nietyle o nowiny lub jej wrażenia z podróży, bo to mi szczupła najlepiej opowie, ile o możność wykombinowania choć przybliżonej daty jej powrotu do Wilna. Tęsknię już bardzo i zaczynam się niecierpliwić.

Był dziś u mnie p. Jakubowski, żeby się od imienia komitetu wyborczego do Rady Miejskiej poinformować o osobie p. Józefa Bukowskiego, którego kandydaturę na radnego ktoś w komitecie zgłosił. Ponieważ w komitecie mało go znają, więc postanowili się zwrócić do mnie po informacje co do osoby. Dałem informację żądaną, charakteryzując p. Bukowskiego jaknajlepiej, jako człowieka światłego i umysłu głębokiego, choć nie utaiłem, że jest trochę leniwy i że z pożytkiem wykonawcą jakiejś pracy nie będzie, choć to, co zrobi, będzie zrobione dobrze, a zwłaszcza w obradach będzie zawsze pożyteczny. Jakubowski nadmienił trochę, że stanowisko postępowców zostało trochę w komitecie osłabione, ponieważ Komitet kooptował 4 nowych członków, zdaniem Jakubowskiego nielegalnie. Postępowcy, to znaczy głównie Witold Abramowicz z gronem towarzyszy, do których i Jakubowski należy, byli pojedynczo o tyle silni w Komitecie, że faktycznie rozporządzać mogli większością. Elementy prawe, nie należące do Komitetu, spostrzegłszy przewagę postępowców, postanowiły stworzyć w Komitecie przeciwwagę. Z tą myślą przeforsowano w Komitecie uchwałę o kooptacji 4 nowych członków. Postępowcy, zastrzegając, że kooptowani mieć będą głos tylko doradczy, zgodzili się na to. Dokooptowano więc leadera prawicy dr. Dembowskiego, którego wpływ wzmaga się więcej, niż w jednym własnym głosie swoim, dalej Zabłockiego, który daje się wodzić na pasku konserwatystom, dalej dr. Świdzińskiego, którego się wszyscy obawiają, jako warcholca, i umyślnie wzięli go dla uśmierzenia możliwej opozycji z jego strony, a który Witolda Abramowicza nie lubi i z zawiłości podkopuje wpływy jego, wreszcie jeszcze kogoś czwartego. Kooptowani, dostawszy się do Komitetu, wszczęli spór, zażądali głosu równego, to znaczy decydującego, który im został przyznany. Wpływ tych kooptowanych członków zniszczył podobno przewagę postępowców w komitecie. Zdaje się, że Zasztowt działa w komitecie solidarnie z postępowcami z grupy Abramowicza. Jakubowski jest trochę strapiony i powiada, że postępowcy dali się podejść; podobno liczyć na jakieś większe zmiany w liście radnych, jak się spodziewano naprzód, nie bardzo można. W istocie rola postępowców jest niewielka.

Wieczorem przyjechał Stasys, w powrocie z Kowna. Biedny, ma ciągle nieporozumienia. Na jesieni zdał do seminarjum duchownego w Kownie, został przyjęty i teraz na jesieni wstąpił. Był w seminarjum od tygodnia, gdy w tym przyszedł od Ministra spraw Wewnętrznych zakaz przyjmowania do seminarjum tych chłopców, którzy, chociaż mają świadectwo z odpowiedniej ilości klas gimnazjalnych, nie uczyli się w gimnazjum, jeno zdawali egzamina, jako eksterni. Do liczby takich należy Stasys. Władza przeto seminaryjna uważa go za usuniętego. Stasys ma świadectwo z 6 klas gimnazjum; sam teraz nie wie, co robić; myśli prosić Ministra o pozwolenie wstąpienia do seminarjum. Tej jesieni czeka go już wojsko. Radzę mu sposobować wstąpić do jakiejś średniej szkoły geometrów lub rolniczej.

27 sierpnia / 9 września rok 1913. wtorek.

I znowu dziś nadaremno czekałem listu od mojej Anny. Teraz, gdy czas powrotu Anny się zbliża, staję się coraz bardziej niecierpliwy. Najgorsze jest to, że brak wszelkiej wiadomości od Anny nie pozwala mi na określenie choć w przybliżeniu terminu jej powrotu. Ostatni krótki listek, który od niej otrzymałem, był datowany 26 sierpnia nowego stylu, to znaczy pisany akurat przed 2 tygodniami. Chyba że już Anna jest teraz z wycieczką Krasieninską w Galicji. Gdyby siedziała w Krasieninie, to chyba przecie by napisała.

Musiałem dziś „ratować" biedną Zulę Tukałłównę z tarapatów. Ciocia Józia bawi w Borodcinie (?) u syna, Mieczysia, Zula zaś sama jedna z niedołężnym ojcem w mieszkaniu na Zwierzyńcu w Wilnie. Otóż jest tam w mieszkaniu lokaj, młody chłopiec 17-letni, awanturnik i zuchwały. Zula chce go wyprawić, bo lęka się go trzymać w mieszkaniu i gniewa się na niego. Lokaj ten nietylko że nikogo nie słucha, który się z dziewczętami służącemi, jest samowolny i nic sobie z nikogo nie robi, ale jeszcze puścił się na taki kawał. Zula, ze względu na to, że c. Józia czyta zawsze wszystkie jej listy, odbiera swoją korespondencję osobistą na poste restante. Przed kilku dniami posłała lokaja na pocztę po listy swoje. Ten, węsząc skandalik a może mając też na myśli szantażyk, listów, po odebraniu ich z poczty, Zuli nie ~~[illegible]~~ oddał i sam je otworzył i przeczytał. Chłopak jest sprytny i, jak powiedziałem, zuchwały. Zwąchał, że skoro panienka odbiera listy swoje na poste restante, w sposób zakulisowy, muszą być te listy dla niej kompromitujące. Wśród listów tych był jeden od jakiejś przyjaciółki Zuli, francuski, drugi od kogoś, kogo Zula nazywa swoim „przybranym wujem" i jeszcze parę innych. Oczywiście, że Zula oburzona na lokaja, który ani listów nie oddaje, ani wychodzić nie chce, i grozi, że listy odeśle do c. Józi. Zula ~~[illegible]~~ ma dziś jechać do Borodcina (?), a tu niewiadomo, jak się tego chłopca pozbyć, bo niebezpiecznie go zostawiać w mieszkaniu przy samych kobietach i niedołężnym wuju Janie Tukałle. Może okraść i Bóg wie co zrobić. Wobec tego Zula wezwała mnie do pomocy. Zresztą w ostatniej chwili chłopiec się uląkł (?) i sam zdecydował się na oddanie listów, a moja obecność i ton groźny ostatecznie go do pokory doprowadziły. Dopilnowałem jego wyniesienia się.

242.

Bramson zakomunikował, że udało mu się znaleźć dwa możliwe do zużytkowania cenzusy wyborcze miejskie. Jeden — to cenzus Towarzystwa Akcyjnego Mikowskiej fabryki papieru, drugi — spółki „Wysocki i Ko” w Moskwie, handlującej herbatą. Chociaż do Bramsona zgłaszaliśmy się po cenzusy ja z Janulaitisem, jednak dziś w gronie osób uznaliśmy, że lepiej będzie dać ten drugi cenzus do zużytkowania Bułatowi, niż Janulaitisowi. Bardzo wiele względów przemawia za tem. Bułat w Radzie Miejskiej będzie wyrazistym i niezależnym, a choć i Janulaitis byłby niewątpliwie niezależnym, jednak głos Bułata, znanego z Dumy Państwowej trybuna, będzie o wiele więcej ważki i więcej słuchany, niż Janulaitisa. Bułat ma odwagę, ma jaskrawość wymowy i czynu, wielką żywotność, energię i rozpęd oraz dużo t.zw. zdrowego rozsądku i trafności zdania. Samo imię Bułata w opozycji Rady Miejskiej i jego ruchliwa a jaskrawa działalność będą stanowiły siłę, bardzo dodatnio wpływającą na bieg spraw miejskich i na ogólną sytuację stosunków w Radzie. Przedewszystkiem zaś jest wzgląd ten, że Janulaitis nie ma prawie żadnych szans zostania wybranym, bo ani go prawdopodobnie litwini, jako swego kandydata, nie wysuną, ani Komitet „bezpartyjny” polski, który faktycznie sprawą wyborów kieruje, nie będzie kruszyć kopji o wybór Janulaitisa. Cenzus więc w ręku Janulaitisa będzie zmarnowany i chyba tylko przysporzy 1 głos na wyborach. Janulaitis jest niepopularny. Inaczej się rzecz ma z Bułatem. Z nim, jako osobnikiem bardzo znanym, będą się liczyć niewątpliwie. Ze względów narodowych polacy, nawet z prawicy, nie mu zarzucić nie mogą, bo nigdy nie występował wrogo przeciwko polakom, jako takim, i umiał dość taktu, aby się dotąd nikomu w Wilnie nie narazić. W którym razie z kandydaturą litewską Bułata Komitet „bezpartyjny” musiałby się liczyć i niewątpliwie znalazłaby ona w Komitecie dość silne poparcie; ponieważ zaś z pewnością Komitet, choćby dla pozorów, udzieli choć jeden a bodaj i parę mandatów litwinom, więc Bułat miałby wielkie szanse przejścia do Rady. Na tym stanęło. Ja wziąłbym cenzus warszawskiej „fabryki Mikowskiej”, Bułat — cenzus Wysockiego. Cenzusy te jeszcze zupełnie pewne nie są, bo udzielenie ich nam będzie zależało od zgody zarządów odpowiednich firm. W tych dniach zrobione zostaną w tym kierunku starania przez wileńskich agentów odpowiednich firm.

28 sierpnia.
10 września.
rok 1913.
środa.

29 sierpnia / 11 września / rok 1913. / czwartek.

Rano zaszliśmy z Zubatem do Powołockiego, aby się poradzić i wyjaśnić co do formalności, niezbędnych dla skorzystania z cenzusu, należącego do spółki czy towarzystwa. Ustawa miejska wyborcza powiada głucho, że od imienia towarzystw i spółek, których siedziba zarządu jest poza danym miastem, biorą udział w wyborach ich agienci miejscowi, upoważnieni do tego przez zarząd. Kto zaś ma być tym agientem — nie określono dokładnie. Ponieważ zaś Powołocki korzystał już w przeszłych wyborach z cenzusu towarzystwa akcyjnego, jako taki „agient", więc poszliśmy się do niego poinformować, w jaki sposób tę rzecz załatwił. Okazało się, że Powołocki załatwił to bardzo prosto: uzyskał fikcyjną nominację od centralnego zarządu na jurysconsulta i ze specjalnym upoważnieniem do wyborów uważany został „miejscowym agientem — jurysconsultem". Ułożyliśmy z Zubatem ~~[illegible]~~ tekst upoważnienia dla nas, oraz wskazówki, co należy zrobić, i zanieśliśmy takowe do Bramsona, przez którego ten interes załatwiamy. W przyszłym tygodniu mieć już będziemy odpowiedź, czy zarządy odnośnych towarzystw zgodziły się udzielić nam reprezentacji swego cenzusu. Zobaczymy.

Otrzymałem wreszcie list od Anny. Jeszcze nie wyjechała i nie wiadomo, kiedy wyjedzie. Oto co pisze:
„8 września. Mój kochany Michasiu! Twój ostatni list
„otrzymałam 3 września (oczywiście nowego stylu). Piszesz
„tam, że może już wyjechałam zagranicę, ale tak
„nie jest, jestem jeszcze w Krasieninie i nie wiem,
„kiedy pojadę. Panna Kosmowska miała przyjechać
„2 września, ale nie przyjechała. To też zupełnie nie wiem,
„co trzeba teraz robić. I nic nie pisze (panna Kos-
„mowska). Dlatego też nie pisałam do Ciebie, cze-
„kałam, żeby p. Kosmowska napisała i oznajmiła,
„kiedy pojedziemy i na jak długo. Teraz zupełnie nie
„wiem, co mam robić. Za 2 dni będzie już 9 września
„(Anna wspomina o tej dacie zapewne z tego powodu, że
„9go kończy się jej miesiąc w Krasieninie). Jeżeli te-
„raz przyjedzie panna Kosmowska i będzie jeszcze mu-
„siała wszystko do wyjazdu przygotować, to potrwa
„jeszcze miesiąc. Napisz, drogi Michasiu, co myślisz,
„czy mnie czekać czy wracać do Wilna. Pieniędzy mnie
„nie potrzeba. To pisze Twoja Zeelupneeks, chce widzieć i wę-
„go chłopca."

List ten zasmucił mnie. A więc jeszcze tak długo czekać! Bo cóż — wezwać Annę? Szkoda opuścić taką porę i taniej wycieczki po Galicji, jaka się jej nadarza. A czekać — to niewiadomo, jak długo, bo żadnych terminów nie wskazano. Napisałem do Anny, żeby jeszcze poczekała, i prosiłem tylko, żeby się nie leniła pisać do mnie regularnie, przynajmniej co tydzień.

30 sierpnia.
12 września.
rok 1913.
piątek.

Dom nasz jest pełny. Bawi u nas teraz Kotunia Pruszanowska z córkami Irą i Jorią, które wiezie za kilka dni do Merentähti w Finlandji na naukę. Nocuje Kotunia w hotelu, ale dnie całe, o ile tylko nie załatwia sprawunków na mieście, spędza u nas. Mieszka też jeszcze u nas syn Kotuni, Sienio, który zdał teraz egzamina z klasy IV do V w szkole Wandlowej. Sienio mieszkać u nas stale nie będzie, ale tymczasem nie znaleziono mu jeszcze lokaty zimowej. Bawi też Šukys, który jeździł znowu na dwa dni do Kowna dla poinformowania się o warunkach wstąpienia do szkoły rolniczej w Datnowie i wrócił, a teraz jedzie jutro na wieś do domu i do p. Kazimierza Świąteckiego w Poniemuniku z listem polecającym ode mnie i prośbą, aby Świątecki ułatwił mu, jeżeli może, wstąpienie do owej szkoły. Wreszcie przyjechała już dziś z Bohdaniszek z wakacji Ewa (Kelcia) z Mademoiselle Jeanne. Mademoiselle Jeanne zresztą mieszkać u nas nie będzie, bo już skończyła swą misję guwernantki i towarzyszki Ewy i była umówiona tylko na wakacje na wieś. W Wilnie Mademoiselle Jeanne ma ojca i braci. Nie widziałem jej wcale, bo choć zajechała z kolei z Ewą do nas, ale ja byłem akurat w tym czasie zajęty, bo miałem u siebie p. Turskiego, a Mademoiselle Jeanne zaraz pojechała do siebie. Ciekaw jestem, jak się ułożą nasze stosunki w Wilnie, — sądzę, że się rozwieją zupełnie, jak mgła przelotna, bo zresztą cała ta mała epopeja wrażeniowa była zapewne oparta więcej na iluzji mojej, niż na jakichś realnych podstawach.

Wieczorem miało się u mnie odbyć zebranie grona osób w sprawie poinformowania się od Zasztowta o sytuacji wyborczej i o działalności komitetu wyborczego. Ponieważ wszakże Zasztowt przyjść nie mógł, bo wyjechać musiał dziś z Wilna, zebranie zostało odłożone.

31 sierpnia / 13 września rok 1913. Sobota.

Zobaczyłem się dziś z Mademoiselle Jeanne, która przyjechała do nas większą część dnia. Zdaje się, że przesadziłem w moich domysłach poprzednich. Jest wesoła, swobodna, nie zdradza żadnych kłopotliwych nastrojów czy stanów uczucia. Utyła i wygląda ładnie i już z kształtów dziewczęcych zaczyna się w niej wykluwać kobieta. Rozmawiałem z nią uprzejmie i przyjaźnie, bez żadnego cienia zalotów, które wyglądały dość śmiesznie w stosunku moim do 17-letniej dziewczyny. Przed obiadem zaproponowałem Mademoiselle Jeanne, która przeglądała książki w saloniku, przeczytanie głośno poezji „Na wzgórzu śmierci" Kasprowicza. I przeczytałem jednym ciągiem całą tę piękną rzecz. Choć czytam głośno dość dobrze i zwłaszcza mam dar deklamacyjny do poezji takich, jak Kasprowiczowskie, które kocham bardzo, jednak zmęczyłem mocno Mademoiselle Jeanne, bo lektura trwała długo i jednym ciągiem. Naturalnie, że Mademoiselle Jeanne ze zwykłą jej rezerwą nic nie dała poznać po sobie, czy się zmęczyła, czy nie. Sądzę, że w Wilnie ten poważniejszy stosunek, jaki się zawiązał między nami w Bohdaniszkach, rozproszy się zupełnie. Za udało u nas punktów stycznych z Mademoiselle Jeanne.

Wieczorem napisałem artykuł dla „Przeglądu Wileńskiego" o głośnej dość sprawie memorjału polskiej Komisji Tymczasowej oraz deklaracji-protestu Litewskiego biura informacyjnego w Paryżu. Sprawa ta w krótkich zarysach przedstawia się tak. Polska Komisja Tymczasowa jest organem zjednoczonych grup niepodległościowych; jest ona rodzajem rządu prowizorycznego polskich współczesnych prądów powstańczych, zeskrodkowujących się w Skarbie Narodowym. Otóż parę miesięcy temu Komisja ta wystosowała do konferencji ambasadorów w Londynie, obradującej z powodu sporów bałkańskich, na ręce Edwarda Greya memorjał, streszczający prawno-państwowy program niepodległościowców polskich. W memorjale tym jest ustęp, dotyczący Litwy. Mianowicie, żądając organizacji autonomiczno-narodowej dla Polski, memorjał powiada tak: Polski i tej części Litwy, która podług uznania ambasadorów mogłaby być do Polski wcielona (cytuję niedosłownie, bo tekstu w tej chwili pod ręką nie mam). Komisja więc wciela do programu prawno-państwowego polskiego jakąś niedookreśloną część Litwy i oddaje kwestję inkorporacji Litwy do uznania dyplomacji europejskiej. Takie sformułowanie postulatu litewskiego jest błędem fatalnym i nietaktem. * Memorjał nie liczy się z faktem, że Litwa jest krajem żywym, że dokonywają się tu procesy formacji narodów osobnych, że wreszcie ani tradycja dziejowa ani kultura tego kraju nie upoważniają nikogo do dokonywania jakichś dowolnych podziałów terytorjum litewskiego; że dalej postulat taki jest aktem zaborczym, wykraczającym przeciwko zasadom prawa narodów, i że niewolno bez układu i porozumienia wcielać dowolnych żądań o Litwie do narodowego polskiego programu prawno-państwowego. Nic też dziwnego, że postulat Komisji został przyjęty niechętnie przedewszystkiem przez Litwinów – bez różnicy kierunków i że stał się jednym z dokumentów, wrażenie jaknajbardziej nieprzyjazne [illegible] i stało wysoko względem sprawy polskiej, tak pojętej. I tak w uroczystym akcie międzynarodowym sformułowanie. Wszystkie pisma litewskie zaprotestowały w odpowiednim czasie. Aż oto przed kilku tygodniami Litewskie Biuro Informacyjne

w Paryżu, założone od lat kilku i kierowane przez Gabrysa, grającego rolę samozwańczego ambasadora Litwy wobec opinii europejskiej, wystosowało na ręce Edwarda Greya do Konferencji ambasadorów w Londynie, w odpowiedzi na memorjał Komisji polskiej, deklarację-protest. Protest ten wcale nie tylko prostuje żądania Komisji w stosunku do Litwy, ale [illegible] z tego asumpt do zamanifestowania szczególnej wierności dla Rosji państwowej. W swoim czasie, po ogłoszeniu tego protestu, bardzo niecierpliwie [illegible], Mańkowski wystąpił w „Kurjerze Krajowym" z artykułem, gwałtownie się domagającym od demokracji litewskiej potępienia stanowiska Gabrysa. Artykuł Mańkowskiego był wielce nietaktowny. Prasa demokratyczna litewska skorzystała z tego, aby nie obmawiając postępowania błędów biura paryskiego [illegible] jeśli od niej się tego żąda jakiegoś potępienia, to dlaczego [illegible] postępowy i demokratycznej polskiej [illegible] się nie [illegible] zaborczych aspiracji memorjału Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy. [illegible] tej prasy litewskiej [illegible] deklaracji Gabrysa, podczas gdy prasa [illegible] wyraziła [illegible]

1 (14) września rok 1913. niedziela.

Dokończyłem dziś rano artykułu dla „Przeglądu Wileńskiego”. Chodziło mi o przeanalizowanie tak stanowiska memoriału Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy, jak deklaracji biura litewskiego, żeby ustalić błędy obu stron w zasadniczych kwestjach ze stanowiska prawa narodów, demokracji i istotnych przesłanek rozwojowych kraju naszego. Wybrałem dla artykułu tego „Przegląd”, by móc kwestję należycie pogłębić, [struck] czego by się w „Kurjerze Krajowym” w szczupłym artykuliku zrobić nie dało, a przytem chodziło mi umyślnie o organ, który w tej kwestji dotąd zasadniczo się nie wypowiedział, podczas gdy „Kurjer Krajowy” zajął w tej sprawie niedwuznacznie stanowisko określone i jeszcze w moim zdaniu fałszywe. W „Kurjerze Kr.” musiałbym dopiero tę sprawę poprawiać, podczas gdy mnie chodziło o jej przedstawienie objektywne.

„Przegląd” umiera. Abramowicz Ludwik pragnie już jak najprędzej zlikwidować wydawnictwo, by się przenieść do Warszawy i rozpocząć nowe, które tam zaplanował. Grupa jego „przeglądowców” odciąga wciąż likwidację, tak że dotąd pismo wegetuje i ani umiera, ani żyje mocno. W Warszawie Ludwik ma stanąć na czele nowego pisma o kierunku jaskrawie niepodległościowym. Nie będzie to, jak się projektowało poprzednio, organem grupy Patka i Makowskiego. Przewidywałem, że Ludwik z Patkiem się nie połączy. Patek i jego kierunek ideowy jest dla Ludwika zanadto społeczny i zanadto społecznie radykalny, a jak to Ludwik nazywa [struck] — zanadto „doktrynerski”, przywiązujący wagę do „frazesu” (Ludwik zaś kwestje społeczne i tymbardziej wszelki radykalizm ludowy traktuje z pogardą, jako głupstwo i jałowy sentyment). Rozstrzygnięty upadek „Przeglądu Wileńskiego” uważałbym za rzecz niedobrą. Nie chodzi mi o ten właśnie „Przegląd”, jakim on był w ostatnich czasach, bo był on już ~~teraz~~ zupełnie oderwany od życia krajowego, ale o „Przegląd”, jako organ pewnej grupy, która się dość ściśle określiła (grupa t. zw. „przeglądowców”). Grupa ta, choć pod pewnemi względami zbacza z drogi demokratycznej i choć ma dziś dużo błędnych iluzji, [struck] płynących z nieświadomości kraju i z urojonych koncepcji Witolda Abramowicza, ma jednak niewątpliwe i dość poważne wpływy śród inteligencji wileńskiej, które bądź co bądź działają w rzeczy postępu i brak organu będzie dla grupy tej wielkim defektem, przeszkadzającym do utrwalenia [struck] podstaw jej wpływów. Bardzo racjonalnie mówi Rajkowski, że „przeglądowcy” powinni byli przekształcić swoje pismo na popularny tygodnik ilustrowany, jakich teraz ani [struck] dwa powstało. Tygodnik popularny, byleby [struck] dostępny dla szerszych kół inteligentnych, nie byłby kosztowny i mógłby liczyć na rozszerzenie poczytności, czego [struck] „Przegląd”, utrzymany na wysokim poziomie inteligienckim, nie był w stanie osiągnąć. Ale, niestety, grupie „przeglądowej” brak ludzi ruchliwych, ludzi, którzyby wstrzyli zapał w robotę.

O godz. 1 po południu pospołu z Marynią i Kotunią Pruszanowską byłem na otwarciu I krajowej wystawy [struck] [struck] ludowego przemysłu domowego [struck] (należałoby dodać: i zdobnictwa ludowego, bo takowe, jako blisko spokrewnione z przemysłem domowym, jest również reprezentowane na wystawie). Wystawa ta urządzona pod egidą sekcji drobnego przemysłu przy Wileńskiem Towarzystwie Rolniczem przy współudziale innych krajowych towarzystw rolniczych oraz Litewskiego Towarzystwa Artystycznego (Lietuvių Dailės Draugija) i Towarzystwa popierania przemysłu domowego i sztuki ludowej. Wystawa mieści się w sali miejskiej. Przedstawia się imponująco, zwłaszcza jak na pierwszą. Świadczy ona o kulturze naszego ludu, mającej charakterystyczne piętno indywidualne. Świadczy też o bogatem źródle, jakie kraj nasz posiada dla rozwoju przemysłu drobnego w różnych kierunkach organizacji

2 (15) września. rok 1913. poniedziałek.

Nie mam dziś o czym pisać. Dzień dzisiejszy nie nastręczył mi żadnego tematu ciekawego. Napiszę chyba o pewnym projekcie, który mi utkwił w głowie i który mię dziś ciągle zaprzątał, choć się zapewne przy głębszej rozwadze nie utrzyma. Chodzi o kupno działki ziemi na Antokolu, raczej już za Antokolem, koło Pośpieszki, na samych kresach miejskich tuż przy granicy powiatu. Sprzedawały się tam parcele niejakiego Trajkowicza, po kilkaset sążni każda. Wszystkie zostały tego lata rozkupione przez sam „kwiat" dziennikarsko-artystyczno-literackiej inteligencji wileńskiej. Nabywcami tych działek są: Studnicki, dr. Boguszewski, Hertz, Bernsztejn, Ruba, Jan Bułhak, Wierzyński. Są to wszystko ludzie (prócz Ruby) nowej generacji inteligencji wileńskiej, ludzie, którzy dość świeżo, w ostatnich kilku latach, ściągnęli do Wilna z rozmaitych stron, przywabieni rozpoczynającym się tu nowym tętnem życia kulturalnego i, zająwszy te rozmaite puste placówki, zaczynają się już opierzać i z wędrownych włóczęgów stawać ~~[illegible]~~ osiadłymi obywatelami miasta. Są śród nich karjerowicze i kondotjery, poszukiwacze przygód, są i ludzie talentu, wartości pożyteczne i szczere; do pierwszych bym zaliczył zwłaszcza Wierzyńskiego, Bernsztejna i Hertza, do drugich — Bułhaka, Studnickiego, dr. Boguszewskiego. Nabywanie placów ~~[illegible]~~ przez tych ludzi i osiadanie ich na własności, ~~[illegible]~~ ich, typowych włóczęgów i cyganów, jest symptomatyczne. To znaczy, że zaczynają już nasiąkać miastem i stają się osiadlejsi, statecznieją, urabiając ze siebie kadry przyszłych wzorowych filistrów i ojców miasta. Są oni wszyscy, bez różnicy talentu i wartości osobistej, sprytni, obrotni, pełni węchu doskonałego i praktyczności. To jedno już dobrze świadczy o tych placach, bo nie rzuciliby się oni gremjalnie do kupna, gdyby to była rzecz niepraktyczna. Zresztą traktują oni to, przynajmniej nie wszyscy, — nie jako spekulację doczesną, ale jako wygodne „pied à terre". Okazyjnie pokupowali te place tanio, po 1½–2 rb. za sążeń; z czasem zaś, gdy Antokol i Pośpieszka połączone zostaną z miastem tramwajem elektrycznym, co niewątpliwie w ciągu lat paru nastąpi, place te ~~[illegible]~~ podskoczą z pewnością w cenie i staną się wygodne do zabudowania nie tylko dla letnisk, ale i dla stałego zamieszkania. Ludzie ci, których większość ma pewną wysoką kulturę estetyczną, chcą się tam ładnie i wygodnie zabudować, tworząc kolonję miasta-ogrodu. Jest projekt połączenia ich w rodzaj spółki na gruncie Towarzystwa urządzeń mieszkań, żeby zabudować i ozdobić tę dzielnicę praktycznie i gustownie. Otóż obok ~~[illegible]~~ działki Studnickiego jest jedna działka 400-sążniowa, należąca obecnie do jakiegoś szewca, która się podobno sprzedaje. Szewc ją kupił przed 2 laty po rb. 1 za sążeń i mówi, że teraz po rb. 1½ odprzeda. Przychodzi mi na myśl, czy nie warto by kupić tej działki na imię Anny. Byłaby to ładna, pewna, choć [illegible], lokata dla naszych oszczędności. Są jednak [illegible]

3 (16) września
rok 1913
wtorek

Otrzymałem od Anny listek, który mię ucieszył a który w przekładzie z żargonu niemieckiego brzmi tak: „14 września. „Mój kochany Michasin! Panna Kosmowska jest już w Krasie= „niu. 25 września (nowego stylu) wyjeżdżamy do Galicji na 2 „tygodnie. Podróż ta będzie piękna, choć ciężka, bo trzeba bę= „dzie dużo iść pieszo. Mój Michasin, czy wiesz, jak będę ubrana, „— w polskim stroju ludowym z czerwoną chusteczką na głowie. „Teraz zostałam już zupełną Polką. Mój kochany Michasin, pisz, „co porabiasz teraz sam jeden w Wilnie. To pisze Twoja dzieciuszka."

Listek ten, powiadam, mię ucieszył, bo choć zapowiada on powrót Anny do Wilna nieprędko jeszcze, najprędzej chyba koło 1 październi= nika naszego stylu, ale przynajmniej ustala pewne wyraźne daty i daje podstawę do orjentowania się i obliczania ter= minów tak wyjazdu Anny do Galicji, jak ~~[illegible]~~ ewentualnie jej powrotu do Wilna. Cieszę się też, że wycieczka Anny, tak dla niej ciekawa, dojdzie do skutku.

Wieczorem byłem u Szklennika na miesięcznym zebraniu Za= rządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Z członków Zarządu obecni byli tylko prezes Szklennik, ja i Stryjkowski, poza tym byli: członek Towarzystwa p. Turski i pp. Kolendo i Skinder. Szklennik refero= wał nam bardzo wyczerpująco i ciekawie o Wszechrosyjskim Zjeździe kooperatystów w Kijowie, w którym brał udział. Następnie oma= wialiśmy sprawy bieżące. Uznaliśmy, że nie należy z powodu odmowy gubernatora zaniechać projektu zwołania Zjazdu De= legatów stowarzyszeń spożywczych z guberni Wileńskiej, i uchwaliliśmy skierować odpowiednie podanie do Mi= nistra Spraw Wewnętrznych oraz wznowić działanie na= szej zjazdowej komisji organizacyjnej, która ma się tą sprawą zająć (do komisji tej należą Szklennik, Witold Abramowicz i ja oraz chcemy wciągnąć do niej także p. Putramenta, litwina, człowieka czynnego i oddanego kooperacji, spełniającego obecnie obowiązki gospodarza w ~~[illegible]~~ spółdzielczym sklepie spożywczym wileńskiego towarzystwa „Solidarność"). Stryjkowski i ja umówiliśmy się ze Szklennikiem o dyżurach naszych na wystawie drobne= go przemysłu, gdzie nasze Towarzystwo Popierania Kooperacji ma swój osobny pawilon, raczej swoje osobne miejsce, jako wystawca działu, bardzo blisko z drobnym przemysłem związanego. Wreszcie przeszliśmy do ostatniej kwestii dzisiej= szego porządku dziennego, kwestii instruktora. Po niefortun= nej wiosennej próbie z Dębinowskim, nauczeni doświadcze= niem, musimy być bardzo ostrożni w wyborze instruktora; ponieważ nie możemy pozyskać na tę posadę człowieka wy= kwalifikowanego, bo takowych w zakresie kooperacji jeszcze nie mamy, musimy więc zawsze ~~[illegible]~~ wybierać poomacku, opierając się na znajomości człowieka lub referencjach o nim, i z konieczności narażeni jesteśmy ~~u~~ na zawody. Obecnie kandydatem na instruktora był p. Kolendo, rekomendowany przez Turskiego i gorąco zalecony przez Szklennika, który jest nim zachwycony, co nie przeszkadza wcale, że w bardzo prędkim czasie Szklennik, człowiek kapryśny, może zmienić o nim zdanie i wziąć go uważać za niepodobnego. Po jakimś czasie petraktacji o nim opuścił zebranie. Turski tak go nam zarekomendował, że nam przedstawił, że naturalnie, biorąc słowo Turskiego na wiarę, nie pozostało nam nic innego, jak zaakceptować tę nominację, zwłaszcza że i Szklennik przyjął ten. Ponieważ zaś ~~[illegible]~~ posada ta wymaga ciągłego współpracowni= ctwa ze Szklennikiem, ~~[illegible]~~ który jest bardzo kapryśny i arbitralny, więc oczywiście można przyjąć na nią tylko takiego człowieka, ~~[illegible]~~ do którego Szklennik ma zaufanie. Na wypadek jakichś późniejszych ewentualnych nieporo= zumień, jak to było z Dębinowskim, żeby nie można było zarzucić Zarządowi, że przyjął pracownika, nie określiwszy funkcji jego, ustaliliśmy ze Stryjkowskim, aby do protokołu wpisać, że został przyjęty w ogólnych zarysach określonych obowiązków nowego funkcjonariusza Towa= rzystwa. P. Kolendo jest synem ~~[illegible]~~ powstańca, wychowany na wygnaniu w Rosji. Jako student ~~[illegible]~~ brał udział w ruchach ~~[illegible]~~ politycznych ~~[illegible]~~ i był więziony i relegowany z Uniwersytetu, a potem innego zakładu nie skończył. Liczy lat 35, jest żonaty i ma 6 dzieci, z kursów Kooperatywnych, ma być człowiekiem [illegible] z ideowym.

249

4 (17) września rok 1913. środa.

Jesień mamy piękną, suchą, pogodną i niezwykle ciepłą. Mogę chodzić jeszcze, nie tylko we dnie, ale często i wieczorem, bez palta i w słomianym kapeluszu, a nawet sypiać przy oknie otwartym.

Nie mam jeszcze wiadomości o moim cenzusie dla wyborów miejskich. Wileński przedstawiciel towarzystwa akcyjnego Myszkowskiej fabryki papieru, miejski p. Joffe, pojechał przed kilku dniami do Warszawy, gdzie się mieści Zarząd centralny tego towarzystwa. Miał on tam załatwić i sprawę mojego cenzusu, to znaczy albo przywieźć mi gotowe już, formalne pełnomocnictwo do reprezentowania tej firmy w wyborach miejskich, albo odmowę, gdyby Zarząd warszawski nie zechciał mi tego pełnomocnictwa wydać. Zachodziłem dziś do Abramsona po wiadomość, ale Abramson nic jeszcze nie wie; Joffe zapewne jeszcze nie wrócił. Uzyskanie tego cenzusu dlatego mi się nie wydaje zupełnie pewne, że w Zarządzie centralnym w Warszawie siedzą Natansonowie, żydzi-polacy, t. j. asymilatorzy, który politycznie są skłóceni z żydami tutejszymi – narodowcami. Zwłaszcza w czasie niedawnych warszawskich wyborów do IV Dumy Państwowej zaostrzył się konflikt między kierunkiem żydów, do którego należą Natansonowie, a kierunkiem, popieranym przez ogół narodowej inteligencji żydowskiej, do którego należą chyba wszyscy żydzi wileńscy i wśród nich też Joffe. Natansonowie byli za tym, żeby żydzi głosowali na Kucharzewskiego, żydzi zaś narodowi uznawali to za niemożliwe ze względu na nieprzyjęcie przez Kucharzewskiego zasady bezwzględnego równouprawnienia. Z powodu tego konfliktu politycznego obawiam się, że Natansonowie mogą nie zechcieć udzielić pełnomocnictwa swego do udziału w wyborach miejskich ~~T~~ osobnikowi, zalecanemu im przez Joffego. Gdybym zawczasu wiedział o tym cenzusie, byłbym poczynił pewne starania, aby Natansonom zarekomendował i poparł moją kandydaturę ktoś inny w Warszawie z kół działaczy, z którymi by się oni bardziej liczyli. Zresztą zobaczymy.

Wieczorem w sprawie wyborów miejskich odbyło się u mnie małe zebranie specjalne ściślejszego grona naszych przyjaciół, na którym byli: Zasztowt, [illegible], [illegible], [illegible], Iwan Łuckiewicz i ja. Chodziło nam o poinformowanie się od Zasztowta, jak stoją sprawy we wszechmocnym „Komitecie bezpartyjnym", do którego Zasztowt należy. Zresztą przeważnie omawiana była sprawa reprezentacji postępowej grupy wszystkiej. Co do nas z [illegible], to Zasztowt rokuje nadzieję, że dałoby się nas przeprowadzi[illegible]

5 (18) września
rok 1913.
czwartek.

Rozpocząłem nową pracę literacką; odpowiedź na ankietę rosyjskiej „Grupy pracy” („Trudowaja Gruppa” – „Trudowiki”) w sprawie narodowościowej w Rosji. Zacząłem z miejsca pracę tę obszernie, głęboko, na wielką skalę, dając jej tło analizy historycznej o ukształtowaniu się narodowym Litwy i Białej Rusi. Z tej historycznej dopiero analizy, jako z punktu wyjścia, przejdę do rozważania stosunków ~~obec~~ obecnych, to znaczy do układu prądów i koncepcji narodowych w kraju oraz do samego problematu narodowościowego, traktowanego pod kątem demokratycznym. Czuję, że pracę tę ująłem od samego początku za głęboko, jak na ankietę, ale mi szkoda ją zmieniać i szkoda tego bogatego materiału, który mi się w umyśle ułożył i który pod ręką tryska twórczą myślą i pięknem wielkiego obrazu dziejowego. To też poprowadzę ją tak dalej i wyczerpię całość zagadnienia, choćby mi to było tylko osobistą rozkoszą tworzenia i wykładu myśli. Jeżeli to będzie za obszerne i za ogólne na ankietę, to może zużytkuję to w jakiś inny sposób. Ale ankietę tę trzeba byłoby właściwie opracować zbiorowo, wspólną pracą demokratycznych elementów wszystkich naszych grup narodowościowych. Może moja praca posłuży za tło dla takiej odpowiedzi zbiorowej, obejmującej całość problematu narodowościowego w Litwie i Białej Rusi. Trzeba będzie zaproponować przyjaciołom naszym ~~[illegible]~~ zorganizowanie takiego współpracownictwa zbiorowego. Zaproponuję to, jak będę miał szkielet mojej głównej pracy historycznej już gotowy.

W sprawie cenzusu mego do wyborów miejskich nic jeszcze nie zrobiono. Dowiedziałem się, że Joffe jeszcze nie jeździł do Warszawy, bo się dowiedział, że Natansona w Warszawie nie było. Teraz ma pojechać do Warszawy w niedzielę, tak że do jakiejś środy przynajmniej sprawa zostaje w zawieszeniu.

6 (19) września rok 1913, piątek.

Napisałem dziś 2 artykuliki dla „Kurjera Krajowego", jeden z powodu wczorajszego wyboru p. Stanisława Łopacińskiego na posła do Rady Państwa z gub. Wileńskiej, drugi na temat ogólniejszy, z powodu uroczystości otwarcia nowej guberni Chełmskiej, — o wyrastającym życiu i dążeniach prawno-państwowych (autonomicznych) krajów i narodów ujarzmionych i pozbawionych formalnego bytu, w szczególności Polski i Litwy. Drugi zwłaszcza z tych artykulików udał mi się znakomicie.

Ludwik Abramowicz zwrócił mi dziś rękopis mego artykułu, który pisałem w zeszłym tygodniu dla „Przeglądu Wileńskiego", — o memorjale Polskiej Komisji Tymczasowej i deklaracji Litewskiego Biura Informacyjnego w Paryżu. Artykuł nie będzie drukowany w „Przeglądzie" ze względów, jak powiada Ludwik, cenzuralnych. Tak więc nie zdarza mi się już widocznie przemówić raz jeszcze ze szpalt tego „Przeglądu", w którym w roku zeszłym tylekroć przemawiałem, jako w organie, wyrażającym moje idee. Wtedy idee te były ~~[illegible]~~ wspólne dla całej grupy naszej, dziś ~~[illegible]~~ „przeglądowcy" od nich odbiegli. A że „Przegląd" wkrótce już zapewne zamrze, więc więcej już ze szpalt jego przemówić mi z pewnością nie wypadnie.

Wieczorem odbyło się zebranie starego zeszłorocznego Komitetu rodzicielskiego przy gimnazjum Winogradowa. Wybory nowego Komitetu mają się odbyć ~~[illegible]~~ w niedzielę lub, gdyby ~~[illegible]~~ zebrało ~~[illegible]~~ kworum, — w następną drugą niedzielę. Dzisiejsze zebranie starego Komitetu było zwołane głównie dla narady ~~[illegible]~~ o nowej kandydaturze na prezesa Komitetu, ponieważ prezes obecny (zeszłoroczny) p. Konrad Niedziałkowski ~~[illegible]~~ ze względu na brak czasu nie zgadza się przyjąć ponownego wyboru. Nic zresztą nie uradziliśmy, bo nie wymyśliliśmy jeszcze innego kandydata. Wysunięta przez niektórych kandydatura p. Kopańskiego, człowieka, który ma dużo czasu wolnego, ale p. Kopańskiego, który się czuje obrażony, że go kiedyś po 2-letnim prezesostwie nie wybrano ponownie, odpadła. Zdaje się, że przyjąłby bardzo chętnie wybór, ale chciałby, żeby go bardzo proszono i żeby z wielką pompą, niby wbrew woli jego wybrano. Nie jest to jednak człowiek zupełnie odpowiedni na prezesa. Jest niedołęga i nie ma często taktu, bywa opryskliwy i zarazem chwiejny to uparty. Wspominano i o mojej kandydaturze na prezesa, ale jej nie przyjąłem. Główny wzgląd jest ten, że ~~[illegible]~~ mógłbym być nie zatwierdzony przez kuratora, jako „[illegible]" ~~[illegible]~~ czerwony. Skądinąd zaś przypuszczam, że moja kandydatura na prezesa nie byłaby dobrze widziana przez niektórych przewodniczących klerykałów i endeków, przez całą reakcję rodziców. Zapewne więc nie przeszedłbym i byłbym jako wystawiony na agitację wrogą, a nawet w razie wyboru nie zadowoliłbym wielu rodziców i nie zdziałałbym ich zaufania. Zawsze wyrobioną mam markę

7 (20) września rok 1913. sobota.

Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu członków Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego. Do towarzystwa tego wpisałem się dopiero na wiosnę, tak że jestem w nim homo novus. Towarzystwo jest międzynarodowe; należą doń rosjanie, żydzi, litwini, polacy, białorusini, przeważnie z kół artystów-malarzy, literatów i dziennikarzy oraz jednostek z inteligencji wolnych zawodów, sprzyjających gorąco rozwojowi kultury artystycznej. Polaków, względnie do ich inteligenckiej przewagi liczebnej w Wilnie, jest w Towarzystwie mniej, niż innych; to się tłumaczy pewną niechęcią polaków w ogóle do łączenia się z elementami innych narodowości w tym kraju, pewną jakąś nieufnością i obawą przed zniwelizowaniem prądami międzynarodowemi. Polacy mają tendencję do odosobniania się i przestrzegają zazdrośnie swego stanowiska gospodarzy Wilna, czego inne grupy narodowe nie chciałyby im przyznać. To też zresztą prawie jest pewien istotny rozdźwięk między innemi narodowościami a polakami, którzy nie tylko się poczuwają za gospodarzy Wilna, ale i za członków narodu wielkiego, nie mogącego się równać czy to z litwinami, czy z białorusinami, czy tymbardziej żydami. Polacy też wszyscy prawie są wyznawcami idei państwowości polskiej, którą zresztą prawie wszyscy rozciągają mniej lub więcej jawnie, w duszy przynajmniej, jeżeli nie w słowach, na Litwę, uważając przez nich za państwową schedę polską, co właśnie stanowi zasadniczy błąd dziejowy narodowej ideologii polskiej, błąd, który powinien być naprawiony, jako nieodpowiadający prawdzie życiowej i logice rozwoju kraju naszego. Co zaś do rosjan, to są jeszcze względy szczególne, bardzo znamienne, acz kolwiek niezawsze i nie przez wszystkich stosowane konsekwentnie, które polaków odstręczają od obcowania wzajemnego. Powiadam, że polaków jest w tym Towarzystwie względnie mniej, w proporcji do ich siły liczebnej w Wilnie, ale to nie znaczy, aby ich naogół było w Towarzystwie mało. W ogóle w Towarzystwie Artystycznym dominują elementy, czy też nastroje postępowe. Towarzystwo urządza corocznie wystawy obrazów, w roku zeszłym (właściwie obecnym kalendarzowym na wiosnę) urządziło wystawę utworów dziecinnych („Sztuka w życiu dziecka”). Oprócz tego Towarzystwo Artystyczne urządza w roku zeszłym raz w tygodniu wieczory artystyczne z improwizacjami, swobodną zabawą, ucztami w stylu kabaretowym i t. p. W roku bieżącym dniem wieczorów artystycznych mają być soboty — od października. Mają być produkcje muzyczne, żywa plastyka i t. p. w tonie poważnym, odczyty o sztuce, osobno zaś zabawa kabaretowa (zawsze wszakże przyzwoita). Na zebraniu oprócz tej kwestii omawiano jeszcze sprawę lokalu dla wystaw Towarzystwa.

253.

8 (21) września rok 1913. niedziela.

Zebranie rodziców w gimnazjum Winogradowa dla wyboru komitetu rodzicielskiego, zwołane na dziś, do skutku nie doszło, bo przepisana cyrkularem ministerjalnym liczba rodziców (2/3 ogółu rodziców, mieszkających w mieście) nie stawiło się. Odłożono więc wybory do następnego zebrania w przyszłą niedzielę. Wszyscy, którzy dziś przybyli, zobowiązali się przybyć sami na następne zebranie i objechać osobiście wszystkich nieobecnych rodziców z wezwaniem do stawienia się, żeby się komplet potrzebny zebrał.

Mój artykulik o wyborze Stanisława Łopacińskiego do Rady Państwa z gub. Wileńskiej, drukowany we wczorajszym N. „Kurjera Krajowego", zrobił, zdaje się, na mieście wrażenie. Zwykle wybory do Rady Państwa przechodzą u nas spokojnie, bez rozkiełznienia. Wyborcami są ziemianie, to znaczy jedna klasa społeczna; o jakiejś więc głębokiej walce ideowej — nie ma zwykle mowy; grono ludzi wpływowych, z Hipolitem Korwin-Milewskim na czele, mianuje zazwyczaj kandydata, którego ogół ziemiańskich wyborców posłusznie na posła wybiera. Tym razem było wszakże inaczej. Już na długo przed wyborami rozeszła się wiadomość, że grono przemożnych patronów z Hipolitem Milewskim i Kończą na czele wystawia kandydaturę Stanisława Wańkowicza, znanego ugodowca i wstecznika. Wańkowicz, będąc posłem w Dumie, dwukrotnie jaskrawie się popisał: raz w czasie obrad, zdaje się, nad ziemstwami zachodniemi, palnął mowę ultra-ugodową, nacechowaną lojalizmem względem państwowości rosyjskiej, drugi zaś raz, akurat w czasie, gdy omawiano głosowanie nad ustawą o wyodrębnieniu Chełmszczyzny, wyjechał sobie w jakichś potrzebach romansowych na wycieczkę do Francji, i trzeba, że cały szereg artykułów tej ustawy, skierowanych przeciwko Polakom, przeszedł w Dumie większością jednego głosu. Teraz więc na wieść o kandydaturze niepopularnego Wańkowicza — zawrzało. Tak elementy postępowe, jak endecy, rozpoczęli zgodnie energiczną agitację przeciwko niemu. Z opozycji wysunięto kontrkandydaturę wybitnego i znanego Stanisława Łopacińskiego, człowieka rozumnego, z wielkim taktem, pracowitego, uspołecznionego, z przekonań — umiarkowanego postępowca, liberała. Na zebraniu przedwyborczym, pomimo forsownej protekcji Kończy i Milewskiego, ogromną większością zabalotowano Wańkowicza i ustalono kandydaturę Łopacińskiego, który też nazajutrz został wybrany. Rozkiełznienie było duże i nie obeszło się bez zajść. Na zebraniu przedwyborczym jeden z wyborców, Krzysztof Malinowski, ostro skrytykował Wańkowicza, wytykając mu dobitnie jego grzechy poselskie. Kończa poczuł się tym dotknięty i, jako przewodniczący oraz jako formalny gospodarz zebrania (zebranie bowiem było przez Kończę zwołane) przeprosił publicznie Wańkowicza i „swoich gości" za niestosowne i ostre słowa K. Malinowskiego. Zwrócono Kończy uwagę, że to nie jest zebranie towarzyskie jego gości, jeno zebranie przedwyborcze, na którym wolno swobodnie krytykować kandydatów. Maslinowski zaś wysłał postał do Kończy sekundantów z żądaniem satysfakcji honorowej (sądu). Kończa odmówił, i teraz Malinowski zgraża się, że zmuszony będzie sam sobie wymierzyć czynnie satysfakcję na Kończy. W prasie wszakże, po tchórzliwych wyborach, przemilczano o walce przedwyborczej i tylko jeden „Kur. Krajowy" w moim artykule, witając wybór Łopacińskiego i kreśląc charakterystykę osoby jego, wytknął ujemne cechy jego kontrkandydata Wańkowicza. Wobec tego N. „Kurjera Krajowego" zabrakło przez kogoś rozesłany do wszystkich wyborców ziemiańskich po hotelach i zrobił wrażenie. Wielu osób z tych, którzy nigdy „Kur. Krajowego" nie czytają i którzy nie współczują z kierunkiem jego nie mają, winszowało mi dziś tego artykułu.

9 (22) września
rok 1913.
poniedziałek.

Dowiedziałem się od Abramsona, że wyjednanie cenzusu miejskiego dla Bułhaka, o który się starano od zarządu firmy „Wysocki i S-ka" w Moskwie (towarzystwo handlu herbatą), nie udało się. Z niewiadomych powodów zarząd firmy w Moskwie, zapytany listownie, odmówił udzielenia przedstawicielstwa swego cenzusu Bułhakowi. Dziwne to, bo Bułhak tam zna[?], i w zarządzie firmy są ludzie, którzy są jego politycznymi przyjaciółmi. Szkoda, bo kandydatura Bułhaka miałaby szanse powodzenia, a udział jego w Radzie Miejskiej byłby niewątpliwie pożądany. Jest to człowiek żywy, dobrze się orientujący, człowiek na arenie publicznej przydatny. W opozycji byłby on pierwszym człowiekiem czynnym i jedynym zarazem umysłem praktycznym. Może uda mu się jeszcze wyjednać na własną rękę cenzus skądinąd. Coraz bardziej wątpię, aby i mnie się udało pozyskać cenzus z Warszawy, od Natansonów.

Od kilku dni Mademoiselle Jeanne, która w pierwszych dniach powrotu do Wilna codzień zaglądała do nas, przestała zupełnie przychodzić. Dziś wreszcie przyszła pod wieczór, zabawiła parę godzin i została na herbatę. Stosunek jej do mnie zdaje mi się być osobliwy. Naturalnie, że wszystko się opiera tylko na domysłach moich i przelotnych spostrzeżeniach; żadnej pewności nie mam, bo nietylko że nic nie było i być nie może żadnych zwierzeń między nami, ale nie ma i żadnych aluzji do jakichkolwiek uczuć możliwych. Nie ma też ani krzty flirtu, broń Boże, bo primo Mademoiselle Jeanne nie jest ani trochę kokietką, a secundo nigdybym sobie na taki flirt nie pozwolił. Wstydziłbym się go ze względu na różnicę wieku, przy braku pewności jakichś uczuć osobliwych, a pozatym, jeżeli domysły moje są prawdziwe, zbyt szanuję dziewczynę i jej ewentualne uczucia, abym sobie na flirt zdawkowy pozwolił. Faktem jest, że Mademoiselle Jeanne ma jakąś głęboką troskę, jakiś ból, który ją męczy, gnębi i pozbawia swobody i wesołości. Ból ten pochodzi bodaj nawet nie tyle z jakiegoś uczucia, ile z widocznego pragnienia przezwyciężenia w sobie, stłumienia czegoś, co się Mademoiselle Jeanne wbrew jej woli nie udaje. Zdaje się więc, że to nie tyle ból uczucia, ile męka woli. Zwłaszcza raz obecność moja działa deprymująco na Mademoiselle Jeanne; trapi się wtedy bardzo, naprężając[?] to się rozśpiewa[?], to usiłuje się uśmiechać swobodnie i jasno, zdradza ciągłe kontrasty na wyrazie twarzy; słowem — traci przy mnie równowagę i staje się sztywną i wymuszoną, próbując to pokryć wysiłkiem woli, co jej się wszakże nie udaje, bo ma naturę raczej szczerą, naturę, która nie umie maskować obłudą wrażenia bezpośredniego. To też widzę w niej ciągle tę rozterkę i walkę bolesną wysiłków woli z odruchami przygnębienia. Tak się [illegible] biedna dziewczyna i tak biedaczka się smuci i traci na humorze! Nie ma już tej wesołej swobodnej Mademoiselle Jeanne, dziewczyny-dzieciaka, jaką była w pierwszym czasie w Bohdaniszkach. Powtarzam, że wszystko to jest tylko moim spostrzeżeniem, które może grzeszyć subjektywizmem. A gdybym się nawet nie mylił, to niekoniecznie świadczyłoby to jeszcze o jakiejś miłości czy podobnym sentymencie dla mnie. Może to pochodzić z uczucia, ale może pochodzić i z innego źródła: może obecność moja poprostu ją tylko onieśmiela, może czuje ona domysły moje i mojego otoczenia i chciałaby im właśnie kłam zadać, a nie umie i tym się gryzie, że daje powód do utrwalenia tych domysłów. Może więc to być drżenie podkochiwania się dziewczęcego, lecz może być i droga szczególnej niechęci do mnie, podyktowanej złością na mnie [illegible]. W każdym razie nie chcę robić żadnych kroków w kierunku utrwalania możliwych sentymentów dziewczyny. Mam dla niej sympatii dużo, ale mam i rozsądek[?], a że wiem, iż nic z tego być nie może i że dla Mademoiselle Jeanne ewentualne uczucie stałoby się jeno źródłem boleści i nieszczęścia, więc byłoby niesumiennie tym się bawić i umyślnie forsować podobną sytuację. Zachowuję z Mademoiselle Jeanne ton przyjacielsko-żartobliwy i nie daję jej poznać, że się czegoś domyślam.

Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu filii wileńskiej Związku Ligi Przeciwgruźliczej w sali zarządu miejskiego.

Nocnym pociągiem wyjechałem z Papą do Radoszkowic. Papa wybrał się wyjątkowo na [illegible] Wiązowca, to też umówił mnie w tej podróży towarzyszyć.

255.

10 (23) września rok 1913. wtorek.

Rano wcześnie przyjechaliśmy z Papą do Podbrzezia [illegible]. Zastaliśmy na stacji konie Marii Wołodkowiczowej z Chełmnicy, który przysłał nam czwórkę w wygodnym krytym pojeździe. Zjedliśmy z Papą krótkie lekkie śniadanie w zajeździe Ginzburga przy stacji i wyruszyliśmy w drogę. Pojazd kryty bardzo się przydał, bo mżył drobny deszczyk jesienny z wiatrem chłodnym; w powietrzu była przenikliwa wilgoć. Im bliżej Wiażowca, tym, jak zawsze, droga stawała się gorsza i wreszcie już poprostu ohydna. Parodnia, czwórką koni, zajechaliśmy koło godz. 11 przed moją leśniczówkę, która jeszcze nigdy takiej świetności zaprzęgu nie oglądała. Tu wypiliśmy herbatę, zjedliśmy jajecznicę, którą nam naprędce Pieszczkierska przyrządziła, nałożyliśmy długie buty i byliśmy z Papą gotowi do drogi w las. Przybiegł i Pieszczkierski, który właśnie chodził po lesie z szafarzem, cechując sosny, [illegible] wyznaczone do porębu zimowego, — zwabiony głosem trąbki mojej. Tak oto nastąpiły te zapowiadane oddawna oględziny lasu przez Papę. Ale jakże inaczej je sobie wyobrażałem, niż miały wypaść w rzeczywistości. Wyznam, że się tej inspekcji Papy zawsze obawiałem i że w sekrecie pragnąłem gorąco, aby nigdy do skutku nie doszły. Sądziłem, że Papa się będzie o wszystko dopytywać, że ze zwykłą arbitralnością i brakiem kurtuazji względem syna, którego uważa za „quantité négligeable", wyprze wszystko, aby tylko tłumić, skrytykować wszelkie rozporządzenia moje i wykazać swoją wyższość a moją nieumiejętność czy nie praktyczność, że wreszcie, krytykując mnie, [illegible] narazi na szwank mój autorytet wobec Pieszczkierskiego. Niczego podobnego nie było. Poszliśmy najprzód w las № XVIII pod Kasyun, stamtąd zawróciliśmy granicą z powrotem, minęliśmy znowu leśniczówkę, zawróciliśmy pod Konstopkę i stamtąd przez las serwitutowy, przecząc Wiażowca i cały las przeszliśmy aż na krańce ostatnie po granicy [illegible]. Z początku Papa się trochę interesował, [illegible] oglądał niektóre pojedyncze sztuki, coś niecoś zapytywał; ale bardzo rychło się [illegible], zmęczył i szedł ciężkim krokiem, powoli, jak odbywając pańszczyznę. Stracił werwę, mówił ciężko, a na las to już wcale nie patrzał. Żal mi było biednego starego Ojca, bo widziałem, jak się wysila i z jakiem zmęczeniem idzie, wypatrując tylko rychłego końca. Znając wszakże starość Papy, który nadewszystko lęka się przyznania o brak sił, udawałem, że nie dostrzegam jego zmęczenia. Z tego też powodu nie mogłem zaproponować Papie wypoczynku, bo wiem, że poczułby w tym spostrzeżenie zmęczenia, a to sprawiłoby Mu [illegible] przykrość, dziś samo zmęczenie. Papa broni się przeciwko starości, jak [illegible], i wysila się, żeby tylko zamanifestować swe siły; nadrabia miną i myśli, że tym oszuka czy siebie czy innych. Smutna to rzecz — starość. Tak był Papa zmęczony, że już i lasu nie widział i o nic nie rozpytywał i nie był w stanie się orjentować. Wróciliśmy drogą przez Truszyńskie. Napróżno się lękałem tej inspekcji Papy. Nie był to groźny i bezwzględny mentor, wnikający okazji do skarcenia, jeno słaby kochany starzec, zajęty — troską o uporządkowaniu sił, których mu brakło. Po powrocie do Wiażowca z lasu, wypiliśmy herbatę i wyjechaliśmy z Papą do Chełmnicy. Las uważał nie bardzo się Papie podobał, choć [illegible] nie wiele oglądał. Niewiele miał odbyt [illegible] przez cały las, ale go właściwie nie oglądał. Miał Papa przesadne wyobrażenie o [illegible] tego lasu, to też rzeczywistość wydała się Papie biedna, tym jest w istocie. Pieszczkierski Papie się podobał, z czego się cieszę. W Chełmnicy zastaliśmy Marię i Stasię z żoną. Po kolacji i herbacie wcześnie poszliśmy z Papą spać.

Wczoraj Papa [illegible] mi: „Poczułem się do winy" [illegible] „Nie [illegible] tylko [illegible]" [illegible]

256.

11 (24) września rok 1913. Środa

Zabawiliśmy z Papą w Chełmicy u Kazia Wołodkowicza do godz. 1 po południu. O 12-ej zjedliśmy obiad i zaraz po obiedzie wyjechaliśmy na kolej do Radoszkowicz. Tam rozjechaliśmy się z Papą w różne strony: Papa — na Mińsk i Bobrujsk w odwiedziny do Trusianowskich i Mieczkowskich (do Bielcza i Robertowa), ja — do Wilna. O godz. 6 z minutami byłem w Wilnie. Wieczorem poszedłem do Jana Vileišisa, u którego w mieszkaniu odbyła się narada grupy członków wileńskiego litewskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (urzędowa nazwa towarzystwa: Trzecie Wileńskie T-stwo Wzaj. Kredytu). Ja należę do tego towarzystwa nie w swoim imieniu, lecz za plenipotencją Anny, którą wpisałem na członka-udziałowca, wnosząc udział z oszczędności naszych, lokowanych na jej imię. Towarzystwo to jest bardzo młode, ale już ma dzieje niezwykle burzliwe. Inicjatorami jego byli głównie Domaszewicz i Morawski, dwaj byli esdecy litewscy, którzy dziś, ochłonąwszy z esdeckich porywów młodości, stali się okrutnie patriotycznymi i okrutnie praktycznymi ludźmi. Chcą oni dziś praktycznie zbawiać naród przez spekulacje finansowe, rozwój przemysłu i handlu, robienie pieniędzy i bogacenie się Litwinów, a ponieważ sami poczuwają się za członków narodu, więc oczywiście nie chcą zapominać i o sobie. Zakrzątnęli się oni, zwłaszcza Domaszewicz, bardzo energicznie nad zorganizowaniem tego towarzystwa, które skądinąd niewątpliwie oddać może poważne usługi rozwojowi słabego jeszcze handlu i przemysłu litewskiego. Ale, organizując towarzystwo, mieli przede wszystkiem siebie na względzie, żeby utworzyć dla siebie placówki posad finansowych, — dyrektorów nowego banku, — narazie mało płatne, ale obiecujące na później stanowiska dochodowe i pewne. Morawski już w tym celu przeniósł się z Petersburga do Wilna. Byli oni pewni sukcesu, gdy wtem stała się niespodzianka. Morawski jest w ogóle niepopularny i nielubiany, nie ma wiary i zaufania ludzi. Dochodziły się też mętne, złe i wręcz fałszywe, pogłoski o nim, podsycane przez niechęć i niewiarę w szczerość jego. To też na zebraniu przedorganizacyjnym przeciwko kandydaturze Morawskiego powstała opozycja ogólniejsza. Napróżno Domaszewicz i grono jego przyjaciół z Dr. Matulaitisem, Prusaczkiem i innymi próbowało forsować swego kandydata. Opozycja z Bułatem na czele, stanowiąca większość, kandydaturę tę odrzuciła. Domaszewicza natomiast chciano wybrać, ale on oświadczył, że tylko w takim razie przyjmie wybór, jeżeli wybrany będzie jednocześnie Morawski. Wybrano więc do Zarządu (Dyrekcji) Kimontę, Mašiotasa i Czesława Landsberga, do Rady zaś członków opozycji, a pośród nich Bułata i Jana Vileišisa. Wolno było już, gdy Morawski wybranym nie został. Ale grupa Domaszewicza, Morawskiego i Matulaitisa wypowiedziała walkę na śmierć towarzystwu. Ogłosili oni zebranie i wybory za nieważne, zaczęli wyszukiwać jakieś kruczki formalne, pisali protesty, nie chcieli wydać papierów i pieniędzy nowemu zarządowi, słowem — rozpoczęli skandal. W [illegible] przewagę posiedli demokraci, to też oni stali się celem ataków. Na pojutrze zwołane jest nadzwyczajne ogólne zgromadzenie dla wyboru kilku członków do Rady i jednego członka zarządu na miejsce Landsberga, który się musiał usunąć, i wreszcie dla rozpatrzenia i zlikwidowania protestów opozycji Domaszewiczowskiej. Na naradę dzisiejszą zebrało się 24 osoby u Vileišisa.

Postanowiono na zebraniu przyjąć [illegible] odmówić protestu opozycji, jako nieuzasadnionego; co zaś do [illegible], to do zarządu (dyrekcji) wybrać [illegible] Vileišisa [illegible] solidarność na zebraniu przeciwnej opozycji.

12 (25) września. rok 1913. czwartek.

Dziś, jeżeli tam tylko projekty nie uległy jakiejś zmianie, wyruszyła moja Aninka wyruszyć z wycieczką uczennic Kraszewskiej w świat, do Galicji, to znaczy „za granicę". Cieszę się z tej rozrywki Anny i z tego, że dużo zobaczy ciekawego i kształcącego, co w jej umyśle wrażliwym ślad zostawi. Wyjazd też ten zbliża termin powrotu Anny do Wilna, co mię też niezmiernie cieszy, bo stęskniony do niej jestem — bardzo.

Wieczorem byłem u Szklennika. Miał być i Witold Abramowicz, i mieliśmy omówić sprawę ~~[illegible]~~ projektowanego zjazdu, czy będziemy się starać dalej o pozwolenie na takowy ~~[illegible]~~ i jaką drogą, czy nie. Witold wszakże nie przyszedł. Był tylko oprócz mnie i Szklennika — Jan Piłsudski.

Rozmawialiśmy więc tylko wogóle o sprawach kooperacji, o ciężkich warunkach prawnych, w jakich zmuszony jest rozwijać się wielki ruch społeczny w kraju naszym, o stosunku komisji urządzeń rolnych do kółek rolniczych włościańskich i t. d.. Szklennik bardzo zadowolony z udziału naszego Towarzystwa ~~[illegible]~~ popierania kooperacji w wystawie drobnego przemysłu. Powiada, że zwiedzający wystawę chętnie się zatrzymują przy dziale kooperacji i że wogóle zainteresowanie jest widoczne. Mnie się jednak zdaje, że ~~[illegible]~~ jest niezupełnie tak. Ogół naszej publiczności jest jeszcze bardzo słabo uświadomiony w zakresie spółdzielczości, to też dział kooperacji, pełny tablic, ksiąg rachunkowych, plakatów, książek ~~[illegible]~~ słownikowych wydaje mu się suchym, zwłaszcza że tuż obok eksponaty drobnego przemysłu nęcą oko barwą i deseniem, dziwiącemi na wystawie i nie wymagającemi dla przeciętnego widza skupienia uwagi. W istocie zaś kooperacja — to rzecz wielkiej przyszłości i potężna dźwignia dla tegoż drobnego przemysłu.

258.

13 (26) września rok 1913 piątek

Otrzymałem króciutki listek od Anny, datowany 24 września nowego stylu, t. j. pozawczoraj. Zawiadamia mię Anna, że tegoż dnia, właściwie w nocy ze środy na czwartek o godz. 2-giej, mają one, to znaczy cała wycieczka uczennic Krasienińskich, wyruszyć pieszo z Krasienina do Lublina. Z Lublina dalej mają jechać pociągiem. Pisze Anna, że w podróży tej mają one połowę drogi odbyć koleją, połowę zaś pieszo. Nie rozumiem tego i nie wyobrażam sobie, gdzie w wycieczce po Galicji mogą one aż połowę drogi iść pieszo. Z listów Anny wiem, że mają być w Krakowie, w Zakopanem, w galicyjskim zagłębiu węglowym, to znaczy w części Galicji zachodniej pod granicą rosyjską i Śląsk Cieszyński, gdzieś w stronach Krzeszowic. Rozumiem, że wycieczki pieszo mogą one odbywać dla zwiedzenia okolic Krakowa, kopalni węgla w zagłębiu zachodnio-galicyjskim, wreszcie w Tatrach pod Zakopanem. Ale chyba kapitalne przejazdy z jednego miejsca w drugie będą zawsze odbywały koleją, bo inaczej [redacted] wycieczka [redacted] trwać by musiała o wiele dłużej, niż 2 tygodnie. Prosi mię wreszcie Anna o przysłanie jej pieniędzy do Lublina za tydzień, bo nie będzie miała za co wrócić do Wilna. Z tego wnoszę, że wycieczka nie potrwa dłużej nad jakieś 2 tygodnie. Wszakże przed 1 października nie chcę powrotu Anny, bo [redacted] koło św. Michała będę w Bohdaniszkach i dopiero po św. Michale wrócę, a chcę być na jej przyjazd w Wilnie.

Wieczorem w lokalu „Rūty" odbyło się [redacted] ogólne zebranie III Wileńskiego (litewskiego) Towarzystwa Wzajemnego Kredytu. Wigilją zebrania, wczoraj, przeciwnicy Zarządu i samego towarzystwa, mianowicie Domaszewicz, Morawski i Matulaitis, rozesłali do członków obszerne memorjały i odezwy drukowane, krytykujące ostro Zarząd oraz rzekomą zachłanność grupy demokratycznej (zwłaszcza Bułata, Sławewicza i J. Vileišisa), która ich zdaniem zagarnęła towarzystwo i prowadzi je do zguby. Domaszewicz i Morawski, którzy wystąpili już formalnie z towarzystwa i, jak słychać, zabierają się do organizowania nowego, nie byli na dzisiejszym zebraniu. Obecny był z ich grupy dr. Matulaitis, który, choć także zgłosił swe wystąpienie, jednak zgłosił je w sposób nieformalny, to też liczy się dotąd urzędowo członkiem. Na zebraniu opozycję Matulaitisa poparli tylko dwaj Smilgiewiczowie i Juraszaitis, ale poparcie nieumiejętnie. Zebranie olbrzymią większością odrzuciło wszelkie twierdzenia i wnioski tej opozycji o rzekomej nieprawomocności poprzedniego zebrania i wyboru Zarządu i przeszło nad całą agitacją protestantów do porządku dziennego. Nie podobała mi się wszakże taktyka Sławewicza, który przewodniczył na zebraniu dzisiejszym, i Bułata. Zbyt bezwzględnie traktowali oni opozycję i zamiast złagodzenia sprawy podrażnili i rozjątrzyli grupę protestantów. Sławewicz zbyt kategorycznie i ostro przecinał dyskusję i w ogóle zachowywał się za szorstko, za bezwzględnie korzystał z swojej większości. Bułat zaś, polemizując z Matulaitisem i Juraszaitisem, używał metody ośmieszania ich, korzystając ze swojej przewagi dialektycznej. Efekt osiągnął oczywiście jaskrawy, ale naturalnie przez to konflikt wewnętrznie nie zlikwidował [?]. A zdaje się, że w stosunku do Matulaitisa można było osiągnąć pewne złagodzenie przy innej metodzie dyskusji. Ale Bułat chciał się unosić werwą demokratyczną [?], która mu zapewniła powodzenie z trybuny Dumy Państwowej, lecz tu niekoniecznie była stosowna. Do Zarządu i Rady wybrano ogromną większością te same osoby, których kandydatury były ustalone na poprzedniej naradzie u Vileišisa.

14 (27) września rok 1913. sobota.

„Kurjer Krajowy" rozpoczął od wczoraj umieszczanie w piśmie, śród tekstu, karykatur aktualnych ze stosunków wileńskich. Jako karykatury, są one dobre, ale ja osobiście mam pewne wątpliwości co do tego, czy są one w piśmie stosowne. Nie przeczę, że przyczyniają się one do rozpowszechnienia pisma, co w warunkach materjalnych „Kurjera Krajowego" jest rzeczą wielkiej wagi; jak wszelka sensacja, zwłaszcza podana w postaci dowcipnej i lekkiej, dają one powodzenie i rozgłos. Znam sam osoby, które nigdy „Kurjera Krajowego" nie czytają, przynajmniej nie czytują w nim artykułów, a pismo kupują lub prenumerują tylko dla takich rzeczy, jak obecne karykatury lub drukujące się od jakiegoś czasu sylwetki (charakterystyki) imienne radnych miejskich. Nie byłbym nawet bardzo przeciwny tym karykaturom, gdybym miał pewność, że będzie zachowana miara i takt. W każdym bowiem razie karykatura — to rodzaj sztuki, mogący mieć nawet pewne znaczenie społeczne, jako satyra plastyczna; w każdym razie, mając cechę sensacji, stoi ona o niebo wyżej od innych sensacji prasy brukowej, takich, jak opisy zbrodni, zwyrodnienia seksualnego i t.d., z których się lubują czytelnicy świstków brukowych i które szerzą jeno miazmaty zepsucia. „Kurjer Krajowy" i pod tym względem zgrzeszył czasem, co mu stanowczo mam za złe. Ale karykatura jest pod innym względem niebezpieczna. W pogoni za jaskrawością wyrazu i dowcipem układu karykatura może przekroczyć w złośliwość lub, co jeszcze gorzej, w zupełną abnegację jakichś względów ideowych, — byle tylko zdobyć efekt chwilowego powodzenia. Trzeba dużego taktu i zmysłu czystości ideowej oraz etyki, aby, posługując się karykaturą, nie nadużyć tej formy wypowiadania się. A tego właśnie Makowskiemu brak. Jest on zdolny, ruchliwy, ale taktu wielkiego nie ma, nie ma poczucia miary i harmonji ideowej. Jest trochę w rodzaju Jerzego Jankowskiego ([?]), który, przy większych jeszcze zdolnościach, ma tę samą wadę braku czystości i braku taktu i miary. Dzisiejsza karykatura, przedstawiająca dr-ową Vileišisową z Donatem Malinowskim i garścią satelitów „litwomańskich", bardzo dobrze wykonana, która dla mnie stała się takim wybrykiem, nie licującym z ideowym stanowiskiem pisma. Na karykaturze tej pochód p. Vileišisowej z orszakiem jest witany przez policjan-ta, salutującego doktorowę. Otóż w głębi widział[?] na karykaturze tej kościół św. Jana w Wilnie a u dołu miał być napis: „Nie kcemy po polskiemu!" Wyglądałoby to, że to jest scharakteryzowanie znanych ubiegłorocznych zajść w kościele św. Jana lub w ogóle domagania się litwinów ich praw językowych w kościołach. Zdawałoby się, że taką jest właśnie cała ta akcja: garść rozwydrzonych awanturników, zepsutych nienawiścią do polskości, w sojuszu z policjantem. Takie scharakteryzowanie ruchu, który ma głębokie podłoże kulturalne i społeczne, byłoby w jaskrawej sprzeczności z ideowym traktowaniem tych spraw w tymże piśmie. Dopiero na moją interwencję wykreślony został kościół św. Jana i zmieniony napis.

260.

15 (28) września rok 1913. Niedziela.

Odbyły się wybory do komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winogradowa. Pomimo że wszyscy rodzice i opiekunowie byli wzywani i przez zaproszenia drukowane i przez ogłoszenia w całej prasie i wreszcie osobiście, stawiła się ich ilość znikoma. W kilku klasach, a w szczególności w V, w VI i w VII, brakło quorum, które jest wymagane w ilości 2/3 ogółu mieszkających w Wilnie. Trzeba było jeszcze telefonować, jeździć, aby uzupełnić liczbę. Wreszcie quorum było ukompletowane. Rodzice rozeszli się po klasach. Ja, jako kurator Henrysia Wołłowicza, biorę udział w wyborach w klasie VII. Wybrani zostali w tej klasie do komitetu jednogłośnie ci sami, co w roku zeszłym, to znaczy dr. Węsławski, p. Szachnowicz i ja. Wybory prezesa i wiceprezesa komitetu rodzicielskiego, których wybiera cały ogół rodziców, dokonały się też prawie jednogłośnie. Zeszłoroczny prezes, p. Niedziałkowski, który wpierw nie chciał przyjąć kandydatury, zgodził się kandydować. Kandydatem na wiceprezesa był dr. Węsławski. Żadnych kontrkandydatur, a przeto i żadnej walki czy agitacji wyborczej nie było. Obaj zostali wybrani. Tak więc komitet rodzicielski został ukonstytuowany. Tylko trzy szkoły wileńskie będą miały komitet w roku bieżącym — to nasze gimnazjum Winogradowa, I gimnazjum rządowe (nazwane od roku przeszłego: gimnazjum im. Aleksandra I) i gimnazjum żeńskie Winogradowej. W innych szkołach wybory komitetu nie doszły do skutku z powodu braku quorum.

O godz. 6 pod wieczór byłem na zebraniu sekcji Čiurlionisa przy Litewskim Towarzystwie Artystycznym. Zebranie było bardzo nieliczne — tylko 5 osób: członek Zarządu sekcji Szyling, p. Szaurogkowa, Jan Vileišis, inżynier Čiurlis i ja. Projektowane jest wkrótce otwarcie stałej wystawy dzieł Čiurlionisa. Zdaje się wszakże, że już we wrześniu nie można będzie wystawy otworzyć, bo czasu za mało. Postanowiliśmy otwarciu wystawy nadać charakter uroczysty. Rozesłane będą zaproszenia honorowe osobom wybranym, mają być przemowy. Co do przemów wszakże, to odbędą się one na otwarciu tylko o tyle, o ile gubernator pozwoli na przemówienia w innych językach, oprócz litewskiego i rosyjskiego. Gdyby wolno było przemówić tylko po rosyjsku i litewsku, bez polskiego, to postanowiliśmy wcale nie przemawiać, żeby nie drażnić Polaków. Na wniosek Čiurlisa postanowiliśmy wydać katalog ze wstępem, zawierającym biografię i krótką rzecz o twórczości Čiurlionisa. W sprawie umowy z wdową Čiurlionisową o warunkach stopniowego zakupywania dzieł artysty przez sekcję na własność narodową, — dotąd nic nie zostało ustalone. Čiurlionisowa nie daje żadnej wyraźnej odpowiedzi i o jednym tylko myśli, — żeby jak najwięcej wyzyskać pieniędzy z obrazów nieboszczyka-męża i jak najmniej się związać zobowiązaniami. Trzeba jest ostrożnie chodzić.

Wieczorem byłem z Marynią na odczycie p. Tadeusza Dowgirda z Kowna o drobnym przemyśle domowym. Dowgird jest gorącym miłośnikiem sztuki ludowej, artystą, który kultywuje i ceni twórczość kultury ludowej. Jest to człowiek, który cały swój zapał, całą energię życiową wkłada w ukochane przezeń dzieło poznawania i rozwoju kultury i sztuki ludu. Jest entuzjastą i człowiekiem czynu. Uważa się za Litwina i kocha lud litewski, składając całe swe życie w ofierze ukochanej przezeń sprawie. Odczyt jego był w ścisłym związku z obecną krajową wystawą drobnego przemysłu w Wilnie. Uchodzi on w sferach ziemiańskich polskich za dziwaka, bo jest indywidualny i pełen entuzjazmu. Odczyt jego był bardzo sympatyczny, choć audytorjum, niestety, było nieliczne.

16 (29) września
rok 1913.
poniedziałek.

Miałem dziś aż dwa spotkania niespodziewane z osobami, które znałem dawniej i z któremi łączyły mię kiedyś bliższe stosunki a z którymi oddawna się już nie widziałem. Jeden — to Sabrys, litwin. Poznałem się z nim w r. 1907 w Krzeszowicach pod Krakowem, gdzie spędzałem lato, pisząc moją książkę o Odrodzeniu narodowym litwinów — „Litwa". Sabrys dopiero co skończył studja uniwersyteckie, zdaje się w Odessie, i wyjechał w świat zagranicę, ponieważ w Rosji groziła mu odpowiedzialność za udział w ruchu włościańsko-rewolucyjnym w r. 1905. Sabrys znał mnie ze słyszenia, jako redaktora „Gazety Wileńskiej" i autora dziwnego i bodaj że pierwszego w tym rodzaju artykułu o stosunkach narodowych na Litwie, drukowanego w r. 1906 w „Krytyce" i wydanego w broszurze osobnej. Wiedział, że sympatyzuję z litwinami i słyszał, że piszę moją książkę. Przyjechał odwiedzić mię i poznać się ze mną w Krzeszowicach. Ja też wiedziałem trochę o nim ze słyszenia, jako o działaczu ludowym z doby rewolucyjnej i młodym adepcie litewskiego kierunku demokratycznego. Spędziliśmy z nim wiele czasu, nagadaliśmy się o sprawach i stosunkach krajowych do syta, co mi sprawiało wielką przyjemność zdala od kraju. Ponieważ Sabrys jechał stamtąd do Tylży, skorzystałem z tego, by go prosić o dostarczenie mi z archiwów stronnictw litewskich w Tylży rozmaitych druków, odezw i programów, które mi były potrzebne, jako materjał do pracy. Istotnie Sabrys mi wiele materjałów dostarczył, za co wyraziłem mu podziękowanie we wstępie do mojej książki. Odtąd korespondencja nasza z Sabrysem trwała przez lat kilka. Wyjechał on wkrótce do Paryża i tam zamieszkał. Z początku nawiązał tam stosunki z kolonją polską, nie [illegible] o Litwie, wstąpił do École des sciences politiques. Stopniowo zapoznał się z działaczami francuskimi, wszedł w tok stosunków i ruchów społecznych we Francji i zajął się informowaniem opinji zachodnio-europejskiej o sprawach litewskich — w prasie, na naradach działaczy i polityków, na zjazdach i t.d. Zrobił sobie z tego specjalność i wykwalifikował siebie na coś w rodzaju ambasadora litewskiego wobec Europy. Przed paru laty założył w Paryżu litewskie biuro informacyjne specjalnie w tym celu. W działalności tej zboczył na tory skrajnego nacjonalizmu, opuszczając całkiem grunt demokratyczny, i skierował całą robotę na dyskredytowanie polaków, wyolbrzymianie ucisku polskiego, godząc się natomiast coraz bardziej z państwowością rosyjską i akcentując coraz bardziej sympatje do sojuszu nacjonalizmu litewskiego z nacjonalizmem rosyjskim, wymierzonego przeciwko Polsce i polakom. Na tej drodze posunął się do ostateczności; z demokratami litewskimi zerwał już zupełnie, natomiast zyskał poparcie i oklaski nacjonalistów. Dziś należy on już do nich, jest ich agientem. On to jest autorem artykułu w „La Croix" przed paru laty, on jeździł do Londynu na jakiś zjazd, zdaje się — etnograficzny, z referatem o sprawie litewskiej, on, siedząc w Paryżu, pracuje z [illegible] i otwarcie w [illegible] kołach, grupach i kierunkach nad dyskredytowaniem imienia polskiego, on wreszcie jest autorem głośnej deklaracji litewskiej, posłanej w tym roku do londyńskiej konferencji ambasadorów, w której manifestacyjnie przeciwstawia lojalizm litewski względem Rosji — buntowniczości polaków. Dziś spotkałem go niespodzianie w Banku Handlowym. Jedzie do Petersburga w interesach i w przejeździe bawi w Wilnie. Kierunek działalności jego jest taki, że stał się on figurą niewątpliwie podejrzaną, mogącą być wprost agientem rządowym. Jego jazda do Petersburga, związana z jego działalnością, może mieć na celu takie i „interesa", od których obcym być jak najdalej. Przywitałem się z nim i zamieniłem parę słów towarzyskich, pożegnawszy się [illegible]. Jest on dziś „działaczem" najpodlejszego gatunku, pracującym na rzecz spodlenia i niewoli litwinów. Od takiego człowieka wolę być jaknajdalej.

Drugi, którego dziś niespodzianie spotkałem — to p. Łopieński, akwafortysta z Warszawy, człowiek bardzo sympatyczny i słodki, o wielkiej kulturze artystycznej, cichy i spokojny, ale rozumny. Spędził on cały rok w Paryżu, w r. 1904-1905, gdzieśmy się z nim poznali i byli w stosunkach bardzo przyjaznych i serdecznych. Odtąd nic nie słyszałem o nim. Przyjechał do Wilna dla pomówienia sprawy udziału Wilna w wystawie sztuki graficznej, która ma się odbyć w roku przyszłym w Warszawie. Chodziłoby o to, aby Wilno przysłało swoje eksponaty, potym zaś ewentualnie wystawa ta mogłaby być do Wilna przeniesiona i uzupełniona działem retrospektywnym grafiki wileńskiej. Obiecałem moją pomoc i współudział w tej sprawie, o ile zajdzie potrzeba. Nocnym pociągiem wyjechałem z Wilna. Jadę do powiatu oszmiańskiego do naczelnika ziemskiego na sprawę mojego klienta Rajki.

17 (30) września.
rok 1913.
wtorek.

Miałem dzień podróży uciążliwej. Celem mojej podróży było miasteczko Zaberezie (może po polsku: Zabrzezie) w powiecie Oszmiańskim, gdzie dziś naczelnik ziemski miał rozważać sprawę klienta mego p. Bajki z arendarzem jego folwarku, niejakim Boczkiewiczem. Miasteczko Zaberezie położone jest o kilka wiorst od stacji Dziedziłowicze kolei Siedlecko-Bołogojskiej. Z Wilna trzeba jechać albo pociągiem mińskim na Mołodeczno i stamtąd zawrócić na Dziedziłowicze, albo pociągiem poleskim na Lidę i zawrócić stamtąd. Ale wczoraj nie zajrzałem zawczasu do rozkładu jazdy kolejowej, i gdy się wieczorem zacząłem szykować do drogi i kombinować, jak jechać, to dopiero spostrzegłem, że ani na Mołodeczno, ani na Lidę na czas do Dziedziłowicz nie dojadę. Ponieważ zaś nie mogłem opuścić terminu, musiałem jechać do Smorgoń tylko koleją, a ze Smorgoń końmi do samego Zaberezia. Z Wilna więc wyjechałem pociągiem nocnym i koło godz. 3 byłem w Smorgoniach. Ze stacji zajechałem do miasteczka Smorgoń do jakiegoś obskurnego hoteliku, w którym przesiedziałem i przespałem się do godz. 5½ rano. O świcie furmanaczką żydowską potoczyłem się ze Smorgoń w pięciomilową drogę do Zaberezia. Woźnica-żydek okazał się b. sympatycznym, koń dobry, ale za to siedzenie w karach nieznośne. Siedzenie było niskie, a że siano, z którego się składało siedzenie, pod naciskiem ciężarem się ścisnęło, więc siedziałem zupełnie prawie na dnie kar z nogami przed siebie wyciągniętemi, i w dodatku z tyłu nie miałem żadnego oparcia. Droga trwała długo. Dopiero koło godz. 11 dojechaliśmy do Zaberezia. Po drodze w wiosce Łoski (o wiorst ± 8 od Zaberezia) widziałem piękną majestatyczną pilkalnię litewską, – stare grodzisko przedhistoryczne. Pilkalnia olbrzymia i typowa. Dziś ludność tu jest białoruska, ale niewątpliwie kiedyś musieli tu mieszkać litwini, o czym świadczy pilkalnia. Kraj tu jest piękny, gatunek ziemi dobry. W Zaberezie naczelnika ziemskiego jeszcze nie było. Wypiłem herbatę i czekałem. Spodziewałem się dobrego rezultatu sprawy. Po południu przyjechał naczelnik ziemski. Koło godz. 3 była sądzona nasza sprawa. Pomimo zmęczenia argumentowałem dobrze i treściwie. Były wszelkie szanse, że sprawa zostanie wygrana. Niespodzianka jednak dla mnie – naczelnik ziemski zasądził na korzyść mego przeciwnika. Bardzo był dla mnie uprzejmy, wzywał mię po sprawie do osobnego pokoika, częstował papierosem, gawędził, usprawiedliwiał się, że nie jest prawnikiem i że argumentacji jurydycznej dobrze nie ściąga (całkiem zresztą drwiący tupet „sędziego”!), więc zasądził tak, jak mu się zdawało, a niech sobie już zjazd w drodze apelacyjnej głowy smaży i decyduje ostatecznie. Rzeczywiście naczelnik ziemski tylko się nie orientował w sprawie i w ogóle robi wrażenie człowieka głupiego. Z włościanami zaś jest brutalny, bezwzględny, jak ostatni cham. Taki człowiek ma być tym wymarzonym opiekunem i opiekunem włościan, jak tego chciał Aleksander III, stwarzając instytucję naczelników ziemskich! Rzeczywiście włościanie są zdani na łaskę i niełaskę samowoli takiego naczelnika, który ani zna praw, ani nawet włościan, ani ich za ludzi uważa. Zna on tylko jedną siłę – to jest zupełnie brutalną i przymus. Zabija do reszty poczucie prawa i zmysł obywatelski zbiedzonych i zahukanych włościan. Po sprawie wyjechałem do Dziedziłowicz na pociąg. Z Dziedziłowicz do Mołodeczna jechałem z jakimś młodym księdzem z Smorgoń, który się okazał białorusinem, co jest rzeczą rzadką. Ale, choć jest patriotą białoruskim i należy do grupy [illegible] katolicko-białoruskiej „[illegible]”, obawia się [illegible] [illegible] białoruskiej w sprawach kościelnych, aby to się nie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] wobec [illegible] [illegible] [illegible] chłopów-białorusinów. O godz. 11 wieczorem byłem już w Wilnie.

18 września.
1 października
rok 1913.
Środa.

Całe popołudnie aż do ~~[illegible]~~ nocy upłynęło mi na pisaniu artykułu o odrodzeniu narodowym litwinów dla nowego pisma dla młodzieży, zaczynającego wychodzić w Warszawie pod nazwą „Z bliska i z daleka". Pismo to wychodzić będzie pod redakcją Stefanji Sempołowskiej, znanej literatki z obozu postępowego. Kierunek pisma będzie, zdaje się, szczerze postępowy bez domieszki ~~[illegible]~~ modnego obecnie w postępie warszawskim prądu antysemickiego, dochodzącego do żądania ograniczeń prawnych dla żydów i zaprzeczającego zasadniczym hasłom humanizmu. Gazety nacjonalistyczne i klerykalne z góry już trąbią, że to będzie pismo żydowskie, że należy strzec młodzież od zgubnych jego wpływów. Dla nich wszystko, co staje pod hasłem humanizmu, demokracji, ~~[illegible]~~ swobodnej myśli, wyzwolenia ludu, jest „antynarodowe" i „obce", jakgdyby kultura polska miała być płaszczykiem dla uprawiania obskurantyzmu klerykalnego i interesu szlachecko-mieszczańskiego.

Tygodnik „Z bliska i z daleka" przeznaczony jest dla młodzieży 14-15-letniej. Przed tygodniem otrzymałem od redaktorki Sempołowskiej list, w którym mnie zawiadamia, że z okazji ~~unji lub~~ 500-letniej rocznicy Unji horodelskiej ma być wydany № specjalny, poświęcony tak rozważaniu historycznemu tej rocznicy, jak życiu obecnemu ludów, z którymi ongi połączyła polaków ta unja, to znaczy litwinów i rusinów. U mnie, jako znawcy stosunków litewskich, zamawia Sempołowska artykuł o odrodzeniu narodowym litwinów i o ich stanie rozwoju obecnym. Tę właśnie pracę dziś wykonałem, choć obawiam się, czy nie będzie ona niedostępna dla młodzieży 14-letniej. Ująłem temat głęboko, ale może dla poziomu umysłowości podlotków za głęboko. Żałowałbym, gdyby artykuł się zmarnował, bo jest dobrze napisany i przeto wartościowy. Wyślę go, a niech już sama Sempołowska decyduje.

19 września
2 października
rok 1913.
czwartek.

Spotkałem się dziś w Sądzie z Witoldem Abramowiczem, który na stereotypowe zapytanie moje: „co słychać?“, odparł nawpół żartobliwie, nawpół zaczepnie: „Oj, kiedy nie wiem, jak z Tobą mówić.“ Zrozumiałem, że to niby wymówka, niby aluzja do tego, żeśmy się rozeszli i oddalili w naszych stanowiskach ideowych i dziś mamy dwa kierunki, choć może w pewnych punktach odrębne, ale przecież zasadniczo różne. Wiem, że Witold Abramowicz boleje nad rozdziałem naszym, może nie tyle sentymentem, ile rachunkiem, ponieważ posiadanie mnie w szeregach swej grupy ideowej uważa za atut dodatni. Pragnąłby on skupić wszystkie elementy, choć trochę pokrewne, pod jednym sztandarem; zawsze do tego dąży i zawsze to na prawo, to na lewo mu się ludzie, na których chciałby liczyć, wymykają. Mam skądinąd szczerą sympatję dla Witolda Abramowicza, którego cenię jako człowieka ideowego, i zaiste nie przez fantazję, lecz z konieczności ideowej musiałem od wiosny wystąpić z szeregów tej grupy „przeglądowej“ czy jakkolwiek bądź ją nazwać, którą Witold tak troskliwie budował. Zbyt głębokie rysy różnic ujawniły się między moim stanowiskiem przekonaniowym a coraz wyraźniejszą ewolucją tej grupy w kierunku nacjonalistycznym, zbaczającym od założeń demokratycznych i krajowych. Moje wycofanie się z szeregów tej grupy było jeno aktem szczerości. W tonie żartobliwym odpowiedziałem Witoldowi, że oczywiście, jeżeli ma jakieś sprawy poważne na sercu, które tylko wtajemniczonym ułożyłby wyjawić, to nie nastąpi, ale że znów tak daleko nie staliśmy się sobie obcy, abyśmy nie wiedzieli, jak ze sobą mówić. Na to Witold wszedł w tym samym tonie, akcentując wszakże dobitnie aluzję, powiedział, że tak się przecie złożyło, iż oni poszli za Warszawą, ja zaś wybrałem Petersburg. Teraz zrozumiałem wyraźnie, o co chodzi, a jednocześnie pojąłem, że za aluzją tą kryje się pewna propozycja, chęć pomówienia, zamaskowana żartem. Stary dyplomata Witold nie przestaje układać kunsztownych kombinacji i umie swoją robotę. Przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie byliśmy sami. Wiedziałem, że Witold mówi o tym związku międzynarodowych elementów demokratycznych, który trwa u nas od lat kilku i z którego on z grupą „przeglądowców“ się na wiosnę wycofał, a w którym ja i z polaków jeszcze Zasztowt zostaliśmy. W związku tym zostałem wyłącznie przez uznanie solidarności demokracji krajowej, nie zaś dla Petersburga. Petersburg jest dla nas w tej sprawie martwy, a że z Petersburga czy w ogóle z Rosji przyszła do nas forma, która niby trwa, to nie przesądza charakteru rzeczy. Idea jest w tym krajowa i li tylko przez nią i dla niej, na gruncie postulatów humanitarnych, jesteśmy z nimi połączeni dla działania tu i oddziaływania na Petersburg. Ani na chwilę nie myślimy się od Petersburga uzależniać i być jego sługami. Oddawna słyszałem, że secesja polskiej grupy „przeglądowej“ ze związku była połączona ze skonstruowaniem się jej na gruncie innej formy związkowej takiejże, mianowicie narodowo-polskiej. Teraz Witold mi to wyraźnie potwierdził całą treścią rozmowy swojej. Zaproponował mi wreszcie, żebym może przyjął na siebie pośrednictwo w zainicjowaniu takiejże formy związkowej narodowo-litewskiej, jako najzupełniej samodzielnej, z tem, że potym takie wolne związki narodowe mogłyby się porozumiewać między sobą, jako równe z równemi, tworząc skupienia odrębnych [illegible] państwowych. To samo [illegible] Witolda, powstać z czasem u białorusinów. Witold prosił mnie, abym o tym pomyślał. Odrzekłem, że z tego nic nie będzie i że potrzebna jest właśnie wspólna krajowa forma demokratyczna.

20 września
3 października
rok 1913.
piątek

Miałem dziś aż 3 obrony karne w Sądzie Okręgowym z udziałem sędziów przysięgłych. Ponieważ jestem bardzo nerwowy i wszelkie wystąpienia publiczne, szczególnie mowa w Sądzie i to zwłaszcza karnym, porusza mnie bardzo, więc ten dzień trzech obron z góry mnie niepokoił i zastraszał. Była to jakby zmora, którą przez cały tydzień czułem wciąż obecną, jak jakieś fatum, które przyjść musi. Wszystkie 3 sprawy — były to drobne, zwykłe kradzieże, popełnione przez recydywistów, złodziei zawodowych: kradzież pary bucików z magazynu obuwia, kradzież palta w hotelu Zoria i kradzież kieszonkowa zegarka na placu Łukiskim podczas jarmarku. Sprawy same przez się nudne, nie bardzo zasługujące na uwagę i na takie napięcie nerwów, jakiego doświadczałem, zwłaszcza że i winowajcy byli nieciekawi, należący do szumowin społecznych. Ale wystąpienie publiczne na sądzie działa na mnie samo przez się, niezależnie od sprawy, o którą chodzi.

Spraw ogółem sądzono sześć — w trzech obronę wnosiłem ja, w trzech innych — młody pomocnik adwokata Kosiński. Choć się przygotowałem do obron wczoraj z wieczora, jednak z doświadczenia wiedziałem, że podniecenie nerwowe w chwili samego wystąpienia sprawia, że się zapomina poprzednie przygotowanie i że najczęściej wypada ostatecznie improwizować. Podniecenie zaś wyraża się u mnie bądź w postaci depresji, a wtedy brak mi słów, frazesy wychodzą z ust ociężałe i niezgrabne, myśl działa bez sprężystości, głos nawet staje się jakiś martwy, bądź też w postaci niezwykłego wytężenia władz, kiedy myśl a za nią słowa biegną płynnie, wyrazistość mowy staje się plastyczna, natchniona intuicja tworzy sama, bez udziału refleksji, kierując świadomość i wyrażając doskonale cały tok rozwiązania zadania. Nigdy nie mogę przewidzieć z góry, czy nastąpi depresja czy wytężenie. W pierwszej obronie, choć nie miałem osobliwej depresji, byłem bezbarwny. Druga obrona była już żywsza, bardziej zaakcentowana, ale jeszcze niedoskonała. Potym szły sprawy Kosińskiego, który biedak bardzo się zdenerwował i, przeceniając siły swoje, próbował zwrotów krasomówczych, tamując się na nich, plącząc i zbijając z toku, że aż go żal było słuchać. Podniecenie moje, z powodu długiego czekania na ostatnią obronę, doszło do zenitu, rozpalając mnie do natchnienia. Czułem się już mocny i pewny siebie, zdolny do twórczości. Jakoż w ostatniej obronie osiągnąłem pełnię ekspresji i wypowiedziałem mowę dobrą. Czułem się zadowolony, rad z sukcesu. Sędziowie przysięgli wszystkich oskarżonych uznali bez [illegible] za winnych. Ostatniego wszakże oskarżonego, złodziejaszka z Łukiszek, uniewinnili. Wyszedłem z sądu o godz. 5 popołudniu. Długie podniecenie tak mnie wyczerpało, że już nic potym pracować nie mogłem.

Przez cały dzień załatwiałem pośpiesznie rozmaite interesy, ponieważ dziś wieczorem wyjeżdżam z Wilna na cały tydzień. 21 września / 4 października / rok 1913. / sobota.

Od Anny nie miałem listu od czasu, jak wyjechała na wycieczkę galicyjską. Tak ją prosiłem, aby mi stamtąd napisała, — i nic. Zresztą może jeszcze list nadejdzie, ale szkoda, że ~~mi~~ w czasie mojej nieobecności. Poprosiłem Marynię, aby mi odesłała listy do Bohdaniszek. Wycieczka Anny ma się już zapewne ku końcowi, bo już przeszło 10 dni, jak wyruszyła, a wycieczka miała trwać koło 2 tygodni. Pisałem do Anny, aby po powrocie z wycieczki ~~do~~ do Kraśnika (?) nie wracała zaraz do Wilna, ale jeszcze kilka dni zabawiła w Krasieninie (?), aż ja wrócę do Wilna, bo chcę ją spotkać.

Wieczorem dziś złapał mię na ulicy Mańkowski i domagał się, abym dał ze 25 rb. na „Kurjer Krajowy", bo dziś dzień wypłaty, a w kasie pusto. Interesy „Kurjera Krajowego" są teraz lepsze, ale deficyt wciąż jeszcze jest duży. Musiałem dziś, niestety, odmówić, bo już mię nie stać na ciągłe subsydjowanie pisma. Zaiste ludzie w Wilnie przeceniają w Wilnie moje środki materjalne i liczą mię za „bogatego", co jest grubą pomyłką. Zeszłej zimy Mańkowski wycisnął ze mnie obietnicę dawania miesięcznie po rb. 10 na „Kurjer Krajowy". Oczywiście, że poza tymi 10 rb. wyciągnął ode mnie zresztą (?) znacznie więcej, bo trudno odmówić w chwilach krytycznych. Teraz zwłaszcza, w sierpniu i wrześniu, szczególnie dużo na pismo dałem ponad normę miesięczną, a już i miesięczne ~~[illegible]~~ ratówki wpłaciłem z góry i za wrzesień i za październik. Wydatków i wypłat mam w tych czasach moc, — tak że kieszeń moja jest strasznie nadszarpana. Mańkowski był zły na mnie, że mu odmówiłem, — uważa to za dowód obojętności mojej dla pisma; zapowiada, że wobec tego ~~[illegible]~~ jutro ~~nie~~ nie wyjdzie i to właśnie z mojej winy. Czyżby ~~[illegible]~~ znał stan mojej kasy!

O godz. 8 z minutami wieczorem wyjechałem z Wilna. Jadę na Radziwiliszki do Rakiszek, żeby dojechać jutro raniutko. Jadę teraz na kiermasz (t. zw. kiermasz św. Mateusza) ~~[illegible]~~ dla kupna konia, którego potrzebuję do Wiązowca. Dopiero z Rakiszek po kiermaszu pojadę do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach zabawię już do św. Michała, to znaczy ~~prze~~ cały tydzień.

22 września. Wyspałem się w drodze nieźle. Od Wilna do Ra-
5 października. dziwiliszek spałem jednym ciągiem; w Radzi-
rok 1913. wiliszkach przesiadłem z pociągu na pociąg; na-
niedziela. razie miejsca nie było, ale po przejechaniu
2-ch pierwszych stacji położyłem się w przedziale
I klasy i spałem znowu aż do Rakiszek, gdzie
stanąłem koło godz. 6 1/2 rano. Na stacji spotkał
mnie Kazimierz, który przyjechał po mnie
jednym koniem w bryczce kurlandzkiej. Ponieważ
do targu końskiego było jeszcze daleko, bo dopiero
~~[illegible]~~ po południu targ ten się na dobre zaczyna,
więc postanowiliśmy z Kazimierzem pojechać na
śniadanie do Kowaliszek. Tak też zrobiliśmy.
Zdziwienie było wielkie w Kowaliszkach, gdy
mnie zobaczono. Spędziłem tam czas do obia-
du i dopiero koło godz. 2 1/2 - 3 pojechałem do
Rakiszek na kiermasz. Zastałem tam eko-
noma bohdaniskiego, p. Smarzyńskiego, oraz
młodego Ignacego Kulisa z wioski Bohdaniszek,
który pomógł mi oglądać konie. Wybór był
niewielki. Koni prostszych roboczych, zwłaszcza
starych i brakowanych, było dużo, ale lepszych
„gospodarskich” – mało. Transakcje też szły sła-
bo, nie było kupców z Prus, nie było ruchu. Dla
mnie wybór był jeszcze mniejszy z tego powodu,
że nie chciałem ogiera, tylko ~~[illegible]~~ konia - wa-
łacha, lub jeszcze lepiej – klacz. Parę tylko
koni znalazło się takich, o które ewentualnie
chciałem targować. Zwłaszcza mi się podobała
jedna klaczka, ciemno-siwa, dobrze zbudowana,
młodziutka, na 3-cią zimę, dość wysoka i kształt-
na. Sprzedawała ją jakaś szlachta folwarkowa.
Cena była wielka, 170 rb., ale klaczka warta tych
pieniędzy. Młoda, więc jeszcze w cenie pójdzie w
górę, a i ze źrebiąt byłby dochód. Trochę się tylko ba-
łem, żeby mi jej w [illegible] nie zepsuli, ale już
się decydowałem ją kupić. Dawałem 155 rb., ale szlach-
ta niżej 170-ciu nie ustępowała. Był jeszcze drugi
konik siwy, 5-letni, też [illegible], za 150 rb., którego też ewen-
tualnie mógłbym kupić. Wszakże zapaliłem się już do klaczki
i chciałem ją nabyć. ~~[illegible]~~ Posłałem więc znów ekonoma, aby
się jeszcze raz spytał, czy nie ustąpi coś z jej ceny. Niestety
właściciela klaczki na rynku już nie było; wieczór się robił, ludzie
się zaczęli rozjeżdżać i moja szlachta z klaczką już się wyniosła. Byłem bar-
dzo zmartwiony, ale nie było co robić. O koniku siwym za 150 rb. już nie myślałem.
Wyjechałem z Rakiszek – bez konia. O godz. 8 1/2 wieczorem przyjechałem do Bohdaniszek.

23 września
6 października
rok 1913.
poniedziałek

Znowu dziś pojechałem do Dakiszek, próbując kupić konia. Liczyłem na to, że na dzisiejszym zwykłym kiermaszu tygodniowym, wypadającym nazajutrz po wielkim kiermaszu Mateuszowskim, koni będzie więcej, niż zwykle, i że uda mi się może coś kupić. Żywiłem też poniekąd nadzieję, że może szlachta wczorajsza przyprowadzi znowu ~~[illegible]~~ tę klaczkę, na którą miałem wielką ochotę. Nadzieje moje pod wszelkiemi względami zawiodły. Nie było szlachty z klaczką, nie było żadnego wyboru koni. Trochę było starych szkap, dość dużo małych rocznych źrebiąt, kilka młodych braków, — i wszystko. Koników roślejszych i piękniejszych, poza brakami, nie było wcale. Był tylko zwykły jesienny towar koński targów poniedziałkowych. I sam targ koński był nie na dużym placu w polu za cerkwią, jak wczoraj i jak zawsze na dużych kiermaszach, jeno w końcu rynku za pocztą, przy drodze do dworu. Oglądałem konie z ~~[illegible]~~ lokajem Kazimierzem, Stanisławem Janką i Ignacym Wulukiewiczem. Był jakiś konik według mnie niczego jakiegoś włościanina z Wiżajć, jasny kasztanek 4-letni, dość krępy, ale za mały dla mnie i trochę spędzony na nogi przednie; właściciel prosił zań 115 rb. Nie zdecydowałem się go kupić, choć to był jedyny, o którym warto było się zastanowić. Coraz więcej żałuję, że nie kupiłem wczoraj tej klaczki siwej lub przynajmniej konia siwego za 150 rb.. Teraz chyba będę musiał znowu przyjeżdżać z Wilna za parę tygodni na wielki koński kiermasz Kowarski w początku października, co mi jest bardzo nie na rękę. Wróciłem więc znowu z Dakiszek — bez konia — na wieczór do Bohdaniszek. Wielka szkoda, że tak straciłem tę okazję wczorajszego kiermaszu.

24 września
8 października
rok 1913.
wtorek.

Rano Papa wyjechał do Wilna; jedzie na zjazd koleżeński byłych wychowańców b. Instytutu Szlacheckiego w Wilnie, który istniał w połowie w. XIX (zdaje się, że skasowany został w czasie lub po powstaniu, to znaczy koło r. 1863). Zjazd ten ma się odbyć jutro. Papa korzysta zawsze skwapliwie z każdej okazji, aby się wyrwać do Wilna i „przewietrzyć".

Cały dzień wysiedziałem w domu, w wielkim pokoju przy Mamie. Czas mi schodził trochę na rozmowie z Mamą, głównie zaś na pisaniu listów i odrabianiu rozmaitej pisaniny w sprawach moich i ich klientów. Żeby dać Mamie korzystać z mojej obecności, pracowałem ciągle przy niej, nie raz z siebie wyłączone. Mama jest całe zajęta kwestią posady Stefanostwa Mieczkowskich w Bielcach. Mieczkowscy zażądali od Truszanowskich podwyższenia pensji o 200 rb. rocznie (z 800 rb. na tysiąc); Czechowicz nie zgodził się na podwyższenie i Mieczkowscy mają teraz szukać innej posady. Wprawdzie Mieczkowscy mają być jeszcze cały rok u Truszanowskich, ale już w zasadzie rzecz o ustąpieniu ich jest postanowiona. W rodzinie naszej wszyscy uważają, że Mieczkowscy robią głupstwo, a Mama to najbardziej bierze do serca. Z zaczynania Mieczkowskiej, zdaje się, kapitalizuje się wiele w rachubach. Mają w Bielcach stanowisko niezależne, mają wygodę, niedaleko w osobnym majątku, mają dom cały dla siebie, trzymają 5 krów, mnóstwo ptactwa, oprócz tego Stefan dzierżawi kilkaset dziesięcin łąk, z czego też ma zysk dodatkowy. Nigdzie tych warunków i tej wygody Stefan i Elwira mieć nie będą na posadzie prywatnej, chociażby nawet pensja była nieco wyższa. Zawsze będzie zależność, stosowanie się, wymagania i środowisko administracji dóbr, jakieś intrygi i t. d. Ale Stefan i Elwira chcą i umieją dostrzegać przeważnie strony ujemne tego, co jest, i są zawsze niezadowoleni. Nie powiadamy, żeby mieli raj u Truszanowskich, ale tu Stefan siedzi już mocno, jest ceniony i potrzebny i w przyszłości coraz bardziej może liczyć na wzmocnienie i polepszenie swego stanowiska. U obcych na posadzie prywatnej w dobrach ziemiańskich może być o wiele gorzej.

Rzadko mało wychodziłem dziś z domu. Dzień był piękny, słoneczny i suchy, ale zimny. Rano był wielki przymrozek. Chodziłem tylko trochę po dziedzińcu i do ogrodu. Widziałem pieska Czuwaja, syna Murty, który się hoduje dla Stefanowicza. Wyrósł już, jest wesoły i ładny. Zapewne wyrośnie na wielkiego psa. Murta już się starzeje, ma 8 lat, a biedny Żuczek przeznaczony jest, zdaje się, na prędką zagładę. Żuczek jest stary, ma lat 13, ale jeszcze ma się nieźle, z wyjątkiem po ciężkiej chorobie (częściowy paralii), którą miał przed 4 laty. Żuczek jest niezwykle przywiązany do mnie, poprostu umiera z ubóstwienia, — biedne psisko. Utworzyła mu się t. zw. bolączka na plecach, to znaczy takie liszaje swędzące, i sierść wypełzła w kilku miejscach. Choroba ta jest zaraźliwa dla innych psów i wygląda nieprzyjemnie, nawet obrzydliwie. Papa chce kazać Żuczka zastrzelić.

Pod wieczór przyjechała na parę godzin p. Hermancja Przezdziecka. Obaj Przezdzieccy teraz już się o wiele więcej podobają, niż dawniej. Oczywiście mają oni wady swoje i jako ludzie i z pochodzenia i stanowiska swego. Może być, że p. Przezdziecka jest trochę pyszna i trochę lekceważąca dla osób, które nie dorównują jej urodzeniem i stanowiskiem, choć teraz to mi się mniej wyłączną być zdaje. Ale jeżeli nawet tak jest, to winno temu raczej pochlebstwo, które ją otacza i które ona musi dostrzegać, niż jej własny popęd. W każdym razie rzecz ma ona i zasługi społeczne; dużo robi dla Rakiszek, dużo świadczy dla wszelkich zapomóg i kulturalnych, organizuje wiejski przemysł tkacki w Rakiszkach, utworzyła szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt w Abelach, bardzo pożyteczną, i t. d. Nie jest to przecie tylko lalka, arystokratka, myśląca wyłącznie o sobie. Szanuję jej to pod wielu względami bardzo dodatnie.

Otrzymałem list od p. Sempołowskiej, redaktorki nowego pisma dla młodzieży pod tytułem „Z bliska i z daleka". Pisze, że artykuł mój (o odrodzeniu narodowym litewskim) spóźnił się, niestety, bo z pisma, poświęconego historii ruchów [illegible], dla którego był przeznaczony mój artykuł, już wyszedł. [illegible] bo artykuł mój się jej podobał. Prosi mnie o pozwolenie, że Janina [illegible] chce drukować ten artykuł w „Zaraniu", więc zapytuje mnie, czy na to pozwolę. Odpisałem, że nie tylko pozwolę, ale będę to poczytywać za zaszczyt dla siebie, bo uważam „Zaranie" i cały ruch zaraniarski za jedno z najszczytniejszych zjawisk w kulturze polskiej.

25 września / 8 października
rok 1913.
środa.

Mama jest coraz bardziej przejęta sprawą Mieczkowskich, zgorszona ich zamiarem opuszczenia Bielcza i szukania innej posady. Cały czas o tym prawie wyłącznie mówi i pragnie, jak zawsze, gdy jest czymś poruszona, gorącego działania, a przynajmniej pisania listów, bo żadnej innej formy działania nie ma. Nadzwyczajna jest żywotność Mamy i temperament, mało stępiony przez wiek. O ile fizycznie jest Mama starsza i niedołężna, o tyle pod względem umysłu i woli jest jeszcze pełna energii i sprężystości. Nie umie się zdobyć na spokój filozoficzny, jest zawsze gorąca, bierze niektóre rzeczy ogromnie do serca, zapala się w kierunku jednostronnym, mając umysł agitatorski i nie umiejąc zachować objektywizmu. Pisze teraz bruljony listów, odczytuje mnie, radzi się, potem znów pisze nowe, bardziej jaskrawe, chciałaby już jechać do Kowaliszek, żeby się rozmówić o tej kwestji z Zysiem i Elizką, wypowiedzieć swoje oburzenie i swoje argumenty, ułożyć plan działania i t. d..

Napisałem przed obiadem artykulik na temat o legiendzie mordów rytualnych z powodu procesu Bejlisa w Kijowie, oskarżonego o zabójstwo rytualne chłopca chrześcijańskiego. Ponieważ prasa polska (prawie cała) dyskretnie przemilcza tę sprawę lub się ogranicza do wiadomości informacyjnych, bojąc się wobec popularnego antysemityzmu wystąpić otwarcie z potępieniem ohydnej insynuacji, rzucanej na Żydów, więc uważałem, że należy tym bardziej wypowiedzieć się w tej sprawie wyraźnie i kategorycznie, chociażby oportunizm nakazywał milczenie. Nie wolno bowiem dla oportunizmu poświęcać elementarnych wskazań humanizmu, który należy „quand même" szczepić w prasie polskiej, przyznając wielką rolę pierwiastków humanitarnych w kulturze. Artykulik ten, przeznaczony dla „Kurjera Krajowego", przesłałem do Wilna.

Chodziłem po obiedzie na spacer do Karwieliszek dla obejrzenia nowego krzyża oraz budującej się tam nowej odryny. Słońce świeciło ładnie, było sucho i nawet dość ciepło. Towarzyszyły mi w spacerze psy, — Żuczek i Kusta. Po powrocie nakarmiłem konie stajenne burakami, potem byłem w wannie. Poza tym spędziłem dzień w domu.

Poczta nie przyniosła mi oczekiwanego listu od Anny. Prosiłem Mamusię, aby mi te listy moje odsyłała, ale widocznie nic nie było. Nie wiem nawet, gdzie jest Anna, — czy jeszcze na wycieczce w Galicji, czy już może wróciła do Kras[illegible]. Pisałem do niej, że już w następny poniedziałek lub wtorek może wyjechać do Wilna.

26 września
9 października
rok 1913.
czwartek.

Strasznie był brzydki dzień. Od rana kropił deszczyk, wiatr huczał po drzewach, potym wilgoć zasnuła powietrze mgłą. Widok był smutny i posępny. Siedziałem w domu, na spacer nie wychodziłem wcale. Trochę tylko pochodziłem po dziedzińcu, ale wilgoć była tak przykra i przenikliwa, że czym prędzej wróciłem.

Pod wieczór zabrałem się do dalszego ciągu mojej obszernej odpowiedzi na ankietę narodową trudowików. Pracę tę traktuję bardzo obszernie, dając całkowite tło historyczne formacji narodowej naszego kraju (Litwy i Białej Rusi). Mam wrażenie, że traktuję tę pracę zanadto głęboko, nie w stosunku do rzadkiej ankiety, ale skoro się już wciągnąłem do roboty, nie chcę jej przerywać do końca. Spodziewałem się ją wykończyć przez czas mego obecnego pobytu w Bohdaniszkach, ale kilka dni zszedłem na inne zajęcia, i obecnie mi na tę pracę tylko jeszcze 2 dni, oprócz dzisiejszego, zostaje.

Z poczty znowu nie doczekałem się listu od Anny. Może jeszcze tata mi go jutro z Wilna przywiezie. Wycieczka Anny musiała się już chyba skończyć. Jeżeli jej jeszcze niema w Rasieniach, to chyba lada dzień przyjedzie i będzie się już wybierała do powrotu do Wilna.

Marynia w liście do Mamy przysłała wycinek z „Kurjera Krajowego”; jest to artykuł wstępny podpisany przez „Wiesława Kalinowskiego” (pseudonim Antoniego Łuckiewicza), omawiający ofiarność wilnian bez różnicy wyznania na „kwiatek” ~~([illegible])~~, sprzedawany w tych dniach w mieście na rzecz towarzystwa dobroczynnego żydowskiego. Ofiarność ta, jako wyraz solidarności ludzkiej w zakresie pomocy bliźnim, — bez oglądania się na narodowość i wyznanie potrzebujących, — zamanifestowana w czynie zbiorowym, zestawiona jest w artykule z ohydnym procesem kijowskim Bejlisa, w którym wyciągana jest znowu krwawa potworna legienda o rytualnej krwi chrześcijańskiej, używanej rzekomo przez Żydów. Dziwi mnie, że Maryni ten artykuł się podobał, bo jest on pisany w duchu równości i braterstwa ~~[illegible]~~ względem Żydów, a Marynia w gruncie, jak cały nasz świat „polski”, hołduje antysemityzmowi.

27 września / 10 października / rok 1913. / piątek.

Dzień był jeszcze brzydszy od wczorajszego, — taki, jak w późnej jesieni: od rana było mokro i zimno, dął ~~[illegible]~~ ostry wiatr północny. Koło południa z deszczem zaczął padać śnieg drobny, przenikliwy, smagany wiatrem. Temperatura spadła niżej 0 i na dworze rozszalała zawieja; wkrótce biały całun zaczął pokrywać trawę i liście drzew. Nie wychylałem się zupełnie z domu. Pisałem dalej moją pracę — odpowiedź na ankietę trudowików. Jeżeli tak będzie na św. Michał, to chyba niewielu gości się doczekamy.

Wieczorem wrócił Papa z Wilna. Przywiózł mi list od Maryni, która mi odsyła depeszę z Wilna. Jest to depesza od Anny mojej, wysłana z Warszawy tej treści: „Ceirodnir bourdy debrims bezapowir. Romdepen.” Depesza wysłana pod datą wczorajszą; znaczyłoby to, że Anna dziś już do Wilna przyjechała. Nic nie ~~rozumiem~~ rozumiem, jak się to wszystko stało. Czyżby Anna, wracając z wycieczki galicyjskiej, nie zajeździła do Krasienina, lecz wprost z Warszawy zawróciła do Wilna? Ale przecie nie brała ze sobą na wycieczkę wszystkich rzeczy swoich, musiała więc chyba po nie zajechać do Krasienina? A zresztą musiała przecie przed powrotem odebrać pieniądze w Lublinie, o które sama mię prosiła i na które ~~[illegible]~~ przekaz posłałem jej do Krasienina? Jeżeli zaś zajeździła do Krasienina, to musiała z listów moich dowiedzieć się, że wyjechałem z Wilna i że ją proszę o zaczekanie do mego powrotu do Wilna do poniedziałku przyszłego? A jeżeli nawet nie mogła zaczekać i musiała już wracać, to powinna była telegrafować do mnie do Wilna, wiedząc z listów moich, że mnie w Wilnie nie ma? Moja Anunia zawsze mi jakiegoś figla spłata i zrobi własną głową, nie licząc się ze zleceniami memi. Tak już przemiarkowałem, że akurat jej powrót wypadnie na czas mojej nieobecności w Wilnie. Kłopot. No, ale niech już tam. Grunt w tym, że Anna już jest w Wilnie, to znaczy, że już ją mamy i że skończyło się sieroctwo moje. W poniedziałek, wracając do Wilna, zastanę ją. Vivat!

28 września.
11 października
rok 1913.
sobota.

Nadspodziewanie po szkaradnym dniu wczorajszym od samego rana pogoda dziś była śliczna. Kładąc się wcześnie spać w Połądaniszkach, budzę się też rano wcześnie, o świcie, i już spać nie chcę. Czytam jeszcze z godzinkę w łóżku i około godz. 8 zaczynam się ubierać, co bardzo marudnie się odbywa, bo, zgodnie z uświęconym ~~tradycją zwyczajem~~ moją własną tradycją i zwyczajem, podczas ubierania się rannego i rozbierania wieczornego segreguję i układam moje stare papiery, szpargały i listy do systematycznych zbiorów archiwalnych moich.

Budząc się dziś rano, byłem zdumiony, widząc jasny pogodny wschód słońca, którego się nie spodziewałem po dniu wczorajszym. Mocny przymrozek i resztki śniegu wczorajszego bieliły ziemię i trawy.

Przed obiadem i po obiedzie zajęty byłem pisaniem w dalszym ciągu mojej pracy na ankietę [illegible].

Późno, wieczorem, napisałem skargę apelacyjną do Zjazdu Oszmiańskiego w sprawie mego klienta Łojki.

Przed obiadem przyjechał do mnie Józef Łukys, który się dowiedział o moim pobycie w Połądaniszkach. Biedny Łukys wciąż jeszcze nie znalazł dla siebie lokaty. Gdy mu się nie powiodło ze wstąpieniem do seminarium duchownego w Kownie, poradziłem mu wstąpienie do średniej szkoły rolniczej w Datnowie. Ponieważ wiek jego spóźniony, bo ma lat 21, a do szkoły tej wiek normalny jest od 16-18 lat, więc trzeba było specjalnych starań o umożliwienie mu wstąpienia. Dałem mu w Wilnie list polecający do p. Kazimierza Świąteckiego, do którego Łukys pojechał. P. Świątecki skierował go z listem do p. Zygmunta Węcławowicza do Narun, który jest członkiem Rady kierowniczej szkoły Datnowskiej z ramienia Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego. P. Węcławowicz dał Łukysowi wskazówki i skierował go z poleceniem od siebie do Dyrektora szkoły. Dyrektor zajął się wyjednaniem od Ministerium pozwolenia na przyjęcie Łukysa ~~bez~~ ze względu na wiek, ale poza tym będzie Łukys musiał zdawać egzamin wstępny ze wszystkich przedmiotów. Boi się on tych egzaminów, bo konkurencja jest duża, a czasu na powtórzenie nauk mało. Za parę dni już wyjedzie na egzamin. Dla Łukysa wstąpienie do szkoły rolniczej byłoby rzeczą świetną. Gdyby wszakże nie udało mu się wstąpić, byłoby to dlań rzeczą arcyciężką, bo tej jesieni w październiku musiałby stawać do powinności wojskowej.

Spodziewaliśmy się przyjazdu na noc Komorowskich z Kopaliszek, bo Elizka pisała do Mamy, że może dziś jeszcze przyjadą, aby przedłużyć [illegible] wizytę. Coś im przeszkodziło wszakże, bo nie przyjechali.

Mama rozkarmia mnie i pieści przez czas mego pobytu w Połądaniszkach. Otrzymuję tu w sposób szczególny [illegible] przysmakami, na jakie stać wieś i kuchnia połądaniska. Karmi mnie Mama świetnymi pasztecikami z kurczęciem we francuskim cieście, ulubioną moją zupą z [illegible] pomidorowymi, [illegible] z kur, jabłkami we francuskim cieście, ryżem [illegible] o konfiturach z [illegible] różnymi pospolitymi specjałami.

29 września
12 października
rok 1913.
niedziela

Św. Michał. Tradycyjna uroczystość imienin Papy w Bohdaniszkach. Jak pamięcią sięgam w najdalsze czasy mojego dzieciństwa, zawsze pamiętam w dniu tym fetę w Bohdaniszkach, polegającą na zjeździe całego okolicznego sąsiedztwa ziemiańskiego. Teraz, im starszy jest Papa, tym bardziej uroczystość św. Michała ~~[illegible]~~ nabiera charakteru patriarchalnego, jako wyraz tradycyjnego hołdu sąsiedztwa dla sędziwego solenizanta. Papa właściwie teraz, po śmierci p. Antoniego Weyssenhoffa, jest najstarszy z ziemian okolicznych. Właściwie są to też moje imieniny, ale ja, jak księżyc wobec słońca, gasnę wobec Papy i niebardzo nawet kto pamięta, że jestem też solenizantem. Są to w całej pełni imieniny Papy, a nie moje. Pierwsi przyjechali rano chłopcy Komorowscy, Hektor i Julek; po nich koło południa zawitali ich rodzice, Żyś i Elizka, z siostrą Żysia starą panną Jadwigą Komorowską oraz z maleńką ich córeczką Milusią (Felusią) i jej boną. Po obiedzie przyjechali pp. Trzeciakowie z Rakiszek, — p. Jan i pani Hermancja, — którzy zabawili ze 3 godziny i odjechali, ponieważ p. Hermancja karmi córeczkę i nie ~~[illegible]~~ może przeto na długo jej opuszczać. Koło zmroku przyjechali młodzi Weyssenhoffowie z Antonosza, — Józef Bronek i Radzio, — i p. Paulina Antoniowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia. Wieczorem przyjechali jeszcze Piotr Rosen z Sarczan i Walunio Weyssenhoff z Tatkowa. Był i ksiądz proboszcz Kuntzyko z Krewna, ale zabawił tylko jedną chwilkę dla złożenia powinszowań i życzeń i odjechał, bo się spieszył do wioski Bohdaniszek na poświęcenie krzyża i potem na wesele do Rakiszek na fest jutrzejszy.

Nastrój był naogół serdeczny i miły. Przykrym bardzo dla mnie tonem w rozmowie było kilkakrotne omawianie ~~sprawy~~ głośnej kijowskiej sprawy Bejlisa. Wszyscy naturalnie, jak przystało na ziemian-wstecznikow, pielęgnujących wszelkie przesądy średniowieczne, zgadzali się z posądzeniem Żydów o mord rytualny dla pozyskania krwi chrześcijańskiej, traktując legiendę tę za pewnik. Jeden tylko Bronek Römer, aczkolwiek był wyjątkowo nie wystąpił zasadniczo przeciwko możliwości zabójstw rytualnych; zdawał jednak sprawę z tego, że cały ten proces jest zainscenizowany przez reakcję rosyjską w celach politycznych. A już Żyś Komorowski to naturalnie trzymał przytem w zasadzie [illegible] najzupełniej [illegible] pomyślności. Ile się przytem wyplatało antysemityzmu i deptania wszystkiego, co tchnie wolną myślą i jakimś dążeniem demokratycznym, ~~[illegible]~~ o tym [illegible] co mówić. Wszystko, co ~~[illegible]~~ trąci reakcją i obskurantyzmem, jest przez [illegible] naszych gorliwie [illegible] i otaczane nimbem patriotyzmu i [illegible] cnoty społecznej, natomiast wszelkie prądy młode i zmierzające do postępu i wyzwolenia [illegible] z [illegible] i [illegible], wiecowane i [illegible]. [illegible]

nie reakcyjne jest środowisko nasze, właściwie ziemiańskie. Co tu mówić „postęp", „postępowy", [illegible]

30 września 13 października rok 1913. poniedziałek.

Na pociąg południowy wyjechałem z Bohdaniszek i około godz. 7-8 wieczór byłem w Wilnie. Spieszno mi było, bo wiedziałem, że Anna od dni kilku jest w Wilnie, a stęskniony do niej jestem nad wszelki wyraz po 3-miesięcznym przeszło niewidzeniu. Zajechałem jeszcze do mego mieszkania, żeby złożyć rzeczy i t. d. Chciałem się tylko przebrać i lecieć do Anny. Niestety — przytrzymali mię w domu klienci i zatrzymali, tak, że dopiero o godz. 9 1/2 wybiegłem z domu, uprzedziwszy Marynię, że na noc dziś nie wrócę. Pojechałem na Mokotowską do Anny. Służąca mi otworzyła drzwi, potwierdziła, że Anna od piątku już jest w Wilnie, ale, ku wielkiemu zmartwieniu memu, powiedziała, że Anna wyszła z domu i że kazała mi powiedzieć, abym napisał i zostawił w jej pokoju na stole kartkę. Wszedłem zasmucony do pokoju Anny, odświeżonego, czyściutkiego; ujrzałem nową białą kapę rozłożoną na łóżku, nad łóżkiem zawieszoną fantazyjnie barwną wstążkę krakowską, — ślad wycieczki Anny, — na stoliku przy łóżku zasłany czerwoną chusteczkę, w której domyśliłem się chusteczki, noszonej na głowie przez uczennicę krasiękińskie, o czym z listów Anny wiedziałem, na stoliku figurki i drobiazgi, pamiątki z wycieczki Anny; w jednej figurce poznałem, że jest z soli, liznąłem — przekonałem się, ślad, że Anna zwiedziła Wieliczkę. Wszystko mi w pokoiku Anny świadczyło o niej, wszystko było porządnie ułożone z widoczną chęcią ozdoby i czystości. Zdziwiło mnie, że Anna, będąc uprzedzona o moim przyjeździe dzisiejszym, gdzieś wyszła wieczorem i to na długo, że to poleciła służącej powiedzieć mi, nie żebym zaczekał, lecz napisał kartkę. Na zapytanie moje służąca potwierdziła, że Anna z pewnością wróci nie prędko. Domyśliłem się, że pewno jest dziś jakiś wieczorek w Towarzystwie Łotewskim w lokalu „Ruty". Przejrzałem leżące na stole jakieś świeże druki i awizacje i zwłaszcza wśród nich istotnie jedno zawiadomienie o wieczorku łotewskim na dziś (właściwie wszakże wieczorka, jak się później okazało, była 30-go września, na co nie zwróciłem uwagi, sądząc, że to ... dziś). Choć chcę, aby Anna bywała na takich wieczorkach i miała rozrywkę, jednak ubodło mnie to, że dziś właśnie tam poszła, wiedząc o moim przyjeździe i po 3 miesiącach rozstania. Był to dowód nieporozumiałej dla mnie obojętności Anny, a które starałem się wyperswadować sobie, że ponieważ jest młoda, więc pragnie zabawy a nie, że mnie będzie już miała codzień, jednakże w duchu byłem zmartwiony i dotknięty tym jakimś zlekceważeniem mego powitania i naszej miłości przez Annę, tę samą kochaną Annę, która tak zawsze lgnęła do mnie gorąco i tak bezwzględnie, tak impulsywnie zawsze każdą chwilkę pobytu ze mną, wiecznie mnie gwałcąc i nie dając mi odpowiedzieć czasem na niezbędne jakieś czynności. Czyżby długie rozstanie tak wystudziło Annę? Cóż miałem napisać w tej kartce? Napisałem, że żałuję niezmiernie, iż jej nie zastałem. Postanowiłem wszakże ją złapać. Posiedziałem więc ... nawiasem i napisałem kartkę, wyrzucając Annę, w kopercie zamkniętej. Ja do „Ruty" zachodzić nie chciałem, bo nie życzyłem manifestacyjnie spotkać się z nią na wieczorku publicznym, zwłaszcza że występując na nią, bo wobec znajomych jej Łotyszów byłoby to dla niej ... zwłaszcza szczególnie zwykłej chwili Annie wyjść razem. Zawołałem więc stróża domu, w którym jest „Ruta" i ... mego kartkę w kopercie ... przesłałem, polecając wręczyć Annie do rąk. Stróż wkrótce wrócił, objaśniając, że powiedziano mu, iż Anny tam nie ma (w istocie była to tylko próba teatru łotewskiego, nie zaś wieczorek, czego wszakże nie wiedziałem i co stróża dopiero dowiedzieć się nie mogłem). Wypytywałem, że stróż ile poinformowano o nieobecności Anny, ale spróbowałem znowu jechać na Mokotowską. Anny tam wszakże nie zastałem. Wtedy postanowiłem bądź co bądź osobiście pójść do „Ruty" i sprawdzić, czy istotnie Anny tam nie ma.

286.

1/14 października rok 1913. Wtorek.

Cały prawie dzień spędziłem z Anną. Zrana do godz. 3 popołudniu bawiliśmy w hotelu, na obiedzie byłem w domu, a cały wieczór spędziłem u Anny w jej pokoiku przy ul. Monastyrskiej. Całą rozmowę wypełniła mi opowieść Anny o Krasieninie i wycieczce galicyjskiej, jej wrażenia i wymiana myśli między nami na tle tych wrażeń. Skorzystała Anna z tego pobytu w Krasieninie i z wycieczki — bardzo dużo. Umysł jej, bardzo wrażliwy i niepospolicie zdolny, był tam ciągle czynny. Przedewszystkiem dużo się nauczyła, bo, bywając na lekcjach historji, geografji i innych przedmiotów, oraz na pogadankach z zakresu rozmaitych tematów i zjawisk, które się w Krasieninie odbywały, chłonęła wszystko chciwie; nie była ona tam uczennicą, jeno, że tak powiem, wolną słuchaczką, ale umysł jej i serce, żądne wrażeń i wiedzy, były otwarte na wszystko, co słyszała i widziała. Anna zaś nie jest bierną i jest naturą taką, która przetrawia i opracowuje czynnie wszystko to, co w postaci wrażeń wchłania. Taka też tylko wiedza i taka obserwacja życiowa istotnie kształci człowieka, bo wtedy człowiek nie jest tylko naczyniem biernym, ale jest sam twórcą i sam wysnuwa pracą swoich władz psychicznych nowe elementy świadomości, myśli i czucia. Anna dużo zdobyła wiadomości z historji i zwłaszcza z geografji i życia oraz kultury narodów europejskich. Sama też obserwacja życia w Krasieninie, obcowanie z nauczycielkami i środowiskiem uczennic-włościanek, wycieczki, przyglądanie się i wtajemniczanie w najrozmaitsze przejawy i wyrazy życia społecznego w Polsce — ogromnie się przyczyniły do rozszerzenia sfery myślowej Anny. Była ona w Ojcowie, widziała piękno natury, oglądała tam i w Krakowie i gdzieindziej zabytki dziejowe i pomniki kultury, pierwszy raz pierwsze dwie przestrzenie po Polsce, stykała się z ludźmi, środowiskami i prądami rozmaitemi, ze środowiskiem włościańskim, z ruchem ludowym, z organizującemi się prądami wyzwoleńczemi w postaci organizacji strzeleckich i innych w Galicji, ze światem kultury narodowej w muzeach krakowskich, na Wawelu i wielokrotnie innych dziejów, ze światem przemysłu wielkiego przy oglądaniu fabryk częstochowskich, i ze wszystkiego, jak pszczoła, ssała skwapliwie miód wrażeń i wiedzy. Anna w Krasieninie obcowała najwięcej z tamecznemi nauczycielkami i instruktorkami, a w wycieczce i w Krakowie zapoznała się z ludźmi najrozmaitszych sfer. Wszystko dla niej było nowe i ciekawe i wszystko ogarniała i przetrawiała w swoich myślach. Opowiadanie jej było niezmiernie ciekawe i pełne głębokich a trafnych spostrzeżeń i sądów. Biedna Anna teraz odczuwa pewną pustkę swego życia wileńskiego. Tu w Wilnie jest ona oderwana od życia publicznego, jest samotnicą; streszcza się tu cała tylko w miłości do mnie, i przeważnie tylko poznaje świat i życie osobowe. Tam natomiast była w szerokie życie wciągnięta, była w toku idei i prądów, które się toczyły dokoła, siedziała — słowem — w życiu bezpośrednio chłonnym. Taki człowiek, jak Anna, marnuje się w swej samotności wileńskiej. Zajęcie w pracowni kapeluszniczej, praca mozolna, którą tu ona uprawia, zabija jeno czas i chroni od nudów i pustki, ale nie wypełnia treści jej indywidualnego życia psychicznego. Czuje to Anna biedna i pod wpływem tego, ale natura zręczna nie do zaradzenia na to. Znaczej życia jej utopić teraz nie możemy. Wspominała mi Anna o tem, że pragnęłaby gdzieś móc zamieszkać na wsi, mając żywe zajęcie w gospodarce wiejskiej i mogąc mieć związek z jakąś działalnością społeczną czy kulturalno-ideową na miejscu. Wiem o tem, że byłoby to dobre dla niej, ale przedewszystkiem nie takiego wymyślić na teraz nie można, podwyżki by nie wystarczyło, a do zorganizowania jakiejkolwiek akcji społecznej w naszych warunkach brak środków i umiejętności, wreszcie obecność jej w Wilnie jest dla mnie potrzebna, bo bez niej miałbym tu pustkę okropną. Zapewne, że i moim byłoby ideałem zamieszkać gdzieś z Anną czy na wsi czy gdzieś w mieście fabrycznej, gdzie rozwinięty jest ruch kulturalny i społeczny i współdziałać z nią w tym ruchu być czynnym. Oboje mamy podobne aspiracje, ale, niestety, na dziś niewykonalne. Czy będą one dla nas wykonalne kiedykolwiek? Do Krasienina Anna się przywiązała. Dostrzegła w nim braki, ale ceni rzecz samą i gorąco się interesuje rozwojem tej instytucji, która jej pomogła i na której tyle elementów swej duszy kształciła. Szczegółowo opowiadała mi dziś Anna w sprawie urządzenia i braków Krasienina, myśli, które należą mogą do perł humanizmu i do wieczystych praw kultury ludzkiej.

2 (15) października rok 1913. Środa.

Wczoraj i przedwczoraj pisałem o Annie, toteż nie miałem miejsca na inne rzeczy. Powetuję to teraz. Chcę mianowicie wspomnieć o moim cenzusie dla wyborów miejskich. Oddawna, jak już poprzednio pisałem, miałem obiecany cenzus z Warszawy od Mirkowskiej fabryki papieru. Agent tego towarzystwa, Joffe, miał pojechać do Warszawy i tam wystarać się od Natansonów, którzy są w Zarządzie ~~[illegible]~~ towarzystwa akcyjnego fabryki Mirkowskiej, przedstawicielstwo ich cenzusu wileńskiego dla mnie. Niewiadomo było, czy Natansonowie zechcą mi tego przedstawicielstwa udzielić. Od Joffego nie miałem żadnej odpowiedzi i Abramson, przez którego się z Joffem komunikowałem, też o niczym nie wiedział. Z komitetu zaś wyborczego przyjaciele moi, którzy mi obiecywali ustalenie mej kandydatury w komitecie, ciągle mię napędzali, abym się prędzej o cenzus wystarał, bo lista kandydatów na radnych, układana w komitecie, ma się już ku końcowi i wkrótce będzie zapełniona, a wtedy już będzie za późno na stawienie nowych kandydatur; dopóki zaś nie mam cenzusu, kandydatura moja nie może być postawiona. Myślałem, że już nic z tego nie będzie, bo przestałem już liczyć na udzielenie mi cenzusu przez Natansonów. Atoli przedwczoraj, wróciwszy z Bohdaniszek, zastałem w mieszkaniu pełnomocnictwo Natansonów na przedstawicielstwo cenzusu. Tego wieczora nic już nie przedsięwziąłem, bo zajęty byłem Anną. Wczoraj atoli widziałem się z Zasztowtem i Witoldem Abramowiczem, którzy należą do komitetu wyborczego i mają tam moją kandydaturę stawiać i popierać. I trzeba, że właśnie przedwczoraj wieczorem, to jest tego wieczora, gdy ja cenzus otrzymałem, odbyło się zebranie komitetu wyborczego, na którym lista kandydatów została ostatecznie ukompletowana i formalnie zamknięta. Zasztowt i Abramowicz a także Soliman, z którym się dziś widziałem, obiecują, że jednak postarają się na następnym zebraniu komitetu (w piątek) preforsować moją kandydaturę, ~~[illegible]~~, aby ją komitet w drodze wyjątku wpisał do listy już po jej formalnym zamknięciu. Naturalnie wszakże, że rezultat jest teraz mniej pewny, niż gdyby kandydatura moja była postawiona przed zamknięciem listy. Kandydatura moja może mieć przeciwników w komitecie z pośród [illegible] elementów. Abramowicz spodziewa się, że przy [illegible] dałoby się jednak zdobyć dla mojej kandydatury 2/3 głosów w komitecie, wymaganych dla przyjęcia kandydatury. Ale przeciwnicy mogą się teraz oprzeć na [illegible] formalnej uchwale o zamknięciu listy. Rzecz ta się rozstrzygnie już w piątek. W każdym razie mogę liczyć na [illegible] poparcie w komitecie ze strony [illegible], jak Abramowicz, Zasztowt, Soliman, [illegible], [illegible] i inni. Dziś zarejestrowałem mój cenzus w Zarządzie miejskim.

3 (16) październik rok 1913. czwartek.

Z „Kurjerem Krajowym" dzieje się źle. Pismo niewątpliwie się rozszerza i zdobywa teren. Chociaż rozszerzanie się może w znacznej mierze położyć na karb sensacji, uprawianej w piśmie do zbytku, jednak są też inne, dodatnie, względy, wpływające na popularyzowanie się pisma: jest to przedewszystkiem niezależność jego i jego zasady demokratyczne i założenia krajowe, które w pewnych kołach społeczeństwa są cenione. Dla tych właśnie ostatnich względów pismo jest warte utrwalenia: jest ono gotową placówką do oddziaływania w kierunku odpowiednim. Jako takie, jest ono na dobrej drodze, bo miałoby już dziś szanse utrzymania się na stałe. Ale fatalnym dla pisma i dla samej nawet sprawy demokratycznej jest zabagnienie moralne wydawnictwa i redakcji. Winny tu jest Maikowski. Brak jakiegokolwiek uregulowania sprawy finansowej wydawnictwa, ciągłe chwytanie grosza ze wszystkich stron i przelewanie się sum pieniężnych przez ręce Maikowskiego, — zdemoralizowały go. Oddawna już zauważyłem, że Maikowski zmięsza wydatki osobiste z wydatkami pisma w jedno, że kasa pisma a kasa jego zlewają się w jedną kasę, bez żadnej rachunkowości i ładu. Jest to zawsze złe, a tymbardziej, gdy na pismo, prócz osobistych pieniędzy Maikowskiego, idą też pieniądze rozmaitych sympatyków i mecenasów, to znaczy pieniądze publiczne. Teraz dowiedziałem się, że sytuacja pod tym względem pogorszyła się ostatecznie. Maikowski nocami całemi gra w karty, śpi dniami, do redakcji wpada nie więcej, niż na 1/2 godziny na dzień, wieczory spędza na szukaniu pieniędzy, słowem rozkołysał się zupełnie, a karty, wydatki na pismo, dochody pisma, wydatki wszelkie Maikowskiego — to jedna kasa. Mnożą się zaległości, rachunki są nieopłacane, pracownicy nieopłacani, pismo żyje z dnia na dzień i z dnia na dzień jest zagrożone upadkiem, i codzień prawie jest niepewność wydania na dzień następny, i coraz częściej drukarnia strajkuje i nie składa go, nie będąc opłacona. Słowem — jest chaos zupełny, tak w wydawnictwie, jak redakcji. Maikowski nie pisze nic, nie pracuje wcale, a pismo wychodzi bez żadnego kierownictwa, jak Bóg dał. Sytuacja jest straszna, upadek moralny zupełny.

4 (17) października rok 1913. piątek.

Może przesadziłem trochę wczoraj, pisząc o Mańkowskim. Zbyt czarnymi barwami przedstawiłem jego upadek moralny. Tak źle ostatecznie jeszcze nie jest: Mańkowski zajmuje się pismem i kieruje nim. Ale prawdą jest, że zgrywa się nocami w karty, że miesza kasę i wydatki osobiste z kasą i wydatkami pisma, że wreszcie pismu nadaje ton zbyt sensacyjny i brukowy, przejaskrawia różnorodne skandaliczne rewelacje i zajścia i spekuluje na instynktach tłumu, lubującego się w opisach rozmaitych zbrodni, morderstw i erotyczno-seksualnych skandalów, co nie licuje z ideowym charakterem pisma. Zdarzają się też i pewne zboczenia od kierunku ideowego, spowodowane czasem obawą narażenia się, czasem chęcią przypodobania się utartej żdawkowej opinji. To są wszystko braki poważne, podkopujące moralne stanowisko pisma. Mańkowski brnie w niebezpieczną sytuację; niebezpieczeństwo grozi i jemu osobiście, i tej placówce społecznej, jaką przedstawia pismo. Widzą to wszyscy przyjaciele pisma, i Łuckiewiczowie, i Zasztowt, i dr. Szumorok, i chcieliby to jakoś uratować, póki czas. Ale rzecz jest trudna, bo trzeba byłoby usunąć Mańkowskiego i zastąpić go kimś innym, oraz wejść do pisma z pieniędzmi i na pokrycie zobowiązań i zaległości, i na dalsze wydawnictwo. Zaległości zaś są duże i nie są ściśle wyjaśnione. Możliwe byłoby utworzenie spółki wydawniczej, to grono ludzi chętnych by się znalazło, ale czy ~~[illegible]~~ zebrałoby się tyle pieniędzy, aby opłacić zaległości — to kwestja. Ludzie chętnieby dali na prowadzenie wydawnictwa, ale na niepewne nikt dać nie zechce. Niema gwarancji, że spółka mogłaby coś więcej dokonać, niż likwidacji pisma, a dla samej likwidacji nikt spółki tworzyć nie zechce. Kwestja redaktora jest też bardzo ciężka. Zdaje się, że niektórzy, jak Łuckiewiczowie i zapewne Szumorok, mieliby ochotę wsadzić na redaktora Jerzego Jankowskiego, który bawi w Wilnie i który chwilowo jest wolny. Ale Jankowski, choć ma duży talent, wybitne zdolności i wielką odwagę oraz niezależność, nie jest jednak człowiekiem czystym ideowo. W Wilnie jest on szczególnie skompromitowany tak w obozach prawicy, jak lewicy. Trudno mieć do niego zaufanie, gdy w przeszłości występował on w przeróżnych postaciach, to jako fanatyk antysemita, to jako socjalista, to znów jako [illegible] i obrońca [illegible] [illegible] i — [illegible]. [illegible] jego jestem [illegible] redaktora. Kompromitowały go pisma i słowa. [illegible]

5 (18) października rok 1913. sobota.

Codzień spędzam po kilka godzin z Anną lub u Anny. Wyciągam z niej potrzebne dalsze i szczegółowe wrażenia z Krasiczyna i wycieczki do Galicji. Robię to oszczędnie, jak skąpiec, który żałuje wypić od razu cały zasób doskonałego miodu przepięknych wrażeń, jaki się ma z tych opowieści Anny. Wrażenia Anny są piękne i głębokie, pełne myśli i uczucia, pełne doskonałych spostrzeżeń i mądrej prawdy życiowej. Natura uposażyła Annę duszą wielką, jest w niej materjał niepospolicie bogaty, jest świetny organizm myślowy i uczuciowy. Rozmawiamy z Anną teraz po polsku i idzie to nam zupełnie dobrze, nie gorzej, niż dawniej w naszym żargonie quasi-niemieckim. Anna pragnie bardzo nauki, więcej, niż kiedykolwiek, tęskni do wiedzy. Szczególnie ciekawa jest historji i geografji, a także chce się nauczyć rachunków i arytmetyki. Mam ją uczyć wieczorami. Trzeba będzie ułożyć plan tej nauki.

Większą część dnia zajęty byłem dziś układaniem projektu bardzo skomplikowanej umowy o kupnie [illegible] [illegible]), połączonej z interesem parcelacyjnym, na sprzedaż majątku Siesartciszki mego klienta p. Fajki p. Bazeńskiemu.

Stefuś, syn Maryni, jest bardzo chory. Od 2 dni leży, ma podwyższoną gorączkę, bredzi nawet, nic nie je. Maryni zaś akurat nie ma, — wyjechała na kilka dni z Ewą (Helcią) do [illegible] do Wielubia. Sprowadziłem do Stefusia dr. Kowarskiego; lękałem się, czy to nie tyfus, ale doktor mówił, że to wielkie przeziębienie. Zresztą w pierwszych dniach trudno jest określić chorobę. Jestem bardzo niespokojny o Stefusia, szczególnie że muszę dziś wyjechać, a Marynia dopiero jutro wraca.

Wyjechałem o godz. 8 wieczorem pociągiem na Radziwiliszki do Abel. Jadę na jutrzejszy kiermasz koński do [illegible] dla kupienia konia do Wiarowca. Muszę już kupić jutro konia koniecznie, bo to ostatni wielki kiermasz jesienny w naszych stronach, a zaś na kiermaszach dalszych kupować nie mogę, bo za mało się znam na koniach, abym mógł samodzielnie się decydować na wybór. A zresztą koszta jazdy będą mię tyle kosztowały, że koń podwójnie będzie drogi.

281.

6 (19) października rok 1913. niedziela.

Cel mojej podróży, kupno konia, został osiągnięty. Cały dzień byłem w ruchu, że nie spocząłem prawie na chwilę. O godz. 7 rano przez Radziwiliszki przyjechałem do Abel. Nie czułem się bardzo znużony, bo prawie całą drogę od Wilna spałem. W Abelach czekały mię już konie bohdaniskie, którymi zaraz do Bohdaniszek pojechałem. Tam czekała mię Mama z sutym śniadaniem. Zabawiłem w Bohdaniszkach parę godzin i koło godz. 10 ½ rano wyruszyłem do Kowna na kiermasz. Kiermasz koński na błoniach przed miasteczkiem przy cmentarzu był ożywiony i duży. Wybór koni był wielki, ale i ceny wielkie. Na kiermaszu zastałem ekonoma bohdaniskiego, p. Szarzyńskiego, który pomagał mi w wyborze konia. Byłem otoczony całą świtą pomocników czy doradców, którzy chodzili ze mną ciągle po kiermaszu i oglądali mi konie detalicznie, udzielając mi rady i wskazówki, jako znawcy. Oprócz ekonoma Szarzyńskiego byli tam w mej świcie Stanisław Jasiko, gospodarz stary z Bohdaniszek, i garbaty żydek z Kukleć, — Tejsach Buch. Oprócz tego doraźnie udzielał mi informacji o każdym koniu, na którego już szczególną uwagę zwróciliśmy, stary ojciec Janka, znakomity znawca koni, oraz obecny na kiermaszu Piotr Ozola. Obeszliśmy cały plac kiermaszu, obejrzeliśmy wszystkie konie. Wiele z takich, które by ewentualnie mogły mi się podobać, było tak szalenie drogie, że nie próbowałem wcale targować. Decydowaliśmy się na cenę od 100–150 rb. Jednego kasztanka upatrzył jeszcze ekonom przed moim przyjazdem i dawał zań ekonom 140 rb., ale właściciel żądał 180 rb. Z pośród mnóstwa koni zwróciliśmy szczególną uwagę na jakiegoś siwka 7-letniego, chudego, ale zbudowanego mocno i bez braków, za którego żądano 120 rb., my zaś dawaliśmy 115 rb., i drugiego też siwka 3-letniego, chudego, dość zgrabnego i czystego, za którego żądano 100 rb. Ten drugi zwłaszcza wydawał mi się dość ładny, to też gotów byłem się zdecydować na pierwszego i gdyby mię towarzysze nie wstrzymywali od dodania 5 rb., o które się rozchodziło, byłbym już go kupił. Piotr Ozola wszakże z tych dwóch poradził mi raczej kupić drugiego, młodszego, choć mówił, że oba są marne i słabe i że nie warto ich brać, a skoro już kupować, to kupować konia rzeczywiście dobrego. Stary Janko, obejrzawszy młodszego siwka, odradził mi go stanowczo, jako wszystko. Odpadła mi ochota od obu, i zwróciłem się znów do kasztanka, upatrzonego przez ekonoma. Dawałem już za kasztanka 150 rb., właściciel spuścił do 160 rb., ale taniej nie chciał. Wreszcie po długich targach dobiliśmy handlu za rb. 152. Konia przeprowadzono, obejrzano konowałowi, w zaprzęgu, obejrzano detalicznie we wszystkich szczegółach. Braku nie ma żadnego. Tylko stary Janko, świetny znawca koni, po dokładnym obejrzeniu nóg i kopyt orzekł, że koń się ściga, co się później sprawdziło, ale tylko trochę; zresztą i Janko doradzał kupienie. Konik jest młody, 4-letni, żywy, bardzo dobrze zbudowany, silny, znakomicie zgrabny, na krótkich stopach, zdrów; wzrostu nie ma więcej 2 arszyny i 1 werszok; do niedawna był ogierem, teraz świeżo przed 13 tygodniami wykastrowany, rana po operacji jeszcze niezupełnie zagojona; jest kasztan o przeźroczystej grzywie i takimże ogonie; grzbiet [illegible] na pół zarżałem, bardzo dotykając i opatrując. Słowem — konik młody, zdrowy, wesoły i żwawy. Największe były zmartwienia przy odprowadzaniu konia do Bohdaniszek. Wszyscy chcieli prowadzić go jednego lucha, więc mego konia wiązałem do prowadzenia go. Przywiązaliśmy go na 2 sznury do powozu z tyłu. Konik szedł przez całe Kowno i potem jeszcze po gościńcu bohdaniskim doskonale, biegnąc równo za powozem. Dopiero po ujechaniu paru wiorst zaczęły się niepowodzenia. Właściwie nietyle niepowodzenia, ile przygody, bo właściwie tylko powodzenie zaczęły się nieprzyjemności koniec takowych. Nastąpiło na gościńcu w rowie [illegible] bieg konik mój podskoczył, targnął głową i zerwał uzdeczkę; furmanowi stojąc, i skoczył w przód, bo uzdeczka zerwana spadła konikowi z głowy. Furman zeskoczył i wiązł go za łeb, mimo się koń wyrwał, i spostrzegł, że jest wolny. Akurat z nami jechał Tejsach Buch, który zaproponował, abyśmy przywiązali konia do jego bryczki, co rzeczywiście było łatwe, bo przy tej, wszystkich koni, [illegible] stawiając mu się o stopce sposobem powozowe. Tak też zrobiliśmy. Po kilku wiorstach przyjechaliśmy z gościńca w boczną drożkę w las, jadąc na folwark Kroszty i wioskę Kukle. Tymczasem ściemniało zupełnie i noc zapadła czarna [illegible] [illegible] lecimy przez [illegible]. [illegible] Wyjechaliśmy z lasu i posuwaliśmy się powolutku [illegible] [illegible] Tejsach Buch krzyknął [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible]

Wieczorem zaszedłem do dr. Sumoroka dla pomó- 7 (20) października
wienia z nim o ~~sprawie~~ „Kurjerze Krajowym". Dr. Su- rok 1913.
morok zapatruje się dość różowo na szanse utwo-
rzenia spółki i utrzymania wydawnictwa. Po- poniedziałek.
wiada, że ogólna suma zaległości wynosi koło
1000 rb., a oprócz tego na koszta wydawnictwa
do końca roku trzeba mieć 500 rb. Na czym
opiera dr. Sumorok te cyfry, — nie wiem, po-
wiada wszakże, ~~[struck through]~~ że ~~[struck through]~~ one dość ścisłe. Jeżeli tak
jest istotnie, to rzeczywiście możliwe jest utworze-
nie spółki; do spółki tej, jako jej filary, weszliby
zapewne dr. Sumorok, Zaorski [illegible], Józef [illegible],
Ostrowski, ~~[struck through]~~ ja, może Sergjusz Łopaciński i jeszcze
parę osób, których spodziewał się pozyskać Sumorok,
a dalej zbierałoby się udziałowców nieograniczenie.
Jeżeli trzeba tylko 500 rb. do końca roku, to suma
taka byłaby możliwa do zebrania, ~~[struck through]~~ zaległości
zaś dałyby się rozłożyć na wypłaty, żeby też zbyt
uciążliwe nie były. Boję się tylko, czy w rzeczywi-
stości stan zaległości nie jest gorszy, bo widzi mi
się, że w wydawnictwie panuje chaos okrutny. Pod
tym względem przy zawiązywaniu spółki niezbędna
jest wielka ostrożność. Dr. Sumorok obiecuje zebrać
u siebie we czwartek grono domniemanych założycieli
przyszłej spółki i przedstawić im dokładne cyfry
zaległości, zobowiązań i preliminarz pisma. Druga
sprawa — to sprawa redaktora. Choć zdaje się
to, co słyszałem o Mańkowskim z ust głównie Łuckie-
wiczów i co przed paru dniami zanotowałem w
dzienniku, jest mocno przesadzone, jednak rze-
czywiście Mańkowski jest na drodze do wykolejenia
i powinien być, tak ze względu na jego własne
dobro, jak też na dobro pisma, zwolniony od redaktor-
stwa. Niech sobie jedzie do Dorpatu czy Peters-
burga kończyć studja na uniwersytecie, a tu
trzeba innego redaktora. Dr. Sumorok, jak się
okazuje, nie życzy także na redaktora Jerzego
Jankowskiego, czego z innych względów [illegible] ja.
Dr. Sumorok stawia kandydaturę Sokołowskiego
z „Gazety Codziennej"; jest to podobno człowiek z
pewną wprawą techniczną; dr. Sumorok powiada, że
Sokołowski ~~[struck through]~~ pracuje w „Gaz. Codziennej" tylko z koniecz-
ności, dla zarobku. Nie znam tego człowieka, ale mam
poważne wątpliwości co do jego kwalifikacji ideowych, bo obawiam
się zawsze ludzi, którzy mogą pracować kolejno w pismach o wręcz przeciwnych zasad-
niczo kierunkach. Nad takim redaktorem mieć trzeba ścisłe kierownictwo i dawać je. Kombinacja niezgrabna

8 (21) październik. rok 1913. wtorek.

Dziś dopiero ma być w komitecie wyborczym rozstrzygnięta sprawa mojej kandydatury do Rady Miejskiej. Sumorok, Solistani, Zasztowt zapewniają mię, że kandydatura moja zostanie w komitecie przyjęta. Formalnie lista kandydatów jest już zapełniona i zamknięta, ale jest nadzieja na to, że nie wszyscy z kandydatów, wpisanych do listy, zgodzą się kandydować. Właśnie członkowie komitetu mieli w tych dniach obejść wszystkich zaprojektowanych kandydatów i zapytać się, czy się zgadzają. Jeżeli ktoś się zrzecze, co jest bardzo możliwe na 80 przeszło kandydatów, to na opróżniony wakans mogłaby być postawiona moja kandydatura. W innym razie komitet może mię wpisać do listy, jako kandydata zapasowego. Dziś wieczorem ma się to rozstrzygnąć na posiedzeniu komitetu. Jest wszakże pewien skrupuł poważniejszy co do mojej kandydatury. Wspomniał mi Bulat, że wskutek jakiejś świeżej daty wyjaśnienia Senatu, w którym powiedziano, że dla skorzystania z cenzusu wyborczego tytułem przedstawicielstwa od spółki czy towarzystwa akcyjnego, trzeba być istotnie zarządzającym oddziałem miejscowym tego towarzystwa. Ja zaś mam pełnomocnictwo na przedstawicielstwo cenzusu fabryki Mirkowskiej, nie jako zarządzający jej wileńskim oddziałem, lecz jako juryskonsult wileńskiego oddziału. Nie jest więc wykluczone, że gubernator, czy to przed wyborami, czy nawet po ewentualnym wybraniu mię na radnego, może skasować mój cenzus, jako nieważny. No, będę próbować przeskoczyć fuksem.

Stefuś, syn Maryni, chory na tyfus. Dr. Justrzemowski był dziś powtórnie wezwany do niego i orzekł, że jest to tyfus z pewnością. Stefuś ma stałą wysoką gorączkę i jest niezmiernie osłabiony. Ciocia Marynia lokuje na ten czas gdzieś indziej, a Stefusia zaś łóżeczko postawi w pokoju jadalnym.

Wieczór, jak zwykle, spędziłem u Anny. Uczę ją teraz codziennie, gdy tylko jestem u niej wieczorem. Nauki nasze składają się z historji polskiej, geografji, arytmetyki, gramatyki języka polskiego, głośnego czytania i dyktacji. We wszystkich tych przedmiotach uczy się Anna dopiero samych początków. Ale jest chętna, zdolna i ma dobrą pamięć, — jeno trochę cierpliwości brak.

9 (22) październik rok 1913. środa.

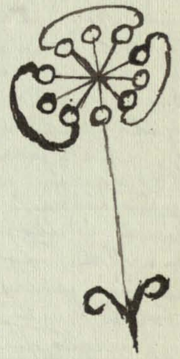

1r 2b 1ż 1p. 2l

Spotkało mię niepowodzenie z kandydaturą do Rady Miejskiej. Komitet wyborczy na posiedzeniu wczorajszym odmówił wpisania mię do listy kandydatów. Dowiedziałem się o tym od Witolda Abramowicza. Ponieważ lista kandydatów już była poprzednio skompletowana i formalnie zamknięta, więc uznano, że nie ma racji robić dla mnie szczególnego wyjątku i otwierać na nowo listę po to, aby moją kandydaturę wpisać, szczególnie, że wszyscy wpisani kandydaci oprócz jednego wyrazili zgodę na kandydowanie, a na miejsce wakujące był już poprzednio wyznaczony kandydat zapasowy, który teraz został do listy wpisany. Wobec tego większość w komitecie odrzuciła propozycję przyjęcia mojej kandydatury. Co robić! Muszę się pogodzić z faktem. Przykro mi to, bo miałem ochotę należeć do Rady i dużo poświęciłem czasu i starań na ~~dot~~ pozyskanie cenzusu — nadaremnie.

Bawi teraz u nas Stefan Mieczkowski, który jeździł do Warszawy dla odebrania części spadku dla Elwiry po cioci Cesi Tukałłowej i teraz wraca do Robertowa. Projekt Mieczkowskich opuszczenia Bielcza i Robertowa i usunięcia się z posady u Truszanowskich trwa, ale nie ma kształtów określonych. Ani Stefan ani Elwira sami jeszcze nie wiedzą, co przedsięwziąć i dokąd się podziać. Mam nadzieję, że do upływu roku, kiedy mają niby opuścić Robertów, sami się rozmyślą i decydują pozostać, co byłoby najrozumniejsze.

Tyfus Stefusia ma dotąd przebieg względnie lekki. Gorączka jest, dziecko osłabione, ale przytomne, je trochę i chwilami nawet się uśmiecha i żartuje.

10 (23) października rok 1913. Czwartek.

Spadają na mnie niepowodzenia. Dziś aż dwa naraz spadły, z 2 stron, w 2 ważnych sprawach. Nie zraża mię to jednak ani nie odbiera otuchy. Przeciwnie — zapala mię energią.

Jedno niepowodzenie — to w sprawie mojej adwokatury. Jak, zdaje się, wspominałem w dzienniku, wniosłem na początku jesieni podanie do Sądu Okręgowego o wydanie mi świadectwa na prawo prowadzenia spraw cywilnych w tym Sądzie. Świadectwo takie opłaca się podatkiem specjalnym po 75 rb. półrocznie; bez tego świadectwa pomocnicy nie mają prawa występowania w Sądzie Okręgowym. Mój staż pomocnikowski (5-letni) jest już w roku bieżącym ukończony, ale ponieważ względnie dość mało mam praktyki za sobą, którą mógłbym wykazać, więc bałem się jeszcze zatwierdzać na adwokata przysięgłego, aby nie narazić się na odmowę. Z tego względu chciałem wziąć teraz świadectwo na prawo prowadzenia spraw w Sądzie, wystąpić w szeregu spraw, dać się poznać i mieć do wykazania obfitszą praktykę, następnie na nowy rok odnowić świadectwo i wreszcie między upływem jednego a drugiego półrocza wykwalifikować się na przysięgłego. Słyszałem, że przed paru tygodniami odbyło się posiedzenie Ogólnego Zebrania Sądu, na którym miała być rozważana i moja prośba o wydanie świadectwa. Czekałem, że decyzja zostanie mi ogłoszona. Nie mogąc się doczekać takowej, poszedłem dziś dla poinformowania się do kancelarii prezesa Sądu. Sekretarz dał mi do przeczytania rezolucję, która brzmiała: „просьбу мою „отклонить по неудовлетворительности поведения”, czy też „по неудовлетворительному основанию”. Musiałem się podpisać, że rezolucja została mi zakomunikowana, i na tym poprzestać, bo od sekretarza żadnych wyjaśnień nie otrzymałem. Do prezesa Carinka też nie było po co iść, bo prezes nie obowiązany dawać żadnych wyjaśnień co do motywów odmowy. Rezolucja ta nie podlega żadnemu zaskarżeniu, wypływa z władzy dyskrecjonalnej Sądu i jest ostateczna. Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że przyczyną odmowy jest moja „nieprawomyślność” polityczna („неблагонадежность”) [illegible] z punktu widzenia rządowego. Jakież bo mogą być inne „przyczyny natury nieformalnej”, jak nie względy „moralne” co do mojej osoby. „Moralne” zaś w znaczeniu urzędowym znaczą tyle, co uległość polityczna. Zapewne moja stara sprawa z „Gazety Wileńskiej” odegrała tu rolę główną, mimo iż zostałem wyrokiem sądowym w stosunku do zarzutu zbrodni stanu uniewinniony. Odmowa Sądu może mieć dla mnie konsekwencje poważne. Jest to wskazówką, że Sąd wileński może mi odmówić przyjęcia na adwokata przysięgłego i że wypadnie mi może wobec tego zatwierdzać się na przysięgłego przez Petersburg, gdzie funkcjonuje korporacyjna Rada Adwokacka. W każdym razie ten wypadek odmowy wydania świadectwa nie jest zjawiskiem pospolitym. Dawniej faktów odmowy wydania świadectw pomocnikom nie zdarzało się nigdy. Ale przy obecnym prezesie Sądu, Carinku, który jest skrajnym prawicowcem i reakcjonistą i przechyla się nacjonalizmowi państwowemu, a jest bardzo arbitralnym i brutalnym, fakty takie zaczęły się zdarzać. Tak w roku zeszłym odmówiono było świadectwa Burhardtowi i dopiero energiczna protekcja dopomogła mu do uzyskania takowego po ponownym wniesieniu. Nie widzę jeszcze, co zrobię w tej materii postanowienia. Trzeba będzie się poradzić ze starszymi kolegami i członkami komisji adwokackiej.

Drugie niepowodzenie spotkało mię dziś wieczorem w innej, też niemałej wagi, sprawie. O ile w pierwszej sprawie przyczyną była moja „nieprawomyślność” polityczna, o tyle w drugiej przyczyną była rzekoma „nieprawomyślność” narodowa. Pisałem przed paru tygodniami, że w komitecie wyborczym do Rady Miejskiej większość odmówiła mi przez postawienie na balotowanie mojej kandydatury na tej zasadzie, że lista kandydatów została już zamknięta i że stanowi całość. Dziś wieczorem miało się odbyć zebranie komitetu. O przebiegu wiem od Zasztowta, który z posiedzenia komitetu przyszedł do Sumoroka, gdzie inni byli zebrani w sprawach „Kuriera Krajowego”, i opowiadał nam o wszystkim. W liście kandydatów trafił się wakans, bo dzielny to tym jednego z kandydatów, ponieważ okazało się, że jego cenzus jest wadliwy. Wobec tego przez Zasztowta postawiona została moja kandydatura. Nad kandydaturą moją rozwinęła się dyskusja niezwykle gorąca i zażarta. Cała prawica klerykalna i nacjonalistyczna energicznie wystąpiła do walki ze mnie. Zarzuty przeciwników moich polegały na tym, że jestem rzekomo wrogo usposobiony narodowo, że jestem zawsze za faworyzowaniem wszystkich innych narodowości ze szkodą mojej własnej (polskiej) i że we wszystkich sporach i sprawach narodowych zawsze staję po stronie obcej i przeciwko polskiej i że w Radzie Miejskiej będę stale ręka w rękę z żydami i opozycją rosyjską przeciwko polskiej grupie. Oczywiście, że istotnym motywem było w większości przydzielone, że jako człowiek niezależny, będę w jawnej opozycji; wiedzą też, że przejednać mię jakoś nie da się. Znają mnie, że stałość przekonań, wiedzą, że wpływów potrafię się nie dać i że tą drogą uzyskać mię nie zdołają, że jestem w mieście znany i że głos mój jest bądźcobądź słuchany w mieście z szacunkiem, a więc boją się mnie. Zwolennicy moi zaś twierdzili, że jestem człowiekiem niezależnym, i jak zawsze, tak i w Radzie będę walczył o to, co uważam za słuszne [illegible] i że [illegible] patriotyzmem [illegible] to [illegible] popularnych hasłach [illegible] w sprawach narodowych stoję zawsze po stronie sprawiedliwości [illegible] nie z [illegible] egoizmu narodowego, bo dobro narodu [illegible] w tym „egoizmie” widzę, a [illegible] kocham i dla Niej [illegible] wszystkich [illegible] patriotów reakcji. [illegible] przeciwnicy moi zażarcie zwalczali moją kandydaturę [illegible] osobistym [illegible] głosowanie [illegible] na kandydata do Rady [illegible] przekonania, [illegible] świadectwem, że [illegible] nie zdołał [illegible] mnie.

11 (24) października rok 1913. piątek.

Napiszę o wczorajszym zebraniu grona osób w sprawie „Kurjera Krajowego”, o którym nie napisałem pod datą wczorajszą dla braku miejsca nie uczyniłem. Zebranie to odbyło się u dr. Szumorka; obecni byli dr. Szumorek, Maíkowski, Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Osmołowski, Zasztowt i ja. Sytuacja nie o wiele się wyjaśniła. Ujawniło się, że wprawie zawiązania spółki wydawniczej musiałaby ona przyjąć zaległości pisma na sumę koło 2000 rb. i na pokrycie deficytu do nowego roku jeszcze koło 800 rb.. Po rozważeniu wszystkich okoliczności i względów doszliśmy do przekonania, że zobowiązania te są za ciężkie dla niewielkiego grona osób, które mogłyby wstąpić do spółki, zwłaszcza wobec złych widoków na przyszłość; poza tym pismo w ostatnich czasach tak zmarnięto, goniąc za [illegible] jaskrawą sensacją z uszczerbkiem dla stanowiska ideowego, i tak podupadło moralnie w opinji powszechnej, stając się świstkiem brukowym bez powagi i wpływu, że dziś [illegible] chyba nikt by się nie kwapił do wstąpienia do spółki i że nawet niektórzy z nas zarzucili, jak Zasztowt i ja, byśmy się obawiali łączyć imiona nasze z takim pisemkiem. Przez nieumiejętność Maíkowskiego, brak taktu i wyrobienia, przez nadmierne przeciążenie go ciężką demoralizującą pogonią za groszem, — pismo to, które w pewnych momentach stawało się poważną placówką demokratyzmu, zmarnowało się dziś zupełnie. Okazało się w dalszym ciągu, że najsilniejsze zaległości, których uregulowanie jest natychmiastową koniecznością, jeżeli pismo ma wychodzić nadal, wynoszą od 600 – 700 rb.. Jeżeli się teraz sumę tę pokryje, to na nowy rok sytuacja będzie znowu ta sama, co dziś, bo jeśli teraz z zaległości wybrnie, tyle do nowego roku narośnie nowego deficytu. Żadnego treściwego rozwiązania sytuacji nie znaleźliśmy. Kwestja utworzenia spółki obecnie — sama przez się upadła. Uznaliśmy, że gdyby się dało ściągnąć skądś teraz 600-700 rb., to kwestję utworzenia spółki odłożyć do nowego roku. Wtedy będzie [illegible] dogodniejszy moment do orjentowania się o przyszłości pisma i potem do nowego roku możnaby ewentualnie naprawić to, co się w piśmie zepsuło, postawić go na lepszej stopie, niż dziś (ja osobiście wątpię w to polepszenie pisma, dopóki stoi ono pod redakcją Maíkowskiego). Ostatecznie jest się w błędnym kole; obecność i kierownictwo Maíkowskiego jest dla pisma szkodliwe, usunięcie zaś Maíkowskiego można tylko przez wzięcie pisma w swoje ręce, to znaczy przez — przyjęcie zobowiązań pieniężnych, a to jest znowu — niewykonalne dziś wobec skompromitowanego stanowiska pisma. Wyjścia więc, zdaje się, niema i pismo chyba upadnie, o ile Maíkowski sam go dźwignąć nie zdoła. Nie wierzę w utworzenie spółki nietylko dziś, ale i na nowy rok, o ile sytuacja pozostanie ta sama, a ta nie zwiastuje zmiany i poprawy stałej. Tymczasem niektórzy z nas mają — prywatnie spróbować zebrać trochę pieniędzy na pismo (od Tyszkiewicza, Łopacińskiego, Romana Kuncewicza, Dubowa), żeby zapchać [illegible] luki najsilniejszych zaległości. W każdym razie jednak, o ile ja się do takiego zbierania przyczynię, to tylko najzupełniej prywatnie, odseparowując siebie od pisma, bo nie chcę łączyć siebie ze sprawą zbyt skompromitowaną i brać odpowiedzialności moralnej za długi wydawnictwa. Stan jest bardzo kiepski.

Dużo dziś rozmawiałem z kolegami adwokatami o odmowie wydania mi przez sąd świadectwa na prawo prowadzenia cudzych spraw cywilnych. Wszyscy są oburzeni, ale czy się znajdzie sposób naprawienia tego? Sprawki Carika jest prezesem sądu, to niewiadomo. Z [illegible] rozmawiałem też o tym z członkami komisji adwokackiej — Wysłouchem i Witoldem Abramowiczem. Stanęło narazie na tym, że Wysłouch ma się poinformować prywatnie u niektórych członków sądu [illegible] (Krasiewskiego, Antruckiego), jakie były miarodajne względy, dla których mi odmówiono świadectwa. Następnie sprawa ta ma być omówiona prywatnie w komisji adwokackiej. Ewentualnie członkowie komisji i starsi koledzy adwokaci mogą pomówić o tym z Carikiem i postarać się wpłynąć na niego w kierunku dla mnie przychylnym, aby mi wydano świadectwo na półrocze następne, chociaż Carik jest człowiekiem twardym, który się z wpływami adwokatów nie liczy. Tymczasem trzeba zaczekać aż to wyjaśnienie drogą prywatną [illegible] niekorzystnych motywów odmowy.

12 (25) październik rok 1913. sobota.

Wracając jeszcze do sprawy odmowy wydania mi przez Sąd świadectwa, zaznaczę tu jeszcze pewien szczegół charakterystyczny. Jednocześnie z moim podaniem rozważane były na posiedzeniu Sądu podania o świadectwa dwóch innych pomocników adwokatów, Jasińskiego i Przyłuskiego. Co do obu Sąd pojedynczo zwrócił się do komisji adwokackiej dla zasięgnięcia o nich opinji, jak to jest we zwyczaju. Obu też świadectwa zostały udzielone. Co do mnie zaś, to nietylko że mi świadectwa odmówiono dla przyczyn „nieformalnych” (?), ale nawet wcale nie zwracano się z zapytaniem do komisji. Widocznie więc odmowa była już zgóry przesądzona i opierała się na jakichś informacjach określonych. Niewiadomo, czy to mój stary proces z „Gazety Wileńskiej”, czy jakieś inne wiadomości o osobie mojej — sprawiły ten skutek. W każdym razie odmowa jest widocznie kategoryczna, przesądzona zgóry. To robi sytuację jeszcze cięższą. Nie wiem jeszcze, co mi należy przedsięwziąć. Każdy prawie co innego doradza. Niektórzy radzą mi użyć protekcji osób wpływowych, inni radzą, abym się wystarał i przedstawił do Sądu świadectwo prawomyślności od gubernatora i t.d.. W każdym razie pierwszą rzeczą jest zasięgnięcie języka od członków Sądu co do rzeczywistych motywów odmowy.

Dziś miało miejsce otwarcie nowego gmachu teatru polskiego na Pohulance. „Całe Wilno” śpieszyło na tę uroczystość. Miałem też ochotę być, ale nie postarałem się dość energicznie o bilet, to też zostałem bez takowego. Zresztą ogromna większość osób śpieszyła na to pierwsze przedstawienie poprostu przez próżność, żeby swą obecność zamanifestować wobec wszystkich, żeby siebie w kole „całego towarzystwa” umieścić. Po przedstawieniu miał się odbyć uroczysty raut okolicznościowy w pałacu p. Ordynatowej Tyszkiewiczowej. (Raut był składkowy, po rb. 5 od osoby). Wielu postępowców zasadniczo nie szło na ten raut, uważając to za niemożliwe, dopóki p. Tyszkiewiczowa nie oczyściła się z zarzutów rozpusty i sadyzmu, które ściągnęły na nią przez rewelacje w głośnej sprawie francuskiej — panny Lahut.

13 (26) października rok 1913. niedziela.

Przed obiadem jeździłem dziś z Anną na Antokol dla obejrzenia tej działki ziemi, o której słyszałem, że się tam sprzedaje obok działki, zakupionej przez Studnickiego. Mając wszakże jego ogólnikowe wskazówki o położeniu tej działki, nie mogliśmy jej znaleźć i tylko w przybliżeniu określiliśmy miejscowość, gdzie prawdopodobnie ona się znajduje. Miałbym ochotę zakupić dla nas z Anną taką działkę, tę albo inną, na kresach Antokola. Na zabudowanie jej pieniędzy nie mamy, bo rozporządzamy wszystkiego jakimś niespełna półtora tysiącem rubli, ale nawet jako lokata kapitału może to być wcale dobre. Prawda, iż plac pusty, bez budynków, nie da procentu, ale niech tylko przejdzie przez Antokol tramwaj elektryczny, a nie ulega chyba wątpliwości, że jedna z linij tramwajowych będzie musiała iść przez Antokol, — to cena placów podskoczy tam odrazu grubo. Można więc to traktować choćby tylko jako spekulację. Co do placu, który dziś chcieliśmy obejrzeć, to zraża mię tylko sąsiedztwo dość pretensjonalnych inteligentów z kół dziennikarsko-artystycznych, którzy zakupili tam szereg placów i chcą, zdaje się, udawać statecznych filistrów, a przeto może wszcząć zaczną sensacje w stosunku naszym z Anną i „gorszyć się". Wracając z Antokolu naszym obecnym tramwajem konnym, widzieliśmy z Anną na jednym z domków ogłoszenie o sprzedających się działkach. Zwrócimy się tam innym razem — może znajdziemy miejsce dogodniejsze, choć może i trochę droższe, jeżeli to będzie w kierunku Wilji lub koło głównej ulicy antokolskiej. Nabycie placu bardzo nas tentuje.

14 (27) październik rok 1913. poniedziałek.

Tyfus Stefusia płynie normalnie, bez żadnych szczególnych komplikacji. Wprawdzie doktór mówi, że stan nie jest lekki, jednak wobec tego, co się słyszało o tyfusie, napr. w czasie choroby Elwiry przed laty 10-ciu, Henryka w roku zeszłym, obecny tyfus Stefusia wydaje się, z pozorów przynajmniej, lekkim. Stefuś jest ciągle przytomny, choć w większej dozie z osłabieniem, zdaje sobie sprawę ze stanu choroby i panuje nad sobą, spełniając ostatecznie wszystko, co jest nakazane, i znosząc wszystko, co się z nim robi. Że przytym gdera trochę matkę — to głupstwo. Zmusza się do przyjmowania pokarmów, nie mając apetytu, nie ma żadnych wybryków, majaczeń i t.d., zwykłych w tyfusie. Choć osłabienie jest wielkie, jednak nigdy nie traci świadomości. Biedna Marynia dopatruje go wyłącznie sama, z wielką troskliwością i poddaniem. Całe dnie spędza przy nim, z domu prawie że nie wychodząc. Zresztą czuwanie to nie męczy jej zbytnio, bo nocami czuwać nie potrzebuje, gdyż Stefuś śpi znakomicie.

W sprawie wyborów miejskich słychać, że Saliński opracowuje samodzielną drugą listę kandydatów, która ma konkurować z listą, ułożoną przez komitet bezpartyjny. Saliński — to taki sobie malkontent i, zdaje się, trochę warchoł, który i na poprzednich wyborach miejskich przed 4 laty ogłosił osobną listę kandydatów. Wtedy jego lista w stosunku do listy komitetowej zebrała jednak ilość głosów, odpowiadającą stosunkowi 1:10. Jeżeli teraz wystąpi znowu, jak chodzą wersje, z listą osobną, to choć ostatecznie zapewne nie przeciąży listy komitetowej, jednak może w niej nawet pewne wyłomy porobić. Większość kandydatów znajdzie się zapewne na obu listach konkurencyjnych, ale co do niektórych osób, które będą tylko na jednej liście, to głosy mogą się rozstrzelić i rezultat może być rozmaity. Saliński ma stosunki i wpływy na przedmieściach. Nie wiem jeszcze, jak się ewentualnie zachowam na wypadek, gdyby Saliński zechciał mnie wpisać do swojej listy kandydatów, jeżeli taką istotnie ogłosi. Ze względu na to, że przedsięwzięcie Salińskiego ma charakter nie zasadniczy ideowy, lecz prawie warcholski, miałbym skrupuły przyjąć kandydaturę z jego ramienia po zabalotowaniu mię w komitecie. Wstyd by mi było łączyć się z [illegible] malkontentów, pozbawioną oblicza ideowego.

Wieczorem dziś byłem w teatrze polskim w nowym gmachu na Pohulance, który dopiero przedwczoraj otwarty został. Teatr jest wewnątrz ładny; sala widowni jest wykonana prosto i gustownie, biała o równych prostych liniach, wygląda tylko mała, choć to może złudzenie, pochodzące z zestawienia wymiarów poziomych z wysokością sali; zbytniej elegancji niema, miejsca jest wyzyskane umiejętnie dla pomieszczenia jak największej ilości widzów. Powiadają, że z niektórych miejsc galerji i [illegible] parteru źle widać scenę. W teatrze dziś było zimno. Zwiedzałem przybory [illegible]. Wspaniały natomiast i elegancki jest podjazd zewnętrzny.

15 (28) października
rok 1913.
wtorek.

Dziś w majątku Wojeryszkach pp. Daszkiewiczów w gub. Grodzieńskiej odbywa się wesele młodego Macieja Römera z Antonoszy, syna starszego nieboszczyka stryja Bronisia Römera, z panną Marją Daszkiewiczówną. Na weselu tym jest Papa, zaproszony jako najstarszy z bliższych krewnych rodziny nowożeńca. Dwaj tylko Römerowie płci męskiej są starsi wiekiem od Papy, to przeszło 80-letni jenerał Jan Römer z Zamościa i przeszło 70-letni Bolesław Römer, ale obaj są dla Macieja dalszymi krewnymi. Z linji zaś naszej, to znaczy z linji starego pradziada Michała żyją tylko dwaj wnukowie jego — Papa i stryj Kazimierz Römer, a z nich Papa jest starszy. Papa więc, jako senjor rodziny nowożeńca, został zaproszony na wesele, a stanowisko to zobowiązało Papę do wygłoszenia mowy na uroczystości weselnej; mowę tę Papa napisał i uczył się jej pilnie, jadąc na wesele. Dziś mówi Papa treść, bo mówcą nigdy nie był i nie jest. Ja dziś na wesele posłałem depeszę tej treści: „Krewki? Wojeryszna. Maciej i Marja Römerowie. Przyjmijcie „gorące życzenia w dniu szczęścia Waszego. Niech się „Wam szczęście osobiste łączy i opromienia miłością „Ojczyzny i Ludu w imię ideałów przodków naszych. „Miłość, której wyrazem ślub Wasz, niech się rozszerzy i ustokrotni w pracy Waszego życia. Michał Römer." Wyraz „ideały przodków naszych" — to poniekąd „licentia poetica": należałoby powiedzieć nie „ideały przodków naszych", lecz „ideały przodka naszego ~~[illegible]~~, pradziada Michała", bo właściwie ten jeden z bliższych przodków naszych przekazał nam istotnie spuściznę wielkiego serca i gorącego czynu obywatelskiego. Boję się tylko, czy mój telegram nie zostanie przekręcony w transkrypcji, bo zawiera słowa mało popularne.

Wieczór, jak codzień, spędziłem u Anny. Mieliśmy z nią lekcje jeografji i gramatyki. Gramatyka idzie kochanej Annie dość ciężko, szczególnie subtelności rozróżniania rodzajów spółgłosek w początkowych stadjach tej nauki. Anna, gdy czegoś nie rozumie, pomimo że z całym wytężeniem stara się uchwycić wątek wykładanej treści, zniechęca się i przygnębia, traci zaraz wiarę w swe zdolności i siły. A trudno jej rzeczywiście uchwycić istotę subtelności nauki o spółgłoskach dźwięcznych i bezdźwięcznych i t. p., gdy nawet języka samego doskonale nie zna i gdy nie wszystko z samego toku wykładu zrozumieć umie. A zresztą są to szczegóły takie, które nie mają dla nauki gramatyki wielkiego znaczenia i na które szkoda tracić energji. Samą zaś istotę i główne pojęcia Anna przyswaja prędko i jak tylko coś zrozumie, to już wie i umie, bo ma świetną pamięć i znakomitą sprawność myślenia. Wszystkie nauki, a zwłaszcza jeografja i historja, które są jej ulubionemi, interesują ją bardzo ~~[illegible]~~. Nauczanie to sprawia mi wielką przyjemność.

16 (29) października
rok 1913.
środa.

Sprawdziły się naturalnie przypuszczenia, że przyczyną odmowy Sądu Okręgowego wydania mi świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych był wzgląd na moją „nieprawomyślność polityczną” („политическая неблагонадежность”). Dziś członek komisji adwokackiej, adwokat Wygodzki, miał okazję do pomówienia o tym z członkiem Sądu Czewaniewskim. Czewaniewski (nie lubi prezesa Sądu, Carinka, to też Wygodzki wiedział, że się wygada w tej sprawie odmowy, która niewątpliwie przez Carinka preforsowana została). Jakoż Czewaniewski potwierdził, że istotnie przyczyną odmowy były jakieś plamy z mojej przeszłości (zapewne sprawa moja, sądzona w r. 1909 w Izbie Sądowej pod zarzutem nawoływania do buntu i obalenia istniejącego ustroju, z której zresztą z zarzutu tego uniewinniony zostałem); Czewaniewski podzielił oburzenie Wygodzkiego i zapewnił, że sam był przeciwny tej odmowie i głosował za udzieleniem mi świadectwa, tym bardziej, jak powiadał, że ja nie jestem już młokosem i że nie ma powodu obawiać się jakichś wybryków z mojej strony, zwłaszcza w działalności zawodowej adwokackiej. Plan dalszego postępowania mego wobec tej odmowy powziąłem więc ostatecznie taki: 1) postarać się o otrzymanie od gubernatora Wierowkina świadectwa o prawomyślności politycznej mojej, a dla pewności otrzymania tego świadectwa zwrócić się do gubernatora bezpośrednio z kimś, którego on zna i z którym się liczy; 2) poprosić kogoś wpływowego o pójście specjalnie do prezesa Sądu, Carinka, i pomówienie z nim o mnie, ~~[illegible]~~ wykazując, że jestem człowiekiem zrównoważonym i spokojnym, co do którego obaw żywić nie można, i uwydatniając, że skończyłem Szkołę Prawowiedów i że już to jedno świadczy o mojej „prawomyślności”, a że moja sprawa sądowa była tylko nieporozumieniem, ~~[illegible]~~ bo choć byłem tytularnym redaktorem „Gazety Wileńskiej”, jednak inkryminowany artykuł był wydrukowany w gazecie bez mojej wiedzy; 3) na nowy rok wnieść do Sądu nowe podanie o udzielenie mi świadectwa, załączając do podania świadectwo gubernatora o prawomyślności; 4) jeżeli jednak znowu będzie odmowa, to już nie pozostanie nic innego, jak przepisać się do okręgu petersburskiego.

W niedzielę ma być otwarta wystawa wszystkich obrazów Czurlanisa, będących w depozycie Litewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych („Lietuvių Dailės Draugijos”). Będzie to wystawa stała, rodzaj galerii obrazów zmarłego artysty. Wystawa będzie się mieściła w lokalu stałym Towarzystwa przy rogu ulic Zawalnej i Nowej. Na prośbę Żmujdzinowicza napisałem dziś po obiedzie artykulik o wystawie tej i w ogóle o twórczości Czurlanisa. Artykulik ten spróbuję dać do „Kurjera Litewskiego”; jeżeli zaś Hłasko nie zechce go drukować ze względu na to, że się w nim zachwala artystę litewskiego i że tu chodzi o przedsięwzięcie kulturalne litewskie (a Hłasko w stosunku do Litwinów pozwala swemu pismu być co najwyżej powściągliwym, jeżeli nie wprost niechętnym, chwalić zaś i wyrażania im w czymkolwiek uznania — unika), to trzeba będzie go gdzieś indziej zużytkować. Artykulik udał mi się nieźle. Wieczorem z okazji otwierającej się wystawy odbyło się w lokalu „Dailės Draugijos” zebranie Zarządu tego Towarzystwa. Obecni byli: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Kairys, ja, najęty płatny sekretarz towarzystwa — jakiś młody człowieczek, i Żemaitis, który choć urzędowo do Zarządu nie należy, jednak faktycznie w ostatnich czasach bierze w Zarządzie i w całej pracy towarzystwa udział bardzo czynny. Głównym i prawie że jedynym tematem dyskusji była kwestia mów na uroczystości otwarcia wystawy. Zarząd postanowił przywitać gości mowami. Jednogłośnie uznano, że mowy powinny być wygłoszone w czterech językach — po litewsku, po polsku, po rosyjsku i po białorusku. ~~[illegible]~~ Pierwszą ~~[illegible]~~ na uroczystości litewskiej ma być oczywiście mowa litewska. Chodziło jednak o to, czy po litewskiej ma być wpierw polska ~~[illegible]~~ a potem rosyjska czy odwrotnie. Wszyscy uznawali, że zasadniczo i według sprawiedliwości należy się w Wilnie pierwszeństwo mowie polskiej przed rosyjską; zachodziła tylko obawa, czy nie stanie temu na przeszkodzie względy policyjne i czy to nie spowoduje jakichś napaści lub złych konsekwencji dla Towarzystwa ze strony władz rządowych. Po długich debatach znaleźliśmy takie wyjście, że wpierw przemówi sekretarz ~~[illegible]~~ Zarządu, Vileišis, oznajmiając w języku urzędowym, że z zezwolenia władz mowy odbędą się w językach miejscowych, mianowicie litewskim, polskim, rosyjskim i białoruskim, a następnie wygłoszone zostaną same mowy w porządku wskazanym, to znaczy polska zaraz po litewskiej i przed rosyjską. Projektowano naprzód, abym polską mowę wygłosił ja. Wszakże wraz z Vileišisem wskazaliśmy, że byłoby stosowniej, żeby polską mowę wypowiedział rodowity Litwin, witając gości Polaków. Gdybym mówił ja, to Polacy mogliby mniemać, że nikt z Litwinów prócz mnie mówić nie zechciał, a nawet [illegible] by [illegible], że służę za parawanik Litwinów i wysuwam się im na okazyjne występy. Stanęło więc na tym, że mowę ~~[illegible]~~ litewską wygłosi prezes Zarządu Żmujdzinowicz, polską — Kairys, rosyjską — Żemaitis, białoruską zaś mam wygłosić, raczej odczytać (bo po białorusku umiem tylko czytać, ale nie mówić) — ja.

17 (30) października, rok 1913. Czwartek.

Zaniosłem dziś do redakcji „Kurjera Litewskiego“ mój wczorajszy artykulik o wystawie Czurlanisa. Hłasko artykulik wziął, przeczyta go dziś wieczorem i jutro da odpowiedź, czy będzie go drukować w swym piśmie czy nie.

W redakcji „Kurjera Litewskiego“ spotkałem się z Korolcem. Gawędziliśmy z nim o tym i owym, wreszcie zeszliśmy na temat wyborów miejskich. Wspomniałem, że, jak słyszałem, Saliński układa i ma ogłosić osobną listę kandydatów, inną, niż komitetowa. Korolec to potwierdził i dodał jeszcze, o czym nic nie słyszałem, że on sam takie ułożył listę osobną, konkurującą z komitetową. Lista Korolca ułożona została przez jakieś grono, które utworzyło doraźny komitecik (nazwę tego nowego „komitetu“ Korolec mi wymieniał, ale jej nie pamiętam). Tak więc już trzy listy będą konkurowały na wyborach, — lista „komitetu bezpartyjnego“, lista Salińskiego, lista Korolca, a może do dnia wyborów przybędą jeszcze inne, nowe. Korolec jest bardzo rozżalony na „komitet bezpartyjny“, na który pisze i zarzuca mu „politykę osobistą“, [illegible] za głównego winowajcę uważa dr. Szumowskiego, który w „komitecie bezpartyjnym“ rzeczywiście bardzo umiejętnie zwalczał niektórych kandydatów i przyczynił się do ich obalenia. [illegible] Grupa Korolca opiera się, zdaje się, na malkontentach, którzy zostali w komitecie bezpartyjnym zabalotowani i usunięci; jest śród nich kilku [illegible] radnych, jak Antonowicz, członek zarządu Karpowicz, są ludzie nowi, którzy z pewnością pragnęli wejść do Rady, a któś nawet w komitecie zabalotowany, jak Władysław Malinowski, jak, zdaje się, sam Korolec. Stopniowo czują się oni dotknięci nie samym faktem zabalotowania, ale tym, co o nich w komitecie mówiono i jakie im zarzuty stawiano; obrady komitetu i wypowiadane tam opinje [illegible] były szeroko po mieście kolportowane, to też mnóstwo osób jest niezadowolonych. Grupa Korolca wpisała podobno do swej listy kandydatów postępowców, figurujących na liście komitetowej, ale naogół lista Korolcowska najprawdopodobniej nie będzie miała cech jakiegoś zasadniczego kierunku, jeno przeważnie rewanżu na komitecie bezpartyjnym. Zdaje się, że grupa Korolca zyskała poparcie „Gazety Codziennej“, której [illegible] też zabalotowany został w komitecie bezpartyjnym.

18 (31) października rok 1913. piątek.

Miałem przykrość. Przed obiadem poszedłem do redaktora „Kurjera Litewskiego” Kłaski dla otrzymania odpowiedzi w kwestji, czy artykulik mój o Czurlanisie będzie drukowany w piśmie. Kłasko oświadczył, że się na drukowanie zgadza, ale ma przedewszystkiem cały szereg zastrzeżeń, co do samej wystawy, co do których chciałby mieć uprzednio wyjaśnienie ode mnie, wie bowiem, że jestem członkiem Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos”. Ponieważ, jak powiada, artykulik mój poza samą charakterystyką twórczości Czurlanisa ma jeszcze charakter reklamowy względem wystawy, więc Kłasko, redaktor, mając go drukować w swym piśmie, chce mieć pewność, że wystawa ta w niczym dotykać nie będzie polaków. Domyśliłem się, że Kłasko ma na myśli „precedens” z zeszłorocznej wystawy litewskiej r. 1912, mianowicie ową sławną i głośną awanturę z nieszczęsną rzeźbą Rymszy pod tytułem „Walka” („Kova”). Spytał mię więc przedewszystkiem, czy na wystawie wśród dzieł Czurlanisa nie będzie jakiegoś utworu w rodzaju owej „Walki”, któryby mógł obrażać polaków. Zapewniłem, że śród dzieł Czurlanisa niema, o ile wiem, żadnych, któreby miały charakter specjalnie polityczny i agitacyjno-spekulacyjny. Pytał dalej, czy na wystawie będą napisy polskie, polskie katalogi i tekst polski na afiszach. Zapewniłem go co do wszystkich tych punktów i dodałem jeszcze o nowach [illegible] i w szczególności o sprawie polskiej. Nie bardzo mi się ta indagacja podobała, bo ostatecznie „Lietuvių Dailės Draugija” sama ma przecie świadomość tego, co należy robić, a zresztą ja sam, jako polak, należę do jej Zarządu, i stanowię gwarancję uwzględnienia słusznych uczuć polskich względów. Należało Kłasce przyjąć artykuł, jeżeli go uznaje za odpowiedni, a co do zastrzeżeń swoich zaufać mnie, nie kwestjonując, a zarezerwując sobie na potym krytykę choćby najostrzejszą, gdyby się okazało, że wystawa obraża polaków. Takie zaś indagowanie z góry ma cechę jakiejś niewiary i jakiegoś uprzedzenia z góry. Indagacja ta dotknęła mię trochę, ale ostatecznie, ponieważ miała charakter grzeczny, więc nie odmówiłem Kłasce tych wyjaśnień. Nakoniec Kłasko dotknął strony delikatniejszej, mianowicie kwestji zaproszenia redakcji „Kurjera Litewskiego” na otwarcie wystawy. W czasie głośnego zajścia z „Walką” Rymszy na wystawie z r. 1912 członkowie redakcji „Kurjera Litewskiego” odesłali Zarządowi bilety zaproszeń na otwarcie wystawy, zakreślając protest przeciwko obrażaniu uczuć polskich wystawianiem dzieł takich, jak „Walka”. Jednocześnie w „Kurjerze Litewskim” ukazał się wtedy artykuł namiętny, nazywający wystawienie „Walki” prowokacją. Wiadomo są losy „Walki”, który sam artysta-autor, Rymsza, własnoręcznie rozbił, zdenerwowany zajściem. Zarząd „Lietuvių Dailės Draugijos”, reagując na komentarze opinji polskiej, opublikował wtedy komunikat, w którym oświadczył, że niczyich uczuć obrażać nie chciał, że obce mu są całkowicie jakiekolwiek tendencje polityczne i że oceniał rzeźbę Rymszy wyłącznie ze stanowiska sztuki, artyzmu. Pomimo to „Kurjer Litewski” ani cofnął, ani złagodził swego zarzutu prowokacji. Wobec tego na dorocznej wystawie litewskiej r. 1913 Zarząd Towarzystwa Litewskiego nie posłał zaproszenia do redakcji „Kurjera Litewskiego”, uważając, że redakcja ta zbraziła Towarzystwo. Wiedziałem, że i teraz mogą nie przysłać zaproszenia do redakcji „Kur. Litewskiego”, bo o tym była mowa na poprzedzającym zebraniu Zarządu. Zaznaczyłem wszakże, że sprawa nie jest stawiana w Zarządzie zbyt ostro i kategorycznie i że, skoro Kłasko zgodzi się na drukowanie w „Kurjerze Litewskim” mego artykułu o Czurlanisie i wystawie, to Zarząd „Dailės Draugijos” nie odmówi mu posłania zaproszenia. Na zebraniu Zarządu odczytywałem mój artykulik, który się wszystkim bardzo podobał, i wspominałem, że zamierzam go dać do „Kur. Litewskiego”. Chciałem nawet wczoraj, przed daniem artykułu Kłasce, pomówić ze Żmujdzinowiczem i upewnić się, że w razie przyjęcia artykułu zaproszenie będzie do redakcji „Kur. Lit.” posłane, ale później tego nie zrobiłem, bo byłem pewny, że to się bez trudności da zrobić. To też na napomknienie Kłaski o sprawie zaproszenia zapewniłem go, że takowe będzie do redakcji przysłane. Z domu napisałem o tym w kartce do Żmujdzinowicza, prosząc, aby koniecznie zaproszenie wysłał. Tymczasem około 6 godz. poszedłem do lokalu „Dailės Draugijos” i zastałem tam członków Zarządu Żmujdzinowicza, Żmujdzinowiczową i Rajeckiego, gorąco debatujących nad tą kwestją i uznających niemożliwość ustąpienia w tym punkcie i wysłania zaproszenia. Szczególnie Rajecki twardo stał na tym gruncie, wysuwając względy zasadnicze, że Towarzystwo zostało przez „Kur. Litewski” poważnie obrażone i nie może, bez uczynienia ujmy godności, zapraszać tej redakcji i robić jakiś krok do zgody i kunktacji. Było mi strasznie przykro, ale nie było co robić. Nie podzielałem zdania Rajeckiego i Żmujdzinowiczów, uważam, że choć była istotnie obraza ze strony „Kur. Litewskiego” przed laty dwoma, ale była czy nie obraza wynikła na gruncie nie zaliczonym do prywatnego, lecz sprawy zasadniczej, i że sam „Kurjer L.” uważał słusznie czy niesłusznie, za obrażonego w imieniu polaków, i że zresztą nie należy pamiętać w nieskończoność zatargu i obrazy, lecz z biegiem czasu rzucić płaszcz zapomnienia i wyrozumiałości na urazy przeszłości, szczególnie, że w tym razie „Kurjer Litewski”, drukując mój artykulik o wystawie, popierający odezwę Zarządu i reklamujący wystawę, robił też krok do zgody i zapomnienia, to też nie byłoby tu jednostronnego pominięcia aktu skruchy ze strony „Dailės Draugijos”, jeno obustronne zaniechanie dawnych uraz i zajść. No, ale większość Zarządu myślała inaczej. Choć mię to naraziło na wielką przykrość osobistą, nie mogłem mieć do moich kolegów z Zarządu żalu, kierowały niemi względy zasadnicze, których choć nie podzielam, ale szanuję. Musiałem więc pospieszyć do redakcji „Kurjera Litewskiego” do Kłaski, i powiedziałem mu, że Zarząd postanowił nie wysłać zaproszenia do redakcji, przeprosiłem go osobiście za to, że mu dziś inaczej to rzecz przedstawiłem, no i odebrałem artykulik mój. Sprawa ta była dla mnie nieznośnie przykra.

[illegible] „komisji polsko-litewsko-białoruskiej”, wybranej w lipcu roku 1912 na [illegible] [illegible] z roku 1913 [illegible] [illegible] [illegible] „Dailės Draugijos” [illegible]

10 października / 1 listopada. rok 1913. sobota.

Listy wyborcze się mnożą. Malkontentów moc, grupek rozmaitych wyrosło tak, jak grzybów po deszczu. Kampanja wyborcza miejska, która do niedawna była zupełnie martwa i zdawała się wegietować w łonie jedynego „komitetu bezpartyjnego", nagle się niezwykle ożywiła w samym przeddzień wyborów, które się odbędą 24 października we czwartek. Oprócz listy „komitetu bezpartyjnego" ukazała się już lista t. zw. „mieszczańska", którą przypisują zabalotowanemu w „komitecie bezpartyjnym" członkowi Zarządu Karpowiczowi, i lista „zjednoczona" Korolca, Obsta i K°. Na liście Karpowicza kandydatów postępowych, którzy są wpisani do listy „bezpartyjnej", niema, z wyjątkiem tylko dwóch — Abramowicza i Jakubowskiego. Przeważają w niej elementy ze starej Rady Miejskiej. Na liście zaś Korolca, oprócz wpisanych wszystkich zabalotowanych malkontentów, jak Korolec, Karpowicz, Antonowicz, Władysław Malinowski, Obst i t. d., są też wszyscy postępowcy z listy bezpartyjnej, jak Abramowicz, Nagrodzki, Kryżanowski, Uścinowicz, Jakubowski, Umiastowski Jan, Zasztowt i inni i dopisany jeszcze Józef Bukowski. Brzozow natomiast, o którego się toczył bój długi i zacięty między „komitetem bezpartyjnym" a grupą postępowców-rosjan i którego ostatecznie do listy bezpartyjnej nie wpisano, figuruje na liście Karpowicza, na Korolcowskiej zaś go niema. Sumorok, główny sprawca złości malkontentów, na liście ich (Korolcowskiej) naturalnie nie figuruje. Mnie też niema na żadnej liście. Lista „zjednoczona" Korolca, choć postępowców uwzględnia szeroko, jest zasadniczo niczym: jest to lista malkontentów, lista obrażonych ambicji. Lista Karpowicza, bardziej prawicowa, jest bądź co bądź pod względem ideowym bardziej jednolita i zasadnicza. Poza temi listami mają być jeszcze, jak słychać, wydane listy następujące: a) lista t. zw. bankowa, najbardziej prawicowa, pochodząca ze sfer Banku Ziemskiego, podobno układana i zainicjowana przez adwokata Zaleszczyńskiego, mająca same tylko podobno nazwiska starych radnych; b) lista Kalińskiego, o której nic jeszcze nie wiadomo; c) lista prawicy rosyjskiej, która ma podobno zwiększyć ilość kandydatów rosjan z 13, jak jest ustanowione w zasadniczej liście „bezpartyjnej", do 25-ciu; d) wreszcie ostatnia, siódma, lista pod nazwą „niezależna", układana przez kilku ludzi z przyjaciół „Kurjera Krajowego" na własną rękę; autorami tej listy są prawdopodobnie Mańkowski i Jerzy Jankowski; listę tę układają oni ze skombinowanego wyboru nazwisk z innych list i jutro mają ją w „Kur. Krajowym" ogłosić a też wydrukować w odbitkach, jak wszystkie inne, i rozesłać do wyborców (na liście tej i ja mam figurować, — doradcą autorów tej listy jest Sumorok). Tak więc Wilno mieć będzie całą powódź list, przyczem zaś zapewne, jak sądzę, lista „bezpartyjna", jako najstarsza i największego autorytetu mająca. Ostatecznie lista „bezpartyjna" nie jest całkiem zła. Nie jestem jej wrogiem nieprzejednanym, chociaż że mnie do niej nie wpisano.

Postanowiłem odmówić się od wygłoszenia, raczej odczytania mowy litewskiej na jutrzejszym otwarciu wystawy Czurlanisa. Uważałem, że moje wystąpienie z mowami na uroczystości litewskiej od imienia Litwinów nie bardzo jest stosowne. Mogę brać czynny udział w życiu kulturalnym Litwinów, ale nie do mnie należy rola ich reprezentanta uroczystn. Poza tym ze względu na wczorajsze przykre zajście z redakcją „Kurjera Litewskiego" wolałem się na otwarciu wystawy na czoło nie wysuwać. Napisałem więc tylko mowę, którą przetłumaczył Antoni Łuckiewicz, i uprosiłem Ulewicza o odczytanie jej na uroczystości jutrzejszej. Wieczorem byłem na zebraniu Zarządu „Dailės Draugijos". Maryunia przysłała przeze mnie dla „Dailės Draugijos" ofiarę pieniężną w kwocie 25 rb. z ładnym listem, w którym oświadcza, że jeżeli Stefuś będzie kiedyś artystą, składa ofiarę na Towarzystwo Artystyczne, prosząc Boga, żeby mu wrócił zdrowie w tyfusie. [205.]

20 października – 2 listopada. rok 1913. niedziela.

O godz. 1 popołudniu odbyło się uroczyste otwarcie stałej wystawy dzieł Czurlanisa. Osób na otwarciu było ogółem około 40-tu, prawie wyłącznie polaków i litwinów; ze szczupłej garstki inteligencji białoruskiej było tylko dwóch braci Łuckiewiczów. Z rosjan i żydów nie było nikogo. Z polaków zanotowałem następujące osoby: Paweł Konieczna, p. Koiferanka, zdaje się – Anna, Mohlówna, Bagiński, panna Stanisława Studnicka, Ludwik Abramowicz, Renard-Czarnecki, Jerzy Jankowski, Nowakowski, Jan Bułhak i jeszcze inni, których nie pamiętam lub których nie znam. Przeważali naturalnie litwini (Żmujdzinowiczowie, Janostwo Vileišisowie, Kairys, wdowa artysty – p. Zofja Czurlanisowa, brat i, zdaje się, ojciec artysty, Jaunkaitis, Żemaitis, Skirmuntowa, Sapkowska, p. Bortkiewiczowa, Jurasaitis, Skrzewiczowa, dr. Vileišis z żoną i wielu innych). [redacted] Że nie było żydów – temu się nikt nie dziwił. Mimo że stosunki między litwinami i żydami są dobre a nawet w polityce się oni wzajemnie popierają, to jednak faktycznie należą oni do dwóch światów odrębnych. Choć litwini się z polakami ciągle kłócą, a jednak są oni sobie bliżsi i daleko więcej mają punktów stycznych, niż z żydami, z którymi zatargów nie mają i z którymi się nawet dorywczo popierają. Niestety – między żydami a społeczeństwem miejscowym chrześcijańskim nie ma żadnych prawie form łączności poza dziedziną życia ekonomicznego. Życie kulturalne żydów jest zupełnie odosobnione od życia reszty społeczeństwa i, niestety, kraju. Poza własną swoją kulturą, która się w swiej [illegible] coraz bardziej unaradawia, ulegają oni wpływowi kultury rosyjskiej i przez to od życia krajowego się oddalają, co nieszczęśliwie jest dla nich samych w konsekwencjach ujemne. Złożyło się i składa na to wiele przyczyn i nie oni sami są temu winni, a przynajmniej nie świadomie, ale niemniej jest to fakt i fakt smutny. Zwracała też uwagę nieobecność rosjan. Nawet tych kilku rosjan postępowych, którzy są bliżsi życia krajowego i na których obecność liczono, bo byli zaproszeni, jak Powstocki, artysta Bobakow, nie przyszło, bo akurat trafiło się, że przyjść nie mogli. Z rosjan był tylko jeden przedstawiciel „władzy", policjant, pilnujący porządku i godności państwowej. Nie było więc wcale dla kogo [redacted] wygłaszać mowy rosyjskiej, która była w programie otwarcia przewidziana. Ale że trzeba było dla względów policyjnych przemówić też koniecznie po rosyjsku, skoro były i inne mowy, więc sucho przewodniczący sekretarz Zarządu, Janina Vileišisowa, wygłosiła na wstępie w kilku słowach w języku państwowym o tym, że gubernator pozwolił na wygłoszenie mów w językach „miejscowych" i że zatym takowe się odbędą, [redacted] czym uczyniła zadość konieczności „państwowej" i zastąpiła mowę rosyjską. Tym lepiej. Następnie wygłoszone zostały mowy właściwe: Żmujdzinowicz powiedział po litewsku, Kairys po polsku, Żemaitis odczytał [redacted] po białorusku napisaną mowę przez [illegible]. Najpiękniejszą była mowa polska Kairysa, głęboka, wypowiedziana z siłą wewnętrznego przeświadczenia a bez patosu, zakończona wyjątkowo wyrazistym [redacted] i pięknym uwypatnieniem humanizmu, który łączy przez sztukę ludzi bez względu na dzielące ich różnice i waśnie stanowe, wyznaniowe, religijne czy narodowe. Na tym się uroczystość otwarcia zakończyła.

Rano przed wystawą Czurlanisa pojechałem z Anną na Antokol dla obejrzenia sprzedających się tam działek ziemi, o których wyczytaliśmy ogłoszenie. Są to działki z posiadłości niejakiego p. Syrwida, położone między centralną ulicą Antokolską a Wilją ku końcowi Antokola o jakieś 1/2 wiorsty czy trochę mniej od kresu dzisiejszej końcowej linji tramwajowej. Przy samej ulicy Antokolskiej działki są droższe, toteż nie reflektujemy na nie, bo są one zdatne głównie na zabudowanie się, podczas gdy nam chodzi tylko czy o spekulację na wyczekaniu wzrostu ceny czy też ewentualnie o zużytkowanie jej na mieszkanie Anny i na założenie przez Annę i dla niej ogrodu. Najodpowiedniejsze dla nas byłyby z obejrzanych dziś działek działki nad samą rzeką [redacted] na płaszczyźnie niżej, gdzie wszakże grunt jest suchy i równy. Ceni się ziemię po rb. 10 za sążeń, podczas gdy przy ulicy ceni się po rb. 20 i dalej po rb. 15. Jeżeli zaś wziąć działkę na równinie nad rzeką razem z kawałkiem spadzistości wzgórza powyżej, to cena sążnia z 10 rb. spada do 5 rb., ale spadzistość ta jest krzakami porosła i nie zdatna do niczego. Na zakupienie jakichś 400 sążni [redacted] nad rzeką musielibyśmy wydać 4000 rb., co nam jest ciężko, bo mamy tymczasem tylko trochę ponad 1000 rb., choć kupno mogłoby być rozłożone na rok lub 2 lata. Działki nad rzeką są ładne i Annie bardzo się podobają. Myśleliśmy z Anną, jakby tam ona w małej chatynce zamieszkała i sama uprawiała ogródek. Marzeniami tylko oblekła się z żalem wyobraźnia i pamięcią, trzeba więc w możności, nakształcić nie tylko piękniejszych dla niej perspektyw. Nie odrzucam możności kupienia tej działki nad rzeką, ale chcę się upewnić [illegible] [illegible] [illegible] mieszkańcem Antokola, który zna tamtejsze działki i warunki [illegible]

1/2 – 2 wiorst od ulicy centralnej Antokolskiej. [illegible] 5 działek [illegible] 60 za [illegible] mieszkania Anny i ogrodu [illegible] 400-sążniowych nad rzeką. [illegible] działki [illegible] kupić [illegible] gruntu [illegible]

21 października
3 listopada
rok 1913.
poniedziałek

Wieczorem u p. Niedziałkowskiego odbyło się pierwsze zebranie nowego komitetu rodzicielskiego gimnazjum Winogradowa, wybranego na bieżący rok szkolny. Wybrano komisję t. zw. wychowania fizycznego, poza tym zajmowano się głównie sprawą opłacenia wpisów szkolnych za niezamożnych uczniów. Podań o opłacenie wpisu przez komitet rodzicielski wpłynęło, zdaje się, 8; obliczyliśmy, że ogólna suma wpisów, gdybyśmy wszystkie podania zaspokoili, wyniosłaby czterysta kilkadziesiąt rubli na półrocze, co na budżet komitetu jest trochę za ciężko. Ale trudno odmówić, gdy wszyscy proszący naprawdę bardzo potrzebują. Może niektórym dopomożemy częściowo, dla innych może i dyrektor sam trochę daruje, przynajmniej częściowo, opłatę. Ostatecznie nie powzięliśmy dziś jeszcze decyzji stanowczej w tej sprawie, odkładając takową do następnego zebrania. W ogóle jest tendencja w komitecie do uwzględnienia i zaspokojenia wszystkich podań, dając wszakże pierwszeństwo tym, którzy już w roku zeszłym pobierali stypendium i którzy są w klasach wyższych.

W ostatnim N-rze „Przeglądu Wileńskiego”, który zdaje się nie zostanie zamknięty, bo grupa przeglądowa uchwaliła wydawać pismo nadal, artykuł wstępny Ludwika Abramowicza jest znów skandaliczny. Napada on ostro na postępowe ideowe codzienne pisemko popularne rosyjskie „Siewiero-Zapadnaja Gazieta” (redagowane przez Antoniego Łuckiewicza), właśnie za to, że jest ono postępowe i demokratyczne. Uważa go Ludwik za najszkodliwsze, bo zdaniem jego takie właśnie pismo najskuteczniej szerzy w kraju śród ludu rusyfikację, skuteczniej od urzędowych „obrusitielów”, posługujących się metodą murawjewowską gwałtu i ograniczeń. Tu bowiem wpływy rosyjskie szerzą się pod ponętną formą popularnych haseł wolnościowych i demokratycznych i przeto stają się w tej szacie dla nas straszne i wciskają się w psychikę ludu, asymilując się łatwo z podłożem. Toteż Ludwik woli akcję rusyfikatorską urzędową, woli „Wilenskij Wiestnik” i tradycję murawjewowską od demokratycznej akcji rosyjskiej. Ale zapomina, że „Siewiero-Zapadnaja Gazieta” zajmuje stanowisko krajowe i że bądźcobądź językiem rosyjskim posługują się u nas żydzi i całe masy drobnych urzędników, dla których nie można zamykać dostępu do życia i do myśli demokratycznej. Lepiej więc, że te elementy, tak żydzi, jak drobni urzędnicy, mają w „Siewiero-Zapadnoj Gazietie” wyraz demokratycznej myśli, opartej na stanowisku krajowym, co ich obywatelnia i właśnie sprowadza z torów bezpłciowego demokratyzmu popularnych frazesów na tory krajowej akcji, niż gdyby mieli tylko strawę demokratyczną, wypływającą z centralnie-ogólnopaństwowym, jak to robi obecnie [illegible] „postępowych” pisemek gazetowych żydowsko-rosyjskich, jak np. [illegible], „Nasza Kopiejka” i „Cut. Zan. Zwr.”.

Argumentacja Ludwika przypomina bardzo argumentację nacjonalistów litewskich czy białoruskich względem prasy i akcji społecznej polskiej. Mówią oni, że wolą pisma polskie szlacheckie i prawicowe od demokratycznych i postępowych, bo pierwsze są całkiem obce i do ludu nie trafiają wcale, zaś demokratyczny ruch polski jest najszkodliwszy, bo ściąga lud i strony polonizacji. Argumentacja wszystkich nacjonalistów jest kubek w kubek ta sama. Prawdą nie jest, że wszyscy się mogą rozwijać swobodnie w ramach krajowych.

22 października
4 listopada
rok 1913.
wtorek.

Dzień prawie cały, korzystając ze święta rosyjskiego, spędziłem z Anną, przeważnie w jej pokoiku. Odbyliśmy dwie długie lekcje, geografii i gramatyki, z których druga jest dla Anny bardzo ciężka. Wieczorem musiałem iść na ogólne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które się po raz pierwszy odbywało w nowym własnym domu przy rogu zaułka Sawiczowego i przedłużenia ulicy Mostowej. Wobec tego kupiłem dla Anny na wieczór dzisiejszy bilet na galerię do teatru polskiego, aby ją w ten sposób przebłagać za drugi z kolei wieczór świąteczny, spędzony przeze mnie bez niej, i pożegnałem ją, odprowadziwszy aż do drzwi teatru. Sam wszakże nie poszedłem na zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bo przyszło mi na myśl odwiedzić Henryka Wołłowicza i dać mu na gorąco reprymendę, która mu się należała za jego [illegible] ujawniony brzydki czyn. To mi zabrało parę godzin czasu. Koło godz. 10½ wróciłem do domu i zasiadłem do artykułu, który chcę napisać i dać do „Przeglądu Wileńskiego" w odpowiedzi na artykuł Ludwika Abramowicza o „Bezprawnych Żydach", o którym pisałem w dzienniku pod datą wczorajszą. Wiem, że mój artykuł w „Przeglądzie Wileńskim" będzie potraktowany po macoszemu, to znaczy wywoła albo dopisek albo replikę ~~[illegible]~~ od redakcji, bo redakcja „Przeglądu" inaczej, niż ja, na tę kwestię się zapatruje, ale bądź co bądź chodzi mi o to, żeby głos Ludwika Abramowicza, powtarzający „Bezprawnych Żydów" o szerzenie rusyfikacji i [illegible] ten nowy prąd demokratyczno-krajowy w prasie rosyjskiej, którego wyrazem jest to pismo, zaś szkodliwy dla „[illegible]" i od metody Murawjewowskiej, nie był jedyny. Chcę zabrać głos i wskazać i wykazać to właśnie, co jest dodatniego w kierunku reprezentowanym przez „Bezprawnych Żydów"; jest to bowiem kierunek, który skłania tylko ~~[illegible]~~ przeciw rusyfikacji elementu rosyjsko-białoruskiego i stanowi zwrot ~~[illegible]~~ ku utrzymywaniu tego elementu, ku ~~[illegible]~~ oderwaniu go od niwelacji wszechpaństwowej. Niech więc redaktor daje dopisek do mego artykułu, byle go tylko wydrukował i byle tylko czytelnicy widzieli i to drugie zdanie, opinię o „Bezprawnych Żydach" ~~[illegible]~~ i praktyczne. Do „Przeglądu Wileńskiego" też oddam dziś artykulik o [illegible], który miał poprzednio być drukowany w „Kurjerze Litewskim".

23 października.
5 listopada.
rok 1913.
środa.

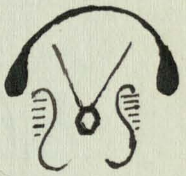

l2r2b|ż|p

Rano dokończyłem artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" w sprawie kierunku „Bezpartyjnej Zgody" i zaniosłem takowy razem z ~~drugim~~ artykulikiem o Czurlanisie do Ludwika Abramowicza do redakcji „Przeglądu". Ludwik artykuł mój zamieści, zaopatrując go dopiskiem, w którym naturalnie będzie obalał wywody moje. Zażądał Ludwik, abym podpisał artykuł przynajmniej inicjałami memi, powiadając, że to jest potrzebne ze względu na to, że artykuł ten wyraża nie opinię redakcji, jeno osoby prywatnej, reprezentującej, jak ja, kierunek odrębny, której się ~~d~~ daje w piśmie głos przez gościnę. Zrobiłem to.

W „Kurjerze Krajowym" nie mogę teraz, niestety, pisać. Jest on takiem świstkiem brukowym, tak jałowym i jaskrawie sensacyjnym, że dla artykułów ideowych nie nadaje się wcale. To też choć nieraz miałbym ochotę zabrać głos w jakiejś sprawie właśnie w dzienniku, nie zaś w niepopularnym tygodniku, muszę jednak zrezygnować. Postanowiłem do „Kurjera Krajowego" nie pisać, aż się chyba zmieni. Wątpię zresztą, czy się utrzyma. Skąd jeszcze teraz czerpie Mańkowski środki na wydawnictwo — nie wiem. W ostatnich dniach „Kurjer Krajowy" gorąco się rzucił do walki wyborczej miejskiej, forsując gwałtownie swoją listę „różową", utożsamioną od imienia „grupy 11-stu niepalezinych"; na liście tej figuruje w liczbie kandydatów i moje nazwisko. W ogóle walka wyborcza niezmiernie się ożywiła, jak bodaj nigdy dotąd w Wilnie na wyborach miejskich. Lista „biała" półhrabiowska „komitetu bezpartyjnego", lista „błękitna" Korolca i Feitnera, jakaś druga też Korolca, który zerwał z grupą błękitną, lista „szara" Sulistrowskiego, lista „różowa" „Kurjera Krajowego", lista prawicy rosyjskiej czyli lista Andrejewa... Lista „błękitna" ma największej cechy powagi, będąc listą malkontentów i obrażonych ambicyj, ale jednocześnie jest ona najpoważniejszą konkurentką głównej listy „komitetu bezpartyjnego". Agitacja za listą błękitną jest bardzo energiczna i forsowana przez urzędników Zarządu miejskiego. Komitet bezpartyjny dla agitacji na swoją listę wziął piseinkę „Promień", która z pomocą komitetu bezpartyjnego wskrzeszona została. Jest to piseinka p. Zapolskiej, właścicielki drukarni przy zaułku Ignatowskim. Piseinka to ~~[illegible]~~ w postaci nowego dzienniczka kopiejkowego wychodziło przez krótki czas w końcu czerwca i lipcu i po kilkunastu Nrach — z braku środków upadło. Teraz odżyło dla agitacji „komitetu bezpartyjnego". Komitet bezpartyjny, czyli raczej przywódcy jego, posługując się „Promieniem" tylko w zakresie artykułów, dotyczących wyborów, poza tym zaś nie odpowiada za treść i kierunek piseinki. Poza sprawami wyborczemi piseinka ta ma charakter brukowo-antysemicki w najlichszym gatunku, uprawiając nienawiść szczucia na żydów. Bądź co bądź komitet bezpartyjny mógł sobie zawarować pewne minimum wymagań co do charakteru takiego piseinka, bo tak — to ta asocjacja listy bezpartyjnej z propagandą ultraantysemicką propagandy za dość brzydko i kompromitująco panów z komitetu. ~~[illegible]~~ Wygląda bardzo żałuję, że nie byłem wczoraj na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zebranie było liczne i bardzo burzliwe. W toku obrad powstała pewna kwestja, która wywołała niezwykle namiętną dyskusję — i bardzo charakterystyczną. Chodziło o połączenie zbiorów T-stwa Muzeum Nauki i Sztuki ze zbiorami T-stwa Przyjaciół Nauk. Towarzystwo Muzeum Nauki i Sztuki założone przez Tyszkiewiczów, jest ich niejako instytucją rodzinną. Otóż Tyszkiewiczowie postawili za warunek przyłączenia zbiorów do T-stwa Przyj. Nauk, żeby dwaj z nich, Władysław i Antoni, zostali wprowadzeni do statutu członków Zarządu T-stwa Pr. Nauk. Jest to niemożliwe do zagwarantowania, bo samaż ustawa T-stwa Pr. N. nie pozwala na to, ponieważ Zarząd jest corocznie wybierany. Powstała kwestja mianowania Tyszkiewiczów członkami-protektorami, ale się wyjaśniło, że im to nie wystarcza. Wówczas Węsłowski [illegible] projektował [illegible] ich członkami honorowymi. Cały szereg osób z [illegible] członków [illegible], chociaż [illegible], ale [illegible] charakter instytucji, [illegible] protestował [illegible]. [illegible] Bohdanowicz protestowali, ponieważ członkami honorowymi mogą być tylko ludzie nauki. O [illegible] nie dyskusja [illegible], [illegible]. Jest inteligiencki duch [illegible]. I tu wystąpił „demokrata" Zawadzki [illegible] z apologją Tyszkiewiczów, [illegible] przez [illegible] klaski [illegible].

24 października / 6 listopada. rok 1913. czwartek.

Dzień wyborów miejskich. Koło południa poszedłem do Sali Miejskiej, gdzie się odbywają wybory, i złożyłem tam swój głos. Nie podałem żadnej z list drukowanych. Sam wpisałem na arkuszu papieru 96 nazwisk kandydatów na radnych, których wybrałem z rozmaitych list konkurujących. W czasie, gdym składał mój głos, na sali nie było nikogo z głosujących; ale w przedsionku było sporo grupek, śród których się uwijali gorliwie agitatorowie poszczególnych list. Naogół ruch wyborczy był bardzo ożywiony; w przedsionku dochodziło do scysji między agitatorami i grupami. Z tysiąca paruset uprawnionych do głosu głosowała mniej więcej połowa, co świadczy o dość żywym zainteresowaniu, bo zazwyczaj dotąd na wyborach miejskich głosowało jeno paruset wyborców. Większe zainteresowanie się wyborami i namiętne współubieganie się kandydatów o mandaty, co się daje spostrzec w niezwykłej ilości konkurujących list, tłumaczy się wielkim ożywieniem spraw miejskich w Wilnie w chwili obecnej. Wilno wzrasta szybko i jest w stadjum intensywnego rozwoju. Gorączka budowlana podnieca spekulację prywatną, miasto się rozrasta, ceny placów idą, skaczą raczej w górę; kto żyw, coś zakupuje, zabudowuje się, spekuluje. Jednocześnie cały szereg spraw pierwszorzędnej wagi jest na porządku dziennym gospodarki miejskiej. Kanalizacja i wodociągi są jeszcze niedokończone, a dalej wyrasta pierwszorzędna sprawa tramwajów elektrycznych, rozszerzenia ulic, i wiele, wiele innych zagadnień, jak sprawa gazowni, sprawa rzeźni i t. d. i t. d. Gospodarka miejska wobec tych olbrzymiej wagi zadań komplikuje się i oczywiście dotyka bardzo żywotnych interesów rozmaitych grup, które pragną zapewnić sobie wpływ na nią. A że zasada municypalizacji przedsiębiorstw miejskich stanowczo przeważa, przeto wpływy radnych na kierunek spraw miejskich stały się o wiele głębsze. To też apetyty wzrosły.

25 października – 7 listopada rok 1913. Piątek.

O rezultatach wyborów wczorajszych jeszcze nie wiem. Dziś odbywa się obliczanie głosów. Nie wątpię, że zwycięży lista „biała" komitetu bezpartyjnego. Lista ta wprowadza do Rady miejskiej szereg elementów nowych, sił świeżych, reprezentowanych przez „postępowców" z Witoldem Abramowiczem na czele. Ale bądź co bądź lista ta jest dziełem poprzednich gospodarzy miasta, jest kompromisem, przyzwoleniem elementów starych na wejście sił nowych. Idzie ona po linii „starodumskiej", utrwala gospodarkę dawnych elementów, wchłaniając dopływ nowych, które się z nią szybko zasymilują. Jak powiedział p. Tadeusz Wróblewski, za pół roku ujrzymy te „nowe siły" na stanowiskach płatnych, pogodzone i stopione ze staremi, wspólnie pchające taczkę spraw miejskich po utartych torach. Prywata góruje tu z pewnością nad pierwiastkiem publicznym, ale ostatecznie inaczej być nie może, dopóki podstawą wyborów jest cenzus majątkowy. Demoralizujący wpływ cenzusu jest tak silny, że żadna z konkurencyjnych list nie zdobyła się na stanowisko zasadnicze, na jakąś platformę ideową. Inaczej i być nie mogło. Co do listy „bezpartyjnej", to nie wątpię, że dlatego właśnie komitet dopuścił wiele kandydatur, nie oponując przeciwko wielu innym „postępowym", które zaaprobował, że wiedział czy się domyślił, iż można je przekupić i pozyskać do kompromisu ofiarowaniem jakiejś płatnej posady, się nie da, i że stopień uspołecznienia tego jest taki, iż drzemać i pozostać fikcyjnym nie zechcę. „Postępowców" przyjęto wielu, ale albo takich, którzy się dopną upragnionego stanowiskiem płatnym (sądzę, że do takich należy przedewszystkiem sam Witold Abramowicz), albo też takich, którzy nie są niebezpieczni, bo są zajęci wyłącznie swą profesją zawodową i conajwyżej mogą czasem wyskoczyć z czymś efektownym, zapalając się na chwilę ogniem jaskrawym, ale bez siły ciągłości i wytrwałej akcji (np. Przyrzecznowski a nawet Zasztowt). Kto nie należy ani do pierwszej ani do drugiej kategorii, to też umie się sam i zpia pominąć. Słusznie.

Wieczorem zaszedłem na chwilkę za jakimś interesem do Antoniego Łuckiewicza i zastałem go debatującego gorąco z Mańkowskim. Dyskusja toczyła się w sprawie zorganizowania redakcji „Kurjera Krajowego". Wiem, że już od pewnego czasu Łuckiewiczowie są niezadowoleni z Mańkowskiego, któremu zarzucają zubożenie pisma, sensację, brak konsekwentnej ideowości w kierunku pisma, wreszcie zdyskredytowanie się moralne przez grę w karty i nieregularność życia. Niewątpliwie, że mają w dużym stopniu rację. Otóż Łuckiewiczowie uważają, że głównym warunkiem uratowania „Kurjera Krajowego" jest usunięcie Mańkowskiego od kierownictwa. To samo uważam ja i wielu innych sympatyków pisma, ale nikt z nas tego wykonać nie może inaczej, jak gwarantując pismu subsydjowanie pieniężne, a na to nikt się nie decyduje. Natomiast Łuckiewiczowie decydują się na to, przynajmniej częściowo, i zabierają się czynnie do przeforsowania reform w „Kurjerze Krajowym"; na redaktora angażują Jerzego Jankowskiego, a Mańkowskiemu proponują zostanie w roli kierownika technicznego pod ręką Jankowskiego. Mańkowski nie chce się zgodzić na tę degradację, która mu się wydaje zbyt dotkliwa teraz, gdy krążą o nim rozmaite zarzuty natury moralnej, i boi się, żeby degradacja ta nie wydała się potwierdzeniem tych zarzutów. Boli go to i zapewne [illegible] fakt [illegible]. Walczy więc z tą decyzją Łuckiewiczów, ale będzie musiał zapewne ustąpić, bo jest [illegible] Łuckiewiczów i ich woli [illegible]. Dla mnie to rozwiązanie kwestji nie wydaje się dobre: Jankowski jest redaktorem!

26 października / 8 listopada. rok 1913. sobota.

Na radnych miejskich wybrani zostali wszyscy kandydaci listy „białej" komitetu bezpartyjnego, jak to było do przewidzenia.

Wiedziałem, że dziś odbędzie się druga z kolei w sezonie tegorocznym „sobota" Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego. Chciałem być na niej, ale potym się rozmyśliłem, bo byłem w marynarce, a słyszałem, że na „soboty" pożądane jest przychodzenie w tużurku. Że zaś nie byłem wieczorem w domu, więc wracać dla przebrania się nie miałem ochoty, bo zresztą zbyt mię ta „sobota" nie nęciła. Ale wracając późnym wieczorem, koło północy, do domu, spotkałem na ulicy Łuckiewiczów, idących właśnie na „sobotę". Wyperswadowali mi oni tużurek i zaciągnęli na „sobotę". „Soboty" te odbywają się w lokalu szkoły rysunkowej Rybakowa. Lokal jest odpowiednio urządzony: pierwszy pokój od przedsionka jest salą koncertową; lampeczki elektryczne są otoczone zamkniętemi kolorowemi abażurami z papieru, tak że zapalając tylko część lampek, w pokoju panuje półzmrok błękitnawy, a znów zapalając wszystkie, śród których jest połowa w jaskrawych żółtych abażurach, ma się pełne światło łagodnego tonu; w rogu pokoju fortepian; siedzenia składają się z ław długich pod ścianą i małych stołków (taburetów) w kształcie równych kubików na niskich nóżkach, stanowiących stylową formę modnej w sztuce współczesnej manjery „kubizmu". Obok sali koncertowej salonik, w którym zresztą nikt nie siedzi. Za salą koncertową w rogu za fortepjanem mały pokoik „za kulisami" dla artystów; na salę naprost przejście przez kotary do niewielkiego pokoiku – „fumoir'u" z wyposażeniem artystycznym na stole i biblioteczką. Za „fumoire'm" pokój kabaret, urządzony sztucznie na wzór kabarecików nocnych paryskich w suterenach piwnicznych w okolicach Hal. Nad wejściem do pokoju-kabaretu szyld z nazwą kabaretu „au chapeau errant". Ściany i niski sufit sklepienia w kabarecie zrobione z tektury szarej i z takiejże tektury filary; w ścianach malutkie sine okienka piwniczne; bufecik (bez alkoholu), kilka prostych stołów drewnianych z desek niemalowanych i takiej proste ławy, na stołach pisma ilustrowane „au hasard"; w jednym kącie małe podwyższenie na estradę dla improwizacji kabaretowych, za filarem przy bufecie mały dziwaczny gramofonik, kupiony za 2 ruble, wygrywający w szalonym tempie ochrypłym głosem karczemne piosenki i arje; na ścianach imitacje kratych afiszów i t. p. Kabarecik urządzony bardzo typowo i zręcznie. Tu też leżą i przechodzą z rąk do rąk zeszyty improwizowanego „wydawnictwa" rękopiśmiennego „sobót" pod nazwą „Cygdominus", przepełnionego charakterystycznemi karykaturami członków zarządu i zwykłych członków Towarzystwa Artystycznego oraz scenek rodzajowych z życia Towarzystwa i z kabaretu oraz „sobót". Publiczności było koło 30-40 osób. Z polaków byli tylko Mańkowski, karykaturzysta Camillus (pseudonim), ja i jeszcze parę osób, których nie znam; z litwinów Żmujdzinowicz, Sirgiedis z żoną, która śpiewała kilkakrotnie w dziale koncertowym, białorusini Łuckiewiczowie, poza tym ogromna większość rosjan i żydów-artystów. Była też cała banda aktorów teatru rosyjskiego. Po kilku dość dowcipnych występach anegdotystów rosyjskich na estradzie kabaretowej oraz produkcji nabytego karta-gramofonu ruch się zrobił w bufecie aktorów rosyjskich. Posypały się anegdoty, śpiew chóralny, tańce ludowe rubaszne w stylu wielkoruskim, wreszcie cała banda z częścią publiczności rozochoconej rosyjsko-żydowskiej przeniosła się do sali koncertowej w pełnym nastroju rozbawionym. Ten rosyjski charakter zabawy razi mię wewnętrznie, choć wiem, że to nie było jakimś umyślnym i tendencyjnym celowym wystąpieniem. Wątpię, czy się tu uda przyciągnąć publiczność polską i polskich aktorów, jak było zamierzone. Zawielka przepaść dzieli nas, polaków, od rosjan. Są to dwa światy przeciwne i zawsze kultura rosyjska, „wielkoruska", w jakimkolwiek bądź charakterze, będzie u nas znamieniem najazdu państwowego i przemocy wrogiej. Bo to już nawet nie tylko język rosyjski, ale pierwiastek zabawy wielkoruskiej z charakterystycznemi piosenkami, tańcami i wykrzyknikami. Ten element, zupełnie zresztą naiwnie, bez premedytacji tendencyjnej, bez woli politycznej, wnoszą do zabawy aktorzy rosyjscy, ludzie cyganerii, wyraziciele prostej rosyjskiej kultury, rosyjskiego nastroju. A to dla nas, spowszednione, jest zawsze ~~[illegible]~~ odrażające, bośmy tu na swoich śmieciach przez tę kulturę sponiewierani.

302.

27 października / 9 listopada rok 1913. Niedziela.

Cały prawie dzień, jak zwykle w niedzielę, spędziłem z Anną. Parę razy wychodziliśmy z nią na miasto, raz do cukierni Sztrala, drugi — dla kupienia kaloszów dla mnie i kupienia dla Anny na jutro biletu do teatru. Anna jest wielką amatorką teatru i teraz chodzi dość często wieczorami, kiedy ja jestem zajęty i do niej przyjść nie mogę. Kupuje bilet na galerję za 35 kop., co nie sprawia wielkiej szczerby w jej budżecie. Ja się z tego cieszę, bo ma biedaczka rozrywkę miłą i kształcącą i jednocześnie oswaja to ją ze słowem polskim i zbliża do polskiej kultury, o co mi chodzi. Na jutro Anna wzięła aż 2 bilety, jeden dla siebie a drugi dla gospodyni mieszkania, w którym najmuje pokoik; jeżeli zaś gospodyni nie zechce wziąć tego biletu, to Anna daruje go swej towarzyszce i jedynej w Wilnie przyjaciółce, biednej dziewczynie — pannie Filomenie, modystce, pracującej w pracowni Łapkowskiej. ~~Anna~~ Anna woli iść do teatru z kimś, niż sama jedna, raz dlatego, że się sama coś trochę krępuje, a powtóre dlatego, że nie wszystko rozumie sama po polsku i chce, aby jej ktoś dodatkowo tłumaczył. Przytem moja Anna ma takie serduszko złote, jak często u osób wrażliwych, że lubi niezmiernie zrobić komuś, kogo kocha, przyjemność, a dla p. Filomeny ma przyjaźń serdeczną i wielkie współczucie, wiedząc, że jej ciężko. W domu z Anną odbyliśmy lekcję arytmetyki i historji. Anna jest teraz bez zajęcia. Z powodu spóźnionego przyjazdu do Wilna trafiła już na koniec ostatniego jesiennego sezonu w kapelusznictwie i nigdzie, w żadnej lepszej pracowni, miejsca już nie znalazła. W mniejszych zaś i gorszych pracowniach nie chce brać posady, bo to psuje markę dla modystki. Musi więc teraz próżnować przez parę czy kilka miesięcy, aż do następnego sezonu.

28 października
10 listopada
rok 1913
powiedziałek.

Depesze wieczorne przyniosły wyrok w ohydnym procesie kijowskim Bejlisa, ciągnącym się już od miesiąca. Werdyktem przysięgłych Bejlis został uniewinniony. Potworna koszmarna legienda mordu rytualnego, uprawianego niegdyś przez żydów dla dodania krwi chrześcijańskiej do macców, legienda posępnego średniowiecza, trwająca w zabobonie ludów chrześcijańskich do dziś, ale już na Zachodzie Europy z praktyki sądowej wyrugowana, w Rosji inscenizuje się jeszcze z całą pompą, jak w tym nieszczęsnym procesie Bejlisa. Werdykt przysięgłych, choć uniewinnia Bejlisa, nie jest jednak kompletnie wyraźny i daje ewentualnie obrońcom mordu rytualnego podstawę do twierdzenia, że fakt rytualnego mordu został stwierdzony, a niedowiedzioną jest tylko wina, t. j. udział Bejlisa w zbrodni. Werdykt bowiem opiewa, że fakt zabójstwa Juszczyńskiego w cegielni Zajcewa (żydowskiej) jest udowodniony, a w opisie faktu tego jest mowa o specjalnych obfitym i całowitym wytoczeniu krwi z ofiary. Chociaż więc nie powiedziano wprost, że morderstwo miało cechę rytualną i zostało popełnione przez żydów, jednak stwierdzenie dowiedzionej całowitej wytoczenia krwi oraz dokonania zabójstwa na gruntach cegielni zdaje się potwierdzać wnioski oskarżenia o szczegółach podejrzanych tej zbrodni. Taki charakter werdyktu pochodzi wyłącznie z odpowiedniego sformułowania pytania, które postawione zostało przysięgłym. Stwierdzając, że fakt zbrodni miał miejsca, stwierdzili tym jednocześnie wszystkie akcesoria jego tak, jak zostały one w pytaniu sformułowane. Ale tak czy inaczej zwycięstwo szermierzy legiendy rytualnej jest bodaj połowiczne, bo cała inscenizacja pompatyczna wielkiego procesu okazała się próżną wobec braku winowajcy, pomimo olbrzymich wysiłków do uwikłania Bejlisa w sidła oskarżenia. Fakt jest ten, że Bejlisa uniewinniono.

Dowiedziałem się od Mańkowskiego, że sprawa organizacji redakcji „Kurjera Krajowego" została już zdecydowana. Redaktorem zostaje Jerzy Jankowski, Mańkowski zaś wycofuje się zupełnie z redakcji i wyjeżdża z Wilna (zapewne dla dokończenia studjów uniwersyteckich w Dorpacie czy Petersburgu). Zmiana ta ma się dokonać w dniach najbliższych, bodaj że od 1 listopada, o ile Jerzy Jankowski wróci z Warszawy, dokąd przed paru dniami wyjechał. Wprawdzie obecność Mańkowskiego na stanowisku redaktora, zwłaszcza w ostatnich czasach, usprawiedliwiała za ujemną i pragnąłem usunięcia jego, bo w jego rękach „Kurjer Krajowy" w ostatnich miesiącach przeszedł z pisma ideowego na jakiś świstek brukowy, pełny pustej sensacji a zupełnie pozbawiony powagi i myśli, jednak nie wiem, czy nie wypadnie się jeszcze bardziej obawiać redaktorstwa Jankowskiego. Jankowski kocha się też w jaskrawości i sensacji, tak że pod tym względem nie ustąpi może Mańkowskiemu, a pod względem ideowym jest on dla mnie zagadką. Bóg jego wie, jakie zajmuje on stanowisko w sprawach krajowych; ma zaś niewątpliwie wybujałą i gorący, obfitą brakiem miary i skłonności do przejaskrawiania, a choć ma dużo talentu pisarskiego, jest niezmiernie nieroztropny i odważny, to zato ma ten kapitalny feler, że jest w Wilnie we wszystkich obozach strasznie skompromitowany. Obym był złym prorokiem! W każdym razie zajmę wobec „Kurjera Krajowego" stanowisko ostrożne i wyczekujące. A zależałoby mi niezmiernie na tym, aby pismo odzyskało wyrazistość ideową i zajęło tak zaniedbaną, a tak niezbędną u nas placówkę demokratyzmu w społeczeństwie polskiem Litwy.

Wojciech Baraniowski, były redaktor „Kurjera Litewskiego", który zresztą dotąd liczy się formalnie współredaktorem równoległym z Hłaską, a który jest obecnie dyrektorem (przedsiębiorcą) teatru polskiego, wszczął dziś przez moje ręce stały personalny bilet wejścia (darmowy) do teatru dla redakcji pisma litewskiego „Lietuvos Žinios", organu demokratów litewskich, który odkąd od końca roku bieżącego stać się dziennikiem (obecnie wychodzi co drugi dzień). Jest to bardzo dobry krok ze strony Baraniowskiego, dobre zapoczątkowanie dla zaznaczenia wobec Litwinów pokojowych celów takiego przejawu kultury polskiej, jak teatr. Kultura polska powinna być róźczką oliwną, powinna zjednać Litwinów z ... ich

[illegible]

304.

29 października
11 listopada
rok 1913.
wtorek.

Zajęła obecnie myśl moją sprawa ściślejszego zespolenia elementów demokratycznych polskich w Wilnie. Z przesunięciem się „postępowców" („przeglądowców") na prawo w kierunku wyraźnego nacjonalizmu platforma demokratyczna w społeczeństwie polskim – że się tak wyrażę – „zawakowała". ~~Jest~~ Są wprawdzie liczne jednostki pośród inteligencji, wyznające konsekwentnie ideały demokratyczne, ale jednostki te, rozproszone, nie stanowią żadnej określonej siły. Są to ludzie, którzy uprzednio czy to należeli wprost, czy grawitowali do grupy „przeglądowej", a którzy dziś nie poszli za ewolucją tej grupy i zostali osamotnieni, samopas. Do takich należy w pierwszym rzędzie Zasztowt, ja, dalej mniej lub więcej taki p. Józef Zubowski, taki Oswołowski, taki Stadniewicz, taki, zdaje się, Kazimierz Ostachiewicz, i znalazłoby się zapewne i sporo innych jeszcze, mniej więcej podobnie myślących. Grupa „przeglądowa" dawniej je tworzyła, dziś wszakże stała się dla nich ~~[illegible]~~ coraz dalszą. Grupa „przeglądowa" przez posunięcie się na prawo zyskała wprawdzie na konsolidacji i niewątpliwie rozszerzyła swe wpływy w szerszych kołach inteligenckich; dziś stanowi ona pewną siłę, jest bądź co bądź grupą miarodajną, z którą się opinja liczy i która jest w stanie oddziaływać na stosunki i brać udział czynny w życiu publicznym. Już wybory obecne do Rady Miejskiej wykazały wagę tej grupy, a w dalszym ciągu wejście przedstawicieli tej grupy do Rady wzmocni i utwierdzi jej wpływy. Grupa ta, obrastając w pierze wpływów, postanowiła utrzymać swój organ „Przegląd Wileński", który już miał być skazany na zagładę. Weszły też do niej elementy neo-nacjonalistyczne, jak dr. Bogu[illegible]szewski, zaczyna się już z nią asymilować lewica endecka, a co jest charakterystyczne i co najdobitniej świadczy o wzroście wpływów tej grupy, to ciążenie do niej elementów karjerowiczowskich, które pod szyldem ideowości szukają dla siebie ~~[illegible]~~ punktu oparcia dla własnych ambicyjek i gieszefcików. Z szczerymi [illegible] Leaderem tej koalicyjnej grupy jest ex-socjalista, zachowujący bądź co bądź pewne demokratyczne aspiracje, Witold Abramowicz, zdolny organizator, człowiek bardzo [illegible] i czynny a uspołeczniony. Grupa ta zasługuje najwłaściwiej na nazwę nacjonal-liberałów, jak ich określił Jerzy Jankowski. Wpływów na masy „przeglądowcy" nie mają prawie żadnych, bo nie znają zresztą i nie rozumieją mas ludowych, a ideologja ich jest zanadto konstruowana, zanadto oderwana od życia, aby mogła zdobyć popularność w tłumie. Brak im też organów oddziaływania na masy. Jest to formacja nawskroś inteligencka. Niewątpliwie, że z łona „przeglądowców" wytworzy się u nas nowy kierunek w układzie społeczno-kulturalnym i „ideowym", zawiązek może nowego stronnictwa. Poza sferę inteligencji ruch ten nie sięga wcale. W szeregach raz inteligenckich związkowcy by zostanie, jak wszelki ruch, nie opierający się na podłożu ludowym, na rzecz zaspokojenia ambicji i apetytów klik, kliczek i koteryj. Wątpię, aby on zdołał stworzyć jakiś wielki ferment ideowy, jakąś wielką akcję twórczą w społeczeństwie naszym. Będzie on zapewne wyrazem kompromisu, [illegible] w łączeniu filistersko-mieszczańskie [illegible] z Sopliców burżuazyjno-nacjonalistyczną [illegible]. Nietylko właściwych mas ludowych, ale nawet naszej półinteligencji miejskiej nie porwie; poza Wilnem zaś będzie, jak jest dziś, zupełnie martwy, bo kraju i jego układu społeczno-kulturalnego nie rozumie i z nim się nie liczy, biorąc stosunki inteligencko-wileńskie za stosunki i potrzeby wszechkrajowe. Organ tej grupy — „Przegląd Wileński" — do ludu nie dociera wcale ~~[illegible]~~ i jest dlań zupełnie niedostępny ze względu na swój poziom zarówno w stosunku do umysłowości ludowej, jak i ze względu na treści, które prawie żadnego niema związku z potrzebami i życiem ludu. Lud wileński polski jest prawie wyłącznie w ręku kleru, który jest jego organizatorem społecznym, oraz poniekąd w ręku „Narodowej Demokracji". Te zaś elementy czy koła ludowe, które są poza wpływami klerykalnemi i endeckiemi, są bardzo od grupy „przeglądowej" i jej ideologji daleko. Aktualna i żywa sprawa organizacji klas chłopskich, która w ostatnich czasach poruszyła robotnicze w Wilnie i ożywiła życie społeczne ludowe w bardzo zresztą nielicznej i słabej w naszym mieście klasie robotniczej, była zupełnie przez „przeglądowców" ignorowana, co zresztą jest zrozumiałe, bo tu wchodził w grę czynnik klasowy, ~~[illegible]~~ zupełnie kierunkowi „przeglądowców" obcy. Sprawa ta skupiła się na stanowisku esdeckiem, dając trochę krwi i życia zmartwiałym w letargu kilku czy kilkunastu socjalistom-inteligentom, stanowiącym szczątkową pozostałość partji S.-D. Zwalczać poczęła esdecja w tej sprawie klerykali ~~[illegible]~~ organ swój „Gazetę Codzienną", chcąc wytworzyć kontr[illegible] ~~[illegible]~~ w tym ruchu, podczas gdy „przeglądowcy", jak wszystkie inne kierunki inteligencko-burżuazyjne, zachowały się biernie, zostając zupełnie na uboczu. Esdecy ~~[illegible]~~ skorzystali w tej sprawie, poza bezpośrednim [illegible] śród robotników, z poparcia i gościnności szpalt „Kurjera Krajowego", ale nigdy „Przeglądu Wil.". Wreszcie klub [illegible] niezależnych [illegible] „Kurjer Krajowy" [illegible] demokratyczna, [illegible], o który „przeglądowcy" [illegible] i [illegible] pragnęliby polityki, [illegible] się im z rąk i to [illegible] i który [illegible] się. Temat, który tu poruszyłem, jest bardzo ciekawy i żywy, o którym [illegible] wiadomo. Tu muszę przerwać dla braku miejsca, lecz postaram się dokończyć te wrażenia za parę dni, gdy będę w Bohdaniszkach na urlopie, dokąd jutro wyjeżdżam.

30 października
12 listopada.
rok 1913.
Środa.

Place antokolskie nie dają mi spokoju. Myślę o nich często i mam ochotę kupić jakiś jeden dla nas z Anną. Chwilami projekt ten wydaje mi się chybiony, bo nie dość kupić plac, trzeba go jeszcze wyeksploatować i potrafić zarobić na nim. Gdyby chodziło tylko o spekulację na podniesieniu się ceny na ziemię, to byłoby jeszcze łatwiej. Ale tu chodzi o połączenie spekulacyjnej kombinacji z kombinacją zagospodarowania placu przez Annę. Oszczędności nasze są bardzo niewielkie, trochę więcej ponad 1000 rubli. Jeżeli to przy pewnym zasiłku kredytu wystarczy na kupienie, to już na zabudowanie porządne i zagospodarowanie pieniędzy nie będzie. Mnie też samemu trudno bezpośrednio zająć się placem na Antokolu, mieszkając w śródmieściu i będąc zajęty czym innym, poza tym brak mi żyłki praktycznej do umiejętnego wyzyskania gospodarczego jakiegoś przedsięwzięcia. Cały więc mój rachunek polega na wzroście ceny ziemi, która niewątpliwie podskoczy po przeprowadzeniu tramwaju elektrycznego, i na tym, że Anna, mieszkając na tym placyku, własną pracą i dozorem z pobieraną pensją potrafi go urządzić, zagospodarować i eksploatować w postaci ogrodu, do czego ma wielką ochotę. Naturalnie, że wobec braku pieniędzy i pewnej umiejętności, nie mamy warunków do doskonałego wykorzystania takiego placyku, który by się opłacił i stał zyskownym głównie w drodze porządnego dochodowego zabudowania i również dochodowej kultury ogrodowej. Ale Anna zyskałaby na tym zajęcie i może pewien dochód, co by jej ułatwiło w [illegible] jej życie, a miałaby pewną [illegible], a w każdym razie straty by nie było wobec stałego wzrostu ceny.

Projekty te bardzo się nam z Anną uśmiechają. Uprosiłem wczoraj Stadziewicza, mieszkańca Antokolu, posiadającego tamże placyk kupiony i domek, aby zechciał się tam wybrać ze mną i pokazać mi place i działki, które są w tamtych stronach do nabycia. Stadziewicz pokazał mi cały szereg takich parcel do ewentualnego nabycia. Zbadałem znakomicie miejscowość i warunki każdego sprzedającego się placu. Dziś przed obiadem wybrałem się tam z Anną i [illegible], wczorajszą naszą wycieczkę ze Stadziewiczem obszedłem z nią i obejrzałem wszystkie sprzedające się parcele. Jest do sprzedania kilka placów nagich, kilka zaś zabudowanych. Wszystkie są położone na końcu Antokolu wbok od ulicy centralnej Antokolskiej w kierunku prawie wprost od rzeki, w stronę wzgórz, porośniętych lasami sosnowymi. Wszystkich placyków opisywać nie będę, jeno wskażę na te dwa, które się nam szczególnie podobały i na które ewentualnie reflektować będziemy. Jeden należy do posiadłości długiej i wąskiej, ciągnącej się od ulicy Antokolskiej między placem ćwiczeń kozackich a drugim obszernym niezabudowanym placem przed karczmą Pośpieszki; posiadłość ta ciągnie się długim pasem aż het o parę wiorst w górę sosnową (nazwiska właściciela nie pamiętam); otóż jest tam działka 400-sążniowa do sprzedania, kształtu wydłużonego, na łagodnej pochyłości wzgórza, zwróconej ku stronie zachodniej czy południowo-zachodniej, w odległości mniej niż 1/2 wiorsty od centralnej ulicy Antokolskiej i od tramwaju, w miejscowości już dość zabudowanej; ceni się po 5 rb. (za sążeń), sprzedaje się za gotówkę; widok jest ładny i rozległy, pozycja wesoła, ziemia nadaje się na ogród. Druga parcela jest znacznie dalej i od ulicy Antokolskiej i od miasta, ale ma swoje lepsze strony; mianowicie ma 1100 sążni i jest zabudowana; stoi na niej domeczek o 2 pokojach i kuchnią w środku i o 2 salkach z kuchenką na górze, otoczony z 3 stron werandami; budyneczek średniej wartości, ale bądź co bądź jest zdatny do mieszkania i do wynajmowania na lato na letnisko; ziemia [illegible], ale z jednej strony ma stromy spadek z góry na północ; jest tam mały [illegible] sosnowy, a oprócz domu jest jeszcze składzik obszerny z desek, w dolnym zaś sklep i lodownia. Placyk ten należy do posiadłości Trajkowskiej, rozprzedanej tego lata na parcele całej gromadce inteligientów z Wilna, o czym już raz w dzienniku wspominałem. Naokoło więc zaraz wszystko się zabuduje; ale to właśnie sąsiedztwo inteligientów-dorobkiewiczów mię zraża nieco, bo się lękam ich plotkarstwa i obmowy ze względu na ewentualne zamieszkanie tam Anny. Warunki sprzedaży tego placu są bardzo dogodne: trzeba przy zrobieniu kupczej wpłacić 1/4 część gotówką, reszta rozkłada się na wypłaty na lat 20; cena ogólna wynosi 9000 rb. Ma się przy tym od razu domek, to znaczy i mieszkanie i [illegible] dochód przez lato. Oba te placyki mocno nas z Anną [illegible]. Pierwszeństwo dajemy pierwszemu, niezabudowanemu placykowi (400 sążni), który jest stosunkowo tani i [illegible]. Boję się, że tam już z pewnością [illegible]; kupno jego wyniesie nie wiele więcej nad 2000 rb. i [illegible], co już mogę się zdobyć. Ale marzymy z Anną o kupieniu ewentualnie obu tych placów; to znaczy i tego zabudowanego. Może da się to zrobić w drodze zaciągnięcia pożyczki od Mamy.

Jak wiosną z [illegible] i [illegible] do kupienia placyku pierwszego [illegible] [illegible] [redacted] [illegible]

31 października / 13 listopada rok 1913, czwartek.

Od 4-tej w nocy do g. 10 rano przesiedzieliśmy z Jaśkiem w Kalkunach. Jaśka spotkała w drodze przykra przygoda. W Nowej Wilejce wykradziono mu kieskę z biletem kolejowym, kwitkiem bagażowym i przeszło rublem pieniędzy. Jasiek poraz pierwszy jedzie koleją (jechał raz w roku zeszłym, ale to pociągiem towarowym, wioząc konie do Wiażowca), to też padł ofiarą kradzieży kieszonkowej; sama mina Jaśka widocznie zachęciła jakiegoś złodziejaszka do skradzenia mu kieski. Był bardzo zmartwiony, ale myślał, że to się nie wyda i że przejedzie bez biletu; to też nic mi nie powiedział zrazu o stracie, ale naturalnie konduktor w drodze spytał go o bilet i rzecz się wykryła; musiałem mu dokupić nowy bilet. W Kalkunach wyspałem się nieźle do godz. 9 rano, a o godz. 10 pojechaliśmy z Jaśkiem dalej. W wagonie spotkałem młodego p. Koszakowskiego (zdaje się, że takie jest jego nazwisko), brata p. Janowej Vileišisowej, właściciela ~~[illegible]~~ Pawiszek, z którym przegawędziliśmy aż do Abel. Jest on zaręczony z jedną z panien Kościałkowskich z Podziałówki, córką nieboszczyka p. Adolfa Kościałkowskiego. O południu byłem w Abelach. Tu wypadło zamarudzić jeszcze z godzinkę na stacji dla otrzymania z bagażu rzeczy, które wiózł Jasiek. Ponieważ kwitek bagażowy był stracony, więc była trudność z odebraniem rzeczy, które naczelnik mi wreszcie wydał, wziąwszy ode mnie kartkę z zobowiązaniem odszkodowania kolei na wypadek, gdyby posiadacz kwitku pretendował do tych rzeczy. Wreszcie ruszyliśmy końmi w paskudnej wysokiej miękkoresorowej żółtej bryczce, której tak nie cierpię, do Bohdaniszek. Czas był brzydki, chłodny i wilgotny, wietrzny. Droga zła, błotnista. W Bohdaniszkach zastałem tylko oboje Rodziców. Jasiek był uciszony widokiem Bohdaniszek, w których już od roku nie był. Poleciał do wioski do swojej matki, potem obleciał cały dwór, dzielił się wrażeniami z [illegible] Rusią i z całą oficyną, słowem — wypoczywał i cieszył się na łonie rodzinnego środowiska. Krótko potrwają wakacje biednego chłopca, bo już w niedzielę wyjedzie w drogę, wioząc znowu ~~wago~~ w wagonie towarowym, jak w roku zeszłym, konie.

Myszy mnóstwo w Bohdaniszkach, jak nie pamiętam nigdy. O zmroku i wieczorami urządzają we wszystkich pokojach pod podłogą formalne hece: biegają, uganiają się, hałasują. Czy nie jest to zapowiedź srogiej zimy? Powiadają, że przed wczesną i srogą zimą myszy gromadnie uciekają z pól i chronią się do budynków zamieszkałych.

1 (14) listopada, rok 1913, piątek.

Mgła przez cały dzień była tak gęsta, że z domu mieszkalnego ledwie widać było kontury oficyny. Koło zmroku mgła stała się jeszcze gęstsza. Przez mgłę przedmioty i cały skurczony widziany dokoła krajobraz — zabarwiały się na ton blady, sinawo-wieczorny, smutny jakiś, cichy i pokorny. Przez okno wielkiego pokoju na taras ogrodowy mgła zamykała widnokrąg tuż za poręczą, a na samych krańcach tarasu, który zdawał się jakąś wyspą, tonącą w nieprzejrzanej próżni czy też w jakimś chaotycznym nierozpoznawalnym żywiole. Wieczorem mgła się rozpierzchła, natomiast padać zaczął deszcz.

Na wieczór przyjechali z Kowaliszek Zysiowie Komorowscy, uprzedzeni przez Maryńkę (?) o moim przyjeździe i zaproszeni. Przywieźli też swoją małą córeczkę Felunię (Felusię) z bonną Polką. Spędzili cały wieczór i zanocowali.

Korzystając z wolnego czasu i braku tematów aktualnych z pobytu mego w Bohdaniszkach, wrócę do spraw wileńskich, o których pisałem przed 3 dniami. Pisałem o ewolucji, jakiej ulegli „przeglądowcy". Na skutek tej ewolucji odpadły od „przeglądowców" elementy szczerze demokratyczne. Ale elementy te pozostały poza linią, bez spójni organizacyjnej. To sprawia, że „przeglądowcy" są jedyną zorganizowaną grupą, ogarniającą wszystko, co się mieści na lewo od endeków. Luźne jednostki na lewicy, nie mieszczące się w szrankach „przeglądowych", nie idą w rachubę; „przeglądowcy", zdobywając cały teren na prawo aż do umiarkowanej endecji, wciągnąwszy nawet z lewicy frondę endecką, uzurpują jednocześnie monopol na postęp i demokrację, głosząc się jedyną demokratyczną organizacją. Nienawidzą też i nie uznają żadnej grupy i żadnej akcji demokratycznej, która może powstać nie z ich łona, bo nie chcą utracić ani piędzi terenu na lewo. Dlatego też tak nienawidzą „Kurjera Krajowego", który jest zaprzeczeniem ich monopolu i cieszą się z każdego niepowodzenia tego pisma, pracując usilnie nad zdyskredytowaniem go i wyjałowieniem ostatecznym. Starają się też przyciągnąć do siebie i skłonić wszystkie te elementy demokratyczne, które są poza nimi, i solą w oku jest dla nich nieobecność w ich szeregu Zasztowta i mnie. Na mnie już niebardzo liczą i, nie spodziewając się mnie pozyskać, starają się mnie zdyskredytować, ogłaszając mnie za „doktrynera" lub za „litwina", ponieważ nie należę do ich grona. Zasztowta zaś usiłują jeszcze zwerbować i wciągnąć go do siebie wobec. Dopóki elementy demokratyczne, nie pochłonięte przez „przeglądowców", będą tak rozproszone, jak są dziś, dopóty istotnie będą one zupełnie jałowe i do żadnej akcji niezdolne; „przeglądowcy" będą nadal panami położenia i będą mieli pozory rzeczywistej jedynej demokratycznej grupy, choć wcale demokratami nie są. We wszelkiej akcji, czy to w wyborach miejskich, czy wyborach do Dumy, czy w pracy nad klubem [illegible] i t. d., będą przywłaszczali rolę jedynych prawych przedstawicieli demokracji i będą ją faktycznie [illegible]. Dlatego też niezbędną jest rzeczą nam się połączyć, zrzeszyć, znaleźć jakąś formę organizacji, aby rozwinąć akcję własną, równoległą do „przeglądowej", a istotnie idącą po linii demokratycznej. Bez tego pozostaniemy martwi. Dziś nawet [illegible]. Z Zasztowtem nic [illegible] organizacyjnie nie tworzy, to też aby coś zdziałać, musiałbym się specjalnie z nim spotkać i coś omówić. Byliśmy z nim więcej zbliżeni, wtedy gdy obaj należeli do grupy „przeglądowej", tworząc w niej opozycję, ale [illegible] dla tych samych powodów wystąpienie z grupy [illegible] „Kurjera Krajowego", który miał się stać i nawet przez [illegible] placówką i tą żywą akcją, która nas łączyła, przez zboczenie [illegible] i przez brak konsekwentnej [illegible], stracił dla nas na dziś tę rolę. To więc sobie teraz stawiam za zadanie, aby pokonać tego połączenia [illegible] formą organizacji stać się dla nas może środowisko naszego związku [illegible] w którym należy skupić [illegible] rozproszone jednostki [illegible] inteligencji polskiej. Obejmując ze sobą ciągłą w łonie tego związku [illegible] stały kontakt i [illegible] placówki [illegible] i pokierować akcję we własne ręce.

2 (15) listopada
rok 1913.
sobota

Komorowscy Żysiowie, korzystając oczywiście ze świąt (wczoraj Wszystkich Świętych, dziś Dzień Zaduszny i jutro niedziela), przyjechali wczoraj z tym, aby zabawić w Bohdaniszkach kilka dni, przez cały czas mego pobytu na wsi, co jest bardzo pięknie z ich strony i świadczy o ich poczciwej intencji spędzenia tych dni nie tylko z Rodzicami, ale też ze mną. Dzień jesienny na wsi nie daje wielkiego urozmaicenia. W kółku wszakże rodzinnym upływa on przyjemnie, bo nie ma skrępowania i sztucznego bawienia siebie. Każdy jest sam sobą i wszyscy razem się uzupełniają i spędzają czas swobodnie. Porą rozmową chodziliśmy z Żysiem na spacer po polu, potym Żyś dużo deklamował w domu, do czego ma dar wybitny, wreszcie przeglądaliśmy z nim cały szereg książek z mojej biblioteki. Biblioteka moja w Bohdaniszkach stanowi już pokaźny księgozbiór, który liczy przeszło 1000 dzieł. Wszystkie książki są zanumerowane i wpisane do katalogu, chociaż bez porządku systematycznego, bo co lat kilka wpisuję do katalogu pod kolejnymi numerami nowe książki, które się przez ten czas uzbierały. Podstawą tej biblioteki jest księgozbiór Tyszkiewiczów z Pleszczenic, darowany mi w r. 1907 przez ciotkę Kocię Tyszkiewiczową po śmierci jej jedynego syna, Józia Tyszkiewicza. Są to po większej części książki, zgromadzone przez męża cioci Koci, wuja Witolda Tyszkiewicza. Księgozbiór ten wynosi przeszło 600 dzieł. Ponadto do biblioteki mej weszło kilkadziesiąt wartościowych książek Mamy oraz grupa starych książek babki mojej, matki Ojca, Witalji z Kobylińskich Römerowej, secundo voto Żukowskiej. Reszta – to książki mego własnego zbioru, których jest kilkaset. Księgozbiór ten jest dość chaotyczny co do treści, po dyletancku zbierany, ale ma sporo dzieł pięknych i wartościowych. Oprócz mojej osobistej biblioteki jest w Bohdaniszkach wielka biblioteka Papy, wynosząca parę tysięcy dzieł; kiedyś obie te biblioteki połączą się zapewne w jedną całość, która stanowić już będzie poważną księgarnię.

Wdzięczny jestem Żysiowi i Elizce, że unikali podnoszenia przy mnie rozmowy na temat sprawy Bejlisa i mordu rytualnego. Są oni, jak całe nasze ziemiaństwo na wsi, nie wyłączając Papy i Mamy, przekonani święcie, że mord rytualny istnieje i że Bejlis jest winien. Pod tym względem nasze środowisko ziemiańskie piastuje gorliwie najdziwaczniejsze przesądy średniowiecza i grzeszy takim obskurantyzmem, na jaki się nie zdobywa nawet najwstecznieJsza prasa polska, jaka istnieje. Nasza szlachta ziemiańska – to straszna konsekwentna w reakcyjności kasta. Ale Żysiowie mieli dość taktu, aby sprawy tej nie wywlekać na tory dyskusji, rozumiejąc, że to będzie dotykać swoich przekonań i razić mię w sposób przykry.

Oryginalne dziecko jest mała córeczka Żysiów – 5-letnia Mizusia. Jest bardzo zarozumiała, ma dużo temperamentu, woli, spostrzegawczości i sprytu. Jest kujna fizycznie i duchowo. Będzie z pewnością występna, stanowcza, bardzo i indywidualna. Ale ma w sobie niezmiernie dużo egoizmu i pychy. Elizka tak ją wychowuje, aby w niej nie tylko tych cech nie wyplenić i nie osłabić, lecz chyba je właśnie rozwinąć. Dziecko jest utrzymywane w pojęciu swojej wyższości nad innymi ludźmi, jako dziecko państwie, jako centralny człowiek, której inni muszą służyć, jako wyższej. To w dzieciaku wytwarza przedwcześnie poczucie wyższości, poczucie należnych jej prerogatyw i hołdu. Malutka dwuletnia dziecina przesiąka się egoizmem, wyniosłością, brakiem serdecznego współczucia i brakiem zmysłu solidarności ludzkiej, zmysłu braterstwa. Elizka, która jest próżna i której imponuje wielkość rodowa i hrabiowska osobliwość, chce z dziecka swego zrobić przedewszystkiem nie człowieka, lecz hrabiątko. Biedna dziecina, której duszę zdrową tak zawczasu paczą. A przecie hrabianka musi być „chrześcijanką”. Chrześcijańska miłość bliźniego i idea braterstwa ludzi tolerują się tylko w sferze mentalnych słówek pacierza, którym praktyka życiowa od pierwszych dni rozwoju dziecka kłam zadaje. Zostaje to samo i tą postawą podwójną mentalności, w jakiej się rozdwaja całe życie arystokracji. Dziwi mię, że Elizka, kobieta rozumna, nie widzi i nie czuje, jaką krzywdę dziecku wyrządza i jak psuje tę dobrą naturę córeczki.

3 (16) listopada. rok 1913. niedziela.

Byłem dziś niezdrów; miałem wielką niedyspozycję żołądkową. ~~W czasie~~ Podczas moich wizyt w Bohdaniszkach Mama mię tak zawsze karmi smacznościami, że tym razem rozchorowałem się kapitalnie; miałem w nocy wymioty i żołądek fatalnie zepsuty. To też dziś nic prawie nie jadłem, ~~oprócz~~ prócz jej talerza czystej zupy na obiad, a gdy wieczorem spróbowałem w Abelach trochę mięsa, znów wymioty dostałem. Naturalnie, że to minie przy zachowaniu diety, ale samo przez się cierpienie to jest nietylko przykre ale i brzydkie, jako pochodzące z wulgarnego objedzenia się. Mama też, korzystając z mego pobytu i smaczności, któremi mię obficie traktuje, po kilku dniach mego pobytu zaczyna chorować, bo sama przytem je bardzo dużo. To też dziś i wyglądała Mama gorzej i skarżyła się na rozmaite dolegliwości, co zapewne głównie z żołądka pochodziło. Wszakże zdrowie Mamy kochanej nie jest naogół dobre. Wyszła Mama obronną ręką z ciężkiej choroby przed dwoma laty, ale do zupełnego zdrowia daleko.

Dziś opuściłem Bohdaniszki, wracając do Wilna i wywożąc konia do Wiązowca. Naczelnik ~~od~~ stacji w Abelach polecił przyprowadzić konia na dziś na godz. 5 popołudniu. Spóźniliśmy się nieco, bo dopiero na godz. 6 przyjechaliśmy z Jaśkiem Podolskim do Abel. Przyjechaliśmy moim konikiem i tarantasem kulendzkim, który też się z koniem ekspedjuje do Wiązowca. Za nami Kazimierz ze starym Jurgim wieźli w parokonnych wozach koniczynę i owies dla konia oraz rzeczy, które się razem wysyłają. Konik długo nie chciał wejść do wagonu; trzeba mu było wreszcie oczy zakryć workiem i z tyłu sznurami zaciągać, aby go do wagonu wprowadzić. Wreszcie wagon został naładowany, koń ustawiony; Jasiek Podolski towarzyszy koniowi w podróży. Wagon z koniem przyczepiony został do pociągu towarowo-osobowego, idącego po północy do Kalkun. Tym samym pociągiem i ja przyjechałem. W Kalkunach jeszcze raz zajrzałem do konia, dałem zlecenia Jaśkowi i pożegnałem go, śpiesząc dalej osobno do Wilna. Jasiek dopiero najwcześniej we wtorek, a może i we środę dojedzie do Radoszkowic, gdzie do czwartku rano kazałem mu na mnie czekać. We czwartek rano ja sam do Radoszkowic przyjadę i odprowadzę konia do Wiązowca.

Rano przyjechałem do Wilna. 4/17 listopada rok 1913. poniedziałek

Dzień spędziłem na załatwianiu interesów; wieczorem byłem u Anny.

Chciałem być u p. Lucjana Kobylińskiego, którego miałem prosić o pomówienie w mojej sprawie z prezesem Sądu, Carinkiem, i wpłynięcie na jego opinję o mnie, aby mi nie robił przeszkód w wydaniu świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych oraz w przyjęciu mię na adwokata przysięgłego. Byłem u Kobylińskiego, ale go nie zastałem. Pójdę innym razem. Lucjan Kobyliński jest krewnym moim przez Tapesa, który się z Kobylińskiej rodził. Jest to człowiek stary, kawaler, bardzo bogaty. Jest on bardzo dobrze widziany w sferach rosyjskich, bo choć jest Polakiem, jednak jest figurą napoły rządową. Utrzymuje stosunki towarzyskie z kołami wyższych urzędników krajowych, ma wpływy i stosunki rozległe w ~~kołach~~ burgh[illegible], bierze czynny udział w wileńskich instytucjach rosyjskich, przeważnie filantropijnych, takich, jak „Dobrochotnaja kopiejka“, różne „prijuty“ i t. p. Jest ultralojalny i mniema, że „istinno-russki“. To też jego wstawiennictwo, jego poparcie może mi dużo zrobić w opinji takiego reakcjonisty i państwowca rosyjskiego, jakim jest Carinek. Jeżeli już Kobyliński mię zarekomenduje, jako swego krewniaka i człowieka „prawomyślnego“ ~~to chyba~~ i jeszcze wskaże na to, że byłem „prawowiernym“, to chyba będzie marka dla takiego Carinka najlepszą. O to już Kobyliński o faworyzowanie elementów jaskrawych i rewolucyjnych nie może być posądzony. Kwestja tylko, czy Kobyliński zna osobiście Carinka i czy zechce to dla mnie zrobić. Mam jednak nadzieję, że zechce, bo jest wielce w stosunkach rodzinnych ugrzeczniony. | 311.

5 (18) listopada
rok 1913.
Wtorek.

Wieczorem byłem na 2 zebraniach. Wpierw na zebraniu Zarządu Towarzystwa „Žiburėlis". Obecni byli członkowie Zarządu: p. Felicja Bortkiewiczowa, p. Bułatowa i ja (zebranie odbywało się w mieszkaniu Bułata). Omówiliśmy sprawy bieżące. Głównym tematem była sprawa pieniędzy, których w tej chwili w kasie towarzystwa brak, a które są bardzo potrzebne, bo na początku miesiąca trzeba wysyłać raty miesięczne wszystkim stypendystom, których jest koło 8 (po rb. 20 miesięcznie; dokładnej ilości stypendystów nie pamiętam). Zgodziłem się pożyczyć towarzystwu rb. 100 do grudnia; postanowiliśmy na 18 b. m. zwołać zebranie zarządu i komisji finansowej dla obmyślenia jakiegoś wieczorka czy loterii na korzyść towarzystwa, poza tym zgłosić się po zapomogi do instytucji i klubów. Omawiana też była sprawa uzyskiwania zaległych długów od byłych stypendystów towarzystwa.

Stamtąd poszedłem na zebranie T-stwa Popierania Kooperacji u Szklennika. Zebranko, zwykłe miesięczne, było względnie liczne i ożywione. Obecni byli: Szklennik, Witold Abramowicz, Dowiatowski, Jan Piłsudski, Prylucki, Kadziewicz, Stanisław Zwangorski i ja. Ożywienie było spowodowane nie tylko przez obecność liczniejszego niż co zazwyczaj grona osób, ale też na skutek bardzo ciekawych, aktualnych i poważnych tematów obrad. Przede wszystkim ze spraw samego Towarzystwa omawiane były 2 pierwszorzędnej wagi zasadnicze sprawy — to sprawa Zjazdu delegatów kooperatyw spożywczych gub. Wileńskiej i sprawa akcji Moskiewskiego Banku Spółdzielczego. Co do Zjazdu, to potwierdzono pojedyncze postanowienie starania się o pozwolenie Ministra na zwołanie takowego. Zjazd ten, choć dla względów formalnych ograniczony będzie sztucznym terenem gub. Wileńskiej, przez co urzędowo wyłączona z niego będzie przodująca w kooperacji gub. Kowieńska, ma tak olbrzymie znaczenie dla rozwoju ruchu spółdzielczego w kraju całym, stanowiąc podwaliny przyszłego Związku kooperatyw, że trzeba wszystkich starań dołożyć, aby go do skutku doprowadzić. To też ze względu na wiosenną odmowę gubernatora, która, choć była motywowana powodami prawnemi, mianowicie tym, że udzielenie pozwolenia wykracza poza kompetencje gubernatora, mieściła w sobie charakterystyczny ustęp o tym, że gubernator nie dostrzega szczególnej potrzeby takiego Zjazdu, co niewątpliwie stanowi wskazówkę nieprzychylnej opinii władz miejscowych i co zaważyć może i na decyzji ministra, który niewątpliwie zasięgnie zdania gubernatora, jednak, powiadam, ze względu na te horoskopy ujemne, postanowiliśmy [illegible] nacisk. Postaramy się, zanim poślemy prośbę do Ministra, zjednać gubernatora przez osoby wpływowe i przez stosunki, aby go do sprawy Zjazdu usposobić przychylnie. Zresztą gubernator, jak też inni przedstawiciele władzy, w ostatnich czasach mogli nieco przychylniej się usposobić do naszego towarzystwa, w szczególności na wrześniowej wystawie krajowej, w której towarzystwo nasze też w charakterze eksponenta udział brało, mając osobny dział (czy pawilon) otwarty. Gubernator na wystawie oglądał szczegółowo nasz dział kooperacji i wykazywał [illegible] wielkie nim zainteresowanie. Uradziliśmy też, że do [illegible] załączenie do prośby do ministra opracowany już i gotowy regulamin Zjazdu jest szczegółowy porządek dzienny z wykazaniem referatów i referentów, co się [illegible]. To też wykonanie tego zleciliśmy znów naszej dawnej komisji zjazdowej, do której i ja należę, a która postanowiła się teraz spotkać [illegible]. (Zresztą z powodu wyjazdu Szklennika komisja ta przed grudniem funkcjonować nie zacznie).

Druga sprawa, która była gorąco omawiana i która przeniosła na tory zasadnicze — to sprawa akcji Moskiewskiego Banku Spółdzielczego. Przed rokiem czy półtora, gdy się Bank ten otworzył, towarzystwo nasze nabyło dwie akcje jego. Bank ten jest organem Moskiewskiego Związku kooperatyw, którego tendencje centralistyczne są aż nadto znane. Gdy Bank ten powstawał i gdy zwrócono się do nas z Moskwy z propozycją rozpowszechniania akcji jego śród naszych kooperatyw krajowych, dyskutowaliśmy szeroko nad tym, czy warto nam go poprzeć i ewentualnie nabyć akcje jego, czy nie. Moskiewski Związek, dzięki swej polityce centralistycznej, jest konkurentem czy antagonistą naszym, ponieważ usiłuje [illegible], jest konkurencji wszelkiej pracowej, mianowicie do samodzielnej organizacji krajowej. Na naszym gruncie i wobec naszych warunków politycznych, gdy władza także nam na

[illegible]

312

2 (19) listopada, rok 1913. Środa.

Wczorajsze zebranie w Towarzystwie Popierania Kooperacji było bardzo ciekawe. Prócz tematów i spraw, dotyczących bezpośrednio działalności Towarzystwa, o których wspominałem pod datą wczorajszą, była na porządku dziennym jeszcze jedna, całkiem niezwykła. Nie pisałem o niej wczoraj, bo miejsca nie było, a zasługuje ona na szczególną uwagę. Jest to sprawa nie dotycząca właściwie kooperacji ani bezpośrednio naszego Towarzystwa, sprawa zupełnie samodzielna, posiadająca wielką doniosłość społeczną, jeżeli tylko nie jest dziwactwem czy fantazją. Oto jest jakiś pan, którego nie znamy i którego nawet nazwiska nie wiemy, jakiś dziwny biały kruk, który pragnie ofiarować na cele społeczne 2 majątki, położone jeden w powiecie lepelskim, drugi — w pow. Dziśnieńskim, dające każdy po 1000 rb. dochodu. Pan ten wszakże nie jest w stanie sam określić konkretnego celu, nie umie znaleźć dla swej ofiary stosownego użytku, nie wie zresztą, co i jak dla urzeczywistnienia swego zamiaru wykonać. Pan ten za pośrednictwem swego p. Cezara Medunieckiego, średniej miary ziemianina i znanego działacza z pod Dzisny, trochę dziwaka i oryginała, ale człowieka bardzo zacnego i uspołecznionego a już starszego, zwrócił się do Szklennika z zapytaniem, co Szklennik myśli o ewentualnym założeniu w jednym z tych majątków czy w obu — szkoły rolniczej. Szklennik projekt ten zganił, wskazując, że dla założenia szkoły rolniczej potrzebne są środki większe, niż 1000 czy 2000 rb. dochodu rocznego, nie mówiąc już o wiele innych trudnościach dla należytego i pożytecznego funkcjonowania takiej szkoły. Wówczas pan ten za pośrednictwem tegoż Cezarego Medunieckiego zwrócił się do Towarzystwa Popierania Kooperacji, jako instytucji wybitnie społecznej, pracującej na terenie sprawy ekonomicznej demokratycznej i grupującej siły inteligienckie Wilna, z prośbą o danie mu rady i wskazówki, jak, staraniem Towarzystwa, należy konkretnie pożytek ten i ofiarę wykonać, w jakiej formie i na jaki użytek. O tym więc debatowaliśmy wczoraj. Sprawa jest poważna, myśl arcypiękna, inicjatywa obywatelska pierwszorzędnej wagi. Niestety — trudno na poczekaniu coś wykombinować, aby było celowe i jednocześnie praktyczne, zwłaszcza że nie wiemy, dziś jakie są majątki ani jakie warunki prawne zamierzonej ofiary. Niepodobna zaś się ograniczyć do jakiejś szablonowej formalistycznej pomysłu takiego czy innego ogólnikowego projektu. Wyłoniły się w toku szczerej pogawędki rozmaite projekty i pomysły, jak osadzenia w jednym z majątków specjalisty montera dla naprawiania maszyn i narzędzi rolniczych (Szklennik), rozszerzenia tegoż projektu w postaci stworzenia warsztatów ślusarsko-kowalskich (Piłsudski), założenia „osiedli sierocych” skombinowanych z parcelami wzorowemi (Iwanowski), założenia szkoły gospodarstwa domowego z rozmaitemi działami zastosowawczemi specjalnemi dla dziewcząt wiejskich z rodzin gospodarskich (Szklennik, ja) lub dla dziewcząt czy chłopców (Abramowicz), założenia fermy wzorowej (Studniewicz), fermy wzorowej na parcelach, założenia [illegible] (Szklennik). Rozumieliśmy wszakże, że wskazywać tylko jakiegoś ogólnika — to prawie to samo, co nic, bo to i sam ten pan może rozumieć, że wszystko to jest dobre, ale chodzi mu o to, co dokładnie wykonać. Uznaliśmy, że sprawa jest tak ważna i wymagająca takiej rozwagi, że należy bezwzględnie skomunikować się bezpośrednio i osobiście z tym panem i wspólnie z nim nie tylko projekt konkretnie omówić i ustalić, ale ewentualnie i wspólnie przestudiować. Uchwaliliśmy prosić tego pana, aby on sam tu do nas przybył, ale Witold Abramowicz wysunął myśl, że przed przystąpieniem trzeba, aby ktoś do niego pojechał dla poznania warunków i nawiązania pertraktacji, i zdaje się, że niebawem sam Witold się do niego wybierze z naszego ramienia.

Pociągiem nocnym wyjechałem do Warszawy.

7 (20) listopada rok 1913. czwartek.

Przez całą noc jechałem pociągiem i koło godz. 6 rano byłem w Radoszkowiczach. Zastałem już tam Jaśka z koniem i bryczką. Wagon Jaśka z koniem przyszedł do Radoszkowicz wczorajszej nocy i wczoraj zrana został wyładowany. Podług mego zlecenia Jasiek nie odjeżdżał, lecz czekał na mnie. Chodziło mi o to, aby koń wypoczął po drodze i zmęczeniu i przynajmniej dobę przestał w stajni, nim pójdzie po złej drodze jeszcze wiorst do Wiażowca. Bojąc się zmęczenia dla konia, nająłem osobną furmankę pod rzeczy i Jaśka wyprawiłem z tą furmanką. Sam zaś siadłem do swojej kurlandki, do której zaprzęgłem mego konika i pojechałem sam jeden. W miasteczku Radoszkowiczach popasałem i wyruszyłem wkrótce dalej. Pogoda mi sprzyjała wyjątkowo jak na tę porę. Słońce świeciło, było ciepło, jasno i wesoło. Jadąc wymyśliłem imię dla mego konia. Będzie się nazywał Secundus. Mój pierwszy koń w Wiażowcu nazywał się Prym, co po łacinie znaczy „pierwszy" (primus). Niech więc ten się nazywa Secundus, po łacinie „drugi". Konik mój się lenił. Już to gorszy nie jest, raczej tępy, ale to dobrze, bo przynajmniej nie tak łatwo się da zepsuć; tępość jest poniekąd środkiem samoobrony biednego zwierzęcia, tarczą przed wyzyskiem sił jego. Jest za to silny i zdrowy, zgrabny przez proporcjonalność budowy; szczególnie zaś ma piękną głowę. Irytował mnie trochę swym lenistwem, a nie bardzo mogłem na to poradzić, bo był nieokiełznany i nie miałem bicza. Szczęśliwie jest zaś, gdy spotyka furmanki, lub gdy ktoś jedzie z tyłu za nim, jest widocznie towarzyski i lubi konie, bo na każdego konia się ogląda, często rży i przy mijaniu każdej furmanki zwalnia kroku i gotów się zatrzymać zupełnie. Gdy czuje też za sobą furmankę czy konia, to ledwo się wlecze, ogląda się wciąż i chce się z koniem tym zapoznać. A ponieważ był dzień kiermaszowy w Radoszkowiczach, więc spotykaliśmy ciągłym ciągiem furmanki, spieszące do miasteczka, i mój Secundus zupełnie się rozleniwił. W dużym lesie Białostańskim, ciągnącym się od Radoszkowicz pod Rakowem, jeszcze w dniu kiermaszowym charakterystycznych stanowisk żydowskich; Żydzi przekupnie zajmują w lesie przy gościńcu stanowiska, z których, jak pająki, oglądają każdą przejeżdżającą na kiermasz furmankę włościańską i targują towar, który chłopi wiozą do miasteczka; mają ze sobą wagi, a opodal w lasku stoi ich koń z wózkiem, do którego składają towar nabyty. Każdy Żyd ma swoje stałe stanowisko, z którego żaden inny go wyrugować nie śmie. Włościanin, nim dojedzie do kiermaszu, musi minąć cały szereg takich stanowisk – zasadzek, z których Żydzi starają się go namówić do sprzedania im towaru. Niejeden sprzeda, często za bezcen, bo Żydzi ci spekulują na tym, że włościanin, jadący na kiermasz, nie zna jeszcze ceny rynkowej na swój towar, a namówić włościanina, nastraszyć, przekonać, zbić tak nikt nie potrafi, jak Żyd wiejski, znający na wylot duszę chłopską w tej zresztą jej sferze – handlowej. A w tej sferze dusza chłopska jest naiwna, jak dziecko. Chłop zaś woli nieraz sprzedać towar przedwcześnie w drodze, jeżeli się naraża na hazard konkurencji rynkowej. To też na gościńcu handel kwitnie. Koło godz. 3 dojechałem do Wiażowca. Tłasiak(?) nie był zachwycony moim konikiem Secundusem, którego wyobrażał sobie efektowniej. Resztę dnia zeszła mi bardzo mile w moim ustroniu leśnym.

8 (21) listopada rok 1913. piątek.

Za dnia do samego niemal zmroku zajęty byłem, wraz z Bieśkierskim i Jaśkiem, wyznaczeniem miejsc, gdzie mają być wykopane doły dla zasadzenia na wiosnę drzew owocowych. Zamierzam bowiem założyć w Wiarowcu sad. Będzie on rozsadzony od domu aż do granicy Ludwisia Wołodkowicza na całej długości polanki między dwiema ścianami lasu i prawie że do drogi wjazdowej od mostu do domu. Drzewka owocowe obiecał mi dać na wiosnę ze swej szkółki w Migówce Własow (Własau – redaktor „Naszej Niwy" i „Sochi") bezpłatnie, jako premium za ofiarowane przeze mnie tego lata osiny z lasu Wiarowieckiego na pokrycie dachu w szopie straży ochotniczej w Radoszkowiczach, gdzie się odbywają wieczorki i przedstawienia amatorskie białoruskie. Ponadto Własow obiecał, że przyśle do mnie na wiosnę nauczyciela ludowego z Radoszkowic dla zasadzenia tych drzewek, na czym się ten podobno zna dobrze. Jaki będzie los Wiarowca w przyszłości, komu z nas (z rodzeństwa) on wypadnie w dziale, czy też go może sprzedamy – nie dziś naturalnie nie wiadomo, ale w każdym razie chcę, o ile można, doprowadzić go do jakiegoś dobrego stanu i zrobić zeń coś porządnego. Zawsze to stracona nie będzie, zawsze się ta kropla dodatnia ostanie.

W kraju tym, na Białej Rusi, jest dziwne pomieszanie wschodu z zachodem. Odbija się to na całej umysłowości ludu, wyraża się w całym charakterze kultury miejscowej. Białoruś – to kraj przymierza Europy Zachodniej ze światem Bizantyjskim. Oba te światy dwóch cywilizacji, dwóch kultur dziejowych, tak sobie przeciwne, tak nieprzejednane, jak dwa bieguny, tu w duszy ludu żyją równolegle w zgodzie ze sobą. Najwyraźniej zaś ten wyraża się w religii, tj. w prawosławiu wschodnim i katolicyzmie zachodnim. Tu obie te religie istnieją obok siebie, a masa ludowa, bez względu na należenie jednostek do tej lub innej religii, obie zarówno uznaje. Jak festy i rozmaite obrzędy i uroczystości prawosławne ściągają w pewnych datach do pewnych miejsc całą ludność, nie tylko prawosławną, ale i katolicką, włącznie z nieraz drobnej szlachty zaściankowej, okolicznej i folwarcznej, tak znów wielkie festy katolickie stanowią atrakcję dla ludności prawosławnej nawet z dalekich stron. Ludność ulega tu zwyczajowi, zaznacza bezwiednie swą jedność kultury i wiary, swą solidarność wielkiej gromady, rozdwojonej na dwa światy, na dwa formalne wyznania. Ale w tych odruchach bezwiednych jest głęboka treść dziejowej roli Białej Rusi, jest żywotność starej Unii kościelnej i kulturalnej, która się dokonała w tym kraju i która wbrew jej skasowaniu trwa i żyje ciągle. Zmiana wyznania prawosławnego na katolickie i odwrotnie dokonywa się tu bez zaprzaństwa, bez jakiejś głębszej przemiany w treści kulturalnej i duchowej osobników ludzkich. Środowisko ludowe, tak włościańskie jak drobnoszlacheckie, jest przesiąknięte i jakby nasycone w równej mierze obu pierwiastkami, wschodnim i zachodnim, które mają równe prawo obywatelstwa, równy udział w psychice ludowej.

9 (22) listopada rok 1913. sobota.

Dokończyłem rozplanowania przyszłego sadu owocowego w Wiarowcu. Ogółem wypadnie 80 drzewek na przestrzeni pół dziesięciny gruntu. Jaśkowi kazałem wykopać jamy w miejscach zaznaczonych do zasadzenia. Dziś już Jasiek trzy takie jamy wykopał.

Zaszedł przykry wypadek. Rano, leżąc jeszcze w łóżku, posłyszałem gwar podniesionych głosów w izbie Bieniakierskiego. Słyszałem kilka głosów męskich i szczególnie jakiś głos kobiecy. Wiedziałem, że siedzi tam Czebotar, ale nie mogłem przypuścić, aby taki dworak układny, jak on, wdawał się w tak hałaśliwą dyskusję, wiedząc o mojej obecności w sąsiednim pokoju. Tym mniej mogłem przypuścić, aby głos kobiecy, — który dobiegał mnie mocno, należał do Bieniakierskiej, takiej zawsze cichej i łagodnej. [illegible] Uchyliłem drzwi do sieni i zawołałem Bieniakierskiego. Przyszedł i wyjaśnił mi, o co chodzi. Przyszedł włościanin Strzelecki z wioski Mamyłów (Średnia) z córką starszą i małą 13-14-letnią córeczką na skargę, że Boryś pokąsał dziecko dziś rano. Inicjatorką skargi i główną rzeczniczką krzywdy była starsza córka, dziewczyna lat dwudziestu paru, „włóczęga”, jak ją Bieniakierski nazywa; dziewczyna ta [illegible] służyła dawniej u Stapia Wołodkowicza i była podobno jego kochanką, potem wyjechała do Petersburga, skąd teraz przyjechała w gościnę do domu na 3 miesiące; ubrana po miastowemu, w modnym jesiennym paltocie kroju kimono, jak panna-elegantka, dziwacznie wyglądająca przy ojcu białoruskim sermiężnym w łapciach; zerolutna [?] i wygadana, upominająca się krzywdy, przynaglająca starego ojca, który się ociągał i widocznie nie bardzo miał ochotę wszczynać dochodzenie, oraz małą ofiarę krzywdy, młodszą poranioną siostrzyczkę. Bieniakierski twierdził, że sam fakt ukąszenia dziecka przez Borysia jest wątpliwy, bo Boryś przez noc był zamknięty na dziedzińcu, potem nad ranem, gdy przyszedł Ławicz dla pomalowania szafki [?], był przywiązany, potem zaś widział go Czebotar, przejeżdżając opodal po drodze do Trusewicza, a gdy z Trusewicz przyjechał do nas, to Borysia przy domu zastał, i odtąd Boryś był i jest. Dziecko wszakże twierdzi, że ukąsił je właśnie Boryś, którego zna dobrze. Strzelecki też twierdzi, że widział Borysia, gdy [illegible] po ukąszeniu dziecka wybiegał z wioski. Zaraz się wtrąciłem i zdołałem rozmówić się ze Strzeleckimi, już oni wyszli, dążąc na skargę do „wyższej instancji”, — do starosty Wasilkiewicza do Trusewicz. Na czele tej elegantka petersburska, energicznie machając rękami, za nią kiwał się niezgrabnie wysoki chłop-ojciec, obok drobnemi kroczkami szła wysmukła dziewczynka-ofiara. Posłałem z Bieniakierskim do lasu, gdym zaś wrócił koło godz. 3, zastałem znów całą trójkę, oczekującą na mnie. Wobec mnie dziewczyna jednak, która poprzednio bardzo ostro się stawiała, zachowywała się z wielkim respektem i umiarkowaniem. Strona wszakże na nosie dziecka, pochodząca, jak oni powiadali, z ukąszenia, była istotnie wielka, pokryta grubą powłoką zapiekłej krwi. Chociaż nie było udowodnione, że to rzeczywiście Boryś jest winowajcą, nie mogłem jednak stanowczo kłamać im zadać wobec bardzo kategorycznego ich twierdzenia, co jest rzeczywiście możliwe, bo Boryś jest straszliwie złośliwy dla obcych, i gdy nie jest przywiązany, lata dziś po okolicznych wioskach, zerując i szukając towarzystwa psiego. Zapewniłem, że odtąd stanowczo każę przywiązywać Borysia, i zaofiarowałem Strzeleckiemu 2 rb. na doktora. Ten wszakże pieniędzy tylko nie przyjął, twierdząc, że sama furmanka do Dawgieliszek [?] kosztować będzie 1½ rubla, a doktor i apteka też kosztować będą. Starsza córka jego domagała się 5 rb. odszkodowania. Tym odmówił zapłacenia [illegible], [illegible] zostawili i wyszli. Starsza dziewczyna, idąc, wymyślała głośno na krzywdę i na samowolę pańską. Sprawiło to na mnie wrażenie ciężkie i smutne, że moje nie było potem spokojne. Czułem, że mają oni rację i że istotnie należy się im [illegible] [illegible] i ścisła odpowiedzialność za wybryki psa, którego trzymam. Przez umysł mi [illegible] naprawdę. Co zaś do Borysia, to z niego stróż dla Bieniakierskiego wyborny, ale szkoda, że nie trzymany na więzi, bo staje się plagą okolicy całej, która znosi dotąd cierpliwie psa pańskiego. Gdyby

to tak robił pies chłopski we dworze, dawno by go zastrzelono. Przywiązywanie Borysia — to oczywiście tylko paliatywa. Choć w ten sposób okolica się od jego napaści i ekscesów uwolni, ale dla psa będzie to męczarnią. Trzeba będzie sprowadzić suczkę, aby Boryś miał towarzyszkę, albo go wykastrować. Wtedy odpadnie mu ochota odbiegania domu, szukania towarzystwa i przygód.

316.

10 (23) listopada, rok 1913, niedziela.

Rano wyjechałem z Wiorowca, śpiesząc na pociąg do Wilna. Wziąłem ze sobą Dziesiękierskiego, który odjedzie ze stacji z powrotem. Konik mój, Sekund (postanowiłem tak go zwać przez skrócenie, zamiast – Sekundus), szedł dobrze, nie lenił się wcale, nie zmęczył się drogą, biegł równie i lekko. Bardzo jestem zeń zadowolony, a i Dziesiękierski, który go naraz nie upodobał, zaczyna go teraz już chwalić.

Sensację wielką budzi tu dokonane przed paru dniami, niezwykle śmiałe i zuchwałe okradzenie Chełmicy. Kradzież ta, właściwie rabunek nocny, – miał miejsce w nocy z czwartku na piątek. Nieznani złoczyńcy wynieśli całe odzienie Karola Wołodkowicza, rozmaite sprzęty drobne, jak łyżki srebrne, zegarek nawet ze stolika przy łóżku Karola i t.d.. Karol był w domu i spał w najlepsze podczas kradzieży. Był on tego dnia w Nowym Dworze u Stasia i o godz. 11 wrócił do Chełmicy, gdzie mieszka jeszcze aż do czasu działu, który zdaje się wkrótce już będzie u nich dokonany. Położył się i do godz. 12 czytał jeszcze w łóżku gazetę, którą potym położył na stoliku, zgasił światło i zasnął. Jak weszli do domu rabusie – niewiadomo. Drzwi wejściowe okazały się otwarte z wewnątrz, bez uszkodzenia zamku; otwarte też zostały drzwi wyjściowe z kuchni, które zazwyczaj zamykano na noc na haczyk. Może ktoś ze złoczyńców we dnie już wszedł do domu i gdzieś się wewnątrz ukrył, może ktoś z domowych go wpuścił. W gabinecie złoczyńcy [illegible] świecę. W sypialnym pokoju Karola wzięli ze stolika jego złoty zegarek z łańcuszkiem i zapewne szukali pugilaresu z pieniędzmi, który Karol miał zwyczaj kłaść pod poduszkę. Może nawet macali pod poduszką, bo na podłodze blisko od poduszki nakapano świecą; złoczyńcy więc świecili na Karola i musieli ze światłem zaglądać pod poduszkę. Tego wieczora wszakże Karol położył pugilares z 200 rublami na stoliku a potym gazetą pugilares nakrył. Pugilares pod gazetą został nietknięty. Całe szczęście, że się Karol nie obudził, bo niewątpliwie nastąpiłaby tu krwawa katastrofa: albo Karol by się na złoczyńców rzucił, albo, co jeszcze prawdopodobniejsze, złoczyńcy by go wpierw sprzątnęli. Taki rabuś, który wchodzi do pokoju sypialnego ze światłem i tam rzeczy zabiera, z pewnością gotów jest na morderstwo, bo dać się poznać nie zechce. Oprócz zegarka i [illegible] pieniędzy wziął z pokoju Karola i wyniesiono koszulę dzienną. W pokoju jadalnym złoczyńca przeniósł świecę do małego stolika, wybrał z koszuli spinki i koszulę rzucił, wziął z bufetu łyżeczki srebrne, zostawiając łyżeczki nakładanego srebra. Potym otworzył kasę (kluczyk od kasy wisiał na łańcuszku zegarka), w której wisiały klucze, zabrał je, otworzył szafę z odzieniem, z której wybrał wszystkie futra, paltoty i ubrania, otworzył inną szafkę dębową, z której wziął woreczek z 15 rublami drobnicy srebrnej, przygotowanej dla wypłat, szafy pozamykał, klucze odłożył do kasy, gdzie też zostawił [illegible] świecy, kasę zamknął na klucz. Oprócz tego wiemy, że wzięto kołdrę i kapę z jakiegoś łóżka i wyniesiono też poduszki. W tym czasie zapewne na folwarku [illegible] krowy, co widocznie spłoszyło złodziei. Poduszki rzucili oni na dziedzińcu i odjechali, nie wziąwszy rzeczy zrabowanych. Gdyby nie to, to możeby jeszcze obudzili Karola i znaleźli pieniądze. Przy wjeździe na dziedziniec od drogi nowodworskiej stał koń rabusiów z furmanką, jak świadczyły ślady. Sądząc ze śladów, rabusie z Chełmicy pojechali w kierunku Nowego Dworu, nie dojeżdżając zawrócili naprzód i na Chełmicy przez las pojechali drogą [illegible], wymyślili się i zebrawszy manatki, pojechali dalej. Ślad dalej nie został ustalony. Karola obudzono koło godz. 3 w nocy; obudził go lokajczyk, 15-letni [illegible]; [illegible] do Mińska jakiegoś parobka, który sobie palce skaleczył. Karola obudzono dla wyekspediowania go. Tu się wykryła kradzież. Naturalnie, że sprawcami kradzieży musieli być ludzie, dobrze obeznani nietylko z dworem, ale i domem samym. Dokonali jej albo ludzie domowi, albo ze współudziałem ze wiedzą domowych. W domu oprócz Karola spała stara ochmistrzyni, stary przeszło 80-letni kucharz [illegible], ojciec gospodarza z Trusewicz, głuchy już i ledwie żywy i 15-letni lokajczyk Józek, sierota, wzięty z przytułku jakiegoś. Żadne poszukiwania, mimo że się wzięto energicznie, nie dały rezultatów dotąd. Policja została uruchomiona. Karol nader energicznie rzucił się do kierowania poszukiwaniami. Dokonano szeregu rewizyj po wioskach w okolicach, głównie Maszytów u znanych złodziei lub ludzi, którzy mieli styczność z Chełmicą. W Daszkach, [illegible], Hołowaczach „trzęsiono" rewidowano wielu włościan. Dokonano też licznych rewizyj we dworze. Rewizje te nie dały rezultatów. W szczególności u lokajczyka znaleziono [illegible] i 8 arszynów płótna niewiadomego pochodzenia, mogłyby wskazywać na złodziejskie skłonności chłopca, ale nie jest [illegible] przez się dowodem jego bezpośredniego udziału w tej sprawie. W każdym razie ten chłopiec może być podejrzany. Karol sprowadził teraz z Mińska agentów policji śledczej. Rabunek to nieposzlaki. [illegible] w pociągu spotkałem Kotunię [illegible] z córką jej, Chitą. Jadą sobie do Finlandii, do Merentähti, do umierającej córeczki Kotuni, Irenki, która jest mocno chora na bronchit i kokluszu. Kotunię wezwano tam została telegraficznie. Dzień mamy nieprzyjemny. Jechaliśmy dalej razem,

11 (24) listopada
rok 1913.
poniedziałek.

Wczoraj wieczorem, przyjechawszy do Wilna, nie poszedłem do mego mieszkania wcale. Umówiliśmy się bowiem z Anną, że się z nią wieczorem spotkamy i ~~[illegible]~~ spędzimy razem wieczór i noc całą. Dawnym zwyczajem poszliśmy na kolację do gabinetu w restauracji hotelu Niszkowskiego, stamtąd zaś na noc do hoteliku Wersalu. Chcieliśmy odnowić naszą dawną tradycję, ale jakże inaczej działały na nas te same zewnętrzne wrażenia dawniej, a dziś. W pierwszym roku naszego związku a nawet w pierwszej połowie drugiego, t.j. jeszcze zeszłej jesieni urządzaliśmy często takie kolacyjki, zakończone nocą w tym samym hoteliku. W pierwszym roku było to u nas nieraz zwykłą, a nieraz się zdarzało, że i po 2 noce spędzaliśmy razem; w reszcie roku już to było rzadziej. Teraz zaś przestało nas to bawić. W ogóle w stosunku naszym pierwiastek zmysłowy, który na początku dochodził do pasji, niezmiernie się stępił. Szczególnie u mnie pierwiastek zmysłowy jeżeli nie ulotnił się, to przynajmniej ostygł bardzo; u Anny gra on trochę większą rolę, ale też względnie mniejszą, niż dawniej. Dziś o wiele większą w naszym związku rolę gra pierwiastek psychiczny, duchowy. To też okazało się, że to, co nas dawniej bawiło i ~~[illegible]~~ nawet do ekstazy doprowadzało, jak kolacja z alkoholem i noc wspólna w hotelu, dziś już tak nie bawi. Natomiast ~~[illegible]~~ zaczynają się w nas budzić inne wrażenia w tej atmosferze nocno-hotelowej, takie, których dawniej nie doświadczaliśmy, bośmy byli zaangażowani ~~[illegible]~~ podnieceniem zmysłowym, a to mianowicie wrażenie brudu. Hotelik Wersal jest typowym hotelikiem przygodnych schadzek i miłostek płatnych. Wszystko w nim jest brudne, wszystko tchnie rozpustą, a nadewszystko rażący jest brud firanek, budzący wstręt; meble, dywany wytarte, tapety, sprzętów brudnych i starych, — wszystko obrzydliwe. To też ~~[illegible]~~ nadewszystko doznawaliśmy obrzydzenia i postanowiliśmy oboje z Anną, że tu więcej nie przyjdziemy. Dawniej nie spostrzegaliśmy tego; w końcu i strona ~~[illegible]~~ hotelowa dawniej nas tu znała i czuliśmy się tu zawsze swojsko i miło. ~~[illegible]~~ Teraz te uczucia brudu i obcości zatruwało nam przyjemność obcowania ze sobą. Wolimy czas spędzać ze sobą w czystym skromnym pokoiku Anny na rozmowie lub nauce lub snuciu projektów, niż się bawić zmysłowo śród otaczającego brudu. Spędziliśmy jednak noc w hoteliku. Po południu dziś opuściliśmy hotelik i poszliśmy do Anny, gdzie zabawiłem do godz. 5 wieczorem. Stamtąd poszedłem [illegible] po rzeczy i przyjechałem do domu.

12 (25) listopada, rok 1913, wtorek.

Stan zdrowia Stefusia, syna Maryni, który już od miesiąca przeszło jest chory na tyfus, znowu się w ostatnich kilku dniach pogorszył. Naogół przebieg choroby Stefusia jest zadawalniający; komplikacji żadnych nie było, nie było też kryzysu ostrego ani chwil niebezpieczeństwa dla życia. Od jakichś trzech tygodni gorączka zaczęła spadać i rozpoczęła się powolna rekonwalescencja. Wreszcie przed tygodniem Stefuś spróbował wstać z łóżka; ubrano go, ale Stefuś był tak słaby, że o własnych siłach iść nie mógł; Marynia zaprowadziła go pod ręce do drugiego pokoju i stamtąd naraz zaraz też się rozebrał i znów położył. Ale to go widocznie zbyt wyczerpało, bo zaraz nazajutrz gorączka się podniosła i odtąd jest stale podwyższona. Doktorowie, Jabłonowski i Smorodski, zapewniają jednak, że to nie jest recydywa tyfusu, jeno skutek wysilenia osłabionego organizmu.

Zaczyna się robić pogoda — zdaje się, że nastąpią mrozy. Nie jest mi to na rękę, bo chciałbym, żeby Józiek w Wiarowem zdążył wykopać jamy pod drzewka przed nastaniem mrozów. Jest tam 80 jam do wykopania, co zajmie około 20 dni pracy. Zaczynam wątpić, czy to się da zrobić w jesieni. Zakładam sad owocowy w Wiarowem napół oficjalnie. Przed Papą nie będę się tym chwalić, bo Papa jest przeciwny wszelkim ulepszeniom i urządzeniom w Wiarowem. Mama się zgadza, gdy jej przekładam projekta moje, ale też się kosztów obawia, więc zbytniego nacisku przed nią nie robię i zakładam ogród trochę cichaczem, nie bardzo się tym chwaląc. Natomiast Kotunia Pruszanowska, z którą się spotkałem przedwczoraj w wagonie, bardzo chwali mój zamiar założenia sadu i naogół, co mnie bardzo cieszy, pragnie zachowania tego kawałka ziemi i wolałaby nawet, aby lasu w Wiarowem nie wycinać do tła i nie kasować. Cieszy mię to, bo przynajmniej jest przeciwwaga tendencjom Komorowskich i Papy, którzy chcieliby jaknajprędzej spieniężyć cały las i całe Wiarowo, zwłaszcza że ja jestem przeciwny. Mama, mając przy sobie Papę i Komorowskich, też się sprzeciwia skłonnie do wystąpienia lasu, choć nie formuje mię wcale. Cieszę się, że w Pruszanowskich i Mieczkowskich mam zwolenników utrzymania tej własności leśnej.

13/26 listopada rok 1913. Środa.

Zaczynamy wykonywać to, o czym pisałem niedawno, jako o pilnej potrzebie sprawy demokratycznej w Wilnie. Chodzi mianowicie o to, żeby elementy demokratyczne polskie, odosobnione i rozproszone, skupić w pewnym środowisku i nawiązać przeto stałe ich wzajemne obcowanie. Z takiego obcowania mogą powstać pewne konkretne wspólne czyny, z początku choćby tylko doraźne, które wszakże z czasem mogą się wykształcić w zorganizowaną ciągłą działalność zbiorową, zwłaszcza jeżeli elementy te mieć będą w ręku jakąś placówkę działania w rodzaju pisma. Może „Kurjer Krajowy”, jeżeli się nadal utrzyma i jeżeli wypoziomuje się pod redakcją Jerzego Jankowskiego, stanie się taką placówką dla tych elementów. Nie przesądzając wszakże teraz ewentualnych form tej przyszłej wspólnej działalności, trzeba dążyć przedewszystkiem do nawiązania stałego obcowania tych elementów. Środowiskiem, które może dziś te elementy połączyć, jest naturalnie nasz związek demokracji krajowej. Związek ten jest rozczłonkowany na parę ognisk poszczególnych. Otóż element demokratyczny polski, ze względu na szczególnie pilną potrzebę skupienia go, należyześrodkować w jednym ognisku związku. W tym celu, jako pierwszy krok w tym kierunku, postanowiliśmy w pewnym ognisku wciągnąć do nas Zasztowta, który dotąd był w ognisku drugim. To drugie ognisko jest zresztą bardzo ociężałe i niemal martwe, to też tym bardziej pożądane jest i usprawiedliwione pozyskanie Zasztowta, człowieka żywego, dla naszego ogniska. Zasztowt wyraził zgodę i przeto fakt się dokonał. Wyznaczyliśmy jako kandydatów do wciągnięcia do naszego związku następujących ludzi z demokratów polskich: Kazimierza Ostachiewicza, Józefa Bułhakowskiego i Ostrowskiego, co, wespół z Zasztowtem i mną, utworzy już grupę pięciu, mogącą się stać z czasem zawiązkiem stałej nowej grupy demokratycznej polskiej, równoległej do grupy „przeglądowej”. Powstanie i skonsolidowanie takiej grupy z pośród licznych i rozproszonych jednostek jest rzeczą bardzo pożądaną. Oczywiście taka grupa w całym szeregu działań zewnętrznych byłaby solidarną z „przeglądową”, ale nie uzależniałaby się bezwzględnie od kierunku „przeglądowego”, jeno na zasadzie kompromisu odchylałaby linję wspólnego działania na lewo ku ideałom i zasadom demokracji, poza tym zaś miałaby własną sferę działania i dążyłaby do ustalenia własnych wpływów. Jądro tej grupy mieściłoby się w naszym związku demokracji krajowej; całość jej wszakże byłaby poza związkiem, jako osobna organizacyjka. Słowem byłaby to ta sama forma organizacji, jaką miała grupa „przeglądowa” w pierwszym okresie swego istnienia do czasu przesunięcia się „przeglądowców” na prawo.

Ze związku naszego do Rady Miejskiej należeć obecnie będą dwaj — Zasztowt i Trojanowski (Krasnokutski). W nowej Radzie Miejskiej układ grup zaczyna się już formować. Wszakże polska napewno się rozpadnie na trzy równoległe stronnictwa: prawicę, centrum i lewicę, z której zawiązkiem będą „przeglądowcy” z ich leaderem Witoldem Abramowiczem na czele (z „przeglądowców” do Rady należeć będą W. Abramowicz, Kryszanowski, Nagrodzki, Budny, Turski). Do grupy lewicy „przeglądowej” po-

2 g 3 l 2 r 2 b 1/2

starają się wciągnąć i wciągną [illegible] nie wyjaśnię jeszcze kilka jednostek [illegible]

14/27 listopada.
rok 1913.
Czwartek.

Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu spółdzielczego towarzystwa spożywczego „Solidarność". Zebranie odbyło się w lokalu Towarzystwa Opieki nad dziećmi (przy zaułku Górnym, 8). Towarzystwo „Solidarność" powstało, zdaje się, na początku r. 1912, wszakże rozpoczęło działalność, to znaczy otworzyło sklep spożywczy i zaczęło być czynne, dopiero przed samym prawie rokiem 1913. Sklep ten mieścił się z początku gdzieś bardzo daleko, na jakiejś głuchej uliczce gdzieś na krańcach miasta, — zdaje się, że w dzielnicy Pohulance. To też w pierwszym półroczu sklep dał deficyt. Od św. Michała sklep „Solidarności" przeniesiony został do nowego domu Zasztowta przy ul. Portowej, to znaczy, że teraz mieści się w śródmieściu w dobrym punkcie; operacje sklepu bardzo się teraz ożywiły, a i nowy zarząd, wybrany w sierpniu po zmęczeniu się starego, bardzo energicznie i starannie pracuje. Najczynniejszym w zarządzie jest p. Putrament, Litwin, urzędnik intendentury, człowiek żywy i oddany ideowo kooperacji. Nowy zarząd stara się urządzić sklep wzorowo tak pod względem handlowym, jak ideowo-kooperacyjnym. Większość członków tego towarzystwa rekrutuje się ze środowisk sfer inteligencji, z urzędników bankowych, asekuracji i t. d.. Wszakże poziom uświadomienia kooperacyjnego większości członków jest bardzo niski, co naturalnie ogromnie utrudnia rozwój stowarzyszenia. Ogromna ilość członków nie kupuje wcale towarów w sklepie; bardzo wielu wpisało się na udziałowców i wpłaciło udział nie jako na odrębnego, jak się daje na jakiś cel filantropijny i teraz dba tylko o to, aby się nie narazić na jakąś odpowiedzialność materjalną, nie wiedząc nawet, że odpowiedzialność ta wyczerpuje się tylko udziałem; inni znowu wpisali się na członków li tylko z myślą o ewentualnym zysku, traktując kooperację tę za rodzaj gieszeftu spekulacyjnego i nie zdając sobie zupełnie sprawy z doniosłego społecznego znaczenia kooperacji. Ten ostatni kierunek wyraża się nawet wśród niektórych członków zarządu (mtody Łukaszewicz, Juszkiewicz). W tych warunkach rozwój towarzystwa musi być powolny, ale niemniej postęp się dostrzega. W dzisiejszym zebraniu, które wogóle na zebraniu przybywają bardziej uświadomieni członkowie, poziom i nastrój kooperacyjny nie były arcywysokie, co zwłaszcza — ujawniło się w stosunku do odczytu Szklennika. W zebraniu wzięło udział do ± 50 osób. Oto grono uczestników z pośród obecnych, których znam: Putrament, Turski, Wnęczkowski, Łysiacki, K. Ostaszkiewicz, Stadziewicz, Bębnowski, Jakubowski, Wyrzykowski, Żongołłowicz, Downarowski, Szklennik, Bucko, Petrykowski, Steckiewicz, Zubkiewicz i t. d.. Ze spraw ciekawszych i większych ogólniejsze znaczenie, omówionych i rozstrzygniętych na zebraniu, wspomnę głównie o sprawie sprzedaży trunków alkoholowych w sklepie. Dotąd sprzedaży tej nie praktykowano. Otóż teraz zarząd zaprojektował rozpocząć tę sprzedaż i zwrócił się po aprobatę do ogólnego zebrania, aby ono go upoważniło do wzięcia patentu na prawo tej sprzedaży. Członek zarządu wszakże Putrament gorąco oponował przeciwko temu, motywując to zasadniczą niekonsekwencją handlu alkoholem, sprzecznego z ideowemi zasadami kooperacji. Kilku innych członków też się gorąco wypowiedziało przeciwko alkoholowi i wreszcie wniosek zarządu w głosowaniu upadł, pomimo że zwolennicy takowego wniosku mocno się moralizatorskie tendencje, które mają być na niczem członków, jakgdyby ci żyjąli i potrzebowali opieki, oraz wysuwali korzyści spekulacyjne takiego handlu. W obaleniu wniosku o handlu alkoholem był nawet piękny moment entuzjazmu. Dalej uchwalono asekurować towary w sklepie i upoważniono zarząd do wydawania weksli przy zakupie towarów, wszakże do wysokości 1000 rb. Wreszcie odbył się odczyt Szklennika — sprawozdanie ze Wszechrosyjskiego Zjazdu Spółdzielczego w Kijowie. Sprawozdanie Szklennika było niezmiernie ciekawe i treściwe, ale pomimo to audytorjum było tak mało uświadomione, że widoczne było znużenie i brak zainteresowania u słuchaczy. Sprawozdania ze zjazdu Międzynarodowego w Glasgowie Szklennik wcale nie wygłosił, choć to było w programie, bo gdy zarządzono przerwę, wszyscy się rozeszli.

Poznałem p. Cezarego Męczkowskiego, bawiącego w Wilnie. Po zebraniu „Solidarności" byłem z nim i ze Szklennikiem w cukierni Sztrala. Człowiek to niegłupi i uspołeczniony, ale dziwak w poglądach swoich i trzeźwy zaśniedziałością, spotęgowaną przez [illegible] oryginalności.

15 (28) listopada rok 1913. piątek.

Ponieważ zdecydowani jesteśmy z Anną na kupno tej parceli 400-sążniowej na Antokolu, którąśmy oglądali przed paru tygodniami a która należy do spadkobierców niejakiego p. Sienkiewicza czy też ciotki jego p. Lipowiczowej, więc poszedłem dziś do Stadniewicza, który mi tę parcelę wskazał i który mi w tej sprawie pośredniczy, z zawiadomieniem, że się decyduję na kupno i że proszę go o nawiązanie rokowań z właścicielem. Parcela ta się ceni po rb. 5 za sążeń, ale Stadniewicz spodziewa się, że się da coś utargować. Parcela ta jest na ziemi czynszowej, której tytuł własności należy do miasta. Zastrzegłem, że sprzedawca powinien przyjąć na siebie obowiązek wykupienia ziemi od miasta na własność i powinien mi ją sprzedać, jako własność. Również zastrzegłem sobie przeprowadzenie drogi przez właściciela pobrzegiem parceli nabywanej t. j. przyszłej mojej. Stadniewicz w tych dniach zacznie traktować z p. Sienkiewiczem; umowę wstępną o kupnie (t. zw. „zaprodażną") sporządzilibyśmy zaraz z zapłaceniem jakichś paruset rubli zadatku, kupczą zaś z zapłaceniem reszty pieniędzy – na wiosnę.

Przy tej okazji rozmówiłem się ze Stadniewiczem w innej sprawie. Stadniewicz zaczął wydawać tu i redagować pismo ekonomiczne specjalne pod tytułem „Przegląd Handlowo-Przemysłowy". Inicjatorami tego pisma są głównie Stadniewicz i Żukowski, współwłaściciel firmy „Dzwonkowski i Żukowski" i drukarni „Znicz". Właściwie jest to myśl grona handlowców i kupców chrześcijańskich wileńskich. Pismo miało zacząć wychodzić na wiosnę, ale potem, głównie z powodu długiej choroby Żukowskiego, zostało odłożone i № 1 wyszedł w październiku, teraz zaś w grudniu przed nowym rokiem ma wyjść № 2 (pismo jest kwartalnikiem). Takie są fundusze wydawnictwa niewiem; prenumerata z pewnością minimalna, sprzedaż detaliczna też zapewne nie wzbudziła wielka; koszty wydania № 1 zdają się opłacić z ogłoszeń, bo w ogóle pismo jest w znacznym stopniu przeznaczone do szerzenia reklamy o wileńskich firmach handlowych chrześcijańskich, które się w piśmie ogłaszają. Sam tekst pisma wszakże nie jest reklamowy i ma charakter wyłącznie kwestji ekonomicznych krajowych. Pismo takie jest tylko w ścisłym znaczeniu neutralne, się nie zajmuje wcale i nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego. Wreszcie, że śród inicjatorów są tendencje w ogóle postępowe i krajowe, przyjazne dla litwinów i białorusinów (sam Stadniewicz, choć po litewsku nie umie i ciągle się dopiero próbuje uczyć, uważa się za litwina i nawet myśli o tym, żeby z czasem w tekście pisma dawać i artykuły po litewsku, w pewnych sprawach, dotyczących ściślej Litwy etnograficznej). Pismo takie, jak w ogóle zainteresowanie sprawami ekonomicznemi naszego kraju, jest bardzo pożądane. W № 1 pisma był drukowany obszerny mój artykuł „o gospodarce krajowej" i szereg innych ciekawych. Redaktorem pisma jest Stadniewicz, ale funkcja ta jest dlań trudna, bo nie jest on literatem ani publicystą i jest przytym bardzo zajęty. Otóż teraz chce on sprząc ściślej pismo z jakąś grupą czy instytucją, aby mu dać oparcie ideowe, i jednocześnie myśli o stworzeniu redakcji tekstu w czyjeś fachowe ręce. O tym właśnie dziś gawędziliśmy. Zamierza on utworzyć komitet redakcyjny i [illegible] naradziliśmy się więc, kogo do takiego komitetu powołać. Stadniewicz słusznie chce wciągnąć do komitetu i element litewski i białoruski. Ma więc wejść do komitetu litwin Morawski, niedawno osiadły w Wilnie, ruchliwy i bardzo zajęty kwestjami ekonomicznemi, białorusin Wacław Iwanowski, dyrektor syndykatu rolniczego, ja, przytym jeszcze z polaków, aby nie było na komitecie wcale [illegible] lewej, [illegible] Łuckiewicz, [illegible] redaktora „Tygodnika Polskiego", i Bębnowski. Choć też [illegible], że Iwanowski, Morawski i ja [illegible] się [illegible] wszyscy trzej zbyt jaskrawi, więc trzeba też innych elementy polityczne umiarkowańsze, chociażby to byli ludzie endekowatsi, t. zw. „narodowi", jak Bębnowski. Mnie zaś Stadniewicz [illegible] na kierownika literackiego, to znaczy faktycznie redaktora.

322.

16 (29) listopada.
rok 1913.
sobota.

Wieczorem w lokalu biblioteki „Znanie” (tamże redakcja „[illegible]”) zwołane zostało przez Łuckiewiczów zebranie w sprawie „Kurjera Krajowego”. Oddawna kiełkowała myśl o tym, żeby do udziału w tym piśmie, przedewszystkiem materjalnego, powołać też demokrację litewską. Sojusz demokracji polskiej z litewską tak wogóle, jak w szczególności na gruncie tego pisma, wypływa nietylko z zasadniczych założeń solidarności demokratycznej, ale też z realnych wspólnie interesów. Dla demokracji litewskiej nie może być obojętne, jakie kierunki i prądy ideowe szerzyć się będą śród mas ludowych w kraju „polskich” czy tylko mówiących po polsku. Szerzenie się prądów nacjonalistycznych nietylko utrudnia Litwinom współżycie z masami polskiemi i uwzględnienia ich słusznych praw, ale też pozyskuje i wciela do polskości te elementy pod względem narodowym nieokreślone, które się odrywają od pnia litewskiego. Na kresach etnograficznych Litwy, w miastach śród ludności napływowej ze wsi — elementy litewskie, pod względem świadomości narodowej bierne, ulegają ciągle jeszcze polonizacji. Jest jeszcze w kraju cała masa ludności „tutejszej”, narodowo nieokreślonej. O duszę jej, o narodowość tej masy toczy się ciągły spór, ciągła walka między Litwinami a polakami z jednej strony, polakami a Białorusinami z drugiej. Otóż kierunek demokratyczny krajowy polski, zdaniem moim, jest właśnie tym kierunkiem sprawiedliwości i pokoju, który do walki tej wlewa kroplę miłości i poszanowania praw wszystkich stron walczących. W tej bowiem walce o duszę i narodowość nieokreślonej masy „tutejszej” tkwi główny element t. zw. kwestji polsko-litewskiej i polsko-białoruskiej w jej stanie aktualnym. Kierunek demokratyczny krajowy polski, w zakresie spraw społecznych, wychodząc z założeń demokratycznych, dąży do wyrobienia samowiedzy i samodzielności masy ludowej, to znaczy dąży do rozwinięcia woli ludu i nadania jej znaczenia czynnika twórczego, a przez to wyklucza jakiekolwiek forsowanie tej masy w kierunku polonizacji; dalej zaś, uznając wartość kulturalną odrodzenia litewskiego i białoruskiego, jako zasadniczych czynników rozwoju społecznego kraju, nietylko nie zniechęca, ale owszem „tutejszej” [illegible] sprawy litewskiej i białoruskiej, a przez to nie odciąga nikogo od tych spraw, nie zamyka nikomu drogi do unarodowienia się litewskiego i białoruskiego, — inaczej bowiem zaprzeczyłby własnemu pojmowaniu stosunków krajowych; przeciwdziała zaś zohydzaniu litewskiej i białoruskiej sprawy przez nacjonalistów polskich i z tego względu musi być dla Litwinów i Białorusinów pożądanym i sprzymierzeńcem; organizując zaś świadomych pod względem narodowym demokratów polskich, kierunek ten opiera się na zasadach krajowych obywatelskich i przysparza Litwie i społeczności krajowej nową siłę, która w ręku nacjonalistów jest odrywana od kraju i wyskolejana. Demokratyczny krajowy kierunek polski dąży do ustalenia społeczności polskiej w kraju, jako jednej z odrębnych społeczności lokalnych, na równi z litewską i białoruską. To też atut dla kraju, choć niekoniecznie dla nacjonalizmu litewskiego i białoruskiego, które chciałyby może pełnego zaprzeczenia bytu demokracji polskiej w tym kraju. Powiadam: oprócz masy „tutejszej”, względem której forsowne unarodowienie nie powinno być, jest jeszcze demokracja, to znaczy masa ludowa — polska, już uświadomiona i mająca prawo do własnego bytu narodowego w ramach społeczności krajowej. Niestety — większość Litwinów-demokratów i Białorusinów sądzi, że istnieje tylko ta masa „tutejsza”, którą uważa za swój wyłączny żer, i biorąc się do poparcia „Kurjera Krajowego”, chciałoby zrobić z tego pisma wyłącznie narzędzie do unarodowienia „tutejszych” w kierunku litewskim i białoruskim. Na zebraniu dzisiejszym byli przedstawiciele 4 grup: od grupy białoruskiej demokratycznej Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Wacław Iwanowski i Własow, od partji demokratycznej litewskiej Vileišis i Sławicz, od esdeków litewskich Michał Biržiška i Kairys (nie należący do żadnej grupy, ale zbliżony ideowo do esdeków Litwin Szaulys), od demokratów polskich redaktor pisma Majkowski, Zasztowt, Osmołowski, wreszcie [illegible] i ja. Szczególnie demokraci litewscy i zwłaszcza Białorusin Iwanowski wypowiadali się w kierunku tym, że pismo być powinno wyrazem nie demokracji polskiej, której ich zdaniem niema, ale krajowej, mając na myśli masę nieokreśloną „tutejszą”, mającą służyć za materjał tylko dla Litwinów i Białorusinów — [illegible] nacjonalizmu litewskiego i białoruskiego. Łuckiewiczowie i Kairys, choć też wypowiadali się za tym, żeby pismo było organem demokracji krajowej, a nie tylko polskiej, uznawali jednak i potrzebę i zasadę bytu i rozwoju demokracji polskiej, zaznaczając, że w stosunku do masy „tutejszej” należy wykluczyć wszelkie forsowne unarodowienie i [illegible] jej zatem obraz wszystkich krajowych kultur narodowych, stwarzając tu wspólnego działania całej demokracji krajowej. Zasztowt gorąco poparł zasadę demokracji krajowej, ja obstawałem za polską.

Szkoda, że nie [illegible] od całkowitego obrazu tego [illegible]

17 (30) listopada rok 1913. Niedziela.

Będę miał zapewne okazję wrócić wkrótce do tematu wczorajszego zebrania. Zaznaczę wtedy, jakie prądy się ujawniły i jakie było stanowisko poszczególnych grup i osób w stosunku do demokratycznego pisma polskiego i w ogóle do sprawy demokratycznej wśród ludności, mówiącej po polsku. Rzecz to ciekawa i zasadnicza, dotycząca samej podstawy naszych stosunków krajowych. W kilku słowach dziś jeszcze o tym nadmienię. Otóż zdaje się, że jest stanowczą tendencją znacznego odłamu demokratów litwinów i białorusinów — negowanie istnienia i nawet samej możności istnienia w tym kraju demokracji polskiej i ludu polskiego. Całą ludność klas niższych, używającą języka polskiego, uważają oni za litewską i białoruską, chodzi o jej odzyskanie; używanie przez nią języka polskiego a nawet fakt sympatii i świadomości polskiej narodowej uważają oni za rzecz przemijającą, za wytwór nienormalnych stosunków, co powinno być z gruntu zmienione. Za polską uważają oni tylko inteligencję, wyższe mieszczaństwo i szlachtę ziemiańską. Tylko Iwanowski Wacław sformułował wyraźnie taki pogląd otwarcie i prosto, ale niewątpliwie demokraci litewscy (jak Slażewicz, Vileišis, Bulat) tak samo się na to zapatrują i, mówiąc o piśmie, jako organie demokracji krajowej, a zaprzeczając mu charakteru organu demokracji polskiej, w gruncie rzeczy chcą tego, aby akcja demokratyczna w języku polskim służyła odzyskaniu na rzecz litwinów i białorusinów ludności, mówiącej dziś po polsku i nawet uważającej się za polską. Zastrzegł, który stosunków żywych i istotnych celów i dziejów historycznych poszczególnych grup społecznych i narodowych w kraju nie zna, upaja się pięknym frazesem o demokracji krajowej i zaiste piękne słowa pozorne za treść istotną. Co do mnie, to mam na tę sprawę pogląd inny. Zgadzam się, że ogromna część tej masy, która to dziś jest uważana za polską, jest w gruncie rzeczy dotąd pozanarodową; są to białorusini katolicy, ludność litewska na wschodniej granicy etnograficznej Litwy, resztki drobnej szlachty na Białej Rusi i Litwie, szczątki przeszłości, w zdrowiu swoim litewskiego i białoruskiego, które żadnej świadomości narodowej nie mają, siebie nazywają „tutejszymi" albo „katolikami", a przez wpływy kościoła, stosunki i t.d. zbliżone do polskości i nawet używające zepsutej gwary polskiej. Polonizować gwałtem te resztki, przywłaszczać je dla narodowości polskiej i pretendować do jakiegoś monopolu w stosunku do nich — naturalnie nie należy, zwłaszcza zaś demokracji polskiej. Resztki te powinny same określić świadomie swą narodowość i do niej się wcielić; przedewszystkiem więc trzeba rozwinąć w nich myśl, trzeba, żeby im się oczy otworzyły, żeby umysł ich wyzwolił się od przesądów i przeżytków, żeby się one uzdolniły do zrozumienia swych potrzeb i celów oraz dróg rozwoju, a to się dokona zwłaszcza na drodze oświaty i uspołecznienia ich, to znaczy na drodze demokracji. Ponieważ te resztki czytają po polsku, więc słuszne jest, aby demokratyczna prasa polska, która je obsługuje, dawała im nie tylko gotową kulturę polską, lecz też informowała wszechstronnie o kulturze litewskiej narodowej i białoruskiej, wyjaśniała istotę i znaczenie ruchu litewskiego i białoruskiego, dążenia litwinów i białorusinów do zdobycia sobie praw rozwoju narodowego i t.d. Słuszne jest, aby w piśmie polskim równolegle do polaków powołany był do tej czynności współredaktor litwin i białorusin i t.p. To będzie sprawiedliwe i piękne współdziałanie demokracji polskiej z litewską i białoruską. Ale o ile demokracja polska nie powinna przeszkadzać świadomemu litwinizowaniu się i białoruszczeniu tych biernych dotąd i pozanarodowych mas „tutejszych", o tyle też demokracja litewska i białoruska nie może i nie powinna odmawiać tym resztom prawa do świadomego polonizowania się. Masy te zapewne się z biegiem czasu zróżniczkują narodowo i skierują się w trzy te kierunki — litewski, białoruski i polski, co już i teraz się odbywa. Wszystkie trzy te kierunki powinny być równie uprawnione. Póki takiej zróżnicowanej litwinizacji też już dziś ...

polska — demokracja polska, pod względem narodowym już ustalona. I dla tej demokracji polskiej pismo musi być polskie. Pismo zatym takie musi być organem demokracji polskiej, z wyższą przyjaźnią demokracji litewskiej i białoruskiej w stosunku do masy szarego nieświadomego, który pora ... polskim korzysta z pisma w polskim języku. Takie jest moje wyrażenie więc — to też chcę, aby organizacja pisma była zbudowana na tych zasadach. Sądzę, że takie elementy, jak Szaulys, Biržiška, Kairys nawet, jak Łuckiewiczowie, Własow, zgodziliby się z tym zdaniem. Byłem dziś na odczycie ekonomisty polskiego ... o kooperacji. Odczyt był ciekawy i piękny, choć grzeszył zbytnim przywiązaniem się do konserwatystów i wstrzemięźliwości. ... w redakcji „Kurjera Krajowego". Większą część dnia spędziłem z kochaną Aneczką. ... pilnością i staranniejszą w trosce oraz nowym przywiązaniem, jakie wykazuje do mnie, w każdym kroku, w każdym drgnieniu uczucia swego, w każdym słowie swego życia.

18 listopada / 1 grudnia, rok 1913, poniedziałek.

Pod wieczór rozpocząłem artykuł do następnego, drugiego, N-ru „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego”, który ma wyjść z druku w grudniu. Stadziewicz prosił mię o napisanie artykułu, a ponieważ mam wejść do komitetu redakcyjnego tego pisma i ewentualnie nawet objąć jego kierownictwo osobiście, więc naturalnie bardzo dbam o danie artykułu i to dobrego. Miałem pisać o dzielnicowym zjeździe Izby eksportowej rosyjskiej, który ma się odbyć, zdaje się, w Wilnie tej zimy w sprawie odnowienia traktatu handlowego z Niemcami. Zjazd ten ma dość poważne znaczenie dla kraju naszego i teraz instytucje ekonomiczne i handlowe kraju ~~[illegible]~~ gotują się do niego czynnie, a nad szczegółami zorganizowania zjazdu krzątają się energicznie głównie p. Paweł Kończa, dyrektor Banku Wileńskiego Ziemskiego, i Morawski, litwin, ten sam, którego Stadziewicz ma powołać do komitetu redakcyjnego „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego”. Stadziewicz miał mnie dostać od Morawskiego materiały, dotyczące tego zjazdu, ale tymczasem Morawskiego w Wilnie nie ma, a artykuł do N-ru bieżącego jest już potrzebny, więc zacząłem pisać na inny temat. Zatytułuję artykuł zapewne: „Pieniądz”, i wyjaśnię funkcję ekonomiczną pieniądza w ogóle i w szczególności w stosunku do kraju naszego. Bardzo się palę do redagowania tego pisma ekonomicznego; chętnie bym się podjął tej roli w charakterze zupełnego redaktora i gorąco bym się tej pracy oddał; sprawy bowiem ekonomiczne zajmują mię bardzo i rozumiem ich wielką wagę dla rozwoju kraju. Stadziewicz projektuje przekształcić pismo z kwartalnika na miesięcznik — tym lepiej. Nie wiem tylko, jak się materialnie to wydawnictwo przedstawia i czy ma ono szanse trwałości. Nie wiem też, czy Stadziewicz chce mię angażować na płatnego czy bezpłatnego kierownika; chciałbym oczywiście być płatnym, bo tylko wtedy mógłbym się pracy poważnie i swobodnie oddać, a zasiłek pieniężny jest mi niezmiernie potrzebny.

Wieczorem byłem u Bułata na zebraniu zarządu „Żiburėlis'a”. Była tylko p. Kortkiewiczowa, ja i członek komisji finansowej towarzystwa — Bułat. Omawialiśmy sprawę urządzenia wieczoru z koncertem na dochód „Žiburėlis'a” — w styczniu. Bułata poznaję coraz lepiej i zyskuje on w moich oczach coraz większą sympatię. Jest to człowiek trzeźwy i praktyczny, a bardzo ruchliwy. Dużo też temperamentu, potężnego [illegible], a zarazem przenikliwości. To robi zeń doskonałego polemistę, doskonale władającego audytorium w szermierce z przeciwnikiem. W tym właśnie jest sekret, dlaczego Bułat jest tak uwielbiany przez swoich przeciwników [illegible]. Jest on dla nich straszny i zawsze ich pokona w szermierce, a tego nie lubią.

19 listopada / 2 grudnia rok 1913. Wtorek.

Całe pół dnia do samego niemal obiadu zajęty byłem dokończeniem zaczętego wczoraj artykułu do „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego". Z pracy tej jestem zadowolony. Mam wrażenie, że to artykuł nie szablonowy, poruszający rzecz ciekawą i żywotną w życiu ekonomicznym, mianowicie rolę pieniędzy w gospodarce społecznej i uwzględniający nie tyle ich ilości, ile właściwie ich funkcji w sprawach i zagadnieniach gospodarczych kraju. Artykuł po napisaniu zaniosłem do Stadniewicza. Uważam, że w każdym № tego pisma oprócz artykułów sprawozdawczych lub omawiających jakieś tematy czy sprawy zupełnie konkretne, powinien być przynajmniej jeden artykuł zasadniczy, mający poniekąd charakter naukowy, co nie przeszkadza mu być aktualnym.

Głowa mię dziś bolała i czułem się niezupełnie zdrów. Chwilami się nawet bałem, żeby ten ból głowy nie był zwiastunem tyfusu, którym się mogłem zarazić od chorego Stefusia.

Wieczór, jak wszystkie wolne wieczory, spędziłem u Anny. Czas nam z nią schodzi na nauce i rozmowie tak miło, [redacted] że ani się obejrzeć zdołamy, jak nastaje pora rozstania. Anna uczy się bardzo pilnie i w ogóle jest zdolna, zwłaszcza gdy się zważy trudności, które musi pokonać z powodu nieznajomości języka i braku inteligienckiego wyćwiczenia umysłu w subtelnościach naukowych. Ale sam ten fakt, że ja tak pragnę dla niej nauki i tyle wagi do tego przywiązuję, służy mojej kochanej Anni za potężny bodziec do pilności i pokonywania ciężkich przeszkód. Miłość gorąca i ofiarna mojej Anny do mnie i jej szlachetna dumna natura sprawiają, że z całym wytężeniem oddaje się tej nauce, pragnąc godnie odpowiedzieć zaufaniu i życzeniom memu. A gdy się jej nauka udaje dobrze, gdy, widząc jej postępy, pochwalę ją i uściskam, promienieje cała ze szczęścia i garnie się do mnie z uczuciem wdzięczności i wstydliwego wesela. Natomiast nie znosi Anna tonu szorstkiego i niecierpliwości z mej strony. Wtedy się zraża, wpada w przygnębienie, wątpi w swe siły, zaczyna się trząść w płaczu i milczeniu. Ta [illegible] łączy się nowym elementem, który nas coraz bardziej łączy. Stosunek nasz, choć jest [redacted] rodzinny, jednak tak samo świeży i gorący, jak był w pierwszym roku.

20 listopada / 3 grudnia, rok 1913. Środa

Rano byłem u Lucjana Kobylińskiego. Udało mi się go wreszcie zastać. Prosiłem go o pomoc dla mnie, o protekcję do prezesa Izby Carinka w sprawie wyjednania mi na następne półrocze świadectwa na prawo prowadzenia spraw cywilnych. Kobyliński bardzo uprzejmie wysłuchał mej prośby i obiecał zrobić, co może. Wprost do Carinka się nie zwróci, bo go zna bardzo mało, to też nie miałby okazji do pomówienia z nim na ten temat. Zwróci się wszakże i pomówi z wiceprezesem Izby p. Malininem oraz, co ma już mniejszą wagę, z członkiem Izby Andruckim. W każdym razie wybada u Malinina, jak się przedstawia sytuacja i jakie są ewentualnie nadzieje lub drogi. Kobyliński chętnie zawsze udziela protekcji, gdy może w czyimś interesie dopomóc, zwłaszcza dla krewnych i spowinowaconych oraz w ogóle ludzi z rodzin arystokratycznych i szlacheckich. Lubi też, gdy go się o protekcję prosi, i uważa to, zdaje się, za swoje główne powołanie. W tym to głównie celu zachowuje stosunki z przedstawicielami władzy i w ogóle obcuje ze sferami rządzącemi. Uważa się za rzecznika spraw rodzimych i społecznych ziemiaństwa, niejako za dyplomatycznego ambasadora arystokracji u sfer rządowych. Z gruntu jest to człowiek dobry, wielki galant, elegancki i niezmiernie uprzejmy [?], gładki, ruchliwy mimo starości, — wielki pan starego szlacheckiego autoramentu, nawet w fizycznym typie swoim, z długiemi włosami siwemi i długim siwym wąsem na twarzy białej o wyrazistych rasowych pięknych rysach, podobny do hetmanów i panów polskich z Targowicy. Politycznie jest to także pomniejszy [?] typ targowicki, opierający byt polski narodowy na arystokracji i szlachcie, gardzący i nie umiejący nawet zrozumieć jakiejś sprawy ludowej, zakładający sprawę społeczną na lojalizmie względem państwa i dynastji, wierzący w siłę stosunków, wpływów i łaski panujących i rządzących. W toku rozmowy z Kobylińskim zrozumiałem, jaka jest jednak wielka różnica między karjerowiczami z arystokracji, a karjerowiczami z chłopów, jakim jest naprzykład taki Carink. Arystokrata, robiący karjerę, nie spodli się jednak tak, jak się spodli karjerowicz pospolitego pochodzenia, bo arystokrata zakłada karjerę na stosunkach i stanowisku swoim [skreślone] rodowym, podczas gdy taki chłop za jedyną dźwignię karjery osobistej ma własną uniżoność, to też patrzy, jak pies, w oczy panu, pracownika spostrzegający [?] w tej chwili u góry przed czy nad sobą i służy niewolniczo, forsując łaskawość [?] w swojej gorliwości z całą bezwzględnością; arystokrata zaś, nawet karjerowicz, jest z samego stanowiska swego niezależniejszy, a przeto względniejszy i bardziej ludzki.

Wieczorem poszedłem do Anny nie pośpiesznie [?], chcąc mieć wieczór wolny, — a to dlatego, że moja Anna jest dziś na dorocznym ogólnym zebraniu Wileńskiego towarzystwa łotewskiego [?] (i balotuje się jako kandydatka do komisji teatralnej). Wstąpiłem na chwilę w jakiejś sprawie do Antoniego Łuckiewicza, a że on szedł właśnie do klubu białoruskiego na posiedzenie sekcji literackiej, więc z nim tam razem poszedłem. Klub białoruski (urzędowa [?] jego nazwa brzmi, zdaje się: „Białoruskie kółko muzyczno-dramatyczne") ma już teraz własny lokal w domu Wolbeka przy ul. Wileńskiej № 29 (w tym samym domu, w którym mieściła się redakcja „Gazety Wileńskiej") i tak, jak litewska „Rūta" i jak polska „Lutnia" (choć na mniejszą oczywiście skalę, bo jest bez porównania uboższy), zwłaszcza od tej ostatniej [?] urządza co tydzień wieczorki taneczne, ma własny chór śpiewacki, ma trupę amatorską teatralną i t. d. Przy klubie tym skoncentrowane są rozmaite znaczenia i funkcje ruchu białoruskiego i tu się ogniskuje życie całej ich sprawy, promieniując stąd w szeregu zasięgów [?] i działań praktycznych. Stan ruchu białoruskiego i jego organizacja są bardzo ciekawe i życie społeczne, które tu się dopiero rodzi.

21 listopada / 4 grudnia rok 1913. czwartek.

Całe przed-obiedzie i pół godziny pod wieczór spędziłem z Anną, korzystając ze święta prawosławnego. Odbyliśmy z nią lekcję historji i głośnego czytania, wybraliśmy razem w magazynie obicie, które kupiłem do Wiarowa, pospacerowaliśmy trochę. Anna poraz pierwszy ubrała się w swoje ciepłe palto pluszowe z futrzanym kołnierzem lisim, które sobie sprawiła kosztem wielkiego wysiłku pieniężnego, bo się zadłużyła u mnie na 60 rb. i teraz będzie mi spłacała po 10 rb. miesięcznie. Anna nie jest zadowolona z palta, uważa je za zanadto grube dla siebie i martwi się, że za taką cenę nie ma tego, co by chciała. Wstydziła się wyjść poraz pierwszy w tym nowym palcie. Dodałem jej wszakże otuchy, chwaląc palto, które jest ciepłe i jest istotnie dla niej po twarzy: wygląda porządnie bardzo i statecznie, a ładnie.

Po obiedzie był u mnie Stadniewicz z młodym Sienkiewiczem z Autokoła, od którego plac kupuję. Umówiliśmy się o cenie i warunkach kupna i, jak tylko Sienkiewicz wygotuje osobny planik sprzedawanej parceli, to spondziemy umowę o kupnie („zaprodażną”). Wieczorem poszedłem do teatru z Ewą (Helcią) i Henrysiem, którym zafundowałem bilety. W teatrze był też Papa z Eliżką Pruszanowską (Papa odbywa swą comiesięczną wizytę w Wilnie, a Eliżka Pruszanowska bawi tu z matką, Kotunią, która wraca z Finlandji i odwozi do domu swą chorą na koklusz córeczkę Irkę). W teatrze grano dramat Hauptmanna p.t. „Święto pokoju”, karykaturalną satyrę na szczęście rodzinne. Zwabiony byłem nazwiskiem Hauptmanna, autora utworów niepospolicie głębokich i pięknych, jak „Dzwon zatopiony”, „Hanele”, „Furman Henschel”, „Tkacze”. Wszakże tym razem Hauptmann zawiódł. W „święcie pokoju” myśl jest niewątpliwie głęboka, ale doprowadzona w przesadzie do karykatury, i wykonanie jest straszliwie rozwlekłe. Czytelnik czy słuchacz dawno już zrozumiał myśl i tragedję rodzinną dramatu, a autor wciąż mu ją jeszcze tłumaczy i ilustruje, ilustruje bez końca, — do zupełnego wyczerpania. A że przez się rzecz jest ciężka, więc zmęczenie staje się wreszcie nieznośnem. [illegible] była kiepska.

22 listopada = 5 grudnia rok 1913. piątek.

Wieczorem odbył się dalszy ciąg zebrania z ubiegłej soboty w sprawie organizacji „Kurjera Krajowego". Zebranie było mniej liczne, niż pierwsze. Z polaków obecny był tylko dr. Sumorok, Mańkowski i ja, z litwinów Jan Vileišis i Šaulys, z białorusinów jeden Antoni Łuckiewicz. Kwestja zasadnicza, która była tak szeroko omawiana na ubiegłym zebraniu — czy pismo ma być organem demokracji polskiej czy też demokracji krajowej — nie była tym razem dyskutowana. Zeszłą razą większość opowiedziała się za demokracją krajową, przeciwko czemu najgorzej oponował Mańkowski i na co też ja się nie zupełnie godzę. Dziś kwestję tę złagodzono. Przede wszystkiem dr. Sumorok zaznaczył na wstępie, że wystąpienie w piśmie w charakterze „demokracji krajowej" obudziłoby wśród publiczności polskiej, zwłaszcza wileńskiej ogromną nieufność do pisma, bo już dziś wrogowie nasi, nie wyłączając „przeglądowców", starają się zdyskredytować „Kurjer Krajowy", jako nie-polski. W tych warunkach można byłoby się narazić wprost na bojkot. Bez dyskusji więc przyjęliśmy określenie, że pismo ma być „polskim organem demokratycznym". Jest to formuła nieokreślona, mająca być kompromisem między stanowiskiem „demokracji polskiej" a „demokracji krajowej". W rzeczywistości, jeżeli organizacja projektowana dojdzie do skutku, pismo będzie wyrazem współdziałania czy współpracownictwa demokracji polskiej, litewskiej i białoruskiej. Postanowiliśmy bowiem ustalić komitet organizacyjny z 9 osób — 3 polaków (dr. Sumorok, Mańkowski i ja), 3 litwinów (Jan Vileišis, Šaulys i Kairys) i 3 białorusinów (Antoni i Iwan Łuckiewiczowie i Wacław Iwanowski). W grupie litewskiej Kairys jest reprezentantem nietylko litwinów, jako takich, ale zwłaszcza esdeków, którzy też mają należeć do pisma, jako jedna z równoległych grup, zastrzegając sobie pewną autonomię i prawo wpływu, co zresztą jest bardzo na rękę, bo wpływ esdeków wpłynie na uwydatnienie społecznego kierunku w piśmie i spopularyzuje je w masach robotniczo-rzemieślniczych. Wolałbym o wiele, żeby do reprezentacji polskiej w komitecie organizacyjnym wszedł Zasztowt zamiast Sumorka, który jest [illegible] i kieruje się nieraz więcej fantazją i sympatjami osobistemi niż przekonaniem. Zasztowt ideowo przedstawia większą siłę od Sumorka, ma też zapewne większą sferę wpływu; przytem zaś Zasztowt, który jest dla sprawy demokratycznej bardzo cenny, jest nastrojowcem i przeto musi być trzymany w ciągłym bliskim kontakcie z naszym ogniskiem działania, aby się nie ulotnił. Sumorok zaoponował wszakże przeciwko wpisaniu Zasztowta, bo ma do niego jakiś uraz. Narazie więc Zasztowt nie został wpisany, ale postaramy się go wciągnąć, bo wszyscy, prócz Sumorka, chcieć go w swym gronie [illegible]. Sumorok się obawia szczególnie ze względu na [illegible] Miejską; ma on tam swoją własną politykę sympatji osobistej i będzie [illegible] przeciwko postulatom zasadniczym, które reprezentować będzie Zasztowt z innymi elementami opozycji. [illegible] tendencje Sumorok i pismu narzucić zechce, bo to człowiek ambitny i samowolny, postawiony [illegible] karności. W tym składzie [illegible] mają się nadal odbywać zebrania w sprawie organizacji pisma. Obrano też [illegible] tymczasowy komitet redakcyjny z trzech osób: mnie, Antoniego Łuckiewicza i Šaulysa; mamy dostarczać dla pisma artykułów wstępnych, dawać wskazówki Mańkowskiemu i t.d.. Najgorzej mamy sprawę z [illegible] organizacją redakcji, bo Mańkowski jest tylko tymczasowo. [illegible] Henryka Jankowskiego na redaktora [illegible], bo [illegible]. Obecnie na pomocnika redaktora postanowiliśmy przyjąć [illegible], który był w „[illegible]".

23 listopada
6 grudnia
rok 1913.
sobota.

Biedny Janulaitis chory jest ciężko na tyfus plamisty. Dziś jest już, zdaje się, dziesiąty dzień choroby. Stan jest groźny. Dowiedziałem się o jego chorobie dopiero wczoraj. W adwokaturze koledzy są bardzo zasmuceni i zaniepokojeni, bo Janulaitis jest ogólnie lubiany, zwłaszcza zaś cieszy się sympatją elementów żywszych i postępowszych (prócz „przeglądowców" zresztą, który go nie nabył lubić).

Co sobota regularnie w „Kurjerze Krajowym" bieda z wypłatą tygodniową zecerom i drukarni. Zawsze brak w kasie gotówki i zawsze rozpoczyna się uganianie się za ~~[illegible]~~ wydębieniem od kogoś pieniędzy. Dziś też wieczorem spotkałem na mieście Antoniego Łuckiewicza, który śpieszył wziąć ze sobą Makowskiego i ruszać po flotę, kołatać do rozmaitych sympatyków i mecenasów pisma. Na szczęście Łuckiewiczowie ~~[illegible]~~ zapewnili stałe subsydjum miesięczne dla pisma w kwocie rb. 400 (co miesiąc). Jakie jest źródło tego subsydjum — nie wiem; oczywiście, że to nie z ich własnych funduszów, bo takowych nie mają; podobno to Iwan Łuckiewicz znalazł kogoś, który się podjął wypłacania tej sumy na „Kurjer Krajowy", i nie życzy sobie się wszakże ujawniać. Nie darmo nazywają Iwana Łuckiewicza białoruskim ministrem finansów; umie on istotnie, przez swą nadzwyczajną obrotność, wynajdywać źródła na wszelkie potrzeby i sprawy białoruskie lub pokrewne demokratyczne. Subsydjum miesięczne 400-rublowe prawie że bezwzględnie zagwarantuje byt dalszy pismu, jeżeli tylko nie zawiedzie. Pozostają wszakże jeszcze poważne zaległości wynoszące do 3000 rb., a subsydjum bowiem będzie pochłonięte przez wydatki bieżące. Otóż te 3000 rb. muszą być pokryte z udziałów Litwinów i demokratów polskich.

24 listopada
1 grudnia
rok 1913.
niedziela

Wieczorem poszedłem z Anną na przedstawienie teatru ukraińskiego, bawiącego w Wilnie i dającego dziś ostatnie przedstawienie pożegnalne (w gmachu cyrku na placu Łukiskim). Anna przed teatrem była na zebraniu Łotyszów w „Bździe” i tak była stęskniona do mnie, tak podrażniona tym, że to zebranie łotewskie pozbawiło ją kilku godzin zabawienia ze mną i to właśnie w niedzielę, którą Anna tak zazdrośnie rezerwuje zawsze dla nas, że gdy wróciła i gdy trzeba było iść do teatru, była biedaczka nieutulona w żalu i prosiła mię, abyśmy zostali w domu. W teatrze bowiem nie posiada mię Anna tak wyłącznie dla siebie, jak w domu, gdy jesteśmy we dwoje. A przywiązanie Anny jest tak silne, tak gorące i wyłączające wszelkie dzielenie się mną z kimkolwiek lub czymkolwiek, że nie ma dla niej większego szczęścia, jak być ze mną i tylko ze mną we dwoje. Jest zazdrosna o wszelką rzecz, która pochłania uwagę moją, o wszelkie wrażenie, które nie z niej pochodzi. A gdy musi być ze mną wobec ludzi, gdy spędza czas ze mną poza domem, tęskni do mnie, bo mię nie czuje całkowicie i niepodzielnie swoim. Żal jej każdej chwilki naszego stosunku straconej, jak skąpcowi żal pieniędzy wydanych. Przecudny jest ten liryzm tęsknoty, którym Anna tak naiwnie zabarwia nasz stosunek! Ma on nie pospolitą ekspresję w uczuciu, płynącą z głębokiej szczerości jej natury.

Ponieważ bilety do teatru były kupione, poszliśmy. To też miałem podwójną przyjemność z wieczora, bo oprócz samego teatru i w stopniu o wiele silniejszym upiłem wrażenie artystyczne z mojej Anny, która się garnęła do mnie z wyrazistością przepięknej tęsknoty i uwielbienia oraz smutku pewnego, co nadawało jej wygląd niezmiernie uduchowiony i ładny, pełny szlachetności i dystynkcji. Miłość i głęboka szlachetna natura mojej Anny podnosi ją do poziomu, który to proste dziecko ludu stawia ponad szeregi ludzi kultury i arystokracji, tonącej tak pospolicie w filisterstwie umysłu i uczucia. W teatrze ukraińskim grano 2 sztuki: jedną komedyjkę rodzajową i operetkę „Zaporożec za Dunajem” z czasów wojen kozacko-tureckich. Gra artystów ukraińskich była dobra, a choć sztuki, zwłaszcza pierwsza, były dość ubogiej treści, jednak miały obie charakterystyczne zacięcie temperamentu ukraińskiego, demokratyzmu i barwnej tradycji narodowej tego pięknego ludu, łączącego rzewność i rozlewny tęskny smutek stepów rodzinnych z hajdamacką awanturniczością i temperamentem dzikich czasów pierwotnych, zahartowanych w jaskrawych dziejach wojen kresowych. W kostiumie, w śpiewie, w mowie tego ludu, w charakterze jego — dźwięczą dotąd krwawe, awanturnicze, zapalone miłością swobody dzieje Ukrainy i jej kwiatu — Zaporoża. Nie tyle sztuki same dzisiejszego teatru, ile obserwacja tej duszy ukraińskiej, — sprawiły na mnie wrażenie artystyczne, budzące poczucie realnego bytu narodów i ludów, jako żywych fragmentów i osobników historii. Taką samą jest i Anna Ukrainka od Kijowa, taką samą jest ona z mowy od takich ludzi, równiej demokratycznych tak samo. To tyszę, do których mnie Anna należy, lub litwinów! Każdy naród, każdy lud to żywa odrębna rzeczywistość. Demokracja łotewska — to twardy lud północny wyjątkowo i mocny, niezmordowany, jakie inny w niej potężne i głośni twórczej od rówieśnej twórczej głębi Ukrainy.

25 listopada. / 8 grudnia. rok 1913. poniedziałek.

Ponieważ przyjąłem wybór do tymczasowego komitecika redakcyjnego „Kurjera Krajowego", więc się czuję zobowiązanym do pewnej pracy na rzecz pisma. W ostatnich czasach, gdy „Kurjer Krajowy" bardzo podupadł i stał się poprostu świstkiem brukowym, tracąc cechy pisma ideowego, zaprzestałem zupełnie współpracownictwa w nim. Od kilku wszakże tygodni „Kur. Krajowy" znów się trochę zaczął poprawiać, — przynajmniej sensacja przestała w nim być wystawiana na czoło, to też raz przed tygodniem zdecydowałem się na umieszczenie w nim artykuliku sprawozdawczego z odczytu Radziszewskiego. Komitecik redakcyjny, który został wyłoniony na zebraniu piątkowym, jest dość nieokreślony. Wchodzą doń 3 osoby — Antoni Łuckiewicz, Šaulys i ja. Nie jest to stały komitet, jeno tymczasowy pomocniczy, związany z rozpoczętą akcją ratunkową. Kwestja stałej organizacji redakcji pozostaje otwarta, bo się uzależnia przedewszystkiem od znalezienia dopiero osoby przyszłego redaktora. Znaleźć takiego człowieka dla pisma demokratycznego polskiego w Wilnie — bardzo trudno. Maćkowski jest redaktorem tylko prowizorycznie. I sam on nie chce pozostać na stałe (nie może nawet, skoro ma kończyć studja uniwersyteckie), i jego nie bardzo chcą. Ale ponieważ narazie niema wyboru i volens nolens Maćkowski musi jeszcze na czas jakiś pozostać, więc do pomocy mu i do czuwania nad ideowym kierunkiem pisma utworzony został nasz komitecik tymczasowy. Największe wszakże, co dać pismu możemy przez ten komitecik, — to dostarczanie mu kilku artykułów wstępnych na tydzień, dalej krytyka i wskazówki natury ideowej. Šaulys to rozumie się, że będzie dobry tylko do krytyki, bo na artykuły nie umie się zdobyć na poczekaniu, — nad każdym artykułem musi tygodniami ślęczyć. My więc tylko z Antonim dostarczać pismu będziemy artykuły wstępne. Dziś mnie wypadło napisać. Nie miałem żadnego tematu przygotowanego, to też ledwie się zdobyłem na wymyślenie i napisanie artykuliku o [illegible] z powodu nowego projektu o skazywaniu takowych. Obowiązek periodycznego dostarczania artykułów wstępnych do popularnego dziennika nie jest łatwy i wygodny, gdy się w redakcji stale nie pracuje. Człowiek jest zajęty czym innym, a tu trzeba na poczekaniu wynaleźć temat aktualny, nie mogąc jednocześnie myśli rozwinąć i pogłębić, bo artykulik musi być krótki.

26 listopada.
9 grudnia.
rok 1913.
wtorek.

Był u mnie znowu Stadniewicz, który teraz co kilka dni wpada do mnie bądź dla porozumienia się w sprawie zorganizowania komitetu redakcyjnego „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego", bądź dla oceny ~~artyk~~ przeczytania artykułów, przeznaczonych dla pisma. Materiału jest dużo; jeżeli tak dalej będzie, to nawet przy zmianie pisma z kwartalnika na miesięcznik, będzie kłopot raczej z nadmiaru, niż z braku rękopisów do druku. Teraz, oprócz artykułu mojego o pieniądzu, są już w rękopisach artykuły: Hertza o uprzemysłowieniu rolnictwa, inżyniera Gustawa Wołodkowicza o historii papieru, artykuły Antoniego Łuckiewicza, Zubrowskiego, jakiegoś pana z pod Dyneburga o lnie, i obiecane lub będące w przygotowaniu artykuły Folejewskiego, Morawskiego, W. Łastowskiego, Janiszewskiego. Słowem — zaczyna się ruch literacki na gruncie tego nowego pisma, co świadczy o tym, że zainteresowanie sprawami ekonomicznymi kraju jest i że takie pismo może być żywotne.

Stadniewicz zmienił trochę projekt co do sposobu zorganizowania komitetu redakcyjnego. Zamierzał on wpierw sam dobrać komitet redakcyjny i zwołać takowy [illegible], jako taki. Teraz chce on zwołać już trochę więcej osób na zebranie organizacyjne, z tym, żeby zebranie to wybrało samo komitet. Myśl ta podoba mi się. Będzie to zebranie grona współpracowników i sympatyków pisma. Poradziłem Stadniewiczowi, aby nie tylko zaproponował zebraniu temu wybrać komitet, lecz też utworzyć rodzaj stałej grupy współpracowniczej, zwoływanej kilka razy do roku dla omówienia ogólnych potrzeb pisma; komitet redakcyjny byłby organem tej grupy, posiadając jej sankcję, odwołując się do niej periodycznie i ulegając pewnej kontroli lub dyrektywie. Będzie to dobre, bo zwiąże pismo z pewnym gronem ludzi, da mu podstawę, której teraz brak. Pismo takie nie powinno być puszczone samopas; stanie się ono wyrazem pewnej grupy współpracowniczej ekonomistów, [illegible] i przyczynić się ewentualnie może do utworzenia zawiązku zorganizowanych studiów krajowo-ekonomicznych. Takie więc zebranie ma zwołać Stadniewicz na poniedziałek. Ustaliliśmy spis ~~osó~~ osób, które mają być na to zebranie zaproszone, a więc: ja, Seweryn Łuckiewicz (brat redaktora „Tygodnika Rolniczego"), administrator tego pisma, człowiek przekonań postępowych, były pps-owiec, mój dawny i dobry znajomy z Paryża, człowiek inteligentny i chętny pracować realnie, ściśle się znający na sprawach handlowych, dobrze widziany w kołach ziemiańskich), inżynier Wilpiszewski (nie znam go osobiście; w N1 pisma był jego artykuł statystyczno-przemysłowy), Marian Zubrowski, Józef Folejewski (dobra głowa, zdolny i dla pisma ekonomicznego przydatny, choć dla mnie osobiście mało sympatyczny, [illegible] bardzo rozważny i daleko sięgający a wytrwale dążący do celu, teoretycznie niby [illegible], z czego się jednak prędko wyleczy, bo wszelkie przekonania [illegible] w nim przed względami kariery, ale dość rozumny, aby nie dać pozorów ~~[illegible]~~ brutalnej [illegible] [illegible]), inżynier Janiszewski, [illegible] i [illegible] przeszłości i zbieracz [illegible] wileńskich, trochę grafoman, sam się jednak zgłosił do Stadniewicza, a że może wynieść ze swych notatek i wiadomości [illegible] jakieś przyczynki do spraw ekonomicznych, więc go przyjąć można, a [illegible], który nikomu nie szkodzi), dalej litwini Morawski, litwini Michał Biržiška i Jerzy Šaulys, białorusini Wacław Iwanowski (dyrektor wileńskiego syndykatu rolniczego) i Wacław Łastowski (z „Naszej Niwy"). Nie wiem dobrze, jaką rolę przeznacza Stadniewicz mnie w organizacji redakcyjnej. Angażował mnie na „kierownika literackiego", ale dotąd nie określił bliżej, na czym polegać mają moje funkcje w piśmie. Tymczasem tylko zgromadził mi wszystkie rękopisy do przejrzenia – [illegible] w każdej sprawie, ale decydujące ostatecznie [illegible]. [illegible] stanowisko [illegible], bo rola [illegible] mogę [illegible] funkcji kierownika. No ale to się określi chyba na zebraniu poniedziałkowym.

27 listopada
10 grudnia
rok 1913.
Środa.

1 ż 2 p 3 l 1 r 2 b

Kraskowski opowiadał dziś o zjeździe autonomistów-federalistów, który się świeżo odbył w Moskwie. Kraskowski wraz z Antonem Łuckiewiczem brali udział w zjeździe w delegacji białoruskiej. Zjazd ten miał wznowić ideę autonomiczno-federacyjną, która kiełkowała dość silnie w Rosji w latach 1904-1907 a która później w czasie reakcji [illegible] zamarła. Właściwie idea ta jest wciąż żywa na kresach państwa Rosyjskiego, u ludów i narodów nierosyjskich. Ale nie miała ona w ostatnich leciech jakiegoś zorganizowanego wyrazu, jakiejś formy żywej wymiany i obcowania poszczególnych ludów. Każdy lud osobno żywił ją w tej czy innej postaci, w tym czy innym stopniu. U nas zjazdy autonomistów odbywały się w r. 1904 w Wilnie z udziałem inteligencji demokratycznej narodowości [illegible] krajowych, polaków, litwinów, białorusinów i żydów. Potem w r. 1905 w dobie rewolucji idea autonomji, nawet państwowości krajowej (Litwy i Białej Rusi) zdobyła sobie popularność ogromną i stała się podstawą politycznych programów demokracji. W I i II Dumie posłowie ludów nierosyjskich utworzyli grupę pozapartyjną specjalną pod nazwą Związku autonomistów-federalistów. Zjazd obecny miał nawiązać nowe obcowanie ludów na gruncie idei autonomicznej i spróbować wcielić ją w stałą organizację czynną. Na zjeździe tym reprezentowani byli rosjanie, ukraińcy, białorusini, gruzini i esto-łotysze. Polska reprezentacji nie dała, zupełnie świadomie, tak samo, jak Finlandja, ponieważ Polska, jak Finlandja, stoi wyraźnie na gruncie nietylko dopiero autonomji, ale całkiem odrębnej samodzielnej państwowości własnej. Nie było tatarów, nie było tatarów (muzułmanów), nie było żydów i ormian. Litwini też byli nieobecni, ale [illegible] polecili reprezentacji białoruskiej wyrazić zasadniczo swoją gotowość do współudziału. Zjazd był zwoływany na zasadzie narodowo-terytorjalnej i dzielnicowej, to też co do reprezentacji narodowości bez terytorjalnych zachodziła wątpliwość o dopuszczalności takowej. W takiej pozycji są przedewszystkiem żydzi, ormianie i także — polacy litewscy, białorusscy i ukraińscy. Po dyskusji wszakże uznano, że nadal i żydzi i ormianie powinni być dopuszczeni. Co do polaków litewskich, to okazuje się, że ze staraniem Ledóchickiego była na zjazd zaproszona grupa „przeglądowa" i oczekiwany był przyjazd Witolda Abramowicza, który jednak nie stawił się. Ledóchicki grupę „przeglądową" wystawiał, jako jedyną demokratyczną polską, ujmującą wszystkie elementy postępowe, przeciwko czemu oponowali białorusini, wykazując istnienie innych elementów demokratycznych polskich poza „przeglądowcami". Rosjan przedstawiali głównie kadeci, których na zjeździe było pięciu (w tej liczbie Ledóchicki, jako reprezentant kadetów, nie zaś delegat polski). Kadeci zachowywali się nieszczere, hamując tendencje autonomiczne na rzecz aspiracji centralistycznych (imperjalistycznych). Drugi zjazd ma być zwołany w maju. Ciekawy zwrot w [illegible] zebranie inteligencji rozmaitych narodowości dla wysłuchania sprawozdania Kraskowskiego ze zjazdu i mówienie [illegible]

28 listopada.
11 grudnia.
rok 1913.
czwartek.

Depesze przyniosły wiadomość o odrzuceniu przez większość petersburskiej Rady Państwa języka polskiego w samorządzie miejskim Królestwa Polskiego. Ten nowy brutalny zamach na elementarne prawa narodowe, dokonany pod hasłem imperializmu rosyjskiego, — to nowy cios i nowa klęska nie tyle dla Polski, której mocy to złamać w najmniejszej mierze nie zdoła, ile dla „ugodowej” praktyki polityków burżuazyjno-feudalnych Koła polskiego. Czy warto coś mówić i oburzać się na większość Rady Państwa? Postąpiła ona tak, jak postąpić musi zawsze rabuś i podły rzecznik gwałtu i niewoli. Dziwić by się raczej należało, gdyby w tym gnieździe najpodlejszej reakcji zwyciężyły raptem pierwiastki szlachetne i względy szacunku dla prawa, ~~[illegible]~~ życia i ludzkości. Z powodu tej uchwały Rady Państwa napisałem artykuł wstępny do „Kurjera Krajowego”.

W mieszkaniu naszym przeprowadzamy teraz z Marynią elektryczność. Wprowadzamy ją tylko do trzech pokojów — do salonika, przedpokoju i jadalnego. W moim pokoju elektryczności nie będzie, bo ~~[illegible]~~ jej nie lubię. Jestem pod tym względem konserwatystą. Dwóch rzeczy z pośród współczesnych, coraz bardziej upowszechniających się wymogów komfortu — nie lubię, — to elektryczności i telefonów, i dopóki mogę, obchodzę się bez nich. Za to pod innym względem zdobyłem się na postęp w domu — to opalanie pieców węglem kamiennym zamiast powszechnego jeszcze w Wilnie opału — drzewa. Dopiero od roku, wobec wielkiego podrożenia drzewa opałowego, węgiel zdobywać zaczyna w Wilnie prawo obywatelstwa.

29 listopada. / 12 grudnia. rok 1913. piątek.

Wieczorem zebrali się u mnie Antoni Łuckiewicz, Šaulys i Maśkowski dla pomówienia w sprawach redakcyjnych „Kurjera Krajowego". Przyszedł też esdek-litwin Michał Biržiška, zaproszony na to zebranko przez Šaulysa. Niedługośmy zresztą ~~[illegible]~~ rozmawiali; jedną z głównych naszych czynności będzie dostarczanie pismu przez nas artykułów wstępnych. Ja się podjąłem dawać 2 artykuły wstępne na tydzień, tyleż Antoni Łuckiewicz, Šaulys — jeden artykuł, wreszcie Biržiška też przyrzekł jeden wstępny na tematy ze stosunków i spraw robotniczych. Zapewne że czasem ktoś z nas skrewi i nie da na dzień obiecany artykułu, ale w każdym razie większość dni w tygodniu będzie przez nas zaopatrzona w artykuły wstępne, co już wielce ulży w pracy Maśkowskiemu i szczupłym siłom redakcyjnym. Zresztą chodzi nam właśnie o to, aby artykuły te były nie przez Maśkowskiego pisane, bo nie uważamy go za zbyt odpowiedniego do zabierania głosu w sprawach zasadniczych, dotyczących bezpośrednio naczelnego kierunku pisma. Poza tym Šaulys podjął się stałego wypełniania rubryki z życia litewskiego (notatki informacyjne). Wreszcie ustaliliśmy, że zebrania nasze będą się odbywały regularnie raz w tygodniu w piątki o godz. 7 wieczorem u mnie. Na zebraniach tych będziemy planowali tematy, które należy uwydatnić, będziemy dokonywali ewentualnie krytyki pisma i udzielali wskazówek Maśkowskiemu, który będzie się uważał (na co się zgodził) za wykonawcę naszych wskazań.

30 listopada.
13 grudnia.
rok 1913.
sobota.

Rozmawiałem dziś w Sądzie z Bagińskim. Ucieszyłem się, bo z rozmowy tej przekonałem się, że Bagiński nie przestał być człowiekiem żywym i że bezczynność i pustka, które obecnie w jego ideowym życiu zapanowały, ciążą mu i sprawiają przygnębiającą tęsknotę. Po aresztowaniu esdeków w czasie wyborów zeszłorocznych do Dumy, Bagiński był jednym z nielicznych, którzy ocaleli. Szczupła grupka esdeków wileńskich została rozbita. Z czynnych i wiernych sztandarowi esdeków-inteligentów pozostali poza represją tylko Litwini – Michał Biržiška, Kairys i Janulaitis, i jeden Polak Bagiński. Dla Litwinów to rozbicie garstki esdeckiej nie było takim ciosem, jak dla Bagińskiego. Nie osamotniło to ich w tym stopniu, co Bagińskiego, bo w demokratycznym społeczeństwie litewskim ideowe prądy socjalistyczne mają ciągły kontakt z życiem bieżącym. Śród inteligencji demokratycznej litewskiej kierunek socjalistyczny ma swoje wpływy, ma swoje działanie, nie tylko w postaci bezpośredniej, ale też jako element składowy jej ideologii w najrozmaitszych układach i prądach społecznych. Toteż esdecy-Litwini w swoim środowisku społeczno-narodowym, śród którego żyją i działają, mieli więcej pola dla swych ideałów i aspiracji najistotniejszych. W gorszej pozycji był Bagiński. W społeczeństwie polskim na Litwie, pojonym kulturą szlachecką, pierwiastki socjalistyczne zupełnie niemal nie istnieją, a jeżeli nawet przenikają z zewnątrz, to pod wpływem środowiska kulturalnego ulegają spaczeniu i wylewają się w kształty dziwaczne, niezgodne z ich właściwym założeniem ideowym. Tu nawet „postęp" i „demokracja" wyrażają się w kształtach zgoła innych, niż gdzie indziej, i jeno z olbrzymim trudem torują sobie drogę do tego działania w stosunkach społecznych. Bagiński został zupełnie wykolejony i osamotniony. Posądzałem go nawet o zobojętnienie do wszelkich w ogóle ideałów.

Myliłem się. Bagiński sam cierpiał dużo z powodu tego bezwładu, w jakim się znalazł. A że ponadto były powody do obawy, aby represje i na niego nie spadły, więc musiał się tym bardziej odosobnić i usunąć z drogi czynnej. Toteż chętnie teraz garnie się do roboty i do udziału czynnego w organizacji [illegible] czy w tworzącej się nowej grupie demokratycznej.

1 (14) grudnia.
rok 1913.
niedziela.

W dzień dziś byłem na posiedzeniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Oprócz spraw bieżących omawialiśmy też sprawę zareagowania towarzystwa na piękny czyn p. Stanisława Montwiłła, który wybudował swoim kosztem teatr w Poniewieżu, i oddał go do użytku wszystkich narodowości miejscowych. Tak polacy, jak litwini, żydzi i rosjanie będą mieli w równej mierze prawo użytkowania tej sceny dla teatru swojego. Dziś właśnie na miejscu w Poniewieżu uroczyste otwarcie tego nowego teatru. Jest to piękna uroczystość pojednania, — pokoju i miłości, kultury. Stanisław Montwiłł uświęcił godnie swoje stanowisko obywatelskie, dał wzór ofiarnej, czynnej cnoty. Nie wiem naturalnie szczegółów wykonania tego dzieła, ale, niezależnie od wykonania, myśl sama w sobie jest pełna zasługi. A inicjatywę Montwiłła tym bardziej u nas cenić należy, że jest ona zapoczątkowaniem nowym i otwiera drogę w przyszłość, tworząc wzór niezwykły. Ludzi ofiarnych u nas nie brak i szlachta oraz arystokracja polska w tym kraju nie jest pozbawiona szlachetnych jednostek i uczynków. Ale ofiarność ta skierowuje się najczęściej do Królestwa lub Galicji, słowem — do Polski etnograficznej, na cele ogólne narodowe. Uchowaj Boże, abym te cele uważał za złe i ganił ofiarność taką. Ale równolegle do tych celów są potrzeby krajowe nasze, niezmiernie pilne i doniosłe, a zaniedbane, bo wysiłki społeczne i praca zbiorowa nie są u nas zbyt rozwinięte. Otóż w porównaniu do ~~celów~~ ofiarności na cele ogólnonarodowe polskie, ogniskujące się w Warszawie czy Krakowie, ofiarność na potrzeby kulturalne i społeczne krajowe jest ~~[illegible]~~ zbyt uboga. Taki czyn Montwiłła właśnie tę drogę, nader pilną, formę ofiarności wyraża.

Postanowiliśmy od imienia zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" posłać depeszę do Montwiłła, witając dzieło jego.

Wieczorem w klubie inteligientów odbył się obiad adwokacki składkowy na uczczenie jubileuszu 25-lecia działalności zawodowej adwokata-żyda Friedmana. Na obiedzie było kilkudziesięciu adwokatów. Spiłem się, jak zwykle, i bynajmniej się nie zabawiłem dobrze. Wyniosłem jeno wrażenie niesmaku i głęboki smutek z powodu tej słabości mojej, oraz wstyd wobec sumienia własnego.

2 (15) grudnia
rok 1913.
poniedziałek.

Spiłem się wczoraj i przełajdaczyłem noc całą, jak bydlę. To też dziś czułem się zmęczony i chory, a do niedomagania fizycznego dołączyły się wyrzuty sumienia i wrażenia brudu moralnego. Nie mogę sobie darować ~~tego~~ tej słabości mojej. Teraz zdarza mi się to rzadko, bo nie piję i nie hulam wcale. Pod tym względem zbawienny jest dla mnie wpływ Anny i jej miłości, która jak puklerz strzeże mię od hulanek i od zmysłowych namiętności. Nie doświadczam teraz tych jakichś głuchych tęsknot zmysłowych, pragnienia szału i pociągu do orgji hulackich, jakie się budziły we mnie dawniej czasami. Dziś samo wspomnienie Anny, samo poczucie tej miłości gorącej a pełnej takiego bezmiaru szczerości, koi mię i daje szczęście, budząc odrazę do miłostek sprzedajnych i do sztucznych ~~[illegible]~~ ~~alkohol~~ podniet alkoholu. To też nie doświadczam nawet w tym kierunku pokusy. Każdą godzinkę wolną chciałbym tylko Annie, jej jednej, poświęcić. Ale oto taki obiad zbiorowy, jak wczorajszy, zdolny jest jeszcze sprowadzić upadek. Gdy zacznę pić, to piję jeszcze i jeszcze, aż tracę miarę i wreszcie świadomość oraz władzę moralną nad sobą; wtedy wypełzają jakieś głuche instynkty i kierują mnie do jaskini upadku i chuci. Tak było i wczoraj. Przez cały obiad byłem przytomny, potem jeszcze dość długo gawędziłem z rozmaitymi kolegami, piłem z nimi, dysputowałem z p. Tadeuszem Wróblewskim, słuchałem pięknego basowego śpiewu Witolda Abramowicza, przyglądałem się zabawom, aż przy tym powtarzanym ciągle piciu straciłem świadomość; jak wyszedłem z klubu i kiedy, jak wędrowałem, nie wiem. Wiem tylko, gdzie się nad ranem obudziłem. A do upokorzenia moralnego przyłącza się jeszcze żal z powodu wydanych rozrzutnie w tę noc łajdacką pieniędzy. Jestem zły na samego siebie i smutny.

Napisałem krótki artykulik dla „Kurjera Krajowego" o otwarciu w Poniewieżu teatru Montwiłłowskiego. Wieczór spędziłem u mojej złotej Anny.

3/16 grudnia
rok 1913.
wtorek.

Wieczorem byłem u Sklennika na nie-
szczęsnym zebraniu Towarzystwa popierania ko-
operacji. Obecni byli członkowie Zarządu Sklen-
nik, Witold Abramowicz i ja, instruktor
towarzystwa Kolendo i członkowie towarzystwa
Stadziewicz i Rzebusowski. Idąc na zebranie,
spotkałem Witolda Abramowicza, który mię
uprzedził, że Sklennik znów jest zrażony do
Kolendy, jak był na wiosnę zrażony do jego
poprzednika Rzebusowskiego, i że znów, jak wte-
dy, wytoczyć ma na ~~zebraniu~~ dzisiejszym
zebraniu Zarządu cały proces zarzutów i ża-
lów do niego. Jakoż po omówieniu na wstę-
pie kilku spraw bieżących, Sklennik posta-
wił na porządku dziennym kwestję instru-
ktora. Przypomniawszy, że Kolendo, angażując
się we wrześniu na posadę instruktora, obiecy-
wał, że za 2 miesiące, to znaczy do 1 listopada,
o tyle się przygotuje, że będzie w stanie spełniać
samodzielnie funkcje instruktora, a więc móc
objeżdżać stowarzyszenia, udzielać im wskazówek,
sprawdzać ich rachunkowość i t. d., wreszcie dawać
wyjaśnienia w sprawie zakładania nowych sto-
warzyszeń i t. d., i stwierdziwszy następnie, że
dziś, po 3 miesiącach, Kolendo jeszcze tym, co
obiecywał, nie jest, zaczął go Sklennik indago-
wać, co on umiał i na co liczył, dając obietni-
cę, i w jakiej mierze uważa się w chwili obecnej
za uzdolnionego do spełniania przyjętych obo-
wiązków. Sposób tej przemowy i zapytania był
tak niedelikatny, taki jakiś pełny niechęci do
Kolendy, przykry i jakby przesądzający jego nie-
dolność i niedostateczną wiedzę, że Kolendo, odpowia-
dając, zaczął też robić zarzuty względem Sklennika,
wywołując znowu repliki z jego strony. Sprawa zaczęła
się przemieniać na utarczkę między Sklennikiem a
Kolendą. Sądziłem, że wytoczy się znowu taki zatarg, jaki
był onego czasu z Rzebusowskim. Obecność Rzebusowskiego
na dzisiejszym zebraniu dodawała specjalnego tonu tej
nowej rozprawie, budząc świeże reminiscencje i wrażenia.
Musieliśmy się wdać w tę zbaczającą na manowce zatargu dysku-
sję, przedewszystkiem ja, potem Abramowicz i inni; udało się
nam skierować ją na tory rzeczowego omówienia najbliższych czyn-
ności przygotowawczych Kolendy i zatarg zażegnać, choć nie jestem pewny,
czy Sklennik, który się zatarg zraził, będzie w stanie traktować Ko-
lendę bez uprzedzeń i mieć go za współpracownika swego. Kolendo będzie miał teraz
praktykę, która wykaże, czy się on nadaje do pełnienia i przyswojenia funkcji instruktora; jest
on chłopiec ... z ... i gdzie ... ale jest trochę powolny, nieco
... i brak mu ... w myśleniu i metodycznym sprężystości w pracy.

370.

Pośrednio wieczorem na zebraniu miesięcznem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w nowym gmachu własnym towarzystwa. W gmachu tym byłem po raz pierwszy, bo na zebraniu poprzedniem, które się odbywało jednocześnie z uroczystością otwarcia gmachu, nie byłem obecny. Zresztą gmachu dziś nie oglądałem, jeno widziałem przedpokój czy nawet nie oraz salę posiedzeń, obszerną, wygodną dla zebrań towarzystwa, choć chłodną. Osób na zebraniu było ± 40-50. Przewodniczył Bronisław Umiastowski. Na początku, gdy p. Paweł Kończa referował o rezultatach układu z Tyszkiewiczami w sprawie przyłączenia do zbiorów towarzystwa Przyjaciół Nauk — zbiorów Tyszkiewiczowskiego towarzystwa Muzeum Nauki i Sztuki, nie byłem obecny. Sprawa ta na poprzedniem zebraniu, jak o tem zdaje się wspominałem, wywołała gorące debaty, w których grono oponentów z Brensztejnem i Studnickim na czele gorąco w imię godności nauki protestowało przeciwko udzielaniu jakichś tytułów honorowych i szczególnych zaszczytów Tyszkiewiczom, choćby za cenę pozyskania ich zbiorów. Dziś opozycji tej nie było. Z opponentów był jeden tylko Studnicki; przyłączył się też do niego w głosowaniu Stanisław Kościałkowski, który już jest stworzony do dyskusji publicznej i który zawsze skromnie się trzyma na uboczu. Zresztą dyskusji gorącej nie było; trafiłem jeno na sam jej koniec, gdy Studnicki dowodził konieczności zachowania towarzystwa Muzeum Nauki i Sztuki, jako instytucji samodzielnej, choćby tylko fikcyjnie, powołując się na trudność zakładania nowych instytucji polskich i przeto konieczność [struck through] utrzymania nieprzyjaznej formy zewnętrznej towarzystw istniejących. Oponował więc przeciwko rozwiązaniu tego towarzystwa z powodu oddania jego zbiorów Towarzystwu Przyj. Nauk i chciał, aby zebranie wyłoniło komisję do ustalenia nowego układu z zachowaniem t-stwa Muzeum N. i Szt. Zwrócono mu słusznie uwagę na to, że Towarzystwo Przyj. Nauk nie może ze swej strony [struck through] domagać się zachowania innego towarzystwa, które jedynie samo jest kompetentne do decydowania o swoim życiu lub rozwiązaniu.

Potym omawiane były sprawy finansowe. Śród innych rzeczy zaakceptowane zostały dwie darowizny pieniężne warunkowe na rzecz towarzystwa, — jedna od generała Wojnickiego w kwocie 1000 rb. z obowiązkiem dożywotniego wypłacania jemu i żonie 6% od tej sumy oraz użycia pieniędzy na urządzenie gmachu bez prawa wydatkowania na opłacenie zaległości za roboty poprzednio wykonane, i druga od niejakiego p. Świerzyńskiego, [illegible], w kwocie 500 rb. z obowiązkiem dożywotniego wypłacania mu 7% od tej sumy.

Na ostatku inżynier p. Januszewski wygłosił ciekawy referat o źródłach wodnych, ich składzie chemicznym i naturze, w rozmaitych pokładach ziemnych miasta Wilna na podstawie długoletnich badań osobistych. Referat ten był ciekawy nietylko pod względem czysto teoretyczno-naukowym, ale też ze względu na wydatniejszy w niem [illegible] zagadnień [illegible] z potrzeb życia. Inżynier Łastowski (Leśnik) zaproponował, aby Towarzystwo poprosiło prelegienta Januszewskiego o utrwalenie tablic i złożenia ich do archiwum Towarzystwa, jako przyczynku do studiów o Wilnie. Studnicki zaś rozszerzył wniosek Łastowskiego i zaproponował, aby przy Towarzystwie utworzona została komisja, złożona ze specjalistów rozmaitych gałęzi wiedzy dla gromadzenia materiałów [illegible] ze wszelkich dziedzin tak przyrodniczej, jak ekonomicznej, statystyczno-[illegible] i t.d. Wniosek przyjęto z uznaniem i polecono Studnickiemu opracować go w postaci [illegible].

4 (17) grudnia rok 1913. Środa

5 (18) grudnia rok 1913. Czwartek.

Jak co roku, miał się odbyć dziś i zapewne odbył obiad koleżeński zamieszkałych w Wilnie prawowiedów. Nie wziąłem w nim wszakże udziału, będąc zbrzydzony do pijaństwa po niedzielnej libacji adwokackiej i zresztą nie gustując bynajmniej w towarzystwie prawowiedów, karjerowiczów i rusyfikatorów wileńskich, wsteczników moskiewskich z krwi i kości. Ani mi są drogie moskiewsko-patrjotyczne i ultra-reakcyjne „tradycje" prawowiedów, ani zachęcające toasty za cara, ni ich obiedzie lub wspólny śpiew ohydnego hymnu „Bosze, Cara chrani!".

Poszedłem wieczorem na zebranie grupy współpracowników „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego", zwołane przez Stadziewicza w jego mieszkaniu. W zebraniu tym wzięli udział: urzędowy redaktor pisma Stadziewicz, inżynier Wilpiszewski, inżynier Janiszewski, Seweryn Łukiewicz, Marjan Dąbrowski, ja, Antoni Łuckiewicz, Morawski, Michał Biržiška i Jerzy Sauliss. Oprócz tego byli zaproszeni, lecz dla tych czy innych powodów nie mogli przybyć Łastowski (z „Naszej Niwy"), Iwanowski Wacław, Kolejewski, Uziębło, Studnicki. My ze Stadziewiczem poinformowaliśmy na wstępie obecnych, że zebranie dzisiejsze jest zwołane dla zaprojektowania organizacji pisma i w szczególności wyboru komitetu redakcyjnego do pomocy Stadziewiczowi w kierownictwie i dla nadania pismu charakteru bardziej planowego; że grupa współpracowników, która się dziś zebrała, ma zadać postać i zbierać się od czasu do czasu dla udzielania komitetowi wskazówek, krytyki wykonywania przezeń pracy, wreszcie dla utrzymania żywego kontaktu pisma i redakcji z gronem osób zbliżonych doń przez współpracownictwo i w ogóle interesujących się sprawami ekonomicznemi kraju naszego. Taka grupa współpracowników mogłaby się stać ewentualnie zawiązkiem kółka ekonomistów, którego potrzeba jest u nas oddawna wyczuwana i nie raz podnoszona. Zaraz na początku wywiązała się dyskusja na temat, czy dla pisma należy ustalić a priori jakiś określony kierunek, czy też robić tego na razie nie warto. Antoni Łuckiewicz wyraził zastrzeżenie co do niedopuszczalności na przyjęcie kierunku antysemickiego, którego pewnych aluzji dopatrzył się w artykule p. Stefana Okulicza w № 1 „Przeglądu Handl.-Przem.". Wilpiszewski natomiast skłaniał się do uznania właśnie kierunku antysemickiego za wskazany, uważając że główny cel pisma popieranie handlu i przemysłu chrześcijańskiego, a nawet ściślej polskiego, w walce jego z przemysłem i handlem żydowskim. Nikt jednak nie poparł idei Wilpiszewskiego; uznawano, że pismo służyć powinno potrzebom krajowym, a chociaż wszyscy nie mniej zdawali sobie sprawę z tego, że w takiej sferze, jak stosunki ekonomiczne, rozwój z koniecznością wywoływać musi i będzie rozmaite przeciwieństwa interesów czy to stanów społecznych, czy wielkiego przemysłu i handlu z drobnym, i t. p., czy też tendencje, sprzeczne między sobą, poszczególnych grup narodowych, i że prędzej czy później kierunek pisma, tak ekonomiczny, jak nawet polityczno-społeczny, będzie musiał się ujawnić i skonkretyzować, to jednak dziś z góry formułować go nie będziemy. Oczywiście kierunek ten zostanie ustalony przez pracę komitetu redakcyjnego, który wybieramy. Wszyscy zresztą, którzy dziś byli obecni, reprezentują ideę demokratyczną, to też

6 (19) grudnia, piątek, rok 1913.

Większą część dnia spędziłem z Anną, korzystając z galówki Carskiej. Wieczorem wszakże rozstaliśmy się; Anna śpieszyła do „Ratty" na próbę łotewskiego teatru amatorskiego, w którym ma w niedzielę wystąpić w jednej z głównych ról, ja — do domu na mające się u mnie odbyć tygodniowe zebranie komitecika redakcyjnego „Kurjera Krajowego" oraz dla przygotowania się do jutrzejszej obrony karnej w Izbie.

Komitecik redakcyjny zebrał się tylko częściowo. Oprócz mnie przyszedł tylko Šaulys i redaktor Mańkowski. Nadzwyczajnych też nie mieliśmy do omawiania. Wogóle pod względem redakcyjnym, t. j. względem treści i układu pisma oraz charakteru ideowego, nastąpiło od paru tygodni wybitne polepszenie. Pismo pozbyło się jaskrawości sensacyjnej, zapełniło się obficiej poważną treścią społeczną, artykuły wstępne stały się rzeczywiście ideowe i zasadnicze. Przyczyniło się do tego poniekąd dostarczanie artykułów wstępnych oraz pewnych notatek przez nas (ja dałem w tych 2 tygodniach 3 artykuły wstępne i 2 artykuliki sprawozdawcze, Šaulys — artykuł wstępny i szereg informacyjnych notatek „z życia litewskiego", parę artykułów dał Antoni Łuckiewicz), ale w jeszcze większym stopniu przyczynił się świeżo zaangażowany przez nas współpracownik redakcyjny — Sokołowski. Daje on codziennie po kilka drobnych artykulików kompilacyjnych na żywe i zajmujące tematy społeczne i polityczne, pisze popularnie i lekko, z pewnym zacięciem swady dziennikarskiej, i szczególnie ma cenną zaletę wynajdywania tematów żywych. Dał też parę artykułów wstępnych, z których szczególnie jeden p. t. „Recepta na [illegible]" zwrócił na siebie ogólną uwagę grona sympatyków pisma. Artykulik ten jest napisany bardzo rzeczowo, z bardzo trafnym ujęciem stanowiska robotniczego, szczerze i rzetelnie demokratyczny. Dopóki nie wiedzieliśmy, że go napisał Sokołowski, sądziliśmy, że pochodzi on od któregoś z eseków. Ja przypuszczałem nawet, że go pisał Biržiška, inni zapewniali, że to z pewnością Kairys, powołując się na sposób ujęcia tematu i na styl. Nikt się nie domyślał, że autorem jest skromny Sokołowski, podrzędny dziennikarz wędrowny, tułający się po pismach najrozmaitszych kierunków, do niedawna współpracownik ultra-klerykalno-antysemickiej „Gazety Codziennej". Sądząc z tych prac, które Sokołowski umieszcza teraz w „Kurjerze Krajowym", można przypuszczać, że byłby on zupełnie odpowiedni jako redaktor pod warunkiem pewnego kierownictwa i dozoru któregokolwiek z nas; pod względem technicznym byłby on o wiele lepszy od Mańkowskiego, którego tylko z konieczności musimy w piśmie do czasu zachować. Mańkowski naturalnie pod względem ideowym stoi wyżej od Sokołowskiego, który pracuje tylko dla chleba, nie mając wielkich aspiracji, ale jest [illegible] i [illegible]. Sokołowski wie o tym, że [illegible] na redaktora zostanie mianowany, to ten wszystkich sił dokłada, aby się w swej pracy zaprezentować dobrze. Jedna jest tylko uwaga, która nas powstrzymuje co do [illegible] jego rozstania się z Redakcją „Gazety Codziennej". Ale najważniejsza teraz kwestia co do organizacji „Kurjera Krajowego" jest zorganizowanie administracji, usunięcia [illegible] chaosu i anarchii, która istnieje. Wydanie komitetu organizacyjnego

Šaulys nosi się z projektem ewentualnego zgłoszenia swojej kandydatury na lektorat języka litewskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, wakującej po dymisji Herbaczewskiego.

7 (20) grudnia
rok 1913.
sobota.

Broniłem w Sądzie Okręgowym niejakiego Kacietowicza, włościanina z pod Wilna, oskarżonego o to, że w jesieni roku zeszłego, będąc w stanie podniecenia i afektacji, i chociaż bez premedytacji, ale rozmyślnie, zadał ciężką ranę łopatą żelazną po głowie innemu włościaninowi z tej samej, co on, wsi, niejakiemu Maksimowiczowi. Zajście to miało miejsce w czasie kłótni i bijki po dobrym uraczeniu się całej kompanii piwem i wódką. Tak oskarżony Kacietowicz, jak poszkodowany Maksimowicz, jak wszyscy świadkowie, stający czy to ze strony oskarżenia czy obrony, należeli do najciemniejszych pijackich elementów podmiejskiej ludności włościańskiej. Dziś też przed sądem uraczyli się zapewne tego wódką. Oskarżony i poszkodowany dyszeli ku sobie nienawiścią, a wszyscy świadkowie zeznawali stronnie na korzyść tej lub innej strony. Oskarżony Kacietowicz był pijaniutki i w czasie rozprawy sądowej wyrywał się ciągle z opowieścią o zajściu, mówiąc rozwlekle i od rzeczy, plącząc i wikłając się w szczegółach. Broniłem go nieźle. Udało mi się zepchnąć oskarżenie z torów zamachu pierwotnego na tory zbrodni o wiele lżejszej, bo tylko udziału w bójce („draka"), bez zamiaru zadania rany. Przysięgli tak też orzekli winę Kacietowicza i w dodatku określili zadaną ranę, jako lekką. Wobec tego Kacietowicz otrzymał prawo pogodzenia się z poszkodowanym, który decydował się na zgodę za rb. 30. Ale pijany Kacietowicz tak był zajadły i wściekły na przeciwnika, że się nie chciał za tę cenę godzić. Wobec tego sędziowie wyznaczyli mu karę 8 miesięcy więzienia i 45 rb. odszkodowania na rzecz Maksimowicza. Smutny był widok tego rozwydrzenia złości i tej bezmiernej ciemnoty tych ludzi.

8 (21) grudnia
rok 1913.
Niedziela.

O południu wybraliśmy się z Anną het na kresy miasta w okolice stacji towarowej do hyclów dla kupienia suczki, która mi jest potrzebna do Wiazowca. Potrzebna ona dla towarzystwa Burysiowi, który sam jeden się nudzi i nie może usiedzieć w domu, gdy jest nieprzywiązany; biegnie wtedy do wiosek, znika czasem na dni kilka, a co najgorsze, że kąsa tam ludzi; za tę dziewczynkę, którą w listopadzie pokąsał, Bieniakierski (naturalnie, że z moich pieniędzy) zapłacił potym parę rubli; nie o samą tylko zapłatę chodzi, ale o niedopuszczalność kąsania ludzi przez psa. Jakoż u hyclów znaleźliśmy suczkę odpowiednią; jest prosta, niewielka, może nawet trochę dla Burysia za mała, ale zdrowa, tłusta, akurat taka, jakiej trzeba; zapłaciłem za nię rubla i jeszcze napiwku hyclowi, który mi ją przyprowadził do domu. Będzie siedzieć tymczasem u mnie w mieszkaniu; pod wieczór już się trochę oswoiła, bo z początku była bardzo onieśmielona; ma apetyt wielki, choć jest tłusta i była u hyclów karmiona mięsem końskim. Jest tylko nieokrzesana, bo od razu dziś nabrudziła w pokoju.

Wieczorem Anna poszła do „Buty”, gdzie dziś grać będzie w Łotkiewskim teatrze amatorskim. Ja zaś pozostałem do domu. Odbyło się u mnie zebranie komitetu organizacyjnego „Kurjera Krajowego”. Obecni byli: Jan Kiliszis, dr. Sumorok, Iwan i Antoni Łuckiewiczowie, no i ja. Sprawa organizacji redakcyjnej nie była omawiana, bo pod tym względem stoi nieźle, a choć redakcja ostatecznie jeszcze nie jest uregulowana, to jednak tymczasem funkcjonuje zupełnie zadawalniająco. Omawialiśmy więc organizację administracyjną. Obecnie można powiedzieć, że takowa nie istnieje wcale. Jest to wydawnictwo bez żadnej administracji. Najśkowski jest wszystkim a razem jest zupełnym niczem. Jest poprostu zdumiewające i niesłychane, jak w takich warunkach pismo cały rok wytrwało i nietylko że wytrwało, ale nie straciło prenumeratorów. W ostatnich czasach pismo regularnie przynajmniej jeden dzień w tygodniu a czasem i więcej nie wychodziło. Oprócz tego, [illegible] straconego, jeszcze przynajmniej raz na tydzień, a czasem i 2 i 3, poczta była nieopłacona i przeto prenumeratorowie zamiejscowi i zwłaszcza części wileńskich, otrzymujący gazetę przez pocztę, nie otrzymywała jej przez tyle dni. Ekspedycja była „pod psem”, tak że mnóstwo prenumeratorów nie otrzymywało jej, pomimo ciągłych reklamowań, innych zaś, po skończeniu prenumeraty, posyłano przez całe miesiące gratis, nie rozliczając się po skończeniu należności. Poszukiwanie ogłoszeń nie było wcale praktykowane, wszystko było w zupełnym zaniedbaniu. Tymczasem to pismo nie straciło prenumeratorów i rozchodzi się dziś jeszcze, włącznie ze sprzedażą detaliczną i numerami zamiennymi, w 3000 egzemplarzach.

Najlepsze pismo bez administracji nie może prosperować i w takich warunkach żadne pieniądze, żadne wysiłki nie wystarczą, bo jest to to samo, co sypanie pieniędzy do błota. Teraz pieniądze mają być, a choć nie będzie ich za dużo, jednak trzeba tylko potrafić je zużytkować, aby więcej podnieść pismo na stopę interesu. Postanowiliśmy: poprosić p. Mejłowa [illegible] kierownika wileńskich kursów buchalteryjnych, o zaprowadzenie ksiąg i rachunkowości w piśmie i buchalterji na stałe przez Kwiatkowskiego, [illegible] specjalistę, buchaltera „Zarząd Ziemi”; na administratora zaangażować Świetlińskiego, na inkasenta zaś Piotrowicza.

9 (22) grudnia rok 1913. poniedziałek

Przed obiadem cały niemal czas spędziłem w Zjeździe Sędziów pokoju, gdzie występowałem w sprawie cywilnej miejskiej p. Pankowskiej, dopominającej się zaległego komornego od oficera Popowa. Sprawa była bardzo łatwa. Wygrałem też ją bez trudności.

Wieczorem był u mnie Šaulys, z którym mieliśmy pójść do litwina Šilinga dla pomówienia w pewnej sprawie. Šilinga nie zastaliśmy, więc wstąpiliśmy na chwilę do Łuckiewiczów. Antoni Łuckiewicz odradzał zaangażowania Świętlińskiego na administratora „Kurjera Krajowego", jak to na wczorajszym zebraniu zostało postanowione. ~~Wobec tego~~ Rozmawiał on w tej sprawie z Sokołowskim, który stanowczo uważa Świętlińskiego za nieodpowiedniego do tej czynności. Wobec tego zaangażujemy zapewne Piotrowicza.

Wieczór spędziłem u Anny. Odbyliśmy z nią lekcję historji, potem zaś gawędziliśmy. Nigdy nam nie ~~ni~~ nudno ze sobą, choć siedzimy wieczory całe we dwoje w jej pokoiku malutkim. Nigdy nam nie brakuje tematu do rozmowy, do opowiadania czegoś sobie, do dyskusji, a zresztą i bez tematu, bez rozmowy nie nudzimy się wcale. Teraz przez jesień i zimę nie mamy tego urozmaicenia wrażeń, jakie miewamy na wiosnę lub latem, gdy robimy wycieczki i spacery.

Śnieg wypadł i od dziś stanęła sanna. Mrozik niewielki, śniegu niedużo, ale dość.

10 (23) grudnia, rok 1913.

O godz. 2 popołudniu zebraliśmy się w redakcji „Kurjera Krajowego" dr. Sumorok, Iwan Łuckiewicz i ja, którym polecono wykonać uchwałę wtorkowego zebrania komitetu organizacyjnego w sprawie zorganizowania administracji pisma. Wykonanie tego zadania miało pewien moment drażliwy i przykry; należało bowiem przedewszystkiem usunąć Małkowskiego, zawiadomić go o organizowaniu administracji bez jego udziału i niezależnie od niego. Gdyśmy się zebrali, zamknęliśmy się z Małkowskim w gabinecie redaktora i tam powiedzieliśmy mu o decyzji komitetu i o funkcji, która nam zlecona została. Zagajając sprawę i komunikując Małkowskiemu o uchwale komitetu, starałem się ustrzec od jakiejkolwiek krytyki jego osoby i działalności, motywując potrzebę zorganizowania samodzielnego administracji tym, że wobec bliskiego terminu wyjazdu Małkowskiego (mówił on nam poprzednio, że zgodził się zostać czasowo tylko do nowego roku) ~~jest~~ koniecznością jest ustalenie machiny administracyjnej zaraz i to na takiej stopie, aby mogła ona funkcjonować trwale niezależnie od jego wyjazdu. Potem przeszliśmy do omówienia samego sposobu i szczegółów zorganizowania administracji oraz ewentualnego ~~[illegible]~~ preliminarza pisma. Widoczne było, że Małkowski odczuł ujmę usunięcia go i że go to zabolało mocno. Zrozumiał, że sprawę tę organizować prógniemy sami, bez jego udziału i pośrednictwa, i że tylko jego kurtuazja go do obecności przytym dopuszczamy. Próbował ratować sytuację i zaproponować jako swój udział w tworzeniu administracji, ale my z linji naszej nie zbaczali. Był mocno zażalony, gdyśmy chcieli wezwać Sokołowskiego do porozumienia się z nim w tej sprawie; chciał przez to dziś temu, ale myśmy Sokołowskiego wezwali. Sama sprawa administracji przedstawia się tak. Łuckiewiczowie prosili już Mochowa o ustalenie księgowości buchalteryjnych wydawnictwa. Mochow się zgodził; ma to być zrobione, jak tylko zaangażowany będzie nowy administrator. Co do administratora, to postanowiliśmy zaangażować Piotrowicza, który chwilowo wyjechał z Wilna, lecz w tych dniach ma być z powrotem. Oprócz stałego buchaltera, którego da nam Mochow, i administratora Piotrowicza, będzie jeszcze ekspedytor. Jeden z nich podejmie się też czynności inkasenta ogłoszeniowego. Redakcja zaś będzie się składała z 2 stałych pracowników — Sokołowskiego, jako kierownika literackiego, czyli głównego twórcy pisma, i Święcickiego, jako wykonawcy kroniki i korektora. Oprócz tego kilka artykułów wstępnych (po 4 [illegible]) jakiegoś tygodniowo dostarczać będą pismu członkowie komitetu redakcyjnego. Prawdopodobnie później, jak tylko sytuacja się polepszy, trzeba będzie dobrać trzeciego stałego pracownika redakcyjnego. Co do finansów pisma, to subsydja jego 400 rb. miesięcznie, jako dodatek do dochodów normalnych z prenumeraty, sprzedaży detalicznej i ogłoszeń, byłyby wystarczające do pokrycia wydatków bieżących. Zostaje wszakże jeszcze do 1500 – 2000 rb. zaległości, które muszą być opłacone, a na które źródeł brak. Była więc kwestja, a przypuszczamy, że całe [illegible] miesięcy nas czas w znalezieniu pieniędzy na pokrycie tej luki, od której może utonąć nam cały pismo.

348.

11 (24) grudnia rok 1913. Środa.

1b1ż3p2b1r

Przyjechał dziś z Petersburga jeden pan, wybitny działacz, objeżdżający całą Polskę przed nowym rokiem. Przywiózł nam książkę osobliwą, łączącą z formą legalną treść zakonspirowaną. Książka to szczególna, która może leżeć w bibliotece i być czytana przez wszystkich profanów, przez samą cenzurę nawet, nie budząc żadnych podejrzeń i nie ujawniając swej treści istotnej. Dopiero ludzie wtajemniczeni są w stanie wyczytać jej zawartość rzeczywistą. Dla ludzi tych przemawia ona choć temi zgłoskami i słowami, ale inną całkiem treścią. Książka ta mówi i głosi to, o czym dla profanów milczy. Dziwnie się kształtuje mistyka konspiracji.

Na ciekawej dyskusji z powodu zbliżającego się styczniowego zebrania upłynął wieczór.

Pozatym dzień upłynął dość bezbarwnie. Wieczór tylko wynagrodził ciekawie szarzyznę dnia. We dnie załatwiałem interesa, byłem zajęty robotą powszednią. U Anny zabawiłem krótko przed obiadem, bo gdy nie mogę być u niej wieczorem, to zawsze choć we dnie staram się wpaść do niej.

W tym tygodniu nic jeszcze nie napisałem do „Kurjera Krajowego". Trzeba będzie chyba jutro lub pojutrze napisać artykuł wstępny, jeżeli mi czas pozwoli. Biada tylko, że w tym tygodniu mam czas bardzo zajęty i nie wiem, czy zdążę się jakąś pracą literacką zająć.

12 (25) grudnia
rok 1913.
czwartek.

Moja Anna jest rozmarzona myślą o placyku i domku na Antokolu. Tak przylgła biedaczka do tych marzeń, do rojeń o swej gospodarce i ogródku, który tam założy, i tak się tym cieszy, tak się przejmuje, że aż miło na nią patrzeć! Zastałem ją dziś wertującą pilnie książeczki ogrodnicze łotewskie, które sobie sprowadziła. Przyznała mi się, że przez cały dzień dzisiejszy była zajęta tylko myślą o tym swoim przyszłym ogródku i domku. Dla Anny mojej ten placyk z przyszłym domkiem i gospodarstwem ma urok niezwykły. Pochodząc z biednej rodziny, jest córką włościan, oderwanych od gruntu i przerzuconych na ~~bruk~~ miejski; od dzieciństwa rosła w warunkach ciężkiej biedy, wychowywana przez matkę-wdowę, zmuszoną do ciągłego zarobkowania na chleb powszedni dla siebie i dzieci; jako tym samym doświadczyła tułaczki i nędzy służby, w ciągłym niedostatku i niedoli. To też posiadanie domku swego i swojej gospodarki, swojego ogródka, w którym będzie samą u siebie panią, ma dla mojej biednej Anninki urok szczęścia i niezaznanej dotąd rozkoszy. Cała lgnie do tych marzeń o domku i ogródku, a studiując książeczki ogrodnicze, snuje wątek rojeń i tęsknoty coraz więcej. Jest już teraz szczęśliwa na skutek samego myślenia i marzenia. Marzy też, żeby z czasem z dochodów ogródka wykupić ode mnie ten placyk na swoją własność wyłączną, bo obawia się, abym nie zechciał potem placyka tego sprzedać, gdy się podniesie cena na ziemię; z góry już, na kredyt, przywiązała się do tego placyka i przyszłego, niewiadomego jeszcze domka i gorąco protestuje przeciwko sprzedaży go, gdy tylko o tym, jako o rzeczy kiedyś w przyszłości możliwej, wspomnę. Chce, kładąc pracę i uczucie w tę przyszłą gospodarczkę i ogródek, nie dopuszczać myśli o sprzedaży, o wyzbyciu się; sama myśl o tym boli ją. Cieszy mnie ten zapał i ta tęsknota rzewna Anny do własności ziemi i własnej gospodarki. Jest to u niej istotnie instynkt własności, ale nie tej własności kapitalistycznej, służącej za narzędzie do eksploatacji pracy cudzej, własności — przywileju społecznego, jeno tej własności chłopskiej, prostej, na źródłach psychiki ludzkiej, to znaczy własności jako wrostu pracy własnej i jako uzupełnienia samej istoty pracownika. W tym pojęciu własności warsztat pracy, w pradawnym razie niewiele, zlewa się niejako z samą osobą w stopień ciała, streszczając w sobie jego pracę, jego uczucie i wolę. W tym znaczeniu instynkt własności jest rzeczywiście zjawiskiem trwałym i naturalnym. Protest przeciwko własności kapitalistycznej jest właśnie dlatego tak silny, że własność ta jest przeciwna jaskrawie elementarnemu pięknemu instynktowi własności. I samo żądanie proletariatu robotniczego do uspołecznienia własności kapitalistycznej i do uznania uprawnionych robotników za wytwórców w fabryce pochodzi bodaj z tego samego elementarnego instynktu własności. Pracując, to znaczy biorąc udział w produkcji, nie mogą się oni pogodzić ze stanowiskiem najemników, to znaczy handlarzy swej siły roboczej, i żądają dla siebie praw udziału w własności, praw udziału do warsztatu wytwórczego. Dlatego też anarchizm i syndykalizm jest o wiele głębszy i żywotniejszy niż tylko ewolucja ekonomiczna, ale i z natury ludzkiej, niż socjalizm, opierający się tylko na tworzeniu państwowym. Moja Anna jest dla mnie żywym okazem mądrości społecznej tak w tym wypadku, jak w bardzo wielu innych.

13 (26) grudnia, rok 1913. piątek.

Na dziś na godz. 7 wieczór wyznaczone było, zgodnie z powziętą na stałe decyzją, tygodniowe zebranie komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego". Zaprosiliśmy też na zebranie p. Stanisława Sokołowskiego, obecnego kierownika pisma, który już teraz faktycznie zastępuje w redakcji dawne miejsce Maćkowskiego. Sytuacja nie jest pod tym względem dokładnie ustalona, bo formalnie Maćkowski dotąd nie został usunięty, a choć już faktycznie Sokołowski z naszego ramienia zajął stanowisko redaktora i on też całe pismo reguluje i układa, jednak Maćkowski od czasu do czasu się wtrąca i daje rozporządzenia, stawiając Sokołowskiego w pozycji niewyraźnej, dwoistej: nie może on być ani zupełnie samodzielny, ani zupełnie zależny od Maćkowskiego, a ta połowiczność i nieokreśloność kierownictwa redakcyjnego jest oczywiście i dla pisma zła i dla Sokołowskiego niedogodna. Ale w sprawach tego pisma i we wszczętej akcji ratunkowej jest taka mętowiczowość, taki splot zawikłania, że po prostu wybrnąć niepodobna. Ustalenie administracji i buchalterji, które zostało uchwalone, nie może jeszcze dojść do skutku z powodu nieobecności chwilowej Piotrowicza, którego na administratora zaangażować mamy. Najgorzej wszakże jest ze sprawą finansową. Oddawna już Iwan Łuckiewicz oświadczył, że ma jakieś źródło u jakiegoś ofiarodawcy, który zgłosił stałe miesięczne subsydium dla pisma na r. 1914 w kwocie 400 rb. do miesiąc. Jakie to źródło, kto jest tym ofiarodawcą, nie wiadomo, bo Iwan tego nie ujawnia, twierdząc, że ten „ktoś" nie życzy sobie ujawnienia. Naturalnie, że złe języki, otwierając „przeglądowych" szeroko wersją, że subsydium to jest wątpliwej czystości. Wskazuje to na Szeptyckiego, metropolitę unickiego we Lwowie, to na ministerjum austryjackie spraw zagranicznych, jako na domniemane źródła, subsydjujące ruch białoruski za pośrednictwem J. Łuckiewicza, a więc też i „Kurjer Krajowy", uchodzący w opinji „przeglądowych" patrjotów za ekspozyturę białorusko-litewskiej sprawy. Teraz zaś z tych samych kół rozszerzą kolportowaną bajkę o rzekomym pochodzeniu zasiłków na pismo od niejakiej księżny Radziwiłłowej, posiadającej jakoby szczególne upodobanie do polskości na gruncie jakiejś urazy osobistej, wyjaśniając jednak „wrogie" i „szkodliwe" dla sprawy polskiej akcje. W bajki te oczywiście nie wierzę i rozumiem, że płyną one z zawiści i z zadowolenia tych, co „do samej idei kierownictwa" „Kurjera Krajowego" i do ludzi, sprzysięgających się tym pismem. Ale bądź co bądź nieujawnianie przez Łuckiewicza źródła rzekomego subsydium daje bajkom tym strawę i nie jest dobre w kierunku oczyszczania zamętu. Ja zaś osobiście gotów jestem posądzać, że ofiarodawca taki nie istnieje wcale i że to zapowiedziane subsydium jest mitem, manewrem dyplomatycznym pomysłowego Iwana. Podejrzewam to. Możliwe jest, że, rozumiejąc dobrze, iż dla zatkania luki, trzeba wykazać jakąś realną istniejącą podstawę, po prostu stworzył on do czasu bajkę o subsydium, widmo fantastyczne, otoczone tajemnicą, które służyć ma za wabika dopóki się pismo przed innymi materjalnie nie zorganizuje. Obawiam się to twierdzić, ale podejrzewam, że tak jest i przypuszczenie jest możliwe. Wiem tylko, że w listopadzie mówiło się, iż te 400 rb. wpłyną na 1 grudnia; potem termin zrealizowania tych pieniędzy odroczony został do 10 grudnia, potem do 15 grudnia. Dzisiaj zaś przed zebraniem Iwan przyszedł do nas uzbrojony, wyręczając Maćkowskiego, i oświadczył, że ten tajemniczy pan ofiarodawca dał już, jak się okazało, 125 rb. do rąk Maćkowskiego na rzecz subsydium grudniowego, i że Maćkowski te pieniądze zapewne wydał na własne potrzeby (długi czy [illegible]), bo nic o ich otrzymaniu nie mówił; że teraz tajemniczy pan ten odmawia wypłacania reszty za grudzień i że będzie dawał w przyszłości tylko pod tym warunkiem, że Maćkowski istotnie usunięty zostanie i że nowa organizacja pisma, o której się tyle mówi, urzeczywistniona zostanie. To, że się wina zwala na Maćkowskiego w postaci zarzutu tak kategorycznego, nie daje jednak zupełnej gwarancji, że to jest prawdą; Maćkowski bowiem, gdyby nawet był obecny, jest tak wewnętrznie podkopany i tak od Łuckiewiczów zależny, że chronił czy to na pismo czy na własny użytek tak dużo sumy z pieniędzy, za które odpowiadać muszą Łuckiewiczowie, że starają się pisnąć przeciwko Łuckiewiczom. Co prawda Iwan Łuckiewicz jeżeli nie z kieszeni tego pana, to z własnej czy też ze źródeł, będących w jego rozporządzeniu, włożył już istotnie w tym miesiącu do pisma sumy nie mniejsze od tego subsydium, przyrzeka się teraz nie odzyskiwać — a jednak sytuacja jest taka, że oto znów jutro sobota i tak dalej, przynajmniej do nowego roku, są ciągłe wypłaty bieżące pilne, nie mówiąc o zaległościach, a pieniędzy niema, poza wystarczającym dochodów z wpływających jeszcze prenumerat i sprzedaży detalicznej. I znowu błędne koło — rozpaczliwe, fatalne.

Na zebraniu przybyli członkowie komitetu redakcyjnego Antoni Łuckiewicz, Sauer i ja, faktyczny kierownik pisma Sokołowski, wreszcie Iwan Łuckiewicz i Michał Biržiška. Nic nie wspominaliśmy Sokołowskiemu o nowych finansowych kłopotach wydawnictwa, żeby go nie zniechęcić i nie podrywać w nim zaufania, skądinąd zresztą było to krzyczące, bo się miało świadomość, że mówimy z Sokołowskim o wykonywaniu pracy bez pewności, czy wogóle praca ta będzie miała miejsce. Sokołowski bardzo dzielnie pracuje w kierunku ożywienia i urozmaicenia pisma oraz nadania mu treści popularnej i społecznej równolegle do informacyjnej. Zostaliśmy z niego bardzo zadowoleni.

Po tym zebraniu od godz. 9 do godz. 11½ odbyło się u mnie drugie zebranie — komitetu redakcyjnego „Przeglądu Historyczno-prawniczego". Obecny był komitet redakcyjny w osobach Seweryna Wdziekońskiego, Michała Biržiški i mnie oraz redaktora Studnickiego. Pracowaliśmy pośpiesznie intensywnie i bardzo treściwie. Odczytaliśmy głośno i omówiliśmy wszystkie rękopisy, złożone do pisma, oprócz tylko mojego rękopisu o pieniądzach i pracy Wilhelma Szwedera Wołodkowicza o historji fabrykacji papieru, które ze względu na [illegible] odczytywania na sumę tylko recenzję moją, zakwalifikowaliśmy do druku. Niektóre z tych artykułów były wątpliwe, bo miały w sobie pewne cechy kierunku politycznego, niezupełnie odpowiadającego naszym poglądom i naszemu rozumieniu zadań pisma. W każdym wszakże z tych artykułów tyle dzielnej myśli, nadające im wartość niewątpliwą. [illegible] w ogóle [illegible] zachowując całokształt. Z takich artykułów [illegible] artykuł Wilpiszewskiego o [illegible], zawierający kilka bardzo niewygodnych [illegible] [illegible] [illegible] Biržišce, który ma go do druku [illegible] [illegible] [illegible] Łuckiewicza, napisany nie [illegible] [illegible] kompilacyjny i [illegible], artykuł [illegible] [illegible] [illegible]. Wreszcie ustaliliśmy kolejność artykułów do następnego [illegible], który ma wyjść zaraz po nowym roku. [illegible] bardzo, aby pismo mogło się stać kwartalnikiem [illegible].

14/27 grudnia
rok 1913.
sobota.

Miałem dziś w Sądzie Okręgowym dość poważną obronę karną. Sama istota zbrodni, inkryminowanej oskarżonemu Prokopowiczowi, którego bronić musiałem, była bagatelna, ale sprawa była dość skomplikowana, bo chodziło jednocześnie aż o 3 drobne oszustwa, z których każde miało swoje właściwe okoliczności, swoich odrębnych świadków i nieco inną kwalifikację prawną; wszystkie zaś 3 „oszustwa" miały jedno psychologiczne tło wspólne, płynące z dramatu miłości, która wykolejała człowieka dotąd bardzo porządnego i statecznego oraz wtrąciła go w stan nędzy, zdenerwowania i błędnego koła pozycji bez wyjścia. Wszakże nie tylko same okoliczności i tło sprawy nadawały mojej obronie szczególnie odpowiedzialne i trudne zadanie. Najcięższe było to, że obrońcą współoskarżonej Prokopowicza, kochanki jego, młodej i pięknej Andzi Kochanowskiej, był p. Tadeusz Wróblewski, luminarz i gwiazda adwokatury, świetny mówca, wytrawny mistrz sztuki obrończej. Już samo to zestawienie z p. Tadeuszem nakładało na mnie ciężką odpowiedzialność dobrego wywiązania się z zadania obrony. Cięższe zaś jeszcze było to, że interesa obrony kochanki nie były zupełnie solidarne z interesami obrony Prokopowicza i że, jak już z góry było wiadomo, p. Tadeusz, dla uwydatnienia niewinności dziewczyny, zamierza oprzeć swą obronę na przejaskrawieniu dramatu jej zależności, bezwolności, nawet, jak się wyraził, niewoli płciowej („moralnoe podczinienie"), w jakiej była Kochanowska w stosunku do Prokopowicza. Byłem więc oczywiście dość poruszony. Ale już szereg obron, które miałem w tym roku, oswoił mię nieco z występowaniem sądowem i dał mi pewną umiejętność metody. To też broniłem względnie nieźle, choć naturalnie nie tak świetnie, jakby tego wymagała rywalizacja z p. Tadeuszem. Wróblewski rzeczywiście przejaskrawiał sytuację i ponad istotną potrzebę obciążał mojego klienta. Miałem wrażenie, że umyślnie się bawi dodawaniem ciężaru mojej roli. Przysięgli zresztą, których skład był bardzo dla sprawy obrony dodatni (przewodniczącym ławy przysięgłych był Henryk Salkowski), wynieśli dla obojga podsądnych werdykt uniewinniający.

Po obiedzie chodziłem z Janulisem do Sergjusza Łopacińskiego dla poproszenia go o udzielenie jakiegoś pieniężnego zasiłku dla „Kurjera Krajowego". Łopaciński, który jest skąpy, nic nie obiecał, choć się pismem interesuje i sprzyja mu. Może uda się jeszcze coś od niego wyrwać później. Zaprosiliśmy go na przyszłe zebranie naszego komitetu organizacyjnego, spodziewając się, jeżeli przyjdzie, że zbliska więcej się zachęci i pociągnie robotą się do poparcia wydawnictwa.

15 (28) grudnia rok 1913. niedziela.

O godz. 6-7 w biurze Zastowta zebrało się grono ✠ osób, zaproszonych na zebranie sprawozdawcze ze zjazdu autonomistów-federalistów w Moskwie. Z 40 zaproszonych zebrało się 19 osób. Obecni byli: polacy Zastowt, dr. Sumorok, Kazimierz Ostachiewicz i ja, litwini Šaulys, Šiling i Janulaitis, białorusini Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Łastowski i poeta Jan Kupała (prawdziwe nazwisko Łucewicz), żydzi dr. Jerzy Domin, Czernichow i Czarny, rosjanie Kraskowski (z pochodzenia białorusin z gub. Grodzieńskiej, jeno kultury rosyjskiej; na Moskiewskim zjeździe autonomistów-federalistów reprezentował delegację białoruską), Morowskij, Mochow, Szwedow i, zdaje się, Ignatowski. Ponadto byli zaproszeni, ale na zebranie z tych czy innych względów nie przybyli lub przybyć nie mogli polacy Rogiński, Józef Hłaskowski, Osmołowski, Seweryn Ludkiewicz i hr. Zygmunt Łopaciński, litwini Jan Vileišis, Bulat, Sławiewicz, ✠ Michał i Wacław Biržiškowie, Kairys, Bortkiewiczowa i Pietkiewiczówna, białorusini Wacław Iwanowski, żydzi dr. Szabad, redaktor Katz, Abramson i Lewin, rosjanie Powołocki, Radkiewicz i Carik.

Mnie wybrano na przewodniczącego zebrania. Kraskowski wygłosił sprawozdanie ze zjazdu w Moskwie, poinformował o zawiązanym, raczej wznowionym, Związku autonomistów-federalistów, wreszcie o projektowanym II zjeździe majowym i o zasadach jego organizacji. Następnie otworzyły się debaty. Dyskusji właściwie nie było, bo wszyscy wypowiadali się dość zgodnie. Przeciwieństwa zasadniczych poglądów nie było żadnych. Od imienia białorusinów wypowiadali się głównie Łuckiewiczowie, od imienia litwinów — Šiling, od polaków — ja, od rosjan Morowskij, i od żydów — głównie Czernichow. Ten ostatni zwłaszcza, którego ogół zgromadzonych znał mało, sprawił na wszystkich wrażenie bardzo dodatnie. Czernichow należy do rzadkich jeszcze wyjątków śród żydów, który nietylko że uznaje żydów za naród osobny, ale też istotnie pragnie dla nich samodzielnej kultury narodowej i zwalcza mechaniczne wsiąkanie się inteligencji żydowskiej do kultur narodów dominujących. Jest on nacjonalistą żydowskim, ale nacjonalistą tego typu i kierunku, co występuje wrogo przeciwko rusyfikacji duchowej ogółu inteligencji żydowskiej, — zjawiska tak bardzo w kraju naszym upowszechnionego i szkodliwego. Żydzi, przynajmniej tak liczna ich inteligencja, nawet w swych obozach postępowych, ulegając rusyfikacji duchowej i uznając postęp na modłę szablonu wszechpaństwowego, a właściwie pragnąc tylko jednej rzeczy — równouprawnienia w całym państwie, — nie mając żadnego związku z życiem, kulturą i dążeniami poszczególnych narodów i krajów, które zamieszkują, co gorsze nawet — nie interesują się niemi wcale i lekceważą je sobie lekkomyślnie, stając się przewodnikami rusyfikacji i narzędziem państwowości rosyjskiej, to znaczy występując przeto w roli poplecznika tej niewoli, przeciwko której zwrócone są wszystkie wysiłki ludów i krajów poszczególnych.

✠ Z toku debatów wyłonił się projekt utworzenia w Wilnie wydziału Związku autonomistów-federalistów z reprezentacją 5 narodowości (to znaczy nie wyłączając rosjan). Ponieważ dziś skład zebrania był dość przypadkowy, bo nie wszyscy z zaproszonych przybyli i niektóre grupy, jak partja Demokratyczna litewska, nie były wcale reprezentowane, więc wybrano tylko komisję z 5 osób (po jednym przedstawicielu od każdej narodowości), której polecono zwołać drugie szersze zebranie dla narady o utworzeniu stałej organizacji autonomistów-federalistów oraz opracować projekt takowej. Do komisji tej wybrano: polaka Zastowta, litwina Šilinga, białorusina Iwana Łuckiewicza, żyda Czernichowa i rosjanina Kraskowskiego. Te desiderata, które były dziś wypowiadane, są już u nas w znacznym stopniu zrealizowane w postaci naszego związku demokracji, o którym wszakże nie wiedzący dużo nie wiedzą wcale.

16 (29) grudnia rok 1913. poniedziałek.

O wszystkim napisać w dzienniku nie mogę, bo brak mi miej-
sca. Chciałbym oto napisać o Anuni, o jej serdecznym ~~...~~
wrażliwym uczuciu, o przedziwnej subtelnej szlachetności,
jakiej mi ciągle daje dowody i jaka najsilniej się raz
zaznaczyła w dniu wczorajszym i dzisiejszym nie w ja-
kichś czynach czy faktach objektywnie doniosłych, lecz
w całym toku ~~...~~ nastrojów, myśli i drgnień ~~...~~
jej uczucia na tle czy sferze z powodu i na skutek nas-
tego dysonansu, który zaszedł między nami wczoraj przy
zwiedzaniu przez nas placyku autoszkolskiego. Muszę jednakże
zaniechać tego, nie chcąc opuścić streszczenia spraw
natury publicznej; o Anuni mojej mówić mogę zawsze
i mówić będę jeszcze stokrotnie, więc chwilowo wybaczy
mi ona, że, składając jej hołd czci, opuszczę nasz ko-
chany stosunek dla spraw zewnętrznych.
O godz. 7 byłem w mieszkaniu Bułata na ~~...~~ posie-
dzeniu Zarządu „Žiburėlis'a". Byli tylko naczelni człon-
kowie zarządu: p. Bortkiewiczowa Felicja, p. Bu-
łatowa i ja. Omówiliśmy i zaprotokołowaliśmy w
kilku słowach sprawy bieżące, których nie było tak
dużo. Chodziło tylko o jakiegoś nowego ~~...~~ petenta,
zgłaszającego się o zapomogę, ~~...~~ studenta wyższych
kursów rolniczych w Petersburgu; dalej o chronicznym
braku pieniędzy w kasie towarzystwa i o sposoby do usu-
nięcia go przez publiczne wezwanie w prasie do spo-
łeczeństwa litewskiego o nadsyłanie ofiar i przez urzą-
dzenie w styczniu wieczorka z koncertem i loterją.
Na godz. 9 wróciłem do domu, gdzie wyznaczone
było inne zebranie — komitetu organizacyjne-
go „Kurjera Krajowego". Na zebraniu tym obecni
byli: polacy dr. Sumorok i ja, litwini Jan Vileišis,
Kairys i Šaulys i białorusini bracia Łuckiewiczo-
wie. Niestety administracja pisma dotąd nie zosta-
ła zorganizowana, a to z tego powodu, że p. Piotrowicz,
którego postanowiliśmy zaangażować na admini-
stratora, dotąd nie przyjechał do Wilna, co wszakże
ma lada dzień nastąpić. W każdym razie postano-
wiono, aby już zaraz ktoś z naszego grona zaczął
codziennie inkasować wszystkie pieniądze,
które wpływają do kasy. Wiemy, że teraz przed no-
wym rokiem napływa codziennie po kilkanaście prze-
kazów pocztowych z pieniędzmi na prenumeratę, ale
gdzie się takowe podziewają, nie wiemy wcale. Od-
tąd, do czasu ~~...~~ objęcia posady administratora przez
Piotrowicza, pieniądze te inkasować będzie codziennie
dr. Sumorok. Poza tym omówiliśmy preliminarz
pisma, który na rok przyszły, o ile tylko 400-rublo-
we subsydjum okaże się pewnym, jest zupełnie zado-
walniającym. Cały ciężar sytuacji polega obecnie li
tylko na pokryciu zaległości bieżących kasowych, wyno-
szących jednak sumę przeszło 1000 do 2000 rubli.

12 (30) grudnia rok 1913. wtorek.

Polepszenie się „Kurjera Krajowego" staje się coraz bardziej widoczne nietylko dla nas, którzy najbliżej pisma stoimy, ale i dla kół i osób, stojących na uboczu. Dostrzegli to i mówili mi o tym litwini, esdecy, a dziś mi nawet Krzyżanowski to wyznał. To znaczy, że już nietylko nasi sympatycy ideowi, jakimi są demokraci litewscy, lub esdecy, ale i tacy tradycyjni przeciwnicy, jak „przeglądowcy", których jednym z najzagorzalszych przedstawicieli jest Krzyżanowski, nie mogą zaprzeczyć oczywistości. Wszyscy zgodnie przyznają, że pismo wyzbyło się jaskrawej sensacji, że artykuły wstępne są treściwe i ideowe, że cała treść pisma stała się poważniejsza, głębsza i żywsza. Krzyżanowski zgłasza wprawdzie jeszcze pewne zastrzeżenia i zarzuty, ale już nie bagatelizuje w czambuł pisma, jak to robił dotąd on i wszyscy jego towarzysze z „Przeglądu". Zresztą „przeglądowców" nie [illegible] i nie pozyskamy nigdy. Zawsze ostatecznie pozostanie między nami a nimi rozdźwięk nietylko ideowy, ale i ten rozdźwięk wzajemnych żalów i nastrojów[?], który się wytworzył ze stosunków poprzednich i który w dużym stopniu wypływa z tarć i niechęci osobistych. Chodziło mi też nie o nadzieję jakiegoś istotnego zbliżenia się z „przeglądowcami", co do której nie mam złudzeń, ale o zaznaczenie, że nawet w tym obozie dostrzeżono i stwierdzono objektywnie zmianę, zaszłą w „Kurjerze Krajowym" w kierunku jego spoważnienia ideowego.

Teraz wspomnę o innej sprawie, związanej także z „Kurjerem Krajowym". Przed paru tygodniami pisałem o otwarciu teatru w Poniewieżu, wystawionego przez p. Stanisława Montwiłła i oddanego przezeń na użytek wszystkich narodowości miejscowych. Otwarcie tego teatru odbyło się uroczyście 1 grudnia, zakończone bankietem, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich narodowości miejscowych, nie wyłączając żydów. Sama uroczystość otwarcia oraz przemówienia wiały charakterem święta pojednania i miłości. Otóż Montwiłł wziął z tego asumpt do zainicjowania jakiejś stałej akcji pojednawczej w stosunkach polsko-litewskich. Wygotował on list otwarty do redakcji dzienników polskich i litewskich, w którym wzywa, raczej kreśli śmiały szkic — następującej organizacji wykonania zasad pojednawczych w prasie: 1) unikać umieszczania artykułów drażniących lub podawania faktów niesprawdzonych, 2) publikować fakty, podawane przez korespondentów, pod warunkiem, że korespondenci zgodzą się w razie potrzeby ujawnić swoje nazwisko i wziąć za nie odpowiedzialność osobistą, nie chowając się za płaszczykiem tajemniczych pseudonimów, 3) mieć we wszystkich zakątkach kraju ludzi zaufania tak polaków, jak litwinów, do których można byłoby się odwołać dla sprawdzenia na miejscu jakichś faktów lub odparcia wzajemnych [illegible]. Poza tym Montwiłł, będąc w Wilnie i rewizytując litwinów, których był zaprosił na uroczystość otwarcia teatru poniewieskiego i którzy bądź byli obecni na takowej, bądź mu odpowiedzieli listownie, poruszył myśl zorganizowania stałego komitetu polsko-litewskiego do czuwania nad wykonywaniem tych zasad przez dzienniki i ewentualnie do wybrania dziennika[?] jednego lub kilku, który lub które podjęłyby się pełnienia tych zadań pojednawczych, wyrażając nawet gotowość ewentualnego materjalnego subsydjowania tych pism. Mówił o tym [illegible], mówił [illegible]. Tak samo jak [illegible] zwrócił jego uwagę na „Kurjer Krajowy". Montwiłł sam o „Kurjerze Krajowym" nie miał pojęcia. [illegible] ze sobą [illegible] w osobie p. Stefana Okulicza, [illegible] nie ufa i [illegible] którego w [illegible] całkowicie polega. Dla nas przyznanie [illegible] materjalnego byłoby niezmiernie ważne. W sekrecie wobec Montwiłła o pojednawczym kierunku polsko-litewskim „Kurjer Krajowy" spełnia już obecnie tę funkcję. Oczywiście wszakże, że

[illegible]

18 (31) grudnia.
rok 1913.
Środa.

Od godz. 2–4 popołudniu odbyło się dziś u dr. Sumoroka zebranie grona przyjaciół „Kurjera Krajowego" dla pogawędki z pp. Stanisławem Montwiłłem i Stefanem Okuliczem. Chodziło zaraz tylko o danie możności tym panom zapoznania się tak z ludźmi, grupującymi się przy piśmie, jak z organizacją jego i stanowiskiem głównie w sprawie ~~[illegible]~~ stosunków narodowościowych. O pieniądzach, o materjalnym poparciu pisma przez Montwiłła, mowy nie było. W zebraniu wzięli udział z przyjaciół pisma polacy dr. Sumorok, Józef Bukowski, Osmołowski i ja, litwini Šaulys i Stażewicz, oraz białorusini bracia Łuckiewiczowie. Poinformowaliśmy tych panów o zasadach organizacji pisma, o tym zwłaszcza, że jest ono w obecnym swym stanie wyrazem współdziałania demokracji polskiej z litewską i białoruską. Żadnych zgrzytów nie było. Panowie ci raczej interpelowali nas, niż dyskutowali. Dłuższą nieco wymianę zdań wywołała sprawa zatargów językowo-kościelnych w stosunkach litewsko-polskich, chociaż i pod tym względem jakieś zasadnicze różnice się nie ujawniły. Panowie ci tylko wyrazili pewne obawy, czy czasem, dotykając tych kwestji, nie działamy lub działać nie zamierzamy w kierunku podkopywania samej religji w masach ludowych. Pod tym względem żadnych zamiarów takich, o ile wiem, nikt z nas nie żywi. O społecznym stanowisku demokratycznym nie było właściwie mowy, bo, choć podkreśliliśmy je wyraźnie, panowie ci większej wagi do tego nie przywiązywali. Chodziło im li tylko o względy stosunków narodowościowych. Jakie ci panowie wynieśli wrażenia z pogadanki – nie wiem, bo Montwiłł jest bardzo zawsze skryty i raczej nieufny, Okulicz zaś, choć jest naiwny, ale bardzo poddaje się, umie się orjentować szybko w rozmaitych odcieniach kierunków i różnic między niemi. Montwiłł ~~[illegible]~~ zaprenumerował tylko pismo na rok i poprosił o dostarczenie mu NN, w których były artykuły o zajściach miejscowych w kościele św. Jana, Okulicz poprosił o dostarczenie mu tych NN, które wyszły od czasu reorganizacji pisma, t. j. od 2–3 tygodni. Oczywiście, że wpierw się oni wpierw zapoznać z pismem, nim się ewentualnie zdecydują na jakieś poparcie. Czy poparcie to nastąpi, — trudno orzec. Montwiłł dał [illegible] do druku swoją mowę, o której wczoraj wspominałem. Stefana Okulicza ~~[illegible]~~ zaprosiliśmy może do udziału w komitecie organizacyjnym, to jest [illegible] dobrej woli, uczciwie przyjaznej pojednaniu narodowości, kochającej kraj i lud.

Jeden tylko Iwan Łuckiewicz, który wogóle taktem nie grzeszy, wyrwał się w toku pogadanki z aluzją do jakichś widoków na kieszeń Montwiłła, dając do zrozumienia, że pragnęlibyśmy od niego poparcia i że jest nam ono bardzo potrzebne, a przytym kadząc Montwiłłowi pochlebstwem. Nikt z nas nie podniósł tych aluzji i przeto kwestja ta, tak niestosownie, nie weszła wcale na porządek obrad. A trzeba jeszcze wiedzieć, że Montwiłł szczególnie nie lubi pochlebstw, gniewa się za nie, i nic go tak, jak pochlebstwo, nie irytuje i nie zraża.

19 grudnia.
1 stycznia.
rok 1913.
1914.
czwartek.

Miałem przykre nieporozumienie z Bagińskim. Zobaczywszy go w sądzie, powiedziałem mu na pół żartem, na pół z wymówką, że dlaczego nie był w niedzielę na zebraniu sprawozdawczym autonomistów-federalistów. Może być, że w tonie moim była jakaś nuta zanutu, która widocznie dotknęła Bagińskiego. To też zwrócił się on do mnie po chwili z poważną zupełnie pretensją, zastrzegając sobie, abym nie pozwalał sobie traktować go lekceważąco-żartobliwie, jak to nieraz, w ostatnich zwłaszcza czasach, bywało, ponieważ on bynajmniej sobie tego nie życzy i nie myśli poddawać swojego postępowania jakiejś kontroli mojej, a zresztą wie sam, co robi. W tej chwili przyszedł p. Tadeusz Wróblewski i przerwał rozmowę naszą. Później zaś Bagiński gdzieś odszedł i ja śpieszyć musiałem, tak że na tym się rzecz urwała. Ten żal Bagińskiego sprawił na mnie ciężkie wrażenie. Później przez cały dzień nie mogłem ochłonąć z tego wrażenia, które mnie ciągle gryzło. Lubię bowiem i szanuję Bagińskiego; nie miałem nigdy zamiaru ani obrażania go ani wyrządzania mu przykrości; a ton żartobliwy, może żartobliwie ironiczny, jaki rzeczywiście czasami względem niego przyjmowałem, nigdy właściwie w intencji mojej nie zawierał lekceważenia. Po prostu pozwalałem sobie traktować go poufale ze względu na nasze dawne zażyłe stosunki. Przeciwnie – rozumiałem dobrze ciężki stan Bagińskiego i szczerze mu współczułem; po rozbiciu grupki esdeckiej w Wilnie Bagiński był osamotniony, nie miał żadnego terenu dla swych aspiracji ideowych, musiał doznawać uczucia pustki i rozterki duchowej. Pragnąłem go zbliżyć do ruchu społecznego, liczyłem, że go wciągnę do spraw ideowych. To też bynajmniej go nie lekceważyłem i nie chciałem mu robić zarzutu z tej smutnej rozterki, w której się znalazł. Ale widocznie ta rozterka, to odczuwanie pustki duchowej i bezczynności wywoływało w nim szczególną drażliwość, szczególne przeczulenie na gruncie ambicjonalnym, żywych w nim, wymagań ideowych. Powinienem był to wyczuć i być ostrożniejszym, subtelniejszym w stosunku do niego. Niechcący wyrządziłem mu krzywdę, której gorąco żałuję.

20 grudnia
2 stycznia
rok 1913./1914.
piątek.

+7.

2r2b4p2l.

Przy spotkaniu dziś Bogińskiego w Łodzi, wytłumaczyłem się przed nim z mojego postępowania względem niego, zapewniłem, że nigdy nie miałem intencji lekceważącego traktowania go, i przeprosiłem, jeżeli go w czymkolwiek obraziłem niechcący. Nietylko że nie miałem nigdy intencji zaznaczenia Bogińskiemu lekceważenia i nigdy go w istocie nie lekceważyłem, ale nawet owszem pragnąłem i pragnę pozyskać go do naszego związku Demokracji Krajowej. Jak już raz wspominałem, pragnę na gruncie tego związku stworzyć podwaliny nowej demokratycznej grupy polskiej, któraby skupiła i połączyła jakowąś organizacją rozproszone elementy demokratyczne inteligencji polskiej. Potrzeba utworzenia takiej grupy jest bardzo aktualna. Spodziewam się, że to się da do pewnego stopnia wykonać. Elementy takie są, chodzi tylko o ich dobór i o zespolenie. Narazie będzie to tylko zespolenie w pewnym środowisku, nawiązanie stałego kontaktu ideowego między niemi. W dalszym zaś ciągu będzie chodziło naturalnie o danie im wspólnej placówki czynu konkretnego. Taką placówką czynną będzie mógł być przedewszystkiem „Kurjer Krajowy“, do którego organizacji trzeba będzie zastosować tę grupę. Ponatym znajdą się i inne placówki działania. Elementy dla tej nowej projektowanej grupy rekrutować się będą z demokratów szczerych, wolnych od specyficznego nacjonalizmu, jak Józef Bukowski i in., oraz z sympatyków socjalizmu nie-partyjnych esdeków, jak Zasztowt — czasem lub Kazimierz Ostachiewicz. Przedewszystkiem więc w obecnym stadjum formacji tej przyszłej grupy, należy elementy te wciągnąć do naszego związku demokracji krajowej. Oprócz mnie i Zasztowta pozyskaliśmy już dotąd do naszego związku Ostachiewicza i Osmołowskiego, oraz w najbliższym czasie pozyskamy Józefa Bukowskiego, co do którego wszystko już jest przygotowane. W dalszym ciągu mamy na myśli pozyskanie jeszcze do naszego związku z pośród polaków właśnie Bogińskiego oraz Seweryna Dudkiewicza. Ten ostatni bardzo by do nas pod względem ideowym pasował, jeżeli tylko jego zmysł trzeźwy i mający pewien kierunek praktyczny nie uzdolni go do organizacji, mające racje teoretyczne, abstrakcyjne — ideowe cechy. Co zaś do Bogińskiego, to choć to jest człek, że tak powiem, patentowany, jednak sądzę, że w dzisiejszym warunkach, gdy esdecja partyjnych dróg działania w Wilnie nie ma, współudział jego w akcji demokratycznej-ludowej będzie zupełnie możliwy; szczególnie, że chcemy nie partyjną stworzyć, jeno grupę elementów pokrewnych dla wspólnego skoordynowanego działania.

O godz. 7 odbyło się u mnie tygodniowe zebranie komitetu redakcyjnego „Kurjera Krajowego“. Przyszli Antoni Łuckiewicz, Saulys i ja oraz „redaktor“ Stanisław Sokołowski. Utrzymaliśmy tekst ostateczny prospektu pisma i omówiliśmy sprawy bieżące. [illegible] W N-rze niedzielnym postanowiliśmy ogłosić wzmiankę o opuszczeniu przez Mańkowskiego stanowiska kierownika z powodu wyjazdu jego z Wilna. W ten sposób Mańkowski już faktycznie zostanie odcięty od pisma, o co nam bardzo chodzi. Wprowadziliśmy zasadę, aby każdy artykuł wstępny był codziennie przed wydrukowaniem dawany do przejrzenia p. Józefowi Bukowskiemu, który się obiecał tej czynności podjąć. Wstępny artykuł musi posiadać jako naczelny nietylko o jednolitym kierunku, ale zwłaszcza o stałej kontroli dobrej, chodzi tu pod względem stanowiska ideowego. Zaprojektowany przez nas kandydat na administratora pisma, Piotrowicz, wrócił już do Wilna i został zaangażowany; od jutra już obejmuje stanowisko.

21 grudnia / 3 stycznia. rok 1913. / 1914. sobota.

Zdaje się, że z tych pertraktacji z Okuliczem i Montwiłłem żadnej pieniężnej korzyści dla „Kurjera Krajowego” nie będzie. Sam Montwiłł mówi, by się zbliżył do pisma i udzielił mu poparcia, ale bez porady Okulicza nie zdecyduje się na to, a na Okuliczu liczyć chyba trudno. Jest to staruszek poczciwy, ma dobre chęci i przywiązany jest do kraju i do ludzi na wpółto staroszlacheckę, ale w głowie ma bigos kompletny. Nie orjentuje się w poszczególnych kierunkach i dążeniach, chciałby tylko wszystkich ze wszystkimi godzić, wszystko łączyć w kupę serdeczno-uczuciową(?), bez określonych postulatów, bez wyraźnej ideologji. Rzeczywiście stara się on zbliżyć do wszystkich grup, do wszystkich pism, wszędzie swoje trzy grosze wścibić. Był on kiedyś jednym z redaktorów „Gazety Wileńskiej”, miał konszachty z ugodowo-reakcyjnym „Kurjerem Litewskim”, współdziałał z endeckim „Gońcem”, pisywał w wybitnie katolickim „Litwie i Rusi”; obecnie ma stosunki ze zjednoczonym ugodowo-endeckim „Kurjerem Litewskim”, należy do organizacji ultra-klerykalnej i demagogicznej „Gazety Codziennej”, wszedł w kontakt z postępowo-nacjonalistycznym „Przeglądem Wileńskim”. Ma podobno ochotę w „Przeglądzie W.” wygłosić program pojednawczy względem Litwinów, pertraktuje z nimi, jednocześnie bierze udział w naradach redakcyjnych „Gazety Codz.”. Nie ma, zdaje się, grupy i kierunku, z którymby nie utrzymywał stosunków. W każdym razie trzeba go zapewne będzie zaprosić do naszego komitetu organizacyjnego, jakeśmy projektowali, — nie dlatego żeby zaproszenia nie przyjął, ale dlatego, że będzie on dla nas elementem obcym i stanowiska demokratycznego nie pojmie i nie zajmie.

Napisałem dziś artykuł do „Przeglądu Wileńskiego” p.t. „Ugoda”. Scharakteryzowałem krytycznie kierunek „ugodowy” w polityce i w drugiej połowie artykułu przedstawiłem „ugodowca” litewskiego w Dumie — postać księdza Laukaitisa. Do „Przeglądu Wileńskiego” piszę teraz artykuły ze stosunków litewskich, informacyjne i krytyczne. Przed paru tygodniami dałem artykuł o rozłamie w litewskim obozie klerykalno-nacjonalistycznym, teraz ten drugi, następnie mam dać w styczniu recenzję o nowej książce Kutrzeby o ustroju państwowym Litwy. Zastrzegłem w redakcji „Przeglądu W.”, że artykuły te będą płatne. Jestem zdania, że nie należąc do organizacji „Przeglądu W.” z powodu różnic ideowych, jakie zachodzą między mną a „przeglądowcami”, mogę jednak być współpracownikiem tego pisma, zwłaszcza w pewnych poszczególnych działach i w zakresie informacyjnym. Podług mego osobistego pojmowania różnice, które dzielą mię od „przeglądowców”, choć są poważne i zasadnicze, nie są jednak tak bezwzględne, aby wykluczały zupełnie wszelką możność współpracownictwa mego w tym piśmie. Niektórzy wszakże z grupy „Kurjera Krajowego”, jak szczególnie np. Łuckiewiczowie i Stankas(?), dziwią się, że pozwalam sobie(?) na pisywanie do „Przeglądu” i zapatrują się na to dość nieufnie. Nie wiem, jak inni na to patrzą, bo nie rozmawiałem o tym, ale myślę, że też nie bardzo aprobują mój udział współpracowniczy w „Przeglądzie”. Łuckiewiczowie i Stankas uważają to za niestosowne i mówią, że przy istniejącej niechęci i pewnej walce między kierunkiem „Kurjera Kr.” a „Przeglądu W.” fakt mojego udziału literackiego w „Przeglądzie” jest zjawiskiem rażącym, bo z jednej strony daje pozór mojego uległości(?) do „Przeglądu” i daje „przeglądowcom” możność chlubienia(?) się nazewnątrz naszym imieniem, jako [illegible] człowieka, a powtóre podkopuje powagę kierunku „Kurjera Kr.”, gdy ja, leader tego kierunku, piszę w organie przeciwnego i zwalczającego się z „Kur. Krajowym” kierunku. Względy te i we mnie samym budzą pewne wątpliwości, ale dotąd nie umiem jeszcze ich rozstrzygnąć. Gdybym był przekonany, że między kierunkiem „Przeglądu W.” a kierunkiem „Kurjera Kr.” jest istotnie taka rozbieżność bezwzględna, która wyklucza na zawsze wszelką możność współdziałania i sprawia konieczność radykalnego zwalczania się, tobym się nie wahał. Ale właśnie że nie jestem tego pewny i myślę, że wobec wspólnego wroga w osobie klerykalizmu i politycznie [illegible] endecji nie tylko że możliwe będzie, ale z pewnością trzeba będzie w działalności publicznej, jak np. przy wyborach do Dumy i t.d., działać nam, demokratom-krajowcom, wspólnie z „przeglądowcami” na zasadzie kompromisu. W tym celu, tworząc grupę osobną, aby z niej mieć siłę własną, równoległą do „przeglądowców”, taką, z którą by się oni liczyć musieli, aby wspólne działanie z nimi było istotnie rezultatem kompromisu, a nie ślepego podporządkowania się naszego ich nakazom, — należy zachować z nimi pewien kontakt, nie palić zbyt radykalnie mostów; obawiam się, aby to przedwczesne palenie mostów nie było lekkomyślnym zamykaniem sobie na przyszłości dróg do współdziałania. Przewiduję, że jeśli tylko obie strony nie dadzą się unieść temperamentom i złej skłonności do przeceniania rozdźwięków wzajemnych, oraz utemperują z rozwagą swą niechęć, która w dużym stopniu nie tyle na kierunkach, ile na osobach się funduje, to przyszłość da nam jeszcze niejedno pole do wspólnego działania, przewiduję(?). Dlatego też, dopóki uważam, że stoi nam się tego kontaktu z „przeglądowcami” nie zrywać. A jednym z wyrazów tego kontaktu jest moje współpracownictwo w „Przeglądzie”. Może być, że się mylę. Powiadam, że to się jeszcze [illegible] wyklaruje w mojej świadomości.

22 grudnia / 4 stycznia. rok 1913/1914. niedziela.

Dziś wyjechałem z Marynią i jej córką Ewą do Bohdaniszek na święta Bożego Narodzenia. Z Aninką moją przed wyjazdem nie zdążyłem się dziś zobaczyć. Pożegnałem się z nią już wczoraj wieczorem. Krótkie to wprawdzie rozstanie, bo w przyszłą niedzielę już muszę być z powrotem w Wilnie, ale każde rozstanie w naszym serdecznym stosunku sprawia tęsknotę wzajemną. Szczególnie dla Anny ta świąteczna samotność tygodniowa będzie smutna. Ja bowiem będę na wsi wśród rodziny, podczas gdy ona spędzi święta jedna, sama w swoim pokoiku malutkim. Brak stałego zajęcia zostawia Annie dużo wolnego czasu. Zapełnia go jednak Anna zawsze umiejętnie i wskutek tego ~~[illegible]~~ nie doświadcza nudy. Czyta dużo książek łotewskich, które czerpie z biblioteki wileńskiego towarzystwa łotewskiego („Wilnas Latweeschu Beedriba"), wybierając zawsze dzieła kształcące, poważne studja literackie, historyczne lub naukowe, albo poezję, w której się szczególnie lubuje; moja Aninka ma w lekturze gust wytworny i nigdy się sensacyjnemi romansidłami, tą tandetą literacką, nie karmi. Ponadto studjuje teraz pilnie książeczki o ogrodnictwie, hodowli ptactwa i t. d., marząc o placyku antokolskim. Następnie uczy się zadawanych przez [illegible] lekcji z gramatyki polskiej i arytmetyki. Wreszcie bierze czynny udział w towarzystwie łotewskiem i łotewskim teatrze amatorskim, ucząc się ról i uczestnicząc ciągle w ~~[illegible]~~ próbach teatralnych w „Życiu". To samo zajęcie będzie miała Aninka moja i teraz, w tym tygodniu świątecznym, ale moja nieobecność sprawia jej taką pustkę, której nic nie wynagrodzi. Od czasu powrotu Anny z Krasieniny(?), to znaczy przez cały październik, listopad i grudzień, nie było ani jednego dnia (oprócz tylko dni, spędzonych przeze mnie poza Wilnem, w Bohdaniszkach czy w Wiarowie(?)), abyśmy się z nią nie widzieli. Jeżeli wieczorem nie byłem u niej, to przychodziłem do niej we dnie. Jestem dla Anny jedynym człowiekiem bliskim, kochającym i kochanym, to też beze mnie jest ona jak bez duszy. Żadne zajęcia nie zastąpią jej mojej obecności, nie wypełnią pustki, którą sprawia mój wyjazd. Anna chciała bardzo pojechać do Łotwy do matki na święta, ale nie ma na to pieniędzy. Zostaje więc przez święta w Wilnie — samotna. Ma sobie kupić malutką choinkę i zapalić w pokoiku swoim, zdobiąc ją drobiazgami. Biedaczka sama samotna przy tej choince zasiadać będzie. Ma sobie też ciasto słodkie upiec, słowem — będzie sobie sprawiać święta, raczej iluzję świąt w swym pokoiku malutkim, wyczekując mego powrotu.

Wyjechaliśmy z Marynią i Ewą z Wilna o południu. Bilety wzięliśmy kupione do Rakiszek, bo, jak Mama pisała i telegrafowała, ~~[illegible]~~ wszystkie drogi do Abel są tak zawiane śniegiem, że niepodobna dojechać na stację. Z Rakiszek gościńcem jest lepiej. Przejeżdżając wszakże przez Abele, wyszedłem z wagonu na stację, by zobaczyć, czy czasem nie ma koni z Bohdaniszek. I akurat znalazł się parobek, młody Jodialuk, z Bohdaniszek, który przyjechał jednym konikiem. Zaraz więc wybrałem z wagonu część rzeczy i zostałem w Abelach. Marynia zaś z Ewą i resztą rzeczy pojechała dalej do Rakiszek. Przy mrozie kilkostopniowym i ostrym wietrze ruszyłem z Jodialukiem do Bohdaniszek w małych saneczkach z bardzo ubitym siedzeniem i bez żadnego nakrycia na nogi. To też bardzo marzłem w nogi przez całą drogę i wogóle zimno mię wskroś przenikało. Jechaliśmy naokoło przez Rutnowo(?) drogą dłuższą(?), bo wszelkie inne drogi są niedostępne. Zawieja, która przez tydzień prawie szalała, nawiała ogromny [illegible] śniegu. Po drodze [illegible] tylko jednym [illegible] w [illegible]. W Bohdaniszkach [illegible] dowiedziałem się, że po Marynię [illegible] konie do Rakiszek, bo nie [illegible] wiadomo, że dziś przyjedzie.

23 Grudnia.
5 stycznia.
rok 1913.
1914.
poniedziałek.

Z domu nie wychodziłem wcale. Zawieja przez cały dzień, wiatr, śnieg, początek odwilży. Śniegu są takie masy, że chodzić prawie nie podobna. Tym trudniej byłoby używać takich rozrywek zimowych, jak jazda saneczkami, do której dzieci Mamci — Ewa i Stefuś — miałyby wielką ochotę.

Mama nie dobrze się ma, ma katar wielki. Sama przez się nie jest to choroba ciężka, ale dla Mamy wszelkie cierpienie, szczególnie w płucach, jest niedobre. Jednak biedaczka Mama, choć tak szczęśliwie uratowana została z ciężkiej choroby z przed dwóch lat, postarzała się bardzo. Rzadko już miewa ten swój humor wspaniały i swoją werwę dawną, a za to wszelkie troski i niepokoje bierze niezmiernie do serca i trapi się niemi ponad wszelką miarę. Cicha jest naogół, serdeczna, słaba, bardzo potrzebująca ciepła i troskliwości, jakby przybita trochę. Biedna kochana Mama.

W Bohdaniszkach miały dziś miejsce urodziny. P. Krystyna Srażyńska, żona ekonoma i sama ochmistrzyni, Piesiekierska z domu, siostra mojego leśniczego Józefa Piesiekierskiego w Wiarowcu, powiła koło południa synka. Połóg był ciężki i bolesny. Bóle połogowe zaczęły się w sobotę wieczorem i trwały 1½ doby. P. Srażyńska odbywała pierwszy połóg, a że ma już trzydziestkę z dobrą górą, bodaj czy nie 38 lat, więc naturalnie, że połóg musiał być ciężki. Dziecko to urodziło się w 6 miesięcy po ślubie rodziców; widocznie okres ~~[illegible]~~ narzeczeństwa musiał być romantyczny. Wszystko jest dobre, co się dobrze kończy.

24 grudnia.
6 stycznia.
rok 1913/1914.
wtorek.

Dzień wilji. Od rana znać było nastrój przedświąteczny,
z właściwem przygotowaniem do uczty wigilijnej. Na wilję
czekamy gości z Kowaliszek. Mama wydaje dyspozycje,
kucharka Kostusia Niemeyksówna, siostra Ewka z nas
tą pomocnicą Emilką Podolską, lokaj Kazimierz, aptekars
wa panna Łucja Biesiekierska krzątają się nad przygotowa
niem kolacji oraz sprzątaniem w domu. W kuchni skro
bią ryby, przyrządzają sosy i przyprawy, orzechy, podsyto
i t. p.. Na górze opalają się wszystkie pokoje, ściele łóżka
dla gości, sprzątają. Marynia i Ewa osobiście czuwają nad
wykonaniem robót. Dla małej Milci Komorowskiej ma
być wieczorem po wilji choinka. To też koło południa
pojechaliśmy z Ewą, Stefusiem i leśnikiem w rozwalin
kach do gaju dla wyrąbania i przywiezienia jodełki
na choinkę. W młodym jedliniaku pod Karwieliszkami
ze śniegiem moim, brnąc po kolana a niekiedy po pas
w głębokim śniegu, chodziliśmy z Ewą i leśniczkiem od
drzewa do drzewa, wybierając choinkę. Wybraliśmy wreszcie
jedną, piękną i wielką, a równo ze wszystkich stron
i zgrabnie gałązkami obrosłą, którą leśnik zrąbał. Przy
wieźliśmy choinkę do domu i ustawiliśmy w nowym
salonie, a dzieci pod komendą Maryni zajęli się
zdobieniem drzewka. Koło godz. 3 przyjechali z Ko
waliszek Hektor i Julek Komorowski. Hektor przywiózł
nam na święta dwa piękne bażanty, upolowane w
zeszłym tygodniu w Kurmenie. Był on tam na wiel
kim polowaniu na bażanty, w którym zastrzelono
przeszło 250 sztuk tego ptactwa. Teraz pierwszy, zdaje
się, w życiu będę miał okazję zakosztowania mięsa
bażantów, które ma być szczególnie delikatne i smacz
ne.
Czekając na przyjazd reszty towarzystwa kowaliskiego, po
szliśmy z Hektorem i Julkiem oraz Stefusiem wypró
bować nową sikawkę, sprowadzoną przez Mamę, a po
tym wypróbowaliśmy jeszcze przywieziony przeze mnie
aparat „Minimax" do gaszenia pożaru. Złożyliśmy na
tarasie ogrodowym przed oknami wielkiego pokoju płaski
stos drew ze słomą, który oblaliśmy naftą i zapaliliśmy.
Wtedy spróbowaliśmy gaszenia aparatem. Aparat funkcjo
nował dobrze i wykazał wielkie przymioty. W tym
czasie nadjechała reszta towarzystwa z Kowaliszek, a więc
Elizka i Zyś, ich mała 5-letnia córeczka Milcia ze
swą bonną, dalej panna Jadwiga Komorowska, starsza
siostra Zysia, i kilkunastoletnia Zosia Pomorska, córka
drugiej siostry Zysia. Przed godz. 5 zasiedliśmy do wilji,
spożytej według tradycji na stole, zasłanym sianem (pod obrusem).
Wieczerza składała się z dań następujących (po opłatku): lekki kwasek
białorusy z kluseczkami z ryby, szczupak na zimno z sosem majonezo
wym, śledzie z makiem, łosoś smażony, ryż słodki na zimno z ros
zynkami z sokiem i kisielek z mlekiem. Po kolacji zapalono cho
inkę i zaczęto się słodyczami i bakaljami z sherbetu. Takeśmy
się zabawili do godz. 10 wieczór i poszliśmy spać.

25 grudnia / 8 stycznia rok 1913 / 1914. środa.

Święto Bożego Narodzenia upłynęło bardzo cicho. Chodziłem z Zysiem i Hektorem na spacer do Gaju, co przy dużych zaspach śnieżnych nie było bardzo wygodne. Poza tym i nadewszystko dużo się jadło. Mama, Elizka, panna Jadwiga Komorowska i Hektor przez większą część dnia grali w karty. Papa najwięcej siedział w swoim gabinecie. W Bohdaniszkach Papa wogóle najwięcej czasu spędza u siebie, sam w swoim gabinecie, wychodząc do gości tylko chwilowo i przygodnie. O ile w Wilnie nadzwyczajnie się w Papie podnieca żyłka towarzyska, o tyle w domu na wsi Papa zamyka się w samotności. Takie jest dziwne usposobienie Papy. Zyś i Marynia tułali się większą część czasu po kątach, bez określonego zajęcia; Zyś wertował encyklopedję, trochę rozmawiał to ze mną, to z Marynią, to z Papą. Dzieci za to bawiły się ciągle w najlepsze. Julo śród nich rej wodził, imponując koncepstami [?] Stefkowi i wyprawiając psikusy. Trochę i ja się pod wieczór z dziećmi bawiłem, to w karty, to w dziunkisa [?], a raz nawet w „cirukowe" [?]. Bardzo miłe dziecko — to 11-letnia Zosia Pomorska, córka profesora Pomorskiego i p. Karoli, Komorowskiej z domu, siostry Zysia: jest bardzo energiczna, rozwinięta, niezmiernie naturalna, amatorka sportów męskich (do spacerów ubiera się po męsku).

Dzień upłynął tak łagodnie, tak po filistersku, że niema nic właściwie do zanotowania w dzienniku.

26 grudnia / 8 stycznia. rok 1913/1914. czwartek.

Słońce od rana świeciło pięknie, bieląc pola śnieżne i złocąc je iskierkami połysku. Mróz dochodził do 12° Reaumur'a, ale wiatru nie było wcale, to też na spacerze nie było zimno bynajmniej.

Zaszła dziś maleńka scysja między Mamą a Zysiem, mała burza w szklance wody. Poszło o projekt Maryni pożyczenia pieniędzy cioci Masi Bohdanowiczowej dla zięcia Michała Ordy. Ciocia Masia w roku zeszłym wspominała Mamie, że chciałaby pożyczyć dwadzieścia kilka tysięcy rubli. Odradziłem wtedy Mamie udzielania pożyczki, bo nie wiemy, czy c. Masia ma jakąkolwiek własność na swoje imię. Wiemy, że c. Masia zlokowała cały swój fundusz u synów, którzy jej wypłacają procenta corocznie, ale czy ten fundusz jest zlokowany formalnie na imię cioci, czy już formalnie przeszedł na własność synów — Mieczysia i Ignasia — nie wiemy. Niema więc pewności, czy po śmierci c. Masi synowie jej zechcieliby spłacić jej długi i czy będzie jakiś jej fundusz wolny, z którego dałoby się dług wypłacić(?). Mówiłem wtedy Mamie, że tylko pod tym warunkiem można pożyczyć cioci, jeżeli Mieczyś poręczy czy żyruje. Na tym sprawa upadła. Teraz Marynia, biorąc spadek po ś. p. cioci Cesi w kwocie kilkunastu tysięcy, przypomniała sobie o zeszłorocznej propozycji c. Masi i napisała do niej, zapytując, czy nie zechce pożyczyć pod warunkiem zażyrowania długu przez Ordę (zięcia cioci Masi) na 7% rocznie. C. Masia odpowiedziała telegraficznie, że życzy i na warunki się zgadza. O ile wiemy, c. Masia chce mieć te pieniądze dla dania ich swej córce Mani, żonie Michała Ordy. Michał Orda kupił w roku zeszłym duży majątek Mokra Dąbrowa w Prużańszczyźnie od p. Staszewicza(?) za 250000 rb. i z pewnością potrzebne mu są teraz pieniądze. Słychać nawet, że myśli o sprzedaniu swego własnego dziedzicznego majątku Berezicz(?). Marynia zdecydowała się ostatecznie na pożyczenie pieniędzy c. Masi, a Zyś i Elwira Mieczkowska, kusząc się na wysoki procent, chce także pożyczyć c. Masi swoją schedę spadku po ś. p. cioci Cesi. Pod wpływem tych projektów i Mama także zaczęła myśleć o zlokowaniu jakiejś kwoty w pożyczce c. Masi. Zresztą co do Mamy, to są to tylko przelotne desiderata, których Mama z pewnością nie urzeczywistni, bo ja sam dla wielu względów nie będę Mamy do tego zachęcać. Otóż Zyś usłyszał o tym i zaniepokoił się wielce. Stosunkowo naturalnie przejęty jest Zyś tym, aby w razie ewentualnej śmierci Mamy można było jaknajszybciej spieniężyć i podzielić jej fortunę, to też przeciwny jest wszelkiemu lokowaniu kapitałów Mamy w czymkolwiek bądź innym, jak w gotówce bieżącej lub papierach wartościowych. Z tego względu jest on też takim nieubłaganym przeciwnikiem Wiarowa(?) i chciałby, aby cały Wiarowiec(?) z lasem i ziemią został jaknajprędzej przetopiony na monetę, dostępną do natychmiastowego podziału po śmierci Mamy. Odrazu więc Zyś się wsiadł przeciwko projektowi pożyczki, a choć go zapewniłem, że Mama nie pożyczy, nie mógł się [illegible], aby nie rozwinąć natychmiast agitacji, choćby na zapas. Zyś ma naturę ekspansywną, zapalczywą do agitacji i przejaskrawia takową zawsze aż do przesady. Jest przytym wścibski, uważa się za powołanego do udzielania wskazówek i rady, i poprostu gwałtem chce przeforsować swoją tendencję, a samego siebie za nieomylnego. To też niektórych [illegible] zaraz się o pożyczkę Mamy, ale też gorąco się zapalił do udaremnienia pożyczki Maryni i Elwiry. Co do pieniędzy Maryni, to [illegible] by sam ochotę je dla siebie pożyczyć. Zresztą mnie się tym [illegible] ze względu na [illegible] w najczarniejszych barwach przedstawił losy tej pożyczki. Ordę przedstawił [illegible] za bankruta, że firmę [illegible] pieniężnie niepewną, c. Masię [illegible] za narzędzie do ratowania Ordy cudzym kosztem, a cały interes pożyczki za jakąś oszukańczą spekulację do wyłudzenia z rąk Maryni jej drobnego kapitaliku. Gadał już ze mną o tym wczoraj, potym pobiegł do Papy, zamknął się z Papą w gabinecie i przez dobrą godzinę wmawiał mu swoje argumenty, z [illegible] w porozumieniu się z Papą jego inspiracjom; i rzeczywiście Papa zaraz po rozmowie z Zysiem już zaczął próbować oddziaływać na Marynię. Dziś na spacerze znowu mi Zyś o tym samym gadał, przejaskrawiając sytuację aż do posępnej jakiejś pewnej klęski, potym [illegible] Marynię [illegible] że Mamie [illegible] i [illegible] ostro jego inspiracje. Ale Marynia, wrażliwsza [illegible], wiedząc na [illegible] gawędami Zysia, przeniosła dalszy ciąg rozmowy przed publiczne forum Mamy. Zyś, wbrew chęci, musiał kontynuować w obecności Mamy. [illegible] Marynia za to, że nie [illegible] Zyś [illegible] i zaczął wypominać dawne jej winy [illegible] co do stracenia [illegible] [illegible] przez [illegible] na [illegible] [illegible] które się zawsze zapala i dodaje swą energię [illegible] [illegible] [illegible]

27 grudnia
9 stycznia
rok 1913/1914.
piątek.

Po ślicznym pogodnym dniu wczorajszym już wczesnym z wieczora deszcz zaczął coraz silniejszy wiatr południowo-wschodni ze śniegiem. W nocy wiatr przeszedł w szaloną wichurę — śnieżną, rodzaj huraganu, sypiącego z gwałtownym pędem cały potop śniegu. Przez cały ranek i południe szalała dzika zamieć. Mróz spadł do 1° R., ale odwilż nie nastała. Ogromne zaspy śnieżne, które się nagromadziły w ostatnich 3 tygodniach ciągłych zawiei, powiększyły się znakomicie nowemi masami lotnego śniegu nocy i dnia dzisiejszego. Od rana we dworze rozkopano drogi zawiane, ale za obrębem dworu wszelka komunikacja zewnętrzna stała się chwilowo niemożliwa. Komorowscy, którzy mieli wyjechać dziś rano, musieli z konieczności zostać, bo o dojechaniu do Kowaliszek w zawieję i przy takich zaspach — mowy być nie mogło. Wszystkie drogi znikły pod śniegiem, a już o przejazdach przez wioski, przy wąskich płotach i krzakach lub drzewach, oraz w dolinach między wzgórzami, gdzie się za wiatrem skupiają i osiadają masy śnieżne, — niema co myśleć. Powietrze było gęste od padającego śniegu, który — zasłaniał najbliższy horyzont. Po obiedzie koło godz. 2-3 — wicher ucichł i śnieg ustał. Wyszliśmy o zmroku z Marynią, Julkiem, Ewą, Steffusiem i Zosią Komorowską na spacer pod Tarnię, brnąc po śniegu nawet na rozkopanej drodze, widok był śliczny. Dokoła wyrastały białe wzgórza śnieżne, miękkie i lekkie, jak puch, wszystko tonęło w świeżej czystej a gęstej bieli; puchy śnieżne pokrywały wszystkie gałązki drzew, a ogromna śnieżna powłoka miękkiego śniegu, niwelująca wszelkie kontury i twarde kształty, tłumiła akustykę i napawała — przestrzeń olbrzymią ciszą. Przy bramie, wiodącej na drogę antonoską, spaliliśmy kilka fajerwerków ku uciesze dziatwy parobczańskiej. Dzieci nasze z Julkiem na czele bawiły się i zrywały sobie w śniegu; tarzały się i przewracały do zasp, rzucały się śnieżkami, tonęły w miękkich puchach zimy. Ku wieczorowi w wielkiej ciszy, która nastała, mróz się trochę wzmógł.

Zima tegoroczna, przynajmniej teraz w grudniu, jest w pełnym miana zimą, co się zowie. Takie masy śniegu, jakie mamy teraz, mogą się mierzyć ze śniegami jedynej podobnej zimy, jaką pamiętam, — z roku 1907 na rok 1908. I teraz, jak wtedy, niema dróg, niema — komunikacji prawidłowej. Masy lotnego śniegu zaścielają całą przestrzeń ziemi, tak co się drogi trochę wyjeździ, to nowe śnieżyce zasypią, i znowu niema nic prócz jednolitej masy, raczej jednolitego puchu pyłków — śnieżnych niezgłębionej warstwy.

28 Grudnia / 10 stycznia rok 1913 / 1914. sobota.

Od samego rana Papa posłał parobków torować drogę i rozkopywać śnieg na drodze przez Prapultynię i Staczeragi aż do gościńca Rakiskiego w Kurkleciach. Tędy bowiem mają dziś wracać do Kowalisiek Komorowscy i tędy muszę jechać na pociąg ja. O dojechaniu na stację do Abel nie ma nawet mowy. Wiatr, który był ustał wczoraj pod wieczór, dziś od rana zaczął się podnosić. Tym razem zmienił kierunek i dął z północy. Wzmagając się stopniowo, przy wielkim mrozie, zaczął wkrótce grozić nową zawieją. Koło godz. 10 w powietrzu się ukazały pierwsze, drobne jeszcze, płatki śniegu, gnane wiatrem. O godz. 11, przy zaczynającej się zawiei, wyjechali Komorowscy. O południu zawieja była już w całej pełni. Gęstość spadającego śniegu była trochę mniejsza, niż wczoraj, ale wiatr nie mniejszy i cała masa lotnego śniegu wczorajszego, zrywana z ziemi wiatrem, łączyły się ze śniegiem świeżym spadającym i, tworząc tumany zamieci, w dzikiej kurzawie pędziły po polach, osiadając przygodnie w wikrach (?), zagłębieniach, przy płotach, chatach i t.d. oraz zasypując i równając wszelkie nowe ślady dróg.

Musiałem wyjeżdżać, aby być jutro w Wilnie. Przed wyjazdem bowiem z Wilna byłem u p. Aleksandra Meysztowicza i prosiłem go o udanie się do gubernatora Wierjowkina dla wysondowania go w sprawie wydania mi świadectwa prawomyślności („свидетельство о благонадежности“). Świadectwo to jest mi potrzebne dla przedstawienia do Sądu przy ponownej próbie uzyskania świadectwa na prowadzenie w Sądzie spraw cywilnych. Nie jestem pewny, czy gubernator mi je wyda przy zasięganiu o mnie informacji od policji, dlatego też chcę tu użyć protekcji p. Meysztowicza. P. Meysztowicz, bawiący wtedy w Wilnie w przejeździe z Petersburga po zamknięciu sesji Rady Państwa, której jest członkiem, obiecał mi swą pomoc najchętniej, ale nie miał czasu zrobić tego przed świętami, przyrzekł mi więc, że po powrocie ze wsi do Wilna czwartego dnia świąt, to znaczy jak dziś (?), najpóźniej jutro, będzie u gubernatora w mojej sprawie. Muszę więc być tam jutro, aby się dowiedzieć o rezultacie i móc ewentualnie pójść jeszcze do gubernatora z p. Meysztowiczem, o ile zajdzie potrzeba. Żeby być w Wilnie jutro rano, dość mi wyjechać z Abel lub Rakiszek pociągiem północnym. Ale po nocy, choć noce są jasne księżycowe, w zawiei jechać konno na stację niebezpiecznie. Musiałem więc wyjechać tak, aby za dnia dojechać do Rakiszek na stację i tam już na pociąg północny zaczekać. Jakoż o godz. 2 wyruszyłem w drogę. Jechałem sankami z furmanem, poprzedzany przez parobka Jodisa (?) Czapka (?), który w rozwalinach wiózł rzeczy moje. Droga do gościńca do Kurkleć była ciężka. Wprawdzie bruzdy przez zaspy, ale jeszcze ślad rozkopania rannego był znaczny. Wiatr uderzał z boku a ~~[illegible]~~ miejscami z tyłu. W niektórych miejscach, jak np. w Prapultini, wicher gnał takie kłęby śniegu w zwałożonym pędzie, że powietrze zdawało się być jedną masą śnieżną, ~~[illegible]~~ równą masie leżącej na ziemi, z tą tylko różnicą, że pierwsza była ruchoma. W miejscach zaś zacisznych, jak np. za lasem Stacjerańskim po drodze do Kurkleć, powietrze było przepełnione drobnym, jak proszek, pyłkiem śnieżnym, osiadającym tutaj, ale niezmiernie lotnym na skutek właśnie tego rozpylenia końcowego. Na gościńcu droga była lepsza; ruch tu ciągły, więc bądźcobądź podstawa drogi, choć z wierzchu zasypanej, jest twarda, utorowana, a że gościniec ten idzie przeważnie po równej otwartej przestrzeni, więc śnieg lotny nie może się tu zatrzymywać i jest zwiany dalej, a przeto zaspy na tej drodze są niskie. Za to w wioskach, jak np. Łajbgalce, gdzie zaspy śniegu się nagromadziły i droga się już na nich utorowała, jedzie się na poziomie wierzchołków płotów, a czasem wyżej jeszcze, na dachach zaś od strony za wiatrem leżą takie pokłady śniegu, jak góry całe. Mróz był tylko kilkostopniowy, ale wiatr północny tak ostry, tak mroźny i przenikliwy, że gdy wiał nam ~~[illegible]~~ od frontu, jak np. za karczmą Łajbgalską do Rakiszek (?), to mroził straszliwie twarz całą a przenikał przez futro do kości. Wolałbym mróz 20-stopniowy od takiego wiatru. Do Rakiszek na stację zajechaliśmy dość prędko, bo już o godz. 4 tam byłem. Furmana i parobka odprawiłem natychmiast, bo mnie o to prosili, aby zdążyli za światła jeszcze wrócić do domu, gdyż po nocy w zawiei niebezpiecznie. Miałem do pociągu 8 godzin czasu. W poczekalni na stacji było zimno, jak w stodole, mimo że piec był ciepły. Kazałem stróżowi w piecu napalić, a z [illegible] bufetu stacyjnego kazałem sobie podać herbaty. Potem [illegible] Przeszedł jakiś pociąg towarowy, później o godz. 6½ osobowy z Kalkun. Wicher straszliwy wył za ścianami budynku, zimno ciągnęło przez szpary okien. Pasażerów tylko kilka, [illegible]. W poczekalni II klasy tylko ja i kobiecinka jakaś, [illegible] jak się później pokazało: Meinelisowa z Danczarówki (?) z domu. W pierwszej ogólnej poczekalni raz po raz zbierała się dla ogrzania się gromadka robotników z łopatami, odkopujących śnieg na torze kolejowym w najbliższym promieniu stacji. [illegible], tupot nóg w ciężkich butach — sprowadziły [illegible] w martwych [illegible] budynku. Potem na wieczór tylko jedna jakaś lokomotywa przemknęła się, dążąc od strony Kalkun w kierunku Radziwiliszek. Opowiadano, że w zawiejach tej zimy zginęło na mrozie 18 ludzi w parafii Rakiskiej. W [illegible] wczoraj na skutek zawiei i niedostatecznej widoczności [illegible] zdarzenie pociągu towarowego z manewrującym: zginął konduktor, któremu [illegible] odcięło [illegible]. Mówiono też na stacji, że jakaś lokomotywa ugrzęzła gdzieś w śniegach na linii i zasypana została [illegible]. Skracałem sobie czas lekturą. [illegible] czytałem: „Pamiętniki [illegible] Schalley z początku XIX w.”, Kutrzeby „Historia ustroju Litwy” i dzieł Krasińskiego tom II. [illegible] lat 81–9 (w roku 1880–1889) [illegible]

29 grudnia. 11 stycznia rok 1913. 1914. niedziela.

Choć twardo było leżeć na ławie drewnianej i choć niewygodnie i zapewne niehygienicznie spać w futrze z kołnierzem nastawionym i w kaloszach, jednak wyspałem się zupełnie dobrze i zmęczenia rano nie czułem. O godz. 7½ zbudziło mnie zajadłe szczekanie pieska bufetowego, którego w sąsiedniej ogólnej sali drażnił zmudzony i spokojny też zapewne, jak ja, na pociąg Żydek. O pociągu żadnej wieści. Stacja, choć już obudzona, cicha tak, jak wczoraj. Wicher mocny ucichł nieco, ale śnieg nie pada, zawiei nie ma. Mróz za to, zdaje się, znacznie większy. Minęła pora już nie tylko pierwszego, północnego pociągu, ale i drugiego, rannego, który powinien przylecieć do Łakiszek o godz. 6 rano, a tu nic, żadnego śladu pociągu, żadnej wskazówki, aby się zbliżał. Stacja i martwo dokoła. Tylko wicher dmie, świszcze, huczy, wyje wściekle za ścianami budynku stacyjnego, wciskając się przez wszystkie szczeliny do środka i siejąc mroźnym tchnieniem w powietrzu. Na tle szalejącego zewnątrz wichru sam budynek stacyjny wydaje się czymś wstydnym, niepewnym. Zimno bardzo. I tylko piesek szczeka w sąsiedniej sali, stróż dyżurny drzemie i Żydek podburza dla rozrywki drażnić psa; zaspana bufetowa stara się okutać cieplej; a w poczekalni ja i moja towarzyszka niedoli Mejnelisowa, która się przespała w pokoiku damskim, raczej ziębnąc i drżąc, nic nie przedsiębiorąc; Mejnelisowa z cierpliwą rezygnacją znosi los czekania na pociąg; poczęstowała mnie smacznym jabłkiem, za co się jej wywdzięczyłem, częstując ją kowalskiemi orzechami w cukrze. Kobiecina gawędzi ze mną, skracając sobie czas i zaspokajając potrzebę ciekawości i chęć wypowiedzenia się. Jest ona z urodzenia moją współparafianką, z wioski Sugieliszek nad jeziorem Sorty, parafii (krewieńskiej). Należy do bogatszej, a więc wyższej sfery włościańskiej. Jest z domu Baszczarówna a żoną za Mejnelisem, rodzonym bratem bogatego w okolicy „bogacza" Mejnelisa, zmarłego przed kilku laty. Mejnelis, chłop prosty, miał kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy rubli kapitału. Skąd doszedł do tego majątku, tego ja nie wiem. Nie był nigdy inteligentem i nie miał wcale pretensji do tego. Nawet po zbogaceniu się nie myślał nigdy się wynosić i pięść nad stan swego urodzenia. Był to chłop litewski starego autoramentu. Chłopem się urodził i chłopem pozostał do śmierci. Miał rozum, cenił swoją godność, ale ani parweniuszowskie żyłki pięcia się do szlachty nie miał, ani też nie pragnął grać jakiejś roli przywódczej, ludowej. Nie był nigdy nawróconym litewskim narodowcem ani demokratą; był konserwatystą z krwi i kości, był Litwinem z obyczaju, tradycji, z krwi po prostu. Cenił i uznawał układ społeczny, jaki zastał przez przeszłość i nie rozumiał potrzeby żadnych prądów nowych, żadnych „reform". Był skąpy i rozważny a statyczny, natomiast ofiarny na kościół, księży i wogóle wszystko, co się wiązało ze sprawą „zbawienia duszy" po śmierci. To „zbawienie duszy" było główną troską, jedyną [illegible] pobożnego patriarchalnego chłopa litewskiego Mejnelisa. Miał jednak swoje fantazje, swoją hojność [illegible] w gościnności. Przyjęcia imieninowe u Mejnelisa były świetne: nie żałował wtedy na przekąski drogie, na wina. Zjeżdżali się do niego wtedy księża, których szczególnie cenił, jako szafarzy zbawienia, arystokracja włościańska, szlachta, nawet ziemiańska arystokracja, jak np. ongi stryj Bronisław Römer. Mawiano jego świętych pamięć poklepując go, że nigdy nie schodził ze swego stanowiska bogatego chłopa litewskiego katolika, nigdy ani się garnął za pan-brat do arystokracji ziemiańskiej czy szlachty, ani jej schlebiał, ani też się gardził. Nigdy się nie ożenił i umarł kawalerem. Połowę swój rozdzielił braciom (niewielki to schedy), kapitały zaś przeznaczył całkowicie na „zbawienie duszy" do rozporządzenia ks. proboszcza [illegible] Jankowskiego, to znaczy na cele katolickie ze szczególnym uwzględnieniem sprawy jego osobistego zbawienia. Taki typ Mejnelisa — to typ starych bogatych chłopów litewskich, typ, który się dziś ciągle przekształca bądź w kierunku podłych plutokratów i dusigroszów, których interesuje li tylko pieniądz, nic więcej, bądź w kierunku szlachetnym ideowych narodowców i społeczników. Wszakże pierwiastki typu Mejnelisa nie zanikły dotąd bynajmniej w sferach bogatego włościaństwa litewskiego; typ ten jest dotąd jeszcze żywotny i przeszły na dzieci przynajmniej w naszych stronach. I moja kuzynka, Mejnelisowa, Baszczarówna z domu, też do tegoż typu należy. Ale wracam do losów moich w tej niefortunnej podróży do Wilna. Mejnelisowa zabawiała się ze mną gawędką i opowiadaniem. Zna moich rodziców, o których zachowała pamięć wdzięczną, a fakt współparafialności naszego z urodzenia jest w jej oczach, starym trybem, nietylko faktem zewnętrznym, ale istotnym tworzącym, pewnym węzłem społecznym duchowym. W toku gawędki naszej usłyszeliśmy powrotny dźwięk dzwonka stacyjnego. Wybiegłem na zwiady, sądząc, że to może nasz pociąg wyszedł z sąsiedniej stacji Powiewiórki i zbliża się do nas. Dowiedziałem się wszakże nie pociąg, że to tylko 2 lokomotywy, dążące do Kalkun i posuwające zdaleka, bo o kilka godzin, nasz pociąg, wypuszczony z Powiewiórki. Dowiedziałem się przytym, że te właśnie 2 lokomotywy z wiecznością szczęśliwie wyrwały się z Podbrzezia i wraz ze swoją kolejną. Ugrzęzły one wczoraj po wieczór w śniegu, pod [illegible] i wkrótce zostały zasypane przez śnieg jeszcze bardziej. Trzeba było wzywać robotników do ich odkopywania, co w zawiei nie było łatwe. Do 100 robotników pracowało w nocy nad uwolnieniem ugrzęzłych potworów. Dopiero w kilka godzin po północy uwolniono je tak, że mogły ruszyć i oto teraz dążą do Kalkun, a za niemi o kilka godzin drogi posuwa się nasz pociąg, który o godz. 3½ w nocy wyszedł z Podbrzezia i tu dopiero na godz. 11 może być spodziewany. Wkrótce stacja nasza zaczęła się ożywiać. Zaczęli coraz liczniej nadciągać pasażerowie na pociąg dzienny. Gwar, ruch — wypełniły puste i głuche dotąd stacje. W końcu o godz. 11½ przed południem nadszedł pociąg i zabrał nas. W wagonie spotkałem niejakie wygodne; było ciepło, to też z rozkoszą ogrzałem się, zrzuciłem z siebie ciężar. Tymczasem już na dworze znowu zawieja zawieja. Pociąg szedł nierówno, bo szedł przez zaspy. Dojechaliśmy do Abel. Tu musieliśmy się skrzyżować z innym pociągiem ostatnim, wyekspediowanym z Kalkun. Stanęliśmy długo a przez ten czas zawieja naniosła takie mnóstwo śniegu pod koła pociągu, tak wypełniła nim resory, maszynerię kołową, koła i t. d., że gdy pociąg ruszył z miejsca, pociąg przez czas długi, pomimo rozpaczliwych wysiłków, nie był w stanie się poruszyć. Koła ślizgały się i nie mogły się obracać, były chwilowo unieruchomione. Patrząc na te wysiłki, doznawało się wrażenia, że to lokomotywa i pociąg jest jakąś istotą żywą, i żal się robiło biednego potwora żelaznego. Wreszcie udało się ruszyć. Nim dojechaliśmy z Abel do Jodłówki, zawieja ustała. Wiatr się nieco uciszył, śnieg przestał padać. W Jodłówce znów wypadło czekać na pociąg towarowy, idący od Kalkun. Pociąg ten przyszedł wreszcie, ale się okazało, że w drodze zostawił [illegible] 9 wagonów towarowych. Zaraz więc lokomotywa ruszyła dla zabrania i przyciągnięcia tych wagonów, bo inaczej wstrzymałyby wszelki ruch. Wreszcie wagony przywleczono i my wyruszyliśmy do Kalkun, dokąd przybyliśmy o godz. 3½ po południu. Tu się dopiero okazało, że co do komunikacji z Wilnem, to nic pod tym względem nie wiadomo. Pociągi, idące z Wilna, choć z pewnym opóźnieniem, jednak wszystkie szły, co zaś do pociągów, idących z Petersburga, to jeden teraz, w niedzielę pod wieczór, nie przeszedł przez Kalkuny te, które tu były oczekiwane ze wczoraj, to znaczy w sobotę rano. Dziś rano dwa jakieś pociągi na Wilno przeszły przez Kalkuny, ale były to dorywcze, te, które [illegible] [illegible] wszystkie pociągi z 2 dni [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

366. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] o 12–15 godzinie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] idący z Dyneburga, którym o godz. 8½ wyjechałem i teraz już bez przeszkód o północy do Wilna dojechałem.

30 grudnia / 12 stycznia rok 1913/1914. poniedziałek.

Gdym przyjechał po północy do Wilna i wpadł do mego mieszkania, byłem do tego stopnia niezmęczony, mimo nocy wczorajszej, przespanej na ławie drewnianej w Rakiszkach na stacji, żem postanowił się nie kłaść wcale. Chciałem bowiem opisać w liście do Bohdaniszek moje przygody i wrażenia z tej dwudniowej „podróży" do Wilna. Po drodze z Rakiszkiem do Wilna spałem w wagonie przez jakieś 4 godziny, więc się już czułem wypoczęty. W domu chłód w pokojach był dotkliwy. Mrozy a zwłaszcza wiatry paraliżują działanie pieców. Kazałem Annusce podpalić u mnie w piecu, nastawić samowar i, marznąc w nogi, zasiadłem przy biurku do pisania. Napisałem list szczegółowy do Bohdaniszek z opisem mojej podróży; potem dziennik, zrobiłem porządki u siebie i w lot mi wystygnął czas do ranka. Rano pośpieszyłem do Anny. Zaniosłem jej trochę łakoci i drobiazgów, przywiezionych z Bohdaniszek. Aninka spała jeszcze, gdym przyszedł. Poczekałem, żeby się ubrała, i wszedłem do niej. Przywitała mię gorąco, stęskniona. Opowiadałem jej szczegółowo z wielką werwą perypetje mojej jazdy do Wilna. Potym poszliśmy z nią na miasto. Przywiozłem Anni z Bohdaniszek na jej prośbę mój aparat fotograficzny; będzie się uczyć fotografować, co jej sprawi rozrywkę. Wieczór znowu z nią spędziłem. Gdym koło godz. 11 wieczorem wrócił do domu, zastałem Zysia Komorowskiego z Julkiem, którzy najniespodzianiej przyjechali do Wilna. Julek jedzie stąd do Warszawy na jakieś wykłady rolnicze, Zyś przyjechał dla poinformowania się w sprawie przypisania się Julka do wileńskiego okręgu wojskowego.

31 grudnia. 13 stycznia.
rok 1913. 1914.
wtorek.

Koniec roku 1913. Nie był to dla mnie rok zły. Miał, jak każdy, pewne fakty ujemne, ale naogół nie zapisał się w kronice mego życia zgłoskami jakichś klęsk lub nieszczęść. Moje życie osobiste w tym roku płynęło dość równo, a nie brak było i czynników dodatnich.
W moim stosunku z Anną byłem zupełnie szczęśliwy i kończę ten rok stary z głębokiem przeświadczeniem o nietelnej trwałości tego związku. Pod tym względem wątpliwości żadnych mieć nie mogę. Związek ten jest stanowczo jedną z najgłębszych podstaw mojego życia. Nasze pożycie z Anną w początku tego roku było zabarwione trochę i smutkiem obaw o zdrowie Anny; zdawało się, że Anna ma już początki groźnych suchot; obecnie obawy te przeszły zupełnie; już po powrocie z Krymu stan zdrowia Anny przestał budzić obawy, pobyt zaś letni w Trasieniszkach i jej stan obecny zupełnie wykluczają myśl o niebezpieczeństwie.
Pod koniec roku wykrystalizował się projekt nabycia placyku na Antokolu, który się może stać zawiązkiem ustalenia materjalnych podstaw tak bytu Anny, jak przyszłej formy naszego związku.
W sprawach moich osobistych dość poważną rolę odegrało odmówienie wydania mi świadectwa w Sądzie Okręgowym na prowadzenie spraw cywilnych. Może się to stać źródłem poważnych komplikacji co do ustalenia mojego stanowiska zawodowego w adwokaturze. Ale nie tracę nadziei, że to się jeszcze da naprawić.
Do spraw już raczej publicznych, ale dotyczących blisko mego życia osobistego, należy dokonany w tym roku rozłam w obozie postępowców polskich w Wilnie. Ostry zwrot t. zw. „grupy przeglądowej" na prawo w kierunku nacjonalizmu i wyparcia się haseł humanitarnych, zmusił mię do ideowego zerwania z tą grupą. W prawdzie nie było to dla mnie zupełną niespodzianką, bo uwydatniły się oddawna różnice zasadnicze, dzielące mnie od najwybitniejszych leaderów tej grupy, jak zwłaszcza Witold Abramowicz i Zasztowt, że nie mówiąc już o Ruszczyc, i wiedziałem, że te tkwiące zarody różnic ideowych z czasem w biegu akcji wspólnej się rozwiną i uwydatnią, dzieląc drogi nasze, jednak nie przewidziałem, żeby to nastąpiło już tak prędko i tak widocznie, niemal bezwzględnie. Niespodzianką było dla mnie tylko Krzyżanowskiego przesunięcie się do stanowiska Abramowiczów. Dokonany w skutku tego faktu rozłam osamotnił mię trochę na czas jakiś. W grupie bowiem, z którą się usunąłem, zostali moi najbliżsi towarzysze z moich lat wileńskich. Stąd wszakże zaczęła się ku końcowi roku wyłaniać potrzeba scementowania elementów szczerze demokratycznych polskich dla utworzenia z nich nowej grupy, nowego ogniska zespołu i działania. Pomocnym w tym będzie nasz związek demokracji krajowej, tworzący naturalne środowisko dla zasęszczania tego zespołu, oraz placówka realna, jaka jest w postaci „Kurjera Krajowego" (jeżeli się to pismo utrzyma i jeżeli uchroni od niebezpieczeństwa zachłanności koterji). Jednocześnie „Kurjer Krajowy" w obecnej swojej fazie reorganizacji staje się może czynnym żywym zaczątkiem współdziałania demokracji krajowej, stanowiąc pod tym względem świetny pierwowzór na przyszłość.
Ostatnio napisałem dla „Kurjera Krajowego" do Nru noworocznego artykulik krytyczno-retrospektywny: „Rok 1913 w Wilnie". Omówiłem w nim dokonane w roku ubiegłym wybory miejskie, krajową wystawę przemysłu domowego (we wrześniu w Wilnie), przejawy ruchu spółdzielczego w Wilnie (towarzystwo spożywcze „Solidarność" i „Mrówka"), powstanie prasy, poświęconej sprawom handlu i przemysłu krajowego („Przegląd Handlowo-Przemysłowy" i „Miesięcznik Leśny i Meljoracyjny"), oraz prasy ilustrowanej („Widownia Ilustrowana" i „Nasz Kraj"), zakończenie budowy i otwarcie teatru polskiego, otwarcie gmachu Towarzystwa Przyj. Nauk, wystawy sztuki z r. 1913, utworzenie stałej orkiestry i koncertów symfonicznych.

[illegible]

368.

1 (14) stycznia rok 1914. Środa.

Rok nowy. Chociaż z twórcami w redakcji „Kurjera Litewskiego" ofiarę „na rzecz języka polskiego" — zamiast powinszowań i wizyt noworocznych, jednak [illegible] wizyt noworocznych było niezbędnych. Ponieważ pierwszy, zdaje się, raz spędzam rok nowy w Wilnie, to też pierwszy raz [illegible] składam tego rodzaju wizyty. Przedewszystkiem musiałem złożyć z konieczności 2 wizyty: p. Kazimierzowi Kobylińskiemu i p. Aleksandrowi Meysztowiczowi, tym dwóm panom, który mi łaskawie udzielają pomocy w sprawie uzyskania w Sądzie świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych a stąd ustalenia mego stanowiska adwokackiego w Sądzie Wileńskim. Nim przejdę do opisu wizyt, określę sytuację w tej sprawie. Przez Kobylińskiego staram się oddziałać na sfery decydujące w Sądzie, przez Meysztowicza zaś zapewnić sobie udzielenie mi przez Gubernatora świadectwa prawomyślności („благонадежности"), którym chcę poprzeć moje starania w Sądzie. P. Meysztowicz miał być w Wilnie czwartego dnia świąt, to znaczy w sobotę, i wtedy już zwrócić się do gubernatora dla pomówienia w tej sprawie; dlatego to tak śpieszyłem z powrotem moim z Bohdaniszek. Okazało się wszakże, że zeszłego [illegible] ubiegłego tygodnia przeszkodziły przyjazdowi p. Meysztowicza na czas określony. W piątek wieczorem wyjechał z Petersburga, przyjechał zaś do Wilna dopiero w poniedziałek rano! Wczoraj go widziałem w Banku Ziemskim, którego jest dyrektorem. Nie był jeszcze u gubernatora. Ma być u niego dziś z wizytą noworoczną i prosić o audjencję osobistą na jutro dla pomówienia w mojej sprawie. Od p. Meysztowicza niczego się dziś dowiedzieć nie miałem, jeno mu złożyć wizytę przez grzeczność, gdy on jest tak grzeczny, że z taką kurtuazją i uprzejmością śpieszy mi dopomóc swoją protekcją. Kobyliński zaś miał pomówić o mojej sprawie z wiceprezesem Sądu Malininem. Przed świętami go nie widziałem, ale gdym wrócił z Bohdaniszek, zastałem bilet wizytowy Kobylińskiego, który w czasie mojej nieobecności zachodził i polecił służącej powiedzieć, że ma do mnie pilny interes. Domyśliłem się, że ma mi coś do zakomunikowania. Szedłem więc do niego nie tylko z wizytą formalną, ale też i dla sprawy mojej. Wybrałem się z temi wizytami razem z Pawiszczym w Wilnie żyjącym Kobylińskim, który zresztą umyślnie w tym celu został w Wilnie jeszcze o dzień dłużej. Żyć, przyjechawszy do Wilna po długim siedzeniu na wsi, lubi zobaczyć ludzi, odświeżyć się, jak mówi, pozrobić sprawunki, nagadać się do syta. Zresztą i ja go miałem dziś bardzo chciałem ze sobą, po pierwsze dla zaznaczenia tym panom, że sprawą tą interesuje się i rodzina moja, a po wtóre dlatego, że ewentualnie wrazie jakiejś potrzeby szczególnej Żyć mógłby też być nawet pomocny, [illegible] zwłaszcza wobec gubernatora, którego zna dobrze. Pojechaliśmy więc przed południem naprzód do Kobylińskiego. Staruszek przyjął nas w uniformie, bardzo przyjemnie, serdecznie nawet, z właściwą mu zawsze galanterją i wielkopańskim podkreślaniem stosunków krewniaczych. W szczególności zakomunikował mi, że z Malininem już rozmawiał w mojej sprawie i że ten mu obiecał, iż na posiedzeniu Sądu poprze mię osobiście, powie nawet, że zna mię osobiście dobrze, i rzecz będzie załatwiona. Na stwierdzenie, że Kobyliński zapewnił Malinina, iż jestem jaknajbardziej lojalnym poddanym rosyjskim, wiernym ugodowcem, człowiekiem znakomicie konserwatywnym, [illegible] od jakichkolwiek knowań przeciwrządowych. Malinin powiedział, że [redacted] ogólne zebranie Sądu odbędzie się w początku stycznia, i radził, abym podanie wniósł jaknajprędzej, aby nie sprawa wtedy [illegible], bo on na tym posiedzeniu będzie. Ten pośpiech mi trochę psuje na rękę, bo nie wiem, czy będę mógł mieć tak prędko świadectwo gubernatora; choć Malinin obiecał to załatwić niezależnie od świadectwa gubernatora, ale, jak mówi Kobyliński — „kasza masła się nie lęka", to znaczy, że świadectwo gubernatorskie w każdym razie nie zawadzi. Wobec tego wszakże wniosę podanie do Sądu zaraz, a świadectwo gubernatorskie, jeżeli na czas nie przyjdzie, złożę po niej. Tak więc ta sprawa moja przyjmuje, zdaje się, pomyślny jeżeli obrót, chociaż z takim właśnie człowiekiem, jak prezes Sądu Bariatyński, jeżeli się uda, wygląda jeszcze trudna rzecz. Z Kobylińskim porozmawialiśmy jeszcze o tym i owym. Jest on jednak wcale nie głupi i nawet, choć najgorliwiej wysługuje się figurom urzędowym i rozgłaszany dla swej [illegible] wagi i wpływów, jednak w istocie nie jest sam z przekonania bynajmniej figurą urzędową, za jakiego uchodzi. Orjentuje się znakomicie w jałowym a nawet szkodliwym działaniu biurokratycznych metod rządzenia urzędników miejskich i wytyka nam przez niech jako wiek „reformę", które zawsze stwierdza li tylko popsuciem i [illegible] urzędników, nie poruszając uwagą sprawy publicznej. Nie jest on też bynajmniej rzecznikiem uprzywilejowanych urzędników patji dla rządu czy Rosji i uważa się za rzecznika „sprawy zaprzy", to znaczy w jego pojęciu sprawy ziemiańskiej na Litwie, jeno że uważa tę drogę, którą obrał, drogę wpływania tam wpływów osobistych, za najskuteczniejszą. Od Kobylińskiego pojechaliśmy do p. Meysztowicza, [illegible] go nie zastaliśmy, więc tylko mu bilety zostawiliśmy. Żyć mię namówił, abyśmy pojechali jeszcze z wizytą do stryjostwa Bolesławów Römerów i do teściowej mojej. Choć mi było trochę nieswojo, zgodziłem się na te wizyty. U Bolesławów od czasu zajścia przy zerwaniu mego małżeństwa nie byłem jeszcze. Przez 3 niespełna lata stosunki moje ze stryjenką Bolesławową były zupełnie zerwane na skutek jej zachowania się w czasie tych [illegible]. Dopiero ubiegłej zimy stosunki te zostały nawiązane na stopie [illegible] i bliższych byłem u nas uprzejmie tę minutę [illegible]. Uznała powinność moją winy, przebaczenie, [illegible] dużo, [illegible], aby wielką wynagrodziła sprawiedliwie krzywdy. To też tak ja, jak najbliższa rodzina moja, nie żywiliśmy żalu i tę stryjenkę szczerze pogodziliśmy. Jest ona [illegible] serdeczna i szczera osoba, bodaj najsympatyczniejsza z wszystkich Römerów, i do tego jest bardzo nieszczęśliwa, bo ten syn jedyny, którego tak kocha, — Stefan — [illegible] z [illegible] bolesne serdecznym, nie [illegible] [illegible] życiem. Gdy Papa przed 3 laty był [illegible], [illegible] wszystko do stryjostwa, [illegible] był też [illegible], [illegible] tak [illegible], że Papa w oczach [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] serdeczności i radości. [illegible] do teściowej — Edwardowej Römerowej, u której też bawią [illegible] Barbara i Józefa. Z Kościałkowskie i teściową było bardzo serdecznie. Dowiedziałem się, że teściowa pokazała mi ostatnią fotografję mojej córeczki. Chcę o tym specjalnie pomówić, to też wracam do tego pod datą jutrzejszą.

2 (15) stycznia.
rok 1914.
czwartek.

Wrócę jeszcze do dnia wczorajszego, mianowicie do fotografii mojej córki Cesi, którą mi wczoraj teściowa pokazała. Na fotografii dziecko wygląda bardzo bujne i zdrowe, jakiem też jest istotnie, sądząc z tego, co wszyscy mi o niem mówią. Ceśka ma ładne włoski i ma ten sam wyraz uwagi i pewnego zamyślenia, który dostrzegłem u niej dawniej. Na mnie wszakże wygląd jej na fotografii sprawił wrażenie braku wybitnej wyrazistości w rysach twarzy, chociaż teściowa i Zysi byli innego zdania. Natomiast twarz ta wydała mi się szczególnie swojska, jak gdyby znajoma, taka, jakąm ją przeczuwał; zdaje się, jakoby poza tą rozlewnością rysów, w tym braku jaskrawej wydatności zewnętrznej, taiła się głęboko natura psychiczna; jakoby wszystko w tym dziecku skupiło się i cofnęło wgłąb, ku samym źródłom ducha, co się wyraża w zamyśleniu i powadze twarzyczki. Może to są tylko fantastyczne rojenia ojca, moje własne subjektywne nastroje, które w myśl o moim dziecku wcielamy. Wszyscy dostrzegają nieznaczne podobieństwo dziecka do mnie. I Zysi, i teściowa, i ciotki Kościałkowskie — znajdowali to podobieństwo bardzo widoczne, bardzo dokładne. Mnie samemu trudno o tym sądzić, ale wrażeniowo, uczuciowo twarzyczka ta rzeczywiście wydała mi się niezmiernie swojska, niezmiernie moja. Widok fotografii tego dziecka sprawił na mnie wielkie wrażenie, budząc tęsknotę i głębokie uczucie miłości. Teściowa mi obiecała dostać dla mnie jedną taką jej fotografię. Będzie to dla mnie radość wielka. Kiedyż ją żywą zobaczę?!

Dziś przez całe przedpołudnie, właściwie aż do obiadu nawet, byłem zajęty gorączkowo jedną tylko sprawą — znalezieniem kandydata do wyjazdu do Moskwy, co jest dla nas konieczne, na zjazd naszego związku.

Wieczór spędziłem w domu, bo Anna poszła na zebranie Towarzystwa Łotewskiego. Widziałem się z Anną tylko po obiedzie; poszliśmy z nią tylko trochę na miasto i wkrótce musieliśmy się rozstać. Spacery z Aninką i towarzyszenie jej przy załatwianiu przeróżnych interesów na mieście — to dla nas obojga rozrywka wielka; gawędzimy wtedy, dzielimy się wrażeniami, żartujemy, a moja Aninka jest świetną obserwatorką i znakomicie robi spostrzeżenia i wnioski o ludziach, faktach i zjawiskach, z którymi się styka w toku tych spacerów i interesów moich, obserwując nawzajem i słuchając opowiadań i uwag moich. O ile dziś krótko się z Aninką widziałem, o tyle wczoraj spędziłem w jej towarzystwie śliczny dzionek, właściwie pół dzionka tylko, bo od godz. 3 do końca dnia. Byliśmy z nią wczoraj na obiedzie we wznowionej restauracji Myśliwskiej, co się nam teraz prawie nigdy nie zdarza ze względu na oszczędność. Potem chodziliśmy po mieście, przyglądaliśmy się pożarowi na rogu prospektu i ulicy Ofiarowskiej, wieczór u niej spędziliśmy.

3 (16) stycznia rok 1914. piątek.

Rano załatwiałem interesa na mieście w towarzystwie Anny. Jest to dla mnie największa rozrywka, gdy mi Aninka swoją towarzyszy. Potem się z nią pożegnałem, bo musiałem już dłużej zabawić w banku i w Sądzie.

W sprawie jazdy do Moskwy udało mi się skłonić Jaulysa, który też nocnym pociągiem wyjechał.

Poszedłem do p. Aleksandra Meysztowicza, żeby się dowiedzieć o rezultacie jego wczorajszej rozmowy z gubernatorem. Rezultat jest dobry, przynajmniej dobrze się zapowiada. Meysztowicz powiedział gubernatorowi, o co chodzi, że prosiłem o wydanie mi świadectwa prawomyślności, które jest potrzebne dla otrzymania od Sądu świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych. Gubernator zresztą o mnie nie wiedział i o żadnych przewinieniach moich nie słyszał. Zapytywał, co za jeden jestem i z jakich to Römerów, że się mi robią jakieś trudności tak, że aż trzeba prosić takiego Meysztowicza. Meysztowicz powiedział, że w r. 1905 czy 1906, pod wpływem bardzo popularnych wtedy nastrojów rewolucyjnych, ~~[illegible]~~ redagowałem w Wilnie jakąś gazetkę, która została za jakiś artykuł zamknięta i że to stanowi główną winę moją, ale że z pewnością jako prawowied, i ze stanowiska materjalnego oraz z urodzenia muszę być dziś, gdy minęła gorączka rewolucyjna, bardzo daleki od dawnych moich poglądów. Gubernator powiedział na to, że uważa, iż na wybryki z r. 1905, które dziś już pokryć zostały zapomnieniem, i polecił, abym się doń zgłosił z podaniem o świadectwo prawomyślności. ~~[illegible]~~ Na tym się skończyło. Sądzę, że świadectwo żądane otrzymam. Będę musiał się osobiście do gubernatora zwrócić.

Zaniosłem też dziś do Sądu moje podanie o wydanie mi świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych. Sekretarz prezesa, któremu podanie wręczyłem, oświadczył mi jednak, że na styczniowe ogólne zebranie Sądu, które się odbędzie jutro, podanie moje już w żadnym razie nie trafi i zostanie odłożone do następnego zebrania — 8 lutego. Co prawda do jutra nie miałbym jeszcze świadectwa gubernatora, więc z tego względu odroczenie decyzji do lutego może być dla mnie korzystne. Z innego wszakże względu jest to niedobre. Mianowicie bowiem wice-prezes Sądu, Malinin, który obiecał Kobylińskiemu, że poprze moją sprawę, prosił, abym wniósł podanie na sesję styczniową, podczas której on udział weźmie; czy Malinin weźmie udział w sesji lutowej — tego nie wiem, a ~~[illegible]~~ poparcie jego jest dla mnie bardzo ważne. Poza tym Malinin ma teraz jeszcze świeżo w pamięci prośbę Kobylińskiego, a dobrze jest zawsze kuć żelazo, póki gorące. No, ale jeszcze zobaczymy.

4 (17) stycznia roku 1914. Sobota.

Dzień mi zeszedł na załatwianiu do obiadu interesów na mieście, w czym mi towarzyszyła Anna, potym po obiedzie na odrabianiu rozmaitych spraw bieżących, przeważnie z dziedziny adwokackiej. Kupiłem dziś dla naszej nauki z Anną wypisy polskie i podręcznik arytmetyki. Około godz. 7 wieczorem zabrałem się do artykułu, który zamierzałem przeznaczyć dla nowego tygodnika warszawskiego „Widnokrąg". Jest to pismo, założone przez mojego kolegę z Paryża, Józefa Wasercuga, Żyda zasymilowanego, z przekonań radykała (Wasercug był przez czas pewien redaktorem „Izraelity", organu asymilatorów żydowskich w Warszawie). Pod względem kierunku pismo to („Widnokrąg") jest zdaje się identyczne z zeszłorocznym, już obecnie zmarłym, „Tygodniem" Jerzego Jankowskiego. Jest to więc organ [illegible] tego odłamu postępowców warszawskich, który nie dał się unieść popularnej fali antysemityzmu („bojkotyzmu"). Pismo hołduje zasadom wolnej myśli, radykalizmu i humanizmu, a przede wszystkim jest niezależne. Mówiąc, że jest ono „organem odłamu postępowców", wyraziłem się nieściśle, bo właściwie nie jest organem żadnej określonej grupy, jeno jest najbardziej bliskie ideowo [illegible] temu odłamowi. Wasercug, zakładając w jesieni pismo, zwracał się do mnie listownie z prośbą o współpracownictwo, co mu też w zasadzie obiecałem. Otóż chciałem teraz obietnicę tę wykonać i napisać artykuł. Zacząłem na ulubiony mój temat — o układzie stosunków i prądów dziejowych kulturalnych i narodowych w Litwie i Białej Rusi, mając na względzie czyli wysnuć z tego — wskazówki co do stanowiska i zadań Polaków w obecnym (i przyszłym) rozwoju kraju. Napisałem tylko początek, ale w toku pisania przyszła mi chęć zmienić przeznaczenie tego artykułu: skieruję go nie do „Widnokręgu", lecz do krakowskiego „Świata Słowiańskiego", w którym przed paru laty drukowałem obszerniejszą rzecz prawie o Litwinach pruskich. Dla „Widnokręgu" obecny artykuł mój jest nieco za ogólny, za zasadniczy; nadaje się on bodaj właśnie dla miesięcznika i to właśnie takiego, jak „Świat Słowiański", którego zadaniem jest poważna analiza stosunków i prądów narodowo-kulturalnych na ziemiach Słowiańszczyzny oraz ludów, historycznie ze Słowiańszczyzną związanych. Acz „Św. Słowiański" nie jest pismem o kierunku demokratycznym, to jednak moje dotychczasowe wszelkie studja poważne w zakresie tej analizy, bo pod tym względem nie krępuje on zbytnio zasadniczego stanowiska autorów. Dla „Widnokręgu" zaś coś innego napiszę. Artykuł zacząłem jeszcze, dokończę artykuł ten po [illegible].
Wieczorem wróciła z Bohdaniszek na święta Marynia z córką Ewą. Stefuś został na wsi jeszcze na parę tygodni. Resztę wieczora spędziłem u [illegible] Anińki.

5 (18) stycznia
rok 1914.
Niedziela.

Większą część dnia spędziłem z Anną, ale nam jakoś humory nie dopisywały, bo ciągle z drobiazgów się wywiązywały jakieś głupie sprzeczki, które nam psuły nastrój. Dąsaliśmy się na siebie zupełnie niepotrzebnie, bo zaiste nie było o co.

Wieczorem miała przyjść do Anny jej znajoma, niejaka panna Zofja, jedna z nauczycielek ludowej szkoły gospodarskiej żeńskiej w Krasieninie, bawiąca chwilowo w Wilnie. Wobec tego koło godz. 8 pożegnałem Annę i wróciłem do domu. Tu pisałem w dalszym ciągu rozpoczęty wczoraj artykuł. Artykuł ten układa mi się bardzo dobrze; czuję sam, że jest pełny treści i zawiera dużo myśli; ale nie wiem dlaczego pisanie idzie mi bardzo powoli; chciałbym ten artykuł wykończyć prędko, tymczasem nie jestem nawet w pół drogi, choć już drugi wieczór piszę. Zdecydowałem się na skierowanie tego artykułu do „Świata Słowiańskiego" w Krakowie. Nie jestem tylko pewien, czy to pismo jeszcze wychodzi i czy jest tym samym, czym było. Napisałem więc do Herbaczewskiego do Krakowa, prosząc, aby mi w tym pośredniczył, to znaczy udzielił mi informacji o obecnym stanie tego wydawnictwa i ewentualnie porozumiał się z redaktorem (czy redaktorami, bo było ich, zdaje się, dwóch — Marjan Zdziechowski i Konieczny), czy zechce się z artykułem moim zapoznać dla zakwalifikowania go do druku.

Herbaczewski (Józef-Albin) — to mój dobry znajomy i przyjaciel z Krakowa. Jest to Litwin, literat-publicysta, umysł bardzo oryginalny, głęboki i jaskrawy, z pewną domieszką mistycyzmu, ale krańcowo-jednostronny, bo ulegający przesadnie własnym uniesieniom, i nieco wariowaty. W r. 1908 łączyły mnie z Herbaczewskim stosunki bardzo żywe. Potym przez kilka lat korespondowaliśmy ze sobą stale. Od paru lat stosunki nasze się powoli urwały.

6 (19) stycznia, rok 1914, poniedziałek

Nie szczęści mi się z suczką, którą chciałem do Wierszowca sprowadzić. W grudniu nabyłem jedną od hyclów i już się była oswoiła, spędziła 3 tygodnie w moim mieszkaniu wileńskim, gdy w tym jednego ranka zginęła: wyszła z mieszkania na dziedziniec i już nie wróciła; nazywała się Nana. Dziś więc znowu wybrałem się do hyclów na kresy miasta, aby inną suczkę dostać. Poszliśmy tam z Anną. Znalazłem sobie odpowiednią suczkę, zapłaciłem za nią rubla i Anna prowadziła ją na sznurku, gdy w tym w drodze się urwała i uciekła. Byliśmy tym z Anną bardzo zirytowani, ale nie było co robić. Wróciliśmy jeszcze do hyclów, ale innej suczki nie było.

Wieczorem Anna miała pójść na zebranie Zarządu Towarzystwa Łotewskiego, więc spędziłem wieczór w domu. Ułożyłem podanie do gubernatora w sprawie świadectwa prawomyślności; potym pisałem w dalszym ciągu mój artykuł, przeznaczony dla „Świata Słowiańskiego”.

Marynia była dziś z wizytą u teściowej mojej i oglądała fotografię córki mojej. Podobieństwa córki do mnie Marynia nie dostrzegła; powiada, że jest wielkie podobieństwo dziecka do Reginy, chociaż „en beau”. Okazuje się, że fotografia ta jest amatorska, zrobiona przez Stasia Römera, brata Eugeniusza. Teściowa ma poprosić Stasia, aby przysłał jeden egzemplarz tej fotografii dla mnie. Ja to z pewnością się do Stasia o to nie zwrócę, jeżeli jest tak gruboskórny, że mu samemu myśl nie przychodzi, robiąc fotografię mojej córeczki, przysłać mnie jedną odbitkę. Nie trudno chyba się domyśleć, czym jest dla mnie posiadanie fotografii mego dziecka w tych warunkach, kiedy dziecka tego widywać nie mogę. Staś mógłby zrozumieć, jakąby mi przez to sprawił przyjemność, więcej nawet niż przyjemność. Jemu by to nic nie kosztowało, a dla mnie byłoby rzeczą wielką. Ale świnia jest zawsze świnią i nigdy jej na myśl nie przyjdą ludzkie uczucia.

7 (20) stycznia. rok 1914. wtorek.

Dziś miałem pójść do gubernatora dla złożenia mu podania o świadectwo prawomyślności. Podług bowiem relacji p. Aleksandra Meysztowicza gubernator polecił, abym mu ~~[illegible]~~ złożył te podanie, i Meysztowicz radził, abym je złożył osobiście. Licząc na to, że gubernator może zechce mnie zapytywać o powód ~~[illegible]~~ moich wątpliwości co do uzyskania świadectwa prawomyślności, ~~i o przyczynę tego, że miałem za potrzebne udać się do protekcji~~ bo oczywiście musiały być wątpliwości, skoro uważałem za potrzebne udać się do protekcji Meysztowicza, i że w rozmowie ze mną zechce może zapoznać się z wyrokiem sądowym w moim procesie z „Gazety Wileńskiej", chciałem mu dać ten wyrok ewentualnie do przeczytania, aby go zupełnie przekonać o tym, że zostałem z zarzutu winy z artykułu 129 ustawy karnej uniewinniony i uznany winnym tylko nieopatrzności w pełnieniu funkcji redaktorskich. Wyszukałem więc w papierach moich kopię tego wyroku, aby ją mieć przygotowaną dla ewentualnego pokazania gubernatorowi. Przyglądając się (zajrzawszy) do tekstu wyroku, który mi się już z pamięci (zatarł) ulotnił, spostrzegłem, że brzmienie jego jest fatalne i stanowi jaknajgorszą rekomendację prawomyślności. Oto dosłowne brzmienie motywów wyroku: „Судебная Палата признала подсудимого Михаила Михайлова фон-Ромера, 26 лет, ответственным редактором издающейся в гор. Вильне ежедневной газеты, виновным в том, что по неосмотрительности допустил выход в свет 22 июля 1906 г. № 103 издаваемой им газеты „Gaz. Wil.", которой напечатана передовая статья под заглавием „Огненный поцелуй", заключающая в себе [illegible] призыв к учинению бунтовщического деяния в существующего в Российском государстве общественного строя, в следующих словах: „что революционерами для большего успеха их деятельности и ниспровержения до сих пор государственного строя, представляющими собою людей, обладающих главными пунктами революционной борьбы, следует окончательно отказаться от существующих на окраинах России и поддерживать там же все восстания, в виду невозможности завладеть Петербургом, материально и людьми, т. к. революция, захватив революционную борьбу в Царстве Польском и на Кавказе, приняла форму огненного поцелуя, которые производит давление на Свеаборг, Ревель, Кронштадт со всею энергией государство и, постепенно расширяясь, сотни миль, разрушая самодержавно-бюрократическую Петербург, охваченное им пространство...": 1, подсудимого дворянина Курляндской губернии, заключить в свою очередь ... лишь, подвергнуть денежному взысканию в доход государственного казначейства, 26 ... рублей, а при несостоятельности его к уплате заключить его в тюрьму на шесть месяцев; 2, судебные по сему делу издержки возложить на осужденного Ромера, а при несостоятельности его к уплате этого на счет казны; 3, вещественное доказательство по сему делу — номер газеты „Gazeta Wileńska" — уничтожить; 4, того же Михайлова фон-Ромера по обвинению в преступлении, предусмотренном 2 п. п. 1 ч. 129 ст. Угол. Улож., на основании 1 п. 771 ст. Уст. Угол. Суд. считать оправданным по суду." Formalnie wyrok ten jest dla mnie dobry, bo w stosunku do kapitalnego oskarżenia o świadomym i rozmyślnym rozpowszechnianiu utworu, wzywającego do buntu (i do obalenia istniejącego ustroju), uniewinnia mię zupełnie. Wina moja podług wyroku polega tylko na wydaniu odpowiedniego wystąpienia № gazety na skutek nieostrożności („по неосмотрительности"). Oczywiście, iż ~~[illegible]~~ taka, bez rozmyślności i świadomej woli, na dokonanie zbrodni [illegible] usprawiedliwia mię, ale sam fakt, że ktoś mógł dać do pisma taki artykuł, że uważał za możliwe drukowanie w piśmie tej treści, choćby bez wiedzy redaktora, świadczy o tym, że kierunek redagowanego przez mnie pisma musiał być „nieprawomyślny" ze stanowiska państwowego. A artykuł niezmiernie jaskrawy i w wyroku uwypuklony w całej wyrazistości. Mój dziwię się, że prokurator Carink, przeczytawszy taki wyrok, uznał mię za osobnika wątpliwej prawomyślności i odmówił świadectwa na prawo występowania w sądzie. Artykuł ten jest w „Gaz. Wileńskiej" był pisany przez p. Henryka Wielickiego i ma nawskroś charakter rewolucyjny. Postanowiłem więc nie pokazywać zupełnie gubernatorowi tego wyroku. Ale, gdym poszedł do gubernatora, nie widziałem go zupełnie; spóźniłem się bowiem na audiencję ogólną, a audiencji osobistej gubernator mi specjalnie nie udzielił. Wręczyłem podanie moje [illegible] do urzędnika do szczególnych zleceń, który zaniósł je gubernatorowi i oznajmił mi, że odpowiedź zostanie mi wysłana trybem przez policję rekomendowaną.

Po [illegible] wyjechałem w towarzystwie Anny do Bohdanowicza. Jedziemy z nią do Wizgowca.

8 (21) stycznia, rok 1914. Środa.

Przez całą noc prawie nie zmrużyliśmy z Anną oka. W wagonie III klasy, w którym jechaliśmy, pełno było ludzi. My z Anną mieliśmy wprawdzie jedną ławeczkę we dwoje i Anna mogła się położyć, ale ją zęby strasznie bolały; męczyła się, używała rozmaitych środków na uśmierzenie bólu, nie mogła zasnąć. Wreszcie gdzieś koło Zalesia czy Trudów zadrzemała, ja zaś siedziałem przy niej, rozpaliłem świeczkę i czytałem. W Mołodecznie wagon się trochę wyludnił i ja znalazłem sobie miejsce do snu. Ale już na następnej stacji Usza wstałem, nie spałem więcej, aby nie przespać Radoszkowicz. W wagonie było strasznie gorąco i duszno. Wreszcie koło godz. 5-6 rano wyjechaliśmy do Radoszkowicz. Jasiek czekał na nas z koniem. Zaraz zaprzągł i pojechaliśmy. Rzeczy mieliśmy ze sobą dość dużo, bo oprócz rozmaitych podróżnych wiozłem ze sobą obficie dla mego pokoju w Wiarowie i moją niedźwiedzię na wypadek wielkich mrozów czy zawiei. Oprócz tego Jasiek przywiózł jeszcze z Wiarowa burkę moją. Ale mrozu wielkiego nie było; jechałem w moim zwykłym futrze, Anna zaś na swój ciepły paltocik natożyła jeszcze moją burkę. Jasiek usiadł na przodzie sani na [illegible]. Sekund biegł rączo. Po dobrej saniej drodze po nocie dojechaliśmy do miasteczka Radoszkowicz. Już rozedniało. Wstąpiliśmy w miasteczku dla wypoczynku i wypicia herbaty do Żydka Symela, który naprzeciwko poczty utrzymuje piwiarnię i do którego zawsze wstępuje Bisiekierski. W lokalu piwiarni, pustym o tej porze dnia, brudno i wstrętnie. Na stolikach resztki śledzi, obrzynki bułki, plamy rozlanych trunków; powietrze ciężkie, przepełnione wyziewami z wczorajszego dnia – alkoholu, dymu tytuniowego i tłuszczy ludzkiej. Spędzimy tam chwilę z Anną, czekając na samowar, przez ulicę miasteczka przejechały zaprzężone parą koni „à l'anglaise" duże sanie z dzwoneczkami; w saniach siedziało parę osób. Byli to jacyś panowie ze dworu, może Stasiowie Wołodkowiczowie, może Hieronim Wołodkowicz lub ktoś z jego gości. W jakiś kwadrans później znów się rozległ dźwięk dzwonków i znów ulicą przemknęły sanie pańskie. Nie wyobrażam sobie, kto to jeździ o tak wczesnej porze. Ponieważ byłem z Anną, obawiałem się spotkać kogoś znajomego lub z rodziny mojej, bo by się zaraz wykryła obecność Anny, a stąd poszłyby plotki, gawędy, obmowa, domysły i t.d., które rozeszłyby się szeroko i trafiłyby do Maryni i może nawet do Rodziców. A w pojęciach i w ustach ludzkich nasz stosunek z Anną i taka nasza wspólna wycieczka do Wiarowa byłyby rozpustą i jakimś przywłaszczeniem przez mnie do mej leśniczówki „kochanki" dla uciechy. Nie rozumieją ludzie i tym bardziej nie rozumieją tacy ludzie, jak moi krewni, należący do kategorii „panów", – nie rozumieją stosunku związku wolnego i głębokiej szczerości i czystości tego obcowania dwojga kochających się ludzi; dla nich może istnieć tylko trywialne pojęcie „kochanki" jako narzędzia lubieżnej uciechy. Tak sądzą ci, którzy nie mają „uprzedzeń" i „przesądów"; ci zaś inni, którzy takowe mają, ci [illegible] sądzą nic wcale, a poprostu uważają wszelki związek poza małżeństwem kościelnym za zgorszenie i występek przeciwko obyczajności i „zasadom". Wogóle moja jazda z Anną do Wiarowa jest wysoce niebezpieczna ze względu na plotki i domowy, których się w moich warunkach rodzinnych, materialnych i społecznych muszę bardzo strzec; ale widzę przyjemność, jaką to sprawia Annie, widzę jej zapał i jej uczucie, jakich doświadcza wśród tych wrażeń wiejskich, nie mogę odmówić jej i sobie tej przyjemności i zabieram ją ze sobą, narażając się na niebezpieczeństwo podglądania i przeszpiegi [illegible]. Dojechaliśmy dobrze. Od pół drogi Anna już sama powoziła. Upodobała sobie niezmiernie Sekunda, który jest ładny, a zresztą jest wesoły i pełen werwy; charakter Sekunda jest bardzo wyraźny; jest to koń samodzielny, pełen [illegible], pomysłowy i zdecydowany, uparty i złośliwy, a pełen fantazji i życia; [illegible] wszakże psyche bardzo [illegible], więc [illegible] poddaje się powożeniu dobrze i kierować dobrze, a że jest trafliwy, więc biegnie dobrze, gdy się go umie (z biczem) zażyć. Przyjechaliśmy do Wiarowa wcześnie, bo koło godz. 12 w południe.

Byliśmy bardzo zmęczeni i senni po nocy niewyspanej, ale po przekąszeniu zjedliśmy kiełbasę, szpekuchy i bułkę oraz wypiliśmy herbatę, poszliśmy do lasu. Bisiekierskiego w domu nie zastaliśmy. Był on od rana w lesie na obliczaniu i numerowaniu towaru wyrobionego. Poszliśmy z Anną we dwoje i chcieliśmy Bisiekierskiego odszukać. Anna ubrała się w grubą zwierzchnią kurtkę Józka. Śniegów tu niema takich, jak w gub. [illegible], ale w lesie przecież trzeba brnąć niemal po kolana a czasem i wyżej. Mnie w długich butach dobrze, ale Anna w trzewikach lekkich zamoczyła nogi i zmarzła się. [illegible] Bisiekierskiego i że Bisiekierski miał świstawkę, którą mi, jak później mówił, odpowiadał, nie znaleźliśmy go w lesie. Po powrocie namówiłem Annę, aby pojechała z Józkiem, który wybierał się do [illegible] po wodę. Anna [illegible] przejechać się Sekundem, ale się [illegible] trochę. Dała się namówić i pojechała. Wróciła zachwycona jazdą i powożeniem. Wszystko ją tu cieszy — i las i gospodarka, a szczególnie [illegible] Sekund [illegible]. Kolację mieliśmy ze śledzi, kartofli, bułek, polędwicy, herbaty i konfitur. O godz. 8½ położyliśmy się spać; ja w moim pokoju z Bisiekierskim i Józkiem, Anna w drugim pokoju razem z Bisiekierską i dziećmi.

9 (22) stycznia rok 1914. czwartek.

Mróz łagodny, niewielki i bez wiatru, jak wczoraj. Przed obiadem przeszedłem się trochę z Anną po lesie. W № XVIII, gdzie kilku robotników kupca oczyszczało powalone sztuki z kory. Długo śmy chodzić nie mogli, bo Anna w swoich bucikach w głębokim śniegu zamoczyła nogi. Po obiedzie dopiero poszedłem na dobre do lasu, aby go cały obejrzeć. Wichura, która tu szalała 14 grudnia nałamała dużo drzew, zwłaszcza jodły i osiny. Pował ten trzeba będzie wyprzedać. Kupców zgłasza się sporo, a i szafarz Morgensterna, Chodyn, chciałby wszystko odkupić, aby ~~[illegible]~~ inni kupcy nie gospodarzyli w lesie, dopóki towar zasadniczy nie wywieziony, i nie robili konkurencji w najmie furmanek. Ze 2 godziny chodziłem po lesie, brnąc głęboko, nieraz po kolana i wyżej. Anna tymczasem miała się przejechać z [illegible] na spacer w saneczkach. Gdym wreszcie wyszedł z lasu na brzegu Gaju koło Trusewicz i zatrąbił, Anna, która przejeżdżała akurat w pobliżu, usłyszała trąbkę moją i nadjechała, aby mię odwieźć do domu.

W lesie ruch względnie niewielki. Zrąbanych sztuk tej zimy jest już nie spełna 2000, zostaje do rąbania jeszcze koło tysiąca. Kilkaset sztuk jeszcze jest niewybranych przez kupca i nie zacechowanych do rębania. Teraz Dziesiątkierski zajęty jest głównie obliczaniem, numerowaniem i kwitowaniem z szafarzem kupca towaru wyrobionego. Wywóz lasu postępuje dość opieszale: szafarz się nie śpieszy. Rąbanie jest chwilowo prawie wstrzymane. Szafarz Chodyn zapytywał mię dziś, czy się nie zgodzę ustąpić, to znaczy zwolnić ~~[illegible]~~ kupca od zobowiązania ostatnich 700-800 sztuk do ~~[illegible]~~ 5000, proponując mi ustępstwo po 1 r. do 2 r. na sztuce od ceny kontraktowej i obiecując mi za to wywiezienie całego większego towaru tej zimy. Naturalnie, że się nie zgodziłem, bo to co dotąd wzięto, to były sztuki największe i najcenniejsze, a zostają do wzięcia oczywiście najgorsze, i stosunek ceny [illegible] tych do drugich jest z pewnością ~~[illegible]~~ większy, niż ten, jaki się w proponowanej przez szafarza różnicy wyraża. Szafarz chciał mię postraszyć, że o ile nie ustąpię, to oni jeszcze mi te [illegible] gotowi w lesie z towarem zostać, do czego podług kontraktu mają prawo i co oczywiście mi nie jest wygodne, bo [illegible] [illegible] kupić i nie wyniosłoby się jeszcze z lasu. Ale nie bardzo [illegible], bo gdy pieniądze [illegible] z kontraktem będą w całku rozliczone, jak to kontrakt wymaga, to kupiec nie będzie miał interesu do ~~[illegible]~~ trzymania towaru w lesie i pośpieszy go wywieźć. Zresztą nawet w ostateczności [illegible] — zbyt strasznego nic w tym nie ma.

Włościanie [illegible] mają w tych latach piękne zarobki leśne, choć w tym roku ceny zarobkowe, zdaje się, nie [illegible] w tym tempie, co w roku zeszłym i [illegible]. Włościanie z Trusewicz [illegible] mi las [illegible] specjalną swoją dziedzinę zarobków, nie [illegible], ale przywykli w stosunku do innych [illegible]. W ogóle stosunki na Białej Rusi i pozycja prawna włościan w stosunkach ziemskich mają wiele pozostałości starej organizacji społecznej z epoki poddaństwa.

10 (23) stycznia rok 1914. piątek.

Tak, niezrywanie(?), jak to wspomniałem wczoraj, liczne są jeszcze i mocne w pojęciach prawnych włościan białoruskich przeżytki starej podstawy organizacji społecznej. Ma to szczególnie miejsce w stosunkach posiadania ziemskiego. Wsie, które należały dawniej do pewnego dworu, i dotychczas tkwią w pojęciu mieszkańców uświęcony(?) związek tak między sobą, jak z tym właśnie „swoim" dworem. Tak np. włościanie z wiosek Średnie(?), Kubielewszczyzny i Truszewicze(?), który (właściwie których przodkowie) byli niegdyś poddanymi dziedziców Mamyłów, i dotąd w stosunku do obecnych dziedziców tego dworu nazywają siebie ich ludźmi: „My panskie ludzie"; włościanie zaś z innych wsi — to „cudzy ludzie". Ta więź dworu z wioskami jego byłych poddanych przetrwała w pojęciach włościan, ale dotyczy już nie osobistych stosunków włościan do dziedzica, jeno stosunku wsi jako takiej, do dworu, jako jednostki gospodarczej i ziemskiej stałej, niezależnej od osoby dziedzica. Włościanie wyemancypowali się zupełnie od poczucia tej zależności prawnej od pana, wcale nie zwracają się do dziedzica „swego" dworu i chcąc mu pochlebić, nazywają siebie „panskiemi", to znaczy jego ludźmi; nie lubią panów i są w stosunku bardzo niechętni dziedzicom. Ale z dawnej więzi z dworem zachowali w stopniu bardzo wybitnym poczucie przysługujących im przywilejów w stosunku do dworu; wszelkie zarobki, szczególnie większe i t.d. należą się im, byłym poddanym, przed innymi obcymi włościanami. Do obszaru dworskiego wolno rościć pretensje tylko im, wioskom byłych poddanych, obcym zaś wara od ziemi dworskiej. Włościanie uważają się poniekąd za prawowitych spadkobierców praw dziedzica do dworu, z którym ich łączyły stosunki poddańcze. Dziedzic ma na dworze własność przywilejną, własność przez ustawy uznaną, ale w pojęciu włościan elementarną i jedyną sprawiedliwą własnością — to własność włościańska, na pracy opartą. W myśl tych pojęć własność ziemska powinna wcześniej czy później przejść w ręce włościan — tak przynajmniej jeszcze jest często tego zdania(?). Jeśli(?) to w tej regulacji posiadania ziemskiego, w tej reformie własności, która ma nastąpić, obszary dworskie powinny przejść w ręce wiosek ich byłych poddanych. W r. 1905, gdy popularne były hasła nowego nadziału włościan z ziem dworskich, włościanie pilnie przestrzegali, aby nikt „obcy", t.j. należący do wiosek, które nie były poddane temu dworowi, nie śmiał pretendować do obszaru dworskiego. Obszar dworski jest dziedzictwem b. poddanych względem własności ziemskiej na przyszłość, a na dziś przywilejem zarobków i rozmaitych korzyści szczególnych. To podział Mamyłów do mojej sukcesji(?) przyniósł wieś Truszewicze(?), podczas gdy Średnie i Kubielewszczyzna pozostały przy włościanach [illegible] Mamyłowskim i Kaszyński(?). Truszewiczanie mają w mojej sukcesji serwitut pastwiskowy w lesie, to też do tej sukcesji obecnie ograniczyli oni swoje przywileje i pretensje. Jak dział nastąpił wśród współwłaścicieli dawnych Mamyłów, tak nastąpił też i między wioskami byłych poddanych dworu. Ta więź dworu z byłymi poddanymi zachowała się tu silniej, niż gdzie indziej, także z powodu serwitutów, które sprzyjają trwałości przeżytków dawnych form organizacji i pojęć, jak z tego powodu, że osoba dziedziczki Mamyłów ś.p. Babuni Tukałłowej, bezpośrednio do ostatnich czasów wiązała teraźniejszość z przeszłością poddańczą. Babunia należała jeszcze sama do pokolenia, które w okresie poddaństwa władało ziemią i poddanymi, i sama do ostatka zachowywała we dworach swoich tradycje związku z wioskami byłych poddanych; uważała te wioski za „swoje", poczuwała się do rozmaitych obowiązków względem tych b. poddanych swoich. Ten patriarchalizm przetrwał tu do śmierci Babuni, t.j. do r. 1909. Babunia była pod wielu względami typowym wyrazem starych zamierających pojęć tak społecznych, jak narodowych. Ciekawy jest np. przykład, że Babunia mówiła zawsze, że „my", to znaczy ona i cała jej rodzina (Babunia Tukałłowa była Bohdanowiczówna z domu), a nawet też cała szlachta Białej Rusi, „jesteśmy rusinami a nie polakami". Narodowość tę Babunia utożsamiała z pochodzeniem i przynależnością krajową, nie zaś kulturą i językiem, i dlatego uważała się za „rusinkę". Ale tę narodowość czy też ten swój naród ruski rozumiała [illegible] w myśl zasad i tradycji ostatnich wieków Rzeczypospolitej połączenia z Polską i Litwą w jedną wspólną i nierozdzielną całość. Było to

echo starych pojęć pokoleń szlachty Rzeczypospolitej, pojęć, które na wspólnej tworzy bazie [illegible] Rusi z Orłem Polski i Pogonią Litwy, uważając państwo wspólne Rzeczypospolitej i naród szlachecki za potrójny: polski, litewski i ruski. Ten naród był rusinów, jak go Babunia pojmowała i do którego się sama zaliczała z dumą i powagą, to nie rusinów — to nie był białorusinami, ani narodowości istniejącej w współczesnym znaczeniu tego pojęcia. Ten naród i utożsamianie go z ludem ruskim, do których [illegible] i siebie zaliczała, Babunia protestowała gorąco. Jej naród ruski — to była kategoria formacji historycznej, lecz nie narodowość w pojęciu współczesnym. Dzień mi zeszedł w Wiatrowem(?) spokojnie i porządku. [illegible] nie rosła, jeśli nie liczyć tego, że [illegible] wyszedł Anusz(?) i że [illegible] jej w [illegible] nie brykuł(?).

11 (24) stycznia. rok 1914.

Śniegi w lesie są duże, tak że trudno chodzić. Ponieważ zaś Biesiekierski jest przez cały dzień, od samego rana do zmroku, obliczaniem wespół z szafarzem i numerowaniem zajęty wyrobionego towaru, więc chodzić po lesie prawie że nie mam możności i potrzeby. Sam bowiem już obszedłem las cały pozwiedzany, a z Biesiekierskim go obejść powtórnie nie mogę, towarzyszyć mu zaś przy numerowaniu — to tylko bezcelowa włóczęga od pnia do pnia w niewielkim obrębie. Wobec tego po lesie mało dziś chodziłem. Bilans gospodarczy mojego obecnego przyjazdu jest tylko ten, że wyjednałem na miesiąc dodatkowego stróża leśnego w osobie Pietraszkiewicza z Trusewicz, głównie dla dozoru przy wywożeniu towaru z lasu i przy rąbaniu, aby lasu przytem nie psuto, rozporządziłem się co do wydania rękojmi szafarzowi na spław wiosenny, wreszcie wydałem rozporządzenie co do uprzątnięcia powału, bardzo obfitego tej zimy na skutek huraganu grudniowego: pował jodłowy odprzedałem kupcowi na warunkach, przewidzianych w kontrakcie co do złomków jodłowych przy rąbaniu, pował sosnowy poleciłem Biesiekierskiemu sprzedawać detalicznie podług taksy na wozki, na pował zaś osikowy poleciłem szukać kupca dla sprzedania go na [illegible]zia na drwa.

Spisałem dziś te wszystkie rozporządzenia detalicznie, sprawdziłem rachunki i t. d..

Wzięliśmy z Anną do Wiarowca aparat fotograficzny. Sfotografowałem dziś Annę przed gankiem domu, stojącą przy koniu Sekundzie. Nie mając statywów, mogę fotografować tylko migawkowo; słońca zaś niema wcale, to też nie wiem, czy światło będzie wystarczające i czy fotografja się uda.

Annie biednej ciągle zęby bolą. To jej odbiera humor i nastraja drażliwie. Nietylko bowiem, że ból jej często dokucza straszliwie, ale i wyspać się nie może w nocy. Anna, będąc zdenerwowana, staje się bardzo przykrą. Obecny więc jej pobyt w Wiarowcu nie jest ani dla niej, ani dla mnie tak miły, jak był latem. Jedyna rozrywka, jaką ma biedaczka, — to przejażdżka w saneczkach jakiemi jedziem. Droga dobra, Sekunda biegnie żwawo, saneczki lekkie, — to też Anna używa tej przyjemności w całej pełni. Przez cały dzień tęskni do tej jazdy i namiętnie to lubi. Lubi jechać prędko — dla nerwów i zacięciem.

Ponadto lubi Anna karmić Bysia, bawiąc się widokiem jego wyrazistej dzikiej natury, która zwłaszcza przy karmieniu instynktownie się wyraża w tym pierwotnym [illegible] chciwości, zazdrości, lęku, pokory i gwałtownej zdobywczości. Choć Byś wczoraj rzucił się raz na Annę i ukąsił ją, to jednak mu już to przebaczyła i pogodziła się, jeno się go obawia teraz trochę i jest ostrożniejsza.

12 (25) stycznia rok 1914. niedziela.

Wyjeżdżamy dziś z Anną z Wiązowca. Ponieważ z wielu względów, nie ~~[illegible]~~ tylko że nie chcę, ale i nie mogę ujawniać wobec rodziny mojej związku mego z Anną, więc pobyt jej w Wiązowcu zawsze mię niepokoi, bo stąd do ujawnienia tego związku bardzo niedaleko. Biesiekierski koresponduje ze swemi siostrami w Bohdaniszkach, plotki włosiańskie mogą donieść o Annie Wołodkowiczowej, stworzyć domysły i gawędy. Niepokój, który na skutek tego odczuwam, zatruwa mi tu werwę i humor w stosunku do Anny. Wolałbym z tego względu, aby tu nie przyjeżdżała, ale mi to przykro jej powiedzieć, bo to by ją umartwiło biedną. Jak dotąd, to się udało uniknąć rozgłosu, ale możliwość takowego trwa, a przy częstszych przyjazdach, to wydało by wylezie z worka i z pewnością się rozgłosi. Zwracać to też musi uwagę samego Biesiekierskiego i Jaśka, którzy wiedzą, że jestem formalnie żonaty i że z żoną moją, Reginą, nie żyję, więc oczywiście Anna żoną nie jest. Jest młoda, nie-polka, więc ~~[illegible]~~ kimże jest dla mnie? Choć Anna nocuje w Wiązowcu ~~[illegible]~~ w osobnym pokoju ~~[illegible]~~ i choć ~~[illegible]~~ unikamy jakichkolwiek pozorów naszego pożycia intymnego (?), jednak sam fakt, że osoba młoda i oczywiście nie należąca do rodziny mojej przyjeżdża tu ze mną we dwójkę i bawi kilka dni razem, i że nazywa mię po imieniu i na „ty", świadczy dowodnie wymownie o jakimś szczególnym stosunku, który nas łączy. A Anna nie umie udawać i nie umie inaczej, choćby przy ludziach, mówić do mnie, jak po imieniu.

Zajęty byłem dziś od rana pisaniem skargi kasacyjnej bardzo pilnej, którą muszę przed wyjazdem do Wilna wykończyć, a którą przez lenistwo poprzednich dni nie napisałem. Poza tym zrobiłem kilka zdjęć fotografii na wyjezdnym, zmieniając klisze w spiżarce ciemnej. Sfotografowałem mianowicie: 1) Biesiekierskiego z rodziną, 2) Annę z Popisiem, skaczącym do rąk jej po chleb, i 3) domek Wiązowiecki z Czesławem i Jaśkiem na froncie.

Po obiedzie koło godz. 1-2 wyjechaliśmy na kolej. Mrozu było tylko koło 3 stopni, ale wiatr dość ostry. Do miasteczka Jadwerkowicz powoziła Anna, ale Sekund strażnie się lenił i droga się zepsuła wskutek zawiania jej przez śnieg, to też Anna nie miała wielkiej frajdy w powożeniu. Pod koniec drogi Anna zziębła, a w Jadwołatkowiczach na stacji znowu się jej zęby rozbolały. Pociągiem wieczornym wyjechaliśmy i przez całą drogę spaliśmy, a przed północą przyjechaliśmy do Wilna i rozjechaliśmy się każdy do siebie.

Sam nie wiem, co myśleć o sprawach „Kurjera Krajowego" i kwestjach, z niemi związanych. W ostatnich czasach, wyjeżdżając z Wilna, nie czytałem tego pisma. Słyszę wszakże od Łuckiewiczów, że pismo ma wciąż charakter świstka brukowego i przez czas świąteczny, gdy my go nie zasilaliśmy naszemi artykułami, niczem się nie różniło od „Gazety Codziennej": było tylko informacyjne, mdłe, bez żadnego wyrazu ideowego. Czy tak jest — tego nie wiem, ale jeszcze przed świętami miałem wrażenie, że jako „redaktor techniczny" Stanisław Sokołowski nie dość odpowiada naszym wymaganiom ideowym. Naraz z pierwszych kilku artykulików, które napisał bardzo udatnie, obudził on był w nas wielkie nadzieje, ale już wkrótce przekonaliśmy się, że w istocie to jest dziennikarczyk płytki i nie kwalifikujący się na redaktora w piśmie choć popularnym i [illegible], ale ideowym, bo o takie tylko pismo nam chodzi. Poza tym pismo znowu jest w stanie krytycznym — sytuacja materjalna nie polepszyła się wcale. Pismo żyje z dnia na dzień, wśród łatania i ciągle stoi nad krawędzią ostatecznej ruiny, a tymczasem rosną zaległości, powiększają się zobowiązania, słowem to jest nie lepiej, ale coraz gorzej. Żadnej pomocy regularnej, żadnej nowej podstawy zasiłków, żadnego utrwalenia bytu na jakichś wyraźnych źródłach — niema. Łata się, co się da złapać, a kto właściwie płaci, ile i skąd — to niebardzo wiadomo. Tymczasem Łuckiewiczowie występują z projektem zamianowania na redaktora — Jerzego Jankowskiego. Kandydatura Jankowskiego była już przez nas poprzednio odrzucona, ale teraz Łuckiewiczowie ją wznowili. Że Sokołowski nie jest bardzo odpowiedni, to tak, ale Łuckiewiczowie wyzyskują tę okoliczność dla forsowania Jankowskiego. Niezdatność jednego, która nie jest jeszcze sama przez się argumentem na korzyść drugiego. Łuckiewiczowie chcą z tego zrobić dylemat i tą drogą wymusić na nas aprobatę Jankowskiego. To mi się nie podoba. Ale jeszcze bardziej nie podoba mi się inny manewr w tym kierunku. Pisałem już o tym tajemniczym subsydjum miesięcznym 200-rublowym, którym nas wciąż łudził Iwan Łuckiewicz i które miało być kapitalną podstawą bytu pisma; na tym subsydjum właściwie gruntowała się cała wszczęta przez nas akcja ratunkowa. Źródło tego subsydjum miało pozostać tajemnicą dla nas wszystkich. Tymczasem subsydjum te dla jakichś powodów nawiązano, bo ten tajemniczy „ktoś", który miał dawać pieniądze, wciąż miał jakieś „ale". Zacząłem wątpić, jak to już pisałem, w samo istnienie tego „ktosia" i jego subsydjum. Zacząłem podejrzewać, że to mityczne subsydjum jest tylko ostrogą dla nas, przynętą do zorganizowania jakiegoś akcyjnego wydawnictwa, czego i wymyślono tylko od nas lub przez nas [illegible]. Teraz znowu ten „ktoś" jest rzekomo niezadowolony z pisma pod redakcją Sokołowskiego i żąda mianowania redaktorem Jerzego Jankowskiego, uzależniając od tego subsydjum. Co o tym myśleć — nie wiem. Rozmawiałem o tym z Szaulysem, który jest też mocno niezadowolony z takiego traktowania rzeczy przez Łuckiewiczów i mocno zirytowany. Stwarza się sytuacja taka jest niedopuszczalna, aby istniał „ktoś", niewiadomy dla nas, ukrywający się pod tajemniczym incognito, a więc dyktujący nam, przywłaszczający sobie rolę gospodarza pisma, a stąd za pośrednictwo Łuckiewiczów wpływy swoich [illegible]. Jakieś wasze [illegible] czyniące nam ze łzami pieniądze. Albo ktoś, niechcący się ujawnić tym „ktosiem" a nami jest akcja, ufając nam i nie narzucając swej woli, albo, jeżeli chce mieć głos, niech przyjdzie na zebranie nasze, zastrzegając tajemnicę nazwiska, i niech z nami rozmówi, niech wypowie swoje dezyderata, a wtedy zobaczymy, czy się da nam wspólnie coś zrobić. Trzeba będzie zwołać szybko zebranie komitetu organizacyjnego i kwestję tę wyjaśnić. Ja osobiście, jak Szaulys i inni, nie chcę się do tej roli stosować i usunę się od całej roboty. Niech sobie pismo będzie organem własnym tego „kogoś" lub organem Łuckiewiczów, jeśli to oni pod płaszczykiem tego „kogoś" działają. Albo gospodarzami są Łuckiewiczowie lub ten „ktoś", albo nasz komitet organizacyjny. Po co w takim razie nas do służby zaprzęgać? Czy tylko dla naszej firmy naszej, jeśli my potrzebni? Jeśli tak — to błąd. Na razie nie wszystko jest ideowe stanowisko demokratyczne i zgodnie się nie znajdziemy, co do Jankowskiego, to tak, jak Szaulys, zresztą i wogóle wszyscy, nie życzę. Poza tym gwarancji co do natury ideowej tego osobnika. Zresztą może wogóle nie warto stawiać ponownie w tych warunkach wegietacji niezrozumiałego pisma placówki — to pewna, ale skoro już mamy, to lepiej [illegible] jeśli ma dłużej wegetować, niech [illegible] drogą niewyraźnych, wnosząc ideę naszą na spiechu. Kto ważniejsze [illegible] demokratycznych sił polskich, o co dziś nadewszystko chodzi nam wiemy, z tej organizacji naszym związkiem dezorganizacji i [illegible], niekoniecznie od bytu tego pisma. Prawdopodobnie chyba innego, żadnego innego wyjścia nie będzie jak zamknąć jeszcze sami, bez stałego zasobu własnego subsydjum, własnymi środkami go nie utrzymamy. Jeżeli się cofniemy od niego, będzie ono oddane na gospodarkę i własność Łuckiewiczów, to ten „ktoś" ze sprawy za subsydjum z tym „ktosiem" i subsydjum 200-rublowe nie istnieją, całe i bez nas przyjęło na nas. A gdyby subsydjum to rzeczywiście istniało, to wiemy z nim jego pochodzenia. Co do Łuckiewiczów zachodzą w ostatniej chwili rzeczy bardzo przykre, o których później jutro.

13 (26) stycznia rok 1914. poniedziałek

14 (27) stycznia
rok 1914.
wtorek.

Nie jestem bynajmniej szczególnym adoratorem Łuckiewiczów; nie łudzę się co do ich szczególnych zalet, nie zapominam ich wad. To prawda, że cenię ich ruchliwość, sprężystość i poświęcenie się dla sprawy, której służą; co do Antoniego, to cenię jeszcze pokaźny jego pracowitość, wybitne wyrobienie, dobrą głowę, ogromną wytrwałość, wolę i stanowczość oraz umiejętność wyzyskiwania okoliczności. Jest to nieoceniony pracownik, któryby w każdym ruchu zdobył sobie stanowisko wybitne. Jest to człowiek, który żyje wyłącznie sprawą i dla sprawy, w którą wierzy i której służy, oddając się jej duszą i ciałem z zupełnym zaparciem się celów osobistych. Sprawą tą — jest ruch białoruski; powiedziałbym ściślej nawet — jest emancypacja społeczeństwa Białej Rusi, ukrajowienie jego. Nie tylko bowiem sprawa narodowa białoruska, jako taka, nie tylko budzenie w biernej białoruskiej masie włościańskiej świadomości społecznej i narodowej zaprząta uwagę Łuckiewiczów; są oni istotnie leaderami roboty białoruskiej, lecz nie ograniczają się tym wyłącznie; łączą się ściśle z miejscowymi postępowcami i demokratami rosyjskimi i stają do ich szeregów a nawet wysuwają na czoło tych roboty, skierowując takową na wytknięcie potrzeb krajowych, do źródeł swojskich; łączą się też z demokratyczniejszymi elementami inteligencji polskiej, przykładając rękę do zaszczepienia w społeczeństwie polskim t. zw. zasady krajowej, opierającej stanowisko społeczne na pierwiastku obywatelskim, to znaczy na wewnętrznym układzie czynników rozwoju w kraju. Obaj Łuckiewicze służą tej sprawie, jeno Antoni jest mądrzejszy i zdolniejszy, on też głównie pełni samą robotę, podczas gdy Iwan działa bardziej na zewnątrz. Na skutek tych robót są oni znienawidzeni przez nacjonalistów tak rosyjskich, jak polskich, którzy darowaliby im udział w ruchu białoruskim, lecz nie darują nigdy udziału w demokratyzmie i antynacjonalistycznym krajowym polskim czy rosyjskim. A że nacjonaliści posiadali w tych wrogów niebezpiecznych, bo żelaznej wytrwałości, więc też walczą z nimi wściekle, starając się ich zniweczyć za wszelką cenę. Skądinąd dostrzegam wady Łuckiewiczów i ich cechy ujemne, nieraz przykre bardzo; mają oni ducha koteryjności, są mściwi, nieraz nieprzebierający w środkach, poniekąd intryganci. W szczególności zaś Iwan jest bardzo nietaktowny, gadatliwy nad miarę, kompromitujący się na każdym kroku. To też Iwan dostarcza wrogom z obozu nacjonalistów coraz to środków do zwalczania go, a przez niego do zwalczania i dyskredytowania całej roboty, która się przez Łuckiewiczów lub z ich udziałem prowadzi. Dlatego też jest on niebezpiecznym nie dla wrogów tylko, lecz i dla przyjaciół. Wielką sensację w ostatnich czasach sprawiły w całej Polsce rewelacje niejakiego Kręciaka, endeka, który jakimś sposobem wykradł i opublikował listy działacza ukraińskiego z Galicji, niejakiego posła Hanickiego do przywódcy hakatystów pruskich Tiedemanna. Listy te ujawniają stosunki nacjonalistów ukraińskich, przynajmniej pewnych ich elementów, z hakatą pruską dla wspólnej walki czy też „obrony" przed polakami. Otóż w paru listach Hanickiego są wzmianki o tym, że hakatystom dla większej skuteczności ich akcji ku zgubieniu polskości należy zwrócić uwagę na ruchy litewski i białoruski na ziemiach b. Rzeczypospolitej w państwie Rosyjskim i ewentualnie poprzeć te ruchy, aby tą drogą uderzyć na Polaków i zagrozić ich tyły. Poza tą ogólną radą Hanickiego są w listach jego jeszcze wzmianki nieco konkretniejsze — mianowicie jest mowa o pewnym Białorusinie, który ma do sprzedania jakieś zabytki czy wykopaliska z pod grodna Czarnego, i dalej propozycja nabycia tychże przez Tiedemanna za 5000 na cele polityczne. Osoba białorusina nie wymieniona, ale powszechnie znane są ogólne stosunki Iwana Łuckiewicza z ukraińcami galicyjskimi, jego ciągłe wyjazdy do Lwowa, jego konszachty z metropolitą Szeptyckim, jego skądinąd niewybredność w zawieraniu stosunków z ludźmi, jego pasja do

[illegible]

382.

15 (28) stycznia
rok 1914.
Środa.

4l 1r 2b 1z 2p.

Iwan Łuckiewicz powinien reagować na łączenie go przez prasę nacjonalistyczną z ohydną treścią rewelacji Krysiaka. Stosunki z hakatą — to zarzut tak poważny, tak zniewczający etycznie człowieka, że zostawienie go bez repliki równa się zupełnemu upadkowi. Zbyt wyraźnie skierowany jest ten zarzut do I. Łuckiewicza, aby można go ignorować na tej podstawie, że nazwisko jego nie zostało wymienione. Dziś rozmawialiśmy o tym w kółku naszych przyjaciół. Zdania się podzieliły. Ale, wpierw nim streszczę zdania nasze co do tego, co należy teraz Łuckiewiczowi robić, jak reagować, — opiszę tu, jak w rzeczywistości miały miejsca fakty, z których oczywiście wysnute zostały owe zarzuty i posądzenia. Antoni Łuckiewicz dziś nam dokładnie całą rzecz zreferował. A więc sprawa miała się tak. Ale jeszcze wpierw słówko o samych stosunkach popa Hanickiego z hakatystami. Jak wiadomo, do Prus skierowuje się corocznie z rolniczych dzielnic Polski t. zw. obieżysastwo, t. j. wychodźtwo robotników rolnych na zarobki sezonowe do majątków ziemskich. Wielką ilość tych obieżysasów dostarcza szczególnie rolnicza, mało uprzemysłowiona Galicja. Prusy — właściciele ziemscy - niemcy, korzystający z pracy obieżysasów polskich, dla większej kontroli i władzy nad obieżysasami utworzyli specjalną organizację. Organizacja ta ma charakter z natury rzeczy ekonomiczny, lecz element hakatystyczny, mający takie wpływy w tej organizacji, wnosi do niej także pewne tendencje polityczne antypolskie. Otóż niektórzy działacze ukraińscy z Galicji, jak oto pop Hanicki, zamierzyli wyzyskać nienawiść niemców do Polaków i ich niechęć do robotników polskich dla zastąpienia obieżysastwa polskiego przez ukraińskie, pragnąc upiec przytem i własną pieczeń w postaci zwiększenia swych wpływów na lud. Pozostawić organizacji pruskich właścicieli ziemskich mogłaby dbać mniej o względy czysto polityczne i przedewszystkiem liczyłaby się z ekonomicznymi, podczas gdy ukraińcy główny nacisk kładli swoje zamiary właśnie na politycznych i narodowych, więc Hanicki szukał za kontaktem z samym Hakaty Tiedemannem, zająć jego wybitne stanowisko i siłę wpływu w organizacji z Tiedemannem rozstaczał naturalnie możliwość narodową dla niemców obieżysastwa polskiego z potrzeby walki z polskością we wszystkich dziedzinach, a więc i ekonomicznej. Tiedemann, niezadowolony z zaniedbywania przez organizację narodowych i politycznych celów na rzecz czysto ekonomicznych, poparł starania Hanickiego. Dla nacjonalistów zaś ukraińskich zorganizowanie na własną rękę samodzielnego obieżysastwa ukraińskiego było bardzo pożądane. I dotąd w szeregach obieżysasów polskich z Galicji dużo było chłopów ukraińskich; tonęli oni wszakże w szeregach polskich, polonizowali się nawet przez to obieżysastwo, przejmowali w zależność od polskiej. Zorganizowanie samodzielnego obieżysastwa ukraińskiego wyzwoliłoby tych chłopów od zależności polskiej i polonizacji. To dla nich atut pierwszy. Dalej, kierownictwo takim ważnym dla chłopów źródłem zarobków, jak obieżysastwo, umocniłoby znakomicie wpływy nacjonalistów ukraińskich w masach ludowych. Taki był szczegół intrygi hakatystycznej Hanickiego et consortes.

A teraz co do sprawy Iwana Łuckiewicza. Trzy przyczyny w swoich stosunkach z ukraińcami w wycieczkach do Lwowa poznał się on przed kilku laty z Hanickim. W rozmowie z Łuckiewiczem Hanicki zwrócił uwagę Łuckiewicza na to, że, korzystając z nienawiści niemców do Polaków, można byłoby zorganizować [illegible] obieżysastwo do Prus z Litwy i Białej Rusi i skierować tam [illegible] z naszych polsko-właścicielskich robotników z tych krajów. Przytem Hanicki wskazał na istniejącą w Prusach organizację właścicieli ziemskich, z którą czy przez którą można byłoby to zrobić, o ile byłoby to możliwe. O stosunkach z hakatystycznym Ostmarkenverein, o ohydnej antypolskiej intrydze, o wspólnictwie z Tiedemannem na gruncie konszachtów, o współdziałaniu w tym celu intrygi spólnictwa antypolskiego; — nie było mowy, bo Hanicki z tym się przed Łuckiewiczem nie chwalił. Organizacja pruskich właścicieli ziemskich ma charakter ekonomiczny, to też układy z nią dla zorganizowania obieżysastwa z Litwy i Białej Rusi nie mają w sobie samej przez się nic zdrożnego. Nic naturalniejszego nad to, że białorusini czy litwini czy w ogóle działacze demokratyczni z naszego kraju chcieliby się zająć unormowaniem wychodźtwa zarobkowego naszego ludu, emigrującego masowo i chaotycznie do Ameryki, do miast przemysłowych i portowych Łotwy, Rosji, Tankeru, wyzyskiwanego przez niesumiennych agentów emigracyjnych, oddanego na pastwę przypadku, nielitościwie przez żywiołowych. Dla białorusinów zaś zorganizowanie tego obieżysastwa mogłoby mieć szczególne znaczenie narodowe i polityczne, bo dałoby im związek bliższy z masą ludową w zakresie jej potrzeb życiowych i jednocześnie odciągało masy emigrujące od wschodu, przyłączającego rusyfikacyjnie. Do tego przywiązać się w tych rozmowach, nie ma w niej nic brzydkiego. Jest to owszem działaniem zupełnie obywatelskim. Dopiero byłoby brzydko, ohydnie i podle, gdyby to sprawa ta miała z hakatą, na intrydze antypolskiej, wyzyskującej złodziejskie gwałty nad nieszczęśliwym narodem, zawierającej umowy z najohydniejszą bandą prusactwa. Łuckiewicz po powrocie do Wilna rozmawiał w tej sprawie z litwinami („Lietuvos Žinios"). Nigdy oczywiście umowy ani przyrzeczenia nie było o związku z hakatystami, jeno o zorganizowaniu wychodźtwa ekonomicznego. Akurat w tym czasie utworzona została w Wilnie filja warszawskiego Towarzystwa Opieki nad emigrantami. Do towarzystwa tego weszli polacy, białorusini i litwini. Towarzystwo otworzyło własne biuro. Kierowniczką tego biura była Krewerowa, primo voto Kuncewiczowa, była pracownica „Gazety Wileńskiej", potem sekretarka „Kurjera Wileńskiego" i jej współpracownica „Jutrzenki", osoba zaufana endeków ogniska ludowego; biuro towarzystwa emigracyjnego zostało później zamknięte dla braku środków i sił [illegible] w tej trudnej i skomplikowanej sprawie, jaką jest organizacja pomocy wychodźcom. Otóż Łuckiewicz [illegible] z tym [illegible] sprawą zorganizowania obieżysastwa z Litwy i Białej Rusi do Prus i do działalności tego nowego towarzystwa rozmawiał w tej sprawie z kierowniczką biura p. Krewerową. Z tych uwag wnosi [illegible] biuro, i ta sprawa nie mogła być wykonana i projekt zamarł. Na tym koniec całej „afery." Jutro napiszę [illegible] 383

16 (29) stycznia rok 1914. czwartek.

Napiszę tu dalej o sprawie Łuckiewicza. Napisałem, jak się rzecz miała w kwestji owych kombinacji co do obieżyświatstwa. Pozatym jest jeszcze druga kwestja — owych skarbów czy wykopalisk z nad Czarnego Morza, o których wspomina ks. Hanicki w liście do Tiedemanna; Hanicki pisze, że powinien bia= łorusin zwracał się do niego z propozycją sprzedaży tego skarbu na cele polityczne, i zapytuje Tiedemanna, czy nie nabyłby tego za 50000 (nie wiem — rubli, marek czy koron), wiążąc naturalnie tę sprzedaż ze sprawą wzajemnego popierania się we wspólnej walce z polskością. Otóż, jak powiada Antoni Łuckiewicz, rzecz się miała tak: „skarby" te należały nie do Iwana Łuckiewicza, lecz do jakiegoś urzędniczka pocztowo-telegraficznego w Mińsku, niejakiego Romanowicza, który dostał je po wuju swoim i chciał spienię= żyć; składały się one z jakichś sprzączek, monet starożytnych złotych i t. p., znalezionych podobno w gub. Chersońskiej i pocho= dzących rzekomo ze starożytnych czarnomorskich kolonij greckich czy włoskich. Ten Romanowicz zwrócił się do Iwana Łuckiewicza, jako trudniącego się handlem starożytności, z prośbą pośre= dnictwa w tej sprzedaży. Iwan, który utrzymuje stosunki stałe z ukraińskiem muzeum narodowym we Lwowie, zwrócił się do tej instytucji z propozycją nabycia tych przedmiotów. Były one oce= niane zresztą nie 50000, lecz 2000 (rubli?). Z Hanickim wcale o tym nie traktował. Rzecz zresztą upadła, bo okazało się, że te przedmioty „starożytne" (były tam nietylko monety) są sfałszo= wane. Tak się przedstawiają te sprawy w świetle słów Antoniego Łuckiewicza. Że Antoni nie kłamie, o tym nie wątpię; mówi on ze słów Iwana. Nie wątpię nawet, że Iwan nie był wtajemniczony w intrygę Hanickiego z hakatą. Same przez się więc fakty te nie mają w sobie nic zdrożnego, nic kompromitującego dla Iwana. Kompromitujący jest tylko fakt stosunków z Hanickim. Otóż to jest właśnie ujemna cecha Iwana, że nie przebiera on w sto= sunkach z ludźmi i miewa układy i kompakty z osobistościami niepewnemi, z nacjonalistami, intrygantami i t. d., który później okazują się zawikłanymi w brudne sprawy i jego też ze sobą wikłają. Nie wszystkim też, znając Iwana, czy nie wygadywał on przed Hanickim w ten sposób na polaków, że Hanicki mógł go uważać za — ewentualnego sojusznika swego w kombinacjach z hakatą, i dlatego już na własną rękę zalecił Tiedemannowi [illegible] świadczenie poparcia dla sprawy Łuckiewicza. Iwan rzeczywiście ma wielką plastyczność umysłu, poprostu brak zmysłu czystości; z polakami jest poplecznikiem rzekomo kultury polskiej, wobec szlachty chce uchodzić za obrońcę szlacheckich ideałów, z demokracją jest przyjacielem ludu. Robi to przez „dyplomację", ale robi nieszczerze i pcha się na wszystkie strony, kompromituje, kompromitując jednocześnie ludzi, z którymi współdziała, i sprawy, do których rękę przykłada. Z tego względu jest on niebezpieczny i dlatego wolałbym jaknajmniej się z nim stykać w jakichś wspólnych robotach. Na nieszczęście jest on tym, co się nazywa, zachłanny, to znaczy, że się wszędzie pcha i że się go trudno pozbyć, gdy się gdzieś dostanie, a to tym bardziej, że ma popleczników i ma największego poplecznika w osobie brata, Antoniego, człowieka mądrego i bardzo w wielu razach potrzebnego i pożądanego. To są moje ogólne uwagi o osobie Iwana i — o niebezpieczeństwie wspólnego z nim działania. Co zaś do obecnej sprawy, to zdaje mi się, że żadnej świadomej winy jego dostrzec nie podobna, tylko ta sama jego wieczna nieostrożność, — te same niepotrzebne wdawania się w Bóg wie jakie stosunki z Bóg wie kim, co rzuca później cień na osobę jego i daje — przeciwnikom politycznym narzędzie — zajadłe do walki, bo narzędzie zniesławiania jego. Iwan Łuckiewicz napisał do redakcji dzienników polskich w Wilnie list, — zaprzeczający stanowczo jakimkolwiek stosunkom jego z działaczami hakaty pruskiej i protestujący przeciwko łączeniu w jakikolwiek sposób jego imienia z konszachtami Hanickiego z hakatą. List ten ukazał się w dzisiejszych tych pism. Na wszelkie dalsze rozsiewanie o nim plotek i insynuacji w związku z tą sprawą odrzec jego — zaprzeczeniem

[illegible]

17 (30) stycznia
rok 1914.
piątek.

Słychać, że w Rosji poza ruchem rewolucyjnym szerzy się obecnie ~~[illegible]~~ też specjalny ruch antydynastyczny, ogarniający nawet sfery arystokratyczne. Ile w tym jest prawdy i jak popularny jest ten ruch w kołach, mogących ewentualnie dokonać przewrotu, oraz jaka jest natura tego ruchu, jaki jego podkład ideowy, — tego dobrze nie wiem, ale o ruchu tym słyszałem ze źródeł poważnych.

Wieczór spędziłem dziś w domu, bo Anna wybrała się na koncert symfoniczny ze wstępem bezpłatnym, udzielonym jej przez jej znajomego skrzypka, grającego w orkiestrze. Nie mogłem więc być u niej. Odwiedziłem więc ją tylko we dnie, jak zawsze, gdy się wieczorem widzieć nie mamy. Dziś rocznica urodzin Anny — skończyła 23 lata. Na podarek urodzinowy kupiłem jej za 4 rb. maszynkę „triumf". Kupiliśmy też z nią rozmaitych substancji chemicznych dla przyrządzenia płynów do wywoływania klisz, czym się mamy zająć w niedzielę.

Wieczorem, po przygotowaniu się do jutrzejszych obron karnych, pisałem moją pracę o układzie narodowym na Litwie i Białej Rusi. Pracę tę już od paru tygodni piszę; rozrasta się ona bardzo; ~~nie~~ daleki jeszcze jestem od jej końca. Lękam się, żeby nie była za długa nawet jak na artykuł dla „Świata Słowiańskiego". Rozmaite inne zajęcia odrywają mnie od tej pracy i nie dają wykończyć jej jednym ciągiem. I brak mi już trochę cierpliwości, ale chcę ją bądź co bądź dokończyć. Gdy piszę, to się do niej zachęcam i nawet przesadzam jej wartość, gdy raz pisać przestaję, to się okropnie lenię znów do niej zabierać. Dziś mi przyszło na myśl wydać ją ewentualnie w postaci książeczki osobnej, ale chyba że tego nie zrobię. To tylko pomysł chwilowy pod wpływem podniecenia przy pisaniu.

18 (31) stycznia
rok 1914.
sobota.

Miałem dziś 2 obrony karne w Sądzie Okręgowym. W
jednej sprawie broniłem jakiegoś żydka, oskarżonego
o ukrywanie rzeczy kradzionych, w drugiej niepełnolet-
niego złodziejaszka, oskarżonego o jakąś piątą kradzież.
Żydek został uniewinniony, złodziejaszek skazany na
6 miesięcy więzienia.
Wieczorem poszedłem do cyrku ze Stefusiem i z bawiącym przejazdem w Wilnie Julkiem Komorowskim.
Oddawna już przyrzekłem Stefusiowi, że go zaprowadzę do cyrku, i dziś wreszcie spełniłem tę obietnicę, a ponieważ Julek bawi w Wilnie, więc i jego wziąłem. Lubię dość przedstawienia cyrkowe. Atmosfera zmysłowa cyrku jest zasadniczo różna od również zmysłowej atmosfery kabaretów. W kabarecie szansonetowym zmysłowość ma kształt lubieżności, podnieca pragnienie rozkoszy cielesnej, żądzę wyuzdania instynktów i pławienia się w rozpuście. Cyrk zaś uwydatnia cechy dodatnie i twórcze — świata cielesnego, sprężystość, giętkość, siłę fizyczną; zmysłowość cyrkowa jest przeto jędrniejsza, — pożądanie, które ona wywołuje, nie zabarwia się nie rozpustą, nie wyuzdaniem, ale mocy i zdobywczości ciała, dominacji nad ciałami innemi. * Ostatecznie zmysłowość u mężczyzny zawsze się streszcza do kobiety, ale kobieta w cyrku, kobieta, że tak powiem — pożądana przez przymat zmysłowości cyrkowej, — to nie ~~tyle~~ tyle lubieżna zabawa rozkoszy, jak dziewczyna w kabarecie, ile wyraz panowania ciała nad ciałem, posiadania, władzy. Cyrk stwarza zupełnie specjalną atmosferę zmysłowości. Oczywiście że mówię o moim wrażeniu osobistym, o moim stosunku do zmysłów w cyrku i w kabarecie. Sądzę wszakże, że nie należę do wyjątków i że zjawisko to jest normalnie takiem. Czy piękne ćwiczenia koni, ich kształty szlachetne w ruchu, czy gimnastyka nadpowietrzna, ~~[illegible]~~ wyrażająca się w doskonałym obliczeniu ruchów, ich sprężystości, wysiłku i wzajemnego ustosunkowania, czy jazda i skoki amazonek cyrkowych, czy poskramianie zwierząt drapieżnych i dzikich, podporządkowanych woli poskromicielki, — wszystko to przetapia się w zmysłowość szczególną, skierowaną do kobiety, ale o wiele szlachetniejszą od pijanej kabaretowej.
W cyrku spotkałem się z p. Krzyżkiem-Hermanem i rozmawiałem z nim w antrakcie. Jest to człowiek postępowy i, zdaje się, umysł niezależny. Jest czy był moim ziemianinem z powiatu Bobrujskiego. Znam go i miewałem stosunki od dość dawna. Za czasów „Gazety Wileńskiej” był on jej sympatykiem i pisywał czasem. Potem znów się z nim spotkałem przy zakładaniu „Przeglądu Wileńskiego”. Od lat paru mieszka on w Wilnie i teraz świeżo został wybrany na radnego miejskiego. Ma on pewną znajomość spraw gospodarki miejskiej, bo był radnym w Bobrujsku. Nowa nasza Rada Miejska, wybrana w jesieni, dopiero teraz funkcjonować zaczyna. Dotąd odbywały się tylko zebrania, dopiero się ukształtowały, i jedno zebranie wspólne w charakterze „narady przedwstępnej”, bo to nie było jeszcze posiedzenie regularne. Pierwsze posiedzenie regularne nowego kompletu radnych dopiero się w przyszłym tygodniu odbędzie. Większość radnych rozpada się na 2 główne grupy — na obóz narodowy, że tak powiem — postępowy, i obóz t. zw. „niezależnych”, zorganizowany przez „przeglądowców” z Witoldem Abramowiczem na czele i elementy

Szczerze, — choć bardzo [illegible] [illegible]

19 stycznia. / 1 lutego. rok 1914. niedziela.

Z powodu rewelacji Krysiaka i szczególnie z powodu pogłosek, zarzutów i insynuacji, skierowanych przez wileńską prasę endecką z tego powodu nie tyle do osoby Łuckiewicza, ile do ruchu białoruskiego poprzez pryzmat jego osoby, jako „przewodyra" ruchu tego, napisał Jaunkaitis artykuł i oczyścił mi dla „Kurjera Krajowego". Artykuł ten zawiera sporo myśli i uwag bardzo trafnych o aferze, jaką na tym robią nacjonaliści, o ich metodzie działania i o istotnej antyludowej naturze obecnej nagonki. Ale napisany był charakterystycznym urywanemi frazesami, — zwykłym stylem Jaunkaitisa. Dopiero wczoraj, siedząc u Anny, przerobiłem go całkowicie, wystylizowałem, uzupełniłem gdzieniegdzie, rozwinąłem. W rezultacie wypadł świetny artykuł, polemiczny zarazem i zasadniczy. Przeczytałem go dziś szeregowi osób z pośród przyjaciół naszych — wszyscy są zachwyceni. Wydrukujemy go w N-rze wtorkowym „Kurjera Krajowego" w całku, mimo że jest trochę za obszerny.

Na godz. 4 popołudniu zwołane było u dr. Sumoroka zebranie komitetu organizacyjnego „Kurjera Krajowego". Na zebraniu obecni byli: dr. Sumorok, ja, Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Jan Vileišis, Šaulys, Kairys i Jerzy Jankowski. Zebranie przeciągnęło się do jakiejś godz. 7 1/2. Wszystkiego, co było na zebraniu omówione i postanowione, dziś nie opiszę, — dokończę jutro. Tu tylko dotknę jednej kwestji, bardzo zasadniczej, a to tylko 400 rb. subsydjum z niewiadomego dotąd dla nas źródła. Szdziłem poprzednio, że w rzeczywistości subsydjum takiego nie ma wcale i że zostało ono tylko zmyślone przez Łuckiewiczów, aby nas do popierania pisma zachęcić i wciągnąć. Okazało się, że tak nie jest. Oddawna uważałem, że należałoby, aby Łuckiewiczowie przynajmniej nam, ludziom najbliżej pisma stojącym, powiedzieli, skąd pochodzą te pieniądze. Nie nalegałem wszakże. Wobec jednak pojawienia się przez endeków pogłosek o rzekomych konszachtach Łuckiewicza Iwana z kołami rosyjskimi, w pierwszej chwili, nim się zorjentowałem co do istotnej natury tej insynuacji, zaniepokoiłem się i, widząc się kołoś zeszłego roku z Osmołowskim, wspomniałem mu, że powinniśmy, biorąc pieniądze, wiedzieć przynajmniej, skąd one pochodzą, choćby pod najściślejszym sekretem. Tymbardziej uważałem to za niezbędne, gdym w rozmowie z Łapą, a potem z Antonim Łuckiewiczem dowiedział się, że podobno ten czy ci, kto przy dawał nam pieniądze, żądają podobno zaangażowania na redaktora Jerzego Jankowskiego. Jeżeli, dając pieniądze, mogą stawiać warunki, to znaczy się zawiązuje jakiś układ wzajemnych zobowiązań, a [illegible] w takim razie [illegible] inny już koniecznie znać tych panów, wiedzieć, z kim mamy traktować, wobec kogo przyjmować zobowiązania. Sprawa pisma nie jest tylko interesem materjalnym, układem kupieckim, bo chodzi tu o publicystykę ideową, demokratyczną. Jeżeli w każdym interesie strony umawiające się muszą być sobie wzajemnie znane, to tymbardziej w sprawie wydawnictwa demokratycznego, bo tu układ jest możliwy tylko o tyle, o ile obie strony mają wspólny pierwiastek ideowy, — inaczej bowiem spółka byłaby brudna, a więc niedopuszczalna. Takie było moje pojmowanie tej sprawy, takie też Šaulysa. Pogłoski o stosunkach Iwana Łuckiewicza z Hanyckim, a przez Hanyckiego z kołami rosyjskimi — zaniepokoiły nie tylko mnie, ale też Jana Vileišisa i dr. Sumoroka. Vileišis, spotkawszy się z Osmołowskim, wpadł na niego z wymówkami, że ukrywanie źródła subsydjum 400-rublowego jest niedopuszczalne i że chyba są to istotnie pieniądze pochodzenia brudnego, pieniądze z jakiegoś hakaty, piętnujące pismo i kompromitujące tem samym i „Kurjer Krajowy", i dodawał, że jednak pogłoski o Łuckiewiczu tych wieści nie wyssano i że coś musi być w nich prawdy. Taka więc wytworzyła się w naszym kole sytuacja, taki nastrój, że nie mogła być dłużej trwać w niedomówieniu i ukrywać źródło 400-rublowego subsydjum. Zresztą, dla uspokojenia pierwszego popłochu, Osmołowski [illegible] powiedział mu poufnie Vileišisowi, skąd się biorą te pieniądze, Antoni Łuckiewicz powiedział mnie, ja — Šaulysowi. Tylko więc jeszcze dr. Sumorok i Kairys z pośród dziś obecnych na zebraniu nie wiedzieli. Tylko więc jeszcze my, którzyśmy wiedzieli, chcieliśmy, aby rzecz została w naszym kole wspólnie omówiona, aby usunąć wszelkie wątpliwości i wspólnie się naradzić, czy możliwe jest i w jakiej postaci korzystanie z tej zapomogi. A więc rzecz ma się tak: pieniądze te pochodzą od kilku Żydów wileńskich. Są nimi: przemysłowiec i kupiec leśny Adolf Gordon, drukarz Syrkin, dr. Zalkind i niejaki Frumkin. Żydzi ci, z osobiście znając Łuckiewiczów i wiedząc, że Łuckiewiczowie wydają z wydawnictwem „Kurjera Krajowego" święty związek. Gdy antysemityzm rozszalał w społeczeństwie i całej prasie polskiej, szerząc się nawet w szeregach postępowych z przerażającą siłą rozpędową, pamiętając ci, oceniając wartość takiej prasy, która, jak „Kurjer Krajowy", nie dała się unieść popularnemu prądowi antysemickiemu i pozostała wierna zasadom równouprawnienia żydów, i uważając ich za sprzymierzeńców, zadeklarowali Łuckiewiczom pomoc pieniężną dla pisma w kwocie 400 miesięcznie, wiedząc, że pismo jest materjalnie zachwiane. Taka jest rzeczywistość, a o tym, jakeśmy się wobec tej wiadomości zachowali, napiszę jutro.

20 stycznia
2 lutego.
rok 1914.
poniedziałek.

Wracam do opisu wczorajszego zebrania „Kurjera Krajowego". Wspomniałem,
że przed tym zebraniem niektórzy z nas wiedzieli już o projekcie, od kogo po=
chodzą pieniądze, ofiarowane na pismo za pośrednictwem Łuckiewiczów. Publi=
cznie wszakże to dotąd powiedziane nie było, a niektórzy z nas, jak dr. Sumorok
i Zairys, nie wiedzieli jeszcze nic zgoła. Odrazu na wstępie podniesiona zo=
stała kwestja materjalnego bytu wydawnictwa, umyślnie w tym celu, aby
wywołać na jaw sprawę owego 4000-rublowego subsydjum i ją w pierwszym rzę=
dzie omówić i tak lub inaczej rozstrzygnąć. Wówczas Iwan Łuckiewicz wystąpił
z oświadczeniem, że subsydjum to pochodzi od grupy żydów, nie wymieniając
nazwisk ofiarodawców, który sympatyzują kierunkowi pisma, zadeklarowali stałą zapomogę.
Iwan dodał, że byłoby może najpraktyczniej i najsłuszniej, aby dla oparcia wydawnictwa na
[illegible] ści tych przedstawicieli, utworzyć spółkę (choćby nieformalną i niejawną) z zadeklar=
owanymi udziałami i określonymi zobowiązaniami ich uczestników, do której należałoby może za=
prosić także ową grupę żydowską. Iwan zastrzegł, że to jest nie jego wniosek, jeno ewen=
tualny projekt, podany przez Osmołowskiego, nieobecnego na tym zebraniu. Dotąd imio=
na tych ofiarodawców-żydów nie zostały wymienione publicznie. Wtedy ja zabrałem
głos i oświadczyłem, co następuje: dla powołania tych żydów do takiej spółki musielibyśmy
mieć pewność, że to jest grupa, która ideowo stoi na tym samym, co my, stanowisku;
obecnie organizacja „Kurjera Krajowego" łączy grupy demokratyczne — polską, białoruską i
litewską oraz grupę [illegible]; oczywiście [illegible] byłoby się zastanowić, czy jest stosowna
racja i potrzeba przyjąć do tej wspólnej roboty i demokratyczną grupę żydowską; zasadni=
czych przeszkód po temu nie widzę, o ile tylko taka grupa żydowska byłaby rzeczywiście demo=
kratyczna i rzeczywiście solidarna z nami ideowo w robocie, którą prowadzimy i w celach,
do których dążymy; a jak [illegible] od wszystkich grup, połączonych w naszej wspólnej robocie,
możemy przyjmować bez skrupułów pieniądze, tak też ewentualnie od tej grupy żydowskiej,
gdybyśmy się z nią połączyć mogli, przyjęlibyśmy bez wahania; dopóki wszakże tej pew=
ności nie mamy, nie możemy decydować o tworzeniu wspólnej organizacji z żydami czy
grupą żydów nie wiadomego nam oblicza ideowego; jeżeli ci żydzi chcą nam udzielić za=
pomogi, bo dla tych czy innych względów sprzyjają naszej robocie lub pewnym jej ce=
lom, pewnym dążeniom, nie będąc jednak ludźmi naszego obozu, to możemy od nich
przyjąć zasiłek owocujący tak, jakbyśmy go przyjęli np. od takiego p. Montwiłła; p. Montwiłł nie jest uczestnikiem naszego kierunku, ale może
przykład sprzyjać naszej robocie pod pewnym określonym względem, co do tego zda=
jąc sprawę z tego w sprawie stosunków narodowościowych polsko-litewskich; może
tę szczególną cechę naszej roboty cenić sobie tak wysoko, że gotów dla niej całą naszą
robotę subsydjować, choćby pod innemi względami zasadniczo się z nami różnił; ta=
ki zasiłek przyjąć możemy, ale tylko pod warunkiem, że jest dany nam bez zastrze=
żeń, do naszej dyspozycji całkowicie; wówczas nie bierzemy na siebie żadnych
zobowiązań i jesteśmy czyści, bo nie zdradzamy sprawy naszej dla pieniędzy; rozumie=
my, że p. Montwiłł sympatyzować może pewnym szczegółom naszej roboty nie z innych
pobudek, a z tych względów, których my, robiąc to, służymy, lecz w imię ✶ swoich specjalnych
celów czy ideałów, np. przykład dla utrzymania pozycji ziemiańskiej i szlachty,
zagrożonej na skutek wybujałego nacjonalizmu i [illegible] rozjątrzenia walki
polsko-litewskiej; słowem — te cele i te pobudki, dla których taki p. Montwiłł
może sprzyjać pewnym tendencjom naszej roboty i chcieć je wspierać, nie są by=
najmniej naszemi celami. To też wchodzić z nim w układy organizacyjne, wiążąc
się zobowiązaniami, dopuszczać go do spólnictwa w wykonywaniu i kierownictwie
naszej sprawy, — znaczyłoby uzależnić się od niego i podporządkować się jego ce=
lom, jego ideałom; to byłby kompromis, byłoby zboczenie z ideowego stanowiska,
zaprzedanie się; przykład z Montwiłłem wziąłem dlatego, że niedawno była o tym mo=
wa i że gdyby Montwiłł zdecydował się coś dać, wzięlibyśmy, przyjęli, ale tylko na
[illegible] zasadach; to samo z tymi żydami. Prawdopodobnie, a jeżeli to nie są demo=
kraci, to napewno — chcą oni nam dawać tylko dlatego, że w danych okolicznościach i wa=
runkach dziejowych i kulturalnych, pewne elementy ideałów demokratycznych i humani=
tarnych są [illegible] dla ich celów szczególnych, zasadniczo różnych od całokształtu naszej
idei i naszej sprawy; my głosimy równouprawnienie żydów, jak wszystkich innych, w
imię braterstwa ludzkiego i sprawiedliwości, [struck] wzniosłymy prawa obywatelskie bez
różnicy narodowości i wyznania w imię przyświecenia zwycięstwa ludu, które kres poło=
żyć obecnym cechom wyzysku i jarzma w organizacji społecznej; [struck]
wartościowy cenię fakt obecny [struck] przeciwstawiania przez nas antysemityzmowi;
chwilowa, doraźna, przygodna solidarność pewnych elementów naszej roboty z elementami
pragnień i potrzeb tych panów, jak to się często zdarza w pewnych momentach dzie=
jowych (tak samo ma miejsce w przykładzie z Montwiłłem i miewało miejsce
nieraz stale w całej historji ludzkości ciągle), nie świadczy bynajmniej o tożsamości
solidarności ideowej naszej sprawy z ich sprawą; sprawy te mogą być zasadniczo a choćby
nawet, więcej nawet sprzeczne sobie i wykluczające się wzajemnie w konsekwencjach
ostatecznych lub choćby nieco dalszych; dlatego też, jeżeli może być mowa o przyjęciu
zasiłku od tych panów, to tylko w postaci ofiary bez zastrzeżeń, bez zobowiązań, bez
układu na [illegible] „ze [illegible]", i w żadnym razie nie może być mowy o tworzeniu
z tymi panami wspólnej organizacji kierowniczej; a co do samej kwestji przyjęcia, to te decy=
zje powinniśmy być ścisło, czy ludzie ci są istotnie czyści, czy nie są sami przez się
zasadniczo w tej kwestji [illegible] jakąkolwiek możności stycznością z nimi. Tak się ja wypowiedziałem.
Iwan próbował zapewniać, że żydzi ci są w każdym razie „ka-deci",
a więc nie „wstecznicy" i nie wrogowie „demokracji"; to więcej nie dowodzi, bo wiadomo że żydzi, nawet
[illegible], fabrykanci i kapitaliści, wszyscy dążą do demokracji ludowej, ale wrogowie jej z natury
okoliczności politycznych w Rosji są ka-detami (wyznawcami i rzecznikami kadet partji „Konstytucyjno-Demokratycz=
nej"), bo nie mogą być utożsamiani z tak niekorzystnymi „demokratycznymi" „Kadetami". Wyższej becności
wszystkich [illegible] się z moim stanowiskiem zasadniczym, jako jedyne wyjście z położenia naszej sta=
nowiska do tych spraw i ich zapomogi. Dalszy ciąg do jutra.

388.

Ciąg dalszy pozawczorajszego zebrania „Kurjera Krajowego.” Gdy wszyscy zebrani potwierdzili bez zastrzeżeń moje stanowisko w sprawie subsydjum od żydów, nie mogliśmy jednak nic decydować, dopóki nie ogłoszone zostały nazwiska, to znaczy osoby tych żydów. Wówczas Antoni Łuckiewicz wymienił wszystkich czterech: przemysłowca leśnego Lordona, drukarza Syrkina, dr. Zatkinda i Frumkina, zastrzegając oczywiście ścisłą tajemnicę tak co do tych osób, jak samego faktu udzielania przez nie subsydjum. Mówiliśmy, że możność przyjęcia zapomogi zależy od tego, czy źródło samo przez się nie jest brudne i następnie tylko pod warunkiem, że się do niczego nie zobowiązujemy, w żaden układ z ofiarodawcami nie wchodzimy, w żadnej mierze ich celom się nie podporządkowujemy. Nie przeczę, że w praktyce sam fakt przyjęcia zasiłku jest niebezpieczny, bo bardzo trudno jest uniknąć w tych warunkach zależności, ale to też tymbardziej należy to zastrzec wyraźnie i ściśle tego nadal przestrzegać. Jak tylko zostały wymienione nazwiska ofiarodawców, orzekliśmy zaraz, że o łączeniu z tymi panami wspólnej organizacji kierowniczej nie może być mowy, bo to nie są przedstawiciele demokracji żydowskiej i o ich ideowej solidarności z nami nie ma mowy. O Frumkinie i Zatkindzie nic nie wiem, co zaś do Lordona i Syrkina, to należą oni śród żydów do prawicy i, choć na gruncie ogólnopaństwowym wyznają się za zwolenników programu kadeckiego, nie przeszkadza to im jednak wewnątrz społeczeństwa żydowskiego zwalczać prądy demokratyczne. Dr. Sumorok, który zna wszystkich tych panów, dał nam ich charakterystykę: ze słów jego wynika, że dr. Zatkind i Syrkin są to ludzie niesympatyczni, zdeprawowani, nie byli przebierający w środkach i, chociaż należą do prawicy żydowskiej, jest człowiekiem bardziej ideowym i człowiekiem niewątpliwie uczciwym, najsympatyczniejszy zaś i najszanowniejszy Frumkin, który, będąc radnym miejskim, zyskał sobie ogólny szacunek i zaufanie kolegów chrześcijan. Dr. Sumorok oświadczył, że na samym początku wydawnictwa „Kurjera Krajowego” Lordon zwracał się do niego z zaofiarowaniem zapomogi dla pisma, ale Sumorok takowej nie przyjął; teraz ze wzdraganiem się przyjmuje, gdy się ona stała faktem, nie odtrąca jej, choć chcieliby, aby jak najprędzej ustała jej potrzeba, i w każdym razie odrzuca jakiekolwiek wiązanie się, jakikolwiek układ i zespół z tymi panami. Wszyscy bezwzględnie i z większym naciskiem zaznaczyli o niewiązaniu się i że gdyby panowie ci chcieli jakichś od nas gwarancji czy układów, to musielibyśmy ich zapomogę odrzucić, choćby wypadło przerwać wydawnictwo. Łuckiewiczowie zapewnili, że ci panowie żadnych gwarancji nie żądają, a nawet nie życzyli, aby ich zapomogę zastrzegają, żadnych warunków nie stawiają. Zainterpelowaliśmy jeszcze Łuckiewiczów co do pewnych faktów, które mogły by wskazywać, że tak nie jest i że ci panowie roszczą pewne pretensje do wtrącania się do spraw pisma. Pierwszy fakt, to ten, że w grudniu, gdy Maćkowski na własną rękę wziął od nich część tych pieniędzy i następnie pieniędzy tych na pismo nie zwiózł, lecz je strwonił (przehulał czy przegrał w karty) aż bezprawnie, panowie ci odmówili wypłacenia potem reszty za grudzień. Drugi fakt — że panowie ci żądają teraz rekomendacji, aby na redaktora został zaangażowany Jerzy Jankowski. Otóż co do pierwszego faktu, to ten właściwie daje się łatwo wytłumaczyć: oczywiście, że pieniądze nie mogły być przeznaczone na hulanki Maćkowskiego, to też gdy fakt taki się zdarzył, panowie ci postanowili przerzucać, aż Maćkowski całkowicie od pisma, co już było przez nas postanowione. Co zaś do Jerzego Jankowskiego, to panowie ci żądania takiego nigdy nie wystawiali, jeno niepokojeni byli objęciem kierownictwa pisma przez Sokołowskiego, który nawet nic o niej nie wiedział, jeno się stawia sama przez się, tymbardziej że wszystkich innych kandydatur w obecnych warunkach nie ma. [illegible] Kandydatura Jankowskiego nie przez tych ofiarodawców jest wysunięta, [illegible] redaktora „Gazety Codziennej”, którego i my też nie uważamy za zdatnego do stałego współpracownictwa, żadnych innych kandydatur w obecnych warunkach nie ma, jeno się stawia sama przez się; tymbardziej że wszystkich zaś i zastrzeżeń zebranie przeszło do omówienia kandydatury Jerzego Jankowskiego. Poprosiliśmy Jankowskiego, aby na chwilę opuścił pokój, by nam dać możność pomówienia swobodnie o kandydaturze jego w jego nieobecności. Ja wypowiedziałem się w ten sposób, że Jerzemu Jankowskiemu nie odmawiam w jego stawia niejasności jego cech osobistych, że ufam i nie mam go za człowieka bez ambicji, ile właściwą mu gorączką błyszczenia, choć mu nie odmawiam talentu i jaskrawej wyrazistości, t. zw. wielkiej swady pisarskiej, a nawet niezłego [illegible] Sokołowski nie może na stanowisku redaktora nas zadowolnić i do kierownictwa wielkiego i nie widząc istotnie żadnego innego kandydata odpowiedniego poza Jerzym Jankowskim, a skądinąd ceniąc sam fakt utrzymania pisma, bo wobec wszystkiego wystarczy, że łamiemy praca polska, nie wytężając „Przeglądu Wil.” będzie oddane w ręce Jankowskiego, [illegible] że szkoda dla demokracji i dla stanowiska krajowego społeczeństwa polskiego, całą wieś chcę przeszkadzać tej konieczności, ale dla [illegible] [illegible] nacjonalizmu. Wycofam się więc tylko sam z komitetu redakcyjnego, bo nie mając zaufania do Jankowskiego nie mogę i nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za całość kierunku pisma. Wycofując się z komitetu, nie wycofuję się od udziału we współpracownictwie i w ogóle od udziału do redakcji. Na moje miejsce do komitetu redakcyjnego postanowiono zaprosić [illegible] Bukowskiego. Jerzy Jankowski został więc zaangażowany. [illegible] imienia [illegible] oświadczył, że w ich gronie [illegible] Jankowskiego też budzi wątpliwości i wiedzą też jeszcze budzi one na ich zebraniu [illegible] [illegible] kandydatura ta istniejąca nie oponuje ona przeciwko temu. Dla względów zupełnie innej natury wycofał się z komitetu redakcyjnego [illegible].

21 stycznia.
3 lutego.
rok 1914.
Wtorek.

22 stycznia / 4 lutego. rok 1914. Środa.

Przez tydzień a szczególnie kilka dni ostatnich mój dziennik był tak pochłonięty sprawami „Kuriera Krajowego” i Łuckiewiczów, że o niczym innym pisać nie mogłem. W tym czasie bawili u nas Hektor i Julo Komorowscy, bawiła też w Wilnie, w przejeździe do Warszawy, Kotunia Bruszanowska z najstarszą córką Elizką. Mile nam czas schodził śród stosunków rodzinnych. Chłopcy Komorowscy latali po mieście, ożywiali nasz dom; razem Hela i Henryś Wołłowicz i Ziemio Bruszanowski odwiedzali nas częściej, żeby się spotkać z Komorowskimi, razem [?] zamiast wybiegać, młodość swą i wrażenia z ich młodością i wrażeniami łączyć. Hektor wyjechał dziś, śpiesząc do jakiegoś majątku w gub. Kieleckiej (powiecie Miechowskim) na praktykę rolniczą; Julek wyjeżdża jutro, wracając do Kowaliszek po parotygodniowym pobycie w Warszawie, gdzie uczęszczał na jakiś cykl wykładów rolniczych. Tu w Wilnie Julek się zatrzymał dla poinformowania się o warunkach ewentualnego przypisania się do wileńskiego miejskiego rewiru dla odbywania powinności wojskowej; to się wszakże okazało niemożliwym wobec tego, iż stracił on już termin normalny do przypisania się, i teraz będzie musiał się przypisać już tylko do lokalnego rewiru, do którego należą Kowaliszki. Tej jesieni Julek będzie już musiał stawać do wojska, a ponieważ nie posiada odpowiedniego cenzusu wykształcenia, będzie musiał iść na prostego żołnierza koszarowego. Mają się robić starania o uwolnienie go, ale sam Julek, zdaje się, tak już strasznie się nie lęka tej wojskowości, szczególnie gdyby mu wypadło służyć w wojsku gdzieś dalej, np. na Kaukazie lub w Azji. Samo życie koszarowe nie przestrasza go zbytnio, a poznanie dalekich krajów i wrażeń [?] zainteresowałoby go i stanowiło rozmaitość; życie zaś w Kowaliszkach w ścisłej zależności od rodziców, bez własnego zajęcia, bez stanowiska, nuży go i nudzi.

Anna jest od paru dni chora. Ma gorączkę, kaszle, ma bóle żołądkowe; była jakaś zdenerwowana, przybita; dziś już leży w łóżku, a humor jej się poprawił pod wpływem troskliwości i serdeczności, jaką jej wykazywałem.

Nabycie placyku na Antokolu dochodzi [?] do skutku. W piątek mamy już podpisywać umowę o kupnie (czy wypodarowaniu [?]).

Fotografie, któreśmy z Anną w Wiazowcu [?] zrobili, wywołaliśmy w niedzielę wieczorem. Tylko dwie się udały dobrze — Anna z Tuzinem [?] i rodzina Krzesiekiewskich [?].

23 stycznia
5 lutego.
rok 1914.
czwartek.

Nie ukończyłem pisania mojego obszernego, na wielką skalę zaprojektowanego, artykułu dla „Świata Słowiańskiego", a już zacząłem dziś inny, na temat pokrewny, który przeznaczam dla pewnego pisma żargonowego żydowskiego w Wilnie (zdaje się, że jest to miesięcznik, tytułu nie pamiętam). Będzie to wszakże artykuł mniejszy od pierwszego. Miesięcznik żydowski, dla którego to piszę, jest wydawany przez grupę, reprezentującą kierunek nowy, zresztą moim zdaniem bardzo dodatni w społeczeństwie żydowskim. Jest to kierunek ten sam, któremu hołduje kolega Czesznichow (adwokat). Redaktorem pisma jest przyjaciel Czesznichowa, młody żyd-publicysta, piszący pod imieniem Niger (nazwisko jego — Czarny czy Czorny). Kierunek ten jest ludowy i zarazem narodowy. Uważa on żydów za naród osobny, samodzielny i dąży do tego, aby w społeczeństwie żydowskim, które dotąd jest w dużym stopniu sektą rasowo-wyznaniową, utrwalić formację narodową. Kierunek ten jest wprawdzie przeciwny asymilacji żydów z narodami innemi, ale też walczy zarazem przeciwko tej jakiejś abnegacji żydowskiej, tej bezobywatelskości kosmopolitycznej, która pochodzi z tego, że żydzi, rozproszeni po całym świecie, nie mają żadnej łączności stałej poza rasą i wyznaniem, nie mają organicznego stosunku z określonemi społeczeństwami narodowemi, są względnie obcymi i jednocześnie obojętnymi na sprawy krajowe, i która sprawia, że np. u nas żydzi stają się mechanicznie narzędziami rusyfikacji, przewodnikami powiewów antyspołecznych i antykrajowych prądów. Kierunkowi temu chodzi o wynarodowienie żydów i uniezależnienie ich i ukrajowienie. Uważając żydów za naród i pragnąc zjawisko to utrwalić, mocno na masach ludowych żydowskich ufundować, kierunek ten pragnie oczywiście unobywatelnić naród żydowski. Unobywatelnienie — to jest więcej, niż samo tylko mechaniczne równouprawnienie, którego się przeciętnie inteligencja żydowska typu „kadeckiego" domaga; to jest nie tylko praw obywatelskich z konieczności wymaga, ale też obowiązków obywatelskich. Otóż na tę stronę kładzie wielki nacisk, rozumiejąc, że pierwszym stopniem do tego jest poznanie i ustalenie stosunku swego do kraju i społeczeństwa, w którym lud żydowski żyje i rozwijać się pragnie. Unobywatelnienie i ukrajowienie żydów, jako narodu, — to poważna sprawa, szczególnie u nas, gdzie stanowią oni znaczną ilość ludności, dotąd przeważnie obcą wiekszości społeczeństwa krajowego. Tę dziedzinę żydzi w kraju naszym uwielbiają i umiejętnie będą, a więc nie może być dla kraju obojętna, jakie zajmować będą stanowisko i jaką grać rolę w naszej przyszłości. Otóż redaktor tego pisma żydowskiego zwrócił się do litwinów, białorusinów i do mnie, jako polaka-demokraty, z prośbą o artykuły informacyjne o stosunkach społecznych, kulturalnych i narodowych w kraju. 391.

24 stycznia / 6 lutego. rok 1914. piątek.

Dziś u adwokata Janka Klotta podpisaliśmy z p. Lipowiczową umowę o kupnie placu na Antokolu. Na mocy tej umowy p. Lipowiczowa zobowiązała się mnie sprzedać, ja zaś od niej kupić plac z należącej do niej ziemi. Plac ten jest już wymierzony na wykonanym ad hoc planie. Jest to ten sam placyk, który oglądałem w końcu października wpierw ze Stadniewiczem i z Anną i który z pośród wielu innych z Anną wybraliśmy. Zajmuje on ogółem 454 sążnie kwadratowe, po rb. 5 za sążeń, co wynosi rb. 2270 za całość. Dziś przy podpisaniu przedwstępnej umowy o kupno zapłaciłem rb. 300 zadatku (z naszych z Anną oszczędności), 19 lutego będę musiał zapłacić jeszcze rb. 200, resztę zaś (rb. 1770) przy podpisaniu „kupczej" t. j. właściwego aktu kupna. Ziemia ta należy do p. Lipowiczowej na prawie wieczystego czynszu, tytuł zaś własności należy do miasta Wilna. Ale wszakże p. Lipowiczowa musi sprzedać ziemię na prawie własności, to znaczy że będzie musiała wykupić ją wpierw od miasta sama. Z tego względu termin sporządzenia aktu kupna nie został w umowie dzisiejszej dokładnie określony, jeno wskazane, że akt ten musi być sporządzony we 2 tygodnie po dokonaniu wykupu od miasta z tym zastrzeżeniem, żeby to nastąpiło nie wcześniej, niż w maju, i nie później, niż 1 września. Realizuje się więc nasz projekt placyka na Antokolu. Pierwotnie miałem na myśli dokonać tego kupna wyłącznie w celach spekulacyjnych, jako lokatę oszczędności naszych, licząc na wzrost cen na ziemię na Antokolu, szczególnie w razie zbudowania tramwaju elektrycznego. Potym wszakże, gdy się Anna zapaliła do myśli o zagospodarowaniu tego placyka i mianowicie założeniu na nim ogródka dochodowego, projekt nasz nabrał nieco innego wyrazu. Placyk będzie mógł się stać poniekąd podstawą bytu Anny; mieszkając tam sama i sama się ogrodem zajmując, Anna będzie mogła mieć pewne dochody, nie tylko zarobki, co mi ulży w wydatkach na nią. Skądinąd cena ziemi znacznie podskoczy, można będzie i spekulacji jeżeli nie stracić, sprzedawszy później placyk. W każdym razie cieszę się z tego nabytku. Oby nam z Anną placyk wyszedł na dobre! Jest to zdaje się pierwsza spekulacja w moim życiu.